ARCYDZIEŁA KLASYKI LITERATURY

Miguel Cervantes

Don Kichot z Manczy

publio

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

ARCYDZIEŁA KLASYKI LITERATURY

Miguel Cervantes

Don Kichot z Manchy

Tłumaczenie Walenty Zakrzewski

WARSZAWA 2012

Spis treści

Księga pierwsza

- Rozdział I
- Rozdział II
- Rozdział III
- Rozdział IV
- Rozdział V
- Rozdział VI
- Rozdział VII
- Rozdział VIII

Księga druga

- Rozdział I
- Rozdział II
- Rozdział III
- Rozdział IV
- Rozdział V
- Rozdział VI

Księga trzecia

- Rozdział I
- Rozdział II
- Rozdział III
- Rozdział IV
- Rozdział V
- Rozdział VI
- Rozdział VII

Rozdział VIII
Rozdział IX
Rozdział X
Rozdział XI
Rozdział XII
Rozdział XIII
Księga czwarta
Rozdział I
Rozdział II
Rozdział III
Rozdział IV
Rozdział V
Rozdział VI
Rozdział VII
Rozdział VIII
Rozdział IX
Rozdział X
Rozdział XI
Rozdział XII
Rozdział XIII
Rozdział XIV
Rozdział XV
Rozdział XVI
Rozdział XVII
Rozdział XVIII
Rozdział XIX
Rozdział XX
Rozdział XXI
Rozdział XXII
Rozdział XXIII

Rozdział XXIV
Księga piąta
Rozdział I
Rozdział II
Rozdział III
Rozdział IV
Rozdział V
Rozdział VI
Rozdział VII
Rozdział VIII
Rozdział IX
Rozdział X
Rozdział XI
Rozdział XII
Rozdział XIII
Rozdział XIV
Rozdział XV
Rozdział XVI
Rozdział XVII
Księga szósta
Rozdział I
Rozdział II
Rozdział III
Rozdział IV
Rozdział V
Rozdział VI
Rozdział VII
Rozdział VIII
Rozdział IX
Rozdział X

Rozdział XI
Rozdział XII
Rozdział XIII
Rozdział XIV
Rozdział XV
Księga siódma
Rozdział I
Rozdział II
Rozdział III
Rozdział IV
Rozdział V
Rozdział VI
Rozdział VII
Rozdział VIII
Rozdział IX
Rozdział X
Rozdział XI
Rozdział XII
Rozdział XIII
Rozdział XIV
Rozdział XV
Rozdział XVI
Rozdział XVII
Rozdział XVIII
Rozdział XIX
Rozdział XX
Księga ósma
Rozdział I
Rozdział II
Rozdział III

Rozdział IV
Rozdział V
Rozdział VI
Rozdział VII
Rozdział VIII
Rozdział IX
Rozdział X
Rozdział XI
Rozdział XII
Rozdział XIII
Rozdział XIV
Rozdział XV
Rozdział XVI
Rozdział XVII
Rozdział XVIII
Rozdział XIX
Rozdział XX
Rozdział XXI
Metryczka książki

KSIĘGA PIERWSZA

Rozdział I

W którym opisane są stan i zajęcia wielce słynnego hidalga Don Kichota z Manchy

W mieścinie pewnej, prowincji Manchy, której nazwiska nie powiem, żył niedawnymi czasy hidalgo pewien, z liczby tych, co to prócz spisy u siodła, szabliska starego, szkapy chudziny i paru gończych, niewiele co więcej mają. Rosolina powszednia, z baraniny częściej niż z wołowiny wygotowana na obiad, bigosik z resztek obiadu prawie co wieczór na kolację, co piątek soczewica, co sobota jaja sadzone po hiszpańsku, a na niedzielę gołąbeczek jakiś w dodatku do codziennej strawy, zjadały mu corocznie trzy czwarte części całego dochodu. Reszta szła na przyodziewek: na opończę z sukna cienkiego, hajdawery aksamitne z takimiż łapciami i na świtkę z krajowego samodziału dobornego, którą się w powszednie dni tygodnia obchodził. Miał on przy sobie ochmistrzynię, która, choć się do tego nie przyznawała, na czwarty krzyżyk dobrze już nastąpiła, siostrzenicę, której jeszcze dwudziesta wiosna nie zaświeciła i parobczaka sprawnego do usługi i w domu, i poza domem, i koło konia, i koło gospodarki. Wiekiem hidalgo nasz już na pięćdziesiątkę zarywał, ale ciałem był krzepki, w sobie kościsty, na twarzy suchy, zawiędły, do rannego stawania od ptaka skorszy, a do polowania bez miary zapalony. Przydomek miał podobno Quixada albo Quesada, bo co do tego nie ma zgodności między historykami, którzy o nim pisali; ale wedle wszelkiego prawdopodobieństwa zdaje się, że się zwał Quijana. Mniejsza

wszakże o to dla naszej historii; tu rzecz główna w tym, ażeby opowieść na jedno źdźbło z prawdą się nie rozminęła.

Owóż tedy, trzeba wam wiedzieć, mili czytelnicy, że ów jegomość hidalgo, w chwilach wolnych, kiedy nie miał nic do roboty (co bodajże cały rok się wydarzało), strasznie lubił wczytywać się w książki rycerskie, przygody opisujące i tak się do nich zapalił, że nawet o polowaniu całkiem zapomniał i starunku o gospodarkę zaniechał. Zaciekłość ta jego do owych ksiąg do takiego stopnia doszła, że sprzedał spory szmat ziemi, byle mieć za co tych ksiąg nakupić. Zebrało się też to tego w domu co nie miara; bo gdzie jeno jaką rycerską książkę zobaczył, zaraz kupował. Ale ze wszystkich tych dzieł żadne mu się tak doskonałe nie wydało, jak dzieło słynnego Felicjana de Silva. Zachwycał się dziwną jasnością jego prozy, a zawiłości mowy jego wydawały mu się cudem sztuki pisarskiej; szczególniej też podziwiał jego listy miłosne i uczuciowe, w których unosił się nad najpiękniejszymi ustępami, jak na przykład taki:

Nieuwaga zniewagi, którą sprawujesz w mojej rozwadze, tak niszczy równowagę mojej uwagi, iż nie bez wagi żalić się odważam na twojej piękności przewagę.

Albo ten drugi, gdzie powiada:

Wysokie i wspaniałe nieba, które w boskości przymiotów twoich bosko wraz z gwiazdami cię umacniają i dają zjednać godności wyjednanie, która przejednała zacność twoja.

Zagłębiając się w takie mądrości, nasz biedny szlachetka tracił po trosze rozum i zachodził w głowę, szukając w nich sensu, a podziwiając je tym bardziej, im mniej rozumiał. Nie bardzo mu do serca przypadło, że Belianis tyle ran odebrał i zadawał, bo zastanawiając się zdrowo nad rzeczą, nie mógł przypuścić, ażeby przy pielęgnowaniu najwyborniejszych nawet medyków

i chirurgów, którzy go opatrywali, nie zostało mu szramu na gębie i kiereszunku na ciele. Mimo to wszakże wielce szacował autora tej powieści i nieraz go kusiło coś, ażeby się wziąć do dokończenia jego książki, którą urwał na najciekawszym miejscu prześlicznej przygody. I byłby tego niezawodnie dokonał, pewno bardzo pięknie, gdyby nie to, że mu zawsze na przeszkodzie stały nowe fanaberie w głowie. Często toczył spory z proboszczem swoim, człowiekiem uczonym, licencjatem wykwalifikowanym w Ciguency, o to: kogo wyżej kłaść należy: Palermina Oliwskiego czy Amadisa Galijskiego. Majster Mikołaj znów, balwierz miejscowy, utrzymywał upornie, że nie było rycerza, który by dorównać mógł rycerzowi Słońca, a jeżeli kogo by można postawić przy nim, to jednego tylko Don Goloara, brata Amadisa, co to był kawalerem ze wszech miar doskonałym, a nie takim beksą i piecuchem jak Amadis, któremu wreszcie w żadnym punkcie rycerskości ani na krztę nie ustępował.

Krótko mówiąc, szlachetka nasz tak się zaciekł w czytaniu, że dnie i noce nad książkami trawił; doszło do tego, że wskutek zbytecznego natężenia i niewywczasu, mózg mu jakoś scieńczał, iż po prostu mówiąc, zgłupiał na piękne. Nabił sobie mózgownicę wszystkimi tymi andrybajami, które czytał, tak dalece, że mu się zamieniła całkiem w ładowny lamus czarów, uroków, zabijatyk, potyczek, ran, miłości, sercowych żałości, zapałów, udręczeń, srogości i tym podobnych niedorzeczności. I tak to wszystko, co czytał, wbił sobie krzepko w biedną głowinę, że ani mu gadaj, ażeby mogło być co prawdziwszego w dziejach świata. Prawił, że Cyd Ruy Dias był rycerzem wielce znamienitym, ale że ani mu wody nosić za Rycerzem Ognistego Miecza, który jednym odlewem dwóch wielkoludów straszliwej postury, jak muchy, na dwoje rozpłatał. Bernarda de Caprio wychwalał bardzo, że na równinach

Roncewalskich zmógł Rolanda, pomimo osłaniających go czarów, na które użył sposobu, jakim zręczny Herkules udusił Anteusza, strasznego syna ziemi. Pod niebiosa wynosił Morgana, że choć ród swój wiódł od olbrzymów, co zawsze bywali tak butni i grubiańscy, sam przecież był niezmiernie uprzejmy i pięknie wychowany. Ale nad wszystkich uwielbiał Rinalda de Montauban, a mianowicie za to, że tak dzielnie łupił kogo tylko na drodze napotkał z zamku swego wyjechawszy i że tak gracko się spisał, wykradając zza morza bałwana Mahometa, który miał być cały szczerozłoty, jak o tym mówi historia. Co się zaś tyczy Goleona, Zdrajcy Ohydnego, to z całej duszy byłby oddał ochmistrzynię, a w dodatku nawet i młodą siostrzenicę, żeby go był mógł dojechać porządnie z kilkadziesiąt razy nogą pod żeberka.

Straciwszy nareszcie rozum z kretesem, przyszła mu do łba myśl najgłupsza, na jaką kiedy bądź szaleniec się zdobył. Ubrdał sobie, że tak dla blasku własnej sławy, jako i dla dobra ojczyzny, wypada mu koniecznie zrobić się błędnym rycerzem, puścić się w świat szeroki konno i zbrojnie na wielkie przygody i te wszystkie praktyki, których się naczytał o słynnych rycerzach błędnych, żeby jak oni mszcząc krzywdy cudze, narażając się na wszelkie niebezpieczeństwa, na boje i trudy, dojść chwały nieśmiertelnej. Roiło się już w rozmarzonej głowinie nieborakowi, że co najmniej czeka go cesarstwo Trebizondy jako nagroda dzielności potężnego ramienia. Upojony tak słodkimi omamieniami i ponętą tej świetnej przyszłości, rozgorzał cały żądzą jak najprędszego uskutecznienia swoich zamysłów. Najpierw tedy zabrał się co żywo do oczyszczenia różnych części zbroi w dziedzictwie po naddziadach mu pozostałej, a od kilku wieków pod rdzą i kurzem w kącie domostwa gdzieś błogo spoczywającej. Pozbierał je, obmył, odpolerował, do kupy jak tylko mógł najlepiej poskładał. Ale

ku wielkiemu strapieniu spostrzegł biedak, że starej zbroicy nie dostawało jednej z najważniejszych części, bo zamiast szyszaka, znalazło się tylko kawał nagłówka od niego, a reszty ani weź nigdzie dopytać. Nie zrażając się tą biedą: w bystrym dowcipie swoim znajduje radę na nią, dokleja sobie z tektury brakujące części, stula to wszystko z żelastwem pospołu i tym sposobem fabrykuje sobie coś do hełmu podobnego. Na nieszczęście, przyszło mu do głowy spróbować, czy ta klejonka wytrzyma w danym wypadku ciosy, jakie spaść na nią mogą; jak tedy urżnie raz i drugi mieczem w ów szyszak tak za pierwszym zaraz cięciem zdruzgotał na nic całą robotę, nad którą przez cały tydzień się namozolił. Oczywiście strasznie mu ta próba nie do smaku poszła, ale trzeba było myśleć o zabezpieczeniu własnej osoby i nie było innej rady, jak wziąć się znów co żywo do przeróbki owego szyszaka. Pod tekturę tedy żelazne dał obróżki, wszystko skleił bardzo pięknie i w przekonaniu własnym bardzo mocno; ale odechciało mu się już prób robić, bo pewny był, że ma szyszak z przyłbicą najwykwintniejszego gatunku.

Dokonawszy tego dzieła, zajął się rumakiem; poszedł do stajni, przyglądał się szkapie swojej, a choć chudzina ta mizerniej może wyglądała, niż wywłoka Goveli *qui tantum ossa et pellis fuit*, byłby jednak poprzysiągł, że był to rumak dzielniejszy od Bucefała Aleksandryjskiego i Babieki Cydowej. Cztery dni, jak Pan Bóg przykazał, strawił, susząc sobie głowę nad wymyśleniem nazwiska dla tego rumaka; boć nie uchodzi, myślał sobie, żeby wierzchowiec tak słynnego rycerza nie był światu z imienia znanym. Szło mu koniecznie o to, żeby wymyślić takie, co by zarazem malowało stan owego wierzchowca przed wejściem w szeregi błędnego rycerstwa, i to czym miał stać się później. Konieczną i logiczną wydawało mu się rzeczą, że kiedy pan zmienia stan swój, iżby i koń nazwę swą

zmienił, a przyjął taką, co by go uświetniła i godnie odpowiadała nowemu jego powołaniu. Dobrze tedy rzecz tę rozważywszy, przerozumowawszy, przekombinowawszy, z tysiąc rozmaitych nazw próbując, zmniejszając, zdłużając i łatając, postanowił nareszcie nazwać go Rosynantem, bo nazwa ta wydała mu się bardzo wspaniałą, świetną i wielce znaczącą, a godną pierwszego w świecie bieguna. Wynalazłszy tak śliczne imię dla konia swego, zaczął teraz myśleć, jakie by tu sobie samemu nadać nazwisko; osiem dni przemyśliwał i nazwał się Don Kichotem; niektórzy autorowie tej historii, co do joty prawdziwej, myśleli z tego powodu, że istotnie musiał się nazywać Quixada, a nie Querrada, jak to inni utrzymywali. Przypomniawszy zaś sobie, że Amadisowi dzielnemu nie dość było na własnym nazwisku poprzestać i że dodał jeszcze do niego nazwę ojczyzny swej i królestwa, dla większego ich uświetnienia przezwał się Amadisem z Galii, nasz rycerz uczynił tak samo i przezwał się Don Kichotem z Manchy, myśląc, że tym sposobem rozgłosi po świecie całym i zaleci na wieki imię swej rodziny i miejsca rodzinnego.

Tak tedy wyszorowawszy należycie zbroicę, z nagłówka wysztukowawszy sobie hełm przyzwoity, rumaka ochrzciwszy wspaniale, a siebie znamienicie, mniemał, że teraz nie brakuje mu już nic więcej, jak tylko damy, w której by był zakochanym; bo rycerz błędny bez miłości, to tak samo jak drzewo bez liścia i owocu, a nawet po prawdzie, jak ciało bez duszy. Jeśli kiedy, na nieszczęście, mówił sobie, a raczej na szczęście moje, przyjdzie mi się spotkać z jakim wielkoludem, jak się to błędnym rycerzom zwykle przytrafia, i gdy pierwszym cięciem powalę go na ziemię albo rozpłatam na dwoje, słowem, gdy go zwyciężę, to przecież muszę z niego komuś zrobić prezent; muszę słyszeć, jak padłszy na kolana przed damą serca mego, pokorniutkim i skruszonym

głosem przemawiać będzie do niej: „Pani, ja jestem olbrzym Karakuliambro, pan wszechwładny wyspy Malindranii, którego niezwyciężony i niewysłowionej nigdy chwały rycerz Don Kichot z Manchy zwyciężył w pojedynczym boju; z jego to rozkazu przychodzę ukorzyć się u stóp Waszej Znamienitości i oddać pod jej wolę i rozporządzenie, jako nędzny jej sługa i niewolnik". O, jakże się cieszył, jak radował nasz rycerz, wyrecytowawszy sam do siebie tę piękną mowę, a nie posiadał się już z rozkoszy, kiedy znalazł nareszcie w głowie niewiastę, którą wrytował na panią serca swego! Była nią, jak mniemają historycy, gładka dość dziewucha wiejska, córka rolnika ze wsi, w której mieszkał nasz rycerz i kochał się w niej kiedyś, ale tak, że ona o tym ani trochę nie wiedziała i ani się domyślała. Nazywała się Alonza Lorenzo; ją to wybrał on teraz na panią swych myśli i serca; a wyszukując i dla niej także nazwiska równie szlachetnego, jak własne, i które by miało w sobie coś książęcego, po długich turbacjach nazwał ją nareszcie Dulcyneą z Toboso, jako w rzeczy samej stamtąd pochodziła, i że imię to przypadało mu niemniej do myśli i smaku, jak i imiona, powynajdywane przezeń dla siebie i konia swego.

Rozdział II

O pierwszym ruszeniu w świat Don Kichota

Tak więc wszelkie przedwstępne poczyniwszy kroki, rycerz nasz nie chciał już dłużej dać czekać na siebie ludzkości, bo czuł, że każda chwila zwłoki czyni go winnym i odpowiedzialnym za wiele krzywd na świecie, za wiele nadużyć i niesprawiedliwości, którym zapobiec by było można. Owóż tedy nie dawszy nikomu najmniejszej po sobie poznaki o zamiarze swoim, jednego ranka, jeszcze przed świtem, a było to w lipcu i pogoda śliczna, ciepluchna,

uzbraja się od stóp do głów, wsiada na Rosynanta, nadziewa tarczę, bierze dzidę, i małą furteczką z brudnego podwórka wyjeżdża niepostrzeżony; wymyka się w pole, uradowany nieskończenie, że tak piękne zamiary tak dobrze i łatwo spełniać mu się zaczynają. Ale zaledwie ze sto kroków od domu odjechał, straszny skrupuł budzi mu się w głowie i tak mu dogryza, iż bez mała nie zawrócił do domu i nie porzucił całkiem tak cudnych zamiarów. Przypomniało mu się, że nie był pasowanym na rycerza i że wedle obyczaju błędnego rycerstwa, nie miał prawa potykać się na rękę z żadnym rycerzem, i że choćby już nawet był pasowanym, to powinien nosić tarczę bez żadnego napisu, bo napis taki dzielnością ramienia dopiero zdobyć sobie należy, inaczej jest się tylko mleczakiem i frycem. Uwagi te zachwiały go chwilowo w zamiarze; ale że rozumowanie wszelkie ustąpić musiało przed naciskiem szału zawziętego, postanowił więc, że pierwszemu lepszemu, którego spotka, każe się pasować na rycerza, jak to czytał w książkach, że bardzo wielu już przed nim zrobiło. Że zaś terminem technicznym zbroja rycerza, który pierwszego pola jeszcze nie odbył, nazywała się bronią białą, powiedział sobie przeto, że swoją tak odnucuje, że od śniegu bielszą będzie niezawodnie. Tym sposobem ukoił się w kłopocie i ruszał naprzód drogą, wcale się o nią nie troszcząc i wybór w tej mierze zostawiając najzupełniej rozumowi konia; sądził bowiem, że to właśnie jest główną cechą powołania błędnych rycerzy. „Co za radość – mówił sam do siebie – dla przyszłych wieków, gdy czytać będą historię wypraw moich słynnych, którą mędrzec, co ją napisze, niezawodnie od tych słów zacznie: «Zaledwie promienny Apollo jął roztaczać złociste sploty płowych swych kędziorów na oblicze ziemi, a ptaszki rozbudzone dopiero witały słodkimi dźwięki przybycie pięknej rumianej jutrzenki, która wyszedłszy z łóżka od męża zazdrosnego, ukazała się

śmiertelnym na krużgankach widnokręgu Manchy, gdy słynny rycerz, Don Kichot, wróg nikczemnych wczasów i miękkiego łoża, dosiadł już był dzielnego rumaka Rosynanta i wyjeżdżał na starożytne i rozgłośne wokoło pola Montielu»". Rzeczywiście stał właśnie w tej chwili na gruncie wioski tego nazwiska. „O! epoko szczęśliwa – mówił dalej – o! wieku szczęśliwy, coś się stał godnym widzenia moich wielkich i nieporównanych czynów, zasługujących na to, by je rytowano w brązie i rżnięto w marmurze na wieczną sławy mojej pamiątkę i przykład dla przyszłych kiedyś pokoleń. O! ty wielki w mądrości czarnoksiężniku! co będziesz miał zaszczyt opisywania tej zadziwiającej a prawdziwej historii mojej, kto bądź jesteś, pamiętaj, proszę cię, pamiętaj skreślić dokładnie potomności, jak dzielnym i zręcznym był ten poczciwy mój Rosynant, wierny i niedostępny towarzysz wszystkich przygód moich".

Takie palił ciągle perory, a przechodząc z materii jednej do drugiej ni stąd ni zowąd, gdy mu się zdało, że naprawdę zakochanym jest na śmierć, wołał: „O! księżno Dulcyneo, pani serca uwięzionego, straszną krzywdą dotknęłaś mnie, wyprawiając tak od siebie i nakazując mi srogo nie pokazywać się przed obliczem swej piękności. Racz pomnieć, pani moja, o sercu tym biednym, tobie oddanym, co tyle dla twej miłości ciężkich cierpień ponosi". I jechał ciągle, bredząc podobnie za każdym razem, jak tylko przypomniał sobie coś z ksiąg, które czytał i silił się jak najmocniej, żeby styl ich pięknie naśladować. Tak się zagłębił w tym upojeniu, że człapiąc noga za nogą, ani się spostrzegł, iż słońce już wysoko wybujało, i tak mu pionowo łysinę promieniami parzyło, że niezawodnie mózg by mu się roztopił od tego skwaru niezadługo, gdyby go tylko choć odrobinę jeszcze tam było.

Cały dzień prawie jechał tak i nic mu się godnego wzmianki nie wydarzyło; do rozpaczy go to przyprowadzało, bo pałał

niepohamowaną żądzą zmierzenia się dzielnym orężem choćby z najtęższym nawet chwatem. Dziejopisarze jedni twierdzą, iż pierwsza przygoda spotkała go w wąwozach Port-Lopice, inni znów zapewniają, że pierwszą była przygoda z wiatrakami. Ja ze starych kronik miejscowych tyle tylko w tym względzie dowiedzieć się mogłem, że rycerz nasz cały ten dzień jechał i jechał ciągle, aż pod wieczór i on, i rumak tak byli zmęczeni, tak zgłodzeni, że już ledwo a ledwo nogi za sobą ciągnęli. Oglądając się na wszystkie strony za dymem z komina, a w myśli rojąc sobie zamki i pałace, Don Kichot nareszcie dostrzegł na trakcie jakiś dom zajezdny. Zaraz skierował tam kroki, jakby za gwiazdą zbawienia. Zmrok już dobrze zapadał; przed karczmą siedziały dwie kobiety, z rodzaju tych, co to je nazwać dość trudno, które sobie wracały z mulnikami do Sewilli, i na nocleg zatrzymały się tu z nimi. Zapaleniec nasz, z głową nabitą zawsze romansami, których się naczytał i patrzył na wszystko przez ich okulary, wziął zaraz karczmę za zamek warowny z wieżami, basztami, mostem zwodzonym i wszelkimi przynależnościami, w jakie opisy powieściopisarskie zawsze obfitują. Zatrzymał rumaka na kilkanaście kroków przed warownią, czekając, żeby karzeł zadął w róg z baszty i dał znać mieszkańcom o przybyciu rycerza jakiegoś; ale że karła jakoś długo ani oko, a Rosynantowi strasznie było spieszno do stajni, podsunął się więc ku drzwiom domu i zobaczył dwie czeczotki, o których wyżej wspomnieliśmy, a które wziął zaraz za jakieś znakomite dziewice świeżego powietrza używające. Zdarzyło się też jakoś, jakby naumyślnie, że pastuch, zganiający z pola nierogaciznę, zadął dwa, czy trzy razy w fujarę, na który to odgłos świnie (przepraszam, ale nie moja wina, że się tak nazywają) zbiegają się do kupy. Oho! Don Kichotowi już się to wydało, bo tak sobie życzył, że karzeł z baszty daje znać o jego przybyciu. Nie posiadając się tedy

z radości, kroczy ku damom, a te widząc człeka tak po cudacku wyrynsztunkowanego, z ogromną tarczą i dzidą prosto na nie walącego, niewiele myśląc, nuże w nogi do karczmy. Nie zdziwił Don Kichota przestrach pań, bo mu się wydał bardzo naturalnym; prędko więc podniósł tekturową przyłbicę i odkrywszy kościstą i kurzem umorusaną twarz swoją, słodziuchnym a poważnym przemówił do nich głosem: „Nie uchodźcie, miłościwe panie, nie obawiajcie się najmniejszej dla siebie ujmy, prawom wykwintnej galanterii przeciwnej, bo zakon rycerski, do którego mam zaszczyt należeć, nie dozwala mi ubliżać nikomu, a tym bardziej dziewicom tak dostojnym, jak wasza obecność wskazuje". Dziewczyny stanęły, wlepiły oczy w tego dziwoląga, któremu łatana przyłbica połowę twarzy zasłaniała, a słysząc, że je dostojnymi dziewicami mianuje, co im się w życiu nigdy jeszcze nie zdarzyło, nie uciekały już i zaczęły się chichotać tak serdecznie, że Don Kichot, nie mogąc pojąć, co to ma znaczyć, rozdąsał się na dobre i z wielką powagą odezwał się do nich: „Skromność i grzeczność piękności przystoi, to jej udział; ale śmiech nie wiada z czego, zdradza tylko prostactwo i do nierozumu się zbliża. Nie mówię ja wam tego, miłościwe panie, w myśli najmniejszej urazy, a jeno, że jedynym zamiarem moim jest pokorne służby moje całkowicie wam ofiarować". Przemowa ta, dla uszu ich tak niezwyczajna, i widok tego człowieka, tak śmiesznie wystrojonego, jeszcze bardziej rozchichotały dziewczyny, tak, że pękały prawie od śmiechu, a rycerz nasz ledwo nie pękał ze złości, i kat go wie, jakby tę sprawę był zakończył, gdyby na szczęście nie ukazał się we drzwiach gospodarz z przyzwoitym godności swej brzuszkiem. Widząc figurę tak cudacką i tak po wariacku uzbrojoną w kirys, puklerz i dzidę, szanowny amfitrion niemniej uczuł się skłonnym do śmiechu jak wędrowne panny; ale że z natury już był ostrożnym i że strachu więcej miał za skórą niż

owe panny, na widok przeto tego całego rynsztunku uśmierzył w sobie chęć śmiechu i przezornie postanowił obejść się z gościem z wszelkim dla osoby jego szacunkiem. Skłoniwszy się więc, przemówił do Don Kichota: „Mości rycerzu, jeżeli szukasz przytułku dla siebie, na niczym ci w gościnie mojej zbywać nie będzie, prócz jednego łóżka; zresztą znajdziesz wszystko w jak największej obfitości". Don Kichot widząc tak uprzejmym dla siebie gubernatora zamczyska (bo takim sobie wyobrażał karczmarza i karczmę), odpowiedział mu: „Co do mnie, mości kasztelanie, mało mi bardzo potrzeba; nie szukam, jak widzisz, chluby w zniewieściałości, ani w marności stroju; broń jedyną moją rozrywką i ozdobą, a rycerskie rzemiosło odpoczynkiem". Korpulentny gospodarz nie mógł wprawdzie pojąć, dlaczego Don Kichot nazywa go kasztelanem, ale że szczwana była z niego sztuka, nieodrodny Andaluzyjczyk z wybrzeży San Lukaru, a przy tym co się nazywa pierwszy majster w swoim rzemiośle, zwinny jak student, a filut jak paź, nic tedy nie dając poznać po sobie, tak prawi do niego: „A kiedy tak, mój mościwy panie, to na kamieniach będziesz miał waszmość wygodne dla siebie łoże, ile że, jak miarkuję, snu zażywasz zapewne nie więcej, jak czata; w takim przeto stanie rzeczy nie ma co gadać, jeno waszmość zsiadaj z człapaka, a możesz być pewien, że znajdziesz tu sobie wygodę nie tylko na jedną noc bezsenną, ale choćby i na cały rok ci jej wystarczy". Tak przemówiwszy, poszedł potrzymać strzemienia Don Kichotowi, który z wielką biedą zgramolił się z siodła, co nie dziwota, bo każdemu by to kaducznie ciężko przyszło, gdyby, jak on, o dziewiątej godzinie wieczorem ani kęsa śniadania jeszcze nie miał w gębie.

Zsiadłszy z konia, rycerz pilnie zalecił gospodarzowi, aby ludziom przykazał należyte mieć staranie około jego rumaka, zaręczając mu uroczyście, że na całym świecie nie masz lepszego i piękniejszego

zwierzęcia trawożernego. Gospodarz przyglądał mu się uważnie, ale nie wydało się wcale, aby w tym zaręczeniu Don Kichota była choć jota prawdy. Umieściwszy konia w stajni, wrócił dowiedzieć się, czego żądać będzie kawaler i zastał go rozdziewającego się z rynsztunku, w czym uczynnie dopomagały mniemane panny, z którymi się już pogodził. Zdjęły z niego kirys i pancerz, ale mimo najmozolniejszych usiłowań, nie mogły rozpiąć naramiennika, ani rozwiązać supłów od zielonych wstążek, podpinających mu pod brodą szyszak, a na rozcięcie tych supłów żadną miarą przystać nie chciał. Całą noc więc siedział z przyłbicą na głowie, a wyglądał jak najpocieszniejsza istota w świecie. Biorąc zaś stworzenia rozbierające go tak usłużnie za osoby wysokiego rodu i za panie tego zamku, z wykwintną galanterią mówił do nich: „Wątpię bardzo, aby był kiedy bądź na świecie rycerz, co by za obrębem własnego domu doznał tyle od dam uprzejmości, co Don Kichot; panny usługują jemu, a księżniczki jego rumakowi! O szczęśliwy Rosynancie! tak się rumak mój zowie, a Don Kichot z Manchy, to moje nazwisko, którego, nadobne dziewice, nie miałem wam wyjawić wprzódy, dopóki bym znamienitym jakim czynem, w usługach waszych dokonanym, nie zjednał mu pięknego przed wami zalecenia. Dowiadujecie się go przed czasem, bo okoliczności obecne przypomniały mi cudny romans Lancelota; ale przyjdzie chwila, nie wątpię, iż raczycie zaszczycić mnie waszymi rozkazy, a ja wam bezgranicznym posłuszeństwem moim i dzielnością rycerskiego ramienia dowiodę, jak gorącą pałam żądzą poświęcenia wam pokornych służb moich”. Panny, nieprzywykłe słyszeć mowy takiej i nic jej nie rozumiejąc, nic się też nie odzywały. Zapytały go tylko, czy by czego nie zjadł. – „Z całego serca, z całego serca, odparł Don Kichot, zdaje mi się, żeby to było nie od rzeczy”. – Na nieszczęście był to piątek i w całej karczmie nie było nic

do jedzenia, prócz rybek maleńkich, które zwą *truchnela*, podobnych do drobnych pstrągów. Zapytano go więc, czy będzie jadł te rybki; on myśląc, że mu mówią o małych pstrągach, „z największą chęcią, odpowiedział, a byle ich było sporo, to na to samo wyjdzie, co jeść duże pstrągi, boć przecie w gruncie rzeczy, sześćdziesiąt groszy to znaczy to samo, co dwuzłotówka, a może i to jeszcze będzie w zysku, że te małe pstrążki w smaku są delikatniejsze od wielkich, jak delikatniejszy jest baranek od skopa; słowem, co tam mają, niech dają, aby tylko prędzej, aby tylko zaraz, bo nie ma co mówić, że brzemię silnej zbroicy kaducznie morduje człowieka, a po znoju zawsze dobrze sił nieco pokrzepić, ażeby je mieć świeże od wypadku". Wystawiono mu stół przed karczmą, że to jeść przyjemnie na świeżym powietrzu i gospodarz podał mu na talerz rybki niedogotowane bez żadnej przyprawy, a do tego kromkę razowca, jak sadze czarnego i nieźle podpleśniałego. Było z czego pękać od śmiechu, widząc, jak biedaczysko zawijał, bo trzeba wiedzieć, że naramienniki i szyszak tak go piekielnie krępowały, iż własnymi rękoma nic do ust donieść nie mógł; jedna więc z usłużnych panien musiała go w tej funkcji wyręczać i jadło mu do gęby podawać. A pałaszował, że mu się aż uszy trzęsły; z piciem nie było już rady, bo ani sposób mu go podać; szczęściem dowcipny gospodarz wpadł na koncept, prześwidrował kawał grubego kija, jeden koniec wsadził mu w usta, a drugim lał wino, i tak go napoili. Poczciwy szlachciura znosił to wszystko z anielską cierpliwością i wolał cierpieć te wszystkie biedy, niż przystać na rozcięcie wstążek, podpinających szyszak. W czasie tej biesiady przybył do karczmy koziarz jakiś, który zbliżając się, gwizdnął silnie parę razy. Odgłos tej miłej muzyki utwierdził jeszcze mocniej Don Kichota w mniemaniu, że znajduje się w znakomitym jakimś zamku; widziało mu się, że mu wyprawiają serenadę w czasie uczty,

a niedogotowane stynki tym wyborniejszymi pstrągami mu się wydały; razowiec brał za pulchniutką bułeczkę, awanturnice coraz znamienitszymi były w jego oczach damami, a karczmarz dostojnym magnatem, samowładnym panem obronnego grodu. Zachwycony tą pierwszą przygodą, szczęśliwie roił marzenia o przyszłych swych losach. Jedna go tylko rzecz serdecznie bolała, a to: że jeszcze nie był pasowanym na rycerza, i że bez tego nie mógł się ważyć urzędownie na żadną kawalerską przygodę.

Rozdział III

Jak miłym sposobem Don Kichot wymógł na karczmarzu, że go pasował na rycerza

Dręczony tą boleścią, o której w końcu zeszłego rozdziału wspomnieliśmy, zapaleniec nasz nie dojadłszy nawet chudej kolacyjki, którą tak smacznie spożywał, zerwał się nagle zza stołu i w wielkim pośpiechu chwytając gospodarza pod rękę, wyprowadził go do stajni, a tam drzwi dobrze zamknąwszy, rzucił się przed nim na kolana i ze złożonymi jak do pacierza rękoma, w wielkim uniesieniu tak doń przemówił: „Waleczny rycerzu, ja się dopóty z miejsca tego nie ruszę, dopóki, miłościwy panie, nie przyrzeczesz mi, iż raczysz przychylić się do prośby mojej, której spełnienie niemniej tobie samemu zaszczytu i sławy, jak światu całemu korzyści i dobra przyniesie". Karczmarz strasznie zrazu zdziwiony, że przed nim jak przed świętym ktoś na kolana pada i w tak górny sposób do niego przemawia, wytrzeszczył tylko na niego oczy, sam nie wiedząc, co rzec, i mordował się siłą całą, żeby go z klęczek podnieść, ale na próżno się silił, tamten ani popuścił zaciętego uporu, dopóki mu nie przyrzekł, iż zrobi, czego się od niego domaga i spodziewa. „Byłem tego pewien, iż uprzejmość

waszmość pana odmówić mej prośbie nie może, odparł Don Kichot. Prośba moja do ciebie, panie, której spełnienie łaskawie przyrzec mi raczyłeś, jest o to, ażebyś waszmość pan jutro, co jeno świt, raczył mnie pasować na rycerza, a dziś w nocy, ażebyś mi pozwolił odbyć rycerską próbę w kaplicy zamku twojego, gdzie należytym skupieniem ducha przygotuję się do przyjęcia dostojnego znamienia, którego tak gorąco pragnę i które nada mi prawo szukania przygód kawalerskich w niesieniu pomocy strapionym, wymierzaniu kary na krzywdzących po całym już szerokim świecie, jak to przepisuje zakon rycerski, do którego się liczę". Karczmarz, sztuka mądra i sprytna, jakeśmy to już powiedzieli, od samego początku zaraz zaczął jakoś przewąchiwać, że kawalerowi zajączki po głowie burmistrzują, ale teraz usłyszawszy taką do siebie przemowę, upewnił się już w zdaniu na dobre, i nie widząc innej rady, dla samego śmiechu przyrzekł mu, iż żądaniu jego zadosyć uczyni. Odpowiedział mu, że nie mógł szczęśliwiej z prośbą się udać, że śliczny robi wybór powołania, najzupełniej godny rycerza tak znamienitego i dostojnego, jakim się prezentuje, że on sam wreszcie, kiedy był młodym, mocno praktykował w tym zaszczytnym rzemiośle i wiele kątów po świecie nawycierał, goniąc za różnymi kawałkami i że nie ma jednej dziury na wszystkich przedmieściach Malagi, na wyspach Riaran, na rynkach Sewilli, Segowii, Walencji, Grenady, na brzegach San-Lukaru, w porcie Kordoby i w najskrytszych szynkowniach Toledo, gdzie by nie dał dowodów zwinności nóg swoich i dzielności dłoni, płatając na wszystkie strony najrozmaitsze sztuczki: to wdówki podskubując, to dziewczyny oszukując, to głupców w pole wywodząc, słowem, imię swoje głośnym czyniąc we wszystkich prawie trybunałach Hiszpanii. Że na koniec, po długich trudach teraz osiadł w zamku swoim, gdzie żyje z dochodów własnych

i cudzych i przyjmuje wszystkich błędnych rycerzy wszelkiego kalibru i stanu przez samo współczucie braterskie ku nim i żeby podzielić się z nimi całą chudobą za tyle dobrego, co na świecie robią. Powiedział, że nie ma w zamku swoim na teraz kaplicy, w której by można odprawić rekolekcje rycerskie, gdyż starą kazał zwalić, a nowej jeszcze nie zbudował, ale że to nic nie szkodzi, wiadomo mu bowiem, że w razie potrzeby można noc rycerską spędzić byle gdzie, i że jeżeli mu się podoba, jakby tego dopełnić na podwórzu zamkowym, które jakby umyślnie na to urządzone, doskonale potrzebie odpowiada, że rano odbędą ceremonię, a tak za godzin pięć lub sześć może być pewnym, iż będzie tak doskonałym rycerzem, jak mało podobnych na świecie.

– A masz wasze co pieniędzy przy sobie? – zapytał jeszcze.

– Pieniędzy! – odparł Don Kichot – ani grosza, nigdym nie doczytał się w żadnej historii, żeby który bądź z błędnych rycerzy miewał pieniądze z sobą.

– O! to się wasze grubo mylisz – na to mu brzuchaty gospodarz – jeśli o tym nie stoi nic w książkach, to właśnie dlatego, że ci, co je pisali, uważali to za rzecz bardzo prostą i konieczną, żeby błędni rycerze mieli pieniądze, tak samo, jak nic także nie pisze tam, że mieli koszule do przemiany, a przecież bez tego by się nie obyli. Bądźże wasze pewien, że wszyscy ci rycerze, o których książki piszą, mieli dobrze naładowane kieski od wszelkiego wypadku, jak również mieli zawsze bieliznę z sobą i puszkę z maściami na rany, boć rozumiesz to wasze, że straszne staczając boje wśród puszcz i lasów, niekoniecznie im się zdarzyło mieć na zawołanie felczerów, co by ich opatrzyli, i zgniliby wprzód, nim by się ich doczekali, chyba, żeby im jaki czarnoksiężnik z przyjaźni zesłał na obłoku panienkę lub karła z flaszeczką wody cudownej, której jedna kropla na język wzięta człowiekowi konającemu wraca natychmiast

zdrowie i rześkość, jak gdyby mu nigdy nic złego nie było. Ale że na taką usługę nie można liczyć na pewno, rycerze przeto nie zapominali nigdy giermkom kazać brać pieniędzy i innych potrzebnych rzeczy, jako maści i szarpi, a jeśliby się nawet zdarzyło, że rycerz nie miał giermka, co bardzo rzadki wypadek, to sam brał te konieczne rekwizyta i w mantelzaczku, zręcznie przytroczonym do łęku wiózł je przy sobie, tak, że nic a nic widać nie było, bo znów, co prawda, to prawda, że mantelzaczkiem świecić samemu nie bardzo rzecz przystojna dla rycerza, i w każdej innej okazji pewno by żaden tego nie zrobił. Tak więc – dodał gospodarz – radzę waszmości, a nawet rozkazuję, jako przyszłemu synowi mojemu z rycerskiego ramienia, abyś nigdy nie ważył się ruszać krokiem bez pieniędzy i innych potrzebnych rzeczy, a obaczysz, że ci się przydadzą najlepiej wtedy, kiedy najmniej byś się tego spodziewał.

Don Kichot zapewnił go, że rady posłucha i wziął się zaraz do odbycia nocy rycerskiej na podwórzu obok karczmy. Trzeba było odbyć tak zwaną straż broni; zebrał więc cały swój rynsztunek, złożył go na żłobie przy studni, a sam nadziawszy tarczę, a dzidę w garść wziąwszy, jął się przechadzać poważnie przed żłobem z miną przyjemną i dumną zarazem. Już dobrze późno w noc było, gdy zaczął tę piękną wartę; gospodarz, trzymając się za boki, rozpowiadał wszystkim gościom u siebie, co ten wariat wyrabia, jak odprawia straż rycerską i jak gwałtownie pragnie być pasowanym na rycerza. Wszyscy niezmiernie się zdumieli tym dziwnym gatunkiem wariactwa i chcąc się zabawić, przypatrywali się Don Kichotowi z daleka. Widzieli, jak poważnie i wspaniale maszerował tam i na powrót przed żłobem, to znów stawał odpoczywając, wspierał się oburącz na spisie i wlepiwszy oczy w zbroję, długo się w nią wpatrywał. Noc coraz widniejsza się robiła, księżyc wszedł

wysoko i tak jasno świecił, że wszystko jak w dzień widzieć można było.

Jednemu z mulników popasających w karczmie zachciało się skądciś napoić muły swoje; ale żeby je napoić, musiał ze żłobu zdjąć rynsztunek naszego rycerza. Don Kichot, jak go tylko zobaczył zbliżającego się i zamiar jego pomiarkował, zaraz wrzasnął nań donośnym i gniewnym głosem: „O! kto bądź jesteś, zuchwały rycerzu, co masz śmiałość zbliżyć się do zbroi najdzielniejszego z ludzi, co kiedy bądź oręż przy boku nosili, strzeż się, rozważ, co czynić zamierzasz, i nie waż się zbroi tej dotknąć, jeżeli nie chcesz położyć głowy za swą zuchwałość". Niebaczny przewodnik niewiele zważał na odgróżki Don Kichota, przeciwnie nawet, jakby gardząc nimi, zagarnął cały rynsztunek i śmignął nim z całej siły, tak, że się rozleciał daleko. Wtedy Don Kichot przewrócił oczy do nieba, a w myśli zwracając się do damy serca swego, zawołał: „Pani! pomagaj mi w pierwszej tej potrzebie, która czeka niewolnika twego; nie odmawiaj mi orędownictwa swego w tej sprawie". Skończywszy tę przemowę, tarczę z ręki zrzucił, a chwyciwszy dzidę oburącz, tak nią w głowę zamalował zuchwałego mulnika, że ten padł na ziemię jak długi i tak zagłuszony, iż niewiele mu już brakowało, żeby się więcej nie ocucił. Dokonawszy tak walecznego dzieła, Don Kichot pozbierał rynsztunek swój, złożył go znów na żłobie i zaczął z najzimniejszą krwią chodzić tam i na powrót wzdłuż owego żłobu. Niedługo potem drugi mulnik, nie wiedząc nic, co się stało, bo tamten leżał jeszcze na ziemi bez czucia, przyszedł także do studni w zamiarze napojenia mułów, i kiedy wziął się do ściągania zbroi ze żłobu, Don Kichot, nic już nie mówiąc i niczyjej nie wzywając opieki, zdjął znów tarczę z ramienia, chwycił ją znów oburącz, i tak nią zamalował trzy, czy cztery razy winowajcę w głowę, że mu czaszkę w kilku miejscach rozranił.

Na hałas stąd powstały i na wielki lament rannego, zbiegli się wszyscy ludzie z karczmy. Don Kichot, widząc tylu ludzi przybiegających, pochwycił tarczę, a miecz potrząsając w ręku: „Pani najcudniejszej piękności! – zawołał – potęgo i dumo serca mojego, teraz przyszła chwila, ażebyś najdostojniejszy wzrok swój zwrócić raczyła na rycerza, niewolnika swego, tak ciężką przygniecionego przygodą". Po owym wezwaniu, tak się uczuł silnym i mężnym, że wszyscy mulnicy z całego świata zebrani rady by mu nie dali, a przynajmniej na krok by się przed nimi nie cofnął. Towarzysze wszakże poranionych mulników nie mogli przenieść na sobie, żeby krwi kamratów nie pomścić, zaczęli więc rzucać na Don Kichota gradem kamieni, od których zasłaniał się biedak, jak mógł, tarczą, nie ustępując krokiem od żłobu, żeby bronić zbroi. Gospodarz wrzeszczał z całego gardła, żeby mu dali pokój, że im przecież mówił, że to wariat, a jako wariat, choćby wszystkich mulników z całej Hiszpanii na tamten świat wyprawił, to mu zawsze nic nie będzie. Ale rycerz nasz wrzeszczał jeszcze głośniej od wszystkich, wymyślając im od nikczemników i zdrajców, pana zamku wyzywając przeniewiercą, z czci i wiary wyzutym, kiedy pozwala, żeby na jego terytorium tak znieważano błędnych rycerzy. „O! pokazałbym ja ci coś ty za jeden, podły przeniewierco – gardłował do niego – żebym tylko był już pasowany na rycerza. Wy wszyscy zresztą – wołał – jesteście tylko nikczemną gawiedzią, hałastrą ciurów, o was się nie troszczę! Strzelajcie, bombardujcie, silcie się, zdradzieckie plemię, ale się nie zbliżajcie, bo obaczycie, co wam będzie za waszą zuchwałość; dam ja wam". A wrzeszczał tak donośnie, tak dumnie i imponująco, że strach przeszedł mrowiem po napastnikach i do tego stopnia stchórzyli panowie mulnicy, że posłuchali wołania karczmarza i przestali już walić kamieniami. Don Kichot pozwolił zebrać z pola bitwy rannych i z najzimniejszą

krwią jął znów maszerować tam i na powrót wzdłuż żłobu jakby nigdy nic. Gospodarz rozmyśliwszy się nad tymi figlami Don Kichota, przyszedł do wniosku, że to trochę za grube żarty, i żeby się go pozbyć jak najprędzej, postanowił skończyć już co najrychlej z tym pasowaniem na rycerza. Uniewinniwszy się więc z zuchwałości tych gburów, o której nic nie wiedział, a która tak przykładnie ukaraną została, powiedział mu, że nie ma na teraz w zamku kaplicy, jak to już mu był oświadczył, i że wreszcie nie jest ona potrzebną do dalszych formalności obrzędu, że przy pasowaniu główną rzeczą jest akolada i dotknięcie mieczem po ramieniu, tak przynajmniej przepisuje ceremoniał rycerski, który czytał niedawno, i że tego dopełnić można tak samo na polu, jak i gdzie bądź indziej; nareszcie, że co do stróżowania około zbroi, dwie godziny są dostateczne, a on więcej niż cztery już tego obowiązku tak ciężko i wzorowo dopełnia. Don Kichot łatwo się dał przekonać, bo niczego tak nie pragnął, tylko, żeby jak najprędzej dochrapać się pasowania, i odpowiedział zamkowemu władcy, że gotów jest być mu we wszystkim posłusznym, i że byle był kompletnym już rycerzem, a dopuszczono się takiej jeszcze na niego napaści, to żywej duszy nie zostawi w zamku, wszystkich trupem położy i tych tylko oszczędzi, których on mu każe. Gospodarz, mądra sztuka, nie tracąc czasu, poszedł zaraz po wielką księgę, w której znaczył sobie rachunki za słomę i siano mulnikom wydawane, wziął z sobą dwie panny, które już znamy, i chłopca, któremu dał w rękę kawałek łojowego ogarka; z tymi przyborami i orszakiem przybył do Don Kichota i zaraz kazał mu uklęknąć na obydwa kolana. Potem, czytając niby to z książki, jak gdyby pacierz jaki, podniósł rękę do góry i wyciął go w kark tak mile, że aż mu się głowa pochyliła, a płazem miecza palnął go po plecach kalibrowym ciosem, ciągle mrucząc coś sobie pod nosem i do księgi zaglądając. Dopełniwszy

tego, jednej z panien polecił przypasać miecz kawalerowi, czego ona dopełniła z wielką gracją, dusząc się ciągle od skrywanego śmiechu i nieraz pewno, w czasie tej ceremonii, obydwie parsknęłyby sobie serdecznie, gdyby poprzednie wypadki nie dały im poznać, że z tym panem kawalerem nie ma co żartować. Przypasując mu miecz do boku, miluchna panienka mówiła do niego: „Niechaj ci Bóg szczęści w bojach, nieustraszonego serca i wielkiej fantazji rycerzu". A on jej prosił, żeby mu nazwisko swoje wyjawiła, by wiedział, komu tak wielką zawdzięcza łaskę, i do kogo należeć będzie połowa sławy, którą dzielnym ramieniem zdobędzie. Nadobna dziewica odpowiedziała mu, że się nazywa Toloza, że jest córką szewca z Toledu, pracuje w szwalni Sanchy Bienaya i że zawsze, na każdym miejscu i o każdej porze, poczytywać się będzie za najuniżeńszą jego sługę. „Zaklinam cię, pani, na miłość ku mnie – zawołał Don Kichot – nazwisko twoje zaczynaj zawsze odtąd od *don* i mianuj się donną Tolozą". Nie wymawiała się od tego i przyrzekła mu uroczyście, że zadość uczyni jego żądaniu. Druga nimfa przypięła mu ostrogę i ta sama była między nimi rozmowa. On jej się pytał o nazwisko, ona mu odpowiedziała, że nazywa się Młynarka i jest córką poczciwego młynarza z Antekwerry. I ją zobowiązał nowy rycerz do przyjęcia przed nazwiskiem, niezbędnego *don*, obsypał ją nieskończonymi dzięki i solennymi przyrzeczeniami wdzięcznych służb swoich. Kiedy się już skończyła cała ta cudaczna i niepraktykowana dotąd ceremonia, Don Kichot, pałający żądzą jak najprędszych przygód, skoczył co tchu do stajni, okulbaczył Rosynanta i rozsiadłszy się w łęku, w całej paradzie z konia uściskał gospodarza, szeroko i wymownie dziękując za łaskę, jaką mu wyświadczył. Co gadał, ani sposób nawet pomyśleć, żeby tu można powtórzyć, chybaby trzeba zwariować, tyle tam było cudackich i szalonych rzeczy w tej perorze. Gospodarz kontent, jakby go kto

na sto koni wsadził, że go się już przecie pozbył, odpowiedział mu na jego komplementy w tym samym stylu, tylko znacznie krócej, i nie żądając ani grosza rachunku, z całego serca dał mu krzyżyk na drogę.

Rozdział IV

Co się wydarzyło naszemu rycerzowi po wyjeździe z austerii

Dniało już, kiedy Don Kichot opuszczał mniemany zamek, a w takim był rozradowaniu ze swego rycerstwa nowo nabytego, że aż koniowi tej jego radości część się udzieliła. Przypomniawszy sobie rady gospodarza względem zaopatrzenia się w rzeczy konieczne rycerzowi, postanowił zawrócić do domu po pieniądze, koszule i giermka, na którego w myśli już wyforytował sobie sąsiadującego z nim zagrodnika, biedotę wielką, dziesięciorgiem coś dzieciaków obarczonego, ale bardzo przypadającego na urząd błędnego luzaka. Tak postanowiwszy, zawraca do wsi swojej, a Rosynant, jakby odgadł myśl pana, takiej nabrał żwawości i energii, że kopytami prawie ziemi nie dotykał, a gnał co siły. Nie ubiegł kilku stai może Don Kichot, gdy nagle ucho jego uderzył głos jakiś żałosny, jakby jęki boleści, z lasu na prawo dochodzące. Poznaje, że to nie ułuda i natychmiast podnosi oczy do nieba, gorące śląc dzięki za łaskawe podanie mu tak rychłej sposobności w spełnieniu obowiązków powołania swego i zebrania wawrzynów za szlachetne czyny. Te jęki, mówi sobie, to pewno jęki jakiejś istoty nieszczęśliwej, pomocy potrzebującej; trzeba ją nieść. I zwrócił Rosynanta w głąb lasu. Niedaleko zaraz ujrzał chłopca, z piętnaście lat może mającego, jak obnażony do pasa, wił się z męczarni, przywiązany silnie do pnia dębowego. On to krzyczał tak jękliwie, a miał czego nieborak. Chłopisko ogromne i barczyste

sypało mu z całej siły biczowanie straszne kawałem surowczaka w nagie plecy, a każdy raz dosalał mu jeszcze nauczką jakąś i wymyślaniem. „Ozór za zębami, a gały na wierzchu", prawił mu, bijąc. Na co chłopak odskamliwał: „Panie, panie, już nigdy nie będę, przez miłosierdzie boskie daruj, ulituj, się już nigdy słówka nie pisnę, a gromady czujniej pilnować będę". Don Kichot, widząc to barbarzyńskie znęcanie się, zawołał gniewnym głosem: „Nieprzystojny rycerzu, nie godzi się gwałtu zadawać człowiekowi, co się bronić nie może; siadaj na konia i bierz spisę swoją (bo mu się zdawało, że przy dębie stoi spisa, a to był kostur pastuszy), a ja ci pokażę, że tylko tchórze i nikczemnicy tak sobie poczynają". Chłop ledwie żyw ze strachu, co go ogarnął na sam widok tak strasznie zbroistego widma, żeleźcem lancy w sam brzuch mu godzącego, dygocąc cały, wybełkotał pokorniuchno: „Najprześwietniejszy panie rycerzu, ten wyrostek, którego karcę, to mój parobczak, to pastuch mój od owiec, ale tak ich nie pilnuje, że co dzień mi jedną gubi i nie dość, że niedbalec, ale jeszcze taki niegodziwy i hardy, że mi w oczy gada, jakobym to sobie do niego z wiatru tylko upatrzył, żeby mu zasług nie płacić, a jako żywo, klnę się duszą i ciałem, tak mi Panie Boże dopomóż, że to wierutne łgarstwo". „Co? śmiesz mu zadawać kłamstwo w mojej obecności, zuchwalcze! – huknie Don Kichot – ja cię tu nauczę; jak słońce na niebie, tak prawda, że mnie ręka świerzbi, żeby ci brzuch nadziać na tę spisę moją. Rozwiązać mi zaraz tego chłopca i zapłacić go natychmiast, tylko ani słowa, bo klnę się Bogiem, że cię w tej chwili uśmiercę". Wieśniak, spuściwszy głowę i słówka nie pisnąwszy, odwiązał pastucha, którego Don Kichot zapytał, ile mu się zasług należy. „Za dziewięć miesięcy – odpowiedział – po siedem realów na miesiąc". Don Kichot porachował w myśli, wyliczył, że się należy sześćdziesiąt trzy reale i kazał je wieśniakowi zapłacić natychmiast,

jeżeli mu życie miłe. Chłop, na pół umarły ze strachu, wtrącił, że nie chciałby dopuścić się krzywoprzysięstwa w takiej na siebie godzinie, ale że przysięga na wszystko co tylko najświętsze, iż tyle nie winien, bo od tej sumy trzeba odciągnąć trzy pary butów i jednego reala za dwa puszczenia krwi, kiedy był chory. „Jeżeli on podarł buty, któreś mu sprawił, toś ty mu narozdzierał skóry z grzbietu, a jeżeli cyrulik w chorobie krew mu puszczał, toś ty mu za to zdrowemu krwi także upuścił, tak więc kwita jedno za drugie". „Ale to najgorsza bieda – rzecze już chłop przyciśnięty – że ja tu nie mam z sobą pieniędzy, niechże Andrzej pójdzie ze mną do domu, to mu święcie wszyściutko co do grosza wypłacę". „Ja miałbym z nim pójść do domu – zawoła pastuszek – a niechże mnie ręka boska broni, oho! żeby mnie złapał samego, to by mnie pewno bez skóry puścił, jak św. Bartłomieja". „Nie, nie, nie bój się – na to mu Don Kichot – ja mu nie każę, a on rozkazy moje szanować musi, i byle mi dał rycerskie słowo, puszczę go i spokojny będę o wypłatę". „Panie rycerzu – rzecze pastuch – co też to pan mówi, a toć przecie mój gospodarz nie jest żaden rycerz, ani mu się kiedy o takiej rzeczy śniło, toć on to jest Jan Haldudos, bogacz ten, co to mieszka pod Quintanar". „To nic nie szkodzi – odeprze Don Kichot – i między Haldudosami mogą być rycerze, a zresztą uczynki szlachetne dają każdemu szlachectwo, każdy jest dzieckiem dzieł własnych". „To prawda – mówi Andrzej – ale jakichże to on dzieł jest dzieckiem, kiedy mi zapłacić nie chce, com ja krwawo zarobił?" „Ależ ja ci nie zapieram, Andrzejku, mój miły – odpowie wieśniak – i powtarzam ci, jeno pójdź ze mną jakeś poczciw, a przysięgam na wszystkie rycerstwa, jakie tylko są na świecie, że ci wszyściuchno zapłacę co do grosiczka, zapłacę nowiusieńkimi jeszcze realami". „Nowymi, czy nie nowymi, to nic, już tam wszystko jedno – mówi Don Kichot – byleś tylko wszystko zapłacił, co się temu chłopcu należy, a ja

poprzestanę na tym. Ale pamiętaj sobie, że dałeś mi słowo i poprzysiągłeś, bo jakbyś mi skrewił, to ja ci znów przysięgam, że choćbyś się pod ziemię schował, to ja cię, bratku, wynajdę, a słono ci będzie. Żebyś zaś wiedział, z kim masz do czynienia, znaj, że jestem słynny Don Kichot z Manchy, mściciel krzywd i bicz na złych. Bywajże mi zdrów, a pamiętaj, żeś dał słowo, bo ja mojego słowa nie zapomnę". Tak przemówiwszy, wpakował ostrogi w brzuch Rosynantowi i odjechał od nich.

Wieśniak patrzył za nim długo, a jak go w gąszczu już z oczu stracił, wrócił do pastucha i rzekł doń: „Chodź jeno, Andrzejku, mój kanaczku, muszęż ci zapłacić, jak ci się należy, bo mi przecie ten mściciel krzywd i bicz na złych tak kazał". „Przysięgam wam – na to mu Andrzej – że jeżeli nie dopełnicie tego, co wam kazał ten zacny rycerz (za co niechaj mu Bóg długim i szczęśliwym życiem płaci), to ja choć na koniec świata pójdę po niego, przyprowadzę go tu, żeby na was karę uczynił, jak obiecał". „Dobrze, dobrze – mówi wieśniak – i żeby ci też właśnie pokazać, jak ja cię bardzo kocham, to jeszcze ci długu przysporzę, żebyś miał więcej zapłaty do odebrania". I mówiąc to, schwycił biednego Andrzejka za ramię, przywiązał go znów do tego samego pnia dębowego, i tak go bił, tak bił, że nie przestał, aż kiedy go zupełnie prawie bez ducha zostawił.

– A wołaj sobie teraz swojego mściciela – wrzeszczał jeszcze – obaczymy, czy ci odemści, co ci się namieściło, chociaż i tego mało, bo dalipan sam nie wiem, czemu nie ma być twoja prawda i czemu ja cię żywego ze skóry nie obedrę. – Jakby na urągowisko większe, odwiązał w końcu zbitego na leśne jabłko chłopczynę i wywoływał jeszcze: „No, ruszajże po tego sędziego swojego, niechajże tu przyjdzie i wykona ten swój wyrok, to jeszcze będziesz miał w zysku, coś dostał". Nieszczęśliwy chłopczyna poszedł sobie z bólem w duszy i na ciele, zaklinając się, że znajdzie pana Don

Kichota, a ten mu każe w czwórnasób należność zapłacić. Poszedł, grożąc i płacząc, bo kaducznie go nielitościwy pan obłożył, gospodarz zdrów sobie i bezpieczny, śmiał się na całe gardło.

Don Kichot zaś wielce zadowolony z siebie, że tak pięknie i walecznie się spisał, winszował sobie, jadąc dalej, takiego początku rycerstwa. „Możesz się śmiało za najszczęśliwszą z żyjących poczytywać – mówił do siebie – o! najpiękniejsza z najpiękniejszych Dulcyneo z Toboso, że masz za niewolnika tak wyśmienitego rycerza, jak Don Kichot z Manchy, który, jak to światu całemu wiadomo, wczoraj dopiero pasowanym został na rycerza, a dziś już naprawił krzywdę najokropniejszą, na jaką zdobyć się może srogość i okrucieństwo najstraszniejsze na świecie, i wydarł z rąk niegodziwego oprawcy katowskie narzędzie, którym tak niemiłosiernie mordował tego chłopczynę". Kończąc te wyrazy, dojechał do miejsca rozstaju, gdzie drogi na czworo się rozchodziły, tu zaraz przyszło mu do głowy, że błędni rycerze stawali zawsze na rozstajnych drogach, i rozmyślali, którą się puścić mają. Chcąc przeto w najmniejszej okoliczności iść za ich przykładem, zatrzymał się chwilę i zamyśliwszy się, puścił wolno cugle Rosynantowi, zostawiając mu wybór, a Rosynant, idąc za naturalnym popędem, wybrał drogę prosto do stajni prowadzącą.

Po dwugodzinnej blisko podróży Don Kichot ujrzał na drodze wielką gromadę ludzi; byli to, jak się potem pokazało, kupcy z Toledo, jadący za kupnem jedwabiu do Murcji. Było ich sześciu na pięknych koniach, z parasolami w ręku, a z nimi czterech jezdnych służby i trzech pieszych przy mułach. Ledwie ich zoczył Don Kichot, zaraz już nową przygodę sobie przygotował w głowie, bo książkowe historie ciągle mu mózg zaprzątały. Gotując się tedy na wszelki wypadek, poprawił się dumnie w siodle, nastroił tęgą minę, zasłonił się tarczą, wyprostował dzidę i stanąwszy na środku

drogi, czekał na zbliżenie się jeźdźców, których brał za rycerzów błędnych. Gdy się tak zbliżyli, że mogli go dobrze widzieć i słyszeć, zawołał do nich ogromnym i zuchwałym głosem: „Niechaj nikt mi tu przejeżdżać nie waży się, kto wprzód głośno nie oświadczy, że nie ma na świecie całym pani pięknością świetniejszej od monarchini Manchy, nieporównanej Dulcynei z Toboso". Słysząc to, kupcy stanęli, żeby się przyjrzeć twarzy cudackiej tego człowieka niespełna rozumu i z twarzy i ze słów jego wzięli go nie za co innego, jak tylko za to, czym był istotnie. Ale chcąc też obaczyć, do czego ma prowadzić żądane oświadczenie i zabawić się trochę, jeden z nich, żartowniś sobie i wcale dowcipny człowiek, odpowiedział mu: „Mości rycerzu, my wcale nie znamy tej pani, o której nam mówisz. Pokażże nam ją, jeśli taka piękność, jak powiadasz, z całego serca przyznamy to, czego od nas żądasz".

– Gdybyście ją obaczyli – na to Don Kichot – to cóż by za zasługa wasza była, że przyznalibyście prawdę, która sama za siebie mówi? Tu właśnie o to idzie, żebyście temu uwierzyli, nie widząc jej, żebyście na to przysiąc byli gotowi i twierdzenia swego z bronią w ręku przeciw każdemu a każdemu bronili. Przyznajcie mi więc to natychmiast, ludzie dumni i pyszni, albo biada wam! Chodźcie, śmiałki, jeden po drugim, jak tego prawo rycerskie wymaga, albo jeśli chcecie, chodźcie wszyscy razem, jak to gawiedź wam podobna czynić zwykła. Stoję i czekam was, ufny w prawdę, którą mam za sobą.

– Dostojny rycerzu – odpowie kupiec – w imieniu wszystkich przytomnych tu, jak jesteśmy książąt, dopraszam się łaski twojej, nie zmuszaj nas do przyznania czegoś, o czym żadnego wyobrażenia nie mamy, bo aniśmy o tym słyszeli, ani widzieli; więc naprzód sumienie nasze obciążylibyśmy, a po wtóre wszystkim monarchiniom i księżniczkom Alkarii i Estramadury do najwyższego

stopnia ubliżyć byśmy mogli. Pokaż nam chociaż najdrobniejszy wizerunek swojej damy, choć tylki nawet, co ziarnko grochu, i tego nam dosyć; po nitce łatwo dojść kłębka. Wtedy ze spokojnym sumieniem będziemy mogli przyznać, czego żądasz, a ty zadowolonym zostaniesz. Zdaje mi się nawet, iż tak tu wszyscy ku tobie skłonni się czujemy, że gdyby nawet na portrecie jednym okiem zezowała, a z drugiego czerwień z siarką jej płynęły, to, żeby ci być przyjemnymi, jeszcze byśmy przyznali wszystko, co byś tylko żądał na jej pochwałę.

– Co? czerwień z siarką z oka jej ma płynąć – wrzaśnie rozwścieczony Don Kichot – a podłe ciury! Balsam i bursztyn! balsam i bursztyn z oczu jej płyną! Zezu ni garba nie zna, a prosta jest i smagła, jak wrzeciono Gwadarrameńskie; rozumiecie, pogany! Ja was tu zaraz nauczę, co to jest śmieć zuchwale lżyć piękność niezrównaną pani serca mojego!

I nie bawiąc, jak wyskoczy wściekle na dowcipnisia z lancą w dół spuszczoną; byłoby mu ciepło, żeby nie szczęśliwa jego gwiazda, co sprawiła, że Rosynant w najtęższym rozpędzie utknął i na samym środku drogi jak długi się wywalił, a runął tak gwałtownie, że rycerz nasz razem z nim kawał aż na pole się potoczył. Gramolił się jak mógł, żeby się zerwać co prędzej, ale gdzież tam, ani podobna było, tak mu ciągle przeszkadzały to ostrogi, to dzida, to tarcza, szyszak i cały starodawny naddziadów rynsztunek przeklęty. Nie mogąc dać rady z sobą, językiem jednak docierał jak mógł i wrzeszczał co siły: „Nie uciekajcie, podli tchórze! czekajcie podły rodzie! stójcie, jeśli macie odwagę! Ja nie winien temu, że tu na ziemi leżę, to koń temu winien”. Jeden ze służby przy mułach, słysząc takie zniewagi, na panów swoich miotane, nie mógł już dłużej wytrzymać, bo nie był z tych, co to dużo lubią słuchać; poskoczy więc do leżącego na ziemi kawalera, schwycił mu dzidę,

połamał na kawałki, a wybrawszy najpotężniejszy, jak nim weźmie młócić kawalera z sił całych, gdzie padło, tam padło, jak Bóg dał; i zbroja i rynsztunek nic nie pomogły, zbił go na miazgę, jak ziarno pod młyńskim kamieniem. Panowie krzyczeli, żeby mu już dał pokój i nie bił tak, ale gdzie tam, ani go wstrzymać, tak się młokos zapalił do tej zabawki, że jej nie przestał aż całkiem sercu swemu ulżył. Połamawszy w drobniuchne drzazgi jeden kawał dzidy, walił drugim, aż póki wszystkich zupełnie nie połamał, a biedny nasz rycerz ani na chwilę gęby nie zamknął pod tym rzęsistym gradem cepowych ciosów i ciągle wyzywał niebo i ziemię i klął rozbójników, co go tak nikczemnie napadli. Nareszcie zmęczył się już sam pachołek; kupcy pojechali w dalszą drogę, mając o czym na długi czas gadać sobie dla zabawki.

Don Kichot, widząc się sam, znów wstać próbował, ale trudna rada, niełatwo mu to było, kiedy zdrów był zupełnie na ciele, a cóż dopiero teraz, kiedy go jakby z koła zdjął. Mimo to wszystko, cieszyła go i ta przygoda niefortunna, bo takie przygody błędnym tylko rycerzom przytrafiać się mogą, a cała wina spadała nie na niego, lecz na konia. Pocieszając się, a zmłóconemu cielsku folgując, leżał tak ciągle na pobojowisku.

Rozdział V

Dalszy ciąg tej samej niefortunnej przygody

Nie mogąc się ani ruszyć od bólu, a szukając ulgi, uciekł się biedny Don Kichot do zwykłego sobie środka, to jest do wygrzebania w pamięci jakiego wypadku, podobnego swemu, z książek, które czytał niegdyś. Bujny polot odurzenia przywiódł mu zaraz na myśl nieszczęśliwy przypadek Balduina i margrabi Mantuańskiego, kiedy Karol zostawił pierwszego z nich

poranionego pod górą; historia znana wszystkim od najmniejszego do najstarszego, a tyle w niej prawdy, co w cudach Mahometa. Bądź co bądź, kawalerowi naszemu przygoda ta wydała się zupełnie odpowiadającą własnemu położeniu. Zaczął się przeto konwulsyjnie po ziemi niby z bólu tarzać i stłumionym głosem skargi takie rozwodzić, jakie niegdyś ów ranny rycerz miał wyśpiewywać:

O! gdzieżeś gwiazdo moich oczu, losów moich pani!
Czyż nie widzisz, co cierpię? jak ginę w otchłani?
Nie, ty nie wiesz, co cierpię – bo serce z kamienia
Miałabyś i pierś wyzutą z sumienia itd.

Kiedy tak żałosnym tonem cały ów romans wyśpiewuje i kiedy doszedł właśnie do miejsca:

O wielowładny Mantuy margrabio,
Potężny panie i wuju mój,

– zjawia się jakby umyślnie chłopek z pobliskiej wioski, wiozący zboże do młyna. Obaczywszy człowieka tarzającego się w bólach po ziemi i tak żałośnie lamentującego, zbliża się i pyta, co on za jeden i co mu jest, że tak straszliwie wyrzeka? Don Kichot bierze go zaraz oczywiście za margrabiego Mantuańskiego, swojego wuja, na pomoc mu przybywającego; tnie więc dalej pieśń swoją, nieszczęścia własne i miłostki narzeczonej z synem cesarza opiewającą.

Chłop, słysząc te brednie, jak głupi stoi chwilę, ale dla samej ciekawości schyla się nareszcie i podnosi mu przyłbicę rozbitą zupełnie, a zobaczywszy twarz najokropniej kurzem i ziemią

omorusaną, obciera mu ją rękawem. Tak dopiero odskrobawszy, poznaje go i woła:

– A mój Boże! toć to wy, panie Quichada (z czego wnieść można, że musiał się tak nazywać nasz awanturnik, kiedy jeszcze miał wszystkie klepki w głowie), a któż to was tak sponiewierał?

Ale chłop swoje, a ten swoje, ani w ząb nie chce od romansu swego odstąpić i ciągle mu go recytuje. Poczciwy chłopina widząc, że tu z nim nie ma rady i do ładu nie dojdzie, miłosiernie ściąga z niego pancerz i naramienniki, chcąc się przekonać, czy nie ma jakich ran. Obmacał go, opatrzył naokoło, ale ani śladu krwi, ni rany żadnej nie znalazł. Podniósł go potem z wielką biedą z ziemi i zadźwigał na osła swego, uważając, że mu dogodniej na nim będzie, jak na grzbiecie Rosynanta. Rynsztunek cały jak najpilniej zebrał, ani ułomka spisy najmniejszego nawet nie zostawiając, wszystko w kupę związał i na Rosynanta wpakował, potem wziął go za uzdeczkę, osła za cugle i z całym tym taborem do wsi maszerował, rozmyślając i dziwiąc się, a w głowę zachodząc nad szaleństwem Don Kichota.

Don Kichotowi także niemądrze było na sercu, bo zbity na leśne jabłko, ledwie się biedaczysko utrzymać mógł na ośle, tak go kości dolegały, a od czasu do czasu głębokie do nieba słał westchnienia, tak przejmujące, że poczciwy chłopina znów go się pytał miłosiernie, co mu jest takiego? Ale rycerzowi naszemu szatan wyraźnie chwycił się mózgu i budził mu w pamięci wszystkie, jakie tylko kiedy bądź czytał historie, coś podobnego z jego teraźniejszą przygodą mające. Dał pokój już Balduinowi, ale za to uczepił się historii Maura Abindarraeza, jak go burmistrz Antequerry, Rodryg de Narvaez, wziąwszy do niewoli, do miasta swego odwoził. A kiedy go się chłop pytał, jak się teraz czuje i gdzie go boli, odpowiadał mu słowo w słowo wyrazami pojmanego

Abindarraeza, w romansie Diana, kiedy ten odpowiada na zapytania Rodryga de Narvaez. Długie te i nudne brednie tak zamąciły głowę chłopu, że klął na czym ziemia stoi, zmuszonym będąc słuchać tego wszystkiego. Nareszcie zaświeciło mu jakoś w głowie i pomyślał sobie, czy aby pan sąsiad nie zwariował na piękne. Pośpieszał tedy, co mógł, do domu, żeby się pozbyć z głowy tych piekielnych bredni, które mu w uszy kładzie ciągle Don Kichot. Ale nie zdążył tak prędko do wsi i Don Kichot miał czas długim perorom swoim takie jeszcze dać zakończenie.

– Wiedz, szlachetny Rodrygu de Narvaez, że wspomniana przeze mnie wyżej piękna Ksarifa teraz na cudną Dulcyneę z Toboso zamienioną została i że dla niej to ja największe cuda rycerskiej dzielności jakie świat widział, widzi i widzieć będzie, spełniam, spełniałem i spełniać będę.

– A boś, miły paneńku – mówi mu na to zafrasowany sąsiad – przypatrztaż się mi, grzesznikowi, jak należy. Przecież widzita, że ja tam nie jestem żaden Rodrigo de Narvaez, ani margrabia Mantuański, ale jestem ja, ja sam, jak Bóg przykazał Peter Alonzo, wasz sąsiad, a wy przecież nie kto inny, ani Balduin tam jakiś, ani poganin Abindarraez, jeno nasz poczciwy szlachcic, jegomość Quichada.

– Wiem ja, kim jestem – zawołał Don Kichot – ale wiem także, kim być mogę, to jest nie tylko takim, jak dotąd wspomniałem, ale większym i dostojniejszym jeszcze od dwunastu parów Francji i dziewięciu bohaterów świata, bo to wszystko, co oni razem lub każdy z osobna zrobili, ani umywało się do wielkich czynów moich.

Tak we dwóch rozmawiając, dojechali pod wieczór do wsi; przezorny gospodarz zatrzymał się pod wsią, żeby się dobrze ściemniało, nie chcąc znanego wszystkim mieszkańcom szlachcica na pośmiewisko w takim stanie i na takim wierzchowcu wystawiać.

Gdy noc zapadła, wjechał do wsi i odwiózł go do domu, gdzie wszystko w jak najokropniejszym było zamieszaniu od chwili zniknięcia pana. Proboszcz i cyrulik z tej wsi, najzażylsi jego przyjaciele, byli tam właśnie, wielce zafrasowani, a służąca pytała się księdza: „No i cóż, dobrodzieju Petro Perez (tak się nazywał proboszcz), jakże wy myślicie, co się stało z moim panem? Sześć dni już ani go oko, ani jego, ani konia, i musiał zabrać z sobą stare zbroisko i tarczę i spisę, bo się to wszystko gdzieś podziało. A! nieszczęśliwa głowa moja! ja wam powiadam, jako Bóg na niebie, jak zbawienia przy śmierci pragnę, tak to nic innego, tylko te z piekła rodem książczyska wariackie, do których go raz wraz szatan kusił, musiały mu w głowie popsuć. A! żebyście wy nigdy światła niebieskiego nie oglądały, bodajeście z piekła nigdy były nie wyszły psie książczyska, coście najpiękniejszy w całej Manchy rozum tak mizernie skręciły! O! pamiętam, pamiętam dobrze, jak on nieraz sam do siebie gadał, że musi w świat jechać, cudów rycerskich dokazywać i Bóg go tam już wie nie co! O! bieda, bieda!”

Siostrzenica także biadała tak samo i przeklinała i rozumowała. „Czy wiecie, panie Mikołaju – mówiła do cyrulika – że wujaszek często po dwa dni i dwie noce kamieniem siedział nad tymi przeklętymi księgami, a czytał ciągle i czytał. A potem zrywał się jak opętany, rzucał książkę o ziemię, chwytał miecz w rękę i rąbał nim zapamiętale po wszystkich ścianach i kątach. A jak się zmęczył, że już ani rusz ręką władnąć nie mógł, ustawał i opowiadał, że zabił czterech olbrzymów takich wielkich, jak nasza dzwonnica; obcierał się z potu, co się lał dziurgiem z niego, i pokazywał go mówiąc, że to krew z ran, które mu zadali. Potem wypijał ogromny kufel wody świeżej, co zaraz ozdrawiało i uspokajało, ale powiadał, że to napój cudowny, który mu podarował jakiś Esquife, wielki czarnoksiężnik i przyjaciel jego od serca. Ja to winnam temu

wszystkiemu, żem wam zaraz nie powiedziała o tych bzikach wujaszka, ale bałam się, żeby ludzie nie ogłosili go za wariata. A wy może byście byli jeszcze znaleźli jaki środek uleczenia go. Bylibyście przynajmniej te wszystkie potępione książki w ogień wrzucili, jak heretyków wrzucają".

– O tak, tak – wtrącił żywo proboszcz – w ogień, w ogień z tymi kacerstwami; przysięgam, że jutro, nim słońce zajdzie, dam ja na nich przykład ludziom, żeby znów kogo nie zgubiły, jak mego najukochańszego przyjaciela.

Kiedy taka rozmowa się toczy, wieśniak z Don Kichotem podjechali właśnie pod dom, a że mówiono bardzo głośno, dosłyszeli wszystkiego, i chłop dopiero na dobre się domyślił, co się z Don Kichota głową dzieje. Don Kichot, podjechawszy do drzwi, zaczął krzyczeć z całych sił: „Panowie! otwierajcie! hrabia Balduin, margrabia Mantuy, Rodryg de Narvaez burmistrz Antequerry z jeńcem swoim Maurem Abindarraezem przybywają tu". Wszyscy wypadli do drzwi na to wołanie, a kiedy jedni przyjaciela, siostrzenica wuja, gospodyni pana swego w nim poznali, rzucili się do niego, chcąc go z radości całować, a on siedział nieruchomy na ośle, wcale ochoty do zsiadania z niego nie okazując. Ale gdy ujrzał ich tak biegnących z rozwartymi ramionami ku sobie, wyciągnął do nich poważnie rękę i zimno przemówił: „Dajcie mi pokój, wracam mocno poraniony, ale to koń temu winien. Zanieście mnie do łóżka i zawołajcie mi, jeśli można, znachorkę Arganię, żeby mi rany opatrzyła".

– Otóż masz! – wrzaśnie gospodyni. – A co? nie mówiłam ja, że to na to przyjdzie, o! serce mnie ostrzegało! Chodź, chodź, najdroższy panie, i daj tam do licha pokój z tą znachorą; my ciebie sami wyleczymy i bez tej wiedźmy. A! żebyście wy przepadły, a żeby

was milion potępień trzęsło, wy, szatańskie książki, coście mi pana tak wykierowały!

Poniesiono go na łóżko, a kiedy obszukiwać zaczęli gdzie by był ranny i żadnej rany znaleźć nie mogli, on im powiedział:

– Ja tylko rozbity jestem tak strasznie, bo koń mnie przywalił, gdym się potykał z dziesięciu najogromniejszymi pod słońcem olbrzymami.

– Oho! masz już olbrzymów – mruknął proboszcz. – No, no, nie będzie już ani jednego do jutra wieczór, jakem ksiądz!

Wiele pytań zadawali jeszcze Don Kichotowi, ale na wszystkie odpowiadał tylko, żeby mu jeść dali i wyspać się pozwolili, bo tego teraz najbardziej potrzebuje. Dali mu więc spokój, a ksiądz tymczasem wypytał się chłopa, gdzie i jak go znalazł. Chłop opowiadał wszystko co do joty, ani szczegółku nie opuszczając i jak mu prawił długo najdziwaczniejsze brednie, kiedy go znalazł na ziemi tarzającego się i kiedy go już wiózł do domu.

Ksiądz jeszcze bardziej utwierdził się w ważnym postanowieniu swoim i w celu dopełnienia go zaprosił na jutro cyrulika do mieszkania Don Kichota.

Rozdział VI

O surowym sądzie, jaki ksiądz z cyrulikiem na bibliotekę zacnego szlachcica Don Kichota złożyli

Bohater nasz spoczywał głębokim snem zdjęty, kiedy ksiądz i cyrulik weszli do niego i zażądali od młodej siostrzenicy, żeby im dała klucz od pokoju, gdzie się znajdowały przeklęte książki. Z całego serca im go dała. Weszli tam wszyscy, nawet i gospodyni, i znaleźli ze sto z górą ogromnych foliantów i mnóstwo mniejszych tomów, a wszystkie ślicznie oprawne i doskonale zachowane.

Gospodyni, jak tylko je ujrzała, wypadła natychmiast gwałtownie z izby i powróciła zaraz z miską wody święconej w ręku.

– Macie, dobrodzieju, macie – bełkotała zdyszana – pokropcie całą izbę tą wodą, żeby który z tych czartowskich czarnoksiężników, co tam siedzą zaklęci w tych książkach, nie oczarował nas za to, że ich ze świata zgładzić chcemy.

Proboszcz się rozśmiał z tej prostoduszności i kazał cyrulikowi podawać sobie książki jedną po drugiej, żeby się przekonać, o czym każda traktuje i czy nie znajdzie się takich, co nie zasługują na srogą karę kacerską.

– Nie, nie – zawołała siostrzenica – ani jednej nie darować, wszystkie spalić, bo one wszystkie zgubiły mi wuja. Wziąć po prostu i od razu wszystkie oknem wyrzucić na kupę i podpalić, albo też wynieść je na tylne podwórko i tam je zagładzić, żeby dymu w domu nie narobić.

Służąca była zupełnie tego samego zdania, a obydwie zażarcie nastawały na bezmiłosierną zagładę tych biednych niewiniątek; ale proboszcz nie odstąpił od swojego, że musi przynajmniej z tytułów je poznać.

Najpierwsza, co mu podał cyrulik, miała tytuł: *Amadis z Galilei*.

– O, to dopiero coś dziwnego – rzekł proboszcz – słyszałem przecież, że to jest pierwsze dzieło rycerskie, które w Hiszpanii drukowano i że ono służyło za wzór wszystkim innym. Zdaniem przeto moim, książka ta najpierw skazana być winna na spalenie, jako pierwszy herszt tak zgubnej sekty.

– A ja upraszam o łaskę dla niej – odezwał się cyrulik – bo słyszałem nieraz od mądrych ludzi, że to jest najpiękniejsze w tym rodzaju dzieło, jakie posiadamy, a jako najdoskonalsze i jedyne w sztuce swojej zasługuje na przebaczenie.

– Prawdę mówisz – odrzekł proboszcz – przebacza się jej więc tymczasowo. Pokaż, co tam masz dalej.

– *Dziwne przygody Esplaudiana* – odpowiedział majster Mikołaj – to rodzoniuteńkie dziecko *Amadisa z Galii*.

– Co wolno ojcu, to zasie dziecku – na to proboszcz – gosposiu, otwórz okno i smyrgnij no ją tam na podwórze; będzie na fundament do stosu.

Gospodyni ledwo ze skóry nie wyskoczyła z radości, spełniając to polecenie; i poczciwy Esplaudian poleciał na podwórze czekać cierpliwie srogiego losu, jaki go miał spotkać.

– Idźmy dalej – odezwał się proboszcz.

– To, to jest *Amadis z Grecji* – rzekł cyrulik – a mnie się zdaje, że te wszystkie Amadisy to z jednego pułku.

– Marsz z nimi wszystkimi na podwórze – zaintonował proboszcz – palić wszystko, palić – a tę królową Pintiquieniestrę i pasterza Danirela z jego czułościami i sprośną gadaniną, to bym nawet z rodzonym ojcem razem spalił, gdyby mi się zjawił pod postacią błędnego rycerza.

– O! i ja także – zawtórował cyrulik.

– O! i ja z całej duszy – odezwała się siostrzenica.

– Palić, palić, wszystko na kupę – mruczała gosposia.

I jednym zamachem wyrzuciła przez okno cały stos książek przed nią leżący.

– A co to tam za ogromne foliancisko? – zapytał ksiądz.

– To *Don Olivantes de Laura* – odpowiedział majster Mikołaj.

– A to tego samego autora, co *Ogród Flory* – mówił proboszcz – oba lepsi, dalej z nią za okno, to same kłamstwa i wariacje.

– A to tu, to *Florismart z Hiszpanii* – odzywa się znów cyrulik.

– Aha! i mospan Florismart jest tu? – na to ksiądz – i jego zaraz mi z drugimi za okno, choć takiego rodu i takie dziwne miał przygody

w życiu; biedota i ordynarność stylu nie zasługują na lepszy los.

– Tu idzie kawaler Platir – znów cyrulik.

– To stare szpargalisko – ksiądz wyrokuje – nic a nic w sobie dobrego nie ma, żeby mu darować; za okno z nim, gosposiu, zaraz mi za okno, a nie zapomnij także i o Kawalerze Krzyża, święte to nazwanie powinno by mu zapewnić ocalenie, ale to takie brzydactwo, takie bezeceństwo, że nie można mu tego darować.

Cyrulik wziął znów inną książkę i oznajmił: to jest *Zwierciadło rycerstwa*.

– Mam honor znać je – odparł proboszcz. – Znajdziemy tam wielmożnego Rinalda de Montalban z dwunastu przyjaciółmi, a wszyscy gorsi rozbójnicy od Katrusa i dwunastu parów Francji i wiernego ich historyka arcybiskupa Turpina. Jak mi się zdaje, to dosyć tych panów będzie skazać na wieczne wygnanie, bo historia ich zaczerpnięta z pomysłu Boyardego, od którego i piękny Argost wziął myśl także. Ale i Ariost, jak go złapię, że innym gada językiem, jak przystoi, to i jemu się dostanie, chociaż go szanuję kiedy pięknie pisze i zawsze respekt mam dla niego wysoki.

– A ja go mam po włosku – na to cyrulik – ale nie rozumiem po włosku.

– To i lepiej ci z tym, niewiele na tym stracisz, i pan tłumacz byłby dobrze zrobił, żeby sobie był dał pokój z przyswajaniem go nam, bo to jeszcze i stracił wiele zalet w tym przenicowaniu; wierszem pisanej książki nigdy nikt nie przetłumaczy, jak należy, to tam trudno, żeby mu łeb pękł, to zawsze charakteru głównego i najpierwszych piękności nie potrafi zachować. Jemu i tym wszystkim, co mówią o francuskich sprawach, myślę, że można darować i wsadzić je tylko w miejsce pewne, a później, jak będziemy mieli trochę więcej wolnego czasu, to zobaczymy, co z nimi zrobić. Ale wyjmuję od tej łaski niejakiego Bernarda de

Carpio, co się tu po kraju włóczy, i drugiego nazwiskiem Roucesvalles, O! ci, jak mi tylko w rękę wpadną, zaraz je oddaję w moc siły zbrojnej gospochy.

Cyrulik zgadzał się na wszystko, ślepą wiarą spuszczając się na plebana, którego uważał za człowieka nader mądrego i prawdę tak miłującego, iż za żadne skarby świata w niczym by od niej nie odstąpił. Otworzywszy znów dwie książki, znalazł w nich: *Palmeoina z Oliwy*, a w drugiej *Palmeoina z Anglii*.

– Pierwszego – rzecze ksiądz – spalić z kretesem, a popiół na cztery wiatry obrócić, ale *Palmeoina z Anglii* zachowajmy, bo to dzieło bardzo znamienite, trzeba kazać na nie zrobić pudełko bogate, jak Aleksander Wielki kazał zrobić na dzieła Homera. Z dwóch względów, mój braciszku, ważna to niezmiernie książka: raz, że jest sama z siebie wyborna, a po wtóre, że, jak powiadają, napisać ją miał pewien król portugalski. Wszystkie przygody w zamku Beauregard wydarzone ślicznie opisuje, a jaka tam sztuka w stylu, w czystości mowy, jaka prostota, przyzwoitość i prawda wszędzie. A więc tedy, mości Mikołaju, jeżeli nie masz nic przeciwko temu, dzieło niniejsze razem z *Amadisem z Galii* wyłączymy od egzekucji ogniowej. Reszta wszystko bez różnicy i dalszego badania hurtem na stos, niech ginie bestyjstwo i śladu pamięci po sobie nawet nie zostawi.

– A nic, nic, miły dobrodzieju, pozwólcie jeno – wtrąci cyrulik – bo oto mam w ręku sławnego *Belianisa*.

– A wiem, wiem – odezwie się ksiądz – temu by tylko trzeba dać porządną dozę rumbarbarum, żeby mu żółć ściągnąć, co we wszystkich tomach tak dogryza, trzeba by także odciąć *Zamek Sławy* z niego i wiele jeszcze innych plugastw, a wtedy można go będzie do czasu uwzględnić, i jeżeli się poprawi, to obaczymy, może

zasłuży sobie na ułaskawienie. A tymczasem, możesz go, braciszku, zachować u siebie, tylko strzeż, żeby go nikt nie czytał.

– Bądźcie spokojni, dobrodzieju, to już moja rzecz – rzekł cyrulik i nie zadając sobie już więcej trudu z przeglądaniem tytułów, kazał sumarycznie gospodyni zabrać wszystkie wielkie wolumina i na podwórze wyrzucić.

Gospodyni tego dwa razy nie trzeba było gadać; za nową koszulę z całej duszy spaliłaby wszyściuteńkie książki na całym świecie; zabrała się też z wielkim zapałem i zagarnąwszy od razu siedem czy osiem potężnych foliantów, machnęła je za okno. Ale nie mogła dobrze wszystkich w ręku utrzymać, jeden więc runął pod nogi cyrulikowi; ciekawość go jakoś wzięła, spojrzał na tytuł i obaczył, że to była historia sławnego *Tiranta Białego*.

– Co?! – zawoła pleban – masz tam *Tiranta Białego*? A dajże mi go tu, majstrze Mikołaju, a wiesz ty, mój miły, że to skarb nieoszacowany, to antydot na wszelkie strapienia. Tam to dzielny rycerz Kirie Elejson z Montalban i brat jego Tomasz Montalban z kawalerem Fonsekiem występują jako ludzie szlachetni; nieustraszony Detsyant potyka się z olbrzymim brytanem, panna Rozkosz Życia figielki płata, wdowa Spokojnicka zawodzi miłosne intrygi, a cesarzowa kocha się zapamiętale w swoim masztalerzu. A to wyborne, powiadam ci, braciszku, to najpiękniejsza książka na świecie i ze stylu i z konceptu; tu rycerze jedzą i śpią pokotem, umierają w łóżkach uczciwie i testamenty robią przed śmiercią i tysiąc innych rzeczy robią porządnie, jak należy, o czym w innych książkach ani słowa nie znajdziesz. Ale mimo to, nie zaszkodziłoby wcale wsadzić pana autora jednak do ciupy na całe życie za rozmaite głupstwa, które z umysłu tam powsadzał. Weź no ją do siebie i przeczytaj, mój braciszku, a obaczysz, czy nie prawdę mówię.

– I owszem, przeczytam caluteńką – rzekł cyrulik – ale cóż teraz zrobimy z tym tu całym drobiazgiem, a jeszcze zostaje?

– E! przecież to nie mogą już być dzieła rycerskie – mądrze powie ksiądz – to pewno jacyś poetkowie. Otworzył teraz pierwszą lepszą pod ręką małego formatu książeczkę i znalazł w niej *Dianę* de Montemayora. – E! to tam biedactwo może ujść wszystko ognia – mówił myśląc, że wszystkie te małe książki były tego rodzaju. – To maleństwo nie może tyle złego narobić, co te giganty rycerskie. To przynajmniej trzyma się jako tako zdrowego rozumu i nikomu go nie wykoszlawi.

– O! mój dobrodzieju – wtrąci się siostrzenica – lepiej każcie i to wszystko spalić, bo to znów bieda z tego będzie, jeśli się wuj z tej swojej rycerskiej wariacji wyliże, a zajrzy, broń Boże, do nich, to gotowa go wziąć ochota zrobić się pasterzem i biegać po łąkach i lasach, przygrywając na fujarze. A to by może gorzej jeszcze było, niż żeby się rozchorował na poetę, bo to powiadają, że ze wszystkich wariacji ta najbardziej uparta i najcięższa do wyleczenia.

– Masz asińdźka słuszność, ani słowa – odpowie ksiądz – lepiej i ten szkopuł wujaszkowi spod nóg usunąć. Zacznijmy więc od *Diany* Montemayora. Nie sądzę jednak, żeby ją trzeba na spalenie wyrokować, dość będzie odciąć z niej tylko wszystko, co prawi o mądrej Felicji i o tej zaczarowanej wodzie, wyłuskać z niej wszystkie wiersze, a przy prozie zostanie jej zaszczyt niezawodnego pierwszeństwa między utworami wszelkimi w tym rodzaju.

– Teraz idzie – odezwał się cyrulik – *Diana*, zwana drugą, przez Salmentyna napisana i jeszcze jedna *Diana* przez Gil Pola.

– Salmentynową pakuj na stos – wyrokuje pleban – to paskudztwo, jak i inne, ale *Dianę* Gil Pola schowajmy i szanujmy,

jakby ją sam Apollo napisał. Ale ruszaj dalej i spiesz się, trzeba kończyć, bo już późno.

– A to *Dziesięć Ksiąg Fortuny Miłości* – rzecze cyrulik – skreślone przez Antoniego Ofrazę, poetę sardyńskiego.

– Jak mi Bóg miły – zawoła ksiądz – odkąd o Apolinie i muzach mówi się na świecie i odkąd poeci istnieją, nie było nigdy przyjemniejszej i zabawniejszej książki, a kto jej nie czytał, może być pewien, że nic dobrego nie czytał. Dajno mi ją, braciszku, niech zginę, jeślibym ją oddał za sztukę najpiękniejszej sajety florenckiej na kapotę.

– A tu znów idą – rzecze cyrulik – *Pasterz Iberyjski, Nimfy z Enares* i *Medykament Zazdrości*.

– Oddaj to wszystko gospodyni do licha – rzecze ksiądz – bo jak zaczniemy rozbierać, to nigdy nie skończymy.

– A z *Pasterzem z Fildy* co zrobić? – zapyta cyrulik.

– E, co on za pasterz – odpowie pleban – to zręczny dworus, frant nad franty; schować go, bo to skarb wielki. A to wielkie dzieło, co to tam? A to skarbiec różnych poezji. Wszędzie tego jak śmieci, żeby ich mniej było, toby je więcej ceniono. Warto by z tej księgi wyrzucić masę błahych utworów, a te, co coś warte, zyskałyby na tym. No, zawsze zostawmy je, autor mój przyjaciel i pisał wiele innych rzeczy wcale dobrych, można więc i tej książce przebaczyć.

– Co to za zbiór piosnek Lopeza Maldonata? – zapyta cyrulik, otwierając jakąś książkę.

– A i to także mój przyjaciel – rzecze pleban – a wiersze jego cudownie się wydają, kiedy je recytuje, bo ma głos prześliczny. Troszkę za rozwlekły w sielankach, no, ale co dobrego, to choć długie, nie wadzi. Trzeba go na bok odłożyć do rezerwy. A tam obok, co to leży?

– To *Galatea* Miguela Cervantesa – odpowiedział cyrulik.

– To jeden z moich najdawniejszych przyjaciół; biedaczysko nieszczęśliwe, nie świeci mu poezja. Dużo ma pomysłu, zawsze dużo obiecuje, ale nic nie kończy dobrze. Trzeba czekać na drugą część, którą zapowiedział, może mu się uda i pierwszą uczynić godną łaski. Tymczasem, odłóż braciszku na bok, a pokaż no co to tam te trzy tomy razem związane?

– To jest: *Arankana* don Alonza z Hercylii, *Austriada* Jana Rufo, przysięgłego z Kordoby i *Montferrat* Cristobala Vivesa, poety z Walencji.

– To są najlepsze wiersze heroiczne ze wszystkich dotąd znanych w Hiszpanii – rzekł pleban – i mogą się śmiało równać z najznamienitszymi utworami włoskimi. Schowaj starannie wszystkie te trzy tomy, jako szacowne pomniki znamienitości naszych poetów.

Zmęczony nareszcie pleban przeglądaniem tylu książek, kończąc rzecz krótko, kazał wszystką resztę na stos wpakować. Ale kiedy mu cyrulik pokazał jeszcze *Łzy Angeliki*, z prawdziwym uczuciem odezwał się:

– Ach! byłbym się serdecznie zmartwił, żeby taka książka z mojego rozkazu miała być spalona, a przecież to jej autor jest jednym z najznakomitszych poetów nie tylko hiszpańskich, ale na całym świecie, a przy tym tak wybornie przetłumaczył kilka bajek Owidiusza.

Rozdział VII

Druga wyprawa Don Kichota

Kiedy tak rozprawiają, nagle dochodzi ich krzyk Don Kichota, na całe gardło wrzeszczącego: „Przybywajcie tu, przybywajcie, dzielni rycerze, pokażcie, co potrafi wasze ramię, bo inaczej dworacy

odniosą tryumf turnieju". Wszyscy porzucili książki i pobiegli na ten krzyk. Reszta biblioteki dostała się w samowolne ręce gospodyni i siostrzenicy, które bez żadnych formalności procedurycznych zaraz zarządziły jej egzekucję. Tak więc: *Kareola, Lew w Hiszpanii, Wielkie czyny cesarza*, dzieło Ludwika d'Avila, które znajdować się tam musiały, poniosły karę stosu, której może by uniknęły, gdyby proboszcz sprawy ich był rozpoznawał. Sędziowie ksiąg, wszedłszy do pokoju Don Kichota, zastali go zrywającego się z łóżka; wrzeszczał ciągle i ogarnięty dziwnymi widzeniami, walił z całej siły mieczem po wszystkich ścianach, to żgając, to siekąc, a oczy miał całkiem otwarte, jak człowiek na piękne rozbudzony. Wszyscy rzucili się na niego i gwałtem rozbroiwszy, w łóżko położyli. Po chwili wypoczynku, kiedy niby to przyszedł trochę do siebie, zwrócił się ku proboszczowi i rzekł mu: „O! tak, najwielebniejszy arcybiskupie Turpinie, wielka to sromota dla dwunastu parów, że tak nikczemnie dali odnieść chwałę turnieju dworakom, kiedy my, rycerze błędni, przez trzy dni z kolei tryumfy odnosiliśmy".

– Cierpliwości, cierpliwości, mój miły bracie – rzekł proboszcz – fortuna kołem idzie, kto dziś pod wozem, jutro może być na wozie. Ale dajmy pokój temu wszystkiemu, teraz myślmy tylko o zdrowiu twoim, musisz być straszliwie zmęczony, a może i ranny.

– Ranny bo nie jestem – odparł Don Kichot – ale co zbity, to zbity należycie; przeklęty ten bękart Roland okładał mnie nielitościwie pniem dębu wielkiego z zawiści, że staram się przesadzić go w męstwie. Ale chyba nie byłbym Rynaldem Montalban, żebym mu tego wszystkiego, mimo jego czarów, drogo nie zapłacił, jak tylko z łoża się zdźwignę. Na teraz – dodał – dajcie mi co na śniadanie, tego mnie najbardziej trzeba, a o zemście już sam pomyślę.

Przynieśli mu jeść i posiliwszy się, zasnął znów, a oni wyszli, dziwując się wielce tak niesłychanej wariacji. W nocy gospodyni spaliła wszystkie księgi, wyrzucone na podwórko, i te nawet, które w domu były. Znalazło się tam pewno wiele takich, które by na wieki w archiwach publicznych zachować się godziło, ale poszły na pastwę płomieni losem nieszczęśliwym i sędziów niedbalstwem, i sprawdziło się na nich przysłowie: ślusarz zawinił, a kowala powiesili. Proboszcz i cyrulik uradzili walnie, że najskuteczniejszym lekarstwem na chorobę ich przyjaciela będzie zamurować drzwi biblioteki na zawsze, żeby już do niej nie trafił, jak się podniesie. Sądzili, że zabijając przyczynę, zniszczą i skutek jej zgubny; choremu zaś mieli powiedzieć, że czarnoksiężnik jakiś porwał gdzieś bibliotekę razem z książkami. We dwa dni później Don Kichot wstał z łóżka i zaraz prosto chciał iść do książek swoich, ale nie mogąc znaleźć izby, gdzie były złożone, kręcił się na wszystkie strony i w głowę zachodził, co by się z nią stało. Ze sto razy wracał do miejsca, gdzie dawniej drzwi były, macał rękoma, śledził oczyma, ani słowa nie mówiąc i pojąć nie mogąc tego dziwnego cudu. Zmęczywszy się nareszcie szukaniem, zapytał gospodyni, gdzie jest izba z książkami.

– Co za izba, panie? – odpowiedziała służąca – próżno pan szukasz. Nie ma już ani izby, ani książek w całym domu, a toć szatan wszystko gdzieś porwał!

– To nie szatan – wtrąciła siostrzenica – ale czarnoksiężnik jakiś przybył tu na obłoku drugiej nocy zaraz po wuja odjeździe, zsiadł ze smoka i wszedł do biblioteki; nie wiem, co tam robił, krótko bawił i przez dach czmychnął, cały dom dymem napełniwszy. Kiedyśmy się zebrali na odwagę, żeby zobaczyć, co on tam zrobił, nie znaleźliśmy ani izby, ani książek, ani śladu nawet gdzie były. Pamiętam tylko, że uciekając krzyknął głośno, iż płaci Don

Kichotowi zemstą, która mu się od niego należy. Powiedział jeszcze, że się nazywa Mugnaton.

– Chyba Freston, nie Mugnaton – zawołał Don Kichot – bo to największy czarnoksiężnik i najzawziętszy mój nieprzyjaciel, pała do mnie nienawiścią, bo sztuka jego mu powiada, że kiedyś spotkam się w boju pojedynczym z młodym rycerzem, którego kocha i proteguje, i wie, że mimo całej jego mądrości, pokonam tego gagatka. Broi więc, gdzie może, ale niech wie, że próżne jego zabiegi, że nic odwrócić nie zdoła tego, co niebo już samo rozstrzygnęło.

– Któż by wątpił o tym? – rzecze siostrzenica. – Ależ, mój drogi wujaszku, po co tobie się mieszać w te szatańskie sprawy i te walki okrutne? nie lepiej by ci siedzieć spokojnie w domu, cieszyć się tym, co masz, bawić polowaniem, a nie truć się i dręczyć po świecie? Mój wujaszku, nigdzie nie znajdziesz bielszego chleba, jak z naszej pszenicy, a kto za wysoko sięga, nieraz ciężko padnie.

– O miła siostrzenico! serdeńko moje – odpowie Don Kichot – sama nie wiesz, co prawisz, ja nie padnę, włos mi z głowy nie spadnie, bo na proch zgniotę i zmiażdżę tego, kto by się ważył palec nań podnieść.

Biedne kobiety nie sprzeczały się już z nim więcej, bo widziały, że w okrutną złość wpada. Dwa tygodnie całe siedział w domu nasz rycerz, wypoczywając po trudach, i najmniejszego nie dawał po sobie znaku, aby o nowych znów szaleństwach miał myśleć. Z proboszczem i cyrulikiem ciągle upierał się, że błędni rycerze są rzeczą najpotrzebniejszą na świecie, i że on zakon ich wskrzesił. Proboszcz czasami go zbijał, czasami też udawał, że się do zdania jego przychyla, bo inaczej niepodobna by z nim dojść ładu. Don Kichot tymczasem namawiał sobie po kryjomu sąsiada chłopka, bardzo uczciwego człowieka, ale biednego i któremu także jakoś

klepki w głowie brakowało. Po długich gadaniach i wielkich obietnicach, doszedł nareszcie do tego, iż go skusił i namówił na giermka do siebie. Mówił mu między innymi, żeby się niczego nie bał, że jak pójdzie z nim na wyprawę, wielki los zrobić może, a przecież nic nie straci, zamiast nędznej strzechy i gnojowiska, z którego go wyciąga, da mu kiedyś przy boskiej pomocy, namiestnikostwo wyspy jakiej rozległej. Sancho Pansa (takie było imię chłopka) dał się ułudzić pięknym obietnicom, porzucił żonę i dzieci i przystał na giermka do swego sąsiada. Don Kichot, zapewniwszy już sobie niezbędnego luzaka, zaczął myśleć jakby tu zebrać pieniędzy. Jeden folwark sprzedał, drugi zastawił, a wszystko za psie pieniądze, i tym sposobem okrągłą sumkę miał w kieszeni. Od któregoś z przyjaciół pożyczył starą przyłbicę, i skleiwszy sobie hełm jak mógł najlepiej, zalecił giermkowi, aby na ten i na ten dzień i godzinę był gotów do pochodu; przede wszystkim zaś nakazał mu zaopatrzyć się w porządne sakwy. Sancho przyrzekł wszystko solennie, oświadczył nawet, że ma ochotę wziąć z sobą osła swego, wychwalając jego siłę dobrze zakonserwowaną, bo nigdy jeszcze wiele nie chodził. Zakłopotał się trochę Don Kichot na wspomnienie osła i nie wiedział, czy pozwolić giermkowi wziąć to zwierzę, czy nie, bo przechodząc w pamięci dzieje wszystkich rycerzy, które kiedykolwiek czytał, nie wpadł ani na jednego, co by miał giermka na takim wierzchowcu. Zgodził się mimo to na propozycję, myśląc sobie, że da luzakowi lepszego wierzchowca, jak tylko złupi jakiego rycerza niegrzecznego i nieuczciwego. Zaopatrzył się także w koszule i inne rzeczy, stosownie do rady karczmarza. Wszystko to działo się tajemnie. Sancho, nie pożegnawszy ani żony, ani dzieci, a Don Kichot ani pisnąwszy nic siostrzenicy i gospodyni, wyjechali nocą ze wsi i ruszyli tak spiesznie, iż nazajutrz o świcie byli już pewni, że żadna pogoń ich

nie doścignie. Sancho Pansa jechał na ośle, jak patriarcha, ze zwieszonymi sakwami i wielką flaszą u siodła, a myślał ciągle, rychło zostanie rządcą, jak mu pan obiecał. Don Kichot obrał tę samą drogę co pierwszym razem, to jest przez wieś Montiel, przez której pola przejeżdżał teraz wygodniej, niż wtedy, bo było bardzo rano i promienie słoneczne, padając z ukosa, nie dopiekały mu tak ostro. Jechali dotąd, słowa do siebie nie przemówiwszy, ale Sancho Pansa, którego język bardzo świerzbiał, otworzył pierwszy usta i rzekł do swego pana:

– Najdostojniejszy rycerzu błędny, pamiętajcież, proszę was, o tej wyspie, coście mnie ją obiecali, bo żeby tam była wielka, jak nie wiem co, to ja nią będę śliczniuchno rządził.

– Słuchaj no, przyjacielu Sancho – odpowie Don Kichot – trzeba ci wiedzieć, że zwyczajem jest od dawnych wieków u rycerzy błędnych wynagradzać giermków swoich rozdawnictwem wysp i państw, które podbiją. Ja chcę chwalebny ten zwyczaj nie tylko zachować, ale go nawet dalej posunąć. Dawniej rycerze wynagradzali swych giermków na stare lata, kiedy trudy z siły ich zerwały w służbie dniem i nocą; dawali im wtedy prowincję jaką z tytułem hrabiego albo margrabiego, i nic więcej. A ja, bardzo być może, byle nas Bóg obydwóch przy życiu zachował, za sześć dni najdalej zdobędę państwo tak rozległe, iż posiadać będzie wiele innych królestw pod swą władzą i wtedy ciebie na tronie jednego z nich osadzę. I nie myśl, żeby w tym było coś tak bardzo dziwnego; dla rycerzy błędnych to rzecz nie tak rzadka, zdobywają oni sobie wielkie szczęście środkami nieznanymi i z taką łatwością, że pewno udaruję cię szczodrzej, niż ci obiecuję.

– A to w takim razie – rzecze Sancho – jak ja zostanę królem przez te wasze cuda, to moja Jachna, poczciwe kobiecisko, wyjdzie na królową co najmniej, a dzieci nasze na książątka.

– A oczywiście – rzecze Don Kichot – a któż o tym wątpi?

– Jać to krzynkę wątpię – odpowie Sancho – i widzi mi się, że gdyby nawet deszczem z nieba leciały korony, to jeszcze by żadna na głowę mojej kobiety nie przypadła; Bogiem a prawdą, wielmożny panie, to ona na królową jak wół do karety; na hrabinę to jeszcze pożal się Boże, a i tego by zanadto.

– Bogu to zostaw – rzecze Don Kichot – on ci da, co będzie najlepsze dla ciebie; tylko nie trać serca i nie postponuj się tak, żebyś miał na byle czym przestawać.

– No, już bądźcie spokojni, wielmożny panie – na to Sancho – już ja tam całkiem spuszczam się na was, boście pan dobry i wiecie najlepiej, co mi macie dać, a co nie.

Rozdział VIII

O powodzeniu, jakiego doznał rycerz Don Kichot w straszliwej i niesłychanej przygodzie z wiatrakami i o tym, co się później stało

Kiedy tak rozmawiają, Don Kichot spostrzegł z daleka ze trzydzieści lub czterdzieści wiatraków, i jak je tylko spostrzegł, zawołał: „Fortuna sprzyja nam bardziej, niżbyśmy sami pragnęli. Przyjacielu Sancho, czy widzisz tę gromadę niezmiernych olbrzymów? Ja na nich uderzę i wszystkich zgładzę z tego świata – taki mój zamiar. Piękny będzie początek, z ich łupu wzbogacimy się, co się nazywa. Taka wojna uczciwa, bo na chwałę boską; ród ten olbrzymi trzeba z ziemi wyplenić, tak Bóg każe".

– Co za olbrzymy? gdzie? – pyta Sancho Pansa.

– A tam, czyż ich nie widzisz? – rzecze Don Kichot – z takimi okropnymi rękoma, że u niektórych i na pół mili sięgają.

– Ależ przyjrzyjcież się dobrze, wielmożny panie – odpowie Sancho – toć to nie olbrzymy, to są wiatraki, a te ręce, to śmigi,

którymi wiatr obraca.

– Ha, jak to widać zaraz – rzecze Don Kichot – że nie masz doświadczenia w rycerskiej sztuce. To olbrzymy, mówię ci, a jeżeli cię strach bierze, to ruszaj sobie gdzie w kąt pacierz mówić. Ja rzucę się na nich sam, chociaż ich tylu. – I mówiąc to, spiął ostrogami Rosynanta. Sancho klął się na duszę i ciało, że to wiatraki, a nie olbrzymy, ale dla naszego rycerza były to takie olbrzymy, że nie tylko nie słyszał krzyków swojego giermka, ale im bardziej się do nich zbliżał, tym więcej wierzył swemu urojeniu. „Nie uciekajcie, tchórze! – wrzeszczał na całe gardło – nie uciekajcie, podły i nikczemny rodzie, jeden tylko rycerz na was idzie". Że właśnie wiatr się zerwał, wiatraki zaczęły się obracać, a Don Kichot jeszcze głośniej wrzeszczał: „Próżne to rzeczy, próżne, żebyście tam tylu rękami machali, co sam Bryjareusz, to nic nie pomoże, zaraz ja się tu z wami sprawię". I nie tracąc czasu, poleca się natychmiast z całej duszy pani serca swego, pięknej Dulcynei, błagając ją o pomoc w tak wielkim niebezpieczeństwie. Zasłania się tarczą, wyszczerza dzidę i co tylko sił w Rosynancie, pędzi na wiatrak najbliższy, wpada na śmigę, która mu dzidę łamie w kawałki, a samego razem z koniem wyrzuca daleko na pole, w nader biednym stanie. Sancho przybiega kłusem na ośle i widzi, że pan jego ani się ruszyć nie może. O, bo ciężki był to upadek!

– A co do milionset – woła Sancho – czym nie mówił, że to wiatraki! dosyć było mieć oczy! chyba, że w głowie świeciło co innego.

– Cicho bądź, Sancho – rzecze Don Kichot – w wojennym rzemiośle los rządzi wszystkim, nic nie ma stałego. Wiesz, co ja myślę! to niezawodna prawda, to ten czarnoksiężnik Fresto; co mi porwał książki wszystkie razem z biblioteką, poprzemieniał teraz tych olbrzymów w wiatraki, żeby mi odjąć chwałę zwycięstwa, taki

na mnie zawzięty i wściekły. Ale obaczymy, obaczymy, sztuka jego przed mieczem moim musi ustąpić.

– Daj to Boże! wielmożny panie – rzecze Sancho, a podniósłszy go, wsadził jak mógł na Rosynanta, który miał jedną nogę zwichniętą. Gawędząc dalej o tej przygodzie, skierowali drogę ku wąwozowi Lapise, gdzie Don Kichot powiadał, że musi ich spotkać jaka przygoda, bo tam pełno ludzi przejeżdża. Strasznie mu żal było spisy, którą stracił, i wynurzając się z tym do giermka, mówił mu: – Czytałem kiedyś, pamiętam, że rycerz pewien hiszpański, imieniem Diego Peres de Vargas złamawszy dzidę w boju, wyrwał grubą gałąź dębową i tylu nią Maurów pozabijał, że mu na zawsze przydomek Tłuczyłba nadano, a potomkowie jego odtąd nazywali się Vargas-Maczuga. Mówię ci to, Sancho, bo zamiarem moim jest z pierwszego dębu, co napotkam, ułamać sobie gałąź taką jak tamta i takich nią cudów waleczności dokazywać, że za szczęśliwego poczytywać się będziesz, iżeś je własnymi oglądał oczami i był świadkiem czynów tak wielkich, że nikt im wierzyć nie zechce.

– Co daj Boże, amen! – rzekł Sancho – wierzę temu, bo mi tak mówicie, ale poprawcie się no trochę, wielmożny panie, na siodle, bo już całkiem na bakier siedzicie; musiał was tam diablo ten wiatrak poturbować.

– Prawdę mówisz, ani słowa – odpowiedział Don Kichot – a że ja się nie skarżę, to dlatego, że rycerzom błędnym nie wolno ani sarknąć z bólu, choćby im kiszki z brzucha wyłaziły.

– A kiedy tak, to ja nic przeciw temu nie mam – rzecze Sancho – ale Bóg widzi, że rad bym był z serca, gdyby wielmożny pan użalił się trochę przede mną, kiedy go boli. Bo co ja, to bym się tego nie trzymał, i aby mnie co drasło, wrzeszczałbym zaraz jak oparzony,

i zawsze dawałbym sobie wolę, jeżeli tylko to przykre prawo nie rozciąga się na panów i na giermków.

Uśmiechnął się Don Kichot na tę prostoduszność luzaka i pozwolił mu skarżyć się i lamentować, ile zechce, czy będzie miał o co, czy nie, bo nic sprzeciwiającego się temu w księgach rycerskich nie wyczytał.

– Wielmożny panie – odezwał się tedy Sancho – ale to podobno czas by już zjeść co, a pan jakoś o tym nic nie myśli.

– Nie będę jadł teraz – odpowiedział Don Kichot – ty możesz sobie jeść, kiedy ci się chce.

Otrzymawszy takie pozwolenie, Sancho rozsiadł się jak najwygodniej na swoim ośle i wyciągnąwszy z sakiew prowiant, jaki miał, jechał za panem przegryzając, a flaszy coraz nachylał z taką rozkoszną miną, że każdego Niemca zazdrość by wzięła. Popijając tak co chwila, zapomniał już o rodzinie i obietnicach pana; przypadło mu jakoś do smaku nowe to rzemiosło i marzył tylko ciągle o wielkich przygodach, choćby jak najniebezpieczniejszych.

Koniec końców, noc tę spędzili pod gołym niebem, a raczej pod drzewami, gdzie Don Kichot ułamał sobie suchą gałąź, zastąpić mogącą w ostatnim razie utraconą spisę, z której żeleźce na tę gałąź zasadził. Dzielny rycerz noc całą ani oka nie zmrużył, rozmyślając ciągle o pani serca swego, Dulcynei, bo chciał zachować ściśle to, co czytał w książkach, że rycerze błędni spędzają często noce bezsenne śród puszczy, lasów, bawiąc się myślą o damach swoich. Sancho Pansa wcale inaczej sobie postąpił. Mając brzuch dobrze naładowany, a nie wodą ani wiatrem, jak chrapnął, wyciągnąwszy się na ziemi, tak ani drgnął do samego rana; ani promienie słońca, padające mu prosto na twarz, ani hałaśliwy świergot tysiąca ptasząt, witających radośnie dzień nowy, rozbudzić go nie były w stanie; potężny głos pana dopiero tego dokonał. Zerwawszy się,

czujny giermek zaledwie przetarł oczy, zaraz się umizgnął do buteleczki, a widząc, że bardzo zelżała od wczorajszego wieczora, zmartwił się serdecznie, bo przeczuwał, że w drodze niełatwo jej będzie wyleczyć się z tej chudzizny. Don Kichot ani pomyślał o śniadaniu, jemu wystarczały smaczne i pożywne myśli o kochance. Dosiadłszy wierzchowców, ruszyli w drogę ku wąwozowi Lapise, u którego stanęli około godziny trzeciej po południu.

– Tutaj to, miły bracie mój, Sancho – zawoła Don Kichot – tutaj możemy się spodziewać przygód po same uszy! Ale, słuchaj, zapowiadam ci z góry, żebyś mi się ani ważył brać do oręża, choćbyś mnie widział w największym niebezpieczeństwie, chyba, że mnie napadną ciury i chamy takie jak ty, wtedy możesz mi iść na pomoc, ale przeciw rycerzom wara; tego ci zabraniają najsurowiej prawa rycerskie, dopóki pasowanym nie będziesz.

– O! co o to, możesz pan być spokojnym – odpowiedział Sancho – rozkazy pańskie spełnione będą co do joty, tym bardziej, że z natury już nie lubię zawadiactwa. Ale jeżeli będzie szło o własną skórę, jeżeli mnie napadną, to nie będę zważał na te tam wasze prawa, bo każdy musi się bronić, kiedy na niego dybią, sam Pan Bóg tak przykazał.

– Na to zgoda – odpowie Don Kichot – ale jak ja będę się potykał z rycerzami, to ty możesz sobie pacierz mówić, a męstwo swoje przyrodzone pamiętaj zawsze powściągać.

– No, niechaj was o to głowa nie boli, wielmożny panie, przysięgam wam, że tak pilnować będę tego przykazania, jak niedzieli, którą święcić trzeba.

Kiedy tak rozmawiają, podjeżdża do nich dwóch mnichów benedyktynów na dromaderach, to jest na mułach ogromnych, z parasolami i okularami podróżnymi na nosach. Za nimi szła

karoca, otoczona przez pięciu jezdnych, a w tyle dwóch mulników pieszo. W karocy, jak się potem pokazało, siedziała dama z Bizkai, jadąca do Sewilli, skąd mąż jej wybierał się na znaczny urząd do Indii. Mnichy jechali tą samą drogą, ale nie należeli do jej towarzystwa. Jak tylko ich spostrzegł Don Kichot, zaraz odezwał się do giermka:

– Głowę daję, że będziemy mieli śliczną awanturę! Widzisz te dwa widma czarne? Nie ma wątpliwości, że to są czarnoksiężnicy, co porwali jakąś księżniczkę i uwożą ją gwałtem w karocy. Muszę skarcić ten gwałt, choćby przyszło głową nałożyć!

– Oj będzie to coś gorsza historia niż z wiatrakami, widzi mi się – rzekł Sancho, potrząsając głową. – Przypatrzcież im się lepiej, wielmożny panie, toć to są benedyktyni, a karoca musi należeć do tych podróżnych. Nie róbże pan głupstwa i nie daj się kusić szatanowi na żadne wybryki.

– Już ci raz powiedziałem, bratku, że tyle się znasz na rycerskich awanturach, co koza na pieprzu; powiadam ci, że widzę, co się święci, i obaczysz zaraz, że miałem słuszność.

Mówiąc to, wyjeżdża na środek drogi i zagradza przejazd mnichom, a gdy ci się zbliżyli tak, że głos jego słyszeć mogli, woła do nich imponująco:

– Wy potępieńcy, z szatanem trzymający, zaraz mi wypuśćcie na wolność dostojne księżniczki, które w karocy tej wieziecie, bo jak nie, to was czeka śmierć niezawodna za karę niecnych sztuk waszych.

Księża zatrzymali się, i niemniej zadziwieni cudacką twarzą Don Kichota, jak jego przemową:

– Mości rycerzu – odpowiedzieli mu – my nie jesteśmy ani potępieńcami, ani z szatanami nie trzymamy, jesteśmy zakonnicy z klasztoru św. Benedykta i jedziemy sobie w swoją drogę, a czy

tam są w karocy jakie księżniczki porwane, czy nie, o tym nic nie wiemy.

– To nie dla mnie te piękne słówka – zawołał Don Kichot – znam ja was dobrze, nikczemne nędzniki!

I nie czekając odpowiedzi, wypuszcza konia, wpada na jednego z zakonników z takim impetem, że gdyby biedny księżyna nie był się zawczasu rzucił na ziemię, to byłby go pewnie o nią powalił, a może ciężko zranił, a może nawet i zabił. Drugi, widząc, co się dzieje z jego towarzyszem, zakasał nogi aż na kark mułowi i drapnął w pole, co siły. Sancho Pansa jak tylko zobaczył, że zakonnik leży na ziemi, zeskoczył co tchu z osła i rzuciwszy się na niego, zaczął go już na piękne obdzierać, kiedy dwaj ludzie z orszaku, jadącego za mnichami, przypadli i zapytali go, dlaczego zdejmuje odzież z ich pana?

– A dlatego – odpowiedział Sancho – bo ona do mnie z prawa należy, jako łup wojenny zwycięstwa odniesionego przez mego pana.

Draby, nie wiele myśląc i biorąc za drwiny owo gadanie o łupach, a przy tym widząc, że Don Kichot daleko, rzucili się na Sancha, przewrócili go na ziemię i zbili tak niemiłosiernie, że leżał biedak na wpół martwy, ani jednego włosa w brodzie nie zbawiwszy.

Mnich tymczasem, nie poniósłszy żadnego szwanku, a strachu wiele zażywszy, zerwał się co żywo z ziemi, wskoczył na muła i cały drżący podążył za towarzyszem, który nań czekał z daleka, patrząc, jaki też koniec awantura weźmie. Pojechali razem, żegnając się bez ustanku, jakby ich złe goniło. Don Kichot stał przy drzwiczkach karocy, rozmawiając z damą biskajską, do której zaczął w te słowa:

– Piękna pani, możesz teraz czynić, co ci się podoba, jesteś teraz wolną, to ramię skarciło zuchwałość twoich gnębicieli. Ażebyś pani

się nie trudziła o nazwisko swego oswobodziciela, powiem więc pani, że się nazywam Don Kichot z Manchy, jestem rycerzem błędnym i niewolnikiem pięknej a nieporównanej Dulcynei z Toboso. Za przysługę, którą wyświadczyłem pani, żądam tylko, abyś wróciła do Toboso, przedstawiła się tej damie i opowiedziała jej, jakem ja ci wolność wrócił.

Jeden z rycerzy biskajskich, towarzyszący karocy, przysłuchiwał się pilnie mowie Don Kichota, a widząc, że nie chce puścić karocy i upiera się koniecznie, aby wróciła do Toboso, przystąpił do niego, pociągnął go za dzidę i zepsutą hiszpańszczyzną przemówił:

– Idźże sobie, rycerzu, precz, bo jak mnie stworzył Bóg, tak ty będziesz miał śmierć, jeżeli karocy nie puścisz, jakem Biskajczyk, tak to prawda.

Don Kichot zrozumiał to bardzo dobrze i odpowiedział mu z zadziwiającą powagą:

– Gdybyś był rycerzem, tak jak nim nie jesteś, nikczemniku, dawno bym już skarcił twoją zuchwałość.

– Ja nie rycerz – oburknął się Biskajczyk – kłamiesz jak poganin, rzuć mi tylko tę pałkę na ziemię, a weź się do oręża, to ja ci zaraz pokażę, coś wart razem ze swoją szkapą. Ja Biskajczyk na lądzie, szlachcic na morzu, szlachcic do stu diabłów, a ty łżesz swoim językiem.

– Zaraz my to zobaczymy – odpowie Don Kichot.

I rzuciwszy dzidę, dobywa miecza i zasłania się tarczą, i naciera na Biskajczyka z niezachwianym zamiarem zabicia go. Biskajczyk, widząc, na co się zanosi, chętnie byłby zsiadł z muła, któremu ufać nie mógł, jako najętemu; ale nie starczyło mu czasu i zaledwie mógł miecza dobyć. Posłużyło mu to, że stał blisko karocy, bo porwał z niej poduszkę i za tarczę jej użył. Zażarci przeciwnicy rzucili się na siebie, jakby byli śmiertelnymi wrogami. Wszyscy obecni starali

się pogodzić ich, ale ani myśleć o tym, zaciekły Biskajczyk klął łamanym językiem, że jak mu nie dadzą bić się, to zabije i panią swoją, i wszystkich, co mu przeszkadzać będą. Pani widząc, że nie ma żadnej rady, kazała woźnicy odjechać na bok, i z daleka przypatrywała się walczącym, Biskajczyk zadał od razu cios tak okrutny przeciwnikowi w ramię, że byłby go do samego pasa rozpłatał, gdyby się tamten tarczą nie zasłonił. Don Kichotowi zdało się, że ogromna góra spadła mu na barki.

– Pani duszy mojej – zawołał – Dulcyneo! kwiecie piękności, ratuj swego rycerza, który walcząc za ciebie, w tak straszne popadł nieszczęście.

Po tej oracji, potrząsnął mieczem, zakrył się tarczą i znów skoczył na Biskajczyka, chcąc rzecz od razu zakończyć. Biskajczyk, odgadłszy z miny zamiar przeciwnika, zasłonił się poduszką i śmiało czekał, tym bardziej, że muł, strasznie zmęczony i takich harców niezwyczajny, ani krokiem z miejsca ruszyć się nie chciał. Wszyscy widzowie z niezmiernym strachem wyglądali, jaki będzie koniec tej groźnej walki, a dama w karocy z kobietami swymi modliła się gorąco do wszystkich świętych hiszpańskich, błagając Boga o ocalenie swego obrońcy i własnej osoby.

Autor historii niniejszej ze smutkiem wyznać musi, że w tym miejscu wiadomości jego daleko nie sięgają i że już nic nie wie o czynach późniejszych Don Kichota. Inny autor, przekonanym będąc że historia tak ciekawa kończyć się tu nie może i że pamiętniki miejscowe musiały ślad jej zachować, usilnie starał się wyszukać je, w czym widać, iż mu się poszczęściło, jak to w drugiej części zabawnego dzieła tego zobaczymy.

KSIĘGA DRUGA

Rozdział I

Jak się zakończyła walka potężnego Biskajczyka z dzielnym Don Kichotem

Zostawiliśmy w pierwszej części tej historii mężnego Biskajczyka i mężnego Don Kichota z mieczami na siebie wzniesionymi, godzących wzajem tak zażarcie, że gdyby miecze ich spadały były bez żadnego oporu na ich osoby, to każdego niewątpliwie ujrzelibyśmy rozpłatanego na dwoje, aż po samo siodło. Ale jak to widzieliśmy, dziejopis w tym miejscu nie wie, co się stało, i autor nigdzie znaleźć nie mógł dokładnych w tym względzie objaśnień. Martwi go to bardzo, tym więcej, że po długich poszukiwaniach stracił już był nadzieję dojścia prawdy. Zawsze jednak zdawało mu się rzeczą niepodobną i niesłuszną, ażeby rycerz tak dzielny nie znalazł mędrca jakiegoś, co by niesłychane czyny jego dla potomności zachował, a to tym więcej, że każdy z poprzedników jego, to jest rycerzów błędnych, miał zawsze jednego lub dwóch dziejopisów, którzy awantury jego spisywali i najdrobniejsze myśli notowali. Nie mogąc przeto pojąć, żeby rycerz tej znamienitości miał być pozbawiony tego, co Platyr i inni jemu podobni pod dostatkiem mieli, myślałem sobie zawsze, że zadziwiająca ta historia nie może tak być urwana, i że czas, który wszystkiemu zaradza, musi wydobyć na jaw zatracone jej ślady. Z drugiej znów strony zdawało mi się, że historia naszego rycerza nie może być bardzo stara, gdyż w bibliotece jego znaleziono książki niedawne, jako to:

Medykament zazdrości, Nimf i *Pasterza z Henares*. Że nareszcie, gdyby nawet historia ta spisana nie została, to mieszkańcy wsi, z której Don Kichot pochodził, i sąsiedzi, musieli jej jeszcze nie zapomnieć. Przejęty tymi myślami, postanowiłem szukać usilnie śladów życia i cudu słynnego naszego Hiszpana, wielkiego luminarza Manchy, pierwszego, co w tych gnuśnych czasach poświęcił życie na wznowienie błędnego rycerstwa, na naprawienie krzywd i nieszczęść, niesienie pomocy wdowom, obronę honoru panien, które, jak to niegdyś bywało, mogły przy nim podróżować bezpiecznie w górach i dolinach, nie lękając się żadnej ujmy dziewictwu swojemu, a w osiemdziesiątym roku życia, i jeżeli im gwałtowny jaki nie zdarzył się wypadek, nieść z sobą do grobu niepokalaną czystość własnych matek. Ale wszelka usilność moja poszłaby wniwecz, potomność straciłaby skarb wielki, gdyby szczególne szczęście nie było mi go w ręce podało w sposób następujący:

Idąc raz ulicą Merciers w Toledo, ujrzałem chłopca, sprzedającego stare szpargały korzennikowi, a że mam zwyczaj najdrobniejsze nawet świstki z ciekawości zbierać po ulicach, wziąłem od chłopca jeden z tych szpargałów, chcąc go przeczytać i przekonałem się, że nic nie rozumiem, bo był pisany po arabsku. Obejrzałem się na prawo i na lewo, czy nie ujrzę gdzie jakiego zżydziałego Maura, co by mi to pismo wytłumaczył i żądaną pomoc znalazłem niezadługo w miejscu, gdzie trudniejsze nawet języki łatwo tłumaczono. Przypadkiem znalazł się taki jegomość, a kiedym mu dał szpargał w rękę, zaczął się śmiać serdecznie, kilka wierszy zaledwie przeczytawszy. Zapytałem go, z czego się tak śmieje. „Z ważnej uwagi, rzekł, zrobionej na marginesie" i śmiejąc się ciągle, przeczytał mi te wyrazy: „Ta Dulcynea z Toboso, o której tak często jest mowa w niniejszej historii, miała, jak słychać, najszczęśliwszą

rękę ze wszystkich kobiet w Manchy do solenia wieprzaków". Usłyszawszy nazwisko Dulcynei, pomyślałem sobie zaraz, że może to jest historia Don Kichota; prosiłem przeto Maura, żeby mi przeczytał tytuł tej książki; na tytule tym napisane było po arabsku: *Historia Don Kichota z Manchy, opowiedziana przez Cyd-Hameda-Benengeli, dziejopisarza arabskiego*. Usłyszawszy tytuł, takem się ucieszył, że wyrwałem natychmiast książkę z rąk kupca, stargowałem ją od chłopaka i za pół reala kupiłem rzecz, za którą bym dał dwadzieścia razy tyle, gdyby chłopiec umiał ze mnie korzystać. Odszedłem zaraz na bok z Maurem i prosiłem go, żeby mi przetłumaczył na hiszpański wszystko, co się tam znajduje, najmniejszego szczegółu nie opuszczając, ani dodając i ofiarowałem mu za to nagrodę, jakiej sam zażąda. Poprzestał na dwóch miarach winogradu i dwóch korcach pszenicy; obiecał mi przetłumaczyć wszystko jak najwierniej i prędko. Chcąc rzecz ułatwić i korzystać z tak szczęśliwej znajomości, wziąłem Maura do siebie, gdzie w sześć tygodni przekład był już gotowy, tak, jak go wam tu co do słowa daję. Na pierwszej stronicy książki był wizerunek walki Don Kichota z Biskajczykiem, godzących na siebie w tej samej postawie, w jakiej zostawiliśmy ich poprzednio; obydwaj z mieczami wzniesionymi do góry, jeden zasłonięty tarczą, a drugi poduszką. Muł Biskajczyka tak był naturalnie oddany, że o milę poznać było można, że to muł najęty. Pod nogami Biskajczyka stał napis: Don Sancho de Aspetia, a pod Rosynantem: Don Kichot. Rosynant ślicznie był odmalowany, długi, sztywny, a taki ostrokościsty i zbiedzony, że aż strach; grzbiet sterczał mu do góry, a uszy miał spuszczone; z pierwszego rzutu oka można było poznać, że nigdy koń lepiej nie zasłużył sobie na nazwisko. Tuż obok stał Sancho Pansa, trzymając za uzdę osła, pod którym był napis: Sancho Zansas. Wzrostu był niskiego, brzuch miał potężny, a nogi

kabłąkowate; dlatego to zapewne historia daje mu bez różnicy przydomek Pansa i Zansas. Ciekawa to była figura i wiele by jeszcze o niej gadać, ale to do historii niepotrzebne. Powiem tylko, że przeciw prawdziwości tej historii nic zarzucić się nie da, chyba to jedno, że autorem jej jest Arab, a Arabowie strasznie łgać lubią. Ale że są naszymi nieprzyjaciółmi, nie można wątpić, że tu autor więcej ujął niż dodał; i widać to zaraz, jak niechętny jest w pochwałach dla naszego rycerza, i jak je często przemilcza. Historyk tak czynić nie powinien, powinien być wierny i dokładny, wolny od wszelkiej namiętności i interesu; ani obawa, ani przywiązanie, ani przyjaźń, nie powinny go sprowadzać z drogi prawdy, która jest matką historii, a historia lamusem czynów ludzkich i najzawziętszym wrogiem zapomnienia. W niej to mamy wierne obrazy przeszłości, przykłady dla teraźniejszości i przestrogi na przyszłość. Przekonany jestem, że i w tej znajdzie się bardzo wiele użytecznych i ciekawych rzeczy, a jeżeli jej czego nie dostaje, to niezawodnie wina autora, a nie przedmiotu. Część druga w tłumaczeniu tak się zaczyna:

Ze strasznej postawy tych dwóch dumnych i zawziętych wojowników, ostrymi mieczami na siebie godzących, sądziłbyś, że oni chyba niebu i ziemi zagrażają; wszyscy też widzowie zdumieni, wisieli między podziwem a strachem. Zażarty Biskajczyk pierwszy zadał raz; a był to raz wściekły i potężny; że gdyby mu miecz się nie skręcił w ręku, tym jednym razem zakończoną by została cała walka i wszystkie awantury naszego rycerza. Lecz los, zachowując go na większe rzeczy, sprawił, iż miecz płazem spadł mu na lewe ramię, i zerwawszy z tej strony połowę zbroi i połowę ucha, nic mu więcej złego nie zrobił. Próżno by tu silić się na opisanie wściekłości, jaka ogarnęła rycerza z Manchy, kiedy się ujrzał tak sponiewierany. Wyprężył się na strzemionach, wychylił całym ciałem i ściskając miecz ze wszystkich sił, wyciął raz tak

okrutny w samą głowę przeciwnika, że mimo poduszki, krew nosem, ustami i uszami lać się zaczęła Biskajczykowi, i byłby zleciał z muła, gdyby się go za kark nie uchwycił. Muł, przerażony taką przygodą, czując, że jeździec lejce z rąk wypuścił, poskoczył żwawo na pole, a dawszy kilka susów, zwalił wojownika na ziemię prawie bez życia. Don Kichot patrzał na to zimno i ani się ruszył. Ale obaczywszy przeciwnika na ziemi, zeskoczył z konia i przypadł do niego, i kładąc mu miecz na gardle, żądał, żeby mu się poddał, bo inaczej głowę mu utnie. Biskajczyk tak był zamroczony, że nie widział swego niebezpieczeństwa i słowa wymówić nie mógł. Rozjuszony Don Kichot pewno by mu był nie darował, gdyby pani karocy nie przyszła prosić go o życie swego giermka. Zmiękł natychmiast dumny rycerz i poważnie powiedział:

– Piękna pani, daruję ci to życie, ale pod warunkiem, iż rycerz ten zobowiąże się pod słowem pójść do Toboso i przedstawić się tam nieporównanej Dulcynei, która losem jego według upodobania rozporządzi.

Dama na wpół nieżywa ze strachu, nie rozumiejąc nic, czego żąda, ani się nawet pytając, co to za jedna ta Dulcynea, przyrzekła w imieniu giermka swego wszystko, czego domagał się Don Kichot.

– A więc niechaj żyje! – zawołał nasz rycerz – na słowo twoje, pani, od śmierci go uwalniam; piękności twojej niech zawdzięcza łaskę, której zuchwałość jego niegodnym go czyni.

Rozdział II

Rozmowa Don Kichota z Sancho Pansą

Ciężko poturbowany przez hajduków mniszych, podniósł się Sancho z ziemi i przyglądał pilnie walce pana, gorące do Boga zasyłając modły o zwycięstwo dla niego, żeby sam na tym zyskać

mógł zarząd wyspy jakiej, jak to uroczyście miał sobie przyobiecane. Widząc więc bój skończony, a Don Kichota zabierającego się siąść na konia, pobiegł mu przytrzymać strzemienia; i nim ten wsiąść zdążył, padł przed nim na kolana, a całując rękę, tak przemówił:

– Najwielmożniejszy panie i władco mój! oddajcież mi w zarząd wyspę, którą w tym strasznym boju wygraliście, bo żeby tam była nie wiem jak wielka, czuję, że rządzić nią będę tak doskonale, jak kto bądź na świecie.

Na to mu Don Kichot odpowiedział:

– Miły bratku Sancho, bredzisz sam nie wiesz co, w takich awanturach wyspy się nie wygrywają, to są proste bójki, dorywcze na drodze spotkania, z których guza na łbie i kawał oderwanego ucha w zysku wynieść można. Ale bądź tylko cierpliwy, przyjdą inne przygody, które mi dadzą sposobność dotrzymać ci obietnicy i dać ci jeszcze co więcej niż wyspę.

Sancho nie wiedział już jak dziękować, ucałowawszy rękę i kraj zbroi Don Kichota, podsadził go na konia, sam wsiadł na osła i pojechał za panem, który, nie pożegnawszy się nawet z damami, kłusem pobiegł ku pobliskiemu lasowi. Sancho zdążał za nim, co tylko osioł mógł wyskoczyć, ale Rosynant pędził tak tęgim cwałem, że zostawszy kawał w tyle, nie miał już innego sposobu, jak krzyczeć na pana, aby się zatrzymał. Don Kichot osadził rumaka i czekał, aż maruder giermek dobiegł do niego.

– Zdaje mi się, wielmożny panie – rzekł przybiegłszy – że nieźle byłoby, gdybyśmy się schronili do jakiego kościoła, bo tych biednych ludzi w tak okropnym tam zostawiłeś stanie, że gdyby św. Hermandada dowiedziała się o tej sprawce, to by nas pewno capnęli. A jakby nas raz wpakowali do ciupy, to widzi Bóg, dużo by wody upłynęło, nim by nas stamtąd wypuścili.

– Milcz, głupi – rzekł Don Kichot – pleciesz opałki koszałki; gdzieżeś to widział albo czytał, żeby błędnego rycerza przed sądy kiedy ciągano za kawalerskie rozprawy?

– Ja się tam nie znam na żadnych rozprawach – odpowiedział Sancho – jak żyję ich nie próbowałem, ale wiem dobrze, że św. Hermandada ciężko każe tych, co się biją po drogach, a tego bym także próbować nie chciał.

– Nie bój się niczego, moje dziecko, ja cię choćby z rąk filistyńskich wyrwę całego. Ale powiedz prawdę, co? widziałeś kiedy pod słońcem dzielniejszego nade mnie, rycerza? Czytałeś kiedy, żeby kto silniej nacierał, wytrwałej razy wytrzymywał, szybciej je zadawał i gwałtowniej przeciwnika o ziemię powalał?

– Co prawda, to prawda – rzekł Sancho – nic takiego w życiu nie czytałem, bo nie umiem ani czytać, ani pisać, i przysiąc mogę sumiennie, że nigdy za życia nie widziałem pana odważniejszego od was, oby tylko Bóg dał, żeby ta szalona odwaga o co złego nas nie przyprawiła! Ale trzeba by, proszę pana, opatrzyć wam ucho, dużo krwi z niego uchodzi; szczęście, że mam w sakwach trochę szarpi i białej maści.

– Obeszłoby się bez tego wszystkiego – rzekł Don Kichot – żebym tylko nie zapomniał zrobić sobie balsamu Fierabrasa; jedna kropelka tego kordiału zastępuje wszystkie starania i leki.

– Cóż to za balsam taki? – zapytał Sancho.

– Jest to balsam, na który receptę umiem na pamięć, a mając go, ani śmierci, ani ran bać się nie trzeba; jak go zrobię i dam ci go, to pamiętaj, że jak mnie kiedy w boju rozpłatają całkiem na dwoje, co się nam rycerzom często zdarza, to zbierz tylko prędko rozcięte części nim krew zastygnie, złóż je razem szczelnie i potem daj mi ze dwa łyki tego kordiału, a obaczysz, że natychmiast będę zdrów i żwawy jak rybka.

– O, kiedy to taki kordiał – rzekł Sancho – to ja już dam za wygraną tym rządom, coście mi obiecali, a w nagrodę służby mojej nie żądam nic więcej, tylko żebyście mi dali receptę na ten balsam. Jestem pewien, że wszędzie i zawsze każdy mi da z chęcią trzy reale za uncję, a to mi aż nadto wystarczy na porządne i spokojne życie. Ale proszę pana, czy dużo trzeba pieniędzy, aby zrobić ten kordiał?

– Za trzy reale będzie tego ze sześć kwart.

– A na miłość boską! – zawołał Sancho – i czegóż tu czekać, miły panie? Nauczcież mnie go robić zaraz; przygotuję go z parę garncy.

– Nie tak śpiesznie, nie tak śpiesznie, bratku Sancho, odkryję ja ci większe jeszcze sekreta i większe dam nagrody, a na teraz opatrz no mi ucho, jakoś mnie boli kaducznie.

Sancho wyciągnął maść i szarpie z worka. Don Kichot teraz dopiero zobaczywszy, że hełm miał całkiem rozbity, ledwo do reszty nie zwariował z rozpaczy. Porwał za miecz i wznosząc oczy do nieba, zawołał z uniesieniem:

– Przysięgam na wszystkie na niebie świętości, na cztery Ewangelie, że dopóki nie pomszczę tej krzywdy na przeciwniku, co mi ją wyrządził, dopóty prowadzić będę żywot taki, jak go prowadził margrabia Mantuański, kiedy poprzysiągł, odemścić śmierć synowca swego, Balduina, to jest nie jeść chleba ani kawałka, nie bawić się z żoną i wiele innych podobnych zadawać sobie utrapień (których nie pamiętam, ale przysięgą je moją obejmuję).

– Jaśnie wielmożny panie – rzekł Sancho, przerażony tak straszliwą przysięgą – nie gniewajcie się tak okrutnie i zważcie, że jeżeli rycerz przez was pokonany dopełni rozkazów waszych, jeżeli przedstawi się pani Dulcynei w Toboso, to ma być wolny zupełnie, chyba, że nową winę względem was popełni.

– Prawdę mówisz, ani słowa; odwołuję więc przysięgę co do punktu zemsty nad winnym, ale potwierdzam ją i raz jeszcze powtarzam, i uroczyście ślubuję prowadzić życie takie, dopóki na jakim rycerzu nie zdobędę hełmu tak dobrego i pięknego, jak mój był. I nie myśl, Sancho, że na wiatr mówię; mam piękne przed sobą wzory do naśladowania, takim sposobem co do joty został zdobyty hełm Mambryna, który tak drogo kosztował Sakrypanta.

– E! panie – rzekł Sancho – bierz kaci takie tam szalone przysięgi; Pan Bóg nie kazał przysięgać, a to i zdrowiu i duszy szkodzi. Niechże, proszę pana, kawał czasu nie zjawi się człowiek z takim hełmem, to cóż wtedy zrobimy? Maszże pan wtedy dotrzymać przysięgi w tak ciężkich warunkach, spać zawsze ubrany, nocy nigdy między ludźmi nie spędzić i tysiące innych cierpieć utrapień, które mieści w sobie przysięga tego starego wariata, margrabiego z Mantui? Pamiętajże pan, że w tych stronach trudno o zbrojnego człeka, że tu tylko jeżdżą sami furmani i mulnicy, co hełmu nie noszą i znają tylko przyłbice z kapuścianych liści.

– Pleciesz, pleciesz, bratku – rzekł Don Kichot – i dwie godziny nie ujdzie, a spotkamy więcej zbrojnych, niż ich było pod fortecą Albraque, kiedy piękną Angelikę zdobywano.

– Niechże i tak będzie, kiedy wasza wola – rzekł Sancho – i daj Boże szczęścia tylko, żeby wygrać jak najprędzej tę wyspę, co mnie już tyle kosztuje, choćby potem i skonać zaraz z radości.

– Powiedziałem ci już Sancho, nie turbuj się nic, bądź spokojny. Jak nie będzie wysp, to mamy królestwo Dinamarku i Sebradisy, które ci lepiej jeszcze przypadną, bo nie potrzeba do nich po morzu się dostawać. Ale na to wszystko przyjdzie czas. Na teraz sięgnij no do sakwy, czy nie masz tam co zjeść, bo potem ruszymy szukać zamku jakiego, gdzie byśmy się na tę noc schronili i kordiał mój przysposobili; jak mi Bóg miły, ucho piecze mnie piekielne.

– Mam tu – odpowiedział Sancho – główkę czosnku, trochę sera i parę kromek starego chleba, ale to specjały nie dla tak dzielnego rycerza, jak wasza łaskawość.

– Gadasz sam nie wiesz co! – na to mu Don Kichot. – Trzeba ci wiedzieć, Sancho, że w tym właśnie chwała rycerzy błędnych, iż często po kilka miesięcy nic nie jedzą, a kiedy jedzą, to bez ceremonii, co im pod rękę podpadnie; żebyś czytał tyle historii rycerskich, co ja, to byś o tym wiedział. Daję ci słowo, że mimo mozolnych i długich poszukiwań, nie czytałem nigdy, żeby ci rycerze jedli umyślnie, zawsze jedzą tylko przypadkiem, lub kiedy się znajdują na wspaniałych bankietach, dawanych im przez królów i książąt. Zresztą, żyją tylko samymi myślami. Że zaś przypuścić nie można, aby się obywali zupełnie bez pożywienia, jako i bez innych potrzeb, boć przecie są ludźmi, jak i my, to nie ma wątpliwości, że pędząc życie w puszczach i lasach i bez kucharzy, musieli spożywać potrawy proste, takie, jakimi mnie teraz częstujesz. Tak więc, miły bratku, nie smuć się tym, z czego ja się cieszę; nowych nie zaprowadzaj obyczajów i nie psuj starych podań rycerskich.

– Raczcie mi wybaczyć, panie – rzekł Sancho – bo jak powiedziałem, czytać i pisać nie umiem, reguł przeto rycerskich poznać nie mogę; teraz już będę wiedział i na przyszłość będę miał zawsze w sakwach trochę prostej strawy dla was, jako rycerza, a dla siebie, że nie mam zaszczytu być nim, pomyślę o czymś lepszym i pożywniejszym.

– Nie mówię ja – rzekł Don Kichot – żeby powinnością rycerza miało być samą tylko grubą strawą się żywić, ale tylko, że na niej zwykle poprzestają, dodając nieco ziół polnych, na których dobrze się znają, a których i ja świadom jestem.

– Ważna to bardzo rzecz znać się na roślinach – rzekł Sancho – i widzi mi się coś, że ta znajomość przyda nam się z czasem. A teraz

zjedzmy, co Pan Bóg dał.

Jakoż wydobywszy żywność z saku, smacznie spożywali ją razem. Prędko skończyli skromną biesiadę, wsiedli znów na koń i ruszyli szukać noclegu; ale słońce i nadzieja zawiodły ich nieco, bo dobrze już zmierzchło, kiedy nic nie znalazłszy, ujrzeli się w pobliżu pastuszych szałasów i tam noc spędzić postanowili. O ile Sanchowi markotno było, że się nie dostał na noc pod dach wygodny, o tyle Don Kichot cieszył się, że koczuje pod gołym niebem, bo zdawało mu się zawsze wtedy, iż zagarnia w posiadłość swoją okiem niedoścignione obszary i nowe zasług dowody kładzie w rzemiośle błędnego rycerza.

Rozdział III

Przygoda Don Kichota z pasterzami

Pasterze tych szałasów z otwartymi rękoma przyjęli naszego rycerza, a Sancho, spraVivszy się co żywo z najdogodniejszym pomieszczeniem Rosynanta i osła, pobiegł zaraz w stronę, skąd go doleciał zapach koziny, którą pasterze piekli sobie na kolację. Poczciwy giermek rad by ją był natychmiast, prosto z rożna do brzucha swego przeprowadził, ale rad nie rad, musiał wstrzymać swe zapędy, dopóki pasterze nie rozesłali na ziemi, zamiast obrusów, kilka skór kozich i baranich. Urządziwszy to wiejskie nakrycie, szczerym sercem zaprosili swych gości na to, co Bóg dał. Sześciu pasterzy szałas ten zamieszkujących zasiadło na ziemi wokoło skór, zaprosiwszy ceremonialnie Don Kichota, żeby siadł na przewróconym dla niego umyślnie korycie. Don Kichot zasiadł, a Sancho stał za nim, trzymając w ręku czarę, nie kryształową wprawdzie, lecz rogową, w której miał mu pić podawać. Widząc go tak stojącego, przemówił doń rycerz:

– Żebyś się przekonał, Sancho, ile to dobrego mieszczą w sobie zasady błędnego rycerstwa i jak dalece ludzie wyznający je powinni być czczeni i wielbieni na świecie, pozwalam ci zasiąść koło siebie razem z tą poczciwą gromadką; będziesz za pan brat z panem i władcą swoim, któremu służysz; będziesz jadł z tej samej misy i pił z nim z jednej szklanki; bo o rycerzach błędnych powiedzieć można to samo, co o miłości, że dla nich wszystko jest równe.

– Dziękuję waszej łaskawości – rzekł Sancho – ale bylem miał co, to wolę jeść sam i stojący, niż siedzieć obok najpotężniejszego władcy. A nawet prawdę powiedziawszy, daleko mi lepiej smakuje kromka razowca z cebulą, zjedzona w kącie, bez przymusu i ceremonii, niż najpyszniejsze indory, kiedy je jeść trzeba w wymuszonej kompanii, gdzie muszę łykać powoli, popijać po odrobinie, obcierać gębę co minuta i nie śmiem ani kaszlnąć, ani kichnąć, kiedy mi przyjdzie ochota. Tak więc, łaskawy panie, te zaszczyty i łaski, którymi mnie obdarzać raczysz jako rycerskiego luzaka, zamieńmy lepiej na inne, co by mi więcej korzyści i wygody przyniosły; a za tamte serdecznie ci dziękuję i kwituję z nich od dzisiaj aż do końca świata.

– Dobrze to wszystko – rzekł Don Kichot – ale trzeba przecież, żebyś tu usiadł, bo kto się korzy, ten będzie wywyższon.

I pociągnął go tak silnie za rękę, że musiał nieborak usiąść koło niego. Pasterze, nie rozumiejąc nic tej rozmowy rycerskiej, zajadali w najlepsze i spoglądali na gości, że łykali kawały duże jak pięście. Po mięsie zastawiono orzechy i ser twardy jak kamień; rogowa czara nie próżnowała, krążyła ciągłe z rąk do rąk to pełna, to próżna, tak często, że z dwóch worków wina jeden już był całkiem próżny. Don Kichot, podjadłszy sobie potężnie i widząc, że naładował brzuch, jak przystoi na nowoczesnego rycerza, wziął garść orzechów i czule na nie spoglądając, rzekł:

– O, wieku! szczęśliwy wieku, któremu ojcowie nasi nadali miano złotego, nie dlatego, żeby złota, tak cennego w tym naszym wieku żelaznym, było więcej wtedy, ale dlatego, że wtedy nie znano dwóch złowrogich wyrazów: *moje* i *twoje*, które teraz świat cały rozdarły. Wtedy w tych czasach świętych, wszystko było między ludźmi wspólne. Każdemu dość było rękę przed siebie wyciągnąć, aby potrzebne do życia zbierać owoce. Zdroje czyste i rzeki rwące dostarczały w bujnej obfitości przezroczych wód do napoju. W szczelinach skał i drzew wydrążeliskach pracowite pszczółki państwa swe zakładały, bez żadnej opłaty każdemu gotowe dając słodyczy zasoby. Wszystko wtedy tchnęło pokojem, przyjaźnią i zgodą. Ostry lemiesz ciężkiego pługu nie śmiał jeszcze drzeć świętych wnętrzności matki naszej ziemi, bo ona sama z siebie hojne na całym ogromnym swym łonie wydawała plony, aż nadto dla dzieci jej ówczesnych wystarczające. Wtedy to niewinne i wesołe pastereczki biegały po wzgórzach i dolinach, tyle tylko ciała kryjąc odzieniem, ile skromność kryć zawsze ludziom nakazywała; powaby ich były nie takie, jak niewiast dzisiejszych, złoto, jedwabie i tyryjskie purpury nie były im potrzebne; sztuki w stroju nie znały, proste kwiecia i zieleni wieńce stroiły je lepiej niż najwymyślniejsze zbytku dzisiejszego wybryki stroją dzisiejsze panie. Miłość wyrażała się prosto i szczerze, nie szukając w wytwornych słówkach podniety dla siebie. We wszystkich czynnościach ludzi panowała otwartość dusz prostych i zacnych, daleka od oszustwa i niezdolna całkiem do obłudy. Sprawiedliwość, z oczami ciągle zawiązanymi, nie znała względu, ni zysku. W późniejszych to dopiero wiekach potworne te gadziny wyrosły i najohydniejszym jadem serca ludzkie przejąwszy, wyrugowały z nich wrodzoną szlachetność i zacność, które za wspólną zgodą ogółu wszystkim wtedy rządziły. Niewinność towarzyszyła wszędy

dziewczętom, jak to już mówiłem, bez obrony i przewodników bujały one swobodnie, bać się nie potrzebując przestępnych, zbrodniczych na siebie zamiarów. Bezpieczne od innych i od własnych chuci, same wszędzie cześć i poszanowanie znachodziły. A dziś, w tych wiekach przebrzydłego zepsucia, któraż z nich może być bezpieczną, choćbyś ją nawet w kreteńskim osadził labiryncie? Zdrożna miłość przez najdrobniejsze zakrada się szczeliny, w powietrzu tchnie sprośność i piękne zasady wniwecz obraca. Ten nawał rosnącej z wiekami zdrożności, powołał do życia instytucję błędnych rycerzy, za cel sobie kładącą obronę dziewcząt, osłonę wdów, opiekę sierot i podporę nieszczęsnych. Tej to instytucji, tego zakonu, ja jestem członkiem; mili bracia pasterze! serdeczne składam wam dzięki za gościnne przyjęcie, jakiego od was razem z giermkiem mym doznałem; bo chociaż z samego prawa natury obowiązkiem jest każdego błędnych rycerzy zasilać, to jednak, bacząc na to, iż nie wiedzieliście kto jestem i z dobrego jedynie serca takie zgotowaliście dla mnie przyjęcie, słuszna wam się ode mnie należy podzięka i zapewnienie, że nigdy, do grobowej deski, wdzięczność i wspomnienie dla was serca mego nie opuszczą.

Orzechy to tak stanowczo przywiodły na pamięć wiek złoty rycerzowi naszemu i tę piękną natchnęły mu przemowę, bez której doskonale mógł się obejść, jako i pasterze, co słuchając jej pilnie, nic a nic nie rozumieli, a choć gęby pootwierali, ni słowa nie rzekli. Sancho także ani pisnął, ale nie próżnował; pakował przez ten czas, co się zmieściło orzechów i sera, ustając gębą ruszać ledwie wtedy, gdy do drugiego worka z winem zaglądał. Po skończonej biesiadzie jeden z pasterzy tak się odezwał do Don Kichota:

– By ci dowieść, dostojny rycerzu, jak gorąco pragniemy przyjąć cię godnie i rozweselić między nami, przyprowadzim ci, abyś go posłuchał, jednego z naszych towarzyszów, który ci zapewne wiele

przyjemności sprawi. Jest to pastuszek bardzo rozkochany i wysoce uczony; umie czytać i pisać jak sam bakałarz, a przy tym śpiewa i wygrywa na skrzypcach, że rozkosz go słuchać.

Ledwie tych słów dokończył pasterz, dał się słyszeć odgłos skrzypiec, niezadługo ukazał się dziarski chłopak, wygrywający na nich, a około dwadzieścia dwa lata wieku mający. Pasterze go pytali, czy jadł już wieczerzę, a kiedy odpowiedział, że jadł:

– To teraz, mój Antosiu – rzekł pasterz, który mówił z Don Kichotem – musisz nam co zaśpiewać, żeby rycerzowi temu a gościowi naszemu pokazać, iż w lasach i górach są przecież ludzie, co się na muzyce znają. Jużeśmy mu powiedzieli, jaki to z ciebie łebski chłopak, i trzeba mu dowieść, że my kłamać nie umiemy. Siadaj więc, mój miły, i zaśpiewaj nam piosenkę, którą stryj twój, ksiądz, o miłostkach twoich ułożył i która w całej okolicy tak się podobała.

– Zaśpiewam chętnie, kiedy tak chcecie – odrzekł Antoni i nie dając się prosić, usiadł na pniaku dębowym, a nastroiwszy skrzypki, wdzięcznie zawiódł piosenkę:

Ja wiem Olallo, że kochasz mnie,
Chociaż mi tego nie powiedziałaś
Nawet, Olallo, twymi oczami
Tymi ustami miłości twej!

O! ty mnie kochasz – boś zrozumiała
Dreszcz mego ciała i serca bicie!
A każda miłość będzie przyjęta,
Która wyrazić swój ogień zdoła.

I chociaż nieraz przez srogość twą
Tyś mi, Olallo, wierzyć kazała,

Że pierś twa biała, jak głaz nieczuła,
Że twoja dusza twardsza niż brąz!

Przecież przez chmury twojego gniewu,
I oziębłości twej szarej mgły,
Zieloną szatę strojnej nadziei
W dali świecącą widziałem gdzieś.

Jeżeli miłość zalotnie mówi,
To twe, Olallo, niewinne słowa
Tak poją serce moje nadzieją,
Jak poi rosa uwiędły kwiat.

A jeśli tkliwe męskie starania
Mogą rozczulić duszę niewieścią,
To moje ciągłe dla cię usługi
Dają mi prawo do uczuć twych.

Wiesz żem nie zważał na dzień powszedni,
I gdym szedł, luba, zobaczyć cię,
Brałem na siebie szaty niedzielne,
W co najdroższego stroiłem się.

Bo zwykle miłość i strój ozdobny,
Łącząc się, idą pospołu w drogę,
Więc też pragnąłem, by w twoich oczach
Miłym i pięknym pokazać się.

Dla ciebie, miła, rzuciłem taniec,
Tylko pieśń tkliwą przy lutni drżącej
Śpiewałem tobie wśród nocnej ciszy,
I wśród rannego kogutów piania.

Że już nie liczę pochwał i cześci,
Które twym wdziękom i hołdzie składam,
Choć przez nie wszystkie twe towarzyszki
Gniewne wymówki czyniły mi.

Raz mi Teresa Bezzacol rzekła,
Gdym przy niej oczy wychwalał twe:
„Ten sobie myśli, że czci anioła,
A w brzydkiej małpie zakochał się,

Która cackami i sztuką zręczną,
I swego serca chytrością znaną,
Zwikłała głupca w sieci pajęcze,
I wlecze dalej z sobą w świat".

Zadałem kłamstwo oszczerczym słowom,
Jej krewny wtedy wyzwawszy mię,
Spotkał się ze mną – a co się stało,
O tym, Olallo, ty dobrze wiesz.

Miłość w mym sercu nie jest szaleństwem.
Nie pragnę ciebie kochanką mieć,
Bo me uczucia prawe i czyste,
Uczciwszy sobie obrały cel.

Kościół ma świętych węzłów ogniwa,
Jak atłas gładkie, jak atłas białe,
Pod słodkie jarzmo poddaj swą głowę,
Ujrzysz jak chętnie ja oddam swą.

Jeżeli nie chcesz – przysięgam tobie

Na najświętszego ze wszystkich świętych,
Że albo nigdy z gór tych nie wyjdę,
Lub kapucynem zostanę tu.

Gdy pastuszek skończył, Don Kichot prosił go, żeby mu jeszcze co zaśpiewał, ale Sancho, któremu się bardziej spać chciało, niżeli słuchać piosenek, sprzeciwił się temu, zwracając uwagę pana, iż czas pomyśleć o jakim na noc przytulisku i że tym biedakom, cały dzień krwawo pracującym, nie bardzo musi być na rękę w nocy bawić się piosenkami.

– Rozumiem cię, mój Sancho – odpowiedział Don Kichot – i widzę, żeś sobie łyknął tak dobrze, iż głowa ci cięży, ale nie do muzyki.

– Bogu Najwyższemu chwała – rzekł Sancho – ja łykał i pan łykał, i wszyscyśmy łykali, a nikt się nie wzdragał.

– Dobrze, dobrze – na to mu Don Kichot – możesz iść spać, kiedy ci się podoba; ludziom takim jak ja, czuwać, a nie spać przystoi. Ale wprzód opatrz no mi ucho, bo dalipan, że mi kaducznie doskwiera.

Sancho zaczął się krzątać około maści, ale jeden z pasterzy, spostrzegłszy ranę, rzekł do Don Kichota, żeby się o nic nie turbował, że mu ją zaraz uzdrowi. Nazbierał niebawem liści rozmarynowych, posiekał je, posolił i przywiązał plastrem do ucha, zapewniając, że już żadnego nie będzie potrzebował lekarstwa, jakoż całkiem się to sprawdziło.

Rozdział IV

Opowiadanie pasterza

Kiedy tak się bawią, przybywa znów chłopak, który chodził po żywność do miasta, i przybywszy, zaraz pyta:

– Wiecie bracia, co się stało?

– A skądże mamy wiedzieć – odpowie któryś.

– A no patrzajcież, moi mili, to ten Chryzostom taki dobry, taki poczciwy pasturek, umarł dziś rano, jak powiadają, z miłości do tej opętanej Marceli, córki Wilhelma bogacza, co to się włóczy po polach jak pasterka ubrany.

– Z miłości do Marceli? – rzecze jeden z pasterzy – drwisz sobie, czy o drogę pytasz?

– A tak jest tak nie inaczej – odpowiedział chłopak – a co dziwniejsza to, że Chryzostom kazał się pochować wśród pola, jak poganin jaki, tam pod skałą, gdzie bije źródło, bo tam, jak sam mówił, pierwszy raz ją ujrzał. Polecił nadto przy śmierci wiele innych rzeczy, jeszcze dziwniejszych, ale ich nie wykonają, bo organista powiada, że strasznie pogańskie i zły przykład by dały, ale Ambroży, kolega i przyjaciel nieboszczyka, co to także po pastersku się nosi, chce koniecznie, żeby wykonano, co Chryzostom polecił. Cała wieś o niczym innym nie gada i zdaje się, że Ambroży razem z innymi pasterzami, przyjaciółmi zmarłego, postawią na swoim i pochowają go jutro z wielką ceremonią w miejscu żądanym. Będzie to śliczne widowisko, muszę i ja tam pójść.

– Wszyscy pójdziemy – zawołali pasterze – i losem ciągnąć będziemy, kto przy kozach zostanie.

– Masz słuszność, Piotrze – odezwał się któryś – trzeba tam pójść, ale losem nie ma co ciągnąć, ja za was wszystkich zostanę. Nie sądźcie, żebym się tym chciał wam przysłużyć, albo nie miał ciekawości – nie, tylko, że chodzić nie mogę, bo mi ten cierń, co mi wczoraj wlazł w nogę, okrutnie dolega.

– Dla nas to zawsze twoja łaska – odrzekł Piotr – i Bóg zapłać za nią, dopóki sami nie potrafimy.

Słysząc tę rozmowę, Don Kichot prosił Piotra, żeby mu powiedział, jak się nazywał nieboszczyk, i kto jest ta pasterka. Piotr mu na to odpowiedział, że nic nie wie, prócz tego, iż nieboszczyk był to młody szlachcic bardzo bogaty, którego ojciec mieszka tu w pobliskim zamku między górami, a on przez lat kilka chodził na nauki w Salamance i wrócił bardzo uczony, jak wszyscy powiadali; nade wszystko, ciągnął Piotr dalej, mówili ludzie, że się zna na gwiazdach i wie wszystko, co się tam dzieje na niebie między słońcem i księżycem. I zawsze też nam na pewniaka przepowiadał, kiedy słońce albo księżyc zasłonią się od nas.

– A!... przepowiadał wam zaćmienia słońca i księżyca – poprawił Don Kichot – bo to, widzisz, nazywa się zaćmienie, kiedy się te gwiazdy tak zasłaniają.

Piotr mało zwracał uwagi na te subtelności językowe i mówił dalej:

– Zgadywał także, czy będziemy mieli dobry, czy zły rok. Krewniacy jego i przyjaciele, którzy wierzyli wszystkiemu, co mówił, słuchali zawsze rad jego i w krótkim czasie przyszli do wielkich majątków; on im raz radził, żeby siali jęczmień, a nie pszenicę, drugi raz znów, żeby siali groch, a nie jęczmień. Przepowiedział raz, że w jednym roku będzie wielka obfitość oliwy, a potem przyjdą trzy roki z kolei, że się jej ani kapka nie zbierze, i wszystko to się sprawdziło święciuchno.

– Taka nauka nazywa się astrologią – poważnie odezwał się Don Kichot.

– Nie wiem ja, jak się ona nazywa – odrzekł Piotr – ale to wiem, że on się znał na wszystkim i wszyściusieńko na świecie umiał. W trzy miesiące po powrocie z Salamanki przystał do nas na piękne, przebrał się po pastersku, zawiesił sobie przez plecy torbę i pasał trzódkę swoją, i przyjaciel jego, Ambroży, co także uczony był

w Salamance, przyszedł także do niego, zrzucił sutanę i przywdział się po naszemu. Ale, zapomniałem wam jeszcze powiedzieć, że ten Chryzostom składał śliczne pieśni, nawet pisał kolędy, co się śpiewają w wigilię Narodzenia Najświętszego Dzieciątka Jezus, i dorabiał także wiersze dla chłopców na zabawki Bożego Ciała, a to wszystko było zawsze takie piękne, że ludzie powiadali, jako nigdy nic śliczniejszego nie słyszeli. Nikt nie wiedział, jaka była przyczyna, że ci dwaj studenci przebrali się tak po pastersku i życie sobie na nice przemienili, wszyscy się im mocno dziwowali. Ojciec Chryzostoma umarł wtedy i zostawił mu wielki majątek, moc bydła i trzód wszelkich i wiele ruchomości i pieniędzy. Bóg mu to dał, bo zasłużył; złota była to dusza, wszystkich dobrych ludzi kochał serdecznie, a twarz to miał taką, jak aniołek. Później dopiero dowiedziano się, że to przebranie się za pasterza stąd miało przyczynę, iż rozmiłował się na zabój w pięknej pasterce Marcelli i za nią tak gonił po górach i polach. Muszę wam też opowiedzieć, co to za jedna ta Marcella, bo i to się wam zda wiedzieć. Jako żywo, pewnoście jeszcze, ba i nie pewno, tylko tak jest niezawodnie, że nigdy w życiu nie słyszeli nic podobnego i choćbyście tysiąc lat żyli, nigdy nie usłyszycie. Wspomniałem wam, miły panie, że był we wsi naszej rolnik, imieniem Wilhelm, jeszcze bogatszy od ojca Chryzostomowego, któremu Pan Bóg, oprócz bogactwa, dał śliczną córkę, której matka umarła, wydając ją na świat. Poczciwa to była kobieta jej matka, nie znałem nigdy zacniejszej niewiasty w całej okolicy. Zda mi się, że ją jeszcze mam przed oczami, poczciwe kobiecisko, z twarzą rumianą, a oczami iskrzącymi jak dwa słońca, a jaka zawołana gospodyni i jak biednych kochała; założyłbym się, że musi teraz być w raju. Wilhelm umarł z tęsknoty po śmierci żony i młodziutkiej Marcelce, jedynaczce, zostawił cały majątek, oddając opiekę stryjowi jej, który był proboszczem we wsi naszej.

Dziewczę rosło co dnia piękniejsze i coraz więcej przypominało nam matkę cudną twarzyczką swoją; gadano już wtedy, że jeszcze śliczniejsza będzie od nieboszczki, a skoro doszła lat piętnastu, każdy, kto ją zobaczył, podziwiał chwałę Bożą w cudownej jej piękności, i każdy się w niej rozkochał, albo raczej z miłości dla niej wariował. Stryj strzegł jej pilnie i chował surowo, ale sława jej piękności rozbiegła się po świecie; i tak z tej przyczyny, jako i dla wielkiego majątku, mnóstwo młokosów najpierwszych rodzin nie tylko ze wsi naszej, ale z dalekiej okolicy, ubiegało się o jej rękę, nie dając i chwili pokoju jej stryjowi. Poczciwy pleban rad by ją był wydał za mąż jak tylko dorosła, ale nigdy nie chciał tego czynić bez jej zezwolenia, i nie sądźcie, że zwlekając z wydaniem za mąż, miał na widoku jakie korzyści majątkowe, wszyscy wiedzą, że przeciwnie, poczciwe człowieczysko własnego nieraz nie dojrzał gospodarstwa, tyle miał kłopotu z rządem jej mienia. Z wielką też pochwałą mówi się zawsze o nim na naszych wieczorynkach. Bo trzeba wam wiedzieć, dostojny rycerzu, że na takich wieczorynkach to u nas mówi się o wszystkim, i nieraz dobrze się ludzi kąsa, każdy powie co myśli. Można być pewnym, że musi to być prawdziwie dobry i przykładny człowiek, kiedy go wszyscy parafianie jednym głosem chwalą i uwielbiają.

– Słusznie mówisz – rzekł Don Kichot – ale ciągnij dalej opowieść, proszę cię, dobry Piotrze, bo historia bardzo piękna i opowiadasz ją bardzo pięknie.

– Pan Bóg z wami, mówi się zwyczajnie jak było i kwita. Owóż tedy, żeby wam dalej rzecz wyłożyć, co stryj jej zaleci owego lub zachwali którego z młokosów, starających się o jej rękę, prosząc ją, żeby sobie sama męża wedle upodobania wybrała, to ona mu zawsze jedno odpowiada, że jeszcze o tym nie myśli, że młoda i ma jeszcze dosyć czasu. Takimi to mądrymi sposobami zasłaniała się

zawsze od pieczołowitości stryja, a on czekał aż będzie starsza, żeby sobie sama męża wybrała, gdyż mawiał to zawsze i dobrze mawiał, rodzice nie powinni nigdy postanawiać dzieci przeciw ich woli.

Aż tu razu jednego, kiedy się nikt ani spodział, dumnej Marcelli zachciało się zostać pasterką, i mimo odradzań stryja i wszystkich, co ją od tego odwieść chcieli, dziewczyna bieży z innymi w pole i sama gromady pilnuje. Do pioruna! wtedy to dopiero bieda była; bo jak tylko się ukazała i piękność jej zajaśniała na polach, sypnęło się zaraz gachów bez liku, to ze szlachty, to z bogaczów wiejskich, a wszyscy na pasterzy się poprzebierali i dalejże w sielskie zalecanki do niej! Jednym z takich, jak już powiedziałem, był i biedny Chryzostom; ludzie mówili, że nie kochał, ale ubóstwiał ją. Marcella, obrawszy sobie to swobodne życie, na krok jednak od surowej skromności nie odstąpiła; przeciwnie, tak umie dbać o godność swoją, że żaden z zalecających się jej nie może się pochwalić, żeby go kiedy najlżejszą nadzieją pocieszyła, a chociaż nie unika ani towarzystwa, ani rozmowy z pasterzami, i przestaje z nimi bardzo po przyjacielsku, jeżeli jednak który z nich odważy się odkryć jej miłość swoją, mimo, że w najświętszym celu, to tak go zaraz odsadzi, że już ani pomyśli drugi raz się do niej przysunąć. Tak tedy ta dziewczyna więcej nam tu biedy robi, niż morowe powietrze, bo wszystkie serca jak na lep lgną do jej piękności i słodyczy, a potem srodze zranione w rozpacz wpadają. Cała ich zemsta, że później wykrzykują na nią głośno, że okrutna i niewdzięczna, i wymyślają jej różne przezwania, na które okrutnica słusznie zasługuje. Żebyście tu dłużej zostali, dostojny rycerzu, tobyście usłyszeli nieraz, jak po górach i dolinach roznoszą się żałosne jęki tych biednych kochanków, przez nią odrzuconych. Niedaleko stąd stoi ze trzydzieści buków, a nie ma ani jednego, żeby na całej korze nie nosił wyrytego imienia Marcelli, a na niektórych nad tym

imieniem świeci korona, jakby na znak, że jej się należy korona piękności. Tu wzdycha jeden pasterz, a tam znów drugi płacze żałośnie; tu słychać piosnki miłosne, a tam znów rozpaczne wykrzyki. Niejeden całą noc spędza bezsennie pod jakim dębem lub skałą, i zatopiony w myślach, czeka wschodu słońca; inni znów, wzdychając bezprzestannie, najskwarniejsze dni lata przeleżą na rozżarzonym piasku, śląc ciągle do nieba bolesne wołania i straszne lamenty. A dumna Marcella, jakby to ją nic nie obchodziło, drwi z tego wszystkiego i jednych i drugich zarówno wzgardą odpycha. My, co ją znamy tylko, czekamy, do czego doprowadzi ta zatwardziałość niebezpiecznej dziewki i kto będzie ten szczęśliwy, co ją obłaskawić dla siebie potrafi. Wszystko, com wam powiedział, jest najrzetelniejszą prawdą i nie ma żadnej wątpliwości, że śmierć Chryzostoma z jej przyczyny pochodzi. Radzę wam, dostojny rycerzu, iść jutro na jego pogrzeb, nie ma jak pół mili stąd, a będzie tam co widzieć.

– Pójdę, pójdę niezawodnie – odrzekł Don Kichot – a tobie dziękuję uprzejmie za tę historię, która mi wiele sprawiła rozkoszy.

– O... jeszcze by to wiele gadać – odpowiedział pasterz – nie mówiłem ja wam i połowy różnych przygód, które się kochankom Marceli wydarzyły, ale jutro znajdzie się kto z naszych, co wam reszty dopowie. Na teraz, miły panie, trzeba wam pomyśleć o wygodnym łożu, gdzie pod dachem, bo nocne powietrze niedobre dla waszej rany, chociaż pod tym plastrem nie ma się bać czego.

Sancho, który już z milion razy całym piekłem diabłów przeklął pasterza i jego gadulstwo, nastawał gwałtem na pana, żeby poszedł spać do szałasu Piotra. Zgodził się nareszcie na to, ale noc przepędził bezsennie, myśląc ciągle o nieubłaganej Dulcynei swojej, żeby w niczym nie ustąpić kochankom Marceli. Co zaś do Sancha, ten się rozciągnął wygodnie na słomie pomiędzy Rosynantem a osłem,

i chrapnął smacznie, nie jak kochanek wzgardzony, ale jak człowiek z brzuchem potężnie wyładowanym i grzbietem należycie oporządzonym.

Rozdział V

Dalszy ciąg historii o Marcelli

Zaledwie jutrzenka wyjrzała spoza widnokręgu, jak to mówią poeci, a już pięciu, czy sześciu pasterzy wstało z posłania i poszło pytać się Don Kichota, czy ma jeszcze zamiar pójść na pogrzeb Chryzostoma i powiedzieć mu, że gotowi mu są towarzyszyć. Don Kichotowi w to tylko graj, wstał więc i rozkazał Sanchowi okulbaczyć wierzchowca. Posłuszny Sancho zwinął się prędko i, nie bawiąc, cała gromada ruszyła w drogę. Nie uszli i ćwierć mili, gdy ujrzeli przybywających z boku sześciu lub siedmiu pasterzy, w czarnych kaftanach, z cyprysowymi i wawrzynowymi wieńcami na głowach i wielkimi wiechami w ręku. Za nimi jechało dwóch szlachty na koniach, w pięknym ubraniu, a dalej szło trzech hajduków pieszo. Zszedłszy się, powitali się grzecznie i, zapytawszy wzajem o cel podróży, przekonali się, że wszyscy dążą na pogrzeb nieszczęśliwego młodziana; razem więc dalej ruszyli. Jeden z jezdnych kawalerów tak mówił do swojego towarzysza:

– Mości Vivaldo, nie będziemy zapewne żałowali czasu ceremonii tej poświęconego, bo to będzie coś ciekawego, sądząc z opowiadań tych poczciwych ludzi o zmarłym kochanku i strasznej kochance.

– O i ja pewien jestem, że żałować nie będziemy – rzekł Vivaldo – i cztery dni gotów bym poświęcić, byleby się znajdować na tym pogrzebie.

Don Kichot pytał się ich, co by im powiadano o Chryzostomie i Marcelli; jeden z nich odpowiedział, że spotkali pasterzy, a widząc

ich w żałobnym stroju, chcieli się o przyczynie dowiedzieć i wtedy im opowiedziano historię o pięknej a okrutnej Marcelli, o wielu jej kochankach i śmierci Chryzostoma, na którego pogrzeb zdążali. Słowem, powtórzyli Don Kichotowi wszystko, co mu Piotr powiedział, a gdy skończyli opowiadanie, Vivaldo zapytał naszego rycerza, dlaczego tak strasznie uzbrojony jeździ po kraju tak spokojnym.

– Stan mój i powołanie – odparł Don Kichot – nie pozwalają mi inaczej się na świat pokazywać. Stroje i wygody, to dla dworaków, a praca, znoje i broń, to dla rycerzy błędnych, do których liczby mam zaszczyt należeć.

Dość tego było dla tych kawalerów, żeby rycerza naszego za wariata wzięli; ale, żeby się jeszcze lepiej upewnić i zobaczyć, co to za rodzaj wariacji, Vivaldo żądał od niego, żeby mu wytłumaczył, co to są rycerze błędni.

– Jak widzę, moi panowie – rzekł Don Kichot – nie czytaliście kronik angielskich, w których jest mowa o wielkich czynach króla Artura, co o nim podanie niesie, że żyje dotąd w Wielkiej Brytanii zaklęty w kruka, ale kiedyś wróci do dawnej postaci i na tronie zasiądzie; od tego to czasu nikt nie widział, żeby który Anglik zabił kiedy kruka. Za tego to zacnego króla utworzonym został zakon rycerski Okrągłego Stołu i rozgłosiły się po świecie miłostki Don Lancelota z królową Genewrą.

Dam usługami tkliwemi
Nikt nie był tak zaszczycony,
Jak Lancelot, gdy w te strony
Z Bretońskiej powracał ziemi.

Od owego to czasu zakon ten rycerski coraz się bardziej rozszerzał i po wszystkich częściach świata zasłynął. Dzielny Amadis wsławił

go swymi czynami, a synowie jego i wnuki aż do piątego pokolenia waleczność po nim odziedziczyli. Głośny też był w świecie nieustraszony Feliks Mars z Hikarnii i inny znów rycerz, którego nigdy dość nachwalić nie można, znany ów Tyrant Biały. Za naszych już prawie czasów zajaśniał niezwyciężony Belianis z Grecji, i tylu innych, których imiona historia na wieki zachowa. Taki to jest, mój panie, zakon błędnych rycerzy, do którego, powiedziałem ci, należę i którego prawa ściśle wykonywam, a starodawne wzory cnót rycerskich pilnie naśladuję. Dlatego to, jak niegdyś oni, ja teraz jeżdżę po górach i puszczach, goniąc za przygodami, żebym osobę moją i prawicę mógł wsławić niebezpieczeństwami, na które w sprawie nieszczęśliwych i słabych z gotowością zawsze się narażam.

Usłyszawszy taką mowę, podróżni pewni już byli, że Don Kichot ma źle w głowie i bardzo się dziwowali tej niezwyczajnej chorobie. Vivaldo że był bardzo wesoły i chciał się w drodze zabawić, wyrozumiawszy rzecz dobrze, w ten sposób Don Kichota zagadnął, żeby go rozochocić:

– Zdaje mi się, mości błędny rycerzu, że obrałeś sobie jedno z najtwardszych powołań na świecie; wątpię nawet, żeby zakon kartuzów większej wymagał surowości.

– W surowości może nam wyrównywają – odpowiedział nasz rycerz – ale nigdy w użyteczności i sławie, bo dla nich dosyć modlić się spokojnie i cicho do Boga, dla dobra innych ludzi, a my rycerze i wojownicy urzeczywistniamy to, o co oni się tylko modlą, zapewniając ludziom pomyślność i sprawiedliwość dzielnością ramienia naszego i ostrzem oręża. Ale za to narażeni jesteśmy na wszystkie niewygody i utrapienia; latem ciągle na piekącym słońcu, a zimą na trzaskających mrozach. Mamy więc prawo nazywać się zesłańcami bożymi na tej ziemi i wykonawcami

sprawiedliwości. Wojna i trudy żołnierskie ciągną za sobą tysiące innych mozołów, dlatego też, kto ten stan sobie obierze, wielkie ma zasługi, jeżeli cały się poświęca dla dobra bliźniego. Z tym wszystkim niechże mnie Bóg broni, abym miał twierdzić, że stan rycerza błędnego jest równie święty i bezpieczny, jak stan duchowny; ale to rzecz niezawodna i z doświadczenia dobrze mi znana, że przecierpieć w nim wszelakich udręczeń, głodu, pragnienia, bólu i niewczasu trzeba daleko więcej, słowem, że to stan daleko nędzniejszy, niż o tym przekonać się można z nieszczęść rozmaitych rycerzy, które historia opisuje. Byli wprawdzie między nimi i tacy, co dzielnością oręża korony sobie zdobyli, ale wierzajcie mi, dobrze oni to krwią i trudami przypłacili; a gdyby nie mieli przy sobie mędrców i czarnoksiężników do pomocy, to bądźcie pewni, że niewiele by wskórali.

– Cudownie, podzielam wasze zdanie o rycerzach błędnych – rzekł Vivaldo – ale z wielu innych, jedna szczególnie rzecz mnie uderza, a tą jest, że przedsiębiorąc czyn jaki wielki z wyraźnym życia narażeniem, nie uciekają się do pomocy i opieki boskiej, jak każdy chrześcijanin w podobnym razie czynić powinien, ale polecają się zdrożnie kochankom swoim i wzywają ich pomocy, jak gdyby innego Boga nie mieli. Moim zdaniem, wielkie to pogaństwo.

– A, mój panie, kiedy to już nie może być inaczej – odpowie Don Kichot – i rycerz błędny, co by sobie inaczej postąpił, na śmiech by się tylko naraził, jest to zwyczaj odwieczny i uświęcony; rycerz błędny, walcząc nawet wobec damy swojej, powinien zwracać miłośnie wzrok ku niej, jak gdyby błagając, żeby mu była przychylną i w niebezpieczeństwie pomocą. Chociaż nikt nie widzi i nie słyszy, powinien on zawsze kilku przynajmniej słowami, z głębi serca idącymi, polecić się jej łasce; historia daje nam nieskończoną ilość podobnych przykładów. Ale za tym wcale nie

idzie, aby rycerz błędny nie mógł się i Bogu polecić, na wszystko jest czas; w chwili boju nawet może to uczynić.

– Ja mam jeszcze jeden zarzut – wtrącił Vivaldo – czytałem nieraz, że rycerze błędni, rozmawiając z sobą, zapalają się tak, iż od słowa do słowa przychodzi między nimi do zwady i nagle zwracają konie na pole, jak wściekli rzucają się na siebie, dwoma słówkami zaledwie mając czas polecić się damom. W takich gonitwach i bojach jednemu zwykle dostaje się cięcie albo pchnięcie śmiertelne, a drugi zwala się z konia, jeżeli grzywy się nie przytrzyma. Otóż tedy nie pojmuję, jak w tak żwawej przygodzie umierający znaleźć czas może na polecenie się Bogu. Nie lepiejże by było od razu obrócić się do Boga, zamiast do damy swojej, dopełniłby przynajmniej chrześcijańskiego obowiązku, a zawiniłby tylko przeciw kochance, to znów nie tak wielka bieda, bo niezawodnie niejeden rycerz błędny nie ma nawet kochanki, wszyscy przecież jak najęci zakochani być nie mogą.

– To być w żaden sposób nie może – rzekł Don Kichot – nie ma rycerza bez kochanki, jak nie ma nieba bez gwiazd. To główny warunek jego istoty, bez tego żyć by nie mógł; historia nigdy nie wspomina o niczym podobnym, więcej panu powiem i oświadczam to solennie, że gdyby przypadkiem znalazł się rycerz bez miłości w sercu, to niezawodnie nie jest on rycerzem prawym, ale bękartem, co się wdarł do zakonu naszego piecem, nie drzwiami, jak złodziej jaki lub rozbójnik.

– O ile sobie przypominam jednakże – rzekł Vivaldo – to Don Galaor, brat dzielnego Amadisa, nie miał nigdy kochanki stałej, której imienia mógłby wzywać w bojach, a mimo to był bardzo waleczny i szanowany.

– Jedna jaskółka nie robi wiosny – odpowiedział Don Kichot – a przy tym, wiem ja z dobrego źródła, że Don Galaor kochał się

zapamiętale, ale w tajemnicy, a jeżeli zalecał się do wszystkich, co mu się podobały, to już tak z naturalnego pociągu, którego nie był panem, ale zawsze bez ubliżenia tej, o której wiadomo jest niezawodnie, iż była jedyną panią jego woli i której zawsze się polecał przed bojem, ale tajemnie, bo był bardzo skryty.

– Na to już ani słowa – rzekł Vivaldo – ale kiedy konieczną jest rzeczą dla każdego rycerza, aby miał kochankę, to rzecz bardzo naturalna, że waszmość, który jesteś tak przykładnym rycerzem, musisz być z obowiązku zakochany, jeżeli przeto uporna skrytość Galaora nie jest twoim udziałem, to błagam cię imieniem całego towarzystwa, opisz nam, kto jest i jak wygląda twoja kochanka. Zaszczytna to rzecz dla niej, że świat cały wiedzieć będzie, iż rycerz tak znamienity za bóstwo ją obrał sobie.

– Nie wiem ja – rzekł Don Kichot – czy ta najdroższa tyranka moja uzna za złe lub dobre, aby świat wiedział, że jestem jej niewolnikiem, ale to wiem dobrze (by uprzejmemu żądaniu waszemu zadość uczynić), że się nazywa Dulcynea, że ojczyzną jej jest Toboso i że, co najmniej, jest księżniczką, bo jest władczynią myśli i serca mego. Z piękności to cud prawdziwy, w którym co do słowa sprawdzają się wszystkie sny i uniesienia poetów, kochanki swe sławiących. Jej włosy – to najczystsze złoto, jej lica – to drobny obraz Pól Elizejskich, jej brwi – to tęcze niebiańskie, a oczy jej prawdziwe słońca, na jagodach wykwitają róże, usta z koralu, zęby z pereł, szyja z alabastru, piersi z marmuru, a ręce ze słoniowej kości, białość śniegu przed jej białością niknie, jak księżyc przed słońcem. Słowem, to, co oczy widzą, łatwo sądzić daje, że to, czego nie widzą, jest bez ceny i porównania.

– Teraz nam już tylko idzie – rzecze Vivaldo – o poznanie jej rodu i genealogii.

– Nie pochodzi ona – odparł Don Kichot – od starożytnych Kurcjuszów, Kajusów lub Scypionów rzymskich, nie pochodzi także od Kolonnów, ani Ursynów nowożytnych, nie pochodzi od Mondaków, ani Rekuezenów katalońskich, ani od Rebollasów lub Willanowasów walenckich, nie liczy w antenatach Palafoksów, Nuzasów, Rokabertysów, Kovellasów, Lunasów, Alagonów, Usveów, Focesów, ani Gurreasów aragońskich, ani też Cerdasów, Mauryknesów, Mendozów lub Guzmanów kastylijskich, w rodzie jej nie ma Alenkastrów, Pallasów, ani Menesów portugalskich. Ród jej idzie wprost z Toboso w Manchy, nie jest to ród starożytny, ale stać się może źródłem i szczepem rodzin najznakomitszych w przyszłych wiekach. A na to niechaj mi nikt nie waży się dawać wątpliwej odpowiedzi, jeżeli nie chce narazić się na groźbę, którą Zerbin wypisał pod trofeami zbroi Rolanda:

Kto tknąć jej będzie dość zuchwały,
Pozna Rolanda gniew zapamiętały.

– Chociaż rodzina moja – rzekł podróżny – pochodzi z Kaszopinów Loredańskich, nie śmiałbym jednak równać jej nigdy z rodziną z Toboso w Manchy, ale, prawdę powiedziawszy, nazwisko to i tytuł nigdy jeszcze uszu moich nie doszły.

– A to rzecz niesłychana – rzakł Don Kichot – dziwi mnie to mocno.

Wszyscy obecni przysłuchiwali się pilnie tej rozmowie i sami pasterze łatwo to poznali, że rycerzowi naszemu wyraźnie klepki w głowie nie dostaje. Jeden tylko Sancho Pansa wierzył ślepo wszystkiemu, co pan jego mówił, bo znał go od dzieciństwa i wiedział, co to za człowiek niepospolity. Co do Dulcynei jednakże miał niejaką wątpliwość, bo będąc z okolic Toboso, znał tam

wszystkich doskonale i nigdy o żadnej podobnej księżniczce w całej Manchy nie słyszał.

Jadąc tak ciągle i rozmawiając, spostrzegli niezadługo w wąwozie między dwiema górami, przez który droga im wypadała, kilkunastu pasterzy, w czarne skóry przybranych, z wieńcami cyprysowymi i lipowymi na głowach. Sześciu ich niosło trumnę, pokrytą kwiatami i zielenią. Jeden z pasterzy, spostrzegłszy to, rzekł:

– A to niosą ciało Chryzostoma, które tu pod tą górą ma być pochowane.

Wszyscy więc kroku przyspieszyli i przybyli na miejsce w chwili właśnie, kiedy pasterze trumnę z bark na ziemię zestawiali, a czterech ludzi brało się już do wykopania grobu pod skałą. Powitali się wzajemnie, grzecznych słów kilka zamieniwszy. Don Kichot z resztą towarzystwa zaczął się przyglądać trumnie. Leżał w niej młodzian około lat trzydziestu, w ubraniu pasterskim, cały kwiatami pokryty. Na śmiertelnej jego twarzy znać było piękność i szlachetność niepospolitą. Obok niego leżało w trumnie mnóstwo papierów i zeszytów zapisanych. Wszyscy obecni tam, tak widzowie, jako i pracujący, ponure zachowywali milczenie; po chwili dopiero jeden z tych, co trumnę przynieśli, odezwał się do drugiego:

– Obacz tylko dobrze, Ambroży, czy to tu Chryzostom chciał być pochowany.

– Tu, tu – odpowiedział Ambroży – w tym to miejscu nieszczęśliwy mój przyjaciel opowiadał mi stokrotnie smutną historię serca swojego. Tu to po raz pierwszy ujrzał tę nieubłaganą nieprzyjaciółkę rodu męskiego, tu po raz pierwszy wyznał jej szlachetną i gwałtowną miłość swoją, tu niemiłosierna Marcella do ostatniej rozpaczy doprowadziła go nieprzepartą wzgardą i kres

smutnemu życiu położyła; tu nareszcie żądał, żeby go pochowano na wieczną tylu cierpień pamiątkę.

Ambroży, zwracając się do Don Kichota i innych, tak przemówił:

– Śmiertelne szczątki te, panowie, na które ze współczuciem patrzycie, niedawno jeszcze mieściły w sobie duszę uposażoną z nieba najhojniejszymi darami. Widzicie tu ciało Chryzostoma, człowieka umysłu wielkiego, zacności niezrównanej, uczuć pięknych i wzniosłych. O przyjaciela takiego niełatwo. Wspaniały i hojny bez próżności, mądry i poważny bez dumy, skromny bez przesady, uprzejmy i miły bez uniżenia, był to, jednym słowem, młodzian pierwszy we wszystkim, co szlachetne i dobre. Nie miał też sobie równego w nieszczęściu: kochał szalenie, a był nienawidzony, ubóstwiał, a był wzgardzony, poświęcił się bez granic hołdom tyranki, której nic zmiękczyć nie zdołało, płakał, jęczał przed głuchym i nieczułym marmurem, a żale jego nikły w powietrzu, westchnienia wiatr roznosił i igrał z jego boleścią; rozmiłował się nawet w tej twardej niewdzięczności, a w nagrodę padł pod ciosem śmierci w najpiękniejszej porze życia, który mu zadało okrucieństwo pasterki, wierszami jego na wieczne czasy unieśmiertelnionej. Papiery, które tu widzicie, najlepsze mogłyby dać świadectwo prawdy słów moich, ale mi polecił na łożu śmierci rzucić je w płomienie, kiedy ciało ziemi powierzać będę.

– Byłbyś jeszcze okrutniejszym, niż on sam był dla siebie – rzekł Vivaldo – gdybyś to uczynił; nie godzi się wykonywać ściśle poleceń z rozumem niezgodnych, ileż to przecudnych rzeczy na zawsze by zginęło, gdyby wykonywano skrupulatnie ostatnią wolę takich nieboszczyków! Obowiązkiem przeto jest twoim, mości Ambroży, ostatnią tę oddać przyjacielowi posługę i ocalić od niepamięci dzieła jego, które w gniewie i rozżaleniu zniszczyć ci polecił. Zachowaj te papiery, świadczące o cnocie twego przyjaciela

i niewdzięczności Marcelli, chociażby dlatego, żeby służyły za przestrogę innym i tak rzewnym przykładem uchroniły ich od podobnej zguby. My tu obecni znamy dzieje miłości i rozpaczy Chryzostoma i przyczynę jego śmierci; znamy przyjaźń, jaka was łączyła, i polecenia, jakie ci dał na łożu śmierci; z tego wszystkiego sądzić możemy, jak wielkim było okrucieństwo Marcelli i miłość pasterza, jawnie przekonywamy się, jaki koniec czeka tych, co ślepo ufają próżnym nadziejom zawodnej miłości. Wczorajszego wieczora dowiedzieliśmy się o śmierci Chryzostoma i że tu ma być pochowany; nie ciekawość, lecz serdeczne współczucie kazało nam wstrzymać się w podróży, żeby mu ostatnią oddać posługę i dać dowód, iż ludzie uczciwi zawsze boleć umieją nad nieszczęściem bliźnich. Upraszam was przeto, szlachetny Ambroży, nie zostawcie dobrych chęci naszych bez nagrody, przychylcie się do prośby, którą w całym gronie do was zanosimy, i nie palcie papierów po nim pozostałych.

Rzekłszy to, a nie czekając odpowiedzi pasterza, Vivaldo zbliżył się do trumny i wziął w rękę kilka zwitków.

– Niechże i tak będzie – rzekł Ambroży – zostawiam wam, coście wzięli, ale względem reszty, darujcie mi, dopełnić muszę woli przyjaciela; to była własność jego, mógł nią rozporządzać, jak mu się podobało.

Vivaldo, niecierpliwy dowiedzieć się, co zawiera zwitek, który pochwycił, otworzył go natychmiast i przeczytał tytuł głośno. Napis tam był: *Rozpacz kochanka*.

– To ostatni utwór Chryzostoma – rzekł Ambroży. – Żeby się wszyscy tu obecni przekonać mogli, do czego doprowadziło go nieszczęście, proszę was, przeczytajcie głośno te wiersze, nim grabarze grób wykopią.

– Z całego serca – odrzekł Vivaldo. Otoczyli go kołem, a on im czytał, co następuje:

Rozdział VI

Wiersze rozpaczliwe pasterza Chryzostoma i inne niespodziewane zdarzenia

Rozpacz kochanka
Okrutna! chcesz, bym głosił wyrazem goryczy,
Cierpienia, których źródło w twojej niewdzięczności;
Chcąc wylać tę truciznę, chyba mi użyczy
Na chwilę furia piekieł całej swej wściekłości.

Dobrze... rozpacz i boleść, sił ostatek zbiera
Do czczej pociechy żalów, a więc je ogłoszę.
Jad długo ukrywany ciągle pierś rozdziera,
Jedna śmierć... a tysiąca zgonów męki znoszę!

Słuchaj więc głosu, który błagał cię daremnie,
Co, budząc gniew i zgrozę na przestworzu kona;
Pragnę, chcąc cię nasycić, znieważyć wzajemnie,
Razem z żalem wyrzucić krew i serce z łona!

Wy! posłańcy nieszczęścia, złowróżbne puszczyki,
Których jęk wzbudza drżenie przed niechybnym ciosem,
Drapieżne sępy, głoście mój żal swymi krzyki,
Sowy, kruki, połączcie swój głos z moim głosem!

Wyjdź z twych kryjówek rodzie potworów zażarty,
Zmieszaj z moimi łzami ryk straszny, złowrogi:
Lwy, tygrysy, hieny, niedźwiedzie, lamparty,

Pomóżcie mi wyrazić ból rozpaczy srogiej!

Niechaj was na chwil kilka mym żalem zwyciężę,
Bądźcie dla mnie czułymi, dodajcie mi siły,
Użyczcie mi syczenia padalce i węże,
Jadu, co jedną kroplą wtrąca do mogiły.

Nie odmawiaj mi, burzo, wściekłych wichrów wycia,
Nie odmawiajcie, morza, huku fal spienionych,
Chmury! błyskawic, grzmotów i piorunów bicia –
Piekło! w wnętrznościach ziemi twych wstrząśnień szalonych!

Niech jęk całej natury z moim połączony,
Utworzy głos rozpaczy, zdolny wstrząsnąć głazem,
Niech on cierpień mej duszy wzgardą udręczonej,
I czarnej niewdzięczności stanie się obrazem.

Rozdzierające skargi z mych piersi zbolałych
Przenikną i poruszą najtwardsze opoki,
A ostatnie wyrazy ust zlodowaciałych
Wieczne echo ożywi wśród jaskiń pomroki.

Nigdy się nie odbiły o Tagu wybrzeża,
Wznosząc lament pod niebo, żałobniejsze tony;
Nigdy nie był straszniejszym ryk dzikiego zwierza,
Co padł, ostrym żelazem myśliwca zraniony.

Tam, gdzie Nil szumne wały roztacza wspaniale,
W najodleglejsze miejsca, przepaście, pieczary,
I w głąb najdzikszych lasów, dolecą me żale,
Ogłaszając niewdzięczność niepodobną wiary.

Dzikie ludy, choć żyją wśród grubej ciemnoty,
Zrozumią jednak boleść, co me wiersze splata,
Los mój nadto jest srogi, zbyt wielkie zgryzoty,
Aby nie miały, dobiec aż na kraniec świata.

Obojętne spojrzenie sercu cios zadaje,
Jedno czcze podejrzenie krwawą czyni bliznę,
A ta najstalszy umysł rozpaczy poddaje,
Zmieniając się w zazdrości śmiertelną truciznę.

Nieobecność jej – grobem twojej spokojności,
Obawa wzgardy serce niepewne udręcza,
Na próżno los twój sławią, że godzien zazdrości,
W walce duszy nadziei nie błyśnie ci tęcza!

Każde z tych nieszczęść samo zabija... a przecie
Moc nieznana mą duszę z ciałem spaja dzielnie,
Dręczony podejrzeniem, muszę żyć na świecie,
Z dala od niej, wzgardzony, zazdrosny śmiertelnie.

Nigdy promyk nadziei wśród cierpień tysiąca
Jak najlżejszą pociechą nie wsparł biednej duszy
Nawet mój umysł sam już tę ulgę odtrąca,
Przystaje na istnienie wśród łez i katuszy!

Jakimż losem by spoić nadzieję z obawą,
Gdy ich przedmiot i twardy, i zimny jak skała?
Ach! gdy w nas podejrzenie zazdrość zbudzi krwawą,
Nie lepiejż by śmierć pasmo udręczeń przerwała?

Wreszcie, któż by nadzieją łudził się daremną,
Będąc celem szyderstwa, nieczułości, wzgardy,

Mając w fałszu stałości nagrodę nikczemną,
Nie mogąc łzami wzruszyć duszy jak stal twardej?

O! najtkliwszej miłości ciemięzco nieczuły,
Ty, co się zwiesz zazdrością, uzbrój moje ramię,
Przetnę męki, co nędzne życie mi zatruły,
Niech uwierzy niewdzięczna, że cierpień nie kłamię!

Więc umrę! choć nieszczęścia nie skończą się w grobie,
Kto żył wśród mąk, czyż piekło może mieć na względzie?
Przeznaczenie! ulegam beż szemrania tobie,
Tam, jak tu, los jednaki mym udziałem będzie!

Ale uwieńczmy miłość, zakończając życie,
Przypiszmy zgon, potrzebie sercu pożądanej...
Powiedzmy, że ten staje na rozkoszy szczycie,
Kto śmiercią zerwać może ciążące kajdany.

Nie obwiniajmy losu o dolę straszliwą.
Nie obwiniajmy Irys o okrutne męki,
Powiedzmy, że jej wzgarda zbyt jest sprawiedliwą,
Nieśmy cześć jej zaletom, wychwalajmy wdzięki.

Tak wspaniale przyjąwszy niewdzięczność okrutną
I ostatnim mą boleść tłumiąc wysileniem,
Miłości wypłaciłem daninę ci smutną,
Wnet żelazo rozłączy mnie z cierpień brzemieniem.

O ty! coś moje życie oddała boleści,
O ty! coś mnie przywiodła do tej konieczności,
Niech się twój wzrok widokiem mojej krwi napieści,
Pójdź! niech wydam ostatni jęk w twej obecności!

O! jakżebym z twej dłoni cios odebrał chętnie,
Ale uderz bez drżenia, prędzej umrę może,
Uderz! potem na zgon mój patrzaj obojętnie,
Bo dziś twojej litości najwięcej się trwożę!

Naigrawaj się z nieszczęść, wyszydzaj męczarnie,
Niech się na łzy kłamane twe oko nie sili,
Bo może żal prawdziwy srogość twą ogarnie,
Gdy jej brak do tryumfu jednej tylko chwili...

Przybądźcie, bo czas właśnie, wyjdźcie z pieczar głębi,
Tantalu, wiecznym żarem pragnienia dręczony,
Syzyfie nieszczęśliwy, ty, którego gnębi
Ból męczarni, dla ciebie tylko wymyślonej.

Prometeuszu, co swym ciałem, cierpiąc srodze,
Karmisz sępa, nie mogąc nasycić go przecie,
Iksionie, zamęczony na rozstajnej drodze,
Czarne prządki dni życia, które przeciąć chcecie.

Spieszcie pełne wściekłości obrzydłe potwory,
Bądźcie świadkiem konania i zaraz po zgonie
Czyńcie mego pogrzebu żałosne honory,
Jeśli tych nie niweczą samobójcze dłonie.

Niechaj przybędzie z wami Cerber niezbłagany,
Przyzywam całe piekło do krwawej radości,
Błyskawice, pioruny, grzmoty, huragany,
Niech wiodą męczennika okrutnej miłości!

Te wiersze wydały się dosyć dobre słuchającym, gdy tymczasem Vivaldo uważał, że podejrzenia i zazdrość, na które się Chryzostom użalał, nie zgadzały się z tym, co powszechnie mówiono o cnocie Marcelli; aby go wywieść z wątpliwości, Ambroży, który znał najskrytsze myśli swego przyjaciela, rzekł:

– Trzeba panu wiedzieć, że kiedy nieszczęśliwy Chryzostom komponował te wiersze, był daleko od Marcelli i że oddalił się umyślnie, aby doświadczyć, czy nieobecność uczyni na nim zwyczajne wrażenie, a ponieważ wszystko udręcza kochanka oddalonego od przedmiotu swojej miłości, ponieważ nie ma podejrzeń, którymi by nie prześladował sam siebie, Chryzostom tworzył sobie tysiące powodów zazdrości, które trapiły go nie mniej, jak gdyby były rzeczywiste; a zatem, cokolwiek napisał, będąc w takim stanie, jego skargi i wyrzuty nie mogą kazić cnoty Marcelli, która taka jest święta, że pominąwszy surowość i dumę, dochodzącą aż do pychy, nawet zazdrość nie umiałaby jej najmniejszego uczynić zarzutu.

Słuszna uwaga Ambrożego zadowoliła Vivalda i kiedy wziął drugi papier, ażeby go odczytać, został wstrzymany przez zjawisko, bo tak nazywać można zadziwiający przedmiot, który niespodziewanie przedstawił się ich oczom. Marcella we własnej osobie ukazała się na wierzchołku skały, u stóp której kopano grób, ale taką promieniejąca pięknością, że zdawała się przewyższać oddawane jej wdziękom pochwały. Ci, którzy jej nigdy nie widzieli, spoglądali na nią z uwielbieniem, nawet i ci, co byli oswojeni z jej widokiem, nie mniej zostali zdziwieni jak pierwsi. Lecz Ambroży, zaledwie ją spostrzegł, odezwał się z pewnym rodzajem oburzenia:

– Czego tu szukasz, najniebezpieczniejszy tych gór potworze okrucieństwa? straszny bazyliszku, którego samo spojrzenie zatruwa? przychodziszże zobaczyć, czy rany nieszczęśliwego, którego

twoje okrucieństwo wtrąca do grobu, otworzą się w twej obecności? albo urągać jego nieszczęściom i chełpić się z przerażających skutków swojej niewdzięczności? Mów, niech wiemy przynajmniej, co cię tu sprowadza lub czego od nas żądasz, bo, jeżeli masz co do życzenia, ja tak dobrze wiedziałem, do jakiego stopnia Chryzostom był poświęcony tobie za życia że gotów jestem uczynić wszystko, co by był dla ciebie uczynił mój zmarły przyjaciel.

– Wcale nie to sprowadza mnie tu – odpowiedziała pasterka. – Przychodzę bronić się i wyjaśnić niesprawiedliwość tych, co oskarżają mnie o swoje cierpienia, i tych, którzy mnie obwiniają o śmierć Chryzostoma. Proszę więc wszystkich tu obecnych o chwilę uwagi; nie potrzebuję długich rozpraw do wykazania swojej niewinności.

Mówicie, że niebo zlało na mnie tyle piękności, iż niepodobna widzieć mnie a nie kochać i chcecie, abym kochała was dlatego, że mnie otaczacie miłością! Pojmuję przez rozsądek, którym mnie Bóg obdarzył, że wszystko, co piękne, godne jest kochania, ale nie pojmuję wcale, jeżeli kochają to, co jest piękne, aby i ono obowiązane było kochać wzajemnie, tym mniej, jeżeli kochający jest brzydkim i nienawiści godnym; nawet, jeżeli piękność z obu stron jest równa, nie idzie za tym, aby i skłonności jednakowe były, ponieważ najcudniejsze wdzięki nie nogą natchnąć prawdziwą miłością i częstokroć to co się podoba oczom, nie czyni najmniejszego wrażenia na sercu. W istocie, gdyby wcale nie było piękności, niezmuszającej serc do poddania się, cóż by widziano na świecie, jeżeli nie dziwny nieład tułających się życzeń, które by nieustannie błądziły od jednego do drugiego przedmiotu, nie mając się do czego przywiązać. Jeżeli to prawda, co mówią, że miłość jest wolna i bez przymusu, nie jestże niesprawiedliwością żądać, abym kochała, kiedy nie czuję żadnej skłonności? i pytam raz

jeszcze, czy wyznanie, że jestem kochana, dostatecznym jest powodem do zobowiązania mnie, abym kochała nawzajem? Potem, jeżeli jestem cokolwiek piękna, czyliż nie z najczystszej łaski niebios otrzymałam ten dar, nie będąc bynajmniej dłużna go ludziom? jeżeli ta piękność pociąga złe skutki za sobą, czyliż winniejsza jestem od węża, którego natura obdarzyła jadem, albo od ognia, szkodzącego tym tylko, którzy zanadto zbliżają się do niego? Wreszcie jestem wolna i właśnie dlatego, aby żyć w swobodzie, obrałam te ustronia, gdzie cieszę się, dzieląc moje myśli i moją piękność z drzewami i strumykami; nawet uwiadomiłam wszystkich, którzy mnie kochają, o usposobieniu mojego serca, a jeżeli jeszcze żywią w sobie jakieś życzenia i płonne nadzieje, czyliż nie wypada przyznać, że ich zabija własny upór, nie zaś moje okrucieństwo? Czyż więc mniemają sprawiedliwe czynić mi wyrzuty, mówiąc, że uczucia Chryzostoma były czyste i że ja tylko nie zadałam sobie przymusu, aby im odpowiedzieć? Czyliż, skoro mi je wyjawił, nie powiedziałam mu, tu, w tym samym miejscu, że zamiarem moim jest pozostać niezależną od nikogo, że postanowiłam oddać naturze wszystko, com od niej otrzymała? Jeżeli po szczerym wyznaniu puścił się jako żeglarz bez nadziei, wypadaż dziwić się rozbiciu? jestże tu słuszność mnie obwiniać? Jeżelim kogo zwiodła, niech się uskarża na mnie, pozwalam; jeżeli znajdzie się ktoś, co rozpacza, żem go zdradziła, niech mnie obarczą wyrzutami i zniewagą, ale niech mnie nie zowią zwodzicielką, ani okrutnicą, kiedy najmniejszym przyrzeczeniem nie zadłużyłam się nikomu. Dotychczas, dzięki niebu, przeznaczenie nie chciało, ażebym pokochała, a jeżeli sądzą, że to jest skutkiem namysłu w wyborze, próżno oczekiwać go będą. Niechże to oznajmienie raz na zawsze służy tym wszystkim, którzy mają względem mnie jakiekolwiek zamiary, a jeżeli zechcą naśladować Chryzostoma, niechże nie

przypisują swego szaleństwa ani słusznej zazdrości, ani mojemu okrucieństwu. Wreszcie ten co mnie nazywa potworem, bazyliszkiem, niech ucieka ode mnie choćby na koniec świata, a ci, którzy mówią, żem niewdzięczna, niech mi przestaną służyć, oświadczam, że nie myślę zadawać sobie trudu, aby im to przypominać.

Niech więc nikt nie nabija sobie głowy zakłóceniem mojej ciszy i żądaniem, aby na ślepy traf rzuciła między ludzi spokojność, którą się cieszę, a której przekonaną jestem, że bym nie znalazła. Nie potrzebuję nic, oprócz towarzystwa pasterek tych gajów z którymi rozmowa oraz starania o mojej trzodzie zajmują mnie dosyć przyjemnie, abym miała dręczyć się cudzymi nieszczęściami i ściągać je na siebie. Jednym słowem, moje zamiary nie przechodzą granic tych gór, a jeżeli myśl pobiegnie dalej, to tylko po to, aby uwielbiać piękność nieba, jako też przypominać sobie, że stamtąd przyszłam na świat i tam powinnam wrócić.

To powiedziawszy, pasterka, nie czekając żadnej odpowiedzi, pobiegła w góry najspadzistszą ścieżką i znikła z oczu słuchaczy, zostawiając ich pod wpływem najwyższego uwielbienia jej dowcipu, rozsądku i piękności.

Kilku z jej kochanków, zapominając oświadczenia, jakie przed chwilą uczyniła, miało chęć pobiec za nią i kiedy się wybierali, Don Kichot, który odgadł ich zamiar, ujrzawszy tak piękną sposobność wykonywania obowiązków błędnego rycerza, przyłożył dłoń do rękojeści miecza i, aby go wszyscy usłyszeli, począł wrzeszczeć na całe gardło:

– Niech nikt, ktokolwiek by on był, nie waży się zuchwale biec za piękną Marcellą pod karą strasznego mojego gniewu! Ona dowiodła jasno i stanowczo, że nie jest winna śmierci Chryzostoma i oznajmiła, jak daleka jest od okazania najmniejszej przychylności

zamiarom nierozsądnych kochanków! Przestańcie więc prześladować ją, niech raczej będzie szanowana i czczona przez wszystkich cnotliwych ludzi, bo może ona jedna tylko na świecie żyje w tak czystych chęciach.

Czy to z powodu gróźb Don Kichota, czy też ulegając Ambrożemu, który prosił pasterzy o dokończenie ostatniej przysługi swemu przyjacielowi, nikt nie odszedł, dopóki nie spalono rękopisów Chryzostoma i nie złożono w grobie jego zwłok, co nie obeszło się bez płaczu obecnych. Potem przywalono grób ogromnym kamieniem, ale to tylko tymczasowo, gdyż Ambroży oświadczył, że każe wyrzeźbić grobowiec z marmuru i wyryć na nim następujące wiersze:

Tu wiecznym snem uśpione, pod zimnym kamieniem,
Leżą zwłoki kochanka, co umarł z miłości.
Niegodziwa pasterka w srogiej niewdzięczności,
Spłaciła przywiązanie okrutnym cierpieniem.

W tym miejscu jego nieszczęść źródło mu wytrysło,
Tu zaczął kochać, tutaj wdziękami ujęty,
Wyznał swą miłość, tutaj został odepchnięty,
I tu pożegnał słońce, co mu życiem błysło!

Przechodniu! mijaj te miejsca z daleka,
To ci biednego doświadczenie radzi,
Bo gdy ujrzysz pasterkę, ten sam los cię czeka,
Strzeż się, przechodniu! uchodź, niech cię Bóg prowadzi!

Natychmiast grób pokryto gałęziami i kwiatami, a pasterze, przyjąwszy udział w boleści Ambrożego po stracie tak dobrego przyjaciela, pożegnali go i rozeszli się. Vivaldo i jego towarzysz także

pożegnali Ambrożego. Don Kichot, który nigdy się nie zapominał, oświadczył mu swoje pożegnanie w szumnych frazesach, zupełnie tchnących jego rzemiosłem, a podziękowawszy gospodarzom za gościnność, rozstał się z nimi. Vivaldo prosił go usilnie, aby im towarzyszył do Sewilli, zapewniając, że nie ma na świecie miejsca płodniejszego w przygody, że tam wypadki wyrastają jak spod ziemi, na każdym zakręcie ulicy, ale on podziękował im za zaproszenie i powiedział, że nie może, nawet nie powinien jechać do Sewilli, nie wytępiwszy pierwej mnóstwa rozbójników, ukrywających się między tymi górami. Podróżni, dowiedziawszy się o tym pięknym postanowieniu, nie chcieli go odwodzić od niego i udali się w dalszą drogę, a Don Kichot zamyślił doścignąć piękną Marcellę i ofiarować jej swoje rycerskie usługi. Ale rzeczy wzięły obrót wcale niestosowny do jego życzeń, jak to zobaczymy w trzeciej części niniejszej historii.

KSIĘGA TRZECIA

Rozdział I

O smutnej przygodzie, jaką miał Don Kichot z Yanguasami

Uczony Cyd Hamed Benengeli opowiada, że Don Kichot z pasterzami i całym gronem pogrzebowi Chryzostoma asystującym wyruszył razem z giermkiem ku lasowi, do którego wchodzącą widział Marcellę. Naszukawszy jej się próżno przeszło dwie godziny stanęli na pięknej polance, świeżą trawą zarosłej i strumykiem ożywionej. Wabiło ich to piękne miejsce, a że południowe słońce mocno dopiekało, zsiedli z siodeł i, puściwszy Rosynanta z osłem na paszę, rozwiązali sakwy i bez ceremonii jęli się pożywiać, czym Bóg dał. Sanchowi ani do głowy nie przyszło pętać Rosynanta, bo znał go jako stworzenie spokojne i skromne. Ale los, czy szatan, co nigdy nie śpi, zrządził na nieszczęście, iż na tej samej polance pasła się gromada klaczy galicyjskich, należących do wędrownych Yanguasów, którzy w skwarne dnia godziny zatrzymują się zwykle w miejscach, gdzie znajdą wody i trawy pod dostatkiem. Rosynant, jak powiadam, było to sobie poczciwości stworzenie, ale jak każde stworzenie, i on też miał kości i ciało. Ledwie zwąchał się z towarzyszkami rodu swojego, aliści wbrew zwykłej i przyrodzonej sobie skromności, przyszła mu ochota pójść do nich zabawić się i, nie pytając o pozwolenie pana, pobiegł sobie truchcikiem rozmówić się z nimi. Zmęczone galicjanki, więcej widać jeść pragnąc niż igrać, nie nader uprzejmie przyjęły zalecanki gacha i tak go sowicie utraktowały nogami i zębami, iż w mgnieniu oka pozbawiły go

uzdeczki i siodła, a samego potężnie poturbowały. Na domiar nieszczęścia, wędrowni mulnicy, spostrzegłszy konkury Rosynanta, wypadli na niego z ogromnymi pałkami i tak go po grzbiecie wysmarowali, że padł na ziemię prawie nieżywy i, leżąc, miał czas nieborak rozmyślać głęboko nad smutnymi następstwami zbytniej krewkości. Don Kichot i Sancho, spostrzegłszy, co się dzieje z Rosynantem, przybiegli mu co żywo na pomoc. Zdyszany Don Kichot, stanąwszy na miejscu, rzecze w uniesieniu do Sancha:

– Jak widzę, przyjacielu, ci podli ludzie to nie są rycerze, ale nikczemne ciury i chamy; możesz przeto pójść mi w pomoc na pomszczenie krzywdy rumakowi memu wyrządzonej.

– Diabla to będzie pomsta – na to mu Sancho – ich dwudziestu, a nas dwóch, a nawet nie wiem, czy nie półtora czasem.

– Ja za stu ważę – wrzasnął Don Kichot i, nie czekając, dobywa oręża i rzuca się wściekle na mulników.

Sancho, zagrzany przykładem pana, wyciąga także na jaw pałasinę i wciska się między nieprzyjaciół. Don Kichot za pierwszym zamachem rąbnął tak potężnie któregoś z brzegu, że rozpłatał mu kolet skórzany i odciął kawał ramienia; miał już rzucić się na drugiego, kiedy mulnicy, zawstydzeni, że dwóch ludzi śmie ich tak turbować, chwycili za oszczepy i, wziąwszy między siebie dzielnego rycerza razem z poczciwym giermkiem, jęli młócić po nich pałkami jak najęci. Do serca przypadła im ta robota, niebawem też rzecz zakończyli; za drugim z kolei omłotem Sancho padł na ziemię jak długi. Na nic się nie zdały Don Kichota zręczność i męstwo i jemu się nie lepiej powiodło, biedny rycerzyna padł pod ciosami przy nogach Rosynanta, który dotąd jeszcze podnieść się nie mógł. Mulnicy, nie mając już co robić, a bojąc się nawet, czy nie za wiele zrobili, zabrali się prędko i ruszyli w dalszą drogę.

Z dwóch naszych awanturników Sancho Pansa po tej burzy pierwszy przyszedł do siebie i, zaczołgawszy się do pana, odezwał się słabym i płaczliwym głosem:

– Dostojny Don Kichocie! Ach, najdostojniejszy Don Kichocie!

– Czego chcesz, przyjacielu Sancho? – odpowiedział rycerz tak samo płaczliwie.

– Co ja chcę? nic nie chcę, tylko błagam was! – rzekł Sancho – czybyście nie mogli mi dać chociaż ze dwa łyki onego cudnego kordiału Fierabrasowego, jeżeli go macie przypadkiem przy sobie? Może on taki skuteczny i na zgruchotanie kości, jak na inne rany.

– Ach! mój przyjacielu – odpowiedział Don Kichot – żebym to ja go miał, to cóżby nam więcej trzeba? Ale przysięgam ci na honor błędnego rycerza, że bylebym tylko rękami mógł ruszać, za dwa dni najdalej zrobić go muszę.

– Za dwa dni! – zawołał Sancho – a kiedyż myślicie będziemy mogli się podnieść?

– Oj! doprawdy, że nie wiem – odrzekł zbity rycerz – bo się na świecie nie czuję; ale dobrze mi tak, sam na to zasłużyłem, po co mi się brać do oręża przeciw ludziom, co nie są pasowani na rycerzy; Pan Bóg mnie skarał za to, żem złamał prawa rycerskie. I dlatego, przyjacielu Sancho, zapowiadam ci teraz raz na zawsze i dla wspólnego dobra naszego, że jeżeli kiedy zdarzy nam się doznać obrazy od takiej gawiedzi, to nie czekaj, żebym ja się brał do oręża, już ja tego nie zrobię; ale sam rzucaj się z mieczem na nich, bo to rzecz twoja, i wymierz karę, jaka ci się podoba. Gdyby przypadkiem na pomoc przyszli im rycerze, o, bądź pewien! że cię bronić będę i obronię! znasz siłę tego ramienia; widziałeś nieraz jej dowody.

Sanchowi nie bardzo jakoś do smaku przypadła ta nauka pana.

– Dostojny rycerzu – odpowiedział – ja nie taki zadzierny, jakim się zdaję: Bóg łaskaw, umiem jakoś krzywdy przebaczać, a przy tym mam żonę i dzieci. Bądźcie tedy łaskawi i polegajcie już na tym, że jako słońce na niebie, ja się nigdy pałasza nie imnę ani przeciw rycerzowi, ani przeciw chłopu; zarzekam się wam na wszystkie świętości i biorę Boga na świadki, że przebaczam im całkowicie wszystkie krzywdy przeszłe i wszystkie obrazy, jakie mi w przyszłości wyrządzić mogą; krótko zgoła powiedziawszy, daruję, zapominam i przebaczam wszyściusieńko a wszyściusieńko, co mi tylko złego robią, zrobili lub zrobią jacykolwiek ludzie, bogaci, czy ubodzy, wielkiego rodu, czy chudziaki, słowem, wszelkiego stanu i powołania.

– Żeby mi tylko tchu w piersiach nie brakowało – na to Don Kichot – i żeby mi ból mówić pozwalał, pokazałbym ja ci, jakiś ty głupi i jakie brednie pleciesz! Ach, niecny hultaju! a gdyby też fortuna, dotąd nam zawistna, obróciła się ku nam i wziąwszy nas za rękę, zrobiła panami jakich wysp, o których ci gadałem, to powiedz, ciemięgo, cóż byś wtedy począł, jakbym ci dał władzę nad którą z tych wysp podbitych? umiałże byś ty dać sobie radę, nie będąc rycerzem i nie troszcząc się o ten honor? Każdy by ci grał na nosie, a ty byś nawet nie czuł w sobie ochoty pomszczenia krzywd i uraz, państwu twemu wyrządzonych. W nowym państwie rządy niełatwe; poddanych trzeba trzymać ostro; bo jak wezmą na kieł, to bieda z tobą. Myśliszże ty, że to nie trzeba na to rozumu i odwagi, żeby się bronić i nacierać, kiedy co chwila może być do tego okazja?

– Oj, dobrze by to było – odparł Sancho – żebym ja miał więcej rozumu, a mniej odwagi w tej przygodzie, co nas tu teraz spotkała; ale w tej chwili, miły paneńku, sumiennie wam powiadam, że plastra i leków mi trzeba, a nie nauki. Ale spróbujcie no,

czybyście się nie dźwignęli z ziemi, bo trzeba by nam podnieść Rosynanta, chociaż po prawdzie niegodzien bestia tego; niegodzien, bo on to wszystkiego narobił, za niego to nas tak na pieprz zbili. A ja, dalipan, nigdy bym się po nim tego nie spodziewał; byłbym przysiągł za niego jak za siebie, że taki spokojny i skromny. I komu tu teraz wierzyć? Oj prawda to wielka, że beczkę soli trza zjeść wprzód, nim się kogo dobrze pozna. Tak to, panie, Bóg widzi, nie ma nic pewnego w tym życiu, ale kto by to był u diaska powiedział, widząc was, jakeście to wtedy poturbowali tego nieszczęśliwego rycerza, że dziś nam przyjdzie takie pałkami dostać smarowidło?

– E! co tam, twoje plecy zwyczajne takiego smarowidła – rzekł Don Kichot – ale moje, co nigdy go nie znały, długo go pamiętać będą; i żeby nie myśl i nie to przekonanie, że wszelkie utrapienia muszą być nierozłączne z powołaniem błędnego rycerza, to bym tu już umarł z samej niecierpliwości i zgryzoty.

– Ale, proszę ja pana – odezwie się Sancho – jeżeli to te intraty tak przywiązane do rycerskiego powołania, to powiedzcież mi, czy one często się zdarzają, czy też po jakimś czasie ustają? bo jeżeli jeszcze ze dwa razy dostaną nam się takie obrywki, to widzi mi się, że na trzeci nas nie starczy; chyba, że sam Pan Bóg w tym będzie.

– Powinieneś już wiedzieć, Sancho – rzecze Don Kichot – że rycerze błędni idą ciągle zmiennym losem, każdy z nich, każdej chwili, zostać może wielkim królem lub cesarzem, jak to się często zdarzało. Zaraz bym ci powiedział o kilku takich, co męstwem doszli do tronu – tylko, że mi gadać ciężko od bólu. Ale i nieszczęścia chodzą po nich; tacy sami znowu nieraz wpadają w okropne przygody. Wielki Amadis z Galii, alboż nie był w niewoli u czarnoksiężnika Arkalausa, najstraszniejszego z wrogów; alboż nie dostał od niego dwieście oblewanych bizunów na zamkowym podwórzu, sromotnie do ławy przywiązany? niewiadomy jeden

a godzien wiary autor, alboż nie zaręcza, że rycerz Słońca, wpadłszy raz w zastawę, co mu się pod nogami w pewnym zamku usunęła, ujrzał się w podziemnym lochu ze skutymi rękoma i nogami, gdzie mu najprzód dano enemę ze śniegu, z której zaraz ledwo nie skonał. Gdyby czarnoksiężnik, przyjaciel jego, nie przyszedł mu w pomoc w tej niedoli, nie wiadomo, co by się z nim stało. Widzisz więc, Sancho, że porównywając się z innymi znamienitymi rycerzami, mojego utrapienia za największe uważać nie mogę. Ale trzeba, żebyś wiedział, że rany, zadane jakim bądź narzędziem przypadkowo pod rękę podpadłym, wcale nie ubliżają ranionemu i honoru jego w niczym nie naruszają. W regulaminie pojedynkowym stoi wyraźnie, że jeżeli szewc obije kogo kopytem, które trzyma w ręku, to chociaż ono jest z drzewa, tak samo jak kij, powiedzieć jednakże nie można, że go obił kijem. Mówię ci to, Sancho, żebyś nie myślał, że dlatego, iżeśmy pałkami obici zostali przez tych szubrawców, honor nasz ma być w czym bądź poszwankowany; bo dobrze zważywszy, oni nas nie bili kijami, tylko oszczepami, które zawsze jako broń przy sobie noszą; a ani jeden z nich, o ile uważałem, nie miał ani oręża, ani puginału.

– Ja tam tego nic nie uważałem – rzekł Sancho – i czasu nawet nie było, bo ledwiem z pochwy wyciągnął to przeklęte rożnisko, a oni zaraz na mnie hurmem z pałkami, i tak mnie od razu przypieczętowali, że i oczy i nogi jak uciął, służbę wypowiedziały, i przewaliłem się jak długi w tym oto samym miejscu, gdzie, Bogu dziękować, jeszcze żywy leżę; i powiem wam szczerze, że to mnie wcale nie troszczy, czym bili i czy mi ubliżyli, tylko mnie boli tam gdzie mnie obili i tego długo nie zapomnę.

– Z tym wszystkim, mój Sancho – mówił Don Kichot – nie ma na świecie rzeczy, której by czas nie zatarł, ani bólu, z którego by śmierć nie wyleczyła.

– A Bóg zapłać za takie lekarstwo – odpowiedział Sancho – Żeby to chociaż na te nasze bóle teraz kilka plastrów wystarczyło, to by to jeszcze pół biedy! ale gdzież to, nam by trzeba co najmniej z całego szpitala maści zabrać i jeszcze wątpię, żeby jej nam było dosyć.

– Dajże już tam pokój tej głupiej gadaninie, a lepiej zbierzmy jako siły, żeby się dźwignąć z tej niemocy. Obaczmy, jak się miewa Rosynant. Biedaczysko, i jemu się porządnie dostało.

– Dalipan, on coś nie żartem niedomaga! – rzecze Sancho. – Ba! a dlaczegóż by miał być wolny od tego? Alboż on także nie taki rycerz błędny, jak i drugi, ale mój osioł jaki mądry, uszedł caluteńki i ani jednej izerści nie straciwszy, kiedy my ani jednego żebra całego nie mamy.

– W największych nieszczęściach – wtrącił Don Kichot – los zawsze zostawia jakąś furtkę do wyjścia i teraz ten biedny osioł zastąpi mi szlachetnego Rosynanta i zaniesie do jakiego zamku, gdzie mnie opatrzą i z niemocy wyprowadzą. Nie ma w tym nic honorowi ubliżającego, że takiego wierzchowca użyję; bo pamiętam czytałem, że stary Sylen, piastun Bachusa, siedział bardzo wygodnie na pięknym ośle, kiedy odbywał wjazd do stubramnego grodu.

– Dobrze by to było – rzekł Sancho – gdyby wasza dostojność mógł się tak w siodle prosto trzymać, jak on, ale to wielka różnica, kiedy człowiek siedzi na koniu jak należy, a kiedy go rozciągną na poprzek jak torbę z sieczką; a ja myślę, że wasza dostojność inaczej nie będzie mógł dojechać.

– Wszelkie, chociażby najdotkliwsze walk następstwa, nie ubliżają honorowi – odparł Don Kichot – powiadam ci to raz na zawsze, mój Panso i nie odzywaj mi się więcej ze swoimi uwagami. Popróbuj tylko wstać i wpakuj mnie na osła jak bądź, byleśmy przed nocą stąd wyruszyli.

– Alboż to wasza dostojność nie mówił niedawno – rzecze Sancho – że rycerze błędni mają zwyczaj spać pod gołym niebem i że to dla nich rzecz bardzo przyjemna.

– Robią tak, kiedy nie mogą inaczej – odparł Don Kichot – albo kiedy są zakochani; jeden rycerz nawet całe dwa lata przepędził na samotnej skale, znosząc cierpliwie mrozy i skwary, a kochanka jego o tym nic nie wiedziała. I Amadis tak samo robił, kiedy go jeszcze zwano Ponurym Rycerzem i kiedy jak pustelnik na skałę się wydalił i siedział tam przez osiem lat, czy miesięcy, już nie pamiętam dobrze. Zresztą to wszystko jedno, dość, że siedział tam długo, pokutując za jakąś przykrość wyrządzoną damie swojej, Orianie. Ależ dajmy już pokój temu wszystkiemu i zabieraj no się do roboty, jakem ci mówił, żeby się znów osłowi co złego nie stało, jak Rosynantowi.

– A to by diabla sprawa była wtenczas – rzekł Sancho.

I westchnąwszy ciężko ze trzydzieści albo czterdzieści razy i ze dwa razy tyle *oj* i *ach* wymówiwszy, a przy tym klnąc na czym świat stoi tych, co go tu przyprowadzili – po długich stękaniach i mozołach dźwignął się nareszcie szanowny giermek na nogi, ale wpół drogi stanął skrzywiony w kabłąk i długo tak stojąc, ani się ruszyć, ani wyprostować nie mógł. W tej bolesnej postawie musiał łapać i kiełznać osła, który korzystając ze swobody dnia tego, poszedł także użyć sobie zabawki. Potem podniósł Rosynanta; z wielką to obydwu przyszło biedą. Sancho jak mysz się spocił, a biedne konisko, gdyby tylko miał język do użalenia się, to by pewno i panu, i pachołkowi placu w skargach dotrzymał. Nareszcie po wielu a wielu mozołach, stękaniach i wykrzyknikach, Sancho wpakował Don Kichota jak worek na długouchego człapaka, a przywiązawszy mu Rosynanta do ogona, wziął osła za uzdę i ruszył, jak mu się zdawało, ku gościńcowi.

Po półgodzinnym przeszło marszu szczęśliwa gwiazda doprowadziła go do jakiejś gospody, którą Don Kichot, mimo najnędzniejszego pozoru oczywiście wziął zaraz za zamek obronny. Sancho upierał się, że to gospoda, Don Kichot, że to zamek; ten swoje, a ten swoje, i tak się zażarcie swarzyli, że nie skończywszy sporu, przyjechali przed wrota, którymi Sancho, nie pytając, wprowadził swoją karawanę.

Rozdział II

O tym, co się przytrafiło Don Kichotowi w gospodzie, która mu się zamkiem wydała

Gospodarz nader się zdziwił, ujrzawszy człowieka jadącego na ośle, tyłem do uszu zwierzęcia, i zapytał Sancha, co mu dolega. Sancho odpowiedział, że to mała rzecz, małe wstrząśnięcie w całym ciele, spowodowane upadkiem z góry. Żona gospodarza, niewiasta miłosierna, co się rzadko zdarza w tym rzemiośle, zaledwo ujrzała Don Kichota, natychmiast postanowiła przynieść mu ulgę i wzięła do pomocy młodą córkę swoją, dzieweczkę wcale niczego. Służyła w tej gospodzie także młoda Asturyjka, twarzy nieco za szerokiej, nosa zaklęsłego, trochę zezowata na jedno oko, na drugie prawie ślepa, ale gibka a wysmukła kibić szczodrze wynagradzała brak innych wdzięków. Wzrostu miała trzy stopy, a barki tak jej obciążały ciało, że z trudnością spoglądała do góry. Przyjemna ta służąca, pomogła córce gospodarza do opatrzenia Don Kichota i urządziły mu obydwie wcale nieszczególne łóżko w jakimś kącie, co według wszelkiego prawdopodobieństwa, był dotychczas składem słomy. W tymże samym miejscu, opodal od Don Kichota, mulnik jakiś usłał sobie łoże z der, którymi przykrywał muły i w każdym razie lepiej mu było niż naszemu bohaterowi, którego łoże stanowiły dwie nierówne ławy, na tych trzy czy cztery źle

spojone tarcice, a na nich materac twardy jak deska i prześcieradło, które raczej wziąć można było za skórę niż za płótno. Skoro tylko położono Don Kichota w to niegodziwe łoże, gospodyni z córką oblepiły go plastrami od stóp do głów, przy świetle lampy, którą trzymała w nadobnej dłoni Maritornes, tak było na imię przyjemnej Asturyjce. Gospodyni, widząc go w tylu miejscach poturbowanego, zawołała:

– Przebóg! – toćże to raczej podobne do uderzeń niż do upadku.

– A jednak to nie są razy – rzekł Sancho – tylko skała była bardzo kończata i każda jej spiczastość pozostawiła siniak. Zresztą prosiłbym pani o zachowanie kilku gałganków, dadzą się wkrótce użyć, bo mnie także w krzyżu nieco dolega.

– Więc także spadłeś? – zagadnęła gospodyni.

– Nie spadłem – odrzekł Sancho – ale przestraszony upadkiem pana mojego, poczułem coś tak dziwnego w ciele, że mi się zdaje, jakby mi tysiąc kijów wsypano.

– Nie dziwię się temu – wtrąciła córka – często mi się śni, że spadam z wieży na dół, a nie mogę nigdy upaść na ziemię. Skoro się obudzę, tak znużona i zbita się czuję, jakbym naprawdę spadła.

– Otóż to właśnie – dodał Sancho – to prawie to samo, cała tylko różnica w tym, że mi się nie śniło i że będąc na jawie jak teraz, czuję się poturbowanym nie mniej od pana swojego.

– Jak się nazywa wasz pan? – zagadnęła Maritornes.

– Don Kichot z Manchy – odrzekł Sancho – błędny rycerz, jeden z najdzielniejszych, jakich kiedykolwiek widziano.

– Błędny rycerz! – zapytała Asturyjka. – Co to znaczy?

– Niedawno widać jesteś na świecie – odparł Sancho. – Dowiedz się, kochana siostro, że błędny rycerz jest to rzecz, która zawsze ma nadzieję zostać cesarzem lub też dostać kije; dziś najnieszczęśliwszy

z ludzi, obdarza nazajutrz giermka swojego trzema lub czterema królestwami.

– Skądże, będąc giermkiem tak wielkiego pana – wtrąciła gospodyni – nie masz przynajmniej hrabstwa jakiego, bo z miny nie patrzysz na to.

– Nie od razu miasto się buduje – rzekł Sancho – nie ma miesiąca, jak szukamy przygód i jeszcze ich nie znaleźliśmy, chyba takie, co to często szuka się czego innego, a znajduje się co innego. Ale mówiąc prawdę, skoro się jaśnie pan Don Kichot wyleczy z ran swoich, a ja od moich nie zostanę kaleką, nie pomieniałbym nadziei moich za najlepsze hrabstwo w Hiszpanii.

Don Kichot, który uważnie słuchał tej rozmowy, uważał za właściwe wmieszać się do niej; podnosząc się więc, jak mógł najlepiej, ujął wdzięcznie rękę gospodyni i rzekł do niej:

– Wierzaj mi, piękna damo, nie jesteś nieszczęśliwą, że miałaś sposobność przyjąć mnie w zamku swoim. Więcej pani nie powiem, bo nie wypada nigdy chwalić samego siebie, ale wierny mój giermek objaśni ci, kim jestem. Dodam tylko, że zachowam pamięć łaskawości pani aż do końca życia i nie uronię żadnej sposobności, w której bym wdzięczność moją mógł ci okazać. Gdyby się nie było podobało niebu – dodał, miłosiernie przyglądając się Asturyjce – że miłość mnie do praw swoich przykuła i gdyby oczy lubej niewdzięcznicy nie były odniosły tryumfu nad moją wolnością, chętnie bym ją poświęcił u stóp tej pięknej panny.

Gospodyni, córka jej i Maritornes, zdziwione i nie rozumiejąc się na takim sposobie mówienia, domyślały się jednak, że to były komplementy i ofiary grzeczności, przyglądały się więc milcząc i sobie, i Don Kichotowi, jak człowiekowi w dziwnym jakimś rodzaju. Podziękowały mu jednak za te grzeczności, jak w karczmie mogły umieć najlepiej, i pokornie skłoniwszy się, odeszły.

Maritornes zabrała się do opatrzenia Sancha, który tego nie mniej od pana swojego potrzebował.

Mulnik, o którym wspomniałem, i Asturyjka ułożyli sobie, że się w nocy obaczą, ona mu przyrzekła, że skoro tylko goście odejdą, a pan i pani usną, przyjdzie go odwiedzić. Mówią, że dziewczyna ta słowna zawsze była w tych razach, choćby nawet dała słowo bez świadków w piwnicy; to też miała się słusznie za coś lepszego i mniemała, że nie ubliżyła sobie, zostawszy służącą w karczmie, gdyż (jak zawsze mówiła) zubożenie jej rodziców doprowadziło ją do stanu tego. W dziwnym apartamencie owym stało naprzód niegodziwe i biedne łóżko Don Kichota, a Sancho posłał sobie obok na wiązce sitowia, przykrył się kołdrą, która wyglądała jakby była z kanwy, nie z wełny. Trochę naprzód wysunięte było legowisko mulnika, złożone, jak już powiedziałem, z juk i der dwóch mułów, a miał ich dwunastu wszystkich, spasłych, tęgich, bo to był jeden z bogatych owych mulników z Arevalo, jak twierdzi autor tej historii, który o nim, jako o dobrym znajomym, szczegółową robi wzmiankę, bo mówią podobno, że byli krewniacy. Bądź co bądź, Cyd Hamed Benengeli był dokładnym historykiem, ponieważ przytacza nawet takie szczegóły, co na pozór nie zdają się mieć ważności i od niego to właśnie historycy (powieściopisarze) powinni by się nauczyć nie zaniedbywać niczego i szczegółowiej pisać, zamiast pobudzania ciekawości czytelnika, tak, że często to, o czym by się najwięcej chciało wiedzieć, zawiśnie na końcu ich pióra przez złośliwość lub niewiadomość! Bądź po tysiąckroć sławion autorze *Tablanta Ricamonta* i ty, co napisałeś *Czyny Hrabiego Tomillas*; wyście nie zapomnieli o najdrobniejszej okoliczności.

Wracamy do mulnika. Mulnik więc, dawszy sieczki mułom, rozciągnął się na derach, oczekując niecierpliwie punktualnej

Maritornes. Sanchowi, mimo szczerej chęci do snu, ból boków sen odejmował, Don Kichot także z bólu oczy miał jak zając otwarte. Cicho było w karczmie, a światło błyszczało tylko z latarni wiszącej w bramie. Spokojność ta i natłok szumnych myśli, których rycerzowi naszemu dostarczały ciągle rozliczne wypadki przez niego czytane, wyrodziły mu w głowie najdziwaczniejsze z przypuszczeń. Uroił sobie, że znajduje się w sławnym jakimś zamku (nie było karczmy której by nie robił tego zaszczytu), i że córka gospodarza, to jest władcy zamku, ujęta dobrą jego miną i składnością, obiecała mu, zręcznie wydostawszy się z komnat swoich, parę chwil z nim przepędzić. Urojenie to dręczyło go jakby rzeczywistość i nabawiało niepokojem o szwank, na jaki wierność jego narażoną być może. Przyrzekł sobie nareszcie w sercu nie popełnić żadnej niewierności kochanej Dulcynei, chociażby sama królowa Ginewra z wierną swą Kintaujoną błagać go o to miały. Gdy tak błądził w marzeniach, słowna Asturyjka właśnie dotrzymywała obietnicy i boso, w koszuli, z rozczochranymi włosami, wchodzi, stąpając powoli i szukając łóżka mulnika. Don Kichot, mając słuch natężony, usłyszał jej wejście, czy też zgadł, że ktoś wszedł, i podnosząc się na łóżku, mimo plastrów i bólu boków, wyciągnął ramiona do mniemanej panny. Asturyjka szła powoli, żeby nie zrobić hałasu, i macała rękoma wokoło, żeby się o co nie potknąć; mimo jednak całej ostrożności, wpadła w objęcia Don Kichota, który, uchwyciwszy ją za rękę i przyciągając do siebie, posadził na łóżku. Zgrzebna koszula jej nie wyprowadziła z błędu rycerza. Szklane bransoletki, które miała na ręku, wziął za drogie kamienie; włosy jej, bardzo podobne do włosia, wydawały się mu jedwabnymi splotami, a biorąc oddech jej, w którym czuć było starą sałatę i zimne mięsiwo, za przyjemną mieszaninę najdelikatniejszych woni, wyobraził sobie nadobną tę nimfę zupełnie taką, jak to

malują w książkach, które czytał, piękne panny, odwiedzające cichaczem chorych lub rannych kochanków. Słowem, upór biednego szlachcica tak był mocny, że nieczuły na mnóstwo szczegółów, od których by mdłości jednego chyba tylko mulnika nie porwały, mniemał trzymać w objęciu boginię piękności. Zachwycony tylu wdziękami i ściskając nieporównaną Maritornes, jakby ją chciał udusić, świetny rycerz szepnął jej cichutko miłosnym głosem: „Czego bym nie dał za to, ach! czego bym nie dał, piękna księżniczko, gdybym widział się w stanie ocenienia łaski, jaką mi wyświadczasz, i mógł oczyścić się przed panią z zarzutu niecnej niewdzięczności. Umieram wprawdzie ze wstydu, ale poprzysiągłem stałą miłość moją nieporównanej Dulcynei z Tobozo; ona jest jedyną panią serca mego i najtajniejszych myśli moich; nie mogę więc krzywoprzysięstwem okupić tego niebiańskiego szczęścia".

Podczas tej przemowy Maritornes najokropniej się przelękła, przekonawszy się, że jest w objęciach Don Kichota i robiła, co mogła, żeby się z nich wydostać, nie słuchając tego, co jej prawił. Uczciwy mulnik znów, któremu niecierpliwość spać nie dozwalała, przeczuł i poczuł swą nimfę skoro tylko weszła, a nadstawiwszy ucha i uchwyciwszy coś z przemowy rycerza naszego, posądził niewinną Asturyjkę, że mu nie dotrzymała słowa, dlatego chyba, iż nie tylko jemu dać je musiała. Nie poprzestając na tym, podżegany zazdrością, zbliżył się po cichu do łóżka Don Kichota i zaczął się pilnie przysłuchiwać. Przekonawszy się, że wierną jego Maritornes gwałtem przytrzymał, myślał tylko jak się zemścić za niegodny ten postępek; podniósł rękę i mierząc ku licu niefortunnego rycerza, tak pięścią dziarsko zdzielił go po szczękach, że krew buchnęła natychmiast, a Benegeli nawet zaręcza, że wskoczył na niego i szerokimi łapami w podkutych trzewikach

przebiegł mu kilka razy po ciele od stóp do głów. Łóżko, którego fundamenty nie były w najlepszym stanie, nie wytrzymało tego obciążenia runęło pod ciężarem mulnika. – Hałas obudził gospodarza, który domyślił się, że to musi być jakiś figiel Maritornesy, bo wołał na nią na całe gardło kilka razy, a nie odezwała się ani razu. Zapalił więc latarnie, żeby się udać tam, gdzie słyszał hałas – Asturyjka słysząc, że idzie, a znając go dobrze skryła się w łóżko Sancha, który spał, i w kłębek się przy nim zwinęła. Gospodarz wszedł, klnąc po karczemnemu.

– Gdzie jesteś, klempo? – zawołał – bo to z pewnością twoje sztuki, bazarnico!

Jednocześnie Sancho na wpół obudziwszy się i czując na sobie cały ten ciężar, który go dusił, myślał, że to sen jaki dręczy go jeszcze i zaczął walić pięściami na wszystkie strony. Razy te spadały na Maritornes po większej części – ta, straciwszy nareszcie cierpliwość i nie bacząc już na miejsce, gdzie się znajdowała, myślała tylko o wywzajemnieniu, palnęła Sancha tyle razy w żywot i w twarz twardą pięścią, że obudził się nareszcie zupełnie. Nie wiedząc, za co go tak tuzowano, podniósł się na łóżku i uchwyciwszy silnie Maritornes, rozpoczął z nią najpocieszniejszą walkę. Mulnik, zobaczywszy przy świetle straszne położenie drogiej swojej Maritornes, puścił Don Kichota, a pobiegł jej na pomoc; gospodarz znów, obeznawszy się już z miejscowością, pobiegł także, ale w celu skarcenia Asturyjki, którą uważał za główną sprężynę całego tego nieporządku. Mulnik walił Sancha, Sancho młócił Maritornes, Maritornes prała Sancha, a gospodarz tłukł Maritornes – a wszystko to szło tak żwawo i gracko, jakby się obawiali, żeby im czasu nie zabrakło, nareszcie latarnia zgasła, a ciemność powiększyła jeszcze zażartość bójki – żaden z walczących nie uniósł ani całej koszuli, ani której bądź części ciała nieobrażonej. – Przypadkiem

znajdował się w gospodzie pachołek rządowy, z tych, co to ich nazywają starą konfraternią toledańską. Obudziwszy się na hałas walki, wpadł z prętem w ręku i z pudełkiem blaszanym, gdzie oznaka godności jego, ale nic a nic nie dojrzawszy w ciemności, zawołał: „Milczeć wszyscy w imię sprawiedliwości i świętej Hermandady". Przypadkiem natrafił ręką na nieszczęsnego Don Kichota, który leżał rozciągnięty na zwaliskach łóżka, bez przytomności, z głową zwieszoną. Ująwszy go za brodę, nie przestawał krzyczeć: „Na pomoc władzy!" Ale nie dostrzegając żadnej oznaki życia w tym, którego trzymał, nie wątpił, że to musi być trup człowieka, którego inni przytomni zamordowali – zaczął więc krzyczeć jeszcze głośniej: „Zamykajcie drzwi gospody, zważać, żeby mi nikt nie wyszedł, tu człowieka zabito!" Głos ten przeraził walczących i prócz tego, co każdy już dostał, sprawa pozostała w zawieszeniu i w tym stanie, w jakim ją zszedł pachołek. Gospodarz z wolna zemknął do stancji, mulnik na legowisko, a podrapana Maritornes wlazła w brudne łóżko swoje. Co zaś do Don Kichota i Sancha, ci, którzy nie mogli się poruszyć, pozostali na miejscu, a pachołek puścił brodę rycerza naszego i poszedł po światło, żeby ująć winnych. Gospodarz jednak odchodząc, naumyślnie zagasił latarnię w bramie – pachołek więc zmuszony był rozdmuchać ogień w kominie, ale tak go tam było niewiele, że dmuchał przez godzinę, nim zdołał zapalić latarnie.

Rozdział III

Dalszy ciąg niezliczonych trudów, które Don Kichot i giermek jego przecierpieli w gospodzie

Don Kichot, przyszedłszy nareszcie do przytomności z omdlenia, tym samym głosem, co wczoraj giermek jego po straszliwej walce

z furmanami, zawołał na niego, mówiąc smutnie:

– Przyjacielu Sancho, czy śpisz? Przyjacielu Sancho!

– He, jakżebym u diabła spać miał – odrzekł Sancho wściekły z gniewu i z nudów – kiedy wszyscy diabli z piekła przyszli po mnie tej nocy.

– Masz słuszność, że tak mówisz – rzekł Don Kichot. – Ja nie rozumiem, chyba ten zamek jest zaczarowany. Słuchaj, co ci powiem, ale przysięgnij mi najprzód, że dopiero po śmierci mojej mówić o tym będziesz.

– Przysięgam! – odrzekł Sancho.

– Wymagam tej przysięgi – prawił dalej Don Kichot – bo nigdy czci niczyjej szkodzić nie myślę.

– Przecież mówię panu, że przysięgam – odparł Sancho – i że ust nie otworzę w tej mierze aż do śmierci pańskiej, daj Boże, ażebym to rychło mógł zrobić.

– Czyż takim ci jestem już ciężarem, żebyś pragnął rychłej śmierci mojej?

– Nie dlatego – odrzekł Sancho – ale nie lubię długo trzymać języka za zębami, bo się obawiam, żeby mi nie spróchniał.

– Niech co chce będzie – mówił Don Kichot – polegam na przywiązaniu twoim do mnie i na rozsądku twoim. Trzeba, żebyś się dowiedział, co mi się przytrafiło tej nocy – jedna z najdziwniejszych i najpiękniejszych przygód, jakie wyobrazić sobie można. Żeby ci ją w krótkości opowiedzieć, dowiedz się, że nie ma dwóch godzin, jak córka władcy tego zamku przyszła do mnie. Jest to jedna z najpiękniejszych dziewic w świecie. Nie potrafię ci opisać wdzięków jej osoby, powabu jej rozumu, nie chcę nawet myśleć o tylu pięknościach, żeby nie uchybić afektowi, którym pałam dla mojej damy, Dulcynei z Tobozo. Powiem ci tylko, że niebo, zazdroszcząc mi szczęścia, które los w objęcia moje sprowadził, czy

też mówiąc otwarciej, ponieważ zamek ten jest zaklęty, kiedym właśnie zapuścił się z piękną nieznajomą w czułą i namiętną rozmowę, ręka, której nie widziałem, a która Bóg wie skąd się wzięła, ale ręka niezawodnie ogromnego jakiegoś olbrzyma, tak silnym ciosem ugodziła mnie po szczękach, żem cały się krwią zalał. Potem, niegodziwiec, korzystając z mojej słabości, tyle mi razów wymierzył, że gorzej mi jeszcze niż wczoraj, kiedy mulnicy jęli się nas z powodu niewstrzemięźliwości Rosynanta. Wnoszę stąd, że jakiś Maur zaklęty musi strzec tego skarbu dla kogoś innego, nie dla mnie.

– Nie sądzę, żeby to także dla mnie być miało – przerwał Sancho – bo więcej niż czterystu Maurów wprawiało się na mojej skórze w sposób tak wrażliwy, że w porównaniu z nim, wczorajsze uderzenie kłonicą to rozkoszne łechtanie. Ale proszę pana, zwróćże pań uwagę na położenie, w którym się obecnie znajdujemy, czy godzi się to nazwać przygodą piękną? Jeszcze pan, co miałeś przyjemność trzymać tę nadzwyczajną piękność w objęciu, to pociecha dla pana, ale ja nic nie miałem, oprócz kułaków najsroższych, jakie w życiu zapamiętam. Niech mnie diabli porwą i tych, co na świat mnie wydali! Nie jestem rycerzem, ani myślę nim zostać, a w każdym spotkaniu zawsze najtęższą część dostaję.

– To i ciebie także poturbowano? – zagadnął Don Kichot.

– Ależ do stu diabłów – odparł Sancho – albożem panu nie mówił?

– E, żartuj z tego, kochany bracie – rzekł Don Kichot – zaraz sporządzę sławny balsam, a on nas wkrótce wyleczy.

Kiedy tak rozmawiali, nadszedł pachołek z zapaloną latarnią. Łóżko było wprost drzwi. Sancho, spostrzegłszy go z daleka, w koszuli, zresztą nagiego, z głową obwiązaną brudną szmatą i ze zdradzieckim wyrazem twarzy, zapytał pana, czy to

przypadkiem nie ten Maur zaczarowany przyszedł dowiedzieć się, czy mają jeszcze jaką część ciała do pogruchotania.

– Nie zdaje mi się – odparł Don Kichot – bo zaczarowani nikomu się nie pokazują.

– Ale jeżeli się nie pokazują, to dalibóg, dają się we znaki – rzekł Sancho – niech na to plecy moje odpowiedzą.

– A myślisz, że moje także by odpowiedzieć nie potrafiły – odrzekł Don Kichot – a jednak dowód to niedostateczny, żeby to miał być nasz Maur.

Pachołek zdziwił się bardzo, że w miejscu, gdzie zabito człowieka, ludzie tak spokojnie rozmawiać mogą, ale zoczywszy bohatera naszego rozciągniętego i w położeniu nader niewygodnym, rzekł mu:

– Jakże się masz, poczciwcze?

– Gdybym był na wasana miejscu, mówiłbym inaczej – odrzekł wyniośle Don Kichot. – Czy się tak przemawia, trutniu, do rycerzów błędnych w kraju twoim?

Pachołek, popędliwy z natury, rozgniewał się na tę mowę, wychodzącą z ust człowieka tak nieobiecującej powierzchowności, i z całej siły cisnął latarnią w głowę nieszczęsnego rycerza, a nie wątpiąc, że mu ją zgruchotał, uciekł, korzystając z ciemności.

– No cóż, panie – zawołał wtedy Sancho – nie ma już wątpliwości, to z pewnością ten Maur, co strzegąc skarbu dla drugich, zachowuje dla nas kułaki i pięści.

– Tym razem może masz i słuszność – rzekł Don Kichot – ale oznajmiam ci, że drwić potrzeba z tych czarów, zamiast się zżymać na nie. Ponieważ to są wszystko rzeczy fantastyczne i niewidzialne, daremnie pragnęlibyśmy zemsty, nie zdołamy jej wywrzeć. Sancho, wstań, jeżeli możesz, i poproś gubernatora zamku, żeby mi przysłał trochę oliwy, soli, wina i rozmarynu, muszę sporządzić balsam,

bo mówiąc między nami, krew płynie mi z rany, którą mi to widziadło zadało.

Sancho wstał, krzyknąwszy nieraz z bólu i po omacku chcąc trafić do drzwi gospodarza, potknął się o pachołka, trochę zmartwionego brutalstwem swoim.

– Panie – zawołał Sancho – ktokolwiek jesteś, bądź tak miłosierny i daj nam rozmarynu, wina, soli i oliwy – bardzo nam to potrzebne do opatrzenia jednego z najlepszych rycerzy błędnych, jacy są na ziemi, a którego właśnie zaklęty Maur niebezpiecznie ranił w tej gospodzie.

Pachołek, domyśliwszy się mniej więcej, kim jest Sancho, zaczął wołać na gospodarza i powiedział mu, czego ten człowiek żąda, a ponieważ zaczęło już świtać, otworzywszy drzwi od gospody, poszedł się przebrać. Gospodarz dał Sanchowi wszystko, czego pragnął. Giermek, niosąc te ingrediencje panu, zastał go trzymającego się obu rękami za głowę, i skarżącego się na uderzenie latarnią, która na szczęście, tylko parą go guzów obdarzyła, bo mniemana krew, był to olej z latarni, płynący mu po twarzy.

Don Kichot, wlawszy wszystko w jedno naczynie, kazał zagotować, a gdy już się ugotowało, zażądał butelki. W gospodzie tej nie było butelki, trzeba było poprzestać na małej blaszanej manierce, którą mu gospodarz podarował, a w której zwykle trzymano olej. Zmówiwszy następnie nad naczyniem sto *Ojcze nasz*, tyleż zdrowasiek, *Salve Regina, Wierzę w Boga*, do każdego wyrazu dodawał znak krzyża świętego, jako znak błogosławieństwa.

Sancho Pansa, pachołek i gospodarz, byli świadkami tej nabożnej ceremonii – bo mulnik kulbaczył już muły, udając, że ani wie o nocnej przygodzie, w której tak czynny miał udział. Sporządziwszy cudowną tę miksturę, Don Kichot zaraz pragnął jej kosztować, i nie przykładając jej do rany, połknął całą szklankę,

jakby lekarstwo. Zaledwo wyżył tę dozę, zaczął ją oddawać tak gwałtownie, że pewnie mu nic nie zostało w żołądku. Wysilenie sprowadziło poty, poprosił, żeby go okryto i dano mu spocząć. Spał ze trzy godziny, po przeciągu których tak się mu lepiej zrobiło, że nie wątpił już o skuteczności balsamu swojego, którego tajemnicę posiadając, można się narażać na najstraszliwsze przygody. Sancho Pansa, któremu wyzdrowienie pana cudownym się zdało, prosił go usilnie, żeby mu pozwolił wypić resztę, na co gdy Don Kichot przystał, uchwycił garnek i wlał sobie do żołądka porządną porcję, to jest prawie tyle, co jego pan. Żołądek biedaka nie musiał być tak delikatny, bo zanim lekarstwo wzięło skutek, zaczęło mu się tak odbijać i poty tak gwałtowne go oblały, że zdawało mu się, że umrze, i w tym opłakanym stanie klął balsam i zdrajcę, co mu go podał.

– Przyjacielu Sancho – rzekł mu poważnie pan jego – chyba mnie ciągle w świecie oszukują, jeżeli to wszystko nie dlatego ci się zdarza, że nie jesteś pasowany na rycerza, bo mniemam, że ten balsam dla rycerzów tylko skuteczny.

– Ależ do trzystu diabłów, cóżem panu zrobił, żeś mi pan go dał pokosztować, na cóż mi się przyda rada? Umarłemu kadzidło.

Tymczasem właśnie cudowny balsam zaczął skutkować i biedny giermek tyle wyrzucił z wnętrza swojego rozmaitości, że kołdrę i materac na nic popsował. Wymiotom tym towarzyszyło tyle i tak dziwnych wysileń, że przytomni zwątpili o jego życiu. Mimo to, po upływie godziny takiej burzy, zamiast wyzdrowieć, jak pan jego, czuł się tak słabym i zbitym, że zaledwo mógł oddychać. Ale wyzdrowiawszy, Don Kichot nie miał ani chwili do stracenia, ciągle chciwy nowych przygód. Zdawało mu się, że winien jest każdą chwilę, zmarnotrawioną na marnościach świata tego, a pełen ufności w skuteczność balsamu, pragnął tylko coraz nowych

niebezpieczeństw, za nic mając najsroższe rany. W tej niecierpliwości rzekł do Sancha, że czas ruszać w drogę. Osiodłał sam natychmiast Rosynanta, włożył burkę na osła, giermka wsadził nań, dopomógłszy mu przyodziać się, a sam dosiadłszy konia, ujął w dłoń złamaną spisę, która mu się wydała jeszcze dobrą zupełnie.

Było ze dwadzieścia osób prawie w gospodzie, a nie było ani jednej, co by nie przyglądała się mu ciekawie, zwłaszcza też córka gospodarza, która go jeszcze ciekawiej od drugich spojrzeniem śledziła, nie widziawszy nigdy w życiu nic podobnego. On zaś, tłumacząc to sobie w inny sposób, wlepił w nią spojrzenie i od czasu do czasu wzdychał głęboko, aż z głębi żołądka, ale sam tylko znał powód tych westchnień, chociaż ci, co go widzieli wczoraj srodze poturbowanego, przypisywali je dolegliwemu bólowi z ran. Skoro tylko dwaj bohaterowie nasi dosiedli rumaków, Don Kichot, zatrzymując się na progu bramy, zawołał gospodarza i głosem poważnym odezwał się do niego:

– Mości kasztelanie, byłbym niewdzięczny, gdybym nie pamiętał wszystkich tych grzeczności, którymi mnie w zamku pańskim obsypano. Jeżeli za tę dostojną gościnność odwdzięczyć się mogę, mszcząc się za ciebie na kim, co by cię obraził, wskaż, panie, powołaniem jest moim, jak pan wiesz zapewne, wspierać słabych, a karcić zdrajców. Poszukaj więc w pamięci, a jeżeli masz pożalić się na kogo, wymień go tylko, obiecuję ci, w imię rycerstwa, na które mnie pasowano, że będziesz miał zadośćuczynienie.

Gospodarz odrzekł z tą samą powagą:

– Mości kawalerze, nie mam, dzięki Bogu, nikogo, nad kim chciałbym, żebyś się mścił za mnie, bo gdy mnie kto obrazi, umiem się bardzo dobrze zemścić za siebie. Gdybym czego żądał, to jedynie, żebyś mi pan zapłacił wydatki tej nocy, siano i sieczkę, które wierzchowce wasze pożarły, bo tak się nie wyjeżdża z gospody.

– Jak to? więc to gospoda? – ofuknął Don Kichot.

– A jużciż nie co, jeno gospoda i jedna z najlepszych – rzekł gospodarz.

– Bardzom się mylił – mówił dalej rycerz – biorąc ją dotychczas za zamek i to niemały zamek. Ale, ponieważ to gospoda, musisz mi wybaczyć, że ci zaraz nie zapłacę wydatków, które poniosłeś, nie mogę sprzeciwiać się regule zakonu błędnych rycerzy, o których wiem przecie (a przynajmniej nie zdarzyło mi się nigdy nic przeciwnego czytać), że nigdy po gospodach nie płacili. Zwyczaj i rozum chce mieć, żeby ich wszędzie darmo ugaszczano w nagrodę trudów niezliczonych, które ponoszą, szukając przygód dniem i nocą, zimą i latem, konno i pieszo, mrąc z głodu lub pragnienia, z zimna lub gorąca, wystawieni zawsze na wszystkie niewygody, jakie się trafiają na tej ziemi.

– To są błache nawyknienia rycerstwa, które mnie nic nie obchodzą – odrzekł karczmarz – zapłać mi pan tylko, coś mi winien, i dajmy pokój tym baśniom.

– Jesteś głupim i złym karczmarzem – rzekł Don Kichot, i spuszczając spisę wyjechał z gospody, nie patrząc nawet, czy jego giermek za nim postępuje.

Gospodarz widząc, że się od Don Kichota niczego spodziewać nie może, chciał, żeby mu Sancho zapłacił, ale ten poprzysiągł, że tak jak pan, nie może płacić, bo jako giermek błędnego rycerza, musi korzystać z tego samego przywileju. Daremnie gospodarz się gniewał i groził mu, że jeśli mu nie zapłaci, to sobie sam zapłacić potrafi pięścią, w sposób, który giermek długo zapamięta. Sancho zaklął się na rycerstwo, na które pasowano jego pana, że nie da ani marawedisa, choćby go miano udusić, i że przyszłe pokolenie giermków nie będzie złorzeczyć jego pamięci, bo nie pozwoli, aby tak słuszne i piękne prawo miało być zatracone z jego winy.

Na nieszczęście, było w gospodzie czterech handlarzy wełny z Segowii i trzech kupców szpilek z Poto, chłopaki żwawe i wesołe i skore do figla. Zbliżyli się do Sancha i zsadzili go z osła, a jeden z nich poszedł po kołdrę. Widząc, że otwór w bramie zanadto niski na ich zamiar, zawiedli na podwórze biednego Sancha, tam rozciągnąwszy go na kołdrze, czterech najmocniejszych ujęło go za cztery rogi i zaczęli ciskać go w powietrze do wysokości dwunastu lub piętnastu stóp, jak to kucharze robią często z psami, co im mięso kradną. Okropne krzyki biedaka doszły do uszu pana, który mniemał z początku, że go niebo do nowej przygody powołuje; ale poznawszy wkrótce, że to wierny giermek tak ryczy, spiął Rosynanta i stanął przed gospodą. Bramę na nieszczęście zatrzaśnięto. Objeżdża więc naokoło, chcąc koniecznie znaleźć jakieś wejście, wtem zza muru od podwórza, niezbyt wysokiego, widzi jak Sancho wznosi się i opada w powietrzu z takim wdziękiem i gibkością, że śmiałby się pewnie, gdyby się nie był rozgniewał. Żart ten nie przystawał wcale do jego humoru usiłował kilka razy za pomocą grzbietu Rosynanta dostać się na mur i wdrapałby się z pewnością gdyby nie był tak zbity, że z konia zsiąść nie był w stanie. Ale za to tyle obelg ciskał na niegodziwych figlarzy, że niepodobna ich opisać. Mimo to niegodziwcy ci nie przestawali swojej facecji i śmieli się jeszcze głośniej. Nareszcie, znużywszy się sami, obwinęli go w kaftan i miłosiernie wsadzili tam skąd go wzięli, to jest na osła.

Uczciwa Maritornes, która nie bez przykrości przyglądała się srogiej Sancha przygodzie, przyniosła mu natychmiast dzban zimnej wody, którą właśnie naczerpała ze studni, lecz gdy go przytykał do ust, zatrzymał go nagle głos pana, który krzyczał z tamtej strony muru:

– Sancho, synu kochany, nie pij tej wody, nie pij, dziecię moje, bo umrzesz, czyż nie mam cudownego balsamu, który cię za chwilę na nogi postawi? Mówiąc to, pokazywał mu miarkę blaszaną.

Ale Sancho odwróciwszy głowę na te krzyki i przyglądając się panu nieco z ukosa, rzekł:

– He panie, czy pan zapomniałeś, że nie jestem pasowany na rycerza, chcesz, żebym oddał tę trochę wnętrzności, co mi zostało? Schowaj się pan w piekło ze swoją miksturą i daj mi pokój.

Zaczął pić znów, ale po pierwszym łyku poczuwszy, że to tylko woda, nie mógł pić dłużej i poprosił Maritornes o trochę wina, którego mu też ona przyniosła, kupiwszy je za własne pieniądze. Toteż mówią, że miała ta dziewczyna i dobrą stronę swoją, chociaż taka skrupulatka. Sancha, gdy się napił, odprowadzono aż do bramy gospody, gdzie, spiąwszy osła piętami odjechał bardzo zadowolony, że nic nie zapłacił, choć nadstawił skóry i boków, zwyczajną swoją zapłatę. Gospodarz, widząc Sancha na dworze, chciał kazać bramę zasunąć, ale figlarze, którzy niezbyt zwracali uwagę na naszego rycerza, choćby należał do Okrągłego Stołu, nie chcieli na to pozwolić, i może by nie opuścili sposobności pobawić się z panem, jak się pobawili ze służącym.

Rozdział IV

Rozmowa Don Kichota z Sancho Pansą oraz inne przygody godne opowiedzenia

Gdy Sancho dogonił pana, ten, widząc go tak poturbowanym, że zaledwie na ośle mógł dosiedzieć, rzekł do niego:

– Teraz przyjacielu Sancho nie wątpię już, że są jakieś czary w tym zamku, czy też austerii, bo dokładnie nie wiem, co to jest. Któż mógł tak okropnie naigrawać się z ciebie, jeżeli nie widma i ludzie

z tamtego świata? Żeby cię jeszcze dokładniej o tym przekonać, powiem ci, że kiedy przyglądałem się temu smutnemu widowisku przez mur od podwórka, nie byłem w możności wleźć nań, ani nawet z konia zsiąść, tak mnie oczarowali. Bogiem a prawdą, nieźle zrobili poniekąd, bo gdyby mi było wolno wskoczyć na mur, wierz mi, tak byłbym pomścił ciebie, że to tałatajstwo nie potrafiłoby już drwić sobie; a w moim usposobieniu wykroczyłbym przeciw prawom rycerstwa, które, jakem ci często mówił, nie pozwalają rycerzowi dobywać miecza przeciw tym, co nie są rycerzami, chyba w obronie życia lub w najgwałtowniejszej potrzebie.

– Sam bym się był pomścił, gdybym był zdołał – odparł Sancho – choć nie jestem rycerzem; ale, dalipan, nie ode mnie to zależało, choć i poprzysiągłbym, że ci hultaje, co się bawili moim kosztem, nie są widmami, ani zaklętymi ludźmi, jak pan powiadasz, ale rzeczywistymi ludźmi z ciała i kości, jak my, i pamiętam dobrze ich nazwiska. Jeden się nazywa Pedro Murtinez, drugi Tenorio Hernandez, a dobrze słyszałem, że nazwisko gospodarza Juan Palomegne. Widma nie są chrzczone, panie, nie mów mi pan więc, że to czary nie dozwoliły panu wdrapać się na mur lub zsiąść z konia. Co do mnie, widzę najjaśniej pod słońcem, że im więcej szukać będziemy przygód, tym prędzej napotkamy na taką, co nas życia pozbawi. Za łaską Boską nie rozeznamy wkrótce lewej nogi od prawej. Dalipan, najlepiej i najpewniej, według mego maluczkiego pojęcia, powrócić do naszej wioski właśnie teraz w porę żniwa; bo niedobre nasze żniwa na cudzych polach, wpadamy ciągle z deszczu pod rynnę, coraz to gorzej, miasto lepiej się nam dzieje.

– Ach, mój biedny Sancho – przerwał mu Don Kichot – powtórzę ci po setny raz, jakżeś nieświadomy i ciemny pod względem rycerstwa! Milcz i bądź cierpliwy, przyjdzie chwila, że własne

doświadczenie przekona cię o korzyściach powołania tego. Bo nareszcie, powiedz mi, czy jest jaka przyjemność pod słońcem wyrównywająca zwycięstwu w walce i tryumfowi nad nieprzyjacielem? nie ma, wszak prawda?

– Wierzę temu – odrzekł Sancho – choć nie wiem nic o tym. Ale wiem, że od czasu, jak zostaliśmy błędnymi rycerzami, to jest pan, bo ja nie zasługuję na ten zaszczyt, wygraliśmy dopiero jedną bitwę z Biskajczykiem. Odtąd kułaki, pięście, kije dla pana i dla mnie, a w dodatku jeszcze poturbowali mnie srodze i to zaklęci ludzie, nad którymi zemścić się nie mogę, i nie mogę używać tej wielkiej przyjemności, jaka, według pana, znajduje się w zemście.

– Taka moja dola – rzekł Don Kichot – niechże będzie i twoją, ale poczekaj, zaręczam ci, wkrótce będę miał miecz tak kunsztownie ukuty, że tego, co go nosić będzie, nie zdołają nigdy żadne czary oczarować. Mogło się zdarzyć, że szczęśliwy traf dałby mi w rękę miecz, którym władał Amadis, kiedy się mianował rycerzem Ognistego Miecza, najlepszego, jaki się mógł w świecie znajdować, bo oprócz ognistości, ostry był jak brzytwa; najtwardsza zbroja, najbardziej zaczarowana, nie oparła się mu nigdy, kruszył je jak szkło.

– A ja tak jestem nieszczęśliwy, że choćbyś pan i ów miecz posiadał, to on się przyda na coś tylko pasowanemu rycerzowi, tak jak balsam, i wszystko znów zwali się na biednego giermka.

– Nie obawiaj się tego – dodał Don Kichot – dla ciebie los będzie przychylniejszy.

Gdy tak rozmawiali, nagle Don Kichot spostrzegł tuman kurzawy z daleka, który wiatr gnał ku nim, odwracając się więc do giermka, zawołał:

– Przyjacielu Sancho, otóż dzień, który okaże, czym mnie los obdarzy. Otóż dzień, powiadam ci, w którym dzielność ramienia

mojego zajaśnieje, a znakomite czyny moje staną się godne opisu w księgach sławy dla nauki przyszłych pokoleń. Czy spostrzegasz tam tuman kurzawy? wznosi się on z pod stóp niezliczonego wojska, złożonego ze wszystkich prawie narodów tego świata.

– To w takim razie muszą być dwa wojska – wtrącił Sancho – bo i z drugiej strony także widać to samo.

Don Kichot spiesznie się odwrócił i widząc, że Sancho prawdę mówi, uczuł radość niewymowną, wierząc jak najmocniej (bo nigdy na wpół nie wierzył), że to dwie armie jakieś stoczą z sobą walkę na tym błoniu. Uczciwemu szlachcicowi temu nie brak było wrodzonej odwagi i tak sobie napełnił wyobraźnię wojnami, potyczkami, czarami i wszystkimi cudami, opiewanymi po romansach, że we wszystkim, co robił i myślał, nimi tylko miał głowę nabitą. Dwie liczne trzody owiec, zdążając z dwóch stron przeciwnych, robiły ten kurz, który tak był gęsty, że trzeba się było bardzo przybliżyć, żeby istotną rozpoznać przyczynę. Don Kichot jednak tak stale zapewniał, że to byli wojownicy, że Sancho, zaczynając wierzyć, zapytał się:

– No i cóż my, panie, będziemy tam z nimi robili?

– Co będziemy robili? Będziemy ratować tych, co pomocy naszej zapotrzebują. Ale trzeba, żebyś wiedział, o co rzecz idzie. Armią z lewej strony dowodzi wielki cesarz Alifanfaron, pan wyspy Taprobanu, a ta, co zdąża z prawej strony, jest armią nieprzyjaciela jego, króla Garamantów, Pentapolina z obnażonym ramieniem, dlatego tak go nazywają, że walczy z gołym ramieniem.

– A za co ci mocarze wojują z sobą? – zagadnął Sancho.

– Zostali nieprzyjaciółmi – odrzekł Don Kichot – bo ten Alifanfaron zapłonął miłością do córki Pentapolina, która jest jedną z najpiękniejszych kobiet w świecie i do tego chrześcijanką. Alifanfaron zaś jest poganinem i ojciec nie chce mu dać córki,

dopóki nie wyrzeknie się fałszywego Mahometa swojego i nie przejdzie na wiarę chrześcijańską.

– Jak mi Bóg miły – rzekł Sancho – Pentapolin bardzo mądrze postępuje i pomogę mu z całego serca w czym tylko będę mógł.

– Będziesz to tylko robił, co ci powinność każe – odrzekł Don Kichot – bo też w takich razach niekoniecznie potrzeba być pasowanym na rycerza.

– Nie? – zagadnął Sancho – och, dalipan, to gracko! Ale gdzież ja podzieję osła w czasie bitwy, bo nie wiem, czy mi się będzie godziło do niej należeć na takim rumaku. A gdzie go potem znajdę?

– Masz słuszność – odparł Don Kichot – ale puść go na wolę Bożą, choćby zginął, to nic nie szkodzi. Po zwycięstwie będziemy mieli tyle koni do wyboru, że nawet Rosynanta kto wie, czy nie pomieniam na innego. Słuchaj jednak, muszę cię obznajmić z główniejszymi dowódcami tych armij, zanim nastąpi natarcie. Wejdźmy na to wzgórze, stąd ich łatwo dostrzeżemy.

Mówiąc to, weszli na pagórek, gdzie byliby zobaczyli, że nasz rycerz brał trzody owiec za wojska, gdyby kurz nie prószył im zanadto w oczy. Nareszcie Don Kichot, spostrzegłszy tysiąc szczegółów w swojej wyobraźni (gdzie indziej ich być nie mogło), wyniosłym głosem zaczął prawić:

– Ten rycerz, którego tam w złoconej zbroi spostrzegasz, co ma na twarzy lwa koronowanego u stóp dziewicy, jest to waleczny Lorkalsz, pan srebrnego mostu. Ten w zbroi, nasianej złotymi kwiatami, który nosi trzy złote korony w lazurowym polu, jest to potężny Mikolembo, wielki książę Kwirocji. Tamten znów, co idzie po prawej stronie, olbrzymiego wzrostu, to nieustraszony Brandebarbaran z Boliszy, pan trzech Arabii, uzbrojony, jak widzisz, w węża skórę, ma on na tarczy drzwi. Mówią, że to są drzwi z tej świątyni, którą Samson zwalił, kiedy się mścił nad nieprzyjaciółmi

swoimi ze szwankiem własnego życia. Oddział, który tam widzisz, składa się z różnych narodów: tu są ci, co piją przyjemne wody sławnego Ksante; ówdzie górale, co uprawiają pola Masylijskie; tu, co haftują cienkim złotem Arabii szczęśliwej; tamci, co cieszą się widokiem świeżych i pięknych wybrzeży Termodonu i łowią złoty piasek bogatego Paktolu; Numidowie niestali i niepewni w obietnicach; Persy, nieporównani łucznicy; Medy i Partowie, walczący w ucieczce; Arabowie, co zawsze obozują, nie mając stałego siedliska; Scytowie straszni i okrutni; Etiopczykowie, co sobie wargi przekłuwają, i wiele innych narodów, które widzę, znam twarz, ale nazwy nie pamiętam. Z drugiej strony nadchodzą ci, co piją płynny kryształ Betisy, której brzegi pokryte oliwnymi drzewami; ci, co się myją w bogatych nurtach Tagu; ci, co cieszą się wodami zbawiennego Genilu; ci, co uprawiają pola Tartezjańskie, tak obfite w pastwiska; tamci, wiodący tak szczęśliwe życie w cudownych rękach Kseresa; bogaci Manchegowie, koronowani żółtymi kłosami; ci od stóp do głów pokryci żelazem, są to potomkowie w prostej linii starożytnych Gotów; ci, co się kąpią w Pisverga, rzece sławnej ze spokojności wód swoich; ci, których trzody się pasą na obfitych pastwiskach wężykowej Gwadiany; ci, co drżą u stop zimnych gór Pirenejskich i w śniegach Apeninu, słowem wszystko, co Europa w szerokiej przestrzeni swej mieści.

Rzecz nie do pojęcia, z jak zadziwiającą szybkością wymienił nieskończoną ilość prowincji i narodów, nadając każdej to, co ma sobie właściwego ze zdumiewającą przytomnością umysłu, a wszystko to stylem owych jego książek, co się nie dadzą naśladować. Sancho tak się zdziwił tym ogromnym napływem słów, że nie śmiał wtrącić ani wyrazu. Otwierał tylko oczy na roścież i zwracał głowę za ruchem ręki pańskiej, chcąc się

przekonać, czy ujrzy owych rycerzy i olbrzymów, których mu ten wskazywał. Ale nic a nic nie dostrzegłszy:

– Panie – rzekł, na wpół w rozpaczy – niech diabli porwą wszystkich tych ludzi, rycerzy i olbrzymów których wymieniłeś, ja ani jednego nie postrzegam. Może się to wszystko także czarami dzieje, jak widma tej nocy.

– Jakiż z ciebie niedołęga – odrzekł Don Kichot – nie słyszysz więc rżenia koni, dźwięku trąb, werbla, bębnów i kotłów?

– Jak mi Bóg miły, prócz beku baranów, nic nie słyszę.

Rzeczywiście prawda to była, bo już można było słyszeć zbliżającą się trzodę.

– Widzę – rzekł wtedy Don Kichot – że bardziej się obawiasz, niż się zdaje; bo jak wiadomo, że strach obałamuca zmysły i przedmioty przeinacza dla oka. Ale jeśli ci brak odwagi, pozostań tu i pozwól mi działać, dosyć mnie jednego, ażeby przechylić zwycięstwo tam, gdzie ramię moje podniosę.

Rzekłszy to, spiął Rosynanta i błyskawicy lotem zjechał z pagórka na dolinę.

Sancho darł się z krzyku, żeby się rycerz zatrzymał, że to istotnie owce były, brał niebo na świadki, wszystkich diabłów przyzywał na próżno:

– Przeklęty ten, co mnie spłodził – zawołał nareszcie. – Cóż to za nowe głupstwo? Panie, dostojny panie Don Kichocie, mylisz się pan, nie ma tam ani olbrzymów, ani rycerzy, ani szparagów, ani całej tarczy, ani pół tarczy, chcesz pan pozabijać barany, za które nie masz czym zapłacić.

Don Kichota wszystko to jednak nie wstrzymywało, zamiast go słuchać, krzyczał sam z całych sił:

– Odwagi, męstwa, rycerze, co pod znakami dzikiego Pentapolina z obnażonym ramieniem walczycie, za mną tylko, a przekonacie się,

że pomszczę się za niego na zdrajcy Alifanfaronie z Taprotanu.

Mówiąc to, wpada jak wściekły na gromadę owiec i przerzyna ją tak dziarsko i odważnie, jakby miał do czynienia z najstraszniejszymi wrogami swymi. Pastuchy zaczęli naprzód wołać tylko na niego i wymawiać, co mu biedne, niewinne baranki zrobiły złego; ale widząc, że nic nie wskórają na krzykach, wzięli proce do rąk i zaczęli pozdrawiać naszego bohatera kamieniami cokolwiek większymi od pięści, tak szybko, że jeden raz nie czekał długo na drugi. Ale on, gardząc tym sposobem wojowania, nie zasłaniał się nawet, tylko pędził na wszystkie strony, wołając hukliwie.

– Do mnie, do mnie, sam cię tu oczekuję dla zmierzenia sił z tobą i ukarania za niesłuszną wojnę, którą wydałeś walecznemu Pentapolinowi! Gdzie jesteś, pyszny Alifanfaronie?

Tymczasem z tylu kamieni, co jak grad wkoło niego padały, jeden porządnie zdzielił go w bok. Myślał rycerz, że już zginął, a przynajmniej, że niebezpiecznie ranny; ale przypomniawszy sobie o doskonałym lekarstwie, przytyka prędko blaszaną miarkę do ust i zaczyna pić nieoceniony napój uzdrawiający. Zanim wychylił wymaganą dozę, pada drugi kamień, tłucze na miazgę miarkę, po drodze wybija trzy, czy cztery zęby i gruchocze prawie wszystkie palce u ręki.

Dwa te ciosy tak były silne, że uczciwy rycerz padł na ziemię rozciągnięty jak nieżywy, a pastuchy myśląc, że już naprawdę nie żyje, spędzili prędko trzodę i zabrawszy poległych baranów w liczbie siedmiu czy ośmiu, nie wymieniając rannych, szybko się oddalili.

Sancho jednak ani się ruszył z pagórka, skąd przyglądał się niepojętym niedorzecznościom pana swojego, i wyrywając sobie garścią włosy z brody, przeklinał stokrotnie dzień i godzinę,

w której go poznał. Ujrzawszy go jednak na ziemi i pastuchów już daleko, pobiegł do niego, a widząc go w bardzo złym sanie, choć jeszcze niezupełnie bez zmysłów, rzekł doń litościwie:

– Ach wielmożny panie Don Kichocie, nie mówiłżem panu, żebyś zawrócił, że to były barany nie wojsko, na które pan natarłeś?

– Atóż to tak, ten łajdak czarnoksiężnik, który pała do mnie zawiścią – zawołał Don Kichot – zamienia wszystkie rzeczy według chwilowej fantazji; bo mówiłem ci już stokrotnie, że nie można się wdawać w interesy z tymi kuglarzami, oni każą widzieć i wierzyć w to, co tylko zechcą, a ten zdrajca, zawistny chwały, którą byłbym pozyskał, nie omieszka! przemienić zastępów nieprzyjaciół na trzodę owiec, żeby koniecznie zmniejszyć wartość mego zwycięstwa. Ale chcesz mi zrobić przyjemność i przekonać się raz nareszcie na własne oczy, wsiądź na osła i podążaj z daleka za tym mniemanym bydłem, zakładam się, że zaledwo postąpią tysiąc kroków, natychmiast dawną przybiorą postać, a ci pasterze przemienią się w ludzi takich, jakich ci przedtem opisywałem. Albo lepiej nie oddalaj się teraz, jesteś mi potrzebny. Zbliż no się i zobacz, ile mi brak zębów, bo zdaje mi się, że mi ani jeden w ustach nie pozostał.

Sancho zbliżył się i patrzył tak z bliska, że prawie nos wetknął mu w usta, tymczasem balsam zaczął działać w żołądku Don Kichota i nagle z taką gwałtownością, jak wystrzał z muszkietu wyrzucił nieszczęśliwy wszystko, co mógł mieć w sobie, na oczy i brodę litościwego giermka.

– Święta Mario – zawołał Sancho – pan mój ranny jest śmiertelnie. Czysta krew bucha mu ustami.

Przyjrzawszy się jednak bliżej, zapach, smak i kolor przekonały go, że to nie była krew, ale balsam, który pił pan jego, co tak mu nagle ścisnęło wnętrzności, że nie mając nawet czasu odwrócić głowy, wyrzucił wszystko, co miał w żołądku, na twarz pańską i obydwaj

w tym pięknym stanie pozostawali przez czas niejaki. Sancho pobiegł do osła po jaką płachtę do obtarcia dla siebie i dla pana, ale nie znalazłszy tłumoczka, którego zapomniał w gospodzie, o mało zmysłów nie stracił. Znów zaczął się przeklinać, poprzysiągł sobie w sercu, że pozostawi pana, a sam powróci na wieś, nie troszcząc się o nagrodę usługi, i nie dbając już o zarząd wyspy przyobiecanej.

Don Kichot jednak podniósł się z trudnością i kładąc sobie lewą rękę w usta, jakby dla wzmocnienia reszty zębów bardzo nadwerężonych, a prawą ująwszy cugle wiernego Rosynanta, który go ani na chwilę nie opuścił z takim był dlań zachowaniem, zbliżył się do Sancha, spoczywającego na ośle z głową podpartą na rękach, jakoby w głębokim smutku pogrążonego.

– Przyjacielu Sancho – rzekł mu, widząc go w tym stanie – wiesz o tym, że nie będziesz człowiekiem większym od drugich, jeżeli nie będziesz działał więcej od drugich. Wszystkie te burze, co nam się przytrafiają, nie sąż dowodem, że niebo się dla nas wypogodzi i lepsze nastaną czasy? Czy nie wiesz, że złe i dobre ma swoją granicę, a jeśli gwałtowne rzeczy nie mają trwałości, czy nie powinniśmy wierzyć nieomylnie, że dotykamy już palcem darów losu szczęśliwego? Przestańże się tak bardzo trapić przygodami, co mnie się przytrafiają, a których najmniejsza cząstka na ciebie nie spada.

– Jak to, a ten, co go w powietrze ciskano, to nie był synem mojego ojca? A tłumoczek, co mi zabrano ze wszystkimi ruchomościami, nie do mnie należał?

– Jak to? zgubiłeś tłumoczek? – zapytał nagle Don Kichot.

– Nie wiem, czym go zgubił, ale nie znajduję go na tym miejscu, gdzie go zwykle kładę – odparł Sancho.

– Będziemy więc musieli pościć dzisiaj – rzekł Don Kichot.

– Zapewne – dodał Sancho – chyba, że znajdziemy na łąkach te zioła, na których się pan znasz, i które dla niefortunnych rycerzy, jak pan, zastępują posiłek.

– Żeby ci prawdę powiedzieć – mówił dalej Don Kichot – wolałbym kawałek razowego chleba i dwie główki sardynek, od wszystkich ziół, opisywanych przez Diostorida, nawet tych, co są umieszczone w komentarzach Matiola. Jednak wsiądź na osła, Sancho, mój synu, i jedź za mną. Bóg, który wszystkich opatrzy, i nam nie uchybi, a ponieważ usiłujemy wiernie mu służyć w tym ciężkim i trudnym zawodzie, ten, co nie zapomina o owadach w powietrzu i dba o najmniejsze robaczki pełzające po ziemi, który świeci słońcem swoim nad sprawiedliwymi i niesprawiedliwymi i rosę zarówno na złych, jak na dobrych spuszcza, nie zapomni i o nas.

– Panie – przerwał Sancho – niech mi Bóg wybaczy, ale zdaje mi się, że pan lepszym byłbyś kaznodzieją niż błędnym rycerzem.

– Błędni rycerze – odparł Don Kichot – powinni wiedzieć o wszystkim. Był niejeden pomiędzy nimi w dawnych czasach, który tak dziarsko prawił kazanie wobec armii, jakby miał stopień uczony uniwersytetu paryskiego, tak dalece prawdą jest, że miecz nie przytępia pióra, ani pióro miecza.

– A to co innego, tak to rozumiem – rzekł Sancho – niech tak będzie, jak się panu spodoba, ale oddalmy się stąd i poszukajmy noclegu na dzisiejszą noc. Daj Boże, żeby to nie było w jakim miejscu, gdzie się znajdują Maury zaklęte, mulnicy, strachy, bo dalipan, jeśli ich napotkam, jestem sługą rycerstwa, ale niech go wszyscy diabli porwą!

– Módl się do Boga, on nas zaprowadzi, mój synu – rzekł Don Kichot – wybieraj pierwszą lepszą drogę, ty postaraj się tym razem o nocleg. Ale podaj no mi rękę i pomacaj palcem, ile mi brak zębów

w szczęce górnej, z prawej strony, bo tam najbardziej mi ból dolega. Sancho włożył mu palce w usta i macając z góry na dół, zapytał:

– Ile pan ma z tej strony zębów?

– Cztery, nie wymieniając kła – odpowiedział Don Kichot – cztery zdrowe zupełnie.

– Panie – odparł Sancho – zważaj pan, co pan mówisz.

– Powiadam cztery, choćby nawet miało być pięć – odparł Don Kichot – bo dotychczas mi nie wyrywano, a żaden mi nie wypadł.

– Och, dobrze – rzekł Sancho – masz pan właśnie półtrzecia zęba w szczęce dolnej; co zaś do górnej, nie ma ani jednego, ani połówki, wszędzie gładko jak na dłoni.

– Jak to? – zawołał Don Kichot na tę smutną nowinę – na Boga, kto wie, czy bym nie wolał, żeby mi rękę odcięto, aby nie prawicę. Widzisz, dziecko moje, usta bez zębów, to młyn bez kamienia, i nie masz zęba, co by nie miał większej wartości od diamentu, ale cóż robić? Taki los nas wszystkich, którzy wyznajemy twarde prawa rycerstwa. Idź, bracie, prowadź, gdzie chcesz, podążę za tobą.

Sancho pojechał naprzód, nie oddalając się jednak od gościńca, który jakoś w tym miejscu bardzo był ubity. Postępowali z wolna, bo Don Kichot czuł wiele bólu, który ruch konia powiększał jeszcze. Sancho chciał z nim rozmawiać, żeby mu trochę ulżyć i między innymi powiedział mu – o czym w następującym rozdziale będzie, jeśli go kto czytać zechce.

Rozdział V

O przyjemnej rozmowie, którą Sancho miał z panem, i o spotkaniu z umarłymi, oraz innych cudownych wypadkach

– Jeśli się nie mylę, panie – rzekł Sancho – te rozliczne nieszczęścia, trapiące nas od dni kilku, nie są czym innym, jak karą

za grzech, który pan popełniłeś przeciw ustawom rycerstwa, gwałcąc ślub że dopóty pan nie będziesz spożywał chleba przy stole i innych potraw, dopóki nie zdobędziesz tej zbroi na Malandrynie, czy jak mu tam na imię, bo już zapomniałem, jak się ten Maur nazywa.

– Dobrześ powiedział, jak na ciebie – odparł Don Kichot – dobrze wcale, ale żeby nie skłamać, wyszło mi to z pamięci. I ty powinieneś wierzyć także, że ponieważ zapomniałeś mi o tym przypomnieć, miałeś przygodę z tymi wełniarzami, ale nareszcie, co do mnie, naprawię ten błąd, bo w rycerstwie na wszystko są sposoby.

– A ja, panie – zapytał Sancho – czy także robiłem śluby, które mnie obowiązywać powinny?

– To nic nie znaczy – odrzekł Don Kichot – choć nie poprzysiągłeś, jesteś uczestnikiem przysięgi i musisz mieć w niej udział, choćby tylko wspólnictwa, toteż na wszelki wypadek trzeba to raz w życiu uporządkować.

– Ponieważ tak jest – wtrącił Sancho – nie zapomnijże pan teraz, bo może by znów przyszła ochota strachom bawić się moim kosztem albo pańskim, gdyby pana tak niepoprawnym zobaczyli.

W czasie tej rozmowy noc już nastała, a nasi podróżni nie wiedzieli jeszcze, gdzie znajdą schronienie. Co jeszcze było smutniejsze, to to, że im się jeść chciało potężnie, a straciwszy tłumoczek, żadnej nie mieli przy sobie żywności. Wtem zjawiła się nowa przygoda, a raczej coś do niej podobnego. Zupełna noc nastała, a oni ciągle jechali, bo Sancho mniemał, że nie zbaczając z gościńca, o milę lub o dwie natrafią na jaką karczmę. Kiedy tak dążyli w tej nadziei, giermek umierający z głodu, a pan z wielkim apetytem, ciemną nocą, spostrzegli nagle w niejakiej odległości pełno świateł, jakby gwiazd nieruchomych. O mało co Sancho nie

zemdlał na ten widok, sam nawet Don Kichot nieco się zadziwił. Wstrzymali obydwaj cugle rumaków swoich, przyglądając się temu zjawisku. Wtem dostrzegają, że światełka, im bardziej zbliżają się do nich, tym bardziej się powiększają. Przestrach Sancha potroił się, a włosy stanęły dębem Don Kichotowi, który, przyzywając jednak odwagi:

– Przyjacielu Sancho – rzekł – otóż zapewne bardzo wielka i nader niebezpieczna przygoda, gdzie będę potrzebował całej mojej odwagi.

– O, ja nieszczęśliwy! – odrzekł Sancho – znów jakaś przygoda z duchami, przynajmniej patrzy na to, cóż poczną biedne moje boki i plecy?

– Duchy, czy nie duchy – odparł Don Kichot – ręczę ci, że ci ani włos z głowy nie spadnie. Jeśli ci ostatni raz figla spłatały, to winą tego, że nie mogłem przeskoczyć przez mur od podwórka, ale teraz przecie jesteśmy na czystym polu i z całą swobodą będę mógł władać mieczem.

– A jeśli pana znów oczarują, jak wtedy się stało – rzekł Sancho – co mi po tym, czy pan będziesz na czystym lub na brudnym polu?

– Nabierz tylko odwagi – odrzekł Don Kichot – a przekonasz się, jaką będzie moja.

– Tak też zrobię, jeśli Bóg dozwoli – odrzekł Sancho.

I obaj, oddaliwszy się nieco na bok, zaczęli się przyglądać tym światełkom; wkrótce zobaczyli pełno ludzi zupełnie białych. Wtedy Sancho na piękne struchlał ze strachu i zębów szczękanie wtórować zaczęło gwałtownemu drżeniu ciała. Przestrach ten jeszcze się bardziej powiększył, gdy zobaczyli wyraźnie około dwudziestu ludzi konno, zdawało się na pozór w koszulach; każdy z nich trzymał pochodnię w ręku i mruczał coś niskim i płaczliwym głosem.

Za nimi postępowała żałobna lektyka, a dalej sześciu jeźdźców czarno ubranych od stóp do głów.

Dziwny ten widok byłby przestraszył każdego o tej porze, w miejscu tak pustym, oprócz Sancha jednak, którego cała odwaga poszła w tej chwili na bory i lasy. Nie wiadomo, co by się było stało z panem jego, gdyby obłęd jego nie był mu podszepnął, że to właśnie jedna z tych przygód, których się w książkach swoich naczytał. Zdawało mu się, że w lektyce niosą zabitego lub rannego niebezpiecznie rycerza, który mu zlecił zemstę, nie bacząc więc na nic, wymierza pikę i staje na środku drogi. Kiedy się już orszak przybliżył, zawołał głosem donośnym:

– Stój, stójcie! ktokolwiek jesteście, powiedzcie mi, skąd jedziecie, dokąd i kto się w tej lektyce mieści? Zapewne wyrządziliście komu krzywdę, albo inni wam ją wyrządzili, muszę wiedzieć o tym, żeby was ukarać lub się zemścić za was.

– Spieszymy się – odrzekł jeden z jeźdźców – do gospody jeszcze daleko i nie mamy czasu zdawać panu sprawy z tego, o co się zapytujesz.

To mówiąc, wspiął muła i chciał dalej jechać. Ale Don Kichot, rozgniewany tą odpowiedzią, uchwycił za cugle muła i zawołał:

– Naucz się naprzód przystojnie znajdować, odpowiedz natychmiast, albo przygotujcie się wszyscy do walki ze mną.

Muł był strachliwy i tak mocny, że gdy go Don Kichot ujął za cugle, wspiął się, wierzgnął i przewalił na swojego pana. Chłopiec jakiś, który obok szedł piechotą, zaczął miotać tysiąc obelg na rycerza naszego, czym go tak dalece rozgniewał, że nie tracąc więcej czasu na daremne zapytania, wyruszył całym pędem na jednego z tych, co byli w żałobie, i obalił go na ziemię; od tego dąży do drugiego, a dziwna, jak to wszystko prędko sprawiał, zdawało się, że Rosynantowi skrzydła urosły, tak żwawo zbierał

nogami. Męstwo nie było snać rzemiosłem tych ludzi, nie byli to wojacy, toteż wkrótce popłoch ich ogarnął i zaczęli uciekać przez pole z zapalonymi pochodniami, jak owe maszkary, co błazenków udają w mięsopustnej nocy. Żałobnicy, niemniej przestraszeni, a do tego nie mogąc tak żwawo zmykać w długich płaszczach, nie śmieli ani się poruszyć. Don Kichot, waląc też na wszystkie strony, pozostał panem placu bitwy bardzo tanim kosztem, bo cały ten tłum ludzi wziął go za diabła, co im chciał zabrać umarłego z trumny. Sancho jednak uwielbiał dziarskość bohatera naszego i rozumując sobie, przekonał się nareszcie, że jego pan musi być tym, za kogo się może słusznie uważać.

Po zakończeniu tej pięknej wyprawy Don Kichot, spostrzegłszy powalonego z mułem, przy blasku pochodni, która jeszcze płonęła, przyłożył mu lancę i rozkazał poddać się lub zginąć.

– Aż nadto jestem poddany – odpowiedział biedak – nie mogę się ruszać, zdaje mi się, że mam nogę złamaną. Błagam pana, jeżeliś chrześcijanin, nie zabijaj mnie. I tak popełniłbyś świętokradztwo, bo jestem bakałarzem i pierwsze święcenie już odbyłem.

– Cóż tu u diabła asana sprowadza – zagadnął Don Kichot – kiedy jesteś duchowną osobą?

– Nieszczęście, jak widzisz, panie!

– Nieszczęście to być może jeszcze dotkliwsze, jeśli nie odpowiesz w tej chwili na wszystkie moje zapytania – rzekł znów Don Kichot.

– Nie tak to trudno – odparł bakałarz – Cóż panu powiem? Nazywam się Alonzo Lopez, rodem z Alkowendys, wracam z Basa z jedenastu księżmi tymi właśnie, co to uciekli. Wyprowadzaliśmy ciało szlachcica jednego, co niedawno zmarł w Basa, i chciał, żeby go pochowano w Segowii, w miejscu jego urodzenia.

– Któż zabił tego szlachcica? – zapytał z gniewem Don Kichot.

– Bóg – odparł bakałarz. – Bóg gorączką trawiącą, którą zesłał na niego.

– Kiedy tak się rzecz ma – wtrącił nasz rycerz – Pan Bóg uwalnia mnie od obowiązku pomsty za jego śmierć, gdyby go kto z ludzi był zabił ale ponieważ to Bóg, trzeba milczeć i poddać się jego najświętszej woli. Dowiedzże się teraz, mości bakałarzu, że jestem rycerz z Manchy, nazywam się Don Kichot, i że moim powołaniem jest jeździć po świecie dla pomsty krzywd i karcenia zniewag.

– Nie wiem, jaką to moją krzywdę pomściłeś pan – odparł bakałarz – ale to wiem, żeś wyrządził krzywdę mojej nodze, która przedtem była prosta zupełnie. Szukając przygód po świecie, najgorszą z nich mnie sprawiłeś, co nie myślałem nigdy o panu.

– Na tym świecie nie wszystko tak idzie, jakby się pragnęło – rzekł Don Kichot – całe zło polega mianowicie na tym, że nie powinniście włóczyć się po nocach w tych długich płaszczach żałobnych, z zapalonymi pochodniami, mrucząc przez zęby i pod nosem, podobni jesteście do ludzi z tamtego świata. Widzisz więc waszmość, że nie mogłem nie natrzeć na was i natarłbym był, choćbyście byli nawet istotnymi diabłami, za jakich was miałem z miny i czupryny.

– Nareszcie – rzekł bakałarz – ponieważ nieszczęście tak mieć chciało, trzeba się pocieszać, błagam cię tylko, mości błędny rycerzu, żebyś mi pomógł wydostać się spod tego muła.

– Czemużeś mi waszmość pierwej tego nie powiedział – rzekł Don Kichot – czekałeś, żebym zgadł?

Zawołał natychmiast Sancha, który się jednak nie bardzo spieszył, bo zdejmował z muła jednego żywność, o której nie zapomnieli ci dobrzy księża. Zrobił z kaftana swojego gatunek worka i pakował, co tylko się mogło zmieścić. Potem pobiegłszy, rzekł do pana:

– Do diabła, panie, nie można być razem w młynie i w piecu.

Don Kichot kazał mu podnieść bakałarza, co uskutecznił i wsadziwszy go na muła, oddał mu pochodnię. Don Kichot pozwolił mu udać się za towarzyszami, których polecił mu przeprosić, nadmieniając, że inaczej nie mógł sobie postąpić.

– Panie – rzekł Sancho – jeśli przypadkiem, który z tych panów zapyta się waszmości, kto jest ów dzielny rycerz, co ich tak gracko poturbował, powiesz im, że to sławny Don Kichot z Manchy, inaczej zwany Rycerzem Posępnego Oblicza.

Gdy bakałarz odjechał, Don Kichot zapytał się Sancha, co to miał znaczyć ów Rycerz Posępnego Oblicza.

– Przyglądałem się panu przez czas niejaki przy blasku pochodni, którą trzymał ten biedak – odparł Sancho – i po prawdzie nigdy mi się nic podobnego nie zdarzyło widzieć. Czy to ze znużenia, czy też z powodu tego braku zębów?

– Nie rozumiesz dlaczego – rzekł Don Kichot. – Mędrzec, co ma kiedyś opisać dzieje moje, uznał za właściwe, żebym miał przydomek, jak wszyscy dawni rycerze; jeden się nazywał Rycerzem Ognistego Miecza, drugi Feniksa, trzeci Grifona, czwarty Śmierci i cała ziemia znała ich pod tymi nazwami. Zapewne to ten mędrzec natchnął ciebie, że mi dałeś przydomek Posępnego Oblicza, który teraz nosić zamyślam. Nawet jestem gotów kazać wymalować na tarczy jakie oblicze.

– Dalipan – rzekł Sancho – szkoda pieniędzy, panie, niech się pan tylko pokaże, częste posty nasze i smutne położenie pańskich zębów taką dziwną nadaje panu minę, że nie ma malarza, co by ją zdołał uchwycić. Wszyscy ci, co cię zobaczą, natychmiast dadzą ci przydomek „posępnego oblicza", niech to pana nie obraża.

Don Kichot roześmiał się z żartów swojego giermka i postanowił na dobre przyjąć ten przydomek i kazać go za pierwszą sposobnością wymalować na tarczy.

– Ale wiesz, Sancho – dodał – że jestem nieco w kłopocie, boję się, żeby mnie nie wyklęto za to, żem rękę położył na duchownym. Nie dotknąłem go wprawdzie ręką, ale lancą, i nie przypuszczałem, żeby to byli księża, których czczę i poważam, ale duchy i mieszkańcy tamtego świata. Choćbym zresztą i wiedział, przypominam sobie, co się przytrafiło Cydowi Ruy Dias, kiedy porąbał w kawałki stołek ambasadora w przytomności papieża, który go za to wyklął.

Bakałarz odjechał, jak już powiedziałem, nie pisnąwszy ani słówka; Don Kichotowi przyszła ochota zajrzeć do trumny nieboszczyka, ale Sancho oparł się temu, mówiąc:

– Pierwsza to przygoda, z której wyszliśmy cało jakoś, dajmy więc sobie pokój. Skoro ci ludzie zobaczą, że tylko jeden rycerz tak ich srodze poturbował, gotowi jeszcze powrócić i dać się nam we znaki. Osioł mój w dobrym jest stanie, jesteśmy u stóp góry, głód nam dokucza, zrejterujmy więc dziarsko, niech umarły, jak to mówią, idzie do ziemi, a zdrowy do karczmy.

To mówiąc, zaczął pędzić osła przed sobą i prosił pana, żeby z nim szedł, czego też ten i usłuchał, widząc, że Sancho miał poniekąd słuszność.

Idąc tak przez pewien czas między dwoma wzgórzami, wyszli na dolinę; tam Don Kichot zsiadł z konia, rozciągnęli się na świeżej murawie i zjedli śniadanie, obiad, podwieczorek i wieczerzę zarazem, z dobrym apetytem, bo Sancho znalazł obficie żywności w torbach księży, którzy zazwyczaj o potrzebach żołądka nie zapominają. Ale umierali z pragnienia, a nie mieli ani kropli wody do odwilżenia gardła. Sancho, zauważywszy, że znajdowali się na łące, gdzie trawa była bardzo świeża; dał radę nader zdrową panu swojemu, ale która nie tak bardzo skutkowała, jakby się spodziewać należało, co zobaczymy w następnym rozdziale.

Rozdział VI

O najdziwniejszej przygodzie, jaka się kiedykolwiek przytrafić mogła błędnemu rycerzowi, a z której Don Kichot wyszedł bez wielkiego szwanku

Sancho, któremu pragnienie srodze dokuczało, rzekł do pana:

– Trawa, na której spoczywamy, tak mi się wydaje miękką i świeżą, że tu z pewnością w pobliżu strumyk jaki musi się znajdować. Toteż poszukawszy trochę, może go znajdziemy i ukoimy to pragnienie, trudniejsze do zniesienia od głodu.

Don Kichot uwierzył mu i ująwszy Rosynanta za uzdę, a Sancho osiołka za postronek, zaczęli postępować omackiem, bo ciemno było bardzo. Zaledwo ze dwieście kroków postąpili, gdy usłyszeli nagle ogromny szum, jakby pieniący się potok spadał z wysokiej bardzo góry. Ucieszyło ich to bardzo, a kiedy słuchali, w której stronie, posłyszeli nagle hałas jakiś; to zmniejszyło im przyjemność pierwszego wrażenia, zwłaszcza też Sanchowi, co nie był bardzo odważny z natury. Były to, jakby jakieś uderzenia silne z brzękiem łańcuchów i żelastwa, a do tego szum potoku dołączywszy, taki przerażający był hałas, że każdy inny, prócz naszego bohatera, byłby się był przeląkł. Noc była ciemna, przypadkiem weszli pod jakieś rozłożyste drzewa, których liśćmi i gałęziami świeży wiatr poruszał. Wszystko to przyczyniało się do ich bojaźni, tym bardziej, że nie wiedzieli, gdzie się znajdują, a do świtu było jeszcze bardzo daleko. Ale nieustraszony Don Kichot, zamiast się obawiać, wskoczył lekko na Rosynanta i ściskając tarczę w dłoni, zawołał:

– Przyjacielu Sancho, niebo snać mnie przeznaczyło, żebym wiek złoty w tym żelaznym przeklętym wieku przywrócił; na mnie to oczekują wielkie czyny i niebezpieczne przygody, ja to, jeszcze raz ja, zatrę pamięć rycerzów okrągłego stołu, dwunastu parów Francji,

Oliwantesów, Belianisów, Rycerzy Słońca i tej niezliczonej liczby rycerzy z czasów ubiegłych; przy moich czynach ich sława zbiednieje. Widzisz dobrze, kochany a wierny mój giermku, jak noc ta jest ciemna, milczenie głębokie, okropny szum wody, której nam potrzeba, dziwny szelest drzew, najmniejsza rzecz taka zadziwiłaby samego Marsa, a ileż dopiero ludzi nieprzywykłych do takich przygód! A jednakże to są bodźce tylko do pobudzenia męstwa, mojego, czuję to bicie serca przyjemne przed niebezpieczeństwem, na które się tym chętniej narażę, im się większe i okropniejsze na pozór wydaje. Zapnijże popręgi Rosynantowi i pozostań tu pod Opatrznością Boską. Jeśli za trzy dni nie powrócę, będziesz mógł powrócić do wioski naszej, skąd będziesz łaskaw udać się do Tobozo, gdzie oznajmisz niezrównanej mojej Dulcynei, że rycerz-niewolnik jej wdzięków zginął, bo chciał wielkich czynów dokonać, żeby się jej stać godnym.

Sancho, usłyszawszy go w ten sposób mówiącego, zaczął najserdeczniej szlochać i rzekł mu:

– Nie wiem, dlaczego pan chcesz się narażać na tak okropną przygodę. Teraz noc, nikt nas nie widzi, zejdźmy śmiało z drogi i uniknijmy niebezpieczeństwa, choćby nam przez trzy dni z rzędu nic pić nie wypadało, a ponieważ nie będzie świadka naszej rejterady, nikt nam nie zarzuci tchórzostwa. Słyszałem często, jak proboszcz nasz mówił, że ten, co szuka niebezpieczeństwa, ginie od niego najczęściej; nie kuś pan Pana Boga, przedsiębiorąc wyprawę, z której bez cudu nie potrafisz się wydostać. Czyż nie dość, że poturbowany srodze w karczmie, wyszedłeś zdrów i cały z walki, która temu pogrzebnemu orszakowi wydałeś? Ale jeśli to wszystko nie zdoła wzruszyć twojego serca ze skały, niechże się to serce wzruszy dla mnie przynajmniej; pamiętaj panie, skoro się oddalisz, gotów jestem ze strachu oddać duszę moją pierwszemu

lepszemu, co jej zażąda. Czy zapomniałeś, panie, że opuściłem chatę swoją, żeby iść z tobą, że porzuciłem żonę i dzieci, żeby oddać się tobie, i że tym sposobem, oprócz zaszczytu służenia u ciebie, panie, mniemałem, że na tym ja i oni skorzystają. Ale widzę teraz jasno: lepszy wróbel w ręku, niż żuraw na dachu. Wszystkie nadzieje moje spełzły na niczym jeszcze wtedy, kiedym mniemał dzierżyć oną wyspę, którą mi pan tak często obiecywałeś, i za całą nagrodę chcesz mnie pan samego w jakimś miejscu, gdzie nie ma ludzi, nawet kawałka bydlęcia nie znajdzie. Na miłość Boską, jaśnie oświecony mój panie i władco, nie bądź pan tyle okrutnym, a jeżeliś już koniecznie przedsięwziął tę przeklętą wyprawę, zaczekaj przynajmniej do dnia. Trzy tylko godziny jeszcze czekać trzeba, jak tego nauczyłem się będąc pasterzem, bo właśnie usta małej niedźwiedzicy mamy nad głową, oznacza to północ w kierunku lewej ręki.

– No, mój biedny Sancho – odparł Don Kichot – jakże ty możesz widzieć te usta i ten kierunek, kiedy noc tak ciemna, że ani jednej gwiazdy nie widać na niebie?

– To prawda – odparł Sancho – ale strach ma duże oczy, które jasno widzą, a zresztą nieźle to wiedzieć o tym, że wkrótce dnieć zacznie.

– Niech dnieje lub nie dnieje nigdy – rzekł Don Kichot – nie chcę, ażeby powiedziano, że łzy czyjekolwiek i prośby odwiodły mnie od wypełnienia obowiązku mojego. Wszystko więc, coś powiedział, Sancho, na nic się nie przyda. Niebo, które mi wlało w serce zamiar doświadczenia tej ogromnej przygody, potrafi mnie z niej wyprowadzić i będzie dbać o ciebie po mojej śmierci. Polecam ci tylko dobrze osiodłać Rosynanta i czekać tu na mnie, powrócę wkrótce żywy lub umarły.

Sancho widząc, że postanowienie pana nieodwołalne, że łzy jego i prośby na nic się nie zdadzą, spróbował zręcznego fortelu, którym by mógł zmusić pana do pozostania, mimo jego chęci i na przekór woli, aż do dnia. Zanim więc podpiął popręgi Rosynantowi, cichaczem związał mu postronkiem od osła zadnie nogi. Don Kichot wsiadł na konia i chciał jechać, Rosynant, zamiast naprzód ruszać, skakał tylko.

– No cóż, panie – zapytał Sancho – zachwycony swoim pomysłem – widzisz pan, że niebo za mną się ujęło, nie chce, żeby Rosynant stąd wyruszył, a jeśli się pan uweźmiesz dręczyć to biedne stworzenie, gotowa się jeszcze fortuna naprawdę rozgniewać na pana.

Don Kichot wściekał się w sercu, ale widząc, że im bardziej wspinał Rosynanta, tym ten mniej zdawał się mieć ochoty do pośpiechu, postanowił doczekać się dnia i lepszego humoru rumaka, ani się dorozumiewając, że to wierny giermek figla mu tego wypłatał.

– Ponieważ tak chce Rosynant – powiedział – muszę poczekać, mimo szczerej przykrości, jaką mi to sprawia.

– I cóż w tym tak złego? – zagadnął Sancho – będę panu opowiadał bajki, zobowiązując się dostarczyć ich panu aż do białego dnia. Może wielmożność wasza raczy zsiąść z konia i zdrzemnąć się nieco na świeżej trawce, co jest zwyczajem błędnych rycerzy. Będziesz pan świeższy i dzielniejszy do tej wyprawy.

– Ja spać, z konia zsiadać! – rzekł Don Kichot – czyż to należę do tych rycerzy, co spoczywają, kiedy walczyć należy? Śpij ty, coś się urodził na spanie, albo rób co chcesz. Co do mnie, wiem, jak mam postąpić.

– Nie gniewaj się, panie, ja tylko tak na żarty powiedziałem – rzekł Sancho. I zbliżając się do pana, położył jedną rękę na przodzie,

drugą na tyle kulbaki i przyczepił się, jakby przylepił, do lewej nogi pana, tak go przestraszyły owe hałaśliwe razy, które ciągle słychać było.

– Powiedz jaką bajkę – rzekł pan.

– Powiedziałbym z całego serca – odpowie Sancho – lecz hałas, który słyszę, przeszkadzać mi będzie, bo, na mój honor, panie, nie chcąc kłamać, wyznam, że jestem cokolwiek w strachu. Z tym wszystkim przecież postaram się opowiedzieć wam najciekawszą historię, jaką kiedykolwiek słyszeliście; nie wiem tylko, czy zdołam ją dokładnie przypomnieć sobie i czy będziecie mieli dosyć cierpliwości wysłuchać mego opowiadania. Słuchajcie więc, bo oto zaczynam.

Jak było, tak i było: dobre jest dla wszystkich, a złe dla tego, który go szuka. Zauważcie tylko, proszę was, panie, że starożytni nie zaczynali nigdy swych powieści, jak dziś je zaczynają, lecz rozpoczynali zazwyczaj od przysłowia niejakiego Katona, cenzora rzymskiego, który to właśnie utrzymywał, że złe jest tylko dla tego, który onego szuka, a to właśnie, jak raz dobrze przypada na przestrogę dla waszej wielmożności, by siedziała spokojnie i nie budziła licha, które śpi, a nade wszystko, że uczynilibyśmy najlepiej, gdybyśmy, obrawszy sobie inną drogę, porzucili tę, na której bez zawodu wszyscy diabli nas oczekują.

– Ty ciągnij tylko dalej swoje opowiadanie, a drogę i jej kierunek mnie pozostaw.

– Mówiłem więc – rzecze Sancho – że w pewnym miejscu, w Estramadurze, był sobie pasterz kóz, to ma znaczyć, panie, taki, który kozy pasał, a który to właśnie pasterz albo pasący kozy, jak chce mieć historia, nazywał się Lopez Ruiz i nadto ten pasterz, Lopez Ruiz, zakochany był, jak się mówi, w pewnej pasterce, nazwanej

Toralva, która to właśnie pasterka, nazwana Toralva, była córką bogatego pasterza, który posiadał bardzo liczną trzodę.

– Jeżeli obrałeś sobie ten sposób opowiadania – przerwał Don Kichot – i będziesz powtarzał ustawicznie jedną rzecz dwa razy, to i za dwa dni nie skończysz; opowiadaj więc powieść swoją lepiej lub nie kończ jej wcale.

– Wszystkieć nowości u nas opowiadane są w ten sposób – odrzekł Sancho – i ja też nie umiem opowiadać inaczej, a i wam, panie, cieszyć by się należało, że nie wprowadzam nowych zwyczajów.

– Opowiadaj wreszcie, jak sobie chcesz – rzecze Don Kichot – i ponieważ mój los fatalny każe mi słuchać twej mowy, mówże więc dalej.

– Wiadomo wam już przeto, kochany mój panie – ciągnął dalej Sancho – że ów pasterz, jak to już powiedziałem, zakochany był w pasterce Toralva, młodziuchnym, okrągluchnym stworzeniu, ale dzikim i trudnym do ugłaskania, a która, jakby coś męskiego w sobie mając, na brodzie nawet zarastała niby. Zdaje mi się, jakbym ją widział w tej chwili przed sobą.

– Alboż widziałeś ją kiedy istotnie? – zapytał Don Kichot.

– Ja? nigdy – odpowiedział Sancho – ale ten za to, od którego ja tę powieść słyszałem, tak był pewny tego, co widział, że ja, opowiadając innym znów, mogę już śmiało poprzysiąc, że wszystko widziałem na własne oczy. Otóż tedy więc, od dnia do dnia, jak to powiadają, a diabeł, który nie śpi i rad wścibia się wszędzie, uczynił, że kochankowie pokłócili się z sobą, a zatem, i miłość pasterza w nienawiść się zamieniła, złe języki utrzymywały, że powodem do tego wszystkiego była Toralva, że jakoby ona do słusznej zazdrości widoczne dawała mu powody, ale to dawała, święta Panno! odpuść. Odtąd już pasterz kóz znienawidził ją do tego

stopnia, że znieść jej widoku samego nawet nie mogąc, postanowił oddalić się w tak odległe miejsce, ażeby o niej już w życiu nie usłyszał więcej. Tak postanowił, tak też i uczynił, ale Toralva, widząc się pogardzoną od Lopeza Ruiz, rozmiłowała się w nim bardziej niż kiedykolwiek.

– Otóż to właśnie prawdziwy charakter kobiet – przerwał znów Don Kichot – pogardzają rozmiłowanym kochankiem, a kochają tego, który im nienawiść okazuje, ale mów dalej, Sancho.

– I przyszło wreszcie do tego – ciągnął znów Sancho – że pasterz odszedł, pędząc swe kozy przed sobą i skierował się przez pola Estramadury prosto ku portugalskiemu królestwu. Ale i Toralvie nie brakło sprytu, domyśliła się wszystkiego i zaraz tedy za nim w pogoń bosa, w jednej ręce trzymając trzewiki, a w drugiej kij podróżny; na szyi zawiesiła woreczek, gdzie, jak powiadają, to kawałek zwierciadła, to pół grzebienia, więc i pudełeczko z różem i inne cacka do upiększenia miała. Ale co miała, to miała, mnie to nic nie obchodzi. Koniec końcem, pasterz Lopez Ruiz ze swoją gromadą kóz przybył nad brzeg Guadyany w czasie, gdy rzeka ta ogromnie wezbrana była, duża jak ojciec i matka razem, a w stronie, gdzie pasterz znajdował się, właśnie nie było ani statku, ani czółna nawet, ani żywego ducha, aby przeprawić jego i trzodę. Umierał więc biedak z niepokoju, bo czuł Toralvę tuż za sobą, która by go do wściekłości doprowadzić mogła płaczem i krzykiem swoim. Na koniec jednak, patrząc się na wszystkie strony, dostrzegł przecież rybaka, który miał małą łódkę, ale tak małą, że w niej tylko jednego człowieka i jedną kozę pomieścić było można. Pomimo to jednak, w pośpiechu zawarł z rybakiem umowę o przeprawienie siebie i swoich trzystu kóz. Rybak tedy przyprowadził statek i przewiózł jedną kozę, powrócił i przewiózł znów drugą, powrócił znów i przeprawił trzecią. Wreszcie, panie – mówił dalej Sancho –

liczcie dobrze, bardzo proszę, ile rybak przeprawia kóz, gdyż ostrzegam was, że jeśli choćby o jedną tylko pomyłka zaszła, cała historia się kończy i diabeł wie tylko, gdzie jej wątku szukać by potrzeba. Otóż ponieważ przeciwny brzeg rzeki był bardzo śliski i pełen błota, każda przeprawa rybaka i kozy trwała dość długo, ale jednak, że szło jakoś tam powoli i rybak przewiózł znów jedną kozę i jeszcze jedną, a potem jeszcze jedną znów...

– I czemuż nie powiesz od razu, że przeprawił je wszystkie – rzekł Don Kichot – a wodząc tak tam i sam po kolei każdą, nie skończysz i przez miesiąc pewnie.

– A wiele już jest przeprawionych kóz w tej chwili? – zapytał Sancho.

– A diabliż je wiedzą – odrzekł Don Kichot – czy myślisz, że ja rachowałem?

– Otóż stało się, jak przewidziałem – rzekł Sancho – nie chciałeś pan liczyć, więc i moja powieść skończona, niepodobna przeskoczyć dalej.

– Co, jak to? – zawoła Don Kichot – czy podobna, aby powieść zależała od dokładnego liczenia kóz przewiezionych tak dalece, iżby pominięcie jednej chociażby zatrzymało opowiadanie?

– Tak jest, panie – odpowiedział Sancho – bo w tym samym czasie, gdy pytałem was, ile kóz zostało przeprawionych, i jak odpowiedzieliście mi na to, że nie wiecie ile, w tej samej chwili zapomniałem wszystko, co miałem jeszcze do opowiedzenia, a prawdziwie szkoda wielka! bo reszta była najciekawsza.

– Takim sposobem więc – rzecze Don Kichot – historia już umarła?

– Umarła, jak moja matka – odrzekł Sancho.

– W samej rzeczy, przyjacielu Sancho – rzecze dalej nasz rycerz – to jakaś osobliwsza powieść i sposób opowiadania najdziwaczniejszy także. Ale i czegóż więcej mogłem spodziewać się od twego

dowcipu, bez wątpienia ten ustawiczny hałas pomieszał ci w głowie.

– To być bardzo może – odrzekł Sancho – chociaż co do powieści, to jestem pewny, że ta zawsze się przerwie, gdy zabraknie liczby kóz.

– Niech się tam przerywa i kończy, jak sobie chce – przerwał Don Kichot – zobaczymy raczej, czy Rosynant chce iść wreszcie.

To mówiąc, uderzył w obydwa boki rumaka, lecz ten odpowiedział mu tylko jednym skokiem, tak dzielnie spętał go Sancho.

Jednakże, bądź to skutkiem chłodnego nocy powietrza, bądź, że Sancho wieczerzając, zjadł coś rozwalniającego, bądź wreszcie skutkiem energicznego samejże natury działania, nasz giermek uczuł nagle, że nie utrzyma dłużej ciężaru, którego pozbyć się tylko własnym mógłby usiłowaniem; ale strach, powstrzymując go na miejscu, nie dozwolił mu oddalić się ani na krok jeden od swego rycerskiego pana. Jednakże trzeba było coś przedsięwziąć w tak pilnej potrzebie. Ostateczność była już blisko, pełen postanowienia przeto nasz giermek, chcąc pogodzić rzeczy ile możności zręcznie, wymknął prawą rękę spod siodła, którą trzymał dotąd, i z odwagą odpiął wszystkie guziki od spodni; tak uwolniony z krępującego jego naturalne kształy powicia, chcąc nade wszystko cichością pokryć swe czyny, zacisnął zęby i ramiona zwarłszy, zatrzymał w piersiach tchnienie; lecz niestety, acz słaby odgłos, odmienny atoli najzupełniej od słyszanego dotąd łoskotu, zdradził tajemnicę.

– Cóż to usłyszałem? – zawołał nagle Don Kichot.

– Nic nie wiem, panie – odrzekł rezolutnie Sancho – lecz zapewne będzie to jakiś nowy figiel szatański, boć takie straszne przygody nie kończą się na małym.

Rycerz poprzestał na tym, a Sancho mógł nowe rozpocząć usiłowania, które tym razem przecie pomyślny uwieńczył skutek, pozbawiając biednego giermka bolesnego i niewygodnego ciężaru. Lecz Don Kichot miał nazbyt delikatne powonienie i Sancho mu był za bliskim sąsiadem, ażeby podnoszący się jakiś wyziew, nie ostrzegł go o grożącym niebezpieczeństwie. Zapobiegając przeto złemu jak najrychlej, ścisnął skwapliwie nos palcami i rzecze:

– Sancho, zdaje mi się, że jesteś wielce przestraszony?

– Prawda, panie, czuję wielką trwogę, ale dlaczego postrzegacie to teraz bardziej niż przedtem?

– Bo przedtem nie czułem cię tak blisko siebie jak teraz, a wierz mi, przyjacielu Sancho, że nie bursztynem czuć ciebie.

– To być bardzo może – odrzekł Sancho – lecz czyliż w tym moja wina? dlaczego pan mnie trzyma w takim miejscu i o tej godzinie?

– Oddal się, mój przyjacielu, choć o trzy lub cztery kroki ode mnie i koniecznie staraj się więcej baczyć nad sobą i pamiętać o stopniu, jaki nas przedziela. Widzę ze smutkiem, że zbyt wielka swoboda, jaką ci zostawiłem, pozwoliła ci zapomnieć, czym jesteśmy względem siebie.

– Założę się – wyrzekł Sancho – że wasza wielmożność posądza mnie o popełnienie pewnego niegodziwego czynu?

– Co bądź, to bądź – rzecze Don Kichot – oddal się, powtarzam raz jeszcze.

– Mniejsza o to – odpowiedział Sancho – rozkaz wasz spełnię, ale to nie odmieni rzeczy.

Rycerz nasz z giermkiem przepędzili noc na podobnych rozmowach i ten ostatni widząc, że już dnieć zaczyna, uporządkował swój ubiór i powolutku rozpętał golenie Rosynanta, który z rozkoszy stanął dwa lub trzy razy dęba, co wreszcie nie było mu zwyczajem; lecz biedny zwierz uczyniłby chętnie jeszcze inne skoki,

gdyby je umiał, tak ucieszyła go przywrócona wolność. Rycerz, widząc rumaka już zdolnego do biegu, wziął stąd dobrą wróżbę, sądząc, że los tym znakiem zachęca go do śmiałego przeciw zadziwiającej przygodzie kroku. Powoli też i dzień rozwidnił przedmioty, i Don Kichot ujrzał wkoło siebie las kasztanów, lecz nie mógł pojąć, skąd pochodził nieustający łoskot. Postanowił przeto zbadać przyczynę dziwu, nie czekając dłużej; jakoż spiął ostrogami Rosynanta, chcąc go rozbudzić zupełnie, pożegnał powtórnie swego giermka, powtarzając mu rozkaz, iżby trzy dni oczekiwał na niego bez niespokojności; skoro by jednakże nie powrócił w tym czasie, wtedy niezawodnie utracił życie w straszliwej przygodzie. Ponowił mu zlecenie, jakie miał zanieść Dulcynei od niego, dodając, żeby nie troszczył się o nagrodę swych zasług, gdyż przed wyjazdem jeszcze z domu uczynił testament, który zabezpieczy przyszłość jego w stosunku położonych usług.

– Lecz jeżeli podoba się niebu – mówił dalej – wyprowadzić mnie cało z tej straszliwej sprawy, jeżeli zwłaszcza czarnoksiężnicy nie będą mieszać się do walki, to wierz mi, moje dziecko, że najmniejszą nagrodą twej służby będzie wyspa owa, którą ci już przyrzekłem.

Na tak czułe pożegnanie swego pana Sancho nie mógł powściągnąć łez i głośno szlochając, przysiągł towarzyszyć mu w tym przedsięwzięciu, chociażby śmiercią miał zapłacić swą śmiałość. Tak chwalebne postanowienie, dowodzące nadto, że giermek jego nie był tuzinkowym giermkiem, rozrzewniło rycerza, lecz ukrywając wzruszenie, by nie okazać najmniejszej słabości, skierował się niebawem w stronę, gdzie szum wody i wielki łoskot przyzywały go groźnie. Sancho postępował pieszo za swoim panem, wiodąc za sobą wiernego wszystkich swych przygód towarzysza.

Postępując czas jakiś wśród kasztanowego lasu, przybyli na łąkę otoczoną skałami, z których wierzchołka rzucał się potok z hałasem, co ich już poprzednio dochodził, u podnóża skał stało kilka mizernych chat, podobniejszych do ruder, niż do mieszkalnych domów, i z których właśnie pochodziły straszliwe hałasy i łoskoty, wciąż trwające jeszcze. Bliski i tak wielki szum przeraził Rosynanta, lecz mężny rycerz, głaszcząc go dłonią i do odwagi wzbudzając, zbliżał się coraz bardziej ku tajemniczym budynkom; w drodze to przyzywał pamięci Dulcynei, błagając, by, acz nieobecna, wspierała ramię jego w oczekującej walce, to znów Panu Bogu się ofiarując, o wsparcie i opiekę Go prosił. Rezolutny też giermek na krok nie odstępował rycerza, postępując przy jego boku, wyciągał szyję i przez nogi Rosynanta ciekawie pozierał, azali nie ujrzy jakiej rzeczy straszliwej, która już takim nabawiła go przerażeniem. Zaledwie uczynili sto kroków jeszcze i przebyli wierzchołek skały, który wystając nieco, zakrywał okolice, gdy oto nagle na otwartej przestrzeni zobaczyli dokładnie przyczynę całego szumu i łoskotu, który niepokoił ich tak straszliwie. Było to, jednym słowem, sześć młynów w ciągłym ruchu będących od dnia poprzedniego. Na taki widok oniemiały Don Kichot spadł jakby z siódmego nieba. Sancho spoglądał na pana i ujrzał go spuszczającego głowę z miną człowieka przejętego wstydem i zgryzotą. Don Kichot również spojrzał na giermka i zobaczywszy policzki jego wydęte wstrzymywanym gwałtownie śmiechem, sam od śmiechu pohamować się nie mógł. Sancho zachwycony i upoważniony przykładem pana, wybuchnął niepowściągnionym śmiechem, trzymając się za boki; czterykroć przestawał i rozpoczynał wybuchy szalonego śmiechu. Najbardziej zniecierpliwiło zawstydzonego rycerza, że Sancho, patrząc mu w oczy z miną komicznie poważną, patetycznie wyrzekł:

– „Dowiedz się, przyjacielu Sancho, że niebo przeznaczyło mnie, abym przywrócił wiek złoty w tym przeklętym żelaznym stuleciu, wielkie czyny i straszne przygody na mnie oczekują" – i tymże samym tonem powtarzać począł wszystko, co powiedział doń rycerz, gdy usłyszeli po raz pierwszy łoskot młynów, lecz rozgniewany rycerz przerwał zuchwałe żarty giermka, pochwycił włócznię i po dwakroć uderzył nią w kark Sanchy tak silnie, że gdyby go trafił w głowę, biedny giermek nie oglądałby już pewnie nigdy obiecanej wyspy.

Sancho tedy, spostrzegłszy tak bolesny obrót rzeczy, pełen obawy, aby rycerz dłużej nie chciał dawać dowodów gniewu swego, rzecze doń płaczliwie:

– Panie! chcecież mnie zabić? nie widzicież, że ja żartuję tylko.

– Dlatego właśnie, że ty pozwalasz sobie żartować, ja żartować przestaję; zbliż no się tu mości żartownisiu, a gdyby ta przygoda, która wprawdzie skończyła się na niczym, była istotnie straszną, to czyliż nie okazałbym wtedy tej samej odwagi i poświęcenia, jakie w dobrej wierze okazałem na próżno przed chwilą. Czyliż taki rycerz, jak ja, może mieć poziomą zdolność rozróżniania odgłosów, które słyszy, i zgadywać, czy one od młynów i tartaków lub skądinąd pochodzą, gdy zwłaszcza młynów podobnych nie widział nigdy? Rzeczą to jest raczej takiego mizernego chłopa, jak ty, poznawać przedmioty, wśród których zrosłeś i chowałeś się z nimi pospołu; lecz spraw no, niech te sześć młynów w sześciu olbrzymów się zamieni i daj mi ich jednego po drugim lub wszystkich razem nawet, a jeżeli nie oddam ci ich wszystkich, każdego bez głowy, pozwalam ci wtedy żartować bezkarnie do woli.

– Panie – zawołał Sancho – poprzestańmy już na tym, przyznaję, że nie umiem żartować, mam tego dotykalne dowody; lecz

w dobrej wierze, przy obustronnej zgodzie, prosząc Pana Boga, by was z każdej złej doli wyprowadził tak pomyślnie, jak z tej przygody, pytam się was jednakże: czy nie mamy powodu śmiać się i nie moglibyśmy opowiedzieć doskonałej anegdoty o strachu, jakiego doznaliśmy, a raczej doznałem ja tylko, bo co do was, panie, jestem przekonany, że nie znacie bojaźni.

– Zgadzam się – odeprze Don Kichot – że wydarzenie, jakie nas spotkało, ma w sobie coś zabawnego i do śmiechu powód dać może, ale opowiadać tego nikomu nie można, ponieważ świat jest złośliwy i nie osądziłby rzeczy z właściwego punktu.

– Na moją duszę, panie – rzecze Sancho – nikt nie śmiałby wobec was sądzić tej przygody z tego lub owego punktu; macie, panie, dobrą włócznię i władacie też nią tak dzielnie; szkoda tylko, że mierząc w głowę, po karku trafiacie, chociaż i to nie tyle waszej winie, ile mojej zręczności przypisać należy, gdy mniej ostrożny dostałby porządnego guza, ale to mniejsza, człowiek się wysmaruje i wszystko złe przejdzie, a jak to powiadają, kto kogo bardzo lubi, to go tęgo czubi, nie licząc jeszcze na to, że dobry pan za każdą obrazę słudze uczynioną spodniami go obdarza, choć w samej rzeczy nie wiem, jaka służy nagroda za wybicie kijem, myślę jednakże, że błędni rycerze za taką rzecz bolesną wyspami lub pięknym królestwem na stałym lądzie wynagradzali.

– Posłuchaj – przerwie Don Kichot – los może sprawić, że twoje życzenia ziszczą się w pewnym stopniu; w każdym razie jednak przebacz mi to, co się stało; wiesz dobrze, że człowiek nie jest panem siebie, w pierwszej chwili zwłaszcza, lecz muszę cię zarazem ostrzec, ażebyś na przyszłość nie pozwalał sobie zbytecznej poufałości ze mną; widzisz, mój chłopcze, we wszystkich rycerskich księgach, które czytałem, a było ich bardzo wiele, nie widziałem w żadnej opisu giermka, który by tyle pozwalał sobie względem

swojego pana, jako ty względem mnie czynisz, i prawdę mówiąc, obydwaj zbłądziliśmy: ty, że nie miałeś należytego dla mnie uszanowania, ja, że sobie nie umiałem nadać przyzwoitego tonu, bo na koniec, jakkolwiek Gandalin, giermek Amadisa, był hrabią de I'lle-Ferme, napisano jednakże jest o nim właśnie, że mówił zawsze do swego pana z głową odkrytą i schyloną, i ciałem zgiętym ku ziemi na sposób turecki; lecz Gasbal, giermek don Galaora, lepszym jest jeszcze przykładem, jego dyskrecja i cześć dla pana były tak wielkie, że autor tej cudownej i prawdziwej historii, chcąc dokładnie uwiadomić potomność o jego przedziwnym milczeniu, raz tylko jeden wspomina o nim w ciągu całej tak długiej powieści. To, co ci powiedziałem, przyjacielu Sancho, powinno nauczyć cię, jaka jest różnica między panem a sługą. Tak więc powtarzam ci, że na przyszłość żyć będziemy w ściślejszym rygorze, nie narażając się jeden drugiemu; bo na koniec skądkolwiek przyszłaby sposobność, ode mnie, czy od ciebie, ty zawsze ucierpisz na tym. Nagrody przyrzeczone ci ode mnie znajdą się w swoim czasie, a chociażby i przyszło wreszcie obejść się bez nich, to w każdym razie żołd cię nie minie, jak to już powiedziałem pierwej.

– Wszystko, co jaśnie wielmożny pan mówiłeś, jest bardzo dobre – odrzekł Sancho – i najpokorniejsze za to dzięki składam waszej dostojności, lecz jeśliby przypadkiem czas nagrody nie przyszedł nigdy, raczcie mnie nauczyć, jaka jest wartość mojego żołdu i jakim to sposobem pobiera go giermek od rycerza: czy za miesiąc od razu, czyli też codziennie?

– Nie zdaje mi się – odpowiedział Don Kichot – ażeby kiedykolwiek giermkowie opłacani byli w ten sposób, dawano im zwykle tylko nagrody, a jeżeli ja postąpiłem inaczej, uczyniwszy tobie testamentalny zapis, zrobiłem to ze względu, że nie wiadomo, co przytrafić się może mnie samemu, a w złym razie nie miałbyś

sposobu świadczyć w tak opłakanych czasach o rycerskości moich czynów i żałowałbym może, że dla tak bagatelnej rzeczy dusza moja cierpiałaby na tamtym świecie. My i tak wiele jeszcze przenieść musimy w naszej awanturniczej pielgrzymce; pomnij, drogi przyjacielu, na przepowiednię moją, nie masz życia na większe wystawionego przygody, jak nasze życie.

– Zapewne – odpowie Sancho – jeżeli nade wszystko cierpliwość ma tu jakieś znaczenie; bo przekonałem się, że lada złośliwy żarcik pozbawia rozumu najsławniejszego Manchy rycerza; ale wierzcie mi, panie, że na przyszłość, pomimo największej chęci do śmiechów, śmiać się nie będę ze spraw waszych, a jeżeli otworzę usta, to tylko, aby powiedzieć coś na chwałę i uczczenie mego pana i władcy.

– To właśnie jedyny sposób, który cię długo i spokojnie zachowa przy życiu – rzecze nasz rycerz – bo wreszcie po ojcu i matce należy przede wszystkiem szanować pana swego.

Rozdział VII

O zdobyciu szyszaka Mambryna

Gdy Don Kichot ze swoim giermkiem rozmawiali w ten sposób, napadł ich drobny deszczyk, przed którym Sancho radził schronić się do młynów. Lecz Don Kichot, dowiedziawszy się niedawno, że młyny są tylko młynami, taki do nich wstręt powziął, że za nic w świecie wejść do nich nie chciał. Puścili się więc dalej drogą na prawo i postępując nią czas jakiś, dostrzegli w oddaleniu jeźdźca, mającego na głowie jakiś przedmiot świetnego jak złoto blasku. Zaledwie rycerz spostrzegł to, gdy zwracając się do Sancha, rzekł:

– Przyjacielu Sancho, czy wiesz, że nie ma nic prawdziwszego nad przysłowia, są to maksymy zdobyte doświadczeniem, a nade wszystko to, które twierdzi, diabeł nie zawsze towarzyszy

biednemu, mówię to dlatego, że jakkolwiek przeszłej nocy byliśmy zwiedzeni przez łoskot tych przeklętych młynów i przygoda, której szukamy, zniknęła wtedy, to obecnie, istotna, a która wielką chwała okryć nas może. Jeżeli ominę tę sposobność, moja tylko będzie w tym wina; nie ma tu już bowiem ani łoskotu, który mnie łudził, ani ciemności, którą oskarżałem. Jednym słowem, Sancho, wedle słusznych pozorów, mamy przed sobą tego, który nosi wyborną przyłbicę Mambryna, dąży on prosto ku nam, a ty pamiętasz zapewne, jaką uczyniłem przysięgę.

– Panie – odparł Sancho – strzeżcie się, bardzo proszę, i baczcie na to, co mówicie i co uczynić zamierzacie, bardzo się boję, abyśmy tu nie spotkali nowych jakich młynów, które do reszty nam zemleć mogą rozsądek, a może i boki w przydatku.

– Idź do diabła z twoimi młynami – przerwał Don Kichot – jakiż stosunek mogą mieć one z tą przyłbicą?

– Tego ja nie wiem – odpowie Sancho – lecz, na moją duszę, jeśliby mi wolno było wynurzyć moje zdanie, pokazałbym wiele dowodów, że wasza wielmożność myli się w tym razie.

– I jakże śmiesz myśleć, że ja mylę się, ty nędzny niedowiarku, co wątpisz o wszystkim – zawołał nasz bohater – czyliż nie widzisz tego rycerza, co na siwojabłkowitym koniu prosto ku nam zmierza? czy nie postrzegasz złotego hełmu na jego głowie?

– To, co ja widzę i postrzegam – odpowie giermek – zupełnie niepodobne do waszego opisu, ten rycerz, według mnie, jest po prostu jakimś człowiekiem jadącym na szarym ośle i ma na głowie coś błyszczącego.

– Otóż dowiedz się – rzecze Don Kichot – że to coś błyszczące, jest to hełm Mambryna, oddal się o kilka kroków i pozostaw mnie samego; zobaczysz, że nie tracąc czasu na próżnej gadaninie,

zakończę tę rzecz w jednej chwili i stanę się panem kosztownego szyszaka, który posiadać tak gorąco pragnąłem.

– Oddalić się – rzecze Sancho – to mogę bardzo łatwo, ale raz jeszcze ostrzegam was, daj Boże, aby to nie były owe młyny.

– Powiedziałem ci już raz, mój bracie, że nie chcę słyszeć więcej o młynach; klnę się na szatana, że jeśli raz jeszcze poważysz się wspomnieć o nich, tak ci duszę zmielę w ciele, że popamiętasz na wieki.

Sancho zamilkł jak kamień, nie chciał bowiem kusić rycerza, aby dopełnił tak wyraźnie uczynionej przysięgi.

Dowiedzmy się wreszcie, co to był za szyszak, koń i rycerz, które Don Kichot widział. Były w okolicy owej dwie wioski, z których jedna mniejsza nie posiadała własnego cyrulika, dlatego cyrulik z większej wioski, który znał się nieco i na chirurgii także, służył dwom wioskom zarówno. Zdarzyło się właśnie, że w małej wiosce potrzeba było puścić krew choremu człowiekowi i ogolić brody dwom zdrowym; tak więc cyrulik wybrał się w drogę, a zaskoczony deszczem, dla ochronienia, acz dość lichego kapelusza, włożył miednicę na głowę; ponieważ zaś miednica była miedziana i nowiuteńka, błyszczała przeto na milę wokoło. Cyrulik, jak to słusznie zauważał Sancho, jechał na pięknym, szarym osiołku. Dla Don Kichota był to jednak rycerz na siwojabłkowitym koniu i w złocistym szyszaku, ponieważ on zastosowywał rzeczy najprostsze do szalonych urojeń ksiąg swoich.

Jakoż widząc, że mniemany rycerz zbliża się już, podskoczył ku niemu rozpuszczonym biegiem i z podniesioną włócznią, postanowiwszy przebić go na wylot.

– Broń się, nędzniku – zawołał, doścignąwszy balwierza – albo mi oddaj zdobycz, która mi się słusznie należy!

Cyrulik, na którego niespodziewanie jakieś niby widmo napadło bez żadnego powodu, chcąc uchronić się ciosu włóczni Don Kichota, zsunął się z osła na ziemię, a stąd podniósłszy się skwapliwie, uciekł z szybkością jelenia, zostawiając na polu walki osła i miedniczkę.

Don Kichot, widząc pozostałą miednicę, nie żądał niczego już więcej i zwracając się do swego giermka:

– Patrz, przyjacielu – zawołał. – Poganin ma rozum, uczynił tak jak bóbr, który chroniąc się przed łowcami, ucina sam sobie ogon, by im zostawić przedmiot, dla którego wartości schwytać i zabić go pragną, podnieś te przyłbicę, giermku!

– Na moją duszę – rzecze Sancho, przypatrując się mniemanemu szyszakowi – miedniczka wcale niezła, na niepotrzebnego warta talarka.

Podał miednicę swemu panu, który ją natychmiast włożył na głowę, lecz nie mogąc nasadzić jej dokładnie, zawołał:

– Do pioruna! – ten przeklęty poganin, do którego ten szyszak należał, miał głowę ogromną, ale co gorsza, spostrzegam z boleścią, że brakuje połowy hełmu.

Sancho, nie mogąc wstrzymać się od śmiechu, że miednicę golibrody nazywano szyszakiem, byłby parsknął od dawna, gdyby na karku nie czuł dotąd szczątków gniewu rycerza.

– Z czego śmiejesz się, Sancho? – zapyta nasz bohater.

– Śmieję się – odpowie Sancho – z ogromnej głowy, jaką musi mieć właściciel tego szyszaka, który do miednicy golibrody podobny jest jak kropla do kropli wody.

– A wieszże ty, co ja myślę – rzecze dalej Don Kichot – oto, że ten nieporównany szyszak przypadkiem wpadł w ręce takiemu, który nie poznawszy jego prawdziwej wartości, przez niewiadomość stopił połowę hełmu, by osiągnąć korzyść z czystego złota,

z pozostałej zaś połowy uczynił to, co, jak powiadasz, zupełnie podobne jest do miednicy golibrody, lecz niechaj co chce będzie, dla mnie, który znam prawdziwą wartość tej zbroi, obojętną jest taka przemiana. W pierwszej lepszej kuźni każę naprawić szyszak i sądzę, że wtedy nie będzie ustępował w niczym owemu, który ukuł Wulkan dla bożka wojny, a tymczasem będę go i tak nosił, zawszeć to lepsze niż nic, bo w każdym przypadku zasłoni przynajmniej od pocisków kamieni.

– Zapewne – rzecze Sancho – byleby nie rzucano kamieni z procy, jak podczas owej z dwoma wojskami potyczki, w której tak straszliwie opatrzono panu szczęki i stłuczono, Bogu dzięki, słoik z poświęconym napojem, od którego zaledwie mi wnętrzności nie pękły.

– Mało dbam o stratę słoika – odeprze Don Kichot – znam bowiem sposób przyrządzenia tego balsamu.

– Znam ci i ja go – pomruknął Sancho – ale jeślibym wiedział, że przyjdzie mi robić go kiedykolwiek, a nade wszystko skosztować choć odrobinę, to wolałbym pęknąć na dwoje w tej chwili. Nie myślę też, ażebym kiedykolwiek znalazł się w potrzebie użycia tego balsamu, użyję pomocy wszystkich pięciu zmysłów, które mi dała natura, aby się ustrzec od sposobności nawet obmywania ran; zadawać ich też nie myślę. Co do owego podrzucania, to może przytrafić mi się powtórnie, za podobne zdarzenia ręczyć niepodobna i gdybym kiedykolwiek znalazł się w tym samym położeniu, nie miałbym innego środka, jak znów ścisnąć zęby, stulić łopatki i zamknąwszy oczy, pozwolić rzucać sobą do woli.

– Niedobry z ciebie chrześcianin, Sancho – rzecze Don Kichot – bo nie zapominasz urazy. Dowiedz się, że wspaniałe serca nie zajmują się tak drobnymi sprawami, zresztą, czyliż skaleczono ci nogę, złamano żebro lub głowę rozbito? nie, wszak prawda?

i na koniec cała ta rzecz była prostym żarcikiem tylko, bo gdybym innego był przekonania, to wierzaj mi, że byłbym się wrócił i krwawszą wywarłbym zemstę, niż Grecy na Troi za Heleny porwanie, która przecież – dodał z głębokim westchnieniem – nie miałaby tyle chwały z urody swojej, gdyby dziś istniała, lub gdyby moja Dulcynea za jej czasów żyła.

– Więc dobrze – odpowie Sancho – niech rzecz ta pozostanie żartem, zgadzam się na to, tym więcej, że nie widzę sposobu pomszczenia się; jednakże, żart czy prawda, popamiętam je długo, ale zostawmy to na później, teraz chciałbym dowiedzieć się od pana, jeśli łaska, co uczynimy z tym siwojabłkowitym rumakiem, który tak dziwne ma do osła podobieństwo, jak wasz przesławny szyszak do miednicy; miarkując z wolnej ucieczki powalonego przez waszą dzidę jeźdźca, wznoszę, że ten nie wróci już tutaj, szkoda by zostawić tak na bożej woli biedne zwierzątko, tym bardziej, że siwoszek wcale niezgorszy.

– Nie przywykłem – odrzecze Don Kichot – zabierać łupów zwyciężonym i nie jest też godnym rycerza pieszo puścić zwyciężonego przeciwnika, chyba w razie, jeżeli zwycięzca utraci swojego konia w potyczce, wtedy może wziąć konia przeciwnikowi jako prawą zdobycz w równej walce; tak więc, Sancho, rozkazuję ci zostawić tu tego konia lub osła, jak go zowiesz, właściciel nie omieszka powrócić poń, skoro się tylko stąd oddalimy.

– A ja w najlepszej wierze chciałem już to bydlątko powieść za sobą lub przynajmniej wymieniać za mojego osła, który nie zdaje mi się być dogodnym; do kata, wielmożny panie! jednakże te prawa i ustawy rycerskie są zbyt surowe, jeżeli nie dozwalają nawet osła za osła zamienić, ciekawy też jestem, czy dozwolono jest przynajmniej zamienić siodło.

– Nie jestem tego zupełnie pewny – odrzekł Don Kichot – i zanim oświecę się w tej wątpliwości, pozwalam ci zamienić się na rzędy, jeżeli wszakże zamiana koniecznie ci jest potrzebna.

– Najpotrzebniejsza w świecie – zawołał Sancho i, upoważniony zezwoleniem rycerza, zdjął siodło z osła cyrulika i na swego je włożył, a było piękniejsze i lepsze w dwójnasób.

Uczyniwszy to, zjedli śniadanie ze szczątków wczorajszej wieczerzy i napili się wody z rzeczki płynącej od foluszowych młynów, Don Kichot jednakże nie spojrzał ani razu w tamtą stronę, tak dalece gniew go był zawziętym za ów zawód sromotny. Po lekkim posiłku, na sposób prawdziwie błędnych rycerzy puścili się w drogę bez żadnego kierunku, zdając się na wolę Rosynanta, za którym ochoczo postępował osiołek Sanchy. Nieznacznie znaleźli się na wielkim gościńcu, którym puścili się bez celu, szukając przygód.

Podczas powolnego pochodu Sancho odezwał się do rycerza:

– Chcę was prosić, dostojny panie, o pozwolenie rozmawiania do was przez chwilę; od czasu, jak mi zabroniono wolnego użytku języka, usiadło mi na samym jego końcu kilka bardzo dobrych uwag, z których jedną osobliwie koniecznie pragnę wypowiedzieć.

– Mów więc, Sancho – rzecze Don Kichot – lecz mów krótko, długie gadaniny okropnie są nudne.

– Powiem więc panu, że zważywszy dobrze życie, jakie prowadzimy, przekonałem się, że szukanie przygód po lasach i gościńcach nie przynosi wielkiego zysku, bo tu i najsławniejszy czyn, dokonany przez rycerza, nie rozgłosi się po świecie i przez nikogo podziwianym nie jest, tu wszystkie przedsięwzięcia rycerskie i walki idą na marne, bo nie przynoszą ani sławy, ani zysku, dlatego zdaje mi się najlepszą rzeczą, jeżeli to wszakże wasze potwierdzenie zyska, abyśmy udali się w służbę do jakiego cesarza

lub księcia, którzy by prowadzili wojnę z sąsiadami, tam wasza waleczność i znajomość sztuki rycerskiej oceniona należycie będzie, a wtedy pan i ja wynagrodzeni zostaniemy stosownie do wartości i godności osobistej, a nie zbraknie też pewnie na ludziach, którzy czyny wasze dzieciom waszych dzieci przekażą. Nie mówię, ani myślę tu o sobie, bo wiem, że nas wedle przysłowia jednym łokciem niepodobna mierzyć, a i to pojmuję, że ślimakowi nie należy wyłazić ze swojej skorupki, chociaż wierzę, że gdyby było we zwyczaju opisywać również czyny błędnych giermków, tak dobrze można by opisać moje, jak i każdego z moich poprzedników.

– Jest to, jak na ciebie, wcale dobrze powiedziane – rzecze Don Kichot – lecz nim dojdziemy do tego kresu, trzeba przebiegać świat, szukając przygód i dając dowody męstwa, ażeby wielkie czyny rycerza rozniosły wpierw imię jego po całej ziemi, iżby, skoro przybędzie do jakiego potężnego monarchy, już go tam sława poprzedziła, aby skoro tylko przybędzie, małe dzieci, zebrawszy się tłumnie, krzyczały, biegnąc za nim: Oto jest Rycerz Słońca albo węża, albo jakiego innego godła, pod którym sławne dokonywał czyny; ten to jest! zawołają, który zwyciężył w osobliwszej walce olbrzyma Brokambruna niespożytego; ten to sam, który zdjął z wielkiego mameluka perskiego straszliwe zaczarowanie, w jakim tenże przez dziewięćset lat pozostawał. Na taki hałas, na okrzyk pochwalny całego ludu, król ukazuje się w oknach swego pałacu, a rozpoznawszy rycerza po zbroi lub po dewizie, którą na tarczy nosi, rozkazuje natychmiast panom dworskim, aby spieszyli przyjąć ów kwiat rycerstwa. Dwór spieszy wykonać rozkaz, a sam król nawet zstępuje do połowy schodów na przyjęcie rycerza, wita go, całując w policzki i wiedzie prosto w komnaty królowej małżonki, przy której właśnie znajduje się jej córka infantka, która musi być najdoskonalszą pięknością świata całego. Ale cóż stąd wynika? Oto

infantka i rycerz od pierwszego na siebie spojrzenia uwielbiają się wzajemnie, a jako istoty wpół boskiej natury, nie zdając sobie sprawy z uczucia, goreją wzajemną ku sobie miłością, niepokoją się, jakim by sposobem odkryli sobie zobopólne cierpienia. Następnie, jak to łatwo sobie wyobrażasz, prowadzą rycerza do najbogatszych komnat pałacu, w najkosztowniejsze sprzęty skarbu przystrojonych, tu zdjąwszy zeń zbroję, zarzucają mu pyszny szkarłatny płaszcz na ramiona, bogato haftowany dokoła i jeżeli bohater pięknym był w zbroi, jakże powabnie wydawać się musi w kosztownym dworskim stroju. Skoro noc nadchodzi, rycerz wieczerza przy jednym stole z całą królewską rodziną, a podczas uczty spogląda ustawicznie na królewnę, ale tak zręcznie, że nikt nie spostrzega tego, ona zaś ze swej strony ukradkiem mierzy go oczyma, ale tajemnie, gdyż, jak to już mówiłem, ma to być istota doskonałej skromności.

Po kolacji z powszechnym zadziwieniem wejdzie mały szpetny karzeł, za nim piękna kobieta, prowadzona przez dwóch olbrzymów, i przynoszą rzecz jakąś straszliwie tajemniczą, utworzoną przez jakiegoś starożytnego mędrca, a kto by tę rzecz odgadł, uznanym zostanie za najpierwszego rycerza w świecie. Król zażąda, aby cały dwór jego tentował los, ale choćby stokroć liczniejsi byli dworzanie, nie podołają tajemniczej sprawie; jeden tylko nowo przybyły ów rycerz dokonywa pomyślnie wszystko; to nową okrywa go sławą, a królewna cieszy się z tego i dumna jest, że tak szlachetnie i godnie umieściła uczucia swoje, ale co najważniejsza, przyjacielu Sancho, to, że ów król prowadzi wojnę z jednym z sąsiadów swoich, równie jak on potężnym; rycerz przeto, przepędziwszy czas jakiś na dworze króla, prosi go o pozwolenie służenia pod jego chorągwią; król zezwala z ochotą, a rycerz dla okazania swojej galanterii, z wdziękiem całuje jego rękę. Tej samej nocy jeszcze żegna się

z królewną przez okno okratowane jej pokoju, dokąd już kilkakrotnie był wprowadzony przez przyjaciółkę infantki i powiernicę ich miłości. Tam on wzdycha, ona mdleje, powiernica skrapia wodą twarz kochanki, i pełna jest niepokoju, że dzień już okazywać się zaczyna, bo nie chce, by na honorze jej pani najmniejsza ciążyła plama. Wreszcie królewna przychodzi do siebie i przez kraty podaje rycerzowi swoje białe dłonie, który całując je po milion razy, oblewa łzami rzewnymi. Umawiają się następnie, jakim sposobem uwiadamiać się będą wzajemnie o swoim losie. Księżniczka błaga rycerza, aby powracał jak najrychlej, co tenże uroczyście przysięga uczynić, raz jeszcze całuje jej ręce i tak dalece rozczula się przy pożegnaniu, że ledwie, ledwie nie umiera z żalu.

Rycerz, powróciwszy do swojej komnaty, rzuca się na łoże, na którym na próżno szuka spoczynku; stojąc jak posąg, oczekuje pierwszych słońca promieni, ażeby pójść pożegnać się z królem i królową, co uczyniwszy, prosi o pozwolenie pożegnania infantki, lecz odpowiadają mu, że królewna jest cierpiąca, i że jej widzieć niepodobna, a rycerz nie wątpiąc, że jego odjazd przyczyną jest tej słabości, w rozpaczy zaledwie nie zdradza się w obecności dworu. Powiernica spostrzega to wszystko i bieży natychmiast zdać o tym sprawę swej pani; królewna, łzami zalana, oświadcza jej, że martwi ją niewypowiedzianie niewiadomość nazwiska rycerza i niepewność, jest li on synem królewskim lub nie? Powiernica zapewnia ją, że tylko rycerz wysokiego rodu może mieć tyle uczciwości, galanterii i męstwa w sobie. Pocieszona królewna, czyni, jak może, by ukryć stan swego serca przed wzrokiem rodziców, jakoż po upływie dni kilku ukazuje się na dworze i wraca do zwyczajnego trybu życia.

Upłynął już czas jakiś od wyjazdu rycerza, walczy on i zwycięża nieprzyjaciół króla, zdobywa niezliczoną liczbę miast i tyleż

wygrywa batalii, wraca na dwór i staje przed kochanką, niezmierną okryty sławą. Pod tym samym oknem, gdzie się żegnali, umawiają się teraz, że rycerz w nagrodę usług okazanych królowi, zażąda ręki królewny. Król nie chce słyszeć o tym, gdyż nie zna godności i rodu rycerza; z tym wszystkim jednak, bądź to, że rycerz porywa infantkę, bądź innym jakim sposobem, zawsze w końcu żenią się z sobą, z czego król nawet wielce się cieszy i wysławia rycerza, gdyż dowiaduje się wreszcie, że zięć jego jest synem wielkiego monarchy, tylko nie wiem, jakiego królestwa, które podobno nawet nie egzystuje na mapie. Stary król wkrótce potem umiera, infantka odziedzicza tron jego i rycerz królem zostaje. Wtedy to dopiero myśli o wynagrodzeniu swego giermka i tych wszystkich, którzy uczestniczyli w jego dobrym losie. Żeni swego giermka z ową powiernicą infantki, która jest córką jednego z najznakomitszych panów królestwa.

– W to mi graj! – zawoła Sancho – to mi to właśnie. Na moją duszę, panie, wszystko, co powiedziałeś, niezawodnie się sprawdzi na tobie, jeśli tylko przyjmiesz nazwisko Rycerza Posępnego Oblicza.

– Bądź pewny, mój chłopcze, że tak się stanie – odrzekł Don Kichot – taką koleją postępowali wszyscy rycerze błędni, z których tylu później zostało królami i cesarzami. Pozostaje więc nam tylko obecnie szukać jakiego chrześcijańskiego albo i pogańskiego króla, który by miał i wojnę do prowadzenia i córkę do wydania, ale na to mamy dosyć jeszcze czasu i, jak ci to już powiedziałem, potrzeba naprzód ustalić swoją reputację, zanim przedstawimy się na dworze jakiego monarchy. Niech nas tam sława poprzedzi! Ale co mnie niepokoi najbardziej i na co nie znam lekarstwa, to, że mówiąc między nami, znalazłszy już króla i infantkę, jakim sposobem przekonać ich, że pochodzę z krwi królewskiej, lub że jestem przynajmniej pobocznym potomkiem jakiegoś cesarza, bo rzecz

pewna, że król w żaden sposób nie odda mi swej córki bez tego, chociażbym nawet wykonał najsławniejsze czyny i obawiam się bardzo, że dla tak małej rzeczy mogę utracić wszystko, co dzielnością mego ramienia nabyłem. Wprawdzie jestem rzeczywiście szlachcicem i ród mój znany od dawna jako starożytny, a kto wie, może też mędrzec jaki, opisując moją historię, znajdzie w genealogii jakiś dowód, że jestem praprawnuczkiem jakiegoś króla, bo trzeba ci wiedzieć, Sancho, że jest dwa rodzaje ras na świecie. Pierwsza wywodzi swoje pochodzenie od królów i książąt, lecz powoli, z czasem, wypadki odbierają im wielkość i władzę. Drudzy znów, pochodząc z małej familii, ciągle się wznoszą i zostają wreszcie wielkimi panami. I taka jest tylko między nimi różnica, że jedni byli tym, czym nie są, a drudzy są tym, czym nie byli. Dlatego nie chciałbym się zakładać, czy nie pochodzę z rodu, który był kiedyś sławnym i wielkim, co ucieszy nadzwyczajnie króla, mego teścia przyszłego; lecz choćby i tak nie było, infantka będzie mnie kochała tak mocno, że mimo oporu ojca, będzie gotowa mnie zaślubić, chociażbym nawet był synem nosiwody. A jeżeliby miała jakie skrupuły, to porwę ją i zaprowadzę, gdzie mi się spodoba, aż czas i śmierć teścia zakończą przeciwności.

– Jak Boga kocham! panie, najzupełniejszą macie rację, nic lepszego, jak porwać od razu, bo jak to powiadają, nie trzeba prosić o to, co gwałtem wziąć można, a na koniec nigdy nie trzeba siadać na dwóch stołkach. Mówię to dlatego, że jeśliby król, wasz teść, nie chciał wam oddać pani infantki, najlepiej będzie, jak to wasza wielmożność powiedziała, porwać ją od razu; jedno tylko złe w tym widzę, że zanim zięć i teść pogodzą się z sobą, zanim osiągniecie królestwo, to biedny giermek może nie mieć co w gębę włożyć i umrze z głodu, oczekując nagrody, na którą zapewne nikt i dziesięciu realów nie pożyczy; chyba, że owa powiernica, co ma

być moją żoną, będzie towarzyszyć porwanej infantce i udzieli mi pociechy w tak fatalnej doli. Bo wreszcie zdaje mi się, że pan rycerz może od razu wydać tę pannę za swego giermka.

– A któż mu zabroni? – odpowiada Don Kichot.

– Kiedy tak – rzekł Sancho – najlepiej uczynimy, puszczając się na los, może też on nas zaprowadzi do pomyślnego portu.

– Daj to Boże – odpowiedział Don Kichot – dobre o sobie rozumienie jest połową szczęścia.

– Niech więc tak będzie – rzecze Sancho – do diabła! Przecież ja także pochodzę ze starych chrześcijan, alboż to nie dosyć, aby się wylegitymować na hrabiego?

– To być bardzo może – odpowie Don Kichot – a chociażby i nie nastąpiło, nic nie szkodzi, gdyż jak tylko królem zostanę, mogę nadać ci szlachectwo z przywilejem, że nic za nie nie zapłacisz żadnego hołdu składać nie będziesz. Ale co największa, że zostawszy hrabią, będziesz miał rycerską godność; i niech co chce będzie, muszę cię jednak tytułować waszą wielmożnością.

– Ho! ho! – zawoła Sancho – dlaczegóż by nie? Alboż nie wart jestem tyle, co i drugi? Trzeba wiedzieć, że ja już miałem honor być chorążym pewnej konfraterni i wszyscy zgodzili się, że miałem postawę tak okazałą i prezencję godną najmniej skarbnika parafii! A cóż to dopiero będzie, gdy zawieszę na ramionach płaszcz książęcy, cały oszyty złotem i perłami, jak u cudzoziemskiego hrabiego. Na moją duszę! o sto mil będą przyjeżdżali oglądać mnie.

– W istocie – rzecze Don Kichot – będziesz pięknie wyglądał, lecz radzę ci golić się niekiedy, gdyż z taką gęstą i brudną brodą każdy cię o milę rozpozna, dlatego powtarzam, przyjacielu Sancho, potrzeba, byś się golił przynajmniej co drugi dzień.

– Wielka mi rzecz – odpowie Sancho – wezmę sobie cyrulika raz na zawsze, który będzie mieszkał w moim domu, a w razie potrzeby

będzie chodził za mną jak koniuszy granda.

– A ty skąd wiesz – zapytał Don Kichot – że grandowie prowadzą koniuszych ze sobą?

– Zaraz to wam wytłumaczę – odpowie Sancho. – Lat temu kilka przebywałem na dworze przez miesiąc cały i pewnego dnia zobaczyłem małego człowieka, o którym mówiono, że jest wielkim panem, przechadzającego się z wolna; za nim postępował jeździec, który naśladował wszystkie poruszenia swego pana, ni mniej, ni więcej, jak gdyby był jego cieniem; pytałem się kogoś, dlaczego ten jeździec podobnie czyni, odpowiedziano mi na to, że to jest koniuszy i że jest zwyczajem grandów kazać za sobą postępować w ten sposób. Matko Boska! do dziś dnia nie mogę zapomnieć o tym i kiedy zostanę grandem, uczynię podobnież, bo przecież potrzeba koniecznie, aby jedni naśladowali drugich.

– Masz słuszność, Sancho – rzecze Don Kichot – słusznie uczynisz, wodząc za sobą cyrulika; przecież i świat nie został w całości odkryty, więc ty będziesz pierwszym z hrabiów, który zaprowadzi podobny obyczaj, a mnie się nawet właściwszym być zdaje zapewnić sobie człowieka, który brodę goli, niż tego, który stajnię zamiata.

– Już to, co się tyczy cyrulika, spuść się pan na mnie – odpowie Sancho – niech wasza wielmożność stara się czym prędzej zostać królem, a mnie hrabią zrobi, to potem wszystko się znajdzie.

– Uczynię to, choćby tylko dla twojej miłości – odpowie Don Kichot, i wzniósłszy oczy, zobaczył to, o czym w następnym powiemy rozdziale.

Rozdział VIII

Jakim sposobem Don Kichot przywrócił wolność pewnej liczbie nieszczęśliwych, których wiedziono mimo woli tam, dokąd iść nie

chcieli

Wielki Cyd Hamed Benengeli, sławny autor arabski opowiada w tej tak pełnej prawdy historii, że po długiej i pięknej rozmowie, którą słyszeliśmy, Don Kichot, podniósłszy oczy, zobaczył około dwunastu ludzi pieszych, nawleczonych jak paciorki na jeden łańcuch i okutych w kajdany; prowadzili ich dwaj jeźdźcy i dwaj piesi. Pierwsi uzbrojeni w muszkiety, a ostatni w pałasze, a każdy z nich niósł prócz tego dzidę, czyli pocisk biskajski. Sancho, ujrzawszy tę smutną karawanę, zawołał:

– A to prowadzą złoczyńców na galery.

– Jak to? na galery? – krzyknął Don Kichot – czyliż podobna, ażeby król chciał czynić gwałt komukolwiek?

– Tego ja nie mówię – rzecze Sancho – utrzymuję tylko, że to są ludzie skazani za występki na służenie królowi na galerach.

– W każdym razie – rzecze Don Kichot – to pewna, że ci ludzie zmuszeni są iść mimo swej woli.

– Rzecz niezawodna – odpowie Sancho.

– Ponieważ tak jest – zawołał Don Kichot – muszę się wdać w tę sprawę, bo obowiązkiem błędnego rycerza jest nie dopuszczać gwałtu i wspierać nieszczęśliwych!

– W imię Ojca i Syna, kochany panie – rzecze Sancho – alboż nie wiecie, że ani prawo, ani król nie czynią gwałtu tym zbrodniarzom, oddają im tylko to, na co zasłużyli.

Tymczasem więźniowie i strażnicy zbliżyli się. Don Kichot, zwróciwszy się do straży, prosił najgrzeczniej, ażeby go uwiadomiono, z jakiego powodu prowadzą tych biednych ludzi w ten sposób.

– Panie – odpowie jeden z jeźdźców – są to złoczyńcy, którzy idą na galerach służyć królowi, reszta nie sądzę, aby cię obchodzić mogła.

– Jednakże zobowiążesz mnie pan nieskończenie – rzecze znów Don Kichot – jeśli pozwolisz mi wybadać każdego z osobna, jakim sposobem popadł w niełaskę.

Zapytanie rycerza było tak grzeczne, że drugi jeździec odpowiedział mu:

– Mamy wprawdzie z sobą wyroki tych nędzników, lecz nie mamy czasu rozczytywać się długo, a i rzecz sama niewarta, aby dla niej otwierać tłumoki. Zresztą możesz pan ich sam zapytać, zaspokoją waszą ciekawość z pewnością.

– Poczciwcy! nie dają się o to dwa razy prosić.

Korzystając z pozwolenia, bez którego byłby się obszedł w każdym razie, Don Kichot zbliżył się do więźniów i zapytał pierwszego: za jaki to występek ma zostać ukarany.

– Jedynie za miłość – odpowiedział galernik.

– Jak to za miłość i za nic więcej? – rzecze nasz rycerz – a toć jeżeli zakochanych na galery posyłać mają, to i ja tam powinienem już od dawna siedzieć.

– Moje miłostki były innego niż pan myślisz rodzaju – rzecze galernik. – Prawdę mówiąc, rozmiłowałem się tak dalece w koszu bielizny, trzymałem go tak silnie w swoich objęciach, że gdyby nie wdanie się policji, koszyk pozostałby dotąd w moich ramionach. Schwytano mnie na uczynku i nie pytawszy, potępiono. Dano mi w zadatku sto rózg na plecy... a kiedy przez trzy lata będę kosił wielką łąkę, to już z niej wyjdę swobodny.

– Cóż to nazywasz kosić wielką łąkę – zapytał Don Kichot.

– W dobrej hiszpańszczyźnie, to znaczy wiosłować na galerach – odpowie młody więzień.

Don Kichot następnie badał drugiego, pogrążonego w takim smutku, że nie mógł słowa przemówić, ale pierwszy wyręczył go:

– O, to jest kanareczek! idzie na galery za to, że za wiele śpiewał.

– Jak to? – rzecze Don Kichot – czyż muzyków także na galery wysyłają?

– Tak, panie – odpowiedział galernik – bo w istocie nie ma nic niebezpieczniejszego, jak śpiewać w cierpieniu.

– Przeciwnie – rzecze Don Kichot – ja słyszałem, że śpiew łagodzi troski.

– Tu przeciwnie się dzieje – rzecze więzień – kto raz śpiewa, płacze całe życie za to.

– Przyznam się, że nic nie rozumiem – rzecze Don Kichot.

– Dowiedz się pan – rzekł jeden ze straży – że u tych nędzników śpiewać w cierpieniu, znaczy wyznać coś na torturach. Męczono tego głupca i przyznał się, że skradł bydło, za co został skazany na sześć lat do galer, prócz dwustu rózg, które mu zaraz wyliczono. Smutek zaś jego i wstyd pochodzą stąd, że go koledzy jak nędznika traktują, wyrzucając mu brak wytrwałości i dowodząc, że kryminalista ma zawsze swoją wolność na końcu języka, jeżeli tylko świadków przeciwko sobie nie ma, i szczerze mówiąc, w tym punkcie zgadzam się z nimi.

– Ja także – rzecze Don Kichot. – A ty? – zapytał trzeciego – co uczyniłeś?

Ten odpowiedział najnaturalniej:

– Idę na galery na lat pięć za kradzież dziesięciu dukatów.

– Ach! dałbym chętnie dwadzieścia, żeby cię uwolnić – rzecze Don Kichot.

– Na moją uczciwość, trochę za późno – rzekł galernik – zupełnie jak musztarda po obiedzie. Gdybym był miał te dwadzieścia dukatów w więzieniu, mógłbym posmarować łapy mojego strażnika, rozbudzić ducha prokuratora i dziś byłbym na balu w Toledo, zamiast dreptać związany, jak chart na smyczy. Lecz cierpliwości! Na wszystko czas przyjdzie.

Don Kichot przeszedł do czwartego. Był to starzec z długą, białą brodą, która mu spadała okazale na piersi. Na zapytanie odpowiedział tylko cichym płaczem, dopiero sąsiad wyręczył go w odpowiedzi, mówiąc:

– Ten szanowny brodacz idzie służyć na morzu królowi przez cztery lata, zostawszy poprzednio oprowadzonym przez miasto w wielkim tryumfie i w paradnych szatach.

– Jeżeli się nie mylę – rzecze Sancho – to ma znaczyć, że jest zniesławiony za zgorszenie.

– Akurat to samo – odpowie galernik – a honor ten spotkał go za frymarczenie ludzkim ciałem, to ma znaczyć, panie, że poczciwiec był posłem miłości i nadto jeszcze, wdawał się cokolwiek w czarnoksięstwo.

– Za to ostatnie słusznie ukarany – przerwie Don Kichot – ale jeżeli tylko był posłańcem miłości, nie powinien być wysyłany na galery, chyba w randze generała, gdyż obowiązek posłańca miłości nie jest tak łatwy, jak się zdaje, i aby go wykonać należycie, trzeba być zręcznym i ostrożnym razem. Takich ludzi powinno być dosyć w państwie dobrze urządzonym i byłoby właściwe nawet ustanowić kontrolerów i egzaminatorów do miłosnych komisów. Powinni nawet być w tym, jak w każdym urzędowaniu, przysięgli oficjaliści; tym sposobem zdołano by uniknąć niezliczonych nierządów, które zdarzają się co dzień dlatego właśnie, że mnóstwo głupców, idiotów bez dowcipu, lokajów, suberetek i młodych łotrów miesza się do tego, a ci przy sposobności, nie umieją wywinąć się zręcznie. Gdybym miał więcej czasu, pokazałbym jasno, jakich to ludzi potrzeba wybierać na podobne urzędy, a zarazem powody, dla jakich tacy utrzymywani być powinni. Ale nie tu miejsce mówić o tym, powiem to raczej kiedyś tym, którzy mogą zaradzić złemu; tymczasem dodam tylko, że dopiero

dowiedziawszy się o czarnoksięstwie i o czarach, uśmierzyłem w sobie boleść wzbudzoną widokiem tego starca z siwymi włosami i białą brodą, tak okrutnie ukaranego za pełnienie obowiązków pośrednika miłości. Wiadomo mi wprawdzie, że czary nie istnieją na świecie, zwłaszcza takie, które by mogły zachwiać wolę człowieka. Wszyscy mamy w sobie wolnego arbitra, który nie boi się ani wpływu ziół, ani siły czarów i dlatego też wszystko, co czynią efronci i szarlatani, służy tylko do otrucia ludzi lub do głupienia ich, lecz nie do rozniecenia miłości.

– To wielka prawda – rzecze starzec – i przysięgam waszej wielmożności, że co się tyczy czarodziejstwa, jestem równie jak wy niewinnym.

– O! już to mój pan wcale nie jest czarnoksiężnikiem – przerwał Sancho – nie ma w nim ani jednej żyłki do tego nawet.

– Co do reszty – mówił dalej galernik – nie zaprzeczam wcale, ale nie sądziłem nigdy, aby w tym co złego być miało. Chciałem po prostu, żeby świat cały bawił się i wszyscy na nim w ścisłej żyli przyjaźni, lecz moje dobre cele posłużyły tylko za powód do wysłania mnie w miejsce, z którego nie powrócę nigdy zapewne, gdyż w takim będąc wieku, cierpię nadto na wstrzymanie uryny, które mi momentu spoczynku nie daje.

I starzec zaczął płakać znów, czym rozczulony Sancho dobył sztukę wartości dwadzieścia dziewięć soldów i dał ją więźniowi.

Don Kichot zapytał piątego, jaki popełnił występek.

– Ten – odpowiedział jeden ze straży – nosi ubiór studenta, był wielkim paplą, umiał dużo po łacinie i za to jest karany.

Po tych wszystkich wystąpił człowiek z tęgą miną lat trzydziestu mniej więcej, zezowaty na jedno oko i mocniej od innych okuty, miał bowiem zawiązany łańcuch u jednej nogi, który otaczał mu ciało jakby pierścieniami węża, przy tym obręcz na szyi taką,

że wyprostowanej głowy zgiąć nie mógł, od tej obręczy do pasa szły dwa pręty żelazne, do których przymocowano ręce okute w kajdany, tak, że ani rąk do głowy, ani głowy do rąk zbliżyć nie mógł.

Don Kichot zapytał, dlaczego by ten gorzej od innych był traktowany.

– Bo on sam jeden – odpowie strażnik – więcej popełnił występków niż inni wszyscy razem, a oprócz tego jest tak śmiały, że nawet w stanie, w jakim obecnie się znajduje, nie jesteśmy pewni, czyli uciec nie zdoła.

– A jakiż on występek popełnił – rzecze Don Kichot – jeżeli na śmierć nie zasłużył?

– Skazany jest na dziesięć lat galer – odpowiedział strażnik – co już jest jakby śmiercią cywilną, lecz trzeba wiedzieć, że ten uczciwy człowiek jest to sławny Gines de Pasamonte, albo inaczej Ginesillo de Parapilla.

– Mości komisarzu – przerwie galernik – proszę trzymać język za zębami i nie rozszerzać się nad moim nazwiskiem lub przydomkiem. Imię mam Gines, nie Ginesillo, a Pasamonte, nie Parapilla, mojego rodu jest mianem. Niech każdy baczy na siebie, zamiast na drugich, a skoro się dobrze obejrzy, znajdzie niezawodnie dosyć do potępienia w sobie.

– Zaraz ja ci przytnę języka, ty wysoka szubienico – rzecze komisarz.

– Wszystko tu się dzieje według woli Bożej – rzecze Pasamonte, ale przyjdzie chwila, w której każdy dowie się, jakie jest moje prawdziwe nazwisko.

– Alboż cię nie nazywają Ginesillo Parapilla, potwarco – rzecze strażnik.

– Bez wątpienia – odpowiedział Gines – ale postaram się o to, aby mnie tak więcej już nigdy nie nazywano. Panie rycerzu – dodał – jeżeli chcecie nam dać cokolwiek, uczyńcie to zaraz i ruszajcie z Bogiem, ta ciekawość poznania życia drugich, którą okazaliście, nudzić mnie zaczyna, lecz jeżeli chcesz znać moją historię, dowiedz się, że jestem Gines de Pasamonte i że życie moje opisane jest pięcioma palcami tej ręki.

– On prawdę mówi – rzecze komisarz – napisał sam swoją historię, którą zostawił za dług w więzieniu, dwieście realów wynoszący.

– Tak – rzecze Pasamonte – lecz ona tam nie zostanie długo, chociażby za dwieście dukatów była zastawiona, wydobędę ją stamtąd.

– Tak więc jest dobra ta książka – zawołał Don Kichot.

– Tak dobra – odpowie Pasamonte – że nikną przy niej Laraville de Tormes i wszystkie tego rodzaju książki, już napisane lub pisać się mające. Tyle tylko mogę panu powiedzieć o niej – mówił dalej – że znajdują się tam prawdy znane, przyjemne i zabawne, a tak dziwne, że niepodobna wymyślić bajek, które by im zrównały.

– A jakiż jest tytuł tej książki? – zapytał Don Kichot.

– *Życie Ginesa z Pasamontu* – odparł Gines.

– Czy to już skończone? – rzecze Don Kichot.

– Skończone o tyle, o ile życie moje; zaczyna się od mego urodzenia i trwa aż do czasu, gdym raz ostatni był na galerach.

– Już tedy nie pierwszy raz tam będziesz? – Zapytał Don Kichot.

– Nie, Bogu dzięki! – odpowiedział Gines – miałem już honor służyć tam królowi przez lat cztery i wiem dobrze, jak smakują biszkokty i kije, próbowałem często jednych i drugich, zresztą nie gniewam się tak bardzo, jakby kto myślał, że muszę znów iść na galery. Tam myślę dokończyć mego dzieła, mam jeszcze niemało

materiałów w zapasie, a na galerach hiszpańskich zostawiają dosyć wolnego czasu, więcej nawet niż mi potrzeba, gdyż mam już wyryte w umyśle wszystko, o czym pisać będę.

– Zdajesz mi się być zdolnym człowiekiem – rzecze Don Kichot.

– I nieszczęśliwym, dodaj pan jeszcze, bo niedola zawsze ściga ludzi wyższych.

– I zbrodniarzy także – przerwał komisarz.

– Powiedziałem już wam, mości komisarzu, żebyś trzymał język za zębami, nasi królowie nie dają prawa pastwić się nad nami, a ty jesteś tylko przeznaczony doprowadzić nas, gdzie ci rozkazano, niech więc każdy milczy, albo mówmy wszyscy razem i ruszajmy naprzód, już i tak za długo trwa to wszystko.

Na te słowa komisarz podniósł laskę, chcąc ukarać Pasamonta, lecz Don Kichot, stanąwszy między nimi, zabronił mu uczynić tego.

– Słuszne jest – rzecze – ażeby ten, co ma związane ręce, miał chociaż język swobodny – potem, zwracając się do galerników: – Bracia moi – rzecze – z tego, com słyszał od was, widzę jasno, że jakkolwiek kara, na którą skazani jesteście, z waszych błędów wynika, nie znosicie jej przecież bez zmartwienia, i że nie macie wielkiej ochoty iść na galery, że na koniec prowadzą was tam wbrew woli waszej, a ponieważ zdarza się często, że brak odwagi z jednej strony, brak pieniędzy z drugiej i mało względów u sądu wreszcie, wtrącają ludzi w podobne położenie, wszystko znagla mnie oświadczyć wam, że niebo posłało mnie na świat jako rycerza błędnego, ażebym pomoc uciśnionym dawał i małych od tyrańskwa wielkich wybawiał. Ponieważ zaś wszystko, o ile można, zgodnie robić należy, proszę więc pana komisarza i strażników, ażeby rozkuli wasze kajdany i puścili was na wolność. Znajdzie się jeszcze dosyć innych ludzi do służby królewskiej, a wreszcie niesprawiedliwie jest czynić niewolnikami ludzi stworzonych do wolności. A więc,

panowie strażnicy – dodał – bardzo was proszę, ponieważ ci biedni ludzie nie obrazili was w niczym, puśćcie ich, niech sami czynią pokutę, nie przymuszeni do tego żadną obcą wolą. Jest sprawiedliwość w niebie, która rządzi i karze złych, gdy się poprawić nie chcą, a ludziom honorowym nie godzi się być katami swych bliźnich. Panowie! ze słodyczą i grzecznością proszę was o to. Jeżeli dopełnicie mojej prośby, zobowiążecie mnie mocno, w przeciwnym zaś razie ta włócznia, ten miecz i siła mego ramienia zmuszą was do tego.

– Et, ba! piękne mi żarty – odrzekł komisarz – to także pomysł żądać od nas uwolnienia galerników królewskich, jak gdyby to w naszej było mocy; jedź pan z Bogiem swoją drogą i popraw lepiej miednicę, którą masz na głowie, zamiast wścibiać nos tam, gdzie nie należy.

– Jesteś łotr i wisielec! – krzyknął Don Kichot. I w tej chwili, nie dając czasu do obrony, tak silnie natarł na komisarza, że powalił go włócznią na ziemię. Straż, zdziwiona takim rzeczy obrotem, zaatakowała ze wszech stron Don Kichota; jedni szpadami, drudzy pociskami, byliby go pokonali snadnie, gdyby galernicy, widząc tak piękną sposobność odzyskania wolności, nie zaczęli rozkuwać się z kajdan. Popłoch wielki stał się między strażą, która raz przybiegając do galerników wyzwalających się, to znów do Don Kichota, który im chwili spoczynku nie dawał, nic stanowczo przedsięwziąć nie mogła. Sancho zdołał wyzwolić Ginesa z Pasamontu, a ten, widząc się wolnym i rozkutym, rzucił się na komisarza i odebrawszy mu muszkiet i szpadę, natarł tak silnie na strażników, że ci wkrótce uciekli z pola bitwy.

Sancho nie bardzo się cieszył z tego zwycięstwa, bo nie wątpił, że straż niebawem powróci w większej liczbie i ukarze napastników; w tej niespokojności rzekł do pana, że byłoby dobrze zejść z drogi

i ukryć się w pobliskich górach, gdyż przeklęci strzelcy pewno uderzą na gwałt i otoczywszy nas dokoła, mogą bardziej skrzywdzić, niżby się to nam podobało.

– Masz słuszność – rzecze Don Kichot – lecz obecnie co innego mam do czynienia.

Zawołał w tej chwili na galerników, którzy, obdarłszy komisarza, porzucili go nagiego na ziemi. Zbrodniarze zgromadzili się koło rycerza, chcąc dowiedzieć się, czego żąda.

– Jest to cnotą zacnych ludzi – rzecze nasz bohater, że serca ich czują wdzięczność za odebrane dobrodziejstwo, bo niewdzięczność jest najczarniejszym ze wszystkich występków. Widzieliście, panowie, com dla was uczynił, przekonany jestem, że nie trafiłem na niewdzięcznych i żądam tego dowodu. Otóż wymagam od was, abyście, wziąwszy na siebie kajdany, z których was rozkułem, poszli do miasteczka Toboso, tam zaprezentujecie się pani Dulcynei z Toboso i powiecie, że przysyła was do niej Rycerz Posępnego Oblicza, niewolnik jej wdzięków; opowiecie wszystko, co uczyniłem dla was, a potem możecie się udać, gdzie wam się podoba.

Gines z Pasamontu zabrał głos i w imieniu wszystkich odpowiedział:

– Panie rycerzu i nasz wybawco! Niepodobna nam spełnić waszego rozkazu, gdyż nie ośmielilibyśmy się okazać razem z obawy, aby nas nie poznano, potrzeba nam się koniecznie rozłączyć i przebrać tak zręcznie, żeby nie wpaść powtórnie w ręce świętej Hermandady, która niezawodnie ścigać nas będzie, lecz jeżeli wielmożność wasza raczy zmienić rozkaz i zamiast złożenia hołdu pani Dulcynei z Toboso, poprzestać raczy na wielkiej liczbie pacierzy, które zmówimy na jej intencję, wola wasza będzie wykonana. To można uczynić bez narażenia się, czy to we dnie, czy w nocy, w spoczynku, czy w ucieczce, w pokoju lub boju, ale raz

jeszcze kosztować zupy egipskiej, czyli przywdziać powtórnie łańcuchy, na to przystać nie możemy.

– Przez Bóg żywy! – krzyknie Don Kichot, zapalony gniewem – don Ginesillo de Parapilla jest więc synem nierządnicy, ale czymkolwiek bądź jest, musi pójść sam jeden okuty w łańcuchy i we wszystkie ozdoby, które miał poprzednio na swym szlachetnym ciele.

Pasamonte, z natury niecierpliwy, powziąwszy nadto nieszczególne o rozsądku Don Kichota mniemanie, po czynie, jaki tenże popełnił, nie mógł ścierpieć podobnej obelgi, dał znak swoim towarzyszom, a ci rozbiegłszy się w momencie, gradem kamieni zarzucili Don Kichota, który nie mógł się ani tarczą zasłonić, ani ostrogami przezwyciężyć brązowej obojętności Rosynanta. Sancho, ukryty za osłem, uniknął nawałnicy, gdy tymczasem pan jego, odebrawszy kilka pocisków, spadł na ziemię. Podskoczył ku niemu student, zerwał z głowy miednicę i uderzywszy nią kilkakrotnie w kark rycerza, rzucił gwałtownie o kamień i potłukł srodze. Inni galernicy, zdarłszy z Don Kichota suknię, którą na zbroi nosił, byliby go obnażyli do szczętu, gdyby zbroja, przykrępowana mocno, nie zniszczyła ich usiłowań. Zdarli również płaszcz z ramion Sanchy, a obnażywszy go zupełnie, podzielili się łupami; po czym, każdy wziąwszy nogi za pas, drapnął w swoją stronę, turbując się więcej o pogoń św. Hermandady, niż o składanie hołdów pani Dulcynei. Osioł, Rosynant, Sancho i Don Kichot pozostali sami na polu bitwy. Osioł, zwiesiwszy głowę, potrząsał niekiedy wielkimi uszami, sądząc zapewne, że grad kamienny trwa jeszcze; Rosynant, skaleczony dwoma uderzeniami, leżał rozciągnięty obok swego pana. Sancho nagi, jak gdyby z łona matki wyszedł, umierał ze strachu, by nie wpaść w ręce św. Hermandady, Don Kichot

wreszcie, smutny i rozgniewany, wyrzekał na niewdzięczność zbójców, którym zrobił tak wielką przysługę.

Rozdział IX

O tym, co się przytrafiło Don Kichotowi na Sierra Morena

Don Kichot, widząc się w tak smutnym stanie, rzecze do swego giermka:

– Zawsze utrzymywałem, Sancho, że świadczyć dobrze złym i niewdzięcznym jest to rysować na piasku. Żebym był wierzył twoim słowom, nie byłbym naraził się na podobną nieprzyjemność. Z tym wszystkim stało się, bądźmy cierpliwi i niech to smutne doświadczenie będzie nam nauką na przyszłość:

– Ach, mój dobry panie, nim wy staniecie się roztropnym, ja zostanę Turkiem – rzecze Sancho – lecz ponieważ powiedziałeś, że gdybyś był słuchał rad moich, uniknąłbyś tego wypadku, raczże mi wierzyć, o panie, w tej chwili jeszcze, a unikniesz większego nierównie; gdyż ręczę wam i ostrzegam zarazem, że całe rycerstwo wasze na nic się nie przyda przed św. Hermandadą, bo ona nie więcej ceni błędnych rycerzy, niż psów obłąkanych. Wierzcie mi, panie, że słyszę już strzały, świszczące mi koło uszów.

– Jesteś tchórz z natury, Sancho – rzecze Don Kichot – lecz, żebyś nie sądził, że jestem uparty i że nigdy nie słucham rad twoich, uwierzę ci w tym razie i oddalę się od tej straszliwej Hermandady, której obawiasz się tak bardzo; lecz uczynię to pod jednym warunkiem, że żywy czy umarły nie powiesz nigdy nikomu, że cofnąłem się, by uniknąć grożącego niebezpieczeństwa, że jedynie uczyniłem to dla twojej przyjemności i ulegając prośbom twoim. Jeżeli powiesz inaczej, skłamiesz i dziś równie jak wtedy, a wtedy, równie jak dziś, zaprzeczę ci i powiem, żeś skłamał. Nie

mów mi nic więcej, gdyż sama myśl, że oddalam się i cofam przed jakimś niebezpieczeństwem, a nade wszystko przed takim, gdzie rzeczywiście narazić się można, zasmuca mnie boleśnie i gotów jestem pozostać tu aż do dnia sądnego, oczekując odważnie nie tylko św. konfraterni, o której mówisz, lecz nawet całego bractwa dwunastu pokoleń Izraela, siedmiu Machabeuszów, Kastora i Polluksa i wszystkich braci, bractw i konfraterni świata całego.

– Panie! – rzecze Sancho – cofać się to nie znaczy uciekać, bo oczekiwać wtedy, gdy niebezpieczeństwo przewyższa siły i doświadczenie, jest głupstwem, dlatego człowiek roztropny powinien strzec siebie z dnia na dzień, nie narażając się zupełnie od razu i wierzcie mi, panie, jakkolwiek wieśniak i głupiec jestem, zawsze miałem zdolność do dobrego rządzenia. Nie wyrzucajcie przeto sobie, że za moją pójdziecie radą, a teraz siadajcie na Rosynanta jeśli zdołacie, a jeśli nie, to pomogę wam, i oddalmy się stąd na miłość Boską. Serce mi mówi, że to nieosobliwe dla nas miejsce i że więcej nam potrzeba teraz użytku nóg, niż rąk naszych.

Don Kichot wsiadł na konia w milczeniu. Sancho uczynił podobnież i wjechali na góry Sierra Morena, dość wysoką. Dobry giermek miał wielką ochotę przebyć całe góry, udać się aż do Almodovar del Campo i tam ukryć się na dni kilka przed poszukiwaniem sprawiedliwości. Najwięcej pobudzała go do podobnego przedsięwzięcia pewność, że ocalił podczas bitwy z galernikami cały zapas żywności, który dźwigał jego osioł, a był to cud prawdziwy, gdyż złodzieje szukali pilnie i zabierali wszystko, co tylko użyteczne być mogło.

Nasi podróżnicy przybyli już nocą w środek gór i w ustroniu opuszczonym osiedlili się według rady Sancha, z zamiarem przepędzenia tam dni kilku, lub przynajmniej dopóki żywność im wystarczy; rozlokowali się więc na tę noc między dwiema ścianami

skały, pod liściastym drzewem, sądząc się bezpiecznymi od wszelkiej napaści. Lecz los, który rządzi i zastosowywa wszystko do swojej fantazji, sprawił, że Gines de Pasamonte, ów sławny zbrodniarz, odwagą i szaleństwem Don Kichota wybawiony z łańcuchów, uciekając przed św. Hermandadą, umyślił także ukryć się w tych skałach i przybył właśnie w toż samo miejsce, gdzie Don Kichot i Sancho się znajdowali. Poznawszy ich po głosie, czekał dopóki by nie zasnęli, a że źli są zawsze niewdzięczni i niegrzeczni razem i że potrzeba dziurawi kamień, Gines, który nie był ani grzecznym, ani uczynnym, przywłaszczył sobie podczas snu osła Sanchy, którego wolał niż Rosynanta, i przed świtem jeszcze uciekł swobodnie dalej.

Wkrótce jutrzenka ukazała się ze swoim jaśniejącym obliczem, aby uradować i upiększyć ziemię, lecz tylko zasmuciła i zeszpeciła biednego Sanchę, który umierał z boleści, widząc się pozbawionym osła. Giermek płakał tak smutnie i łkał tak żałośnie, że Don Kichot zbudzony, następną usłyszał skargę: „O drogi synu moich wnętrzności, urodziłeś się w moim domu! przyjemny piastunie dzieci moich! pociecho mojej żony, zazdrości moich sąsiadów i ulgo prac moich, karmicielu połowy mojej osoby, gdyż cztery soldy, które mi zarabiałeś dziennie, opędzały w połowie moje wydatki".

Don Kichot, odgadłszy z tych lamentacji przedmiot boleści Sanchy, usiłował pocieszyć go czułymi słowy i uczonym rezonowaniem o nieszczęściach tego świata, lecz najlepiej mu się udało, gdy prosząc go o cierpliwość, obiecał dać weksel na trzy oślątka, których pięcioro pozostało w domu. Sancho ucichł, nie mogąc oprzeć się tak silnej konsolacji, otarł łzy, powstrzymał westchnienia i szlochy i podziękował serdecznie swojemu panu za uczynioną obietnicę. Don Kichot, którego słońce orzeźwiło nieco, ucieszył się, widząc się wśród gór, nie wątpił bowiem, że w tych

miejscach znajdzie jaką przygodę. Odświeżył sobie w pamięci wszystkie cudowne wypadki, które się wydarzyły błędnemu rycerzowi w miejscach podobnie samotnych, i był tak upojony i podniesiony tymi niedorzecznościami, że o wszystkim zresztą zapomniał. Sancho także znacznie się uspokoił, widząc się również w bezpiecznym miejscu i myślał tylko o napełnieniu brzucha resztkami, które ocalały; poszedł za panem, niosąc tłumoczek, który dawniej dźwigał jego osioł, wyjmował kiedy niekiedy okruszyny i pożerał je chciwie, nie dbając o żadne przygody.

Tak idąc spostrzegł, że pan jego zatrzymał się, usiłując podnieść włócznią jakąś rzecz leżącą na ziemi, pośpieszył mu na pomoc; gdy przybył, Don Kichot trzymał już na końcu dzidy starą poduszkę skórzaną i walizę, związane razem. Oba te przedmioty były zniszczone, ale tak ciężkie, że potrzeba było pomocy Sancha, ażeby je podnieść, Sancho ciekawie przypatrzył się znalezionym rzeczom i dostrzegł, że waliza była zamknięta łańcuchem i kłódką, lecz przez dziury wyżarte wilgocią, wydobył cztery koszule z cienkiego holenderskiego płótna, mnóstwo innej pięknej bielizny, a w chustce jednej znalazł znaczną ilość sztuk złotych.

– Niech będzie niebo błogosławione! – zawoła Sancho na ten widok – raz przecie w życiu napatoczyła się nam korzystna przygoda – i szukając dalej, znalazł album bogato oprawne.

– To zatrzymuję dla siebie – rzecze Don Kichot – pieniądze zaś weź sobie, Sancho.

– Bardzo dziękuję jaśnie wielmożnemu panu – odpowiedział tenże, całując ręce rycerza i schował wszystko do swego tłumoczka.

– Zapewne, Sancho – rzecze Don Kichot – ktoś zabłąkał się w tych górach i złodzieje, zamordowawszy go, zagrzebać musieli pomiędzy skałami.

– To być nie może, panie – odpowiedział Sancho – złodzieje nie zostawiliby pieniędzy.

– Masz słuszność – odpowie Don Kichot – sam nie wiem teraz, co to być może, ale czekaj, bez wątpienia znajdziemy w tym album objaśnienie tego wypadku. Jakoż otworzywszy je, rycerz znalazł pięknie napisany sonet, który głośno czytać zaczął:

Albo miłości braknie rozeznania,
Lub ma za wiele w sobie okrucieństwa,
Lub błąd mój nie jest powodem męczeństwa,
Która mi serce szponami rozrania.

Gdy miłość Bogiem – to rozum zabrania
Stawić przymiotom jego sprzeciwieństwa.
Bogu nieznane żadne okrucieństwa!
Któż więc nade mną dzierży moc karania?

Nie ty, kochana! Z dobra złe nie płynie,
Ze słońca piorun nigdy nie wystrzeli,
I z nieba piekło na ziemię nie schodzi.

Trzeba więc umrzeć, bo w strasznej godzinie
Kiedy choroby ludzie nie pojęli,
To już ratunek chyba cud wyrodzi.

– Ta piosnka nauczy nas tylko, że po nici dojść można do kłębka.

– O jakiej nici ty mówisz?

– Zdaje się – mówi Sancho – że tam było coś o nici.

– Ale gdzież tam – odpowie Don Kichot – było wyraźnie o dziewczynie, a to jest pewnie nazwisko damy, na którą uskarża się autor sonetu.

– Nazywacie to, panie, sonetem? – rzecze Sancho – bardzo się cieszę z tego, prawda, że on nieźle dźwięczy.

– Tak, to jest sonet – odpowie Don Kichot – i wcale piękny nawet. Poeta był niezły, podług mego zdania.

– Jak to? panie, znacież się więc i na robieniu wierszy?

– Troszkę lepiej, niż myślisz, Sancho – odpowie Don Kichot – i sam najlepiej przekonasz się o tym, gdy zawieziesz ode mnie list, cały wierszem napisany, do pani Dulcynei z Tobozo. Dowiedz się, Sancho, że wszyscy błędni rycerze dawnych czasów byli poetami i muzykami, gdyż te dwie piękne sztuki są jakby głównymi przymiotami błędnego rycerza. Wprawdzie w poezji dawnych rycerzy było więcej życia niż sensu, a reguł wcale nie było.

– Raczcie też czytać dalej, rycerzu – rzecze Sancho – być może, znajdziemy jaką rzecz, która nas więcej objaśni.

Don Kichot, przewróciwszy kartkę: – Otóż znów proza – rzecze – będzie to list pewnie.

– Czy do kogo pisany? – zapyta Sancho.

– Początek każe mi wierzyć, że to jest list miłosny – odpowie Don Kichot.

– Niech wasza wielmożność przeczyta też głośno, niezmiernie lubię czytać listy miłosne.

– Bardzo chętnie – odrzekł Don Kichot i zaczął czytać.

„Fałszywość twoich przyrzeczeń i moje nieszczęście, o którym nie wątpię już w tej chwili, zmusza mnie oddalić się od ciebie i pierwej dowiesz się o mojej śmierci, niż o przyczynie cierpienia mego. Opuściłaś mnie, niewdzięczna, dla człowieka, który nie przymiotów, ale pieniędzy ma więcej ode mnie. Gdyby cnota była bogactwem w tym wieku, nie miałbym potrzeby zazdrościć go komukolwiek i obecne nieszczęście nie ucisnęłoby mego serca. Pierwsza kazała mi wierzyć, że jesteś bóstwem czystości, a drugie nauczyły mnie,

że jesteś tylko kobietą. Żegnam cię, życzę ci spokoju. Tobie, która skazałaś mnie na walkę wieczną, oby niebo sprawiło, abyś nie przekonała się nigdy o zdradzie twojego męża, abym, widząc cię żałującą wyrządzonej mi niesprawiedliwości, nie musiał szukać zemsty za cierpienia nasze na człowieku, którego szanować jesteś obowiązaną".

– Ten list nie więcej nas nauczył, jak wiersze – rzecze Don Kichot – to pewna jednak, że jego autor był zdradzonym kochankiem – i przewracając kartki, znalazł wiele innych listów i wierszy, których w połowie przeczytać nie mógł, a wszystkie napełnione skargami, wyrzutami, rozpaczą i cierpieniem. Podczas gdy Don Kichot przewracał kartki, Sancho rewidował walizę, nie opuścił najmniejszego kącika, rozpruł nawet poduszkę, tak dalece nabrał badawczego gustu od czasu znalezienia złota, którego więcej niż sto sztuk było, i chociaż nic więcej nie znalazł, przecież sądził się dosyć wynagrodzonym za wszystkie poniesione klęski, jak podrzucanie, ból brzucha od balsamu, za kije wzięte od mulników, grad kamieni od owczarzy, kułaki i pięści od furmanów, stratę żywności, zgubę osła, obnażenie z rzeczy, głód, pragnienie i niezliczone trudy, które poniósł w usługach swego rycerza; nagroda zdawała mu się być dostateczna i chciałby dostawać ją co miesiąc, chociażby miał ją takimże samym trudem wysłużyć. Nasz rycerz jednakże bardzo był ciekawy dowiedzieć się, kto był właścicielem walizy, gdyż wnosząc z ilości złota, piękności bielizny, dobroci prozy i tkliwości wiersza, musiał to być człowiek przyzwoity, którego pogarda i złe obchodzenie kochanki do rozpaczy przywiodły; lecz będąc przekonanym, że nikt nie udzieli mu żadnych wieści w miejscu tak ustronnym, pojechał dalej, kierunek drogi zdając na Rosynanta, który z trudnością przedzierał się przez ciernie i skały. Postępując w ten sposób, Don Kichot miał ciągle nabitą głowę przygodami,

które niezawodnie w tym dzikim kraju spotkać go miały; wtem, na wierzchołku wzgórza, do którego się zbliżał, zobaczył człowieka z nadzwyczajną lekkością skaczącego ze skały na skałę, nie zważając na ciernie i krzaki. Człowiek ten zdawał mu się być nagi, z czarną i gęstą brodą, bez pończoch i trzewików, z włosami w nieładzie. Na udach miał tylko podarte aksamitne spodnie, ale tak podarte, że świecił ciałem na wszystkie strony, głowę miał również odkrytą i jakkolwiek szybko przebiegał, nasz rycerz wybornym wzrokiem swoim wszystkie te szczegóły dostrzegł od razu i usiłował doścignąć go, w mniemaniu, że to jest pewnie właściciel znalezionych rzeczy, lecz Rosynant, zbyt słaby i z natury leniwy, nie lubił wszelkiego pośpiechu. Rycerz Posępnego Oblicza postanowił przecież koniecznie dogonić rycerza walizy, chociażby mu przyszło rok cały szukać w górach, i w tej rezolucji rozkazał Sanchowi szukać go z jednej strony, podczas gdy on obejdzie drugą.

– Z taką pilnością szukając, znajdziemy go niezawodnie – rzekł.

– Ja tam go wcale szukać nie myślę – odpowie Sancho – gdyż skoro się tylko na krok od was oddalę, strach mnie ogarnia okropny i ze wszystkich stron atakuje mnie cały korpus diabłów Św. Antoniego. Raz też na zawsze uprzedzam waszą wielmożność, że nie oddalę się od niej ani na pół stopy.

– Cieszy mnie to – rzecze rycerz – że czerpiesz siłę w mojej odwadze, zapewniam cię, że tej nie zbraknie mi nigdy, pójdź więc powoli za mną i oglądaj się dobrze na wszystkie strony, przetrząśniemy całą górę, a spotkamy niezawodnie właściciela walizy.

– Panie – odpowie Sancho – zdaje mi się, że lepiej nie szukać go wcale, bo jeżeli znajdziemy go i waliza istotnie doń należy, to trzeba ją będzie zwrócić. Nie ma potrzeby śpieszyć się, lepiej czekać, aż spotkamy się z nim gdzieś w innym miejscu, to wydawszy już

wszystkie pieniądze i zdarłszy koszule, będzie i kwita z nami, na mocy prawa książęcego.

– O, co w tym, to się mylisz Sancho – rzecze Don Kichot – bo od chwili, gdy mamy nadzieję znaleźć właściciela tych rzeczy, powinniśmy szukać go i zwrócić stratę, a jeżelibyśmy nie szukali go wcale, nie możemy sumiennie zatrzymywać rzeczy, które nie są naszą własnością, tak więc, przyjacielu Sancho, niech to poszukiwanie nie martwi cię, gdyż co do mnie, znalazłszy tego człowieka, ulżę sobie wielkiego ciężaru.

To rzekłszy, spiął ostrogami Rosynanta, a Sancho, dzięki Ginesillowi z Pasamontu, postępował za nim objuczony jak osioł.

Obszukawszy wszystkie miejsca, przybyli wreszcie nad brzeg strumienia, tam znaleźli zdechłego muła z siodłem i uzdeczką, którego psy i kruki na wpół już pożarły, co tym bardziej utwierdziło ich w mniemaniu, że ów uciekający człowiek był właścicielem walizy. Gdy przypatrywali się mułowi i robili uwagi nad tą nową przygodą, usłyszeli świst podobny temu, jakiego używają pasterze trzód, i w tejże chwili ujrzeli na lewo wielką gromadę kóz, a za nimi starego pasterza.

Don Kichot zawołał nań, a staruszek zdziwiony zapytał, co ich sprowadziło w miejsce tak dzikie i ustronne, w którym tylko kozy, wilki i inne dzikie zwierzęta przebywają.

– Zbliż się tu, dobry człowieku – rzekł Sancho – a opowiemy ci wszysko. Pasterz zeszedł z góry i zbliżając się do Don Kichota:

– Założyłbym się – rzecze – że przypatrujecie się zdechłemu mułowi. On tu wszakże już szósty miesiąc leży i ciekawy jestem, czy nie spotkaliście kędy po drodze jego pana?

– Nie znaleźliśmy nikogo – rzecze Don Kichot – oprócz poduszki i walizy, które o kilka kroków stąd leżały.

– Zdybałem je również – rzecze pasterz – lecz nie chciałem dotknąć ich nawet, żeby mnie czasem później o złodziejstwo nie posądzono, bo to diabeł, panie, czasem rzuca pod nogi rzeczy, które później bokiem wyłażą.

– Tak samo i ja uczyniłem – rzecze Sancho – nie zbliżyłem się nawet do walizy i zostawiłem ją tam, gdzie była. Niech tam sobie leży spokojnie!

– Powiedz też mi, dobry człowieku, czy nie wiesz, do kogo ten muł należał? – zapytał Don Kichot.

– To tylko wiem – odpowie pasterz – że przed sześciu miesiącami jakiś młody i bardzo piękny pan przybył na tym mule z walizką i poduszką, które widzieliście, i pytał się pasterzy, o trzy mile stąd mieszkających, jakie jest najbardziej ukryte i najdziksze miejsce w górach. Ukazaliśmy mu to właśnie, gdyż w samej rzeczy, wszedłszy dalej troszkę, już stąd wyjść trudno. Dlatego dziwię się mocno, widząc was tutaj, gdyż żadna droga, ani ścieżka nie prowadzi w to miejsce. Otóż więc ów młody człowiek, usłyszawszy naszą odpowiedź, odjechał czym prędzej drogą mu wskazaną, zostawiając nas zdziwionych swoją pięknością i pośpiechem, z jakim podążał w góry. Jakiś czas nie widzieliśmy go wcale, aż w kilka dni potem, spotkawszy jednego z naszych pasterzy, rzucił się na niego i dawszy mu ze sto kijów, zabrał z objuczonego osła wszystko pożywienie nasze i z szybkością jelenia, schronił się w góry. Dowiedziawszy się o tym, wybraliśmy się w kilku dla wyszukania go i przez dwa dni przetrząsając najskrytsze miejsca w górach, znaleźliśmy wreszcie ukrytego w spróchniałym drzewie. Przyjął nas ze słodyczą lecz tak był zmieniony na twarzy, tak spalony od słońca, że tylko po sukniach poznaliśmy go, a i te zupełnie poszarpane były. Pozdrowił nas grzecznie i w krótkich, ale wymownych wyrazach prosił, abyśmy nie dziwili się jego

postępowaniu, gdyż tym sposobem dopełnia tylko przeznaczonej mu pokuty. Prosiliśmy go usilnie, aby nam powiedział, kto jest. Nie odpowiedział na to wcale. Oświadczyliśmy mu wtedy, aby nam wskazał miejsce, w którym by znaleźć go można było w razie jakiej potrzeby, a mianowicie żywność mu przynosząc, którą chętnie dawać mu przyrzekliśmy, byleby jej gwałtem nie wydzierał, jak to uczynił. Podziękował nam uprzejmie, przeprosił za wyrządzoną pasterzowi krzywdę, przyrzekając, że odtąd o wszystko w imieniu Pana Boga prosić będzie, nie napadając na nikogo. Zapytaliśmy go jeszcze, gdzie jego schronienie. Odpowiedział, że nie ma oznaczonego miejsca, lecz korzysta z każdej sposobności, by noc przepędzić bezpiecznie i zakończył swoją mowę tak żałośnymi skargami, że my zwłaszcza, cośmy go niedawno w takim widzieli stanie, musielibyśmy mieć kamienne serca, by nie rozczulić się jego niedolą; bo, jak to już wam powiedziałem, był to młody, przyjemny człowiek, bardzo dowcipny i rozumny i, jak się zdawało, wysokiego rodu. Nagle przestał mówić, spuścił oczy w ziemię i w tym stanie pozostał czas jakiś. Po chwili zobaczyliśmy, że zmienił wyraz twarzy; otwierał i zamykał oczy, marszczył brwi, zaciskał mocno usta i pięści, jak człowiek, którego paroksyzm szaleństwa napada. Jakoż tak było w istocie, podniósł się bowiem gwałtownie z miejsca, na którym siedział, i na najbliższego z nas rzucił się z taką furią i wściekłością, że gdybyśmy nie pośpieszyli z pomocą, zabiłby go niezawodnie razami pięści i rozszarpał zębami. Podczas tej całej strasznej sceny młodzieniec krzyczał: – Ach, zdrajco, Fernandzie! teraz dopiero zapłacisz mi za wszystkie zniewagi! Rękami wydrę ci serce, w którym złość całego świata, a nade wszystko fałsz i zdrada mieszkają. Wyzionął jeszcze mnóstwo innych przekleństw, a wszystkie kończyły się wyrzutami zdrady Fernandowi, po czym oddalił się od nas w milczeniu i zniknął w lesie, przeskakując przez

skały z taką szybkością, że doścignąć go było niepodobna. To zdarzenie przekonało nas, że cierpiał napady szaleństwa, że jakiś Fernando był powodem jego nieszczęścia. Umocniło nas w tym przekonaniu i to, że niekiedy przybywał do naszych mieszkań, łagodnie prosząc o pożywienie, niekiedy zaś rzucał się i wydzierał je gwałtem. Trzeba wam wiedzieć, panowie – ciągnął dalej pasterz – że postanowiliśmy ja i dwaj moi przyjaciele pasterze, razem ze sługami wyszukać koniecznie nieszczęśliwego młodzieńca i chociażby gwałtem zaprowadzić go do Almodovar, o kilka mil stąd leżącego, celem niesienia mu ratunku w tak smutnej chorobie. Tam, myśleliśmy, dowiemy się, kto on jest i oddamy go pod opiekę familii. Oto wszystko, co wiem, moi panowie; nie wątpię, że ten, któregoście widzieli przebiegającego z taką lekkością przez skały, jest istotnie właścicielem walizy i zdechłego muła.

Don Kichot był zachwycony opowiadaniem pasterza i teraz tym większej nabrał chęci dowiedzieć się, kto był ów nieszczęśliwy młodzieniec; postanowił przeto szukać go wszędzie, przetrząść każdą rozpadlinę, każde drzewo w górach, dopóki nie znajdzie młodego zbiega; lecz wypadek zrządził inaczej, gdyż w tej samej chwili z jaskini, w pobliskiej skale będącej, wyszedł ten sam młodzian i idąc prosto ku nim, mruczał coś niewyraźnie. Wyglądał tak, jak już go raz opisaliśmy; zwierzchnia jego suknia była poszarpana zupełnie. Don Kichot jednak wniósł z jej szczątków, że to był człowiek wysokiego rodu. Młodzieniec ukłonił się im grzecznie i przywitał głosem szybkim a chrypliwym. Don Kichot oddał mu ukłon z wyszukaną uprzejmością i zsiadłszy z Rosynanta, uściskał go tak czule, jakby się znali od dawna. Przybyły odstąpił trochę od rycerza, potem zbliżył się znowu i położywszy mu rękę na piersiach, przypatrywał się z równym podziwieniem i ciekawością, jak nasz bohater przyglądał się jemu poprzednio.

Pierwszy z nich przemówił rycerz obszarpany, a co wyrzekł, dowiecie się w następnym rozdziale.

Rozdział X

W którym zamyka się dalszy ciąg przygody na Sierra Morena

Historia powiada, że Don Kichot słuchał z wielką uwagą opowiadania obszarpanego rycerza gór, który tak kończył swoją mowę:

– Panie, ktokolwiek jesteś, gdyż nie znam cię wcale, jestem przecież nieskończenie ci obowiązany za grzeczność i uczciwość, z jaką obchodzisz się ze mną, i chciałbym serdecznie czymś więcej niż słowami okazać wdzięczność moją, lecz los okrutny nie zgadza się z chęciami serca mojego i za tyle dobroci mogę ci tylko bezużyteczne ofiarować chęci.

– Co do mnie – odpowie Don Kichot – postanowiłem zawsze i wszędzie wspierać ciebie. Już pierwej przedsięwziąłem nie opuścić tych gór, dopóki nie wyszukam i nie dowiem się z ust twoich, jakim sposobem można by przynieść ulgę cierpieniom twoim, chociażby z narażeniem życia mojego, a w razie, jeśli nieszczęścia twoje są bez ratunku, znosić je i podzielać z tobą, mieszając łzy moje z twoimi. Wiem dobrze, że zawsze w nieszczęściu pociesza nas współczucie serdeczne i jeżeli pan sądzisz, że moje dobre chęci zasługują na wdzięczność, błagam cię w imieniu grzeczności, jaką mi okazujesz, i zaklinam w imieniu wszystkiego, co kochałeś, powiedz, kto jesteś i jaki powód znagla cię ukrywać się w miejscu tak dzikim i odludnym; przysięgam – dodał Don Kichot – na zakon rycerstwa, do którego acz niegodny należę, że oddam ci wszelkie usługi, jakich w nieszczęściu twoim mógłbyś potrzebować.

Rycerz gór, słysząc taką mowę Rycerza Posępnego Oblicza, ciekawie nań pozierał, mierząc go wzrokiem od stóp do głowy. Na koniec, dokładnie mu przyjrzawszy się, rzecze:

– Jeżeli masz kawałek czego do zjedzenia, na miłość boską, chciej mi użyczyć, a skoro się najem, zrobię wszystko, co tylko zechcesz.

Natychmiast Sancho ze swego tłumoczka, a pasterz z koszałki dobył pożywienie i rycerz obdartus zaczął zajadać z chciwością i takim pośpiechem, że raczej pożerał niż jadł. Napełniwszy wreszcie żołądek, powstał i skinąwszy na Don Kichota i jego towarzyszów, aby się za nim udali, zaprowadził ich na łąkę między skałami leżącą, a sam usiadłszy na murawie i rozparłszy się wygodnie, tak zaczął:

– Jeżeli żądasz, panie, usłyszeć historię nieszczęść moich, uczyń mi przyrzeczenie, że nikt z obecnych tu ani słowem, ani gestem, nie będzie mi przerywał, gdyż w przeciwnym razie za najmniejszym uchybieniem przerwę swoje opowiadanie.

Taki wstęp przypomniał Don Kichotowi ową bajkę, którą mu Sancho w nocy opowiadał, gdzie z powodu pomyłki w liczbie kóz przeprawionych przez rzekę urwała się historia.

– Czynię to ostrzeżenie jedynie dlatego – dodał rycerz leśny – ażebym prędzej mógł skończyć opowiadanie swych nieszczęść, na których wspomnienie okropny ból czuję. Jednakże opowiem wam wszystko, nie opuszczając najdrobniejszego szczegółu.

Don Kichot w imieniu wszystkich przyrzekł zupełną uwagę i najsolenniejsze milczenie, a po tym zapewnieniu rycerz obdartus zaczął w ten sposób:

– Nazywam się Kardenio, ojczyzną moją jest jedno ze znaczniejszych miast Andaluzji, pochodzę ze szlachetnego rodu i mam bogatą familię. Nieszczęścia me jednak są tak wielkie, że ani bogactwa, ani pomyślność mych krewnych nie mogą przynieść mi ulgi. W tym samym mieście urodziła się cudna Luscinda,

niezrównana w piękności, szlachetności i bogactwie, która jednakże nie miała dosyć stałości, ażeby odpowiedzieć godnie szczerości uczuć moich; kochałem Luscindę od najmłodszych lat, uwielbiałem ją w dzieciństwie, a ona kochała mnie z tą prostotą i szczerością, które towarzyszą uczuciom młodego wieku. Nasi rodzice nie przeszkadzali rozwijaniu się naszej miłości, gdyż równość urodzenia i majątku do małżeństwa naszego nie stawiały zapory. Miłość wzrastała z wiekiem, wtedy ojciec Luscindy, nie mogąc znieść zbytniej poufałości naszej, lub może z innych jakich powodów, prosił mnie, ażebym zaprzestał bywać w jego domu. Ta przeciwność powiększyła nasz zapał i stworzyła nowe żądze. Nie mogąc widywać się, pisywaliśmy do siebie, gdyż pozostawiono nam tę wolność; tak więc w każdej chwili mogliśmy swobodnie odkrywać sobie myśli nasze. Składałem pieśni i wiersze miłosne i nawet czyniłem wszystko, co czynią kochankowie, by osłodzić swoje troski. Luscinda starała się także dać mi poznać całą moc swojej czułości i szukaliśmy ulgi cierpieniom, rozbudzając w sobie gwałtowną namiętność. Na koniec, powodowany żądzą i niecierpliwością widzenia Luscindy, postanowiłem prosić o jej rękę i ażeby nie stracić czasu tak drogiego dla zakochanych, udałem się osobiście do jej ojca. Odpowiedział mi z wielką grzecznością, podziękował za honor, jaki mu czynię, lecz oświadczył zarazem, że żądanie podobne nie ja sam, lecz ojciec mój uczynić powinien; gdyż jeżeli przychodzę bez jego wiedzy, lub jeżeli odmówi zezwolenia, to córka jego nie może połączyć się ze mną. Podziękowałem mu za grzeczność i przyznając słuszność, przyrzekłem, że ojciec sam przybędzie powtórzyć prośbę moją. Jakoż w tej chwili wyszedłem szukać go, ażeby odkryć mu rzecz całą. Znalazłem ojca w swoim pokoju. Trzymał list otwarty w ręku i podał mi go natychmiast. – Dowiesz się, Kardenio, rzecze mi, jaką

łaskę książę Ryszard chce ci wyświadczyć. (Wiecie panowie, że książę Ryszard jest grandem Hiszpanii, którego majątek w najżyźniejszej części Andaluzji leży). W liście tym książę prosił mego ojca, ażeby przysłał mnie na dwór jego dla towarzystwa młodszego syna, za to przyrzekał ustalić mój los i przyszłość całą. Przeraziłem się na myśl rozstania się bliskiego z Luscindą, gdyż ojciec oświadczył, iż w ciągu dwóch dni nastąpi mój wyjazd. Dzień oddalenia nadszedł. Poprzedniej nocy widziałem Luscindę i uwiadomiłem ją o tym, co zaszło, poszedłem do jej ojca, prosząc, by zachował dla mnie dobre chęci swoje, dopóki nie wrócę od księcia Ryszarda. Przyrzekł mi to i rozstaliśmy się z Luscindą z całą boleścią kochających się serc, poprzysięgając sobie wzajemną stałość. Na koniec wyjechałem do księcia, który przyjął mnie tak życzliwie, że cały dwór jego zazdrością napełniłem. Starszy syn księcia przyjął mnie również serdecznie, lecz brat jego młodszy Don Fernand, piękny i pełen uprzejmości, nadzwyczajnie rozmiłował się we mnie. Dawał mi ciągle dowody najczulszej przyjaźni tak dalece, że lubo brat jego serdecznym był dla mnie, wielką przecież w przyjaźni ich dla siebie znajdowałem różnicę. Ponieważ między przyjaciółmi nie masz tajemnic, Don Fernand zwierzał mi się ze wszystkimi myślami. Dowiedziałem się tedy, że był zakochany w pięknej wieśniaczce, córce bogatego rolnika, który był wasalem księcia, jego ojca. Ta dziewica była tak piękna i skromna, że obudzała powszechne uwielbienie, a przymioty jej tak oczarowały umysł Don Fernanda, że nie mogąc posiąść jej inaczej, postanowił zaślubić wieśniaczkę. Zniewolony przyjaźnią Fernanda, czułem się w obowiązku odwieść go od takiego zamiaru, który za nierozsądny uważałem, lecz widząc, że starania moje są bezskuteczne, postanowiłem donieść o wszystkim księciu. Don Fernand był zręczny i przenikliwy, przewidział mój zamiar i chcąc

zapobiec wykonaniu go, udał, że sam pragnie uleczyć się z nierozsądnej namiętności, a mniemając, że oddalenie korzystny wywrzeć może skutek, namówił mnie, żebym prosił księcia o pozwolenie, abyśmy pod pozorem kupienia koni, które w moich rodzinnych stronach były najlepsze, udali się obydwaj do domu moich rodziców. Chęć zobaczenia Luscindy sprawiła, że przystałem z radością na jego zamiar i nawet nagliłem o śpieszne wykonanie. Don Fernand, jak się o tym później dowiedziałem, zaślubił już potajemnie ową wieśniaczkę, lecz nie śmiał odkryć się w niepewności, jak książę przyjmie jego małżeństwo. U wielu wszelako ludzi miłość jest tylko żądzą nasycenia zmysłów. Don Fernand, odebrawszy już wszystkie dowody czułości od swojej kochanki, stygł sercem coraz bardziej dla niej i jak pierwej przez podstęp, tak teraz rzeczywiście pragnąc oddalić się z domu, uzyskał pozwolenie księcia i wkrótce wyjechaliśmy obydwaj do majątku mego ojca. Rodzice moi przyjęli Don Fernanda z uszanowaniem, należnym człowiekowi wysokiego urodzenia, a Luscinda, ucieszona z mego przybycia, okazywała mi dowody najczulszej miłości. Po upływie dni kilku, nie chcąc mieć tajemnicy dla Don Fernanda, na moje nieszczęście uwiadomiłem go o miłości swojej. Skreśliłem mu z zapałem piękność Luscindy i tym sposobem rozniecił em w nim chęć poznania osoby tak doskonałej, a chcąc przekonać go o prawdziwości słów moich, ułatwiłem mu sposobność zobaczenia jej, gdy pewnego dnia siedzieliśmy oboje na balkonie. Luscinda wtedy ustrojona była z wielką wytwornością i Don Fernand przyznał, że nic piękniejszego w życiu nie widział. Od tej chwili zapomniał dawnych uczuć, złamał dane słowo, a zachwycony widokiem Luscindy, rozgorzał ku niej namiętną miłością, której zobaczycie skutki. Jakby dla zapalenia bardziej jego namiętności i rozniecenia zazdrości, wpadł mu w ręce bilet napisany przez

Luscindę do mnie, w którym zażądała, abym przyspieszył nasze małżeństwo, lecz uczyniła to z taką dyskrecją i delikatnością, iż Fernand zachwycony zawołał, że wszystkie piękności umysłu i ciała łączą się w jej osobie. Muszę wyznać, że pochwały Don Fernanda nie były mi bardzo po myśli, zacząłem go podejrzewać i kryć się przed nim; lecz o ile ja unikałem mówić z nim o Luscindzie, o tyle on zwracał ku temu sposobność. Tym sposobem obudziła się we mnie zazdrość nie dlatego, aby Luscinda dawała jakie do tego powody, której wierności zresztą pewny byłem, lecz, że miałem przeczucie złego losu. Don Fernand był niezmiernie ciekawy widzieć wszystkie listy, które odbierałem od Luscindy, jak również moje odpowiedzi, i ażebym mu nie mógł odmówić pokazania, oświadczył mi, że sprawia mu nadzwyczajną rozkosz szlachetny i delikatny sposób naszej korespondencji. Pewnego dnia Luscinda, która bardzo lubiła czytać rycerskie powieści, prosiła mnie o przysłanie historii Amadisa z Galii...

Zaledwie Don Kichot usłyszał tytuł rycerskiej książki, przerwał Kardeniowi i zawołał.

– Gdybyś był mi na początku powiedział, że ta piękna panna lubiła czytać rycerskie powieści, bez dalszego opisu miałbym już najwyższe wyobrażenie o wzniosłości jej umysłu, a ponieważ jest taką, uznaję ją od tej chwili za najpiękniejszą i najrozumniejszą ze wszystkich dziewic świata. Szkoda, panie, że nie posłałeś jej razem z Amadisem z Galii, historii dobrego Don Rogera z Grecji. Panna Luscinda bez wątpienia polubiłaby bardzo Darajda, Garraja i dyskretnego pasterza Darinela, który swoje wiersze pasterskie tak czule wyśpiewywał, ale czasem da się to naprawić, gdyż skoro tylko uczynisz mi pan honor, że odwiedzisz mnie w moim domu, pokażę ci całe 300 tomów, które są rozkoszą i szczęściem życia mego. Chętnie poświęcę je na twoje usługi, chociaż może nie znajdę ani

jednego obecnie wskutek złośliwego czarnoksiężników uroku. Przebacz mi pan, że złamałem obietnicę i przerwałem opowiadanie, lecz skoro usłyszę co o rycerzach błędnych, niepodobna milczeć, mów dalej, jeśli łaska.

Podczas gdy Don Kichot mówił, Kardenio siedział nieruchomy ze spuszczoną na piersi głową, wreszcie podniósł wzrok błędny i rzekł:

– Trzeba być łotrem i zbójcą, żeby ośmielić się zaprzeczyć mi, iż niegodziwy majster Elisabeth sypiał z królową Madasimą.

– Nieprawda – zawołał Don Kichot z gniewem – królowa Madasima była cnotliwą damą i nie ma przykładu, ażeby tak wielka księżniczka bawiła się miłością z wyrwizębem, ktokolwiek to mówi, kłamie bezczelnie i gotów jestem dowodzić tego pieszo lub konno, zbrojnie lub bez broni, dniem lub nocą.

Kardenio spoglądał bacznie na Don Kichota i milczał. Jego obłąkanie powróciło i nie był w stanie kończyć swej historii, jak równie Don Kichot słuchać jej dalej, tak był rozgniewany obrazą, wyrządzoną królowej Madasima, nasz rycerz bowiem, będąc zapalonym czcicielem swoich książek, wierzył we wszystko, co w nich napisano. Kardenio, który, jak powiedziałem, już był w paroksyzmie obłąkania, słysząc groźby Don Kichota, podniósł kamień z ziemi i tak dzielnie uderzył nim w brzuch rycerza, że od razu powalił go na ziemię. Sancho Pansa nie mógł ścierpieć podobnego obejścia się ze swym panem, rzucił się z zaciśniętymi pięściami na Kardenia, lecz ten jednym uderzeniem pięści rzucił go pod nogi i wskoczywszy na brzuch, gniótł nielitościwie. Pasterz, przybywający na pomoc Sanchy, nie lepiej był przyjęty. Kardenio, zbiwszy ich wszystkich, oddalił się spokojnie i ukrył się w lesie. Sancho po chwili podniósł się i wściekły ze złości, zaczął wyrzucać pasterzowi, że nie uprzedził go, iż ten człowiek miewa niekiedy

paroksyzmy szaleństwa, gdyż wiedząc o tym, byłby się strzegł. Pasterz odpowiedział, że ich uprzedził obydwu, a jeżeli nie słyszeli, to nie jego wina. Sancho zaprzeczył, pasterz upierał się i wreszcie z tych wszystkich wymówek i wyrzutów, chwycili się za brody i zaczęli okładać kułakami tak silnie, że gdyby Don Kichot ich nie rozerwał, poszarpaliby się na sztuki. Sancho miał chrapkę do bicia i krzyczał:

– Nie przeszkadzaj mi, wasza wielmożność, Rycerzu Posępnego Oblicza, ten człowiek jest tylko nędznym chłopem, ni mniej, ni więcej, jak ja, nie jest to zbrojny rycerz, mogę więc walczyć z nim ząb za ząb, jak człowiek honoru i pomścić za obrazę mi uczynioną.

– To prawda – rzecze Don Kichot – lecz w tym wszystkim, co nam się przytrafiło, obrazy nie ma.

Mówiąc to, rozdzielił ich i zapytał pasterza, gdzie by mógł znaleźć Kardenia, gdyż umierał z żądzy poznania końca jego historii. Pasterz odpowiedział jak pierwej, że nie zna jego siedziby, lecz że szalony, czy zdrów, wkrótce się znów pokaże.

Rozdział XI

O nadzwyczajnych rzeczach, które się przytrafiły błędnemu rycerzowi z Manchy W Sierra Morena i o pokucie, jaką czynił, naśladując Chmurnego Pięknisia

Don Kichot pożegnał pasterza, a Sancho spojrzał nań spodełba, rycerz wsiadł na konia, a giermek udał się pieszo. Postępowali po najprzykrzejszej drodze. Jakiś czas trwało milczenie, choć Sancho umierał z chęci rezonowania, lecz nie śmiał zacząć, by nie przestąpić rozkazu pana. Widząc wreszcie, że Don Kichot milczy i nie mogąc wytrzymać już dłużej, rzekł:

– Jaśnie wielmożny panie, upraszam waszą dostojność o błogosławieństwo i odprawę, wolę powrócić zaraz do mojej żony i dzieci, z którymi przynajmniej rozmawiać i kłócić się mogę, bo to straszna rzecz, ażebym towarzyszył panu i dniem, i nocą wśród tej pustyni, nie otworzywszy gęby, wolałbym, żeby mnie pogrzebano żywcem. Gdyby Bóg pozwolił zwierzętom mówić, jak to było za czasów Ezopa, rozmawiałbym z Rosynantem o wszystkim, co mi przyjdzie do głowy, i słowa nie gniłyby we mnie. Na moją duszę! to rzecz nieznośna, chodzić ciągle, szukać przygód, a znajdować tylko ludzi, którzy nas podrzucają, biją kułakami, kamieniami i na domiar wszystkiego mieć gębę zamurowaną jak niemowa.

– Rozumiem cię, Sancho – odpowie Don Kichot – nie możesz utrzymać języka za zębami, przywracam ci wolność mówienia pod warunkiem, że trwać będzie tylko dopóty, dopóki w tych górach będziemy, mów więc, co chcesz.

– Niech już będzie jak chce – rzecze Sancho – przynajmniej teraz nagadam się do syta i korzystając z przywileju, powiedz mi, wasza wielmożność z łaski swojej, jaki interes mogłeś mieć tak gorąco bronić królowej Mascapissy, albo jak tam ją zowią, i co wam to szkodziło, czy ów Helabass był jej kochankiem lub nie; gdybyście nie zważali na to, wariat byłby skończył swoją historię, wy nie dostalibyście kamieniem, a ja nie miałbym brzucha odartego ze skóry.

– Przyjacielu Sancho – odrzekł Don Kichot – gdybyś wiedział tyle, co ja o zacności królowej Madasimy, powiedziałbyś niezawodnie, że byłem nadto cierpliwy, bo nie wyrwałem oszczerczego języka, który ośmielił się wyrzec podobne bluźnierstwo; bo czyż to nie szkaradne bluźnierstwo powiedzieć, że królowa sypia z cyrulikiem? Historyczną jest prawdą, że majster Elisabeth był zręcznym człowiekiem i roztropnym w radzie, że był zarazem rządcą

i lekarzem królowej, ale myśleć, że był jej kochankiem, jest potwarzą karygodną, a na koniec widziałeś, że Kardenio nie wiedział, co mówi, gdyż napadł go już wtedy paroksyzm wariacji.

– O panie, a tożem was złapał teraz – zawołał Sancho – jakże mogliście sprzeczać się z wariatem? A gdyby przypadkiem ów kamień trafił was w głowę zamiast w brzuch, ślicznie byśmy wyszli na obronie tej damy, niech ją Pan Bóg sekunduje!

– Sancho – odeprze Don Kichot – tak przeciw szalonym, jak przeciw mędrcom, każdy rycerz błędny powinien bronić honoru dam w ogólności, a cóż dopiero, gdy idzie o królową Madasimę, dla której mam osobliwsze uwielbienie, gdyż nie tylko piękną była, ale nadto pełną mądrości i cierpliwości w nieszczęściach, które ją prześladowały; wtedy to właśnie potrzebowała mądrych rad majstra Elisabeth, który wspierał ją w jej cierpieniach, a złośliwi prostacy sądzili, że oni poufale żyją z sobą, lecz skłamali niegodnie i kłamią teraz ci wszyscy, którym myśl podobna do głowy przychodzi.

– Co do mnie, ani mówię, ani myślę tego – rzecze Sancho – nie mieszam się do spraw cudzych, patrzę się, a jeśli robię głupstwa, to na swój rachunek, ja w swoim młynie mąkę mielę, nie sadzam palca we drzwi, bo wiem, że kto się wścibia, często chybia, a czy oni spali razem, czy nie, to mnie ani parzy, ani ziębi. Często myślimy, że w garnku słonina, a tam tylko szumowina.

– Wielki Boże! – krzyknął Don Kichot – ileż ty głupstw powiedziałeś od razu, jakiż związek mogą mieć te prostackie przysłowia z tym, co ja powiedziałem? Pamiętaj sobie raz na zawsze i wyryj to sobie we łbie, że wszystko co robiłem, robię i robić będę, stosuje się ściśle do praw rycerskich, które znam lepiej, niż którykolwiek z rycerzy mojego stanu.

– Na dobry ład, panie rycerzu – rzecze Sancho – czyż to prawa rycerskie każą nam włóczyć się po górach, jak zbójcom, bez drogi i ścieżki szukając kogoś, który rozbije do reszty panu głowę, a mnie boki?

– Dość już tego powtarzania – rzecze Don Kichot – dowiedz się, że zamiarem moim jest nie tylko znaleźć tego wariata, lecz zarazem dokonać tu czynu, który zjedna mi sławę pomiędzy ludźmi i uwieczni imię moje pomiędzy całym błędnym rycerstwem przeszłych i przyszłych wieków.

– Czy przedsięwzięcie to niebezpieczne? – zapyta Sancho.

– Nie – rzecze Don Kichot – chociaż rzeczy mogą pójść w ten sposób, że spotkają nas smutne wypadki, wreszcie wszystko zależeć będzie od twojej pilności.

– Od mojej pilności, panie?

– Tak jest, mój przyjacielu – rzecze Don Kichot – jeśli bowiem powrócisz szybko z miejsca, do którego wysłać cię zamierzam, moja pokuta skończy się, a rozpocznie sława. Lecz na cóż mam cię trzymać w nieświadomości, dowiedz się zatem, wierny giermku, że sławny Amadis z Galii był najdoskonalszym błędnym rycerzem w świecie i że ani Bellianis, ani żaden inny, nie mogą iść z nim w porównanie; żaden z nich niegodzien był zostać jego giermkiem. Dowiedz się teraz, że malarz, chcąc dość sławy w swej sztuce, stara się naśladować najlepsze oryginały i bierze za wzór dzieła najlepszych mistrzów; to samo powinno być prawidłem dla wszystkich sztuk i umiejętności, tak więc, kto chce naśladować Ulissesa, powinien mieć reputację cierpliwego i rozumnego, jakim go Homer przedstawił. Wirgiliusz w osobie Eneasza daje cudowny przykład pobożności i przywiązania synowskiego, a jednocześnie roztropności dzielnego wodza, bo każdy tworzy swego bohatera nie takim, jakim jest, lecz jakim być powinien; dlatego też Amadis, będąc gwiazdą

i słońcem walecznych i zakochanych rycerzy, powinien być naśladowany przez nas, którzy walczymy pod sztandarami miłości i błędnego rycerstwa. Tak więc rycerz błędny powinien naśladować jak najlepsze jego czyny, a czyż jest czyn większy nad ten, że Amadis, dając dowód mądrości i męstwa, stałości i miłości, oddalił się na ubogą skałę i tam czynił pokutę pod imieniem Chmurnego Pięknisia, a ponieważ nierównie łatwiej mi jest naśladować go w pokucie niż w walce z olbrzymami, w rozcinaniu wężów, zabijaniu gryfów, rozbijaniu armii całych, rozpraszaniu flot i w zwyciężaniu czarnoksiężników, i gdy zresztą to dzikie miejsce dogodnie odpowiada memu zamiarowi, nie chcę tracić tak pięknej sposobności.

– Cóż to więc, panie – rzecze Sancho – zamyślacie czynić na tej pustyni?

– Nie powiedziałżem ci – odpowie Don Kichot – że chcę naśladować Amadisa? Będę tu szalał, rozpaczał, wściekał się, naśladując również walecznego Rolanda, który, dowiedziawszy się, że Angelika została podle wydaną Medorowi, oszalał ze zmartwienia i wyrywał drzewa, mącił wody w źródłach, rozpraszał trzody, mordował pasterzy, palił ich chaty i czynił sto tysięcy innych jeszcze szaleństw, godnych wiekuistej pamięci, a jakkolwiek nie myślę naśladować Rolanda, Orlanda albo Rotolanda (gdyż miał te wszystkie imiona) we wszystkich jego szaleństwach, chcę wybrać przynajmniej najcelniejsze. Być może, że poprzestanę jedynie na naśladowaniu Amadisa, który, nie robiąc szaleństw niszczących i krzyczących, pozyskał nieśmiertelną chwałę.

– Zdaje mi się, panie – rzecze Sancho – że rycerze, czyniący te szaleństwa i pokuty, mieli do tego powody, ale wy z jakiejże przyczyny chcecie zostać wariatem, któraż dama pogardziła wami?

jakiż dowód macie, że pani Dulcynea z Toboso zrobiła jakie głupstwo z Maurem lub chrześcijaninem?

– Właśnie dlatego – zawoła Don Kichot – w tym leży cała subtelność mego pomysłu. Błędny rycerz staje się wariatem bez przyczyny i racji, w tym właśnie węzeł gordyjski, ażeby stracić zmysły bez potrzeby i tym sposobem pokazać mojej damie, do czego jestem zdolny w potrzebie. Zresztą długie oddalenie od nieporównanej Dulcynei nie dajeż mi do tego powodów? Nieobecność rodzi niepokój i obawę; tak więc, przyjacielu Sancho, nie trać czasu, aby odwieść mnie od chwalebnego przedsięwzięcia, jestem i będę wariatem, dopóki nie powrócisz z odpowiedzią na list, który poniesiesz pannie Dulcynei. Jeśli ją znajdę godną mojej wierności, powrócę do zmysłów i zrzeknę się pokuty, lecz jeśli nie będzie łaskawą, pozostanę zupełnym wariatem i w tym stanie nic czuć nie będę. W każdym więc razie wyjdę szczęśliwy; ale, ale, Sancho! czy uratowałeś szyszak Mambryna? Spostrzegłem, że go podniosłeś w chwili, gdy ten łotr niewdzięczny usiłował rozbić go na kawałki. Co się z nim stało?

– Przez Boga żywego! panie Rycerzu Posępnego Oblicza – wykrzyknął Sancho – nie mogę ścierpieć mowy takiej, bo wnoszę z niej, że wszystko, co mi bajecie o rycerskości, o zdobyciu królestw i cesarstw, o darze wysp i innych nagród, wedle zwyczaju błędnych rycerzy, że to wszystko jest zupełnym kłamstwem, bo jakżeż u diabła! (Boże, przebacz!) można słuchać mówiącego, że miednica golibrody jest szyszakiem Mambryna i widzieć, że ktoś nie wychodzi z błędu przez cztery lub pięć dni, trzebaż go już mieć za wariata koniecznie! Mam ci ja miednicę w swoim tłumoku, cała pogięta, pokrzywiona, każę ją naprawić, aby służyła do golenia brody, jeżeli Bóg pozwoli mi kiedykolwiek powrócić do żony i dzieci.

– Na imię nieba, Sancho – rzecze Don Kichot – jesteś najgłupszy z giermków, jacy kiedykolwiek żyli na świecie. Czy podobna, ażeby tak długo będąc już ze mną, nie widzieć, że wszystkie sprawy błędnego rycerstwa, wyglądają jak chimery, jak szaleństwa, że wszystko wydaje się pierwotne, nie żeby tak było w istocie, lecz że między nami krąży ciągle gromada czarnoksiężników, którzy czarują wszystko wedle upodobania. Dlatego to, co ja biorę za szyszak Mambryna, tobie zdaje się być miednicą golibrody, a komu innemu czym innym wydać się może jeszcze. Jest to łaska Opatrzności dla mnie, że szyszak ten jak miednica wygląda, gdyż posiadając w naturalnym kształcie rzecz tak kosztowną, musiałbym o nią ciągłe staczać walki. Schowaj go, drogi przyjacielu, Sancho, na teraz nie potrzebuję szyszaka, muszę rozbroić się zupełnie i będę chodził nago, jak gdybym dopiero z łona matki wyszedł, chyba, że zamiast Amadisowej, naśladować będę Rolanda pokutę.

Kończąc tę rozmowę, znaleźli się u stóp wysokiej skały i jakby umyślnie od innych odosobnionej; strumyk, biegnąc powoli po wzgórzu i wijąc się, skrapiał łąkę otoczoną skałami. Świeża zieloność ziół, ilość drzew dzikich, rośliny i kwiaty, którymi skała była okryta, czyniły to miejsce najprzyjemniejszym w świecie. Ustroń ta podobała się nadzwyczajnie Rycerzowi Posępnego Oblicza, wybrał więc ją do pokutowania i objął w posiadanie tymi słowy:

– O nieba! – wołał – otóż jest miejsce, które wybieram, aby opłakiwać smutny stan, do którego mnie przywiedziono. Chcę, aby łzami mymi wezbrały wody tego strumienia, aby moje nieustanne westchnienia wiecznie poruszały liśćmi i gałęziami tych drzew, na okazanie całemu światu strasznej zgryzoty i zadziwiającej troski, którymi napełnione jest serce moje. O wy, ktokolwiek jesteście, burzliwi bogowie, mieszkańcy tej pustyni! słuchajcie skarg

nieszczęśliwego kochanka, którego długa nieobecność i zazdrość wymarzona przywiodły w te smutne miejsca, aby opłakiwać los okrutny i swobodnie skarżyć się na zatwardziałość ślicznej niewdzięcznicy, w której niebo zgromadziło wszystkie piękności ludzkiej powaby. O wy! nimfy gór i wy driady, co rade zamieszkujecie dzikich gór ustronia (bądźcie zabezpieczone od Satyrów, którzy mieszają wasz spoczynek), wspierajcie mnie w lamentach moich lub przynajmniej nie dajcie mnie samemu ich słyszeć. O Dulcyneo z Toboso, ty słońce dni moich i księżycu mych nocy, chwało moich cierpień, stello moich podróży, gwiazdo moich przygód. Oby niebo dawało ci zawsze nieprzebrane szczęścia zdroje. Zaklinam cię, miej litość nad smutnym stanem, w jaki mnie wtrąciła okrutna nieobecność twoja, i niech twe serce uczuje litość dla stałej czci mojej. O wy, posępne i samotne drzewa, co towarzyszyć mi będziecie w opuszczeniu moim, upewnijcie mnie słodkim szmerem waszych liści i lekkim drganiem waszych gałęzi, że obecność moja jest wam przyjemną, i ty, mój drogi giermku, kochany i przyjemny towarzyszu przygód moich, uważaj pilnie na wszystko, co czynić będę, nie zapominając najmniejszej rzeczy, abyś mógł to opowiedzieć tej, dla której to czynię. O ty, Rosynancie! który nierozłącznie towarzyszyłeś mi wszędzie, służąc mi wiernie nie tylko w pomyślności, lecz i w niefortunnych dniach moich, ty, co podzielałeś zawsze szczęście i niedolę moją, przebacz mi, że obecnie na samotność skazuję się i wierz mi, że z boleścią cię opuszczam!

To powiedziawszy, zsiadł na ziemię, zdjął szybko siodło i uzdeczkę z konia i klepiąc go po grzbiecie, rzekł doń, wzdychając:

– Ten, który stracił wolność, tobie ją powraca. O koniu! równie znamienity wielkimi czynami swymi, jak nieszczęśliwy w posępnym losie, idź, gdzie cię nogi poniosą. Poznają cię wszędzie,

bo nosisz napisane na wzniosłym czole swoim, że nawet hipogryf Astolfa, ni sławny Frontin, tak drogo zapłacony przez Bragamanta, nie dorównałyby nigdy twojej lekkości i sile.

– Przeklęty bądź stokroć – w tym miejscu przerwał Sancho – ty, co pozbawiłeś mnie rozkoszy rozkulbaczenia mego osła i mnie by nie zabrakło przekleństw dla niego, ni słów pięknych na jego chwałę. Lecz z tym wszystkim, chociażby i był tu biedny osiołek, po cóż miałbym mu zdejmować siodełko, cóż on ma mieć wspólnego z wariacją zakochanych i desperatów, kiedy ja, pan jego, nie byłem ani jednym, ani drugim? Lecz powiedzcie mi, panie, czy moja podróż i wasze obłąkanie są już prawdziwe, a jeśli tak, to by było nieźle osiodłać tego Rosynanta znów, ażeby zastąpiwszy osła, ułatwił mi podróż i przyśpieszył powrót w tę stronę, gdyż jeśli przyjdzie mi iść piechotą, nie wiem, kiedy przybędę i kiedy powrócę, bo po prawdzie lichy ze mnie piechur.

– Rób jak chcesz, Sancho – odpowiedział Don Kichot – zdaje mi się, że masz słuszność, wreszcie dopiero za trzy dni pojedziesz. Zatrzymuję cię przez ten czas jeszcze, ażebyś widział, co czynię dla mojej damy i wiernie jej o tym doniósł.

– A cóż ja mogę więcej zobaczyć nad to, co już widziałem? – rzecze Sancho.

– Daleki jesteś od prawdy – odrzekł Don Kichot – potrzeba, ażebym rozdarł szaty, rzucił zbroję, ażebym zeskoczył ze skały na głowę i tysiąc podobnych a zadziwiających czynił rzeczy.

– Na miłość Boską, panie – rzecze Sancho – strzeż się pan skakać z wysoka, możesz uderzyć głową w takie miejsce, że od pierwszego razu skończysz pokutę, a według mego zdania, jeżeli te podskoki są konieczne, wypadałoby przestać (ponieważ tylko naśladujecie pokutę) na naśladowaniu i skakać w wodę lub na materace, a ja

mimo to powiem pani Dulcynei, że się wasza wielmożność rzuciłeś głową na skałę ostrą i twardą jak żelazo.

– Przyjacielu, Sancho, dziękuję ci za twoje dobre chęci – odpowie Don Kichot – ale wiedz, że to nie jest udanie, lecz rzecz jak najbardziej serio. W przeciwnym razie byłoby to postępować przeciw prawom rycerskim, które zabraniają nam kłamać pod karą uznania niegodnym zakonu, a czynić rzecz jedną zamiast drugiej jest to kłamać. Dlatego moje skoki muszą być prawdziwe, rzeczywiste, niezaprzeczone; jednakże byłoby dobrze, ażebyś mi zostawił szarpi na rany moje, ponieważ zgubiliśmy balsam.

– To gorzej, że straciliśmy osła – rzecze Sancho – bo on nosił i balsam i szarpie; lecz proszę waszej dostojności nie mówić mi nigdy o tym szkaradnym napoju, na wspomnienie którego wnętrzności mnie bolą. Proszę pana również pamiętać, że trzy dni, w ciągu których miałem patrzeć się na pańskie szaleństwo, już upłynęły; mnie się zdaje, żem już wszystko widział i cuda opowiem przed panią Dulcyneą, zostawcie mi to, panie, piszcie tylko i wyprawcie mnie, bo drżę z niecierpliwości, ażeby znów powrócić i wybawić pana z tego czyśćca, w którym was zostawiam.

– I ty nazywasz to czyśćcem Sancho! – rzecze Don Kichot – nazwij to raczej piekłem lub czymś gorszym jeszcze.

– Lecz kto jest w piekle, nie może być zbawionym, o ile słyszałem – rzecze Sancho.

– Cóż rozumiesz przez zbawienie? – spyta Don Kichot.

– Ja chcę powiedzieć, że kto się dostał do piekła, nie może już wyjść stamtąd – odpowie Sancho – co nie przytrafi się panu, gdyż ja będę machał piętami, poganiając Rosynanta, który dowiezie mnie do Dylcynei z Toboso, a opowiem tam tak dziwne rzeczy o waszym szaleństwie i o waszych impertynencjach (ponieważ myślę, że to na jedno wyniesie), że choćby była twardszą od łańcucha, zmiękczę

ją tak, że można by rękawiczkę z niej zrobić, i wziąwszy odpowiedź słodką jak miód, powrócę piorunem jak czarownik i wybawię was z tego czyśćca, który wygląda jak piekło, choć nim nie jest.

– Lecz jak zrobimy z napisaniem listu? – spyta Don Kichot.

– I z upoważnieniem do zabrania osiołków? – dodał Sancho.

– Nie zapomnę o tym – odrzekł Kichot – a że nie mam papieru, muszę pisać na liście. Zapomniałem, że mam kartki Kardenia, które bardzo przydadzą się do tego, tym bardziej, że w pierwszym lepszym mieście każesz przepisać mój list pięknym charakterem jakiemu bakałarzowi, jeżeliby go zaś nie było, to zakrystian parafialny w tym go wyręczy. Tylko strzeż się dać do przepisania prawnikowi, bo by go i sam diabeł nie przeczytał.

– Dobrze, ale jakże będzie z podpisem? – zapytywał Sancho.

– Amadis nigdy nie podpisywał swoich listów – rzekł Don Kichot.

– To bardzo pięknie – rzecze Sancho – ale rozkaz wydania osiołków nie może być bez podpisu.

– Rozkaz napiszę na tabliczce i podpiszę go, moja siostrzenica zobaczywszy to, nie będzie robiła żadnych trudności, w liście miłosnym trzeba na końcu umieścić: Twój do śmierci Rycerz Posępnego Oblicza. Nie trzeba się kłopotać, że list będzie nie moją pisany ręką, gdyż, o ile pomnę, Dulcynea ani czytać, ani pisać nie umie i w życiu nie widziała mojego pisma. Miłość nasza była tylko w idei naszej i nigdy nie przeszła jej granic; mogę przysiąc, iż w ciągu lat dwunastu kochając ją nad życie, cztery razy ją tylko widziałem, a ona, trzymana ściśle przez Lorenca Korchnelo, swego ojca, i Aldonzę Nogalez, starą krewną, być może nie zauważyła mnie wcale.

– Jakże to? – krzyknął Sancho – więc to córka Lorenca Korchnela jest panią Dulcyneą z Toboso?

– Tak, to ona – odpowie Don Kichot. – Ona, co warta, by ją cały świat ubóstwiał.

– To ja ją znam – odpowie Sancho. – Cepami robi jak najpotężniejszy chłop z naszej wioski, do kata! to mi to dziewka! prosta, grubopłaska i tęgo zbudowana! i na moją duszę! mogłaby zmierzyć się z każdym błędnym rycerzem, który by ją wziął za kochankę, pfu! a jaka mocna, jakiej kompleksji i jaki ma głos! Pewnego dnia, będąc na wierzchu dzwonnicy w naszej wiosce, wołała na sługi swojego ojca, które o pół mili znajdowały się, i patrzcie, usłyszały, jak gdyby pod dzwonnicą stały! A co najlepsze, że wcale nie wybredna, igra ze wszystkimi i żartuje ze wszystkich. Oho! prawdziwie teraz, panie Rycerzu Posępnego Oblicza, możecie bezpiecznie robić dla niej wszystkie szaleństwa. Wolno wam desperować i powiesić się nawet, nikt nie powie, żeście źle uczynili, choćby was wszyscy diabli porwali. Aldonza Lorenco, dobry Boże! drżę na myśl spotkania się z nią, bo od dawna już jej nie widziałem, musiała bardzo zmienić się w tym czasie; słońce, powietrze i praca co dzień w polu bardzo psują twarze kobietom. Muszę wam wyznać jedną rzecz, panie Don Kichot, że dotąd żyłem w wielkiej niewiadomości; byłbym przysiągł, że pani Dulcynea jest jaką wielką księżniczką, w której zakochani jesteście, albo jakąś znaczną damą, godną bogatych prezentów, które jej posyłałeś, jak np. Biskajczyka, galernika i tylu innych, stosownie do rozmaitych zwycięstw, które odnieśliście w czasie, kiedy nie miałem honoru być waszym giermkiem jeszcze, lecz poznawszy, że tą damą jest Aldonza Lorenco, czyli dama Dulcynea z Tobosy, przed którą ci, których zwyciężyliście, musieli zginać kolana, a myślę właśnie, że to przypaść mogło w czasie, gdy czesała konopie, albo gdy młóciła zboże na klepisku, to ci ludziska musieli czuć wielki wstyd, klękając

przed istotą tak nieochędożną; myślę nawet, że ona sama żartować musiała z waszych prezentów.

– Mówiłem ci już wielokrotnie, Sancho – rzecze Don Kichot – że jesteś wielki papla i jakkolwiek gbur i głupiec, mieszasz się do rzeczy subtelnych, wcale nie na twój rozum, lecz mój drogi przyjacielu, cieszę się, mogąc przekonać cię, że mam tyle rozumu, ile ty głupoty w sobie, i zamiast gniewać się na ciebie, objawić wolę, że Dulcynea z Toboso jest równie dobrą i lepszą nawet od najpotężniejszej księżniczki. Wszyscy poeci, którzy opiewali pochwały dam, zmyślone nadawali im imiona, sądzisz więc, że Filis Sylvia, Diana Amaranta, które w książkach i na teatrze widzisz, były istotami z ciała i kości, kochankami tych, którzy je chwalili? Wcale nie, są to tylko utwory wyobraźni poetów, którzy, chcąc wykształcić dowcip i dać ciało swoim natchnieniom, pragnęli, aby świat, widząc ich zakochanymi, wziął ich za ludzi zasłużonych i znaczących, dla mnie dosyć, że Aldonza Lorenco jest piękną i uczciwą, urodzenie jej wcale mnie nie obchodzi i nie pytając o nie, jestem równie szczęśliwy, jak gdyby była wielką księżniczką.

Dowiedzże się, Sancho, jeśli dotąd o tym nie wiedziałeś, że najbardziej zniewalające nas do miłości przymioty są piękność i skromność, a te obydwa w takim stopniu posiada Dulcynea, że jest bez zaprzeczenia najpiękniejszą w świecie. Ja utworzyłem sobie ideę podług swoich życzeń i przedstawiam ją sobie taką, że ani Helena, ani Lukrecja, ani żadna z heroin wieków przeszłych, greckich, łacińskich i barbarzyńskich, wznieść się aż do niej nie zdoła. Niech mówią, co chcą, idioci nie zgodzą się na to, ale uczciwi ludzie zrozumieją moje uczucia.

– Panie – rzecze Sancho – macie rację zawsze i we wszystkim, przyznaję, że jestem osioł, bo po cóż u diabła to imię wlazło mi

w gębę, wiadomo przecie, że uderzyć w stół, a nożyce się odezwą. Z tym wszystkim, panie, piszcie listy i niech już raz wyjadę wreszcie.

Don Kichot dobył kartki i oddaliwszy się cokolwiek dla napisania, przywołał Sancha po chwili i rzekł mu, że chce przeczytać mu list, ażeby go nauczył się na pamięć, z obawy, aby go nie zgubił w drodze.

– Napiszcie go lepiej trzy razy w tabliczkach – odpowie Sancho – bo ja tam go nie spamiętam, choćby mnie zabił, taką tępą mam głowę, że często zapominam własnego imienia. Z tym wszystkim, proszę was, odczytajcie, wyobrażam sobie, że musi być napisany pięknie, posłucham go z ukontentowaniem.

– Słuchaj więc – rzecze Don Kichot:

„Ten, który jest przebity do żywego ostrym końcem nieobecności twojej i którego miłość zraniła w najczulszą serca cząsteczkę, życzy ci zdrowia, którego sam nie ma, najprzyjemniejsza Dulcyneo z Toboso! Jeżeli twoja piękność mną gardzi, twoja cnota nic nie mówi na moją korzyść i jeżeli twój wstręt trwa ciągle, niepodobna, abym zniósł tyle boleści i choć jestem przyzwyczajony do cierpień, to przecież siła bólu mocniejsza od mojej siły. Mój wierny giermek, Sancho, opowie ci dokładnie, piękna niewdzięcznico i zbyt miła nieprzyjaciółko, stan, w jakim jestem, i troski, jakie znoszę z Twojej przyczyny; jeżeli masz dosyć współczucia dla mnie i siebie, to mnie zachowując, zachowasz swoje własne dobro od zguby. Jeżeli nie, rób co ci się podoba, kończąc życie, zadowolnię i Twoje okrucieństwo, i moje pragnienia.

Twój aż do grobowej deski Rycerz Posępnego Oblicza".

– Na moją brodę! – krzyknął Sancho – w życiu moim takiego listu nie czytałem. Czy diabli! Jak to pan wszystko pięknie umie powiedzieć, jak tęgo namachany pod spodem: Rycerz Posępnego

Oblicza. Niech zginę! jesteście, panie, jak diabeł, wszystko umiecie zrobić!

– W moim stanie trzeba wszystko umieć – rzecze Don Kichot.

– Otóż więc – ciągnął dalej Sancho – napiszcie teraz z drugiej strony rozkaz wydania mi oślątek i podpiszcie go pięknie, ażeby poznano waszą rękę.

– Chętnie – odpowie Don Kichot i napisawszy, przeczytał:

„Moja siostrzenico! Oddasz za tym kwitem trzy oślątka z pięciu, które w domu zostały, memu giermkowi, Sanchy, od którego należytość za nie odebrałem. Dan w głębi Sierra Morena, 26 sierpnia r.b."

– Doskonale napisany – rzecze Sancho – brakuje tylko podpisu.

– Nie trzeba go podpisywać – odpowie Don Kichot – tylko go podcyfruję, a to wystarczy nawet na 300 osłów.

– Ufam panu zupełnie – rzekł Sancho – i idę osiodłać Rosynanta; przygotujcież się więc dać mi błogosławieństwo, gdyż chcę wyjechać natychmiast, i nie bawiąc się przypatrywaniem szaleństwom, jakie czynić będziecie, powiem, że je widziałem wszystkie.

– Chciałbym przynajmniej, Sancho, ażebyś mnie zobaczył nagim – rzecze Don Kichot – potrzeba nawet, ażebym pokazał ci jedno z dwóch tuzinów szaleństw, które wykonam wkrótce, abyś, widząc je, mógł przysiąc sumiennie i za te, których nie widziałeś, a zapewniam cię, że nie wymienisz i połowy z tych, jakie zrobić zamierzam.

– Oho! co temu, to bardzo wierzę – rzecze Sancho – lecz panie, na miłość Boską, nie chcę cię widzieć gołego, wzbudzisz we mnie litość i nie będę mógł od łez się wstrzymać, a tak bardzo już opłakiwałem tej nocy osła, którego również jak was kochałem, że nie chcę rozpoczynać na nowo; lecz jeśli potrzeba koniecznie,

abyś uczynił jakie szaleństwo, uczyń je szybko i nie namyślając się, jakkolwiek nie widzę tego potrzeby, bo i tak powrócę prędko z podróży i przyniosę wam odpowiedź, której żądacie od damy waszej. Do licha, pani Dulcynea powinna się przygotować dać mi pomyślną rezolucję, bo przysięgam Bogu, jeśli tego nie uczyni, z gardła wyciągnę jej odpowiedź i w gębę zamaluję i porządnie nogą niżej pleców kopnę. Jak to! tak sławny błędny rycerz, jak pan, miałby szaleć bez powodu dla jakiejś tam... Niech kochana dama nie robi ceregieli, bo jakem poczciw, gdy się rozjuszę, to się będzie miała z pyszna, nie taki ja, jak się zdaje, nie zje mnie w kaszy.

– Na dobrą sprawę, Sancho – rzecze Don Kichot – zdaje mi się, że ty nie jesteś rozsądniejszy ode mnie.

– Nie jestem tak szalony jak wy, ale za to więcej rozgniewany, lecz dajmy temu pokój, powiedzcie raczej, panie, co jeść będziecie dopóki nie wrócę? udacież się na drogę, jak Kardenio, wydzierać chleb biednym pasterzom?

– Niech cię to nie martwi – odpowie Don Kichot – choćbym miał co najlepszego, nie jadłbym prócz trawy z tej łąki i owoców z tych drzew; bo właśnie właściwość mojej pokuty zależy na tym, ażeby umierać z głodu i innych podobnych umartwień.

– Ale, ale panie – rzecze Sancho – czy wiecie, że wątpię, azali trafię w to miejsce za powrotem.

– Rozpatrz się dobrze – odpowie Don Kichot – nie oddalę się stąd nigdzie, i kiedy niekiedy wchodzić będę na najwyższą skałę, ażebyś, widząc mnie, łatwiej się kierował; lecz dla większej pewności możesz, uciąwszy kilka gałęzi, porzucać je za sobą co parę kroków, dopóki nie wyjdziesz na płaszczyznę, to ci służyć będzie za przewodnika, na podobieństwo nici Tezeusza, do wyjścia z labiryntu Krety.

– Uczynię to natychmiast – rzecze Sancho – i uciąwszy potrzebną ilość gałęzi, odebrał błogosławieństwo swego pana, obydwaj rozpłakali się i giermek wsiadł na Rosynanta.

– Przyjacielu Sancho – rzecze Don Kichot – polecam ci mego dobrego konia, miej o nim takie jak o mnie samym staranie.

Sancho pożegnał raz jeszcze swego pana i puścił się w drogę, rzucając za sobą gałęzie; ujechawszy cokolwiek, wrócił się znów i na zapytanie, czego by żądał, rzecze:

– Zdaje mi się, panie, że niekiedy macie rozsądek i bardzo dobrze mówiliście, że potrzebuję być świadkiem i pomocnikiem którego z szaleństw waszych, abym mógł przysiąc sumiennie, że widziałem jeden z największych dowodów waszej niesłychanej pokuty.

– Nie mówiłem ci tego zaraz? – rzecze Don Kichot. – Ale poczekaj trochę przez jedno *Zdrowaś Maria*. Obaczysz, co zrobię.

I zrzucając w tej chwili z siebie spodnie, nagi od pasa do pięt, zrobił dwa skoki ogromne w powietrzu, bijąc się w tył piętami, potem dwa skoki głową na dół, a nogami do góry, ukazując tym sposobem tak przyjemne rzeczy, że Sancho zwrócił szybko konia, by nie widzieć więcej, i odjechał zadowolony, mogąc bez skrupułu przysięgać, że pan jego istotnie jest wariatem.

Zostawmy go w tej podróży aż do powrotu, który wkrótce nastąpi.

Rozdział XII

W którym dalszy ciąg subtelności miłosnych przez zalotnego rycerza z Manchy w Sierra Morena wykonanych

Don Kichot, nagi od stóp do pasa, uczyniwszy mnóstwo skoków i widząc, że Sancho pojechał, wstąpił na wierzchołek skały i zaczął namyślać się głęboko, co ma robić: czy naśladować Rolanda

we wściekłości, czy Amadisa w melancholijnych dziwactwach, i rozumując, mówił sam do siebie:

– Jeżeli Roland był rycerzem tak wielkim i dzielnym, jak o nim powiadają, nie zrobił nic cudownego, gdyż czary zasłaniały go od rany na całym ciele, prócz jednej pięty, na której nosił zwykle trzewiki o sześciu żelaznych podeszwach, a mimo to jednak ostrożność owa na nic mu się nie przydała. Bernard de Carpio bowiem udusił go w ramionach na dolinie Roncevaux. Lecz nie tykając jego waleczności, rozpatrzmy dobrze jego szaleństwa. Niezaprzeczenie stracił on rozsądek po dowodach, jakie znalazł i wiadomościach, jakich udzielił mu pasterz o rozpustnych związkach Angeliki z Medorem, młodej Maurytanki o pięknych włosach z paziem Agramanta. Jeżeli Roland nie wątpił o wiarołomstwie swej damy, to nie zrobił nic wielkiego zwariowawszy, i to nie zdaje mi się trudne do naśladowania. Mogęż więc naśladować jego szaleństwa, nie mając do nich równego powodu? bo przysiągłbym sto razy, że pani Dulcynea z Toboso w życiu swoim żadnego Maura nie widziała i że dziś jeszcze jest tak czysta, jak ją matka na świat wydała. Znieważyłbym ją, naśladując szaleństwa Rolanda. Z drugiej strony znów widzę, że Amadis z Galii, nie tracąc zmysłów i nie robiąc głośnych szaleństw, również się wsławił w miłości; wedle tego co o nim piszą, odprawiał pokutę jedynie z powodu pogardy Oriany, która zabroniła mu pokazywać się jej na oczy, dopóki nie będzie przywołany. To było jedynym powodem, że oddalił się na Ubogą Skałę z pustelnikiem i tam wylewał łzy tak obfite, że aż niebo, litując się nad nim, zesłało mu pociechę w tej ciężkiej pokucie. Po cóż więc ja bym miał chodzić goły, wyrywać drzewa, które mi nie zrobiły nic złego, i mącić wodę w strumieniu, która mi potrzebna będzie. Niech żyje pamięć Amadisa! Don Kichot naśladować go będzie i o nim, jak o tamtym,

świat powie, że jeżeli nie dokonał wielkich rzeczy, to przynajmniej umarł z chęci dokonania ich, a chociaż Dulcynea mną nie gardzi, ani mnie odpycha, zawsze jednak cierpię jako oddalony. Odważnie więc! rozpocznijmy dzieło! O! powróćcie do pamięci mojej dziwne Amadisa czyny! i natchnijcie mnie, jak mam zacząć swoją pokutę! Ale przypominam sobie, że modlitwa zajmowała go najwięcej, trzeba przeto uczynić toż samo i naśladować go pilnie i we wszystkim; bo ja jestem Amadisem mojego, jak on był swojego wieku.

Najbardziej martwiło naszego pokutnika, że nie miał pustelnika, który by go pocieszał; mimo to pogrążał się w głębokie zadumy, przechadzał się smutnie po łące, pisał po piasku i po korze drzew historię swego życia i pochwały Dulcynei; nieszczęściem, nie wszystkie pozostały i te tylko przeczytać było można:

Drzewa, rośliny i kwiaty,
Co tak wysoko wznosicie
Liść wasz i kolor bogaty,
Jeśli me skargi słyszycie,
Opowiem wam moje straty.

Niech boleść, która mną miota,
Śród strasznej cierpień kolei,
Da wam dar droższy od złota,
Niech da wam łzy Don Kichota
Płynące po Dulcynei
Z Toboso.

Tu, w tej samotnej ustroni,
Wierny kochanek się kryje,
Przed swoją damą się chroni

I łzy tęsknoty tu pije.

Serce jego, jak sierota,
Żyje bez pociech nadziei,
Toteż beczkę łez tęsknota
Zbierze z oczu Don Kichota,
Płynących po Dulcynei
Z Toboso.

Śród gór szuka awantury,
Klnąc swoje losy okrutne,
Mężny kochanek ponury,
A na serce jego smutne
Spadają złowrogie chmury.

Miłości bożek – niecnota!
Kawałkiem rzemiennej szlei
Na kark jego ciosy miota!
Więc ciekną łzy Don Kichota,
Płynące po Dulcynei
Z Toboso.

Te wiersze rozśmieszyły wielu, którzy je później czytali, a nade wszystko przydomek z Toboso zdawał się im bardzo zabawny, gdyż sądzili, że Don Kichot, pisząc je, wyobrażał sobie, że nikt ich nie zrozumie, gdy nie doda „z Toboso" do imienia Dulcynei. Napisał jeszcze wiele innych wierszy, lecz nie można było wyczytać więcej. Było to jedynym zatrudnieniem zakochanego rycerza w jego samotności; prócz tego wzdychał, przyzywał faunów i sylwanów leśnych, nimf źródeł i strumieni, i żałosne echo, zaklinając je, aby słuchały, odpowiadały mu i pociechy udzielały. Gdy jeść mu się

zachciało, szedł na trawę, oczekując z niecierpliwością swojego giermka, który w końcu trzeciego dnia przybył i znalazł Rycerza Posępnego Oblicza zmienionego tak okropnie, że przypatrywał mu się ze trzy razy, nim go poznał.

Zostawmy naszego bohatera, wzdychającego i piszącego wiersze, a zobaczmy, jak się udało poselstwo Sanchy. Wyjechawszy z gór, zwrócił się drogą ku Toboso. Nazajutrz po południu znalazł się przed oberżą, gdzie go spotkał przypadek owego podrzucania. Skóra zadrżała na nim na jej widok i już chciał w bok czmychać, mimo że obiadowa godzina dawno już przeszła, a biedaczek nic nie jadł od rana, ale potrzeba zwyciężyła bojaźń, podjechał do oberży i kiedy namyśla się jeszcze, czy ma wejść, czy nie, jacyś dwaj ludzie wyszli w tej chwili z karczmy i jeden rzekł do drugiego:

– Księże proboszczu! Nie jestże to Sancho Pansa, którego, jak mówiła ochmistrzyni, nasz awanturnik wziął z sobą za giermka?

– A prawda, on sam – odpowie proboszcz – a oto i koń Don Kichota.

Był to istotnie proboszcz i cyrulik z tejże wioski; ci sami, co to na spółkę spalili księgi Don Kichota. Rozpoznawszy dokładnie i konia, i jeźdźca, zbliżyli się, a proboszcz, wołając Sanchę po imieniu, zapytał go, gdzie by Don Kichota zostawił? Sancho poznał ich także, lecz umyślił ukryć miejsce i stan, w jakim pana swego zostawił.

– Panowie – rzecze – mój pan zajęty jest w pewnym miejscu sprawą wielkiej wagi, której wyjawić nie mogę, chociażby mi zginąć przyszło.

– O nie! przyjacielu Sancho Pansa – rzecze cyrulik – nie pozbędziesz się nas tak łatwo i jeżeli nie powiesz nam, gdzie zostawiłeś seniora Don Kichota, posądzimy cię, że zabiłeś go, aby

ukraść mu konia; krótko mówiąc, musisz wyznać, gdzie twój pan, albo gotuj się iść do więzienia.

– Och! panowie – rzecze Sancho – niepotrzebnie mi tak grozicie, nie pokaże się po mnie, ażebym miał być zbójcą albo złodziejem, jestem uczciwy chrześcijanin i na dowód tego powiem wam, że mój pan znajduje się w głębi gór, gdzie odprawia pokutę siarczystą, aż włosy na głowie powstają.

I opowiedział im wszystko: położenie, w jakiem zostawił Don Kichota, przygody, jakie mu przytrafiły się, dodał, że jedzie z listem do pani Dulcynei z Toboso, córki Lorenca Korchnela, w której rycerz straszliwie jest zakochany.

Proboszcz i cyrulik niezmiernie zdziwili się, usłyszawszy rzecz całą, i jakkolwiek znali wiele szaleństw Don Kichota, w głowie im się pomieścić nie mogły te codzienne nowe dziwactwa. Żądali zobaczenia listu, który Don Kichot napisał do Dulcynei, na co Sancho odpowiedział, że list napisany jest na tabliczkach i że ma rozkaz kazać go ładnie przepisać na pięknym papierze; proboszcz obiecał sam się tym zająć, lecz gdy uradowany Sancho wsadził rękę w zanadrze, szukając tabliczek, nie znalazł ich tam wcale, zapomniał bowiem wziąć z sobą, a raczej Don Kichot w roztargnieniu zatrzymał je. Zimny pot wystąpił biednemu posłowi na czoło, szukał jeszcze po dwakroć, przetrząsnął wszystkie suknie i sto razy oglądał się dokoła, widząc wreszcie, że nadzieja stracona, wziął się obiema rękami za brodę i z rozpaczy wyrywać ją zaczął, potem dał sobie w nos pięć lub sześć szczutków, tyleż w zęby i ubroczył się cały we krwi. Proboszcz i cyrulik na próżno go wstrzymywali i łagodzili w tej rozpaczy, a nie mogąc nic wskórać, zapytali, dlaczego tak okrutnie obchodzi się z sobą.

– Dlaczego? – odpowie Sancho – a to dlatego, że przez to straciłem trzy osły, z których najmniejszy wart był chałupy.

– Jak to? – zapyta cyrulik – jakim sposobem?

– A tak – odpowie Sancho – zgubiłem karteczki, na których napisany był list do pani Dulcynei z Toboso i kwit mego pana, za którym siostrzenica jego wydać mi miała trzy osły.

Opowiedział następnie, jak własnego utracił, i zaczął znów mordować się kułakami. Proboszcz pocieszył go, upewniając, że wyrobi mu u siostrzenicy inne upoważnienie i na właściwym papierze, gdyż napisane na karteczce nic nie znaczy; wtedy Sancho pocieszony wyznał, że strata listu do Dulcynei nie obchodzi go tak bardzo, gdyż cały prawie umie na pamięć.

– Opowiedz nam, co w nim jest, a przepiszemy go zaraz.

Sancho zamyślił się trochę, podrapał się w tył głowy, aby przypomnieć sobie wyrażenia listu, przestąpił z nogi na nogę, patrzył czas jakiś w niebo, potem na ziemię, zakrył sobie oczy rękoma i dobrze się namyśliwszy, rzecze:

– Niech pęknę w tej chwili, jeżeli diabeł nie wmieszał się w tę sprawę. Nie mogę sobie przypomnieć z tego psiego listu ani jednego słóweczka, prócz tego, że zaczynał się od: Wysoka i podziemna damo.

– Chyba przyjemna – rzecze cyrulik.

– Tak! tak! masz rację – zawoła Sancho – zdaje mi się, że dalej było tak: Ten, który ma członki obrażone od siły twojej esencji, całuje ręce waszej wielmożności, o niewdzięczna i cudaczna piękności, nie wiem coś on tam dalej pisał o chorobie, o zdrowiu, wiem, że tam coś było jeszcze bardzo pięknego, a wszystko zakończył następnie:

„Twój do grobowej deski. Rycerz Posępnego Oblicza".

Dobra pamięć Sanchy zabawiła bardzo słuchaczów, którzy, wychwalając go, prosili, aby im list cztery razy powtórzył w celu dokładnego nauczenia się i spamiętania go. Sancho za każdym razem inaczej mówił i dodał w końcu wszystko, co wiedział

o swoim panu od czasu, jak razem szukali przygód, lecz zamilczał zupełnie o swoim wypadku w oberży, przydał wreszcie, że w razie pomyślnej odpowiedzi od pani Dulcynei, Don Kichot puści się w podróż, ażeby prędzej zostać cesarzem lub królem w najgorszym razie, że to już ułożyli między sobą, co zresztą było bardzo łatwe do wykonania dla rycerza takiego męstwa i siły, jak Don Kichot. Gdy to się stanie, rycerz ożeni Sanchę z powiernicą cesarzowej, a dziedziczką wielkiego państwa na stałym lądzie, a nie żadnej wyspy, bo tych już nie lubi.

Sancho mówił to wszystko z takim spokojem umysłu, tak zimno i poważnie, obcierając kiedy niekiedy nos i brodę ze krwi, że proboszcz i balwierz zdumieli się nad niebezpiecznym obłąkaniem Don Kichota, które w tak krótkim czasie udzieliło się i giermkowi jego. Nie tracili czasu na próżnych perswazjach, widząc, że nie ma w tym nic przeciwnego sumieniu i że choćby robił najśmieszniejsze rzeczy, nie popełni żadnego występku, a po prostu wystawić się jedynie może na powszechne naigrawanie. Proboszcz przeto rzekł mu, aby się tymczasem modlił za swego pana, że wkrótce zostanie on niezawodnie cesarzem lub najmniej arcybiskupem.

– Księże proboszczu – odpowie Sancho – jeżeliby rzeczy zmieniły się w ten sposób, że mój pan zamiast cesarzem, zostałby arcybiskupem, to raczcie mi objaśnić, co daje błędny arcybiskup swojemu giermkowi?

– Jest w zwyczaju – odpowie proboszcz – nagradzać giermków miejscem zakrystiana, wyznaczyć mu jakie beneficjum, lub wreszcie probostwo nawet, które mu niemało dochodu przynieść może...

– Lecz do tego potrzeba pewno – rzecze Sancho – żeby giermek nie był żonaty i żeby umiał mszę odprawić, a ja, osioł, mam żonę

i nawet abecadła nie umiem. Cóż to będzie ze mną, jeśli memu panu wlezie w głowę arcybiskupem zostać?

– Niech cię to nie trapi, przyjacielu Sancho – rzecze mu balwierz – rozmówimy się z nim o tym i ksiądz proboszcz pod utratą zbawienia rozkaże mu cesarzem, a nie biskupem zostać; raz, że mu to łatwiej przyjdzie, po wtóre, że ma więcej odwagi niż nauki.

– I ja tak myślę – rzecze Sancho – chociaż, prawdę mówiąc, on wszystko umie. Co do mnie jednak, będę się modlił do Boga, ażeby mu przeznaczył to, co właściwsze i z czego lepiej będzie mógł wynagrodzić giermka swojego.

– Mówisz jak człowiek rozumny – rzecze proboszcz – i postąpisz sobie, jak dobry chrześcijanin w tym względzie; obecnie trzeba tylko wydobyć twego pana z tej straszliwej pokuty, która mu nic nie przyniesie w zysku, a ponieważ teraz jest już południe, zastanowimy się nad tym po obiedzie; wejdźmy do oberży.

– Wejdźcie sami, kiedy chcecie, moi panowie – rzecze Sancho – ja tu zaczekać wolę. Wkrótce opowiem wam, dlaczego to czynię, proszę was tylko przyślijcie mi choć trochę gorącej strawy i owsa dla Rosynanta.

Weszli; balwierz wkrótce wyniósł obiad Sanchy i powrócił do proboszcza, który oświadczył, iż obmyślił wreszcie niezawodny sposób wyprowadzenia z obłędu Don Kichota, sposób całkiem zgodny z jego usposobieniem.

– Obmyśliłem – rzecze proboszcz do cyrulika – że trzeba nam się przebrać: mnie za pannę błędną, a tobie za mojego giermka. W tym charakterze przedstawię się Don Kichotowi, udając damę prześladowaną, szukającą pomocy; zażądam od niego usług i poświęcenia, którego, jako błędny rycerz, odmówić mi nie może. Wezwę go, aby udał się ze mną i pomścił krzywdę, wyrządzoną mi przez rycerza niegrzecznego i wiarołomnego, błagając zarazem,

ażeby mi pozwolił nie zdejmować z twarzy zasłony aż do chwili pomszczenia wyrządzonej mi niesprawiedliwości. Don Kichot uczyni wszystko dla takich powodów i tym sposobem wydobędziemy go z miejsca, gdzie jest obecnie, zaprowadzimy do domu i tam spróbujemy uleczyć z obłąkania.

Rozdział XIII

Który opisuje, jakim sposobem proboszcz i cyrulik wykonali plany swoje i wiele innych rzeczy godnych opowiedzenia

Cyrulik znalazł pomysł proboszcza doskonałym, wzięli się więc do wykonania go natychmiast. Pożyczyli od gospodyni kobiecego ubioru, który przywdziawszy, proboszcz dał w zastaw nowiuteńką sutannę, a cyrulik zrobił sobie ogromną brodę z konopi. Gospodyni pytała ich, na co im to wszystko ma służyć? Proboszcz opowiedział jej w kilku słowach obłąkanie Don Kichota, a oboje gospodarstwo, poznawszy z opisu, że to był ich dawny gość z cudownym balsamem, pan podrzucanego giermka, opowiedzieli ze swej strony wszystko, co zaszło w ich domu, nie przepuszczając i tego, co Sancho ukryć usiłował. Wreszcie gospodyni przestroiła proboszcza na pannę tak piękną, jak tylko można było żądać. Włożyła mu spódnicę sukienną, obszytą czarnym aksamitem pięknie wycinanym i kaftanik zielony z kokardami z białego atłasu, a nadto włożyła wiele innych jeszcze modnych drobiazgów w tak doskonałym gatunku, że wyglądały, jak gdyby pochodziły z czasów drugiej królowej Kastylii. Proboszcz, nie chcąc uczesać się po kobiecemu, włożył tylko nocny czepek, opasawszy go czarną jedwabną podwiązką, z drugiego zaś czepka zrobił sobie rodzaj maski, która zakrywała mu twarz i brodę. Na czepek włożył swój kapelusz, tak wielki, że za parasol mógł służyć, i okrywszy się płaszczem, wsiadł

po kobiecemu na muła. Cyrulik wsiadł na swojego, pożegnali się z gospodarstwem i poczciwą Maritorną, która przyrzekła modlić się za szczęśliwe powodzenie tak chrześcijańskiego przedsięwzięcia. Zaledwie oddalili się kilkadziesiąt kroków, zaczęły brać księdza jakieś skrupuły; przyszło mu do głowy, że to rzecz niewłaściwa, aby kapłan przebierał się za kobietę, choćby w najlepszej nawet intencji, rzecze więc do cyrulika:

– Mój bracie, proszę cię, przemieńmy suknie, jakoś lepiej będzie tobie za pannę, a mnie za koniuszego. Tym sposobem mniej sprofanuje się moja godność i mój charakter, którym więcej niż Don Kichotowi winienem względów.

Uparł się przy tym i oświadczył, że postanowił cofnąć się od przedsięwzięcia, jeśli tej zamiany sukien nie uskuteczni; jechał właśnie Sancho i nie mógł wstrzymać się od śmiechu na widok tak przyjemnych masek. Cyrulik zgodził się chętnie na zamianę roli, proboszcz nauczał go, jak ma mówić do naszego rycerza, aby go skłonić do zaprzestania pokuty, żądając od niego pomocy. Balwierz odpowiedział, że łatwo da sobie radę, gdyż w języku błędnego rycerstwa bardzo jest biegły. Nie chciał jednakże przebrać się, aż gdy przybędą na górę. Udali się więc w dalszą drogę za przewodnictwem Sanchy, który opowiadał im zdarzenie, jakie mieli z owym wariatem w górach, nie pisnął jednak ani słówka o pieniądzach i walizie, bo nasz giermek, choć to niby głupia sztuka, doskonale umiał milczeć w potrzebie. Dnia następnego przybyli do miejsca, gdzie Sancho rzucał gałęzie dla oznaczenia drogi. Zobaczywszy to, rzekł im koniuszy, że tędy wejdą i że przebrać się im tu właśnie należy, jeżeli sądzą, że to się przyda na co dla dobra jego pana; wiedział bowiem o ich planie i zaręczał, że będzie udawał przed Don Kichotem, jakoby ich wcale nie znał. Proboszcz przy tym ostrzegł giermka, że gdyby Don Kichot zapytał go, czy list

Dulcynei wręczono, iżby mu odpowiedział, jako Dulcynea pisać nie umiejąc, ustną tylko przesyła mu prośbę, aby dla jej miłości natychmiast przybywał pod karą wiecznej niełaski. Zgodzili się wszyscy, że po takiej odpowiedzi i po tym, co mu ze swej strony przebrani powiedzą, nasz bohater porzuci pokutę i uda się w drogę natychmiast, aby zostać cesarzem, a nie arcybiskupem.

– Dobrze by było, zdaje mi się – dodał Sancho – ażebym ja udał się naprzód do mego pana i zaniósł mu odpowiedź Dulcynei, może to będzie dostateczne do wyprowadzenia go z tej pustyni, a wam oszczędziłoby to niepotrzebnego kłopotu.

Proboszcz i cyrulik obiecali czekać na Sanchę w tym miejscu, a giermek pojechał wąwozem w góry, zostawiając przebranych towarzyszów nad brzegiem strumienia, gdzie kilka drzew i skała dawały cień świeży i przyjemny, który tym większym był dla nich dobrodziejstwem, że upał był nadzwyczajny.

Gdy tak obydwaj siedzieli, rzeźwiąc się po trudach, usłyszeli nagle głos, który, lubo bez towarzystwa żadnego instrumentu, nader piękny im się wydawał; nie pojmowali, jakim wypadkiem ktoś tak dobrze śpiewający mógł się znajdować w tak dzikim miejscu, bo jakkolwiek poeci sielscy tworzą pasterzy z najpiękniejszym w świecie głosem, wiadomo przecież, iż to są tylko fikcje niepodobne do prawdy. Panowie poeci myślą, że zaszkodziliby sobie, równie jak panowie malarze, gdyby nie przesadzali wszystkiego, co tworzą. Proboszcz i cyrulik nie ochłonęli z podziwienia jeszcze, gdy usłyszeli wiersze, które nie miały w sobie nic grubiańską wsi prostotą tchnącego. Wiersze te brzmiały, jak następuje:

Jakiej to dłoni pocisk tak twardy?
– Pogardy.
Czyj płomień wzmaga życia przykrości?

– Zazdrości.
Jakiż niepokój tak sercem miota?
– Tęsknota.

Więc i anioła dłoń złota
Nie wyrwie mnie z tej kolei,
Bo gasi promyk nadziei
Pogarda, Zazdrość, Tęsknota.

Cóż rodzi w sercu zawiłość?
– Miłość.
Kto srogi zadał mi cios?
– Los.
Skąd duszy ratunku trzeba?
– Z Nieba.

Już mi więc umrzeć potrzeba
Śród cierpień srogiej przemocy,
Bo mi nie dają pomocy
Miłość, Los i nawet Nieba.

Któż do szczęśliwych wezwie mnie stron?
– Zgon.
I któż miłosnej uniknie strzały?
– Niestały.
Co jest lekarstwo na jej męczeństwo?
– Szaleństwo.

Więc lepiej rzucić przekleństwo
Niż leczyć takie choroby,
Na które tylko sposoby

Ma Zgon, Niestałość, Szaleństwo!

Piękność miejsca, wierszy i przyjemność głosu, który je śpiewał w tym samotnym ustroniu, zadziwieniem i rozkoszą przejęły naszych słuchaczów, którzy oczekując znów czas jakiś i widząc, że śpiewak zamilkł, chcieli pójść i wyszukawszy go, zapytać, czy by nie potrzebował jakiej pomocy, lecz zaledwie się podnieśli, ten sam głos zaczął śpiewać znów następujące słowa:

Święta przyjaźni! Ty rzuciwszy ziemię,
Na lekkich piórach wzleciałaś do raju
I z szczęśliwego dusz wybranych kraju
Okiem litości poglądasz na ziemię.

Nam tu pozostał – tylko cień twój blady.
A choć niekiedy blask twojego lica
Na drodze życia w niebo nam przyświéca,
To cień twój kryje przed nami twe ślady.

O, znijdź na ziemię i zbaw nas, straszydła,
Które twą postać przybrawszy zuchwale,
Zawodzi serca w twój urok wierzące;

Rozwiń, aniele, swoje białe skrzydła,
Przybądź królować między nami stale
I pociesz dusze za sobą tęskniące.

Sonet ten przerywały łkania i głębokie westchnienia, proboszcz i cyrulik, tknięci współczuciem i ciekawością, postanowili dowiedzieć się, kto to być może tak mocno zmartwiony. Jakoż uszedłszy kawałek, spostrzegli na zakręcie skały człowieka, z opisu Sancho Pansy do Kardenia podobnego. Ten, spostrzegłszy ich,

stanął, spuścił głowę na piersi i stał głęboko zamyślony. Proboszcz, litościwy z natury, upewniwszy się z opisu Sanchy, że to był Kardenio, zbliżył się doń i namawiać go zaczął w słowach czułych i zniewalających, aby opuścił miejsce tak dzikie i nędzne, w którym zbawienie duszy utracić może. Kardenio był w tej chwili przy zdrowych zmysłach, lecz widząc przed sobą ludzi inaczej ubranych, niż ci, których zwykle w górach widywał i którzy doń jak do znajomego przemawiali, zdziwił się mocno i przypatrując im się pilnie, rzekł na koniec:

– Ktokolwiek jesteście, panowie, widzę, że niebo, wzruszone moją niedolą, przysłało was w to miejsce od świata dalekie, by wyzwolić mnie z tej strasznej samotności i skłonić do powrotu pomiędzy ludzi, lecz ja nie ufam losowi. Mniemacie zapewne, że jestem pozbawiony zmysłów i nie zadziwia mnie wcale myśl wasza, sam bowiem widzę, że wspomnienie dawnych nieszczęść miesza mi umysł tak dalece, że tracę rozum i przytomność, a przekonywam się o tym dopiero, gdy opowiadają mi, co czyniłem w czasie napadów obłąkania. Niestety! nie mam nic na uniewinnienie tego szaleństwa, opowiedzieć wam jedynie mogę nieszczęście swoje, skoro mnie słuchać zechcecie, to mi przynosi ulgę, gdyż jestem pewny, że każdy, wysłuchawszy dzieje moje, znajdzie mnie więcej pożałowania godnym, niż występnym. Jeżeli przybywacie tu z tą samą myślą, co inni, proszę was, nie namawiajcie mnie do odmiany życia, a posłuchajcie raczej smutnych dziejów przeszłości mojej, wtedy przekonacie się, że ucierpiawszy tyle i nie mogąc spodziewać się pociechy w przyszłości, słusznie oddaliłem się od ludzi.

Proboszcz i cyrulik, ciekawi usłyszeć historię, której część tylko bezładnie opowiedział im Sancho, oświadczyli gotowość wysłuchania jej do końca, zapewniając, że całym ich życzeniem jest pocieszyć go w utrapieniu.

Smutny rycerz zaczął swoją historię w tych samych wyrazach, jakimi opowiadał Don Kichotowi, z którym pokłócili się z powodu majstra Elisabeth, lecz obecnie Kardenio, będąc przy zdrowych zmysłach, mógł rozpowiadać do końca; jakoż przybywszy do miejsca, kiedy Don Fernand znalazł bilet o Amadisie z Galii, rzekł, że umie go na pamięć i mówił jak następuje:

Lucsinda do Kardenia

„Codziennie odkrywam nowe przyczyny, zniewalające mnie do szacunku dla ciebie, jeżeli sądzisz, że to uczucie przyda ci się na co, korzystaj z niego uczciwie. Ojciec mój zna ciebie i tak mnie kocha, że nie zechce opierać się słusznym życzeniom moim, do ciebie należy przekonać mnie, że masz dla mnie tyle szacunku, ile mnie o tym zapewnić usiłowałeś".

– Ten to bilet spowodował mnie prosić ojca Lucsindy o jej rękę i dał zarazem Don Fernandowi, oceniającemu dowcip i skromność piszącej, pierwszy pomysł zniweczenia moich zamiarów. Wyznałem przed tym niebezpiecznym przyjacielem odpowiedź ojca Lucsindy, który oświadczył, iż chcąc poznać życzenia mojego rodzica, oczekuje aż tenże osobiście powtórzy mą prośbę. Dotąd nie śmiałem nic powiedzieć memu ojcu, nie dlatego, iżbym sądził, że on, znając Lucsindę i jej przymioty, chciałby stawiać przeszkody naszemu połączeniu, lecz że nie życzył sobie, abym ożenił się pierwej, zanim dowie się, co książę ze mną uczynić zamierza. Don Fernand wziął na siebie rozmowę z moim i Lucsiny ojcem. Cóżem ci zawinił, okrutny i niesprawiedliwy przyjacielu? cóż znagliło cię zdradzać ufność mojego serca? Lecz na cóż mi się przydadzą te skargi? gdy niebo chce kogo ukarać, próżny opór jego i cała ostrożność niepożyteczna. Któż by pomyślał, że Don Fernand, któremu urodzenie dawało prawo starania się o najświetniejszą partię

w królestwie, od którego tyle miałem dowodów przyjaźni i któremu tysiące usług świadczyłem, że ten Don Fernand zechce pozbawić mnie jedynego dobra, które szczęście życia mojego stanowić miało?

Don Fernand widząc, że obecność moja będzie mu przeszkodą w zamiarach i chcąc się mnie zręcznie pozbyć, tegoż dnia jeszcze zobowiązał się rozmówić z ojcem moim, kupił umyślnie sześć koni i uprosił mnie, abym pojechał do brata jego po pieniądze. Nie spodziewałem się zdrady, miałem go za honorowego człowieka, bo sam zanadto byłem uczciwy, ażebym mógł posądzać o podstęp tego, którego tak kochałem.

Bez najmniejszej zwłoki podjąłem się polecenia; wieczorem poszedłem się pożegnać z Luscindą i uwiadomiłem ją o obietnicy Don Fernanda. Powiedziała mi, ażebym spiesznie powracał, gdyż skoro tylko ojciec mój poprosi o jej rękę, nie dozna ze strony jej rodziców żadnej przeszkody. Nie wiem, co czuła w tym momencie, lecz widziałem ją zalaną łzami, z sercem tak ściśnionym, że mimo próśb moich, ani słowa więcej do mnie nie przemówiła. Tak wiec noc poprzedzającą mój wyjazd, która miała obojgu nam zgotować tyle radości i szczęścia, Lucsinda przepędziła we łzach i jękach.

Ja nie mogłem wyjść z pomieszania i podziwu, nie umiejąc zbadać przyczyny tej boleści, i kładłem ją po prostu na karb jej czułości dla mnie i przykrości z powodu mego oddalenia.

Wyjechałem nareszcie, głębokim przejęty smutkiem, rozdrażniony przestrachem, z którego sam sobie zdać nie mogłem sprawy. Oddałem list Don Fernanda bratu jego, który przyjął mnie jak najczulej, lecz prosił zarazem, ażebym przed upływem dni ośmiu nie przedstawiał się ich ojcu, gdyż Don Fernand błaga go, ażeby mu bez wiedzy ojca przysłał pieniądze.

Wszystko to było obmyślone podstępnie przez Don Fernanda dla opóźnienia mego powrotu, gdyż brat jego miał pieniądze i mógł mnie wyprawić natychmiast. Już chciałem odjechać, nic nie uczyniwszy, gdyż nie mogłem żyć oddalony od Luscindy, ani myśleć o stanie, w jakim ją zostawiłem, lecz bojaźń rozgniewania mego ojca i brak słusznych do wytłumaczenia się przed Don Fernandem powodów, przezwyciężyły moją niecierpliwość. Pozostałem przeto.

W cztery dni po moim przybyciu jakiś człowiek przyniósł mi list od Luscindy; otworzyłem go ze drżeniem, lecz zanim przeczytałem, spytałem posłańca, kto mu go dał i kiedy wyszedł z domu? Odpowiedział mi, że kiedy przechodził wypadkiem przez ulicę około południa, zawołała go przez okno jakaś pani bardzo piękna i bardzo zapłakana, która rzekła mu z pośpiechem:

– Mój przyjacielu, jeżeli chrześcijaninem jesteś, idź, nie tracąc ni chwili, i zanieś ten list podług adresu, aby ci zaś nie zbrakło na niczym w podróży, przyjmij to ode mnie; w tej chwili – dodał – rzuciła mi chustkę, w której znalazłem 100 realów, pierścień złoty i list. Zapewniłem, że wypełnię rozkaz sumiennie i pani ta zaraz zamknęła okno. Nagrodzony tak hojnie z góry i widząc, że list jest do pana, którego znałem dobrze, Bogu dzięki, a najwięcej wzruszony łzami pięknej damy, w 17 godzin zrobiłem 18 mil i oto jestem.

Kiedy posłaniec rzecz swą rozpowiadał, śmiertelny dreszcz serce mi ścisnął, miałem przeczucie, że dowiem się czegoś strasznego; ze drżeniem na koniec przeczytałem list Luscindy i oto mniej więcej treść jego:

„Don Fernand dotrzymał słowa, które dał tobie, że pomówi z moim ojcem, lecz zrobił dla siebie, co przyrzekł dla ciebie uczynić. On to sam prosi o moją rękę, a ojciec mój, zaślepiony świetnością

takiego związku, zezwala tak chętnie, że w ciągu dwóch dni Don Fernand ma zaślubić mnie bez żadnych świadków, prócz nieba i kilku osób naszego domu. Ze stanu twego własnego serca osądź, w jakim jestem położeniu. Przybywaj jak najprędzej, a przekonasz się wkrótce, jak bardzo kocham cię. Bądź zdrów".

– Zaledwie przeczytałem list – ciągnął dalej Kardenio – już byłem w drodze, wtedy dopiero poznałem jasno zdradę Don Fernanda. Gniew, miłość i niecierpliwość, skrzydeł mi dodały. Przybyłem nazajutrz do miasta bardzo wcześnie i przechodząc wieczorem koło domu Luscindy, szczęściem zastałem ją w oknie. Poznaliśmy się natychmiast; lecz nie była taką, jaką ją widzieć pragnąłem, widziałem jakąś obojętność w jej spojrzeniu. Któż może pochwalić się, że zna dokładnie duszę kobiety, któż zbadał kiedykolwiek tajnię jej serca?

– Kardenio – rzecze do mnie Luscinda – jestem w ślubnym ubraniu i oczekują mnie na sali, aby dopełnić obrzędu; tak jest, ale mój ojciec, zdrajca Don Fernand i wszyscy tam obecni, nie ślubu, lecz śmierci mojej świadkami będą; nie trwóż się, drogi Kardenio, proszę cię, bądź obecnym ceremonii, zapewniam cię, że jeżeli wyrazy moje nie zdołają jej przeszkodzić, ten sztylet przerwie uroczystość i koniec mego życia będzie niezaprzeczonym dowodem uczuć moich i wierności dla ciebie.

– Pani – odpowiedziałem z pośpiechem, nie wiedząc, co mówię – niech twoje czyny usprawiedliwią słowa, wspólnym poświęceniem godnymi siebie się okażmy; uprzedzam cię, że jeżeli tą szpadą ocalić nas oboje nie zdołam, zwrócę ją przeciw sobie, a nie przeżyję tak strasznego ciosu.

Nie wiem, czy Luscinda słyszała mnie, gdyż gwałtem prawie odciągnięto ją zaraz od okna, mówiąc, że wszyscy tylko na nią czekają.

Pogrążony w smutku, którego wyrazić nie zdołam, wyobrażałem sobie, że raz ostatni słońce zachodzi dla mnie, oczy moje i umysł straciły światło od razu; w tym strasznym stanie stałem się na wszystko nieczuły i tylko pamięć bliskiego nieszczęścia wywiodła mnie z osłupienia. Przypomniałem sobie swoją obietnicę i korzystając z nieporządku i tumultu, wszedłem do domu Luscindy niepostrzeżony zupełnie przez nikogo, a schroniwszy się we framudze okna, zasłoniętej firanką, mogłem widzieć wszystko, co się działo w pokoju; nie umiem wypowiedzieć wszystkich myśli, niespokojności, przestrachu, jakie mną owładnęły, bo wszystko to takim nawałem uderzyło na mój umysł, że dziś jeszcze nawet nie jestem w stanie określić tego. Don Fernand wszedł do sali w zwyczajnym ubraniu, towarzyszył mu krewny Luscindy tylko, resztę orszaku składali ludzie zamkowi.

W kilka minut potem Luscinda wyszła ze swego pokoju, matka i dwie służące towarzyszyły jej, była ubrana wspaniale, jak na wielką ceremonię, lecz pomieszanie, w jakim byłem, nie dało mi zwrócić uwagi na to; przypominam sobie tylko, że ubranie jej składało się z kolorów purpurowego i białego, na którym mnóstwo kamieni i pereł świeciło, ale wszystkie one gasły przy blasku jej piękności, największej jej ozdoby.

O pamięci okrutna, śmiertelny nieprzyjacielu mojego spokoju, czemu tak wiernie przedstawiasz mi nieporównaną piękność Luscindy! Czemu nie zakryłaś przed moim wzrokiem tego, co nastąpić miało! Panowie, przebaczcie skargom moim! boleść moja jest tak żywa, że nie jestem panem siebie.

Cały orszak godowy zebrał się na sali; wszedł ksiądz i biorąc narzeczonych za ręce, zapytał Luscindę, czy przyjmuje Don Fernanda za małżonka. Wtedy wysunąłem głowę z za firanek i drżący słuchałem, co powie Luscinda, oczekując z jej ust wyroku życia lub

śmierci. Ksiądz długo czekał na odpowiedź Luscindy, jakiś czas trwało milczenie; sądziłem, że przebije się sztyletem lub uwolni się innym jakim sposobem, a ona wyrzekła niepewnym, słabym głosem: tak, przyjmuję go. Don Fernand odpowiedział podobnież, dał jej obrączkę ślubną i zostali połączeni na zawsze. Mąż zbliżył się wtedy, by uściskać małżonkę, lecz ta, kładąc rękę na sercu, upadła zemdlona w objęcia matki.

Co się wówczas ze mną działo, jaką rozpacz uczułem, przekonawszy się o fałszywości obietnic Luscindy, tego język ludzki wyrazić nie zdoła. Jedno jej słowo zabiło wszystkie moje nadzieje i jedyne dobro życia mojego. Umysł mój mieszać się zaczął, nienawiść dla Luscindy ogarnęła mą duszę i gwałtowna boleść, tłumiąc we mnie łzy i westchnienia, napełniła serce jadem zazdrości i zemsty.

Omdlenie Luscindy zatrwożyło wszystkich; przerażona matka rozsznurowała ją natychmiast i wyjęła spod jej łona zapieczętowany papier, który Don Fernand skwapliwie uchwycił i przeczytawszy, upadł na krzesło jak człowiek, którego okropna wiadomość niespodzianie uderzy; zapomniał zupełnie, że jego żona potrzebuje ratunku. Co do mnie, widząc wszystkich domowników zajętych, zamierzyłem ukazać się nagle, nie dbając, czy mnie zobaczą, a jeśli by mnie poznano, postanowiłem tak srogo ukarać zdrajcę Fernanda, ażeby wszyscy dowiedzieli się o jego podłości. Lecz los, który mnie chowa na jakieś większe nieszczęścia, sprawił, że reflektując się zimniej, wyszedłem obojętnie, zemsty nie dopełniwszy, a siebie tylko samego skazując na karę niezawodną za wiarę, jaką miałem w ludzi.

W tej chwili opuściłem miasto, a widząc się samotnym wśród pól, wybuchnąłem złością przeciw Fernandowi i przeklinając go, czyniłem sobie ulgę; srogimi wyrzuty obarczałem Luscindę, jak

gdyby mnie słyszeć mogła, nazywałem ją okrutną, wiarołomną i niewdzięczną. Pomimo jednak tych wszystkich uniesień, pomimo wściekłości, szczątki miłości tłumaczyły jeszcze Luscindę w mych oczach.

Myślałem sobie, że ona, tak słodka, tak powolna, nie mogła oprzeć się rozkazom ojca, że odrzucając rękę młodzieńca tak znakomitego rodem i bogactwy, jak Fernand, naraziłaby się na złą opinię i podejrzenie ogółu. Po chwili jednak znów jej złorzeczyłem, znów jej wyrzucałem głośnymi krzyki, czemu nie wyznała, jakie nas łączą przysięgi, jakiż wstyd ją zatrzymał, nie miałaż wymówki odrzucić ręki Fernanda? Och, tylko duma i próżność wstrzymały ją od tego!

Ty, największy nieprzyjacielu mojego pokoju i szczęścia, ty podły kruszcu! ideale dusz niskich, ty to podkopałeś cnotę Luscindy! nikczemny Fernandzie, jakichże to czarów użyłeś, aby ją uwieść?

Chodząc przez noc całą jak szalony, nad ranem przybyłem do podnóża tych gór, gdzie trzy dni jeszcze brodziłem po bezdrożach, aż do chwili, gdy znalazłszy pasterzy, pytałem ich o najodludniejsze miejsce w górach. Wskazali mi to ustronie, natychmiast się tu udałem, aby samotnie nędznego dokonać żywota. U stóp tych skał muł zdechł mi z głodu i znużenia, a ja bez sił, bez pomocy, znękany padłem na ziemię prawie nieżywy; nie wiem, jak długo pozostawałem w tym stanie, wiem tylko, iż ocknąłem się i powstawszy, nie czułem głodu, a wokoło siebie spostrzegłem pasterzy, którzy zapewne musieli mi dać jakiś ratunek. Powiedzieli mi, że znaleźli mnie w stanie tak godnym litości i mówiącego takie brednie, że za wariata mnie wzięli. Wkrótce sam to poznałem, że mam umysł pomieszany; biegam po górach, rozdzieram szaty, krzyczę samotny, przeklinając los swój okrutny i powtarzając imię Luscindy; nieraz pragnąłbym duszę wyzionąć;

uspokoiwszy się, utrudzony, jakby pracą jaką, chronię się do groty, która mi za mieszkanie służy, pasterze z litości przynoszą mi żywność.

Niekiedy ci dobrzy ludziska, widząc mnie przy zdrowych zmysłach, uskarżają się, że im wydzieram gwałtem tę żywność, którą mi z dobrego ofiarują serca: to mnie zasmuca i przyrzekam im poprawę na przyszłość.

Takim sposobem, panowie, przepędzam nędzne życie moje; może też litościwe niebo zatrze kiedyś w mojej pamięci piękność niewdzięcznej Luscindy i zdradę Don Fernanda. Jeżeli to nastąpi, myślę, że odzyskam moc rozumu; teraz, wyznaję szczerze, nie mam dosyć siły, ażeby podnieść się z tego upadku. Władze umysłu opuściły mnie widocznie, chwilami tylko mi wracają. Widzicie więc, panowie, i przyznać musicie, że nic okropniejszego nad historię mego życia, że boleść moja słuszna, że wszelką przechodzi miarę, a rozpacz i szaleństwo mają usprawiedliwienie. Rady i pociechy wasze byłyby próżne, jedna tylko Luscinda uśmierzyć by mogła moje cierpienia. Opuściła mnie, więc umrę, lecz do ostatniego tchnienia nie zapomnę o niej.

Kardenio skończył smutne opowiadanie. Proboszcz już gotował się pocieszać go, gdy nagle żałosne jakieś skargi zwróciły ich uwagę. W czwartej części tego dzieła zobaczymy, co to było, ponieważ Cyd Hamed Benegeli na tym trzecią zakończa.

KSIĘGA CZWARTA

Rozdział I

Opisuje nową i przyjemną przygodę, jaka zdarzyła się proboszczowi i balwierzowi w Sierra Morena

Nie było bez wątpienia szczęśliwszego wieku nad ten, który wydał nieporównanego i dzielnego rycerza Don Kichota z Manchy i powołał go do wskrzeszenia błędnego rycerstwa nie tylko już zaniedbanego, ale zamarłego i zaginionego niemal zupełnie. On to sprawił, że w tym nędznym wieku możemy napawać się rozkoszą przyjemnego czytania prawdziwej jego historii i wielu innych wypadków, wzbogacających ją i niemniej ciekawych.

Powiedzieliśmy już, że proboszcz zabierał się pocieszyć Kardenia i że tę szlachetną chęć jego zniweczył głos jakiś żałosny, boleść swą następnymi wynurzający słowy:

– Czyż znajdę na koniec miejsce, gdzie bym się ukryć mogła przed światem, gdzie bym jako w grób to nędzne złożyła ciało. Jakżem szczęśliwa, że w mej niedoli znalazłam przynajmniej samotność, spoczynek i bezpieczeństwo w tych górach, gdzie z dala od ludzi mogę swobodnie skarżyć się niebu na los mój i nieszczęścia, którymi mnie przygniotło. O! litośne nieba, wysłuchajcie skarg moich; do was się obracam! w ludziach tylko zdrada i nikczemność, wy jedynie dać mi możecie pociechę, ulgę i natchnienie w przedsięwzięciu.

Proboszcz i jego towarzysze, usłyszawszy w bliskości takie skargi, poszli zobaczyć, kto by mógł być takim smutkiem przejęty.

Zaledwie dwadzieścia postąpili kroków, zobaczyli na załomie skały u stóp drzewa młodego człowieka, w stroju wieśniaczym, którego twarzy zobaczyć nie mogli, gdyż opuścił głowę ku nogom, myjąc je w strumieniu. Zbliżyli się tak cicho do niego, że nie dostrzegł ich obecności, i wtedy zobaczyli łydki jego prześliczne i tak białe, jak z alabastru. Ta nadzwyczajna piękność ciała zdziwiła ich w człowieku tak licho ubranym i podwajając ciekawość, zniewoliła proboszcza, postępującego naprzód, że dał znak swoim towarzyszom, by ukrywszy się za skałą, mogli pilne mieć oko na młodego chłopca. Jakoż zobaczyli, że ubrany był w brunatną spódnicę, jakiś rodzaj szarfy z białego płótna i w ciemne trzewiki, głowę skrywał mu mały kapelusz ciemnego koloru. Umywszy nogi, dobył bieliznę do ich otarcia i podniósłszy głowę, ukazał twarz tak piękną, iż Kardenio upewniał proboszcza, że musi to być chyba nadziemska istota, bo jedna tylko Luscinda na ziemi dorównać jej może w piękności.

Młody chłopiec następnie zdjął kapelusz i wstrząsnął po dwakroć głową, a gęste sploty długich pięknych włosów, spadających mu na piersi i ramiona, przekonały wreszcie księdza proboszcza i jego towarzyszów, że ten mniemany chłopiec był istotnie młodą i najpiękniejszą w świecie dziewicą. Kardenio zdumiony zapewniał, że oprócz Luscindy, podobnie pięknej kobiety nie widział.

Do uczesania pięknych włosów, którymi cała była okryta, użyła tylko palców, ukazując tym sposobem ramiona tak cudne i ręce tak białe, że proboszcz i jego towarzysze, zdjęci podziwieniem i ciekawością, zbliżyli się do niej, chcąc dowiedzieć się, kto by była.

Usłyszawszy ich kroki, młoda dziewica podniosła głowę i odgarniając włosy z twarzy, spojrzała w tę stronę, lecz spostrzegłszy trzech mężczyzn, bez względu na rozpuszczone włosy i na bose nogi, porwała małe zawiniątko i zaczęła uciekać

ze wszystkich sił. Nie mogła atoli biec daleko, stopy jej, za delikatne na ostre kamienie, odmówiły jej służby; upadła, a proboszcz, dościgając ją, zawołał:

– Zatrzymaj się, panno, nie lękaj się niczego – a wziąwszy ją za rękę, uspokajać ją zaczął tymi słowy: – Włosy twoje, panno, odkryły nam płeć twoją; jesteśmy przygotowani służyć ci, uspokój się więc i powiedz nam, w czym dopomóc ci możemy. Zdaje się – dodał – że jakaś niezwykła przygoda zniewoliła cię przywdziać ubiór tak niegodny ciebie i istocie tak delikatnej przebywać w miejscu tak dzikim i odludnym. Może przy Boskiej pomocy uda się znaleźć środek jaki na twoje boleści i cierpienia, bo nie ma tak silnych, których by rozum i czas nie zmniejszyły. Nie odrzucaj więc pociechy naszej, opowiedz przyczynę nieszczęść swoich i wierzaj, że nie próżna ciekawość, lecz chęć ulżenia ci powoduje nami.

Młoda dziewica słuchała mowy proboszcza i spoglądała po wszystkich z podziwieniem, wreszcie, ulegając ponowionym prośbom, westchnęła głęboko i rzekła:

– Kiedy los tak zrządził, że samotność tych gór nie potrafiła mnie ukryć i włosy mnie zdradziły, do jakiej płci należę, niepodobna mi zaprzeczać temu, o czym przekonani jesteście; ze względu na waszą grzeczność i uczciwe obejście się ze mną, dopełnię życzeń waszych i opowiem przygody swoje. Obawiam się wszakże, aby dotkliwość współczucia nie przewyższyła ciekawości waszej, bo nieszczęścia moje są bez ratunku i pociechy; wyznaję, że z przykrością przychodzi mi zdzierać przed wami zasłonę z mojego życia, którego smutne dzieje na zawsze ukryć w grobie chciałam, czuję jednak, że powinnam wam prawdę wyjawić, gdyż nieświadomi powodów, znalazłszy mnie w tym ustroniu samą i w męskim ubraniu, moglibyście powziąć krzywdzące mnie podejrzenie.

Proboszcz ponowił prośby, jak również jego towarzysze, a młoda dziewica, poprawiwszy swój ubiór na stronie, zbliżyła się do nich, usiadła na trawie i powstrzymując łzy, gwałtem cisnące się do jej oczu, tak rozpoczęła:

– Urodziłam się w pewnym mieście Andaluzji, pewien książę nosi imię tego miasta i to mu daje tytuł granda Hiszpanii, mój ojciec był jednym z wasalów księcia, i gdyby bogactwom jego wyrównywało urodzenie, nie byłabym dzisiaj tak nieszczęśliwa. Duma mego ojca stała się nieszczęść moich przyczyną. Nie pochodzę jednak z klasy tak niskiej, abym się wstydzić rodu swego miała; przodkowie moi byli rolnikami, kropla krwi obcej nie skaziła ich imienia, a odwieczna miłość rodzinnej siedziby, połączona z niemałym majątkiem i zacnością życia, stawia ich na równi z najpierwszymi. Jako jedynaczka, byłam nadzwyczajnie kochana, wszystko skinienia mego słuchało, wszystkie rozkazy w domu ja wydawałam, a zobopólna ufność i moje starania zapewniały nam słodki spokój. Po ukończeniu zatrudnień gospodarskich zajmowałam się rozrywkami właściwymi młodej dziewczynie i bardzo lubiłam grać na jakimś instrumencie, przekonawszy się, że muzyka ożywia umysł i głowę po uciążliwej pracy. Takie to życie wiodłam w domu swojego ojca. Nie dlatego opowiadam wam te szczegóły, ażebym chciała szukać chluby z bogactw swoich, lecz ażebyście łatwiej zrozumieć mogli, jak smutnym i okropnym jest stan mój obecny. Choć tak spokojne, jakby klasztorne, prowadziłam życie, choć prócz domowników nie widywałam nikogo, bo nawet do kościoła tylko bardzo rano i to w towarzystwie matki chodziłam, odgłos jednak o mojej piękności rozszedł się szeroko i miłość zakłóciła samotność naszą. Młodszy syn księcia, o którym wspomniałam, nazwiskiem Don Fernand, zobaczył mnie pewnego razu.

Zaledwie Kardenio usłyszał imię Fernanda, zmienił się na twarzy i zadrżał tak gwałtownie, że proboszcz i cyrulik zlękli się, żeby go nie napadł paroksyzm szaleństwa, lecz uspokoił się powoli i przypatrywał bacznie rysom pięknej wieśniaczki, która na nic nie zważając, tak mówiła dalej:

– Zaledwie książę mnie zobaczył, jak mi to później sam mówił, rozbudziła się w nim gwałtowna namiętność, której następnie dał tyle dowodów. Ale nie będę was nudziła opowiadaniem szczegółów zbyt długich, powiem tylko, że Don Fernand dokładał wszelkich starań, aby ująć serce moje, rozdawał prezenty naszym służącym, wyprawiał uczty nieustanne, w nocy kazał grać pod oknami mymi czarujące melodie, pisywał do mnie tajemnie mnóstwo listów, pełnych czułości, przysiąg i obietnic, lecz kierowana radami ojca, mniemałam, że starania Fernanda znieważają mnie tylko, a lubo nie robiły mi wstrętu rozrywki i grzeczności, jakimi mnie otaczał, pomnąc jednakże, jaka nas przestrzeń oddziela, pewną byłam, że zbyt jawne nadskakiwania z jego strony tylko niesławę na mnie ściągnąć mogą. Ojciec, widząc niespokojność moją, radził mi dla uwolnienia się raz na zawsze od natręctwa Don Fernanda zaślubić którego z młodzieży równego mi stanem i zapewniał, że ze swojej strony zrobi wszystko, co tylko los mój szczęśliwym uczynić może. Podziękowałam ojcu za jego dobroć, oświadczyłam jednak, że obmyślę inny sposób pozbycia się Don Fernanda, nie zaprzedając wolności swojej.

Jakoż dotąd unikałam starannie każdej sposobności widzenia Don Fernanda; to bardziej jeszcze podnieciło jego namiętność. Dowiedział się na koniec, że mój ojciec chce mnie za mąż wydać i natychmiast ułożył plan niweczący te zamiary. Pewnej nocy, zamknięta w swoim pokoju razem ze służącą, ujrzałam nagle Don Fernanda przed sobą. Widok ten strwożył mnie tak mocno, że tracąc

prawie zmysły, słowa przemówić nie mogłam. Don Fernand wtedy, korzystając z osłabienia mego, wziął mnie w swoje objęcia i mówił tak pięknie, tak czule, że nie śmiałam wołać o pomoc, chociaż już przyszłam do siebie. Westchnienia zdrajcy i łzy jego wzbudziły we mnie wiarę w jego słowa i prawe zamiary; uwierzywszy mu, zmiękczona jego rozpaczą, uczułam jakieś współczucie dla niego, mimo to jednak, gdym przyszła całkiem do siebie, rzekłam doń z gniewem: Panie! po tak szczególnym dowodzie przyjaźni, jaki mi dajesz w tej chwili, gdybyś mi kazał wybierać między nią a trucizną, nie wahałabym się umrzeć, bo honor droższy mi jest nad życie. Ojciec mój jest twoim wasalem, lecz nie niewolnikiem, jeżeli nie wyjdziesz stąd w tej chwili, dowiesz się, jak dalece różnimy się z sobą w pojmowaniu honoru i całe życie to sobie wyrzucać będziesz. Nie sądź, że zaślepisz mnie swoim bogactwem i wielkością rodu swojego; nie myśl, że kłamliwe westchnienia i łzy twoje rozczulić mnie zdołały. Ojciec rozporządza moją ręką i do niego należy wybór mojego małżonka; tak więc, panie, jeżeli chcesz, ażebym uwierzyła w twoją przyjaźń, wyrzeknij się znieważających mnie zamiarów, a ponieważ nie możesz być moim mężem, nie żądaj ode mnie miłości, która by mnie niesławą okryć mogła.

„Jak to, piękna Doroto! – zawołał zdradziecki Don Fernand – cóż mi stanąć może na przeszkodzie do zaślubienia ciebie? Jeżeli taką ma być cena twojej miłości, kupuję ją z radością. Twoim jestem od tej chwili piękna Doroto, oddaję ci moją rękę, biorąc niebo za świadka szczerości serca mojego".

Kardenio nie mało się zadziwił, usłyszawszy imię Doroty, i umocnił się w mniemaniu, które powziął na początku opowiadania, lecz nie chcąc przerywać i pragnąc dowiedzieć się końca historii, zapytał tylko:

– Jak to? nazywasz się pani Dorotą? słyszałem mówiących o osobie tego imienia, której nieszczęścia miały wiele podobieństwa z twoimi, lecz proszę cię, mów dalej. Później opowiem ci przyczynę swego zadziwienia.

Dorota ciekawie spoglądała na Kardenia i widząc szczególną jego powierzchowność, rzekła:

– Zaklinam cię, panie, powiedz mi zaraz, co wiesz o mnie, mam aż nadto odwagi na wszystkie ciosy zawziętego losu; nieszczęścia uczyniły mnie już całkiem nieczułą na wszystko, cokolwiek spotkać mnie może.

– Chętnie uczyniłbym zadość twojemu żądaniu, pani – rzecze Kardenio – lecz nie będąc pewnym, czy domysły moje są prawdziwe, przekonać się o tym pragnę z dalszego ciągu twojego opowiadania, racz więc mówić dalej.

Dorota kończyła swoją historię:

– Tak mówiąc, Don Fernand podał mi rękę na klęczkach i wykonał przysięgę w słowach czułych i przekonywających. Nie chcąc korzystać z tak nierozważnego zobowiązania się, prosiłam go, ażeby oszczędził swojemu ojcu wstydu i nieprzyjemności i zrzekł się nadziei związku z osobą tyle niższą od niego urodzeniem, że wreszcie związek ten obudzi w nim późniejsze wyrzuty i żal za późny, a mnie nieszczęśliwą uczyni. Przekonywania moje i liczne powody, które wyłuszczałam, były nadaremne. Don Fernand nie zważał na nic, jako namiętny kochanek, co poświęca wszystko dla miłości, a raczej jako oszust, który nie dba o to, co mówi.

Widząc go tak upartym w przedsięwzięciu, zaczęłam szczerzej myśleć o nim; przypomniałam sobie, że nie mnie pierwszą małżeństwo wyniesie do niespodziewanej godności, że piękność zastąpić może urodzenie i majątek i że wielu innych postąpiło już nie raz podobnie, jak Don Fernand w tym razie. Sposobność była

piękna i zdawało mi się, że powinnam z niej korzystać. Mówiłam do siebie, że nie mam powodu odrzucać dozgonnej przyjaźni małżonka, który mi ją ofiaruje; wiedziałam nadto, że Don Fernand, przedstawiwszy się tak niekorzystnie, tym więcej cierpiałby, gdybym mu pogardę okazała; że w takim razie mógłby posunąć się do jakiegoś gwałtu, poczytując się za uwolnionego od wszelkich obowiązków wskutek tak ostrego odrzucenia jego propozycji, a ja zostałabym bez honoru i wymówki.

Te uwagi zachwiały mną; łzy jego, przysięgi, westchnienia, nadto przytomność duchownego świadka, którego przyzwał, twarz pełna szczerości, miłość, którą upatrywałam w jego postępkach, dokonały mej zguby; przywoływałam służebną dziewczynę, aby była świadkiem przysięgi i słów Don Fernanda. Powtórnie jeszcze wezwał niebo na świadectwo i sędziego zamiarów swoich, rozczulił mnie nowymi zaklęciami i łzami; świadkowie oddalili się, a on, korzystając z mojej słabości, dokonał zamierzonej hańby. Dzień zaledwie świtać zaczął po tej nocy nieszczęść, a już Don Fernand, pod pozorem oszczędzenia mojej reputacji, spieszył się wyjść ode mnie; prosił, ale już obojętniej i oziębiej, żebym polegała na jego honorze i szczerości przysiąg, w zakład których zdjął bogaty pierścień z palca, na mój go włożył i poszedł. Taż sama służąca, która, jak o tym dowiedziałam się później, ukryła go w moim pokoju, wypuściła go na ulicę, a ja pozostałam sama, nie wiedząc, czy cieszyć się, czy smucić z wypadku, który mnie spotkał; nie wyrzucałam nawet służącej jej zdrady, nie mogąc jeszcze sądzić, czy mi ona korzyść lub stratę przyniesie.

Mówiłam Don Fernandowi, zanim jeszcze odszedł, że tą samą drogą widywać mnie może, dopóki nie uzna za stosowne ogłosić na jaw zaszczytu, jaki mi wyświadczył. Tylko raz jeszcze następnej nocy powrócił i nie pokazał się już więcej, chociaż wiedziałam,

że w bliskości przepędza dni wesołe na łowach. Niepodobna mi tego wysłowić, jak okropnie obeszła mnie pogarda Don Fernanda. Było to tak niespodzianą dla mnie rzeczą, że prawie utraciłam władze myśli i ruchu; wtedy to poznałam, jak niebezpiecznie jest ufać mężczyznom. Tłumiłam łzy i westchnienia, ażeby ukryć przed rodzicami powody smutku swojego, lecz dowiedziawszy się, że Don Fernand ożenił się w pobliskim mieście z bardzo piękną i dobrego urodzenia panną, imieniem Luscinda, nie mogłam dłużej powściągnąć wybuchu rozpaczy.

Kardenio pobladł i zatrząsł się na imię Luscindy, w milczeniu zmarszczył brwi i zacisnął usta, a po chwili rzewnymi zalał się łzami; ale Dorota, nie postrzegając tego, mówiła dalej:

– Na tę wiadomość, ogarnięta szałem oburzenia, gniewem i rozpaczą miotana, w pierwszym uniesieniu chciałam ogłosić zdradę Don Fernanda, nie dbając, że tym sposobem i hańbę swoją objawię. Sama nie wiem, co mnie wstrzymało od tego, pamiętam tylko, że inny plan zemsty ułożyłam. Odkryłam swój stan nieszczęśliwy jednemu z młodych pasterzy, który służył w domu naszym, i mimo odradzań, wzięłam od niego ubiór męski, rozkazując mu towarzyszyć sobie w podróży, którą dla widzenia się z Don Fernandem przedsięwzięłam.

Wziąwszy z sobą ubiór kobiecy, pieniądze i kosztowności, oddałam to pasterzowi i tejże nocy puściliśmy się w drogę, nikomu ani słowa nie wspominając o niczym. Prawdę mówiąc, sama nie wiedziałam jeszcze, co uczynić, nie będąc bowiem w stanie rozerwać małżeństwa Don Fernanda, mogłam tylko tysiącem próżnych obarczyć go wyrzutów.

Trzeciego dnia przybyłam do miasta, a spytawszy, gdzie był dom rodziców Luscindy, dowiedziałam się zarazem z powszechnego odgłosu, o wszystkim, co podczas ślubu Don Fernanda zaszło: jako

Luscinda upadła zemdlona po wyrzeczeniu przysięgi, jako Don Fernand przeczytał list, znaleziony za jej suknią, napisany jej ręką i oświadczający, że kocha Kardenia (szlachcica nader zacnego, mieszkającego w tym samym mieście), że tylko obawiając się ojca, przystaje na związek z Don Fernandem. Dowiedziałam się nadto, że Luscinda miała zamiar zabić się przy końcu ślubnego obrzędu, co potwierdzał sztylet przy niej znaleziony, że Don Fernand, powodowany wściekłością, byłby zabił Luscindę tymże samym sztyletem, gdyby jej nie wyniesiono, że Don Fernand opuścił miasto, a Luscinda, nazajutrz przyszedłszy do zmysłów, oświadczyła, że należąc do Kardenia, któremu miłość poprzysięgła, nie chce widzieć więcej Don Fernanda. Dowiedziałam się również wtedy, że ów Kardenio znajdował się na ślubie, następnie uciekł z miasta w rozpaczy, uwiadamiając listownie niewierną Luscindę, że oddala się na zawsze.

Zdarzenie to było przedmiotem powszechnych rozmów w tym mieście, a wkrótce potem dowiedziano się o ucieczce Luscindy i o rozpaczy rodziców, w niewiadomości o jej losie pozostawionych. Co do mnie, uczułam w sercu jakąś pociechę, wyobrażałam sobie, że Don Fernand, rozjątrzony tym wypadkiem, powróci do uczuć honoru i obowiązku, pochlebiałam sobie, że po stracie Luscindy zwróci się znów do mnie, słowem, dodawałam sobie otuchy, aby przedłużyć życie, które nieznośne mi się stało.

Podczas pobytu mego w mieście, gdy wahałam się, co mam przedsięwziąć, usłyszałam głośną publikację, przyrzekającą wielką nagrodę temu, kto by doniósł, gdzie jestem; w tej publikacji określono mój wiek, suknie, jakie nosiłam, i inne znaki. Dowiedziałam się nadto, że posądzano mnie, jakobym dała się wykraść młodemu pasterzowi, który mi towarzyszył. Wieść ta dopełniła miary moich nieszczęść. Wiedziałam dobrze, że dobre

imię moje utraciłam na zawsze, bolało mnie to niemniej okropnie, jak niewierność Don Fernanda. Opuściłam natychmiast miasto razem z pasterzem i tegoż wieczora przybyliśmy tu ukryć się w najodludniejszym tych gór miejscu; ale, jak mówią, nieszczęście jedno drugie sprowadza. Zaledwie przybyłam na to miejsce, gdzie już bezpieczną się sądziłam, gdy pasterz, którego zawsze tak skromnym widziałam, korzystając ze sposobności i pobudzony bardziej niecną podnietą, niż wdziękami moimi, ośmielił się z miłosnymi wystąpić do mnie oświadczeniami, a widząc, że odpowiadam mu z gniewem i pogardą, nie tracąc czasu na nieużyteczne prośby, postanowił siłą dokonać swych sprośnych zamiarów. Ale niebo i rozum wspierały mnie w tym nieszczęściu. Namiętność zaślepiła go do tego stopnia, że nie uważał, iż staliśmy nad brzegiem przepaści, ja widząc to, a innego środka obrony nie mając, wtrąciłam go w nią jednym pchnięciem ręki i uciekając ze wszystkich sił, przybyłam w to ustronie, aby ukryć się przed pogonią mojego ojca.

Nazajutrz spotkałam jakiegoś wieśniaka i prosiłam go, ażeby mnie do służby na pasterza przyjął; jakoż zaprowadził mnie do swego domu wśród gór położonego. Przepędziłam z nim kilka miesięcy, pasąc trzody i starannie ukrywając płeć swoją; lecz odgadł moją tajemnicę, a widząc jego złe zamiary i nie mając środka uniknąć niebezpieczeństwa, dwa dni temu uciekłam z domu i tu w tym odludnym miejscu przybyłam prosić nieba, ażeby zakończyło moje nędzne życie i pamięć nieszczęść moich zarazem.

Rozdział II

W którym dowiedzieć się można o rzeczach bardzo przyjemnych

– Oto jest, panowie, historia moich smutnych przygód, osądźcie teraz, czy słuszne były moje narzekania. Nie masz dla mnie już żadnej pociechy, proszę was tylko, ukażcie mi, w jakim miejscu ukryć bym mogła resztę swojego życia. Nie chcę już widzieć na oczy rodziców, nie dlatego, żebym wątpiła o ich sercu, lecz nie mogąc otwarcie usprawiedliwić się przed nimi, ani zniszczyć niesławiących mnie pogłosek, nie byłabym w stanie patrzeć na ich smutek.

Dorota umilkła, kończąc te słowa, a rumieniec występujący na twarz jej i spuszczone wilgotne powieki, były dowodem uczuć, miotających jej sercem.

Słuchacze oczarowani zostali jej rozumem i niewinnością, a wielkie współczucie dla krzywd jej wyrządzonych rozniecіło się w ich sercach.

Proboszcz, przez pobożność zapewne, wziął silny udział w jej niedoli, zaczął ją więc pocieszać, gdy Kardenio przerwał jego słowa, wołając:

– Jak to! pani to więc jesteś córką jedyną bogatego Clenarda?

Dorota zdziwiła się, usłyszawszy imię swojego ojca i widząc tego, który je wyrzekł w tak dziwnym stanie.

– Któż jesteś, mój przyjacielu – rzecze do Kardenia – skąd znasz tak dobrze imię mojego ojca; o ile pomnę, w ciągu mego opowiadania nie wymówiłam go ani razu.

– Jestem ten, któremu Luscinda przysięgła miłość, jestem ów nędzny Kardenio, przez zdradę Fernanda do tak smutnego doprowadzony stanu. Ten sam, piękna Doroto, co był nieszczęśliwym świadkiem fatalnego ślubu Don Fernanda. Uciekłszy z miasta, przybyłem tu zagrzebać swoje życie, lecz teraz postanawiam bronić twojej i mojej sprawy; pociesz się, piękna Doroto, widzę, że niebo opiekować się nami zaczyna; ono powróci tobie Don Fernanda, który nie może do Luscindy należeć, a mnie

odda moją Luscindę. Gdyby nawet sprawa nasza nie była wspólną, jestem tak do żywego przejęty twoim nieszczęściem, że uczynię wszystko, aby skłonić Don Fernanda do naprawienia jego względem ciebie występku, choćby mi przyszło narazić życie w tym usiłowaniu.

Dorota znalazła tyle pociechy w słowach Kardenia, że nie wiedziała, jakim sposobem okazać mu wdzięczność swoją i byłaby mu do nóg się rzuciła, gdyby jej nie wstrzymał. Proboszcz, rozrzewniony tym widokiem, pochwalił szlachetność Kardenia i tak czule pocieszał Dorotę, że zgodziła się przyjąć schronienie w jego siedzibie, gdzie wszyscy razem mieli naradzić się nad tym, co im dalej czynić pozostaje.

Balwierz, który dotąd słuchał, nie przemówiwszy ani słowa, z całą szczerością ofiarował swoje usługi i przyjąwszy podziękowanie Doroty i Kardenia, uwiadomił ich następnie, w jakim celu przybyli z proboszczem w góry. Rozszerzył się nad osobliwszą manią Don Kichota, oświadczył, iż oczekują na powrót giermka, który zresztą równym, jak i pan jego jest wariatem.

Kardenio przypomniał sobie wtedy kłótnię z Don Kichotem, lecz zapomniał jej powodu.

Nagle usłyszano wołanie, był to Sancho, który nie znajdując ich na umówionym miejscu, jął przeraźliwie krzyczeć. Całe towarzystwo poszło na jego spotkanie i proboszcz zapytał go, gdzie jest Don Kichot. Giermek odpowiedział, że znalazł Don Kichota w samej tylko koszuli, bladego, umierającego z głodu i wzdychającego nieustannie do swojej pięknej Dulcynei, że na próżno namawiał go, aby opuściwszy te miejsca, udał się do Toboso, dokąd go dama jego myśli przyzywa. Zagorzały rycerz oświadczył, że nie przestanie czynić pokuty i nie zobaczy Dulcynei, póki przez znakomite czyny i wielkie szaleństwo nie zasłuży na jej

łaskę; lecz, dodał smutnie Sancho, jeżeli kto przez miłosierdzie chrześcijańskie nie pośpieszy na ratunek błędnego rycerza i nie wyciągnie go z tej przeklętej góry, on umrzeć w niej musi, a tak nie tylko cesarzem, ale i arcybiskupem nawet nie zostanie.

– Nie martw się, kochanku – rzecze proboszcz – wydobędziemy go stąd pomimo jego woli.

I zwracając się do Kardenia i Doroty, opowiedział plan, za pomocą którego wyleczyć mieli Don Kichota z jego choroby lub przynajmniej skłonić do powrotu.

Dorota, której nowo powzięte nadzieje przywróciły trochę dobrego humoru, ofiarowała się naśladować pannę strapioną i prześladowaną i dodała, że lepiej niż cyrulik zapewne odegra tę rolę, tym więcej, iż mając ubiór kobiety i znając dostatecznie z romansów język błędnego rycerstwa, z łatwością to jej przyjdzie.

– A to przedziwnie – rzecze proboszcz – przyjmujemy chętnie ofiarę pani i weźmiemy się zaraz do dzieła.

Dorota natychmiast wydobyła z węzełka prześliczny strój kobiecy, bogato haftowany i perłami oszyty, a piękność jej tak powiększona została tym ubiorem, że wszyscy nie mogli jej się dosyć nauwielbiać i wydziwić Don Fernandowi, że tak podle opuścił tak czarującą istotę, ale Sancho Pansa w większym od wszystkich był uniesieniu, posuwał je aż do szaleństwa.

– Kto jest ta piękna dama – zapytał proboszcza – i czego szuka w tych miejscach?

– Chcesz wiedzieć, kto jest dama? o! mój przyjacielu, Sancho! nic wielkiego, jest ona ni mniej, ni więcej tylko prawą dziedziczką tronu wielkiego królestwa Mikomikon, która szuka twego pana, prosząc, ażeby pomścił zniewagę, wyrządzoną jej przez złośliwego olbrzyma. Słysząc w Gwinei o wielkim męstwie Don Kichota,

księżniczka ta nie wahała się przedsięwziąć tak dalekiej podróży na wyszukanie go osobiście.

– W to mi graj! – krzyknął Sancho – otóż to, co się zowie szczęśliwa i doskonała przygoda, jeżeli tylko mój rycerz będzie dość szczęśliwy i zatłucze tego psubrata olbrzyma. I na moją duszę zatłucze go z pewnością, jeżeli tylko jakie widma mu nie przeszkodzą. Lecz, mości proboszczu – rzecze dalej – błagam was, niech mój pan nie myśli o arcybiskupstwie, umieram ze strachu na myśl, że mu to radzić będziecie; zróbcie tak: niech się ożeni natychmiast z tą księżniczką i niech już raz wreszcie zostanie cesarzem. Otwarcie mówiąc, długo zastanawiałem się nad tym i widzę, że na nic się nie zdało dla mojego pana arcybiskupstwo; ja naprzód nie mam powołania do duchownego stanu; po wtóre, jako żonaty, musiałbym brać dyspensę na żonę i dzieci, ażeby otrzymać beneficja, czego nie uczynię nigdy. Najlepiej więc będzie, księże proboszczu, gdy mój pan zaślubi tę damę, której nazwać nie chcę, bo nie wiem jej imienia.

– Ona zowie się – odpowie proboszcz – księżniczką Mikomikoną, a to od nazwy królestwa.

– Aa! rozumiem – rzecze Sancho – widziałem już wielu ludzi noszących imiona od miejsca urodzenia swego, jak np. Piotr z Alcali, Jan z Ubedy, Diego z Walladolid, i spodziewałem się, że i w Gwinei ten sam obyczaj panuje.

– Masz słuszność, Sancho – odpowiedział proboszcz – a co się zaś tyczy małżeństwa twego pana, to spuść się w tym na mnie.

Sancho był nadzwyczajnie zadowolony z obietnicy proboszcza, a proboszcz z głupoty giermka i nie mógł dosyć się wydziwić, jakim sposobem wszystkie szaleństwa Don Kichota tak się zalęgły w jego głowie.

Dorota wsiadła na księżego muła, cyrulik przypiął fałszywą brodę i wezwali Sanchę, aby ich zaprowadził do swojego pana, ostrzegając, ażeby nie zdradził przebrania cyrulika i obecności proboszcza, gdyż Don Kichot mógłby stracić tym sposobem sposobność zostania cesarzem.

Kardenio nie chciał towarzyszyć im z obawy, aby Don Kichot nie przypomniał sobie bitwy, którą mieli z sobą, a proboszcz uznając, że i jego obecność nie była tam konieczna, pozostał z Kardeniem, dawszy poprzednio jeszcze instrukcje Dorocie, która prosiła go, ażeby miał zupełną ufność w jej zręczności i umiejętności naśladowania tego, co wyczytała w rycerskich romansach.

Księżniczka Mikomikona, jej giermek i wielki Sancho, ujechawszy około trzy ćwierci mili, spostrzegli Don Kichota między dwiema skałami; był ubrany, lecz nie miał zbroi na sobie.

Jak tylko Dorota uwiadomiona została, że to jest poszukiwany rycerz, przyśpieszyła bieg swego muła, a stanąwszy wreszcie przed Don Kichotem, z pomocą giermka zsiadła na ziemię, uklękła przed rycerzem i ściskając go za nogi, pomimo usiłowań jego, aby ją podnieść, wyrzekła te słowa:

– Nie podniosę się stąd, dzielny i niezwyciężony rycerzu, dopóki grzeczność twoja nie przyrzecze mi łaski, która tobie chwałę przyniesie, a zarazem wybawi najnieszczęśliwszą i okropnie prześladowaną dziewicę, jaką kiedykolwiek oświetlało słońce. I jeżeli to prawda, że twoja waleczność i siła twojego ramienia odpowiada głośnej sławie, masz obowiązek w imię praw honoru i zakonu, do którego należysz, wspierać nieszczęśliwą, która na odgłos twoich wielkich czynów przybywa z drugiego końca ziemi wzywać twojej pomocy.

– Postanowiłem, piękna damo – rzecze Don Kichot – nie odpowiedzieć ci ani jednego słowa, dopóki nie raczysz podnieść się

z ziemi.

– Ja zaś nie podniosę się, znakomity rycerzu – odpowie prześladowana księżniczka – póki nie zapewnisz mi łaski, o którą cię proszę.

– Dobrze więc, przyrzekam – rzecze Don Kichot – z warunkiem, że nie będzie w tym nic przeciwnego memu królowi, ojczyźnie i interesowi tej, która włada moim sercem.

– Przysięgam ci – rzecze narzekająca dama – że nie ma w tym nic takiego.

Sancho, zbliżywszy się do Don Kichota, rzekł mu do ucha:

– No, no! rycerzu, możecie śmiało dopełnić jej prośby, to drobnostka; idzie tylko o to, ażeby zatłuc jednego łajdaka olbrzyma, a ta która was o to prosi, jest to księżniczka Mikomikona, pani wielkiego, królestwa Mikomikonu w Etiopii.

– Zrobi się, co można – odpowie Don Kichot – uczynię wszystko, co mi sumienie i ustawy rycerskiego zakonu wskażą – i zwracając się do panny, rzecze:

– Błagam cię, pani, powstań, przyrzekam ci wszystko, czego tylko piękność twoja domaga się ode mnie.

– Żądam od ciebie, nieoceniony rycerzu – rzecze Dorota – aby twoja wielkoduszna osoba udała się tam, gdzie ją zaprowadzę, żądam przyrzeczenia, że nie przedsięweźmiesz żadnej innej sprawy, dopóki nie pomścisz się za mnie na zdrajcy, który przeciwko boskim i ludzkim prawom, przywłaszczył sobie moje królestwo.

– Przyrzekam ci to, dostojna damo – odpowie Don Kichot – nabierz odwagi i rozpędź smutek, który cię uciska, mam nadzieję, że z pomocą nieba i siłą mojego ramienia powrócę ci utracone państwo, mimo oporu podłych napastników; lecz bierzmy się do dzieła, dobre czyny nie powinny się odkładać, a opóźnienie rzadko pomaga sprawie.

Bolejąca księżniczka chciała koniecznie ucałować ręce rycerza, lecz pełen grzeczności i wytwornej galanterii Don Kichot żadną miarą nie chciał zezwolić na to. Podniósł ją, uściskał z uszanowaniem i rozkazał Sanchy podać sobie zbroję. Giermek zdjął rynsztunki z drzew, które jakby jakie trofea wisiały, a Don Kichot, uzbroiwszy się zupełnie, rzekł:

– Teraz śpieszmy na pomoc tej wielkiej księżniczce i użyjmy całej waleczności i siły, którymi nas obdarzyły nieba, ażeby zwyciężyć jej nieprzyjaciół. Balwierz, klęczący dotąd i pilnie baczący, aby nie rozśmiać się lub nie upuścić przyprawionej brody, widząc Don Kichota, podniósł się i podawszy rękę księżniczce, on z jednej, Don Kichot z drugiej strony, wsadzili ją na muła. Rycerz dosiadł następnie pysznego Rosynanta, cyrulik osła i ruszyli w marsz.

Biedny Sancho zdążał za nimi piechotą, a trudy tak ciężkiej podróży wydobywały mu z piersi głębokie po straconym osiołku westchnienia, nie było rady, postanowił być cierpliwy, co mu tym łatwiej przyszło, że widział już wyraźnie swego pana na szerokim gościńcu, wiodącym wprost do cesarskiego tronu; nie wątpił bowiem ani trochę, że rycerz zaślubi księżniczkę i co najmniej zostanie monarchą Mikomikonu.

Jedna tylko myśl zatruwała mu rozkosz tych lubych rojeń, a mianowicie, że królestwo Mikomikonu leży w ziemi Murzynów i że poddani, których pan jego pod rządy mu odda, będą czarno wyglądali, ależ i na to znalazł zaraz pociechę. Cóż szkodzi – mówił – że wasale moi będą Murzynami, tym lepiej! przewiozę ich do Hiszpanii, sprzedam za dobrą cenę, wezmę ładną gotówkę, kupię sobie ogromną spiżarnię i będę spokojnie żył do śmierci, dlaczegóż by nie? albożem za głupi do dobrego prowadzenia interesów? alboż to trzeba wielkiej filozofii na to, ażeby sprzedać dwadzieścia lub trzydzieści tysięcy niewolników; O! jak Bóg na niebie sprzedam ich

co do nogi wszyściusieńkich, od najstarszego aż do najmniejszego pachorka, a choćby byli czarniejsi od diabła samego, potrafię z nich zrobić białych i żółtych, no! no! dostańcie się tylko w moje pazurki, a przekonacie się, że ja nie taki hetka pętelka, jakby kto myślał.

Tak przyjemne rojąc myśli, szedł ucieszony Sancho i umilał sobie trudy podróży.

Proboszcz i Kardenio przypatrywali się temu wszystkiemu z ukrycia; turbowali się tylko, jakim by sposobem połączyć się z Don Kichotem i Dorotą. Ale proboszcz był pomysłowym człowiekiem, dobył tedy nożyczek z kieszeni i obciąwszy brodę Kardeniowi, dał mu rewerendę i płaszcz czarny z siebie, a sam pozostał tylko w spodniej szacie i pantalonach.

Po tym przebraniu Kardenio był tak zmieniony, że sam siebie niezawodnie by nie poznał. Wyszli więc śmiało na gościniec, wyprzedzili Don Kichota i orszak jego; nie czekali długo, wkrótce bowiem Dorota, rycerz i giermkowie wyjechali z gór, a proboszcz, wpatrując się w Don Kichota, udał postawę człowieka, który się zdaje poznawać kogoś. Przypatrzywszy się dobrze, szedł prosto ku niemu z otwartymi ramionami, wołając: „Witaj mi, o zwierciadło rycerstwa! drogi współziomku, Don Kichocie, rycerzu z Manchy, kwiecie i śmietano galanterii, przedmurze uciśnionych, kwiecie, esencjo błędnego rycerstwa!”

Mówiąc to pokornie i kłaniając się, dotknął ręką lewej łydki Don Kichota, który z zadziwieniem spoglądał na niego i poznawszy wreszcie, chciał zeskoczyć z konia, lecz proboszcz mu nie dał.

– Mości proboszczu – zawoła – proszę cię, czyż to wypada, żebym jechał konno, gdy wasza rewerencja idziesz piechotą?

– Nie zgodzę się nigdy, żebyś zsiadł – odpowie proboszcz – niech wasza dostojność zostanie na koniu, na którym tyle cudów dokazuje; dla mnie dosyć będzie podzielić się mułem z którymś

z tych panów, jeżeli się zgodzą na to; będzie mi doskonale i wolę tak jechać, byleby w twoim towarzystwie, o przezacny rycerzu, niż dosiąść pegaza albo dzianeta sławnego Maura Musarrachy, który do dziś dnia siedzi zaczarowany w kraju Zulemy, przy wielkim Kompluto.

– Macie słuszność, księże proboszczu – rzecze Don Kichot – i zgadzam się na to. Pochlebiam sobie, że dostojna księżniczka raczy uczynić to dla mnie, iż rozkaże giermkowi swojemu ustąpić wam siodła na mule, gdy sam dość wygodnie za siodłem się umieści, jeżeli tylko muł przyzwyczajony do takiej jazdy.

– Nie ma wątpliwości – odpowie księżniczka – i mój koniuszy, nie czekając rozkazów, ofiaruje swe siodło jego rewerencji; jest on nadto grzeczny, ażeby patrzył obojętnie na duchownego, idącego pieszo, gdy temu zapobiec może.

– Nie inaczej – rzecze balwierz i zeskoczywszy z muła, podał strzemię proboszczowi, który wsiadł bez ceremonii.

Na nieszczęście, muł był najęty, to się znaczy, narowisty i złośliwy; ledwo że cyrulik usadowił się za siodłem, wierzgnął zadem potężnie i powtórzywszy to kilkakroć, tak silnie zachwiał biednym jeźdźcem, że ten nie mógł dłużej utrzymać się za siodłem. Spadł więc gwałtownie, a widząc, że postradał brodę, nie znalazł innego środka, jak ukryć spodnią część twarzy w rękach, krzycząc na całe gardło, że ma szczęki strzaskane.

– Wszelki duch Pana Boga chwali! – krzyknął Don Kichot, zobaczywszy brodę leżącą na ziemi, a na twarzy śladów krwi nie dostrzegłszy. – Otóż to dziw prawdziwy, żeby komu broda tak odpadła; ależ to wyraźnie cud oczywisty!

Proboszcz, widząc, co się święci, poskoczył co żywo podnieść brodę, i podszedłszy do cyrulika nieprzestającego krzyczeć żałośnie, wziął go za głowę, oparł ją sobie na brzuchu, zaczął mruczeć pod

nosem jakieś słowa tajemnicze, niby to zażegnanie na przywrócenie brody, i przywiązał mu ją zręcznie. Giermek okazał się znów zdrów i brodaty, jak dawniej. Don Kichot, ucieszony nadzwyczajnie tak widocznym cudem, prosił proboszcza, ażeby go nauczył koniecznie tego zaklęcia, nie wątpiąc, że nie tylko do przyprawiania bród wyrwanych użyć go można.

Przywróciwszy porządek, postanowiono, że proboszcz sam tylko wsiądzie na muła, a Kardenio i cyrulik jechać będą na przemian, dopóki nie staną w zajeździe, o dwie mile stamtąd odległym. Gdy siedzieli już na siodłach, to jest Rycerz Posępnego Oblicza, księżniczka Mikomikona, proboszcz i Kardenio, gdyż cyrulik i Sancho szli piechotą, Don Kichot rzekł do księżniczki:

– Niech wasza wysokość prowadzi nas, dokąd jej się podoba, a wszędzie udamy się za nią.

Zanim księżniczka odpowiedzieć zdążyła, proboszcz podchwycił prędko.

– Do jakiego królestwa jechać mamy, pani? domyślam się, że do Mikomikonu zapewne?

Dorota, posiadająca wiele przenikliwości, zrozumiała, że należało przyświadczyć zapytaniu księdza.

– W istocie, tam, panie.

– Jeżeli tak – rzecze proboszcz – to musimy przejść przez sam środek wioski naszej, a stamtąd zwrócić się prosto do Kartageny. Tam wsiądziecie na okręt i przy pomyślnym wietrze, staniecie przed upływem lat dziewięciu w Palus-Meotides, skąd już tylko o dwieście dni drogi odległe jest królestwo jej wysokości.

– Zdaje mi się, że mylicie się, panie – rzekła księżniczka – bo nie ma jeszcze dwóch lat, jak stamtąd wyjechałam, a jakiś czas bawię się już w Hiszpanii. Zaraz po moim przyjeździe zewsząd uszu moich dochodziła głośna sława wielkiego Don Kichota, którego szukać

przybyłam, a tyle mi naopowiadano o znamienitości i nadzwyczajności czynów przezeń dokonanych, że chociażby nawet nie był tym, którego szukałam, oddałabym się pod jego opiekę i moją sprawę powierzyłabym waleczności jego niezwyciężonego ramienia.

– Ach, pani, dosyć tego – rzecze Don Kichot – błagam cię, przestań, jestem śmiertelnym nieprzyjacielem pochlebstwa, jakkolwiek być może oddajecie mi tylko sprawiedliwość, nie mogę jednak słuchać bez zarumienienia tak pochlebnego o sobie zdania. Tyle tylko wam mogę o sobie powiedzieć, księżniczko, że nie wchodząc w wartość swoją, ostatnią kroplę krwi swojej poświęcę, aby wam powrócić wydarte królestwa. Obecnie zaś błagam was o pozwolenie zapytania się księdza proboszcza, co go spowodowało, iż sam pieszo i tak lekko ubrany przybył w tak odległe miejsce; wyznaję bowiem, że niezmiernie zadziwiony jestem, widząc go tu w tym stanie.

– W krótkich słowach opowiem rzecz całą – odrzekł proboszcz – ja i majster Mikołaj, nasz zacny balwierz, wybraliśmy się do Sewilli po odebranie sześciu tysięcy franków, które jeden z naszych krewnych przysłał z Indii. W drodze napadło nas czterech złodziei, ci zrabowali nas do szczętu i nawet brodę zabrawszy cyrulikowi, zmusili go, że krowi ogon do podbródka przyprawić sobie musiał. Zrabowali również tego młodzieńca – rzecze, wskazując Kardenia. – Dowiedzieliśmy się później, że te łotry byli galernikami, których dzielny jakiś rycerz wyzwolił z kajdan, mimo oporu komisarza i straży. Sądzić wypada, że rycerz ów musiał być szalonym, albo takim samym zbrodniarzem, jak ci, których uwolnił, kiedy miał sumienie puszczać na wolność wilki, ażeby owce pożerały. I z tego względu wreszcie uważać go należy za szaleńca, iż nie szanując praw, zapomniał, co winien królowi i sprawiedliwości i zrobił się opiekunem wichrzycieli spokojności publicznej.

Sancho opowiedział był proboszczowi cały wypadek z galernikami, ten zaś obecnie pozwolił sobie zrobić z niego użytek, chcąc łatkę przypiąć naszemu rycerzowi i dowiedzieć się, co też on na to powie. Ale Don Kichot to rumienił się tylko, to znów bladł za każdym słowem, a sam ani się przyznał, że był oswobodzicielem zbrodniarzy.

– Ci to złoczyńcy – mówił dalej proboszcz – w takim nas pozostawili stanie, niech im Bóg nie pamięta, jako i temu, co przeszkodził sprawiedliwości wymierzyć karę za ich występki.

Rozdział III

Obejmujący dziwną historię księżniczki Mikomikonu

Jeszcze proboszcz nie skończył mówić, gdy Sancho odezwał się:

– Na moją poczciwość, księże proboszczu, otwarcie mówiąc, to nie kto inny, jeno mój pan tak się pięknie sprawił, pomimo najusilniejszych z mej strony perswazji; bo ja gadałem ciągle, że to wielki grzech przywracać wolność złym, których karzą za ich niegodziwości.

– Przemierzły zdrajco! – krzyknął Don Kichot – cóż to ty sobie myślisz? alboż to przystoi rycerzom błędnym pytać się uciśnionych, czy są słusznie karani, czy nie? Do nas należy wspierać cierpiących, nie pytając o czyny! Spotkałem gromadę nieszczęśliwych, nawleczonych na łańcuch jak ziarna różańca, i uczyniłem ku ich pomocy to, co mi religia moja nakazywała i czego rycerski zakon wymagał. I cóż mieć można przeciw temu? Niech mi ktokolwiek zaprzeczy, a wyjąwszy księdza proboszcza, którego charakter poważam, pokażę mu, że nie zna obowiązków błędnego rycerza i że kłamie nikczemnie! a dowiodę tego z mieczem i włócznią, konno lub pieszo, jak się komu podoba.

Mówiąc to, rycerz nasz zasiadł się silniej na strzemionach i zapuścił przyłbicę, gdyż szyszak Mambryna nosił zawieszony przy siodle, od czasu jak go galernicy pogięli.

Dorota, bardzo dowcipna i żartobliwa z natury, znając już chorobę Don Kichota i widząc zresztą, że wszyscy z niego żartują, wyjąwszy Sancho Pansę jednego, któremu niemniej jak panu klepki w głowie brakowało, zapragnęła wziąć udział w zabawie i na ten gniew Don Kichota tak do niego przemówiła:

– Panie rycerzu, przypomnij sobie proszę słowo dane mi przez siebie. Pomnij, że nie wolno ci przedsiębrać żadnej a żadnej przygody, dopóki nie przywrócisz mi tronu. Uspokój się więc, na Boga, i wierz mi, że gdyby ksiądz proboszcz wiedział, iż to twoja waleczność wyzwoliła galerników, wolałby tysiąc razy dać sobie język uciąć, niżeli jednym choć słowem niemiłym osobę twoją zadrasnąć.

– Zapewniam was o tym – rzecze proboszcz – wolałbym nawet, aby ci złoczyńcy wyrwali mi wąsy włosek po włosku!

– Bądź pani spokojna – rzecze Don Kichot – nie powiem nic już więcej i nie wmieszam się do niczego, dopóki nie dopełnię swojej obietnicy. Lecz nawzajem błagam cię, piękna księżniczko, opowiedz mi historię swoich nieszczęść, jeżeli nie zależy ci na ukryciu ich, jacy to ludzie i wielu ich jest, na których użalasz się i zemsty mojej przyzywasz.

– Uczynię to z całego serca – odpowie Dorota – lecz obawiam się bardzo znudzić was opowiadaniem rzeczy nieprzyjemnych.

– Nie, nie pani, przeciwnie, zobowiążesz nas jak najmocniej, księżniczko.

Kardenio i cyrulik przybliżyli się do księżniczki, ciekawi usłyszeć, co też naprędce wymyśli, a Sancho, nie ustępujący ani na jotę panu

swemu, w zupełnym w tej mierze obłędzie poskoczył jeszcze prędzej, nadstawiając uszu.

Dorota poprawiła się na mule jak mogła najlepiej, a kaszlnąwszy, splunąwszy i nos utarłszy, z najpoważniejszym wdziękiem tak rozpoczęła opowiadać swoją żałosną historię:

– Przede wszystkim wiadomo panom, że się nazywam... – Tu zatrzymała się na chwilę, gdyż jak na złość zapomniała imienia, jakie jej dał proboszcz; szczęściem przezorny pleban przybył jej na pomoc w niespodzianym kłopocie.

– Nic dziwnego, pani – rzekł jej – że wasza wysokość mieszała się przy opowiadaniu swych nieszczęść, jest to zwyczajny skutek wielkich cierpień, że niszczy pamięć i wyobraźnię, a wielka księżniczka Mikomikona musiała dużo przenieść na sobie, kiedy tyle ziem i mórz przebyła szukając ratunku.

– Wyznaję – rzecze Dorota – że w tej chwili przedstawił się pamięci mojej tak straszliwy obraz przyszłości, iż nie wiedziałam, co mówię. Teraz jestem już spokojna i mam nadzieję, że się potrafię obejść bez pomocy. I to wiadomo panom, że jestem prawą dziedziczką wielkiego Mikomikonu królestwa i że król mój ojciec, który nazywał się Tinacrio, mądry był niezmiernie i głęboko uczony w magii; zbadał on swoim rozumem, że matka moja, królowa Ksaramilla, ma umrzeć przed nim, że on sam wkrótce po niej życie utraci, a ja pozostanę sierotą. Wiadomość ta jako z porządku natury wynikająca, nie zmartwiłaby go tak bardzo, gdyby zarazem przez nieomylną sztukę swoją nie przewidział, że pewien olbrzym ogromny, pan wielkiej wyspy, która leży na granicy mego królestwa, nazwany Pandafilando posępnooki, stąd, że zawsze patrzył spode łba i jakby zezem, owóż tedy, że ów olbrzym, dowiedziawszy się o moim sieroctwie, niespodzianie, na czele wielkiej armii rycerstwa, wkroczy do mego państwa i wyzuje mnie

z niego zupełnie, nie zostawiając nawet najmniejszej nawet wioseczki na schronienie. Dalej przewidział ojciec mój, że potrafiłabym ujść klęski, zaślubiając go, lecz na to zgadzać się nie będę. Miał słuszność drogi ojciec! za nic w świecie nie chciałam iść za owego olbrzyma i za żadnego innego nie pójdę, chociażby był dwa razy większy i straszliwszy. Powiedział mi jeszcze ojciec, żebym po jego śmierci, widząc Pandafilanda, wstępującego na moją ziemię, nie broniła się wcale, lecz ażebym zostawiwszy mu królestwo, wybrała kilku najwierniejszych poddanych i z nimi udała się do Hiszpanii. Tam znajdę potężnego opiekuna w osobie rycerza błędnego, który będzie znany po całej ziemi z waleczności i siły swojej. Rycerz ten miał się zwać, o ile pamiętam Don Chikot, czy Don Szigot...

– Mówcie Don Kichot, wielka księżniczko – przerwał Sancho – albo Rycerz Posępnego Oblicza.

– A tak, tak, prawda – rzecze Dorota – drogi ojciec mówił mi także, że rycerz ten będzie wysoki, wychudły na twarzy, a poniżej lewego ramienia mieć będzie czarne znamię, końskim porosłe włosem.

Don Kichot przywołał Sanchę i rzekł:

– Słuchaj moje dziecko, pomóż mi prędko rozebrać się, niech dowiem się natychmiast, czy to o mnie mówił ten mądry król.

– Dlaczego chcesz się rozbierać, panie rycerzu? – spyta Dorota.

– Chcę zobaczyć, czy mam znamię, o którym mówicie – odpowie Don Kichot.

– Nie ma wcale potrzeby rozbierać się – rzecze na to Sancho – widziałem dobrze, że pan masz takie znamię na czwartym pacierzu, i to oznacza wielką siłę.

– To dosyć – rzecze Dorota – między przyjaciółmi na co sprawdzać rzeczy, a to znów nic nie stanowi, czy znak z prawej, czy z lewej strony znajduje się, byle tylko był na tym samym ciele. Teraz

przyznaję, że drogi ojciec przewidział dobrze wszystko, a ja jeszcze lepiej zrobiłam, udając się do rycerza Don Kichota, którego postać i twarz zgadzają się tak dokładnie z opisem przez ojca mi podanym, a którego sława brzmi nie tylko w Hiszpanii, ale i w całej Manchy, tak rozgłośnie i hucznie, gdyż zaledwie wylądowałam w Osunie, zaraz doszły mnie o nim cuda i dziwy, i odtąd serce mówiło mi, że to jest rycerz, którego mam szukać.

– Lecz jak to być może, pani – rzecze Don Kichot – że wylądowałaś w Osunie, gdzie wcale morza i portu nie ma?

– Księżna pani – przerwie proboszcz – chciała powiedzieć zapewne, że wylądowawszy w Maladze, w Osunie dopiero o was usłyszała.

– To właśnie chciałam mówić – odpowiedziała Dorota.

– Niech wasza królewska mość raczy kończyć, jeśli się jej podoba – dodał proboszcz.

– Już nie mam nic do powiedzenia więcej – rzecze Dorota – chyba to tylko, że na koniec szczęśliwy los zdarzył mi spotkać rycerza Don Kichota, który, jestem pewna, powróci mnie na tron mych przodków, zwyciężając zdrajcę Pandafilanda posępnookiego. Zapomniałam wam dodać jeszcze, że król Tinacrio zostawił mi papier napisany po grecku, czy też po arabsku, którego czytać nie umiem, a w którym rozkazuje mi wyraźnie, abym, jeśli rycerz, przywróciwszy mnie na tron, zażąda mojej ręki, bez żadnej wymówki zezwoliła na to natychmiast i ofiarowała mu państwo i osobę moją.

– I cóż ty na to, przyjacielu Sancho, hę? – rzecze Don Kichot – słyszysz, co to się dzieje? a wiele ci to ja razy mówiłem? Widzisz sam teraz, czy nie mamy królestw na nasze rozkazy i królewien, co się nam w małżeństwo oddają?

– Ba! – rzecze Sancho – aleśmy też wyczekali się na nie i twardo je wysłużyli. Huncwotem będzie, kto nie pośpieszy zatłuc na śmierć wielmożnego Panta-Tichado i nie zaślubi natychmiast panienki księżniczki! Alboż nie jest dosyć piękną? He! he! chciałbym, żeby wszystkie pchły w moim łóżku były do niej podobne – kończąc te piękne uwagi, szanowny giermek podskoczył dwa razy i uderzył się piętami na znak radości. Następnie, ukląkłszy przed Dorotą, błagał ją, aby mu rękę ucałować pozwoliła na dowód, że uznaje ją odtąd za panią i królową swoją. Trzeba było być takim wariatem, jak pan i sługa, ażeby nie pękać ze śmiechu z prostoty pierwszego i szaleństwa drugiego. Dorota podała rękę do pocałowania Sanchy i przyrzekła go zrobić wielkim panem w swoim królestwie, skoro tylko doń powróci. Sancho podziękował, palnąwszy komplement tak straszliwy, że wszyscy śmiać się zaczęli.

– Oto jest – rzecze, uspokoiwszy się, Dorota – cała historia moich nieszczęść, pozostaje mi tylko jeszcze dodać, że ze wszystkich, którzy opuścili ze mną królestwo; aby mi służyć, tylko ten jeden brodaty giermek mi pozostał, reszta zginęła podczas wielkiej burzy w porcie. Tylko my dwoje ocaleliśmy, płynąc na desce, i ta okoliczność utwierdza mnie w mniemaniu, że niebo zachowuje dla mnie dni pomyślniejsze.

– Dni te już nadeszły, najdostojniejsza damo – rzecze Don Kichot – potwierdzam dane wam przyrzeczenie i na nowo przysięgam iść za tobą choćby na koniec świata i nie opuścić cię, dopóki twemu okrutnemu nieprzyjacielowi, przy pomocy niebios i dzielności mego ramienia, dumna głowa z karku nie zleci. A to stać się musi, choćby był waleczniejszym od samego Marsa; kiedy zaś przywrócę ci państwo twoje, księżniczko, wolność rozporządzenia swoją osobą pozostanie przy tobie, gdyż co do mnie, dopóki wolność moja poddana będzie prawom tej... nie mogę powiedzieć nic więcej...

dopóty niepodobna mi jest żenić się choćby z samym nawet feniksem.

Sancho Pansa, słuchając bacznie odpowiedzi swego pana, tak był zasmucony ostatnimi jego słowy, iż nie mógł wstrzymać się od okazania mu swego zmartwienia.

– Niechaj nie doczekam ostatniej godziny! – zawołał – wielmożny Don Kichocie, co też wy mówicie, musieliście już zupełnie stracić rozum! Jak mi Bóg miły! czyż podobna wahać się jeszcze w przyjęciu ręki tej wielkiej księżniczki? Cóż wam się dzieje? a toć to samo szczęście w ręce wam lezie! Kawał świata człek schodzi, nim mu się tak dogodzi! bo to takie skarby, to nie przy lada krzaku na drodze napotkać podobna. Może ta wasza Dulcynea piękniejsza, co? Patrzcie ją, koczkodan! ani jej wodę nawet nosić za naszą piękną księżniczką. Jakże ja się wreszcie dochrapię owego hrabstwa, które mi po tylekroć przyrzekaliście? Drzeć łyko, póki można. Pieczone gołąbki same idą do gąbki. Do wszystkich czartów, co tu mitrężyć! Nie ma żartu! żeń się, panie rycerzu i basta, łap królestwo, kiedy ci samo na nos spada, a jak pan zostaniesz królem, zrób mnie zaraz grafem albo markizem, zresztą już się nie pytam, niechaj je tam diabli biorą!

Do żywego dobodły Don Kichota bluźnierstwa Sanchy przeciw pannie Dulcynei. Uniesiony skrytym gniewem, podniósł dzidę w milczeniu i palnął nią tak silnie w głowę biednego giermka, że powalił go od razu na ziemię i gdyby go Dorota nie wstrzymała, zabiłby pewnie Sanchę, w tak straszną wpadł wściekłość.

– Co ty sobie myślisz, nędzny chłopie? – zawołał – czy ja to zawsze mam znosić twoje zuchwalstwa i przebaczać ci wszystko? Tak to myślisz, opętana bestio, opętana niezawodnie, bo ośmieliłeś się otworzyć usta przeciwko nieporównanej Dulcynei? Nie wiesz więc, zbóju, że ona użycza mi waleczności i siły, że bez niej nie

zdolny byłbym zwalczyć dziecka nawet? Gadajże mi zaraz, smoczy pysku, co ty sobie myślisz? Kto zdobył królestwo, kto ściął łeb olbrzymowi i kto cię zrobił markizem (bo ja to wszystko mam już za dokonane), jeżeli nie męstwo samej Dulcynei, która używa tylko mego ramienia do swoich wielkich czynów? To ona walczy we mnie! ona odnosi moje zwycięstwa, a ja znów żyję i oddycham w niej tylko i od niej to mam życie i moc! Podły, jaszczurczy języku, jakże niewdzięczny jesteś! Dopiero co wyniosłem cię z prochu na stopień wielkiego pana, a ty w ślepym uniesieniu ośmielasz się szkalować tych, którzy cię dobrodziejstwami obsypali.

Sancho, mimo bólu i strachu, słyszał jednakże wszystko, co pan mówił, lecz nie zaraz mu odpowiedział, bo chciał sobie zapewnić bezpieczniejszą na wszelki wypadek pozycję. Podniósł się więc, jak mógł najśpieszniej i stanąwszy za mułem księżniczki, tak się odezwał do Don Kichota:

– To tak, panie? a powiedz no mi proszę z łaski swojej, jakim sposobem, nie żeniąc się z księżniczką, a więc, nie mając królestwa, wynagrodzicie mnie wedle obietnicy waszej? O to ja się tylko gniewam, a czy nie mam racji? bo na co tu i po co stroić ceregiele w przyjęciu ręki królewny, kiedy ją macie tu jakby z nieba spadłą? Można zostać wdowcem potem i powrócić sobie znów do swojej Dulcynei. Rzecz prosta, jak drąg! Co do piękności, prawdę mówiąc, obydwie wydają mi się bardzo piękne; tym bardziej, że pani Dulcynei nigdy na oczy nie widziałem.

– Jak to? nie widziałeś jej, zdrajco! A niedawno przynosiłeś mi od niej odpowiedź?

– Mówię, że nie widziałem jej nigdy dosyć – odpowie Sancho – ażeby ocenić w szczegółach jej piękność, tak niby... w masie za to znajduję ją prześliczną.

– Przebaczam ci – rzecze Don Kichot – a ty wybacz mi również małą nieprzyjemność, jaka cię spotkała, w pierwszym impecie człek nie ma mocy nad sobą.

– Czuję to dobrze – odpowie Sancho – bo sam zawsze mam taki impet w języku, że jak zaświerzbi, to ani mu się oprzeć i choć raz na miesiąc przynajmniej muszę koniecznie wygadać wszystko, co mam na sercu.

– Z tym wszystkim, Sancho – rzecze Don Kichot – bacz w przyszłości na to, co mówisz, ostrzegam cię, bo do czasu dzbanek wodę nosi... rozumiesz, domyśl się reszty.

– Więc dobrze – rzecze Sancho – Pan Bóg z nieba patrzy, co się tu dzieje na ziemi i rozsądzi nas: kto gorzej robi, czy ja źle mówiąc, czy wasza wielmożność źle czyniąc.

– Dosyć tego – rzecze Dorota – Sancho, idź ucałować rękę swego pana i rycerza i proś go o przebaczenie, a pamiętaj na drugi raz ganić i chwalić z większą roztropnością, nade wszystko zaś nie mów nic złego o tej damie z Toboso, której nie znam, ale którą kocham z całego serca, ponieważ sławny Don Kichot ją uwielbia. Zresztą zaufaj mi, a nagroda cię nie ominie.

Sancho, zwiesiwszy pokornie głowę, prosił swego pana o podanie mu ręki, który uczynił to z wielką powagą. Gdy już ucałował dłoń dostojną i odebrał błogosławieństwo rycerza, Don Kichot oddalił się nieco i kazał giermkowi iść za sobą, gdyż miał go zapytać o rzecz wielkiej wagi. Wysunęli się więc naprzód i Don Kichot, widząc, iż są dostatecznie od reszty towarzystwa oddaleni, rzekł:

– Przyjacielu Sancho, nie miałem dotąd czasu wypytać cię o szczegóły poselstwa, teraz, gdy jesteśmy sami, opowiedz mi, proszę, wszystko z kolei, co zaszło i uwiadom mnie o wszystkim, o co cię pytać będę.

– Zapytujcie, o co chcecie, panie, a będziecie zadowoleni, lecz błagam, nie bądźcie na drugi raz tak gwałtowni.

– Do czego zmierzasz, Sancho? – zapytał Don Kichot.

– Mówię to – odrzecze Sancho – ponieważ dwa uderzenia dzidy otrzymałem w kłótni, którą mieliśmy z galernikami, a nie za to, ażebym mówił co przeciw pani Dulcynei, którą czczę jakby relikwie, chociaż tego nie warta, lecz dlatego, że należy do pana.

– Sancho – rzecze Don Kichot – raz na zawsze porzućmy takie rozmowy, krótko mówiąc, one mnie martwią, przebaczyłem ci tyle razy, a wiesz, co powiadają: „za nowy grzech, nowa pokuta".

Gdy tak mówili, spostrzegli na drodze człowieka, jadącego na ośle, którego wzięli za Cygana. Sancho, który, od chwili utraty osła nie mógł patrzeć na te zwierzęta bez żywego bicia serca, zaledwie zobaczył tego człowieka, poznał w nim natychmiast Ginesa z Pasamonte.

Gines, przebrawszy się za Cygana, znał bowiem dobrze ten język, chciał tym sposobem ukryć kradzież i ułatwić sobie sprzedaż osła, którego przebrał także, lecz Sancho, poznawszy równie dobrze osła, jak jeźdźca, krzyknął z całego gardła:

– Ha, zbójco Ginesilli, powróć mi moje dobro, mój spokój i życie moje, oddaj mi mego osła, moją radość, moją pociechę; uciekaj, zbóju, zmykaj, psi synu, a puść mego osiołka.

Nie potrzeba było tak długiej przemowy, bo Gines, usłyszawszy Sanchę, skoczył na ziemię i szybkim kłusem, bardzo zbliżonym do galopu, uciekał przed nieprzyjaciółmi, którzy ani myśleli go ścigać. Sancho zbliżył się do swego osiołka i uścisnąwszy go czule:

– A cóż – rzecze do niego – jak się miewasz, moje dziecko, burku mój kochany, drogi towarzyszu, wieczny mój przyjacielu? – i to mówiąc, całował i pieścił osła, jakby jaką najdroższą osobę w świecie.

Osioł na to wszystko nie wiedział, co odpowiedzieć, pozwolił się pieścić i całować, nie przemówiwszy ani pół słowa.

Wkrótce całe towarzystwo połączyło się i każdy winszował Sanchy, że znalazł osła, a Don Kichot ponowił mu obietnicę darowania trzech osłów.

Gdy nasz rycerz z giermkiem naradzali się, proboszcz rozmawiał z Dorotą, chwaląc jej dowcip i zręczność, jakich dała dowody. Dorota odpowiedziała, że czytając dużo rycerskich romansów, znała ich styl, lecz zupełna nieznajomość geografii zmusiła ją wylądować w Osunie. Następnie mówili o łatwowierności Don Kichota, który wszystkiemu, co nadzwyczajne, natychmiast wierzy, a to tym dziwniejsze, że nasz rycerz w każdym innym przedmiocie posiadał wiele wykształcenia i wyrobionego smaku.

Don Kichot, oddaliwszy się znów od reszty podróżnych, rzecze do Sanchy:

– Przyjacielu, powiedz mi, jak zastałeś Dulcyneę, co robiła, co jej mówiłeś i jak ci odpowiadała, z jakim usposobieniem przyjęła mój list i kto go przepisywał, na koniec mów mi wszystko, ażebym wiedział, jak rzeczy stoją.

– Panie! – odpowie Sancho – prawdę mówiąc, nikt nie przepisywał listu, gdyż go nie wziąłem wcale.

– Masz słuszność – rzecze na to Don Kichot – we dwa dni po twym odjeździe znalazłem karteczki i sądziłem, że wrócisz po nie.

– Byłbym to uczynił – rzecze Sancho – gdybym listu nie umiał na pamięć, podyktowałem go jakiemuś zakrystianowi, który przepisawszy go, niezmiernie się nad pięknością stylu unosił i przysięgał, iż w życiu swoim nic podobnego nie czytał, chociaż odebrał najmniej z tysiąc ogłoszeń o pogrzebach i różnych ekskomunikach.

– A pamiętasz go jeszcze? – rzecze Don Kichot.

– Nie, panie – odpowie Sancho – jak tylko zobaczyłem, że już napisany, wziąłem i zapomniałem tamten zaraz, pamiętam tylko o tej długiej podziemnej damie, a także i koniec: Twój do grobowej deski Rycerz Posępnego Oblicza, i wreszcie ochapia mi się coś, że w środku było ze trzysta razy o duszy, życiu, oczach i miłości.

Rozdział IV

W którym opisana zabawna rozmowa Don Kichota z Sanchą

– Dotąd wszystko dobrze – rzecze Don Kichot – mów dalej Sancho: gdy przybyłeś, co robiła królowa piękności? zastałeś ją pewnie nawlekającą perły lub haftującą bogatą szarfę ze złota i atłasu dla swojego rycerza i niewolnika?

– Znalazłem ją – odpowie Sancho – jak zaczyniała mąkę na chleb na podwórku.

– Nie widziałżeś, że każde ziarno dotknięte jej ręką zamieniało się w perłę i było zapewne z czystej pszenicy.

– Ale gdzie tam, była to mąka z owsem.

– Piękne jej ręce – rzecze Don Kichot – zrobiły z niej najsmaczniejszy chleb zapewne, ale o to mniejsza; kiedy oddałeś jej list, czy nie ucałowała go i nie włożyła go sobie na głowę w radości niezmiernej? Cóż uczyniła wreszcie?

– Dzieża była już pełna prawie – odpowie Sancho – gdy jej list podawałem, tak się w niej babrała, że nie biorąc listu, rzekła mi: „połóż asan list na worku, nie mogę czytać, aż skończę".

– Jaka cudowna dyskrecja! uczyniła to, ażeby przeczytać list w samotności, żeby nikt nie był świadkiem rozkoszy jej serca, a potem, czy rozmawiałeś z nią, czy pytała o mnie, nie ukrywaj nic, niecierpliwość mnie pożera.

– Onać się o nic nie pytała wprawdzie – odpowiedział Sancho – ale ja za to opowiedziałem jej wszystko, to jest: jak pan pokutowałeś dla jej miłości, goły od pięt do pasa, śpiąc na ziemi, jedząc trawę, nie czesząc nigdy brody, becząc jak cielę i przeklinając losy.

– Źle uczyniłeś – rzecze Don Kichot – mówiąc, że przeklinam losy, przeciwnie, błogosławię fortunę i błogosławić zawsze ją będę, że uczyniła mnie godnym kochania tak wielkiej damy, jak Dulcynea z Toboso.

– Oho! co do wielkości, to prawda – rzecze Sancho – wyższa jest ode mnie o pół stopy.

– Jak to? Sancho – odpowie Don Kichot – ty ośmieliłeś się z nią mierzyć?

– Mierzyliśmy się – odpowie Sancho – gdym jej pomagał wkładać worek z mąką na osła, byliśmy wtedy tak blisko siebie, że mogłem poznać, iż mnie o głowę przerasta.

– Nieprawdaż – rzecze Don Kichot – że ta bogata kibić jaśnieje tysiącem wdzięków? Nie zaprzeczysz mi pewnie jednej rzeczy: zbliżywszy się do niej, uczułeś zapewne tę woń cudowną, to coś nieokreślenie miłego, czego nazwać niepodobna, jakiś subtelny wyziew, czarujące tchnienie, które cię zabalsamowało wonnością, jakbyś się znajdował w sklepie najlepszego perfumiarza?

– Zdaje mi się – rzecze Sancho – że uczułem coś, niby jakby wyziew, ale dalipan nie pachniało, jeno zwyczajnie jak to pot, kiedy bije od człowieka, a jeszcze bardziej od dziewki, gdyż tęgo była zgrzana i oblana znojem.

– To nie może być – rzecze Don Kichot – musiałeś mieć katar, albo wąchałeś samego siebie, bo ja wiem, jak pachnieć musi ta róża bez cierni, ta lilia polna, ten bursztyn przeczysty!

– Nie mam nic przeciwko temu – odpowie Sancho – i ode mnie bije często zapach zupełnie taki sam, jakim czuć jej wielmożność panią Dulcyneę, lecz nie ma w tym nic dziwnego, jeden diabeł podobny do drugiego.

– A skoro ukończyła robotę, cóż uczyniła z moim listem?

– Nic – rzecze Sancho – odpowiedziała, że ani pisać, ani czytać nie umie, podarła go w kawałki, mówiąc, że nie chce, ażeby kto inny czytał jej sekreta, że poprzestaje na tym, co słyszała ode mnie o miłości waszej i o pokucie, że całuje obie ręce waszej wielmożności, że więcej ma chęci widzieć was, niż wasze pismo, że wreszcie prosi bardzo, abyście wrócili do Toboso, jeżeli wam do tego nic nie przeszkadza, a myślałem, że pęknie ze śmiechu, kiedy jej powiedziałem, że nosicie przydomek Rycerza Posępnego Oblicza. Pytałem, czy Biskajczyk był u niej, odpowiedziała, że był, co zaś do galerników, z tych ani jednego nie widziała.

– Teraz powiedz mi – rzecze Don Kichot – przy pożegnaniu, jaki podarunek ci dała, gdyż według obyczaju błędnego rycerstwa, damy i kawalerowie obdarzają zwykle bogatym posłańca pierścieniem.

– Tak być powinno – odpowiedział Sancho – i chwalę mocno ten obyczaj, ale to tylko praktykowało się za dawnych czasów, widać teraz dają kawałek chleba i sera, tak przynajmniej pożegnała mnie pani Dulcynea, podawszy mi przez mur kawał starego sera, ale co tam, byle brzuch napchać.

– O! ona jest bardzo wspaniała – rzecze Don Kichot – a jeżeli nie dała ci teraz żadnego diamentu, to niezawodnie da ci później. Ale wiesz, co mnie dziwi, Sancho, to to, że podróż tę zrobiłeś jakby na skrzydłach, bo nie bawiąc trzech dni, przeleciałeś trzydzieści dobrych mil tam i na powrót i jestem przekonany, że mędrzec Megromam, który zajmuje się mymi interesami, wspierał cię

pewnie w podróży, chociaż tego nie uważałeś, bo są tacy mądrzy, że biorą czasem rycerza uśpionego z łoża i przenoszą go o dwa lub trzy tysiące mil z miejsca na miejsce przez noc jedną; inaczej błędne rycerstwo nie mogłoby się wspierać wzajemnie, jak to czyni. Zdarza się czasem, że jeden rycerz walczy w górach Armenii z Andriagiem lub innym potworem i już ma ginąć, kiedy nagle spostrzega na chmurze lecącego w pomoc drugiego rycerza, który przybywa z Anglii ocalić mu życie; dlatego nie dziwię się, przyjacielu Sancho, że wróciłeś z takim pośpiechem, niezawodnie prowadzono cię w ten sposób.

– To być bardzo może – rzecze Sancho – bo uważałem, że Rosynant leciał jak cygański osioł, zdawało się, że ma żywe srebro w uszach.

– Powróćmy teraz do naszych interesów, Sancho. Jak myślisz, czy mam wykonać rozkaz Dulcynei i udać się do niej? lecz znów związałem się słowem względem księżniczki, a prawa rycerstwa nakazują mi dotrzymać obietnicy; z jednej strony porywa mnie gorąca chęć zabawienia damy mojej, z drugiej znów chwała mnie przyzywa. Ale pogodzę to wszystko, pójdę szybko, znajdę olbrzyma, utnę mu głowę i osadziwszy księżniczkę na tronie, natychmiast powrócę do świetnej gwiazdy mojego serca, przed którą wytłumaczę się, że dla większej chwały jej imienia opóźniłem powrót, gdyż cześć, jaką zdobyłem, zdobywam i zdobywać będę, pochodzi z łask, których mi ona użycza.

– Aj, aj! – rzecze Sancho – wiecznie jedna śpiewka, jakże u diabła, chcesz pan taką podróż robić na próżno i stracić sposobność małżeństwa, które w posagu królestwo przynosi? a to królestwo, które, jak słyszałem, więcej niż dwadzieścia tysięcy mil ma obwodu, obfitujące we wszystko, większe samo jedno niż Kastylia i Portugalia razem. Na moją duszę panie, słuchajcie mojej rady

i żeńcie się w pierwszej lepszej wsi, gdzie spotkacie jakiego księdza, jeśli nie, to nasz proboszcz odprawi ceremonię; słuchajcie mnie i miejcie rozum, musieliście słyszeć mówiących, że lepszy wróbel w ręku, niż bażant w powietrzu, a kiedy dają, to brać, bo to, panie, czas płaci, czas traci.

– Sancho – odpowie Don Kichot – radzisz mi żenić się dlatego, ażebym, zostawszy królem, dał ci przyrzeczoną nagrodę; nie bój się o to, znalazłem ja sposób zadowolenia cię, położę księżniczce warunek, że skoro tylko na tron powróci, odda mi część królestwa, którą dla ciebie przeznaczam.

– A to pięknie! – odpowie Sancho – tylko proszę waszej wielmożności, wybrać mi prowincję nadmorską, ażebym mógł spławiać Murzynów na targ. Nie ma teraz po co jeździć do pani Dulcynei. Ruszajmy co prędzej zagłuszyć tego psubrata olbrzyma i skończmy już raz ten interes.

– Upewniam cię, Sancho – rzecze Don Kichot – że posłucham twojej rady; nie mów tylko nic przed nikim, o czym rozmawialiśmy, gdyż Dulcynea jest tak skromna, że miałaby mi za złe, iż odkrywam tajemnicę naszych uczuć.

– A po cóż posyłacie, panie, do niej ludzi, których zwyciężacie? wszakże kazać iść komuś rzucać się jej do nóg, znaczy uwiadomić go jawnie, że ona jest waszą kochanką.

– Jakżeś ty głupi! – krzyknął Don Kichot – nie pojmujesz, że to dla jej chwały czynię, wiedz, że jedna dama może mieć wielu błędnych rycerzy, którzy jej służąc, nie śmieją żądać żadnej nagrody, prócz tego, aby raczyła ich przyjąć na swoich rycerzy.

– Myślę, że chyba żartujecie sobie ze mnie, dostojny rycerzu – rzecze Sancho – wprawdzie słyszałem ci ja na kazaniu, że trzeba kochać Pana Boga tylko dla Niego, nie myśląc ani o piekle, ani

o niebie, ja też kocham Go na wszelki przypadek, nie wiedząc, co tam później nastąpi.

– Czy wiesz – rzecze Don Kichot – że jak na chłopa, mówisz czasem rzeczy zadziwiające, można by myśleć, że uczyłeś się kiedy.

– Nie umiem czytać – odpowie Sancho – lecz muszę którego dnia wziąć się i nauczyć, bo kto tam wie, może mi się to i przyda kiedy na co.

W tej chwili usłyszeli głos cyrulika, że księżniczka pragnie odpocząć przy źródle; ucieszyło to bardzo Sancha, który bał się, żeby go rycerz na jakim kłamstwie nie złapał, bo, jak wiemy, Dulcynei nigdy w życiu nie widział, a na złodzieju zawsze czapka gore.

Kardenio przywdział suknie, które poprzednio miała na sobie Dorota, wszyscy zasiedli przy źródle, posilając się dostarczoną przez proboszcza żywnością.

Gdy jedli, przechodził koło nich młody chłopiec, a przypatrzywszy się wszystkim pilnie, przystąpił do Don Kichota, ucałował jego nogi, wołając z płaczem:

– Dobry panie, czyliż mnie nie poznajecie, nie przypominacież sobie Andrzeja, którego uwolniliście od katowni niemiłosiernego gospodarza?

Don Kichot poznał go po tych słowach i wziąwszy go za rękę, przedstawił towarzystwu, mówiąc:

– Wiecie, jakie są obowiązki błędnego rycerstwa. Niedawno, przejeżdżając przez las, usłyszałem krzyki i żałosne jęki, pobiegłem natychmiast w tę stronę, aby zadowolić popęd wrodzony i znalazłem tego chłopca w dziwnym stanie. Był do drzewa przywiązany i wpół nagi, a jakiś silny, ogromny chłop chłostał go niemiłosiernie; zapytałem go, dlaczego obchodzi się tak okrutnie z dzieckiem, odpowiedział mi, że to jest jego sługa, którego karze za lenistwo i oszustwo. – Panie – zawołał chłopiec – ćwiczy mnie

za to, że upominam się o zasługi. Chłop chciał wytłumaczyć się, lecz rozkazałem mu rozwiązać malca i wykonać przysięgę, że zaprowadziwszy go do domu, wypłaci mu należność co do grosza; nieprawdaż, Andrzeju, przypominasz sobie, z jaką godnością gromiłem owego chłopa i z jakiem uszanowaniem obiecał wykonać moje rozkazy?

– Wszystko, co mówi wasza wielmożność, jest prawdą, lecz poszło całkiem inaczej, niż myślicie.

– Jak to – zawoła Don Kichot – nie zapłacił ci natychmiast?

– Nie tylko, że nie zapłacił – odpowiedział chłopiec – lecz zbił mnie jeszcze potem na kwaśne jabłko, żartował sobie z pana, a ja musiałem dotąd w szpitalu leżeć, tak mocno byłem pobity; prawdę mówiąc, to wszystko wam winienem, panie rycerzu, bo gdybyście przejechali las, nie wtrącając nosa do cudzej sprawy, mój pan, dałby mi był jakie dwadzieścia kijów i należność zapłacił pewno, lecz rozgniewany na was, pomścił się za to na mojej skórze.

– Szkoda tylko – rzecze Don Kichot – że za wcześnie odjechałem, ale czy przypominasz sobie, Andrzeju, jak zagroziłem chłopu, że jeśli nie wykona moich rozkazów, potrafię go ukarać, chociażby się ukrył we wnętrznościach ziemi?

– To prawda, panie rycerzu, pamiętam dobrze, że taka była wola wasza.

– Zobaczysz to zaraz – rzecze Don Kichot i mówiąc to, powstał szybko i rozkazał Sanchy okiełznać Rosynanta.

Księżniczka spytała, co czynić zamierza.

– Pojechać natychmiast, ukarać niegodziwego chłopa i kazać zapłacić wszystko, co winien biednemu chłopcu – odpowiedział Don Kichot.

– Lecz, panie rycerzu – rzecze Dorota – zapewniam, że podług obietnicy twojej, nie możesz przedsiębrać nic, dopóki mnie na tron

nie przywrócisz.

– Słuszność przemawia twymi usty pani, Andrzej musi zaczekać na mój powrót; lecz przysięgam na nowo, że nie spocznę, dopóki nie pomszczę krzywdy jego.

– Ufam waszej przysiędze – rzecze Andrzej – ale wolałbym kilka sztuk srebra na podróż do Sewilli, niż wszystkie zemsty w świecie. Panie rycerzu – rzecze dalej – każcie mi dać co przegryźć i kilka groszy na drogę i niech was Bóg ma w swojej opiece i wszystkich błędnych rycerzy.

Sancho dobył kawał chleba i sera i podał Andrzejowi.

– Masz, mój bracie – rzecze – każdy powinien czymś odpokutować za ciebie.

– Alboż wam ta żywność tak droga? – zapytał Andrzej.

– Ba, ba! – odpowie Sancho – dowiedz się, mój bracie Andrzeju, że giermkowie błędnych rycerzy mogą co dzień umrzeć z głodu i pragnienia, krom innych nie arcysmacznych kęsów, co im się obrywają, a o których się nie mówi.

Andrzej wziął chleb i ser, a widząc, że mu nic więcej nie dadzą, spuścił głowę i odwrócił się od towarzystwa. Przy pożegnaniu rzekł do Don Kichota:

– Na miłość Boga zaklinam was, panie rycerzu, drugi raz nie przybywajcie mi na pomoc, choćbyście mnie widzieli siekanego w kawałki, bo nic gorszego spotkać mnie w świecie nie może nad to, co mi sprowadziła opieka waszej wielmożności. Byle mnie Pan Bóg wysłuchał, to pewno was i wszystkich błędnych rycerzy, którzy się po świecie tłuką i jeszcze urodzić mają, razem czarci porwą. Tego wam życzę serdecznie.

Don Kichot porwał się, aby ukarać Andrzeja, lecz ten drapnął z kopyta, że ani podobna go było dogonić, a nasz rycerz pozostał zapalony w takim gniewie, że nikt z towarzystwa nie śmiał się już

z najmniejszym żartem odezwać z obawy, aby nie ściągnąć na siebie jego zemsty.

Rozdział V

Opisuje, co zaszło w zajeździe

Po skończonym posiłku jedni dosiedli wierzchowców, inni poszli piechotą i nazajutrz rano przybyli do oberży, której Sancho zapomnieć nie mógł.

Gospodarz, gospodyni, córka i Maritornes, z daleka już poznawszy Don Kichota i giermka jego, z oznakami radości wyszli na ich spotkanie. Nasz bohater przyjął ich ze zwykłą powagą i rozkazał sobie przygotować wygodniejsze niż poprzednio łóżko. Odpowiedzieli, że jeśli tylko dobrze zapłaci, dadzą mu książęcą pościel. Don Kichot obiecał i posłano mu w tym samym miejscu, gdzie spał już dawniej, lecz dzielny rycerz, utrudzony niezmiernie podróżą odprawianą w górach, usnął natychmiast.

Gospodyni, poznawszy cyrulika, skoczyła mu do twarzy, chcąc odebrać brodę. Cyrulik chciał gwałtem zatrzymać ogon, aż proboszcz wytłumaczył, że nie ma potrzeby dłużej przebierać się i że jeśliby przypadkiem Don Kichot spytał księżniczkę o giermka, odpowiedzieć może, iż wysłała go naprzód, aby uwiadomił poddanych, że przybywa wkrótce ze swoim wybawcą. Cyrulik oddał gospodyni ogon i wszystko, co od niej pożyczył.

Przygotowano obiad i całe towarzystwo zasiadło do stołu, prócz Don Kichota, któremu snu krzepiącego przerywać nie chciano.

Podczas obiadu zajmowano się szczególnym obłąkaniem biednego Don Kichota; gospodyni opowiadała przeszłe jego wypadki, a proboszcz utrzymywał, że czytanie romansów rycerskich było powodem jego nieszczęścia. Gospodarz stanął w obronie

romansów, dowodząc, że w jesieni, w święto zwłaszcza, można ich słuchać lub czytać z wielką przyjemnością.

– Ja sam – dodał w końcu – czytając opis straszliwych czynów błędnych rycerzy, umieram nieraz palony żądzą szukania przygód i nie znudziłbym się, czytając je dniem i nocą.

– Co do mnie zgodziłabym się chętnie na to – rzecze gospodyni – bo jak się zaczytasz, to zapomnisz przynajmniej na chwilę gderać po swojemu.

– Prawda, że te powieści są bardzo zabawne – rzecze Maritorna – że najbardziej mi się podobał opis pięknej damy, siedzącej z rycerzem pod pomarańczowym drzewem, kiedy ich pilnuje stara guwernantka.

– A twoje jakie zdanie, piękna panienko? – rzecze proboszcz, zwróciwszy mowę do córki gospodyni.

– Ja się na tym nie znam – odpowiedziała – słucham jak drudzy; niekiedy zdaje mi się, że się bawię, ale te wielkie czyny, o których wspomina mój ojciec, nie zajmują mnie wcale, a żale i skargi biednych rycerzy, oddalonych od kochanek, ściskają mi serce, że aż płaczę czasem.

– Pewna jestem – rzecze Dorota – że miałabyś więcej jeszcze litości, gdyby ci rycerze dla ciebie cierpieli, i nie pozwoliłabyś im pewnie długo płakać.

– Prawdziwie nie wiem, co bym zrobiła – odpowie młoda dziewczyna – lecz to pewna, że są panny tak okrutne, iż biedni rycerze nazywać je aż muszą lwicami i jeszcze gorzej jakoś; nie pojmuję doprawdy, skąd się te panny biorą, co nie mając honoru i sumienia, pozwalają umierać lub szaleć swoim kochankom; bo i na cóż te ceremonie? jeżeli je robią przez skromność, to lepiej niech idą zaraz za mąż za rycerzy, którzy tylko tego pragną.

– Milcz, mała – rzecze matka – za mądra jesteś; dziewczyna w twoim wieku nie powinna mieć takiego rozumu i paplać tak wiele.

– Ależ moja matko – odpowie dziewczynka – skoro ten pan pyta mnie, muszę mu przecie odpowiedzieć.

Proboszcz, dowiedziawszy się od gospodarza, że posiada rycerskie romanse zachowane w skrzyni, chciał je zobaczyć, do czego uprzejmy gospodarz chętnie się przychylił i wkrótce powrócił, niosąc stary tłumok, z którego wyciągnął trzy wielkie księgi i kilka manuskryptów. Proboszcz wziął książki; pierwsza z nich miała tytuł: *Don Cirongillo z Tracji*, druga *Don Feliks-Mars z Hirkanii*, a ostatnia historia wielkiego i sławnego wodza Gonzalva Hernandeza z Kordoby, razem z życiorysem Diega Garcii de Paredes.

Jak tylko proboszcz zobaczył dwie pierwsze, rzecze, spoglądając na cyrulika:

– Bracie, brakuje nam tylko ochmistrzyni i siostrzenicy Don Kichota.

– Obejdzie się bez nich – odpowie cyrulik – obejdzie, sam je wyrzucę przez okno, a właśnie i dobry ogień pali się na kominku.

– Jak to? panowie – krzyknął gospodarz – chcecie mi spalić te książki?

– Tylko dwie – odpowie proboszcz – tylko Don Cirongilla i Feliksa Marsa.

– Alboż są etyczne, że je na ogień skazujecie?...

– Chcesz powiedzieć heretyczne – rzekł, uśmiechając się, proboszcz.

– Jak tam chcecie – odpowiedział gospodarz – lecz jeśli już koniecznie żądacie coś spalić, oddaję wam z całego serca wielkiego wodza i Diega Garcię, ale pierwej pozwolę sobie spalić żonę i dzieci, niż te dwie piękne księgi.

– Ale, kochanku – rzecze proboszcz – te dwie książki są zbiorem kłamstw i głupstw do niczego niezdatnych, a ta znów jest prawdziwą historią czynów Gonzalva Hernandeza z Kordoby, istotnie wielkiego wodza i cudownej siły Diega Garcii de Paredes, który był znakomitym rycerzem z Estramadury, w mieście Truxillo urodzonym. Powiadają o nim, że raz, stojąc na brzegu mostu i oburącz mieczem siekąc, wstrzymał pochód całej armii. Wykonał jeszcze mnóstwo innych czynów wielkich, szkoda tylko, że je sam opisując, zbyteczną powodował się skromnością.

– Co to wszystko znaczy – przerwie karczmarz – w porównaniu z Feliksem Mars z Hirkanii, ten, panie dobrodzieju, jednym zamachem rozpłatał na połowę pięciu olbrzymów, jakby pięć szparagów, a napadłszy sam jeden na wielką armię, wyciął w pień szesnaście tysięcy od stóp do głów uzbrojonych żołnierzy. A cóż dopiero powiecie o Don Cirongillu z Tracji, który miał tyle odwagi, że raz nad brzegiem rzeki, zobaczywszy wychodzącego z niej ognistego smoka, skoczył doń i tak silnie ścisnął go rękoma za gardło, że smok, nie mogąc oddychać, zanurzył się na dno, a rycerz ani popuścił swej zdobyczy i poszedł z nim na dno. Tam znalazł się w wielkim pałacu, otoczonym pięknymi ogrodami. W tym pałacu pan smok zmienił się w szanownego starca, który mu opowiadał tak cudowne historie, o jakich nigdy nie słyszano. Tak! tak! księże proboszczu, jestem pewien, że oszalałbyś z radości, czytając tę historię.

Dorota, zwracając się do Kardenia, rzecze z cicha:

– Co myślisz o tym? jak pan sądzisz, czy wiele potrzeba naszemu gospodarzowi, żeby został drugim Don Kichotem?

– Znajduję go bardzo do tego usposobionym – odpowie Kardenio – ręczę, że wierzy w każde słowo romansu, jak w artykuł wiary,

i założyłbym się nawet z bosymi karmelitami, że go nie wywiodą z błędu.

– Ależ, mój bracie – mówił dalej proboszcz do gospodarza – czy sądzisz, że był kiedy na świecie jaki Cirongillo z Tracji, Feliks Mars z Hirkanii i wielu im podobnych; dowiedz się, że to są bajki, wymyślone przez ludzi nie mających nic lepszego do roboty. Raz się przekonaj i naucz, że ani słowa prawdy nie ma w tym wszystkim, co piszą o błędnym rycerstwie.

– Mów to pan komu innemu, nie mnie – na to mu gospodarz – nie złapiesz mnie na te gadaniny; nie jestem ja tak bardzo przemądrzały, ale przecież znajdzie się jeszcze niejeden głupszy ode mnie. Oho! mój dobrodzieju, raniej by wam wstać trzeba, aby mnie przekonać, że w drukowanych książkach, czarno na białym, mogą stać kłamstwa albo wymysły jakie. Ba, gadałbyś mu, albo by to rada królewska ścierpiała takie szalbierstwo, żeby miano drukować w mądrych książkach kłamstwa jakie lub bajdy, zdolne tylko głowę zawracać czytelnikom. Jutro, ale nie dziś. Mam ja przecież swój rozum.

— Mówiłem ci, mój przyjacielu – rzecze proboszcz – że takie książki służą do zabawy ludziom nieużytecznym i próżniakom, i tak jest w replice dobrze urządzonej, patrzą przez szpary na pewne gry, które są rozrywką dla ludzi, co pracować nie chcą lub nie muszą, tak samo pozwalają drukować podobne książki, bo nikomu nie przyjdzie do głowy, że znajdą się tacy głupcy, co uwierzą w prawdziwość tych historii. Gdybym miał czas po temu, a towarzystwo chciało posłuchać, powiedziałbym kilka słów w przedmiocie romansów, a mianowicie: jak pisać się powinny, żeby wartość miały; być może, że byłoby to i użyteczne, i przyjemne, lecz przyjdzie czas na to. W każdym razie, mój zacny gospodarzu, wierzaj temu, co mówiłem, i obróć to na swoją korzyść;

niech cię Bóg zachowa od tego, ażebyś miał naśladować Don Kichota.

– O! to znów próżna obawa – odpowie gospodarz – nie przyjdzie do tego, ażebym się miał rycerzem błędnym ogłaszać.

Sancho, który słuchał ostatniej części rozmowy, zdziwił się niezmiernie, dowiedziawszy się, że błędne rycerstwo jest tylko urojeniem, a wszystkie romanse są zbiorem próżnych wymysłów i kłamstw; stanął pełen smutku i niepewności i postanowił sobie oczekiwać, jak się wyprawa jego pana powiedzie, a jeżeli nie będzie tak szczęśliwa, jak sobie zamierzał, porzucić wszystko i wrócić do żony i dzieci.

Gospodarz chciał zabrać tłumok z książkami, lecz proboszcz zatrzymał go, mówiąc, że chce przejrzeć rękopisy, które pięknym charakterem napisane były, i wziąwszy je do rąk, znalazł dziesięć arkuszy zapisanych z takim tytułem: *Powieść o natrętnym ciekawcu*, przeczytał po cichu kilka wierszy i zamiast oddać rękopis, rzekł:

– Wyznaję, że tytuł mnie zachęca i mam ochotę przeczytać resztę.

– O! zabawisz się pan pewnie – rzecze gospodarz – już mnie proszono bardzo o ten rękopis, lecz nie chciałem pożyczać nikomu, gdyż właściciel tego tłumoka może powrócić lada dzień tędy, a ja muszę mu oddać wszystko, jak zostawił; nie bez żalu pozbawię się tych książek, lecz cóż robić, nie należą do mnie, trzeba strzec swego sumienia.

– Słusznie mówisz – rzecze proboszcz – lecz jeżeli historia będzie zabawna, pozwolisz mi ją przepisać.

– Z całego serca – odpowie gospodarz. Kardenio, usłyszawszy, o co rzecz idzie i przeczytawszy początek, rzecze:

– Księże proboszczu, to zdaje mi się wcale niezłe, jeżeli raczysz czytać głośno, sądzę, że wszyscy posłuchają radzi.

– Uczyniłbym to chętnie – rzecze proboszcz – ale to już dobrze późno.

– Co do mnie, z przyjemnością bym posłuchała, czuję nawet potrzebę rozerwać czym umysł – wtrąciła mniemana księżniczka.

– Skoro taka wola pani – odpowie proboszcz – przeczytam, znajdzie się może coś godnego ciekawości.

Cyrulik i Sancho dołączyli swoje prośby, wszyscy zasiedli, a proboszcz zaczął czytać to, co w przyszłym rozdziale nastąpi.

Rozdział VI

Powieść o natrętnym ciekawcu

W bogatym i rozkosznym mieście Florencji, w państwie Toskańskim, żyło dwóch znakomitych kawalerów, Anzelm i Lotariusz, tak ścisłym węzłem przyjaźni połączonych, że ich dwoma przyjaciółmi pospolicie nazywano, w kwiecie młodości, byli równi prawie wiekiem i skłonnościami. Anzelm był więcej zalotny, Lotariusz lubił bardziej polowanie, kochając się jednak nade wszystko, byli w stanie zrobić sobie wzajem ofiarę ze swoich namiętności. Anzelm zakochał się szalenie w młodej, niezmiernie pięknej osobie, mieszkającej w tymże mieście. Była to osoba tak znakomita rodem i dostatkami, że Anzelm postanowił zawrzeć z nią związek małżeński, z przyzwoleniem swego przyjaciela, bez którego porady nic stanowczego nigdy nie przedsiębrał. Sam Lotariusz zażądał ręki Kamilli dla swego przyjaciela i usunąwszy w krótkim czasie trudności, oddał mu ten skarb, odbierając od obu małżonków tkliwe zapewnienia dozgonnej dla siebie wdzięczności. Dopóki trwały gody weselne, Lotariusz codziennie uczęszczał do Anzelma, był mu pomocą w przyjmowaniu gości i niecił wesołość na familijnych festynach. Gdy te się skończyły, gdy młoda para

odebrała odwiedziny wszystkich znajomych i przyjaciół, sądził, że powinien zaprzestać ciągłego u nich przebywania w chwili, kiedy zażyłość i przyjaźń traci w części swoje prawa. Mimo całej miłości Anzelma dla swojej towarzyszki życia, spostrzegł on, że dawny przyjaciel nieco go zaniedbał; zarzucił go wymówkami z tego powodu i oświadczył, że nie ożeniłby się nigdy, gdyby był przewidział tę jego odmianę, że żona, którą pojął, wchodząc jako trzecia do dawnego związku, nie powinna osłabiać jego trwałości, że przezorność niestosowna nie powinna ich pozbawiać zarobionego i miłego im przydomku dwóch nierozłącznych przyjaciół, że Kamilla także jest zmartwiona jego oziębłością i zawsze z największym uradowaniem ogląda tego, co związek ich skojarzył. Na koniec Anzelm nie zaniedbał wszelkimi środkami naglić Lotariusza do odwiedzania go równie często, jak poprzednio, bez czego, jak utrzymywał, nie mógł być szczęśliwy.

Lotariusz odpowiedział z całą skromnością i rozsądkiem, które przekonały Anzelma o jego wysokiej delikatności i godząc przyjaźń z przyzwoitością, postanowili, że Lotariusz trzy lub cztery razy na tydzień będzie siadał do stołu Anzelma; Lotariusz przyrzekł dla zadowolenia swego przyjaciela i spełnił przyrzeczenie z całą oszczędnością jego dobrej sławy, która mu była równie droga, jak własna. Mawiał mu często, że najpewniejszym będąc cnoty swej małżonki, nie może zanadto nad nią czuwać, bo świat skłonny jest najprostszy i najniewinniejszy postępek każdej młodej i pięknej kobiety podać w podejrzenie, dla zabawienia się kosztem cudzej sławy. Podobnymi radami i zdaniami przekonał Anzelma o potrzebie nie tak ścisłej, jak poprzednio, zażyłości i rzeczywiście widywali się bardzo rzadko.

Mało zapewne znajdzie się przykładów podobnej przyjaźni i nie wiem, czy ktokolwiek czuwałby z większym staraniem nad

honorem swego przyjaciela i umyślnie rzadziej go widywał z obawy, aby jego odwiedziny na złe nie tłumaczono i to w wieku młodym, kiedy nie zwykło się robić uwag, kiedy pomija się wszystkie względy dla rozkoszy i zabawy. Mimo to, przy żadnym widzeniu się dwóch przyjaciół nie obeszło się bez wymówek, z których Lotariusz, trafnie się tłumacząc, umiał zawsze usprawiedliwić swoje odosobnienie i ułagodzić Anzelma.

Gdy pewnego dnia przechadzali się razem za miastem, Anzelm, biorąc za rękę przyjaciela, rzekł do niego:

– Czy wierzysz, Lotariuszu, że przy obfitych darach nieba, znakomitości rodu, dostatkach, a nade wszystko miłości Kamilli i twojej przyjaźni, nie jestem szczęśliwy. Jestem pod wpływem dziwnego i niewytłumaczonego uczucia i niespokojności bez żadnego powodu, której pozbyć się nie umiem. Wyznaję ze wstydem, że to jest jakieś przywidzenie szalone; w każdej chwili je sobie wyrzucam, ale ono opanowało cały mój umysł i całą duszę. Nie mogąc mu stawić oporu, szukać chce rady u tego, który przekonał mnie, że czuwa nieustannie nad moją sławą i spokojem. Po tym wyznaniu nie szydź ze mnie Lotariuszu, raczej mnie żałuj; daj lekarstwo i wróć swoim staraniem to wesele myśli, które utraciłem.

Lotariusz, zadziwiony mową Anzelma, ani jej celu nie mogąc przewidzieć, na próżno starał się wytłumaczyć sobie to dziwaczne uczucie, prześladujące przyjaciela, a nie chcąc wyjść z przykrego położenia odrzekł, że robi krzywdę przyjaźni, używając wybiegu dla otworzenia mu swego serca, i zapewniał go, że jeżeli złe jest bez lekarstwa, pomoże mu przynajmniej znieść je i osłodzić.

– Kochany przyjacielu – odpowiedział Anzelm – wstyd mi doprawdy, żem się wahał, lecz nie mogę bez zarumienienia się odkryć ci myśli swoich nierozsądnych.

Dowiedz się więc o moim szaleństwie, ponieważ chcesz, i daj mi pomoc, której od ciebie tylko spodziewać się mogę.

Chciałbym wiedzieć, czy Kamilla jest mi wierna sercem tak, jak sądziłem dotąd. Nie mogę się o tym przekonać, jak poddając ją ostatecznej próbie, bo wyobrażam sobie, że to, co nazywają cnotą kobiety, jest podobne do fałszywej monety, która ma blask złota lub srebra, lecz w tyglu z dymem idzie wniwecz. Wyraz cnota jest zwodniczy, jest to piękny pozór, który ukrywa wielkie wady i sądzę, że cnotliwymi nazywać można tylko te kobiety, których uwieść nie są w stanie ani obietnice, ani dary, ani łzy i wytrwałość kochanków. Nie jest cudem kobieta rozsądna, której mąż nie daje powodu być inną, gdy nie ma dosyć wolności, gdy nikt o jej względy się nie ubiega. Widzisz więc, Lotariuszu, że niewiele szacuję cnotę z obawy lub braku sposobności, tę tylko cenię, która nie da się niczym oślepić i oprze się wszelkim zasadzkom. Czy taka jest cnota Kamilli, sprawdźmy wszystkimi możliwymi sposobami. Wiem, że doświadczenie będzie niebezpieczne, ale nieprzekonany nie zakosztowałbym nigdy szczęścia. Jeżeli Kamilla wytrwa, będę najszczęśliwszym z ludzi, jeżeli upadnie, odniosę przynajmniej tę smutną korzyść, że nie będę igraszką dotychczasowego mniemania i ufności w kobietę, jak wielu innych.

Nie staraj się odwrócić mnie od zamiaru, który wydawać ci się może śmiesznym, twoje usiłowania byłyby próżne, raczej chciej mi być powolny. Staraj się przekonać Kamillę, że ją kochasz, otocz ją wszelkimi staraniami, nie szczędź darów, ani obietnic. Bądź przekonany, że to będzie najwymowniejszy dowód twojej dla mnie przyjaźni i dziś jeszcze zacznij działać.

Gdy Anzelm przestał mówić, Lotariusz wpatrywał się z zadziwieniem w swego przyjaciela.

– Czy mam uważać twoje słowa za żart – zapytał – i czy sądzisz, żem je inaczej uważał, nie przerywając ci od początku? Zdaje mi się, że nie znasz mnie, ani siebie. Gdybyś był cokolwiek rozważniejszy, nie chciałbyś mnie obciążać podobnym zleceniem; można posługiwać się przyjaźnią do pewnego kresu, bez jej pokrzywdzenia; a kiedy się ma zamiar użyć przyjaciela, to zapewne nie w sprawach przeciwnych zdrowemu rozsądkowi, z których żadna korzyść wyniknąć nie może. Chcesz, abym żonę twoją uwiódł darami, abym się starał być od niej kochanym, lecz, jeżeli pewnym jesteś jej cnoty, czegóż nad to pragniesz? czyż moje zabiegi zwiększą jej zasługę? W samej rzeczy sam nie wiesz, czego się domagasz. Jeżeli powątpiewasz o rozsądku Kamilli, pozostań w niepewności, która przy twoim złem o kobietach mniemaniu nie będzie na teraz niekorzystna, pamiętaj, drogi Anzelmie, że honor kobiety zawisł od sławy, jakiej używa w świecie; poprzestań w tym razie na zdaniu innych, a znając ułomność kobiet, nie stawiaj im zasadzek przez próżną ciekawość i chęć doświadczenia, czy ich uniknąć potrafią; bo kobieta jest to lśniące zwierciadło, które oddech kazi, kwiat, który więdnie za dotknięciem. Przypominam sobie z tej okoliczności kilka wierszy z komedii, które chętnie powtórzę:

Dobry starzec, radząc ojcu pilnować córkę i nie polegać na nikim, między innymi powiada:

Kobieta jak szkło jest krucha,
Więc próbować, chowaj Boże!
Bo rzucona stłuc się może.
Za przyczyną złego ducha.

Więc tylko szał może sprawić
By rzecz, która raz stłuczona
Nie może już być spojona,

Na niepewną próbę stawić!

To zdanie nabawia dreszczu,
A jednak słuszne jest przecie,
Bo choć są Danae w świecie,
Nie brak i złotego deszczu.

– Mówiliśmy dotąd w twoim interesie – rzecze dalej Lotariusz – pozwolisz, że powiem kilka słów w swoim. Uważasz mnie jako dobrego przyjaciela, a przecież chcesz pozbawić mnie honoru i chcesz, abym ci odmówił szacunku, jaki miałem dotąd dla ciebie. Jeżeli zrobię wyznanie miłości Kamilli, sprawiedliwie uważać mnie będzie jako zdrajcę, który nie lękał się zdeptać świętych praw przyjaźni i który poświęcił występnej namiętności dobrą sławę przyjaciela. Czymże usprawiedliwię śmiałość, do której mnie nie upoważniła cieniem występku? gdyby się okazała uległą, Anzelmie, mamże ją zdradzić? gdy tego nie uczynię, uznam sprawiedliwą jej nienawiść i zemstę dla człowieka, który wydarł jej dobre imię i zyskane wyznania miłości zaprawił wzgardą, a łatwowierność okrył śmiesznością? Jeżeli postępek mój usprawiedliwić zechcę twoją namową, cóż pomyśli o tym, który podjął się tak nikczemnej roli, o tym, który ją zlecił? przez niewczesną uczynność wniósłszy niepokój w łono familii, cóż powiem ludziom, którzy mi słusznie wyrzucać będą mój haniebny postępek? nie staniemyż się obaj pośmiewiskiem świata, mając dotąd jego szacunek? Wierzaj mi, Anzelmie, i pozostań w mniemaniu, które ci zapewnia pokój, rozważ, że w swoim szalonym zamiarze stawiasz na kartę wszystko przeciw niczemu, bo wreszcie, gdyby nawet próba dowiodła niewinności twojej żony, byłbyś nadto boleśnie zranionym i skazałbyś się sam na wleczenie uciążliwego życia, a przyjaciela na mękę tego smutnego widoku. Jednym słowem, zrzecz się

wszelkiej nadziei odwiedzenia mnie, odmawiam żądaniu, które mnie obraziło najmocniej, po tysiąc razy odmawiam, chociażby to odmówienie kosztowało mnie twoją przyjaźń, której utratę uczułbym mocno.

Mowa Lotariusza przeraziła jego przyjaciela, który po pewnym czasie przyszedłszy do siebie, mówił:

– Mój dobry Lotariuszu, słuchałem cię z uwagą i pociechą, w odmówieniu twoim widzę dowód rozsądku i przyjaźni, wyznaję, że żądanie moje było niesprawiedliwe, że jego spełnienie może mieć najgorsze skutki, że spełniając zamiar, powzięty z zaślepieniem, rzucam się w przepaść, ale wyznać ci muszę, że jestem dotknięty chorobą, zastraszająco rosnącą i domagającą się śpiesznego ratunku. Następstwa mojego szalonego przedsięwzięcia tak dobrze zabić mnie mogą, jak uzdrowić, ale bez próby bezwarunkowo umieram. Ukrywałem długo cierpienia swoje w nadziei, że je zwalczę, walki nie wytrzymałem i dlatego o ratunek cię wzywam. Nie opuszczaj człowieka, który utracił rozum, uważaj mnie jak chorego, który nie wie, czego żąda. Doświadcz Kamilli łagodnymi i umiejętnymi sposobami, ona nie jest tak słaba, aby ci się oddała za pierwszym natarciem, a wtedy po części zwyciężonego już zdrowymi twoimi radami ten dowód przekona i uzdrowi. Inaczej, Lotariuszu, zmusisz mnie do zwrócenia się do kogo innego, który może zdradzi moje zaufanie, kiedy ty tak mało potrzebujesz uczynić, aby mi wrócić szczęście, aby zapewnić trojgu spokój na zawsze. Na koniec zaufaj mojej zręczności, jeżeli wyznać przyjdzie Kamilli nasz podstęp, osłonię go pozorem niewinnego żartu, który nie może jej obrazić.

Lotariusz, widząc upór przyjaciela i niebezpieczeństwo odmówienia, przyjął zobowiązanie, przyrzekając sobie prowadzić rzecz tak zręcznie, aby bez urażenia żony zadowolić męża.

– Nie masz potrzeby zwierzać się nikomu – rzecze Lotariusz – przyjaźń każe mi nie odmawiać dziwacznej posługi, której żądasz.

Anzelm uściskał przyjaciela, jak gdyby mu powrócił życie i po tysiącu podziękowań skłonił do niezwłocznego działania, obiecując ułatwić sam na sam z Kamillą.

Przepędził noc na rozmyślaniu, a nazajutrz poszedł na obiad do Anzelma. Kamilla przyjęła go jak zwykle z uradowanym obliczem, z chęci zadowolenia małżonka, wreszcie z własnego usposobienia. Po obiedzie oświadczył, że dla załatwienia pewnej ważnej sprawy przymuszony jest wydalić się na kilka godzin, że po powrocie będzie miał do pomówienia z Lotariuszem, dlatego prosi go, aby chciał przez ten czas pozostać z Kamillą, która dorzuciła kilka słów zobowiązujących, aby go zatrzymać. Lotariusz, znajdując się w najniebezpieczniejszym położeniu, udał znużenie, potrzebę naglącą snu, czym się tłumacząc, usiadł w krześle i zasnął, a przynajmniej udawał śpiącego. Anzelm, powróciwszy, zastał Kamillę w tym samym pokoju i śpiącego Lotariusza. Czekał jego przebudzenia się, aby powziąć wiadomość o tym, co zaszło. Lotariusz oświadczył, że nagłym wyznaniem miłości bojąc się rozgniewać Kamillę, ograniczył się na pierwszy raz pochwałą jej wdzięków i oświadczeniem, że głos powszechny zazdrości i pochwala wybór Anzelma, przez co zdaje mu się, że usposobił Kamillę do łatwiejszego przyjęcia wyznań, które ma jej zrobić później.

To zaczęcie zadowolniło Anzelma, który obiecał przyjacielowi ułatwić codzienne sam na sam z Kamillą, nie uciekając się, jak dzisiaj, do potrzeby wydalania się z domu, co mogłoby obudzić podejrzenie małżonki.

Tak minęło dni kilka. Lotariusz nic nie powiedział Kamilli, upewniając jej męża, że mówił i że nie ma żadnej nadziei być

wysłuchanym łaskawie, że przeciwnie, zagroziła mu oskarżeniem przed mężem i zerwaniem wszelkich stosunków, gdyby się poważył wznowić te niebezpieczne mowy. Anzelm nie poprzestał na tym; zresztą przeznaczenie jego nie pozwalało mu poprzestać.

– Kamilla – rzecze – oparła się słowom; zobaczymy, Lotariuszu, czy będzie miała moc oprzeć się czynom, wręczę ci jutro dwa tysiące czerwonych złotych i drugie tyle na zakupienie klejnotów! Kobiety nade wszystko przekładają strój, najrozsądniejsze ulegają tej nierozważnej ponęcie. Jeżeli Kamilla wyjdzie zwycięsko z tej próby, nie będę cię więcej trudził.

– Dokończę dzieło rozpoczęte – rzekł Lotariusz – ale uprzedzić cię mogę, że usiłowania będą bezskuteczne.

Nazajutrz punktualny Anzelm wręczył Lotariuszowi cztery tysiące dukatów, pogarszając tym przykre jego położenie.

Lotariusz odważył się raz jeszcze powiedzieć, że Kamilla była niezwyciężoną, że dary nie zrobiły więcej niż słowo i że dalsze usiłowania ściągną jej nienawiść, jako całą korzyść przedsięwzięcia. To upewnienie wystarczyłoby zupełnie dla kogo innego, ale Anazelm nie był już panem obłąkanego umysłu, nie dającego się ukoić.

Pewnego dnia, zostawiwszy sam na sam Kamillę i Lotariusza, ukrył się w przyległym pokoju. Lotariusz przez całą godzinę nie otworzył ust, co go przekonało, że cała powieść Lotariusza o wymówkach Kamilli była zmyśleniem. Aby się lepiej upewnić, wszedł do pokoju i wziąwszy na bok przyjaciela, zapytał, w jakim dziś jest usposobieniu Kamilla?

– W najgorszym – odpowiedział Lotariusz – zarzuciła mnie wymówkami pełnymi goryczy i nienawiści i odjęła mi śmiałość działania.

– Ach! tak to spełniłeś, coś mi przyrzekł? zawiodłem się na twojej przyjaźni; wiedziałem, żeś nie mówił z Kamillą i nie wątpię, że jestem twoją igraszką. Dlaczego wzbraniasz się uciec do cudzego współdziałania, kiedy odmawiasz mi sam przysługi?

Lotariusz, przekonany o kłamstwie, starał się ułagodzić Anzelma i zobowiązał się przysięgą, że się wywiąże z danego przyrzeczenia. Anzelm, aby mu zostawić więcej wolności, udał się na osiem dni na wieś, na prośby jednego ze swych przyjaciół, które były dostateczne do usprawiedliwienia go w oczach Kamilli.

Anzelm, wyjeżdżając, oświadczył Kamilli, że oddaje ją pod opiekę Lotariusza, który codziennie przychodzić będzie do niej na obiad, i domagał się dla niego względów takich, jak dla siebie samego. Rozkaz Anzelma sprawił pewną przykrość Kamilli; dała mu ją poznać z umiarkowaniem.

– Nie znajduję przyzwoitym – mówiła – przyjmować Lotariusza w czasie twojej nieobecności, ale jeżeli mnie sądzisz niezdolną do załatwiania spraw domowych, pozwól na teraz zrobić próbę, abym cię mogła przekonać inaczej.

Anzelm oświadczył, że postanowił nie odstępować od swego żądania i wyjechał.

Lotariusz poszedł nazajutrz odwiedzić Kamillę, która go przyjęła z uprzejmością i godnością. Ale, pozostając zawsze w towarzystwie osób domowych, a najczęściej Leonelli, młodej dziewczyny, z którą się razem wykarmiła i którą czule kochała, nie dawała naumyślnie sposobności Lotariuszowi pozostawania z nią sam na sam. Przez trzy dni pierwsze Lotariusz nie zrobił żadnego kroku, chociaż mógłby znaleźć sposobność, podczas gdy domownicy obiadowali. Przezorna Kamilla kazała Leonelli wprawdzie pierwej obiadować, aby jej nigdy nie zostawiała samą, ale młoda dziewczyna, która zapewne o czym innym myślała, mało się troszcząc o rozkazy pani, narażała

ją często na pozostawanie sam na sam z Lotariuszem. Lotariusz nie korzystał z chwili, czy to przez chęć oszukania raz jeszcze przyjaciela, czy z obawy dopuszczenia się niegodnego żartu z Kamilli, która ze słodyczą i pięknością łączyła tyle skromności i nakazującej poszanowanie godności. Ale ta względność Lotariusza, to milczenie uporczywe, dały, niestety, inny kierunek jego myślom, a wdzięki Kamilli zaczęły wywierać wrażenie, którego nie chciał dopuścić. Zachowując ciągle milczenie, podziwiał jej piękność i zaledwie zwracał oczy na nią, gdy tego wymagała przyzwoitość; z czasem pilnie zaczął się wpatrywać w tę piękną twarz, w czym znalazł tyle rozkoszy, że już nie mógł sobie odmówić ciągłego jej używania. Na koniec miłość wznieciła się w jego sercu i urosła zanim się o jej przeświadczył bytności. Wtedy ileż zniósł mąk i jak straszną przebył walkę rodzącej się miłości z obowiązkami przyjaźni dla Anzelma. Po tysiąc razy wyrzucał sobie uległość dla nierozważnego przyjaciela. Chciał uciekać, ale rozkosz widzenia Kamilli zawsze go wstrzymywała, zwyciężyły go piękność, słodycz, przymioty tej kobiety, a może przeznaczenie, które chciało ukarać nierozwagę Anzelma. Mniemał, że trzydniowe samotne walki uwalniały go od obowiązków przyjaźni, a mając tylko na względzie miłość, przy której giną wszystkie inne względy, nagle dał poznać Kamilli gwałtowność swoich uczuć.

Kamilla, zdziwiona wyznaniem niespodziewanym, nie wyrzekłszy słowa, powstała z miejsca i odeszła do drugiego pokoju. To wzgardliwe odepchnięcie nie zraniło natenczas Lotariusza, dodało Kamilli w jego oczach więcej szacunku i zwiększyło miłość. Postanowił kończyć zaczęte dzieło, nie tracąc nadziei.

Tymczasem Kamilla, namyśliwszy się nad środkami, jakie wypadało jej przedsięwziąć, uważała za najpewniejsze odmówić

Lotariuszowi widywania jej i posłała natychmiast przez służącego następujący list do Anzelma:

„Dałeś mi dowód wysokiego zaufania, zostawiając mnie samą, jestem ci za to wdzięczną. Ale zdaje mi się, że przez to naraziłeś mnie na przykrość, nie będąc zazdrosnym o mnie, która mam twój szacunek. Kochając cię czule, nie mogę dłużej znieść twojej nieobecności, która mnie stawia w położeniu tak przykrym i delikatnym, że zmuszona będę uciec się do mego ojca, jeżeli nie przybędziesz natychmiast. Zdaje mi się, że ten, któremu zaleciłeś opiekę domu, ma więcej swoje niż twoje sprawy na widoku. Jesteś przezorny i roztropny, nic ci więcej nie powiem".

Rozdział VII

Dalszy ciąg powieści o ciekawym nierozważnym

List ten przekonał Anzelma, że jego przyjaciel dotrzymał słowa i że Kamilla spełniła swój obowiązek, a zachwycony tym obrotem sprawy, kazał powiedzieć żonie, ażeby domu nie opuszczała i że niedługo sam powróci. Kamilla, zdziwiona tą odpowiedzią, ujrzała się jeszcze w przykrzejszym położeniu; nie wiedziała, czy zostać w domu i wystawić swoją dobrą sławę na niebezpieczeństwo ze strony Lotariusza, czy opuścić mieszkanie i tym sposobem stać się nieposłuszną mężowi. Na nieszczęście, wybrała pierwsze, postanowiła nie opuszczać mieszkania, nie unikać Lotariusza, aby nie ściągnąć podejrzeń domowników; wyrzucała sobie nareszcie list, który mógł był dać poznakę mężowi, że uchybiła względom zaleconym sobie dla Lotariusza. Sądziła, że znajdzie dosyć obrony przeciw niemu w pewności siebie i zdawało jej się, że nie uwiadamiając męża, którego nie chciała poróżnić z przyjacielem, potrafi zwalczyć występne uczucia

Lotariusza, nie odpowiadając na nie; przemyśliwała nawet, jak objaśnić mężowi list, gdy zażąda tłumaczenia.

W tym postanowieniu, tak przezornym na pozór, a zgubnym w istocie, Kamilla wysłuchała nazajutrz namiętnej mowy Lotariusza, który, znalazłszy sposobność, przejęty namiętnością, umiał zaprawić swoją mowę niekłamanym uczuciem i czcią tak rzewną, że słabość Kamilli poczęła się chwiać i potrzebowała całego panowania nad sobą, ażeby uwodziciel nie wyczytał w oczach stanu jej duszy.

Lotariusz śledził wyraz jej twarzy i zrozumiał go; podwoił namiętność i nadzieje; wolność mówienia do niej, której otrzymać się nie spodziewał, przekonała go, że Kamilla nie jest niezwyciężona, potrafił jeszcze mocniej ją wzruszyć, i... doprowadził ją na konieć do niewierności, której już sam stał się winnym względem Anzelma.

Otóż miejsce dla uwag moralnych! niech każdy je robi dla siebie; cały świat wie dobrze, że niebezpiecznie jest stawiać czoło miłości, że tylko ucieczką ratować się można.

Kamilla, usprawiedliwiwszy najzupełniej przekonanie Anzelma o kobietach, zwierzyła się Leonelli, przed którą trudno było się ukryć i której potrzebę przeczuwała w przyszłości.

Lotariusz był daleki od wyjawienia Kamilli podstępu Anzelma, z obawy, ażeby nie wzięła jego miłości za zmyślenie, ażeby ujrzawszy się igraszką, otrząsnąwszy się ze swojej słabości, nie chciała go nienawidzić więcej niż go kochała.

Anzelm ucieszony, że Lotariusz dotrzymał mu słowa, powrócił, i niecierpliwy poszedł zapytać go, jak daleko postąpił w rozpoczętym dziele.

– Anzelmie – powiedział Lotariusz – możesz być pysznym sprawiedliwie ze swojej nieporównanej małżonki, którą za ozdobę

płci i wzór postępowania wszyscy uważać powinni, moje piękne słowa były próżne, szydziła z łez, odrzuciła z oburzeniem dary. Spotkałem niepokonany rozsądek, niewzruszoną cnotę i jednym słowem, Kamilla jest więcej cnotliwa niż piękna, a ty jesteś najszczęśliwszym ze śmiertelnych; zwracam ci pieniądze, któreś mi powierzył, Kamilla stoi za wysoko, aby tak niskie środki mogły ją przejednać. Tak więc, Anzelmie, powinieneś być szczęśliwym; używaj błogo swojego szczęścia, nie narażając go, to jest rada szczerej przyjaźni i korzyść z mojego uczestnictwa w tej sprawie.

Niepodobna opisać radości Anzelma, winszującego sobie tak dobrego przyjaciela, lecz nie będąc zupełnie jeszcze zaspokojonym, prosił go o prowadzenie dalej zalotów, chociażby dla samej rozrywki, zresztą i dlatego, żeby tak od razu nie zaprzestać swej roli, a że miał wielką łatwość do wierszy, zaklinał go o napisanie sonetu do Kamilli pod imieniem Klorys, dając jej poznać, że był napisany dla innej osoby, którą kochał. Lotariusz, dla którego te warunki nie były uciążliwe, przystał; Anzelm, wróciwszy do siebie, przede wszystkiem badał Kamillę o powody listu, który do niego pisała.

– Zdawało mi się – rzecze Kamilla – że Lotariusz na mnie innymi patrzył oczami w czasie twojej nieobecności, ale przekonałam się, że to było tylko działanie wyobraźni, bo dostrzegłam potem, że starannie unikał sposobności widzenia się ze mną sam na sam, na koniec byłam szczęśliwa, że znalazłam pozór zwabienia cię, a zdaje mi się, że i ty dzieliłeś moją niecierpliwość.

Na co Anzelm odpowiedział, że nie powinna obawiać się Lotariusza, szalenie zakochanego w panience, dla której pisał wiersze pod imieniem Klorydy, że i bez tego miał przekonanie o jego niewzruszonej przyjaźni i cnocie.

Ta wymyślona Klorys nie wzbudziła zazdrości w Kamilli, bo Lotariusz ją uprzedził, że dla odwrócenia podejrzeń Anzelma

powie mu, że jest zakochany w Klorydzie i będzie miał sposobność czytania wierszy na cześć ukochanej pod zmyślonym imieniem.

W kilka dni potem, gdy młoda para z przyjacielem siedziała u stołu, Anzelm prosił przyjaciela o przeczytanie wierszy na cześć jego kochanki, zwłaszcza, że Kamilla jej nie znała.

– Gdyby ją nawet znała – odpowiedział Lotariusz – nie wstrzymałbym się z przeczytaniem, bo kochanek nie robi krzywdy osobie, którą kocha, opiewając razem jej wdzięki i okrucieństwo. Oto jest sonet, który dla niej ułożyłem:

Sonet

W milczeniu nocy, gdy pokoju bóstwo
Śmiertelnych troski w słodkim śnie ukoi,
Rogatą rozpacz i serca ubóstwo,
Ślę aż do nieba i do Klary mojej!

A kiedy słońce krąg jasny roztoczy,
W bladoróżowym wschodniej zorzy blasku,
Ja, przez wezbrane łez strumieniem oczy,
Nie mogę dojrzeć dnia złotego blasku.

Za słońca okiem wznoszą się me oczy,
Gdy promień jego pierś ziemi rozpala,
I w mojej także płoną cierpień żary!

A gdy noc wróci – me serce się mroczy,
Wraca na ziemię i znów się użala,
Na ciszę nieba i nieczułość Klary.

Kamilla znalazła sonet niezłym, a Anzelm cudownym.

– Twoja dama – rzecze – musi być niesprawiedliwie okrutna, znajdując rozkosz w rozpaczy nieszczęśliwego kochanka, który jej daje tyle dowodów miłości?

– Czyż wszyscy kochankowie mówią prawdę w wierszach? – wtrąciła Kamilla.

– Jako poeci nie – odpowie Lotariusz – ale jako zakochani, mniej wyrażają niż czują.

– Ach! to aż nadto prawda – rzecze Anzelm, wspierając zdanie przyjaciela, jakby dla przeświadczenia Kamilli o jego znaczeniu.

Powiedzieć by można, że ten biedny mąż nie zaniedbywał niczego do swojej zguby. Kamilla niedobrze rozumiejąc męża, z przyjemnością słuchała rozmowy dwóch przyjaciół, bo kochała zapamiętale Lotariusza i nie wątpiła, że sonet był dla niej napisany, zapytała go więc, czy nie ma w pamięci innych wierszy?

– Oto jest inny sonet – rzekł Lotariusz – który nie więcej cenię od pierwszego, osądźcie sami...

Sonet drugi

Ja wiem, okrutna, że umierać muszę,
Gdy mi pociechy odmówią twe oczy,
Lecz wolę cierpieć konania katusze,
Niż przestać wielbić twój wdzięk tak uroczy!

A gdy na bladym zapomnienia brzegu
Duch mój po życia podróży już stanie,
Twój tylko obraz wśród wspomnień szeregu,
Na wieki w sercu wyryty zostanie.

On niech mi doda nowej w mękach mocy,
Nadzieją troskę myśli uweseli,
Że w kraju zmarłych znowu ujrzę ciebie.

Bo biada temu, kto w burzliwej nocy,
Po mórz nieznanych żeglując topieli,
Nie widzi portu, ni gwiazdy na niebie!

Anzelm, zajęty zupełnie swoim zamiarem, znalazł sonet równie cudownym, jak poprzedni i niemniej go chwalił; nieszczęśliwy w swoim błędzie nie przestawał codziennie czcić przyjaciela, który go zdradzał, i żony, która w dom jego wniosła niewiarę.

W kilka dni potem Kamilla, znajdując się sama z Leonellą i mówiąc z nią o swojej miłości rzekła:

– Jakże się gniewam na siebie, żem tak prędko wyznała uczucie moje Lotariuszowi! Nie będzież mną pogardzał, zastanowiwszy się, jak łatwo zyskał wzajemność?

– Nie – odpowie Leonella – to właśnie podwoi jego wdzięczność, a wreszcie cóż może mieć Lotariusz do wyrzucenia ci, pani? Nie jednymiż szliście drogami? Nie przypuszczaj sobie przeto nic złego, bądź przekonana o szacunku Lotariusza, który musi być szczęśliwy miłością tak pięknej kobiety, bo wątpić nie możesz, że jest zacnym człowiekiem. Co do mnie, uważam, że miłość raczej nami rządzi, my zaś nią kierować nie umiemy.

Uśmiechnęła się na to Kamilla i poznała, że młoda dziewczyna lepiej się zna na miłości, niżby się z pozoru zdawało. Poczciwe stworzenie nie kryło się wcale z miłością dla jakiegoś młodego szlachcica z miasta. Kamilla, dowiedziawszy się o tym, chciała wiedzieć, ile jest prawdy w przechwałkach Leonii, ale zręczna dziewczyna upewniła ją bezczelnie, że rzeczy nie zajdą dalej, jak już są, nie pozostawało więc Kamilli jak tylko prosić Leonię o tajemnicę przed kochankiem i zachowanie się tak ostrożne, aby mąż i Lotariusz nie powzięli o tym żadnej wiadomości; Leonella przyrzekła i przysięgła, ale wkrótce pani jej poznała, że ufać jej nie może. Ta

niegodziwa istota, upoważniona przykładem swej pani, posunęła zuchwałość do tego stopnia, iż ośmieliła się wprowadzić swego kochanka do domu Anzelma, a Kamilla była nieraz zmuszona ukrywać go przed okiem męża.

Mimo tych ostrożności, Lotariusz widział raz o wschodzie słońca wychodzącego z domu Anzelma kochanka Leonelli; z początku wziął go za widmo, ale widząc idącego wielkimi krokami i zasłaniającego twarz płaszczem, domyślił się, iż to jest człowiek, który nie chce być poznany. Nie myśląc wtedy o Leonelli, Lotariusz był przekonany, że to był nie mniej od niego szczęśliwy drugi kochanek Kamilli; uniesiony oburzeniem i zazdrością, marzył już tylko o zemście, a nie będąc panem siebie, wpadł gwałtownie do pokoju Anzelma i w te do niego słowa przemówił:

– Od dni kilku waham się, czy ci udzielić, czy nie wiadomości, która cię blisko obchodzi, ale przyjaźń powinna przeważyć wszystkie inne względy. Wiedz przeto, że Kamilla już nie jest tak okrutna, uległa zwyciężona; nie spieszyłem zawiadomić cię prędzej, bo nie byłem dosyć pewien, czy to, co brałem za ułomność kobiecą, nie jest tylko podstępem, czekałem więc, czy nie przyjdziesz uwiadomić mnie, że twoja żona uprzedziła cię o wszystkim, lecz kiedy ci nic o tym nie mówiła, nie wątpię już o szczerej ochocie dotrzymania mi słowa i udzielenia mi sam na sam przy pierwszej sposobności, jak tylko wyjedziesz na wieś. Ale, Anzelmie, jest to tajemnica, wysłuchaj ją bez uniesień, bo Kamilla jeszcze cię nie obraziła, może się jeszcze otrząsnąć ze słabości, tak właściwej kobietom. Dotąd dobry robiłeś użytek z rad moich; posłuchaj jeszcze jednej. Upewnij Kamillę, że wyjeżdżasz na dwa lub trzy dni, ukryj się w pokoju, a potem osądzisz, co ci przedsięwziąć wypadnie.

Łatwo domyśleć się, co uczuł Anzelm na tę wiadomość, utracił prawie przytomność i martwy, ze spuszczonymi oczyma, długo

pozostawał w milczeniu, na koniec patrząc ze smutkiem na przyjaciela, rzekł:

– Lotariuszu! spełniłeś, co przyjaźń spełnić ci nakazywała, ufając tobie, ślepo iść będę za twoją radą.

Lotariusz, widząc przyjaciela w tak smutnym stanie i nie znalazłszy odpowiedzi, uściskał go i wyszedł nagle. Ale wnet zaczął sobie wyrzucać swój postępek zgubny dla Kamilli, nad którą mógł się pomścić, nie wystawiając jej na oczywistą zgubę i hańbę. Nie mogąc już odmienić, ani naprawić tego, co się stało, postanowił przynajmniej zawiadomić natychmiast Kamillę o wszystkim, korzystając z wolności widywania jej w każdej chwili.

Zaledwie Lotariusz wszedł do domu Anzelma, Kamilla, widząc się z nim sama, rzekła:

– Lotariuszu, ciąży mi na sumieniu rzecz, mogąca mieć bardzo złe skutki! Leonella ma kochanka, ta dziewczyna wyzuła się ze wstydu do tego stopnia, że przyjmuje go w moim domu, gdzie całe noce aż do świtu spędza. Czujesz, na jakie niebezpieczeństwo wystawia mnie ta niepoczciwa, co pomyśleć mogą ludzie, widząc mężczyznę o tej porze wychodzącego z mego domu? Jestem zmuszona cierpieć tę zniewagę, bo chcąc wymierzyć karę za bezczelność Leonelli, poruszyłabym sprawę, której wszystkie złe następstwa na mnie by spadły, w każdym razie jestem zgubiona, ocal mnie, Lotariuszu!

Lotariusz z początku sądził, że Kamilla używa podstępu i chce go uspokoić względem człowieka, którego widział wychodzącego z jej domu, robiąc go kochankiem Leonelli, ale Kamilla zalała się łzami i tyle było prawdy w jej mowie, że musiał uwierzyć i tyleż, co ona, był zmartwiony. Uspakajał ją, mówiąc, że złe nie było tak wielkie, przepraszał po tysiąc razy za uniesienie i podejrzenia, które powziął, na koniec wyznał, że przez zazdrość wyjawił wszystko Anzelmowi i skłonił go do ukrycia się, aby śledzić dalsze postępowanie Kamilli.

Kamilla o mało śmiercią nie przypłaciła tego okropnego ciosu, ale czerpiąc moc w swojej wściekłości, wyzionęła tysiąc obelg na Lotariusza, wyrzucała sobie słabość i robiła postanowienia tak dziwaczne i szalone, że pomieszany Lotariusz rzucił się jej do nóg, nie mając co odpowiedzieć i nie śmiejąc patrzeć na nią. Jego łzy i milczenie przezwyciężyły Kamillę, która, znalazłszy w umyśle sposób naprawienia złego, nie sądziła już tak surowo winnego i przebaczyła mu winę, której by zapewne nie popełnił, gdyby ją mniej kochał. Namówiła go, aby skłonił Anzelma do ukrycia się w jej pokoju i zapewniła go, że doprowadziwszy do skutku teraz powzięty zamiar, zyskają jeszcze większą swobodę na przyszłość. Nie chciała wyjawić Lotariuszowi, jaki jej zamiar, z obawy, aby go nie zganił. Na koniec oznajmiła mu, aby przybył na pierwsze wezwanie i odpowiadał na wszystkie jej zapytania, jak gdyby nie domyślał się obecności Anzelma.

Nazajutrz Anzelm, pod pozorem odwiedzin jednego z przyjaciół wyjechał konno, ale wnet wrócił i ukrył się w pokoju żony, gdzie mu aż nadto czasu do umieszczenia się dały przezorne Kamilla i Leonella. Te dwie zacne osoby, skracając nareszcie męki straszliwej niepewności człowieka, który oczekuje wyroku pozbawiającego lub wracającego mu honor, weszły do pokoju. Kamilla z przeciągłym westchnieniem odzywa się do Leonelli:

– Ach! nie wiesz, droga przyjaciółko, w jakim zamiarze wzięłam sztylet od męża; może, zamiast przyprowadzić go do skutku, lepiej zrobiłabym przeszywając serce w tej chwili, lecz przede wszystkim chcę wiedzieć, czy moja słabość i ułomność upoważniła Lotariusza do zuchwałej obrazy i krzywdy nad wyraz, którą wyrządził mnie i najlepszemu z przyjaciół. Wyjrzyj, czy nie przechodzi ulicą, sądzi zapewne, że to jest chwila przyjazna dla jego niecnej namiętności.

Ale zawiedzie się, podły, przekona się, jak jego zamiary są różne od jego nikczemnych zamysłów.

– Pani! – rzecze podstępna Leonella – co chcesz uczynić na Boga! z tym sztyletem? Chceszże zabić się, czy zabić Lotariusza? Nie biegnieszże zawsze do zguby? Lepiej jest ukryć zniewagę i nie dozwalać mu przybywać w chwili, kiedy jesteśmy same. On jest zaślepiony namiętnością, a my kobiety słabe! Nim zdołasz się zemścić, czyż możesz przeszkodzić nowej zniewadze, której trzeba się więcej lękać niż utraty życia? Jeżeli go zabijesz, cóż uczynimy? bo wiem, że taki jest twój zamiar.

– Niech Anzelm czyni, co chce – odpowiedziała Kamilla – do mnie należy zemsta; zdaje mi się, że ta zwłoka czyni mnie współwinną, przyśpieszę ją dla ocalenia swego honoru i sławy męża.

Tysiące myśli snuło się po głowie ukrytemu Anzelmowi, już był gotów wyskoczyć z ukrycia i ocalić życie przyjacielowi. Ciekawy jednak, jak daleko Kamilla posunie swoją zawziętość, postanowił zapobiec nieszczęściu dopiero w ostatniej chwili. Tymczasem Kamilla upadła na łóżko pod wpływem gwałtownego wzruszenia, a Leonella jęczała z rozpaczy, jak przy łożu konającej; tak to wszystko doskonale i wymownie było kłamane, iż rzekłbyś, że ta jest najnieszczęśliwsza, a jej pani najniewinniejsza z kobiet. Kamilla, przychodząc wreszcie do siebie z udanego omdlenia, rzekła:

– Dlaczegóż, Leonello, nie idziesz zawołać tego zdrajcy? Niech przybywa w ten moment, aby druga siła nie pozbawiła mnie siły do zemszczenia się, niechaj to gwałtowne pragnienie nie rozprasza się w bezskutecznych słowach.

– Biegnę – rzecze Leonella, ocierając łzy – ale oddaj mi ten sztylet.

– Idź, idź, Leonello – mówiła Kamilla – nie obawiaj się; poprzysięgłam zemstę; umrę, ale pierwej pocieknie krew Lotariusza na zagładę krzywdy mojej.

Leonella wahała się, nie chcąc opuścić pani; wyszła dopiero, zwyciężona ustawicznym naleganiem. Kamilla, zostawszy sama, w bezprzytomnym uniesieniu zaczęła wielkimi krokami chodzić po pokoju, upadła na łóżko pod brzemieniem cierpień i głośno wyrażała straszną walkę wewnętrzną.

– Nie! nie! – wołała – wahać się nie będę, zginie! moje łzy gorące zapłaci życiem, nie będzie się bezkarnie pysznił, że chciał znieważyć Kamillę.

Mówiła to, biegając po pokoju, sztylet błyszczał w jej ręku, a łzy w oku, mowę swoją zaprawiła takim wyrazem rozpaczy, że cały świat uwierzyłby jej kłamstwu. Anzelm, świadek tej sceny, już się zrzekł wątpliwości, jaką doniesienie Lotariusza zrodziło w jego umyśle, drżąc o niebezpieczeństwo przyjaciela i żony, chciał już wyjść z ukrycia, gdy weszła Leonella, trzymając za rękę Lotariusza. Zaledwie Kamilla go ujrzała, krzyknęła:

– Stój, Lotariuszu! nie postępuj dalej kroku, bo tym sztyletem przeszyję sobie łono. Znaszże mnie dosyć, znasz dość Anzelma? odpowiedz szczerze.

Lotariusz, domyślając się zamiaru Kamilli, nie zdziwił się takim obejściem i przychodząc w pomoc zamysłom swej kochanki, odpowiedział:

– Nie dlatego zapewne mnie przywołałaś, piękna Kamillo, aby mówić do mnie w podobny sposób, sądziłem się szczęśliwym; a jeżeli nie chciałaś dotrzymać danego mi słowa, należało raczej uprzedzić mnie, niż stawiać zasadzkę, robiącą krzywdę i twojej dobrej wierze, i szlachetności uczuć moich. Odpowiem ci jednak, że znam od dziecinnych lat Anzelma, nie będę ci mówił o przyjaźni naszej, trzeba było gwałtownej miłości, aby podeptała jej prawa, miłości mocniejszej nad wszystko. Gdybym ciebie zaś nie znał, droga Kamillo, byłbym spokojny i bez winy...

– Jeżeli znasz mnie i Anzelma – wykrzyknęła Kamilla – dlaczegóż pogwałciłeś święte obowiązki przyjaźni, których Anzelm wiernie ci dotrzymywał, i jak śmiesz stawić się przede mną, równie jak on pokrzywdzoną? Co myślałeś o mnie, wyjawiając mi swą występną miłość? co ci dało prawo przypuścić, abym mogła bez oburzenia patrzeć na pogwałcenie przyjaźni? śmiałżeś sądzić, że ta nikczemna ofiara mnie wzruszy? Nie, szukać muszę innej przyczyny twojego postępowania, może nie dość byłam ostrożna przy tobie, nie czując tego zbytecznej potrzeby, może źle sobie tłumacząc swobodę postępowania mojego, wziąłeś ją sobie za zachętę. Powiedz, nikczemny, czym obudziłam twoje nierozmyślne nadzieje? znalazł żeś mnie skłonną do słuchania kiedykolwiek bez wzgardy twoich oświadczeń, do przyjęcia darów? Mam sobie do wyrzucenia, żem cię nie dość ukarała, moja łagodność cię rozzuchwaliła i gdybym tylko swoją powolność miała sobie do wyrzucenia, już sądziłabym się winną; nim poniosę karę, nim umrę, giń ty pierwej! chcę zemsty, chcę twojego życia!

To mówiąc, rzuca się na Lotariusza z udaną wściekłością, która jego samego omamiła; potrzebował całej siły i zręczności, aby uniknąć zabójczych razów. Kamilla odmalowała wściekłość tak żywymi kolorami, że niepodobna było nie uwierzyć, nie wahała się dostarczyć własnej krwi dla większej prawdy obrazy.

Widząc, że nie pokona przeciwnika, Kamilla zaniechała walki, mówiąc: żyj więc, gdy nie jestem dość mocna, aby cię życia pozbawić, ale nie przeszkodzisz mi dokonać zemsty nad sobą, i wyrywając się z rąk Lotariusza, zadaje sobie raz nieszkodliwym sztyletem, pada zemdlona, a krew się broczy po jej białym ramieniu. Lotariusz i Leonella na widok krwi nie wiedzieli, co począć; pobiegli z przestrachem i podnieśli Kamillę; znalazłszy jednak ranę lekką, w osłupieniu podziwiali zręczność i sztukę tej kobiety. Dla

dopełnienia tego obrazu i nadania mu większej jeszcze prawdy, Lotariusz w rozpaczy złorzeczył losowi, obarczał wyrzutami tego, który był przyczyną nieszczęścia, z wyrazem tak dobrze kłamanym, że chcąc nie chcąc, trzeba go było żałować. Leonella przeniosła swą panią na łóżko i błagała Lotariusza, aby przyprowadził felczera, radząc się zarazem, co wypada powiedzieć Anzelmowi, gdyby zastał żonę cierpiącą.

– Zrób, co ci się zdawać będzie, w moim obłąkanym umyśle nie znajduję teraz rady dla siebie, tym mniej dla innych; zatamuj krew przynajmniej, żeby nie uszła. Ja chciałbym się skryć pod ziemię.

To mówiąc, wyszedł wzruszony. Leonella z łatwością zatamowała krew, rana była nieznaczna. Leonella mówiła tyle cudownych rzeczy, opatrując Kamillę, że niepodobna dziwić się Anzelmowi, iż z dumą porównywał w myśli swoją małżonkę z Lukrecją. Kamilla obumierającym głosem szerzyła skargi na los, który nie dozwolił jej dopełnić zemsty i nie przestawała sobie czynić wymówek, że pozostała przy życiu.

– Czy mam zawiadomić Anzelma o tym, co zaszło? – zapytała.

– Broń Boże – odrzekła Leonella – poszukiwałby swojej krzywdy na Lotariuszu, a dobra żona nie powinna wystawiać na niebezpieczeństwo męża, którego kocha.

– Prawda – rzecze Kamilla – ależ moja dobra przyjaciółko, cóż mu powiem, gdy zobaczy ranę?

– Wybacz pani, nie umiałabym nawet skłamać żartem – odrzekła Leonella.

– Nie! i ja nie odważę się na kłamstwo; sądzę, że najlepiej będzie wyznać wszystko, jak było w istocie – odpowiedziała Kamilla.

Powiernica prosiła panią, ażeby się więcej nie zajmowała tą myślą, że bierze wszystko na siebie, że tłumaczenie będzie zbyteczne, jeżeli się rana zabliźni, nim Anzelm przyjedzie.

– Staraj się tylko pani unikać silnych wzruszeń – mówiła – a zdrowie prędzej powróci; jeżeli Anzelm przybędzie pierwej, nie skłamiesz, mówiąc, że jesteś cierpiąca i potrzebujesz spoczynku.

Gdy obłudnice naigrawały się w ten sposób z łatwowierności Anzelma, on, biedak, nie straciwszy ani jednego słowa z ich rozmowy, miał prawo uważać się za najszczęśliwszego z ludzi i oczekiwał z upragnieniem zmroku, aby podzielić radość z przyjacielem, któremu szczęście zawdzięczał. Kamilla i Leonella dały zręcznie Anzelmowi tę upragnioną wolność. Anzelm udał się niezwłocznie do Lotariusza, który, wyznać trzeba, spodziewał się jego odwiedzin; rzucił się w objęcia przyjaciela, gubił się w podziękowaniach dla niego i pochwałach dla Kamilli, o której mówił z uniesieniem. Lotariusz, pomieszany, nie znalazł odpowiedzi, ani śmiałości do podzielania szczęścia. Anzelm, spostrzegłszy oziębłość przyjaciela, sądził, że rana i cierpienia Kamilli, których Lotariusz był sprawcą, sprowadziły chmury na jego czoło; zaczął go więc pocieszać, wnosząc, że rana musi być nieznacząca, skoro Kamilla ma nadzieję ją ukryć. Na koniec powiedział mu, że nie martwić, ale cieszyć się powinien, iż wpłynął tak stanowczo na związek jego z najpiękniejszą osobą we Florencji i na ustalenie ich szczęścia; że chodziło tylko o zrobienie wierszy dla uwiecznienia cnót Kamilli; Lotariusz uznał słuszność tego żądania i obiecał nimi się zająć. Otóż to tak wyszedł Anzelm na próbie żony, tak dobrze przez siebie obmyślanej; oddał się w ręce człowiekowi, który go znieważył, i domagał się dla niego więcej względności u Kamilli. Korzystali jeszcze z tak dobrze ukartowanej matni, dopóki los, odgrywając swoją rolę, nie odkrył ich światu, dopóki nierozważna ciekawość Anzelma, odebrawszy mu honor, nie odebrała później i życia.

Rozdział VIII

W którym się kończy historia ciekawego nierozważnego

Powieść była bliska końca, gdy Sancho zalękniony przybiegł ze strychu, gdzie się znajdował Don Kichot, krzycząc przeraźliwie:

– Przybywajcie! przybywajcie na ratunek mojemu panu, który w tej chwili stacza bitwę tak straszną, że nie widziałem równej w życiu moim. Niech się z tego miejsca nie ruszę, jeżeli waleczny pan mój nie strącił od jednego cięcia głowy z karku nieprzyjaciela księżniczki Mikomikon.

– Co mówisz, Sancho? – rzekł pleban – nie jesteś przy zdrowych zmysłach, ten olbrzym jest o dwa tysiące mil stąd; nie sądzę, żeby razy twojego pana tak daleko sięgały.

Wtem usłyszano krzyki z poddasza: „Stój, łotrze! stój, złoczyńco! ach! mam cię na koniec. Ani siła, ani miecz twój, na nic się tu nie zdadzą". – Przy tym słychać było szczęk pałasza, którego razy gęsto spadały na ściany poddasza.

– Na miłość Boską, panowie, czemuż nie biegniecie rozbroić walczących, choć to na nic się już nie zda, bo olbrzym już wyzionął nieczystego ducha i zdaje teraz rachunek z niecnych spraw swojego żywota przed Bogiem, a potem zapewne przed wszystkimi diabłami; krew się toczyła jak wezbrana rzeka, a łeb na niej pływał jak bania. Na honor! wielki jak słoń, a przynajmniej jak beczka.

– Na Boga! – wykrzyknął gospodarz, który z innymi przybiegł na hałas – czy ten Don Kichot, czy Don Diabeł, nie porozbijał mi aby naczyń z winem, które stoją w jego izbie; wino to pewno bierze ten uczciwiec za rozlaną krew olbrzyma.

Pobiegli więc wszyscy na plac boju, gdzie zastali Don Kichota w najdziwaczniejszym rynsztunku: miał na sobie tylko koszulę, która mu z przodu ledwie do połowy ud dostawała, a w tyle

o ćwierć łokcia najmniej była krótsza; nogi długie, suche, włosami zarosłe, a do tego brudne, przepocona mycka, niegdyś czerwona, a teraz dziwnie wątpliwego koloru na głowie, przez lewe ramię przewieszona kołdra i w ręku miecz goły, oto jego obraz. Mieczem tym bił i rąbał zapamiętale w prawo i w lewo, wykrzykując tak gwałtownie, jak gdyby naprawdę walczył z najstraszliwszym jakimś nieprzyjacielem. Przy tym wszystkim wszakże najdziwniejszą zapewne było rzeczą, że oczy miał najzupełniej zamknięte. Śniło się widać biedakowi, że trzymał w ręku wielkoluda Pandafilando. Mając głowę nabitą opowiadaniem tego spotkania, mało go kosztowała we śnie podróż do Mikomikon, gdzie zdawało mu się, że walczy z nieprzyjacielem i zadaje mu razy, które nieszczęściem, padając na worki z koźlej skóry, napełnione winem, sprowadziły istny potop na poddaszu.

Gospodarz, na widok tej dla siebie klęski, uniósł się taką złością, że przypadł na przebój do Don Kichota, zaczął go okładać kułakami i zakończyłby niezawodnie bitwę z olbrzymem, gdyby Kardenio i pleban nie wyrwali z rąk jego naszego bohatera. Poczciwy szlachcic spał ciągle jak zabity, ani drgnął, i byłby spał niezawodnie do rana, gdyby balwierz nie lunął na niego całym wiadrem zimnej wody. To mu dopiero wróciło przytomność, ale nie tak jeszcze zupełnie, aby się spostrzegł, w jakim się znajdował stanie.

Dorota w tej chwili weszła, widząc atoli swego obrońcę tak lekko ubranego, zawróciła się co żywo ze strachu, żeby czego więcej nie zobaczyć. Cały ten rozgardiasz, wszystkie hałasy i zamieszanie, nie przeszkadzały bynajmniej Sanchowi szukać głowy wielkoluda, boć przecie na własne oczy widział, jak się zwaliła na ziemię. Po długim szukaniu, nie znalazłszy jej ani śladu, wykrzyknął zdumiony.

– Teraz dopiero widzę, że w tym domu wszystko dzieje się przez czary; przed chwilą dostałem najmniej dwa tysiące kułaków w tym

tu miejscu i ani widziałem, skąd mi się tak gradem sypią; teraz znów diabeł widocznie skrył mi gdzieś łeb olbrzyma, który jako żywo widziałem, jak byk spadający na te strumienie krwi, co, panie, lała się dziurgiem, a gulgała jak fontanna.

– Co ty tam bredzisz, nieprzyjacielu Boga i Jego Świętych – wykrzyknął gospodarz – nie widzisz, niezdaro, że ta twoja fontanna i twoja krew, to najwyraźniej moje wino z beczek, coście je podziurawili jak przetaki, a niechaj was najjaśniejsze jasności ogarną! a bodajże jemu tyle smoły gorącej w gardziel wleli w piekle, ile on mi wina zmarnował.

– Nie moja to sprawa – odpowiedział Sancho – ja tyle tylko wiem, że ta głowa dałaby mi była hrabstwo, którego teraz i na dnie morza nie znajdę.

Zimna krew giermka przyprowadziła do rozpaczy gospodarza po tylu szkodach, jakie mu jego pan wyrządził; zaklinał się, że im ta sprawka nie ujdzie na sucho jak poprzednia, i że mimo wszystkich przywilejów rycerstwa, muszą mu wynagrodzić szkodę co do grosza.

Pleban trzymał podtenczas za rękę Don Kichota, a nasz bohater, któremu się zdawało, że po odniesionym zwycięstwie znajdował się obok księżniczki Mikomikony, rzucił się do nóg plebana, mówiąc:

– Wasza wysokość nadobna księżniczo, jesteś już wolna od niebezpieczeństwa, nie potrzebujesz się obawiać tyrana, który cię prześladował; wywiązałem się z danego słowa; poszczęściło mi się przy pomocy niebios i tej, której poświęciłem życie. Wracam ci, pani, panowanie i tron wydarty.

– A cóż? nie mówiłem! – wykrzyknął Sancho – przecieżem nie pijany, ani co? przekonajcież się teraz, że mój pan bił się z wielkoludem. Jak mi Bóg miły! moje hrabstwo ocalone.

Obecni śmieli się szczerze z głupstw pana i sługi; jeden tylko gospodarz nie znajdował tego wszystkiego zabawnym.

Na koniec pleban, Kardenio i balwierz zmusili Don Kichota położyć się do łóżka. Więcej daleko mieli kłopotu z niepocieszonym po stracie gospodarzem. Gospodyni przeraźliwie wrzeszczała, wyrywając sobie włosy z głowy pełnymi garściami.

– To na nasze nieszczęście ten błędny diabeł przybłąkał się do naszego domostwa. On poprzysiągł sobie naszą zgubę; przeszłym razem musiałam go podejmować darmo, razem z tym łotrem jego giermkiem, koniem i osłem, przedstawiali się wszyscy za rycerzów błędnych, którym ich zakon rycerski nie pozwala płacić grosza w zajazdach. Bodaj ich nieszczęście spotkało! Na dobitkę, ten psi rycerz, co wiatry goni, teraz mi tu przyjechał wino zmarnować. O! nie doczekasz niegodziaszu, żebym się z tego miejsca nie ruszyła, musisz za wszystko zapłacić!

Maritornes, godna służąca wielmożnej pani, wykrzykiwała na swoją rękę: „Niech diabli porwą wszystkich błędnych rycerzy całego świata!". Tylko córka gospodyni milczała. Po długich korowodach nareszcie udało się plebanowi ułagodzić te krzyki boleści, obiecując zapłacić za wino, koźle skóry i krowi ogon, który gospodyni tak wysoko ceniła. Dorota podjęła się przynieść ulgę giermkowi, obiecując jego panu za ucięcie głowy olbrzymowi najpiękniejsze hrabstwo w królestwie, jeżeli je mieć będzie. Uradowany obietnicą Sancho, przysięgał, że widział walącą się głowę olbrzyma z długą brodą po pas sięgającą; że jeżeli jej nie znalazł, winne temu czary, których nie pierwszy raz przychodzi mu doświadczać w tym zajeździe. Dorota zapewniła, że wierzy wszystkiemu, że sprawa weźmie obrót niespodziewanie dobry. Gdy wszystko się uspokoiło, pleban, uproszony przez towarzystwo, tak kończył powieść o ciekawym nierozważnym:

Anzelm, upewniony o cnocie żony, był najszczęśliwszym z ludzi. Kamila, niechętna dla Lotariusza, Lotariusz wstrzymujący się

od odwiedzania Anzelma z powodu zerwania z Kamillą, utrzymywali zręcznie Anzelma w błędzie, dopóki ten, osądziwszy, że mu dla szczęścia potrzeba powrócić pomiędzy nimi zgodę, nie doprowadził jej do skutku, pomagając do łatwiejszego siebie oszukiwania.

Tymczasem Leonella, uniesiona namiętnością, ośmielona postępowaniem pani, posunęła zuchwalstwo do najwyższego stopnia, a korzystając z przyjaznych okoliczności, pozwalała kochankowi przepędzać u siebie całe dnie i noce. Zdarzyło się raz, że Anzelm usłyszał szmer w nocy w izbie Leonelli, lecz zastał drzwi zaparte z wewnątrz. Ten opór podwoił jego ciekawość, przezwyciężył zaporę i wchodząc, dostrzegł mężczyznę spuszczającego się z okna na ulicę. Chciał dognać nieznajomego, a przynajmniej poznać, ale przeszkodziła temu Leonella, klęknąwszy u nóg pana, błagając, aby nie robił hałasu i zapewniając, że uciekający był jej mężem. Anzelm nie wierzył tym zapewnieniom, groźbami i sztyletem dociągał się wyznania prawdy. Przestraszona Leonella błagała u nóg pana, aby darował jej życie, obiecując mu wyjawić wszystko, cokolwiek wiedziała o rzeczach większej jeszcze wagi.

– Powiedz natychmiast, bo cię zabiję – wykrzyknął Anzelm.

– Byłoby dla mnie niepodobieństwem w tej chwili mówić, jestem zbyt wzruszona, ale racz, panie, na miłość Boga do jutra zaczekać, a wszystko ci powiem; tymczasem poprzestań na moim uroczystym zapewnieniu, że człowiek, którego widziałeś wchodzącego oknem, obiecał zaślubić mnie.

Przekonany szczerością słów tych Leonelli, Anzelm udzielił jej żądanej zwłoki, oznajmiając, że trzymać ją będzie zamkniętą, dopóki nie uczyni obiecanego wyznania. Zamknąwszy drzwi na klucz, udał

się do Kamilli, uwiadomił ją o wszystkim, co zaszło, i o tajemnicy, którą Leonella wyjawić mu obiecała.

Kamilla, przerażona, nie wątpiła, że ta ważna tajemnica jej dotyczy; nie czekając przeto smutnych następstw, zabrała klejnoty i pieniądze i pobiegła błagać Lotariusza, aby ją ukrył lub razem z nią uciekł przed gniewem Anzelma. Nie można się było wahać. Lotariusz oddał Kamillę pod opiekę siostry swojej, która była ksienią w klasztorze, a sam tajemnie uszedł z miasta.

O świcie, niecierpliwy Anzelm, nie zauważywszy nieobecności żony, wszedł do izby Leonelli; zastał ją pustą, tylko powiązane prześcieradła u okna zdradzały jej ucieczkę. Poszedł do żony z tą wiadomością, ale jej ani w łóżku, ani w całym domu znaleźć nie mógł, a żaden z domowników nie widział jej wychodzącej. Otwarta i wypróżniona z klejnotów szkatuła i wyznanie Leonelli nasunęły mu okropne podejrzenia, z którymi biegł zwierzyć się Lotariuszowi; lecz jakież było zadziwienie, gdy się dowiedział, że przyjaciel jego, zabrawszy pieniądze, w nocy z domu wyjechał. Cóż mógł w tym przypadku sądzić człowiek, uznający się przed godziną za najszczęśliwszego, pozbawiony naraz żony, przyjaciela, a prawdopodobnie i honoru? W niepewności dosiadł konia i wyjechał za miasto z zamiarem odwiedzenia jednego z przyjaciół, ale zaledwie pół drogi odbył, ulegając pod brzemieniem czarnych myśli i strasznych podejrzeń, uczuł się tak osłabiony, że był przymuszony zsiąść z konia i usiadł na pniu drzewa przy drodze.

Zmierzchało się, gdy przejeżdżał drogą z miasta jakiś młody człowiek. Anzelm zapytał go o nowiny.

– Dość zajmujące – odpowiedział zapytany – w całym mieście mówią, że Lotariusz przeszłej nocy uszedł z żoną Anzelma, który także bez śladu zaginął. Dowiedziano się o tym od służącej Kamilli, którą straż ujęła w chwili, gdy się spuszczała z okna na ulicę. Nie

znam bliższych szczegółów tego wypadku, ale to pewna, że miasto nim zajęte, a zadziwienie jest powszechne, bo ścisła przyjaźń Anzelma i Lotariusza zjednała im przydomek nierozłącznych przyjaciół.

– I nie wiadomo, gdzie się schronił Lotariusz z Kamillą? – zapytał Anzelm.

– Nie, lecz władze miejskie spiesznie zarządziły poszukiwania – odpowiedział kawaler.

Te smutne wiadomości obłąkały do reszty umysł Anzelma. Podniósł się i z trudnością dosiadłszy konia, pojechał do jednego z przyjaciół, który o zdarzonym nieszczęściu jeszcze nic nie wiedział, ale domyślił się po zmienionej powierzchowności Anzelma. Ten wszedłszy, prosił go o posłanie, atrament i pióro. Pozostawszy sam, Anzelm uczuł, że ten zbytek boleści przypłaci śmiercią i w ostatnich chwilach chciał dać wiadomość światu o powodach swego zgonu. Zaczął pisać, ale nim skończył, boleść go zabiła. Gospodarz domu, chcąc zapytać gościa, czy mu czego nie brakuje, zastał go bez życia, pochylonego nad stołem, ze spuszczoną głową. Bezwładna ręka trzymała jeszcze pióro, a pismo przed nim leżące mieściło te wyrazy:

„Natrętną ciekawość przypłacam życiem. Jeżeli wiadomość o śmierci mojej dojdzie Kamillę, niech się dowie zarazem, że jej przebaczam, nie miałem słuszności wymagać od niej cudu, ona nie miała obowiązku go spełnić, a ponieważ ja sam jestem przyczyną nieszczęścia, nie byłoby sprawiedliwe, aby..."

Zbytek boleści nie dozwolił Anzelmowi dokończyć. Nazajutrz rodzice Anzelma dowiedzieli się o jego śmierci, wiedząc już o nieszczęściu. Kamilla niepocieszona bliska była zgonu, ale z powodu oddalenia Lotariusza nie chciała wyrzec ślubów zakonnych, dopiero skłoniła ją do tego wiadomość o śmierci Lotariusza w bitwie Lautreka z Fernandem Gonzalwem z Kordoby.

Nie mogła znieść tego ciosu i w krótkim czasie dni zakończyła.

– Nie ostatnio napisana powieść – rzekł pleban – ale wątpię, aby była prawdziwa, a jeżeli jest zmyślona, to autor niewiele okazał rozsądku, bo któż widział kiedy męża na tak niebezpieczną wystawiającego się próbę, przypuścić by można to szaleństwo w kochanku, ale nigdy w mężu.

Rozdział IX

O dziwnych przygodach w zajeździe

Gdy pleban skończył opowiadanie, gospodarz, w progu karczmy stojąc, zawołał:

– Chwała Bogu! zbliża się ku nam znaczna kompania jezdnych, jeżeli się tu zatrzymają, napędzą trochę grosza.

– Co to są za ludzie? – zapytał Kardenio.

– Są to czterej rycerze w maskach, zbrojni w włócznie i tarcze, a z nimi zamaskowana dama biało ubrana, a przy jej rumaku dwóch służących pieszych.

Dorota włożyła natychmiast maskę, a Kardenio poszedł uzupełnić ubiór do izby Don Kichota. Zaraz też nadjechali jezdni, zeskoczyli z koni, pomogli zsiąść damie, którą jeden z kawalerów, wziąwszy w ramiona, posadził na krześle stojącym w drzwiach pokoju, do którego wszedł Kardenio.

Nikt z towarzystwa nie zdjął maski, ani przerwał milczenia. Dama tylko głęboko westchnęła, była podobna do umierającej. Tajemniczość orszaku zaostrzyła ciekawość plebana; nie widząc innego sposobu, udał się do stajni wybadać służących.

– Doprawdy, my sami niewiele wiemy – odpowiedzieli oni – zdaje się jednak, że są to znakomite osoby, zwłaszcza ten, który

zsadził damę z konia, wnosząc po uszanowaniu, z jakim jest dla niego reszta towarzystwa.

– A któż jest ta dama? – zapytał pleban.

– Nie więcej o niej umiemy powiedzieć, przez całą drogę nie widzieliśmy jej twarzy, ale za to ciągle wzdychała i narzekała. Nic dziwnego, że więcej powiedzieć nie umiemy, gdyż przed dwoma dniami dopiero spotkaliśmy na drodze ten orszak, któremu towarzyszymy od Andaluzji w nadziei dobrej zapłaty.

– Nie słyszeliście nazwiska żadnego z jeźdźców?

– Nie – odrzekł jeden z masztalerzy. – Podróżują jak kartuzy, nie mówiąc ani słowa, słyszeliśmy tylko ciągłe westchnienia i skargi młodej damy, którą ci panowie, zdaje się, gwałtem uprowadzają. Wnosząc z jej ubioru, jest zakonnicą, albo ma nią zostać; może nie czując w sobie dosyć powołania, biedna ta rozpacza.

– To być bardzo może – rzekł pleban, idąc szukać Doroty, która wzruszona westchnieniami zamaskowanej damy, ofiarowała jej usługi, jakie kobieta od kobiety tylko przyjmuje. Dorota na te zabiegi nie otrzymała żadnej odpowiedzi, a kawaler, który najwięcej zdawał opiekować się damą, rzekł:

– Nie trać pani czasu na grzeczność dla niewdzięcznej i zaprzestań zapytań, jeżeli nie chcesz kłamstwa usłyszeć.

– Nigdym kłamstwa się nie dopuściła – rzekła z dumą dama – i może dlatego, że byłam zbyt szczera, znajduję się teraz w tak nieszczęśliwym położeniu. Nie potrzebuję powoływać się na innego świadka, bo sam, panie, jesteś przekonany, że obstawanie przy prawdzie sprowadziło na mnie twoje okrutne prześladowanie.

– Ach! Boże, czyjże to głos słyszę? – zawołał Kardenio w przyległym pokoju.

Na te słowa młoda dama podniosła głowę i chciała wejść do izby, w której znajdował się Kardenio, ale przeszkodził jej w tym

zamiarze rycerz, zatrzymując ją przemocą. W tym pomieszaniu spadła zasłona z twarzy nieznajomej i odkryła twarz bladą nieporównanej piękności. Kawaler, trzymając ją w ramionach, nie miał czasu podnieść maski, która mu także spadła z twarzy podczas szamotania się z damą, a Dorota, poniósłszy oczy, poznała w nim Don Fernanda, krzyknęła przeraźliwie i padła zemdlona. Pleban pośpieszył na jej ratunek, a gdy dla łatwiejszego oddychania zdjął jej maskę, Don Fernand z zadziwieniem poznał Dorotę. Zmieszany tym wypadkiem, nie wypuścił jednak z rąk Luscindy, która, poznawszy zaraz głos Kardenia, usiłowała się gwałtem wyrwać. Kardenio zaś w mniemaniu, że krzyk Doroty był krzykiem Luscindy, wypadł przelękniony z izby i spostrzegł Luscindę w ramionach Don Fernanda, który nie mniej był zdziwiony, poznając Kardenia. Cztery osoby w najwyższym zdziwieniu patrzyły na siebie, nie przerywając milczenia. Luscinda pierwsza tak się odezwała.

– Don Fernandzie, zaprzestań niesprawiedliwości i gwałtu, które zawsze pozostaną bezskuteczne; żadne ofiary, żadne groźby mnie ku tobie nie skłonią i bądź pewny, że prędzej doczekasz się zgonu, niż przyzwolenia mojego, nie do mnie już należy rozrządzać sobą: Kardenio, którego tu widzisz, jest moim mężem, zwróć mu jego własność, a mnie spokój i szczęście, zaklinam cię i błagam o to, panie, a jeżeli, zadawszy mi już tyle cierpień, mało ci jeszcze zemsty, zakończ raczej jednym ciosem nieszczęśliwe życie.

Dorota tymczasem przyszła do przytomności, a widząc Luscindę zawsze w ramionach Don Fernanda, rzuciła mu się do nóg, tonąc we łzach i mówiąc:

– Panie! jeżeli nie wygasło w tobie uczucie litości, zwróć oczy na Dorotę, którą kiedyś kochałeś i nieszczęśliwą uczyniłeś. Byłam swobodna w domu rodziców, kiedy przyszedłeś uwieść niewinność moją, zatracić spokojność i wzniecić w łonie moim nieznane

namiętności. Twoje dary były bezsilne, ileż zręczności użyć musiałeś, aby mnie tylko widywać, ileż trudów, aby mnie przekonać, że kochasz i wyrwać wzajemność? Nie będę ci przypominała starań i grzeczności, które dziś może niegodnymi siebie znajdujesz. Nie okazałbyś większych dla osoby wyższej stanowiskiem w świecie; przekupywałeś służących, używałeś wszelkich środków, jak gdyby osoba moja największe szczęście i zaszczyt zjednać ci miała? A jednak jakimże sposobem zwalczyłeś moją stałość? Nie przeczę, żem była wzruszona twoimi staraniami, oddałam ci się przecież dopiero po przysiędze, że mnie zaślubisz, a ty nieba na świadki powołałeś, że obietnicy nie zgwałcisz; cóżem uczyniła, żeś mnie opuścił? Nienawidzisz mnie za to, żem cię zanadto kochała, a zrobiwszy nieszczęśliwą, opuszczasz; zgodziłam się zostać twoją, bo na wszystko, co najświętsze zakląłeś się, że będziesz moim jedynie. Zawiedziesz, panie, tyle miłości, że nie powiem cnoty! Będąc moim, nie możesz należeć do Luscindy, a Luscinda nie może być twoją, bo należy do Kardenia; zwróć ich więc sobie we wzajemne objęcia, a mnie oddaj Fernanda, do którego nikt nie jest w stanie prawa mi zaprzeczyć. Ach! panie, utraciwszy cię, śmierci szukałam.

Zalana łzami Dorota szczerą prawdą wyrazów rozrzewniła wszystkich. Don Fernand żywo wzruszony otworzył jej swoje ramiona, mówiąc:

– Zwyciężyłaś, piękna Doroto!

Luscinda, odstąpiona przez Don Fernanda, byłaby niezawodnie zemdlała, gdyby Kardenio, który stał za Don Fernandem, aby nie być widzianym, nie ujął jej był w swoje objęcia i nie przemówił:

– Kiedy nieba same mi cię zwracają, pójdź, luba, wesprzyj się na moim ramieniu, bo pewno lepiej nikt cię nie osłoni od tego, który cię przez całe życie tak szczerze kochał i kocha.

Luscinda zwróciła głowę do przemawiającego, a poznawszy Kardenia, w uniesieniu radości uściskała go tkliwie, nie zważając na obecnych.

– O Boże! to ty! najdroższy Kardenio – wykrzyknęła. – O! dzięki wam, litośne nieba, żeście mi dozwoliły widzieć raz jeszcze tego, którego jedynie kocham na tym świecie!

Pieszczoty Luscindy świadczone Kardeniowi, rozrozdrażniły Fernanda; dostrzegłszy w obliczu jego chęć jęcia się oręża, padła mu do nóg, wołając:

– Co zamyślasz, o! panie, mając przed sobą małżonkę? Czyż masz jakie prawo zakłócać święte uczucia dwojga kochających się istot? Czemuż cię gniewają oznaki ich miłości, która cię obchodzić nie powinna? Nie każ mi cierpieć dłużej, a jeżeli moja miłość i łzy nie wzruszą cię, oszczędzaj mnie w imię rozumu i przysiąg! oddaj się na wolę nieba, co w tak cudowny sposób okazało litość swą nad nieszczęściami nas wszystkich.

Kardenio miał się na baczności, aby Don Fernand nie zastał go nieprzygotowanym; ale towarzysze Don Fernanda i proboszcz nasz poczciwy rzucili mu się do nóg, błagając o litość dla Doroty, którą sam uznał już za swoją małżonkę.

– Uważ panie – mówił pleban – że Kardenio z Luscindą ślubowali sobie miłość przed Bogiem, że nie możesz ich rozłączać bez popełnienia niesprawiedliwości, że ustępować rozumowi nie jest słabością; czyż Dorota nie ma przymiotów najpiękniejszych w kobiecie? cnotliwa, piękna, czuła, kocha cię nad życie, przysięgą ślubowała ci wiarę dozgonną i tyś jej także ślubował; dlaczegóż nie masz iść drogą sprawiedliwości?

Don Fernand miał duszę szlachetną; uczuł słuszność tej mowy, przezwyciężył się więc nareszcie i ściskając czule Dorotę, rzekł:

– Wstań pani, nie zniosę, aby mi u nóg leżała kobieta, która dała tyle dowodów cnoty i miłości. Chciej zapomnieć, coś z mojej wycierpiała przyczyny, szczery a głęboki żal mój i piękność Luscindy powinny mnie przed tobą choć w części uniewinnić. Niech Luscinda żyje szczęśliwa z Kardeniem, a ty, Doroto, otocz błogością dni moje.

Don Fernand uściskał raz jeszcze Dorotę i to z tak prawdziwym uczuciem miłości, że roztkliwiona zalała się łzami.

Rozrzewnienie było powszechne, Kardenio i Luscinda, słowem wszyscy oprzeć mu się nie mogli, Sancho nawet jak bóbr płakał, ale tego tylko, że Dorota nie była królową Mikomikon, a on stracił nadzieję swego najmilszego hrabstwa. Luscinda i Kardenio dziękowali Don Fernandowi, a on za całą odpowiedź czule ich ściskał. Potem wypytywał się Doroty, jakim sposobem tak daleko od swego kraju zawędrowała; powtórzyła mu wszystko, co już opowiedziała plebanowi i Kardeniowi i zachwyciła Fernanda i całe towarzystwo ślicznym swoim opowiadaniem.

Don Fernand opowiedział jej znów, co zaszło w domu Luscindy w czasie ślubu, mówiąc, że gdy znaleziono za gorsem Luscindy list objawiający, że jest żoną Kardenia, tak był uniesiony zazdrością, iż chciał ją zabić na miejscu i tylko widok sędziwych jej rodziców powstrzymał go w zapędzie. Poprzysiągł jej wszakże zemstę na przyszłość i choć Luscinda uszła po kryjomu, zdołał jednak dowiedzieć się, że postanowiła na resztę dni życia zamknąć się w klasztorze, jeżeli Kardenia nie odzyska. Z trzema towarzyszami ruszył w pogoń, a upatrzywszy furtę klasztoru otwartą, porwał Luscindę, nie dając się jej poznać.

Luscinda, uwożona gwałtem, nie przestawała wzdychać i płakać i w tym stanie przywiózł ją do zajazdu, gdzie niebo położyło kres jej cierpieniom. Skończywszy mówić, Don Fernand uprzejmie

zwrócił się do Luscindy i przepraszając ją po tysiąc razy za wyrządzone przykrości, solennie ją zapewnił, że ramię jego gotowe zawsze na jej usługi, że nie mniej dzielnym i silnym okazać się pragnie, niż się w prześladowaniu jej okazał.

Rozdział X

Dalszy ciąg przygód infantki Mikomikon

Sancho Pansa pilnie przysłuchiwał się wszystkiemu. Jego nadzieje poszły z dymem od czasu, jak księżniczka Mikomikon przemieniła się w Dorotę, a wielkolud Pandafilando w Don Fernanda. Don Kichot spoczywał snem błogosławionych, wcale się o nic nie troszcząc. Dorota nie była jeszcze pewna, czy to, co zaszło, było we śnie, czy na jawie, a Kardenio i Luscinda, niemniej szczęśliwi, widzieli w tych wypadkach cud, na skrócenie ich cierpień zesłany. Don Fernand wreszcie winszował sobie takiego obrotu sprawy, która go tylu przykrości nabawiała, zgoła wszyscy niewymownie cieszyli się, że trudne i zawikłane niesnaski zastąpiła teraz błoga spokojność. Roztropny i zręczny pleban najwięcej się do tego przyłożył; rozmawiał to z jednym, to z drugim, przyznając każdemu, że najwięcej wpłynął na ukończenie sprawy.

Najwięcej jednak ze wszystkich cieszyła się gospodyni, bo Kardenio i pleban obiecali jej wynagrodzić szkody, przez Don Kichota zrządzone. Jeden tylko Sancho straciwszy nadzieję hrabstwa, wielce tym zmartwiony spuścił nos na kwintę. Z wyciągniętą na łokieć twarzą, w gniewnym usposobieniu, wszedł do izby pana, który właśnie tylko co się obudził:

– Wasza dostojność, mości Rycerzu Posępnego Oblicza, może sobie spoczywać spokojnie – rzekł – nie ma już potrzeby zabijać

wielkoluda, ani zwracać państw księżniczce, wszystko się już skończyło.

– I ja myślę, że już się skończyło – odpowiedział Don Kichot – bo takiej bitwy, jak ta moja z olbrzymem, dzieje świata jeszcze nie dały przykładu; jednym cięciem zmiotłem mu łeb z dumnego karczyska, a potoki krwi rzygnęły jak fale wzdętej rzeki przez stawiane tamy.

– Rzygnęły jak wino, niech raczej powie wasza łaskawość – odezwie się Sancho – bo ten zabity wielkolud, to był worek z koźlej skóry, a jego krew to czerwone wino, a ten łeb odcięty wiatr uniósł, bo go wcale nie było.

– Przebóg! co ty gadasz, Sancho, czyś ty tylko nie zwariował, ty biedny widzę, straciłeś rozum.

– Wstań oto lepiej panisko i przypatrz się, coś ty tu narobił i co to trza będzie za to zapłacić. Obacz pan królową Mikomikon, jak się przemieniła ni stąd, ni zowąd w zwyczajną Dorotę i jeszcze kat je wie, ile innych dziwnych rzeczy.

– Nic mnie nie zadziwi – odrzekł Don Kichot – bo jeślim nie stracił pamięci, to wiesz, iż mówiłem już zeszłym razem, że tu się dzieją cuda czarnej magii i sprawy szatana.

– To bardzo być mogło i teraz może bym uwierzył – rzecze Sancho – w te cuda, gdybym nie widział na własne oczy i nie czuł we własnych kościach, jak karczmarz, trzymając za róg kołdrę, podrzucał mną najtężej na tej piekielnej bujawce, śmiejąc się na całe gardło. Na głupi mój rozum, ja myślę, że tam nie ma czarów, gdzie się widzi ludzi na jawie.

– No, no, nie frasuj się tak bardzo, wszystko będzie dobrze, podaj mi tylko ubranie – przerwie Don Kichot – pójdę ja zobaczyć te zmiany, o których mi prawisz.

Gdy Sancho stroił naszego bohatera, pleban tymczasem opowiadał o nim Don Fernandowi i towarzyszom jego, ile trzeba było użyć przebiegów, aby Don Kichota zwabić z samotnej skały, gdzie opłakiwał nieczułość damy swych myśli. Opowiedział nadto wszystkie przygody, o których wiedział od Sancha. Całe grono śmiało się, że aż im łzy z oczu ciekły, wszyscy zgodzili się, że to jest najdziwaczniejszy i może jedyny rodzaj szaleństwa. Szczęśliwa metamorfoza księżniczki zmuszała plebana do szukania nowych sposobów, aby nakłonić Don Kichota do powrotu. Kardenio wpadł na myśl, że Luscinda doskonale może zastąpić Dorotę.

– Nie, nie – rzekł Don Fernand – niech Dorota kończy swoją rolę, a jeżeli dom tego cudnego rycerza niedaleko, z chęcią pragnąłbym przyczynić się także do uzdrowienia go z tak nieszczęśliwego kalectwa.

Wtem Don Kichot, uzbrojony od stóp do głów, stanął w progu i ukazał się towarzystwu; nie brakowało ani historycznego hełmu Mambryna, ani tarczy, ani włóczni. Wszyscy podziwiali jego cudacki rynsztunek, tę twarz wychudłą i ogorzałą i tę dumną postawę. Don Kichot zatrzymał wzrok na Dorocie i z dziwną powagą przemówił:

– Szlachetna i piękna damo! dowiaduję się od obecnego tu mojego koniuszego, że z królowej stałaś się zwyczajną kobietą. Jeżeli to się stało za wolą wielkiego czarnoksiężnika, ojca twego, który może nie ufa w ramię moje; to wyznać muszę, że ojciec twój, pani, w grubym znajduje się błędzie, i nie dość zna dzieje rycerstwa. Gdyby je czytał uważnie, jak ja, wiedziałby, że są przepełnione więcej jeszcze zdumiewającymi wypadkami i że mnóstwo rycerzy mniej ode mnie sławnych (mówiąc bez chełpliwości), dokonywało dzieł nieskończenie trudniejszych; nie jest cudem zwalczyć olbrzyma jakiej bądź siły i wzrostu: niedawno doświadczałem sił swoich

z wielkoludem... więcej mi powiedzieć nie wypada, bo by mi może nie wierzono.

– Doświadczałeś się, prawda, ale z bukłakami, nie z olbrzymem – wtrącił karczmarz – i chciał dać więcej niepotrzebnych objaśnień, ale Don Fernand nakazał mu milczenie, a Don Kichot ciągnął dalej:

– Upraszam na koniec waszą wysokość, wydziedziczona księżniczko, że jeżeli tylko przytoczony powód wstrzymuje cię od powierzenia się opiece Don Kichota z Manchy, to porzuć płonną obawę, bo nie ma przeszkód na tym świecie, których by miecz jego nie przeparł; miecz ten strąci głowy twoich nieprzyjaciół, osadzi na tronie przodków i zapewni ci spokojne panowanie. Don Kichot zamilkł, oczekując odpowiedzi księżniczki.

Dorota na skinienie Fernanda odpowiedziała mu z monarszą godnością:

– Ktokolwiek ci powiedział, zacny Rycerzu Posępnego Oblicza, żem się zmieniła, fałsz ci powiedział; jakkolwiek zaszła szczęśliwa zmiana w moim położeniu, daleka jednak jestem od tego, abym miała odrzucać pomoc twego niezwyciężonego ramienia, porzuć przeto błędne mniemanie o moim ojcu i nie wątp, że był to człowiek rozumny i uczony, kiedy znalazł w swojej nauce tak niezawodny sposób zaradzenia mojemu nieszczęściu. Spotkanie twoje, rycerzu, liczę zawsze do najszczęśliwszych wypadków; tobie już winnam szczęście swoje, a ci panowie dzielić muszą niezawodnie przekonanie moje, patrząc na wielkie czyny twoje. Jutro ruszamy w drogę, dziś bowiem już za późno; Bogu i tobie, rycerzu, powierzam, losy swoje.

Gdy Dorota skończyła, Don Kichot, patrząc gniewnie na giermka, rzekł:

– Sancho, mój przyjacielu, jesteś największym łajdakiem w całej Hiszpanii, nie powiedziałżeś, łotrze, przed chwilą, że jej wysokość

jest po prostu panną Dorotą, nie nabajałżeś mi tysiąc innych niedorzeczności, za które wstydzić się musiałem? Przez Bóg żywy! nie wiem, co mnie wstrzymuje, że cię nie zabiję na miejscu, dla samego przykładu wszystkim giermkom na świecie, którzy kiedykolwiek będą mieli honor służyć rycerzom błędnym.

– Niech wasza wysokość się nie gniewa – odpowie Sancho – co do księżniczki Mikomikony, możem się i mylił; ale co do olbrzyma, kozich skór i czerwonego wina, to dalipan, że się nie mylę. Podziurawione worki od wina leżą na ziemi, a wino zalało stancję; przekona się o tym wszystkim wasza dostojność, jak karczmarz każe sobie stratę zapłacić. Bogu dziękować, że się królewna nasza nie przedzierzgnęła na co innego, bo to mnie na dobre wyjść może.

– Teraz powiem ci, mój Sancho, żeś osioł, daj mi pokój i zamknij już gębę – przerwał mu Don Kichot.

– No, no, nie ma o czym gadać – rzekł Don Fernand – księżniczka postanowiła jutro wyruszyć w drogę, myślmy więc o spoczynku, a jutro wszyscy towarzyszyć będziemy rycerzowi Don Kichotowi, aby być świadkami jego zadziwiających czynów.

– To ja raczej będę miał zaszczyt, panowie, wam towarzyszyć i kosztem życia swego chcę usprawiedliwić zaszczytne mniemanie, na jakie zarobić sobie potrafiłem – odparł wykwintnie nasz rycerz.

Kiedy Don Kichot i Don Fernand przesadzają się w oświadczeniach gotowości służenia damom, nowy podróżny wszedł do karczmy. Z odzieży poznać było można niewolnika powracającego z jasyru od Maurów. Miał na sobie coś niby kamizelkę z sukna niebieskiego z krótkimi rękawami bez kołnierza, spodnie z płótna niebieskiego i czapeczkę tegoż koloru; na nogach sandały, jakich zwykle Maurowie używali, i pałasz zawieszony u pasa, przewiązującego biodra; za nim jechała kobieta,

po mauretańsku ubrana, z zasłoną na twarzy, w złotem przetykanej czapeczce i w długiej sukni, do stóp sięgającej. Niewolnik, mężczyzna piękny, miał lat około czterdziestu, wąs zdobił twarz jego nieco śniadą, a cała postawa raczej człowieka wyższego stanu, niż niewolnika znamionowała. Zażądał osobnej izby i mocno się zafrasował, gdy karczmarz powiedział mu, że nie ma ani jednej próżnej w całym zajeździe.

Dorota, Luscinda i wszystkie kobiety z karczmy spoglądały z ciekawością na dziwny ubiór Mauretanki. Dorota, widząc ją zakłopotaną tym, że nie było stancji próżnej, zbliżyła się do cudzoziemki i uprzejmie przemówiła:

– Niech się pani nie dziwi tym brakiem wygody, u nas wszystkie karczmy tak są niegodziwe, jeżeli pani zechcesz, z chęcią podzielimy się z panią naszym mieszkaniem, a przekonasz się pani, żeś szczęśliwie trafiła i że nigdzie przyjaźniejszego nie mogłabyś mieć przyjęcia.

Zakwefiona dama powstała i nic nie odpowiadając, złożyła na piersiach ręce na krzyż, schylając głowę na znak podziękowania, co przekonało obecnych, że jest Mauretanką i nie rozumie po hiszpańsku.

Niewolnik, czym innym dotąd zajęty, widząc damy rozmawiające z Mauretanką, zbliżył się i rzekł:

– Ta pani nie rozumie żadnego języka prócz swego i dlatego odpowiedzieć nie może na ich żądanie.

– My też nic nie żądamy – rzekła Luscinda – ofiarujemy jej tylko nocleg w naszym towarzystwie i wygody, na jakie miejsce pozwala.

– W swoim i jej imieniu dziękuję zacnemu państwu – odpowiedział z grzecznością niewolnik.

– Czy ta dama jest chrześcijanką, czy Mauretanką? – zapytała Dorota – jej milczenie i ubiór zdają się wskazywać, że nie jest naszej

religii.

– Jest Mauretanką z urodzenia – odpowiedział niewolnik – ale z duszy pragnie zostać chrześcijanką, bo jest nią z przekonania.

– Jak to? ona niechrzczona? – przerwała Dorota.

– Nie miała czasu przyjąć chrztu świętego – rzecze niewolnik – bo jedzie dopiero z Algieru, który jej jest ojczyzną, potrzebuje się przedtem wzmocnić w zasadach naszej religii; a wtedy, jeżeli Bogu podobać się będzie, przyjmie chrzest z uroczystością odpowiednią jej znakomitości, o której w tej chwili jej i mój ubiór wcale mylne mogą dać wyobrażenie.

Ta mowa zaostrzyła ciekawość obecnych; nikt jednak zapytać się nie śmiał, kto była Mauretanka i niewolnik, bo zdawało się, że przede wszystkim potrzebowali spoczynku. Dorota, ująwszy rękę Mauretanki, prosiła ją o zdjęcie zasłony.

Ta badała wzrokiem niewolnika, co jej czynić wypada; niewolnik wytłumaczył jej po arabsku, że panie żądają, aby zdjęła zasłonę, co gdy uczyniła, wszyscy ujrzeli twarz czarującej piękności.

Luscinda znalazła ją piękniejszą od Doroty, a Dorota piękniejszą od Luscindy, na koniec wszyscy przyznali, że nie ustępuje nikomu w piękności. A że piękność ma przywilej pociągania wszystkich serc, każdy więc śpieszył z gotowością usług dla pięknej Mauretanki.

Don Fernand zapytał o jej nazwisko.

– Lela Zoraida – odpowiedział niewolnik, a Mauretanka dodała pośpiesznie.

– *No, no Zoraida, Maria, Maria* – chcąc dać do zrozumienia, że jej imię *Maria* nie *Zoraida*.

Wyrazy te i jej wzruszenie rozczuliły obecnych, zwłaszcza kobiety z natury tkliwe; Luscinda uściskała nieznajomą, mówiąc:

– Tak, tak, *Maria, Maria* – a niewolnik rzekł z czułością:

– Tak, tak, *Maria Zoraida Macangé*; co ma znaczyć nie *Zoraida*.

Don Fernand tymczasem kazał zastawić kolację i wszyscy zasiedli do stołu, a Don Kichot, zmuszony do zajęcia pierwszego miejsca, obstawał przy tym, aby księżniczka Mikomikon, jako pod jego zostająca opieką, obok niego zasiadła.

Luscinda i Zoraida umieściły się przy Dorocie, Don Fernand i Kardenio naprzeciw, pleban i balwierz obok dam, nareszcie niewolnik i towarzysze Fernanda znaleźli także miejsce u stołu.

Najlepszy humor ożywił biesiadę, zwłaszcza, że Don Kichot, natchniony tym samym duchem, pod którego wpływem miał ową nieśmiertelną mowę do koziarzy, przemówił z uniesieniem:

– Zaprawdę, panowie, my błędni rycerze przyzwyczajeni jesteśmy do rzeczy nadzwyczajnych. Powiedzieć chciejcie, czy ktokolwiek, widząc nas teraz, odgadłby, kto jesteśmy? Któż by w damie obok siedzącej poznał królową, a we mnie Rycerza Posępnego Oblicza, którego głośna sława stanowi w historii epokę? Wątpić nie można, że nie ma szczytniejszego stanu nad powołanie rycerskie, tym godniejsze czci, że wystawione ciągle na największe niebezpieczeństwa. Niech mi nie wspominają o wyższości pióra od oręża; krótko widzi, kto śmie tak twierdzić. Utrzymują, że prace umysłu wyższe są od dzieł męstwa, wspartego we władaniu mieczem, tak, jakby nie było różnicy między rycerzem a rzemieślnikiem, jakby nie było potrzeba umiejętnie używać siły i odwagi. Wódz dowodzący armią, broniący twierdzy, potrzebuje tyle głowy, ile ramienia. Odwagą nie można przewidzieć podstępów nieprzyjaciela, ani uprzedzić go w zamysłach. Gdy więc niezaprzeczenie rozum potrzebny tak dobrze rycerzowi, jak uczonemu, ten stan przeto jest wyższy, którego cel szlachetniejszy. Nie mówiąc o mędrcach, których umiejętność dąży do zbawienia siebie i bliźnich, nauka zakłada sobie triumf praw ludzkich i dobrego rządu. Cel to zapewne pożyteczny i chwalebny, ale się nie

da ani porównać z wojną, która dąży do pokoju, najwyższego dobra na świecie, która daje opiekę społecznościom, handlowi i zapewnia szczęście ludów, wyższa więc jest celem od nauk.

Zobaczmy, jaka jest różnica między pracą uczonego a pracą rycerza?

Wszyscy, co prawda, byli przekonani, że Don Kichot ma źle w głowie, ale że mężczyźni po większej części należeli do rycerskiego stanu, słuchali więc z przyjemnością długiej jego przemowy, a on ją tak dalej ciągnął:

– Ubóstwo, mówiąc w ogólności, chodzi w parze z nauką; a kto goły, niewesoły, bo cierpi głód, pragnienie, zimno i wszystkie niewygody; taką to koleją dosyć przykrą dochodzą uczeni do celu i widzieliśmy wielu z nich wysoko wyniesionych przez ten sam los kapryśny, co im niegdyś nie szczędził chłosty i co sobie czasem takich cudów pozwala, kiedy jest w dobrym humorze, że z nędzy od razu wynosi do wielkości.

Rozdział XI

Dalszy ciąg mowy o naukach i wojnie

– Widzieliśmy – mówił dalej Don Kichot – uczonego z całą jego biedą, zobaczmy, czy żołnierz jest bogatszy. Doprawdy, nie ma biedniejszego stworzenia na świecie. Musi nieborak poprzestać na żołdzie, który często później przychodzi i nie zawsze cały, a jeżeli odważy się innym sposobem co sobie przyswoić, robi to przeciw sumieniu i naraża życie na niebezpieczeństwo. Nieraz przepędza zimę w najniedostateczniejszym odzieniu? Ileż razy, nie mogąc opuścić stanowiska, znosi skwar, zimno lub słotę? a w nocy jakże szczęśliwy, gdy złapie garsteczkę słomy, aby się zabezpieczyć od wilgoci ziemi, na której często spać mu wypadnie. Dzień wraca

i on wraca do przykrych obowiązków, nie dobrze wypocząwszy. W bitwie pierwszy strzał muszkietu druzgocze mu głowę, ramię lub nogę, ale przypuśćmy, że go nie spotka takie nieszczęście, czyż stał się bogatszy, czy odniósł jaką korzyść? Gdzie tam, w lada jakiej sprawie musi jeszcze nieborak dawać poręczycieli, którzy ledwie cudem się zdarzają.

Zastanowiliście się kiedy panowie, ilu ludzi robi los w wojsku? Gdy tylu ich ginie, zaledwie tysiączna część dochodzi do czegoś. Zupełnie inaczej dzieje się z uczonymi; nigdy nie są w tak dotkliwym niedostatku, ani nie narażają życia na niebezpieczeństwo. Mimo to nagroda żołnierza jest rzadko wyższą, a zawsze prawie niższą. Prawda, że łatwiej jest wynagrodzić szczupłą liczbę uczonych, aniżeli tłumy wojowników; tamtym powierzają urzędy, których ci nie są w stanie sprawować, uwaga ta jednak nie osłabia, lecz utwierdza bardziej moje założenie. Na tym się ograniczę, ażeby nie uczynić rozprawy zbyt długą i raz jeszcze wracam do wyższości oręża nad piórem, którą spodziewam się okazać tymiż dowodami, jakich na korzyść obu stanów użyłem.

Jeżeli mówią na korzyść nauk, że wojna jest umiejętnością, że jej prawa napisali uczeni, ja przemawiam na korzyść wojny. Oręż utrzymuje prawo, broni rzeczypospolitej, zasłania trony, drogi i miasta ubezpiecza, morza z korsarzy oczyszcza, słowem, stanowi bezpieczeństwo publiczne. Aby zostać uczonym, potrzeba trochę czasu, starań, czuwania, pracy, trochę nie dojeść, trochę nie dopić, ale ażeby zostać dobrym wojownikiem wszystko to znieść trzeba, a przy tym co chwila narażać życie! Cóż cierpi uczony w porównaniu z żołnierzem w mieście oblężonym? Widzicie go na szańcu odbywającego wartę, nieprzyjaciel podkopał się minami, wśród groźnego niebezpieczeństwa ledwo mu wolno ostrzec dowódcę, aby przeciwnymi zabezpieczył się minami; nie mogąc

odstąpić, czeka, póki go wybuch nie zagrzebie pod gruzami budynków, lub nie wysadzi w powietrze. Widzicie dwa okręty, jak się zahaczają w bitwie morskiej? Żołnierz ma dwie stopy pokładu pod nogami, wokoło nieprzyjacielskie muszkiety i oręże, przed sobą paszcze dział ogień ziejące, a u stóp morze, gotowe go pochłonąć! wtedy cała jego nadzieja w odwadze; musi pogardzić niebezpieczeństwem, przedrzeć się przez ogień muszkietów i las włóczni, aby się dostać na drugi okręt w tłum nieprzyjaciela. Zabójcza kula wpadła w ścieśniony szereg; nie ma jednego z walecznych już go zastąpił inny bohater, ale nie dostał długo, już poszedł na dno morza za dawnym towarzyszem, morze się za nim zamknęło, a nowy bohater zapełnił po nim lukę, a potem jeszcze jeden i jeszcze jeden.

Och! przeminęłyście szczęśliwe wieki, w których dowcip ludzki nie silił się na budowanie machin wojennych; wieki błogiej niewiadomości, kiedy nie znano prochu, tego wynalazku piekieł, co dał nikczemny sposób pokonania mężnych. Szlachetny rycerz uniknąć nie może zdradzieckiego strzału, który przecina pasmo wspaniałych czynów i poświęceń bohaterskich. Ta myśl każe mi prawie żałować, żem w tym wieku niegodziwości obrał zawód błędnego rycerza, bo chociaż mnie żadne nie zastraszy niebezpieczeństwo, przykro przecież myśleć, że trochę prochu i kawałek ołowiu zmiecie jak pył razem z życiem męstwo moje i nie da poznać od bieguna do bieguna siły mojego ramienia. Co bądź mi los zgotuje, tym więcej zarobię sławy, że rzucam się oślep na niebezpieczeństwa, nieznane dotąd rycerzom wieków ubiegłych.

Gdy nasz bohater perorował tak zaciekle, zapominając o jedzeniu, Sancho od czasu do czasu pozwalał sobie zwracać uwagę swojego pana, że najadłszy się, równie dobrze będzie mógł przemawiać,

a obecni dziwili się, że człowiek tak rozsądnie i pięknie mówiący w innych materiach, traci zupełnie zdrowe pojęcie, gdy tylko dotknie sztuki rycerskiej. Pleban poklaskiwał hucznie, oświadczając, że jakkolwiek sam ma patent uczoności i powinien by się przechylić na stronę nauk, ustępuje przecież, zwyciężony mocą dowodów naszego bohatera.

Po wieczerzy, gdy gospodyni i Marytorna sprzątały izbę Don Kichota dla dam, Don Fernand prosił mauretańskiego niewolnika imieniem całego towarzystwa, aby opowiedział historię swego życia, która musi być nadzwyczaj zajmującą, choćby tylko dlatego, że się łączy z losem Zoraidy. Niewolnik z uprzejmością odpowiedział, że nie umie się oprzeć temu żądaniu, boi się tylko, aby brak krasomówczych zdolności nie zawiódł ogólnego oczekiwania.

– Lecz kiedy panowie chcecie, opowiem wam zdarzenia moje prawdziwe, nie ustępujące cudownością bajkom najlepiej wymyślonym.

I zamawiając sobie uwagę towarzystwa, zaczął mówić w następujący sposób.

Rozdział XII

Przygody niewolnika

– Urodziłem się w miasteczku położonym wśród gór Leonu, z rodziców lepiej od natury niż od losu uposażonych. W biednej tej okolicy ojciec mój jednak uważany był za bogatego; i byłby nim niezawodnie, gdy tak umiał pieniądze oszczędzać, jak umiał trwonić. Nabył zaś tej skłonności, przepędzając młodość w obozie, gdzie skąpy staje się hojnym, hojny marnotrawcą, a oszczędnego jak potwora palcem wytykają.

Ojciec mój, widząc, że przez nałóg, który go opanował, wyrządza krzywdę dzieciom, uszczuplając ich mienie, postanowił wyprzedać się ze wszystkiego, a zawoławszy mnie i dwóch braci, tak do nas przemówił:

– Kochane moje dzieci! dając wam tę nazwę, daję wam zaraz najwyższy i najpełniejszy dowód swojej dla was miłości. Utraciłem majątek, który miał być waszą puścizną; nie jest to zapewne dowód mojego do was przywiązania; ale powziąłem zamiar długo rozmyślany, który was przekona, że jestem dobrym ojcem. Jesteście wszyscy w takich latach, że czas wam już myśleć o powołaniu zaszczytnym i korzystnym; do tego chcę się wam przyłożyć z mojej strony, ile będę mógł. Podzielę cały majątek na cztery równe części, z których jedną dla siebie zatrzymam, a trzy wam oddam. Życzyłbym sobie tylko, aby każdy z was, wziąwszy część swoją, poszedł drogą, jaką mu wskażę. Mamy hiszpańskie przysłowie, w moim przekonaniu bardzo prawdziwe, jak wszystkie oparte na długim i rozumnym doświadczeniu: „Kościół, morze i dwór dla człowieka wrota", co ma znaczyć, że kto chce dobić się znaczenia lub bogactw, powinien wstąpić do stanu duchownego, handlować na morzu lub dostać się na dwór królewski. Chciałbym przeto, aby jeden z was oddał się naukom, drugi handlowi, a trzeci wstąpił do wojska, bo dostać się na dwór króla dziś jest bardzo trudno; a chociaż wojna nie bogaci, daje przynajmniej sławę i znaczenie. W ośmiu dniach odbierzecie w gotowych pieniądzach, co się wam należy. To miałem wam przedłożyć; powiedzcie teraz, czy macie chęć iść za moją radą?

Tu ojciec zamilkł i kazał mi odpowiedzieć naprzód, jako najstarszemu. Prosiłem ojca, aby majątku się nie pozbywał, aby nim rozrządzał według swoich widoków, nie zważając na nas, bo my mamy dość czasu przed sobą do nabycia dostatków, w końcu

objawiłem chęć do wojska. Drugi brat chciał udać się do Indii, a najmłodszy, podobno najrozsądniejszy, do Salamanki dla dokończenia wyższych nauk i wstąpienia do stanu duchownego.

Uściskał nas wszystkich ojciec za powolność mu okazaną i wyliczył w oznaczonym czasie każdemu z nas część jego, do trzech tysięcy dukatów wynoszącą, a pochodzącą z szacunku, wyliczonego ojcu za majątek ziemski, który nabył jeden z naszych wujów dla zatrzymania go w familii. Tego samego dnia ruszyliśmy każdy w swoją drogę. Dotknięty położeniem ojca, zostawionego samotnie ze szczupłym funduszem na podeszłe lata, usiłowałem znaglić go prośbami, aby zatrzymał z mojej części dwa tysiące dukatów, mówiąc, że trzeci tysiąc wystarczy mi na oporządzenie i rozpoczęcie zawodu. Bracia moi, zachęceni tym przykładem, odstąpili także po tysiącu dukatów, tym sposobem część rodzicielska zwiększyła się o cztery tysiące dukatów. Ojciec, rozczulony tą oznaką naszego przywiązania, pożegnał nas, upominając, abyśmy często dawali o sobie wiadomości.

Jeden pojechał do Salamanki, drugi do Sewilli, a ja do Alicante, gdzie wsiadłem na okręt kupiecki, który przybył z Genui z ładunkiem wełny. Jest już blisko lat dwadzieścia dwa, jak opuściłem dom ojca i rozłączyłem się z braćmi, o których nie mam dotąd żadnej wiadomości, pomimo że kilkakrotnie do nich pisałem.

Przybyłem bez wypadku do Genui, a stamtąd do Mediolanu, oporządziłem się przyzwoicie, a mając zamiar udać się do Piemontu, wybrałem się do Aleksandrii. Wiadomość, że książę Alby udał się do Flandrii, zmieniła nagle moje postanowienie. Pobiegłem służyć pod wielkim wodzem, byłem z nim we wszystkich bitwach. Asystowałem straceniu hrabiów Horna i Egmonta, jako chorąży kompanii Don Diega d'Urbino.

Niezadługo zaczęto głosić, że papież, Hiszpania i rzeczpospolita wenecka wiążą ligę przeciwko Turcji, która oderwała królestwo Cypru od Wenecji; robiono przygotowania do wojny, a dowódcą siły związkowej miał być Don Juan austriacki, brat przyrodni króla; chciałem być uczestnikiem dnia wielkiego dla chrześcijaństwa, a porzucając nieledwie pewność otrzymania kompanii we Flandrii, ruszyłem do Włoch. Gdy przybyłem do Genui, Don Juan wsiadał na statki dla połączenia się z wojskami Wenecji w Neapolu, co jednak nastąpiło dopiero w Messynie. Dowodziłem kompanią w dniu, który przepełnił radością chrześcijaństwo całe od wschodu do zachodu. Turcy stracili sławę niezwyciężonych na morzu, duma ich została upokorzona. W tym dniu pamiętnym, kiedy jedni obchodzili zwycięstwo, a drudzy oddali życie za wiarę, ja dostałem się do niewoli.

Uchy-Alej, bej Algieru, zawołany korsarz, ulubieniec losu, stał się panem okrętu maltańskiego, na którym utrzymało się ledwie trzech walecznych, pokrytych ranami. Okręt „Andrea", na którym się znajdowałem, pośpieszył na odsiecz. Wskoczyłem pierwszy na pokład galery Uchy-Aleja; nikt z towarzyszów nie zdążył za mną, bo okręt turecki wnet się cofnął, a ja pozostałem raniony wśród nieprzyjaciela.

Traciłem wolność w dniu, w którym zyskało ją piętnaście tysięcy chrześcijan, znajdujących się na galerach tureckich; Uchy-Alej ratował się ucieczką z całą eskadrą do Konstantynopola, gdzie i ja się dostałem. Selim mianował pana mojego dowódcą na morzu za męstwo w bitwie i zdobycie sztandaru maltańskiego.

Następującego roku 1552 znajdowałem się w bitwie pod Navarino, robiąc wiosłem na galerze „Trzy Latarnie". Chrześcijanie nie korzystali ze sposobności zabrania całej siły tureckiej w porcie. Janczary i Lewantyni, spodziewając się ataku, byli w pogotowiu

uciekać, nie czekając bitwy, tak byli przerażeni samym widokiem naszej armii. Ale nie chciały tego wyroki boskie, lubo dowódca chrześcijański nie popełnił błędu, ani niczego nie zaniedbał. Uchy-Alej miał czas cofnąć się, wysadził wojsko na wyspę Medon blisko Navarino, uzbroił port, w którym się utrzymał dopóki Don Juan się nie cofnął. Chrześcijanie w powrocie wzięli galerę „Zdobycz", dowodzoną przez syna sławnego Barberussy. Honor zwycięstwa zdobył sobie okręt zwany „Wilczyca", pod dowództwem mężnego Don Alvareza de Bazan, markiza Santa-Cruz. Szczegóły wzięcia galery „Zdobycz" są wielce ciekawe.

Syn Barberussy był srogi dla niewolników chrześcijańskich. Ci, którzy znajdowali się na jego galerze, widząc, że „Wilczyca" ich ściga blisko, naraz opuścili wiosła, rzucili się na dowódcę, stojącego na galerji i wydającego rozkaz przyśpieszenia, przerzucili go przez wszystkie ławki od steru do rydla, a nim się dostał do wielkiego masztu, duszę wyzionął.

Powróciłem do Konstantynopola w następnym roku, Don Juan wziął Tunis, i osadził na tym królestwie Mulej-Hameta w miejsce Mulej-Hamida, najwaleczniejszego, a razem najdzikszego z Maurów. Ta klęska zniewoliła sułtana do polityki zwyczajnej Porcie i zawarto pokój z Wenecją, żywo przez obie strony upragniony. W roku 1564 Turczyn zaczął oblegać Goletę i szańce wzniesione przez Don Juana pod Tunisem. Podczas tych wypadków wojennych ja pędziłem żywot przykuty do wiosła, bez żadnej nadziei wyzwolenia się przez okup, bo postanowiłem nie uwiadamiać ojca o swoim nieszczęściu.

Na koniec chrześcijanie utracili Goletę i twierdzę Tunisu, którą obległo sześćdziesiąt pięć tysięcy regularnego żołnierza tureckiego, a czterykroć sto tysięcy Maurów i Arabów z różnych stron Afryki przybywało w pomoc, obok wielkiej mocy rynsztunku, narzędzi wojennych, osady okrętowej i pionierów, tak, że dawno nie

widziano tak ogromnych sił razem zgromadzonych. Goleta, uchodząca za niezdobytą, wzięta szturmem. Turcy, znalazłszy mieliznę z jednej strony, wznieśli wał z worów z piaskiem, wyższy od murów twierdzy, i rozpoczęli ogień z góry, wtedy obrona była niepodobna. Ci, którzy utrzymują, że nasi popełnili błąd, broniąc się w szańcach, zamiast zrobić wycieczkę w gołe pole, dowodzą, że albo tam nie byli, albo mają mało doświadczenia wojennego. Bo jakże siedem tysięcy ludzi stawić mogło czoło tłumom i obronić dwa miejsca odosobnione? jakaż twierdza najobronniejsza ostać się może fanatycznym tłumom, walczącym na swojej ziemi. Ja uważałem stratę Golety za szczególną łaskę Boga, wyświadczoną Hiszpanii. Byłby to przytułek dla złoczyńców, który nie potrafiłby zapłacić kosztów zachowania i obrony, chyba świadectwem obrony Karola V, tak, jakby ten monarcha potrzebował tej kupy gruzów do utrwalenia!

Twierdzę wzięto, ale zwycięstwo kosztowało Turków dwadzieścia pięć tysięcy żołnierza w dwudziestu dwóch szturmach. Oblężeni walczyli z męstwem, trzystu ranami okrytych bohaterów pozostało przy życiu. Mała forteczka wśród jeziora, broniona przez Don Juana Jonaguera, walecznego żołnierza Walencji, kapitulowała. Don Pedro Puertocarreo, komendant Golety, odznaczył się męstwem. Wzięty do niewoli, w drodze do Konstantynopola umarł ze zmartwienia. Dostał się także do niewoli komendant twierdzy, Gabrio Cerbellon, kawaler mediolański, doskonały inżynier i wielkiej waleczności osobistej rycerz.

Zginęło tam mnóstwo znakomitych rycerzy; między nimi Pajan de Oria, kawaler zakonu świętego Jana, dziwnej szlachetności i wielkości duszy, których dowiódł uczynkiem dla brata swego Andrzeja de Orii. Powierzył się Arabom po zdobyciu twierdzy. Ci zdrajcy zobowiązali się przeprowadzić go w ubiorze mauretańskim

do Tabarca, osady genueńskiej, gdzie rybacy tego miasta łowią korale; ale zamiast dotrzymać obietnicy, ucięli mu głowę i ponieśli swojemu dowódcy, który, trzymając się hiszpańskiego przysłowia, że zdrada się podoba, ale nie zdrajca, kazał ich wszystkich powiesić za to, że nie przyprowadzili de Orii żywcem.

Pomiędzy chrześcijanami, wziętymi do niewoli w twierdzy, był niejaki Don Pedro d'Agiular z Andaluzji, waleczny chorąży, bardzo zdolny do wiersza. Znosiliśmy razem niewolę na jednym okręcie, do jednej ławki przykuci. Towarzysz mój napisał dwa sonety, mające służyć za nagrobek Golecie i twierdzy. Powtórzę je, jeżeli mnie pamięć nie zawiedzie, bo jestem pewien, że się wam będą podobały.

Gdy niewolnik wymienił nazwisko Don Pedra d'Aguilar, Don Ferdynand uśmiechnął się znacząco do towarzyszów, a jeden z nich przerwał, prosząc niewolnika, aby, nim zacznie dalej opowiadać, dał wiadomość o dalszym losie Don Pedra.

– Po dwóch latach pobytu w Konstantynopolu – mówił opowiadacz – zdołał uciec z pewnym Greczynem, przebrany w suknie Arnauła; czy się ocalił, nie umiem powiedzieć, bo nie miałem sposobności zapytać o to towarzysza jego ucieczki, którego widziałem w rok po tym. Tyle tylko wiem o losie Don Pedra i mam żywą obawę, czy mu się ucieczka udała.

– Udała mu się, jak najlepiej, mogę was o tym zapewnić – rzekł ten sam kawaler. – Don Pedro jest moim bratem, żyje w swoim kraju bogaty i szczęśliwy. Ożenił się, ma troje dzieci.

– Chwała Bogu! – zawołał niewolnik.

– Znam także sonety, o których wspomniałeś – mówił brat Don Pedra.

– W takim razie chciej mnie wyręczyć, lepiej je powiesz zapewne ode mnie.

Kawaler zaczął dla ulżenia niewolnikowi, sonet o Golecie:

Duchy szczęśliwe! wy śmiertelne szaty
Przez wielkie czyny z swych ramion zrzucacie,
I z niskiej ziemi w kraj nieba bogaty,
Orlimi pióry zuchwale wzlatacie.

Gorząc szlachetnym gniewu uniesieniem,
Ciało się wasze potężniejszym czyni,
Krwi z was i przez was wylanej strumieniem,
Płonią się morza i piaski pustyni.

Choć śmierć was z życia wymazała księgi,
Ramiona wasze nie ostygły w grobie,
Bo w klęskach nawet tryumfuje męstwo:

Bo w tym upadku śmiertelnej potęgi.
Na ziemi sławę zyskaliście sobie,
A w niebie ducha szlachetne zwycięstwo.

– Tak, to jest ten sam – przerwał niewolnik; a brat Don Pedra rozpoczął drugi o szańcu tunetańskim:

Z gruzu, co z baszty rozstrzelonej leży,
Z ziemi, co jakby poryta w zagony,
Dusz trzy tysiące z walecznych rycerzy
W czystego nieba uleciało strony.

Na próżno męstwem krzepkiego ramienia
Wkoło śmiertelne roznosili ślady,
Walczące ramię słabło z wysilenia
I u stóp wroga trup upadał blady.

Ziemia, na której polegli rycerze,
Długo łzy krwawe będzie sączyć z łona,
Kwiat na niej zrosły smutne liście schyli...

Lecz za to w laury okryje się świeże,
Bo z dzielnych mężów walecznego grona,
Nigdy dzielniejsi tutaj nie walczyli.

Rozdział XIII

Dalszy ciąg przygód niewolnika

Sonety podobały się powszechnie, a niewolnik tak ciągnął swoje opowiadanie:

– Turcy, stawszy się panami miejsc warownych, postanowili je zagładzić. Założyli miny z trzech stron. Nowe mury zniszczono niebawem, stare oparły się wszelkim usiłowaniom. Co do twierdzy, ta była w stanie niewymagającym umyślnego zniszczenia. Potem cała armia wróciła w triumfie do Konstantynopola, gdzie Uchy-Alej niezadługo umarł.

Powszechnie nazywano go *Fartax*, co znaczy po turecku świerzbowaty, Turcy bowiem mają zwyczaj darzyć przydomkami od cnót lub wad bohatera, co stąd pochodzi, że ledwie cztery otomańskie familie mają pierwiastkowe nazwisko rodowe, inne zaś dowolnie je sobie tworzą w powyższy sposób. Uchy-Alej był niewolnikiem na galerach wielkiego sułtana przez czternaście lat. W wojnach tak się odznaczył męstwem, że nie przechodząc urzędów niższych, których faworyci sułtana nawet pominąć nie mogą, został dejem Algieru i wielkim admirałem na morzu, trzecim dygnitarzem w wielkiej hierarchii państwa otomańskiego. Był Kalabryjczykiem

z rodu, a mimo że się sturczył, był dosyć ludzki dla niewolników, których miał trzy tysiące. Tę liczbę testamentem podzielił między wielkiego sułtana i dwóch renegatów, których miał przy sobie. Ja dostałem się w podziale renegatowi Azan-Aga, najokrutniejszemu z ludzi, którego Uchy-Alej wziął majtkiem w niewolę i potem polubił.

Ten Azan-Aga zbogacił się niezmiernie i został także dejem Algieru, gdzie razem z innymi niewolnikami popłynąłem. Doznawałem pewnej pociechy, będąc bliżej ojczyzny i mając nadzieję pewniejszej ucieczki. Nie traciłem nadziei i miałem mnóstwo pomysłów wyswobodzenia się. Przepędzałem czas w więzieniu, które Turcy nazywają łaźnią. Tam siedzieli niewolnicy chrześcijańscy, tak do króla, jak i do panów należący, i inny rodzaj tak zwanych *Niewolników Rady*, których używano do ciężkich prac publicznych. Tym ostatnim najtrudniej było wykupić się, bo nie mając swoich panów, nie mieli z kim traktować o okup. Niektórzy mieścili swoich niewolników w łaźniach, gdy ci się wykupili, a pieniądze za okup jeszcze nie nadeszły. Niewolnicy królewscy i umawiający się o okup, nie byli używani do pracy, wyjąwszy, gdy pieniądze długo nie nadchodziły; wtedy wysyłano ich na pracę do lasu, podwajano srogość, aby ich zmusić do pisania o spieszne wyzwolenie.

Ja znajdowałem się między umawiającymi się o okup; nie mogłem udawać ubogiego, ponieważ wiedziano, iż byłem oficerem. Byłem dobrze uważany przez dozorców i nosiłem lekkie kajdany, raczej na znak, żem się targował o wolność, niż na umartwienie.

Przebywałem w tych łaźniach z niewolnikami nie więcej strzeżonymi ode mnie; obok głodu i innych niewygód, najbardziej nas martwiły dzikie okrucieństwa Azan-Agi, spełniane na niewolnikach chrześcijańskich. Nie było dnia, ażeby którego nie

powieszono lub na pal nie wbito, a co najmniej uszów nie pozbawiano za przewinienia tak nieznaczące, że sami Turcy przyznawali, iż ich dej lubił się krwawo zabawiać.

Jeden tylko żołnierz hiszpański, nazwiskiem Saavedra, miał sposób ułagodzenia deja okrutnego charakteru i pomimo, że nieraz próbował ucieczki śmiałej i głośnej pomiędzy Turkami, nigdy nie był bity, ani doznał najmniejszej kary. Byliśmy o niego w ciągłej obawie, on sam ją podzielał. Gdybym nie obawiał się was znudzić, opowiedziałbym kilka zręcznych i śmiałych sprawek Saavedry; ale czas wrócić do własnych przygód.

Pewien znakomity i bogaty Maur miał dom, którego maleńkie, według miejscowego zwyczaju, okienka, zasłonięte gęstą żaluzją, wychodziły na podwórze naszego więzienia. Jednego dnia, gdym się na tarasie zabawiał z trzema towarzyszami, rzuciwszy okiem przypadkowo, ujrzałem w oknie chustkę, przywiązaną na trzcinie. Na poruszenie trzciny, zdającej się nas przywoływać, jeden z towarzyszów pobiegł ją wziąć.

Ale laska cofnęła się, naśladując ruch głowy, dającej znak przeczenia; toż samo spotkało dwóch drugich. Wtedy i ja spróbowałem szczęścia. Gdy stanąłem pod oknem, chustka upadła do nóg moich. Podniosłem ją skwapliwie; zawierała kilka sztuk drobnej monety, wartej około dziesięciu naszych realów.

Pojmujecie zapewne radość za ten dar wpośród najdotkliwszej nędzy, mnie wyłącznie przeznaczony. Powróciłem na taras i ujrzałem w tym samym oknie rękę śnieżnej białości, należącą niezawodnie do kobiety. Podziękowaliśmy jej wszyscy głębokim ukłonem na sposób turecki, schylając się z rękami na piersiach skrzyżowanymi.

Niezadługo ujrzeliśmy w tym samym miejscu mały krzyż z trzciny, który wnet cofnięto; nie wątpiliśmy przeto,

że dobroczynna niewiasta była niewolnicą chrześcijańską; białość jej ramienia i bogactwo bransolety, zdobiącej rękę, nasuwało wniosek, że to mogła być chrześcijanka, która przeszła na wiarę muzułmańską. Maurowie bowiem najwięcej ubiegają się za takimi kobietami i dają im pierwszeństwo nad krajowymi; domniemania jednak nasze nie były prawdziwe, jak się to później okaże.

Od tej chwili rozmawialiśmy codziennie o dobroczynnej osobie, mając zawsze oczy wlepione w okno, z którego spadła niespodziewana pomoc. Przez piętnaście dni okno się nie otwierało, a pomimo naszych badań, nie dowiedzieliśmy się nic więcej nad to, że dom należał do Agimorata, znakomitego Maura, który piastował urząd wysoki gubernatora la Plata.

Lecz gdyśmy się tego najmniej spodziewali, bawiąc się na tarasie we czterech, raptem pokazała się chustka na trzcinie. Moi towarzysze doznali zawodu, jak pierwszym razem; chustka mnie się dostała. Teraz obejmowała czterdzieści dukatów hiszpańskich i list pisany po arabsku, ze znakiem krzyża u dołu pisma.

Wróciliśmy na taras złożyć podziękowania, dałem znak głową, że przeczytam, wtedy ręka znikła i zamknięto z pośpiechem okno.

To niezwykłe szczęście wśród przykrego położenia barbarzyńskiego kraju nabawiło nas wielkiej radości i większych jeszcze nadziei; lecz gdy żaden z nas nie umiał po arabsku, nie wiedzieliśmy, do kogo się udać o przeczytanie listu, bośmy się bali wystawić na niebezpieczeństwo i nas samych i dobroczynnej damy.

Ciekawość jednak przemogła. Zwierzyłem się pewnemu renegatowi z Murcji, który okazywał mi wiele przyjaźni, prosiłem go o przeczytanie listu, który miał mnie objaśnić prawdopodobnie, dlaczego nieznajoma mnie wybrała z pośród towarzyszów, przedsięwziąłem wszystkie środki ostrożności, aby go zobowiązać do tajemnicy. Udzieliłem mu świadectwo piśmienne, że był

dobrym człowiekiem, niósł pomoc chrześcijanom i miał zamiar ucieczki przy pierwszej sposobności. Jest to zapewnienie, którego znów żąda renegat, gdy wspomaga ucieczkę chrześcijanina. Niektórzy używają tego na dobre; inni robią to przez zręczność i przezorność, bo gdy staną się korsarzami, jeżeli wpadną wypadkiem w ręce chrześcijan, zasłaniają się takim świadectwem, które daje przekonanie, że wypadało im złączyć się z Turkami, aby zyskać łatwość dostania się między niewolników chrześcijan; tym sposobem unikają niewątpliwej śmierci, przyrzekając przejść na łono kościoła. Dalecy od spełnienia tej obietnicy, żyją spokojnie bez prześladowania, a przy wydarzonej sposobności wracają do Berberii. Renegat, do którego zwróciłem się z prośbą, dostał od nas wszystkich takie świadectwa. Gdyby był przez Maurów złapanym, co najmniej spalono by go żywcem. Ponieważ posiadał język arabski, prosiłem go, aby przeczytał szpargał, przypadkiem znaleziony w kącie izby. Przejrzał go razy kilka i powiedział, że jeżeli mu dostarczę papieru i atramentu, przepiszę go dosłownie w tłumaczeniu, a teraz ustnie, rzekł, daję ci dokładny przekład listu. Uprzedzam cię tylko, że *Lella Marian* znaczy Najświętsza Panna, zaś *Allah* – Bóg. Treść listu, którego w życiu nie zapomnę, była następująca:

„Gdy byłam jeszcze dziecięciem w domu rodziców, niewolnica nauczyła mnie chrześcijańskiej modlitwy w moim języku i mówiła o Lella Marian.

Ta niewolnica umarła i wiem, że nie poszła na ogień wieczny, ale poszła do Allaha, bom ją od owego czasu widziała dwa razy i powiedziała mi, ażebym się udała do krajów chrześcijańskich, do Lelli Marian, która mnie kocha bardzo. Nie wiem, jak się do tych krajów dostać. Z okna mojego widziałam wielu chrześcijan, ale nie pochlebiając ci, ty jeden z nich wszystkich zbudziłeś we mnie

najwięcej zaufania jako szlachetny i zacny kawaler. Jestem młoda, dość piękna i wielkie pieniądze zabrać z sobą mogę. Pomyśl, czybyś się nie podjął mnie wziąć z sobą i uprowadzić. Jeżeli zechcesz, pojmiesz mnie za żonę; a jeżeli nie zechcesz, to mniejsza o to, bo Lella Marian da mi męża. List ten piszę własną ręką, bądź więc ostrożny, jeżeli go komu pokazywać będziesz; ostrzegam cię, nie wierz Maurom, bo to wszystko dusze zdradzieckie. Wyznaję ci, iż lękam się bardzo, abyś nie zawierzył jakiemu zdrajcy; gdyby bowiem ojciec mój o tym się dowiedział, zrzuciłby mnie w studnię i kamieniami przywalił. Kładę nitkę w środek trzciny, przywiąż do niej odpowiedź swoją, a jeżeli nie masz nikogo, co by po arabsku pisać umiał, to mi ją daj na migi. Lella Marian sprawi dobrotliwie, iż ją zrozumiem. Niechajże ona i Allah mają cię w swojej opiece, jako i krzyż ten, który całuję często, stosownie do zalecenia niewolnicy".

Nie potrzebuję wam mówić, jakim podziwieniem i radością list ten nas przejął. Renegat nie mógł wierzyć, abyśmy mogli znaleźć go wypadkiem i sądził, że do którego z nas był pisany, i błagał nas, ażebyśmy mu prawdę powiedzieli i zaufali mu zupełnie, gdyż gotów jest życie własne dla naszej wolności narazić. Mówiąc to, wydobył z zanadrza mały krzyżyk metalowy i rzewnymi zalewając się łzami, przysięgał nam na Boga, który wyobrażenie krzyżyk ten przedstawia, a w którego, mimo grzesznego odstępstwa, wierzył zawsze gorąco, że dochowa nam święcie tajemnicy, jaką tylko mu powierzymy. Zaręczał, iż przeczuwa to niezawodnie i wie na pewno, że ta, co pisała list do nas, wszystkim nam wolność powróci, a jemu da to, czego żąda najserdeczniej, to jest przyłączy go na powrót do kościoła świętego, od którego odpadł nieszczęśliwy. Renegat mówił z takim rozczuleniem i z taką żałością, iż nie wahając się długo, odkryliśmy mu prawdę i pokazaliśmy nawet okno, z którego

spływało nam tyle dobrodziejstw. Obiecał nam dołożyć wszelkich starań dla dowiedzenia się, kto tam zamieszkuje, i napisał zaraz po arabsku odpowiedź na list poczciwej Mauretanki. Wszystkie wyrazy tej odpowiedzi, jako i najdrobniejsze szczegóły, wydarzone w niewoli, do dziś dnia najdokładniej pamiętam. Odpowiedź przeto moją na list powyższy podaję wam tu dosłownie.

„Prawdziwy Allah niechaj cię ma w swojej opiece, o pani! i błogosławiona Lella Marian, Matka Zbawiciela naszego, łaską swą serce twe otaczająca i ku chrześcijanom skłaniająca. Bo cię kocha szczerze. Módl się do niej gorąco, aby do szczęśliwego końca wiodła zamiar, którym duszę twą natchnęła; ona tak dobra i łaskawa, że ci tego nie odmówi. Ja z mej strony ręczę ci za siebie i współtowarzyszów moich, że uczynię wszystko, co tylko w mocy naszej będzie, aby ci być użytecznym, życia nawet nie szczędząc. Mamy tu między nami niewolnika chrześcijanina, który umie pisać po arabsku, jak to widzisz z listu tego. Rękę twoją, którą mi ofiarujesz za przybyciem do chrześcijan, całym sercem i z największą radością przyjmuję. Ślubuję ci z góry, iż mężem twoim zostanę, a ślubuję po chrześcijańsku. Wiesz, że chrześcijanie przysiąg lepiej dotrzymują niż Maury. Wielkiemu Allahowi i Lelli Maryi w opiekę cię oddaję".

We dwa dni później, gdy nikogo nie było w łaźni, wyszedłem na taras; niedługo czekałem, trzcina się ukazała, a ja do niej odpowiedź swoją przyczepiłem. Po chwili ukazała się i gwiazda naszego ocalenia; podniosłem chustkę rzuconą mi pod nogi i znalazłem w niej pięćdziesiąt czerwonych złotych, które podwoiły radość i nadzieje nasze. Tej samej nocy renegat nasz powrócił. Opowiedział nam, że, dom ten należy do jednego z największych bogaczów w Algierze, Maura, imieniem Agi Morato, którego jedyną spadkobierczynią była prześliczna córka, kwiat wszystkich kobiet

Berberii; najpotężniejsi książęta kraju tego ubiegali się o jej rękę, ale nigdy za mąż wyjść nie chciała. Powiedział nam także, że miała ulubioną niewolnicę chrześcijankę, niedawno zmarłą. Wszystko to najzupełniej się zgadzało z tym, co nam w liście pisała.

Odbyliśmy naradę z renegatem nad środkami ucieczki i uprowadzenia pięknej Mauretanki. Po długich rozprawach stanęło na tym, że czekać trzeba drugiego listu od Zoraidy (tak się nazywała ta, która teraz tak gorąco pragnęła przyjąć imię Marii), gdyż bez niej nic począć nie możemy i w niczym rady sobie nie damy. Renegat, słysząc to wszystko, dodawał nam odwagi, zaręczając uroczyście, że albo nas uwolni, albo życie straci. Przez cztery dni pełno było ludzi w łaźni, przez cały ten czas nie widzieliśmy naszej cudownej laski. Piątego dnia dopiero, gdyśmy byli sami, ukazała się obciążona ogromnym zawiniątkiem. Jak zwykle, zawiniątko podano mnie; znalazłem w nim sto czerwonych złotych i list, który daliśmy zaraz renegatowi do przepisania. Treść jego następująca:

„Nie wiem, jak się dostaniemy do Hiszpanii, błagałam Lelli Maryi, żeby mi sposób podała, ale dotąd prośby mojej nie wysłuchała. Niczym nie jestem w stanie ci dopomóc, jak tylko złotem, które ci posyłam: wykup nim wolność sobie i współtowarzyszom swoim, jednego z nich wyślij zaraz do chrześcijan, ażeby kupił łódź i zabrał w nią innych. Ja z ojcem i wszystkimi niewolnikami naszymi wiosnę przepędzę w ogrodzie, pod Barbason nad brzegiem morza; stamtąd nocą łatwo mnie wywieziesz łodzią, niczego się bać nie potrzebując. Ale, chrześcijaninie, pomnij, żeś mi ślubował zostać mężem moim, jeśli nie dotrzymasz, Lella Maria cię ukarze. Jeżeli nie masz nikogo zaufanego posłać po kupno łodzi, wykup się na wolność i sam jedź po nią, ufam ci, że powrócisz, boś rycerz i chrześcijanin. Wywiedz się dobrze, gdzie leży nasz ogród. Skoro tylko łaźnia będzie próżna,

wychodź na podwórze, a dam ci pieniędzy tyle, ile tylko zechcesz. Allahowi w opiekę cię oddaję".

Po przeczytaniu listu wszyscy, jeden przez drugiego, darli się o wykupienie na wolność, każdy obiecywał uroczyście pójść po łódź i wrócić z nią niezawodnie. Ale renegat oświadczył stanowczo, że nikomu nie pozwoli wyjść samemu z niewoli, tylko, że wszyscy razem wyjść z nim muszą. Powoływał się na doświadczenie, że rzadko kto na wolności dotrzyma słowa w niewoli danego i że nieraz widział, jak bogaci jeńcy wykupując innych, co im przyrzekali wrócić po nich z okrętami w Majorce lub Walencji uzbrojonymi, haniebnie oszukani zostali, że nigdy prawie wysłańcy ci słowa danego nie dotrzymują, bo wolność każdemu jest tak droga, że obawa utracenia jej na nowo w najuczciwszych nawet ludziach zaciera całkiem uczucie honoru i wdzięczności. Na dowód tego, co mówił, opowiedział nam krótko, co się wydarzyło niedawno z jakimś znakomitym jeńcem chrześcijańskim; była to rzeczywiście historia nadzwyczaj dziwna i na te okolice nawet wcale niezwyczajna, chociaż tu co chwila tyle niesłychanych dzieje się awantur.

– Najlepiej zrobicie – rzecze – jeżeli mnie dacie pieniądze do rąk, a ja wyprawię się do Algieru i kupię tam czółno, niby, że chcę prowadzić handel z Tetnanem. Tym sposobem, nie zwracając niczyjego podejrzenia, przy pomocy czółna będę mógł was wszystkich wyswobodzić, a przyjdzie to tym łatwiej, jeżeli piękna Mauretanka dotrzyma słowa i da wam tyle pieniędzy, ile obiecała, w takim bowiem razie będziecie mogli wykupić się z niewoli i o białym dniu wyruszyć. W tym tylko bieda, że przezorni Maurowie nie pozwalają renegatom kupować czółen, tylko większe statki, bo się domyślają, że czółna, Hiszpanom też mianowicie, nie na co innego potrzebne, jak tylko, ażeby chrześcijańskich jeńców

wywozić. Ale i na to znajdzie się rada, wiem co zrobię, wezmę sobie do spółki Turczyna z Tangeru, umówię się z nim, że pójdziemy do wspólnych zysków z handlu, a pod tym pozorem cała rzecz ubije się jak najlepiej.

Jakkolwiek zdawało nam się wszystkim, że daleko bezpieczniej byłoby kupić czółno w Majorce, jak to nam radziła Zoraida, nie śmieliśmy wszakże sprzeciwić się renegatowi z obawy, żeby się nie rozgniewał i nie zdradził nas i Zoraidy, o której życie szło nam więcej, niż o własne.

Powierzywszy więc całą tę sprawę Boskiej opiece, zaufaliśmy renegatowi. Za jego pośrednictwem odpisałem natychmiast Zoraidzie, że rady jej, które nam widocznie z natchnienia Lelli Maryi daje, ściśle wykonane zostaną i że raz jeszcze przyrzekam jej uroczyście pojąć ją za żonę, byle zamiary nasze się powiodły.

Rzecz cała teraz głównie od niej zależy.

Nazajutrz, kiedy nikogo nie było w łaźni, Zoraida rzuciła nam znów tysiąc sztuk złota i list, w którym donosiła, że w przyszły piątek wyprowadzi się już do ogrodu ojca, że da nam nadto dużo pieniędzy, a gdybyśmy żądali więcej jeszcze, to mamy jej tylko powiedzieć, a dostarczy nam ile tylko zechcemy, bo jest panią nieprzebranych skarbów ojca, których ubytku on ani spostrzeże.

Dałem zaraz pięćset sztuk renegatowi na czółno, a osiemset wręczyłem pewnemu kupcowi z Walencji, który miał mnie wykupić od króla, zobowiązując się na słowo, że należność za mnie wypłaci, jak tylko pierwszy okręt przypłynie z Walencji. Warunek ten umyślnie położył, ażeby król nie wpadł na domysł, że okup ten za mnie dawno już doszedł rąk jego, a on go użył na jakąś spekulację. Z Azan-Agą sprawa była niełatwa, był to Turczyn co się nazywa podejrzliwy i chytry. We czwartek następujący Zoraida dała nam znów tysiąc sztuk złota i doniosła, że nazajutrz niezawodnie

przenosi się już do ogrodu, prosiła mnie przy tym, że jak tylko będę wykupiony, abym starał widzieć się z nią koniecznie; odpowiedziałem jej, że uczynię to niezawodnie i prosiłem, ażeby tymczasem modliła się za nas do Lelli Maryi, jak ją nauczyła niewolnica chrześcijanka. Zająłem się zaraz traktowaniem o okup towarzyszów moich, chcąc ich jak najprędzej wydobyć z tej jamy, bo lękałem się, żeby im szatan czego złego nie podszepnął, skoro zobaczą mnie wolnym, a sami jeszcze w więzieniu jęczeć będą. Diabeł nie śpi; wiedząc, że mam pieniądze, mogliby mi nie zaufać i zgubić Zoraidę. Chociaż stan i urodzenie ich powinno mi służyć za rękojmię ich postępowania, nie chciałem wszakże puszczać rzeczy na hazard. Dałem więc zaraz temu samemu kupcowi pieniądze na wykupienie ich, ażeby mógł interes ten jednocześnie z moim prowadzić. Tajemnicy naszej nie odkryłem mu wszakże nigdy, byłoby to niebezpieczne.

Rozdział XIV

Dalszy ciąg tejże samej historii

W dwa tygodnie niespełna renegat już miał kupione czółno, w które trzydzieści osób wygodnie pomieścić się mogło. Chcąc lepiej upozorować i odwrócić wszelkie podejrzenia, umyślił odbyć i odbył rzeczywiście wyprawę do kraju zwanego Sargel, o dwadzieścia mil od Algieru ku Oranowi odległego, z którym prowadzi się tu znaczny handel suchymi figami. Jeździł sam umyślnie coś ze cztery razy z Tagarynem, którego przypuścił do spółki. Tagarynami nazywają w Berberii Maurów przybyłych z Aragonii, tak jak Mudeksaresami nazywają Maurów z Grenady; w państwie Tezu Mudaksaresów tych zowią Elchasami, ich to król używa głównie do służby wojskowej. W wycieczkach tych renegat

wstępował zwykle do małej zatoki, tuż pod ogrodem Agi Morato, wysiadał z majtkami na ląd, odbywał z nimi nabożeństwo i inne obrzędy, wschodnim żeglarzom właściwe, a to wszystko dlatego, ażeby sobie wykonanie zamiaru na przyszłość ułatwić. Zachodził do ogrodu Zoraidy, prosząc o owoce; Aga Morato, chociaż go nie znał, dawał mu je chętnie. Chciał koniecznie widzieć się z Zoraidą sam na sam i powiedzieć jej, że jest wybranym przeze mnie do uwiezienia jej i że może całkiem mu zaufać; ale mimo wszelkich usiłowań, nie mógł tego dokazać, bo kobiety mauretańskie nie dają się nigdy widzieć ani Maurom ani Turkom, chyba na wyraźny rozkaz ojca lub męża. Co się tyczy niewolników chrześcijańskich, to z tymi żadnych sobie nie robią ceremonii i podobno aż za bardzo poufale z nimi sobie postępują.

Ja bym także nie bardzo był rad, żeby on mówił z Zoraidą, bo pewnie by się przestraszyła, że los jej powierzyłem w ręce renegata, któremu oni mniej jeszcze niż Maurowi wierzą. Ale Bóg to sam odwrócił.

Widząc renegat, że mu tak łatwo idzie, że może przybijać do lądu, gdzie mu się tylko podoba, że wspólnik jego Tagaryn zupełnie mu ufa i że nareszcie ja już wykupiony jestem, oświadczył mi, że teraz trzeba postarać się tylko o wioślarzy i tych, których mam zabrać z sobą, uprzedzić, ażeby na piątek do odjazdu byli gotowi, dzień ten za stanowczy termin oznaczając. Nie tracąc czasu, nająłem zaraz dwunastu Hiszpanów, dzielnych na morze, którym najłatwiej było wydalić się z miasta. Szczęśliwym trafem dało się ich tylu zebrać, bo właśnie tylko co wyruszyło dwadzieścia galer z portu, zabrawszy z miasta wszystkich prawie wioślarzy. Szczęściem dla nas, pan tych ludzi nie wysyłał ich tego roku na morze, bo miał na warsztacie dopiero nową galerę. Hiszpanom moim poleciłem tedy, żeby w piątek wieczorem wyszli z miasta pojedynczo i czekali na mnie

pod ogrodem Agi Murata. Każdemu z osobna powtórzyłem to polecenie, przestrzegając o ostrożności, przykazałem, ażeby na wypadek, jeżeli spotkają tam jakich chrześcijan, nie mówili im nic więcej, tylko, że ja ich tam przysłałem.

Teraz pozostała mi rzecz najgłówniejsza do załatwienia, a mianowicie uwiadomić Zoraidę, ażeby się miała na pogotowiu i nie przeraziła się nagłym przybyciem moim. Postanowiłem przeto dostać się do ogrodu i koniecznie się z nią rozmówić. Na dwa dni przed odjazdem zakradłem się istotnie pod pozorem zbierania ziół, ale zaraz przy wejściu spotkałem się oko w oko z jej ojcem. Przemówił do mnie językiem, którym w całej Berberii, a nawet w Konstantynopolu mówią Turcy i chrześcijanie, a który nie jest ani tureckim, ani hiszpańskim, ani żadnym na świecie znanym, tylko pstrą mieszaniną wszystkich razem , tym tedy językiem zapytał mnie Aga Murat, co robię w jego ogrodzie i czyj jestem. Odpowiedziałem mu, że jestem niewolnikiem Arnauty Mami (bo nie wiedziałem, że to jego przyjaciel) i że przyszedłem tu nazbierać ziół dla mojego pana. Wypytywał mnie się także, czy myślę wykupić się z niewoli i wiele mój pan żąda ode mnie.

W czasie tej rozmowy Zoraida, która mnie zaraz spostrzegła i poznała, wyszła do ogrodu i bez żadnej ceremonii, bo z chrześcijanami nie robią ich, jakem to już powiedział, zbliżyła się do ojca, który ją nawet sam przywołał.

Nie jestem w stanie wypowiedzieć, co się w sercu moim działo, gdym z bliska ujrzał piękną Zoraidę; wydała mi się tak cudownej urody, iż do zapamiętania olśniony byłem doskonałością jej wdzięków i okazałością stroju. Powiem tylko, że na szyi, przy uszach i w splotach włosów, pereł miała więcej, niż samych włosów na głowie. Na nogach na pół bosych, zwyczajem krajowym, miała sandały ze złotymi spinkami sadzonymi w diamenty, które ojciec

jej (jak mi później powiedziała), cenił wyżej dziesięciu tysięcy dublonów. Manele na ręku drugie tyle warte były. Perły nie mniej były kosztowne; stanowią one bowiem najwyższą ozdobę Mauretanek i we wszystkich krajach razem zapewne tyle ich nie znajdzie, co między nimi. Ojciec Zoraidy słynął z tego, że posiadał najpiękniejsze perły w całym Algierze; a przy tych klejnotach dwakroć sto tysięcy czerwonych złotych hiszpańskich oddawał całkiem do jej rozporządzenia.

Wyobraźcie sobie, jak musiała być piękna w tym wspaniałym stroju, przy wspanialszych wdziękach, którymi natura ją uposażyła, a których ani utrapienia, ani niewczasy nie uszkodziły. Dla mnie wspaniałość jej stroju niczym nie była przy tej urodzie; z sercem, przejętym wdzięcznością za tyle doznanych od niej dobrodziejstw, patrzyłem na nią, jak na zesłankę niebios, niosącą mi pomoc i szczęście życia całego.

Jak tylko zbliżyła się do ojca, powiedział jej w swoim języku, że jestem niewolnikiem przyjaciela jego Arnauty i że przyszedłem tu zbierać sałatę dla pana swojego; ona odwróciła się ku mnie i zapytała mnie językiem Franków uprzejmie, czy jestem szlachcicem i czemu się dotąd nie wykupiłem.

Odpowiedziałem jej, że już się wykupiłem i że pan mój przywiązywał do mnie cenę dość znaczną, kiedy za wolność moją żądał tysiąc pięćset sułtanów.

– Doprawdy – rzeknie Zoraida – gdybyś był niewolnikiem mojego ojca, za dwa razy tyle nie dozwoliłabym ci się wykupić, bo wy, chrześcijanie, zawsze kłamiecie i udajecie ubogich, ażeby oszukać Maurów.

– Może inni tak postępują, señora – odpowiedziałem – ale ja uczciwie wyszedłem z moim panem i z każdym zawsze uczciwie wychodzę.

– I kiedyż wyjeżdżasz?

– Podobno jutro – odpowiedziałem – bo okręt francuski ma jutro z portu wyruszyć, a ja chciałbym z tej sposobności korzystać.

– Czy by nie lepiej – rzecze Zoraida – zaczekać ci na okręt hiszpański, niż jechać z Francuzami, którzy nie są przyjaciółmi twojego narodu?

– Nie, señora – odpowiedziałem. – Gdyby wszakże, jak słyszę, miał tu przybyć okręt hiszpański, może bym zaczekał na niego, wolałbym jednak dla pewności jutro już odjechać, bo tak mi tęskno za krajem moim i tymi, których kocham, że trudno by mi było ociągać się dla lepszej sposobności.

– Jesteś żonaty pewnie – rzecze Zoraida – i chciałbyś jak najprędzej ujrzeć swą małżonkę?

– Nie, señora, żonaty nie jestem, ale dałem słowo, że się ożenię, jak tylko wrócę do kraju.

– A czy piękna ta, której dałeś słowo?

– O! tak piękna, señora, że chcąc ją pochwalić i o jej wdziękach dać ci wyobrażenie, powiedzieć tylko mogę, że do ciebie podobna.

Aga Murat uśmiechnął się na te słowa i rzekł:

– Na Allaha! mój chrześcijaninie, toś ty nie lada szczęśliwy, jeżeli narzeczona twoja podobną jest do mojej córki, która w całym państwie nie ma sobie równej. Przypatrz jej się dobrze, a poznasz, że prawdę mówię.

W czasie tej rozmowy ojciec Zoraidy służył nam niejako za tłumacza, gdyż mówił daleko bieglej od córki językiem Franków; ona, jakkolwiek rozumiała ten język dość upowszechniony w kraju, więcej jednak gestami niż słowy wyrażała, co chciała.

Kiedy tak rozmawiamy, przypada służący i biegnąc woła, że czterech Turków, przesadziwszy mur ogrodu, zrywa owoce, chociaż jeszcze niedojrzałe. Przelękli się tą wiadomością Aga Murat

i córka jego, Maurowie bowiem boją się niezmiernie Turków, a szczególniej żołnierzy, którzy zuchwalstwo swoje posuwają do tego, że traktują ich z góry, jak niewolników.

– Córko moja – rzekł Aga Murat – wracaj do domu i siedź zamknięta w pokoju, dopóki się nie rozprawię z tymi psami, a ty, chrześcijaninie – mówił do mnie – nazbieraj sałaty ile chcesz i wracaj zdrów do ojczyzny, niech cię Bóg prowadzi!

Skłoniłem mu się nisko, a on odszedł do Turków, zostawiając mnie samego z Zoraidą. Zrazu udała ona, że wraca do domu, jak jej ojciec kazał, ale gdy znikł za krzakami, przybiegła na powrót do mnie i ze łzami w oczach zawołała:

– Tameji chcistano, tameji? – (co znaczy: odjeżdżasz chrześcijaninie, odjeżdżasz).

– Tak, siñora, odjeżdżam, ale nie pojadę bez ciebie! wszystko gotowe na piątek, błagam cię, pani, czekaj na nas i nie przerażaj się naszym przybyciem; ręczę ci słowem moim, że cię dowiozę do krajów chrześcijańskich.

Tłumaczyłem się w ten sposób, że zrozumiała mowę moją i wsparłszy się drżąca na moich ramionach, skierowała kroki ku domowi. Nieszczęśliwym trafem, który bardzo źle mógłby dla nas wypaść, gdyby niebo samo nami się nie opiekowało, idąc tak oboje, spotkaliśmy się wręcz z jej ojcem, wracającym po rozprawie z Turkami. Wiedzieliśmy dobrze, że widział nas w tej postawie; ja drżałem już o los drogiej mi Zoraidy, ale ona, przytomniejsza ode mnie, zamiast usunąć mi rękę z szyi, przycisnęła się jeszcze bardziej do mnie i skłaniając głowę na piersi moje, pochyliła się całym ciałem jakby zemdlona, a ja udawałem, że podpieram ją mimo woli, aby ją uchronić od upadku. Aga Murat przybiegł co żywo do nas, a widząc córkę w tym stanie, pytał, co jej jest. Gdy mu na zapytanie nie odpowiedziała, rzekł:

– Biedaczka, zapewne zemdlała ze strachu, co jej te psy narobiły.

I wziął ją w swoje objęcia. Zoraida wtedy głęboko westchnęła i unosząc ku mnie oczy łez pełne, przemówiła:

– Idź, chrześcijaninie, idź już.

A ojciec jej pytał:

– Dlaczegóż żądasz, córko, ażeby on odszedł? wszakże nic złego ci nie zrobił, a Turków już wypędziłem. Nie bój się niczego, nikt ci tu już nie może zrobić przykrości.

– To ci Turcy tak ją przestraszyli – rzekłem do Agi Murata – ale kiedy żąda, ażebym odszedł, nie będę jej natrętnym. Wrócę tu jeszcze nie raz, jeżeli na to pozwolicie, zbierać sałatę dla mego pana, bo stąd mu najlepiej smakuje.

– Przychodź ile razy chcesz, zbieraj wiele ci się podoba – odrzekł Aga Murat – nie bierz wyrazów córki mojej do siebie, ani do chrześcijan, ona je do Turków stosowała i w pomieszaniu widać wzięła cię za Turka, albo może chciała ci dać do zrozumienia, że czas już, ażebyś się wziął do zbierania sałaty.

Pożegnałem się z Agą Muratem i z Zoraidą, która widocznie okazywała, jak ciężko jej ze mną się rozstawać; przebiegłem ogród we wszystkich kierunkach, splądrowałem wszystkie zakąty i wyjścia, słowem, wszystko przejrzałem, co tylko do spełnienia zamiaru mogło być potrzebne, i pobiegłem co żywo uwiadomić o tym towarzyszów moich i renegata.

Wyznać muszę, że pożerała mnie niecierpliwość straszliwa, ażeby jak najprędzej posiadać spokojnie i całkowicie serce pięknej Zoraidy, ale i to prawda, że czuła jej przyjaźń tak głęboką wdzięcznością duszę mą przejęła, iż wolność moją ceniłem tylko o tyle, o ile ją na usługi jej ofiarować mogłem, i że wolałbym całe życie pozostać w niewoli, niż rozstać się z nią swobodny.

Nadszedł nareszcie dzień pożądany i plan nasz jak najpiękniej się powiódł. Renegat nad wieczorem przybił pod ogrodem Agi Murata, a Hiszpanie najęci, poukrywani w rozmaitych zakątkach naokoło, czekali niecierpliwie przybycia mojego, wyglądając chciwie rozkazu, ażeby się rzucić na okręt, który widzieli przed sobą, bo nieświadomi naszych zamiarów, ani się domyślając, że renegat z nami trzyma, sądzili, że rzecz idzie o to, aby napaść na Maurów, podusić ich, zabrać czółno i uciec. Po chwili przybyłem i ja z towarzyszami, a oni, jak tylko nas zobaczyli, przybiegli.

Na szczęście, bramy miasta już pozamykano i żywej duszy nie było widać naokoło.

Kiedyśmy się wszyscy zebrali, zaczęliśmy radzić, jak będzie lepiej, czy pierwej porwać Zoraidę, czy też zabezpieczyć się względem Maurów na łodzi? Wśród tej narady przybiega do nas renegat i woła, że czas już jąć się dzieła, że Maurowie śpią prawie wszyscy w łodzi bezbronni i że o nich wprzód niż o Zoraidzie pomyśleć trzeba. Poprowadził nas zaraz, a z dobytym mieczem wskoczywszy do czółna, zawołał:

– Komu życie miłe, niech mi się ani ruszyć nie waży!

Maurowie, ludzie serca zajęczego, słysząc taką mowę swego pana, ani pomyśleli kwapić się do broni, której zresztą mało co mieli pod ręką. Pokuto ich bez trudu w łańcuchy, zapowiedziawszy śmierć niechybną każdemu, co by krzyknąć się ważył.

Zostawiliśmy kilku naszych do pilnowania ich, a sami z renegatem na czele pobiegliśmy do ogrodu Agi Murata. Otworzyliśmy furtkę i podeszliśmy cichutko do domu, przez nikogo niedostrzeżeni.

Zoraida czekała na nas w oknie i spostrzegłszy nadchodzących, zapytała czy jesteśmy chrześcijanie, odpowiedziałem, że tak jest i prosiłem, ażeby zeszła. Poznawszy głos mój, uczyniła to

natychmiast i ukazała nam się tak piękna i wspaniale przybrana, że nie wiem, do czego by ją przyrównać, chyba do bogini. Pochwyciłem ją za rękę i serdecznie ucałowałem, renegat uczynił to samo, a za nim towarzysze nasi i wszyscy obecni poszli za danym przykładem, sądząc, iż dziękujemy jej za wolność, którą nas udarowała. Renegat zapytał jej, czy ojciec jest tu w ogrodzie.

– Trzeba go zbudzić – rzekł – i zabrać z sobą, a nadto uwieźć wszystko, co się da najkosztowniejszego.

– Nie, nie – rzekła Zoraida – ojca mego ani tknąć żadną miarą nie pozwolę. Sama zabiorę, co tylko jest najlepszego w domu, a tego będzie aż nadto, ażeby was wszystkich wzbogacić.

Weszła na powrót do mieszkania, zalecając milczenie i zapewniając, że wróci natychmiast. Zaledwie miałem czas uprosić renegata, ażeby nic nie czynił przeciw woli Zoraidy, gdyśmy ujrzeli ją wracającą ze skrzynią pełną złota, tak ciężką, iż dźwignąć jej prawie nie mogła.

Aga Murat tymczasem zbudził się ze snu, a słysząc hałas w ogrodzie, poskoczył do okna i poznawszy nas chrześcijan z całej siły krzyczeć zaczął:

– Złodzieje! rozbójnicy, chrześcijanie! ratunku!

Krzyk ten zmieszał nas i niemal całkiem odwagę nam odebrał. Ale renegat, sztuka dzielna, widząc, co się święci i że chcąc ujść niebezpieczeństwa, trzeba koniecznie dzieła dokonać nim kto na pomoc zdąży, rzucił się piorunem na czele kilku towarzyszy do komnaty Agi Murata, a ja zostałem sam z zemdloną w ramionach moich Zoraidą. Uwinęli się tak żwawo, że w mgnieniu oka wrócili, prowadząc Maura związanego i z ustami chustką zatkanymi. Zoraida, widząc to, zasłoniła oczy rękoma, on zaś widząc ją zdumiał, że się w ręku naszym znajduje, bo nic jeszcze nie wiedział, że sama się nam oddała. Tak skrępowanego

poprowadziliśmy do czółna, gdzie oczekiwali nasi ludzie przejęci strachem, czy nas co złego nie zaskoczyło.

Była godzina blisko druga po północy, gdyśmy weszli na czółno, gdzie Agę Murata z pęt i chustki oswobodzono. Renegat zagroził mu śmiercią, jeżeli usta otworzy. Poczciwy starzec, patrząc na córkę, wzdychał głęboko; ale nie mógł wyjść ze zdumienia, gdy zobaczył, że ją czule przyciskam do serca, a ona mi najmniejszego nie stawia oporu.

Nieopisana złość nim miotała, chciał jej czynić wyrzuty, ale pomny na groźby renegata, musiał milczeć biedny. Zoraida spostrzegłszy, że odbijamy od brzegu, prosiła renegata, ażeby mi powiedział, że największą łaskę jej wyświadczę, jeżeli wrócę wolność ojcu jej i Maurom pokutym w łańcuchy, i że woli raczej rzucić się w morze, niż dozwolić, ażeby więziono jej ojca, co ją kocha tak serdecznie i którego ona miłuje całą duszą. Ja zgadzałem się bez namysłu na wszystkie żądania, ale renegat wystawiał mi, że niepodobna uwalniać ludzi, którzy natychmiast po wypuszczeniu przyzwaliby pomoc i wysłaliby w pogoń za nami kilka lekkich fregat z miasta, a te niechybnie by nas dościgły. Zgodziliśmy się przeto wszyscy i Zoraida z nami, gdym jej wystawił te następstwa, że Maurów uwolnić nie można, aż dopiero za przybyciem do krajów chrześcijańskich. Tak tedy, poleciwszy się Bogu, płynęliśmy wesoło przy pomocy dzielnych naszych wioślarzy, sterując ku wyspie Majorce, najbliższej chrześcijan osadzie. Ale los nam nie sprzyjał: zerwał się gwałtowny wiatr północny, morze się wzburzyło i nie byliśmy w stanie utrzymać kierunku naszego; musieliśmy radzi nie radzi trzymać się tuż przy wybrzeżach Oranu, wśród najdolegliwszej obawy, ażeby nas kto nie dojrzał z miasta Sargiel, o sześćdziesiąt mil z tej strony od Algieru oddalonego, lub żeby nie spotkać się z jaką galiotą ładowną z Tetuanu wracającą; chociaż prawdę

powiedziawszy, każdy z nas prawie w głębi serca wzdychał, tak dla własnego, jak i ogólnego dobra, żeby się dało zdybać jaki okręt kupiecki, byle tylko nie korsarski, który by można przy sile naszej opanować i bezpieczniej na nim żeglugi dokonać. Przez cały ten czas Zoraida, wsparta na moim ramieniu, tuliła głowę do rąk moich, żeby ojca nie widzieć i słyszałem, jak gorąco modliła się do Lelli Maryi o skuteczną dla nas pomoc.

Ujechaliśmy ze trzydzieści mil prawie, kiedy świtać zaczęło i mogliśmy się przekonać, że oddaleni jesteśmy o trzy strzały od brzegu, ale nikt nas dotąd nie spostrzegł. Widząc, że burza się nieco uspokoiła, puściliśmy się na szerokie morze, a odpłynąwszy ze dwie mile od lądu, kazaliśmy Hiszpanom zwolnić ruch wioseł, żeby się można posilić. Odpowiedzieli, że nie można w tej chwili ustawać i że jeść mogą wiosłując. Jakoż w istocie zerwał się wiatr silny, założyliśmy żagle i skierowali się ku Oranowi, robiąc osiem mil na godzinę, a niczego się już nie obawiając, tylko żeby nie spotkać korsarzy. Dano jeść Maurom, których renegat pocieszał, zapewniając ich, że wkrótce będą wolni. Zaręczał to samo i ojcu Zoraidy, ale ten odpowiedział:

– Chrześcijanie, nie mnie to gadajcie, wiem ja, że wolności od was spodziewać się nie mogę; nie myślcie, ażebym był tyle prostoduszny i uwierzył wam, iż naraziwszy się na tyle niebezpieczeństw, ażeby mnie uwięzić, zechcecie mnie tak łatwo i prędko wolnością udarować. Wiecie, jaki jestem bogaty, jak drogo okupić się mogę; jeżeli wam zatem idzie o cenę, chętnie ofiaruję wam zaraz co tylko chcecie za siebie i biedną córkę moją, albo za nią samą, bo droższa mi jest nad życie.

Poczciwy starzec, mówiąc to, zalał się łzami i tak rzewnie utyskiwał, że wszystkim nam serca poruszył. Zoraida, widząc rozpacz ojca, rzuciła mu się na szyję i oboje tak żałośnie płakali, że i myśmy

prawie wszyscy łzami się zaleli. Aga Murat, ukoiwszy się nieco, spostrzegł, że Zoraida tak bogato jest ubrana i tylu klejnotami obsypana, jak gdyby na jakie święto się wystroiła.

– Co to ma znaczyć – rzekł – córko moja, żeś tak wspaniale przybrana? Wczorajszego wieczora, kiedyśmy byli szczęśliwi i spokojni, miałaś suknię zwyczajną, a dziś, kiedy tak wielkie spada na nas nieszczęście, widzę cię przybraną we wszystkie klejnoty i bogactwa, które przez cały ciąg życia zbierałem! Proszę cię, wytłumacz mi, co to ma znaczyć, bo dziwi mnie to i trapi więcej, niż ta niedola, co mnie dogniata.

Zoraida zakłopotana, nie wiedziała co mu odpowiedzieć; on zaś, spostrzegłszy w końcu czółna szkatułkę z klejnotami, którą zostawił w Algierze, zdziwiony jeszcze bardziej, pytał jej znów, jakim sposobem dostała się ta szkatułka w ręce nasze i co w sobie zawiera. Renegat wtedy, wyręczając Zoraidę, odpowiedział Maurowi:

– Kochany Ago Muracie, nie dręcz córki swej tylu naraz pytaniami; ja ci krótko rzecz wyjaśnię: Zoraida jest chrześcijanką i z jej to łaski wszyscy wolność otrzymali, z własnej woli pojechała z nami i czuje się szczęśliwa, że przyjęła religię pełną tylu prawd, ile w waszej błędu.

– Czyż to być może, córko moja? – zapytał Maur.

– Tak jest, ojcze – odpowiedziała Zoraida.

– Co! tyś chrześcijanką! i tyś to ojca własnego oddała w niewolę wrogom!

– Jestem chrześcijanką – odrzecze Zoraida – ale w niewolę cię nie oddawałam; nigdy nie myślałam porzucać cię, nigdy najmniejszym urazić cię strapieniem, szukałam tylko szczęścia, którego między Maurami znaleźć nie mogłam.

– Jakież to jest szczęście, córko moja? – zapytał starzec.

– Sam o nie pytaj Lelli Maryi, ona ci odpowie, ona ci je lepiej, niż ja, da poznać.

Usłyszawszy taką odpowiedź córki, Maur ani słowa nie odrzekł, tylko w jednym mgnieniu oka rzucił się na głowę w morze i byłby niezawodnie utonął, gdyby szerokie suknie nie utrzymały go przez chwilę na powierzchni, a nam nie dozwoliły wyciągnąć go na pół żywego.

Zoraida w uniesieniu boleści rzuciła się na martwe prawie ciało ojca i tak rozpaczliwe zawodziła jęki, jak gdyby już był nieżywy. We dwie godziny dopiero, po usilnych staraniach naszych, wrócił do przytomności. Wiatr się w tej chwili zmienił; zwróciliśmy przeto ster ku lądowi, bojąc się, ażeby nas bałwany nań nie rzuciły, i opierając się z całych sił wiosłami. Szczęście wszakże nad wszelkie spodziewanie sprzyjało i dało nam przybić w zatoce obok małego przylądka, który Maurowie nazywają *Cava Rumia*, co znaczy zła kobieta chrześcijańska; podanie ich bowiem niesie, że córka hrabiego Juliana, która zgubiła Hiszpanię, tam jest pochowana. Utrzymuje się między nimi przesąd, że miejsce to jest złowrogie i że nieszczęście czeka każdego, kto się tam zatrzyma, nie stają tu więc nigdy, chyba konieczną potrzebą zmuszeni. Dla nas Cava Rumia stała się portem ocalenia, chroniąc nas przed grożącą burzą. Rozstawiliśmy natychmiast czaty na lądzie i nie wypuszczając z rąk wioseł, wzięliśmy się do posiłku, a Boga błagaliśmy gorąco, żeby tak pomyślnie rozpoczętego dzieła ocalenia szczęśliwie dał nam dokonać.

Serce Zoraidy bolało niezmiernie nad losem ojca i ziomków, których w okowach przed sobą widziała, usilnie błagała nas, ażebyśmy ich na ląd wysadzili. Przyrzekliśmy jej, że uczynimy to przed odjazdem, wiedzieliśmy bowiem, że w miejscu tak pustym bać się czego nie było.

Bóg wysłuchał modłów naszych, wiatr się zmienił i morze uspokoiło; rozkuliśmy Maurów nad ich spodziewanie i puściliśmy ich na ląd wolnych. Gdy chcieliśmy wysadzić ojca Zoraidy, całkiem już zdrowego, rzekł nam:

– Czy myślicie, chrześcijanie, że ta odrodna istota pragnie szczerze widzieć mnie wolnym? nie sądźcie, ażeby z miłości lub miłosierdzia tego żądała! Nie, nie! wstyd jej tylko, ażebym ja był świadkiem niecnych jej czynów. Nie myślcie, że zmieniła religię z przekonania, że wasza jest lepsza od naszej, nie; zmieniła ją, bo wie, że u was kobiety więcej mają wolności, niż u Maurów.

– Niegodna! – mówił, zwracając się do Zoraidy (gdyśmy go we dwóch trzymali, bojąc się jakiego gwałtu). – Córko wyrodna i przeklęta! czego szukasz? gdzie dążysz? zaślepiona, czyż nie widzisz, że rzucasz się w ręce najzaciętszych wrogów naszych? Idź nędzna! o przeklęta niech będzie godzina, w której ci życie dałem! przeklęte starania, które około ciebie podejmowałem!

Widząc, że Maur nie przestaje złorzeczyć i coraz bardziej się unosi, kazałem go jak najprędzej na ląd wysadzić, a on stamtąd jeszcze miotał przekleństwa z tą samą zapalczywością, wzywając Mahometa, aby wyjednał u Boga śmierć dla nas w przepaściach morskich. Kiedy już widział, że słowa jego uszu naszych nie dochodzą, bo czółno kawał od brzegu już odpłynęło, rwał sobie włosy z brody i głowy, tarzał się po ziemi i tak strasznej rozpaczy dawał oznaki, żeśmy wszyscy się lękali, aby życia sobie nie odebrał. Miłość rodzicielska wszakże wzięła górę i ukoiwszy nieco umysł jego zbłąkany, wszelkich środków próbować mu kazała; wołać więc zaczął z całych sił:

– Wróć do mnie, córko droga! wróć, dziecię najukochańsze! wszystko ci przebaczam. Zostaw tym złoczyńcom wszystkie

bogactwa, które nam wydarli, a wróć pocieszać starego ojca, który cię tak kocha i umrze na tej pustyni, jeśli go odstąpisz.

Zoraida słyszała te wołania, serce jej się krajało, we łzach tonęła, a słowa wymówić nie była w stanie. Przemogła się nareszcie i na te słów kilka zdobyła:

– Ojcze, Lelli Maryi, co mnie na chrześcijankę powołała, błagać będę o zesłanie ci pociechy. Allach mi świadkiem, że nie mogłam się oprzeć temu, com uczyniła. Chrześcijanie nie zmuszali wcale, Lella Maria tylko skłoniła mnie dokonać tego, com rozpoczęła; przysięgam ci, ojcze najdroższy, żem dobrze zrobiła i żeś postępku mego żałować nie powinien.

Gdy Zoraida wyrazy te mówiła, ojca już widać nie było. Bezpieczni teraz żeglowaliśmy swobodnie, z pomyślnym wiatrem, ciesząc się, że ze wschodem słońca u brzegów Hiszpanii staniemy. Ale radość nasza nie trwała długo, może przekleństwa Maura złowrogi skutek wywarły. Około godziny trzeciej w nocy, kiedy w najlepsze pędzimy silnym popychani wiatrem, tuż obok zjawia się nagle okręt, całą siłą żagli na przełaj ku nam gnający; musieliśmy się zwinąć, żeby w nas nie uderzył, i przy świetle księżyca widzieliśmy, jak na okręcie całą mocą ster przyparto, żeby pęd wstrzymać. Zapytano się nas zaraz, kto jesteśmy, skąd i dokąd płyniemy.

Pytania te czyniono po francusku, renegat przeto zakazał na nie odpowiadać, zapewniając, że to są korsarze francuscy, którzy zarówno swoich, jak i nie swoich obdzierają. Przelecieliśmy mimo okrętu, ani się odezwawszy; pozostał w tyle, ale ku wielkiemu strachowi naszemu, wypalono do nas dwa razy z armat nabitych, jak się zdaje, łańcuchami. Za pierwszym razem strzał ściął nam w połowie maszt wielki i z żaglem w morze wrzucił, drugi strzał ugodził w czółno po boku i na wskroś je przeszył, nikogo wszakże

nie raniwszy. Czuliśmy, że idziemy do dna, nie było rady, trzeba było wołać o pomoc do okrętu i prosić, żeby nas zabrali, bo śmierć niechybna nam groziła.

Spuścili zaraz bat z okrętu i przypłynęło do nas dwunastu Francuzów z muszkietami i lontem zapalonym; widząc, że łódź nasza tonie, zabrali nas z sobą i wymawiali nam, że sami na siebie biedę ściągnęliśmy, nie odpowiadając na pytania.

Jak tylko weszliśmy na okręt, korsarze, wypytawszy o wszystko, co wiedzieć chcieli, złupili nas do szczętu, jakby najzawziętszych wrogów; zabrali nam wszystko, wyjąwszy jednej szkatułki z klejnotami, którą renegat wrzucił w morze, tak, że nikt nie widział. Zoraidę obdarli z drogich kamieni i złota, które na sobie miała, i przyznam się szczerze, że strach mnie brał nie żartem, ażeby się przypadkiem do gorszych jeszcze gwałtów nie posunęli. Szczęściem atoli, gawiedź ta, jakkolwiek całkiem zezwierzęcona, głównie dba tylko o łupy i tak ich jest chciwa, że byliby nam i odzienie nasze niewolnicze zabrali, gdyby im się tylko na co przydać mogło. Najgorszy strach był o to, że się już naradzać zaczęli, czy nas zawinąć w starą żaglowinę i wrzucić w morze, czy nie; mieli bowiem zamiar prowadzić handel w portach hiszpańskich pod banderą angielską i lękali się, ażebyśmy ich nie zdradzili i kary na nich nie ściągnęli. Większa część rozbójników była za tym, ażeby nas potopić, ale kapitan okrętu, któremu dostały się w podziale klejnoty drogiej mojej Zoraidy, oświadczył, że zadowolony jest swoim kęskiem i że idzie mu tylko o to, żeby nocą przemknąć się przez Cieśninę Gibraltarską i dostać się jak najprędzej do Rochela, skąd wypłynął. Wszyscy się na to zgodzili i nazajutrz dano nam szalupę zaopatrzoną w nieco żywności. Wybrzeża Hiszpanii były już niedaleko; widok ich taką nas przejął radością, żeśmy o wszystkich biedach naszych zapomnieli. Południe już było prawie, kiedy nas wsadzili

na szalupę, dawszy dwie baryłki wody i kilkanaście sucharów; kapitan okrętu, tknięty jakimś dziwnym współczuciem dla Zoraidy, dał jej na drogę czterdzieści sztuk złota i zabronił żołdactwu zdzierać z niej suknie, które też dotąd ma na sobie. Pożegnaliśmy się z nimi, dziękując, że nas żywo puścili. Oni skierowali się ku cieśninie, a my co sił dążyli do lądu, który przy zachodzie słońca widzieliśmy tak blisko, że przed nocą moglibyśmy stanąć na rodzinnej ziemi. Ale że księżyc nie świecił, niebo było mocno zachmurzone i nikt z nas nie znał tych okolic, nie śmieliśmy przeto docierać do brzegu, chociaż większa część była tego zdania, i słusznie, że lepiej wpaść gdzie na skałę, niż narażać się znów na spotkanie z korsarzami tetuańskimi, nocą zawsze tu plądrującymi.

Z dwóch tych zdań przeciwnych utworzyło się trzecie i stanęło na tym, żeśmy po trochu ku lądowi zmierzali i wysiąść postanowili, jak tylko sposobność się zdarzy i morze pozwoli. Wiosłując krzepko, przybyliśmy na wprost góry i wysiedliśmy na piasek. Wszyscy całowali ziemię i łzami radości ją zlewali, dziękując Bogu za tak szczęśliwą podróż. Potem wyładowaliśmy żywność z szalupy i nie wierząc jeszcze sobie, żebyśmy byli na ziemi chrześcijańskiej i bezpiecznej, podążyliśmy na górę, ile mógł kto zdążyć.

Skoro dzień nadszedł, przebraliśmy się na sam szczyt skały, chcąc dopatrzyć wsi albo jakiej rybackiej chaty; nie dojrzawszy wszakże ani domu, ani drogi, ani drożyny najmniejszej jak okiem zasięgnąć, ruszyliśmy dalej w głąb kraju, ufni, iż przecież spotkamy kogoś, co nam powie, gdzie jesteśmy. Najbardziej bolało mnie to, że najukochańsza moja Zoraida iść musiała pieszo po tak przykrej drodze, bo choć ją brałem czasami na ręce, nie pozwalała się nieść długo, nie chcąc mnie trudzić i wolała iść pieszo, wsparta na moim ramieniu. Uszedłszy z ćwierć mili drogi, usłyszeliśmy odgłos klekotek, oznajmiający nam, że gdzieś w bliskości trzoda bydła się

znajduje. Oglądając się na wszystkie strony, spostrzegliśmy pasterza, siedzącego pod wiązem i kij sobie strugającego. Zawołaliśmy na niego, powstał zaraz i obróciwszy głowę, jak tylko spostrzegł (o czym później dowiedzieliśmy się) renegata i Zoraidę po mauretańsku ubranych, drapnął natychmiast, co tylko mógł wyskoczyć do lasu, a myśląc, że cała potęga berberyjska wali na niego, wrzeszczał jak opętany: „do broni! do broni! Maury idą, Maury!" Zakłopotało to nas trochę, ale zważywszy, że całą okolicę poburzy niebawem hasło pasterza i że jazda graniczna wystąpi, renegatowi kazaliśmy zrzucić długą suknię, a przybrawszy go w kaftan jednego z niewolników, który został w koszuli, i poleciwszy się Bogu, szliśmy w ślad za pasterzem, gotowi na wystąpienie jazdy.

Nie minęło dwie godziny, a wszystko się stało, jakeśmy powiedzieli. Tylko co wyszliśmy z zarośli na pole, ujrzeliśmy zaraz kilkudziesięciu konnych żołnierzy, kłusem ku nam zmierzających; czekaliśmy na nich, nie ruszając się z miejsca. Zdziwili się niemało, kiedy przybywszy, poznali w nas zamiast Maurów, garstkę obdartych i zbiedzonych chrześcijan.

Pytali nas, czy to my narobiliśmy tego rozruchu; odpowiedziałem, że my, i chciałem mówić więcej, kiedy jeden z towarzyszów przerwał mi nagle, wołając:

– Ach! Bogu Najwyższemu niechaj będą dzięki, że nas tu w łasce swojej raczył obrócić! Bo jeżeli się nie mylę, znajdujemy się w prowincji Velez de Malaga; a ty, panie jezdny, jeżeli niewola pamięci mi nie odebrała, jesteś Piotr de Bustamante.

Słysząc to jeździec, zeskoczył natychmiast z konia i czule uściskał młodzieńca.

– A tak jest, tak! synowcze mój drogi, mój jedyny – mówił – jać to sam jestem. O jakże myśmy ciebie już tu opłakali z matką twoją

i rodziną! Myśleliśmy, że już nie żyjesz. Co to będzie za radość! Dowiedzieliśmy się nareszcie, że jesteś w Algierze, a teraz z ubioru twego i twoich towarzyszów domyślam się, że umknęliście jakimś cudownym sposobem.

– Nie inaczej – odpowiedział młodzieniec – da Bóg, to ci to opowiem.

Jak tylko dowiedzieli się żołnierze, że jesteśmy chrześcijanami, ofiarowali nam zaraz konie swoje, a sami piechotą doprowadzili nas do Valez de Malaga, odległego stąd o półtorej mili. Inni wzięli czółno na barki, niektórzy znów posadzili na koniach za sobą, a kapitan Bustamante wziął Zoraidę z sobą na siodło. Tym porządkiem odbyliśmy wjazd do miasta, którego mieszkańcy, dowiedziawszy się o wszystkim, wyszli naprzeciw nas i witali z radością. Nie dziwili się wcale, widząc niewolników wolnymi, a Maurów niewolnikami, bo tu każdy przywykł do podobnych rzeczy; ale zdumieli się pięknością Zoraidy, której lica utrudzenie i radość ze znajdowania się między chrześcijanami tak żywym pokryły rumieńcem, iż bez pochlebstwa i przesady rzec mogę, że w życiu moim tak pięknej nie widziałem dziewicy. Wszyscy jak w obraz w nią patrzyli i cześć jej oddawali. Cały tłum ludu odprowadzał nas do kościoła, gdzieśmy prosto się udali złożyć Bogu dziękczynienia za łaski, jakimi nas obdarzył.

Pamiętam, że Zoraida, jak tylko weszła do kościoła, z radością wołała, że widzi tam twarze podobne do Lelli Maryi, powiedzieliśmy jej, że to są właśnie jej wizerunki, a renegat wytłumaczył jej, jak mógł, dlaczego się tam znajdują, ażeby razem z chrześcijanami pokłon im oddała. Bystry umysł dziewicy pojął łatwo słowa renegata i prosto a serdecznie korząc się przed obrazem Bóstwa, tak szczerą dla niego okazywała pobożność, że wszyscy patrzący aż płakali z radości. Gdyśmy wyszli z kościoła,

rozlokowano nas w różnych częściach miasta, a młody towarzysz nasz, synowiec Bustamanta, poprowadził nas, renegata, mnie i Zoraidę do domu ojca swojego, człowieka dość zamożnego, który wszystkich nas podejmował z prawdziwie rodzicielską serdecznością. Zabawiwszy przez cały tydzień w Venez i załatwiwszy się z interesami, renegat poszedł do Grenady, celem przejścia na łono kościoła za pośrednictwem świętej inkwizycji; wszyscy inni zaś rozeszli się każdy w swoją drogę. Ja tylko jeden z Zoraidą zostałem tu, utrzymując się z pieniędzy, które jej dał na drogę szczodrobliwy korsarz francuski; część ich obróciłem na kupienie muła, żeby ją podróż nie utrudzała, i służąc jej razem za pośrednika i ojca, dążymy teraz, ażeby się dostać do rodzica mego i dowiedzieć się, czy żyje jeszcze, lub czy któremu z braci moich szczęście nie dopisało lepiej niż mnie, chociaż nie skarżę się na los swój, bo udarował mnie sercem Zoraidy, której piękność i cnoty cenię nad wszelkie bogactwa świata. Ale dla jej miłości rad bym z duszy przynieść jej pociechę za straty, które poniosła, i zmniejszyć jej żal po tylu bogactwach i tak kochającym ojcu, którego dla mnie biedaka porzuciła. O, bo godną prawdziwie jest uwielbienia za tyle cierpliwości w znoszeniu trudów i przygód naszych, a nade wszystko godną jest uwielbienia za to gorące pragnienie, by zostać już chrześcijanką. Toteż chociażbym jej nie zawdzięczał tylu dobrodziejstw, czciłbym ją i uwielbiał za jej cnoty wspaniałe i całe życie służyć bym jej pragnął.

Mimo tej radości wszakże, że serce jej do mnie należy, trapię się niepewnością, czy znajdę dla niej w ojczyźnie mojej kątek spokojny, gdzie bym ją osadził, bo ojciec mój zapewne już umarł, a bracia moi, rozproszeni gdzieś daleko od miejsca rodzinnego, może nie lepszej ode mnie używają doli.

Oto, panowie, cała historia moja. Z serca chciałbym ją był opowiedzieć wam tak dokładnie i zajmująco, jak pełna jest dziwnych wydarzeń, ale nie mam daru do tego i długi czas przebywając w kraju obcym, gdzie cudzej mowy uczyć się musiałem, własnego prawie zapomniałem języka. Boję się, czym was nie znudził za długim opowiadaniem; nie byłem w stanie skrócić go więcej, chociaż wiele okoliczności zupełnie pominąłem.

Rozdział XV

O tym, co się wydarzyło w gospodzie, i o wielu innych rzeczach, godnych wspomnienia

– Doprawdy, mości kapitanie – rzekł Fernand do niewolnika – opowiadanie twoje było równie miłe i zajmujące, jak sama historia, co do mnie, tyle w tym opisie przygód twoich, tak nowych i zadziwiających, znalazłem przyjemności, że chętnie słuchałbym go, a słuchał ciągle.

Kardenio i wszyscy obecni, obsypywali go takimiż grzecznościami i tak uprzejmie i szczerze ofiarowali mu się z usługami swymi, że kapitan nie miał dość słów na dziękowanie im i Bogu składał hołdy, że mu tylu przyjaciół zesłał w nieszczęśliwej dobie. Don Fernand oświadczył mu nadto, że jeżeli zechce pójść z nim, to uprosi brata swego, margrabiego, aby był ojcem chrzestnym Zoraidy, a sam oporządzi go i postawi w możności powrócenia do kraju rodzinnego bez wstydu i odpowiednio zacności i zasługom jego. Niewolnik dziękował wszystkim serdecznie, ale się wzbraniał przyjąć ich uprzejmości.

Dzień zaczynał się już chylić ku wieczorowi, a gdy noc nadeszła, zajechała przed gospodę kareta, konwojowana przez kilku jezdnych, którzy zażądali tu dla niej noclegu.

Odpowiedziano, że cała gospoda jest zajęta.

– Ale może się znajdzie chociaż kawałeczek miejsca dla jego miłości pana audytora?

Usłyszawszy ten tytuł, gospodyni zakłopotana odrzekła z uniżonością:

– To jest, proszę pana, ja chciałam powiedzieć, że łóżka wszystkie zajęte, ale jeżeli jego miłość pan audytor ma własne z sobą, o czym nie wątpię, to mu swojej izby ustąpimy.

Zaraz przeto wysiadł z karety człowiek poważny, po którego długiej sukni i zawiniętych rękawach poznać można było, że piastuje godność audytora. Prowadził za rękę młodą panienkę między piętnastoma a szesnastoma laty, po podróżnemu ubraną, ale tak zgrabną, tak ładną i miluchną, że wszyscy w gospodzie aż zdumieli i jednogłośnie okrzyknęli, że piękność jej w niczym nie ustępuje piękności Doroty, Luscindy i Zoraidy.

Don Kichot, jak tylko ujrzał wysiadającego audytora, zaraz doń przemówił.

– Mości panie, możesz śmiało wejść do tego zamku i przebywać, jak ci się długo spodoba; jest on może przyciasny i nie dość w żywność zaopatrzony, ale niewygody są niczym dla rycerzów i ludzi uczonych, mianowicie, gdy im, jak tobie, mości panie, towarzyszy piękna dziewica, dla której nie tylko zamków bramy stają otworem, ale skały nawet się rozstępują i nikną, a góry uniżają się, by im drogę torować. Wnijdź przeto, mościwy panie, do raju tego, gdzie znajdziesz gwiazdy godne słońca, które z sobą wiedziesz, zastaniesz męstwo i rycerskość w całym ich blasku i piękność w najwyższym szczycie doskonałości.

Audytor, zdumiony przemową Don Kichota, zaczął mu się pilnie przypatrywać, podziwiał postawę jego i ruchy, i miał już na nowo zwrócić nań swoje obserwacje, kiedy Luscinda, Dorota i Zoraida,

uprzedzone przez gospodynię o przybyciu cudnie pięknej dziewicy, wyszły na jej spotkanie i obsypały ją tysiącem uprzejmych grzeczności.

Don Fernand, Kardenio i pleban składali jej również wytworne hołdy i audytora tak grzecznościami obładowali, że sam już nie wiedział, jak na świecie stoi; ogłuszony, zmieszany, zafrasowany tylu naraz komplementami, wszedł do gospody, kłaniając się ciągle na prawo i na lewo i nie wiedząc, co ma odpowiedzieć. Miarkował jednak, że muszą to być ludzie dobrego urodzenia, ale twarz, postępowanie, ubiór i wzięcie się Don Kichota tak go z tropu zbiły, że w głowę biedak zachodził. Po wielu a wielu grzecznościach obustronnych uradzono nareszcie wzajemnie, że damy wszystkie razem spać będą w jednej izbie, a mężczyźni, jako ich opiekunowie i obrońcy, nocować będą na dworze.

Audytor zgodził się chętnie, aby córka jego (młoda panienka była jego córką) poszła z tymi damami; ona też na to z całego serca przystała.

Z kawałka gospodarskiego tapczana i połowy łóżka audytora panie urządziły sobie posłanie, jak było można.

Niewolnik nasz od pierwszej zaraz chwili, jak spojrzał na audytora, uczuł w sercu jakieś szeptanie, że to musi być brat jego. Podszedł więc do jednego z jezdnych, co mu towarzyszyli, a wdawszy się z nim w rozmowę, rozpytywał o nazwisko i miejsce urodzenia dygnitarza.

Służbowiec odpowiedział, że się pan jego nazywa Juan Perez de Viedma, jest licencjatem i pochodzi, jak słyszał, z miasta jakiegoś w górach Leonu.

Słysząc to niewolnik nasz, utwierdził się jeszcze mocniej w przekonaniu, że audytor musi być bratem jego, którego ojciec na drogę naukową przeznaczył. Uradowany takim zdarzeniem,

wziął na bok Don Fernanda, Kardenia i plebana i opowiedział im wszystko, zaręczając, że audytor jest jego bratem.

Służbowiec powiedział mu nadto, że jedzie do Meksyku na wysoki urząd; że panienka towarzysząca mu, jest jego córką, a matka jej umarła, wydając ją na świat i zostawiła mężowi wielki majątek, którego jedyną dziedziczką jest córka. Radził się ich niewolnik, jakby wypróbować, czy go odepchnie, czy też przyciśnie do braterskiego serca, widząc go tak biednym.

– Czekajcie, czekajcie – odezwał się pleban – ja to biorę na siebie, ja go wypróbuję, mam jakoś nadzieję i po minie pana audytora widzę, że to człowiek nienadęty i niegardzący biednymi.

– Z tym wszystkim – odrzeknie niewolnik – nie chciałbym mu dać poznać od razu i tak wprost, wolałbym to jakoś zręczniej zrobić.

– No, no, raz jeszcze ci powtarzam, kapitanie – rzecze pleban – zostaw tę rzecz mojej głowie, a obaczysz, że wszystko ślicznie ułożę.

W tej chwili podano wieczerzę. Wszyscy zasiedli do stołu, nie było tylko kapitana, bo nie chciał przyjść, i dam, które wieczerzały w swoim pokoju. W czasie wieczerzy pleban, zwracając się do audytora, tak mówić zaczął:

– Mości audytorze, jakem był w Konstantynopolu, gdzie parę lat w ciężkiej przesiedziałem niewoli, miałem tam towarzysza tego samego nazwiska, co wasza dostojność. Był to dzielny żołnierz, jeden z najtęższych oficerów hiszpańskich, ale ile dzielny i szlachetny, tyle też był nieszczęśliwy.

– A jakże się nazywał ten oficer? – zapytał audytor.

– Nazywał się Rui Perez de Viedma, a pochodził z jakiegoś miasta w górach Leonu. Opowiadał mi dziwne rzeczy, co mu się wydarzyły z ojcem i braćmi, tak dziwne, że gdyby mi to kto inny mówił, to bym tę historię policzył do bajek, które baby plotą przy kądzieli. Mówił mi, że ojciec jego, bojąc się, żeby nie roztrwonił fortuny,

bo był człowiekiem bardzo szczodrego serca, rozdzielił ją między trzech jego braci i niego, dając im rady godne Katona. Towarzysz mój obrał sobie zawód wojskowy i w krótkim czasie tak się w nim odznaczył, że własną zasługą i męstwem jedynie doszedł do stopnia kapitana piechoty, a pierwszy wakans na regimentarstwo patrzył już na niego. Ale w tej właśnie stanowczej dla siebie chwili, kiedy najwięcej sobie szczęścia rokował, ono najstraszniej odwróciło się od niego. Krótko mówiąc, stracił całą karierę razem z wolnością w pamiętny dzień bitwy pod Lepanto, gdzie tylu niewolników wolność odzyskało. Ja zostałem jeńcem pod Goulette i potem po różnych kolejach znaleźliśmy się razem u jednego pana w Konstantynopolu. Stamtąd on poszedł do Algieru, gdzie przechodził przygody tak zadziwiające i tak niesłychane, że doprawdy cudownymi można by je nazwać.

Tu pleban opowiedział pokrótce historię kapitana i Zoraidy. Całemu temu opowiadaniu audytor przysłuchiwał się z taką pilnością, że nigdy w życiu lepszym nie był audytorem. Historię tę wszakże urwał pleban w punkcie, kiedy korsarze francuscy złupili co do nitki biednego kapitana i biedną Mauretankę; co się potem z nimi stało, powiedział, że nie słyszał i że nie wie, czy się dostali do Hiszpanii, czy też korsarze zabrali ich z sobą do Francji.

Kapitan, ukryty tuż obok, słyszał każde słowo plebana i śledził pilnie wrażenia, jakie sprawiało na jego bracie. Ten zaś, widząc, że ksiądz skończył opowiadanie, westchnął głęboko i ze łzami w oczach zawołał:

– O, panie! gdybyś ty wiedział, jak ważna dla mnie jest wiadomość, którą mi udzieliłeś i jak ona blisko serca mego dotyka! Za najlepszy dowód niech ci służą te łzy, które mi z oczu wyciska, mnie, com tak z powołania zahartowany do powagi i roztropnej obojętności!

Ten dzielny kapitan, o którym mówiłeś, to rodzony brat mój starszy, który, idąc za popędem duszy szlachetnej i umysłu męskiego, obrał zaraz chwalebny zawód żołnierza. Jak ci to sam opowiadał, ojciec nam rozmaite powołania do wyboru zalecał; on, dzielniejszy sercem ode mnie i młodszego brata, pełen ducha wzniosłego, obrał drogę najcięższą, ale najchlubniejszą. Ja poszedłem drogą nauki, na której Bóg, praca moja i usilność, doprowadziły mnie do godności, którą teraz piastuję. Młodszy brat osiadł w Peru i tak się tam wzbogacił, że nie tylko zwrócił ojcu i mnie udział, który wziął z majątku, ale przysyłał nam tyle pieniędzy, że ojciec miał ich aż nadto do zadowolenia wrodzonej sobie szczodroty, a ja z łatwością przy ich pomocy odbyłem nauki i bez trudu zyskałem sobie pozycję, którą dziś posiadam. Poczciwy ojciec nasz żyje jeszcze dotąd i modli się bezustannie do Boga, ażeby mu dozwolił raz jeszcze przed śmiercią widzieć ukochanego syna starszego. I dziwna rzecz, doprawdy, że człowiek tak rozumny i dzielny, jak brat mój starszy, od chwili, jak wyszedł z wojskiem, nic a nic dotąd o swoim losie nam nie doniósł i o los rodziny ani się zapytał. Mój Boże, gdybyśmy wiedzieli o jego niedoli, to pewno by nie był potrzebował tej cudownej łaski, co mu wolność wróciła. Ale jakże się lękam, czy jej znów nie utracił przez tych niegodziwych korsarzy! Kto wie, może podli ci ludzie zgładzili go, żeby sobie łup zapewnić i na zasłużoną karę się nie narazić! O! myśl ta wszelką radość zabija w mym sercu na zawsze. O, drogi bracie, gdybym się tylko mógł dowiedzieć, gdzie ty jesteś, nie szczędziłbym niczego, ażeby ci iść w pomoc w nieszczęściu. O! któż powie staremu ojcu naszemu, że ty jeszcze żyjesz, a choćbyś jęczał w najgłębszych lochach w Berberii, jego bogactwa razem z mymi i brata młodszego musiałyby cię stamtąd wydobyć! A ty piękna i szlachetna Zoraido! czemuż nie mogę ci się wywdzięczyć

za dobrodziejstwa, bratu memu świadczone! Czemuż nie mogę być świadkiem świętego duszy twej odrodzenia? O, jakże byłbym szczęśliwy, gdybym cię mógł do ślubnego poprowadzić ołtarza i oddać w małżeństwo temu, któremu, jak i nam, tyle szczęścia zgotowałaś.

Audytor wymówił te wyrazy z tak przejmującym uczuciem boleści i rozrzewnienia, że wszyscy obecni do żywego nimi wzruszeni zostali. Pleban, widząc, że mu się tak powiodło, nie chciał dłużej wytrzymywać audytora, wstał od stołu, poszedł po Zoraidę i wziąwszy ją za rękę (a za nią poszły zaraz Dorota, Luscinda i córka audytora), poprowadził ją do kapitana, i tego zabrawszy z sobą, z obojgiem zbliżył się do audytora.

– Otrzyj łzy swoje, zacny panie – rzekł – oto przyprowadzam ci twego brata ukochanego i tę bratową, którą widzieć tak pragnąłeś, oto kapitan Viedma, a to piękna Mauretanka, której tyle zawdzięcza. Widzisz, do jak smutnego stanu doprowadzili ich rozbójnicy francuscy; ale Bóg to dopuścił, aby otworzyć pole twojej szlachetności.

Kapitan rzucił się natychmiast w objęcia brata, a ten, popatrzywszy nań chwilę i poznawszy w nim brata, objął go za szyję i ściskali się tak serdecznie, tak obfite łzy radości leli, że całe towarzystwo wstrzymać się od płaczu nie mogło.

Niepodobna powtórzyć, co do siebie dwaj bracia mówili; trzeba sobie wyobrazić, co ludzie uczciwi a kochający się szczerze mogą czuć w podobnej chwili. Opowiadali sobie na przemian i prędko rozmaite koleje i przygody życia, a za każdym słowem powtarzali sobie zapewnienia przyjaźni i uczuć braterskich.

Audytor porzucał brata, a zwracał się do Zoraidy, całował ją w uniesieniu, oddawał jej cały majątek, prowadził do córki i jej całować ją kazał. To znów piękna dziewica chrześcijańska i nadobna

Mauretanka nie mogły się wyrwać z objęć wzajemnych i widokiem nieopisanego rozrzewnienia łzy znów całemu towarzystwu wyciskały. Don Kichot ze swej strony patrzył na wszystko uważnie, ani słowa nie wyrzekł i wszystkie te wypadki przypisywał chimerom błędnej rycerskości swojej.

Dwaj bracia, wyściskawszy się i wycałowawszy do woli, przepraszali towarzystwo, które znów ze współczuciem swoim się oświadczało.

Po skończonych grzecznościach stron obu, audytor z kapitanem uradzili, że pierwszy odprowadzi ostatniego do Sewilli, a tymczasem dadzą znać ojcu o jego powrocie, ażeby jak najprędzej zjechał na chrzest i ślub Zoraidy, audytor bowiem musiał się spieszyć, żeby się zabrać z flotą, wyjeżdżającą do Indii.

Wszyscy podzielali niewysłowioną radość kapitana ze szczęśliwego spotkania brata i słów im nie stawało, żeby mu to wypowiedzieć; ale że już było późno, rozeszli się nareszcie wszyscy, chcąc użyć spoczynku przez resztę nocy. Don Kichot ofiarował się, że będzie strzegł zamku, żeby go nie napadł jaki olbrzym lub inny tego kalibru rozbójnik, wiedziony żądzą posiadania wielkiego skarbu piękności, które się tam znajdowały. Znajomi dziękowali mu za to bardzo i opowiedzieli audytorowi, kto jest Kawaler Posępnego Oblicza, z czego wielce był uradowany i wypalił piękny komplement Don Kichotowi za siebie i za córkę. Jeden tylko Sancho wśród powszechnej radości rozpaczał, że panowie tak długo spać się nie kładą; gdy nareszcie dostał pozwolenie od pana na spanie, legł sobie wygodnie i lepiej od innych na kulbace osła swojego, co też drogo przypłacił niezadługo, jak to wnet zobaczymy.

Damy poszły do siebie, mężczyźni rozkwaterowali się gdzie i jak kto mógł, a Don Kichot wyszedł z gospody na stróżowanie koło zamku, jak to przyobiecał.

Głęboka cisza panowała wokoło, kiedy nad samym rankiem damy zbudzone zostały prześlicznym śpiewem, wszystkie przysłuchiwały się w uniesieniu, ale szczególniej Dorota, która już czas jakiś nie spała, kiedy Klara Viedma, córka audytora, w jednym z nią łóżku leżąca, spała jak najęta za dwie. Śliczny głos odzywał się raz z podwórza, to znów z innej strony. Panie były bardzo ciekawe, kto to mógł tak śpiewać i kiedy koniecznie dowiedzieć się chciały, Kardenio zapukał we drzwi do nich i zawołał:

– Panie! jeżeli nie śpicie, posłuchajcie cudnego śpiewu młodego mulnika.

– O, słuchamy go dawno – odpowiedziała Dorota – i unosimy się nad jego głosem.

Chłopak, co skończył piosnkę, to nową zawodził; Dorota nadstawiła pilnie ucha i podchwyciła śpiewkę:

Jestem miłości żeglarzem
I na głębokich jej toniach,
Płynę bez nadziei steru,
Nie widząc portu żadnego.

Płynę za gwiazdy promieniem,
Którą postrzegam w oddali;
Ona świetniejsze ma blaski,
Od każdej z gwiazd Sanitura.

Nie wiem, dokąd mnie prowadzi,
Choć niepewną płynę drogą
I cała dusza w mym oku
Bez troski pogląda na nią.

Ostrożność, tchnąca przeszkodą,

I uczciwości przesada
Są chmurami, które kryją
Tę gwiazdę przed moim wzrokiem.

O Klaro! gwiazdo błyszcząca,
Choć mnie twój promień pożera,
Lecz gdy zagaśniesz na niebie,
Duch mój zagaśnie na ziemi.

Dorota, która dotąd nie budziła pięknej Klary, w tym miejscu piosnki chciała z nią podzielić tę prawdziwą przyjemność, trąciwszy więc z lekka parę razy i zbudziwszy ją, rzekła:

– Przebacz mi, moje miłe dziecię, że ci w śnie przeszkadzam, ale czynię to dlatego, żebyś miała przyjemność usłyszenia tak pięknego głosu, jakiego pewnie w swoim życiu nigdy nie słyszałaś.

Klara jeszcze rozespana nie zrozumiała słów Doroty i prosząc, żeby je powtórzyła, zaczęła słuchać. Lecz jak tylko głos doszedł jej uszu, doznała tak gwałtownego trzęsienia, jak gdyby ją opanował silny napad febry i tuląc się do Doroty, rzekła:

– Ach, pani! dlaczegóż mnie obudziłaś, daleko byłoby lepiej dla mnie, żebym nie była słyszała tego nieszczęśliwego śpiewaka.

– Jak to, moje życie, czyż nie wiesz, że ten, co tak pięknie śpiewa, jest mulnikiem?

– Nie, nie – odrzekła Klara – jest to człowiek wyższego stanu i urodzenia, który tu nie bez celu przybył, i wyznam ci pani szczerze, że obecność jego nabawia mnie jakiejś niespokojności.

Dorota, mocno zdziwiona podobną mową młodej panienki, rzekła:

– Nic nie rozumiem, co mówisz, moja śliczna, wytłumacz się jaśniej i opowiedz mi, kto to jest ten śpiewak nieszczęśliwy, co cię

tyle kłopotu nabawił? O, zaczyna znów, warto go słuchać; później mi opowiesz.

– Kiedy tylko ci się podoba – odpowiedziała Klara i uszy sobie zatkała obu rękami, żeby nie słyszeć piosnki śpiewaka, a on śpiewał dalej:

O słodka nadziejo moja,
Ty zwalczasz na mej drodze niepodobieństw tamy,
Niech promienna droga twoja
Obejmie czucia moje w złote złudzeń ramy.
Niech nie trwoży twego oka
Przepaść jak grób otwarta i jak grób głęboka.

Bo rzadko ludzie nieczuli
Po szlachetnych podbojach triumfem się wieńczą
I nigdy szczęścia nie czuli
Ci, którzy zamroziwszy w sobie krew młodzieńczą,
Nie staczając walki z losem,
Chcą iść w życiu za słabym nieczynności głosem.

Bo miłości upory,
Zwyciężyć mogą nawet niepodobne trudy,
Więc i ja doczekam pory,
W której zwalczywszy szczęścia zwodnicze ułudy,
Z ziemskiego cierpień kraju
Na szczyt czystych rozkoszy wedrę się do raju.

Śpiewak nareszcie ucichł, a Klara znów żale rozwodzić zaczęła; Dorota, ciekawa do najwyższego stopnia, przypomniała jej, że przyrzekła opowiedzieć historię śpiewaka. Przycisnąwszy się

bliziuchno do Doroty i ustami ucha jej dotykając, żeby Luscinda, w drugim łóżku leżąca, nic nie słyszała, Klara zaczęła opowiadanie:

Śpiewak ten jest synem magnata aragońskiego, który mieszka w Madrycie naprzeciw domu mojego ojca, nie wiem, gdzie młodzian ten, będąc jeszcze studentem, mógł mnie zobaczyć, czy to w kościele, czy na przechadzce, czy gdzie indziej, bo u nas okna zawsze były zamknięte i żaluzjami zasłonięte, koniec końców zakochał się we mnie i dał mi to poznać i zrozumieć, jak mógł, przez okno, z którego tak czułymi gestami do mnie przemawiał i tyle łez wylewał, że aż mnie litość brała. Przywykłam do niego, uwierzyłam mu i zaczęłam go nawet kochać, sama nie wiedząc, czego ode mnie żąda. Najczęściej, mówiąc do mnie na migi, kładł rękę na ręce, dając mi do zrozumienia, że chce się ze mną ożenić. Ja także bardzo bym tego chciała, ale nie mając matki, sama jedna, nie wiedziałam, jak sobie w tym wszystkim począć; zostawiłam więc rzecz, jak była, sama najmniejszego kroku nie robiąc. Czasami tylko, jak ojca nie było w domu, podnosiłam trochę firanki i żaluzje i pokazywałam mu się cała, a on tak był z tego uradowany, iż zdawało się, że zwariuje.

Nadszedł nareszcie rozkaz wyjazdu ojca mego; dowiedział się o tym, ale nie ode mnie, bo ja nigdy z nim mówić nie mogłam. Tak się widać zmartwił, że mocno zachorował i w dzień odjazdu nie mogłam go widzieć, ani pożegnać oczyma.

Drugiego dnia podróży, kiedyśmy wjeżdżali do gospody w pobliskiej stąd wiosce, spostrzegłam go przed bramą, przebranego za mulnika i tak dziwnie odmienionego, że nigdy bym go nie poznała, gdyby mi nie stał ciągle na myśli. Zdziwiłam się niezmiernie, widząc go, ale razem i ucieszyłam. On zawsze patrzy we mnie jak w tęczę, przed ojcem tylko się kryje i udaje przy nim, że mnie wcale nie zna. Przyznam się pani, że wiedząc teraz,

że za mną tak goni i że z miłości piechotą drogę odbywa i tyle cierpień ponosi, ja ledwo nie skonam ze zmartwienia i gdzie on tylko się obróci, ścigam za nim oczyma. Nie wiem, co on ma w tym, żeby tak za mną gonić, i nie pojmuję, jak mógł wyrwać się od ojca, który go szalenie kocha, bo jest jego jedynym dzieckiem, a do tego niezmiernie miły, co sama, widząc go, osądzić będziesz mogła. Wreszcie wszystko to, co śpiewa, jest jego własnym utworem, o! bo on ma wiele dowcipu i słyszałam nawet, że układa wiersze. Ale pani, muszę ci powiedzieć, że ilekroć go widzę lub słyszę śpiewającego, zawsze jestem w okropnym kłopocie, żeby ojciec go nie poznał i nie wpadł na jakieś podejrzenie. Nigdy z tym biednym młodzieńcem nie mówiłam i dwóch słów, przyznam się wszakże, że zdaje mi się, iż nie mogłabym żyć bez niego. Otóż, kochana pani, wszystko, co ci mogę o tym śpiewaku powiedzieć, którego głos tak cię zachwycił; widzisz więc, że to nie jest mulnik, ale, jakem ci już powiedziała, syn magnata hiszpańskiego.

– Dość tego, moje dziecko – odrzekła Dorota, całując ją stokrotnie – dość tego i nie troszcz się więcej, bo spodziewam się, że wszystko pójdzie dobrze i tak czyste uczucia muszą być koniecznie szczęśliwym uwieńczone skutkiem.

– Niestety! pani – odpowie piękna Klara – jakiegoż skutku spodziewać się można, kiedy ojciec jego jest tak bogaty i na tak wysokim stanowisku, że moje uważać będzie za zbyt niskie dla swojego syna? On nigdy nie zezwoli na ten związek, a bez jego wiedzy ja bym znów za nic w świecie na to nie przystała. Tego tylko pragnę, żeby powrócił do domu; może, nie widząc go więcej i oddalona tak wielką przestrzenią od niego, doznam ulgi w cierpieniu, chociaż zdaje mi się, że i to lekarstwo nie będzie skuteczne. Nie wiem doprawdy, co się to w tę sprawę wmieszało i co nas popchnęło na tę drogę, nas, co jesteśmy tak młodzi, bo on

nie ma jeszcze szesnastu lat, a ja, jak ojciec mówi, za kilka dopiero miesięcy skończę trzynaście.

Dorota nie mogła się powstrzymać od uśmiechu, widząc taką prostotę w biednej dziewczynce i tak miły dziecinny sposób wyrażania się.

– Śpijmy jeszcze trochę, moje dziecko – rzekła – dzień niezadługo zabłyśnie, a Bogu zostawmy o tym wszystkim staranie.

Usnęły niebawem i wszystko znów pogrążyło się w milczeniu, oprócz córki gospodyni i Maritorny, które, znając dziwactwo Don Kichota, umyśliły mu wypłatać jaką sztuczkę, podczas gdy nasz rycerz, uzbrojony od stóp do głów i na koniu, zajęty był gorliwie strażą zamku.

W całym domu nie było okna, które by wychodziło na zewnątrz, była tylko dziura w murze, którędy słomę do stajni wrzucano. Z tego to punktu córka gospodarza i Maritorna spostrzegły Don Kichota na koniu, wspartego niedbale na swej kopii i wydającego co chwila głębokie i bolesne westchnienia, jak gdyby był bliski wyzionięcia ducha.

– O Dulcyneo z Toboso! – mówił tonem cierpienia i miłości – królowo wdzięków, nieprzebrany zbiorze względności i rozumu, skarbie rozkoszy i powabów, święty składzie wszelkich cnót, przykładzie i prototypie wszystkiego, co jest piękne, użyteczne i przyjemne na świecie! Co byś też myślała o niewolniku swoich wdzięków, gdybyś go zobaczyła w tej chwili, z takim zapałem na tyle wystawiającego się niebezpieczeństw?

O ty! luminarzu niestałości, bogini o trzech obliczach, daj mi wiadomość o damie moich myśli! Wystawiam sobie, że w tej może chwili spozierasz na nią z zawiścią, jak się przechadza w bogatych krużgankach jednego ze swych przepysznych pałaców, albo gdy oparta o złocisty ganek, rozmyśla, jak powrócić spokój mojej

utrapionej duszy, jak położyć kres moim cierpieniom i dać spocząć zbolałemu sercu, nareszcie jakim sposobem wyrwać mnie śmierci, a otworzyć lube, błogie życie i nagrodzić moją miłość i zasługi. A ty! słońce, co przyśpieszasz swój bieg, nie dlatego, żeby dniem darzyć śmiertelnych, ale żeby prędzej widzieć to arcydzieło cudów, zanieś jej ode mnie moje pozdrowienie, proszę cię, skoro ją tylko ujrzysz, ale strzeż się ukraść jej pocałunek, bo upewniam cię, że jest niewypowiedzianie skromna i nie mniej byś ją obraził, jak niegdyś, gdy doznałeś wzgardy od tej płochej i niewdzięcznej, za którą w pocie goniłeś po obszarach Tesalii, czy też na pobrzeżach penejskich; doprawdy, że nie pamiętam gdzie to było.

Miał dalej ciągnąć Don Kichot górną tę przemowę, gdy mu ją przerwała córka gospodyni, wołając nań z cicha i ręką kiwając:

– Pójdźcieno tu bliżej, mości rycerzu – mówiła – proszę!

Usłyszawszy głos ten, rozkochany rycerz zwrócił głowę, a widząc przy księżycu, że ktoś woła na niego z dymnika na strychu, (który wziął już co najmniej za okno złotą warowne kratą, a zwykle o zamkach wyobraźnię jego napełniających) wyobraził sobie natychmiast, że to być musi córka pana zamku, miłością ku niemu płonąca, i że oceniając tak wielkie zasługi, błaga go, żeby położył kres swemu męczeństwu. Opanowany tym urojeniem, a nie chcąc się wydać dzikim i niegrzecznym, podszedł do okna i widząc w nim dwie młodziuchne twarzyczki.

– O niestety! – zawołał – jakże boleję, nadobna dziewico, żeś nieszczęśliwie skierowała uczucia sercem twoim władnące; nie przypisuj w tym winy biednemu rycerzowi błędnemu, że nie jest już panem swojej woli i że miłość przykuła go na wieki od chwili, jak inna dziewica stała się wszechwładną panią jego duszy. Wybacz mi, błagam cię raz jeszcze o piękna! to, co nie z mojej winy pochodzi! wróć, proszę, do swej komnaty i nie powiększaj

niewdzięczności mojej łask swoich szczodrobliwością. Ale jeżeli za miłość, którą ku mnie pałasz, czego innego ode mnie zażądasz niż miłości, rzeknij tylko, a przysięgam na cudne oczy słodkiej tyranki, której jestem niewolnikiem, że wypełnię natychmiast wszystko, czego zażądasz, choćbyś zachciała splotu włosów straszliwej głowy Meduzy, złotego runa albo promieni słońca samego.

– Nie tego żąda od ciebie, mości rycerzu, pani moja.

– A czegóż żąda pani twoja, cna powiernico? – rzecze Don Kichot.

– Żąda tylko, żebyś jej choć podał piękną rękę swoją – mówiła Maritorna, a tym sposobem choć w części ugasił płomień serca, co ją tu do tej strzelnicy przywiódł mimo tylu niebezpieczeństw, mimo narażania się na straszny gniew dostojnego ojca, który, gdyby się o tym dowiedział, na drobne kawałeczki by ją posiekał.

– O! nie doczekałby tego – zawołał Don Kichot – uchowaj go Panie, żeby śmiał coś podobnego nawet pomyśleć, jeżeli nie chce zginąć najstraszniejszą i najhaniebniejszą śmiercią, jaką kiedy bądź zginął zbyt surowy ojciec, co ważył się podnieść zuchwałą rękę na pieszczone członki córki zakochanej.

Maritorna, nie wątpiąc, iż Don Kichot po tak uroczystym zaklęciu poda rękę i myśląc o swojej psocie, pobiegła co żywo po postronek z uździenicy Sanchowego osła i wnet wróciwszy, zastała wytwornego rycerza, juk stał już nogami na kulbace swego rumaka, wyciągając się jak długi, żeby dosięgnąć okna, z którego wyglądała dziewica, zachwycona jego rycerskimi przymioty i ujmującą postawą.

Wyprężył rękę z sił całych i uprzejmie przemówił:

– Oto masz, pani, rękę, której żądałaś, masz, podaję ci tę krwawą plagę na niegodziwych, co świat niecnymi burzą gwałtami; podaję ci, powtarzam, tę rękę, której dotąd żadna niewiasta nie miała szczęścia dotknąć, nawet ta, co samowładnie ciałem moim i duszą

włada. Podaję ci ją nie dlatego, ażebyś ją ucałowała, ale dlatego, ażebyś przypatrzyła się jej nerwom, zwięzłości i krzepkości muskułów, potędze żył i ze składu tej dłoni wnieść mogła, jakie musi być ramię, do którego ona należy.

– Zobaczymy to zaraz – rzecze Maritorna i zadzierzgnąwszy jeden koniec powroza za rygiel u drzwi, drugi zarzuciła na rękę Don Kichota. Kawaler nasz, uczuwszy szorstkość grubego powroza, który mu ścisnął dłoń jak w kleszczach, nie wiedział, co począć. Ale ułagodziwszy się natychmiast:

– Zdaje mi się, piękna moja damo – miluchnym rzekł głosem – że masz raczej ochotę okaleczyć mi rękę, niżeli ją ściskać. Miej litość nad nią, daruj jej, błagam cię uprzejmie; ona w niczym nie przyczyniła się do ucisku, który serce twe przygniata, i nie godzi się, abyś zemstę swą wywierała na cząstce tak niewinnej, jeżeli dusza twa tak udręczona, nie powinnaś zemsty ograniczać do jednego członka, a wywrzeć ją na całej mojej istocie, którą ci ryczałtem na ofiarę oddaję.

Wisząc w powietrzu, Don Kichot prawił na wiatr tę przesadną galanterię, bo jak tylko Maritorna zobaczyła, że biedak tak dobrze się zadzierzgnął, iż się nie wymknie łatwo, obydwie dziewczyny uciekły zaraz z dymnika, boki zrywając od śmiechu. Rycerz nasz nieboraczysko stał na kulbace, wspierając się na palcach, z ręką na pół w dymnik wsuniętą, a za dłoń mocno skrępowany i drżał ze strachu, ażeby Rosynantowi nie zachciało się skręcić w którą stronę, bo gdyby się ruszył, zostawiłby go na męczeńskiej prawdziwie torturze. Sam więc ani drgnął i tak cichutko się sprawował, że oddechu nawet nie śmiał dobrze wciągnąć, bojąc się jakim ruchem zniecierpliwić Rosynanta, którego znał dobrze i wiedział, że sam z siebie, choćby sto lat, stać będzie nieporuszony. Widząc nareszcie, że dam już nie ma i że go zdradliwie uwiązano,

poczciwy Don Kichot uroił sobie zaraz, że to muszą być czary, jak i zeszłym razem, kiedy w tym zamku mauretański mulnik tak potężnie mu skórę wygarbował. Klął więc na czym świat stoi swoją nierozwagę, że się dał znów złapać i powtórnie wszedł do tego zamku, gdzie los raz już tak mu nie dopisał; boć to rzecz wiadoma między rycerzami błędnymi, że kiedy im się jedna próba nie powiedzie, to już znak niezawodny, że przygoda taka nie dla nich przeznaczona, dlatego wolni są już od obowiązku powtórnego jej jeszcze próbowania. Ściągał jednak jak mógł rękę, próbując, czy się nie da z łapki wydobyć, ale wszystkie usiłowania były daremne, tym więcej, że bał się szarpnąć, żeby Rosynant jakiego ruchu nie zrobił. Nie było rady, musiał wspięty na palcach, stać na kulbace, bo żeby usiąść, na co miał wielką ochotę, trzeba było chyba rękę sobie oberwać. O ileż razy w tym smutnym zawieszeniu wzdychał do owej cudownej szabli Amidesa, co wszystkie czary niweczyła! Jakże zapamiętale przeklinał swój los nieszczęśliwy, co pozbawiając ziemię jego dzielnego ramienia, dopóki tak zaklętym będzie, pozbawiał go zarazem sławy, jaką przez ten czas sobie zdobył! Ileż razy wzywał słodkiego imienia Dulcynei z Toboso, jakże rozpaczliwie przywoływał giermka swojego, zacnego Sancho Pansę, który, rozciągnięty na oślej kulbace, spał w najlepsze jak zabity, nie wiedząc nawet, czy żyje. Ileż razy na koniec domagał się pomocy od mądrego Lirgandea albo Alquifa, lub też pociechy od drogiej przyjaciółki swojej, Urgany! Świtać nareszcie zaczęło i dzień go zastał w tym stanie i takiej rozpaczy, że ryczał jak byk. Święcie był przekonany, że to siła czarnoksięskiego zaklęcia taką sztukę mu spłatała. W mniemaniu tym utwierdzała go jeszcze bardziej kamienna nieruchomość Rosyanta; ani wątpił już, że przez długie wieki w tym stanie pozostać musi, razem z rumakiem, nie jedząc,

nie pijąc i nie śpiąc, dopóki z zaklęcia nie ustąpi, a mędrszy jaki czarownik nie zdejmie z niego uroku.

Słońce tymczasem się ukazało, gdy czterej rycerze, od stóp do głów uzbrojeni w piękne rynsztunki, zajechali przed gospodę i do drzwi zapukali. Don Kichot, dopełniając obowiązku pilnego czatownika, przemówił do nich dumnie i zuchwale:

– Rycerze albo giermkowie, ktokolwiek bądź jesteście, nie macie po co pukać do bram tego zamku! Czyż nie widzicie, że o tej godzinie wszyscy spoczywają pogrążeni w śnie i że nie ma zwyczaju otwierać fortecy wcześniej, jak po wschodzie słońca? Odstąpcie i czekajcie, aż dzień będzie dobry, a potem zobaczymy, czy można otworzyć lub nie.

– Hola! – odrzekł jeden z jezdnych – jakiż tu jest u diabła zamek, czy forteca, żeby nas znaglać do tych ceregieli? Jeżeli jesteś gospodarzem, każ nam otworzyć w tej chwili, bo bardzo nam pilno; chcemy tylko popaść nasze konie i dalej wyruszyć w drogę.

– Mości kawalerze – odparł Don Kichot – mamże ja minę gospodarza?

– Nie wiem, jaką masz minę – odpowiedział inny – ale to wiem, że ci się śni, że się znajdujesz w zamku.

– Tak jest, w zamku i to w jednym ze znaczniejszych w całej okolicy – odrzekł znów Don Kichot – w którym obecnie zamieszkuje osoba, co była niegdyś w posiadaniu berła i korony.

– Chętnie gotów jestem temu uwierzyć – rzekł jezdny – bo wystawiam sobie, że znajduje się tu trupa komediantów, a ci na scenie przedstawiają się jako królowie i pewno, że do takiej chałupy nikt inny nie zajedzie, tak tu ponuro i głucho, jak w grobie.

– O! małoś jeszcze rzeczy poznał na świecie – rzeknie Don Kichot – kiedy nie wiesz jeszcze, jakie cuda zdarzają się w błędnym rycerstwie.

Znudziła nareszcie ta rozmowa przybyszów i zaczęli łomotać z całych sił do bramy, a na ten gwałt wszyscy się pobudzili i gospodarz wyszedł otworzyć. Zdarzyło się tymczasem, że klacz jednego z przybyłych, zbliżywszy się do Rosyanta, zaczęła go obwąchiwać; konisko nie z drzewa, choć tak wyglądał, chciał też ze swej strony odpłacić się uprzejmością grzecznej klaczce i pobawić się z nią bliżej; wiadomo, że póki stał ze zwieszoną głową i uszami spuszczonymi, służył za nieruchomy piedestał wyprężonemu jak cięciwa panu swojemu, teraz zaś, kiedy zagrzany galanterią, ruszył się z miejsca i ledwie krok zrobił, obsunęły się nogi nieszczęśliwemu Don Kichotowi i runąłby ciężko na ziemię, gdyby tak krzepko za rękę nie był przywiązany. Straszne męki przecierpiał biedny nasz wojak; ból ogniem przeszył mu całe ciało, zdawało mu się, że na torturach pięść mu wyrywają; gwałtowność upadku i ciężar ciała tak go wyciągnęły, że nogami prawie ziemi dostawał. To powiększało jeszcze jego męczarnie, bo czując, że tak mało jeszcze mu brakuje, żeby stanąć na nogach, wyprężał się z całej siły i tym sposobem nieznośnego sobie udręczenia przyczyniał.

Rozdział XVI

Dalszy ciąg niesłyszanych przygód w gospodzie

Usłyszawszy straszne jęki Don Kichota, przerażony gospodarz co prędzej drzwi otworzył i razem z przybyszami, których tam zastał, pobiegł obaczyć, co się dzieje. Maritorna, zbudzona tymi krzykami i widząc, co się święci, skoczyła prędziutko na strych, a odczepiwszy powróz od rygla, oswobodziła zawieszonego rycerza.

Gruchnął jak długi przed samym nosem przybyłych kawalerów i gospodarza. Oni go pytali, czego by tak wrzeszczał, a on, zerwawszy się co żywo, wskoczył na Rosyanta, tarczę nasadził, spisą

się najeżył i sunąwszy kawał w pole, wrócił na powrót truchtem i zawołał:

– Ktokolwiek śmie twierdzić, że słusznemu uległem zaklęciu, kłamie bezczelnie i temu w oczy fałsz zadaję, a jeżeli dostojna księżniczka Mikomikon zezwoli tylko, rzucam mu rękawicę i wyzywam na rękę.

Przybysze osłupieli ze zdumienia, słysząc tak prawiącego Don Kichota; ale kiedy gospodarz oświecił ich względem fantastycznego humoru błędnego wojaka, nie zwracali więcej na niego uwagi i zaczęli wypytywać się gospodarza, czy nie wstępował tu do niego młodzian, lat około piętnastu mający, przebrany za mulnika, i opisali go zupełnie tak, jak wyglądał kochanek pięknej Klary.

– Tyle ludzi rozmaitych jest w gospodzie – odpowiedział – że Bóg tam wie, czy między nimi znajduje się taki, jak mówicie; kto by tam na to zważał.

Ale jeden z przybyszów, poznawszy woźnicę pana audytora, zawołał zaraz:

– Oho! musi on tu być, bo to woźnica od tej karety, za którą on goni. Jeden niechaj tu zostanie przy drzwiach, a my pójdziemy szukać go po domu; trzeba nawet, żeby jeden z daleka pilnował, czy przez okno nie czmychnie.

Jak rozporządził, tak się stało. Dzień już był dobry, Don Kichot swoimi krzykami rozbudził gości, wszyscy zabierali się do wstawania, a mianowicie Dorota i młodziuchna Klara, bo obydwu pilno było: jednej, że tak blisko niej znajduje się kochanek, drugiej, że go widzieć koniecznie pragnęła.

Don Kichot tymczasem widząc, że przybysze nic sobie z niego nie robią i że ani spojrzeć nawet na niego nie raczą, wpadł w złość tak wielką, że, gdyby nie honor kawalerski, zmuszający go do dotrzymania słowa, którym się związał, byłby się niezawodnie

rzucił na wszystkich czterech razem i zmusił ich do dotrzymania mu placu. Ale nie mogąc nic poczynać, dopóki nie powróci na tron księżniczki Mikomikon, rad nie rad musiał się zdobyć na cierpliwość. Patrzył sobie spokojnie na obroty przybyłych zbrojnych, z których jeden, znalazłszy szukanego młodziana, śpiącego obok jakiegoś mulnika, schwycił go za ramię i strofował tymi słowy:

– A, do stu piorunów! prześwietny Don Ludwiku, ślicznieś się wystroił, prawdziwie godne to ciebie ubranie, a łoże, na którym noc przebyłeś, w sam raz odpowiada wytwornemu twemu wychowaniu.

Młodzian dobrze jeszcze zaspany, przecierał sobie oczy, a przypatrzywszy się należycie ciągnącemu go drabowi, poznał w nim jednego ze sług ojcowskich; tak się tym zmieszał i zdziwił, że długo ani słowa nie wymówił.

– Don Ludwiku – mówił dalej sługa – nie ma co robić, musisz się nam poddać i wrócić z nami do ojca, jeżeli go do grobu wpędzić nie chcesz; tak go utraktowałeś tą ucieczką, że mało już do tego brakowało.

– Jak to – odpowiedział Don Ludwik – a skądże ojciec się dowiedział, że poszedłem tą drogą i tak się przebrałem?

– Student, któremuś się zwierzył, widząc tak wielki smutek pana naszego a ojca twego, wyjawił mu wszystko. Pan natychmiast wysłał w pogoń nas czterech, jak widzisz, i Bóg łaskaw, żeśmy cię szczęśliwie znaleźli i niebawem będziemy mogli wrócić ojcu, który cię tak kocha.

– O, nie tak bardzo! – zuchwale odpowie Don Ludwik – zrobię, co mi się podoba.

– A cóż tu panicza tak zatrzymywać może – rzecze sługa – że wrócić nie chce, choć ojciec w takiej rozpaczy?

Mulnik, który obok Don Ludwika spoczywał, wysłuchawszy całej tej rozmowy, doniósł o tym wypadku Don Fernandowi i innym, którzy byli już ubrani, mówiąc im, że służący tytułował młodego człowieka z uniżonością i że mimo jego woli, chciał koniecznie zabrać go z sobą. Okoliczności te i piękny głos młodziana, o którym wszyscy wiedzieli, tak żywym całe towarzystwo przejął współczuciem, że nieodbicie chciano się dowiedzieć, kto on jest i dać mu pomoc, gdyby gwałtownie z nim postąpić chciano. W tym celu wszyscy zeszli do stajni, gdzie zastali młodziana, sprzeczającego się jeszcze ze zbrojnym posłańcem. Dorota wyszła także z pokoju i spotkawszy Kardenia, opowiedziała mu prędko, co wiedziała o Klarze i śpiewaku, a on jej za to doniósł, co zaszło między Ludwikiem a ludźmi jego ojca. Klara, idąc za Dorotą, podsłuchała całe opowiadanie Kardenia i tak się nim przeraziła, że mało co nie padła na wznak, ale Dorota ją wstrzymała i odprowadziła do pokoju, a Kardenio przyrzekł jej solennie, że wszystkiemu zaradzi.

Czterej zbrojni wysłani po Don Ludwika, stali około niego w gospodzie, siląc się go nakłonić, żeby jechał z nimi zaraz pocieszyć strapionego ojca; a kiedy im mówił, że wracać nie może dopóki nie załatwi pewnej, niezmiernie ważnej sprawy, nie tylko dla honoru i życia swego, ale nawet dla duszy zbawienia, oni po daremnym nastawaniu, wyraźnie dali mu do zrozumienia, że bądź co bądź uprowadzą go z sobą. Wszyscy goście, bawiący w gospodzie, przybiegli na ten hałas: przybiegł przed innymi Kardenio, Don Fernand z całą swoją służbą, audytor, pleban, balwierz i Don Kichot także, uznając, że w tej porze zamek straży nie potrzebuje.

Kardenio, znając cały interes, zapytał wysłańców od ojca Don Ludwika, jakie mają prawo chcieć go gwałtem z sobą zabierać

i z jakiego powodu tak przy tym obstają, kiedy on żadnej z nimi jechać nie ma ochoty.

– Prawo mamy takie – odpowiedział jeden z nich – że idzie tu o przywrócenie życia panu naszemu, a ojcu tego panicza, który po jego ucieczce rozpacza.

– Nie o tym tu mowa – rzecze Don Ludwik – to rzecz moja, a nie wasza, wrócę, jak mi się spodoba, a żaden z was zmusić mnie do tego nie może.

– Rozum cię do tego zmusi, paniczu – odpowie sługa – a gdyby on nie wskórał nic na tobie, my dopełnimy swojej powinności.

– Trzeba by jednak rozpoznać należycie meritum tej sprawy – wtrącił audytor.

Wtem jezdny, poznawszy go, nisko mu się skłonił i przemówił:

– Jak to, wielmożny panie, czyż nie poznajecie młodego panicza naszego, którego ojciec mieszkał tak długo naprzeciw waszego domu? Nawet nie ma się co dziwić, któż by go poznał w tym ślicznym przebraniu?

Audytor, słysząc to, popatrzył nań chwilę, a poznawszy go istotnie, rzekł, ściskając go:

– A! cóż to za figle, mości Don Ludwiku? jakiż to powód ważny mógł was skłonić do tak niegodnego przebrania?

Ale widząc, że Don Ludwikowi oczy łzami zachodzą i że słowa wymówić nie jest w stanie, polecił ludziom zatrzymać się, wziął go na stronę i prosił, aby mu szczerze opowiedział przyczynę swego przybycia i przebrania.

Kiedy audytor rozmawia z Don Ludwikiem, hałas wielki wszczyna się przy bramie gospody. Dwóch podróżnych, widząc, że wszyscy ludzie miejscowi zaprzątnięci jakąś awanturą, chcieli odjechać, nie zapłaciwszy za nocleg; ale gospodarz, pilnujący rachunków swoich jak oka w głowie, zdybał ich wyjeżdżających

z bramy i z błotem ich mieszając, domagał się gniewnie zapłaty; obrażeni wymyślaniem podróżni, poczytali sobie za obowiązek na taką napaść odpowiedzieć pięściami i tak go nimi utraktowali, że nieborak musiał wołać o pomoc. Gospodyni i córka przybiegły najpierwsze; ale nie mogąc mu radzić, córka poskoczyła co żywo do Don Kichota, którego, przechodząc, widziała najmniej ze wszystkich zajętym, i przemówiła doń prędko:

– Mości rycerzu! zaklinam cię na wysokie cnoty, którymi Pan Bóg cię zaszczycił, pójdź na ratunek ojcu mojemu, którego dwaj niecni łotrowie mordują.

– Urodziwa damo! – odpowie jej Don Kichot poważnie i zimno – w tej chwili żadną miarą zadość uczynić nie mogę twojemu żądaniu, bom dał słowo, że nie przedsięwezmę żadnej wyprawy, dopóki nie dokończę dzieła, do któregom się zobowiązał. To tylko teraz dla ciebie uczynić mogę, iż zdrową dam ci radę. Bież prędko do czcigodnego ojca swego i powiedz mu, żeby się bronił w walce ile mu sił starczy, żeby się nie dał pokonać nieprzyjaciołom, wytrzymywał ich jak najdłużej, a ja tymczasem pobiegnę do królowej Mikomikony prosić ją, aby mi pozwoliła dzielnym ramieniem wesprzeć ojca twojego, i bądź pewna, że jak tylko otrzymam pozwolenie, żywego lub umarłego wydobędę z rąk napastników.

– E! do stu par diabłów – zawoła Maritorna obecna tej rozmowie – nim tam jegomość wykaraska się z tym pozwoleniem, to w moim panu już i ducha nie zostanie.

– Darujcie mi piękne damy, ale ja inaczej postąpić nie mogę, muszę mieć pozwolenie; skoro je tylko otrzymam, pan zamku tego, żywy lub nieżywy, powtarzam, musi być w moim ręku, choćby sam lucyper z całym piekłem przeciw mnie wystąpił, i taką

na napastnikach wywrę pomstę, że niezawodnie będziecie panie zadowolone.

Rzekłszy to, rzucił się na kolana przed Dorotą i dobranymi wyrazami najwytworniejszego stylu rycerskiego, pokornie błagał jej wysokość, aby mu dozwoliła pójść w pomoc władcy zamku tego, ciężką przyciśniętemu potrzebą. Dała pozwolenie królewna, a dzielny rycerz, chwyciwszy miecz w rękę i tarczę zasadziwszy, pobiegł co mógł wyskoczyć ku bramie gospody, gdzie trwała jeszcze walka, a żar jej nieugaszony srodze dopiekał gospodarzowi, ale gdy przybiegł na miejsce boju, zatrzymał się i stanął jak wryty, a chociaż Maritorna i gospodyni z całych sił go podżegały, żeby ratował turbowanego karczmarza, ani ręką, ani nogą ruszyć nie chciał. Pytały go, czemu tak nieuczynny?

– Czemu? – odpowiedział Don Kichot – bo mi nie wolno dobywać miecza przeciw hołocie; ale zawołajcie tu Sancho Pansy, giermka mojego, to rzecz jego.

Działo się to przed karczmą, gdzie guzy gęsto a ciężko padały na skórę gospodarza, gdy gospodyni, jej córka i Maritorna, wściekały się na Don Kichota za jego oziębłość i tchórzem go nazywały. Ale zostawmy ich wszystkich, a zobaczmy, co Don Ludwik odpowiedział audytorowi, który chciał z niego wybadać przyczynę przybycia i przebrania się. Młodzieniec czule ściskał ręce audytora i rzewne łzy lejąc, rzekł:

– Panie, nie potrafię ci nic odpowiedzieć, jak tylko to, że od chwili jak zamieszkałeś w naszym sąsiedztwie, zobaczywszy córkę twoją, pannę Klarę, pokochałem ją do szaleństwa i jeżeli raczysz mnie uszczęśliwić, żebym został twoim synem, od dziś ona będzie moją żoną. To dla niej porzuciłem dom swojego ojca i tak się przebrałem, i gotów jestem pójść za nią na koniec świata, chociaż nie wie o mojej miłości, domyślać się tylko może z moich łez, gdyż nigdy

nie miałem szczęścia z nią mówić. Pan wiesz, kto jestem, jakie jest mienie mojego ojca i że nie ma więcej dzieci, jak tylko mnie jednego. Jeżeli więc znajdziesz mnie pan godnym związku małżeńskiego z córką swoją, błagam cię, nie odwlekaj szczęścia mego, a ja ci całe życie wdzięcznym w szacunku i służbach pozostanę; jeżeliby zaś ojciec mój inne względem mnie miał zamysły, to czas i zacność mojego wyboru niezawodnie skłonią go nareszcie ku mnie.

Zakochany młodzian, wypowiedziawszy to, zamilkł, audytor zaś, zdziwiony niezmiernie i nie wiedząc, co począć w tak nagłym i nieprzewidzianym wypadku, odpowiedział mu tylko, żeby był spokojny, nie troszczył się o nic i byle się nie dał dzisiaj wziąć ludziom ojcowskim, to on całą tę rzecz załatwi. Don Ludwik schwycił go za ręce i całując je z uniesieniem, choć audytor się wzdragał, rzęsistymi oblewał je łzami, co tak rozczuliło poważnego prawnika, że całkowicie się już skłonił na stronę tego małżeństwa, myśląc sobie, że byłaby to wcale dobra partia dla córki, gdyby zezwolić chciał na nią ojciec Don Ludwika, o którym wiedział, że ma dla syna kupić znaczny urząd u dworu.

Potyczka gospodarza z dwoma podróżnymi, sprzykrzywszy się obu walczącym stronom, skończyła się nareszcie; oszuści musieli zapłacić, co byli winni, a Don Kichotowi się zdawało, że to jego groźby sprawiły. Służba Don Ludwika czekała, aż panicz skończy rozmawiać z audytorem i cichutko się zachowywała; słowem, wszystko było spokojne, wszędzie panowała jakaś błoga cisza i byłaby pewnie długo trwała, gdyby diabli nie wnieśli (bo te czarty nigdy nie śpią) do gospody owego cyrulika, któremu Don Kichot wydarł miedniczkę zamiast hełmu Mambryna, a Sancho Pansa burkę z osła mu porwał. Golarz wprowadził osła swojego

do stajni, a spostrzegłszy tam Sancha, zajętego kulbaczeniem swojego wierzchowca, postanowił zaraz wziąć się do niego.

– A! mam cię, panie złodzieju! – zawołał, rzucając się na niego – teraz mi się nie wymkniesz, musisz zaraz oddać miedniczkę, siodło i cały porządek z osła, coś mi ukradł.

Sancho, widząc się tak obcesowo napastowanym i słysząc zelżywe na siebie wymysły, schwycił jedną ręką za siodło, do którego rwał się cyrulik, a drugą pięścią tak go w samą gębę przywitał, że mu szczęki zupełnie zakrwawił; ale wytrwały cyrulik ani popuścił siodła i zaczął wrzeszczeć tak przeraźliwie, że co tylko żyło w gospodzie, wszyscy się na ten hałas zbiegli.

– Sprawiedliwości! w imieniu króla – krzyczał – sprawiedliwości! Ten zbójca chce mnie zamordować za to, że skradzioną własność moją mu odbieram.

– Łżesz, ty wisielcze! – odpowie Sancho – ja nie rozbójnik, a te łupy, to pan Don Kichot zdobył godziwie na wojnie.

Don Kichot patrzył na dzielność Sancha i wielce się radował, widząc, jak godny jego giermek umie żwawo nacierać i mądrze się bronić; od tej chwili miał go już zawsze za bardzo walecznego żołnierza i przy pierwszej sposobności postanowił pasować go na rycerza, pewnym będąc, że świat i koło rycerskie niemało na tym skorzystają.

Balwierz bronił się bardziej językiem, niż garścią i między innymi wykrzykiwał:

– Panowie! zlitujcie się, jak mi Bóg miły, to siodło jest moje, tak, jak życie moje jest boskie; poznaję je przecież, jakbym je sam na świat urodził! Jeżeli nie wierzycie, najlepiej się to na ośle moim pokaże; tylko je na niego przymierzyć, a kiedy nie będzie pasowało jak ulał, to mnie nazwiecie ostatnim łajdakiem. Jeszcze to nie wszystko, bo tego samego dnia i godziny, kiedy mi tę kulbakę

skradziono, zabrano mi także nowiusieńką koprową miedniczkę do mydła, ani razu jeszcze nieużywaną, za którą bitego talara zapłaciłem.

W tym miejscu Don Kichot nie mogąc już wytrzymać, rozbroił walczących, a kładąc kulbakę na ziemi, tak, żeby ją wszyscy dobrze widzieć mogli, przemówił:

– Mości panowie! jawnie i wyraźnie przekonać się możecie, w jak grubym błędzie zostaje ten giermek, kiedy miedniczką do mydła nazywa to, co było, jest i będzie do skończenia świata nagłówkiem i hełmem Mambryna, który zdobyłem na nim w boju, uczciwie i należycie i którego panem jestem niezaprzeczonym. Co się tycze kulbaki, nie mieszam się wcale do tego, tyle tylko powiedzieć mogę, że giermek mój, Sancho, prosił mnie, żebym pozwolił mu zdjąć rząd z wierzchowca tego nikczemnego tchórza. Ale jakim sposobem rząd ten na oślą kulbakę się zamienił, tego wcale nie rozumiem, wiem tylko, że podobne rzeczy zdarzają się często w dziejach błędnych rycerzy a na dowód tego, co mówię, Sancho, mój kochaneczku, idź jeno zaraz i przynieś tu hełm, który ten ciura miedniczką nazywa.

– A dajcież pokój! wielmożny panie – rzecze Sancho – na diabła zda się taki dowód, jak nie będzie lepszego, to pewno sprawę przegramy; boć co prawda, to prawda, że co miedniczka, to nie hełm, a co kulbaka, to nie rząd; choćby tam gadać nie wiem jak, oczy wszystko widzą.

– Rób, co ci każę! – krzyknie Don Kichot – przecież nie wszystko w tym zamku czarami się dzieje.

Sancho przyniósł miedniczkę, a Don Kichot, biorąc ją w rękę:

– Patrzcie – rzekł – mości panowie, jak ten człowiek bezczelnie śmie twierdzić, że to nie jest nagłówek od hełmu? Poprzysięgam na honor i wyznanie rycerstwa błędnego, którym się szczycę, iż to

ten sam nagłówek w niczym nie odmieniony, który od niego prawym bojem wygrałem.

– A tak jest, jako żywo – dodał Sancho – ten sam nie inny i odkąd go mój pan posiada, raz go tylko miał na sobie, wtedy, kiedy odbił z kajdan tych nędznych niewolników na galery przeznaczonych, i dalibóg, przydał mu się wtedy, bo by mu pewno kamieniami głowę byli na miazgę roztłukli w tej diabelskiej bitwie, gdyby nim nie zasłonił czupryny.

Rozdział XVII

W którym ostatecznie usunięta zostaje wątpliwość co do szyszaka i kulbaki i wykrywa się wiele nowych przygód w całej ich prawdziwości

– No, patrzcież panowie! – wołał cyrulik – co to są za ludzie, żeby w żywe oczy twierdzić, że to hełm, a nie miedniczka.

– Ktokolwiek waży się twierdzić przeciwnie – rzekł Don Kichot – pokażę mu, że zmyśla jeżeli jest rycerzem, a jeżeli tylko giermkiem, to łże jak pies i zawsze łgać będzie.

Majster Mikołaj, obecny tej rozprawie, chcąc sobie zrobić zabawkę i rozrywki przyczynić przytomnym, zaczął popierać wariactwo Don Kichota i odezwał się do cyrulika:

– Mości balwierzu! lub ktokolwiek jesteś, czy wiesz waść, że my oba z jednego cechu; dwadzieścia lat już z górą, jak się wyzwoliłem na majstra balwierskiego i jak się znam na wszystkich naczyniach balwierskich od największego do najmniejszego. W młodości służyłem także wojskowo i wiem dobrze, co to jest hełm, co szyszak, misiurka i zbroja, znam się na wszystkich narzędziach wojennego rzemiosła, osobliwie też na wszystkich porządkach żołnierskich; owóż, nie urażając waści, twierdzę, że sztuka, którą

trzyma w ręku dostojny kawaler, podobna do balwierskiej miedniczki, jak pięść do nosa, i oczywiście widzę, że jest to nagłówek od hełmu, lubo nie całkowity.

– A jużcić nie całkowity – wtrąci Don Kichot – bo brak mu obojczyka.

– A któż o tym wątpi – dorzuci pleban, zmiarkowawszy zamiar majstra Mikołaja – przecież to rzecz widoczna.

Kardenio, Don Fernand i jego drużyna przytwierdzili tak samo. Audytor, człowiek niezmiernie towarzyski, byłby niewątpliwie przyłożył także ręki do tej uciechy, gdyby go sprawa Don Ludwika mocno nie zaprzątała; rozmyślał nad nią głęboko, jako nad rzeczą wielkiej wagi i żarty wcale mu nie były w głowie.

– Boże mi odpuść – rzekł wtedy cyrulik, wzdychając – ale ani mi się mieści w głowie, jak tylu porządnych i statecznych ludzi może brać miedniczkę za nagłówek? Dalipan nie wiem, czyby na to cała mądrość najpierwszego uniwersytetu starczyła, a kiedy moja miedniczka ma być nagłówkiem, to może i kulbaka w waszych oczach jest rzędem końskim, jak twierdzi jegomość pan rycerz.

– Co do mnie – rzecze Don Kichot – mnie się zdaje, że to kulbaka, i raz już powiedziałem, że się do tego nie mieszam, czy rząd, czy kulbaka, to mnie nic nie obchodzi.

– Mości Don Kichocie – odezwie się pleban – do ciebie to koniecznie należy rozstrzygnięcie tej sprawy, w rzeczach bowiem rycerstwa dotyczących i ja, i ci wszyscy panowie ustępujemy ci kroku całkowicie i na sąd twój zupełnie się zdajemy.

– Zanadto czynicie mi honoru – odparł Don Kichot – ale w tym zamku tak dziwne przytrafiły mi się już rzeczy dwa razy w życiu, że o niczym, co tu widzę, nie śmiem wyrażać się twierdząco, gdyż pewien jestem, że tu wszystko dzieje się czarami. Kiedym tu był pierwszy raz, zostałem ciężko poturbowany przez jakiegoś Maura

zaklętego, a Sancho nie lepiej wyszedł z kilku tchórzami tego samego kalibru; świeżo znów wczoraj wieczorem zawieszony zostałem za rękę i przeszło dwie godziny w tym stanie przebyłem, ani wiedząc, skąd mnie taka klęska spotyka; byłoby zbytnią z mej strony zuchwałością brać się tu do rozstrzygania rzeczy tak zawiłej i trudnej. Objawiłem zdanie swoje co do nagłówka, ale co do kwestii kulbaki, rozeznawać się jej nie podejmuję. Wasza to rzecz, mości panowie; może nie będąc, jak ja, rycerzami, ujdziecie mocy czarów i zdrowo sądzić będziecie mogli o wszystkim, co się dzieje w tym zamku, bo czary zwodzić was nie będą jak mnie.

– Dostojny rycerz słusznie mówi – rzekł Don Fernand – nasza to rzecz dać wyrok w tej sprawie, a chcąc ją porządnie i należycie załatwić, ja zaraz biorę się do zbierania zdań każdego z osobna, a większość głosów rzecz rozstrzygnie.

Tych, co znali Don Kichota, niewypowiedzianie bawiła ta komedia, ale ludzie obcy, mianowicie służba Don Ludwika i trzej nowo przybyli łucznicy, pojąć nie mogli tej wariacji. Cyrulik wściekał się ze złości, że mu w żywe oczy skradzionej miedniczki zaparto i na hełm przeistoczono i ani wątpił już, że ten sam los spotka i kulbakę. Wszyscy zresztą śmieli się, jak Don Fernand z poważną miną, jak gdyby szło o rzecz największej wagi, zbierał głosy po kolei. Zebrawszy je od wszystkich, co znali Don Kichota, zwracając mowę do cyrulika, rzekł głośno:

– Mój dobry człowieku, jużem się zmordował pytać zawsze o to samo i od wszystkich ciągle tęż samą słyszeć odpowiedź, trzeba więc być wariatem, ażeby myśleć, że to kulbaka ośla, kiedy rzecz jest jak słońce jasna, że to rząd z konia i to z konia nie lada. Nie masz tedy co gadać, ani osłem się swoim zastawiać, bo to jest rząd koński i basta; źleś sprawę popierał, żadnych na swą stronę nie przedstawiłeś dowodów.

– Bodajem nigdy królestwa niebieskiego nie oglądał – zawołał biedny cyrulik – jeżeli wam tu wszystkim jak tu jesteście moi panowie, w oczach się nie dwoi. Bodajem nigdy Boga nie oglądał! Bodajem spokojnej śmierci nie doczekał, jeżeli to nie jest moja kulbaka; ale taka to sprawiedliwość... no, już nic nie mówię! Przecieżem nie pijany, nic w gębie jeszcze nie miałem.

Wszyscy śmieli się z tych utyskiwań cyrulika i szaleństwa Don Kichota, który na zapieczętowanie tak się odezwał:

– Kiedy tak, niechże każdy zabierze, co do niego należy.

I sięgnął po miedniczkę, a Sancho chwycił za kulbakę, ale diabeł spałby chyba, ażeby sprawę tę tak łatwo przepuścił.

Jeden ze sług Don Ludwika chciał wtrącić do tej sprawy swoje trzy grosze, o które go nie pytano. Udając tedy przebiegłego:

– Jeżeli to nie figiel – odezwał się – to nie rozumiem, jak u diabła tylu ludzi rozumnych i znacznych może brać psa za kota? Jużciż bez drwin niepodobna się tu mylić i z przeproszeniem panów, choćbyście nie wiem co mówili, mimo uszanowania, jakie wam winienem, powiem zawsze, że to jest miedniczka, a tamto kulbaka z osła.

– Tylko się nie zaklinaj niebacznie – rzecze pleban – bo może z oślicy.

– To wszystko jedno – odpowie tamten – ale zawsze kulbaka.

Jeden z łuczników nowo przybyłych, wysłuchawszy całej sprzeczki, chciał także popisać się ze swoim zdaniem.

– Do stu katów – rzekł więc – mają się o co kłócić, a toć to kulbaka jakiem żywy człowiek i ślepy by namacał.

– Kłamiesz, hultaju! – wrzasnął Don Kichot – i podniósłszy spisę, której z rąk nie wypuszczał, tak potężny cios nią wymierzył, że gdyby się łucznik nie umknął, byłby go o ziemię powalił; spisa się połamała w kawałki od zamachu, a towarzysze łucznika widząc,

jak sobie z ich kolegą poczynano, zrobili wrzask wielki w imię św. Hermandady, domagając się o siłę zbrojną; usłyszawszy to wezwanie gospodarz, który należał do tego zacnego stowarzyszenia, pobiegł prędko do siebie, wziął szpadę i laskę urzędową i wróciwszy, stanął po stronie łuczników. Ludzie Don Ludwika, bojąc się, ażeby im się nie wymknął, otoczyli go kołem, a wydrwiony balwierz, widząc całą gospodę w takim rozgardiaszu, chciał korzystać z pory i capnął za kulbakę, kiedy tymczasem Sancho, stojąc opodal, z drugiej strony także za nią pochwycił.

Dzielny Don Kichot dobył miecza i natarł walecznie na łuczników; Don Ludwik, widząc naokoło taką bijatykę, w obawie, iżby go służba jego nie porwała, wołał na nią, ażeby szła na pomoc Don Kichotowi, Don Fernandowi i Kardeniowi, którzy się także wmieszali do bójki; pleban wrzeszczał wniebogłosy, chcąc zwadę uśmierzyć, ale nikt go ani słyszał, gospodyni ledwo gardło nie pękło od krzyku, córka jej od łez się zanosiła, a Maritorna, jak wściekła wyjąc, biegała; Dorota i Luscinda w wielkim przestrachu nie wiedziały do kogo się uciec; młodziuchną Klarę z przerażenia mdłości zdjęły; balwierz co się zmieściło walił Sanchę, a Sancho okładał co miał sił balwierza. Tuż obok znów Don Ludwik, gdy go jeden ze sług za kołnierz chciał ująć, bojąc się, ażeby nie czmychnął, zamalował go pałką tak potężnie, że go całego zakrwawił; audytor, widząc że się biorą do zacnego młodzieńca, pobiegł mu na pomoc; Don Fernand tratował pod sobą jednego z łuczników; Kardenio sypał razy oburącz na prawo i na lewo, a gospodarz wrzeszczał z urzędu o pomoc do św. Hermandady; słowem, cała karczma zawichrzyła się istnym piekłem, że nic słychać, ani widać nie było, jeno krzyki, wrzaski, płacze, jęki, klątwy, pięści, miecze, rozruch i popłoch ogólny.

Śród tak straszliwego hałasu Don Kichot, zawsze różne rzeczy mający w żywej pamięci, przypomniał sobie rokosz w obozie Agramanta, jak go opisują dzieje rycerstwa, i huknął piorunującym głosem, że się aż cała gospoda zatrzęsła:

– Stójcie! złóżcie miecze do pochew! i każdy niechaj mnie słucha, jeżeli mu życie miłe.

Wszyscy stanęli jak wryci na głos Don Kichota, a on im mówił dalej:

– Albożem wam nie powiedział, panowie, że ten zamek jest zaklęty i że w nim kwateruje cały pułk sprośnych czartów? najlepszy macie tego dowód w tym, co oczy wasze teraz widzą, że niezgoda obozu Agramanta między nas się wkradła; patrzcie, jak tam się o miecz ognisty biją, a tam znów o konia skrzydlatego, tu inni o orła zaklętego, a tamci o szyszak zaczarowany. Czyż nie widzicie, że wszyscy walczymy z sobą, nie mogąc się porozumieć, ani rozróżnić przyjaciół od nieprzyjaciół; przystąpcież tu co prędzej, panie audytorze i ty plebanie; jeden z was niech będzie królem Agramantem, a drugi królem Sobrynem i starajcie się zgodę między nami zaprowadzić, bo przebóg! to hańba, ażeby ludzie takiego rodu i znamienitości, jak my, mordowali się wzajem dla tak błahych powodów.

Łucznicy, nie rozumiejący tych górnolotnych marzeń Don Kichota, mając dobrze otrzepaną skórę od Kardenia i Don Fernanda, w żaden sposób bitwy zaprzestać nie chcieli. Nieborak balwierz, usłyszawszy o zgodzie, był na to jak na lato, bo jego kulbaka poszła już w kawałki, a w brodzie ledwo parę włosów mu zostało. Sancho uciął bójkę, jak tylko głos pana go doszedł, rad był wytchnąć sobie trochę i pot z twarzy ocierał. Służący Don Ludwika uciszyli się także, gdyż niewiele by z bitwy wskórali. Jeden tylko gospodarz nie mógł się w złości pohamować, upierał się koniecznie, aby ukarać

tego głupca, który co chwila w domu jego hałasy i burdy wszczynał. Nareszcie ukoiły się wszystkie zawziętości, a przynajmniej stanęło zawieszenie broni, kulbaka pozostała rzędem, miedniczka nagłówkiem, a karczma uchodziła ciągle za zamek w gorącej wyobraźni Don Kichota.

Za staraniem audytora i plebana nastał pokój zupełny, a kiedy wszyscy przyjaźnie już się traktowali lub też przyjaźń udawali, słudzy Don Ludwika zaczęli znów usilnie się domagać, ażeby zaraz z nimi jechał do ojca. On się z nimi korowodził, pragnąc zbyć się zręcznie, gdy tymczasem audytor, wziąwszy na bok Don Fernanda, Kardenia i plebana, opowiedział im, jak się rzecz miała z Don Ludwikiem i prosił, ażeby mu radzili jak tu począć należy. Wszyscy razem uchwalili, że Don Fernand da się poznać sługom Don Ludwika i powie, że go zabiera z sobą do Andaluzji, gdzie u brata jego, margrabiego, razem z należytym przyjęciem znajdzie dla siebie przyjaźń i szacunek. Don Ludwik bowiem oświadczył stanowczo, że nie pojedzie do ojca. Słudzy, dowiedziawszy się o znamienitości Don Fernanda i postanowieniu Don Ludwika, ułożyli rzecz tak, że trzech pojedzie do ojca donieść o wszystkim, a jeden zostanie do usług przy paniczu, czekając dalszych rozkazów.

Tym sposobem powaga Agramanta i roztropność króla Sobryna zakończyły wszystkie niesnaski i zniszczyły piekielną maszynę rozdwojenia i zatargów wzajemnych. Ale nieubłagany wróg pokoju, nie mógł ścierpieć, aby go minął pożądany owoc tak pięknej siejby niezgód i nowym pokuszeniem nowe wszczął rozruchy. Łucznicy widząc, że mają do czynienia z ludźmi znamienitymi, od których tylko razy ich czekają, wynieśli się po cichutku, ale jeden z nich, którego Don Fernand tak poturbował, przypomniawszy sobie, że między wyrokami sądowymi na chwytanie do aresztu przestępców, które miał przy sobie, znajduje się także wyrok

na jakiegoś Don Kichota, skazanego przez św. Hermandadę za odbicie więźniów, chciał się przekonać, czy rysopis tego Don Kichota zgadza się z tym, którego miał przed oczami. Wyciągnął więc pergamin z kieszeni i sylabizując go powoli, bo czytać umiał nie tęgo, za każdą sylabą spoglądał spod oka na Don Kichota i porównywał rysy jego twarzy z rysopisem. Przyjrzawszy się dobrze, przekonał się, że jest ten sam i że na niego dekret wydany. Skoro tylko nabrał tego przekonania, trzymając dekret w lewej ręce, rzucił się zaraz na Don Kichota, schwycił go za gardło tak silnie, że ledwie nie zadusił, a wołał zarazem:

– Pomocy, panowie! pomocy dajcie dla św Hermandady i żeby nikt nie wątpił, że odzywam się w imię prawa, oto jest dekret rozkazujący schwytać tego złoczyńcę i rozbójnika.

Pleban wziął w rękę pergamin i przekonał się, że łucznik prawdę mówi; ale rycerz, słysząc się mianowany rozbójnikiem przez człowieka tak podłego, wpadł w złość tak srogą, że aż mu kości w całym ciele zachrzęszczały i choć go sługa rządowy tęgo ściskał, pochwycił go oburącz za gardło i byłby go niezawodnie udusił, gdyby mu towarzysze na pomoc nie przyszli; gospodarz z urzędu przybiegł razem z innymi, a gospodyni, widząc męża do bójki wmieszanego, zaczęła na nowo wrzeszczeć jak opętana, w czym dopomagały jej z całego gardła Maritorna z córką, wzywając łaski niebios i pomocy wszystkich obecnych w gospodzie.

– Przez Boga żywego! – krzyknął Sancho – pan mój prawdę mówi, że ten zamek zaczarowany, wszyscy dyabli tu wojują, ani sposobu wyżyć godziny spokojnie.

Don Fernand rozerwał Don Kichota z łucznikiem, ku wielkiemu obu szczęściu, bo niezawodnie byliby się obydwaj podusili, ale łucznicy dopominali się niemniej o swego jeńca, żądając, aby go im wydano związanego, bo tu idzie o służbę króla i św. Hermandady,

w imieniu których polecone mieli schwytać tego niecnego zbójcę i łupieżcę podróżnych. Don Kichot śmiał się zrazu z ich mowy i odpowiadał im bez uniesienia:

– Pójdźcie tu, nędznicy, podła i nikczemna hałastro! to wy łupieżcą nazywacie tego, co skutych uwalnia, więźniów wyswobadza, nieszczęśliwych wspiera i pognębionych osłania? O! gawiedzi plugawa, co za niskość twej duszy i nędzę rozumu niebo uznało cię niegodną pojęcia cnót błędnego rycerstwa i na wieczne czasy w taką ciemnotę pogrążyło, że nigdy nie zrozumiesz, ile wielbić powinnaś nie tylko obecność, ale nawet najlichszego w świecie rycerza błędnego. Pójdźcie tu łotry najemne, a nie łuczniki! wy złodzieje pod osłoną Hermandady zostający, powiedzcie mi, co to za zuchwalec śmiał wydać dekret na rycerza takiego jak ja? Co to za gbur, co nie wie, że rycerze błędni to nie ptaszki do łowienia, że oni nie uznają nad sobą żadnych trybunałów ani sędziów; że nie mają innego prawa jak tylko miecz swój i odwagę i że własna ich wola zastępuje im wszelkie wyroki, ustawy i rozkazy? Co to za prostak nieokrzesany, który nie wie, że nie ma na świecie tytułu, co by tyle dawał prerogatyw, przywilejów i swobód, ile ich nabywa rycerz błędny z dniem pasowania? Jakiż krawiec żądał kiedy od nich zapłaty za suknie, jakiż władca grodowy odmówił im kiedy wejścia do swojego zamku, lub kazał płacić za pobyt? Gdzież jest król jaki, co by ich u stołu swego nie przyjmował? Gdzie jest dama, ażeby się ich zaletami nie zachwycała i pod opiekę ich się nie oddała? Gdzież jest nareszcie rycerz błędny we wszystkich wiekach upłynionych i tych co przyjść jeszcze mają, który by nie miał dość siły i odwagi dać sam po pięćset batogów każdemu z pięciuset nikczemnych łuczników, co by dość głupi byli czekać na to?

Rozdział XVIII

O wielkim gniewie Don Kichota i innych rzeczach przedziwnych

Podczas gdy Don Kichot w ten sposób się rozwodził, pleban starał się wytłumaczyć łucznikom, że to jest człowiek, któremu piątej brakuje klepki, jak to mogli z jego ruchów i sposobu mówienia sami najlepiej zmiarkować, i że za niepotrzebne uważał wdawać się dłużej z nim w rozmowę, a gdyby go aresztowali i uprowadzili z sobą, natychmiast uwolniono by go, jako wariata. Posiadacz dekretu odpowiedział, że nie do niego należy oceniać stan umysłowy Don Kichota, tylko wykonać rozkazy, jakie mu dano, i że skoro dopełni swojego obowiązku i dostawi go raz, obojętne mu to będzie, jeżeli go pięćdziesiąt razy wypuszczą.

– Przecież na ten raz, myślę, że tego nie dokażecie, bo zdaje mi się, że nie jest w humorze poddania się tak łacno.

Jakoż pleban tak dobrze umiał rzecz wystawić, a Don Kichot tyle dziwactw zaczął wyprawiać, że łucznicy stokroć byliby od niego głupsi, gdyby nie poznali w nim skończonego wariata. Dali się tedy radzi nie radzi ułagodzić i wdali się w pośrednictwo zajścia cyrulika z Sanchą, którzy patrzyli jeszcze na się z ukosa i każdej chwili można się było spodziewać, że się wezmą za czuby. Jako członkowie władzy wymierzającej sprawiedliwość osądzili tę sprawę i to z zupełnym obu stron zadowoleniem, bo przemienili na powrót kulbaki, pozostawiając wszakże popręgi i uzdeczki, co się zaś tycze hełmu Mambryna, za ten pleban ze swojej kieszeni, lecz tak, ażeby Don Kichot nie widział, zapłacił cyrulikowi osiem realów i wymógł przyrzeczenie, że roszczeń swoich odtąd zupełnie zaprzestanie.

Gdy już te dwa ważne zajścia załatwiono, nie pozostawało jak dać odprawę służącym Don Ludwika i zostawić jednego z nich do usług jego w czasie podróży, którą z Don Fernandem odbyć

razem zamierzyli. Ale, że fortuna zaczęła być łaskawą dla kochanków i walecznych, którzy się znajdowali w gospodzie, chciała więc dokonać swojego dzieła. Służalcy Don Ludwika przystali na wszystko, co żądał, a Klara, widząc go pozostającego przy niej, tak była uszczęśliwiona, że zdawało się, że szczęście to jeszcze bardziej wdzięki jej podnosiło. Co zaś do Zoraidy, ta, nie rozumiejąc zupełnie, co się dzieje, stosowała swój śmiech lub smutek do innych, a szczególniej do swego Hiszpana, na którego zawsze zwrócone miała oczy. Gospodarz, dostrzegłszy hojność, jaką okazał pleban dla balwierza, chciał także przy tej sposobności co skorzystać i żeby pokazać, że jest rozgniewany, domagał się od Don Kichota zapłaty za żywność i wino, klnąc się, że nie wypuści Rosynanta, ani Sancha, ani osła, jeżeli co do grosza zaspokojonym nie zostanie. Pleban załagodził i to, a Don Fernand zapłacił, lubo i audytor ze szczodrobliwością swoją chciał pośpieszyć.

A tak po drugi już raz błogi nastąpił pokój i miasto niezgody obozu Agramanta doznawało, jak się wyraził don Kichot, spokoju i słodyczy panowania Augusta. Wszyscy obecni w gospodzie przyznali jednomyślnie, że to było dziełem roztropności plebana i hojności Don Fernanda, każdy im też za to zasłużone składał dzięki. Don Kichot widząc się wolnym i od wszelkich zwad tak własnych, jak i koniuszego swego oswobodzonym, poczytał teraz za stosowne zająć się dokonaniem wielkiego dzieła, do którego był powodowanym. Tą myślą zajęty, padł przed Dorotą na kolana, a kiedy go podniosła, tak do niej przemówił:

– Stare to i powszechnie znane przysłowie, najdostojniejsza pani, że pilność jest matką pomyślności. Wieloliczne doświadczenie naucza, że wytrwałością i trudem najcięższych rzeczy dokonać można; ale prawda tej zasady najjawniej okazuje się na wojnie, gdzie wytrwałość i czujność w uprzedzaniu planów nieprzyjaciela

często nam nadspodziewany triumf zapewnia. Mówię to dlatego, najdostojniejsza księżniczko, że dalszy pobyt nasz w tym zamku uważam nie tylko za bezużyteczny, ale nawet za niebezpieczny dla nas. Kto wie, czy Pandafilando nie wywiedział się przez tajnych szpiegów, że wybieram się na jego zagładę i czy korzystając z czasu, który my tu tracimy, nie obwarował się w jakim zamku, o którego zdobycie niepożyte ramię moje i cała usilność i biegłość moja nadaremnie by się kusiły? Uprzedźmy więc, jak to mówiłem, zamiary jego naszą pilnością i racz pani zezwolić, abyśmy jak najprędzej stąd odjechali, bo tylko mi się spotkać trzeba oko w oko z twoim wrogiem pani, aby życzeniom twoim zadość się stało.

Skończył mowę Don Kichot i poważnie oczekiwał na odpowiedź królewny, a ta, stosując się do usposobienia kawalera, tak mu odpowiedziała:

– Mocnom ci obowiązana, niezwyciężony rycerzu, za gorącą chęć niesienia mi pomocy w utrapieniu; godna to rzecz prawdziwego rycerza, którego powołaniem jest wspierać sieroty i strapionych. Daj Boże, by życzenia nasze się spełniły i bym dowieść ci mogła, że są na świecie kobiety wdzięcznymi być umiejące! Co do wyjazdu mojego, każdej chwili jestem gotowa na twoje zawołanie. Rozrządzaj więc mną, jak ci się podoba; oddając w twoje ręce osobę i sprawę swoją, jawnie okazałam światu, co trzymam o twoim rozumie i jak nieskończoną ufność pokładam w tobie.

– A więc idźmy w imię Boga – zawołał Don Kichot – i kiedy tak dostojna księżniczka nie waha się uchylić czoła przede mną, spieszmy ją wynieść wysoko i na tron przywrócić. Idźmy natychmiast. Tak, pani, odwłoka sprowadza często niebezpieczeństwa, a przy tym rad bym jak najprędzej w usługach twych dobić się sławy, która mnie czeka. Niebo dotąd nic nie stworzyło, ani piekło nie wydało takiego, czego bym ja się uląkł;

siodłaj więc Rosynanta, Sancho, wyprowadzaj swego długoucha i rumaka dla królewny; żegnajmy władcę grodu tego i wszystkich jego rycerzy i ruszajmy co żywo.

– Ach, wielmożny panie – odezwie się Sancho, trzęsąc głową – nie tak to wszystko gładko idzie, jak się komu myśli, bez obrazy pańskiej.

– A o cóż ci tam znów chodzi, ladaco? – zapytał Don Kichot – cóż mnie iść może niegładko, kiedy niczego się w świecie nie boję i wszystko około siebie zgładzam?

– A kiedy się wielmożny pan tak gniewa, to już gęby nie otworzę – odparł Sancho – i nic o tym nie powiem, co, jako giermek i wierny sługa, myślałem, żem powinien panu powiedzieć.

– Gadajże, co ci się tylko podoba – krzyknął Don Kichot – byleś nie myślał, że mnie czym zastraszysz, bo, że ty znasz strach, toś się powinien z niego wyleczyć, ale ja znam strach tylko na twarzach swoich nieprzyjaciół.

– E, do kaduka, komu tam to w głowie, tu nie o to idzie – rzekł Sancho – ani się nawet do tego ochapiało; ale w tym sęk, że ta pani, co to się udaje za królową wielkiego królestwa Mikomikon, to ona, jak mi Bóg miły, taka królowa, jak moja nieboszczka babka; bo żeby ona była królowa, to przecież nie latałaby raz wraz cmoktać się w kącie z jednym z obecnych tu panów.

Dorota zaczerwieniła się po uszy na te wyrazy Sancha, bo prawdą była, że często się z Fernandem ściskała, z góry mu wypłacając zadatki przyjaźni. Sancho ich podpatrzył i zmiarkował, że to jakoś nie patrzy na cnotliwą księżniczkę, tak wiec Dorota zmieszała się i sama nie wiedząc co odpowiedzieć, siliła się tylko, żeby po sobie zakłopotania nie okazać. A on z zimną krwią ciągnął dalej:

– Ja to wam mówię, wielmożny panie, to rzecz prosta, boć jeżeli za nasze fatygi i znoje, za te wszystkie po nocach i licho wie nie

jakich miejscach turbacje jakiś tam sowizdrzał wypachniony ma kiedyś zbierać owoce, to po co mnie się spieszyć z siodłaniem Rosynanta i wyprowadzaniem rumaka dla królowej, albo i wam, panie, po co drzeć się po błotach i chrustach, z których kto inny wyłowi ptaki? Nie lepiejże to siedzieć spokojnie na miejscu, niech każdy pilnuje swojej grzędy, a czyja wola, niech goni wiatr po świecie.

Jakżeż potrafię tu odmalować wściekły gniew Don Kichota, gdy usłyszał te zuchwałe wyrazy giermka. Oczy mu krwią zaszły, ogniem buchały i jak sztyletami przeszyły biednego Sanchę, głos w gardle mu zachrypł, a język, jak opętany, to się zacinał i połykał, to wartkim pędem przekleństwami miotał.

– A ty łotrze, obwiesiu, zuchwalcze, bezczelniku, nikczemna gadzino! ty bluźnierco, ohydny potwarco! – krzyczał – jak śmiesz mi z podobnymi rzeczami się odzywać w mojej i tak znakomitych dam obecności! Jak śmiesz w głupiej głowie tak haniebne myśli płodzić! skąd ci ta zuchwałość, skąd tyle bezczelności! Idź mi precz z oczu, przebrzydły potworze, kałużo kłamstwa, magazynie oszustwa, arsenale złości, furgonie wszeteczeństwa, zapowietrzony składzie sprośności, zdradziecki wrogu honoru i uszanowania należnego osobom krwi dostojnej; precz mi z oczu i ani mi się pokazuj, bo cię ze złości...

Mówiąc to, brwi najeżył, nozdrza wydął, wargi zacisnął, z oczu groźne ciskał spojrzenia, a prawą nogą, jak młotem w ziemię walił; były to nieomylne znaki gniewu straszliwego, co mu rozdzierał wnętrzności.

Słysząc mowę tak okropną i widząc tak straszne miotania się pana, biedny Sancho takiego doznał strachu, że rad by się był w ziemię schować, gdyby się chciała pod nim rozstąpić, a nie wiedząc już, co robić, zakręcił się cichutko i usunął z oczu pana.

Przebiegła Dorota, znając już dobrze Don Kichota, przemówiła do niego, chcąc go ułagodzić:

– Nie unoś się takim gniewem, mości Rycerzu Posępnego Oblicza, głupie gadaniny prostaka giermka nie warte tego; może też w sumieniu swoim nie jest tyle winny, jak się zdaje, boć doświadczona jego poczciwość nie pozwala przypuszczać, żeby bez powodu i rozmyślnie składał świadectwa, cudzą dobrą sławę krzywdzące. Sam to powiedziałeś, że w tym zamku wszystko czarami się dzieje, nie ma więc wątpliwości, że Sancho za diabelską sprawą widział te rzeczy honorowi memu ubliżające, o których wspomniał.

– Ach! wielki Boże! Stworzycielu świata, Panie! – zawoła Don Kichot – a toż dopiero wielką prawdę wyrzekłaś wasza dostojność; jak kulą w płot, inaczej być nie mogło, szatańskie omamienie musiało zaprószyć oczy temu biedakowi. Czarnoksięska sztuka sprawić to tylko mogła, bo znam tego poczciwca i rzetelność jego i aż nadto wiem, że nigdy w życiu nie dałby fałszywego świadectwa.

– Ale oczywiście, że inaczej być nie mogło – rzecze Don Fernand – racz przeto, zacny rycerzu, nie odmawiać mu przebaczenia swego i wrócić mu łaskę swoją, którą posiadał, nim te czary głowę mu otumaniły.

– Przebaczam mu – rzekł Don Kichot. Pleban natychmiast pobiegł po Sanchę, a ten pokornie rzucił się do nóg panu i błagał go, ażeby mu dał rękę do ucałowania. Don Kichot podał mu rękę i błogosławieństwa udzielił, mówiąc:

– Nie będziesz już wątpił teraz, synu mój Sancho, com ci tylekroć powtarzał, że czary wszystkim tu rządzą.

– Nie wątpię już o tym – odpowiedział Sancho – gotowym przysiąc nawet na to, bo widzę już, że i językiem moim rządzą;

o tym tylko nie wątpię, co było rzeczywiste i na jawie, że mnie wtedy jak piłkę w górę podrzucali, bo dobrze to w kościach czułem.

– I temu nie wierz, jak i wszystkiemu – rzecze Don Kichot – bo gdyby tak było, byłbym cię zaraz pomścił i teraz jeszcze mógłbym winnych ukarać, ale ani wtedy, ani teraz nie mogę znaleźć nikogo, na kim bym pomstę wywarł.

Całe towarzystwo chciało się koniecznie dowiedzieć, co to było za podrzucanie, i gospodarz musiał im opowiedzieć co do joty, jaką to zabawkę wyprawiono sobie z Sanchą. Ale Sancho pękał ze złości i byłby pękł pewno, gdyby pan mu nie zaręczył, że to wszystko czary.

Dwa dni całe bawiła już w gospodzie ta miła kompania. Wszyscy uznali, że czas by się już rozjechać i obmyślali środki skłonienia Don Kichota, by wrócił do domu, gdzie pleban z balwierzem mogliby skutecznie nad wyleczeniem go pracować, a Dorota z Don Fernandem uszliby podróży, ułożonej zrazu niby to dla przywrócenia na tron królewny Mikomikony. Siląc się na rozmaite pomysły, postanowiono nareszcie wejść w układy z wieśniakiem, który przypadkowo przejeżdżał tamtędy z wózkiem swoim, żeby go odwiózł do domu w sposób następujący: Zrobiono coś na kształt klatki kratkowanej dość wielkiej na wygodne pomieszczenie człowieka; Don Fernand ze swoją drużyną, ludźmi Don Ludwika, łucznikami i gospodarzem, przebrawszy się uciesznie za radą plebana, który głównie rzecz prowadził, weszli cichutko do izby Don Kichota, gdzie on po trudach spoczywał, zbliżyli się na palcach do śpiącego, któremu ani się śniło, co go teraz spotka, związali mu ręce i nogi tak doskonale, że gdy się obudził, podziwiać mógł tylko stan, w którym się znajdował i naiwnie przypatrywać się cudacznym, otaczającym go figurom. Jak zwykle, wyobraził sobie natychmiast, że to są duchy, zaklęty zamek ten zamieszkujące,

i że sam zaklęty został, bo nie mógł ani się bronić, ani palcem ruszyć. Pomysł plebana udał się jak z płatka.

Ze wszystkich obecnych, sam jeden Sancho zachował zwyczajną postawę i sam jeden może najwięcej miał zdrowego rozumu. Chociaż mało brakowało, żeby w głupocie wyrównał panu, poznał przecież wszystkie te przebrane figury; ale tak był odurzony, że nie śmiał gęby otworzyć i czekał tylko, jak się ten figiel z Don Kichotem skończy. Pan jego, nic także nie mówiąc, czekał rad nie rad, co się z nim dalej stanie; przyniesiono klatkę, wsadzono go w nią, a obiwszy mocno deskami, żeby niełatwo było rozerwać, przebrane poczwary wzięły ją na ramiona i kiedy miały wynosić już z izby, dał się słyszeć głos potężny, na który tylko majster Mikołaj mógł się zdobyć, w ten sposób przemawiając:

– O Rycerzu Posępnego Oblicza, nie dziwuj się swojej niewoli, musiałeś w nią popaść, abyś dzieła, którego się w wielkości swojego męstwa podjąłeś, mógł prędzej dokonać. Dzieło to wielkie do końca doprowadzone zostanie, kiedy ogromny lew z Manchy i biała gołębica z Toboso poddadzą wspaniałe głowy pod słodkie jarzmo hymenu i złączą się związkiem szczęśliwym, z którego wynijdą na świat dzielne lwiątka, co pójdą w nienaśladowane tropy nienaśladowanego ojca. A to się stanie, nim jasny luminarz, ścigający nimfę poranną przed nim uchodzącą, po dwakroć obieży zwyczajnym pędem świetne znaki zodiaku. A ty, najwierniejszy i najpoczciwszy z giermków, co kiedy pałasz u boku, włosy na brodzie, a rozum w nosie nosili, nie smuć się i nie rozpaczaj, że sprzed światła oczu twoich tak cudownie znika kwiat błędnego rycerstwa, bo nim kilka przejdzie księżyców, ujrzysz się, jeżeli tylko Wszechmocny Architekt przyrody na to zezwoli, wyniesionym na tak wysoki stopień po drabinie szczęścia, że sam się nie poznasz i błogo używać będziesz szczęśliwych skutków nieomylnych

przyrzeczeń swojego pana. Jeszcze raz cię upewniam imieniem mądrej prorokini Mentironiany, równie wielkiej i prawdziwej, jak Meluzyna, że herkulesowe trudy twoje nie zostaną bez nagrody i że w swoim czasie ujrzysz obfitą zapłatę. Idź, zacny giermku, trop w trop za niezwyciężonym a zaczarowanym teraz rycerzem, bo trzeba, żebyś go nie odstępował, dopóki obydwaj nie dojdziecie do celu, który wam wyższe wyroki przeznaczyły. A że mi nie wolno więcej mówić, bywaj zdrów, niech cię Bóg prowadzi, ja wracam, gdzie byłem.

Balwierz doskonale naśladował głos wyroczni. Don Kichot uradował się aż do głębi duszy z zapowiedzianych mu obietnic, pojmując ich znaczenie i ciesząc się, że niezadługo połączony zostanie węzłami małżeńskimi z drogą swoją Dulcyneą z Toboso, która ku wiecznej chwale krainy Manchy wyda mu na świat dzieci-lwiątka. Wierząc w te wszystkie przepowiednie, równie niezachwianie, jak w księgi o błędnym rycerstwie, westchnął głęboko i zawołał:

– O ty, istoto nieznana, co mi tak wielkie przepowiadasz rzeczy, błagam cię, uproś ode mnie czarnoksiężnika, co losami mymi kieruje, żeby mi nie dozwolił zginąć w tym haniebnym więzieniu, nim się spełnią obietnice twoje. Cieszyć się będę z ciężkiej niewoli swojej, jeżeli się tak stanie, a to twarde i ciasne pomieszczenie swoje poczytam sobie za mękę i słodkie łoże małżeńskie. Dziękuję ci z całego serca za pociechy, których tak uprzejmie udzieliłeś giermkowi mojemu Sancho Pansa; tak mocno ufam wierności i przywiązaniu jego, iż pewien jestem, że mnie nie opuści w złej doli, jak mi towarzyszył w szczęściu, bo choćbym nie był w możności dać mu wyspy przyobiecanej i dotrzymać innych ważnych przyrzeczeń, to zawsze mieć będzie zasługi regularnie wypłacone, bo w testamencie zastrzegłem, żeby mu wyliczono,

co mu przeznaczam, choć to, zaiste, bardzo mało w porównaniu z wielkością usług jego, w każdym razie jest to bardzo wiele stosunkowo do teraźniejszego majątku mojego.

Sancho Pansa, rozczulony dobrocią pana, skłonił się nisko i pocałował go w obie ręce, bo jednej z powodu związania nie mógł osobno do ust donieść. Tejże samej chwili duchy postawiły klatkę na wóz.

Rozdział XIX

W którym opisuje się rozmaite rzeczy

Don Kichot, rozmyślając nad dziwacznym zamknięciem swoim i wcale niemiłą podróżą, mówił do siebie:

– Czytałem wiele historii o błędnych rycerzach, ale nigdy w życiu nie zdarzyło mi się widzieć, czytać, ani słyszeć, żeby tak nędznie i powolnie zaczarowanych rycerzy przewożono. Zwyczajnie porywano ich w powietrze, ciemną osłaniano chmurą lub sadzano na wóz ognisty hipogryfa lub innego podobnego potwora, a mnie wiozą takim woziskiem i wołami. Ach! umieram ze wstydu, ale może teraźniejsza rycerskość i dzisiejsze zaczarowania nie trzymają się prawd dawnych, może dla mnie wynaleziono nowe sposoby czarów i przewożenia dlatego, że jestem teraz jedynym rycerzem błędnym na świecie i żem pierwszy wskrzesił zapomniany ten zakon. Jak tobie się też zdaje, mój przyjacielu, Sancho?

– Mnie się nic nie zdaje – odpowiedział Sancho – bo ja nie czytałem tyle, co wy, panie, tych pism błędnych, ale mimo to przysiągłbym, że te wszystkie mary, otaczające nas, nie są bardzo katolickie.

– Miły Boże! cóż ty gadasz? – odrzecze Don Kichot – jakże mają być takimi, kiedy to są przecież duchy, w fantastyczne ciała

poprzedzierzgane, żeby mnie w ten smutny stan wprawić, a jeżeli się sam chcesz o tym przekonać, to tylko ich dotknij, Sancho, złap je ręką, a obaczysz, że to są istoty powietrzne, żadnego ciała niemające, a kształty ich są złudzeniem.

– Przyznam się, wielmożny panie – odpowiedział Sancho – żem ja już łapał je ręką i przekonałem się, że te diabły, co cię tak turbują, mają ciało jak się należy i wcale nie żywią się wiatrem, a co więcej, nie słychać ich ani siarką, ani innymi plugastwami, tylko pachną piżmem i wonnościami, że aż w nos bije.

Sancho stosował to głównie do Don Fernanda, który, będąc wielkim panem i wielkim elegantem, lubił się zapewne perfumować.

– Nie dziw się temu, przyjacielu Sancho – rzecze Don Kichot – diabły mędrsze, niż ty myślisz, a chociażby mieli przy sobie wonności, nie mogą niczym pachnąć, bo zawsze czuć ich piekłem, którego nigdy pozbyć się nie mogą; miłe wonie przyjemnymi są dla zmysłów, a one pozbawione są na wieki wszelkich przyjemności. Jeżeli zatem zdaje ci się, że te diabły pachniały piżmem i wonnościami, to albo masz katar, albo zostałeś przez nich omamiony, żeby ich nie poznać.

Kiedy pan ze sługą tak rozmawiają, Don Fernand i Kardenio, bojąc się, żeby Don Kichot nie poznał, że go oszukują, chcieli się zaraz usunąć; kazali więc gospodarzowi osiodłać Rosynanta i okulbaczyć osła Sanchy, a pleban zgodził ławników, żeby do samego domu odprowadzili zaczarowanego rycerza. Kardenio zawiesił miedniczkę, rapier i spisę przy siodle Rosynanta i dał go prowadzić Sanchowi, który siedząc na ośle, jechał przodem, kiedy dwaj łucznicy po bokach wozu straż trzymali.

Nim woły z miejsca ruszyły, gospodyni, jej córka i Maritorna wyszły pożegnać się z Don Kichotem, udając, że są bardzo

zmartwione jego wypadkiem.

– Nie płaczcie, dostojne damy – rzekł do nich – przygody podobne nieodłączne są od mojego powołania i gdyby mnie nie spotykały, nie mógłbym się poczytywać za tak wielkiego rycerza, gdyż podobne rzeczy nie przytrafiają się nigdy małoznacznym i podrzędnym rycerzom, o których nikt się nie troszczy; jest to udziałem rycerzów najsłynniejszych, których męstwa i przymiotów zazdroszczą książęta i inni rycerze, a nie mogąc im dorównać, czyhają na ich zgubę. Z tym wszystkim cnota jest tak potężna, że mimo magii, przez Zaroasta wynalezionej, przezwycięży wszelkie zapory i świecić będzie na ziemi, jak słońce na niebie. Błagam was, piękne panie, przebaczcie mi, jeżeli mimowolnie przykrość wam jaką wyrządziłem, i bądźcie przekonane, że umyślnie nigdym jeszcze w życiu nikogo nie uraził; błagam was także, módlcie się za wolność moją, którą niegodziwy i sławy mej zawistny czarnoksiężnik tak haniebnie mi wydarł, a przysięgam wam, że całe życie pamiętać będę łaski w tym zamku wyświadczone i niezatartą wdzięczność za nie zachowam.

Kiedy ugrzeczniony kawaler takie komplementy prawi damom, pleban i balwierz pożegnali się z Don Fernandem i jego towarzyszami, z kapitanem, audytorem i damami, a najczulej z Dorotą i Luscindą, z którymi bliżej się znali. Wycałowali się serdecznie i obiecali sobie wszyscy nawzajem do siebie pisywać. Don Fernand wskazał plebanowi doskonałą drogę, którą listy dochodzić go mogą, prosząc, żeby mu donosił wszelkie szczegóły o Don Kichocie i obiecując mu nawzajem donieść o wszystkim, co by go interesować mogło: o swoich zaślubinach z Dorotą, o chrzcinach Zoraidy, o miłostkach Don Ludwika z piękną Klarą itd. Raz jeszcze się uściskali i nowe zapewnienia przyjaźni zamienili.

Na samym odjezdnym karczmarz dał plebanowi jakieś papiery, które znalazł w owym kufrze, gdzie była historia *Natrętnego ciekawca*. Pleban podziękował mu, przejrzał je natychmiast i obaczył, że znajduje się w nich rzecz pod tytułem: *Historia Rinconeta i Kortadilli*. Pomyślał sobie, że ta powieść nie musi być zła, bo jest tego samego autora, co poprzednia, a tamta wszystkim się podobała.

Pleban z balwierzem wsiedli na koń w maskach i jadąc za wozem, dopełnili wyżej opisanego orszaku. Cały ten korowód postępował poważnie i majestatycznie noga za nogą, stosując się do ciężkiego chodu wołów, ciągnących wóz. Don Kichot siedział w klatce oparty o kraty, z rękoma związanymi, tak spokojnie i milcząco, jak gdyby był z kamienia. Dwie mile tak jadąc, przybyli na dolinę, gdzie podwodnik chciał popaść woły, ale balwierz mu radził, żeby jechał trochę dalej, gdyż zaraz za górką jest piękna łąka, gdzie znajdzie lepszą dla swoich bydląt trawę, jechali więc dalej, gdzie pleban, obejrzawszy się, spostrzegł sześciu, czy siedmiu ludzi na koniach w ordynku za nimi jadących; można się było spodziewać, że niedługo ich dojadą, bo mieli doskonałe muły kanonickie i widocznie spieszyli się do gospody, o milkę jeszcze stąd odległej. Zrównawszy się, grzecznie zamienili powitania, a jeden z podróżnych, który był kanonikiem z Toledo i panem tych ludzi, widząc tak osobliwą i pocieszną procesję około człowieka zamkniętego w klatce, zapytał się, co znaczy ta ceremonia i dlaczego tak go wiozą, domyślając się zresztą po łucznikach, że musi to być jakiś wielki rozbójnik, którego ukaranie do św. Hermandady należy.

– Czcigodny dobrodzieju – odpowie łucznik, którego pytał kanonik – to wam chyba sam ten rycerz odpowie, bo my nic nie wiemy.

– Zacni rycerze – zawołał Don Kichot, słysząc zapytanie – znacie może ustawy błędnego rycerstwa? Wyznajcie mi, czy je znacie, bo w takim razie nie będę się wzbraniał opowiedzieć swoich nieszczęść, jeżeli zaś ich nie znacie, nie myślę sobie próżno psuć gęby gadaniem wam rzeczy, których nie zrozumiecie.

– Bogiem a prawdą, mój bracie – odpowie kanonik – czytałem ja więcej ksiąg rycerskich niż brewiarzów, i jeżeli ci jedynie idzie o to, możesz mi jak najotwarciej opowiedzieć, co tylko chcesz.

– Kiedy tak, to co innego – odrzecze Don Kichot – chętnie wam historię swoją opowiem, ale bardzo proszę nie tykać mnie bratem. Trzeba wam tedy wiedzieć, mości rycerzu, że złość i zazdrość przeklętych czarnoksiężników zaczarowała mnie w tej klatce, bo cnota doznaje zawsze więcej prześladowania od złych, aniżeli miłości od dobrych. Jestem błędnym rycerzem, nie należę do liczby tych, o których sława nie wie i o których ani śladu w wiekopomnej pamięci nie zostanie, ale do tych, co pomimo zawiści niechętnych i wbrew wszystkim magom perskim, wszystkim brahmanom indyjskim i gimnosofistom etiopskim, ryją swe imiona i dzieła na spiżu świątyni nieśmiertelności, dla przykładu wiekom potomnym, dla wzoru i prawidła rycerzom błędnym, którzy zechcą dostąpić szczytu sławy wojennej.

– Dostojny rycerz Don Kichot z Manchy dobrze mówi – odezwie się pleban, który zaraz z początku rozmowy kanonika z więźniem umyślnie razem z balwierzem zbliżył się do nich – został on zaczarowany na tym wozie nie ze swojej winy, ani za złe uczynki, ale przez podstęp i zdradziecki gwałt tych, którym jego męstwo i cnota były solą w oku; on to jest owym Rycerzem Posępnego Oblicza, o którym zapewne już słyszeliście, którego czyny waleczne i dzieła niesłychane po wiek wieków jaśnieć będą na spiżu

i marmurze, mimo zawiści i zawziętości nieprzyjaciół, co by radzi w niepamięć je zagrzebać.

Kanonik i cały orszak jego niemało się zdumieli, słysząc, że człowiek wolny tak samo od rzeczy mówi, jak i uwięziony, i sami nie wiedzieli, co o tym mają sądzić, ale Sancho Pansa, zbliżywszy się do nich i widząc ten kłopot, chciał rzecz objaśnić.

– Dostojni panowie! – rzecze więc – posłuchajcie mnie i czy wierzyć będziecie, czy nie temu, co powiem, ja zawsze swoje wygadam, bo mi sumienie tak każe: oto pan Don Kichot tak jest zaczarowany jak ja, albo osioł, na którym jadę; on całkiem zdrów i ma zmysły jak należy, je, pije i wszystkie funkcje odbywa, jak inni ludzie i jak przedtem odbywał nim go wsadzono w te kluby. Co to za gadanie, że on zaczarowany, nie głupim, żebym temu uwierzył! Alboż ja to nie wiem, że opętani nie jedzą, nie śpią, ani nie mogą gadać? a gardło dam, że jak pan mój zacznie rozprawiać, to go nie przegada stu patronów i tyleż przekupek, choćby mieli po sto języków w gębie. – Mówiąc to, Sancho obrócił się do plebana. – A! mości plebanie, mości plebanie! czy to dobrodziej myślisz, żem ja go nie poznał i że nie miarkuję, co się święci w tych czarach? Próżno tam jegomość twarz sobie zakrywasz, znam ja cię lepiej od mego osła, na nic się nie przyda ta maskarada, wiem dobrze, że to oszukanie; ja się na to nie złapię, jak wróbel na plewy, a pamiętaj, dobrodzieju, że gdzie obłuda i zazdrość panuje, tam się cnota prześladuje. Niechaj diabli porwą te figle. Żeby nie wy, dobrodzieju, z tymi przeklętymi niby czarami, to pan mój byłby się już ożenił z królewną Mikomikonu, a ja bym został co najmniej hrabią, co się to za wierność moją i usługi należy; ale widzę ja, że to wielka prawda, co mówią, iż fortuna kołem się toczy i że ci, co wczoraj byli na wierzchu ozdobni, dziś na spodzie w błocie leżą, Łazarzom podobni. Najbardziej mnie to gniewa, że wrócić muszę do żony

i do dzieci lichym masztalerzem, kiedy oni spodziewają się powitać mnie królem, albo władcą jakiej wyspy. Nie mówię ja wam tego, dobrodzieju, byle gadać, ale że powinni byście przecie mieć sumienie i wstydzić się tej psoty, panu memu wyrządzonej, bo pamiętajcie, że przed Bogiem ścisły zdacie rachunek, czy to na tym, czy na tamtym świecie, za to wszystko i za to, że mu nie dajecie spełniać dobrych uczynków, wspomagać wdów i sierot, wspierać nieszczęśliwych i karać niecnoty.

– Otóż to, mości Sancho! – przerwał balwierz – jestem w domu i widzę, że waść także z tego zakonu, co i twój pan, wielka mnie przeto bierze ochota zamknąć cię z nim do klatki i zarzeknąć jako członka błędnego rycerstwa! Czy czasem nie jesteś brzemienny wyspą, która ci tak ciąży na sercu; gotów jestem przywołać akuszerki!

– Nie jestem wcale w ciąży – odparł z gniewem Sancho – i kwituję z tego, chociażby mi książęcia nawet w żywocie moim nosić proponowano; jestem biedny, ale poczciwy, prawy chrześcijanin, i w niczym nie krzywdzę sprawiedliwości. Jeżeli pragnę wyspy, to drudzy więcej jeszcze żądają, boć na to kura grzebie, żeby ziarnko wygrzebała, a zresztą każdy człowiek może być papieżem, dlaczegóż bym ja nie miał zostać władcą jakiej wyspy, kiedy ich pan mój tyle podbić może, że nie wiedziałby, co z nimi zrobić? Powiedzno co mądrzejszego, mój mości cyruliku, jeśli możesz, bo to jeszcze nie rozum umieć brody golić, człowiek a człowiek to diabelna różnica! Znamy się, Bogu dzięki, bardzo dobrze; wiesz, że niewiele ze mną wygrasz. Co się tycze zaczarowania mojego pana, Bóg to najlepiej wiedzieć raczy, ale nie naruszajmy smrodu, bo jeszcze bardziej śmierdzieć będzie.

Balwierz nie chciał już odpowiadać Sanchowi, lękając się, ażeby nie wygadał więcej i całej tajemnicy nie odkrył. Pleban, który także

się tego lękał, wyjechał umyślnie z kanonikiem i jego ludźmi naprzód i opowiedział im rzecz całą; opisał Don Kichota, jego stan, życie, obyczaje, przyczynę i początek jego szalonych urojeń, ich następstwa i przygody, aż do ostatniej awantury z klatką, ułożonej umyślnie, żeby go do domu ściągnąć i próbować, czy się ta jego choroba nie da wyleczyć. Kanonik i orszak jego z wielkim zadziwieniem przysłuchiwali się historii Don Kichota, a gdy pleban skończył, kanonik w te słowa się odezwał:

– Przekonuję się coraz bardziej, że te księgi rycerskie nie tylko się na nic krajowi nie zdały, ale są mu nawet bardzo szkodliwe, pozaczynałem czytać wszystkie, jakie tylko wyszły, ale żadnej dokończyć nie mogłem, bo mi brakło cierpliwości; wszystko jedno w kółko prawią, a z żadnej najmniejszej nie wyciągniesz nauki.

Pleban, wysłuchawszy pilnie kanonika i widząc jego rozsądek, odpowiedział mu, że podziela zupełnie jego zdanie, że taki ma wstręt do podobnych książek, iż ogromną bibliotekę Don Kichota, z nich jedynie złożoną, spalić kazał niedawno. Opowiedział mu, jakie książki zostawił, wyłuszczając ku temu powody i co Don Kichot myślał o stracie swojej biblioteki. Kanonik i orszak jego, aż się za boki trzymali, tak się z tego opowiadania naśmieli.

– Z tym wszystkim, mój dobrodzieju – rzecze kanonik – choć ja na te książki powstaję, to jednak widzę w nich to dobre, że ludziom dowcipnym dają pole do popisu i sposób okazania dowcipu; jest to pole rozległe i wielkie, po którym pióro biegać może jak chce i wybierać, co mu się podoba, czy to opisy burz i rozbić, potyczek i bitew, czy też wizerunki wodzów wielkich ze wszystkimi ich przymiotami, czujnością i zręcznością w uprzedzaniu nieprzyjaciela, wymową w ujmowaniu żołnierzy, doświadczeniem i przezornością w radzie, bystrością umysłu w kierowaniu wojną i dzielnością w wykonaniu. Może znów opisywać jaki smutny lub przyjemy

wypadek, kobietę piękną ze wszystkimi jej powabami, rycerza walecznego, zręcznego i szlachetnego, barbarzyńcę dumnego i zuchwałego, ojca narodu mądrego i umiarkowanego, który myśli jedynie o dobru swoich poddanych i pilnie przestrzega, aby wierność ich i zasługi należną otrzymywały nagrodę. Autor może się tu popisywać ze wszelką uczonością, może wybierać jakie mu się podoba sztuki, nauki, może malować w bohaterach swoich zręczność i wymowę Ulissesa, uczciwość Eneasza, waleczność Achillesa, przyjaźń Euriala, wspaniałość Aleksandra, rozum i męstwo Cezara, łagodność Augusta, dobroć Trojana, wierność Zopyra, mądrość Katona, słowem, wszelkie owe przymioty dusz wielkich, które człowieka czynią znakomitym. Tym sposobem, mając styl łatwy i czysty, a przy tym talent i sztukę w wynalezieniu i zachowaniu prawdopodobieństwa wypadków, ułoży on z rozmaitych kawałków całość przyjemną, wystawi obraz wykończony, który każdemu podoba się i nauczyć go czegoś musi; a ten jest cel, który przed oczami każdy piszący mieć powinien.

Rozdział XX

Dalszy ciąg tego, co kanonik mówił o powieściach rycerskich

– Zaprawdę, doskonale pan mówisz – rzecze pleban – autorowie jednak książek tym podobnych jeszcze więcej zasługują na naganę, że nie zważają wcale na żadne przepisy sztuki, których zachowaniu dwaj najznakomitsi poeci starożytni sławę swą winni.

– Miałem ja kiedyś ochotę – odpowie kanonik – napisać powieść rycerską podług tych reguł i jużem był nawet nakreślił kilkadziesiąt arkuszy, a chcąc się przekonać, czy początek odpowiada mojemu życzeniu, pokazywałem ją ludziom wytrawnym i lubiącym podobne utwory, jako też i ludziom ciemnym, którzy się jedynie

w głupstwach kochają; i jednym i drugim podobała się moja powieść. Przestałem jednakże pisać dalej nie tylko dlatego, że to jakoś nie bardzo zgadza się ze stanem duchownym, ale głównie dlatego, że głupców na świecie daleko więcej, niż rozumnych, a chociaż daleko lepiej i przyjemniej mieć za sobą pochwały małej liczby rozumnych, niż przeciw sobie przyganę całej masy głupców, nie chciałem jednak narażać się na sądy lekkomyślnego motłochu, ślepo za takimi książkami goniącego. Najbardziej wszakże odstręczało mnie od pisania to, że wszystkie niemal komedie dzisiejsze, czy to historyczne, czy zmyślone, choć tak śmiesznie głupie, wszelkim regułom przeciwne i przez wszystkich rozsądnych potępione, znajdują przecież mimo to, najdoskonalsze u ludu przyjęcie. Widzę przy tym, że i autorowie ich, i aktorzy utrzymują, że inne być nie powinny dlatego, że publiczność nie chce innych i że sztuki prawdziwie piękne podobają się co najwięcej trzem lub czterem osobom ukształconym, a ogół brzydzi się nimi. Po cóż bym więc łamał sobie głowę i tracił czas na ułożenie powieści odpowiadającej przepisom sztuki, kiedy to wcale książce mojej nie zjedna pokupu? Wolę patrzeć, jak ci nędzni autorowie wydzierają grosze z całej masy głupców, niż ściągnąć na siebie szyderstwo tej masy i zawiść tamtych. Przedstawiałem nieraz tym autorom, że zjednaliby sobie daleko więcej i widzów i sławy, gdyby pisali komedie przepisom sztuki odpowiednie, ale znalazłem ich tak przy swoim obstających i upartych, że nic ich z błędu nie jest w stanie wywieść. Pamiętam, że kiedyś mówiłem do tych uparciuchów: „Proszę pana, przypominasz pan sobie zapewne, że kilka lat temu przedstawiano w Hiszpanii trzy komedie wielkiego poety naszego i co one zjednały sobie podziwu i najlepszego przyjęcia u wszystkich bez wyjątku słuchaczów, a komedianci zyskali na nich daleko więcej, niż na trzydziestu innych, które potem ułożono?”

„Pamiętam to dobrze – odpowiada mi pan autor – chcesz pan mówić o Izabelli, Fildzie i Aleksandrze?" „O nich właśnie – odpowiedziałem – no i cóż? przyjrzyjże im się pan dokładnie, alboż nie napisane według reguł sztuki, a jednakże podobały się bez wyjątku wszystkim. Nie należy zatem winy przypisywać publiczności, że ją same głupstwa bawią, ale temu, że brak autorów, którzy by coś lepszego napisać umieli. Nie ma żadnych głupstw w *Ukaranej niewdzięczności*, w *Numancji*, w *Kupcu zakochanym*, a tym mniej w *Sprzyjającej nieprzyjaciółce*, ani też w mnóstwie sztuk pięknych, które przyniosły sławę autorom i ogromne pieniądze aktorom". Wiele jeszcze mówiłem i zbiłem zupełnie pana autora, ale mimo to wszakże nie zmienił zdania, ani trybu pisania.

– Mości kanoniku – rzecze pleban – dotknąłeś tu materii, która budzi w moim umyśle dawno już oburzenie przeciw modnym dziś komediom, którymi tak samo się brzydzę, jak i tymi powieściami rycerskimi. Komedia bowiem powinna być zwierciadłem życia ludzkiego, przykładem obyczajów i obrazem prawdy, a dziś cóż w komedii przedstawiają? same głupstwa najnieznośniejsze, obyczaje najgorsze i obrazy sprośności niesłychanej. Czyż może być co głupszego na przykład, jak przedstawiać w pierwszej scenie dziecię w kolebce, a w drugiej kazać mu się bić jako rycerzowi? Czyż może być większe wariactwo, jak wystawiać stuletniego starca tchórzem, pokojowca oratorem, pazia doradcą, króla komediantem, a królową pomywaczką? Ale najdoskonalsza rzecz jak to się tam akcja toczy! Widziałem komedię, której pierwszy akt odbywa się w Europie, drugi w Azji, a rzecz kończy się w Afryce i gdyby sztuka miała więcej nad trzy akty, to pewno by i Amerykę do kontrybucji powołano. Jeżeli prawdopodobieństwo ma być głównym warunkiem komedii, jakże można, żeby w rzeczy dziejącej się za czasów Pepina lub Karola Wielkiego bohaterem był cesarz

Herakliusz i żeby mu kazano zdobywać Ziemię Świętą i z krzyżem wjeżdżać do Jerozolimy, kiedy wszystkim wiadomo, że to było dziełem Godfryda de Bouillon? malutka różnica czasu, nie ma co powiedzieć. Jaki to bigos, jaka mieszanina baśni z prawdami historycznymi! Jaki chaos narodów, charakterów i epok! I jak tu darować błędy tak grube, kiedy na nich ludzie najciemniejsi się poznają, ale to najwyborniejsze, że są ludzie, co wręcz utrzymują, że w tym leży szczyt doskonałości i że chcąc wprowadzić co innego, trzeba cierpieć chyba zachcianki jak kobieta w ciąży.

W tym miejscu rozmowy kanonika z plebanem, balwierz zbliżył się do nich i rzekł do plebana:

– Oto właśnie miejsce dobre na popas, o którym wam mówiłem; woły będą miały śliczną trawę.

– Istotnie, że śliczna – odpowiedział pleban – i zapytał kanonika, co zamyśla z sobą robić.

Kanonik odpowiedział mu, że bardzo będzie miło pozostać z nimi tak dla piękności doliny, dla rozmowy z plebanem, jak i dlatego nareszcie, żeby się więcej o Don Kichocie dowiedzieć. Rozkazał zaraz jednemu ze swoich ludzi pójść do gospody po żywność, ażeby cały czas tu pod gołym niebem spędzić, a gdy mu odpowiedziano, że muł z pakunkiem rozmaitych zapasów już nadszedł, odesłał tylko służbę do gospody, a muła z prowizjami kazał przyprowadzić. Sancho tymczasem widząc, że pleban i balwierz nie bronią mu jakoś rozmowy z panem, zbliżył się do klatki i tak mówił do niego:

– Panie, muszę panu coś powiedzieć, sumienie mi nie daje spokoju, żebym wam nie wyjaśnił tych czarów: ci dwaj ludzie, co nas odprowadzają z maskami na gębach, to proboszcz naszej parafii i majster Mikołaj, balwierz z naszej wsi; głupi mój rozum powiada, że oni tak pana wiozą z zazdrości o jego wielkie czyny, które ich kolą w oczy, widzę ja jawnie, że to tak jest i żeś pan tak

dobrze zaklęty, jak mój osioł, wprost tylko odurzyli was i drwią sobie. Ażeby wam dać najlepszy tego dowód, muszę się was tylko spytać, panie, o jedną rzecz, a jeżeli mi odpowiecie tak jak miarkuję, to wam wykażę zdradę jak na dłoni, jasną jak słońce i sami wtedy wyznacie, że tu nie ma żadnego zaklęcia, tylko że się paniskowi w głowie pomieszało.

– Pytaj się, o co chcesz, mój synu – rzecze Don Kichot – a ja ci na każde słówko odpowiem, co zaś do tego, co powiadasz, że ci nasi przewodnicy, to są proboszcz i balwierz z naszej parafii, to bardzo być może, że tobie się tylko tak wydaje, ale powiadam ci, mój kochany, nie wierz temu, żeby to tak istotnie było. To ci, co mnie zaczarowali, umyślnie na ciebie taki urok rzucają, żeby cię otumanić i wtrącić w taki labirynt urojeń, że nie wyszedłbyś z niego, choćbyś kłębek Ariadny miał w ręku, i dlatego się jeszcze tak przedzierzgnęli, żeby mnie wywieść w pole, bo się boją, żebym nie odgadł, kto mi się tak przysłużył. W samej rzeczy ja już tracę głowę, tu powiadasz mi, że to pleban i balwierz z naszej wioski, tu znów zapakowali mnie jakimś cudem w tę klitę, a wiem przecież dobrze, że żadna siła ludzka nie byłaby w stanie dokonać tego, nie mogę więc przypuszczać nic innego, jak tylko, że siła mojego zaklęcia jest większa i straszniejsza od wszystkich zaklęć, jakim kiedy bądź w świecie ulegali rycerze błędni. Nie durz się więc na próżno, mój kochany, żeby to był pleban i balwierz, otumanili cię, bratku, otumanili! A teraz pytaj się, o co tylko chcesz, będę ci odpowiadał chociażby do jutra.

– O święty Jacenty! – zawoła Sancho – co się z wami dzieje, miły panie, a toż dopiero macie łeb zakuty, żeby nie poznać, że prawdę mówię i że to nie diabły wami się opiekują, tylko ludzie! No, kiedy już tak, to ja wam dowiodę, jak palcem namacał, żeście wcale nie zaklęci. Oto powiedzcie mi tylko, błagam was panie, tak jak

pragniecie, żeby was Bóg wydobył z tej biedy i żebyście się ujrzeli w objęciach pani Dulcynei jak najprędzej...

– Dajże już pokój tym zaklinaniom, mój przyjacielu – przerwał mu Don Kichot – czyżem ci nie powiedział, że na wszystko, co tylko żądasz, odpowiadać ci będę?

– Oto mi też tylko i chodzi – rzecze Sancho – otóż tedy powiedzcie mi, panie, tylko nie dodając i ujmując ani jotki, ale szczerze i po prawdziwej prawdzie, jak mówić zawsze powinni prawi rycerze błędni...

– Ale przysięgam ci raz jeszcze, że nic kłamać nie będę! – odpowie Don Kichot – tylko na imię Boże, przestańże raz tych zaklinań, gdyż na śmierć mnie zamęczysz tymi wstępami i błaganiami.

– A więc już nie będę was zaklinał – mówił Sancho – bo wierzę dobroci i szczerości pana mego. Kiedy więc już tak stanęło... tylko pamiętajcie!... Pytam się was, panie, z przeproszeniem waszym, czy przypadkiem od czasu, jak ulegliście temu niby zaklęciu, nie zachciało się wam, jak to mówią, ani grubo, ani cienko?

– Nic cię nie rozumiem, Sancho, wytłumacz się jaśniej, jeżeli chcesz, ażebym ci odpowiadał.

– Jak to, nie rozumiecie, panie, co to ma znaczyć, robić grubo albo cienko? – zapytał zdziwiony Sancho – chyba drwicie sobie ze mnie? A toć to pierwsza rzecz, której dzieci uczą. No, to się was tak zapytam, czy się wam nie zachciało pójść tam, gdzie król piechotą chodzi?

– Aha, aha! rozumiem cię, Sancho, a doprawdy, że tak i to już nieraz było, mój przyjacielu, w tej chwili nawet właśnie diabelnie mnie przypiera... pomóżno mi czym prędzej, proszę, boję się tylko, czy już nie będzie za późno.

Rozdział XXI

O przedziwnej rozmowie Don Kichota z Sancho Pansą

– Aha, aha! złapałem was, panie – rzekł Sancho – tego mi tylko trzeba było; owóż tedy, miły panie, nie możecie temu przeczyć, co pospolicie mówią ludzie, kiedy widzą kogo zmartwionego, zbiedzonego: „Co to jemu jest?" mówią, „nie je, nie pije, nie śpi, nie słyszy, co do niego gadają; wygląda, jak zaklęty"; rzecz więc oczywista, że ci, co nie jedzą, nie piją, nie śpią i nie odbywają potrzeb naturalnych, są zaklęci, ale nie ci, co mają takie potrzeby, jak na przykład ta, co was teraz przyparła, co piją i jedzą kiedy mają co i odpowiadają do sensu.

– Prawdę mówisz, Sancho – odpowiedział Don Kichot – ale wspomniałem ci nieraz, że różne są rodzaje zaklęć i że z postępem czasu sposoby się ich może zmieniły i dziś może weszło w zwyczaj, żeby zaklęci robili, co i ja robię, chociaż tego dawniej nie było. A na zwyczaj nie ma rady i nic z niego wnosić nie można. Co do mnie, wiem pewno, że jestem w zaklęciu i to mi sumienie uspokaja. Bo przysięgam ci, że kamieniem by mi ciężyło siedzieć tak próżno w tej klatce niezaklętemu i świat pozbawiać mojego ramienia, którego tyle potrzebują teraz strapieni i nieszczęśliwi.

– Bądź co bądź, miły panie – rzecze Sancho – warto by dla większej pewności, żebyście spróbowali wydobyć się z tej klety; ja wam dopomogę, a nawet niezawodnie wydobędę, potem wsiądziecie na poczciwego Rosynanta, który także wygląda jak zaklęty, taki smutny i biedny, i pójdziemy znów w świat raz jeszcze popróbować szczęścia. A jak się nie uda, to mamy zawsze dość czasu wrócić do tej klatki, w której, przysięgam na honor i sumienie poczciwego i wiernego giermka, że się z wami razem zamknę, jeżeli będziecie tyle nieszczęśliwi, a ja tyle głupi, żebyśmy nie dokazali tego, co myślę.

– Zgadzam się na wszystko – odpowie Don Kichot – masz moją rękę, przyjacielu Sancho. Jak tylko upatrzysz stosowną chwilę, daj mi znać, a ja ci będę we wszystkim jak dziecko posłuszny, ale zobaczysz, mój kochany Sancho, przekonasz się, że cię twój rozum grubo myli.

Rozmawiali tak z sobą, dopóki nie dojechali do miejsca, gdzie pleban, kanonik i balwierz stanęli i na nich czekali; woły wyprzężono i puszczono na paszę, a Sancho prosił plebana, żeby panu pozwolił wyjść z klatki na chwilę, bo mogłoby się co brzydkiego przytrafić i oszpecić ją haniebnie. Pleban zrozumiał Sanchę i odpowiedział, że chętnie by na to zezwolił, ale się boi, żeby panu jego nie przyszło do głowy czmychnąć.

– Ja wam, dobrodzieju, odpowiadam za niego – rzecze Sancho.

– I ja także – wtrącił kanonik – byle tylko dał słowo rycerskie, że się bardzo nie oddali.

– Przysięgam na to – zawoła Don Kichot – a zresztą po co tu i przysięga, kiedy zaklęty nie ma żadnej woli i jak ten, co go zaklął, zechce, to się z miejsca i przez trzy wieki nie ruszy. Tak więc panowie możecie mnie bezpiecznie wypuścić, albo przynajmniej przeprowadzać kazać; bo jakem żyw, pilno mi strasznie i nie ręczę...

Kiedy dał słowo, kanonik podał mu rękę i wyprowadził go z klatki niezmiernie uradowanego. Przede wszystkiem zaczął od tego, że się przeciągnął kilka razy, a potem zaraz poszedł do Rosynanta i poklepawszy go po krzyżu:

– Mam w Bogu nadzieję – rzekł – ty gwiazdo najdzielniejszych rumaków błędnych, że niezadługo się z sobą na dobre połączymy; ty będziesz pode mną, a ja na twoim dzielnym grzbiecie, pełniąc obowiązki, do których mnie Pan Bóg na tym świecie powołał.

Rzekłszy to, Don Kichot oddalił się z Sanchem na ustroń i po chwili wrócił daleko lżejszy i rozweselony myślą o rychłym

ziszczeniu się przyrzeczeń giermka. Kanonik nie mógł się dość napatrzyć naszemu rycerzowi; obserwował najmniejsze ruchy jego i podziwiał ten osobliwszy rodzaj wariacji, litował się nad biednym szlachcicem i chciał spróbować, czy by się nie dało wyleczyć go rozumowaniem.

Całe towarzystwo zasiadło na trawie, czekając na prowizję, a on tak zaczął do Don Kichota:

– Czyż to podobna, zacny panie, żeby te nędzne i paskudne romanse do tego stopnia rozum ci pomieszały, iż wierzysz teraz w zaczarowanie swoje i w tyle innych rzeczy, rozumowi przeciwnych? Czyż jest kto w świecie, co by naprawdę sądził, że było tylu Amadisów, tyle tysięcy różnych rycerzów błędnych, tylu cesarzów Trebizondy, tylu koniuszych, tyle dziewic błędnych, tyle potworów i olbrzymów, tyle przygód szalonych i niepodobnych, tyle czarów, wyzwań, bojów, księżniczek zakochanych, giermków na hrabiów przemienionych, słowem, tyle głupstw przenajrozmaitszych i dziwactw, o których piszą rycerskie powieści? Co do mnie wyznaję, że póki nie pomyślę, że to wszystko kłamstwa, to doznaję nieco przyjemności w czytaniu ich; ale, jak się zastanowię, że to same duby smalone, najmniejszego do prawdy podobieństwa niemające, to każdą taką książkę rzuciłbym zaraz w ogień, jak oszusta, który korzysta z łatwowierności motłochu. Nie jestże to rzecz sromotna wynajdywać tylu bajecznych bohaterów, jak gdyby męstwo prawdziwe ludziom było nieznane i jak gdyby trzeba było koniecznie uciekać się do bajek, żeby dać o nim wyobrażenie? Chcesz poznać ludzi istotnie wielkich, to masz w Grecji Aleksandra, w Rzymie Cezara, w Kartaginie Hannibala, w Portugalii Viriata, masz w Kastylii Gonzalesa, w Walencji Cyda, w Andaluzji Hernandesa, w Estremadurze Paredesa, w Toledzie Vargasa i Garcillasa, w Sevilli Manuela de Leon, których dzieje

przedstawiają obrazy cnót prawdziwie heroicznych, wzbudzających zarazem podziw i szlachetną emulację i dających najpiękniejsze przykłady do naśladowania. Takimi to książkami, mości Don Kichocie, powinien się bawić umysł tak zacny, jak twój, one cię nauczą dziejów świata, wyćwiczą w rzemiośle wojennym, pokażą, jakim być powinien wódz doskonały i przedstawią cuda waleczności nie nadprzyrodzone, ale prawdziwe i ludzi nad motłoch wynoszące.

Don Kichot przysłuchiwał się z niezmierną uwagą mowie kanonika, a zastanowiwszy się chwilę, tak mu odpowiedział:

– Jeżeli się nie mylę, mój miły panie, to cała ta oracja dąży jedynie do tego, ażeby mnie przekonać, że rycerze błędni nigdy na świecie nie istnieli, że księgi rycerskie są fałszywe, kłamliwe, niepożyteczne i krajowi szkodliwe, żem źle zrobił, czytając je, jeszcze gorzej, wierząc im, a najgorzej, biorąc za wzór w swoim powołaniu, że nareszcie nie zgadzasz się pan na to, aby kiedykolwiek istniał jaki Amadis czy to grecki, czy galijski, ani innych mnóstwo rycerzy, których historia nam pozostała.

– A tak jest i to najświętsza prawda – odpowie kanonik.

– Mówiłeś pan jeszcze – dodał Don Kichot – że te książki wielką krzywdę mi wyrządziły, gdyż mi rozum pomieszały i z ich przyczyny w tej klatce mnie zamknięto i że daleko lepiej bym zrobił, gdybym czytał książki poważne i rozumne, które razem przyjemność i naukę by mi dały.

– Tak jest, wszystko to prawda – rzecze kanonik.

– A ja, mój panie – zawołał Don Kichot, dobrze rzecz zgłębiwszy – widzę jawnie, że to ty jesteś zaczarowany i rozum masz pomieszany, kiedy śmiesz tak zuchwale bluźnić przeciwko rzeczy przez świat cały przyjętej i tak dalece uznanej, że kto jej przeczy, tak jak ty, godzien jest kary tej samej, na jaką ty wskazywałeś te książki, kiedy cię

nudziły. Bo chcieć kogo przekonać, że nie było nigdy na świecie Amadisa, ani innych błędnych rycerzy, o których księgi wspominają, jest to takie same szaleństwo, jak chcieć dowieść, że słońce nie świeci, albo, że ziemia się około osi nie obraca. Może mi kto powie także, że historia infantki Tloryppy i Guja z Burgundii nie jest prawdziwa, albo że to kłamstwo, co Fierabras dokazywał na moście Mantili za czasów Karola Wielkiego. Jeżeli to kłamstwa, to i nieprawda, że była wojna trojańska, że było dwunastu parów Francji, że istniał Artur król angielski, co dziś jeszcze żyje pod postacią kruka i którego co chwila wyglądają w jego królestwie! Może mi także powiecie, że historia Guarina Mesquina, albo historia damy Saint-Grial, są także fałszywe! że miłostki Don Tristana i królowej Izoldy, albo romans pięknej Ginewry z Lancelotem wymyślone! a przecież żyją jeszcze na świecie ludzie, co pamiętają i widzieli damę Quintagnone, co się lepiej znała na winach, niż najpierwszy pijak Wielkiej Brytanii, i ta historia jest tak prawdziwa, że ja sam, co mówię to do was, pamiętam dobrze, jak mi babka powtarzała, widząc te panie z wielkimi welonami na głowach: „patrz, mój wnuku, to idzie matrona podobna do damy Quintagnony", a z tego wnoszę bardzo naturalnie, że znać ją musiała, albo przynajmniej jej portret widziała. Tego by tylko jeszcze brakowało, ażebyście zaprzeczali historii Piotra z Prowansji z piękną Magieloną, kiedy do dziś dnia jeszcze widzieć można w skarbcu królewskim gwóźdź od podkowy konia drewnianego, na którym ten rycerz jeździł, gwóźdź, większy, niż dyszel od wozu, a tak szanowany, że go położono obok siodła Babijeki od słynnego rumaka Cydowego. Znajduje się także w Roncevaux trąbka Rolanda tak długa i gruba, jak belka masztowa, a stąd dowód oczywisty, że istniało dwunastu parów, że istniał Piotr z Prowansji i Cyd, i inni podobni rycerze, których

awanturnikami nazywano. Może jeszcze powiecie, że Juan de Merlo, ten dzielny Portugalczyk, nie był rycerzem błędnym, że się nie potykał w Burgundii ze słynnym Piotrem, panem Charny, a potem w Bazylei z Henrykiem de Remestan i że z tych dwóch bitew nie odniósł sławy zwycięstwa? Tego by tylko nie dostawało, żeby za bajki uważać wyzwania i przygody Don Pedra Barby i Gautiera Quichada, od którego w prostej linii po mieczu pochodzę, a którzy obydwaj wsławili się pobiciem synów hrabiego de Saint Pol. Tego mi przecież nikt nie zaprze, że Don Fernand de Guevara jeździł szukać przygód do Niemiec, gdzie potykał się mężnie z baronem Jerzym, kawalerem znakomitym z dworu austriackiego! Niechajże mi kto śmie utrzymywać, że to są baśnie, owe turnieje Suera de Quinnone de Pas i Ludwika de Falses przeciwko Don Gonzalesowi Guman, kawalerowi kastylijskiemu i owych dzieł chwalebnych tysiące, których dokazywali kawalerowie chrześcijańscy ze wszystkich stron świata, a które są tak prawdziwe i autentyczne, iż śmiało powtarzam, że trzeba by rozum stracić, aby o nich na chwilę choć wątpić.

Kanonikowi aż się w głowie zakręciło od tego wyliczania Don Kichota; zdumiał się nad chaosem tych cytacji historycznych i bajecznych i nadzwyczajną jego znajomością wszystkiego, co tylko o błędnym rycerstwie pisano.

– Nie przeczę ja, mości Don Kichocie – rzekł – żeby nie było coś prawdy w tym, co powiadasz, a szczególniej w tym, co dotyczy błędnych rycerzy hiszpańskich. Przyznaję, że istniało dwunastu parów Francji; ale nigdy w świecie nie uwierzę, żeby to było prawdą, co o nich pisał poczciwy arcybiskup Turpil. Co prawda, to prawda, że byli to rycerze wybierani przez królów Francji, których nazywano parami dlatego, że równi byli stopniem znaczenia, jako też równi walecznością i urodzeniem, a przynajmniej powinni być

równi, bo znów nie dałbym gardła za to, że nie tak ich skrupulatnie mierzono. Był to pewien rodzaj zakonu, tak coś na kształt zakonu Św. Jakuba, albo Calatravy w Hiszpanii, do którego powinni należeć sami waleczni i wysoko urodzeni, i tak, jak się dziś mówi: kawaler Św. Jana lub kawaler d'Alcantara, tak wtedy mówiono – to jeden z dwunastu parów, bo ich było tylko dwunastu. Co się zaś tycze Cyda, to wątpić nie można, że on istotnie był, tak samo, jak i Bernard de Carpio; ale nie ma skrupułu nie wierzyć temu wszystkiemu, co o nich piszą. We względzie znów owego gwoździa od podkowy konia Piotra z Prowansji, przyznać sobie muszę zupełną nieświadomość i wyraźną ślepotę, boć przecie zwiedzałem skarbiec królewski i siodło Babijeki doskonale widziałem, a tego gwoździa, choć taki wielki, ani oko.

– A on tam jest – odpowie Don Kichot – jest niezawodnie i tak go nawet strzegą, że go w pokrowiec skórzany włożyli dla lepszego zachowania.

– Może i to być – odrzekł kanonik – ale ja sumieniem zaręczam, żem go ani widział, ani o nim słyszał, a zresztą choćbym i przystał na to, że on się tam znajduje, to jeszcze nie idzie za tym, żebym wierzył historiom tych wszystkich Amadisów i całej chmary rycerzy błędnych. Dziwna to rzecz doprawdy, żeby też człowiek uczciwy, rozumny i dobry, jak wy, mógł tak ślepo uwierzyć w te wszystkie cudackie wymysły głupich owych książek.

Rozdział XXII

O miłej sprzeczce Don Kichota z kanonikiem

– A to dopiero rzecz doskonała! – zawołał Don Kichot – żeby książki drukowane za przywilejem królewskim i pozwoleniem zwierzchności, czytane i rozrywane chciwie przez wszystkich,

wielkich i małych, uczonych i prostaków, słowem, wszelkie stany i powołania, ażeby takie książki, powiadam, miały być tylko zbiorem kłamstw i wymysłów, kiedy w nich prawda tak jest widoczna i wszystko tak punktualnie opisane, że podają nawet imiona i przydomki ojca i matki, oznaczają kraj, wiek i krewnych rycerzy, czyny ich i miejsca, gdzie były dokonane, a to wszystko z taką dokładnością dzień po dniu, godzina po godzinie, że aż miło! Na miłość boską, zamknij gębę na zawsze i nie wymawiaj bluźnierstw takich, i wierz mi, że ci radzę jak prawdziwy przyjaciel. Zresztą czytaj sam te książki, a obaczysz, ile ci sprawią przyjemności. Przyznaj bo proszę, czyż zaprawdę może być co rozkoszniejszego, jak widzieć przed swymi oczyma, że tak powiem, niby wielkie jezioro wrzącej smoły, pełne węży, żmij, jaszczurek, padalców i innych jadowitych i strasznych? Nagle spośrodka tych wrzących i dymiących się przepaści wychodzi głos żałosny i mówi: „O mężny rycerzu, kto bądź jesteś, co patrzysz na tę otchłań straszliwą, jeżeli pragniesz posiąść skarby niezrównane, ukryte pod tymi czarnymi odmęty, pokaż wielkość swej odwagi i wskocz w te nurty gorejące. Jeśli tego nie uczynisz, niewart będziesz oglądać nieporównanych cudów siedmiu zamków do siedmiu wieszczek należących, które na dnie tych mętnych głębin stoją!". I zaledwie głos ucichł, rycerz zagrzany męstwem, nie bacząc na śmiertelne niebezpieczeństwa, rzuca się natychmiast w płomieniste nurty, Bogu i swojej damie duszę poleciwszy, a kiedy ani wie, co się z nim dzieje i co się dalej stanie, wpływa nagle na przecudną łąkę kwiatami umajoną i tysiąckroć od pól Elizejskich piękniejszą. Powietrze tu zdaje mu się czystsze i słońce jaśniejsze; z jednej strony prześliczny lasek z milionem drzew najpiękniejszych oko mu zachwyca; po gałązkach skaczą niezliczone roje ptasząt milionem barw lśniących i słodkimi świergotami uszy mu czarują, z drugiej znów strony kryształowy

strumyk płynie wężykiem, sącząc srebrzyste fale po złocistym piasku. Dalej przepyszna fontanna z jaspisu różnokolorowego, cudnie zbudowana i mnóstwem posągów strojna; dalej jeszcze druga fontanna w guście sielskim, milionami muszli świecąca, kosztownymi kamieniami sadzona, na kształt groty zamorskiej, pełnej trytonów i syren, tak cudnej roboty, że kiedy człowieka strach największy przejmuje, na widok tych potworów z jam dziko wyglądających, to znów zarazem taka nim rozkosz owłada, że wyjść nie może z tych miejsc czarownych. Opodal nagle uderzy go pałac wspaniały, cały ze złota szczerego, gzymsy z diamentów, a drzwi z hiacyntów, reszta ozdób z drogich kamieni, a tak przecudnej budowy, że rubiny, szmaragdy, karbunkuły i perły najmniejszą w nim wartość stanowią, bo misterna robota tysiąc razy więcej warta. Z tego pałacu widzi wychodzących jednymi drzwiami mnóstwo dziewic najcudniejszej urody w tak pysznych i bogatych strojach, że w tej chwili, kiedy do pana mówię, blask od nich przyciemnia mi oczy. Nigdy bym nie skończył, gdybym waćpanu chciał wszystko dokładnie opisać. Wtenczas jedna z tych bogiń piękności, która się zdaje być panią wśród innych, bierze za rękę śmiałego rycerza i słowa doń nie mówiąc, prowadzi go do złotego pałacu, gdzie dziewice z szat go rozdziewają i w wannę z wód pachnących wsadzają. Potem go namaszczają kosztownymi wonnościami, olejkami i balsamami i gdy wyszedł z łaźni, wkładają nań koszulę z lnu jak jedwab cienkiego, rozkosznymi wonności syconą. Kiedy tak już stoi, inna dziewica wkłada mu na ramiona płaszcz niezrównanej piękności, przynajmniej dwa miasta i kilka wsi warty. Tu jeszcze nie koniec, prowadzą go do innej sali, gdzie bogactwo sprzętów wszelkie pojęcie przechodzi, tam zastaje stół nakryty, dają mu do umycia miednicę złotą, rzeźbioną, diamentami wysadzoną, z wodą bursztynem i aromatycznymi ziołami przejętą;

sadzają go w krześle ze słoniowej kości i wszystkie dziewice służą mu na wyścigi w uroczystym milczeniu. Któż opisze nieskończoną różność potraw, niezrównaną ich wytworność, które mu ciągle podają. Jakież wyrazy dadzą wyobrażenie o wybornej kapeli do stołu przygrywającej, a on nie widzi ani grajków, ani śpiewaków? Po skończonej wieczerzy, kiedy stoły zabrano, a kawaler wyciągnął się w krześle, dłubiąc sobie w zębach, niespodzianie wchodzi dziewica nieporównanej piękności nad wszystkie, co dotąd widział, siada obok niego i rozpowiada mu o tym pałacu, że jest w nim zaklęta, i o wielu a wielu różnych rzeczach, które zachwycają rycerza tak, jak zachwycą każdego, co je będzie czytał. Nie będę więcej rozszerzał się nad tym; myślę, żem dość już powiedział, ażeby dowieść, że najmniejszy ustęp z historii błędnych rycerzów może przejąć każdego rozkoszą i podziwem. Wierzaj mi, panie, weź się sam do czytania tych książek, a obaczysz, jak one błogo na duszę wpływają, jaką radością serce przejmują i jak złe nawet usposobienie na szlachetne przerabiają. Po sobie waćpanu mogę zaręczyć, że odkąd Bóg mnie błędnym rycerzem zrobić raczył, jestem walecznym, miłym, słodkim, szlachetnym i wspaniałym; jestem miłosierny, mężny, cierpliwy, niezmordowany i dzielnie znosić umiem tak ciałem, jak i duszą trudy, cierpienia, więzienia i czary. A chociaż mnie widzisz w tej chwili zamkniętego w tej klatce jak fiksata, nie rozpaczam przecież i cieszę się nadzieją, że za dni wiele siłą mego ramienia i łaską niebios nieograniczoną zostanę królem nad jakim wielkim państwem, gdzie będę mógł pokazać szczodrobliwość i wdzięczność moją w sercu teraz zamkniętą, bo zaprawdę, panie, ubogi choćby najlepsze miał serce, wspaniałym i uczynnym być nie może, a wdzięczność, w uczuciu tylko zawarta, jest cnotą martwą, jak wiara bez uczynku. Dlatego tylko jak najprędzej pragnąłbym zostać

rycerzem, aby pokazać moim przyjaciołom, jakie mam serce; o! dopiero bym ich bogato wyposażył! a przede wszystkim tego biedaka mojego giermka, co tam stoi, poczciwe człowieczysko, do rany przyłożyć; muszę mu koniecznie dać jakie hrabstwo, dawnom mu je obiecał, chociaż się boję, czy na tym stanowisku przyzwoicie się zachowa.

– Panie – przerwał mu Sancho, słysząc, co o nim mówi – postarajcie się tylko dać mi owo hrabstwo, na które tak dawno już mam chrapkę, a o resztę niech już was głowa nie boli, dam ja sobie radę. Wielka tam rzecz, przecież takich na świecie nie zabraknie, co proszą się u panów o ziemię na czynsz i pracują na nich w pocie czoła, jakby na siebie samych, a panowie sobie hulają w najlepsze i trwonią dochody, o nic się nie turbując. Jako żywo! i ja tak potrafię, nie tak straszna to filozofia. O! co targować to się długo nie będę, raz, dwa, masz dzierżawę, daj pieniądze, a z pełną kabzą będę sobie żył jak król. Niech tam sobie dzierżawcy sadzą kapustę, sieją rzepę, a mnie diabli do tego, miałbym się też o co troszczyć.

– Dobrze mówisz, przyjacielu Sancho – rzecze kanonik – ale to tylko intrat dotyczy; co do wymiaru sprawiedliwości wszakże, to nie tak lekko, w tym względzie każdy pan pilnej musi dokładać staranności; tu się wykazuje jego rozum, doświadczenie i uczciwe serca skłonności, które każdą czynnością jego od początku do końca kierować powinny. Bóg błogosławi zawsze ludziom dobrego serca, a złych zawsze prawie karze.

– Ja się tam nic na tych filozofiach nie rozumiem – odpowie Sancho – ale bylem tylko dostał do rączki to hrabstwo, to już wiem, że dam sobie radę i będę dobrze rządził; jestem tak samo z ciała i duszy jak inni i w moim państwie będę takim samym panem, jak każdy w swoim. A jako pan będę sobie robił, co mi się podoba, będę sobie postępował wedle mojej fantazji, będę kontent, a jak

będę kontent, to już niczego nie będę pożądał, a jak niczego nie będę pożądać, to czegóż mi, u diabła, więcej potrzeba? Żeby się tylko tego hrabiostwa dochrapać, a potem kłaniam się uniżenie, bywaj zdrów holenderski śledziu, jak mówi przysłowie.

– Te filozofie jednakże – zagadnął kanonik – nie tak są złe, jak powiadasz, mój Sancho, nie jedno dałoby się jeszcze powiedzieć w przedmiocie owych hrabstw.

– Ja tam nie wiem, co by się dało powiedzieć – przerwał Don Kichot – idę w tym za przykładem rycerzy mego powołania, co nagradzają zasługi giermków, robili ich panami miast i wysp, a niektórzy z tych giermków tak wielką mieli duszę i chciwą ambicję, że po korony nawet sięgali; oto nie daleko szukając, wszakżeż wielki i nieporównany Amadis z Galii zrobił swego giermka panem wyspy stałego lądu; czemuż bym i ja nie miał dać hrabstwa Sanchowi, kiedy jest niewątpliwie najpierwszym między giermkami całego rycerstwa błędnego.

Kanonik nie mógł wyjść z podziwienia, słysząc te ciągłe bziki Don Kichota; zdumiał się nad bystrością pomysłu improwizowanej powieści o rycerzu smołowego jeziora i nad silnym wrażeniem, jakie czytanie romansów w wyobraźni jego zostawiło, nie mniej podziwiał prostoduszność Sancha, natrętnie dopominającego się o hrabstwo i wierzącego ślepo, że mu je pan jego dać może jakby jaki ogród.

Kiedy nad tym wszystkim rozmyślał, służba przyprowadziła muła z żywnością i rozłożywszy pod cieniem drzew kobierzec na trawie, zaprosiła towarzystwo do stołu, którego nie było. Wkrótce gdy wszyscy zasiedli, usłyszeli odgłos dzwoneczka, dochodzący z opodal położonych krzaków i niebawem ujrzeli kozę srokatą, za którą gonił pastuch, przemawiając pieszczotliwym głosem, ażeby wróciła do trzody; uciekająca koza wpadła jak szalona w sam środek

obiadujących i stanęła; pasterz wziął ją za rogi i zaczął do niej przemawiać, jak gdyby ona go rozumiała:

– A cóż to się tobie stało, moje serduszko? czegożeś się tak zestrachała, powiedzże mi córuś moja? albo to, żeś samiczka, to już spokojnie usiedzieć nie możesz? Wracaj duszko, wracaj, lepiej ci będzie w oborze między twoimi, a cóż by się stało z twoimi towarzyszkami, gdybyś zginęła, ty, co je zawsze prowadzisz?

Podobała się kanonikowi ta mowa pasterza, poprosił więc, ażeby się nie śpieszył i kozy zaraz nie zabierał.

– Mój przyjacielu – mówił do niego – kiedy to samiczka, to trzeba ulec jej kaprysom, bo choćbyś nie chciał, to ona zawsze tak zrobi, jak jej się spodoba, wychylno kieliszek za nasze zdrowie i przekąś trochę, a koza tymczasem odpocznie.

I dał mu udziec na zimno z królika; pasterz wziął bez ceremonii, wypił zdrowie całej kompanii, po czym rzekł:

– Niech państwo nie myślą, że ja tak przez głupstwo gadam do tego zwierzęcia, to nie bez kozery; jestem ja sobie prostak, ale nie taki ciemny, ażebym nie umiał przemówić do ludzi tak samo, jak i do zwierząt.

– Wierzę bardzo – odezwał się pleban – wiem ja z doświadczenia, że w górach znajdują się czasami ludzie bardzo mądrzy i w tych chatach góralskich wcale nietrudno o prawdziwych filozofów.

– A przynajmniej, proszę panów – rzecze pasterz – to pewna, że nie brak tam ludzi z doświadczeniem i zdrowym rozumem. Gdybym tylko nie bał się państwa znudzić, tobym opowiedział małą historyjkę na dowód tego, co wyrzekł ksiądz dobrodziej i ja za nim.

– Mój przyjacielu – odezwie się Don Kichot, zabierając głos za całe towarzystwo – widzę, że powieść twoja mieć będzie jakiś związek z błędnym rycerstwem, słuchać cię więc będę z całego serca i jestem pewien, że ci panowie także, bo lubią rzeczy ciekawe

i nowe. Zaczynaj więc, mój bracie, wszyscyśmy do słuchania gotowi.

Pasterz poklepał kozę po grzbiecie, mówiąc jej:

– Połóż się przy mnie srokatko, połóż; poczekaj, zaraz wrócimy do trzódki.

Koza, jakby rozumiała pana, wyciągnęła się jak długa u nóg jego, a patrząc mu bystro w oczy, zdawało się, że czeka, aż zacznie. On też zaczął w ten sposób:

Rozdział XXIII

Zawierający opowiadanie pasterza

– O trzy mile od tej doliny, w jednej z najbogatszych wsi całej okolicy, żył poczciwy kmieć, kochany i szanowany przez wszystkich sąsiadów nie tyle dla swojego bogactwa, ile dla uczciwości i dobrego postępowania. Ale on uważał się więcej szczęśliwym z posiadania roztropnej i bardzo pięknej córki, niż z całego swojego mienia. Nie miała ona jeszcze szesnastu lat, a odgłos o jej dziwnej urodzie rozszedł się nie tylko po sąsiednich siołach, ale i do najodleglejszych dochodził okolic, co pobudziło do takiej ciekawości, że z dalekich nawet stron zbiegano się, ażeby ją zobaczyć jako cud piękności. Ojciec strzegł jej jakby oka w głowie, a ona żyła cnotliwie i skromnie. Toteż mnóstwo młodych ludzi ze wsi i z okolicy zwabionych zamożnością ojca, wdziękami córki, a nade wszystko dobrą ich obojga sławą, przybiegło w zaloty i żądając wszyscy jej ręki, kaduczny ojcu sprawiali kłopot w wyborze męża.

W liczbie wielbicieli ja byłem może jeden, który mogłem się spodziewać przychylnego skutku; z tej samej wsi, nadto dobrze znany ojcu, który wiedział, że pochodzę z rodziców najmniejszą

nieskażonych plamką, znał mój majątek, wiek, a do tego mówiono w całej okolicy, że mi nie zbywa na rozsądku. Wszystko przemawiało za mną, ale znalazł się drugi parobczak z tej samej włości, imieniem Anzelm, którego wszyscy bardzo chwalili i on także myślał o Leandrze (tak było na imię dziewczynie); poczciwy ojciec nie wiedział, któremu z nas dać pierwszeństwo; obu nas zarówno cenił i nie mogąc się ku żadnemu przechylić, wybór między nami całkowicie zostawił córce; chodziło mu także i oto, ażeby własnym wyborem skłonności jej serca nie urazić. Nie wiem, co odpowiedziała Leandra, ale od owego czasu ojciec jej tak się zręcznie z nami obydwoma wywijał, tak nam często powtarzał, że córka jeszcze za młoda, iż obu nas trzymał z daleka, ani przyciągając, ani odpychając. Kiedy nas wodził w ten sposób, przybył do wioski niejaki Wincenty Róża, syn ubogiego wieśniaka z tej samej osady. Kapitan wojsk królewskich, przechodząc tędy ze swoją kompanią, zwerbował go do żołnierzy kiedy miał lat dwanaście; po upływie drugich lat dwunastu, nawłóczywszy się po Włoszech i po innych dalekich krajach, wrócił do nas ów Wincenty, wystrojony po wojskowemu, upstrzony w różnobarwne płatki, jakby jaki Indianin, i mnóstwem fatałaszek szychowych i świecących poobwieszany. Dzień w dzień inaczej się przebierał; dziś brał na siebie jedno ubranie, jutro znów inne, a wszystkie niewiele były warte; na wsi zwyczajnie, jak na wsi, każdy lubi drugiemu przypiąć łatkę, a że to i roboty nie ma wiele i język świerzbi do złego, wszyscy więc przypatrywali się tej jego elegancji i w końcu przekonali się, że całej parady ma tylko trzy ubrania z odmiennych materii, licząc w to spodnie, podwiązki i resztę przyborów, wszystko trochę podszarzane, tak sobie od biedy, ale umiał tym rupieciem tak jakoś kręcić, przeplatać i mydlić ludziom oczy, że każdy by przysiągł, iż ma ich po dziesięć sztuk

przynajmniej. Nie dziwcie się, państwo, że wam o tych fraszkach mówię, obaczycie później, że nie bez przyczyny o nich wspomnieć musiałem. Wojak nasz zwykle siadał na ławeczce pod rozłożystym wiązem, pośrodku wsi stojącym, i rozpowiadał tam swoje przygody, przechwalając się walecznością i czynami swoimi. Nie ma kąta na świecie, ażeby w nim nie był, nie ma batalii, ażeby do niej nie należał; własną ręką nawybijał Maurów więcej, niż ich żyje w Maroko i Tunisie; Gante, Luna, Diego de Garcia de Paredes i tysiące innych głośnych wojowników, których z imienia i nazwiska wymieniał, nie odbyli tylu bitew, co on, a zawsze zwycięsko i tak szczęśliwie z nich wychodził, że ani kropelki krwi nie uronił. Rozpowiedziawszy nam tak walne wyprawy, pokazywał niby to blizny, których nikt dojrzeć nie mógł, i kazał nam wierzyć, że je od kul muszkietowych w rozmaitych potyczkach otrzymał. Ażeby go już całkiem odmalować, muszę i to powiedzieć, że był tak dumny i taki ton sobie nadawał, iż każdego od razu tykał jeśli był równy, a z ludźmi od siebie stateczniejszymi za pan brat sobie poczynał; mawiał także, że oręż był mu ojcem, a czyny rodowitość mu dały, że jako żołnierz nikogo wyższym na świecie nie uznaje. Przy całej tej chełpliwości fanfaronik ten umiał trochę śpiewać, brzdąkał niby to na gitarze, o której opowiadał, że ją dostał od jakiejś księżniczki, i tymi sposoby tumanił głupców tak, że go za dziwowisko świata poczytywali i bawił wszystkich mieszkańców wioski. I więcej jeszcze talentów miała ta lala: był nadto poetą i z najbzdurniejszego wydarzenia w okolicy składał wierszami sążniste piosenki. Tego to wojaka, tego Wincentego Różę, trefionego gacha i junaka, obaczyła przez okno Leandra. Świecidełka w oko jej wpadły, piosenki, które na wiele rąk rozpisywał i szczodrze rozdawał, zawróciły jej głowę i opowiadania bohaterskich czynów, którymi szafował w wojnie, zachwycały ją, słowem, podobał jej się

paliwoda; diabeł się wdał jakoś i zakochała się na zabój, nim jeszcze sam ośmielił jej się miłość swoją oświadczyć. W miłości wszystko piorunem idzie, nikt się z nas jeszcze nie spostrzegł, a Leandra z Wincentym na piękne się już kochali i tak mądrze rzecz prowadzili, że nietrudno im było dokonać, co sobie zamierzyli. Leandra jednego dnia uciekła od ojca, który ją kochał nad życie, i poszła za człowiekiem, którego prawie nie znała; a Wincenty Róża pewno był szczęśliwszy w tej wyprawie, niż w tych wszystkich, z których się tak chełpił. Wszystkich zadziwiła rzecz tak niesłychana, ojczysko się zmartwił śmiertelnie, a my z Anzelmem z rozpaczy ledwośmy nie pomarli.

Krewni tymczasem, strasznie oburzeni, poszli ze skargą do sądu i wysłano natychmiast w pogoń strażników, którzy obsadzili wszystkie wąwozy, wszystkie drożyny w lasach, a że dobrze byli zapłaceni, tak się uwinęli, że we trzy dni znaleźli Leandrę w jaskini w jednej tylko koszuli i obraną zupełnie ze złota i klejnotów, które od ojca zabrała. Przyprowadzili biedaczkę do ojca; wyznała, że Wincenty Róża zwiódł ją, obiecując się ożenić, i namówił, żeby jechała z nim do Neapolu, gdzie, jak powiadał, wielkie ma stosunki; tym sposobem niegodziwiec ten, kazawszy jej zabrać wszystkie kosztowności i klejnoty, wyprowadził łatwowierną w góry i tej samej nocy jeszcze, kiedy uciekła, zamknął ją w jaskini tak, jak ją znaleziono, nie żądając nic więcej od niej i żadnego nie zadając gwałtu.

Trudno było wierzyć, żeby młody junak tak był obojętny i wspaniałomyślny, ale Leandra zaprzysięgła się na wszystkie świętości biednemu ojcu, a on w tym zapewnieniu córki znalazł pociechę strapionego serca i Bogu gorące składał dzięki, że ją tak cudownie od hańby uchronił. Tego samego zaraz dnia, kiedy wróciła Leandra, ojciec ją cichutko wywiózł do pobliskiego miasta

i zamknął tam w klasztorze, żeby czas zagładził plamę, którą tak nieroztropnie się skaziła. Ci, których ona mniej obchodziła, tłumaczyli młodością jej lekkomyślność, ale ci, co ją lepiej znali, nie mogli przypisywać tego błędu jej niewiadomości i składali go raczej na przyrodzoną pochopność kobiet ku nierozwadze i płochości. Od chwili, jak Leandra znikła, Anzelm wpadł w wielką melancholię i w niczym nie znajdował przyjemności; dla mnie, co ją tak bardzo kochałem i co ją może kocham jeszcze, nic już nie zostało na świecie, życie stało mi się nieznośne. Nie powtarzam wam przekleństw, któreśmy obydwaj miotali na bezecnego żołnierza, nie mówię, jak potępialiśmy ojca, że tak źle córki pilnował, i ile jej samej zrobiliśmy wyrzutów, wszystko to rzeczy zwyczajne u nieszczęśliwych kochanków, a do niczego zgoła nieprowadzące. Obydwaj z Anzelmem równo strapieni i równo niepocieszeni, usunęliśmy się w tę dolinę, gdzie każdy z nas pasie swoją trzodę, pędząc życie wśród drzew, wzdychając na osobności, lub też śpiewając wspólnie piosnki na cześć Leandry, albo na jej potępienie. Za naszym przykładem i inni kochankowie jej przenieśli się w te góry, by pędzić życie jak my. Tyle się stąd namnożyło pasterzy i trzód, że zrobiła się tu jakby druga Arkadia, o której zapewne nieraz słyszeliście. Odtąd nie ma tu miejsca naokoło, gdzie by nie rozbrzmiewało imię Leandry. Tu pasterz nazywa ją płochą i lekkomyślną; inny mianuje ją nieroztropną i łatwą; inni znów potępiają ją i usprawiedliwiają razem. Ów opiewa jej piękność i opłakuje oddalenie; tamten wyrzuca cierpienia, jakie mu zadaje. Wszyscy nią gardzą, a wszyscy uwielbiają i ten szał ogólny tak jest wielki, że znajdują się tacy, co płaczą na jej obojętność, choć jej w życiu nie widzieli, lub mrą z zazdrości, choć jej wcale nie znali. Słowem, na wszystkich skałach wokoło, pod wszystkimi drzewami i nad brzegiem strumyków, widzisz tu tłumy kochanków, żałośnie

rozpaczających; echa ciągle powtarzają imię Leandry, jaskinie gór dźwięczą nim bezustannie, na korach drzew wszędzie ono wyryte i rzekłbyś, że wody strumyków mruczą je tajemnie; dniem i nocą brzmi tu w powietrzu imię Leandry, która o nas nie pomyśli nawet może; wszystkich nas łudzi nadzieja, wszystkich przygnębia obawa, a żaden nie wie, czego się boi i czego spodziewa. Z pośród tylu szaleńców najdziwaczniejszym i najrozsądniejszym zarazem jest zapewne Anzelm, współzawodnik mój, który mając tyle powodów do użalania, żali się wszakże na oddalenie Leandry jedynie i żale swe rozwodzi pięknymi śpiewami, wtórując sobie na skrzypcach, na których gra do zachwycenia. Ja zaś, wcale nierozsądniejszy od innych, pędzę życie, utyskując na niestałość kobiet, na zawodność ich obietnic, na nieroztropność ich w każdym kroku.

Teraz, panowie, macie rozwiązaną tajemnicę słów, którymi strofowałem tę kózkę, kiedym się do was zbliżył; bo jako samicy nie cenię jej wiele, choć najpiękniejsza z całej trzody, i nie dziwcie się temu, bo nie wiem, gdzie boleść moją skierować. Nie wątpię, żem was nie zabawił swoją opowieścią, lecz boleję nad tym więcej, niż wy sami; ale jeżeli raczycie uczynić mi prawdziwy zaszczyt i zajść do mego szałasu tuż opodal, postaram się naprawić wyrządzoną wam przykrość, ugaszczając was skromną biesiadą z mleka, sera i owoców, która może miłą wam będzie.

Rozdział XXIV

O zajściu Don Kichota z pasterzem i o awanturze z pokutnikiem, z wielkim przez kawalera dokonanej trudem

Historię uznano za dobrą, a kanonik, któremu podobała się bardzo, chwalił wymowę pasterza, który unikając nieprzyzwoitych i prostackich wyrażeń, opowiadał jako człowiek rozsądny

i z wyższym o rzeczy wyobrażeniem; proboszcz więc miał słuszność, utrzymując, że i w górach znaleźć często można ludzi z dowcipem i znających świat. Wszyscy kwapili się z okazaniem mu uprzejmości i ofiarowali się ze swoimi usługami; ale Don Kichot chciał się okazać wspanialszym niż inni, w dziwny wszakże sposób został za to wynagrodzony.

– Wierzaj mi, bracie – rzekł on – że gdybym był w stanie przedsiębrać jaką awanturę, nie czekałbym ani chwili, żeby ją na twoje poświęcić usługi, biegłbym co żywo wyrwać Leandrę z klasztoru, gdzie bez wątpienia mimo swej woli zostaje i nie zważając na ksienię, ani wszystkie mniszki na świecie, złożyłbym ją w twoje ręce, żebyś z nią robił, co by ci się tylko żywnie podobało, byleś zachował prawa błędnego rycerstwa, które najmniejszej damom nie pozwalają robić przykrości. Atoli mam nadzieję, że moc złośliwego czarownika nie będzie tak silna i że znajdzie się drugi przychylny dla mnie, co złamie jego zaklęcie, a wtenczas bądź pewny moich względów i potężnego poparcia, stosownie do praw mego powołania, które obowiązują wspierać uciśnionych.

Pastuch, który dotąd nie zwrócił swej uwagi na Don Kichota, zmierzył go teraz od stóp do głów i nie widząc, żeby mina jego zgodna była choć cokolwiek ze sposobem oświadczenia się, zwrócił się do balwierza najbliżej siedzącego i rzekł:

– Mój panie, któż to jest ten człowiek, co tak dziwnie mówi?

– He! kto on jest? – odparł balwierz – a któżby, jeśli nie sławny Don Kichot z Manchy, wielki protektor pokrzywdzonych, pojednawca zwaśnionych, płci pięknej potężny obrońca, postrach olbrzymów i niezwyciężony we wszystkich bitwach zwycięzca.

– To coś podobnego – rzekł pasterz – do tego, co można czytać o owych błędnych rycerzach, którzy te wszystkie, które wyliczyłeś, mieli przymioty, ale jak mnie się zdaje, to powiem panu szczerze,

że albo sobie ze mnie żartujesz, albo temu poczciwemu szlachciurze brakuje we łbie piątej klepki.

– A ty łajdaku! zuchwalcze! – wrzasnął Don Kichot – to ty nie masz ani jednej klepki we łbie, a ja ich mam tysiąc razy więcej niż psia mać, co cię wylęgła, i cały twój ród szelmowski!

I to powiedziawszy, porwał bochen chleba ze stołu i z taką wściekłością ugodził nim w pastucha, że mu nos na miazgę rozbił, a zęby w gębie, jak w grzechotce, zaklekotały. Pasterz widząc, że to nie żarty, nie rad krzywdy znosić, rzuca się wręcz na Don Kichota i uchwyciwszy go za gardło, dusi niemiłosiernie, i byłby go pewnie uśmiercił, gdyby Sancho, nie zważając na całą zastawę, półmiski, talerze, nie schwycił go za kark i w stos rozrzuconych naczyń, butelek i potraw nie powalił. Don Kichot, oswobodzony z rąk napastnika, chwycił się znów do niego, a ten widząc, że ma z dwoma do czynienia, zaczął omackiem szukać noża około siebie, chcąc się krwawo pomścić za pokrwawioną twarz i potłuczone ciało; szczęściem atoli kanonik i pleban zawczasu uprzątnęli wszelką broń sieczną. Balwierz, człowiek bardzo miłosierny, ulitował się nad biedakiem i wziął się do Don Kichota tak gracko, że go powalił pod siebie i okładał gradem kułaków, a mszcząc się za krew tamtego, tak mu nos oporządził, że obydwaj teraz wyglądali jakby w maskach, ani by ich poznał. Kanonik z plebanem pękali od śmiechu; łucznicy nie posiadali się z radości, a wszyscy podżegali ich przeciw sobie jak psy; Sancho tylko wściekał się z rozpaczy, że nie może iść w pomoc panu, bo go trzymał jeden ze sług kanonika; ale nie mogąc mu być inaczej pomocnym, wołał nań, co gardło wystarczy, ażeby się trzymał ostro i dostojeństwa swego nie dał poterać takiemu świszczypale, zaręczając, że jak tylko będzie wolny, to go wydobędzie z biedy.

Kiedy jedni tak się śmieją, a drudzy zażarcie czubią, daje się nagle słyszeć odgłos trąbki, tak żałosny i smutny, że wszystkich uderzył, a Don Kichota najbardziej, i choć zbity na ciele i przywalony całym ciężarem przeciwnika, w duchu porzuca zemstę, a folgując ciekawości:

– Bracie szatanie! – rzecze odważnie do napastnika swego – bo kim innym przecież być nie możesz, kiedyś tak dzielny, żeś mnie dał radę, wiesz co, wstrzymajmy bój chociaż na godzinę, bo mi się zdaje, że żałosny dźwięk tej trąby na nową wzywa mnie przygodę.

Pasterz, dobrze znużony bójką, która i jemu dała się we znaki, puścił go zaraz, a Don Kichot, zerwawszy się na nogi i wyprostowawszy należycie, otarł twarz z kurzu i zwrócił się w stronę, skąd odgłos dochodził, Niebawem na pochyłości wzgórza pokazało się kilku ludzi, w białe szaty przybranych, jakby pokutnicy lub mary jakie.

Z powodu niesłychanej suszy w tym roku odprawiano w całej okolicy procesje, modły i pokuty na ubłaganie nieba o deszcz i byli to właśnie mieszkańcy pobliskiej wioski idący w procesji do świętego miejsca, u podnóża gór będącego. Don Kichot skoro tylko obaczył niezwyczajny ubiór pokutników, niepomny, że sto razy w życiu ich widział, uroił sobie natychmiast, że to nowa jakaś przygoda, do której on, jako jedyny błędny rycerz w całym towarzystwie, z prawa i urzędu musi być powołany. Pokutnicy nieśli, jak zazwyczaj, święty obraz żałobnym kirem okryty; to jeszcze bardziej utwierdziło go w urojeniu. Zdawało mu się, że to musi być księżniczka jakaś, którą niecni rozbójnicy gwałtem uprowadzają. Tą myślą zagrzany, przypada żywo do pasącego się spokojnie Rosynanta, kiełzna go i wnet dosiada; giermek broń mu podaje, a zasadziwszy tarczę, gotowy rycerz do boju w ten sposób przemawia do obecnych:

– Teraz to, zacni i dostojni panowie, obaczycie, ile światu na tym zależy, ażeby się na nim znajdowali ludzie, poświęcający się błędnemu rycerstwu; teraz, powtarzam, poznacie czyny moje i gdy wrócę wolność tej damie uwięzionej, przekonacie się, jaka cześć należy się tym, których zakon wskrzesiłem.

Rzekłszy to, wspina piętami Rosynanta, bo ostróg nie miał, i cwałem puszcza się na pokutników, mimo usiłowań plebana, kanonika i Sanchy, który z całej siły wrzeszczał na niego:

– A gdzież, u diabła, lecisz znów, wielmożny Don Kichocie? a czy cię diabli opętali, żeby tak godzić na świętość religii? Alboż nie widzisz, że to pokutnicy idą procesją i że nie żadną damę, tylko obraz Najświętszej Bogarodzicy niosą na barkach? Cóż u stu piorunów, czyś się wściekł, wielmożny panie, czy co? Adyć panie, panie, panie! dostojny rycerzu, zwierzchniku i łaskawco mój, zastanówże się, co robisz?

Na próżno Sancho krzyczał, lamentował i rzucał się. Panu w głowę wlazło, że musi uwolnić damę w żałobie i nie było rady, sam diabeł już by go nie zawrócił. Przyskoczył do idących procesją, osadził Rosynanta na dwadzieścia kroków przed nimi i wrzasnął na nich chrapliwym i gniewnym głosem:

– Stójcie, nikczemnicy, co sobie twarz zakrywacie dlatego, że jesteście podłymi rozbójnikami, stójcie i słuchajcie!

Naprzód zatrzymali się ci, co obraz nieśli; jeden z czterech księży śpiewający litanię, widząc cudacką postać Don Kichota, ostrokościstość Rosynanta i całą śmieszność jego rycerskiego przyboru:

– Bracie mój – odezwał się – jeżeli masz nam co powiedzieć, to śpiesz się, bo tym biedakom bardzo ciężko i nie mamy wiele czasu do słuchania.

– Jedno słowo tylko mam powiedzieć – odparł Don Kichot – a to jest, abyście natychmiast puścili na wolność tę piękną damę, której łzy i postać bolejąca świadczą aż nadto, że gwałt jej zadajecie i mimowolnie ją uprowadzacie. Ja, com powołany na świat po to, by podobne gwałty karcić, nie mogę was puścić bezkarnie, dopóki wolności jej nie wrócicie.

Z takiej przemowy łatwo poznali ci ludzie, że pan rycerz był niespełna rozumu, zaczęli się też śmiać serdecznie. Tego tylko brakowało; bohater nasz, widząc takie lekceważenie siebie, dobył miecza i jak wściekły rzucił się ku obrazowi. Jeden z niosących go wystąpił zaraz naprzeciw Don Kichota i grubymi widłami, którymi podpierał obraz w czasie odpoczynku, tak go uraczył za pierwszym zamachem, że widły prysły na dwoje, pozostałą połową poprawił jeszcze i tak go dojechał po lewym boku, że tarcza pękła, a Don Kichot runął na ziemię jak długi, ani znaku życia nie dając. Sancho, ciągle pilnujący pana, przybiegł natychmiast zadyszany, a widząc go tak poturbowanym, wołał na chłopa, ażeby mu dał pokój, bo to jest biedny rycerz zaklęty, który przez całe życie nikomu nic złego nie zrobił. Chłop może by nie zważał na krzyki Sancha, ale spostrzegłszy, że Don Kichot ani drgnie, sądził, że go zabił, niewiele więc myśląc, zakasał komży i wziąwszy nogi za pas, drapnął jak oparzony. Towarzystwo Don Kichota zbliżało się tymczasem; ludzie z procesją, widząc ich pośpiech, a między nimi żołnierzy z muszkietami, sądzili, że trzeba im się mieć na baczności, stanęli więc szykiem około obrazu i podniósłszy z oczów kaptury, pokutnicy z dyscyplinami, a księża z wielkimi lichtarzami w ręku czekali ataku, gotowi do obrony. Los szczęśliwy strony, na pozór zwaśnione, przyjaźnie pogodził.

Kiedy Sancho myśląc, że pan już nie żyje, rzucił się na ciało jego i straszne a śmieszne jęki rozwodzić zaczął, ksiądz od procesji poznał

plebana z przeciwnego obozu; uspokoiło to umysły obu stron. A kiedy pleban opowiedział koledze, co to za jeden był Don Kichot, poszli zaraz razem, a za nimi pokutnicy i reszta orszaku zobaczyć, co się dzieje z biednym szlachcicem. Gdy się do niego zbliżyli, zastali Sanchę zalanego łzami i jakby pogrzebową mowę perorującego w ten sposób:

– O kwiecie rycerstwa! tobież to ginąć od nędznego kija! O zaszczycie rodu swego, pomniku sławy dla całej Manchy i całego świata, który osierocasz swą śmiercią i zostawiasz na pastwę niecnym, co go do góry nogami przewrócą, bo już nikogo bać się nie będą, ażeby karcił ich rozboje! O rycerzu wspanialszy od wszystkich na świecie Aleksandrów, coś mnie za ośmiomiesięczną tylko służbę udarował najpiękniejszą na ziemi wyspą! O ty pokorny z dumnymi, zuchwały z pokornymi, niebezpieczeństw jak kania dżdżu łaknący, na ciężką dolę cierpliwy, w miłości nieprzenikniony, dobrych naśladowco, a tępicielu złych i wszelkiej niegodziwości wrogów! O rycerzu błędny, tyś był wszystkim, czym być można na świecie!

Jęki i szlochy Sanchy wskrzesiły Don Kichota; głębokim, przeciągłym i żałosnym westchnieniem dał pierwszy znak życia i rzekł zaraz:

– Kto z dala od ciebie, o nieporównana Dulcyneo, ten tylko nieszczęśliwym być może, na każdym kroku czeka go niedola! Sancheczku kochany, podźwignij mnie trochę i włóż na wóz zaklęty, nie jestem w stanie utrzymać bystrego Rosynanta, bo ramię mam strzaskane.

– Z całego serca włożę was, mój miły panie; co tam, wracajmy już do wsi naszej, wracajmy: ci panowie nas odprowadzą, to wszystko przyjaciele wasi, tam sobie ułożymy lepszą wyprawę, która nam więcej sławy i pożytku przyniesie.

– Słusznie mówisz, Sancho – odpowie Don Kichot – roztropność każe unikać fatalnego gwiazd wpływu i strzec się złej godziny.

Kanonik, pleban i balwierz potwierdzali to jego zdanie, a ubawiwszy się serdecznie gadaniną Sancha, usadowili Don Kichota na wozie tak samo jak przedtem.

Procesja ruszyła porządkiem do miejsca świętego; pasterz, pożegnawszy kompanię, poszedł w swoją drogę; strażnicy, widząc, że już niepotrzebni, wzięli zapłatę od plebana i odeszli także. Kanonik, uściskawszy się z plebanem i uprosiwszy go solennie, żeby mu donosił, co się stanie z Don Kichotem, pojechał dalej w swoją drogę. Wszyscy się rozjechali i został tylko pleban, balwierz, Don Kichot i Sancho z nieśmiertelnym Rosynantem, który w tylu obrotach nie mniej dał dowodów cierpliwości niż pan jego. Wielkiego, słynnego i niezwyciężonego Don Kichota usadowili w klatce na wiązce siana. Podwodnik zaprzągł woły i ruszył drogą, którą mu pleban wskazał. Jadąc noga za nogą, szóstego dnia przybyli do wioski pewnego szlachcica i gdy wjeżdżali w samo południe, że to, na szczęście, była niedziela, wszystko, co żyło, zebrało się przed wieś i z wielkim dziwowiskiem witało współrodaka, którego zaraz poznali.

Kiedy tłumy ludzi obległy wóz i jedni przez drugich dopytywali się Don Kichota, co się z nim działo, a tych, co z nim stali, dlaczego wiozą go tak dziwacznie, jakiś chłopak pobiegł uwiadomić ochmistrzynię i siostrzenicę, że pan ich przyjechał do wsi na wozie wołami zaprzężonym, rozciągnięty na sianie, mizerny i wychudły jak szkielet. Biedne kobieciska przelękły się strasznie i aż litość brała słyszeć ich krzyki, widzieć, jak włosy sobie z głowy rwały, jak okropnie te diabelskie księgi przeklinały, a wszystko to było niczym, dopóki nie obaczyły wchodzącego Don Kichota i nie przekonały się, że jeszcze nędzniej wygląda, niż im doniesiono.

Na wieść o przybyciu szlachcica jedna z pierwszych przybiegła żona Sancho Pansa, żeby ich powitać i zaraz na wstępie spotkawszy Sanchę, pytała:

– No i cóż, mój mężulku, jakże się miewa nasz osioł?

– Miewa się lepiej niż pan jego – odpowiedział Sancho.

– Bogu najwyższemu chwała, że mi takiej łaski dał doczekać.

– Rozpowiedzże mi zaraz, mój miły, coś zarobił na tym swoim koniuszostwie brudnym, czy błędnym, gdzież masz suknię dla mnie, gdzie trzewiki dla dzieci?

– Nie mam żadnych fatałaszków – odpowiedział Sancho – ale przywożę za to daleko ważniejsze rzeczy.

– Aha! to co innego, aż mi serce rośnie! – rzecze żona – pokażże mi te ważne rzeczy, mój mileńki, pokaż zaraz, niechże sobie czym serce pocieszę, bo nie wiem, dlaczego od czasu, jakem twego pyszczka nie oglądała, ciągle mi tak smutno i przykro, że sobie rady dać nie mogę.

– W domu ci je pokażę, kobieto – odpowie Sancho – trochę cierpliwości miej teraz, a za Bożą pomocą mam nadzieję, że ruszymy jeszcze raz na wyprawę i jak wrócę, zobaczysz mnie hrabią albo władcą wyspy, ale to wyspy co się nazywa, wyspy porządnej, lądowej, nie takiej tam, co to tuzinami po morzu się walają.

– Dajże ci Panie Boże, mój mężu! – rzecze kobieta – bardzośmy też zbiedzeni, ale co to te zaspy, czy wyspy, mój miły, bo ja to jakoś tego nie rozumiem.

– Nie dla psa kiełbasa – odpowie Sancho – przyjdzie czas, to się dowiesz, moja kobieto i ślepie wytrzeszczysz z dziwowiska, jak cię wasale jaśnie wielmożną zwać będą.

– O dla Boga, Sancho, co też to ty gadasz, mnie jaśnie wielmożną będą nazywać wasany? – zapyta zdziwiona Juana Pansa.

Takie było imię żony Sancha, nie dlatego, żeby byli krewnymi, ale, że jak powiada Benengeli, zwyczaj jest w Manchy, iż kobiety przybierają nazwisko męża.

– Nie kwap się tak zaraz wszystko wiedzieć – odpowie Sancho – czekaj czasu, jak Żyd szabasu. Poprzestań na tym, że ci to mówię i zamknij gębę; tymczasem tylko niech ci będzie wiadomo, że nie ma nic milszego w świecie, jak być koniuszym u błędnego rycerza, który goni za przygodami. Prawda, że nie wszystkie przytrafiają się tak, jakby człowiekowi było po myśli i że ze stu dziewięćdziesiąt dziewięć bywa takich, co ci kością w gardle staną; doświadczyłem ja tego, moja kobieto, Bogu dzięki kosztowałem ja ich dosyć, ale i one mnie też kosztowały, a nieraz i ugryzły porządnie. Bywało wszystkiego nieskąpo, to mnie w powietrze wyrzucali, to znów kijami na leśne jabłko zbili i to nieraz, ale to się zapomni i mimo całe złe, nie bacząc krzywdy i bólu, rzecz nad wszystko rozkoszna gonić za fortuną po lasach, borach, górach, głogach i przepaściach! O, żebyś to ty była wiedziała, w jakich się to zamkach bywało, po jakich gospodach stawało i bez grosza w kieszeni, najesz się, napijesz, a zapłacisz tyle, co się z diabłem podzieli.

W ten sposób rozmawiał Sancho ze swoją kobietą; ochmistrzyni zaś z siostrzenicą rozbierały tymczasem Don Kichota i położyły go w łóżku; on się przyglądał jednej i drugiej i poznać nie mógł. Pleban zalecił mocno siostrzenicy, żeby pilnowała wuja, a szczególniej, żeby mu nie dała znów się z domu wyruszyć i opowiedział jej ile mieli biedy ze sprowadzeniem go na powrót. Tu znów poczciwe kobieciska szlochać zaczęły, znów najokropniejsze przekleństwa miotały przeciw księgom rycerstwa i do tego stopnia się uniosły, iż zaklinały niebo, żeby ich autorów w piekielnych przepaściach pogrążyło. Z całych sił wzięły się teraz do czuwania nad biednym szlachcicem, pielęgnowały go, jak mogły, drżąc ciągle

ze strachu, żeby im znów nie uciekł, jak tylko trochę do zdrowia powróci.

Autor tej historii, pomimo najusilniejszych starań o wyszukanie akt i dokumentów, dotyczących trzeciej wyprawy Don Kichota, nie mógł nigdy ich znaleźć, a przynajmniej nie był nigdy w stanie powziąć autentycznych wiadomości o tej wyprawie. Sława jedynie przechowała w pamięci ludów Manchy, że Don Kichot, wyruszywszy po raz trzeci z domu, przybył do Saragossy i był uczestnikiem w wielkim turnieju, gdzie dokazywał cudów godnych swej waleczności i doskonałości swojego rozumu. Autor również nie mógł się nic dowiedzieć o innych jego przygodach, ani jaki był koniec życia jego i nic by o tym wszystkim dotąd nie wiedział, gdyby szczęśliwym trafem nie był się spotkał z pewnym starym doktorem, który miał u siebie skrzynię ołowianą, jak powiadał, znalezioną w fundamentach dawnej pustelni, świeżo odbudowanej, w której to skrzyni zamknięty był pergamin, a na nim spisane wiersze hiszpańskie greckimi literami, opiewające niektóre wypadki z życia Don Kichota, wychwalające piękność Dulcynei z Toboso, dziarskość Rosynanta i wierność Sancho Pansy, a oprócz tego wiele innych, nader ciekawych rzeczy wspominające. Pilny i wierny autor tej niesłychanej historii podaje tu wszystko, co tylko się daje z tego pergaminu wyczytać, i za całą nagrodę trudów swoich w wertowaniu archiwów Manchy żąda jedynie od czytelnika, ażeby historii niniejszej wierzył, tak jak poczciwi ludzie wierzą księgom rycerskim, tyle dziś kredytu w świecie używającym. Nic więcej nie żąda, to mu aż nadto wystarczy na zachętę do nowych trudów i nowych poszukiwań, do wynalezienia rzeczy niemniej prawdziwych, a co najmniej równie uciesznych.

KSIĘGA PIĄTA

Rozdział I

Trzecia wyprawa Don Kichota

Cyd Hamed Benengeli powiada, że pleban z balwierzem przez miesiąc prawie nie zajrzeli do Don Kichota, a to z obawy, żeby sobie nie przypomniał dawnych bzików i żeby mu nie przyszła ochota na nowo je rozpocząć. Odwiedzali wszakże często ochmistrzynię i siostrzenicę, zalecając im zawsze, żeby starały się wynajdywać rozmaite rozrywki Don Kichotowi, żeby mu dawały do jedzenia posilne i zdrowe pokarmy, mięsa jak najwięcej, bo idzie głównie o pokrzepienie mózgu, z osłabienia którego wszystko złe widocznie wynikło. Kobiety zaręczały, że trzymają się tego przepisu i że na przyszłość trzymać się go będą z całą ścisłością, bo widzą dokładnie, że Don Kichot miewa chwile szczęśliwe, w których zdaje się być przy zupełnym rozumie. Niezmiernie ucieszyli się tym pleban z balwierzem, przypisując tak pożądany skutek swojemu zaklęciu, którego osnowę opisaliśmy poprzednio w pierwszej części, a ostatnim rozdziale tej wielkiej i prawdziwej historii.

Nie wierzyli oni, żeby kiedy bądź całkowicie z tej choroby mógł się wydobyć, chcąc wszakże przekonać się osobiście o ile prawdą było, co im kobiety mówiły, postanowili odwiedzić go i zobaczyć, jak się też miewa. Umówili się przeto, żeby ani słówka przy nim nie pisnąć o błędnym rycerstwie, bo za lada dotknięciem niezabliźniona jeszcze rana łatwo rozognić się może.

Tak nastrojeni, weszli do niego i zastali go siedzącego na łóżku w kaftanie zielonym kucbajowym, z czerwoną wyblakłą szlafmycą na głowie, tak znędzniałego i wychudłego, iż do mumii bardziej, niż do żyjącej istoty był podobny. Przyjął ich nader przyjacielsko, a na pytania o zdrowie odpowiadał bardzo roztropnie, przyzwoicie i z wielką uprzejmością za nie dziękował. Po dość długiej gawędce o różnych rzeczach rozmowa zeszła jakoś na politykę i sztukę rządzenia; mówiono wiele o rozmaitych reformach, potępiano jeszcze więcej, wykazywano bez miary nadużycia i niesprawiedliwości, praw stanowiono bez liku; słowem, każdy z trzech przyjaciół zdawał się być nowym prawodawcą, wielkim rodu ludzkiego dobroczyńcą, drugim Likurgiem lub poprawnej rasy Solonym, a wszyscy razem cały porządek rządowy i administracyjny kraju tak przenicowali i przerobili, jak kowal, kiedy weźmie sztabę żelaza i przy pomocy ognia wykuje z niej coś zupełnie nowego i potrzebnego. Don Kichot całą tę rozmowę prowadził tak rozsądnie, poważnie i głęboko, że obydwaj przyjaciele naprawdę wierzyć zaczęli w zupełny powrót jego do zdrowia i rozumu.

Siostrzenica i ochmistrzyni, obecne tej rozmowie, zalewały się łzami radości jak bobry i nie wiedziały, jak Bogu dziękować, że pan ich tak ślicznie już na rozumie wyzdrowiał. Pleban wszakże, niezmiernie zdziwiony nagłą odmianą, chcąc się o jej stanowczości przekonać, zmienił nagle plan poprzednio ułożony i od niechcenia rozmowę naprowadził na świeże nowiny ze stolicy i dworu. Zdaniem jego, miała to być próba nieomylna stanu zdrowia pacjenta. Między innymi więc wspomniał, że Turcy z ogromną flotą wyprawiają się znów na chrześcijan; jest że to wiadomość niezawodna i nie wiadomo tylko, gdzie uderzy ta straszliwa burza. Całe chrześcijaństwo, przejęte zgrozą, garnie się pod sztandary, aby

stawić opór bisurmańskim zagonom, a jego królewska mość król hiszpański kazał już uzbroić należycie wybrzeża Neapolu, Sycylii i Malty.

Don Kichot odpowiedział na to:

– Jego królewska mość działa jako przezorny i mądry wojownik, że zawczasu kraje swoje przeciw napadowi wroga ubezpiecza; gdyby wszakże chciał mnie posłuchać, podałbym mu radę, o której w tej chwili nikomu się nie śni zapewne.

Pleban usłyszawszy te słowa, pomyślał sobie zaraz: Boże litościwy, biednyś ty mój Don Kichocie, nic nie pomoże, jak byłeś wariatem, tak i jesteś. Balwierz, to samo pomyślawszy, zapytał Don Kichota, jakaż by to była rada, robiąc uwagę, że zapewne należy do długiego szeregu owych rad, które każdy zza rękawa panującemu wysypuje, a wszystkie na nic się nie zdadzą.

– Moja rada, mości golibrodo! – odparł dumnie Don Kichot – nie zza rękawa i na bardzo wiele zda się.

– Ja też tego do was nie mówię, lecz tak tylko sobie, bo wiadomo z doświadczenia, że zwykle rady sypią się do tronu kopami, a żeby której posłuchać, to każda okazałaby się w skutku szkodliwa dla kraju i dla monarchy.

– Wszystko to być może – rzecze Don Kichot – ale moja rada, mój mospanie, nie może być szkodliwa, bo jest do wykonania najłatwiejsza, najstosowniejsza i najmędrsza.

– A toć nam ją wyjawcie co prędzej, mości Don Kichocie – odezwie się pleban.

– A, tak! chcielibyście, żebym się wygadał, a moje myśli jutro już będzie wiedział pan gubernator Kastylii i cała zasługa mnie wydarta, a komu innemu przyznana zostanie. Znam ja się na tym, nie głupim.

– Co do mnie, panie Don Kichocie – rzecze balwierz – możesz być pewien i przysięgam ci na wszystkie świętości, że ani królowi, ani żywej duszy, ani diabłu nawet, choćby się skręcił i pół słówka nie pisnę; przysięgam ci tak, bo się tej przysięgi nauczyłem z romansu o plebanie przedstawiającym królowi złodzieja, co mu ukradł sto dublonów i wygodnego muła człapaka.

– Nie znam tego romansu – odpowie Don Kichot – i mniejsza o to skąd wziąłeś taką przysięgę; wierzę jej, bo wiem, mości balwierzu, żeś człowiek poczciwy.

– A gdybyś go tak nie znał – rzecze pleban – to ja ręczę za niego, że gęby nie otworzy, chyba poziewając.

– Ręczysz, ojcze duchowny? – rzecze na to Don Kichot – a któż mi ręczy za ciebie?

– Za mnie ręczy mój stan i powołanie – odpowie pleban – które mi nakazują tajemnic dochować.

– No! kiedy tak – zawoła Don Kichot – to wam powiem, do stu piorunów! że król jegomość niech każe tylko otrąbić po całym królestwie, ażeby wszyscy błędni rycerze, wędrujący po Hiszpanii, na wyznaczony dzień do dworu się stawili, a może być pewien, że choćby ich tylko dziesięciu stanęło, to i jednego z nich dosyć na starcie w proch całej potęgi bisurmańskiej, bez względu na jej wielkość. Cóż to myślicie, moi panowie, że to rzecz wielka i nowa, ażeby jeden błędny rycerz zmiótł od razu dwakroć stutysięczną armię, jakby jedną głowę tylko na karku miała? Kiedy nie wierzycie, weźcie którą bądź historię, czytajcie, a obaczycie, że tam pełno takich cudów! Przecieżem tego z palca nie wyssał, a na własną bym szkodę nie gadał; niech noby żył dziś tylko nieśmiertelny Don Beliami, albo który bądź z rycerzy Amadisa Galijskiego, o! niechby oni tu byli chciałbym wtedy widzieć, jakby bisurman się kręcił jakem rycerz! nie chciałbym w jego skórze

siedzieć Ale Bóg się ulituje nad ludem swoim i ześle mu rycerza, co chociaż dawnym nie dorówna, tyle przecież będzie miał męstwa, że moc bisurmańska przed nim jak puch się rozwieje. Ty Boże! wiesz, co mówię i basta.

– O Święty Jacku z pierogami! – wrzaśnie siostrzenica – a bodajem zmarniała, jeżeli wujaszkowi znów się nie zachciewa pójść na błędnego rycerza.

– Czym byłem, tym będę – uroczyście odpowie Don Kichot – urodziłem się błędnym rycerzem i błędnym rycerzem umrę, niechaj Turczyn floty wysyła i chmurami dzicz sypie, to wszystko żarty, raz jeszcze powtarzam: Ty Boże, wiesz, co mówię.

– Pozwólcie mi, miłościwy panie – odezwał się balwierz – bardzo o to dopraszam, opowiedz nam zdarzenie, które się kiedyś w Sewilli przytrafiło.

– Jak się wam podoba, mości golibrodo – rzekł Don Kichot – gadajcie, kiedy wasza wola, my słuchać będziemy.

I balwierz zaczął powieść następującą:

– U Bonifratrów w Sewilli siedział człowiek, którego krewni umieścili tam jako wariata. Nie był to człowiek pospolity, bo w Osuna otrzymał stopień uniwersytecki licencjata, ale ludzie powiadali, że choćby go był i w Salamance otrzymał, to zawsze był niespełna rozumu. Po kilku latach zamknięcia, sprzykrzył sobie pan licencjat kozę i mając się za całkiem zdrowego, a przeto na wypuszczenie zasługującego, napisał do arcybiskupa list błagalny, bardzo roztropnie i pięknie, zaklinając go na miłosierdzie Boże, ażeby go raczył wydobyć ze szpitala, gdyż Pan Bóg ulitował się nad nim i rozum całkowicie mu przywrócił. Napisał dalej, że krewni tylko, chcąc mu majątek wydrzeć, trzymają go w domu obłąkanych i do śmierci stamtąd nie wypuszczać zamierzają. Arcybiskup, odebrawszy kilka takich listów, bardzo pięknie

i rozsądnie napisanych, polecił jednemu z księży przybocznych, ażeby się od nadzorcy obłąkanych wywiedział, czy prawda, co on w nich pisze, i ażeby sam rozmówił się z nim, a przekonawszy się o dobrym stanie rozumu, natychmiast go z ciupy wypuścić kazał.

Wysłany jałmużnik udał się do zawiadowcy szpitala i pytał się o stan zdrowia licencjata, na co ten mu odpowiedział, że jak był wariatem, tak jest ciągle w jak najlepsze, że czasami miewa chwile zupełnej przytomności, ale, że zawsze wraca mu wariacja, co łatwo, gdy zechce trudu tyle zadać sobie, sam sprawdzić może. Jałmużnik oświadczył, że chce sam doświadczenie z chorym odbyć. Poprowadzono go do izby licencjata; przeszło godzinę prowadził z nim rozmowę i przez cały ten przeciąg czasu ani śladu niezdrowych zmysłów dopatrzyć w nim nie mógł; przeciwnie nawet, tak go znalazł rozsądnym i dowcipnym, że ani wątpliwości już nie miał, że jest najzupełniej zdrów. W toku rozmowy skarżył się licencjat na nadzorcę szpitala, że chcąc się przypodobać krewnym jego i nie utracić świadomych mu przez nich względów, mówi o nim zawsze, że pomimo chwil przytomności zawsze cierpi pomieszanie. Utyskiwał najmocniej, że wrogiem jego prawdziwym i głównym jest wielki majątek, którego jest panem, gdyż krewni, chciwi nań i nieradzi pozbyć się go z rąk swoich, zawsze źle o nim mówią i zawzięcie przeczą, aby Bóg mu dozwolił wrócić do rozumu. Słowem, rozprawiał tak zdrowo i rozsądnie, że jałmużnik najzupełniej przekonany o niegodziwości krewnych jego i o jego należytym rozumie, postanowił wziąć go zaraz z sobą do arcybiskupa, ażeby sam upewnił się o stanie jego zdrowia, o którym już najmniejszej wątpliwości nie miał. Nadzorca wszelkimi siłami starał się odwieść jałmużnika od tego zamiaru; przestrzegał go uporczywie, że licencjat jest wariatem i że narobi sobie nieprzyjemności pomyłką; ale widząc, że na nic się nie

przydają perswazje i że wyraźny rozkaz arcybiskupa daje władzę rozporządzenia licencjatem jałmużnikowi, kazał mu nareszcie wydać ubiór, w którym przybył, i przebranego oddał w ręce delegata, aby z nim robił co mu się podoba.

Licencjat, pozbywszy się szpitalnej odzieży, uradowany, że ma już na sobie suknie rozumnego człowieka, uprosił jałmużnika, ażeby mu pozwolił pożegnać się ze swymi współtowarzyszami; zezwolił na to chętnie jałmużnik i sam mu towarzyszyć w tych wizytach postanowił, ażeby przy tej sposobności przyjrzeć się innym wariatom. Wiele osób, znajdujących się tam, poszło także z nimi. Gdy przybyli do klatki, w której siedział zamknięty wariat, miewający czasem chwile spokojne, licencjat przemówił do niego:

– Bądź zdrów, bracie, czy nie masz mi czego polecić? Ja już wracam do domu. Bóg w nieograniczonej łasce swojej raczył mi wrócić rozum utracony, miłosierdzie Jego i na ciebie spadnie, mam tego niepłonną nadzieję; módl się tylko do Niego i miej w Nim ufność nieograniczoną; ja o tobie nie zapomnę i przysyłać ci będę często smaczne rzeczy do zjedzenia, bo jestem pewien, przesiedziawszy tu tyle czasu, że wariacja najczęściej idzie z próżnego żołądka i mózgu. Miej więc otuchę i nie rozpaczaj, w ciężkich dolegliwościach naszych, zwątpienie najgorzej podkopuje zdrowie i śmierć tylko przyśpiesza.

W tej chwili inny wariat, siedzący w klatce naprzeciwko, słysząc taką przemowę, zerwał się nagle z trzcinowej maty, na której leżał bez koszuli, całkiem obnażony, i zaczął wrzeszczeć na całe gardło, pytając się, kto to jest ten, co odchodzi tak wyleczony doskonale i taki mądry.

– Ja odchodzę już, bracie – odpowiedział mu licencjat – bo nie ma tu czego siedzieć więcej, gdyż Bóg łaskę swą spuścił na mnie.

– Pomiarkuj się i nie pleć koszałek-opałek, księże – odparł na to wariat – nie daj się szatanowi mamić, wróć lepiej do ciupy, z której wylazłeś i poczekaj nim wyjdziesz.

– A to dlaczego? – zagadnie licencjat – kiedym już zdrów jak się należy i aż nadto pewien jestem, że nigdy tu wracać nie będę potrzebował.

– Ha! ha! tyś zdrów jak się należy – krzyknie furiat – doskonałyś, bratku, bawisz mnie! ale przysięgam na Jowisza piorunowego, którego żywym obrazem jestem tu na ziemi, że takie cięgi sprawię niegodziwej Sewilli za zbrodnię, którą popełnia, uznając cię za człowieka zdrowych zmysłów i wolność ci wracając, że popamięta karę moją na wieki wieków amen. Wiesz dobrze, mój ty miluchny wikareczku, że mam po temu władzę i potęgę, bo wiesz, że ja jestem wielki Jowisz, że w prawicy dzierżę straszliwe pioruny i w jednym mgnieniu oka, gdy mi się spodoba, świat cały w perzynę obrócić mogę. Ale nie chcę być tak surowy, nie będę tak srogo karcił głupiego ludu tego; poprzestanę na tym, że na miasto, przedmieścia i na wszystkie przyległe im ziemie spuszczę trzyletnią suszę palącą, bez kropli jednej deszczu i to od chwili, w której to mówię, aż do upływu całkowitego terminu, nieodwołalnie i ostatecznie przeze mnie wyznaczonego.

Aha! to ty masz być wolny, wyleczony i mądry, a ja jestem wariat, chory i w ciupie! O! na siarczyste pioruny moje, będziecie wy mieli deszcz, ale chyba jak ja się powieszę!

Wszyscy z wielką uwagą wysłuchali tego dytyrambu wariata, a licencjat, wziąwszy jałmużnika za rękę, rzekł do niego:

– Miłościwy panie, nie lękaj się gróźb tego wariata, bo kiedy on jest Jowiszem i nie chce wam dać deszczu, to ja jestem Neptunem, bogiem i ojcem wszystkich wód świata, a kiedy rozkażę, słuchać

mnie muszą i będę wam zsyłał deszcz kiedy mi się spodoba i kiedy tego okaże się potrzeba.

– Ha! ha! mości Neptunie – odparł jałmużnik – toś to ty taki, winszuję! no, ale może lepiej nie drażnić Jowisza, zostań więc jeszcze na czas jakiś w swojej izbie, a my kiedy indziej po ciebie tu przyjdziemy.

Nadzorca szpitala i inni obecni nie mogli się wstrzymać od śmiechu, a jegomość jałmużnik nie wiedział, czy się gniewać o to, czy nie. Koniec końców ściągnięto z licencjata suknie, którymi się pysznił, obleczono go na powrót w kaftan szpitalny i zamknięto jak niepysznego. I oto cała historia.

– Toż to to, co ci tak pilno było opowiedzieć, mości golibrodo – odezwie się Don Kichot – i co niby miało też być tak do rzeczy stosowne? A mości brzytewko, miły mój skrobibrodo! jakaż to bieda, kiedy ślepy zapragnie o kolorach rozprawiać! To ty i tego nie wiesz, mój dobrodzieju, że wszelkie porównania i zastosowania jednych umysłów do drugich, męstwa do męstwa innego, albo piękności, albo rodowitości rozmaitych wiedzy z sobą, zawsze są nieprzyzwoite, nieprzystojne i zawsze psu na budę się nie zdały? Nie udaję się ja za kapłana, mój mości panie, ani za mędrka się nie kwapię uchodzić; chciałbym tylko z całego serca świat przekonać, jak głupio sobie poczyna, że nie myśli o przywróceniu błędnego rycerstwa. Zresztą, co mam w bawełnę obwijać, widzę już, jak na dłoni, że nędzny wiek nasz niegodzien jest posiadać zaszczytów, którymi dawne słynęły wieki, kiedy błędni rycerze stawali w obronie państw, bronili cnót dziewic, wspierali sieroty i wdowy, karcili pysznych, a nagradzali dobrych. Dzisiejsi wojownicy wolą jedwabne i złociste stroiki, niż ciężkie kirysy i żelazne koszule. Któż dziś potrafi w pełnym rynsztunku przepędzać noce wśród puszcz i lasów, lub znosić skwary i trzaskające mrozy? Któż dzisiaj, wsparty

nieruchomo na spisie, ani drgnąwszy w łęku, umie cierpieć głód, pragnienie, niewywczas i wszelkie życia wygody z pogodnym znosić czołem? Gdzież dziś wojownik, co przebywszy dalekie góry i odwieczne lasy, gdy stanie na wybrzeżach morskich, rzuci się śmiało w nędzne czółenko, bez masztu, żagli, wioseł i majtków i puści się nieustraszenie, choć widzi przed sobą wzburzone morze, choć spienione bałwany miotają nim pod niebiosa lub w niezgłębione pogrążają go otchłanie. A rycerz prawdziwy nie lęka się burzy, za nic ma niebezpieczeństwa, rzuca się na oślep, fala go niesie i w mgnienia oka, kiedy ani się spodziewa, wysadza go na brzegi o trzy tysiące mil od miejsca, z którego wypłynął, na brzeg bezludny, nieznany, gdzie kroczy śmiało i dokonywa dzieł tak wielkich i nadzwyczajnych, że chwała ich, na spiżu wyryta, służy potem za wzór i pomnik potomnym wiekom. Widzę ja aż nadto dobrze, że niewieścia miękkość i niecna niedołężność dziś popłacają, to modne teraz przymioty, bezkarnie wynoszące głowę nad znoje, trudy i męską wytrwałość. Prawdziwe męstwo nie ma już żadnej zasługi, nie przynosi chwały; nikt go już nawet odróżnić nie umie od czelnej dzisiejszych junaków nadętości, waleczne zawodzących popisy przy stole i pannach; zniedołężnienie i ciemnota podały w pogardę zacne rycerza rzemiosło, którym zawsze chlubili się i jaśnieli błędni rycerze. Powiedzcież mi, gdzież znajdziecie dzielniejszego i szlachetniejszego młodziana, jak Amadis z Galii? gdzież udatniejszego kawalera jak Palmerin z Oliwy? kto zrówna w słodyczy i uprzejmości Tyrantowi Białemu? Pokażcie mi kawalera układniejszego od Sizwara z Grecji, męża liczniejszymi okrytego bliznami i tęższymi władnącego ciosami jak Don Belianis? waleczniejszego i zuchwalszego nad Periona z Galii? kto mi wymieni tak śmiałego i natarczywego wojownika jak Feliks Mars z Hirkanii, albo serce wznioślejsze i szczersze jak Esplaudiana, albo

żołnierza tak dzielnego, jak Cirongilio z Francji? Widzieliście kogo dumniejszego odwagą od Radomonta, przezorniejszego i wytrawniejszego od króla Sobrina, żwawszego do czynu od Renauda, albo Rolandowi w boju równego? Czyż są gdzie na świecie tacy, co by ich męstwo i wytworność porównać można z Rogierem, od którego książęta Ferrary ród wiodą, jak o tym świadczy Turpin w *Kosmografii*? Wszyscy ci mężowie, mój dobrodzieju, i wielkie mnóstwo innych, których bym ci tu jeszcze mógł wyliczyć, byli rycerzami błędnymi, byli świecznikami, gwiazdami wszelkiego rycerstwa i takich to radziłbym królowi jegomości powołać do siebie, jeżeli chce się z Turczynem krótko rozprawić i tak go przepłoszyć, że ani się obejrzy, jak wróci, skąd przyszedł i swoich się nie doliczy. Bajcie sobie, co chcecie, a ja przecież w chałupie siedzieć nie będę, chociażby dobrodziej jałmużnik po mnie nie przyszedł, albo Jowisz, jak waćpan skrobibroda powiada, deszczu poskąpił; ja tam na niego zważać nie myślę, powiadam, że deszcz być musi, jak zechcę, to padać będzie i koniec. Widzisz, mości balwierzu, żem ci trafił w cetno; masz kiedyś chciał, ażebyś nie myślał, że ja nie wiem, do czego piłeś.

– Jako żywo, mości panie Don Kichocie – odpowie balwierz – ani mi w głowie nie postało czym bądź urazić waszmości; Bogiem się w tym świadczę i nie masz się co waszmość na mnie gniewać.

– Gniewać się albo nie gniewać, nikt mnie uczyć nie będzie, wiem co do mnie należy.

Tu zabrał głos pleban, który dotąd ani się odezwał tylko ciągle słuchał:

– Mości panowie, dotąd uszy moje tylko czuwały, a ust nie otworzyłem, i chciałbym być objaśnionym w pewnej wątpliwości, którą mi nastręczyła mowa imci pana Don Kichota.

– Możesz przecież, mój dobrodzieju, mówić szczerze i ulżyć sobie w tej wątpliwości, kiedy ci się podoba – powie Don Kichot.

– Kiedy taka wola wasza – ciągnął dalej pleban – to powiem wam, że najbardziej mi to w głowie dokucza, iż na żaden żywy sposób przekonać siebie nie mogę, ażeby wszyscy ichmościowie, błędni rycerze, o których waszmość dopiero co mówiłeś, kiedy bądź po świecie, jako żywi ludzie z kości i ciała chodzili, i, Bogiem a prawdą, przyznam się, że poczytuję ich historie za czcze baśnie, na uciechę jeno wymyślone przez próżniaków, co nic lepszego do roboty nie mieli.

– Otóż to mi dopiero dobrodziej, mylisz się grubo – żwawo odeprze Don Kichot – wielu ludzi w ten błąd popada i nie wierzy, że tacy rycerze na świecie byli. Nieraz ja już musiałem o to odbywać dysputy; prawda, żem nie zawsze zdołał przekonać przeciwników, bo są ludzie tak niewierni i uparci, że z nimi ani rusz; ale wiele razy zdołałem przecież wyjść zwycięsko i niejednego przekonać dowodami jak słońce jasnymi o tej prawdzie tak oczywistej i jawnej, że mógłbym prawie przysiąc, jako na własne oczy widziałem Amadisa z Galii. Był to, panie, chłop rosły, co się zowie, a na twarzy bieluchny, rumiany, z brodą czarną, piękną, a w oczach miał coś razem słodkiego i surowego; gadać wiele nie lubił, a do gniewu był skory, jak siarka do ognia, tylko, że prędko się znów opamiętał. Mógłbym wam tak samo, jak Amadisa, opisać i innych wszystkich rycerzy błędnych, co żyli w świecie, bo z ich dziejów, czynów i charakterów łatwo sobie utworzyć wyobrażenie rysów, cerę ich twarzy, wzrost, postawę i całą osobę.

– Mości Don Kichocie – odezwie się balwierz – jakiego też wzrostu był olbrzym Morgant?

– Rozmaite są zdania co do tego, czy byli na świecie olbrzymi, czy nie – odpowie Don Kichot.

– Ale Pismo Święte, które jest nieomylne, uczy nas, że byli olbrzymi, wspominając o owym Filistynie Goliacie, co był półósma łokcia wysoki. W Sycylii także znaleziono kości ludzkie, świadczące, że ci, co je mieli, musieli być wielcy jak wieże, co łatwo z geometrii się okazuje. Z tym wszystkim ręczyć nie mogę, aby Morgant był bardzo rosły, a nawet zdaje mi się, że nie musiał być bardzo wielki, bo historia o nim wspomina, że częstokroć sypiał pod dachem, a jeżeli mógł się zmieścić do domu, to nie mógł być tak bardzo potężny.

– A prawda – odezwie się pleban, wielce rozochocony tymi banialukami Don Kichota i chcąc wyciągnąć go dalej, zapytał zaraz – a jakie też twarze mieli Renaud i Roland, mości Don Kichocie, i tych dwustu parów, co to wszyscy byli błędnymi rycerzami; jak też oni wyglądali?

– Renaud niezawodnie miał rysy twarzy szerokie, cerę rumianą i czerstwą, oczy żywe, ognia pełne i wyłupiaste; temperamentu był strasznie gwałtownego, obraźliwy, zadziorny i zawsze stawał w obronie rabusiów, złodziejów i innych tego kalibru ludzi. Roland, albo Rotolam, albo Orland (bo historia nadaje mu te trzy rozmaite imiona), był niewątpliwie wzrostu średniego, barczysty, krępy i niezgarbiony, na twarzy ogorzały, z brodą rudą, cały porosły, w spojrzeniu groźny, małomówny, ale mimo to grzeczny i uczciwy.

– A jeżeli Roland tak wyglądał – rzecze pleban – to się wcale nie dziwię, że Angelika wolała Medora niż jego, bo tamten był młody, ładny, miły itd.

– Ta Angelika, mości plebanie – odrzekł Don Kichot – to była wietrznica, ladaco, wariatka, sowizdrzałka, słynąca po świecie nie tyle może z piękności, co z bezczelności swojej i głośna rozwiązłością, nie dbała o dobrą sławę, goniąca jedynie za rozkoszami, wzgardziła królami i książętami, a lekceważąc

najdzielniejszych i najznakomitszych rycerzy, wybrała sobie na amanta hajduka bez imienia i zasługi, tym jedynie zalecającego się, że wytrwale i wiernie przyjaźni jej dochowywał. Nieśmiertelny Ariost, co tak szeroko piękność jej opiewał, zamilkł o niej całkiem, odkąd ten wybór niegodny zrobiła, i nie chcąc już nawet wspomnieć, co się z nią potem działo (a zapewne nic dobrego), zakończył historię jej tymi dwoma wierszami.

Może też kiedyś dokładniejsze pióro

Skreśli jej dzieje...

Jak powiedział, tak się stało. Dlatego to poetów nazywają wieszczami, że tak prorokować umieją, bo istotnie niedawno jakiś rymopis andaluzyjski napisał poemat o łzach Angeliki, a drugi znów poeta głośny, a jedyny w Hiszpanii, opiewał piękność jej niezrównaną.

– Powiedzcież mi też, mości Don Kichocie – zagadnie balwierz – czy nie znalazł się ani jeden poeta, co by przecież przyciął ostrą satyrą tej Angelice, na której chwałę tylu się zdobywało?

– Nie ma wątpliwości – odpowie Don Kichot – że jeżeli Sakrypunt i Roland byli poetami, to musieli pięknie ją odmalować, bo to rzecz zwyczajna, że wzgardzeni kochankowie mszczą się na swoich damach paszkwilami i satyrami; ale to rzecz niegodna, mimochodem powiedziawszy, serca szlachetnego. Ja jednak dotąd nie widziałem i nie znam żadnego pisma przeciw Angelice, choć ona cały świat prawie do góry nogami przewróciła.

– A to cud doprawdy! – wtrącił pleban.

Śród tej rozmowy uderzył ich nagły hałas i krzyk mocny siostrzenicy i ochmistrzyni, które przed chwilą zeszły na podwórze; urwała się więc rozmowa, a rozmawiający pobiegli obaczyć, co się tam dzieje.

Rozdział II

O wiecznej sprzeczce Sancho Pansy z siostrzenicą i ochmistrzynią Don Kichota

Hałas i wrzask, o którym wspomnieliśmy, pochodził stąd, że Sancho Pansa łomotał z całych sił we drzwi i koniecznie chciał wejść do domu, ażeby się widzieć z panem, a siostrzenica z ochmistrzynią ze wszystkich sił opierały się temu, wołając na niego:

– Precz stąd! czego tu chcesz, ty darmozjadzie? Wynoś się zaraz do domu, nie masz tu co robić! To ty, niegodzijaszu, zawracasz tak głowę panu i wyciągasz go z domu, ażeby się tłukł po świecie, jak mara po piekle.

– A babo przeklęta! – wrzeszczał Sancho – mnie to łeb zawrócili, mnie z domu wyciągnęli tłuc się po świecie, obiecując mi gruszki na wierzbie; to twój pan tak umie wodzić kat wie gdzie, szukać czego nie zgubił, a przyrzeka złote góry i łudzi, że mi daruje jakąś wyspę, co się jeszcze na świat nie urodziła.

– A! żebyś ty pękł ze swoimi wyspami, ty łotrze wierutny – na to mu gospodyni

– Cóż to ty chcesz za wyspę? czy to jaki kąsek, myślisz, do pożarcia, ty niedopchany worze! ty żarłoku bestialski.

– To nie do jedzenia – odezwie się Sancho – ciemna istoto! to, widzisz, wyspy do rządzenia, a to więcej warte, niż cztery miasta i cały nasz powiat, rozumiesz?

– A niech tam sobie będzie, co chce, ciemięgo – odkrzyknie gospodyni – a ty tu, łotrze, nie wejdziesz; pójdźże sobie zaraz precz i ruszaj rządzić u siebie w domu, niezdaro, patrzeć roli, nie nabijać sobie próżno łba, tymi wyspami diabelskimi.

Pleban z balwierzem pękali od śmiechu, słuchając tej rozmowy. Ale Don Kichot zakłopotał się, ażeby Sancho na kieł nie wziął i w gniewie nie rozgadał w okolicy, jakie go przygody na wyprawie prześladowały, co by mu mogło wielki despekt przynieść; uciszył więc prędko gospodynię z siostrzenicą, a Sancha wpuścić kazał. Wszedł tedy Sancho, a ksiądz z cyrulikiem pożegnali Don Kichota w przekonaniu, że się już nigdy nie wyliże z tej swojej choroby, a przynajmniej nigdy na dobre do rozumu nie przyjdzie, bo mu te rycerskie dziwactwa takiego w ciemię ćwieka zabiły, że ani myśleć, ażeby mu go teraz co wybić potrafić potrafiło. Gdy wyszli, pleban odezwał się do balwierza:

– Wiesz, co ci powiem, kmotrze, a to ani się obejrzymy, jak nasz szlachcic czmychnie znów w świat na wyprawę.

– O! i ja tak myślę – rzecze balwierz – no! że się panu we łbie kotłuje, to już mniejsza dziwota, ale że hajduk, takie głupie chłopisko, wierzy na dobre w obiecaną sobie wyspę, to mi się nie może w głowie pomieścić.

– A niech ich tam Pan Bóg sekunduje – odezwał się pleban – a my tylko z daleka obserwujmy sobie, do czego ich te piekielne harce doprowadzą; a to jakby ulał jeden do drugiego przystali, wart jeden drugiego, jaki pan, taki kram, ale głupota pana mniej by odbijała bez tego gapia sługi.

– Ja to samo powiadam – rzecze balwierz – ciekawym tylko, co też oni teraz z sobą będą gadali?

– I ja ciekawy jestem – wtrącił ksiądz – ale nie ma po co głowy sobie łamać, dowiemy się wszystkiego, opowiedzą nam jak z pytla wszyściusieńko siostrzenica z gospodynią, alboż to one nie kobiety, nie darują i źdźbła jednego, wszystko nam wypaplą.

Don Kichot z Sanchą zamknęli się tymczasem, a widząc, że są sami, Don Kisszot zaczął:

– Wiesz co, Sancho, kaducznie mi dopiekłeś tym twoim gadaniem, że ja cię z domu wyciągnąłem! I po co to takie bajdy? alboż nie wyjechaliśmy obydwaj razem, przecieżem ja w domu nie został? Wyruszyliśmy razem, jednymi drogami chodziliśmy, obydwaj i wspólnie dzieliliśmy dolę naszą, a że tobie się raz oberwało, czyżem ja nie był zbity sto razy więcej od ciebie? ot, tyle i mojego zysku!

– Boć się też więcej i należało wielmożnemu panu niż mnie, pokornemu słudze – naiwnie odpowie Sancho – kiedy już taki ma być los błędnych rycerzy, ażeby złe się sypało na nich, a nie na ich giermków.

– Bajesz, sam nie wiesz co – obruszy się Don Kichot – wcale inaczej rzecz się ma, a najlepiej o tym przekonywa stare przysłowie: Quando caput dolet, caetera membra dolet.

– Ja się tam, panie, na tym nie znam, ja po swojemu tylko umiem gadać i słuchać.

– No to ci wytłumaczę; to znaczy, że kiedy głowa choruje, to całe ciało boleje i czuje. Rozumiesz teraz? A że, jako pan, jestem głową całego ciała, którego ty część stanowisz jako sługa, więc kiedy mnie się co złego spotka, to i tobie musi się dać we znaki, tak samo znów, jak kiedy ty oberwiesz, to i ja uczuć muszę. Rzecz prosta i jasna.

– A jużciż tak by być powinno – odpowie Sancho – ale kiedy mnie biedną cząstkę ciężko zużywali, podrzucając jak piłkę, to głowa wtedy była het za murami i żadnego nie czując bólu, przypatrywała się sobie, jak ja w powietrzu kozły wywracam, a kiedy części ciała mają cierpieć, skoro głowa cierpi, to by przecież należało, ażeby i głowa powąchała tego, co członkom pachnie.

– A cóż to ty myślisz, Sancho, że mnie to nie bolało krwawo, kiedy ciebie podrzucali w powietrze? Nie mów tego i nie myśl nawet, mój przyjacielu, bądź pewien, że w duchu ja więcej wtedy

cierpiałem, niż ty na ciele. Ale dajmy już teraz pokój temu wszystkiemu; kiedy indziej o tym pogadamy i jakoś rzecz ułożymy. A teraz, mój Sancho kochany, powiedz mi też, tylko szczerze, co o mnie gadają w okolicy? co o mnie mówią kmiecie? jak o mnie sądzi szlachta? jak rycerstwo? Co mówią o odwadze, o czynach moich i uprzejmości? i co myślą o moim zamiarze przywrócenia do dawnej świetności zaginionego już prawie błędnego rycerstwa? Słowem, bez żadnego pochlebstwa i ogródki powiedz mi wszystko, coś tylko o tym zasłyszał, nie obwijaj nic w bawełnę, nie dodawaj, ani ujmuj, bo to jest obowiązek wiernego sługi donosić panu wszystko bez żadnego pochlebstwa i oszczędzania, co tylko o nim słyszy. I wiedzieć ci należy, mój Sancho, że gdyby monarchowie od sług swoich całą prawdę słyszeć mogli, gdyby oni rzetelnie i sumiennie, bez przymieszki własnego interesu i innych względów, rzeczy im przedstawiali, to wszędzie błoga panowałaby spokojność, sprawiedliwość i zamożność i wiek ten stałby się wiekiem złotym, jak to bywało przed czasy. Niech ci to służy za naukę, mój Sancho, żeś powinien mi bez ogródki odpowiedzieć na pytanie, które ci zadałem.

– Będę wam posłuszny, wielmożny panie, kiedy taka wola wasza – odpowie Sancho – chętnie to uczynię, ale pan się może na mnie obruszy, jak ja będę wszystko gadał, co uszy moje słyszały.

– Nie lękaj się niczego, zaręczam ci, że gniewać się nie będę, mów wszystko, bez żadnych a żadnych wybiegów.

– Najprzód, wielmożny panie, trzeba wam powiedzieć, że wszyscy mają was za wielkiego głupca i mnie także nie za mądrego. Szlachta powiada, że zadzieracie nosa nad nią i dlatego przyczepiliście sobie Don od frontu nazwiska i że wysforowaliście się na rycerza na dwóch włókach roli, a łachman wisi wam z przodu i z tyłu zamiast sztandaru i powiada, że jesteście stąd odęty, choć zimno

w pięty, a chłodno i głodno. Panowie znów, czy tam rycerstwo, jak zwał, tak zwał, byle swoje miał, nie lubią, ażeby się szlachta z nimi bratała, a zwłaszcza też zagonowa, co za zającem ugania się sama z charty, a kubrak ma wytarty, buty sobie w kominie szwarcuje sadzami, a białe pończochy zielonymi zszywa niciami.

– Co ty tam prawisz, baju – wtrącił Don Kichot – przecież to się mnie nie tyczy, ja chodzę zawsze dobrze odziany, łat na mnie nikt nie widział, jeżeli się dziura na sukni czasem zdarzy, to od zbroi, nie od starości.

– O odwadze wielmożnego pana, o czynach, uprzejmości i zamysłach jego, to ludzie znów różnie gadają, jak którzy – mówił dalej Sancho. – Jedni powiadają: e! to głupiec, ale zabawny! drudzy znów: mężne ma serce, ale nie ma szczęścia; inni znów: grzeczny jest i uprzejmy, ale wariat; inni znów... ale kto by ich tam spamiętał, na wołowej skórze tego nie spisać, Bóg wie czego już tam nie gadają i o wielmożnym panu i o mnie, że to już nie moja głowa, ażeby to wszystko tak powtórzyć.

– Widzisz Sancho mój kochany – rzecze Don Kichot – zawsze to tak na świecie bywa, że im kto większymi jaśnieje cnotami, tym dokuczliwiej szarpią go i szkalują, złośliwe języki. Żaden z ludzi wielkich nie uszedł pocisków potwarzy. Juliuszowi Cezarowi, co był tak wielkim człowiekiem i wodzem, musiano przecież przypiąć łatkę i znaleźli się tacy, co mu zarzucali skażone, miękkie obyczaje, zbytnią w stroju fanfaronadę i panoszenie się nad innych. Na Aleksandra, którego czyny głośne na wieki zjednały mu przydomek Wielkiego, wygadywali, że lubił pałkę zalewać. Herkulesa, tak znakomitego bohatera, co owych dwunastu dzieł kolosalnych dokonał, oczernili, że się z kobietkami za bardzo zadawał. Na Galaora, brata Amadisa, wynaleźli, że był zadziorny i ze wszystkimi szukał zwady, a na wykwintnego Amadisa szkalowali, że był beksą. Widzisz więc,

Sancho mój kochany, kiedy tacy mężowie nie mogli ujść żądła ludzkiej zawiści, to cóż ja mam zważać, co na mnie gadają, Bóg łaskaw jeszcze, że nic gorszego nie wymyślili.

– Ale ba! – na to mu Sancho – ażeby to tyle tylko gadali, ale licha tam!

– Co? to jeszcze więcej co gadają – skwapliwie zapyta wychudły szlachcic.

– A jużciż, że gadają i co jeszcze, aż włosy na głowie stają, ja tylko tak z wierzchu same słodycze waszej wielmożności opowiedziałem, ale to tam są jeszcze straszne piołuny. A jeżeli waszej wielmożności tak koniecznie im pilno wszystko się dowiedzieć, to ja wam przyprowadzę zaraz kogoś, co opowie wam do najmniejszej odrobiny te miłe przysmaki, którymi nas obydwu traktują. Wczoraj przyjechał tu z Salamanki syn Bartosza Karaska, co to chodził tam na nauki i bakalarstwa się dochrapał, poszedłem się z nim przywitać, on to mi dopiero cudów naopowiadał, co to o was po świecie rozgadują i w książkach nawet drukują, bo ktoś tam napisał już nawet całą historię o przedziwnym szlachcicu Don Kichocie z Manchy. Rozpowiadał mi, jak tam i o mnie pisze szeroko, że stoję tam cały jak długi z prawdziwym moim nazwiskiem Sancho Pansa, że jest tam i o pani Dulcynei z Toboso i o innych rozmaitych rzeczach, które tylko między nami dwoma na cztery oczy się działy, że się aż żegnałem, skąd ten pismak mógł to wziąć, boć przecie nikt mu tego nie powiedział, czego nikt nie słyszał.

– Ręczę ci, mój Sancho – rzecze Don Kichot – że autor tej historii musi być jakimś czarnoksiężnikiem wielkim, bo dla nich nie ma nic skrytego na świecie.

– A wierzę bardzo, że to być musi czarnoksiężnik i wielki – odpowie Sancho – bo licencjat Samson Karasko powiadał mi, że się nazywa Cyd Hamed Benengeli.

– Alboś się przesłyszał, mój Sancho, albo to nieprawda, że on przed nazwiskiem ma tytuł Cyd, bo ten wyraz po arabsku znaczy Pan.

– A może i to być, albo ja wiem – odrzecze Sancho – ale jeśli wielmożny pan chce, to najlepiej będzie, jak mu sprowadzę samego licencjata, zwinę się w lot.

– Bardzo dobrze, mój przyjacielu Sancho – pragnę tego serdecznie, boś mi piekielnie rozłechtał ciekawość, i nie mógłbym kawałka strawy donieść do gęby, gdybym się wszystkiego dokładnie nie dowiedział.

– A no! to biegnę po niego – zawoła Sancho, zostawiając pana, poleciał pędem szukać licencjata, którego mu też wkrótce dostawił. Wtedy między nimi trzema zawiązała się śliczna rozmowa.

Rozdział III

O smutnej rozmowie, jaką mieli Don Kichot, licencjat Samson Karasko i Sancho Pansa

Don Kichot siedział w wielkim pogrążony smutku, czekając na licencjata Karasko, który miał mu opowiedzieć własną jego historię, jak ją w książce opisano. Rozmyślał głęboko i pojąć nie mógł, jak zdążono już dzieje jego, wielkie czyny i wiekopomne wyprawy uwiecznić pismem, kiedy jeszcze miecz jego nie osechł ze świeżej krwi nieprzyjaciół. Był pewien, że to tylko czarnoksiężnik jakiś mógł za pomocą magii zrobić coś podobnego, jako wielki jego przyjaciel, chcąc światu dać poznać czyny jego słynniejsze od przygód najznamienitszych na ziemi rycerzy błędnych, i chcąc je podać do potomności; a może też myślał sobie zrobić to, jako nieprzyjaciel, dla osłabienia znamienitości tych dzieł wielkich i poniżenia ich bardziej od najlichszych czynności

najnikczemniejszych giermków, o których wspomina historia. Ale znów rozmawiając sam z sobą, wpadał na myśl, że historia nigdy nic nie wspominała o giermkach błędnych rycerzy i że kiedy ta jego historia wydrukowana została, to musi być piękna, nauczająca i godna uwielbienia, bo jest historią tak znamienitego kawalera. Myśl ta przejmowała go wielką pociechą, ale nazwisko mauretańskiego autora stawało mu znów przed oczyma z tytułowym przyrostkiem Cyd, i martwił się znów, bo te Maury, to naród przewrotny, złośliwy, skrywający prawdę umyślnie, i wpadał prawie w rozpacz, przypuszczając, że tak niegodziwy pisarz pozwolił sobie może zbyt swobodnie mówić o jego miłości, a tym skazę jaką rzucić na wysokie cnoty nieporównanej w przymiotach duszy i ciała damy jego, Dulcynei z Toboso. Może nie dość wychwalał wierność jego nieposzlakowaną, a nade wszystko tę skromność wielką przy tak namiętnym uczuciu i potęgę tego uczucia, co królewny, cesarzówny, księżniczki i najznakomitsze damy w świecie odpychało od siebie, żeby w niczym nie ubliżyć tej, która była wszechwładną panią jego całej istoty.

Sancho Pansa i Samson Karasko zastali go pogrążonego w tych ciężkich rozmyślaniach; zerwał się nagle, jakby ze snu ocknięty, na przyjęcie licencjata i powitanie go tysiącem najwyszukańszych uprzejmości. Ten Karasko był to sobie wyrostek, lat około dwudziestu czterech, mały, chudy i mizerny, ale sztuka bardzo sprytna i kpiarz wielki. Twarzy był okrągłej, nos miał zadarty, a gębę szeroką, co wszystko znamionuje zawsze umysł złośliwy, przedrwiwać drugich i kosztem ich bawić się lubiący. Jak tylko zobaczył Don Kichota, padł przed nim na kolana i błagalnym głosem dopraszał się, żeby jego dostojność pozwolić mu raczyła ręce swe ucałować, i tak mówił:

– Wielki Don Kichocie, jakem licencjat, tyś najznamienitszy między najpierwszymi świata tego rycerzami, jacy tylko istnieli i istnieć kiedykolwiek mogą. Chwała niechaj będzie Cydowi Hametowi Banengeli, chwała mu po tysiąc razy za to, iż tak pięknie i starannie opisał wielkie czyny twoje! i chwała temu po milion razy, co opis ten wiernie z arabskiego na kastyliański przetłumaczył język i dał nam wszystkim rozkosz czytania tak doskonałej książki.

– A więc to prawda – rzekł Don Kichot, podnosząc go z ziemi – że napisano historię moją i że Maur jest jej autorem.

– Jest to prawdą tak dalece – odrzekł licencjat – że w tej chwili, kiedy to mówię, pewno już odbito więcej niż dwanaście tysięcy tomów tej prawdziwej historii w Lizbonie, Barcelonie i Walencji; słyszałem nawet, że zaczęto ją drukować już w Anwerze i nie wątpię, że wkrótce drukować ją będą wszędzie a wszędzie i przetłumaczą na wszystkie a wszystkie świata tego języki.

– Jest to jedna z najmilszych rzeczy – wtrąci Don Kichot – jakie wydarzyć się mogą w życiu wielkiego człowieka, kiedy widzi, że ludzie go ocenić i uszanować umieją.

– O! co do szacunku ogólnego i ocenienia – odpowie licencjat – wasza dostojność masz wyższość niesłychaną nad wszystkimi w świecie rycerzami i autor, i tłumacz oddają wszędzie charakterowi waszej dostojności najwyższe pochwały, wszędzie go wystawiają w najświetniejszym blasku ozdób i przymiotów wspaniałych, jakimi są: waleczność wasza w boju, wytrwałość w przeciwnościach, cierpliwość i wytrzymałość na wszelkie rany i cielesne cierpienia, a nade wszystko ta nieporównana skromność w eterycznej miłości ku najdostojniejszej pani, Dulcynei z Toboso.

– Oho! ho! – zawoła Sancho – jeszczem też nie słyszał, żeby ją kiedy tytułowano najdostojniejszą panią, zawsze się nazywała

po prostu tylko panią Dulcyneą; to już pan historyk grubego w tym uciął bąka.

– No, cóż tam, to nic nie znaczy, taki zarzut jest mało ważny – odrzecze licencjat.

– Ale to nie jest żaden zarzut – rzecze Don Kichot – ale powiedzcie mi, proszę was panie, która też przygoda moja najbardziej jest ceniona?

– Co do tego niejednakowe są zdania – odpowie Karasko – umysły są całkiem podzielone w tym względzie: jedni najwyżej stawiają przygodę z wiatrakami, które wasza dostojność wziąłeś za olbrzymów, inni znów przygodę z foluszami i tak rozmaicie. Są tacy, co nade wszystko cenią bój z dwiema armiami, gdzie wasza dostojność wielkich cudów waleczności dokazywałeś, a które pokazało się potem, były dwiema trzodami owiec; drudzy wychwalają najbardziej awanturę z nieboszczykiem do Segowii prowadzonym, inni z więźniami, a jeszcze inni twierdzą, że przygoda z benedyktyńskimi olbrzymami i bój z Biskajczykiem najpierwsze trzyma miejsce.

– A powiedzcież mi też, panie licencjacie – przerwie Sancho – czy jest tam mowa w tej historii o przygodzie z Jangwezami, kiedy Rosynantowi zachciało się w konkury?

– A jakże; najmniejszego szczegółu nie opuszczono – odparł licencjat – autor pomieścił najdrobniejsze wypadki ze szczegółowymi każdej rzeczy opisami, nawet twoich koziołków w powietrzu nie pominął, panie Sancho.

– Oj koziołki to były, koziołki – westchnął Sancho – niech ich najsiarczystsze!...

– Każda historia w świecie musi mieścić w sobie rozmaite przejścia – sentencjonalnie odezwie się Don Kichot – historia zaś

rycerska przede wszystkim warunek ten mieć musi, bo wypadki i losy nie mogą zawsze jednako pomyślnie szykować się rycerzom.

– A oczywiście – potwierdzi Karasko – chociaż wielu znajduje, że autor niepotrzebnie w tej historii wzmiankował tak szczegółowo i dokładnie ilość kijów, które rycerzowi Don Kichotowi tak często zdarzało się po skórze obrywać.

– A jakże, kiedy to prawda, to musi być w historii – poważnie wtrąci Sancho.

– Lepiej byłby zrobił, ażeby o tym nie wspominał – rzecze Don Kichot – po co gmatwać rzecz drobnostkami wcale niepotrzebnymi do zrozumienia i przejęcia się całym tokiem dzieła historycznego, a mogącymi jedynie rzucić niekorzystny cień na głównego bohatera. Nie potrzeba tak się uganiać zażarcie za drobiazgową prawdą, żeby już nic a nic nie opuścić, zwłaszcza też takiego, co może rodzić niemiłe wrażenia. Alboż to Eneasz był taki święty, jak go Wirgilii wystawia, albo Ulisses był taki mądry i przebiegły, jak go Homer maluje? któż by temu wierzył?

– I ja nie wierzę – odpowie Karasko – ale inna to rzecz pisać poezje, a inna znów pisać historię; poeta nie potrzebuje być tak ściśle wiernym, i dość, kiedy wystawi rzeczy, jak być powinny, a historyk musi je malować koniecznie, jak były, na krok nie odstępując prawdy dla żadnej a żadnej przyczyny.

– Kiedy ten pan Maur – rzecze Sancho – tak się pilnuje prawdy, to pewno tam musiał wspomnieć co przy panu moim, jak go nieraz pobili, i o tym także, jak mnie się po grzbiecie dostało; bo co prawda, to prawda, że i mnie nigdy nie chybiło, jak się tylko panu oberwało, jak pan stękał na krzyże, to ja pewno cały jak kwaśne jabłko wyglądałem, i nic w tym dziwnego, boć pan powiada, że jak głowa choruje, to już całe ciało czuje. Oj, czuje!

– Dajże już pokój tym swoim żarcikom, Sancho – rzecze Don Kichot – kiedy chcesz, to masz aż za dobrą pamięć.

– Ba! jeszcze by też, żebym nie pamiętał, jak mi kości potłukli – rzecze Sancho – kiedy mnie jeszcze teraz boli.

– No, siedź już cicho, zamknij gębę, Sancho – zgromi go Don Kichot – i nie przerywaj panu licencjatowi. Mówcie dalej, łaskawy panie – ciągnął, zwracając się do gościa – bardzo to rzecz ciekawa dla mnie, co tam więcej pisze o mnie w tej historii.

– A o mnie co mówią, to pan nie ciekaw? – wtrąci Sancho – a przecież powiadają, że ja tam odgrywam bardzo ważne pole.

– Ależ rolę, mój Sancho, rolę mówi się, nie pole – poprawił go licencjat.

– E! pole, czy rolę, to jeden diabeł, kto by tam na takie głupstwa zważał – odmruknie Sancho – żeby sobie takimi bzdurstwami głowę łamać, to jakby człowiek zaczął gadać, nigdy by nie skończył.

– Ty zawsze masz słuszność, mój Sancho – rzecze licencjat – wszędzie i zawsze jesteś nieoceniony, wyborny i przysięgam ci, że drugą główną rolę grasz najsłuszniej w świecie w tej historii. Są nawet tacy, co wolą, kiedy ty gadasz, niż kiedy autor opisuje najpiękniejsze rzeczy. Wszyscy uwielbiają cię za tę prostotę duszy, z jaką uwierzyłeś tak ślepo w obietnicę dostojnego swego pana, że ci odda rządy wyspy.

– O! Sancho ma jeszcze w sobie nieco za wiele ognia młodzieńczego – rzecze Don Kichot – ale z czasem nabędzie doświadczenia i stanie się odpowiedniejszym do rządów, które mu przeznaczyłem, niż był dotąd.

– E! proszę ja pana – odpowie Sancho – żebym teraz nie potrafił rządzić wyspą w swoich latach, to i w matuzalowym wieku pewno bym nie więcej umiał; ale to nie w tym sęk, tylko w tym, że tej przeklętej wyspy diabli wiedzą, gdzie szukać.

– Bogu wszystko poruczyć trzeba – rzecze Don Kichot – a wszystko pójdzie dobrze, bo bez woli Jego liść z drzewa nie spada.

– O! to prawda, że jak tylko Pan Bóg zechce, to Sancho będzie miał sto wysp, nie jedną – przytwierdził Karasko.

– Panie licencjacie – rzecze Sancho – cóż pan sobie myślisz, albo ja to mało znam takich, co rządzą, a mnie nie warci butów czyścić; a dlatego jasnym państwem ich pasą za każdym słowem i na srebrze im jeść dają.

– No, rządzą, nie rządzą, Bóg to tam jeszcze wie, jak to jest – mądrze powie Karasko – a ci, co rządzą, zawsze przecież coś w głowie mieć muszą.

– Dajmy już nareszcie pokój temu wszystkiemu – odpowie Sancho – co komu od Boga przeznaczono, to go nigdy nie minie, ja się całkiem na wolę Jego oddaję, ale wiecie co panie Karasko, że ja, dalipan, serdecznie się raduję, że ten pan autor naszej historii, tak mnie tam omalował, że się nikt nie nudzi, jak o mnie czyta; ba! ale żeby też tylko poganin był mnie inaczej wystawił, żeby mnie był nie uczciwie, nie po chrześcijańsku namalował, dałbym ja mu, ażby mu się prababka przypomniała, ho! ho! dmuchnąłbym ja mu w ucho, że głuchy by przesłyszał.

– A to byś cudu dokazał – odpowiedział Samson.

– Cudu, czy nie cudu – rzecze Sancho – wszystko mi jedno, a idzie mi o to, żeby każdy swego nosa pilnował i baczył, co ma gadać albo pisać o drugich, żeby nie bajał trzy po trzy, nic do rzeczy, co mu ślina do gęby przyniesie.

– Jednym z ważniejszych błędów tej historii – odezwie się licencjat – jest to, że autor ni stąd, ni zowąd przyczepił tam powieść o ciekawym natrętniku, nie jest ona zła, ani źle napisana, ale nie ma nic wspólnego z dziejami dostojnego Don Kichota.

– A ja bym głowę dał – wtrąci znów Sancho – że ten psubrat wszystkiego tam namieszał, jak grochu z kapustą!

– Widzę teraz – rzecze Don Kichot – że ten autor mojej historii nie jest wcale człowiekiem jak się należy, widać, że to jakiś nieuk i bazgrała, co pisze bez ładu i składu, jak malował Orbancja, ten malarz z Ubeda, którego, gdy się pytano co maluje, odpowiadał: co Bóg da; a jak namalował koguta, to podpisywał pod spodem: to jest kogut. Boję się, ażeby to tak i z moją historią nie było, podobno będzie ona potrzebować wielkich komentarzy.

– O! co to, to nie – odpowie Karasko – nie ma w niej nic ciemnego, największe nieuki rozumieją ją doskonale i teraz już, jak kto widzi chudą szkapę, to zaraz mówi: a, to Rosynant. Ale najchciwiej wczytują się w nią paziowie, u każdego pana wielkiego w przedpokoju o zakład znajdziesz Don Kichota, tylko go jeden położy, już go drugi łapie; wszyscy by go chcieli czytać naraz, bo też, doprawdy, nie ma na świecie książki rozkoszniejszej i najsurowsi pedanci nic jej nie znajdą do zarzucenia, nie ma tam ani jednego słówka zbyt wolnego, ani cienia najmniejszej nieprzyzwoitości.

– A spodziewam się – rzecze Don Kichot – bo inaczej nie byłaby to historia prawdziwa, a historycy, co pozwalają sobie pisać kłamstwa, powinni być karani jak fałszerze monet, ale pojąć nie mogę, co temu autorowi przyszło do głowy, żeby do mojej historii przyczepiać jakieś powiastki, zupełnie odrębne, żadnego związku z rzeczą niemające, jak gdyby mało jeszcze miał wątku z moich dziejów! Gdyby nic więcej był nie opisywał, tylko same zamiary, łzy i westchnienia moje; gdyby nawet był przedstawił same jeno myśli moje, miałby na kilkanaście tomów materii.

– Mnie się zdaje panie licencjacie, że to nie tak łatwo jak się komu widzi napisać dobrze historię, albo jaką bądź inną książkę,

i że to trzeba mieć do tego rozum wytrawny i wiele zdolności, a nade wszystko, że nie można być przyjemnym w pisaniu tak sobie na chybił trafił, i że tylko człowiek prawdziwie rozumny może pisać rzeczy zajmujące. Najtrudniejsza to rzecz wystawić charakter śmieszny, bo żeby dobrze żartować, to nie można być głupim. Z drugiej znów strony historia jest rzeczą świętą, opowiadać ją trzeba po prostu i ani na jotę prawdzie nie ubliżyć. A jednakże są ludzie, co piszą książki wszelkiego rodzaju... tylko i to prawda, że do napisania książki byle jak...

– Nie ma wszakże na świecie tak złej książki – przerwie licencjat – w której by coś dobrego nie było.

– To prawda – odpowie Don Kichot – ale nieraz się zdarzało, że ludzie, co sobie zjednali już wielką sławę rozumu, jak tylko podali co do druku, zaraz się z tą sławą pożegnać musieli.

– A to dlatego – odpowie licencjat – że daleko łatwiej robić głębokie uwagi nad książką, którą się ma w ręku, niż głęboko obmyśleć rzecz, o której się ma pisać, a jeszcze surowiej sądzi się dzieło, kiedy autor jego uchodzi za człowieka wysoce rozumnego; wszyscy znakomici autorowie, wielcy poeci i słynni historycy wystawieni są zawsze na krytykę ludzi, którzy nie mają nic innego do roboty i tylko nicowaniem utworów cudzych się zajmują.

– Nie można się temu dziwić – odpowie Don Kichot – mamy wielu wielkich teologów, którzy z kazalnicy ust by otworzyć nie potrafili, chociaż tak doskonale umieją rozbierać kazania cudze.

– Przyznaję, że tak jest, jak mówisz, dostojny Don Kichocie – odpowie licencjat – ale doprawdy panowie krytycy nie powinni by być tak surowi i godziłoby się im pamiętać, że chociaż zdarzy się czasem zdrzemnąć poczciwemu Homerowi, to przecież niejedną noc prześlęczał on nad swoimi utworami i nie wiem, czy błędy nawet, które naganiają surowi ci sędziowie, nie są tym, czym plamki

na pięknej twarzy, co powab jej często podwyższają; słowem, każdy autor, drukując książkę, naraża się więcej niż sobie zrazu przypuszcza, bo chociażby największej dokładał usilności, niepodobna, ażeby wszystkich mógł zadowolić.

– Jak mi się zdaje – rzekł Don Kichot – to historia moja musi się wielu ludziom nie podobać.

– Przeciwnie – odpowiedział licencjat – liczba głupców na świecie jest nieprzebrana, toteż i nieprzebrana jest chmara takich, co się lubują w niej; ale niektórzy zarzucają autorowi, że mało ma pamięci i wikła się w opowiadaniu. Nie powiada na przykład, kto skradł osła Sanchowi; wiemy tylko, że mu skradziono i potem znów Bóg wie skąd Sancho wraca do swego lubego dobytku. Inni pytają się także: co Sancho zrobił ze stu talarami, które znalazł w tłumoku Kardenia, i powiadają, że to wielki błąd w historii, iż autor tego nie objaśnił.

– Mości licencjacie – odpowie Sancho – w tej chwili nie jestem w stanie tego wszystkiego ci opowiedzieć; głupio mi jakoś na sercu, bo straszne pustki w brzuchu; zajdę tylko do chałupy, łyknę ze trzy lampy na pokrzepienie i zaraz po obiedzie wrócę wam dokończyć o ośle i o stu talarach i o wszystkim, co zechcecie.

Nie czekając, zawrócił się i znikł. Don Kichot zaprosił Karaska na obiad, a ten z chęcią został, dopitraszono dwa gołąbki i zasiedli do stołu, rozmawiając ciągle o rycerskich dziejach. Karasko świecił bakę Don Kichotowi niezmordowanie, sądząc, że tym mu się najlepiej odpłaci za obiad. Po obiedzie, dla lepszej strawności, ucięli sobie drzemkę i nie obudzili się, aż dopiero gdy Sancho wszedł do pokoju.

Rozdział IV

Który opisuje odpowiedzi Sanchy Pansa na pytania Samsona Karaska i inne rzeczy, które wiedzieć zda się, a opowiedzieć należy

Jak tylko Sancho Pansa wrócił, zaraz wszczął rozmowę od tego, na czym stanęła.

– Chcecie wiedzieć, mości licencjacie – rzekł – kto, kiedy i jak ukradł mi osła, zaraz wam to opowiem.

Trzeba wam wiedzieć, że tej samej nocy, kiedyśmy wjechali na górę w Sierra Morena, bojąc się, żeby nas nie capnęła Święta Hermandada za tę psią awanturę z galernikami i ów szpas z umarłym, co go prowadzili do Segowii, wśrubowaliśmy się zaraz w najciemniejszą dziurę z jaśnie wielmożnym Don Kichotem, gdzie on, wsparty na włóczni, a ja siedząc sobie na moim kłapouchu, chrapnęliśmy jak Bóg przykazał i zdało nam się, że na pierzach spoczywamy, tak się koniska zbiedowały tylu bijatykami. Ja spałem jak bobak; a złodziej psiawiara, żeby z piekła nigdy nie wyjrzał, podstawił sobie pięknie cztery drągi pod kulbakę i wyprowadził mi osła spod siedzenia tak, żem ani poczuł. Nie nowa to rzecz i nie tak strasznie trudna; to samo przytrafiło się Sakrypantowi przy oblężeniu Albraki, tym samym sposobem ten ladaco Brunel wyciągnął mi konia spod kulbaki. Ale wracam do swojego; dzień się zrobił, ja się przeciągnąłem, poruszyłem się jakoś w kulbace, a tu, panie, niech cię piorun trzaśnie, jak ci się żerdzie nie obsuną, a ja rym nosem na ziemię jak długi, aż jękło w człowieku... Spojrzę na prawo, na lewo, gdzie mój osioł, a tu osła nie ma. Nuże tedy beczeć i tak się rozlamentowałem nad swoją biedą, że jeżeli ten pan historyk nie opisał tego, to jego robota niuszka tabaki nie warta. W kilka dni potem, kiedy jedziemy z najjaśniejszą księżniczką Mikomikon, ja patrzę, a tu na moim ośle drepcze jakiś jegomość po cygańsku ubrany, przyglądam się, a to ten sam Ginez de Passamonte, ten wisielec, cośmy go z panem z kajdan wydobyli.

– Co do tego, nic nie pobłądził autor historii – rzecze Karasko – tylko w tym chybił, że przedstawia później Sanchę jadącego na ośle, a nic nie powiedział, że go odzyskał.

– Ach ba, cóż mnie do tego – odpowiedział Sancho – jam temu nie winien, że historyk osioł; albo może też to tylko drukarz bąka uciął?

– I to być może – rzecze Karasko – ale cóż się stało z tymi stu talarami, pewnoście się podzielili?

– Oddałem je – odpowie Sancho – na strawę dla mojej żony i dzieci i za nie to biedne kobiecisko potem przez szpary patrzyło na moje włóczęgi za jaśnie panem Don Kichotem – o! ba, żebym jej się potem pokazał bez osła i grosza w kieszeni, byłoby mi ciepło; a jeżeli kogo w oczy kole, żem te pieniądze zabrał, to choćby samemu nawet królowi zawsze śmiało odpowiem: co komu do tego, skądem wziął, jak wziąłem, gdziem podział i com zrobił, no, no, panie licencjacie, dajcie mi tam pokój z tymi stu talarami, bo gdyby przyszło policzyć wszystkie guzy, com oberwał w tych włóczęgach, to by i po cztery denary jeden nie wypadł i jeszcze by mi się reszty należało, lepiej niechaj każdy swego nosa patrzy i nie wścibia go, gdzie nie trzeba.

– Postaram się – odpowie Karasko – żeby autor dopełnił swojej historii tym, co powiada poczciwy Sancho, i jestem pewien, że to jej doda wiele wartości.

– Czy są jeszcze i inne rzeczy do poprawienia w tej książce, mości bakałarzu? – zapyta Don Kichot.

– Są jeszcze niektóre usterki – odpowie bakałarz – ale bardzo małe.

– A czy autor czasem – rzecze Don Kichot – nie obiecuje jeszcze drugiej części?

– A jakże, obiecuje – odpowie bakałarz – ale powiada, że jeszcze jej nie znalazł i nie wie, gdzie jej szukać; z tego powodu, jako też,

że te drugie części zawsze od pierwszych bywają lichsze, boimy się, że pewno nic więcej nie napisze, a wszyscy, co lubią się śmiać, żądają koniecznie dalszego ciągu Don Kichota. Byle tylko Don Kichot nam się ukazał i Sancho gadał po swojemu, o resztę mniejsza, to nam aż nadto wystarczy.

– A cóż na to autor? – zapyta Don Kichot.

– Autor? – odpowie Karasko – wziął się z całą usilnością do ukończenia swojej historii i do ogłoszenia jej drukiem, jak tylko znajdzie; ale to już czysto dla zysku, o resztę głowa go nie boli.

– Oho! – zawoła Sancho – to pan autor tylko zysku patrzy, no, no, będzie cud, jeżeli mu się rachuba uda, bo on mi coś bardzo patrzy na tego krawca, co to w Wielką sobotę suknię na gwałt kończy, łokciowymi ściegami szyje, aby zbyć robotę, aby się kupy zaledwie trzymało, ześciboli kat wie po jakiemu, a za parę dni wszystko się rozleci! Niech no by ten pan Maur do nas przyszedł, tobyśmy mu z panem jeszcze taką furę awantur i przeróżnych osobliwości opowiedzieli, że miałby z czego nie tylko drugą część, ale dziesięć takich części nabazgrać, gdyby tylko chciał.

Co on sobie myśli, ciemięga, że my już z panem do góry brzuchem tylko leżeć będziemy i jak piecuchy w domu zasypiać; no, no, dobrze my go jeszcze rozbudzimy. Koniec końców, mości bakałarzu, gdyby jaśnie wielmożny Don Kichot chciał iść za moją radą, to byśmy dawno w pole już wyruszyli na pomstę krzywd i ciemiężeń, na wspieranie wdów i sierot, co wszyscy prawie rycerze błędni czynić powinni.

Ledwie Sancho słów tych dokończył, aż tu rozeszło się głośne rżenie Rosynanta; Don Kichot biorąc to za szczęśliwą wróżbę, nagle nabrał fantazji i natychmiast postanowił, że za trzy lub cztery dni na nową wyprawę wyrusza, wyjawił zamiar swój bakałarzowi i prosił go o radę, w którą stronę ma kroki skierować.

– Jeżeli waćpan chcesz posłuchać – odpowiedział Samson – to jedź do Saragossy, gdzie za kilka dni na Świętego Grzegorza walne turnieje wyprawiają; możesz tam pięknej nabyć sławy, a jeżeli odniesiesz tryumf nad rycerzami aragońskimi, to będziesz mógł powiedzieć, żeś wyższy nad wszystkich rycerzy całego świata. – Pochwalił mu szlachetny zamiar i przestrzegał, żeby się tak często na niebezpieczeństwa nie narażał, gdyż życie jego nie do niego należy, ale do strapionych i nieszczęśliwych, którzy pomocy jego potrzebują.

– Ech! do krocset fur beczek, batalionów, toć to i ja się o to wściekam! – zawoła Sancho – niech mnie regiment diabłów porwie, jeżeli pan mój nie rzuca się zawsze na stu ludzi z taką odwagą i nierozwagą, jakby z kurami miał do czynienia! Nieprawdaż, panie bakałarzu, że wszystko ma swoją porę? dobrze i natrzeć w porę, ale też i dobrze cofnąć się w porę; co to się silić, kiedy nie można, gdzie nie przeskoczysz, tam podleź, muru łbem nie przebijesz. Słyszałem nieraz i bodaj czy nie od samego pana Don Kichota, że waleczność trzyma środek między zuchwalstwem a tchórzostwem, dlatego nie chciałbym go widzieć zmykającym bez potrzeby, ale też chciałbym, żeby nie rzucał się na wroga na oślep, kiedy ani podobieństwo zwyciężyć, jakby z motyką na słońce. Przede wszystkim wszakże oświadczyć mu winienem, że jeżeli ma ochotę wziąć mnie z sobą, to kładę za warunek, ażeby wszystkie bójki wziął na siebie; ja tylko pilnować będę jego osoby, jedzenia, picia i ochędóstwa; w takim razie będzie miał ze mnie prawdziwą pociechę, ptasiego mleka mu nie zbraknie; ale żebym ja miał mieczem robić, choćby przeciw tym Maurom, chłopom i mulnikom tylko, upadam do nóg, uniżony sługa! jużem kosztował tego chleba, mam go aż po uszy, będzie dość na całe życie; bo to, widzicie, mości bakałarzu, mnie tam nie chodzi wcale o to, żeby mnie świat miał za jakiego Rolanda, lecz po prostu

chcę sobie być wiernym i poczciwym koniuchem, jakiego nie miał żaden rycerz błędny, a jeżeli za uczciwą moją służbę jaśnie wielmożny pan Don Kichot raczy mi dać w nagrodę jedną z wysp, które ma zdobyć, a to i owszem, będę mu mocno obowiązany, a jeżeli nie da, to trudna rada, gołym przyszedł na świat, to i goły pójdę na drugi, a kęs chleba taki sam w zębach na wyspie, jak i bez wyspy. A zresztą, licho je tam wie, czy by na tych wielkich rządach diabeł mi jakiego figla nie spłatał i czy bym sobie jeszcze gdzie nosa i zębów nie nadwerężył. Sanchem się urodziłem i Sanchem umrę. A jeżeli Bóg da, że bez wielkiego mozołu wpadnie mi w rękę jaka wyspa lub coś podobnego, nie idzie za tym, żebym jej nie miał wziąć z całego serca, nie takim głupi, Bogu dzięki, żebym miał szczęście za drzwi wypychać, kiedy samo włazi.

– Doprawdy, mój Sancho – rzecze Karasko – mówisz jak z książki; miej tylko cierpliwość, kto czeka, ten się doczeka, a obaczysz, że dostojny Don Kichot da ci z czasem nie tylko wyspę, ale cale królestwo.

– Od przybytku głowa nie zaboli, im więcej, tym lepiej – odpowie Sancho – i przekonasz się, panie bakałarzu, że pan mój nie pożałuje tego; dobrzem ja się już w tej mierze wymacał i Bogu dzięki widzę, że mam dosyć rozumu i siły na to; dawnom mu już to powiedział.

– E, mój Sancho – odpowie Karasko – honory zmieniają humory, pamiętaj, że jak zostaniesz wielkim panem, to może tak nosa zadrzesz, że już nikogo i znać nie zechcesz.

– Nie, nie, nie bójcie się – na to mu Sancho – stary ja chrześcijanin, nic mnie nie odmieni, zobaczycie, że nikt się na mnie skarżyć nie będzie.

– Daj Boże – odezwie się Don Kichot – obaczymy to niezadługo, bo mam nadzieję, że to się ziści wkrótce, ale, panie bakałarzu – dodał – jeżeli jesteś poetą, o czym nie wątpię, proszę cię, zrób mi

wiersze na pożegnanie pani Dulcynei; chciałbym, ażeby to tak ułożyć, iżby z pierwszych liter każdego wiersza wypadło całe nazwisko: Dulcynea z Toboso.

– Nie należę ja – odpowie bakałarz – do pierwszych poetów w Hiszpanii, których liczba bardzo mała, ale spróbuję, może się uda.

– W każdym razie – odpowie Don Kichot – zrób waćpan tak, proszę bardzo, ażeby nikt inny tych wierszy nie mógł wziąć do siebie, tylko pani Dulcynea.

Po tej rozmowie ułożyli stanowczo, że za tydzień wyruszą na wyprawę; Don Kichot prosił bakałarza, ażeby nikomu nic nie mówił, a szczególniej strzegł się siostrzenicy, ochmistrzyni, plebana i majstra Mikołaja, balwierza, bo mogliby im przeszkadzać w tym szlachetnym zamiarze; Karasko zaręczył, że zachowa tajemnicę i odszedł, wymógłszy na Don Kichocie, iż donosić mu będzie, co tylko się wydarzy. Sancho zajął się zaraz przygotowaniami do odjazdu.

Rozdział V

W którym opisuje się ciekawa rozmowa Sancho Pansy z Juaną Pansa, jego małżonką

Tłumacz niniejszej historii powiada, że ten rozdział uważa za podrobiony, a to z tego powodu, iż Sancho Pansa, mówi w nim stylem daleko wyższym niż by się po nim spodziewać należało, i prawie jego rzeczy pojęcie, jak się zdaje, przechodzące; ale nie chciał go opuścić, bo poczytuje sobie za obowiązek tłumacza trzymać się wiernie oryginału.

Sancho wrócił do siebie tak wesoły i uradowany, iż żona, z daleka spostrzegłszy go, poznała, iż coś dobrego się święci i zaraz go ciekawie pytała:

– Cóż ci to jest, mój miły, żeś taki rozradowany?

– O, moja kobieto – odpowie Sancho – ażebym tylko nie był taki kontent, to bym się jeszcze bardziej radował.

– Ja cię nie rozumiem, mój mężu; cóż to ty mówisz? co to ma znaczyć, że nie możesz się radować, kiedyś kontent? albo to, jak kto kontent, to może być smutny? dalipan, głupia jestem na to.

– A to widzisz moja kobieto, kontent jestem, bo jadę znów z panem Don Kichotem, który wyrusza w świat na różne przygody, a ja z nim jadę z potrzeby, bo jak Bóg da, to się znów capnie ze sto talarków, jak zeszłym razem; ale mi smutno ciebie opuszczać, moja Juano, i dzieci, i gdyby mi Pan Bóg był dał tyle dostatków, ażebym mógł siedzieć spokojnie na swoich śmieciach między wami i nie potrzebował się tłuc tam po świecie, to bym się jeszcze więcej radował, bo nie miałbym przykrości rozstawać się z wami; widzisz tedy i rozumiesz teraz, że mam rację?

– Ech, Bóg świadkiem – odpowie Juana – że od czasu, jakeś przystał do tych rycerzy, to gadasz takim mądrym językiem, że kto cię tam zrozumie.

– Bóg mnie zrozumie, moja kobieto – odpowie Sancho – i kwita; ale, moje serdeńko, pamiętajże mi przez te trzy dni doglądać należycie kłapoucha, żeby przecie na psa nie wyglądał, pakuj mu obroku, co zeżre, dojrzyj, czy tam nie ma czego naprawić wedle kulbaki i innego narzędzia; bo to człowiek jedzie nie na wesele, lecz w świat szeroki, kaci wiedzą kędy, na bitwy i zabijatyki z olbrzymami, dziwotworami i czarownikami; przyjdzie słuchać jęków, wycia i ryczeń, że aż włosy dębem na łbie stają, a wszystko by to jeszcze furda, gdyby tylko nie spotkać Jangwezów i Maurów zaklętych. Czy ty to rozumiesz, kobieto?

– Domyślam się – odpowie Juana – że koniuszowie darmo chleba nie jedzą u panów i modlić się będę do Boga, by cię chronił od złej

przygody.

– Bo to, widzisz moja kobieto, gdybym ja się nie spodziewał zostać wkrótce władcą jakiej wyspy, to pewno bym na samą myśl o tym wszystkim padł ci tu trupem w tej godzinie, powiadam ci, zaraz w tej godzinie.

– A niechże Bóg broni, najdroższy mój mężulku! – zawoła Juana – dajże ty pokój; lepszy rydz niż nic, żyjże już lepiej na swojej biedzie, ale żyj, a te wszystkie wielkie państwa, niech ich tam marności ogarną. Bez państw matka cię na świat urodziła, bez nich żyłeś aż do tej godziny, kiedy Bogu się podoba, obędziesz się bez nich i dalej; ileż to ludzi bez nich żyje na świecie, a dlatego żyją i dobrze im z tym; najlepsza potrawa z głodu przyprawa, a byle tej człeku nie zabrakło, to zje się zawsze smacznie. Ale nie przypominając, mój mężulku, jeżeli ci się trafi jak ślepej kurze ziarno, że się kiedyś zobaczysz z tymi państwami, pamietajże nie zapomnieć o swojej kobiecie i dziatkach. Mały nasz Sanchek skończył już piętnaście lat i czas by mu do szkoły, jeżeli ma iść na księdza wedle życzenia wuja; nasza Marychna już lat swych doszła, warto by jej dać męża; bo to nie ma co gadać, jej do ołtarza tak pilno, jak tobie do tej wyspy, a zawsze lepiej by jako bądź poswatać, niżeli co by się to miało skręcić na licho.

– Słuchaj, kobieto, jak tylko zostanę władcą wyspy, to ci przysięgam, tak córkę za mąż wydać, że wszędzie będą ją zwali jejmością.

– A niechże Bóg broni, nie chcę tego, mój mężu, wydaj ją za równego, lepiej jej z tym będzie; co jej tam po jedwabiach i pięknych trzewiczkach, szczęśliwsza będzie w chodakach i swojej sukmance. Właśnie by jej pasowało, ażeby ją jejmością nazywali! A toć by to zgłupiało na piękne, każdy by zaraz poznał, że to chłopskie nasienie.

– O, jaka żeś ty głupia! – odpowie Sancho – co to za gadanie, w rok albo w dwa lata tak by się do państwa przyzwyczaiła, że obaczyłabyś, iż byłaby, jak drugie.

– A niechże tam i tak będzie, niechaj zostanie jejmością, niech się dzieje wola Boża. Jeno, mój mężu, niech Bóg broni nad swój stan się wynosić. Wiesz co przysłowie powiada, że każdy powinien się swoim łokciem mierzyć. Pięknież by to było, gdybyśmy wydali córkę za jakiego barona, a on, jakby mu co do głowy przyszło, beształby ją niemiłosiernie, chamką i świniopaską nazywał? Nie, nie, mój mileńki, nie na tom wychowała córkę! Przywieź mi tylko kupę pieniędzy i basta, resztę mojej głowie pozostaw. Mamy tu we wsi Lopeza Toko, syna Guana, gracki chłopak, wszyscy go znają, wiem, że wpadła mu w oko nasza dziewka, to mąż dla niej jak ulał, będzie jej z nim dobrze, bo to i równy i osiądą tu nam pod okiem, a gdybyś ją wydał tam we dworze, w tych waszych pałacach, to byśmy już ani zięcia, ani dziecka na oko nie widzieli.

– Dajże ty mi pokój, bezrozumna a uparta niewiasto – rzecze Sancho – czego ty mi w drogę włazisz i że ci się tak ubrdało, bronisz wydać córkę za takiego, z którego bym miał wnuki jaśnie wielmożne? Ale bez gniewu, słuchaj Juano: pamiętasz ty, co mój dziad gadał, że kiedy do drzwi kołacze fortuna, to i na ścieżaj otwieraj, bo potem próżno byś się żalił, drugi raz nie przyjdzie; i godziż się nam teraz, przez Bóg żywy, drzwi przed nosem jej zamykać, kiedy sama kołacze? Ru! na wodę, kiedy idzie; łapaj szczęście z przodu, ażebyś nie doznał zawodu.

Ten to sposób mówienia Sancha i inne jego zdania poniżej wyłuszczone, naprowadziły tłumacza na myśl, że rozdział niniejszy musi być podrobiony.

– Powiedzże mi, moja kobieto – mówił dalej Sancho – co tobie za muchy w nos wlazły? Czy ci to źle będzie, jak zostanę

wielkorządcą i wydam córkę za kogo mi się podoba, że cię będą wszyscy nazywali jejmość panią Juaną Pansą i że w kościele będziesz siadała na aksamitnej ławce, a wszystkie kumoszki wściekać się będą z zazdrości? cóż to, chcesz już zgnić na tej biedzie i ani ruszyć się wyżej, jak malowana, ej, do licha śmiechu warto, tfu! Ale dajmy już temu pokój. Maryśka będzie hrabiną, choćbyś na łbie stawała, gadaj sobie, co chcesz.

– Pamiętaj, pamiętaj, mój mężu – odpowie Juana – żeby te hrabstwa kością w gardle nie stanęły naszej córce. Rób ty sobie, co chcesz, a ja na hrabstwa żadne, ani na księstwa nie pozwolę; ty wiesz, mój miły, że ja zawsze byłam za równością i cierpieć nie mogę tych wszystkich pańskości, dali mi na chrzcie świętym imię Juany i nie przyczepiali do niego ani pani, ani panna, ojciec mój nazywa się Kaskajo, a ja nazywam się Juana Pansa, bo jestem twoją żoną, chociaż powinnam nazywać się Juana Kaskajo; co kraj, to obyczaj, a ja się mojego nazwiska nie wstydam i nie chcę go więcej ubarwiać, bo się boję, żeby mi nie zaciężyło, i nie będę się stroiła, jak baronowa, albo pani jaka, żeby się nie dostać na ludzkie języki. Oho, bo oni by to zaraz powiedzieli: patrzaj no ją, patrzaj, jaka mi pani, a niedawno za świniami chodziła, wczoraj jeszcze przędła u kołowrotka i było jej dobrze z chustką na głowie, a dziś, widzisz ją, jak się wystrychnęła w rogówki i bławaty, myślałby kto, że jej nie znamy. Póki Bóg łaskaw, że mi zdrowo zachowa pięć zmysłów, nie chcę, żeby sobie tak mną zęby wycierali, o! jako żywo nie zrobię tego. Ty sobie, mój miły, rób jak chcesz, bądź sobie wielkorządcą, baronem albo prezesem, co ci się podoba, ubieraj się jak pan, kiedy masz ochotę, ale mnie z córką od tego wara! Chybabym już torby sieczki nie ważyła. Uczciwa kobieta nie wyłazi z domu na wałęsy, lecz siedzi i pilnuje gospodarki, jak Pan Bóg przykazał, a cnotliwe dziewczęta bawią się przy robocie. To tam te wielkie panie niechaj

się firtają jak frygi, bo one palce mają od parady, a nie do roboty, jedź, mój miły mężu, jedź sobie z panem Don Kichotem, a my w domu będziemy cicho siedziały, jakeśmy siedziały. Bóg nas nie opuści. Ale skądże się to twemu panu to Don wzięło, jego ojciec, ani dziad nigdy tego nie mieli.

– Przez Bóg żywy! kobieto, czy ciebie czarci opętali – zawoła Sancho – czy co? Gdzie żeś ty się, u milion diabłów, tego wszystkiego wyuczyła, co mi tak prawisz jak z rękawa, skądże ci się wzięły te wszystkie kaskaje, rogówki, prezesy? Co to ma za sens z tym, co ja mówię? Idźże ty sobie do licha, głupia babo, kiedy ci się we łbie przewróciło. Juściż muszę ci tak powiedzieć i mam rację, bo gęś ma więcej rozumu, niż ty; widział to kto, żeby samej od szczęścia uciekać. Gdybym to ja ci powiadał, że córka nasza musi skoczyć na łeb z wieży jakiej, albo latać po świecie, jak infantka Urraka, to byś miała przyczynę się gniewać, ale kiedy ci powiadam, że ani się obejrzysz, jak ją na panią wykieruję i spod słomianej strzechy pod baldachim poprowadzę i posadzę na aksamitach, jakich wszystkie Almadusy marokańskie w całym pokoleniu nigdy nie mieli, to czego się ty fochasz, czego jak najęta ozorem pytlujesz?

– A to wiesz czego, mój miły, oto widzisz ludzie powiadają: zakryj biedę czym chcesz, a ona zawsze śmierdzi. Na biednego to ledwie okiem rzucą, a na bogatego oczy wytrzeszczają, a jeśli bogaty był wprzód biednym, to psy na nim wieszają, i jak raz zaczną, to końca i miary nie ma.

– Ja ci na to, moja niebogo – rzecze Sancho – takie rzeczy powiem, żeś ich w życiu nie słyszała, a z palca ich nie wyssałem, ani z własnej głowy nie wziąłem, tylko ci powiem, co ksiądz gadał zeszłego postu z ambony. Żebyś miała pamięć nie jak kura, to byś wiedziała, jak on mówił, że co oczy widzą, tym się i głowa pasie, a co z oczu, to i z myśli; dziś jak cię widzą, tak piszą, a co wczora to

fora ze dwora, co było a nie jest, nie pisze się w rejestr (to, co dalej mówić będzie Sancho, tak dalece wyższym się nad rozum jego zdaje, że tłumacz na tym właśnie opiera przypuszczenie swoje, jakoby rozdział niniejszy nie był autentyczny). I taka to prawda – prawił dalej – że kiedy widzimy człowieka w dobrych pierzach strojnie przybranego i liczną służbą otoczonego, to szanujemy go zaraz, pomimo chęci nawet i pomimo szemrania, chociaż dobrze pamiętamy, żeśmy go dawniej w biedzie widzieli, a to dlatego, że już nie jest tym, czym był, i że patrzymy tylko na to, czym jest. Położenie, w którym się dziś znajduje, okrywa zapomnieniem dawny stan jego. I ten, co go szczęście wyniosło nad innych i na wysokim urzędzie postawiło, jeżeli przy tym jest cnotliwy i szlachetny, niemniej zasługuje na uszanowanie i miłość, jak ci, co z wysokich rodów idą, bo żyje tak, jakby był zacnie urodzonym i ze wszech miar na to zasługuje. Tylko złośliwi i zazdrośni pamiętają mu stan dawny i zawsze mu to wyrzucają.

– Ja ciebie nic nie rozumiem, mój mężu – rzecze Juana – rób sobie co chcesz, tylko już mnie łba nie kotłuj tymi swoimi oracjami i filozofiami, a jeżeli już się tak zeprzesz na to...

– Ależ uprzesz, uprzesz, mówi się, kobieto, nie zaprzesz – rzecze Sancho.

– E! nie bałamuciłbyś próżno, mój mężu, gadam jak Bóg dał i dobrze mi z tym. Ale chcę mówić, jeżeli tak koniecznie masz być wielkorządcą, to dobrze byłoby, żebyś wziął z sobą syna naszego, Sanchka, bo by się zawczasu włożył do tych rządów, to najlepiej, jak się dzieci od rodziców rzemiosła wyuczą.

– Jak zostanę wielkorządcą – rzekł Sancho – to przyślę po niego pocztę, a tobie zaraz pieniądze, gdyż będę ich miał kupę, bo nikt nie odmawia pożyczki wielkorządcy; każ go ubrać pięknie, żeby go nie poznali, czym jest, i żeby wyglądał, jak powinien wyglądać.

– No, no, przyślij tylko pieniędzy, już ja go wystrychnę, że aż miło.

– Tak tedy, moja żono – rzecze Sancho – a co do tego, zgoda z nami, że córka zostanie hrabiną?

– A niechże Bóg broni – zawołała Juana – wolę niech ją ziemia pochłonie, niżbym ją widzieć miała hrabiną. Ale powtarzam ci raz jeszcze, rób, co ci się tylko podoba. Wy, mężczyźni, wy jesteście panowie, a my białogłowy wasze sługi.

I zaczęło zaraz płakać rzewnymi łzami biedne kobiecisko, jak gdyby już córkę straciło i pogrzebać ją miało. Sancho ją uspakajał, zaręczając, że się postara jak najdłużej nie robić z niej hrabiny i poszedł zaraz do Don Kichota zająć się przygotowaniami do odjazdu.

Rozdział VI

Który opisuje, co zaszło między Don Kichotem a jego siostrzenicą, i ochmistrzynią, a przy tym jest to jeden z najważniejszych rozdziałów całej tej historii

Kiedy Sancho Pansa rozmawiał tak z Juaną Kaskajo, żoną swoją, siostrzenica i gospodyni Don Kichota w wielkim były kłopocie; wiedziały one dobrze, że poczciwego szlachcica opanowała znów dziwna jego mania i że ma ochotę po raz trzeci w świat wyskoczyć. Wszelkich używały sposobów, żeby go odwieść od tego zamiaru, ale nadaremnie.

Po wielu a wielu przekonywaniach, na które obydwie się siliły, gospodyni z taką odezwała się przemową:

– Zaprawdę, mój miły panie, jeżeli mimo wszystkiego myślisz jegomość znów z domu wyruszyć i tłuc się po górach i dołach, jak Marek po piekle, goniąc za jakimiś przygodami, to zdecydowana

jestem oskarżyć jegomości przed całym światem, a nawet szukać pomocy u Pana Boga i króla samego.

– Nie wiem, moja kochana – odrzekł Don Kichot – co wasani Pan Bóg albo król odpowie, ale wiem to dobrze, że gdybym był na miejscu Jego Królewskiej Mości, to bym nie przyjmował tych wszystkich skarg, jakie do niego co dzień zanoszę, bo to najstraszniejsza męka, moim zdaniem, żeby tyle ludzi słuchać i wszystkim odpowiadać, dlatego wcale bym sobie nie życzył moimi interesami przysparzać królowi kłopotu.

– Powiedzże mi, mój jegomość, z łaski swojej – zapyta gospodyni – czy to przy dworze nie ma wcale rycerzów?

– I owszem, i owszem są – odparł Don Kichot – i dosyć ich jest; jakżeby ich nie było, toć to największa dworu książęcego ozdoba i największy splendor majestatu monarszego.

– I czyżby to jegomości nie lepiej – rzecze gospodyni – zostać takim rycerzem i siedzieć u dworu, niż włóczyć się i biedzić tak srodze?

– Słuchaj, moja miła – odpowie Don Kichot – wszyscy rycerze nie mogą być dworakami, ani też wszyscy dworacy nie mogą i nie powinni być rycerzami błędnymi, na świecie muszą być ludzie wszelkiego gatunku, ale chociaż my jesteśmy wszyscy rycerzami, wielka przecież zachodzi różnica między jednymi a drugimi. Dworacy nie oddalając się z domu i krokiem od dworu się nie ruszając, podróżują po całym świecie, rozumie się, na mapie, i ani trudu, ani pieniędzy na to łożyć nie potrzebują. Ale my, prawdziwi rycerze błędni, my nie siedzimy, ale naprawdę przebiegamy całą ziemię, wystawieni na niewygody, czy to w zimna, czy w upały, czy dniem, czy w nocy, pieszo, czy konno. Nie malowanym to rycerzom patrzymy w oczy, potykamy ich uzbrojonych o każdej chwili i porze, w każdym spotkaniu, nie bawiąc się w jakieś tam prawa

pojedynkowe, nie bacząc, czy kopia lub miecz nierówne, czy nasz przeciwnik nie ma na sobie uroku, albo czegoś innego, co by mu dało przewagę, nie ustawiając się równo do światła, ani zważając na inne reguły w pojedynkach przestrzegane; ale ty się na tym nie znasz, ja to co innego. Trzeba, ażebyś wasani wiedziała jeszcze, że każdy błędny rycerz, nie lękając się spotkania z dziesięciu olbrzymami, których głowy pod obłoki sięgają, którzy miasto nóg zdają się mieć ogromne wieżyce, a miasto rąk okrętowe maszty, oczy jak koła młyńskie, pałające jak żar w hucie, nie lękając się, mówię, powinien stawić śmiałe czoło i z wesołym obliczem natrzeć, zgnębić, popłatać na sztuki lub rozproszyć, chociażby byli uzbrojeni łuską tych ryb, co ma być twardszą niż diament, i zamiast mieczów mieli bułaty z najlepszej damasceńskiej stali, jaką tylko w życiu widziałem. Powiedziałem ci to, moja duszko – mówił dalej Don Kichot – żebyś poznała, jaka jest różnica między rycerzem a rycerzem i życzyć by należało, żeby wszyscy monarchowie zrozumieli nieco lepiej wartość i ważność rycerzy błędnych, w których historii czytamy, że znalazł się niejeden taki, co nie tylko jedno państwo, ale kilka ich od niechybnego wybawił upadku.

– A co też to jegomość mówi – rzekła, potrząsając głową, siostrzenica – toć przecie to wszystko, co opowiadają o rycerzach błędnych, jest tylko sobie na czysto bajką i zmyśleniem i jeśli tych wszystkich książek nie spalić, to przynajmniej by należało dać im jakie znaki, ażeby można poznać je jako szkodliwe i gorszące.

– Przez Boga żywego! – wykrzyknął Don Kichot, trzęsąc się ze złości – gdybyś nie była moją krewną, srodze i przykładnie bym cię ukarał za bluźnierstwo, które wyrzec śmiałaś. Jak to! ty nędzne stworzenie, co zaledwie znasz się na kądzieli, tyle masz zuchwałości, że poważasz się uwłaczać błędnym rycerzom. I cóż by na to powiedział wielki Amadis, gdyby cię usłyszał w ten sposób

mówiącą? Ale darowałby ci pewnie, bo to był najwspanialszy i najgrzeczniejszy ze wszystkich rycerzy swojego czasu i gorliwy obrońca płci pięknej, lecz mógłby cię usłyszeć inny, który drogo kazałby ci przypłacić twoje nierozważne wyrazy. I niech cię Pan Bóg broni, żebyś mi się kiedy tak nieroztropnie wyrwała, bo oświadczam ci, że nie wszyscy rycerze są tak względni i uprzejmi, chociaż wszyscy jednego używają miana; między rycerzem a rycerzem jest jeszcze różnica. Trzeba ci wiedzieć, moja siostrzenico, że rozmaitego oni są rodzaju i wartości, a my mamy reguły do rozpoznawania ich, jako kamień probierczy, za pomocą którego każdego z nich z łatwością ocenić możemy. Są ludzie maluczcy, co się wszelkimi sposobami nadymają, żeby udawać wielkich rycerzy, a są znów rycerze wielcy, co jakby umyślnie zaćmiewają blask swego rodu; pycha i wytrwałość wynoszą tamtych, a ci gnuśnieją pod niecnym brzemieniem miękkości nałogów. Trzeba się zatem znać dobrze, żeby rozróżnić dwa te rodzaje rycerzy, bo choć z imienia jednacy, czynami wielce się różnią.

– Ach! mój Boże – zawołała siostrzenica – doprawdy, wujaszku, wyście tacy uczeni, że w potrzebie moglibyście z ambony prawić, a mimo to tak się łatwo dajecie powodować urojeniom, że wam się zdaje, jakobyście jeszcze młodzi byli, choć już dobrze starzy jesteście. Po co to także nazywać się rycerzem, kiedy wy nie jesteście wcale rycerzem ani Alcantary, ani Calatrava? Prawda, że każdy szlachcic zostać nim może, ale nie taki, co grosza nie ma przy duszy.

– Niegłupio mówisz, moja siostrzenico, i miałbym ochotę oświecić cię moją nauką we względzie rodów, ale nie będę nic o tym mówił, żeby nie mieszać rzeczy poważnych z fraszkami! Posłuchajcie tylko obydwie tego, co wam powiem, i niechaj moja nauka nie pójdzie w las. Wszystkie rodowitości w świecie dadzą się sprowadzić do czterech następujących, które wam wymienię: Jedni

idą z urodzenia niskiego, a powoli stopniami wznieśli się do najświetniejszej wielkości; inni urodzili się świetnie i blask swojego imienia utrzymali i zachowali po dziś dzień; trzeci znów, z wielkiego pochodząc rodu, nieznacznie zniżyli się do nicości, jak piramidy, co z wielkiej i wysokiej wznosząc się podstawy, zwężają się stopniami, aż w punkt przejdą maleńki; ostatni nareszcie, których liczba największa, zawsze byli maleńcy i takimi zostaną na wieki, jak lud pospolity. Co do pierwszych, mamy przykład w plemieniu ottomańskim, które ród wiodąc od nędznego pasterza, wzniosło swą władzę do najwyższego szczytu wielkości. Mnóstwo książąt, dzierżących kraje swe dziedziczne i utrzymujących w pokoju władzę swą nad nimi, w tym samym zawsze rozmiarze mogą służyć za przykład drugiej kategorii. Co do trzecich, co się kończą jak piramidy, mamy ich bez liku, jak na przykład faraonowie i Ptolemeusze w Egipcie, cezarowie w Rzymie i nieprzeliczone prawie roje władców i książąt medyjskich, asyryjskich, perskich, greckich i barbarzyńskich, po których ledwo imiona pozostały. O ludzie pospolitym nie mam co mówić, on zwiększa tylko liczbę żyjących, żadnego nie biorąc udziału w sławie ludzi wielkich i nie wiedząc nawet, co to jest zasługa. Z tego, co wam powiedziałem, moje robaczki, widzicie jasno, że wielka jest między rodami różnica i że te tylko są znakomite i świetne, w których zawsze przechowywały się bogactwa, wspaniałość i cnoty; powtarzam: bogactwa, wspaniałość i cnoty, bo pan wielki bez cnót występniejszym jest od każdego innego, a bogacz bez wspaniałości gorszy od nędznika. Nie bogactwa to czynią ludzi szczęśliwymi, ale dobre ich użycie. Rycerz biedny nie ma innego środka na zachowanie prawej rycerskości, jak tylko swe cnoty; powinien być grzeczny, uczciwy, uprzejmy, wspaniały i mężny, a nie znać dumy i złości. Takie praktykując cnoty, wspanialszym

i szczobrobliwszym on będzie, niż ci, co się z takowych przymiotów nadymają; każdy go wtedy uzna za człowieka świetnego rodu, każdy go szanować i chwalić będzie, bo cnota zawsze nagrodzona być musi. Winienem wam jeszcze powiedzieć, że ludzie mają dwie drogi dla dojścia do bogactw i znamienitości, a tymi są: nauki i oręż. Co do mnie, czuję w sobie więcej skłonności do oręża, widać dlatego, żem się pod Marsem urodził, idąc więc za wpływem sił wyższych, tajemnych i za własnym popędem, pójdę moim torem, choćby wbrew światu całemu; próżne więc tedy wasze mozoły, żeby mnie skłonić do opierania się rozkazom nieba, do sprzeciwiania się losowi i rozumowi, a nade wszystko własnym moim życzeniom i popędom. Wiadomo mi aż nadto dobrze, że powołaniu błędnego rycerza towarzyszą trudy nieskończone, ale wiem równie dobrze, że znaleźć w nim można nieskończenie wiele błogości. Wiem, że cnota wąziuchną wiedzie nas ścieżką, a występku gościniec szeroki i gładki. Wiem jak różne te drogi; występek wśród tysiąca uroków i powabów prowadzi nas do śmierci, a cnota wśród cierni i trudów wiedzie nas do prawdziwego życia, do życia bez końca. Pięknie to wyraża nasz poeta hiszpański:

Tylko drożyną pokrytą cierniami
Dojdziesz do Raju, człowiecze...
Kogo kwiecista swym wdziękiem omami,
Ten niech się niebios wyrzecze!

– O, najświętsza Matko Boska! – zawoła siostrzenica – a to wujaszek jest także i poetą, wszystko wie, wszystko umie! Głowę daję, że gdyby się tylko uwziął, to by i dom wybudować potrafił.

– Moja niebogo – odpowie Don Kichot – przysięgam ci, że gdyby powołanie błędnego rycerza tak mnie do siebie nie zapalało i nie

pochłaniało, to nie byłoby nic takiego na świecie, czego bym ja nie potrafił...

W tej chwili zapukano do drzwi, odezwał się Sancho Pansa, a gospodyni uciekła zaraz, ażeby go nie widzieć, tak go śmiertelnie nienawidziła. Siostrzenica poszła mu otworzyć, a Don Kichot wybiegł naprzeciw niego z roztwartymi rękoma i ucałowawszy go, zamknęli się obaj w izbie, gdzie mieli rozmowę bynajmniej nieustępującą innym.

Rozdział VII

Który opisuje, co zaszło między Don Kichotem a koniuszym, i inne bardzo piękne rzeczy

Gospodyni, zobaczywszy, że Don Kichot z Sanchem zamknęli się, odgadła zaraz, co się święci i domyślając się, że z tych konszachtów niezawodnie przyjdzie do trzeciej wyprawy, zarzuciła na siebie jubkę i wielce zmartwiona pobiegła do bakałarza Karaski, ufając, że on potrafi pana odwieść od tak zuchwałego postanowienia, bo jest człowiek rozumny i przyjaciel Don Kichota. Zastała go przechadzającego się po ogrodzie i rzuciła mu się zaraz do nóg, a pot wielkimi kroplami kapał jej z czoła z niezmiernej alteracji i znużenia.

– Co to jejmości jest takiego – zapytał jej Karasko, widząc tak zmienioną – co się wam stało, że wyglądacie, jakby wam pół godziny do śmierci brakło?

– A cóż innego, panie bakałarzu – odpowiedziała – już po moim panu! już go niezawodnie nie zobaczę, nie ma żadnej rady!

– Jak to już po nim – zawoła Samson – cóż mu jest, czy się skaleczył, czy go paraliż ruszył?

– Ale nie, panie bakałarzu, to nie to wcale – rzecze gospodyni – to ta przeklęta wariacja znów go napadła, to jest, chciałam mówić,

panie Samsonie, że się znów w świat wybiera szukać szczęścia, jak powiada; piękne mi szczęście; to już po raz trzeci. Pierwszy raz przywieziono go na powrót jak sakwy, na ośle zwieszonego, czarniejszy był od tej mojej jubki, tak go kijami zbili; drugi raz znów przyciągnęli go wołami zamkniętego w klatce, gdzie mówił, że jest zaklęty. Ach! miły Boże, a taki był zbiedzony, że ledwieśmy go poznały; żółty jak gromnica, a oczy mu aż z tyłu wyłaziły. Pielęgnowałam go, chuchałam, żywiłam, żeby to do zdrowia wróciło; dziesięć kop jaj mi wyszło, Bóg mi na to świadkiem i te biedne moje kury, które, gdyby gadać umiały, to by powiedziały, że prawda.

– Na co tu świadkowie? – odpowie bakałarz – wszyscy przecież wiedzą, że aśćka nie kłamiesz; no, ale moja jejmość, to nie ma nic gorszego, tylko, że boicie się, ażeby dostojny Don Kichot znów nie prysnął?

– Nie, panulku, nie – odpowiedziała – alboż to jeszcze mało złego?

– O! niech was o to głowa nie boli, mnie to zostawcie – odrzecze bakałarz – bądź aśćka spokojna i przygotuj mi tam co ciepłego do zjedzenia, wracając, zmów tylko litanię do świętej Apolonii, jeżeli umiesz, ja tam zaraz przyjdę a obaczycie, że wszystko się ułoży.

– A ja nieszczęśliwa! – zawoła gospodyni – co też to jegomość gada; litanię do świętej Apolonii? Alboż to pan mój na zęby chory; on na głowę choruje.

– Już ja wiem, co mówię, mościa gospodyni – odpowie Samson – nie sprzeczaj się waśćka ze mną, jestem bakałarz z Salamanki.

Gospodyni poszła do domu, a bakałarz pobiegł donieść o wszystkim plebanowi. Obaczymy zaraz, jaką mieli konferencję. Don Kichot, zamknąwszy się z Sanchem, mieli z sobą długą rozmowę, którą historia w następujący sposób przechowała.

– Proszę pana – rzecze Sancho – ja już z żoną sobie tak poradziłem, że się zdobyła na tę dysolucję i pozwala mi iść z panem w świat.

– Ale nie mówi się dysolucję, mój Sancho, tylko rezolucję – przerwie mu Don Kichot.

– Zdaje mi się – odpowie Sancho – że ja już parę razy pana prosiłem, żeby mnie pan nie zabawiał tymi poprawkami, kiedy dobrze rozumiecie, co ja chcę powiedzieć. A jeżeli mnie, panie, nie rozumiecie, to trzeba mi tylko powiedzieć: Sancho, ja ciebie nie rozumiem, a jak się jeszcze nie wytłumaczę, to mnie wtedy poprawiajcie, bo ja nie mam w sobie ducha kontrawencji i lubię nawet, żeby mnie kto poreformował.

– No, już teraz, dalipan, niech przepadnę, jeżeli co rozumiem – rzecze Don Kichot – cóż to u diabła ma znaczyć ten twój duch kontrawencji i to poreformowanie?

– Duch kontrawencji – odpowie Sancho – to znaczy duch... taki... to jest... co to ten... no duch... O Boże, kiedy nie wiem... taki duch, co to nie lubi... eh, pan już rozumie dobrze.

– Ale nic a nic cię nie rozumiem – odpowie Don Kichot – jeszcze mniej teraz, niż wprzód.

– A przez Bóg żywy, jeżeli mnie pan jeszcze teraz nie rozumie, to już, przysiągłszy, nie wiem jak mam gadać – rzecze Sancho – to już lepiej skończmy i wcale nie gadajmy, bo ja już lepiej nie potrafię.

– Aha! przecie teraz zgaduję – odpowie Don Kichot – chciałeś powiedzieć, że nie masz ducha kontradykcji i że lubisz, kiedy cię kto poinformuje.

– A ja bym gardło dał – rzecze Sancho – że pan mnie tak rozumiał od razu, tylko robisz sobie pan umyślnie taką zabawkę, ażeby mnie mordować i żebym potem głupstwa gadał.

– Właśnie mi też to w głowie – odpowie Don Kichot – dziwak jesteś, Sancho, ale koniec końców, cóż powiada Juana?

– Co powiada Juana? – powtórzył Sancho – powiada, że trzeba, ażebym coś pewnego z panem zrobił, ażebym się zabezpieczył, że słowa z wiatrem ulatują, a papier ludzi przetrzyma, że kto sobie waruje, to potem nie żałuje, a lepszy jeden wróbel w garści, niż dziesięć na gałęzi. A ja powiadam, że kobieca rada zawsze niewielka to rzecz, ale głupi, kto jej nie słucha.

– I ja jestem tego zdania – rzecze Don Kichot – ale mów dalej, mój Sancho, dziś przedziwnie rozprawiasz.

– Powiadam tedy – mówił dalej Sancho – i pan to wiesz lepiej ode mnie, że nie wiemy, kto z brzegu, dziś człek żyje, jutro gnije, śmierć nie wybiera, kto pod ręką, ten lepszy, czy baran, czy jagnię, równo jej przypadnie, śmierć jest głucha, nic nie słucha, z brzegu bierze, czy człeka, czy zwierzę, i godziny dłużej nie pożyjesz, jak ci Bóg przeznaczył, jak zapuka do drzwi, nie ma już rady, próżne modły, jęki, nie zażyjesz zdrady, nie ujdziesz jej ręki; korony, mitry, nic nie pomogą, przynajmniej tak mówią wszyscy, a księża wierzyć każą.

– Wszystko to prawda – rzecze Don Kichot – ale cóż z tego dalej będzie?

– Co będzie? – odpowie Sancho – a to, że mnie się zdaje, jakoby to wcale nieźle było, gdybyśmy się z sobą ułożyli, że pan mi pewną kwotę pieniędzy miesięcznie płacić będziesz, dopóki będę miał zaszczyt w usługach jego zostawać, że pan mi kwotę takową wypłacać będziesz gotówką, bo to najlepsza rzecz, człek zawsze pewny swego, to się mieni, co w kieszeni. Słowem, człek rad by już wiedzieć przecie, proszę pana, ile sobie zarabia, czy mało, czy wiele; ziarnko do ziarnka, a będzie miarka, grosz do grosza zawsze się coś uciuła; kokosz jedno tylko jaje znosi, a dobrze jej z tym; aby tylko coś kapło do kaletki, trzydzieści grosików to już i złotówka, a złotówka do złotówki będzie talar. Zresztą, co zarobił, to zarobił,

a jak tylko człowiek zarabia, to już nie traci, bo czas płaci. A gdyby przyszło do tego, co daj Boże, a czego ja ani się spodziewam, ani sobie tuszę, żeby wielmożny pan miał mi dać przyobiecaną wyspę, to przecież nie jestem taki niewdzięcznik, ani taki łapigrosz, ażebym był od tego, aby dochody z niej potrącały się w pensji. A to dobre!

– Sancho, mój kochany – rzecze Don Kichot – czy kijem, czy pałką, to na jedno wyjdzie.

– Pan pewno chciał powiedzieć – zagadnie Sancho – nie kijem go, to pałką, ale to wszystko jedno, bo już widzę, że pan mnie i tak rozumie.

– Rozumiem, aż nadto dobrze rozumiem, i tak przejrzałem do głębi twych myśli, że wiem dobrze, do czego zmierzają te wszystkie twoje przysłowia i kadencje. Mój ty biedaku, ja bym ci był dawno już z całego serca wyznaczył pensję, gdybym tylko mógł był gdzie bądź się doczytać w jakiej historii, ile rycerze błędni płacili swoim koniuszym na rok lub na miesiąc, ale w całej historii ani wzmianki o tym, ani jeden rycerz pensji nie płacił koniuszemu, koniuszowie służyli zawsze tak i nagrody tylko otrzymywali, jak Pan Bóg poszczęścił ich panom, dostawali wyspę jaką, albo tytuł świetny przynajmniej i wychodzili na panów. Jeżeli pod takimi warunkami chcesz wrócić do mnie w służbę, to i owszem, jeżeli nie, kłaniam uniżenie, boć rozumiesz przecie, mój przyjacielu, że dla twoich pięknych oczu nie mogę porzucać starych tradycji błędnego rycerstwa. Róbże więc sobie, jak ci się podoba, wracaj do domu i naradź się z Juaną. Jeżeli ona zgodzi się na to, żebyś służył u mnie w nadziei pięknej nagrody, to dobrze, biorę cię z chęcią, a jeśli jej się to nie podoba, ani tobie, no, to drugie dobrze, a my sobie dlatego dobrymi przyjaciółmi zostaniemy, bo ja się wcale gniewać nie będę; póki ziarno w gołębniku, nie zbraknie gołębi. Przestrzegam cię

jednak, mój synu, że nadzieja czegoś dobrego warta często więcej, niż lada lichota w ręku, szkoda naboju na kota, kiedy sarnę masz pod nosem. Widzisz, mój Sancho, że i ja sobie z przysłowiami umiem także dać radę, ale ja mówię po prostu z mostu, szczerze i otwarcie, i powiadam ci bez żadnych andrybów, że jeżeli nie masz ochoty dzielić losów ze mną, to niechże cię Pan Bóg błogosławi, to się i obejdzie. Nie zbraknie mi koniuszych, kopami prosić się będą, i posłuszniejsi, pilniejsi, a nade wszystko lepiej język za zębami trzymać umiejący, i nie z taką wyprawną gębą jak ty, rozumiesz?

Strasznie się zdumiał Sancho, obaczywszy, że Don Kichot z tej beczki z nim zaczyna, bo był pewien, że za żadne a żadne skarby świata bez niego się nie ruszy. Kiedy się tak głęboko zamyślił i zasępił, wszedł do izby Samson Karasko, a za nim gospodyni z siostrzenicą, ciekawe, jak też to się on weźmie do rzeczy, żeby odwieść pana od zamiaru. Wszedłszy, bakałarz zaraz skłonił się do kolan Don Kichotowi i ucałował je, a potem w następujące słowa przemówił:

– O! kwiecie błędnego rycerstwa, o jasny blasku oręża, chlubo i zaszczycie całego narodu hiszpańskiego! do Boga Wszechmogącego modły moje zanoszę, by ci, co się w jaki bądź sposób opierać będą szlachetnemu zamysłowi twemu, aby trzecią odbyć wyprawę, nigdy nie mogli trafić do wyjścia w ciasnym labiryncie zamiarów swoich, żeby nigdy nie doczekali spełnienia najmniejszego ze swoich życzeń. Nie potrzebujesz już waśćka, jejmość gospodyni, odmawiać litanii do świętej Apolonii, niebo samo chce, aby dostojny Don Kichot nie zaprzestawał powołania rycerskiego. Przeciwko własnemu wykroczyłbym sumieniu, gdybym go sam nie zachęcał do okazania dzielności jego ramienia i męstwa niezrównanego, których nie może chować w domu, bo czekają na nie nieszczęśliwi, którym winien nieść pomoc, wyglądają ich

wdowy i sieroty, kobiety i dziewice, których honoru nie może na szwank i niebezpieczeństwo wystawiać, opóźniając przybycie swoje, on, co jest przedmurzem i twierdzą ich cnoty, nie może znieważać praw tego dostojnego zakonu, przeznaczonego od Boga na ocalenie rodu ludzkiego. Śmiało! wielki Don Kichocie, naprzód! Śmiało! dziś lepiej niż jutro. Jeżeli ci brak czego do wykonania swych zamysłów, ja ci się chętnie ofiaruję ze wszystkim, co tylko w sile mojej i z całego serca gotów jestem własną osobę poświęcić i nie tylko za honor poczytałbym sobie być koniuszym u waszej dostojności, ale przyjąłbym jeszcze te obowiązki, jako najzaszczytniejsze i najpiękniejsze w świecie.

– A co? nie mówiłem ci, Sancho? – rzecze Don Kichot – czy mi zabraknie koniuszych? Patrz, kto mi chce służyć; wszakże sam widzisz, wielki bakałarz Samson Karasko, którego uczoność podziwiano, jak sam mówi, w uniwersytecie salamanckim? Patrz, jaki to człowiek zdrowy na ciele i umyśle, jaki urodziwy i w jakiej sile wieku; potrafi on znosić zimna i gorąca, głód i pragnienie, a co największa, potrafi milczeć. Słowem, jest to człowiek posiadający wszystkie przymioty potrzebne koniuszemu błędnego rycerza. Niechże Bóg jednak broni, abym ja dla mojego dobra i własnej przyjemności miał na to narażać naczynie i kolumnę nauk, palmę sztuk wyzwolonych! Niech nowy Samson zostanie w swojej ojczyźnie, aby stał się jej zaszczytem i chwałą! Nie odbierajmy rodzicom jego podpory starości i ozdoby całej rodziny; wolę wziąć najlichszego giermka, jeżeli Sancho nie pojedzie ze mną.

– Ale gdzież tam, pojadę, pojadę! – zawoła ze łzami w oczach rozczulony Sancho. – Nie chcę, aby o mnie mówiono, żem uciekł z placu i nie dotrzymał temu, którego chleb jadłem! Nie jestem z rodu niewdzięcznych, cały świat wie dobrze, jako i wieś nasza, z jakich ja Pansów pochodzę. A zresztą widzę ze słów i czynów

pańskich, że masz ochotę zrobić mi dobrze. Jeżelim się prosił o zasługi, to dlatego, że mnie żona o to ciągle tarmosi, a kiedy jej co wlezie w głowę, to i wszyscy diabli nie wybiją tego; ale co mnie na to zważać? mężczyzna musi być mężczyzną, a kiedy nim jestem, to i w własnym domu będę jak gdzie indziej, choćby się nawet wściekła. Nic tedy nie pozostaje, tylko, żeby wasza wielmożność spisał testament, ale uczciwy, z takim koncilium i żeby go konwokować nie można i ruszajmy zaraz w drogę, żeby dusza pana bakałarza nie gryzła się więcej; bo powiada, że sumienie mu nakazuje zachęcać pana do nowej wyprawy. Ja, najdroższy panie, gotów jestem pójść za tobą na koniec świata i służyć ci będę wierniej i lepiej, niż kiedy bądź niektóry koniuszy przy rycerzach błędnych w przeszłych i przyszłych czasach.

Bakałarz nie mało się zdziwił, słysząc tę mowę Sanchy; bo jakkolwiek czytał pierwszą część historii Don Kichota, nie wystawiał sobie nigdy, żeby jego Sancho był tak zabawny, jak go autor maluje; ale gdy go usłyszał mówiącego: koncylium, którego konwokować nie można, zamiast kodycylu, którego rewokować nie można, i tyle innych niedorzeczności, uwierzył dopiero, że wszystko, co czytał, było prawdą i doszedł do pewności, że po panu jego większego wariata nie było na całym świecie.

Koniec końców, Don Kichot z Sanchem ucałowali się serdecznie, pozostali przyjaciółmi jak dawniej i nasz rycerz postanowił za poradą wielkiego Samsona Karasko, który odtąd stał się jego wyrocznią, że za trzy dni wyruszy, a przez ten czas przygotuje sobie wszystko i wyszuka hełm cały z przyłbicą. Samson darował mu zaraz hełm taki, zapewniając go, że jest doskonały i że tylko odczyścić go trzeba. Siostrzenica i gospodyni, spodziewając się wcale czego innego po Samsonie, klęły go teraz w żywe kamienie; włosy sobie z rozpaczy darły, twarze drapały, krzycząc i jęcząc, jak gdyby

ta trzecia wyprawa Don Kichota była niezawodną śmierci jego przepowiednią. Ale biedaczki próżno rozpaczały; rycerz nasz ani oczu na nie nie zwrócił. Nareszcie przygotowali sobie wszystko, czego było potrzeba naszym awanturnikom; Sancho ukoił jak mógł żonę, i nocą, tak, że nikt nie wiedział, oprócz bakałarza, który pół mili odprowadzić ich raczył, ruszyli drogą do Toboso. Bakałarz pożegnał się z Don Kichotem, uprosiwszy go raz jeszcze, żeby mu wszystko donosił, gdyż chce z nim dzielić złą i dobrą dolę, jak na prawdziwego przyjaciela przystoi. Uściskali się serdecznie i ruszyli każdy w swoją drogę; bakałarz na powrót do wsi, a Don Kichot prosto ku wielkiemu miastu Toboso.

Rozdział VIII

Który opisuje, co się przytrafiło Don Kichotowi, gdy jechał w odwiedziny do damy swojej – Dulcynei z Toboso

– Chwała wszechmogącemu Allahowi – woła Cyd Hamed Benengeli na początku tego rozdziału – wielkiemu Allahowi niechaj będzie chwała! – powtarza po trzykroć. – Don Kichot i Sancho Pansa już jadą na boje. Widzieć znów będziemy wielkie czyny oręża, słyszeć mowy niesłychane, oglądać przygody, wszelką wiarę przechodzące. Trzeba zapomnieć teraz, powiada on dalej, o wszystkich wielkich czynach dawnych przedziwnego rycerza z Manchy, bo nowe, które teraz zobaczymy, godniejsze są uwagi naszej, a szereg ich świetny rozpocznie się zaraz na drodze do Toboso, jak szereg tamtych rozpoczął się na polach Montielu.

Wielki Don Kichot i poczciwy Sancho, jeden na pysznym Rosynancie, a drugi na wiernym swoim kłapouchu, z sakwami dobrze wypchanymi i kaletą nieźle opatrzoną, jeszcze nie stracili z oczu uczonego bakałarza Samsona Karasko, gdy Rosynant rżeć,

a kłapouch wzdychać i beczeć zaczęli; rycerz i koniuszy wzięli to za bardzo szczęśliwą wróżbę i wiele, sobie obiecywali po tej trzeciej wyprawie. Benengeli, autor niezmiernie ścisły i sumienny, robi uwagę, że beczenie osła było daleko silniejsze i trwało daleko dłużej, aniżeli rżenie konia, i że Sancho wniósł stąd, iż ta wycieczka daleko będzie korzystniejszą dla niego, niż dla pana. Nie wiadomo, czy nadzieję tę gruntował na astrologii sądowej, której miał pewną znajomość, jakkolwiek historia o tym nie wspomina; ale słyszano go kilkakrotnie powtarzającego, że gdy osioł jego się potknie lub upadnie i kroczy smutno a ponuro, to dałby wszystko, co tylko ma przy duszy, ażeby z domu nie wyjeżdżać, bo to niezawodna przepowiednia, że mu się coś po grzbiecie oberwie.

– Przyjacielu Sancho – rzecze Don Kichot – noc coraz ciemniejsza zapada i wkrótce tak będzie czarna, że nie będziemy mogli cieszyć się widokiem pięknego Toboso; ja tam wszakże być muszę, na żadne niebezpieczeństwo się nie oglądając; muszę pożegnać nieporównaną Dulcyneę i otrzymać od niej jakąś oznakę przyjaźni, żeby mi szczęście przyniosła we wszystkich naszych przedsięwzięciach; bo nic tyle pomyślności nie zapewnia błędnym rycerzom, jak miłość i przychylność ich dam.

– Bardzo temu wierzę – odpowiedział Sancho – ale sądzę, że trudno wam będzie widzieć się z panią Dulcyneą i mówić z nią w miejscu takim, gdzie by mogła wam dać oznakę przyjaźni, chyba, że ją rzuci przez parkan podwórza, na którym widziałem ją po raz pierwszy, gdym jej nosił list od was i wiadomość o strasznych przygodach waszych w Sierra Morena.

– Grubo się mylisz, mój biedny Sancho – rzecze Don Kichot – biorąc za podwórze miejsce, w którym widziałeś tę piękność nieporównaną, ten zbiór wszelkich powabów; musiał to być

pewnie balkon złocisty, albo któryś z bogatych krużganków wspaniałego pałacu.

– Wszystko to być może – odpowie Sancho – ale ja to między bajki włożę, bo widziałem wtedy, że to było podwórko oparkanione, a przecież jeszcze pamięci nie straciłem.

– Niechże sobie będzie, jak chce – rzecze Don Kichot – a ja tam jadę i bylebym widział damę swoją, mniejsza o to, czy ją widzieć będę przez parkan, czy przez okno, czy przez sztachety ogrodu; bo skądkolwiek najmniejszy promień jej wdzięków oczu moich dojdzie, zawsze rozświeci mi duszę i serce tak pokrzepi, że równego sobie nie znajdę w męstwie i mądrości.

– Dalibóg, proszę pana – rzecze Sancho – to słońce pani Dulcynei strasznie było ciemne, kiedym je widział, i żadnych promieni nie rzucało; ale to pewno dlatego, że, jakem wam już mówił, harfowała ona wtenczas zboże i straszny kurz grubą mgłą ją otaczał.

– Czyż to podobna, mój Sancho – rzecze Don Kichot – żebyś ty nigdy z głowy nie mógł sobie wybić, że pani Dulcynea nigdy zboża nie harfuje, i że to zajęcie niegodne, jej stopnia i znakomitości? Nie pamiętasz widać tych wierszy naszego poety, w których maluje zajęcia i prace czterech nimf z wód Tagu występujących, kiedy siadają na trawie i biorą się do wykończenia tkanin z samego złota, jedwabiu i pereł; zapewne to taką pracą zajętą była Dulcynea, kiedyś ją widział, ale jakiś czarnoksiężnik, wróg jej sławy i wszystkiego, co mnie przyjemne być może, omamił ci oczy, w błąd cię wprowadził; dlatego to ja się tak boję, czy ten autor, co to napisał historię moich czynów i życia, nie jest przypadkiem czarnoksiężnikiem nieprzyjaznym mi i czy nie nakładł tam kłamstw zamiast prawdy, czy nie opisywał jakich przygód, nic wspólnego z przedmiotem nie mających, aby tym sposobem zaćmić moją sławę i blask imienia mego oszpecić. O zazdrości! śmiertelny jadzie

cnót najświetniejszych! niewyczerpany zdroju boleści bez końca! Wiesz, przyjacielu Sancho, nie ma występku, który by nie miał w sobie czegoś przynajmniej przyjemnego; jedna tylko zawiść ciągnie za sobą same okropności, zdrady, wiarołomstwa i podłości.

– O, dalibóg, że to prawda, panie – odpowie Sancho – i czuję ja, że w tej historii, którą bakałarz Karasko o nas czytał, musieli mnie tam tęgo osmarować, pewno nie oszczędzali, odmalowali od stóp do głów. A jako żywo, nigdym nic złego nie mówił na żadnego czarownika i nie mam takich dostatków, żeby zazdrość wzbudzały; co prawda, to prawda, że czasami skrobnę kogo językiem i że wygadam, co ślina do gęby przyniesie; ale z tym wszystkim złośliwy nie jestem i nikogo nie obgaduję; a gdyby i to się zdarzyło, to zawsze wierzę silnie w Boga i we wszystko, w co wierzy święty kościół katolicki, jestem zawziętym wrogiem Żydów i zasługuję ze wszech miar, żeby historycy mieli wzgląd na mnie i oszczędzali mnie w swoich książkach. Ale niech ich tam, niech sobie zresztą piszą, co im się podoba, a diabli by się tam o to turbowali! Urodziłem się goły i goły jestem, ani mi nic z tego nie przybędzie, ani ubędzie, niech mnie pakują w książki, ile się zmieści, dbam o to, jak pies o piątą nogę. Złamanego grosza nie dałbym, żeby ich wstrzymać od tego, niech ich kaci porwą, bawią mnie swoimi historiami.

– To wszystko przypomina mi, mój Sancho – rzecze Don Kichot – wydarzenie, jakie miał jeden ze sławnych poetów dzisiejszych, który napisawszy satyrę trochę przyostrą na damy dworskie, nie zamieścił w niej nazwiska jednej, z której niewiele sobie robiono z powodu niskiego jej urodzenia. Ona, gdy zobaczyła, że nie znajduje się w spisie, biorąc to sobie za ujmę, wyrzucała to poecie, pytała go, co by mu zawiniła, że ją tak pominął, i prosiła koniecznie, żeby satyrę rozszerzył i ją razem z innymi w niej

zamieścił. Poeta uczynił jej zadość, ale cudów o niej nagadał; a ona się cieszyła, że przynajmniej mówią o niej, chociaż ze szkodą reputacji. Mogę także przyrównać tu tego gbura, co to podłożył ogień w świątyni Diany, owym siódmym cudzie świata, żeby imię swoje unieśmiertelnić; i mimo tylu zakazów, żeby o nim ani mówić, ani pisać, ani nazwiska jego nie wspominać, nikt nie był w stanie przeszkodzić temu, żebyśmy dziś nie wiedzieli, że on się nazywał Herostrat. Nie od rzeczy będzie również przytoczyć, co zaszło w Rzymie pomiędzy cesarzem Karolem V a pewnym kawalerem rzymskim:

Zachciało się raz cesarzowi zwiedzić słynną świątynię, która dawniej była Panteonem, czyli świątynią wszystkich bożków, a która dziś nazywa się kościołem Wszystkich Świętych; jest to gmach najpiękniejszy i najlepiej zachowany ze wszystkich, co pozostały ze starego Rzymu, i daje nam najdokładniejsze wyobrażenie o wielkości i wspaniałości tych bałwochwalców; struktura jego prześliczna, formę ma pomarańczy na pół przeciętej, a chociaż światło wpada do niego jednym tylko oknem u góry, które w architekturze nazywa się dymnikiem, mimo to tak doskonale jest oświetlony, jak gdyby był ze wszech stron otwarty. Cesarz przypatrywał się stamtąd piękności przepysznego gmachu, a obok niego stał kawaler rzymski, zwracając jego uwagę na doskonałość i sztukę w wykonaniu. Gdy cesarz już odchodził:

„Najjaśniejszy panie – rzecze kawaler – muszę wyznać waszej cesarskiej mości, że gdy, miłościwy panie, stałeś na kraju tego otworu, po sto razy przychodziło mi do głowy schwycić cię w swoje objęcia i rzucić się z tobą na dół, aby uwiecznić imię swoje".

„Bardzom ci obowiązany, żeś tego nie zrobił – odpowiedział cesarz – i bądź pewien, że pewno mi się już w życiu nie zdarzy narazić cię na podobną pokusę i dlatego rozkazuję ci nigdy nie

znajdować się tam, gdzie ja będę" – a rzekłszy to, ukłonił mu się bardzo uprzejmie. I któż, myślisz, zmuszał Horacjusza, żeby cały uzbrojony rzucał się do Tybru? Co dało Mucjuszowi, przezwanemu później Scevolą, tę straszną i cudowną wytrwałość, że wytrzymał w ogniu rękę, dopóki prawie zupełnie się nie zwęgliła? Dlaczego Kurcjusz rzucił się w tę przepaść, co w środku miasta leżała? Dlaczego Juliusz Cezar przeszedł Rubikon, pomimo tylu wróżb niepomyślnych?

– Dalibóg, że ja nie wiem – rzecze Sancho.

– Wracając zaś do przykładów świeższych – mówił dalej Don Kichot – dlaczegoż garstka Hiszpanów pod wodzą wielkiego Korteza, na brzegach Nowego Świata, sama zatopiła okręty swoje, niszcząc tym sposobem jedyny środek ucieczki? Sława to, sława poduszcza ludzi do tak wielkich czynów. Dla niej to ludzie gardzą największymi niebezpieczeństwami, dla niej śmierci patrzą w oczy, jak gdyby w chwili takiej odwagi cieszyli się już zawczasu uczuciem nieśmiertelności. Ale my, chrześcijanie i rycerze błędni, my pracujemy raczej na sławę wiekuistą w niebie, niż na próżny rozgłos doczesnego świata, który razem z nim zaginie; dlatego to, Sancho, czyny nasze powinny być zgodne z religią chrześcijańską. Zabijając olbrzymów, powinniśmy mieć na myśli upokorzenie dumy; zawiść zwalczamy wspaniałomyślnością; złość słodyczą i spokojem duszy, obżarstwo i lenistwo przykładną wstrzemięźliwością i innymi niewywczasami, rozwiązłość wiernością, dochowywaną tym, które uczyniliśmy paniami swoich myśli. Takie to są, Sancho, stopnie, po których dochodzi się do szczytu sławy.

– Zrozumiałem ja bardzo dobrze, wielmożny panie – rzecze Sancho – wszystko, coś mówił; ale chciałbym, żebyś mi raczył wytłumaczyć

jedną rzecz, która mnie mocno frasuje i właśnie mi w głowę zajechała.

– No, cóż to takiego, mój synu? – zapytał Don Kichot – mów, co chcesz, a ja ci odpowiem, jak tylko będę umiał.

– A to, łaskawy panie – rzecze Sancho – raczcie mi powiedzieć, proszę bardzo, bo ci wszyscy Cezarowie, ci Juliusze i ci dzielni rycerze, o których mówiliście, to oni już dawno poumierali i gdzież oni są teraz?

– Ci, co byli poganami – odpowie Don Kichot – są zapewne w piekle, a chrześcijanie, jeżeli dobrze żyli, są w raju, albo też w czyśćcu.

– A to przynajmniej jako tako – rzecze Sancho – powiedzcież mi teraz, panie, czy na grobach tych wielkich panów palą się lampy srebrne i czy na ścianach ich kaplic wiszą szubienice, nogi, głowy i ręce z wosku lub też, czy co innego wisi?

– Na grobach pogan – odrzekł Don Kichot – wznoszą się po większej części świątynie wspaniałe; na popiołach Juliusza Cezara zbudowano piramidę z jednej sztuki kamienia wielkości niesłychanej, którą dzisiaj zwą w Rzymie igłą Świętego Piotra; zamek ogromny służy za grobowiec cesarzowi Adrianowi; nazywano go długo *moles Adriani*, a dziś nazywają zamkiem Świętego Anioła; królowa Artemiza kazała złożyć zwłoki Mauzoleusza, męża swego, w grobowcu tak wielkim, wspaniałym, bogatym i pełnym wytworu sztuki, iż policzono go do siedmiu cudów świata; ale zdumiewających pomników pogańskich nie zdobiono nigdy całunami, lampami, ani innymi oznakami grobowców Świętych.

– No, przecież nareszcie, dotarliśmy do rzeczy – mówi Sancho – a co jest rzecz lepsza, panie, czy wskrzesić umarłego, czy zabić olbrzyma?

– Odpowiedź na to nietrudna – odeprze Don Kichot – oczywiście, wskrzesić umarłego.

– Aha! widzi pan, złapałem pana – zawołał Sancho – pokazuje się tedy, że sława tych, co wskrzeszają umarłych, przywracają wzrok ślepym, nogi chromym i na których grobach zbierają się pobożni, a duchowni na kolanach czczą ich relikwie, że sława takich ludzi jest daleko większa na tym i na tamtym świecie, niż sława tych wszystkich wojaków, tych mocarzów i błędnych rycerzy, jacy tylko byli pod słońcem.

– Zgadzam się na to – odpowiedział Don Kichot.

– A więc – rzekł Sancho – ponieważ Święci mają te prerogatywy, że im kaplice stawiają, pełne lamp gorejących, rąk i nóg woskowych i różnych malowideł, że królowie i biskupi na barkach noszą ich relikwie, na ołtarzach je wystawiają...

– Skończże już raz – przerwał mu Don Kichot – co chcesz stąd wnosić?

– Otóż, chcę powiedzieć – mówił dalej Sancho – że lepiej zostańmy świętymi, aniżeli mamy gonić za tą tam jakąś sławą, której może nigdy nie dogonimy. Wczoraj, czy onegdaj, bo nie pamiętam dobrze, kanonizowano dwóch karmelitów bosych; nie wyobrazi pan sobie, jaka była ciżba do całowania dyscyplin, którymi się chłostali, i pocierania koronek o ich relikwie; więcej tam oddawano uszanowania, niż szpadzie Rolanda, co to ma się znajdować w zbrojowni króla, którego niech Bóg błogosławi i w długie zachowa lata. Dlatego zdaje mi się, że lepiej by było zostać braciszkiem w jakimkolwiek zakonie, niż najmężniejszym na całym świecie błędnym rycerzem; kilkanaście dyscyplin w plecy własne wpakowanych milsze są Bogu, niż kilka tysięcy cięć oręża, spadających na olbrzymy, duchy i dziwotwory.

– Prawda to mój Sancho – rzecze Don Kichot – wielką masz słuszność, aleć wszyscy, mój przyjacielu, nie możemy być mnichami, nie jedną drogą Pan Bóg wybranych prowadzi do nieba. Rycerskość jest także pewnym rodzajem religii i niemało jest w niebie rycerzy.

– Wierzę bardzo – rzecze Sancho – ale słyszałem, że daleko więcej jest mnichów.

– I to prawda – odpowie Don Kichot – że księży daleko więcej na świecie niż rycerzów.

– Alboż to mało jest błędnych rycerzy? – zapyta Sancho.

– Niewątpliwie, jest ich dużo – odpowie Don Kichot – ale takich, co sobie to miano przybierają, a takich, co na nie zasługują, bardzo mało.

Dwaj nasi awanturnicy spędzili noc całą i dzień następny na podobnych rozmowach; nic im się przez ten czas godnego uwagi nie przytrafiło, a Don Kichota wielce to frasowało. Na trzeci dzień nareszcie ku wieczorowi ujrzeli słynne miasto Toboso; skoro je tylko dostrzegł, nasz rycerz wielce się ucieszył, kiedy Sancho przeciwnie posmutniał i jakoś się zafrasował, a to dlatego, że nie wiedział, gdzie mieszka Dulcynea, której w życiu swoim nie widział, tak samo jak i Don Kichot, co umierał dla niej z miłości; Sancho umierał w tej chwili także, ale ze strachu, żeby go pan do niej nie posłał, i szukał konceptu, jak by się wykręcić.

Don Kichot nie chciał wjechać do miasta, jak tylko w nocy, zatrzymali się zatem w dębowym gaiku, pod samym Toboso leżącym, i gdy noc nadeszła, wjechali do miasta, a co im się tam przytrafiło, zaraz opowiemy.

Rozdział IX

Z którego czytelnik się dowie, co w nim jest

Było już około północy, gdy Don Kichot i Sancho z pochyłości pagórka wjeżdżali do Toboso; gród cały zalegało milczenie, bo była to godzina snu, a nigdzie w świecie mieszkańcy tak sumiennie nie wywiązują się z tego obowiązku, jak tutaj. Noc była dość ciemna, ale Sancho pragnąłby był, żeby była jak najciemniejsza, bo miałby na co spędzić swoją nieświadomść miejsca. Po całej wsi rozlegały się tylko wycia i naszczekiwanie psów, które Don Kichotowi głowę już zawracać zaczęły, a Sanchę strachem wielkim przejmowały, czasem gdzieś osioł zabeczał, owdzie prosięta zakwiczały, a koty straszne harce na dachach wyprawiały. Zmieszane te różne odgłosy, które cisza nocy jeszcze powiększać się zdawała, miały w sobie coś ponurego i straszliwego; rozkochany rycerz zaraz stąd złe wróżby tuszył, ale nie zdradzając swej obawy, mówił do Sancha:

– Sancho, synu mój, jedź do pałacu Dulcynei, może ją jeszcze czuwającą zastaniemy.

– Eh, do jakiego, u diabła, pałacu chcecie panie, żebym was prowadził – odpowie Sancho – kiedy to, Boże zlituj się, nędzna chałupina, gdzie mieszka ta prześwietna Dulcynea.

– Musiała się zapewne wtedy, kiedyś ją widział, schronić do jakiego ustronia dla zabawy z orszakiem swych dziewic, jak to zwykły czynić wielkie księżniczki.

– A no, kiedy już chałupa pani Dulcynei ma być pałacem – rzecze Sancho – to przez Bóg żywy, czyż pałac o tej godzinie może być otwarty? Chcecież, panie, żebym budził wszystkich kołataniem? alboż to szynk, który o każdej godzinie otwierają?

– Poszukajmy naprzód pałacu – rzecze Don Kichot – a jak znajdziemy, to ci powiem, co zrobić wypada; ale Sancho, patrz jeno, wszakże tu przed nami stoi gmach jakiś wielki i ponury? Musi to być zapewne pałac Dulcynei.

– Ano, panie, to prowadźcie do niego – odpowie Sancho – może też to tam. Ale żebym go widział obu oczyma i namacał wszystkim i dziesięciu palcami, to jeszcze bym nie wierzył, ale niech się dzieje wola Boża!

Don Kichot wysunął się naprzód i ujechawszy ze dwieście kroków, przybył do stóp wysokiej wieży, w której poznał dzwonnicę parafialną.

– To kościół, mój Sancho! – zawołał.

– A widzęć przecie – odpowiedział Sancho – daj Boże tylko, żeby to nie był grób nasz, bo to na licha się zdało, tłuc się nocą po cmentarzach. Jak mi się zdaje i mówiłem to już panu, to dom tej pani stoi na bocznym zaułku.

– Czy ty mnie chcesz do rozpaczy doprowadzić, ty niegodziwcze? – odpowie Don Kichot – gdzieżeś ty słyszał, żeby pałace królewskie stały na bocznych zaułkach?

– Proszę pana – na to Sancho – co kraj, to obyczaj. Pozwólcie, panie, że już ja poszukam, a może znajdę gdzie w kącie ten psi pałac, żeby on z piekła nie wyjrzał, za tę biedę, co człek ma przez niego.

– Słuchaj Sancho – zawoła Don Kichot – żebyś mi z uszanowaniem mówił o wszystkim, co dotyczy pani Dulcynei.

– Przepraszam was, panie – rzecze Sancho – ale jakżeż u diabła, żebym tak jak w dym zaraz trafił do mieszkania naszej pani, kiedym je raz w życiu tylko widział i kiedy tak ciemno, że choć w papę daj i kiedy sami nie możecie znaleźć go, coście musieli tam być ze sto tysięcy razy?

– Jak Boga kocham, ty mnie niedługo do rozpaczy doprowadzisz – rzecze Don Kichot – czyż ci tysiąc razy już nie powtarzałem, gamoniu przeklęty, ty ciemny bydlaku, żem nigdy w życiu moim nie widział nieporównanej Dulcynei; że noga moja nie postała

w jej pałacu, i że kocham się w niej jedynie na wiarę wielkiej sławy jej, jako najpiękniejszej i najrozumniejszej w świecie księżniczki?

– Ach! teraz już rozumiem, panie – odpowie Sancho – i powiem wam prawdę, że kiedyście wy jej nigdy nie widzieli, to dalibóg i ja jej także nigdy nie widziałem.

– Co ty gadasz? jak to! – zawoła Don Kichot – albo żeś mi nie mówił, żeś ją widział harfującą zboże, kiedyś mi przyniósł odpowiedź na list, którym do niej pisał?

– Pluń pan na to! – odpowie Sancho – powiadam wam, żem jej nigdy nie widział, tak samo jak i wy panie, tylko ze słyszenia. Diabli tam znają jakąś panią Dulcyneę!

– Sancho! Sancho! – zawoła Don Kichot – tu nie czas na żarty, na wszystko jest właściwa pora; teraz nie pora na żarty. Czyż dlatego, iż ja powiadam, żem nigdy nie widział pani Dulcynei i nigdy z nią nie mówił, to i tobie ma być wolno powtarzać to samo, kiedy się rzecz ma inaczej?

Gdy w ten sposób rozmawiają nasi bohaterowie, zbliża się do nich człowiek z dwoma mułami; po pługu poznali, że to musi być rolnik, jadący przededniem w pole: i tak było istotnie. Wieśniak ciągnął, śpiewając sobie piosnkę:

Źle wy owsy siejecie,

Francuzy pod Roncewalem.

– Sancho – rzecze Don Kichot – niech przepadnę, jeśli nas co złego tej nocy nie spotka, czy słyszysz, co on to śpiewa?

– A słyszę – odpowie Sancho – a cóż to znaczy, to tak samo, jak gdyby śpiewał: *Róziu, moja Róziu*.

Wieśniak zbliżył się właśnie do nich i Don Kichot rzekł do niego:

– Dzień dobry, przyjacielu! czy byś mi nie powiedział, gdzie tu jest pałac księżniczki Dulcynei?

– Proszę pana – odpowie wieśniak – ja nie tutejszy, niedawno przybyłem do wsi, gdzie służę u bogatego gospodarza; ale oto naprzeciwko tu mieszka pleban i zakrystian parafii, oni was najlepiej oświecą o tej księżniczce, bo oni mają spisanych na liście wszystkich mieszkańców Toboso. Wątpię wszakże, żeby tu była jaka księżniczka, ale może się i mylę, bo jest tu siła paniów, a każda może być księżniczką u siebie.

– Ta, o którą się pytam, mieszka zapewne między nimi – rzecze Don Kichot.

– To musi i tak będzie – odpowie wieśniak – upadam do nóg pańskich. Słońce już idzie w górę, muszę się spieszyć. – I zaciął muły.

Sancho widział, że nie po myśli poszła panu ta odpowiedź, i widząc go zakłopotanym:

– Panie – rzecze – już dobrze dnieje a na licha by się zdało, jakby nas ludzie tak na środku ulicy obaczyli. Posłuchajcie mojej rady, wyjedźmy lepiej z miasta, schrońmy się do lasku, a jak dzień będzie dobry, ja tu powrócę i od domu do domu, od drzwi do drzwi szukać będę pałacu naszej pani; zjadłbym diabła, żebym go nie znalazł; a jak go znajdę, oświadczę prześwietnej księżniczce, że wy, panie, czekacie tu blisko i upraszacie ją pokornie, abyście mogli mieć zaszczyt widzieć się z nią, nie ubliżając jej honorowi.

– Jakem rycerz, Sancheńku! – zawoła Don Kichot – tysiąc mądrości wyrzekłeś w tych kilku słowach. Idę zaraz za twoją radą; chodź, synu, chodź, znajdziemy miejsce, gdzie bym się mógł ukryć, a ty dopełnisz poselstwa do tej królowej piękności, której uprzejmość i wspaniała wytworność sprawiają mi niewypowiedziane łaski.

Sancho ledwie ze skóry nie wyskoczył, tak mu śpieszno było wyprowadzić pana z wioski, taki go strach brał, żeby nie odkrył

oszukaństwa jego co do tego listu od Dulcynei, który mu przyniósł do Sierra Morena! Sam już więc naprzód się wysunął i po półgodzinnej jeździe doprowadził Don Kichota do lasku, ukrył go w nim, a sam wrócił jako poseł.

Rozdział X

Który opisuje, jak przemyślny Sancho znalazł sposób zaklęcia pani Dulcynei, i zarazem wyłuszcza inne wypadki, bardzo ucieszne, a prawdziwe

Don Kichot, schroniwszy się w dębinie pod samym Toboso rosnącej, kazał Sanchowi udać się zaraz do miasta i nie wracać, dopóki się nie rozmówi z damą jego i dopóki jej nie uprosi, aby dozwoliła przedstawić się przed swą dostojnością rycerzowi, co jest niewolnikiem jej wdzięków i pragnie otrzymać od niej rozkazy, aby szczęście mu sprzyjało w rycerskich przedsięwzięciach. Sancho z całego serca podjął się zlecenia i przyrzekł przynieść odpowiedź niemniej dobrą, jak dawniej.

– Idź więc, mój synu – rzecze Don Kichot – a strzeż się nie postradać zmysłów na widok promienistego światła tego słońca piękności. Szczęśliwszy nad wszystkich giermków w świecie; o ty! któremu nieba dozwoliły oglądać wszystkie skarby ziemi w jednej skupione osobie, nie zapomnij, proszę cię, dobrze sobie wyryj w pamięci, jak przyjęte zostanie to pytanie moje; czy zmieni się na twarzy, czy nie dozna wrażenia, gdy mówić jej będziesz o mnie; czy się nie zasmuci, albo zakłopocze, a jeżeli ją zastaniesz stojącą, uważaj dobrze, czy przestępować nie będzie z nogi na nogę i czy nie powtórzy dwa lub trzy razy swojej odpowiedzi; uważaj na jej oczy, na dźwięk jej głosu, na wszystkie ruchy i czynności; a gdy mi zdasz sprawę dokładną, ja przejrzę tajnie jej serca i wiedzieć będę

wszystko, co wiedzieć ci trzeba, przyjacielu Sancho, jeżeli jeszcze tego nie wiesz, że w sprawie miłości kochankowie z ruchów zewnętrznych poznają wszystko, co się dzieje w sercu ukochanej istoty. Idź, drogi przyjacielu; los większym niż mnie obdarza cię szczęściem. Obyś pomyślną przyniósł odpowiedź, której ja ze strachem i pokorą czekam w tej posępnej samotni.

– Jadę i zaraz powracam – odpowiedział Sancho – tylko niech się pan uspokoi, bo widzę, że pan ma serce okropnie ściśnione. No, odwagi, odwagi panie, śmiałym fortuna sprzyja; nie trzeba się nigdy trwożyć, chyba by przyszło głowę u nóg położyć. Nie znalazłem pałacu pani Dulcynei po nocy, to go znajdę teraz po dniu, a jak go znajdę, to spuść się już pan na mnie.

– Jedź, mój kanarku, jedź – rzecze mu Don Kichot – daj ci Boże tyle szczęścia w tej sprawie, ile go masz do tych swoich przysłów.

Nie bawiąc więcej, Sancho ruszył na lewo w tył i poczłapał na kłapouchu. Don Kichot został na koniu i zwiesiwszy się na siodle, tęsknie wsparty na włóczni, roił smutne i mgliste mary. Sancho Pansowi nie weselej było na sercu, jak jego panu; nie wiedział biedak, jak sobie począć, by sprawnie dopełnić poselstwa; zaledwie też wyjechał z lasu, przypuszczając, że go już Don Kichot nie widzi, zlazł z osła i siadłszy pod drzewem, zaczął sam z sobą rozmawiać:

– Zastanówmy się jeno, panie Sancho, dokąd to pan dobrodziej teraz jedziesz: czy to jedziesz szukać osła, co ci się zabłąkał? Oj! to nie to, co cię czyni niespokojnym. A czegoż to szukać jedziesz? małej rzeczy, oto księżniczki tylko; księżniczki, co jest piękniejszą od księżyca i słońca razem – a gdzież to ją znajdziesz Sancho? – gdzie? – a nie gdzie indziej, tylko w wielkim mieście Toboso. – Doskonale – a gdzież jej tam będziesz szukał i po co? – po co? w interesie słynnego rycerza Don Kichota z Manchy, co karze

pysznych, a wspomaga uciśnionych, co daje jeść spragnionym, a pić łaknącym. – Idzie ci jak z płatka, miły mój Sancho, a wiesz ty, gdzie ona mieszka? – ani w ząb – ale pan mój powiada, że mieszka w wielkim zamku albo pałacu królewskim. – A widział żeś ty kiedy tę damę?

Ani ja, ani pan mój, nigdyśmy jej w żywe oczy nie widzieli. – Oj, ciepłożby ci było, mój Sancho, gdyby Tobosjanie się zwiedzieli, że ty czyhasz na ich dziewuchy, a przyszliby ci boczki wysmarować, żeby ci ani jedno żeberko zdrowe nie zostało; albożby nie mieli racji? co? może by i mieli, ale jakby się dowiedzieli, że ja jestem tylko ambasadorem i nic z własnej głowy nie zrobię, to nie sądzę, żeby się tak gorąco do mnie znów brali. – Nie dufaj w to tak bardzo, biedny mój Sancho, krewki to naród, nie da on sobie w kaszę nadmuchać, strzeż Boże każdego wleźć mu w drogę! Oj, jak słońce na niebie! jak cię jeno raz zwąchają, nie ujdziesz na sucho; trzymaj się ostro na pazurach, a nogi miej za pasem. – E! głupcze wierutny, czego tobie guza szukać, czy cię skóra swędzi, czy cię diabeł kusi, żebyś tam łaził? po kadukaż ci tam nosa wścibiać; czy tak koniecznie chcesz go oberwać? – Oj prawda, prawda! niegłupim *Abrenuncio, abrenuncio* nie głupim! bies, co mnie tam kusił, chciało mu się koniecznie kości mi policzyć.

Po takiej z sobą rozmowie Sancho wpadł w głębokie zamyślenie, a potem znów tak zaczął:

– Alboż to nie ma na wszystko sposobów? na śmierć tylko środka nie ma, nie trzeba także nigdy rozpaczać, bo się to na nic nie zdało. Nie tysiąc razy już się przekonałem, że pan mój jest sobie wariat na czysto; tylko go do czubków wsadzić; ale i ja, dalibóg, niewiele mu ustępuję: albo żem nie taki wariat, żeby za nim się włóczyć? oj! prawdę ludzie mówią, że z jakim przestajesz, takim się sam stajesz. Takiego fiksata, co w pomieszanej głowie jedno bierze za drugie:

wiatraki za olbrzymów i muły za wielbłądy, trzodę owiec za armię i tysiąc innych podobnych rzeczy, nie trudno będzie przekonać, że pierwsza lepsza chłopka, którą tu gdzie spotkam, jest jego nieporównaną Dulcyneą. Jeżeli mi nie będzie chciał wierzyć, to mu przysięgnę, a jeżeli on przysięgnie, że nie, to ja mu dziesięć razy tyle będę przysięgał, że tak; jak on się uprze, to ja się uprę jeszcze lepiej, choćby do upadłej śmierci; to przynajmniej tyle wskóram, że mnie więcej nie będzie z takimi poselstwami wysyłał, wiedząc, że niewiele ma z tego zysku; a może nawet ubrda sobie, i przysięgam, że tak będzie, że jaki czarownik nieprzyjazny zamienił mu umyślnie tę jego Dulcyneę w chłopkę, żeby go do wściekłości przyprowadzić.

Takimi myślami Sancho uspokoił się we frasunku i był pewien, że się zręcznie wywinąć potrafi. Siedział aż do wieczora pod drzewem, żeby Don Kichota więcej zabawić; wszystko mu się tak jakoś szczęśliwie udało, że kiedy już miał siadać na osła, ujrzał nadjeżdżające z Toboso trzy chłopki wierzchem, jak się zdawało na osłach, bo tu wieśniaczki zwykle tak jeżdżą. Jak tylko je zoczył, popędził zaraz cwałem do Don Kichota, którego zastał w tej samej postawie, wzdychającego i w czułych żałościach zatopionego.

– A co, mój przyjacielu, jakie masz nowiny? – zapyta go Don Kichot – białą, czy czarną kredą mam dzień ten naznaczyć?

– Czerwoną kredą trzeba go znaczyć – odpowie Sancho – jak te szyldy, jaskrawe, co to wywieszają, żeby same ludziom w oczy właziły.

– A więc dobre przynosisz mi nowiny, mój synu kochany? – rzecze Don Kichot.

– Tak dobre – odpowie Sancho – że potrzeba tylko, abyś pan Rosynanta ku dolinie skierował i wyjechał naprzeciw pani Dulcynei, która tu do pana z dwiema swymi pannami przyjeżdża.

– Ojcze wiekuisty! co ty mówisz, Sancho? czyż to prawda, mój przyjacielu? nie zwódź mnie, błagam cię, fałszywą pociechą mnie nie łudź!

– A po cóż bym miał pana zwodzić – odpowie Sancho – kiedy się sam zaraz o prawdzie przekonać możesz? Wyjdź pan tylko parę kroków naprzód, a obaczysz nadjeżdżającą księżniczkę w przepyszne szaty przybraną i ona, i jej panny aż kapią od złota i klejnotów; same na nich perły, diamenty, rubiny, materie srebrem i złotem przetykane, aż mi się w głowie nie mieści, jak one, u diabła, mogą udźwignąć to wszystko; włosy im spadają na ramiona i lśnią się jak promienie słońca, z którymi wiatr igra. Zresztą sam je pan zaraz obaczysz, jadą na przepysznych chromakach okrągluchnych jak prosiaczki, a wartych złota tyle, ile same ważą.

– Ale nie na chromakach, Sancho, mówi się na rumakach – rzecze Don Kichot. – Gdyby cię Dulcynea usłyszała tak mówiącego, za kogóż by nas wzięła?

– Eh, chromaki, czy rumaki, to wszystko jedno – odpowie Sancho – koniec końców mówię panu, że jak żyję nie widziałem dam takich przecudnych, szczególniej też takiej, jak nasza pani Dulcynea; niech zginę, jeżeli by głowy nie zawróciła samemu Mahometowi.

– No, chłopcze – rzecze Don Kichot – w nagrodę tak pięknej nowiny daruję ci cały łup z najpierwszego zwycięstwa, które odniosę; a jeżeli ci tego nie dosyć, dam ci jeszcze źrebaki po trzech moich klaczkach, wiesz, że są na oźrebieniu.

– Wolę ja już poprzestać na źrebakach – odpowie Sancho – bo to licho jeszcze wie, jakie będą te pierwsze łupy.

Mówiąc to, wyjechali z lasu i zobaczyli zaraz zbliżające się trzy wieśniaczki.

Don Kichot rzucił okiem na drogę, wiodącą z Toboso, i widząc na niej te trzy tylko istoty, zaczął się mieszać nieco i zapytał Sancha,

czy księżniczkę zostawił za miastem?

– Jak to za miastem – zawoła Sancho – gdzież, panie, macie oczy, że nie widzicie, iż ona tu jedzie, jaśniejsza niż słońce w południe?

– Nic nie widzę, Sancho – rzecze Don Kichot – tylko trzy chłopki na osłach.

– Wielki Boże! – zawołał Sancho – czy to być może, ażebyście wy, panie, brali za osły trzy przepyszne rumaki bielsze od śniegu? czy wam oczy co założyło, czyście jeszcze uroku dostali?

– Doprawdy, Sancho, mój przyjacielu, na ten raz chyba ty oślepłeś, a toć to są osły albo oślice, tak na pewno, jak ja jestem Don Kichot, a ty Sancho Pansa; przysiągłbym na to.

– Eh, panie, drwicie sobie ze mnie biednego – rzecze Sancho – otwórzcie dobrze oczy i pójdźcie skłonić się księżniczce, bo oto już nadjeżdża.

I mówiąc to, posunął się ku jadącym wieśniaczkom, zsiadł z wierzchowca i jednego ze zbliżających się osłów chwyciwszy za uzdę, zatrzymał, a upadłszy potem na kolana, zawołał:

– O! kiężniczko! królowo i bogini piękności! niechaj wasza dostojność raczy przebaczyć nieszczęśliwemu rycerzowi temu, waszemu niewolnikowi, który wspaniałą obecnością waszą tak się przeraził, że krew mu w żyłach zastygła i stoi przed wami zimny i wryty jak marmur. Ja jestem Sancho Pansa, jego giermek do usług waszej dostojności; a to jest nędzny włóczęga i rycerz z Manchy, którego inaczej zowią Rycerzem Posępnego Oblicza.

Rozkochany rycerz klęczał także obok Sanchy, kiedy tenże taką mowę wygłaszał, a widząc, że mniemana księżniczka jest sobie prostą chłopką, z tłustą twarzą i nosem zadartym, tak się zafrasował, że ust otworzyć nie śmiał. Wieśniaczki również mocno się zadziwiły, widząc tych ludzi klęczących przed nimi ludzi tak odmiennych od innych, drogę im zastępujących. Ta, co była

na przodzie, a którą Sancho zatrzymał, tak się odezwała, krzywiąc się niepoślednio:

– Czy my wam co winne, moi panowie, że nas zatrzymujecie, idźcie sobie swoją drogą, a nam dajcie pokój, bo nam śpieszno.

– O wielka księżniczko! – odpowie Sancho – Wszechwładna pani Toboso! Czyż wspaniałe serce waszej dostojności zmiękczyć się nie raczy na widok tej kolumny, tej arkady rycerstwa błędnego, u nóg twych leżącej.

– Tere, fere, gadałbyś mu – odezwie się jedna z chłopek – widzita, jak te panowie drwić sobie chcą z wiejskich dziewek, jakby my to nie mieli nosa na gębie, jak inne; ale nie uda wam się sztuka z nami, nie uda, idźcie z Bogiem, a nas w spokoju zostawcie.

– Wstań, Sancho, wstań – smutnie przemówił Don Kichot – widzę, że nieszczęście ciągle mnie prześladuje; niczego już w świecie spodziewać się nie mogę. A ty, żywe słońce ludzkiej piękności, arcytworze niebios, cudzie wieków wszystkich, jedyna pociecho zbolałego serca, co cię uwielbia, chociaż zawistny czarownik dla mnie jednego zakrył nieporównawą piękność twoją, błagam cię jednak, nie przestawaj obdarzać mnie spojrzeniem łaskawym, chyba, że i ja także w twoich oczach zmieniony jestem w jakieś widziadło, ażeby cię wstrętem ku mnie przejąć; widzisz, czcigodna księżniczko, moją pokorę i żarliwość, widzisz, że mimo fortelów wrogów moich, nie przestaję ci ciągle składać sercem hołdów, winnych tak świetnej piękności.

– O to właśnie – odpowiedziała chłopka – my też tu przyszły akuratnie po to, ażeby słuchać takich andrybajów! puszczajcież nas, panowie, puszczajcie, bo my czasu nie mamy.

Sancho podniósł się nareszcie i puścił uzdę osłowi, uradowany niezmiernie, że mu się tak pięknie udało obełgać pana. Mniemana Dulcynea, jak tylko ujrzała się wolną, natychmiast co sił pognała

osła, okładając go batożkiem, i popędziła cwałem przez polankę. Krnąbrny kłapouch, rozgniewany tylu batożkami niewinnie mu dopiekającymi, zaczął podskakiwać, rwać się i ochoczo całym zadem wyrzucać, że koniec końców zwalił panią Dulcyneę na ziemię. Rozkochany Don Kichot pobiegł natychmiast podnieść ją, a Sancho wziął się do poprawienia kulbaki, która się pod brzuch skręciła. Gdy kulbaka została już włożona i podpięta, Don Kichot chciał zaklętą damę swoją wziąć na ręce i wsadzić na osła, ale piękna dama zerwała się sama z ziemi, odstąpiła dwa lub trzy kroki dla lepszego rozpędu, a wsparłszy jedną rękę na karku wierzchowca, tak się dzielnie zamachnęła, że za jednym skokiem siedziała już na nim okrakiem.

– O miły Boże! – zawoła Sancho – a toć nasza pani lżejsza od sokoła. Niech mnie diabli wezmą, że mogłaby dawać lekcje koniuszym z Kordoby i Meksyku! Patrz, jak bez ostróg gna swego dzianeta i dalibóg, panny dworskie nic jej nie ustępują; a to pędzą jak wiatr; patrzajżeż pan, jakby ich diabeł nosił.

Sancho prawdę mówił, damy nasze umykały, co tylko nóg starczyło wierzchowcom i ubiegły z pół mili ani się obejrzawszy za siebie. Don Kichot patrzył za nimi i kiedy już ich dojrzeć nie mógł.

– Sancho – rzekł – co ty mówisz na tę złość czarowników, czy widzisz, jak się ci nędznicy zawzięli na mnie, jakimi fortelami pozbawiają mnie przyjemności widzenia nieporównanej Dulcynei? Czyż był kiedy człowiek nieszczęśliwszy ode mnie? Ale Sancho, ty nie wiesz jeszcze, jak straszną jest nikczemność podłych moich wrogów, bezecni zdrajcy nie poprzestali na tym, że zamienili piękną Dulcyneę w szpetną i ordynarną chłopkę; nie dość im było tego, ale jeszcze odjęli jej przymiot najważniejszy, wielkim damom właściwy, co zawsze w kwiaty i zapachy się stroją, odjęli jej,

powiadam, woń przyjemną; bo kiedym się zbliżył do tej czcigodnej pani, aby ją podsadzić na rumaka, jak ty powiadasz (gdyż ja w nim zawsze tylko osła widziałem), uderzyła mnie w nos, powiadam ci, tak silna woń czosnku i cebuli, że aż mi się w oczach łzy zakręciły.

– A to szelmy – zawoła Sancho – te zapamiętałe czarowniki! żebym też kiedy doczekał widzieć was wszystkich na jeden rożen naszpikowanych i jak śledzie wędzonych! Czyż wam nie dość było, łajdaki! żeście perły moich oczu przemienili w kozie gały, a sploty jej srebrzystych włosów w krowie ogony, żeście nareszcie okrągłą jej figurkę tak spaskudzili, trzebaż wam jeszcze było cudowną balsamiczną woń zatruć, po tej woni poznalibyśmy skarby piękności, ukryte pod narzuconą szpetnością! Ale prawdę powiedziawszy, pani Dulcynea i tak wcale mi się brzydką nie wydała; przeciwnie, jak żyję piękniejszej kobiety nie widziałem, a szczególniej jakaż to śliczna ta brodaweczka, co ją ma na lewej wardze, a z której wyrasta siedem, czy osiem szczecinek rudych i na dwa palce długich, co jak złociste nitki lśnią z daleka.

– Wedle stosunku niezawodnego znamion na twarzy, ze znamionami na całym ciele – rzecze Don Kichot – Dulcynea musi mieć taką samą brodawkę na prawej lędźwi; ale te szczecinki, Sancho, o których wspominasz, ogromnie są wielkie jak na znamię, to rzecz niezwyczajna.

– Ba, mój panie – odpowie Sancho – u księżniczki wszystko doskonałe być musi.

– O, jestem aż nadto przekonany – rzecze Don Kichot – bo natura same doskonałości najwyższe w osobie mej damy Dulcynei z Toboso połączyła; i te znamionka prześliczne nie są w niej wadami, ale promienistymi, lśniącymi gwiazdkami, co blask jej piękności podwyższają. Ale powiedz mi, Sancho, co to ona miała za kulbakę: czy to było siodło zwyczajne, czy też damskie?

– To było siodło aksamitne z czaprakiem suto haftowanym i tak bogatym, że wartość jego połowę przynajmniej jakiego królestwa wynosi.

– Mój Boże! a ja tego wszystkiego widzieć nie mogłem – zawoła Don Kichot – ach! tak, powiadam to zawsze i całe życie powtarzać będę, że jestem najnieszczęśliwszym z ludzi.

Frant koniuszy ledwie się mógł utrzymać od śmiechu na tę szaloną łatwowierność i dziwactwo pana; serce mu rosło z radości, że go tak mądrze omamił. Długo tak jeszcze rozmawiając, wsiedli nareszcie na koń i ruszyli ku Saragossie, gdzie mieli zamiar przybyć na uroczyste igrzyska, co roku w tym znakomitym mieście wyprawiane; ale w drodze zdarzyło im się tyle przypadków i tak przedziwnych, że niemałą, sądzę, zrobię czytelnikom przyjemność, gdy je tu po szczególe opiszę.

Rozdział XI

W którym się opisuje dziwna a osobliwa przygoda z wozem śmierci

Don Kichot w głębokim był pogrążony smutku; bolesna psota czarowników, co mu damę przemienili na brzydką chłopkę, a na którą żadnego nie miał lekarstwa, takim brzemieniem rozpaczy go przygniotła, że o świecie prawie nie wiedział.

Ani czuł, gdy cugle wypadły mu z ręki, a Rosynant, korzystając ze swobody, co chwila się zatrzymywał, aby się popaść na trawie. Sancho dopiero wyrwał go z tego odrętwienia.

– Panie – rzekł wierny giermek – bydlęta nie znają smutku; on tylko ludziom znany, ale i ludzie, jeżeli mu się za bardzo poddadzą, w bydlęta się zamieniają. Otrząśnij się tedy z niego, panie, i trzymaj w garści jak się należy uzdeczkę Rosynanta, ocknij się i pokaż,

że jesteś rycerzem błędnym, bo na co to się, u diabła, zdało, albo my to chłystki jakie! Jak żyję nie widziałem, ażeby kto tak fantazję stracił! Niechby tam lepiej diabli porwali wszystkie Dulcynee z całego świata, niż żeby jeden rycerz błędny miał w chorobę zapaść ze zmartwienia! A wyście się tak z pantałyku zbić dali, jakby już wszystko w łeb wzięło.

– Milcz – odpowie Don Kichot – milcz i nie waż się bluźnić przeciw księżniczce Dulcynei! Z mojej to winy padł na nią cios tak srogi, nie byłaby nieszczęśliwa, gdyby nie to, że zawistni czarownicy sławy i rozkoszy tak mi zazdroszczą.

– Jakem poczciw – odpowie Sancho – prawda, że to wielka bieda, aż litość bierze; kamienne by musiało być serce, co by się nie roztkliwiło, widząc tę piękną damę tak oszpeconą sromotnie.

– Masz słuszność – rzecze Don Kichot – ty, coś ją widział w całym blasku piękności, bo urok ci oczu nie zasłaniał, jak mnie, na mnie on tylko rzucony, na mnie to nieszczęście spadło, ale, o ile sobie przypominam, wiesz ty, Sancho, tyś mi źle opisał piękność mojej damy, boś mi powiedział, że ona ma oczy jak perły, a mnie się zdaję, że perłowe oczy nie bardzo damom przypadają; ja pewien jestem, że Dulcynea ma oczy jak turkusy, albo jak szmaragdy najpiękniejszej wody i że dwie tęcze nad nimi się wznoszą. Stosuj więc perły do zębów, a nie do oczów, boś się pewno omylił, biorąc jedne za drugie.

– To bardzo być może – odpowie Sancho – bo byłem tak przerażony jej wielką pięknością, jak wy, panie, jej szpetotą, ale Bogu to wszystko zostawmy, miłościwy panie, bez Jego woli nic się nie dzieje na tym biednym padole, gdzie tyle zdrad i podłości. To jedno tylko mnie martwi, że jak pan pobijesz jakiego rycerza albo olbrzyma i każesz mu zaprezentować się pani Dulcynei, to jakże on ją u diabła znajdzie? Widzę go już biedaka jak łazi po ulicach

Toboso z rozdziawioną japą i wytrzeszcza ślepie, szukając pani Dulcynei, i jak ona mu dziesięć razy koło nosa przejdzie, a on ani jej pozna.

– Może też, mój Sancho, urok, który mnie dotyka, nie będzie zaślepiał rycerzów i olbrzymów, przeze mnie zwyciężonych. Zrobimy raz próbę na pierwszych dwóch lub trzech, których pobiję i każę od niej wrócić do siebie i opowiedzieć, co się im zdarzyło.

– Macie słuszność, panie – rzecze Sancho – wyborny to pomysł; jak zobaczymy, że piękność pani Dulcynei dla was tylko samych jest skryta, to wtedy będzie można mówić, żeście wy, panie, nieszczęśliwi, ale nie ona. A teraz, dopóki nasza pani zdrowa i nic jej nie brakuje, to co nam się diabli smucić? Pchajmy się z fortuną naprzód i przygód lepiej szukajmy, czas wszystko zagładzi; on najlepszy w świecie lekarz na wszystkie choroby.

Don Kichot miał coś odpowiedzieć, ale spostrzegł na drodze wóz, w którym tyle rozmaitych figur było napakowanych, że natychmiast zwrócił bystrą jego uwagę. Jakiś obrzydły szatan służył za woźnicę, wóz był otwarty i można było dojrzeć wszystkich, co w nim siedzieli. Po woźnicy najprzód uderzyła Don Kichota figura śmierci z twarzą ludzką, obok niej stał anioł z wielkimi różnobarwnymi skrzydłami, a z drugiej jakiś monarcha z koroną złotą na głowie; u nóg śmierci leżał Kupidyn z łukiem, strzałami i sajdakiem, ale bez zawiązki na oczach; dalej widać było rycerza uzbrojonego od stóp do głowy, tylko że zamiast hełmu miał kapelusz suto piórami przystrojony; oprócz tego było wiele jeszcze osób, najrozmaiciej poprzebieranych.

Widok ten zdziwił niezmiernie Don Kichota, a Sanchę piekielnego nabawił strachu. Zdziwienie prędko ustąpiło radości w umyśle Don Kichota, który już nie wątpił, że mu się jakaś wielka awantura nawija. Tą myślą przejęty, wysunął się naprzód, gotów

na wszelkie niebezpieczeństwa, i śmiało stanął naprzeciw wozu, a głosem groźnym i piorunującym zawołał:

– Woźnico czy szatanie! musisz mi tu natychmiast wyznać kto jesteś, gdzie dążysz i kogo wieziesz na tym wozie, podobniejszym do łodzi Charona, niż do wozu zwyczajnego.

– Panie – odpowie pokornie szatan, zatrzymując muły – my jesteśmy aktorzy wędrowni, dziś rano, jako w oktawę Bożego Ciała, przedstawialiśmy tam za górą tragedię pod tytułem *Państwo śmierci*, a wieczorem jeszcze mamy ją dawać w tej tu wiosce; że zaś tak blisko, nie przebieraliśmy się. Ten młodzieniec wystawia śmierć, a ten tu anioła; ta kobieta, żona autora komedii, jest królową. Ten tu przedstawia monarchę, a tamten żołnierza, a ja jestem diabłem do usług pańskich i jednym z głównych aktorów, bo rozpoczynam scenę. Jeżeli pan chcesz co więcej widzieć, proszę się pytać; nie ma się czego bać, na wszystko odpowiem, a że jestem diabeł, to wszystko wiem.

– Jak mi jest prawda miła – odpowie Don Kichot – jakem rycerz błędny, kiedym wóz zobaczył, byłbym przysiągł, że wielka przygoda mnie czeka, a teraz widzę, że nie trzeba nigdy wierzyć pozorom. No, no, ruszajcie sobie z Bogiem, moi dobrzy ludzie na swoje przedstawienia, a jeśli uważać będziecie kiedy, że mogę wam być użytecznym, to rachujcie na mnie z pewnością; zawsze lubiłem komedie i maskarady i od dzieciństwa zajmowały mnie one niewypowiedzianie.

W tym miejscu rozmowy przybył jeden z aktorów, który się trochę w tyle pozostał; okryty był cały łachmanami, na których miał kilka rzędów dzwonków, a w ręku kij z wydętymi pęcherzami; w końcu, zbliżywszy się do Don Kichota, dziwoląg ten zaczął wywijać owym kijem na prawo i na lewo, jakby się nim fechtował, czasami bił w ziemię chrzęszczącymi pęcherzami i skoki szalone

wyprawiał. Rosynant przeląkł się wrzasku, hałasu i tak przestraszającego czupiradła, skoczył w bok, wziął na kieł i mimo dzielnej ręki, Don Kichot prysnął jak oparzony w pole z taką szybkością, że nikt by się nigdy po nim tego nie spodziewał. Sancho widząc, że pan w niebezpieczeństwie, zeskoczył natychmiast z burego i co sił pobiegł mu w pomoc; ale nim dobiec zdążył, Don Kichot już się kropnął o ziemię razem z Rosynantem, u którego nie trudno było o taki rarytas.

Ledwo Sancho zeskoczył z kłapoucha, diabeł ów z pęcherzami, widząc, że osioł luzem stoi, jak kot leciuchno wskoczył na niego, a okładając pęcherzami, co się zmieściło, czego wreszcie nie potrzebował, bo brzęk dzwonków i tak mu piekielnego strachu napędził, gnał lotem błyskawicy do wsi, w której grać mieli komedię. Sancho z niewymowną boleścią spoglądał to na rozciągniętego na ziemi pana, to na zmykającego osła swojego i sam nie wiedział w którą stronę się obrócić; poczciwe serce przemogło nad interesem i zwrócił się do pana, pomimo całej przyjaźni, jaką miał dla swego osła, pomimo, że bolały te razy, które widział na grzbiet jego spadające. Poskoczył więc do Don Kichota, ciężko stłuczonego, a pomógłszy mu wgramolić się na powrót na Rosynanta:

– Panie – rzekł, wzdychając – diabeł porwał mi burego.

– Co za diabeł? – zapyta Don Kichot.

– A ten z dzwonkami – odpowie Sancho.

– Nie turbuj się, Sancho – na to mu Don Kichot – ja ci osła zwrócę, choćby na dno piekła go schował. Idź tylko za mną; wóz jedzie powoli, muły tymczasem wynagrodzą ci sowicie utratę burego.

– Ach! już nie trzeba, panie – zawołał Sancho – diabeł już go puścił. O! wraca do mnie, kochany robaczek! Wiedziałem, że wróci

do mnie, jak go tylko puszczą.

Sancho mówił prawdę, diabeł razem z osłem dali jednocześnie kozła, jakby przez zazdrość losu Don Kichota i Rosynanta. Diabeł piechotą zdzierał do wsi, a poczciwy osioł wracał kłusem do pana.

– W każdym razie – rzecze Don Kichot – nie od rzeczy będzie skarcić zuchwalstwo tego czarta, choćby dla samego przykładu; zaraz ja pomszczę twą zniewagę na pierwszym lepszym, co mi pod rękę podpadnie, choćby nawet na tym koronowanym mocarzu.

– Panie, panie – wołał Sancho – dajmy temu pokój, przysięgam Bogu, nie warto. Kto by się tam pastwił nad komediantami, to psiarstwo ma zawsze między ludźmi przyjaciół. Widziałem kiedyś komedianta, jak go ścigała policja za dwa morderstwa, a dlatego wykręcił się na sucho. Alboż to nie wiecie, panie, że wszyscy kochają komediantów, bo oni bawią i śmieszą wszystkich, a szczególniej tych, co się mienią z trupy królewskiej?

– To nic, nie daruję – odpowie Don Kichot – żeby świat nie powiedział, że diabeł uszedł cało ręki mojej, nie daruję, choćby cały ród ludzki miał stanąć w jego obronie. – I pędem puszcza się w cwał za wozem, który już prawie do wsi dojeżdżał, i wrzeszczy co gardła: – Stójcie! cybulusy! stójcie! nauczę ja was teraz, jak się obchodzić z wierzchowcami giermków błędnych rycerzy. Wrzeszczał tak głośno, że komedianci doskonale go słyszeli, z groźnych słów jego wnosząc o groźniejszych jeszcze intencjach. Śmierć nie tracąc czasu, zeskoczyła natychmiast z wozu razem z czartem woźnicą, za nimi poszli monarcha i anioł, Kupidyn, nawet i królowa nie została; wszyscy uzbroili się w kamienie, a skrywszy się za wóz, czekali na Don Kichota, gotowi do zaciętej obrony. Don Kichot, widząc ich tak zbrojnych i w tak groźnej postawie, wstrzymał Rosynanta i zaczął rozmyślać, z której strony najlepiej mu będzie natrzeć na tę falangę z najmniejszym dla siebie

niebezpieczeństwem. Kiedy tak rozmyśla, nadbiega Sancho, a widząc go gotowym do natarcia na oddział tak silny:

– Panie – rzecze – nie bardzo to bezpieczna może być historia! gdzież macie broń odporną na kamienie, chyba by trzeba na to spiżowego pokrowca? Czy żeście się już raz w takiej bójce nie sparzyli, że znów chcecie pojedynczo rzucać się na całą armię, w której sami monarchowie stoją w szeregach, którą złe i dobre duchy popierają, pomijając już, że śmierć osobiście jej przewodzi? Ależ, na imię Boże! miły panie, patrzajcież, że w całej tej hałastrze nie ma ani jednego rycerza błędnego!

– Teraz dobrze trafiłeś – przerwie Don Kichot – masz słuszność, zmieniam swój zamiar, nie mogę i nie powinienem dobywać oręża przeciw nikomu, co nie był pasowany na rycerza. To twoja rzecz, Sancho, tyś powinien pomścić zniewagę wyrządzoną twemu wierzchowcowi, a ja tu z boku stać będę, żeby ci animuszu dodawać i radami wspierać.

– To wcale niedobrze, wielmożny panie, mścić się na kim bądź; dobry chrześcijanin powinien krzywdy darować; z burkiem moim ja już poradzę, żeby się nie gniewał, on taki spokojny, jak i ja; wiem, że woli garniec owsa, niż te wszystkie pomsty.

– Jeżeli tak chcesz – odpowie Don Kichot – dobry mój i spokojny Sancho, przykładny chrześcijaninie! to dajmy pokój tym maszkarom, a jedźmy szukać przygód lepszych i ważniejszych; zdaje mi się, że ta okolica powinna ich nam dostarczyć niemało.

Rzekłszy to, dosiadł Rosynanta, a Sancho wsiadł na osła. Śmierć także z całym orszakiem swoim na wóz się wpakowała i wszyscy pojechali. Dzięki mądrym radom Sancho Pansy, taki wzięła koniec straszna i groźna przygoda z wozem śmierci. Nazajutrz bohaterowie nasi mieli inną przygodę, zasługującą na to, aby jej osobny rozdział poświęcić.

Rozdział XII

Który opisuje przygodę walecznego Don Kichota z wielkim Rycerzem Zwierciadlanym

Ujechawszy kawał drogi, Don Kichot z koniuszym stanęli pod cieniem drzew gęstych, żeby się trochę posilić ze spiżarni, którą dźwigał osioł. W czasie tej biesiady Sancho odezwał się do pana:

– Powiedzcież teraz sami, panie, czym głupio zrobił, żem nie chciał brać łupu z pierwszej waszej potyczki, a wolałem źrebaki? Dalipan, całe życie będę powtarzał, że kto liczy na przypadki, tego czeka obiad rzadki; zawsze powiadam: lepszy jeden wróbel w garści, niźli dziesięć na gałęzi.

– Może być, że masz słuszność – odpowie Don Kichot – ale żebyś mnie był nie powstrzymał, to byś się teraz i na łup pewno nie skarżył, bo miałbyś w ręku złotą koronę tego monarchy i bogate szaty jego orszaku.

– O, właśnie też – odpowie Don Kichot – jest czego żałować! komedianckie korony, co to warte, nie tacy oni głupi, żeby ze złota je robili, z szychu i z gałganów sklecą byle co i tego im aż nadto.

– Prawda, że to tak zwykle bywa – odpowie Don Kichot – i nie przysiągłbym, czy i tym razem nie tak było; zdaje się, że to wszystko musiały być fałszowane klejnoty, bo to w komedii nikt tego ściśle nie przestrzega. Zresztą, Sancho, chciałbym, żebyś ty lubił komedie i żeby ci, co je układają i co je przedstawiają, byli zawsze twoimi przyjaciółmi, bo to widzisz, ci ludzie są dla kraju bardzo użyteczni. Komedia jest wiernym zwierciadłem życia ludzkiego, a ci, co ją grają, najlepiej nam dają widzieć, czym jesteśmy i czym być powinniśmy. Byłeś kiedy na jakiej komedii, Sancho?

– Ale ba, jakże, byłem panie i nie na jednej.

– Jeden tam jest królem, drugi księciem, inny znów rycerzem; ten kupcem, tamten żołnierzem; jest tam i sędzia i ojciec duchowny i inne różne stany, stosownie do przedmiotu; a jak się komedia skończy, to wszyscy oni są równi sobie. To samo, mój przyjacielu, dzieje się i w życiu; i tu są królowie, książęta, rycerze, sędziowie, żołnierze i jeszcze więcej różnych stanów, nie przymierzając, jak na teatrze. Wszyscy odgrywamy swoje role, póki tu jesteśmy, a jak śmierć nadejdzie i obedrze nas z tego wszystkiego, co nas między sobą wyróżniało, wszyscy zarówno idziemy do grobu.

– Do stu piorunów! a toś pan ślicznie powiedział – zawołał Sancho – ale nie tak to nowe, żebym gdzieś już tego nie słyszał. Wszelako zawsze dobre i podobne do tego, co powiadają o szachach: póki gra trwa, każda sztuka jest przydatna i ma swoje miejsce, a jak się gra skończy, zsypują wszystkie pospołu bez żadnej różnicy do pudełka, tak właśnie, jak nas do grobu.

– Zdaje mi się, Sancho – rzecze Don Kichot – żeś ty co dzień rozumniejszy.

– A jużciż – odpowie Sancho – co dnia uczę się przy was czegoś nowego, a musiałbym mieć łeb bardzo zakuty, gdybym z tego nie profitował. Jałowa to i niepłodna ziemia, co nic nie wydaje, choć ją uprawiają i gnoją; ja tu chcę powiedzieć, wielmożny panie, że wasze rozmowy są gnojem, który kładziecie na jałowy i niepłodny mój umysł, a czas, który przebyłem w waszych usługach, jest dla mnie uprawą; z tego wszystkiego muszą przecież wyróść owoce, godne takiego zachodu około mojego mózgu.

Don Kichot roześmiał się na to rozumowanie i wyrażenia Sancha, zdawało mu się istotnie, że mu rozumu bardzo przybyło, i dziwił się nieraz, że tak mądre rzeczy mówi. To pewna, że Sanchowi bardzo często się zdarzało, mianowicie kiedy chciał się wysadzić i mądrego udawać, że zupełnie na opak coś powiedział, a z wielu przysłów,

które lubił przytaczać, niejedno tak zastosował, że ani przypiął, ani przyłatał.

Na podobnych rozmowach strawili większą część nocy, dopóki Sanchowi nie przyszła ochota zamknąć okiennic swego wzroku; tak się zwykle sam wyrażał, kiedy go sen morzył i spać się zabierał. Zdjął więc kulbakę i uzdę z burego i puścił go wolno na paszę. Rosynantowi zdjął tylko uzdeczkę, bo Don Kichot raz na zawsze mu nakazał rozkulbaczać go, wtedy, gdy pod gołym niebem noc przepędzają; jest to dawny zwyczaj, bardzo mądry i ściśle przez rycerzy błędnych zachowywany, tak dalece, że nic przeciwnego nie przeczyta się w ich dziejach. Na ostatek Sancho zasnął pod dębem, a Don Kichot, oparłszy się o drugi, drzemał stojąc i marzył Bóg wie nie o czym, kiedy Rosynant i osioł paśli się na świeżej trawie. Dwa te stworzenia żyły z sobą w dziwnie wielkiej przyjaźni i wiadomo jest z tradycji, że autor niniejszej historii całe rozdziały o tym pisał; ale nie chciał zamieścić ich w dziele dla zachowania przyzwoitości; mimowolnie wszakże tu i owdzie wyrywa mu się o nich jakieś słówko, jak np., że lubiły niezmiernie wiskać się nawzajem, a gdy im się ta pieszczota sprzykrzyła, Rosynant wyciągał długą szyję przez kark osła i stali tak obydwaj z szyjami na krzyż przełożonymi, oczami w ziemię spuszczonymi po całych godzinach i staliby po dniach całych, gdyby ich nie poruszono, albo głód ich nie rozdzielił. Ludzie powiadają, że autor nie bał się przyjaźni ich porównywać z przyjaźnią Nizusa i Euzyala, lub też Piladesa z Orestem, z czego okazuje się, jak wysokie miał o tych zwierzętach mniemanie i zarazem, jak niegodna jest rzecz gwałcić ludzi przyjaźń poprzysiężoną, gdy nieme zwierzęta tak wiernie ją zachowują. I nie należy zarzucać autorowi, że dalekim jest od prawdy, czyniąc to porównanie przyjaźni zwierząt do ludzkiej, bo niezawodną jest rzeczą, że ludzie wiele mają ze zwierzętami wspólnego i że od nich

wiele się nauczyli; od bocianów to przejęliśmy używanie lekarstwa najzwyczajniejszego w medycynie, żurawie dają nam przykład czujności, mrówki przezorności i gospodarstwa, psy przywiązania i wierności, i nie ma ani jednego na świecie zwierzęcia, które by w czym za przykład lub emblemat służyć nie mogło.

Niedługo spoczywali nasi awanturnicy, kiedy Don Kichot, zbudzony lekkim szmerem za sobą i zerwawszy się nagle, spostrzegł dwóch ludzi na koniach, z których jeden, zsiadłszy opodal, mówił do drugiego:

– Zsiądź tu, mój przyjacielu, i rozkiełznaj konia, trawa tu świeżuchna, a cisza i samotność tego miejsca odpowiadają właściwie miłosnym myślom moim.

Rzekłszy to, wyciągnął się na ziemi, a chrzęst zbroi, dosłyszany przez Don Kichota, naprowadził go na myśl, iż to musi być rycerz błędny. Bohater nasz pobiegł natychmiast do śpiącego Sancha i poszamotawszy go dobrze za ramię, nim rozbudził, rzekł cichutko:

– Przyjacielu Sancho, przygodę mamy za pasem.

– A daj Boże, byle dobra – odpowiedział Sancho zaspany – a gdzie ona jest ta przygoda, panie?

– Gdzie jest – odparł Don Kichot – zwróć oczy i patrz, a obaczysz tam rycerza wyciągniętego, który, jak mi się zdaje, musi mieć wielki smutek na sercu, bo rzucił się, jak nieżywy na ziemię, że aż mu zbroja zachrzęściła.

– I w czymże tu widzicie jaką przygodę, panie? – zapyta Sancho.

– Ja też nie mówię, żeby to już była gotowa przygoda – odpowie Don Kichot – ale początek do niej, bo to tak się zawsze zaczyna; słuchaj no, słuchaj, zdaje mi się, że zaczyna stroić lutnię, czy gitarę i odkaszliwa tak, jakby się zabierał do śpiewania.

– Dalipan, prawda – rzecze Sancho – musi to być jakiś zakochany rycerz.

– A czyż myślisz, że mogą być rycerze nie zakochani – rzecze Don Kichot – takich nie ma na świecie; ale uciszmy się i posłuchajmy go, z piosnki poznamy tajemnicę jego serca, bo ustami się wyraża, co serce uraża.

Wtem rycerz zaczął śpiewać piosnkę następującą:

Trzeba więc, luba Iris, ulec twojej woli,
A nie wspominać więcej o miłości sile,
Próżno ból dręczy serce, wzrastając co chwilę,
Ono umie i kochać i milczeć, choć boli!
Ale kiedy przez ciebie szczęście w grób zamienię,
Przebacz, jeśli z mej piersi wydrze się westchnienie!

Gdy skończył, westchnął głęboko i po chwili głosem żałosnym i bolejącym przemówił w te słowa:

– O ty, najpiękniejsza i najniewdzięczniejsza ze wszystkich kobiet, dostojna Kasyldo z Wandalii, możeszże zezwalać, aby rycerz, niewolnik twojej piękności, trawił życie, błądząc po świecie, na nieskończone trudy narażony? Jeszczeż ci mało, że dzielność mego ramienia zmusiła wszystkich rycerzy Manchy do wyznania, że jesteś najpiękniejszą na świecie.

– O, to nieprawda – rzecze Don Kichot do Sanchy – przeholowałeś, bracie, bo ja jestem z Manchy, a nie wyznałem i nigdy w życiu nie wyznam rzeczy tak niecnie krzywdzącej piękność pani Dulcynei. Widzisz, mój przyjacielu, jemu się chyba coś marzy na jawie, ale słuchajmy dalej, może się co więcej wygada.

– O! ba i pewno – odpowie Sancho – tak czule coś zaczął, że nieprędko skończy.

Rycerz wszakże zakończył swe żale wbrew oczekiwaniu Sancha i Don Kichota, gdyż, usłyszawszy, że ktoś rozmawia koło niego, zerwał się i zawołał:

– Kto tam? co wy za jedni, czy należycie do smutnych, czy do wesołych?

– Do smutnych! – odpowie Don Kichot.

– Kiedy tak – odezwał się rycerz – to możecie się zbliżyć, a znajdziecie tu także smutek i żałość.

Don Kichot tak zaproszony, przysunął się w istocie, a rycerz, wziąwszy go za rękę, rzekł.

– Siadaj tu, mości rycerzu, bo widzę, że nim jesteś, a z miejsca i pory wnoszę, iż należysz do błędnych rycerzy.

– Tak jest, mości rycerzu – odpowie Don Kichot – i jakkolwiek smutek i ciągle cierpienia dokuczają mi bezustannie, mam jeszcze jednak w sercu dosyć czułości na cierpienia drugich, a tym więcej dla ciebie, mości rycerzu, gdy widzę, że żałość twoja pochodzi z miłości ku pięknej a niewdzięcznej kobiecie, której nazwisko tylko co wymieniłeś.

Rycerze nasi rozmawiali w ten sposób, siedząc na ziemi obok siebie, tak spokojnie i pięknie, że nikt by się nie domyślił, iż przed wschodem słońca na życie swoje godzić będą.

– Mości rycerzu – zapyta Don Kichota nowo przybyły – czy jesteś zakochany?

– Jestem, na moje udręczenie – odpowie Don Kichot – lubo nieszczęścia, pochodzące ze zbyt szlachetnego wyboru, powinny uchodzić bardziej za łaski, niż za udręczenia.

– Nie byłyby one tak przykre, gdyby ciągła wzgarda niewdzięcznej zmysłów nam nie mieszała i wszelkiej nadziei nie odejmowała.

– Co do mnie – rzecze Don Kichot – nigdy nie doznałem wzgardy od mojej damy.

– A ma się rozumieć, że nigdy – podszedłszy, rzecze Sancho – bo nasza pani jest miękka jak rosa, a słodka jak baranek.

– Czy to wasz giermek, rycerzu? – zapyta Don Kichota nowo przybyły.

– Tak jest – odpowie Don Kichot.

– Zaprawdę – rzeknie tamten – nigdy mi się jeszcze nie zdarzyło widzieć giermka tak zuchwałego, co by się ważył odzywać, kiedy pan jego mówi, i ja mam też swojego, a choć człowiek słuszny, nigdy przecież nie ośmielił się jeszcze ust otworzyć w mojej obecności.

– O, jakem poczciw – odrzeknie Sancho – przecież już nieraz gadałem nie z takimi... ale nic nie powiem; Pan Bóg wie, co myślę.

W tej chwili drugi giermek pociągnął Sanchę za rękę i szepnął mu do ucha:

– Mój bracie, chodźmy sobie na stronę do woli się nagadać; zostawmy tu naszych panów, niech sobie o miłościach rozprawiają, nawet do jutra rana starczy im materii.

– Pójdźmy – rzecze Sancho – chętnie sobie pogawędzę, opowiem ci kto jestem, i przekonam cię, czy to mnie można zarzucać gadulstwo.

Odeszli zaraz na stronę i ucięli sobie gawędkę równie ucieszną, jak rozmowa panów była poważna.

Rozdział XIII

Który opisuje dalszy ciąg przygody rycerza du Bois i gawędy giermków

Zostawiliśmy rycerzy i giermków osobno rozmawiających; ci rozpowiadali dzieje życia swego, a tamci dzieje miłości swoich. Jakkolwiek wypadałoby z porządku podać naprzód rozmowę panów przed rozmową służby, autor jednakże, nie troszcząc się

o przyzwoitość, powiada wprost, że kiedy koniuszowie odeszli na bok, towarzysz Sanchy tak do niego przemówił:

– Ciężki my to mamy i dziwaczny żywot, mospanie, my koniuszowie rycerzy błędnych; co prawda, to prawda, w pocie czoła człek na kawałek chleba pracuje.

– I w pocie czoła i w zamrozie ciała – odrzeknie Sancho – można także powiedzieć, bo nie ma nędzarza, co by musiał tyle zimna i gorąca znosić, co my, koniuszowie błędni. Żeby choć porządny kęs chleba był pewny, to jeszcze by pół biedy; ale nieraz i parę dni się zdarzy, że człowiek po zachodzie słońca na śniadanie jeszcze nic nie spożywał, prócz tego wiatru, co wieje.

– A z tym wszystkim – rzecze masztalerz du Bois'a – cierpi się jakoś te biedy w nadziei, że kiedyś nagroda nie minie, bo bardzo by musiał być nieszczęśliwy rycerz błędny, żeby raz w życiu nie mógł jakiejś wyspy albo hrabstwa koniuszemu darować.

– Co do mnie – rzecze Sancho – powiedziałem mojemu panu, że poprzestanę na wielkorządztwie jakiej wyspy, a on jest tak dobry i wspaniały, że mi je przyrzekł kilkakrotnie.

– Ja tam nie patrzę tak wysoko – odezwie się drugi – i kontentować się będę za moją służbę dobrą jaką kanonią, którą mi obiecał pan.

– To wasz pan jest rycerzem kościoła? – zapyta Sancho – bo mój jest świecki. Mimo rady przyjaciół, nie chciał zostać arcybiskupem, bo ma zamiar zrobić się królem. Żeby nie skłamać, muszę wyznać, iż mi diablo strach było, żeby go nie wzięła chętka przejść do kościoła, bo nie czuję w sobie najmniejszej zdolności do sprawowania beneficjów. Zupełniem głupi na księdza.

– Nie myśl sobie, mój mospanie – odezwie się masztalerz du Bois'a – żeby to tak łatwo było prowadzić rządy na wyspach. Często tam i wody nie dostanie do picia, bywają one bardzo biedne,

bardzo posępne, a i najlepsze jeszcze tak się dają we znaki rządcom, że raz wraz upadają pod tym brzemieniem. Prawdę powiedziawszy, daleko byśmy lepiej zrobili, gdybyśmy rzucili to psie nasze powołanie i na swoje śmiecie powrócili bawić się spokojnie polowaniem, albo rybołówstwem, boć gdyby najlichszy koniuszy, toć zawsze ma przecież jakąś szkapinę i parę charcin, kawałek siatki na ryby, a przynajmniej wędkę, a przy tym to można sobie pędzić w domu żywot szczęśliwy.

– Mam ja to wszystko w domu – odpowie Sancho – nie mam wprawdzie konia, ale mam za to poczciwą oślinę, której bym nie oddał za dwie takie szkapy, jak mego pana. Niech mnie kaci porwą, jeślibym się mieniał, choćby mi jeszcze dał cztery ćwiartki owsa w dodatku. Jakem poczciw, mospanie, nie uwierzycie, co to za złote bydlę ten mój bury; żebym wam chwalił i przechwalał, to jeszcze wszystkiego nie wypowiem. Co do chartów, ba, tych mi nie zbraknie, włóczy się tego pełno u nas we wsi, a polować na cudzym jeszcze milej, niż na swoim.

– Tak, mospanie koniuszy – rzecze służebny du Bois'a – przyznam się wam szczerze, że postanowiłem już na dobre rzucić do licha to głupie rycerstwo, wrócić do domu i wychowywać dzieci, żyjąc sobie spokojnie; z łaski Boskiej mam ich troje.

– A ja mam ich dwoje, ale by ich można i papieżowi sprezentować, a szczególniej dziewuchę, którą chowam na hrabinę, jeżeli Bóg da, choć matka się temu sprzeciwi, ale niechaj sobie gada i robi, co chce, ja tam o to nie dbam.

– A ileż ma lat ta dziewucha, co ją chcecie wykierować na hrabinę? – zapyta koniuszy du Bois'a.

– Idzie jej jakoś na szesnasty – odpowie Sancho – a jędrne to, panie, jak rzepa, a silne, jak tarant!

– Tam do biesa! piękne to przymioty, nie lada dziewczyna, a to nie tylko na hrabinę wyjść może, ale i na zalotnicę pierwszego kalibru. O niecnota dziewka, widzę, jak to w świat pójdzie.

– Co waszmość gadasz – na wpół gniewnie odburknie Sancho – moja córka nie jest niecnota, ani matka taką nie była, ani żadnej takiej w rodzie moim nie będzie, póki mnie stać na świecie! A waszeć zażywaj języka ostrożniej, na rycerskim chlebie wychowanyś, a gadasz grubiańsko, jakbyś nie wiedział, co to grzeczność!

– Oho! – odpowie koniuszy – kiedy bo waszeć nie rozumiesz się na słowach; cóż to niecnota? albo to co złego? przecież to pochwała! Nie słyszałeś to waszmość na igrzyskach z bykami, kiedy rycerz tęgo się spisze, jak lud, bijąc oklaski: „a niecnota, łebski, jaki chwat!" widzisz więc waszeć, że to nie obraża, tylko się tak mówi, chcąc kogo pochwalić, a przecież twoje dzieci muszą na pochwałę zasługiwać.

– To się rozumie – odpowie Sancho – to też je kocham z całej duszy i tęskno mi tak do nich, że co dzień się modlę do Boga, ażeby mnie już wyrwał z tej mojej biedy, w którą się powtórnie wciągnąć dałem, w nadziei, że znajdę znów worek ze stu talarami, jak mi się to pierwszym razem w Sierra Morena przytrafiło. Od owego czasu niech je najsiarczystsze! diabeł mi ciągle miga przed oczami workiem dukatów pełnym; oto i teraz, kiedy do was gadam, zdaje mi się, że go widzę przed sobą, że się rzucam na niego, trzymam już w garści i niosę do domu, dobra sobie kupuję i żyję jak pan. A jak mi tylko ta mara w głowie zaświeci, już za nic sobie nie liczę tych znojów i mozołów, co człek cierpi w służbie u takiego pana, któremu, Boże odpuść, zajączki po głowie śmigają, chociaż ja udaję, jakbym tego nie widział.

– A tak, to zawsze bywa – rzecze drugi koniuszy – i stąd to między ludźmi gadka, że chciwy dwa razy traci. Ale jeśli mowa o panach, to myślę, że już głupszego na świecie nie ma, jak mój; należy on do tych ludzi, o których przysłowie mówi, że dla cudzego kłopotu osioł pozbył się żywotu; bo tego szuka, czego nie zgubił, wiatry goni po świecie, licho wie za co i po co; na śmierć się naraża, a nic mu z tego nie przyjdzie.

– Musi on być zakochany – rzecze Sancho.

– A jużciż zakochany – odpowie koniuszy – w jakiejś Kasyldzie z Wandalii, srogiej okrutnicy, że kanalii nic w świecie nie jest w stanie ugłaskać. Ale teraz nie to jemu w głowie, ma jakieś inne zamysły, z którymi sam się niezadługo wyjawi.

– Nie ma tak równej na świecie drogi, żeby się na niej nie potknąć, ale kiedy innym z dachu kapie, u nas zawsze jak z rynny leje, nigdy się człek nie dosuszy! Tak to, panie koniuszy, bieda na świecie i koniec; biednemu z biednym zawsze najraźniej, toteż i mnie w tym ulga, że waszeć służysz takiemuż głupiemu panu, jak i mój.

– Głupi, to prawda – rzecze koniuszy du Bois'a – ale waleczny, a zły jeszcze bardziej, niż waleczny i głupi.

– A u mojego ani odrobiny złości – rzecze Sancho – przeciwnie, żółci w nim tyle, co u gołębia, nikomu za skórę nie zalezie, a taki dobry, że lada dziecko go przekona, iż noc, kiedy dzień. Dlatego też go kocham jak źrenicę oka i mimo wszystkich szaleństw, nie byłbym w stanie go porzucić.

– Dobrze to, dobrze – rzecze koniuszy du Bois – ale z tym wszystkim, kiedy ślepy ślepego prowadzi, obaj w dół wpadną. Ja myślę, żeby nam obu zawrócić do domu, bo to te przygody, za którymi nasi panowie gonią, nie zawsze wychodzą na dobre.

Tu się urwała rozmowa, a koniuszy du Bois, spostrzegłszy, że Sancho często spluwał i kaszlał z ciężkością, rzekł:

– Zdaje mi się, mospanie, żeśmy tym długim gadaniem język sobie i gardło osuszyli i że nieźle byłoby odwilżyć je trochę. Mam ja w olstrach na takie suchoty niezgorsze lekarstwo; zaczekajcie no chwilę. Poszedł i wrócił zaraz, niosąc w ręku butlę skórzaną pełną wina i pasztet tak ogromny, że Sancho myślał, iż musi być z sarny, chociaż był z zająca.

– A skądże to waszeć masz takie prowizje? – zagadnie Sancho, biorąc mu pasztet z ręki.

– A cóż to wasze myślisz – odpowie drugi – że ja o chlebie i wodzie koniuszuję; jak tylko w drogę wyjeżdżam, zawsze biorę na konia taki tłumoczek. Usiedli na ziemi, a Sancho, nie dając się prosić, zawijał, jak najęty, mało kąsając, a często łykając.

– Mój panie – zawołał – widząc takie u ciebie prowizje, dalipan powiedziałby kto, że chyba z czarownikami masz konszachty. Jak mi Bóg miły, pyszny z ciebie koniuszy, jak żyję, takiego nie widziałem, wart jesteś służyć u króla; to nie tak, jak ja biedota, co całej obrady mam w worku kawałątko sera, jak kamień twardego, parę główek czosnku i z kopę orzechów, a to wszystko, Boże odpuść, z łaski mojego pana, co taki skąpy i taki wariat, iż zawsze powtarza, iż błędni rycerze powinni się tylko owocami i ziołami żywić.

– Ja tam, co prawda – rzecze koniuszy – nie mam żołądka strawnego na cebulki i korzonki. Niech tam nasi panowie żyją sobie, jak im się podoba, wedle tych głupich reguł rycerskich, ale ja bym się nie obszedł bez uczciwego kawałka mięsa i tej butelczyny, która zawsze musi być pełna, to moja wierna towarzyszka, to przyjaciółka i prawdziwa pociecha, kocham ją tak serdecznie, że całuję ją za każdym razem, gdy się z nią zobaczę.

Mówiąc to, podał flaszkę Sanchowi, a ten podniósłszy ją do ust, wyszczerzył oczy na gwiazdy i przez kwadrans blisko ani ich spuścił, tak się w nie zapatrzył. Oderwał nareszcie flaszkę od ust, a przechyliwszy głowę na bok, westchnął głęboko, jak gdyby chciał tchu nabrać, i zawołał;

– A daj go katu, ale niecnota! jak się to samo prosi do gardła.

– Aha! mam cię, bratku – przerwie mu drugi koniuszy – złapałem cię, rybko, a co, jakeś to ty nazwał to wino?

– Wyznaję to teraz – rzecze Sancho – i widzę oczywiście, że ten brzydki wyraz wcale nie jest obrazą i że doskonale pasuje na pochwałę. Ale powiedz no mi, wasze, naprawdę, toć to jest wino z Cindad Real.

– Niepospolity z ciebie smakosz, jakem żyw – odpowie koniuszy du Bois – trafiłeś jak kulą w płot i to z najpierwszego gatunku.

– O! co nos, to mam dobry, nie powstydzę się – odpowie Sancho – i ręczę waszeci, że kiedy idzie o wino, to się nikomu nie dam, a bylem tylko powąchał, to zaraz powiem skąd ono, jakie, czy dojrzałe, czy zielone, wszystkie złe i dobre przymioty zaraz rozpoznam. I nie ma się co dziwić, bo w mojej familii mam po mieczu dwóch najdoskonalszych znawców wina w całej Manchy. Zaraz ci opowiem o nich historyjkę. Razu pewnego proszono ich, ażeby dali zdanie o winie w beczce stojącym. Jeden wziął go kropelkę na język, a drugi tylko powąchał, po czym pierwszy powiedział, że wino czuć żelazem, a drugi zaręczał, że je czuć skórą. Właściciel się zaprzysięgał, że to wino czyściutkie, że nic w nie nie włożono, co by taką woń dać mogło ale obydwaj smakosze obstawali przy swoim. W jakiś czas potem, kiedy sprzedano wino, wzięto się do mycia beczki i znaleziono w niej kluczyk z rzemienną przewiązką. A co wasze na to? co? wszakże kto z takiego rodu idzie, musi się znać dobrze?

– Zapewne – odpowie koniuszy du Bois'a – ale cóż ci u diabła po tej znajomości przy lichem twoim rzemiośle? Wierzaj mi, mospanie, pluń lepiej na te rycerskości, a kiedy mamy kęs chleba dom, po co nam go szukać indziej, gdzie go może nie ma? Ze mną już rzecz skończona, jadę jeszcze za panem do Saragossy, ale dalej ani kroku, a potem upadam do nóg, żegnam uniżenie.

Rozdział XIV

Dalszy ciąg przygody rycerza du Bois

Historia podaje, iż w ciągu długiej rozmowy Don Kichota z rycerzem du Bois ostatni, między innymi, rzekł do pierwszego:

– Wiedzieć wam nareszcie wypada, mości rycerzu, iż los i wybór mój sprawił, iż zakochałem się w nieporównanej Kasyldzie z Wandalii. Nazywam ją nieporównaną dlatego, że nie ma na świecie kobiety równej jej pięknością i przymiotami, ale zarazem wyznać muszę, że nie ma także sroższej nad nią w niewdzięczności. Pomimo największych ofiar, największych wysileń, nigdy najmniejszą nagrodą nie obdarzyła zasług moich i zawsze tylko na nowe wysyłała mnie boje. Herkulesowymi obarczała pracami, ciesząc jedynie nadzieją za każdym razem, że całkowita nagroda czeka mnie po dokonaniu wskazanego czynu. Raz kazała mi wyzwać Giraldę, sławną olbrzymkę z Sewilli, która nigdy z miejsca się nie ruszając, w ciągłym jednakże jest ruchu i dowodzi jawnie, że jest najczynniejszą i najruchliwszą w świecie istotą. Poszedłem, zobaczyłem, zwyciężyłem i ruch jej wstrzymałem przy pomocy wiatru północnego, cały tydzień wiejącego. Drugi raz kazała mi zważyć rozhukane byki z Guisando, co godniejsze jest pastucha niż rycerza. Wkrótce potem poleciła mi rzucić się z wierzchołka góry Cabra w najgłębsze przepaście i pilnie badać wszystko, co się kryje

w tej ciemnej jaskini, czarniejszej od egipskich tajemnic; było to zadanie straszne i niesłychane, z którego bez cudu żywo wyjść nie można Wstrzymałem ruch Giraldy, zważyłem byki guisandskie, zwiedziłem tajnie otchłani cabryjskiej, a Kassylda, zawsze niewdzięczna i nieubłagana, zawiodła wszystkie nadzieje moje. Nie koniec na tym; niedawno kazała mi przebiec wszystkie prowincje hiszpańskie i zmusić wszystkich rycerzów błędnych do przyznania, że ona jedna godną jest korony piękności, a ja jestem najwaleczniejszym rycerzem całego świata. Zbiegłem już większą część Hiszpanii i pokonałem wszystkich rycerzów, co mieli śmiałość sprzeciwiać się mojemu żądaniu. Ale najświetniejsze zwycięstwo, którym się najbardziej szczycę, odniosłem nad słynnym rycerzem Don Kichotem z Manchy i zmusiłem go do przyznania, że Kasylda z Wandalii jest nieporównanie piękniejsza od Dulcynei z Toboso; sława tego zwycięstwa na wieki pozostanie dla mnie i od tej chwili chlubić się mogę, iż pokonałem wszystkich rycerzy świata, bo wielki Don Kichot, o którym mówię, wszystkich ich pokonał.

Don Kichot musiał wytężyć całą cierpliwość, aby sto razy nie rzucić kłamstwem w oczy rycerzowi du Bois, a wstrzymał się dlatego jedynie, aby go przyniewolić do wyznania własnymi ustami, że jest potwarcą lub też oszukanym. Bez najmniejszego więc uniesienia rzekł do niego:

– Mości rycerzu, gotów jestem wierzyć, iż pokonałeś wszystkich prawie rycerzy błędnych w Hiszpanii, a nawet w całym świecie, jeśli tego żądasz, ale co się tyczy Don Kichota z Manchy, wątpię bardzo, żeby to było prawdą, musiałeś zapewne być oszukanym i kogo innego wziąłeś za niego, choć to niełatwo, bo mało mu podobnych.

– Jak to – odpowie rycerz – ja oszukany, alboż to ja nie znam Don Kichota? Nie, panie; zwyciężyłem go, pokonałem i do uznania mej

woli zmusiłem, a że go znam, powiem ci, że jest wysoki, suchy, na twarzy chudy, ale barczysty i silny, nos ma orli, nieco zakrzywiony i wąsy czarne wielkie i na dół zwieszone, walczy pod mianem Rycerza Posępnego Oblicza, na przepysznym dzianecie, którego zwą Rosynantem; giermkiem jego jest Sancho Pansa, a ubóstwianą damą Dulcynea z Toboso, niegdyś Alonza Lorenzo, której imię zmienił, jak ja zmieniłem imię Kasyldy, nazywając ją Kasyldą z Wandalii, gdyż jest Andaluzyjką. Jeżeli ci w tym, co mówię, mało jeszcze dowodu, mam przy boku oręż, najlepiej przekonywający niedowiarków!

– Powoli, mości rycerzu – odpowie Don Kichot – nie unoś się i wysłuchaj, co ci powiem. Otóż wiedzieć musisz, że Don Kichot, o którym mówisz, jest moim przyjacielem i tak zażyłym, że sława jego nie mniej mnie obchodzi, jak własna. Po opisie, któryś mi uczynił, wątpić nie mogę, że jego samego pokonałeś, ale wiem również i z największą pewnością, że to jest rzecz niepodobna i w tej ciemnicy to jedno widzę tylko, że jakiś czarownik, prześladujący go i nienawistny jego sławie, przyjął na siebie podobieństwo jego i dał się umyślnie pokonać, aby zachwiać tę sławę po całej ziemi rozgłośną, i ażeby ci dać najlepszy dowód prawdy tego co mówię, oświadczam, że przed dwoma dniami nikczemnicy czarownicy rzucili urok na Dulcyneę z Toboso i zamienili ją w szpetną chłopkę. Jeżeli teraz jeszcze masz jaką wątpliwość, to stoi przed tobą Don Kichot sam, który ci dowiedzie na koniu, czy pieszo, zbrojnnie, czy nago, na noże, czy na lance, jak tylko ci się podoba, że jesteś w błędzie.

Mówiąc to, Don Kichot powstał nagle i ściągnął rękę do oręża, czekając, co uczyni rycerz du Bois, który mu z zimną krwią odpowiedział.

– Nie zna obawy, kto pewien swej sprawy, mości rycerzu, kto cię przemienionym zwyciężył, potrafi i prawdziwemu dać radę, po nocy biją się tylko zbójcy i tchórze, rycerzom błędnym nie godzi się okazywać swych czynów w ciemnościach, czekajmy więc wschodu słońca, a wtedy zobaczymy, komu z nas Mars sprzyja. Kładę tylko warunek, że zwyciężony ulega woli zwycięscy i musi dopełnić, co tamten mu rozkaże, byle tylko nie uchybił regułom rycerskim.

– Przyjmuję warunek – odpowiedział Don Kichot.

I poszli zaraz do giermków swoich, których zastali chrapiących, zbudzili ich i rozkazali mieć konie w pogotowiu, bo o wschodzie słońca bój stoczą krwawy. Sancho zdumiał się na tę wiadomość i wielce lękał się o pana po tym, co słyszał od giermka du Bois o jego dzielności.

Giermkowie poszli do koni, a idąc razem, koniuszy du Bois tak mówił do Sanchy:

– Sądzę, iż wiadomo ci, mospanie, że nie jest zwyczajem w Andaluzji, ażeby giermkowie patrzyli się z założonymi rękoma, jak ich panowie się biją; nie pozostaje nam, jak tylko przygotować się do poigrania na ostro.

– Dobry to zwyczaj – odpowie Sancho – ale dla tych, co nie mają nic lepszego do roboty i z rozpaczy wariują, ale nie sądzę, aby to było zwyczajem u giermków rycerzy błędnych, nigdy przynajmniej nie słyszałem, ażeby pan mój co o tym mówił, a on zna na palcach wszyściutkie ustawy błędnego rycerstwa. A zresztą, mój panie koniuszy, chociażby i była taka ustawa, to musi być także i kara na przestępujących ją oznaczona. Wolę ja tedy karę tę zapłacić, bo pewnie nie przeniesie dwóch funtów wosku do kościoła, zapłacę i kwita będzie; zawsze to taniej wyniesie, niż żebym oberwał jaki plajzer i potem się jeszcze niszczył na plastry, a co gorsza jeszcze,

mój miły panie, że ja nie mam ani kawałeczka szpady i jak zapamiętam w życiu, nie miałem.

– Ej, na to ja znajdę lekarstwo – odpowie koniuszy – mam dwa wory parciane równej wielkości, waszeć weźmiesz jeden, a ja drugi i będziemy nimi wojowali, okładając się nawzajem co wlezie.

– A, na takie wojowanie to się zgadzam, przynajmniej wykurzymy sobie suknie, a ran nie odniesiem.

– Jak to wasze rozumiesz? – odpowie koniuszy – ja chcę włożyć w worki po tuzinie kamieni i dopiero będziemy się nimi bili.

– Tuzin kamieni! – zawoła Sancho – a to chyba, że waszeć masz czerep z żelaza, bo ja to mam z ciała i kości. Ale, słowem, ażeby dużo nie gadać, powiem ci, panie koniuszy, że choćbyś tylko jedwabiu i bawełny nakładł w swoje worki, to ja się bić wcale nie mam humoru. Niech sobie nasi panowie biją się na zabój, kiedy mają ochotę, a my sobie pijmy, dalipan, to lepiej i krócej, czas i tak o nas nie przepomni, przyjdzie kreska i na człowieka do grobu się położyć, po co go nam skracać; czekajmy czasu, jak Żyd szabasu.

– Z tym wszystkim – rzecze koniuszy – musimy przecie choć z pół godzinki się pofechtować.

– Nie, nie, mój panie, ani pół minutki, ja nie taki gbur niewdzięczny, ażebym się miał wadzić z człowiekiem, co mnie tak nakarmił i napoił, a to bym się dopiero spisał, a potem, któż się, u diabła, bije, kiedy się nie gniewa?

– A jeżeli o to tylko idzie – rzecze koniuszy – to ja zaraz temu poradzę: przed pojedynkiem poczęstuję waszeci kilku kułakami w zęby, dojadę go w brzuch nogą, to pewno i złość się rozbudzi, choćby spała jak bobak.

– O! to ja mam jeszcze lepszy na to sposób – odpowie Sancho – wezmę porządnego drąga i nim waszeć moją złość rozbudzisz, ja waszeciną tak ululam, że się nie obudzi aż na tamtym świecie, gdzie

dobrze wiedzą, że mnie jak dudka za nos wodzić nie można; koniec końców myślę, że najlepiej będzie nie budzić nam obu naszych złości, bo to powiadają, nie wywołuj wilka z lasu, a często bywa, że kto szuka kożucha, powraca bez ucha. Bóg błogosławi spokojnym, a kłótnie zawzięte są wyklęte, pamiętajmyż o tym i siedźmy spokojnie. Bo kiedy kot zamknięty w rozjuszonego lwa się przemienia, to cóż bym ja mógł dokazać rozdrażniony, ja, który przecież jestem człowiekiem?

– Ani słowa – odpowie koniuszy du Bois'a – wkrótce dnieć zacznie; obaczymy, co to z tego będzie.

Już słychać było zewsząd świergoty tysiąca rozlicznych ptasząt witających jutrzenkę, kroplista rosa, towarzysząca jej zawsze, pokryła zioła i trawy perłami; drzewa, lasy, łąki, góry i doliny zajaśniały świeżą pięknością. Ale kiedy wszystko, co żyło, cieszyć się zdawało dniem nadchodzącym, Sancho Pansa jeden ze smutkiem witał chwilę tak radosną dla całej przyrody. Gdy się rozwidniło, najpierwszą rzeczą, co uderzyła wzrok Sanchy, był nos koniuszego du Bois'a, tak ohydnie długi i gruby, że Sancho, zobaczywszy go, ze strachu mało w znak nie upadł. W rzeczy samej autor tej historii, bynajmniej nie lubiący przesady, powiada, że nos ten był tak niesłychanie ogromny, iż całe prawie ciało zakrywał; prócz tego ze środka wyrastał na nim guz, z którego sterczało siedem czy osiem jakby innych nosów, zasiany krostami i brodawkami zielono-fioletowymi, a cała ta masa dochodziła aż na trzy palce poniżej ust; takie to było straszne, że bez wstrętu na tę twarz niepodobna było patrzeć. Biedny Sancho tak się przeląkł tego haniebnego straszydła, że drżąc cały jak liść, ofiarował się do wszystkich miejsc świętych w Hiszpanii, aby się uwolnić od tego widma, i pomyślał, że woli sto plag wytrzymać, aniżeli na gniew się jego narazić.

Don Kichot tymczasem spojrzał na przeciwnika, którego twarzy jednak nie dojrzał, bo przyłbicę już zapuścił, ale widział, że jest to człowiek silny i barczysty, choć wzrostu niewielkiego; na zbroi miał suknię złotolitą, na której jaśniało mnóstwo księżyców, czyli zwierciadełek pięknie odbijających, na szyszaku powiewały pióra żółte, zielone i białe, włócznia, wsparta o drzewo, długa i gruba, opatrzona była lśniącym żelazem na stopę długim. Don Kichot domyślał się, iż rycerz obdarzony być musi siłą niepospolitą, lecz nie zraziło go to wcale, owszem, większą jeszcze przejęło radością; ze swobodną miną podszedł do Rycerza Zwierciadlanego i rzekł:

– Mości rycerzu! jeżeli żarliwość twoja do walki nie staje na przeszkodzie uprzejmości, proszę cię, racz podnieść przyłbicę, abym widział, czy rysy twoje odpowiadają dzielności, jaką skład ciała obiecuje.

– Mości rycerzu! – odpowie Zwierciadlany – później mi się przypatrzysz, w tej chwili żądaniu twemu zadość uczynić nie mogę, bo ubliżyłbym piękności Kasyldy i sławie mojej, zwlekając dłużej walkę, która cię ma zmusić do wyznania prawd tak ważnych.

– To przynajmniej, nim na koń wsiądziemy, powiedzieć mi możesz, czy ja jestem ten sam Don Kichot, którego miałeś zwyciężyć?

– Przyznaję – rzecze Zwierciadlany – że podobieństwo jest wielkie, ale pomnąc na to, coś mi mówił o prześladowaniu czarowników, przysiąc bym nie śmiał, żeś ten sam.

– Dość tego – rzecze Don Kichot – siadajmy na koń, a ja cię z błędu wyprowadzę natychmiast; jeżeli Bóg, dama moja i ramię dozwolą, przyjrzę się twojej twarzy i pokażę, czym ten sam Don Kichot, którego pokonać tak łatwo. Dosiedli koni, ni słowa już nie mówiąc, i rozjechali się w przeciwne strony, aby zająć miejsce

do rozpędu. Zaledwie ujechali kroków dwadzieścia, Rycerz Zwierciadlany zawołał na Don Kichota;

– Mości rycerzu – rzekł do niego – pamiętaj, że zwyciężony ulega całkiem woli zwycięzcy.

– Pamiętam – odpowie Don Kichot – ale zwycięzca nic przeciwnego regułom żądać nie będzie.

– Tak jest – odpowie Zwierciadlany.

W tej chwili mieli się już rozjechać, gdy Don Kichot rzucił przypadkowo okiem na koniuszego z ogromnym nosem. Kiedy się przypatruje strasznemu potworowi, Sancho, nie mając ochoty pozostać sam na sam z okropnym towarzyszem, a widząc, że pan zabiera się już ruszyć, szepnął mu do ucha:

– Błagam was, panie, podsadźcie mnie na to drzewo, ażebym mógł lepiej przyjrzeć się walce waszej z tym rycerzem, bo sądzę, że będzie jedną z najpiękniejszych w świecie.

– Albo raczej – rzecze Don Kichot – że będziesz mógł bezpieczniej przyglądać się walce byków.

– Po co mam kłamać – odpowie Sancho – nos tego koniucha takiego mi strachu napędził, że za żadne skarby świata sam z nim nie zostanę. Jak też, u diabła, ten rycerz może cierpieć takie straszydło przy sobie? domyślam się wszakże, że to muszą być w tym czarnoksięskie sztuki i wszystko to, panie, nie dobrze mi coś wróży.

– Przyznaję – rzecze Don Kichot – że to potwór najstraszniejszy, jakiego w życiu kiedy widziałem, i gdybym nie był tym, czym jestem, przeląkłbym się go, ale ja się i szatana nie boję i pokazać mu jestem gotów, z kim ma do czynienia. No, chodź, Sancho, podsadzę cię na drzewo i ruszę zaraz na tego rycerza, pokazać mu, czym prawdziwy Don Kichot.

Kiedy Don Kichot podsadzał Sanchę na drzewo, Rycerz Zwierciadlany odjechał kawał w pole i myśląc, że Don Kichot toż samo uczynił, zawrócił konia, dążąc na spotkanie; pędził co koń mógł wyskoczyć, to jest wolniuchnym truchtem, bo biegun jego z miny i siły w niczym nie ustępował Rosynantowi, ale widząc, że Don Kichot czym innym jest zajęty, ściągnął cugle i stanął w miejscu ku wielkiemu zadowoleniu rumaka, który już ani nogą ruszyć nie mógł. Don Kichot myśląc, że rycerz wali na niego jak piorun, sparł ostro Rosynanta i tak go rozognił, że historia podaje, iż puścił się galopem, co się dotąd nigdy po nim nie pokazało. W tak szalonym rozpędzie rycerz nasz przypadł do Zwierciadlanego, który nie przestawał dźgać ostrogami wierzchowca, w brzuch mu je pakując po same pięty, a nie mogąc go ani ruszyć, tak się zakłopotał biedny rycerz, że nawet włóczni zapomniał nastawić. Don Kichot, nie bacząc na przykre położenie przeciwnika, natarł na niego tak ostro, że od razu z siodła go wyrzucił i na ziemię prawie nieżywego zwalił. Sancho, skoro tylko zobaczył rycerza na ziemi, zsunął się natychmiast z drzewa i żywo przybiegł do pana, który Zwierciadlanemu szyszak już odpinał, chcąc obaczyć, czy żywy i dać mu powietrzem odetchnąć, gdyby przypadkiem żył jeszcze.

Któż opisze zdziwienie, gdy ujrzał twarz Rycerza Zwierciadlanego.

– Patrz no, Sancho, patrz – wołał – i dziw się, bo wierzyć nie będziesz, patrz, mój przyjacielu, jaka to jest potęga magii! podziwiaj i ucz się, jaka to jest złość czarowników i siła czarów.

Sancho zbliżył się, a poznawszy w leżącym rycerzu bakałarza, Samsona Karasko, sto razy się przeżegnał i osłupiał zdziwiony. Biedny bakałarz nie przychodził do siebie, a Sancho, nie wiedząc, czy żyje, czy umarł, zawołał:

– Panie, pakuj pan miecz w gardziel temu panu Karasko, zabij go, bo to może który z tych najzawziętszych na ciebie czarowników?

– Masz słuszność – odpowie Don Kichot – im więcej trupów, tym mniej nieprzyjaciół.

I miał już radę Sanchy wykonać, gdy giermek Zwierciadlanego, pozbywszy się wielkiego nosa i pędząc ku niemu, wrzasnął wniebogłosy:

– Wstrzymaj się, panie! na imię Boże, co robisz, to prawdziwy bakałarz Karasko, twój przyjaciel, a ja mu służyłem za giermka.

– Zwodź głupich – rzecze Sancho – a gdzie wasz nos?

– A mam – odpowie giermek.

I wyciągnął z kieszeni nos tekturowy, taki, jakeśmy wyżej opisali. Sancho tymczasem, nie bojąc się koniuszego, przypatrywał mu się pilnie i wzniósłszy nareszcie ręce do góry, zawołał nagle z podziwieniem:

– O Przenajświętsza Matko Boża! a toż to Tomasz Cecial, mój kmotr.

– A jużcić ja, mój Sancho, ja sam – odpowie koniuszy – i zaraz ci opowiem, jakim sposobem się tu znajduję! ale wprzód jeno powiedz panu, ażeby nie robił nic złego temu biedakowi, bo to naprawdę jest Samson Karasko, nasz poczciwy sąsiad.

W tej chwili nieszczęśliwy rycerz przyszedł do zmysłów; za pierwszym znakiem życia, Don Kichot, przykładając mu miecz do gardła, zawołał:

– Rycerzu, śmierć cię czeka, jeżeli nie wyznasz, że Dulcynea z Toboso wyższa jest w piękności nad twoją Kasyldę z Wandalii i jeżeli nie przysięgniesz, że gdy się z ran wyleczysz, pojedziesz do Toboso przedstawić jej się ode mnie i pod rozkazy oddać zupełne; po czym, jeśli ci wolność wróci, śladem czynów moich przybędziesz do mnie, aby zdać sprawę ze wszystkiego.

– Wyznaję – rzecze niefortunny rycerz – że jedno spojrzenie pani Dulcynei warte sto razy więcej, niż wszystkie łaski Kasyldy i niż

ona cała; przysięgam, że pojadę do Toboso i zdam ci sprawę ze wszystkiego.

– Musisz wyznać jeszcze – dodał Don Kichot – że rycerz, którego niegdyś pobiłeś nie był Don Kichotem z Manchy, ale tylko podobnym do niego; tak jak ja z mej strony wyznaję, że ty nie jesteś bakałarzem Samsonem Karasko, choć całkiem podobny jesteś do niego; wiem ja, że to sztuka czarowników!

– Wyznaję, wszystko wyznaję, czego tylko żądasz – odpowie rycerz – ale pozwól mi się podnieść, błagam cię, bo mi ciężko dolega.

Don Kichot podniósł go przy pomocy Tomasza Ceciala, na którego Sancho miał ciągle oczy wytrzeszczone i tysiącem pytań go zarzucał, chcąc się upewnić, że to on sam. Nie wierzył oczom własnym, tak mu się to spotkanie wydawało dziwnym i tak dalece mniemanie Don Kichota o potędze czarów w umysł mu się wraziło!

Don Kichot z Sanchem pozostali razem, przekonani, że to było omamienie, a Rycerz Zwierciadlany, pożegnawszy się z nimi, pojechał razem z giermkiem szukać miejsca, gdzie by poturbowane żebra mogły wypocząć. W kilka chwil później Don Kichot jechał dalej drogą do Saragossy, na której go porzucamy, a sami obaczmy, kto naprawdę byli Rycerz Zwierciadlany i giermek z wielkim nosem.

Rozdział XV

Który opisuje, kto był Rycerz Zwierciadlany i giermek z wielkim nosem

Don Kichot postępował w triumfie, pyszny zwycięstwem, jakie odniósł nad Rycerzem Zwierciadlanym, którego uważał za najwaleczniejszego; sądził, że odtąd nic już do jego sławy nie

brakuje. Wreszcie, ufając słowu tak uroczyście przez rycerza danemu, którego nie mógłby nie dotrzymać bez obrażenia praw rycerskich i jak tylko ustanie moc czarowania, spodziewał się wkrótce mieć wiadomość od Dulcynei. Ale Don Kichot myślał o tym, a Rycerz Zwierciadlany znów zupełnie o czym innym; myślał on o najprędszym wyleczeniu się, ażeby był w stanie nowy swój zamiar wykonać.

Jednakże autor, nie chcąc czytelnika narazić na najmniejszą wątpliwość, powiada, że bakałarz, Samson Karasko, wskutek konferencji z plebanem i balwierzem, radził Don Kichotowi, ażeby wyruszył na wyprawę; wszyscy ci trzej bowiem jego przyjaciele za najlepszy środek wyleczenia go uważali, ażeby Samson na tej wyprawie spotkał się z nim jako rycerz błędny, wyzwał go i pokonał, a później stosownie do ustaw rycerskich domagał się od niego posłuszeństwa nieograniczonego i kazał mu przez dwa lata kamieniem w domu siedzieć. Karasko podjął się chętnie tego zadania, a Tomasz Cecial, kmotr i sąsiad Sancha, bardzo poczciwe człeczysko, ofiarował się mu na giermka. Karasko wyprawił się pod mianem Rycerza Zwierciadlanego razem z Tomaszem, który sobie nos fałszywy przyprawił, ażeby go Sancho nie poznał, i trop w trop pojechali za Don Kichotem; widzieli całą przygodę z wozem śmierci i wreszcie połączyli się z nim w lesie, gdzie odbyła się walka, którą dopiero co opisaliśmy.

Przywidzenia Don Kichota wyszły na dobre bakałarzowi, bo gdyby nasz rycerz wszędzie i ciągle nie był się zaprzysięgał, że to nie był Karasko, to by pan bakałarz nie mógł otrzymać stopnia doktora, a w zysku miałby tylko wstyd, że tak pokpił sprawę. Tomasz Cecial, widząc jak nieszczęśliwie poszła wyprawa i że Karasko tak ciężko został poturbowany, rzekł:

– Na uczciwość, panie bakalarzu, mamy, czegośmy chcieli, łatwa to rzecz projektować, ale trudna dokonać. Don Kichot zawołany głupiec, a my się mamy za mądrych, on jednak wyszedł zdrów i cały, a my obydwaj wracamy z długimi nosami i ty, bakałarzu, z pogruchotanymi kościami. Chciałbym teraz wiedzieć, kto też głupszy naszym zdaniem, czy ten, co głupi, dlatego, że mądrym być nie może, czy ten, co głupim dobrowolnie się robi.

– Różnica między tymi dwoma rodzajami głupich taka – odpowie Samson – że ten, co z konieczności głupi, będzie nim zawsze, a ten, co się głupim robi dobrowolnie, przestanie nim być, skoro zechce.

– Kiedy tak – rzeknie Cecial – to ja dobrowolnie zrobiłem się głupim, idąc do was na koniuszego i żeby nim dłużej nie być, wracam już do domu.

– Wolnoć Tomku w swoim domku – odpowie Samson – ale ja wolałbym nogą we wsi nie postać, nim Don Kichota dobrze nie oporządzę. Mniejsza mi teraz o to, czy wróci do rozumu, ale idzie mi o pomstę. Nie daruję mu tego, bez litości mścić się będę.

Rozmawiali tak, dopóki nie dojechali do wsi, gdzie się znalazł, na szczęście, dobry cyrulik, w którego ręce oddał się Samson, a Tomasz Cecial pojechał do domu. Kiedy bakałarz każe się opatrywać i przemyśliwa nad pomstą, my poszukajmy Don Kichota i obaczmy, czy nam nie da nowych powodów do śmiechu.

Rozdział XVI

Który opisuje, co się przydarzyło Don Kichotowi z pewnym rycerzem z Manchy

Don Kichot jechał w triumfie, jakeśmy to powiedzieli, pyszny swoim zwycięstwem i uważał się już za najpierwszego i najwaleczniejszego rycerza błędnego w całym świecie; ostatni

triumf poczytywał sobie za szczęśliwą wróżbę na przyszłość i wyglądał chciwie nowych przygód, choćby najtrudniejszych, nie troszcząc się już o czarowników, choćby się wszyscy przeciw niemu zmówili, tak dalece ufał swojemu szczęściu. Tak był uradowany i próżnością zaślepiony, że ani wspomniał już o nieskończonej ilości kijów, które niegdyś dostał, ani o tym kamieniu, co mu szczękę zgruchotał, ani o niewdzięczności galerników, ani o niesłychanej zuchwałości Jangwezów, co się tak bezecnie z nim obeszli. Nic mu już nie brakowało, jak tylko, ażeby znaleźć środek odczarowania księżniczki Dulcynei; gdyby tego dokazał, nie miałby już nic do pozazdroszczenia najszczęśliwszym i najsłynniejszym rycerzom błędnym wszystkich wieków przeszłych.

W tak miłych pogrążonego marzeniach Don Kichota Sancho w ten sposób zagadnął:

– Co to za dziwna rzecz, panie, że mnie ciągle na oczach stoi ten diabelski nos mego kmotra, Ceciala? Próżno silę się o czym innym myśleć, ani rusz się temu opędzić.

– To ty ciągle myślisz, Sancho – odpowie Don Kichot – że tym Rycerzem Zwierciadlanym był bakałarz Karasko, a giermkiem jego Tomasz Cecial?

– Nie wiem, co mam odpowiedzieć, panie, ale wiem, że nikt inny jak Cecial nie mógł mi rozpowiadać takiej rzeczy o domu, o żonie i o dzieciach i że jak odjął ten nos obrzydliwy, to już twarz miał, jak wykapał, taką samą jak Cecial, ani na włos różnicy i głos taki sam i wszystko zgoła takie; jakżeż, u diabła, nie poznałbym go, kiedy się od tylu lat znamy i co dzień widujemy?

– Mój Sancho, mówmy rozumnie – odpowie Don Kichot – czyż to podobieństwo, ażeby bakałarz Karasko przebierał się za rycerza błędnego, ciężkie zbroje na siebie przywdziewał i na moje życie godził, albożem to ja jego nieprzyjaciel, albożem go kiedy czym

obraził, alboż we mnie ma rywala, żeby mi zazdrościł sławy nabytej?

– Ależ, panie – odpowie Sancho – skądże to podobieństwo owego rycerza z Karaskiem, a giermka z kmotrem Cecialem? a jeżeli to czary, jak powiadacie, czyż nie mogli zrobić się oni podobnymi do kogo bądź innego w świecie?

– To wszystko złośliwe psoty czarnoksięskie – rzecze Don Kichot – ci nikczemnicy wiedzieli dobrze, że wyjdę zwycięsko z tej walki i umyślnie przemienili owego rycerza w przyjaciela bakałarza, ażeby go zasłonić od słusznej wściekłości mojej i żebym darował życie temu, co tak podstępnie godził na moje. Mój przyjacielu, czyż trzeba lepszego dowodu złości i potęgi czarowników nad tę, jakieśmy mieli niedawno w przeistoczeniu Dulcynei? Po takim cudzie czymże jest ta bagatela? Ale ta mi została pociecha, że prawica moja silniejsza od tych czarów i że pomimo zawiści i całej potęgi cudownej sztuka, odwaga moja zapewniła mi zwycięstwo!

– Bóg widzi wszystkie rzeczy – odpowie Sancho, któremu śmieszne rezonowania wcale do przekonania nie trafiały, ale bał się sprzeciwić, ażeby się nie wydać z figla, którego mu spłatał z Dulcyneą.

Wśród tej rozmowy usłyszeli za sobą tętent kopyt końskich, obrócili głowy i obaczyli jeźdźca ku nim jadącego, któremu pilnie przypatrywać się zaczęli. Był to szlachcic, jechał na bardzo pięknej jabłkowitej klaczy, miał na sobie ubiór wiejski i płaszcz z sukna zielonego, szeroko ciemnym aksamitem wykładany, a na głowie kapelusik z tejże samej materii. Przy boku miał nóż mauretański na zielonym pasie, złocisto haftowanym, buciki także ze skóry zielonej, ze złotą obwódką, ostrogi skromnie na zielono szmelcowane, ale tak lśniące, jakby szczerozłote. Mijając ich, skłonił

się grzecznie i spiąwszy klacz ostrogami, miał poskoczyć dalej, kiedy Don Kichot do niego zawołał:

– Mój dzielny panie, jeżeli wam nie śpieszno i w tę samą jedziecie drogę, wdzięczny wam będę, jeżeli razem pojedziemy.

– W samej rzeczy, panie – odpowiedział kawaler – i ja tę samą myśl miąłem, ale się bałem, ażeby wasz rumak nie brykał przy mojej klaczy.

– O, niech się pan tego nie boi – rzecze Sancho – nasz Rosynant to najpoczciwsze i najskromniejsze w świecie konisko. On sobie takich wybryków nie pozwala, raz tylko w życiu zbisurmanił się, a myśmy to z panem ciężko przypłacili. Nie macie się czego bać, panie, mówię wam raz jeszcze; klacz wasza bezpieczna, dziesięć lat mogliby stać razem, a on by jej ani trącił.

Na takie zapewnienie Sancha jeździec wstrzymał konia, z wielkim zdziwieniem przyglądając się twarzy Don Kichota, jadącego bez szyszaka, który giermek wiózł na ośle, jak tłumoczek przewieszony. Don Kichot niemniej pilnie wpatrywał się w podróżnego, widząc w nim człowieka pewnego znaczenia; bo też istotnie miał postawę znaczącą, lat około pięćdziesięciu, włosy szpakowate, a w twarzy i obejściu coś wesołego i skromnego, jak to zwykle u uczciwych ludzi. Nieznajomy, przyjrzawszy się naszemu bohaterowi, wyciągnął wniosek, że musi to być jakiś dziwak, bo nigdy w życiu podobnie przybranego i wystrychniętego człowieka nie widział. Podziwiał wzrost jego sążnisty, twarz bladą i wychudłą, minę i zbroję, a nade wszystko nadętą postawę na kościstym koniu i tak mu się to wszystko nowe wydało, że nie mógł się dość napatrzeć. Don Kichot spostrzegł zdziwienie szlachcica, a wyczytawszy w oczach jego chęć dowiedzenia się więcej, chciał jego życzenia uprzedzić ze zwykłą sobie uprzejmością.

– Nie dziwno mi, panie – rzekł – że cię uderza moja postawa i osoba tak różna od wszystkich innych ludzi; ale nie będziesz się dziwił więcej, kiedy się dowiesz, że jestem rycerzem błędnym z liczby tych, co, jak się to zwykle mówi, gonią za przygodami. Porzuciłem kraj swój, zastawiłem majątek, wyzułem się ze wszelkich przyjemności, oddając się na los szczęścia i fortuny. Zamierzyłem wskrzesić powołanie rycerzów błędnych, już przepadających; niedawno działać rozpocząłem, a już dopełniłem część swoich zamiarów, wspierając wdowy, osłaniając dziewice, broniąc praw małżonek, sierot i wszystkich uciśnionych, i przez waleczne czyny swoje i po trudach nieskończonych tyle dokazałem, iż sława imienia mego rozbiegła się po wszystkich prawie częściach świata. Wydrukowano już trzydzieści tysięcy tomów mojej historii, a wkrótce będzie ich trzydzieści milionów tomów, jeżeli Bóg mnie uchroni. Żeby ci nareszcie krótko powiedzieć i długo nie trzymać w zawieszeniu, powiem: jestem Don Kichot z Manchy, zwany Rycerzem Posępnego Oblicza; a chociaż to nie bardzo przyzwoicie samemu się z własnymi pochwałami rozwodzić, widzę się nieraz do tego zmuszonym, kiedy nie ma nikogo, co by mi tych trudów i przykrości oszczędził. Tak więc, zacny kawalerze, nie powinieneś się teraz dziwić, widząc tę tarczę i włócznię, tego giermka i konia, ten przybór cały i twarz moją wybladłą, a ciało wychudłe, bo wiesz już kto jestem i że to są rzeczy nierozłączne z powołaniem moim.

Don Kichot, powiedziawszy to, umilkł, a kawaler po długiej przerwie tak na koniec przemówił:

– Mości rycerzu, doskonale poznałeś ciekawość, która mną owładnęła, na twój widok; ale to, coś mi powiedział, bynajmniej nie zmniejsza mego podziwienia, przeciwnie, jeszcze bardziej je powiększa. Jak to, panie, czyż to podobna, żeby dziś jeszcze byli na świecie rycerze błędni i żeby o nich prawdziwe drukowano

historie? Doprawdy, panie, nigdy bym nie wierzył, że są tacy obrońcy dam, tacy protektorzy wdów i sierot, gdybym własnymi oczyma teraz się o tym nie przekonał. Bogu Najwyższemu niechaj będą dzięki, że historia chwalebnych czynów twoich poda teraz w niepamięć tę nieskończoną liczbę błędnych rycerzy, o których baśnie całą napełniają Europę i zawracają głowę wszystkim, co je czytają.

– O panie! panie! – odpowie Don Kichot – nie trzeba wierzyć, że historie tych rycerzy są baśniami.

– Alboż to kto jeszcze o tym wątpi? – zapyta kawaler.

– Ja o tym wątpię – rzecze Don Kichot – ale dajmy temu pokój, spodziewam się, że jeżeli razem dalej pojedziemy, wyprowadzę was z błędu, w który podpadliście, prądem opinii niedowiarków pociągnięci.

Ostatnie wyrazy Don Kichota i mina, z jaką je wymówił, naprowadziły kawalera na podejrzenie, że musi to być jakiś wariat, i zaczął mu się pilniej przypatrywać dla upewnienia się w tym mniemaniu. Don Kichot, zmieniając przedmiot rozmowy, prosił nieznajomego, aby mu nawzajem powiedział, kto jest.

– Nazywam się Don Diego de Miranda, jestem szlachcicem, urodziłem się w pobliskiej tu wiosce, gdzie jeżeli Bóg da, dziś wieczerzać będziemy. Mam, Bogu dzięki, mająteczek dostatni, w którym żyję sobie spokojnie z żoną i dziećmi. Zwykłą zabawą moją jest polowanie i rybołówstwo, ale nie trzymam do tego ani psów, ani ptaków układnych, mam tylko kilka kuropatw obłaskawionych na wabia i parę siatek. Mam trochę książek łacińskich i hiszpańskich, jedne historyczne, drugie do nabożeństwa, ale rycerskich baśni nie cierpię; lubię czytać historię albo powieści, jeżeli w układzie i treści mają coś przyjemnego, ale, moim zdaniem, mało jeszcze książek podobnych mamy w Hiszpanii. Z sąsiadami

żyjemy sobie w zgodzie i często u siebie gościmy i biesiadujemy; nasze potrawy nie są wytworne, ale proste i smaczne; unikamy zbytków, bo się wszelką rozwiązłością brzydzimy. Położyłem sobie za zasadę żyć jak człowiek uczciwy i wspierać ubogich, zamiast na rzeczy zbytkowne dochody obracać; staram się ile możności między sąsiadami zachować zgodę, a w domu porządek, zapobiegając wszelkim kłótniom i niesnaskom.

Sancho z pilną uwagą przysłuchiwał się mowie szlachcica, a sądząc, że człowiek, tak cnotliwie żyjący, musi być świętym i cuda czynić, zeskoczył prędko z osła i ze łzami w oczach pobiegł objąć go za nogi, a stopy mu całował z takim uszanowaniem, jak gdyby relikwie.

– Ej, co to ma znaczyć, mój przyjacielu – zapytał szlachcic mocno zdziwiony – za cóż mnie tak w nogi całujesz?

– Ach! pozwól mi, panie – odrzekł Sancho – całe życie wielbiłem świętych, a nigdy jeszcze żywego świętego nie widziałem.

Sancho, wielce zadowolony z tego, co zrobił, spokojnie wsiadł sobie na powrót na burego; Don Kichot zaś, mimo całej swojej powagi, ledwo się mógł wstrzymać od śmiechu z tej jego prostoduszności.

Wszczynając znów rozmowę, rycerz nasz pytał się Don Diega, czy ma dużo dzieci, czyniąc uwagę, że filozofowie starożytni najwyższe szczęście człowieka zakładali zarówno na darach przyrodzenia fortuny, jak i na wielkiej liczbie dzieci i przyjaciół.

– Mam tylko jednego syna – odpowiedział Don Diego – a chociażbym wcale dzieci nie miał, nie czułbym się nieszczęśliwszy, nie dlatego, ażeby syn mój miał złe skłonności, ale że nie ma wszystkich tych przymiotów, które w nim widzieć bym pragnął. Chłopak kończy lat osiemnaście, z których sześć przebył w Salamance, ucząc się greki i łaciny. Chciałem, ażeby się dalej

w naukach kształcił, ale tak się uparł do poezji, że zresztą wszystko odrzuca, a mianowicie też teologię i prawo, do których pragnąłem, ażeby się najwięcej przykładał, bo w naszym wieku królowie najwięcej szanują ludzi cnotliwych i uczonych. Ale nie ma z nim rady; po całych dniach ślęczy nad jednym wierszem Homera lub Martiala, rozbierając go czy zły, czy dobry; dobaduje się znaczenia jakiego niezrozumiałego wiersza Wergiliusza, słowem, o niczym nie mówi, tylko o tych poetach: o Horacym, Perejuszu, Juwenalisie i innych starożytnych, dziś tak bardzo wziętych; co do nowożytnych, wcale ich nie ceni. Pomimo tego do nich wstrętu, w tej chwili pracuje nad glosą do czterech wierszy, które mu z Salamanki przysłano.

– Zacny panie – odpowie Don Kichot – dzieci są jakoby cząstką rodziców i czy złe, czy dobre, kochać je trzeba, ale najpierwszym obowiązkiem rodziców jest wychowywać je od samego początku w cnocie, a nade wszystko w zasadach chrześcijańskich, ażeby kiedyś stały się podporą ich starości. Słowem, niczego zaniedbywać nie należy, aby je uczynić doskonałymi we wszystkim i wykierować na chlubę rodu całego, bo sława ich spływa na ojców. Nie jestem zdania, żeby je przymuszać do jednej bardziej niż do drugiej nauki; można im dawać rady, ale przede wszystkim zostawiać je trzeba własnemu popędowi, kiedy nauka nie jest im potrzebną do życia. Bo jakkolwiek poezja jest raczej przyjemnym niż użytecznym zajęciem, nie sądzę wszakże, ażeby nią gardzić należało, i człowiekowi uczciwemu nigdy ona wstydu nie przynosi. Poezja, panie, jest jak piękna dziewica, którą inni stroją, bierze ozdoby od wszystkich innych nauk i sama je zdobi, kiedy z nimi przestaje. Dlatego poezja strzec się powinna poniżenia się wszelkiego: satyra i teatr łatwo ją upośledzają, bo umysły niskie i pospolite nie umieją rozeznać prawdziwej piękności. Nie wiem, panie, czy

wszyscy jednakowo rozumieją te wyrazy: umysły niskie i pospolite, ale co do mnie, rozumiem pod nimi każdego nieuka i człowieka ciemnego, do jakiego bądź stanu on należy, i nie wyjmuję od tego ani wielkich panów, ani osób najdostojniejszych, jeżeli umysł mają nieokrzesany. Co do tego zaś, że syn pański nie ceni wcale poezji nowożytnej, to zdaje mi się, że nie ma w tym zupełnej słuszności, bo Homer i Wergil pisali w ojczystym języku i wszyscy poeci starożytni tak samo czynili; sądzę, że nie byłoby złe, gdyby i dziś wszyscy szli za ich przykładem, bo każdy język ma swoje piękności, a nie wszędzie ludzie rozumieją po grecku i łacinie. Nie przypuszczam, aby syn pański gardził językiem kastylijskim, ale raczej autorami kastylijskimi, którzy innego języka nie umieją, a i własnym tak nie władają, żeby dobyć zeń wszystkie powaby, którymi się szczycą inne języki. Krótko mówiąc, radzę panu zostawić syna własnemu popędowi; ma widać niepospolite zdolności, kiedy w tym wieku zna doskonale język grecki i łaciński, w którym mieści się wszystko, co tylko jest najpiękniejszego w naukach; jeden mu już krok tylko pozostaje, żeby doszedł doskonałości w naukach wyzwolonych, które niemniej przystoją szlachcicowi, jak tym, co z powołania im się poświęcają. Wpłyń pan tylko na niego, żeby zawsze wybierał przedmioty dobre, żeby zawsze pisał rzeczy uczciwe, żeby w utworach swoich nie szarpał nigdy sławy niczyjej, żeby pisząc ogólnie przeciw wadom i występkom, wystawiał przyjemnie cnotę i gorącą chęć ku niej, a obaczysz pan wtedy, że poezja nie krzywdzi bynajmniej uczciwego człowieka i że syn twój przyniesie zarazem chlubę imieniowi swojemu, będzie w poszanowaniu u dworu i w sercu ludzi.

Don Kichot skończył mówić, a szlachcic tak się zadziwił, iż nie wiedział już, co myśleć o nim, i zaczynał sobie wyrzucać, że tak krzywdzące tworzył sobie mniemanie. Chciał znów zawiązać

rozmowę, ale rycerz nasz, ujrzawszy z daleka powóz z herbami królewskimi i wyobrażając sobie, że nowa się dlań gotuje przygoda, zawołał na Sanchę, żeby mu szyszak podał.

Rozdział XVII

Który opisuje najwyższy dowód odwagi Don Kichota i szczęśliwy koniec przygody ze lwami

Kiedy Don Kichot taką miał rozprawę, Sancho tymczasem, znudzony nią i widząc pasterzy pasących barany nieopodal, poszedł do nich po mleko, kupił sobie kilka serków i zabierał się do zjedzenia ich, gdy wtem usłyszał, że go wołają. Kiedy tak z jednej strony wołania pana, a z drugiej kłopocze go zakupiony towar, którego tracić, zapłaciwszy, nie miał ochoty, nie wiedząc, co robić, czym prędzej wpakował to wszystko w szyszak, który mu wisiał przy kulbace, i wyciągniętym kłusem sunął do Don Kichota.

– Przyjacielu – rzekł doń nasz rycerz – podaj mi szyszak, znam się na przygodach i widzę, że tej by nie bardzo było bezpiecznie przedsiębrać bez dobrego uzbrojenia.

Szlachcic, słysząc te słowa Don Kichota, spojrzał na wszystkie strony, a nie widząc nic prócz wozu z chorągiewkami królewskimi, poczytał go za furgon ze skarbowymi pieniędzmi i powiedział to Don Kichotowi; ale ten nie łatwo prawdzie wierzył, przypuszczając, że wszystko, co mu się tylko wydarza, musi być ważną bardzo przygodą rycerską, więc odpowiedział:

– Mój zacny panie, człowiek bez uzbrojenia jest już na pół zwyciężony; nic na tym nie stracę, że się mam zawsze na ostrożności, a wiem to z doświadczenia, że widzialni i niewidzialni moi wrogowie ciągle na mnie czatują – i mówiąc to, wziął z rąk Sanchy hełm, nim ten zdążył wyjąć z niego serki,

i włożył zaraz na głowę, a serwatka gęstymi kroplami ze wszystkich stron spływać mu zaczęła na oczy i brodę.

– Co to z tego będzie, Sancho? – zawołał przerażony – o dla Boga! co się dzieje, coś jakby mi się głowa rozpływała, albo mózg rozmiękał, czy też pocę się cały od stóp do głowy, doprawdy, pocę się okropnie, ale nie ze strachu. Po takiej wróżbie będzie niezawodnie straszna przygoda. Dajże mi się czym obetrzeć – zawołał – bo pot mi całkiem oczy zalewa.

Sancho dał mu chustkę, ani słowa nie mówiąc, a Bogu w duchu dziękując, że się nie domyśla, co to jest. Don Kichot obtarł sobie twarz, a zdjąwszy szyszak, żeby głowę obetrzeć i obaczyć, co mu tak niewczesną sprawia ochłodę, spostrzegł w hełmie białą marmoladę, wziął jej kawałek na palec i poniósł do nosa. Jak tylko powąchał, poznał zaraz, że to serwatka i zawołał:

– Na żywot pani Dulcynei, a ty zdrajco, łakomco, to ty mnie świeże sery będziesz w szyszak składał?

– Panie – odpowie obojętnie Sancho, nie dając znaku zdziwienia – jeżeli tam sery są, to mi je pan wypuść w dzierżawę, zjem je sobie, albo niech je diabli zjedzą, co je tam włożyli! A proszę pana, a pan mnie posądził; czyż to ja mógłbym takie głupstwo zrobić, skóra mnie jeszcze nie swędzi; na uczciwość, panie, to już i ja muszę mieć czarowników, co mnie prześladują. A dlaczegóż miałbym być wyjątkiem – rzekł – kiedy jestem członkiem rycerstwa błędnego? Jestem pewny, że to oni nakładli panu tego paskudztwa w szyszak, żeby pan się rozgniewał i mnie skórę wytatarował; ale na ten raz nie udało wam się, drwię sobie z waszych figlów, bo mój pan jest dobry, zna wasze złości i wie dobrze, że gdybym ja miał ser i mleko, to wolałbym je włożyć do brzucha niż do szyszaka.

– Wszystko to być może – rzecze Don Kichot – ale trzeba już temu jakiś koniec położyć.

Szlachcic przypatrywał się i przysłuchiwał wszystkiemu pilnie i podziwiał.

Don Kichot, obtarłszy sobie twarz i brodę, włożył szyszak na głowę, miecz przy boku obejrzał, zasadził się na strzemionach i junacko wstrząsając włócznią, zawołał:

– Teraz gotów jestem na wszystko, i samemu szatanowi mogę w oczy zajrzeć.

Tymczasem wóz nadjechał; siedział w nim jeden tylko człowiek, a woźnica na mule. Don Kichot stanął przed nimi i zawołał:

– Gdzie jedziecie, przyjaciele? co to za wóz prowadzicie? co w nim jest i co znaczą te chorągiewki?

– Wóz ten do mnie należy – odpowiedział woźnica – dwa lwy są w nim we środku w dwóch klatkach; gubernator Oranu posyła je królowi i dlatego to położono tu herby królewskie.

– A te lwy czy wielkie? – zapytał Don Kichot.

– O, takie wielkie – odpowiedział towarzysz woźnicy – że podobnych jeszcze nigdy w Hiszpanii nie było. Ja ich dozoruję i widziałem niemało tego w życiu, ale podobnych nigdy; w pierwszej klatce siedzi lew, a w drugiej lwica, głodne są strasznie w tej chwili, bo dzisiaj jeszcze nic nie jadły, tak więc, panie, nie mamy ci więcej co się spowiadać i jeżeli pozwolisz, pojedziemy dalej. I woźnica istotnie chciał ruszyć naprzód, gdy Don Kichot, uśmiechając się trochę, zawołał:

– Lewki! kochane lewki! a to właśnie dla mnie, aha, muszę ja tym panom, co je przysyłają, pokazać, że ja nie taki człowiek, żebym się lwów bał! Zejdź zaraz, człowieku, a kiedy jesteś gubernatorem od tych lwów, otwórz klatki i wypuść je, żebym im tu na polu pokazał, na złość czarownikom, co na mnie je nasyłają, czym jest Don Kichot z Manchy!

– Aha, aha! – zawołał wtedy szlachcic – teraz już wątpić nie można, rycerzowi czegoś w głowie brakuje.

Sancho, cały drżący, zbliżył się właśnie w tej chwili do szlachcica i mówił:

– Ach, panie! na miłość Boską, nie dajcie mojemu panu bić się ze lwami, przysięgam, że one nas wszystkich rozszarpią!

– Alboż pan twój taki wariat – odpowie szlachcic – żeby się miał bić ze lwami?

– Nie wariat, ale się niczego nie boi – odpowie Sancho.

– No, no, bądź spokojny, zaręczam ci za niego – rzecze szlachcic – i zbliżając się do Don Kichota, który gwałtem się domagał, aby klatki otworzono, rzekł mu:

– Mości rycerzu, rycerze błędni nie powinni przedsiębrać takich przygód, w których widocznie zły koniec ich czeka, bo zuchwalstwo jest przymiotem dzikim i nieroztropnym, więcej do szaleństwa niż do prawdziwej waleczności zbliżonym. Zresztą lwy te nie przeciw tobie są wysłane, jest to podarek dla króla i nie godzi się zatrzymywać tych ludzi, na których odpowiedzialność ciąży.

– Mój szlachcicu – ofuknie Don Kichot – patrz swoich kuropatw i siatek, a do drugich się nie wtrącaj, to moje rzemiosło i wiem lepiej od ciebie, czy lwy te na mnie wysłane, czy nie. I zwracając się nagle do dozorcy lwów:

– Hultaju! – zawołał – jak Bóg na niebie, jeżeli mi klatek natychmiast nie otworzysz, to cię tą lancą do wozu przygwożdżę!

– Ach! panie – prosił się woźnica – na miłość Boską, pozwól mi muły wyprząc i uciec z nimi, nim się lwom otworzy, bo jakby mi się rzuciły na nie, to ja bym biedak musiał z torbami pójść; Bóg mi świadkiem, że ten wóz i muły, to mój cały majątek.

– Nędzniku! – odpowie Don Kichot – kiedy nie masz wiary, to złaź i umykaj, kiedy chcesz, ale obaczysz zaraz, że nie miałeś się

czego bać. Uradowany woźnica zeskoczył co żywo na ziemię i odprzągł muły. Dozorca lwów głośno w tej chwili przemówił:

– Panowie, biorę was za świadków, że przeciwko woli mojej i gwałtem zmuszony jestem lwy wypuścić, i przestrzegam tego pana raz jeszcze, że wielkie stąd wyniknąć może nieszczęście, i że ja na stratę kosztów jestem narażony; przestrzegam również panów, abyście się schronili, nim klatki otworzę, bo mnie lwy nic nie zrobią.

Szlachcic jeszcze raz próbował odwieść Don Kichota od tak dziwnego zamiaru, mówiąc mu, że Pana Boga się obraża, narażając się na tak wyraźne niebezpieczeństwo; ale Don Kichot mu odpowiedział, że wie, co robi.

– Strzeż się, rycerzu, bo chyba nie wiesz – rzecze mu szlachcic.

– A kiedy ci, mój panie, tak niebezpiecznie – odpowie Don Kichot – to się stąd wynoś.

Sancho widząc, że rady szlachcica nic nie skutkują, chciał sam spróbować, czy nie potrafi odwieść pana i ze łzami w oczach błagał go, żeby zaniechał tego zamiaru, mówiąc mu, że przygody z wiatrakami i z foluszami i wszelkie inne, jakie miał w życiu, w porównaniu z tą były igraszką tylko.

– Pamiętajcie, panie, że tu nie ma ani czarów, ani nic podobnego; mój najdroższy panie, tylko łapę jednego z tych lwów widziałem zza kraty, a po samych pazurach jestem przekonany, że lew ten musi być większy od słonia.

– O! ze strachu to go już zrobisz takim, jak góra – rzecze Don Kichot – idź sobie precz, mój Sancho i nie psuj próżno gęby; pamiętaj tylko, że gdybym tu życie położył, dopełnić powinieneś, czegoś się zobowiązał: pójdziesz do Dulcynei, więcej ci nic nie mówię – i mówił jeszcze dość długo, dając poznać aż nadto, że nic go od zamiaru odwieść nie jest w stanie.

Szlachcic próbował jeszcze, czy nie przekona Don Kichota; ale widząc, że wszelkie usiłowania są nadaremne, oddalił się razem z Sanchem i woźnicą, którzy i piętą, i głosem popędzali wierzchowców co siły; Don Kichot tymczasem wygrażał dozorcy lwów, nie odstępując od swego.

Biedny Sancho płakał z rozpaczy, utyskiwał nad losem pana, którego śmierć w lwich szponach widział niezawodną; przeklinał godzinę, w której wszedł do służby takiego wariata, a opłakując i czas, i nagrody stracone, coraz mocniej poganiał burego; mianowicie, jak tylko obejrzał się za siebie i wóz zobaczył, to go tak straszna drżączka porywała i tak się kręcił na kulbace, podżegając osła do biegu, że zaledwie mógł się na niej utrzymać. Dozorca lwów widząc, że się już kawał oddalili, prosił znów Don Kichota, żeby go nie zmuszał do wypuszczania tak niebezpiecznych zwierząt, ale rycerz nasz tylko się uśmiechnął i kazał mu się śpieszyć.

Kiedy dozorca ze wstrętem i powoli otwiera klatki, Don Kichotowi przyszło na myśl, czy by nie lepiej tę walkę odbyć pieszo, niż na koniu, i zważywszy, że Rosynant przelęknąć się może dzikich tych zwierząt, zeskakuje prędko na ziemię, zastawia się tarczą, dobywa miecz i staje śmiało wprost wozu, oddając się Bogu i pani Dulcynei w opiekę.

W tym miejscu autor historii nie może się powstrzymać od wykrzyku uwielbienia: O dzielny, o waleczny Don Kichocie! – powiada – chwało i zaszczycie Manchy! wzorze najodważniejszych rycerzy błędnych! Jakimiż słowy opowiem czyn tak zadziwiający, jakże potrafię potomnym wiekom dać uwierzyć w rzecz tak do wiary niepodobną i gdzież znajdę pochwały na uwielbienie twojej odwagi? Ty sam jeden pieszo ze słabym mieczem w ręku, lichą zasłonięty tarczą, urągasz dwóm lwom olbrzymim, najstraszniejszym, na jakie kiedy bądź zdobyły się bory Afryki

i pustynie Libii! Własne twe czyny niech będą twoją pochwałą, bohaterze nieporównany! i niech mi posłużą za rękojmię względem potomności tych cudów niesłychanych, o których mam jeszcze rozpowiadać w ciągu tej prawdziwej historii!

Dozorca lwów widząc, że nie ma rady, a nie chcąc ściągnąć na siebie gniewu Don Kichota, który w tak groźnej stanął postawie, otworzył na rozcież klatkę, w której ukazał się lew niezmiernej wielkości, miotający strasznym i dzikim wzrokiem. Przede wszystkim zwierz ten przewrócił się z jednego boku na drugi, potem zaczął się przeciągać, wyprężając łapy i wyciągając pazury; później, roztworzywszy paszczę, ziewnął sobie serdecznie i oblizał się półłokciowym językiem; po tak miłych preludiach wysadził całą głowę z klatki i ognistymi ślepiami dumnie spojrzał wokoło. Don Kichot przypatrywał mu się pilnie i ciągle czekał nań śmiało, pałając chęcią walki i pewnym będąc, że go za pierwszym ruchem w kawałki rozsieka; ale lew, roztropniejszy od naszego bohatera, a może też gardząc nim, popatrzywszy się na wszystkie strony, spokojnie położył się na powrót i tyłem się do niego odwrócił. Widząc to, Don Kichot kazał dozorcy, żeby go kijem drażnił i koniecznie z klatki wyprowadził.

– O, co tego, to za żadne skarby nie zrobię – odpowiedział dozorca – pierwszego by mnie pożarł, gdybym go rozjuszył; ma teraz wolność, może wyjść, więcej pan ode mnie nie żądaj; a powiem panu prawdę, że kiedy teraz nie wyszedł, to i cały dzień nie wyjdzie. Ależ, panie, czyż tego wam jeszcze nie dosyć, czyż aż nadto nie okazaliście odwagi? dziesięciu rycerzy tego by nie dokazało. Czekałeś pan na niego, urągałeś mu, czegóż chcieć więcej? a toć już jest zwyciężony, a przy was zwycięstwo!

– Masz słuszność – rzekł Don Kichot – zamknij klatkę, mój przyjacielu, i daj mi świadectwo formalne o tym, coś widział, to jest,

żeś wypuścił lwa, żem ja czekał na niego, a on wyjść nie chciał. Zrobiłem wszystko, co należało do mnie, więcej się nie obowiązywałem, drwię sobie z czarów i czarowników! niech żyje prawdziwe rycerstwo! możesz więc klatkę zamknąć, a ja pójdę po tych tchórzów naszych, żeby się z twoich ust prawdy dowiedzieli.

Dozorca zamknął klatkę, a Don Kichot założywszy chustkę na włócznię, podniósł ją w górę, kiwając na uciekających, żeby wrócili. Sancho pędził jeszcze cwałem jak i jego towarzysze; ale oglądając się od czasu do czasu, spostrzegł sygnał i zawołał zaraz:

Niech wiszę! pan mój musiał pozabijać te potwory, bo oto nas woła.

Na krzyk ten mulnik się zatrzymał, a szlachcic, który się wysunął naprzód, bo najlepszego miał wierzchowca, zawrócił, a kiedy poznali, że Don Kichot daje im znaki, nieco ze strachu ochłonęli. Kłusem więc biegli na powrót i jadąc słyszeli głos Don Kichota wołającego:

– Bracie – mówił Don Kichot do mulnika – zaprzęgaj muły i jedź sobie z Bogiem, a ty, Sancho, daj dwie sztuki złota tym ludziom za to, że dla mojej miłości w drodze się zatrzymali.

– Z całego serca, z całego serca, dam i więcej – rzecze Sancho, dobywając kieski – ale cóż się stało ze lwami – pytał – żyją, czy nie żyją? Dozorca rozpowiedział wtedy rzecz całą, przesadzając jak mógł odwagę Don Kichota i tchórzostwo lwa przypisując przestrachowi, jakiego doznał.

– A co, Sancho, cóż ty na to? – rzecze Don Kichot, obracając się ku niemu – a co? czy wytrzymają czarownicy przeciw waleczności? mogą mi odjąć zwycięstwo, ale cała ich potęga nie odejmie mi odwagi.

Woźnica zaprzągł muły i pojechał z dozorcą, który zaręczał Don Kichotowi, że wszędzie rozpowie czyn jego niesłychany, a jak na dwór przybędzie, królowi samemu o tym doniesie.

– Jeżeli jego królewska mość zapyta się przypadkiem, kto jest ten waleczny, powiedz mu tylko, że Rycerz Lwi, bo od tej chwili nosić będę to miano, a porzucam dawniejsze Rycerza Posępnego Oblicza, stosownie do zwyczaju dawniejszych rycerzów, którzy zmieniali nazwiska, kiedy im się podobało.

Rozjechali się nareszcie, a Don Kichot, Sancho i Don Diego de Miranda pojechali dalej razem. W ciągu tego czasu Don Diego ciągle miał zwróconą uwagę na naszego rycerza i w najwyższym zostając podziwieniu, nie wiedział, jakie powziąć mniemanie o Don Kichocie, w którym znalazł naraz tyle zdrowego rozsądku, ile dziwactwa. A ponieważ nie czytał jeszcze pierwszej części historii bohatera, nie mógł tego zrozumieć, jak człowiek, który w tak piękny i pełen rozumu wyrażał się sposób, mógł podobne popełniać niedorzeczności. Don Kichot przerwał mu jego dumanie, mówiąc:

– Nie wątpię, zacny mój panie, że dotąd musiałeś mnie brać za jakiegoś śmiałka niespełna rozumu, bo widząc moje czyny, niepodobna jest prawie innego o mnie powziąć wyobrażenia; jednakże nie czuję się w obowiązku uwiadomić cię, panie, że nie jestem takim szaleńcem, za jakiego mnie mogłeś uważać; jeden okazuje swą śmiałość i siłę wobec swojego monarchy, uderzając na zuchwałe byki i silnym razem dzirytu powala je o ziemię; drugi zyskuje sławę w igrzyskach turniejowych, zwalając z koni przeciwników, inny przy damach układnością się odznacza, czy to na balu, czy w gonitwach do pierścienia – słowem, rycerze, co powinni być ozdobą dworu książąt, dobrze czynią, ciągle tymi zabawami w rzemiośle swoim ćwicząc się i wprawiając; ale rycerz błędny szuka sławy rzeczywistszej w puszczach, lasach i górach.

Rycerz błędny, powiadam, równie dobrze czyni, wspomagając biedną wdowę uciśnioną w wiosce swojej, jak układny kawaler dworski, wyprawiając damom festyny w mieście. Niejednakowe, mości Diego, rycerzów jest powołanie: mnie los uczynił rycerzem błędnym, powinienem więc godnie odpowiedzieć swoim obowiązkom. Dlatego to, mości Diego, musiałem stawić czoło tym lwom, chociaż wiedziałem, że to jest zuchwalstwem, ale wolę, żeby mnie oskarżono, że za daleko posuwam dbałość o sławę rycerską, niż żeby mówiono, że ją zaniedbuję. Słysząc, co o innych mówią, wolę, że o mnie to tylko powiedzieć będą mogli, iż jestem odważny aż do zuchwałości.

– Doprawdy, mości rycerzu – rzecze Don Diego – wszystko, co mówisz i robisz, jest godne uwielbienia i jestem pewien, że gdyby ustawy błędnego rycerstwa zaginęły, ty byś je sam wnet przywrócił, bo znasz je lepiej niż wszyscy razem rycerze błędni. Ale już się późno robi, przyśpieszmy kroku, żeby wcześniej stanąć w domu, gdzie korzystać będę z czasu, który mi raczysz poświęcić.

– Poczytuję sobie za zaszczyt uprzejmość twoją, mości Diego – rzekł Don Kichot. I popędzili żwawiej, a około godziny drugiej stanęli w domu Don Diega.

KSIĘGA SZÓSTA

Rozdział I

W którym mowa o tym, co się Don Kichotowi w domu Don Diega przytrafiło

Don Kichot, wchodząc do domu Don Diega, spostrzegł na podwórzu mnóstwo beczek, w Toboso wyrabianych. To mu przypomniało zaczarowaną jego damę; zaczął więc wzdychać, nie zważając, że go kto słyszeć może. „O nieporównana Dulcyneo! – zawołał – kiedyż się skończy twoje prześladowanie?" – W tej chwili nadszedł syn Don Diega, trzymając za rękę señorę Christinę, matkę swoją, która wyszła powitać męża. Don Kichot, jak ją tylko zobaczył, rzucił się na kolana i powitawszy ze zwykłą układnością, prosił ją grzecznie o rękę do ucałowania.

– Żono moja – rzekł Don Diego – to jest jegomość pan Don Kichot z Manchy, najgrzeczniejszy i najwaleczniejszy rycerz błędny w świecie, zasługujący na najuprzejmiejsze przyjęcie i uszanowanie.

Seniora Christina wielu grzecznościami odpowiedziała rycerzowi, a on jej znów z dworskością je powrócił, po czym powitał syna, a obydwaj wiele komplementów sobie naprawili.

Później poprowadzono Don Kichota do sali, gdzie go Sancho ze zbroi rozdziewał; został tedy w spodniach walenckich, kaftanie łosiowym, grubo zatłuszczonym od starego pancerza z kołnierzem parcianym, w butach mauretańskich, nieźle wyglansowanych, a jako największą ozdobę miał na sobie szeroki pas ze skóry wilka morskiego, u którego wisiał miecz doświadczony, a na plecach

króciutki płaszczyk z wietkiego półsukienka. Przede wszystkim umył sobie twarz i głowę, kilka kubłów wody na to spotrzebowawszy, a i tak jeszcze z trudnością rozplątał włosy, pozlepiane serem i mlekiem, które na nich obeschły. Gdy Don Kichot przebierał się, Don Lorenzo, syn Don Diega, rzekł do swojego ojca:

– Co to za jeden ten szlachcic, ojcze, któregoś nam przyprowadził? Dziwimy się niezmiernie z matką jego postawie, obejściu i nazwisku, a więcej jeszcze temu, coś nam powiedział, że jest rycerzem błędnym?

– Doprawdy, synu, nie wiem, co ci mam odpowiedzieć – rzecze Don Diego – jest to człowiek, który mówi bardzo do rzeczy, a robi nie do rzeczy i największe głupstwa popełnia; a że jestem świadkiem ich obydwóch, nie mogę go dobrze wymiarkować, lubo więcej zdaje mi się wariatem niż rozumnym; ale rozmów się sam z nim, a powiesz mi swoje zdanie.

Don Lorenzo poszedł zaraz do Don Kichota i zastał go wychodzącego z sali w opisanym przez nas ubraniu. Gdy rozmawiał o tym i o owym, Don Kichot odezwał się:

– Cieszę się, panie, że jesteś godnym synem pana Don Diega, powiadał mi, że masz wiele dowcipu, a nade wszystko, że jesteś wielkim poetą.

– Poetą, być może – odpowie Don Lorenzo – ale do wielkiego poety bardzo mi daleko. Lubię czytać poezję, lubię ją po trosze uprawiać, ale nic więcej, i ojciec mój, panie, mówiąc to, żartował sobie ze mnie.

– Widząc taką skromność – odpowie Don Kichot – jeszcze wyższego o panu nabieram rozumienia, bo rzadko o poetę, który by nie był zarozumiały i nie miał się za najpierwszego w swojej sztuce; ale powiedz mi pan, proszę, co to za wiersze przysłano ci

do wykładu, o których mi ojciec mówił, że ci nieco trudności sprawiają. Jeżeli to glosa, to ja się znam na tym trochę i rad bym usłyszeć owe wiersze, jeżeli mi je przeczytać raczysz.

– Zdaje mi się, panie – rzecze Lorenzo – żeś musiał odbywać nauki, powiedz mi przeto z łaski swojej, do jakiej przykładaliście się szczególniej.

– Do nauki rycerstwa błędnego – odpowie Don Kichot – która więcej warta niż poezja, choćby ją kto w najwyższym stopniu posiadał.

– Przyznam wam się – rzecze Lorenzo – że nie znam wcale tej nauki i nigdym o niej nie słyszał.

– Jest to nauka – odpowie Don Kichot – obejmująca w sobie wszystkie nauki, jakie są w świecie; kto się jej poświęca, musi być prawnikiem i znać zasady sprawiedliwości dystrybucyjnej i komentacyjnej, aby każdemu oddać, co mu się należy; musi być teologiem, aby umieć zdać sprawę z wiary swojej, kiedy go o to zaczepią; musi się znać na medycynie i własnościach ziół, bo w górach, lasach i pustyniach nie znajdzie ludzi, co by mu rany opatrywali. Jeżeli nie jest biegłym w astrologii i nie zna się na gwiazdach, jakże się dowie w nocy, która jest godzina, w jakiej części świata się znajduje i w jakim klimacie? Jeżeli nieświadom jest matematyki i fortyfikacji, nie zna rzeczy najpotrzebniejszych w jego powołaniu, słowem, musi posiadać wszystkie cnoty teologiczne i kardynalne, a idąc do dalszych szczegółów, musi umieć konia okuć, siodło i uzdę naprawić, pływać, skakać, dobrze konia zażywać, tańczyć, bronią robić, zgoła umieć to wszystko, co zacnemu kawalerowi przystoi i przyjemnym go czyni. Przede wszystkim musi być wiernym Bogu i damie swojej, nieskazitelnie czystym w myślach, uczciwym w słowach, hojnym, wspaniałomyślnym, mężnym, niezmordowanym w pracach, wytrwałym

w przeciwnościach, zawsze litościwym i gotowym do usługi drugim, a prawdę utrzymującym wszędzie i zawsze, choćby ze stratą życia własnego.

Te są, mości Lorenzo, przymioty niezbędne dla każdego rycerza błędnego, zważ więc teraz, co to za wielka nauka i czy która inna może się z nią równać?

– Jeżeli tak jest, panie – rzecze Lorenzo – to zapewne nauka ta nieskończenie inne przewyższa.

– Jak to! jeżeli tak jest? – wykrzyknie Don Kichot.

– Chcę przez to wyrazić – odrzecze Lorenzo – iż trudno mi wierzyć, aby kiedykolwiek bądź byli na świecie, a tym bardziej teraz, rycerze tak doskonali.

– Otóż to właśnie – zawoła Don Kichot – tak mówią prawie wszyscy ludzie i widzę, że cudu chyba potrzeba, ażeby ich przekonać, że byli rycerze błędni i że są jeszcze. Nie będę teraz czasu tracił, ażeby cię z błędu, który z tylu innymi podzielasz, wyprowadzać, ale to mogę ci uczynić, iż do nieba gorąco modlić się będę, aby cię oświeciło i dało poznać, jak potrzebnymi w wiekach dawnych byli rycerze i jakby użytecznymi dziś jeszcze byli. Ale dziś za grzechy świata górują w triumfie miękkość, próżnowanie, lenistwo i wiele innych występków.

Gdy Don Kichot tak perorował, Don Lorenzo badał go pilnie i doszedł do tego przekonania, że prócz bzika zabawnego, który cierpi do błędnego rycerstwa, jest to zresztą człowiek wcale rozumny i przyzwoity. Poproszono ich na obiad. Don Diego, wziąwszy syna na stronę, pytał go, co myśli o naszym rycerzu.

– Widzę – odpowiedział – że wszyscy lekarze na świecie nie potrafiliby go uzdrowić; jest on bez ratunku, jest wariatem, ale nader przyjemnym i miewa chwile bardzo zdrowe.

Zasiedli do stołu i smacznie obiadowali. Don Kichot niezmiernie sobie podobał i nachwalić się nie mógł tej ciszy i spokojności w całym domu panującej, którą sam w sobie porównywał do klasztornej. Jak tylko od stołu wstali, Don Kichot usilnie prosił Don Lorenza, ażeby mu pokazał wiersze, o których mu mówił.

– Nie należę ja do liczby tych, panie – rzecze Lorenzo – co lubią się z utworami swymi popisywać, a udają skromnych i wzdragają się, ażeby ich więcej proszono i nalegano. Chętnie panu przeczytam glosę moją, którą napisałem raczej dla wprawy niż dla jakiego bądź zaszczytu, zobowiążesz mnie pan, gdy powiesz swe zdanie bez żadnej ogródki.

– Jeden z przyjaciół moich, człowiek bardzo rozumny – rzecze Don Kichot – mówił mi kiedyś, że nikomu by nie radził pisać glos, bo to rodzaj trudny, przykry i niewdzięczny; nigdy glosa dokładnie z tekstem się nie zgadza, odbiega często od przedmiotu, a prawidła jej tak są surowe, że nie dozwalają ani zapytań, ani zmiany treści, ani tysiąca rzeczy, dozwolonych w innej poezji.

– Doprawdy, mości Don Kichocie – odpowie Don Lorenzo – dowiaduję się od ciebie wielu rzeczy, które mało komu są znane, wyznaję, żem się tego nie spodziewał, myślałem, że znajdę słabą twoją stronę; zawsze mi się wymykasz wtedy właśnie, kiedym cię najmocniej podchwycić pragnął.

– Jak to wymykam się? nie rozumiem tego – zagadnie Don Kichot.

– Później się lepiej wytłumaczę – rzecze Lorenzo – teraz posłuchaj mojej glosy:

Gdy, co było, znów powróci,
Wtedy zrzeknę się nadziei,
Albo, że czas już nadchodzi,
Tego, co się potem stanie.

A to jest glosa, którą napisałem:
Gdy wszystko mija na świecie,
Minął czas, gdy los łaskawy
Słał mi darów twoich kwiecie;
Zwiądł zielony liść mej sławy,
W sercu goszczą smutku mary.
Gdy los koło swe odwróci,
Dusza moja się zasmuci,
Lecz odżyję wnet z zapałem,
Po stuleciu nawet całem,
Gdy, co było, znów powróci.

Nie pragnę sławy, uciechy,
Ani triumfu innego,
Niech mi tylko los pociechy
Nie odbiera i snu tego,
Strojnego w złote uśmiechy!
Jeśli więc fortuny wola
Da mi dożyć tej kolei,
Wtedy zgaśnie ogień duszy
Gorejący śród katuszy,
Wtedy zrzeknę się nadziei.

Niepodobieństw żądam tyle!
Bo czas nigdy nie powrócił
Ani jedną szczęścia chwilę,
Którą już pierwej zarzucił
W ciemnej przeszłości mogile;
Czas, jak ptak, skrzydła rozwodzi,
On skrzydlaty już się rodzi,

I ten w sądzie prawdę minął,
Kto myśli, że czas upłynął,
Albo że czas już nadchodzi.

Tak żyć pośród niepokoju,
Między nadzieją i trwogą,
To lepiej polec w tym boju,
Marząc duszy przyszłość błogą,
Śród krwi płynącego zdroju.
Kto raz skona, już nie wstanie,
Więc zakończyć pragnę życie,
Lecz obawa mnie wstrzymuje
Że mój duch nie przewiduje
Tego co się potem stanie.

Gdy Don Lorenzo skończył czytać glosę, Don Kichot zerwał się żywo na nogi i ściskając go za rękę, zawołał z uniesieniem:

– Ach, panie! na Boga ci przysięgam, że jesteś najlepszym poetą, jakiego tylko znałem, godzien jesteś wieńca nie tylko w Cyprze i Gaecie, jak mówi poeta, ale we wszystkich akademiach ateńskich, gdyby jeszcze istniały, i w najpierwszych dzisiejszych, w paryskiej, bolońskiej i salamanckiej. Niechaj Febus strzałami swymi przeszyje sędziów, co ci pierwszego wieńca odmówią! Niechaj muzy na zawsze o nich zapomną.

Don Kichot prosił jeszcze Lorenza, ażeby mu przeczytał jaki swój utwór, więc poeta nie dał się długo prosić, tak go cieszyły pochwały, chociaż to były pochwały wariata.

Rycerz nasz przez cztery dni gościł u Don Diega, ciągle z wielką podejmowany uprzejmością; żegnając się, nie miał dość słów na podziękowanie za tyle grzeczności, zaręczał, że nie prędko rad by dom ten opuścić, gdyby rycerzowi błędnemu przystało tak

oddawać się przyjemnościom, oświadczył, że jedzie szukać przygód w tych stronach dla ułożenia sobie ręki przed rycerskimi igrzyskami w Saragossie i że ma zamiar zacząć od jaskini Montesinos, o której tyle cudów rozprawiają, i chce zobaczyć, gdzie bierze początek owe siedem jezior, zwanych niegdyś Ruidera. Don Diego razem z synem pochwalili ten zamiar, ofiarując mu wszelkie usługi w dowód poszanowania jego waleczności i zawodu, po czym uściskali się i rozstali.

Rozdział II

Który opisuje, przygodę zakochanego pasterza i wiele innych rzeczy

Ujechawszy kawałek drogi od domu Don Diega, Don Kichot spotkał czterech ludzi na osłach, z których dwóch zdawało się studentami, a dwóch innych wieśniakami. Jeden z dwóch pierwszych miał przy sobie tłumoczek z ubraniem zapewne, a drugi przed sobą dwa florety i parę kamaszy; wieśniacy zaś wieźli do wsi żywność, którą widocznie zakupili w mieście. Ludzie ci, również jak i wszyscy, co pierwszy raz widzieli Don Kichota, zdumieli się na widok tej dziwacznej figury i niecierpliwie dowiedzieć się pragnęli, co on jest za jeden. Rycerz ich pozdrowił, a dowiedziawszy się, że jadą w te same strony, oświadczył im, że byłoby mu bardzo przyjemnie razem podróżować i prosił przy tym, aby zwolnili nieco kroku, gdyż koń jego nie mógł za osłami wydążyć. Opowiedział im pokrótce, że jest rycerzem błędnym, że po całym świecie szuka przygód, że w kraju swoim nazywał się Don Kichotem z Manchy, a od niedawna przezwał się Rycerzem Lwim.

Chłopi słuchali tego wszystkiego, jak niemieckiego kazania, ale studenci, rozumiejąc więcej, poznali, że pan rycerz ma ćwieczka

w głowie; mimo to nie przestali mu świadczyć uszanowania i czci, może dla wieku jego i postawy dumnej a skromnej.

– Mości rycerzu – odezwał się jeden z nich – jeżeli nie masz w swej podróży celu stałego, zechciej jechać z nami na wesele, któremu równego we wspaniałości zapewne nigdy nie widziała Mancha.

– A cóż to, czy książę jaki się żeni, że takiego wesela się spodziewacie?

– Bynajmniej – odpowiedział student – jest to wesele najbogatszego w całej okolicy wieśniaka i wieśniaczki, pięknej jak mało; odbędzie się we wsi, gdzie mieszka narzeczona, którą zowią piękną Kiterią. Pan młody nazywa się Gamasz, bogaty, ma lat około dwudziestu dwóch, ona zaś najwyżej osiemnaście. Słowem, pasują do siebie jak ulał, chociaż powiadają, że ród Kiterii jest daleko starszy od rodu Gamasza, ale kto by tam na to uważał, pieniądze wszystkiemu poradzą. Gamasz jest chłopak dzielny i hojny, chce mieć wesele sute i całą łąkę, na której odprawiać się będzie, postanowił pokryć szałasem, ażeby słońce nie dochodziło. Będą tam wszystkie zabawy, będą grać w balona, biegać do mety, tańczyć z kastanietami i bębnami, bo w tej wsi są doskonali tancerze. Będzie ochoty po uszy, ale najdziwniejsze rzeczy to pewno będzie wyrabiał Bazyli.

– Cóż to za Bazyli? – zapytał Don Kichot.

– Bazyli – odpowiedział student – jest to pasterz z tej samej wsi, co Kiteria, sąsiadujący z jej ojcem. Kochali się od małego, a jak podrośli, ojciec Kiterii dał mu małą odprawę, bo nie był dość bogaty i postanowił wydać córkę za Gamasza, który jest daleko majętniejszy, ale zresztą ani się umywał do tamtego, bo Bazyli to najpiękniejszy i najdowcipniejszy chłopak z całej okolicy. Przesadza wszystkich w gonitwach, w szermierkach, w rzucaniu do celu

i wszelkich innych zabawach; gra cudownie na gitarze, śpiewa i tańczy tak samo, a bronią robi jak pierwszy fechtmistrz.

– Gdyby ten jeden tylko posiadał przymiot – rzecze Don Kichot – już byłby godzien zostać mężem nie tylko pięknej Kiterii, ale nawet królowej Ginewry, pomimo gniewu Lancelota i wszystkich, co by mu się sprzeciwiali.

– Jakem poczciw, i ja jestem tego zdania – odezwie się Sancho, który dotąd nic nie mówił – i moja żona jest tego zdania, ażeby równy brał sobie równą, bo to przysłowie mówi: wilk z wilczycą, kozioł z koźlicą, to się ma znaczyć, że mój przyjaciel Bazyli, bo go już kocham, ożeni się z piękną Kiterią. Niech im Bóg błogosławi w najdłuższe lata, a gniew swój spuści na tych, co kochankom żenić się wzbraniają!

– Gdyby tylko ci, co się kochają, mieli się żenić – rzecze Don Kichot – to w cóż by poszła władza i powaga ojców? Dziwne by to było, gdyby dzieci według swego widzimisię małżonków sobie wybierały; nieraz by wtedy córka szła za sługę ojca, albo za pierwszego lepszego oszusta i łotrzyka, co by jej wpadł w oko, bo miłość łatwo zaślepia i nie zostawia człowiekowi dosyć rozumu na wybór rozsądny. A rozumiesz przecież, mój poczciwy Sancho, że w żadnej przygodzie życia rozum nie jest tyle potrzebny, jak kiedy idzie o małżeństwo, bo żona to nie towar, który zbyć można kiedy się podoba, to towarzyszka całego życia, wspólniczka całej doli, cząsteczka nierozłącznie związana z całą istotą żywota, węzeł gordyjski, którego nic nie rozetnie, chyba dopiero nóż twardy Parki. Powiedziałbym ci, moje dziecko, więcej w tym przedmiocie, ale pan licencjat pewno ma nam więcej jeszcze co do powiedzenia o Bazylim.

– Tyle tylko mogę jeszcze powiedzieć w tym względzie – odezwie się bakałarz (używając wyrażenia grzecznego, jak Don Kichot) –

że Bazyli, jak tylko się dowiedział, że Kiteria idzie za Gamasza, wpadł w tak wielką melancholię, że prawie zupełnie rozum postradał. Od tego czasu nie śmieje się nigdy, mówi od rzeczy, ani je, ani pije, tylko same owoce i wodę czystą, a jeżeli zaśnie, co bardzo rzadko się zdarza, to zawsze pod gołym niebem, wśród pól, na twardej ziemi, jak zwierz dziki. Często wznosi oczy do nieba, a potem w ziemię je wlepia tak nieruchomo, jak gdyby był z kamienia. Koniec końców, biedny chłopak w tak strasznym jest stanie, że wszyscy, co go znamy, pewni prawie jesteśmy, że padnie trupem na miejscu, gdy Kiteria odda rękę Gamaszowi.

– Bóg tego nie dopuści – odezwie się Sancho – bo gdy złe jakie dopuszcza, to zaraz daje i ulżenie na utrapienie. Któż wie, co się jeszcze stać może? Zaprawdę, nikt nie zgadnie, co przypadnie. Niemało jeszcze godzin mamy od dziś do jutra, sporo wody upłynie, a dość jednej chwili na obalenie domu, który lat wiele budowano komu. Ileż to razy i deszcz pada i słońce świeci razem? Dziś legniesz na noc zdrowy, a jutro trup z ciebie gotowy. I któż się pochwali, że choć jeden gwoździk wbił w koło fortuny? jak się znajdzie, dam kruka białego. Między kobiece tak a nie nie podjąłbyś się wścibić koniuszczka igły najcieńszej. Na koniec niechże mi kto poradzi, ażeby się Kiteria całym sercem w Bazylim zakochała. Dam mu cały worek błogosławieństwa, bo to słyszałem ja nieraz, że miłość patrzy przez takie okulary, co miedź na złoto, a orzechy na perły zamieniają.

– Gdzieżeś ty się zapędził, Sancho – przerwie mu Don Kichot – przeklęcie długi masz ozór; jak zaczniesz klepać jedne za drugimi te przysłowia i gadki, to by cię już i papież nie wstrzymał, a bodaj cię już raz wyklął; powiedzże mi, ośle, co to jest koło fortuny i te inne rzeczy, coś je tu ponabijał, że koniecznie wyrywasz się o nich ze swoim zdaniem?

– Gdyby mnie nie rozumiano, wielmożny panie, nic by nie było dziwnego, ażebym wtedy uchodził za głupca, ale mniejsza o to, Pan Bóg mnie rozumie i ja siebie rozumiem i wiem, żem nic złego nie powiedział, ale wasza wielmożność lubi mnie zawsze przeładować i słowa moje i uczynki okręcać.

– Powiedzże prześladować, przekręcać, gamoniu nieznośny! rozbójniku porządnej mowy – zawoła Don Kichot – a bodaj ci się język na całe życie skręcił!

– Ech, do stu piorunów! czego pan chce ode mnie, czego mi pan tak złorzeczy? przecież pan wie, że mnie nie wychuchali przy dworze, ani filozofią nie karmili, żebym tam wiedział, jak gadać. Któż, u diabła, wyuczy ludzi z Sajago tak samo gadać, jak elegantów z Toledo, a zresztą, dalipan, i w Toledo niemało takich, co gadają, jak ich Pan Bóg nauczył.

– Ma cokolwiek słuszności – rzecze uczony bakałarz – ludzie pracujący w garbarniach, co się krokiem nie ruszają z Zocodover, nie mogą tak czysto mówić, jak ci, co po całych dniach przechadzają się po wspaniałych krużgankach; a jednakże i ci z Toledo pochodzą. Dworzanie tylko i to najwykwintniejsi, mają wymowę wytworną i poprawną. Co do mnie, panowie, spędziłem jakiś czas na naukach w Salamance i chlubię się tym, że wyrażam się pięknie.

– Gdybyś był większej chluby nie szukał we floretach – rzecze drugi student – to byłbyś wziął pierwszą nagrodę za wymowę, a tak byłeś w niej ostatni.

– Słuchaj, bakałarzu – odpowie licencjat – w grubym jesteś błędzie, jeżeli myślisz, że nauka dobrego fechtowania się jest niepotrzebna.

– Nie jest to przywidzenie moje – mówił Corchuelo (takie miał bakałarz imię) – ale prawda niezawodna i łatwa do dowiedzenia. A jeżeli chcesz, gotowym to uczynić. Pora ku temu sposobna: masz

tu dwie szpady, a ja mam siły i odwagi dosyć, żeby ci pokazać, że się nie mylę. Zsiądź tylko z osła, popisuj się ze wszystkimi sztukami szermierskimi, a jeżeli ja prostą zręcznością tak ci za skórę nie zalezę, że aż ci świeczki w oczach staną, to pozwalam sobie dać pusliskami oprawę. Jak mnie tu widzisz nieuczonego, wyzywam wszystkich a wszystkich, niech mnie kto krokiem z miejsca ruszy, a ja podejmuję się każdego z placu wysadzić.

– Krokiem się nie ruszyć niewielka sztuka – odpowie licencjat – wcale ci nie przeczę, ale łatwo by też zdarzyć się mogło, że już byś i nogą nie ruszył z tego miejsca, na którym stałeś, to jest, że nie umiejąc reguł, nieuctwo przypłaciłbyś życiem.

– Zaraz się o tym przekonamy – odparł Corchuelo – i zeskoczywszy żwawo z osła, porwał ze złością jeden z floretów, które niósł licencjat, i stanął w bojowej postawie.

– A zaprawdę, to się tak skończyć nie może – rzecze Don Kichot – trzeba rzeczy robić porządnie, a ja będę sędzią w kwestii tak długo rozbieranej, a dotąd nie rozstrzygniętej.

I zsiadł zaraz z konia, a wziąwszy włócznię, stanął na środku drogi, gdy licencjat szedł już swobodnie przeciw Corchuelowi, który nacierał na niego z wściekłością, a oczy mu się jak rozżarzone węgle świeciły. Wieśniacy z Sanchem usunęli się na stronę i nie zsiadając z osłów, przyglądali się walce. Zaciekły Corchuelo zadawał ciosy za ciosami, to wprost, to z boku, to spod ręki; nacierał jak lew, sypał pchnięcia gradem. Licencjat zaś z zimną krwią je odbijał i od czasu do czasu dawał mu koniec floretu do pocałowania. Poobcinał mu wszystkie guziki u sukni, całą mu ją podarł w kawałki, sam ani jednego nie otrzymawszy razu. Dwa razy kapelusz mu zrzucił i tak go zmordował, że nareszcie z wściekłością odrzucił od siebie floret na jakie kroków pięćdziesiąt, chłopi to później zaświadczyli; a z tego pokazuje się, że wprawa i przemysł daleko są wyższe od siły.

Po tym rozpaczliwym ruchu Corchuelo, znużony i znękany, stał jak posąg nieporuszenie, a Sancho, zbliżywszy się do niego, rzekł:

– Na uczciwość, panie bakałarzu, jeżeli posłuchasz mojej rady, to na przyszłość nie będziesz nikogo wyzywał na fechtunek, ale na rzucanie drągiem do celu, albo na barowanie się, bo do tego macie dużo siły. Już to z tymi fechtmistrzami ciężka sprawa: słyszałem nieraz, że jak chcą, to koniec szpady wetkną w ucho od igły.

– Poddaję się – rzecze Corchuelo – i nie gniewam się, że doświadczenie wyprowadziło mnie z błędu – ucałował zarazem licencjata i zostali większymi jeszcze przyjaciółmi, niż byli.

Potem ruszyli, popędzając wierzchowce, żeby stanąć wcześniej we wsi Kiterii, skąd wszyscy pochodzili. W drodze licencjat miał długą mowę o doskonałości sztuki fechtunkowej i dowodził pożytków jej tylu figurami i wywodami matematycznymi, że wszystkich jak najzupełniej przekonał, a Corchuela bardziej, niż innych. Ciemno już bardzo się zrobiło gdy przybyli do wioski, ale tak była ona oświetlona, że z daleka nawet ciemność nocy przed łuną niknęła. Słyszeli także zmieszany, ale przyjemny dźwięk rozmaitych instrumentów: fletów, obojów, tamburynów, piszczałek i dzwonków. Wjeżdżając do wsi, ujrzeli drzewa wszystkie pozawieszane mnóstwem świateł, które śliczny przedstawiały widok, bo wiatru najmniejszego nie było. Grajkowie, we wszystkich kierunkach porozrzucani gromadkami, jedni tańcząc, drudzy przygrywając na kobzach i fujarkach, zabawiali liczne zgromadzenie. Cała łąka istotnie przedstawiała widownię wesołości i rozkoszy. W rozmaitych miejscach ludzie pracowali nad budową wystaw dla widzów w dzień obchodu weselnego Gamasza, który miał nastąpić jutro i, o ile się zdawało, odbyć razem z pogrzebem posępnego Bazyla.

Don Kichot żadną miarą nie chciał wjechać do wsi, pomimo usilnych próśb bakałarza i wieśniaków, oraz błagań Sancha. Wzbraniał się, zmawiając na dawny zwyczaj rycerzów błędnych, którzy pod gołym niebem i w lasach noce spędzać woleli, niż na złocistych wezgłowiach. Zjechał w bok wsi, jakby na przekór biednemu giermkowi, który żałośnie wspominał uczciwy dom i piękne przyjęcie Don Diega.

Rozdział III

Który opisuje wesele Gamasza i co się stało z Bazylim

Zaledwie piękna jutrzenka ukazała się na horyzoncie, gdy słońce Manchy, niezrównany Don Kichot, zawzięty wróg lenistwa, zerwał się na nogi i zawołał giermka; widząc wszakże, że twardym snem zdjęty, przemówił do niego w te słowa:

– O istoto najszczęśliwsza ze wszystkich na powierzchni ziemi żyjących! ty nikomu niczego nie zazdrościsz i nawzajem nikt tobie nie zazdrości, w objęciach snu błogiego używasz spokoju, czarownicy cię nie kłopoczą, bo cię nie prześladują. Ty śpisz, bo cię żadna namiętność nie budzi, a nie znasz, co to zazdrość, nie wiesz, co długi i troski o jutro. Ambicja nie postała w twym sercu, ani w całej rodzinie; nie dbasz o próżności i blaski świata, a życzenia twoje, zamknięte w ciasnych granicach, nie unoszą cię po za obręb rzeczy koniecznych do życia. Najwięcej cię obchodzi twój bury wierzchowiec; o własnej osobie nie myślisz, bo staranie o niej do mnie należy, natura i zwyczaj włożyły ten obowiązek na wszystkich, którzy mają służących. Sługa śpi spokojnie, kiedy pan jego czuwa i trudzi się, żeby go wyżywił i nagrodził. Kiedy niebo odmówi rosy użyźniającej ziemię, kiedy pola nie urodzą, sługi żadnego stąd nie ponoszą uszczerbku ani smutku; panowie

tylko się biedzą, aby dostarczyć żywności tym, co ich obsługują tak w czasie głodu, jak i największej obfitości.

Sancho, śpiąc smacznie i chrapiąc potężnie, ani słowa nie odpowiadał na całą tę mowę i nieprędko jeszcze byłby się obudził, gdyby go Don Kichot włócznią kilka razy nie był potrącił. Otworzywszy nareszcie oczy i powlókłszy nimi powolnie na wszystkie strony, rzekł:

– Zdaje mi się, że mnie zalatuje od tego szałasu woń piękniejsza od cząbru i macierzanki. Ach! jakże to ślicznie pachnie! jakem poczciw, to pieczeń duszona! O, założyłbym się, że suto będzie na tym weselisku.

– Ruszajże się, żarłoku, ruszaj prędzej – rzekł Don Kichot – pojedziemy na to wesele, które ci tak w głowę wlazło, żeby zobaczyć, co zrobi posępny Bazyli.

– Niechaj sobie robi, co chce – odpowie Sancho – kiedy biedny, to po co mu się zachciewa na żonę Kiterii? Także wybrał się, jeszcze czego? szybki z okna? Ja powiadam, panie, że kto biedny, to niech siedzi w swojej chałupie, niech się nie pcha do bogatych. Głowę stawiłbym, choć to tylko wariaty o takie rzeczy się zakładają, że Gamasz zakryłby go całego dukatami; a w takim stanie rzeczy czyżbyś pan radził Kiterii porzucać pierścienie i suknie, które jej Gamasz dać może? Cóż tam z tego, że on taki zgrabny do tańca ten Bazyli: to się na diabła zdało, nie dostanie za to ani kieliszka wina w szynku. Miej ty minę od stu diabłów i zwinności za dziesięciu, jeszcze ci nikt złamanego gronia nie da. Da, ale jeżeli zręczny do pieniędzy, o! to znów co innego: za pieniądze wszystkiego dostanie; kupisz sobie rent, dom wybudujesz i żyjesz sobie, jak pan.

– Ech, do stu piorunów, Sancho, kiedyż u licha skończysz swoje gadanie! a że też zawsze trzeba ci to przypominać! Jak się

rozpaplesz, to byś już nawet i o jedzeniu zapomniał, żeby ci tylko dać gadać.

– Żebyście mieli pamięć lepszą, panie, to byście sobie przypomnieli, że przed ostatnią wyprawą stanęła między nami ugoda, iż wolno mi będzie gadać, ile mi się tylko podoba, bylebym źle nie mówił przeciw bliźniemu, ani też niczemu, co do was należy; a teraz, panie, wy łamiecie nasz kontrakt.

– Wcale tego nie pamiętam – odpowie Don Kichot – a choćby i tak było, to każę ci milczeć, rozumiesz? Dalej, spiesz się, słychać już zewsząd muzykę; wesele pewno odprawią rano przed upałem. Sancho, prędko osiodłał Rosynanta, włożył kulbakę na burego i pojechali stępa ku szałasowi.

Gdy wjeżdżali, najpierwszą rzeczą, która uderzyła Sancha, a która go niezmiernie ucieszyła, był wół potężny, nasadzony na rożen, z całego wiązu uciosany. Ogromny stos ognia, przy którym miał się piec, otaczało sześć wielkich garnków, albo raczej kotłów, każdy mogący objąć całego barana. Wysokie kupy kapłonów, gęsi i kur leżały przygotowane, ażeby się dostać do tych garów; niezliczona ilość ptactwa, tak dziczyzny, jak i drobiu, rozwieszona była na drzewach od wczorajszego jeszcze wieczora, aby skruszały na świeżym powietrzu.

Sancho naliczył więcej niż sześćdziesiąt wielkich naczyń z winem, z których każde najmniej dziesięć garncy mieściło. Leżały tam także wielkie stosy krajanek chleba białego, podobne do stosów kamieni przy kopalniach; z drugiej znów strony sery na kupy zsypane, jak gdyby szańce fortyfikacyjne, a Sancho z tego powodu mówił, że nigdy w życiu nie widział twierdzy lepiej zaopatrzonej, ani godniejszej zdobycia.

Tuż obok dwa kotły z oliwą i szmalcem służyły do roboty pączków i innych ciast, a cukier brano tam wielkimi patelniami

ze skrzyń nim napełnionych. Więcej niż pięćdziesięciu kucharzy i kucharek z radością w oczach pracowało żwawo i pilnie. We wnętrze ogromnego wołu włożono zamiast farszu tuzin prosiaków dla dodania mu lepszego smaku. Korzeni nie zawijano tam w papierowe tutki, ale była ich pełna skrzynia. Słowem, przygotowania do wesela, jakkolwiek wiejskiego, były co się nazywa wspaniale i na uczęstowanie przynajmniej czterech wsi wystarczające. Sancho przyglądał się wszystkiemu z uwielbieniem; wszystko głaskało go po sercu; zachwycony nowością tego wspaniałego widoku, uśmiechał się co chwila i szerokim językiem obosiecznie się oblizywał.

Najprzód garnki oskomy mu narobiły; z całej duszy byłby się podjął zbierać z nich szumowiny, potem naczynia z winem do serca mu przemówiły, a ciastka i zapach pączków rozrzewniły go do reszty. Nie mogąc oprzeć się pokusie, nadskakująco zbliżył się do jednego z kucharzy i zaczął z nim rozmowę w sposób nadzwyczaj uprzejmy, z którego dobry apetyt jawnie przebijał, i prosił go, żeby mu pozwolił kromeczkę chleba umaczać w garnku.

– O, mój miły bracie – odpowiedział kucharz – dzięki hojności bogatego Gamasza, dziś dzień nie postny; chodź śmiało i poszukaj, czy tam gdzie nie ma jakiej warząchwi, to sobie zszumujesz ze dwa albo trzy kuraki i niech ci będą na zdrowie! marnego słowa nikt ci za to nie rzeknie.

– Nie widzę tu nigdzie warząchwi – rzekł Sancho, wzdychając.

– O, wielkie nieszczęście – odpowie kucharz – jakiż z ciebie niedołęga, nie umiesz sobie poradzić.

I wziąwszy natychmiast świeżutką patelnię, zanurzył ją w garnek i wyciągnął za jednym zamachem kurę i gęś, którą dał Sanchowi.

– Masz, mój kochany – rzekł mu – zjedz sobie na śniadanie te szumowiny, nim się obiadu doczekasz.

– Bardzo dziękuję – rzekł Sancho – ale doprawdy nie wiem, gdzie ja to włożę?

– Biednyś ty, mój bracie, a to dopiero kłopot – odpowie kucharz – weź sobie i mięso i patelnię, a nie turbuj się.

Don Kichot, zupełnie czym innym zajęty, przyglądał się dwunastu dorodnym mołojcom w świątecznych ubiorach, jak wjeżdżali na łąkę na pięknych klaczach z napierśnikami w dzwonki strojnymi. Jak tylko wjechali, obiegli kilka razy łąkę, zręcznie tocząc końmi i wykrzykując razem: „Niech żyje Kiteria i Gamasz, on bogaty, ona ładna, w świecie najładniejsza".

– Głupie bałwany! – rzekł do siebie rozgniewany – widać, żeście nigdy nie oglądali oblicza Dulcynei; nie wychwalalibyście tak Kiterii.

Po chwili z rozmaitych stron wchodzić zaczęło do szałasu mnóstwo tancerzy, między którymi znajdowało się dwudziestu czterech dorodnych pasterzy, w białe, z cieniutkiego płótna odzienie przybranych, z zawojami z różnobarwnej gazy jedwabnej na głowach, uwieńczonych liściem wawrzynowym i dębowym, ze szpadami w rękach. Jak tylko się ukazali, jeden z jezdnych zapytał się przewodniczącego im, młodziana bardzo urodziwego, czy żaden z tancerzy nie jest raniony.

– Dotąd żaden – odpowiedział – wszyscyśmy, Bogu dzięki, zdrowi i cudów dokazywać gotowi.

I rzekłszy to, zaraz się wmieszał między towarzyszów i fechtując się to z jednym, to z drugim, tyle cudów zręczności dokazywał, że Don Kichot, przywykły do podobnych ćwiczeń, wyznał głośno, że nigdy nic piękniejszego nie widział. Inny taniec nie mniej go zadziwił: kilkanaście dziewcząt pięknych, po szesnaście lat najwyżej mających, wysunęło się w pląsy; wszystkie miały na sobie suknie zielone, połowę włosów we wstążki ujętą, a druga połowa wisiała

rozwiana aż do ziemi; na głowach jaśniały wieńce z jaśminu, róż i kapryfolium. Ta piękna trupa, pod wodzą sędziwego starca i matrony nad wiek swój wesołych, przetańczyła taniec mauretański przy muzyce kobzy i oboju z taką zręcznością i lekkością, że można by ją wziąć za najzręczniejszą w świecie bajaderkę. Potem nastąpił taniec bardzo dowcipnie i sztucznie ułożony, z rodzaju tych tańców, co to je mówiącymi nazywają. Składało go osiem nimf rozdzielonych na dwie gromadki, z której pierwszej przewodził Kupidyn, a drugiej Bogactwo; Kupidyn miał sajdaki, łuk i strzały złociste, a Bogactwo miało na sobie szatę wspaniałą z różnobarwnej materii jedwabnej, złotem tkanej. Nimfom, za Miłością idącym, powiewały z ramion wstęgi, znamionujące każdej znaczenie: pierwsza była Poezja, druga Mądrość, trzecia Świetna Rodowitość, czwarta Odwaga. Takież znamiona odróżniały i nimfy pod wodzą Bogactwa: jedna nazywała się Hojnością, druga Darami, trzecia Skarbem, a czwarta Spokojnym Mieniem. Na przodzie tej trupy widać było zamek, ciągniony przez czterech dzikich ludzi, bluszczem okrytych, z powykrzywianymi, ale tak naturalnymi maskami, że Sanchowi wielkiego strachu napędziły. Na froncie zamku napisane było: Zamek Roztropności. Kupidyn rozpoczął taniec przy dźwięku tamburyna i dwóch fletów; po kilku przedwstępnych skokach zwrócił oczy na zamek, a naciągając strzałę na łuk, chciał niby to wypuścić ją na młodą dziewicę, wyzierającą spoza zębatych murów i przemówił do niej w te słowa:

Jestem potężnym bogiem tak wód, jak i lądów,
Pod moim panowaniem wszystkie świata kraje,
Nie ma na kuli ziemskiej granic moich rządów,
Nawet niebo i piekło prawa me uznaje.
Próżny opór! Kto ze mną walczy, sam się zdradza,
Wszystko umiem pokonać, zawsze wygram sprawę,

Jednak tym, których zwalczę, niewidzialna władza
Często niesie zaszczyty i laury i sławę.

Skończywszy mówić, Kupidyn puścił strzałę ponad zamkiem i wrócił na dawne miejsce. Bogactwo wysunęło się w tej chwili w podskokach i patrząc na piękną dziewicę w zamku, tak się odezwało:

Większa niżeli miłość mych powabów siła,
Więcej dokazać mogę, niż Kupida strzały,
Mnie Ten na ziemię przysyła,
Co słowem stworzy! świat cały.
Ja wzniecam wojnę, ja darzę pokojem,
Jam uczty waszej twórcą i ozdobą,
Lecz z całą władzą, z całym uciech zdrojem,
Jako niewolnik pośpieszę za tobą!

Po czym usunęło się Bogactwo, a weszła Poezja i patrząc także ku zamkowi, następujące deklamowała wiersze:

Ja chronię od zapomnienia
Cnoty i świetne wawrzyny,
Gdyby nie wiersze mojego natchnienia,
W niepamięć szły by bohaterów czyny.
Na rozgłos o twej piękności.
Śpieszę złożyć ci hołdy, o dziewic ozdobo,
I nieśmiertelnym dziełem dowieść potomności
Że byłoby zuchwalstwem, chcieć równać się z tobą!

Poezja znów wróciła na miejsce, a Hojność, wysunąwszy się z oddziału Bogactwa, po wstępnych podskokach, tak przemówiła:

Moim szczęściem i rozkoszą
Darzyć obficie, wspaniale,
Nie czekając aż mnie proszą,
Uprzedzam prośby lub żale.
Lecz mnie strudziło, wyznaję szczerze,
Rozsypywanie skarbów ślepe i ochocze...
Więc uczyniłam wybór w tej mierze:
Kogo dziś nimi otoczę?...
O najpiękniejsza dziewico na ziemi!
Tobie je składam... rozrządzaj niemi!

Tym sposobem kolejno przechodziły wszystkie figury, a każda po tańcu mówiła jakieś wiersze. Były tam i złe i dobre. Don Kichot, mając doskonałą pamięć, spamiętał te, któreśmy powyżej podali, a które zapewne były najlepsze. Kiedy wszystkie figury kolej swą odbyły, zmieszały się potem razem, zwijając się i rozwijając w różne kształtne sploty i rozpryskując się z osobna za każdym taktem z wielką zwinnością i wdziękiem. Kupidyn, ilekroć wysuwał się przed zamek, zawsze puszczał strzałę ponad nim. Bogactwo złociste naczynia o mur jego rozbijało. Po długich nareszcie pląsach Bogactwo wyciągnęło wielki worek pełen pieniędzy i rzuciło nim w zamek, wszystkie deski się rozsypały, zamek znikł i odsłonił piękną dziewicę, co się na murach ukazała. Bogactwo zaraz z orszakiem przyskoczyło do niej i zarzuciło jej na szyję łańcuch złoty, jakby ją w niewolę brało; Miłość z drugiej strony przybiegła ze swą drużyną na jej obronę; kiedy dwie strony walczą o nią przy dźwięku muzyki i w miarowych zawsze ruchach, dzicy przypadają, rozsuwają ich w mgnieniu oka, odbudowują na powrót zamek, w którym dziewicę zamykają jak przedtem i taniec się kończy wielkimi wszystkich widzów oklaskami.

Don Kichot zapytał się jednego z tancerzy, kto ułożył ten balet; odpowiedziano mu, że pewien duchowny z tej wsi, który miał osobliwy dowcip do podobnych wynalazków.

– Założę się – rzekł Don Kichot – że sprzyja on więcej Gamaszowi niż Bazylemu i że się na tych rzeczach zna lepiej, niż na czym innym. Układ tej sztuki jest bardzo piękny i doskonale wykazuje bogactwa Gamasza i zręczność Bazylego.

– Jakem poczciw – odezwie się Sancho – kto bogaty, to mu się chwali, ja trzymam za Gamaszem.

– Ty nigdy nie umiesz ukryć się, Sancho – rzekł mu Don Kichot – zawsze musisz się zdradzić ze swoim rodem i pokazać, że należysz do tych, co wołają: niech żyje silniejszy!

– Ja tam nie wiem, z jakiego rodu jestem i do czego należę – odpowie Sancho – ale to wiem, że z Bazylego garnka nigdy bym nie miał takich szumowin, jakie mam z Gamaszowego.

To powiedziawszy, pokazał kurę i gęś, urwał zębami po parę razy jednej i drugiej, połknął z wielkim apetytem, a potem mówił dalej:

– Na licha się zdała zręczność Bazylego! Jaki pan, taki kram, jaki kram, taki pan. Dwa tylko rody są między ludźmi, mówiła moja babka, ci, co mają coś, i ci, co nic nie mają; i tę pierwszą znamienitość rodu zawsze szanowała; i dzisiaj, wielmożny panie, zawsze więcej znaczy mienie, niż umienie; osioł złotem okryty, lepiej wygląda, niż koń w nędznym ubraniu. To się znaczy, jeszcze raz powtarzam, że Gamasz lepszy niż Bazyli, jego kuchnia porządna i obfita, mięsiwa, kur, gęsi pod dostatkiem, a u tamtego, jak powiadają, post i chudzizna.

– Zamkniesz ty raz gębę? – zawoła Don Kichot.

– A to już zamknąłem – odpowie Sancho – kiedy się pan gniewa, bo gdyby nie, to bym i na trzy dni miał po same uszy do gadania.

– Ach, dałby Pan Bóg – rzecze Don Kichot – żebym cię raz niemym przed śmiercią zobaczył.

– Proszę pana – odpowie Sanche – jeżeli nam tak dalej pójdzie, jak dotąd, to boję się, żebym panu lada dzień nie dał tej pociechy; dość nam będzie jeszcze raz dostać się w ręce Jangwezów, albo przez cały tydzień brnąć po lasach bez chleba i wody, a obaczysz pan, że tak zaniemieję, iż do sądnego dnia ani słowa nie wymówię.

– Zaręczam ci, mój ty biedaku – rzecze Don Kichot – że choćby i tak było, twoje milczenie jeszcze nie wyrówna gadulstwu twojemu; że zaś wedle porządku natury zdaje się, iż mnie wypadnie wynieść się na tamten świat przed tobą, to też żadnej nie mam nadziei, ażebym się doczekał twojej niemoty, bo nawet kiedy pijesz i śpisz, to jeszcze paplesz.

– Jakem poczciw, panie – rzecze Sancho – to na licha się zdały te rachuby, kto wprzód umrze; nie można nic rachować na te kościste licho, na tę śmierć, chciałem powiedzieć, zjada ono zarówno barany, jak i jagnięta, woły i cielęta i słyszałem, jak Bernardyn prawił, że to paskudne licho nie ma uszanowania dla nikogo, tak samo się pakuje do zamków i pałaców, jak i najlichszych szałasów pastuszych. Potęgi to ona ma siła, ta pani Kostusia, ale grzeczności ani za grosz; co za kaduk, że się nie przeje; pakuje wszystko, pożera i ładuje sobie sakwy wszelkiego gatunku ludźmi; stary, młody, wielki, mały, Indianin, poganin, Turek, czy chrześcijanin wszystkiego się czepia, jak wściekła. O! ta psiawiara kosi, a kosi, a nigdy nawet jak żeniec nie odpocznie, ani w święto, ani w nocy, ani w południe. Nie zjada, ale pożera wszystko, co napadnie, zawsze jak pies zgłodniała i nigdy jej nie nakarmisz, a brzucha jej ani widać, wyraźnie cierpi wściekliznę, czy tam wodowstręt, a za to ludzkie życie tak sobie wypija, jakby szklaneczkę świeżej wody.

– Stójże! już, stój mój Sancho – zawoła Don Kichot – zatrzymajże się raz, bo się potkniesz, a jakoś nieźleś się dotąd popisał ze swoją wymową. Wiesz ty, mój synu, że gdybyś miał tyle nauki, ile masz dowcipu i zdrowego sensu, to byś piękne rzeczy nawet z ambony mógł gadać.

– Kto się nie głodzi, temu język chodzi – odpowie Sancho – jak w brzuchu nieźle, to i w gębie miło, ja tam nie znam innej filozofii.

– I nie potrzebujesz jej znać – odpowie Don Kichot – tego tylko pojąć nie mogę, jakim sposobem ty możesz być tak mądry, kiedy początkiem wszelkiej mądrości jest bojaźń Boża, a ty się niczego na świecie tak nie boisz, jak głodu.

– Wielmożny panie – odpowie Sancho – sądź sobie pan o swoich rycerstwach, ale nie sądź o odwadze innych, bo nasz ksiądz powiada, że trzeba rozważać swoje uczynki i sumienie, a nie cudze. Lepiej oto daj mi pan spokojnie pokosztować moich szumowinek, bo te próżne słowa to się na licha nie zdały, a kiedyś trzeba zdać z nich rachunek.

I rzekłszy to, drugi raz się przysadził do swojej patelni z taką dzielnością, że i pana chętka wzięła pokosztować trochę i byłby się niewątpliwie nie najgorzej przypisał, gdyby go nie zaskoczyła przeszkoda, którą zaraz zobaczymy.

Rozdział IV

Dalszy ciąg wesela Gamasza i dziwne wypadki, jakie tam miały miejsce

Gdy Don Kichot i Sancho taką sobie prowadzili gawędkę, dał się nagle słyszeć jakiś rozruch i hałas, sprawiony przez młodzież poprzedzającą konno i z okrzykami radości państwa młodych, którzy postępowali w towarzystwie plebana, rodziców i licznie

zebranych gości ze wsi sąsiednich, a wszyscy w świąteczne przybrani szaty i z mnóstwem muzykantów. Jak tylko Sancho spostrzegł pannę młodą, zawołał:

– Jakem poczciw! to wcale nie po chłopsku ubrana, istna księżniczka. Co u diabła, toć to same korale, a suknia z najprzepyszniejszego aksamitu, atłasem wykładana. Ale patrzcie no jej na ręce; niech mnie kaci porwą, to nie tombak ani emalia, ale z najpiękniejszego złota pierścienie, z prawdziwymi perłami, jak mleko białymi, każda, dalipan, jak łza czyściutka. A włosy! ach, jakie włosy! przysięgam, jeżeli tylko nie fałszywe, jak żyję tak pięknych i długich nie widziałem. Szkoda tylko, że nie ma piękniejszego wzrostu i okazalszej postawy, gdyż wyraźnie wygląda jak gałąź drzewa palmowego, daktylami obciążona, tak pełno na niej klejnotów, od stóp do głów! Na duszę moją przysięgam, że nigdy nie widziałem piękniej ubranej istoty i jestem pewien, żeby w brukselskim banku jej nie odrzucili.

Don Kichot nie mógł się powstrzymać od śmiechu, słysząc te prostackie pochwały Sancha, i sam przyznawał, że po Dulcynei z Toboso nie widział piękniejszej kobiety. Nadobna Kiteria była nieco blada, co pochodziło może stąd, że całą noc spędziła na strojeniu się, jak to robią wszystkie dziewczęta przed ślubem, nie mając na to nigdy dość czasu. Cały ten orszak szedł ku wzniesieniu, pokrytemu gałęźmi, gdzie ślub miał się odbyć i skąd widać było wygodnie wszystkie zabawy i tańce. Kiedy podchodzili już do wzniesienia, rozległy się za nimi krzyki i dał się słyszeć głos tak do nich przemawiający:

– Stójcie! stójcie! za bardzo się śpieszycie.

Gdy się obejrzeli, zobaczyli człowieka, przybranego w długą opończę czarną, z karmazynowymi lampasami w płomienie

cętkowanymi; na głowie miał wieniec z cyprysu, a w ręku gruby kij z żelaznym na końcu okuciem.

Kiedy się przybliżył, wszyscy poznali w nim Bazylego i postrach powszechny się rozszedł, ażeby nie wynikło stąd smutne jakie zajście. Przybiegł nareszcie zdyszany, a stanąwszy przed narzeczonymi, wbił kij w ziemię i blady, drżący, z oczyma wlepionymi w Kiterię, rzekł do niej ochrypłym głosem:

– Czyś zapomniała, niewdzięczna Kiterio, żeś mi wiarę poprzysięgała i że ci nie wolno brać innego małżonka dopóty, dopóki ja będę na świecie? Któż cię zmusza do wiarołomstwa i dlaczego oddajesz innemu to, co do mnie należy, kiedy nic go nade mnie nie zaleca, prócz szczęśliwego trafu fortuny? Ale niech się nim cieszy, kiedy tego pragnie; usunę mu wszelkie przeszkody, uszczęśliwię go kosztem własnego życia. Żyj! żyj! bogaty Gamaszu z niewdzięczną Kiterią, a biedny Bazyli, którego nędza niegodnym jej czyni, niechaj umiera.

Rzekłszy te wyrazy, dobył krótkiej szpady w kiju ukrytej i zwróciwszy rękojeścią ku ziemi, rzucił się na ostrze, które mu plecami wyszło zakrwawione, a broczącego krwią trupem powaliło. Przyjaciele Bazylego przybiegli na ten straszny widok, bolesne rozwodząc żale i nieszczęście jego opłakując. Don Kichot zeskoczył także z konia i pobiegł do Bazylego, a widząc, że jeszcze żyje, wziął go w objęcia i zaczął do niego mówić. Przyjaciele chcieli koniecznie wyjąć mu szpadę, ale proboszcz nie pozwolił na to, dopóki się nie wyspowiada, mówiąc, iż z wyjęciem szpady zakończy zaraz życie.

Wtedy Bazyli, jakby przychodząc do siebie, westchnął i rzekł mdławym głosem:

– Okrutna Kiterio, gdybyś raczyła mi podać rękę teraz, zmniejszyłoby mi to cierpienia i boleści, których doznaję. Przemóż to na sobie.

– Ech! moje dziecko – przerwał mu proboszcz – teraz już nie czas myśleć o rzeczach doczesnych; myśl tylko o pojednaniu się z Bogiem i przebłaganiu Go za tak rozpaczny postępek.

– Przyznaję, że rozpacz mną powodowała – odpowie Bazyli.

I wymówił jeszcze kilka wyrazów, z których wnosić można było, iż nie wyspowiada się, jeżeli Kiteria nie wyświadczy mu żądanej łaski. Mówił, że to jedynie doda mu dość siły do zebrania myśli i do ukorzenia się przed Bogiem. Co słysząc Don Kichot, rzekł głośno, że żądanie Bazylego jest słusznym i rozsądnym i tym łatwiejszym do zaspokojenia, że dla Gamasza nie mniej będzie zaszczytu pojąć Kiterię, jako wdowę po tak uczciwym człowieku, jak gdyby ją brał z rąk ojca samego.

– I nie można mu tego odmawiać – dodał – ani robić w tym trudności, gdyż małżeńskie łoże Bazylego i grób, to już teraz jedno.

Gamasz, widząc i słysząc to wszystko, tak był zakłopotany, że nie wiedział, co rzec lub począć. Przyjaciele Bazylego tak usilnie go prosili, aby pozwolił Kiterii podać rękę umierającemu towarzyszowi, chociażby tylko dla zbawienia duszy jego, tak na niego nalegali, iż wzruszyli go i oświadczył, że jeżeli Kiteria zechce to uczynić, on nic przeciw temu mieć nie będzie. Poszli więc wszyscy do Kiterii i łzami, słowami, błaganiami wzruszyć ją usiłowali, przekonywając ją, że takim postępkiem wcale sobie nie ubliży i że powinna nawet uczynić tę łaskę człowiekowi, który jedną zaledwie z niej chwilą cieszyć się będzie. Ale Kiteria osłupiała i jakby bez czucia, milczeniem tylko dawała poznać, że albo nie chce odpowiadać, albo też nie wie, co począć; i może by słowa z niej nie dobyto, gdyby proboszcz jej nie powiedział, że powinna coś postanowić, gdyż nie ma czasu do stracenia, bo Bazylemu śmierć już osiadła na ustach. Wtedy biedna dziewczyna, cała drżąca, zbliżyła się powoli do Bazylego, który oczy już miał zamglone i zaledwie

oddychał, a ustami szeptał ciągle imię Kiterii; wszyscy się bali, żeby nie skonał w rozpaczy. Kiteria nareszcie tuż przed nim stanąwszy, pochyliła się i prosiła go o rękę, ale gestem tylko, jak gdyby mówić siły nie miała. Bazyli otworzył oczy i zwracając je mdławo na Kiterię:

– O Kiterio! – wyjąknął – kiedyż ci litość przyszła? kiedy mi już niepotrzebna i kiedy wiesz, że to już ostatnia chwila życia mego i że tylko przez jeden moment cieszyć się mogę, żeś moją żoną i zaraz do grobu zstąpić muszę. Przynajmniej błagam cię, nie czyń mi tego, aby się uwolnić od natręctwa tych, co się proszą; i żądając mojej ręki, a ofiarując mi swoją, nie zwódź mnie ten raz jeszcze; mów, jako nie przymuszona i powiedz mi szczerze, że mnie przyjmujesz za małżonka, jakeśmy to sobie poprzysięgli wzajemnie, bo byłoby to niegodnym, gdybyś w tak smutnej chwili jeszcze obłudną była dla mnie, gdym ja zawsze był dla ciebie wierny i szczery.

Mówił tak ciężko i tak cicho, że wszyscy czekali tylko za każdym słowem, rychło skończy. Kiteria, chcąc ulgę przynieść Bazylemu, wzięła go za rękę i rzekła:

– Nic nie jest w stanie przymusić mnie, Bazyli, dobrowolnie więc podaję ci rękę i przyjmuję, jeżeli ją równie szczerze podajesz i jeżeli masz dość przytomności, abyś wiedział, co czynisz.

– Tak jest, szczerze ci ją podaję – odpowiedział Bazyli – i z umysłem tak przytomnym i zdrowym, jak kiedykolwiek Bóg mi go udzielił, z całego serca za małżonkę cię przyjmuję.

– I ja – rzekła Kiteria – za małżonka cię biorę, umieraj więc w pokoju.

– Coś mi się widzi – odezwał się Sancho – że ten młodzik za wiele mówi na tak ciężko ranionego, powinni by mu dać pokój, żeby

pomyślał o zbawieniu duszy, bo u kogo śmierć za kołnierzem, to nie ma czasu do stracenia.

Proboszcz tymczasem, chcąc dać pociechę biednemu Bazylemu, zbliżył się do niego gdy jeszcze trzymał rękę Kiterii i rozczulony tak smutnym widokiem, ze łzami w oczach pobłogosławił ten ich związek, śląc modły do Boga, aby łaskawie przyjął duszę nowożeńca. Ale Bazyli, skoro tylko otrzymał błogosławieństwo ślubne, jakby cudem zerwał się na nogi i w tejże chwili wyciągnął z ciała przeszywającą go szpadę. Wszyscy widzowie osłupieli na widok tak zdumiewający, a byli i tacy prostaczkowie, co zaczęli wołać: „cud! cud!" Ale Bazyli silnym głosem zawołał: „nie cud, ale zręczność i dowcip".

Proboszcz, jeszcze bardziej od innych zdziwiony, obydwie ręce położył mu na ranie, a dobrze obmacawszy, przekonał się, że szpada bynajmniej nie przeszyła ciała, ale przeszła przez rurkę blaszaną, tak sztucznie urządzoną (jak to sam później opowiedział, że wpuszczona w nią krew zsiąść się nie mogła). Słowem, proboszcz, Gamasz i jego przyjaciele poznali, że zadrwiono z nich. Co do nowo zamężnej, nie okazywała wcale gniewu; przeciwnie, słysząc mówiących, że małżeństwo jest podstępne i nie może być ważne, oświadczyła, iż jest gotowa je potwierdzić, co naprowadziło wszystkich na myśl, że podstęp wspólnie z Bazylim ułożyli.

Gamasz i jego przyjaciele w taką złość wpadli, że chcieli natychmiast pomścić się i chwytając za szpady, uderzyli na Bazylego, za którym w mgnieniu oka mnóstwo szpad zaświeciło. Don Kichot, widząc taki tumult, dosiadł poczciwego rumaka, wziął włócznię w rękę, zasłonił się tarczą i wpadł między dwa obozy, drogę sobie torując; kiedy tymczasem Sancho, zawsze śmiertelnie brzydząc się zwadami, usunął się chyłkiem na bok ku garnkom, nie

wątpiąc, że każdy dla tego schronienia równe jemu mieć będzie poszanowanie.

– Stójcie, panowie! stójcie! – wołał Don Kichot – nie ma co mścić się za podstępy miłosne, bo miłość i wojna, to wszystko jedno, a że w wojnie wolno używać podejść i zdrady, rywale przeto mogą ich także używać w miłosnych zapasach, byle stąd nic złego na ukochaną osobę nie spłynęło. Kiterio, Bóg już tak chciał; Gamasz jest bogaty, znajdzie sobie żon ile zechce, Bazylemu zaś, któremu fortuna przebierać nie pozwoliła, niesłuszną byłoby rzeczą wydzierać małżonkę, tym więcej, że nikt rozłączać nie powinien tego, co Pan Bóg sam złączył; a pierwszemu, co by się na to ważył, oświadczam wprzód, że musi mi z ręki wydrzeć tę włócznię.

I to mówiąc, zaczął nią tak strasznie i silnie potrząsać, że wielki strach przejął wszystkich, co na niego patrzyli.

Złość Gamasza przeszła nagle w pogardę dla Kiterii, chciał już tylko o niej zapomnieć; dzięki usilności proboszcza, człowieka bardzo roztropnego, i on, i wszyscy jego przyjaciele dali się jakoś uspokoić i szpady do pochew pokładli, ganiąc daleko więcej lekkomyślność Kiterii, niż sztuczkę Bazylego. Rozmyśliwszy się dobrze Gamasz, uznał, że kiedy Kiteria kochała Bazylego, będąc panną, mogłaby go także kochać, będąc za mężem, że zatem niewielkie to nieszczęście, iż mężem jej nie został. Pocieszył się zupełnie i na pokazanie, że nie chowa w sercu żadnej urazy, oświadczył, iż cała uroczystość i zabawa odbędzie się, jak odbyć się miała. Ale Bazyli, Kiteria i ich przyjaciele odeszli do domu nowożeńca, który mimo swego ubóstwa, nie mniejszym ucieszył się tam szczęściem i radował się serdecznie, iż Gamasz, choć tak bogaty, nie ma więcej od niego przyjaciół. Zaprosili z sobą i Don Kichota, w którym widzieli człowieka poważnego i zacnego, a który nie wahając się, poszedł za stronnictwem Bazylego.

Ażeby nie skłamać, wyznać musimy, że Sancho z wielkim bólem serca szedł za panem, nie mógł ukoić rozpaczy po stracie wielkiego bankietu Gamasza, który tak był wspaniały, że aż do późnej nocy się przeciągnął. Jechał smutny i zamyślony na swoim burym, patrząc mu nieruchomie między oba uszy i ani słowa nie mówiąc, a chociaż nie mógł być głodny, bo spałaszował całą swoją szumowinę, niezmierna obfitość wszakże tego wszystkiego, co za sobą zostawił, stała mu ciągle przed oczami i wzdychał sobie od czasu do czasu, puściwszy cugle buremu, który wesoło biegł śladem Rosynanta.

Rozdział V

Opisuje wielką i niesłychaną przygodę w jaskini Montesinos, z której waleczny Don Kichot wyszedł szczęśliwie

Nowożeńcy, wdzięczni Don Kichotowi, że ich wziął pod opiekę, podejmowali go w domu swoim z uprzejmością i poszanowaniem, na jakie tylko zdobyć się mogli. Dowcipny Bazyli nazywał go Cydem z powodu jego waleczności, pochlebiał mu zręcznie, wychwalając wspaniałą postawę, wymowę i rycerskie obejście. Poczciwy Sancho podreperował się tam przez trzy dni, które zabawili, a że miał wszystkiego po uszy więc i dobry humor mu wrócił. Bazyli opowiedział im dopiero, że Kiteria nic nie wiedziała o jego podstępie i że ukartował go jedynie z przyjaciółmi, w nadziei, iż mu się powiedzie po tylu niewątpliwych oznakach przyjaźni, jakie otrzymywał od Kiterii. Don Kichot mówił, że nie należy nazywać oszukaństwem tego, co do chwalebniejszych celów dąży, a małżeństwo jest takim celem dla kochanków; tłumaczył, że kochankom wszystko jest wolno, skoro tylko są pewni serca swych kochanek, bo wydrzeć je tym, których nie kochają, jest to

ochronić je od gwałtu. Wystawiał wszakże, że miłość lubuje się najwięcej w spokoju i uciechach, największym przeto jej wrogiem jest potrzeba, ciągłe wyradzająca niepokoje.

– Mówię to – dodał – umyślnie dla nauki pana Bazylego, żeby pamiętał, iż czas już porzucić te igraszki zręczności, w których tak celuje, a które prócz czczej sławy, nic mu zgoła nie przyniosą, żeby teraz zająć się pracą i zapewnić pięknej i dobrej żonie, która dla niego wielkie bogactwa porzuciła, byt spokojny i szczęśliwy. – Bazyli, mój bracie – mówił dalej – któryś z wielkich mędrców, nie pamiętam który, powiedział, że jedna tylko kobieta w świecie jest dobra, a każdemu mężowi swą żonę za tę jedynie uważać radził, zaręczając, że to najpewniejszy środek uprzyjemnienia sobie życia. Co do mnie, nie jestem dotąd żonaty i ochota mi jeszcze nie przyszła, umiałbym wszakże każdemu poradzić, gdyby tego żądał, jak ma żonę sobie wybierać. Przede wszystkim radziłbym mu patrzeć na jej dobrą sławę, nie zaś na majątek, bo kobieta cnotliwa nabiera dobrego imienia nie dlatego, że nią jest, ale i dlatego, że się taką okazuje, i najmniejsze wyskoki, najdrobniejsze uchybienia kobiety przed światem więcej jej czynią krzywdy, niż najgorsze zło, które by tajemnie popełniała. Biorąc dobrą kobietę, łatwo ją w dobrym utrzymać, a nawet jeszcze lepszą zrobić, ale kto dostanie złą, ten wiele zażyje biedy, nim ją poprawi, bo to bardzo trudno jedną ostateczność zamienić na drugą, a w rzeczach tej natury to może i niepodobna.

Sancho, słysząc tę mowę pana, mruczał sobie pod nosem:

– Jak ja co takiego mówię, to pan mnie zawsze przedrwiwa, żem powinien wykierować się na kaznodzieję i pójść kazać po świecie; a ja powiadam, że jak on tylko zacznie prawić mądrości i traktować radami, to by wystarczył za dziesięciu, za pięćdziesięciu nawet kaznodziejów! O czym tylko chcesz, o wszystkim ci będzie bajał!

Co to, u diabła, błędnemu rycerzowi do takich rzeczy się mieszać! On wszystko wie. Jakem poczciw, zrazu myślałem, że on się zna tylko na swoim rycerstwie; ale, do stu piorunów! widzę, że on się zna na wszystkim, z której chcesz beczki, on ci zaraz utoczy.

Don Kichot posłyszał, że giermek jego coś mamrocze, zapytał go więc:

– Co ty tam mruczysz pod nosem, Sancho? co tam mamroczesz?

– Ja nic nie mówię – odpowie Sancho – ani nie mruczę na nikogo, powiadam tylko, że szkoda, że ja przed ożenieniem nie wiedziałem o tym wszystkim, co pan powiada, a teraz to może bym tylko powiedział: w jarzmieś, wole, to ciągnij, a oblizuj się kiedy chcesz, a ty ośle swobodnyś, to się tarzaj po trawie i używaj, kiedy możesz.

– Alboż to twoja żona taka zła – rzecze Don Kichot.

– Nie takać ona zła – odpowie Sancho – ale też i nie taka dobra, jakby mi się zdała

– To bardzo brzydko, Sancho – rzecze Don Kichot – że tak źle mówisz o swojej żonie, bo, bądź co bądź, to przecie ona matka twoich dzieci.

– Alboż to ja nie ich ojciec – odpowie Sancho – a przynajmniej tyle, co trzeba, na tom łożył. No, no, dajcie wy mnie pokój, panie, niceśmy z nią sobie nie winni i ona nie mówi o mnie lepiej, jak jej się jaka chimera uczepi, a zwłaszcza jak jej się zazdrość skąd weźmie, samemu by diabłu wtedy za skórę zalazła.

Po trzech dniach takiego bankietowania u nowożeńców Don Kichot, zniecierpliwiony już życiem miękkim i bezczynnym, prosił bakałarza o przewodnika, co by go doprowadził do jaskini Montesinos, do której koniecznie sam chciał wejść i przekonać się naocznie o cudach, jakie o niej rozpowiadają. Bakałarz obiecał mu dać jednego ze swych krewnych, mówiąc, że to chłopiec bardzo sprytny i rozkochany w księgach rycerskich, że go z całego serca

doprowadzi do samego wejścia jaskini, pokaże mu źródła Ruidera, tak słynne na całą Hiszpanię. Posłano zaraz po tego chłopca i przyjechał natychmiast na ciężkiej klaczy; Sancho przyprowadził Rosynanta, wyładował dobrze sakwy i pożegnawszy się z gospodarzem i gośćmi, ruszyli drogą do jaskini Montesinos.

Jadąc, Don Kichot pytał się przewodnika, jaki jest jego stan i powołanie.

– Z powołania jestem retorykiem – odpowiedział i poświęcam się pisaniu książek dla przyjemności i pożytku publicznego. Mam właśnie w tej chwili jedną już gotową pod tytułem; *Księga ksiąg*, z siedmiuset przeszło figurami kolorowanymi, z dewizami i cyframi do nich, żeby kawalerowie dworscy nie potrzebowali się trudzić wyszukiwaniem dewiz stosownych do życzenia, kiedy będą mieli stawać w karuzelu lub innym igrzysku. Przewidziałem wszystko, czego żądać można w tym względzie. Mam jeszcze i drugą książkę już gotową, której chcę dać tytuł: *Metamorfozy*, czyli *Owidiusz hiszpański*; myśl tej książki jest śliczna i zupełnie nowa, bo na wzór Owidiusza łącząc historię z baśniami, wykazuję w niej zabawnie, czym to były dawniej *Giralda z Sewilli, Anioł Magdaleny, Kanał Wecynguerra z Kordoby*; co to są *Byki z Guissando, Sierra Morena, Fontanny Legamitos*, tudzież *Lavapies madryckie*. Nie przepomniałem tam o niczym, wszędzie pełno metafor i alegorii zabawnych i nauczających razem. Mam i trzecią jeszcze książkę gotową, której daję napis: *Dopełnienie Polidora Wirgiliusza*, w której mówię o początku wszelkich rzeczy. Jest to dzieło niezmiernie pracowite i z wielką erudycją napisane, bo objaśnia w nim wszystko, co tylko ważnego pominął Polidor, jak na przykład nic on nie wspomina, kto pierwszy użył frykcyj do leczenia choroby francuskiej; ja to wszystko wykazuję jasno, opierając się na powadze

dwustu pięciu przeszło autorów, po większej części współczesnych. Widzisz pan przeto, jak ta praca musi być ciekawa i użyteczna.

– Proszę pana – przerwie Sancho – czybyś też pan, co tak wszystko wiesz, nie powiedział mi, kto to pierwszy na świecie podrapał się w głowę, bo ja myślę, że to musiał być Adam, nasz pierwszy ojciec?

– Niewątpliwie – odpowiedział przewodnik – bo Adam miał głowę i włosy i zdaje się, że jako pierwszy człowiek, pierwszy musiał poczuć świerzbienie.

– I ja tak myślę – rzekł Sancho – ale, proszę pana, kto też pierwszy był złodziejem?

– Doprawdy, mój bracie – rzecze bakałarz – w tej chwili nie umiem ci na to odpowiedzieć, muszę wprzód poszukać; jak tylko wrócę do domu, zaraz przejrzę swoje księgi i nie omieszkam cię w tym względzie oświecić za pierwszym naszym widzeniem, bo mam nadzieję, że to nie będzie ostatnie.

– Ech, proszę pana – rzecze Sancho – może lepiej nie zadawajcie sobie tego trudu, gdyż ja to już wiem: – Jużcić pierwszy pokazał się z łodzi Noe, kiedy wyszedł z arki, boć ta arka, kiedy po wodzie pływała, to nie mogła być niczym innym, tylko wielką łodzią.

– Masz słuszność, bratku – odpowiedział bakałarz.

– Sancho – rzecze Don Kichot – to pytanie i ta odpowiedź to nie twoje, musiałeś je gdzieś słyszeć.

– O mój Boże – rzecze Sancho – proszę pana, żebym też takie jeszcze rzeczy miał podsłuchiwać; na dwa dni mam ich zapas, jeżeli pan chce, ale po takie głupstwa człowiek do sąsiada chodzić nie potrzebuje.

– Dobrze je nazywasz, Sancho – odpowie Don Kichot – pełno jednak ludzi na świecie z wielkim trudem i mozołem doszukuje się rzeczy, które ani przyjemności, ani pożytku nie przynoszą.

Cały dzień zszedł naszym podróżnym na takich farsach; na noc zajechali do jakiegoś folwarku, skąd miało być już tylko dwie milki do jaskini Montesinos, jak powiadał uczony przewodnik, który zarazem radził Don Kichotowi, ażeby się zaopatrzył w porządny zapas powrozów, jeżeli się do samego dna tej jaskini chce dostać.

– Pamiętajże o tym, Sancho, bo ja muszę być na samym dnie, chociażby ono antypodów sięgało. Sancho nakupił przeszło trzysta sążni powrozów. Nazajutrz, około godziny drugiej po południu, dojechali do miejsca jaskini, której otwór, jakkolwiek szeroki, tak jest cierniami i krzakami zarosły, iż go prawie nie widać.

Jak tylko przybyli, Don Kichot zsiadł zaraz z konia, a towarzysze jego z osłów i natychmiast zabrali się do przewiązywania go powrozem. Nim go spuścili, Sancho tak się odezwał do pana:

– Zanim, panie, w to piekło pojedziecie, pomyślcie przecież dobrze co robicie; kto to wie, czy wam tam żywcem zagrzebać się nie przyjdzie! Nie sto razy widziałem w życiu, jak w studnię spuszczano butelki z winem dla ochłodzenia, a żadna stamtąd bez szwanku nie wracała, i co wam za ciekawość łazić w tę dziurę, która może dna nie ma?

– Przywiązuj tylko! przywiązuj! – odpowiedział Don Kichot – to właśnie przygoda dla mnie.

– Panie – odezwał się zarazem przewodnik – przyjrzyj się pan pilnie wszystkiemu, co się w tej jaskini znajduje, może się tam znajdzie niejedna rzecz, którą by warto w moich metamorfozach zamieścić?

Don Kichot widząc się dobrze wpół przewiązanym, rzekł:

– Szkoda, żeśmy nie wzięli dzwoneczka z sobą, ażebym wam mógł dać znać w razie potrzeby, ale nie ma rady, spuszczam się na los szczęścia, ono mnie poprowadzi.

Padł na kolana i pomodliwszy się krótko i cicho, a wzywając pomocy niebios w tak niebezpiecznym przedsięwzięciu, powstał i rzekł głośno:

– O królowo wszystkich czynów moich i najtajniejszych myśli moich, dostojna i niezrównana Dulcyneo z Toboso, jeżeli modły twojego rycerza dochodzą do ciebie, zaklinam cię na tę piękność, którą mnie zachwyciłaś, nie odmawiaj mi opieki i łaski swojej w chwili, kiedy jej tak bardzo potrzebuję. Zanurzam się i rzucam w tę przepaść, wiedziony jedynie żądzą dokonania czynu godnego twej wielkości i okazania światu całemu, że dla tych, którym ty łask swoich udzielasz, nie ma nic niepodobnego.

Dokończywszy tego wezwania, zbliżył się na kraj jaskini, a widząc, iż tak jest zarośnięta, że wejść niepodobna, wziął miecz w rękę i zaczął ścinać krzaki i ciernie; za czwartym lub piątym zamachem miecza, wypadło z tych zarośli takie mnóstwo kruków, kawek i nietoperzy i z taką rzuciły się gwałtownością, że go na wznak przewróciły. Gdyby był równie zabobonnym, jak był dobrym chrześcijaninem i prawym rycerzem, to by był zapewne to zjawisko za złą poczytał wróżbę i zaniechał zamiaru, ale on powstał z niezachwianym męstwem i widząc, że nie ma już więcej ptaków, spuścił się wgłąb przy pomocy przewodnika i Sanchy, którzy powróz po trochu popuszczali, Sancho, widząc go w otchłani tonącego, dał mu swe błogosławieństwo, krzyżem świętym po tysiąc razy go żegnając.

– Niech cię Bóg prowadzi – mówił – i Najświętsza Panna paryska i święta Trójca gaeteńska, o ty! kwiecie, zaszczycie i ozdobo rycerzy błędnych! Idź z Bogiem, o ty wcielona odwago całego świata, co masz ramię żelazne, a serce stalowe; niech ci Pan Bóg przewodniczy i powróci cię nam zdrowego i całego na wszystkich członkach i niech ci dozwoli raz jeszcze oglądać światło słoneczne,

które bez przyczyny porzucasz, ażeby się zagrzebać w tych ciemnościach.

Kiedy i Sancho i przewodnik takie zanosili modły, Don Kichot spuszczał się coraz głębiej, wołając, ażeby sznur więcej opuszczali; kiedy już całe sto sążni wysnuli i głosu już więcej nie słyszeli, postanowili go wyciągnąć na powrót, czekali jednakże jeszcze z pół godzinki i dopiero sznur ciągnąć zaczęli, ale tak im to szło lekko, iż byli pewni, że Don Kichot spaść musiał na dno przepaści. Sancho już prawie o tym nie wątpił, płakał rzewnymi łzami i ciągnął sznur jak najspieszniej, ażeby się o prawdzie przekonać. Wyciągnąwszy nareszcie kilkadziesiąt sążni, uczuli większy ciężar, czym się niezmiernie uradowali, a Sancho spojrzawszy w dół, wyraźnie dojrzał Don Kichota i przemówił doń:

– A witajże nam, panie! myśleliśmy, żeś tam już został na zastaw.

Ale Don Kichot wcale nie odpowiadał i gdy go do samej góry dociągnęli, zobaczyli, że miał oczy zamknięte, jak gdyby spał. Rozwiązali go i na ziemi rozciągnęli, a on się wcale nie obudził; nareszcie tak go przewracali i potrząsali nim, że się cokolwiek ocknął, przyszedł do siebie i zaczął przecierać oczy i wyciągać się, jak gdyby go z głębokiego snu zbudzono. Obejrzawszy się na wszystkie strony jak obłąkany, przemówił:

– O! jakże wielką wyrządziliście mi krzywdę, pozbawiliście mnie życia najrozkoszniejszego, widoku najczarowniejszego. Teraz dopiero poznaję, że rozkosze tego życia przemijają jak sny. O! nieszczęsny Montesinos! o Durandart niecnie raniony! o nieszczęsna Belerma! o opłakana Guadiana i wy smutne córy Ruidera, co obfitością wód waszych wskazujecie, ile łez piękne oczy wasze wylały.

Przewodnik i Sancho, zdziwieni tymi wyrazami, które Don Kichot mówił głosem żałosnym, jakby go boleść najcięższa dręczyła,

błagali go, aby im wytłumaczył ich znaczenie i opowiedział, co widział w tym piekle.

– Nie nazywajcie tego miejsca piekłem – rzecze Don Kichot – takie miano mu ubliża i wcale nie przystoi, o czym się sami zaraz przekonacie. Ale dajcie mi przede wszystkim co zjeść, bo jak żyję, podobno tak mi się jeść nie chciało.

Sancho nakrył mu prędko na trawie, to jest rozciągnął kawałek deski, którą przewodnik kładł sobie na siodło, i dobył co tylko miał w sakwach; wszyscy trzej zasiedli i zajadali z wielkim apetytem, bo cały dzień nic w ustach nie mieli. Po skończonej biesiadzie Don Kichot rzekł:

– Nie wstawajcie, moje dzieci, lecz posłuchajcie uważnie tego, co wam opowiem:

Rozdział VI

Opisuje godne podziwu rzeczy, które nieustraszony Don Kichot miał widzieć w głębiach jaskini Montesinos

Godzina była blisko czwarta po południu, a słońce spoza gęstych chmur słabe zaledwie rzucało promienie, przejmując ciepłem miłą w tym miejscu świeżość powietrza. Dlatego to Don Kichot wolał tu pozostać i tak zaczął szanownym swym słuchaczom opowiadać o niesłychanych cudach jaskini Montesinosa:

– Na dwanaście lub piętnaście sążni ponad dnem tej jaskini widać na prawo wielką czeluść, do której światło dochodzi jedynie przez dziury i szczeliny, długim szeregiem ciągnące się tam od samej powierzchni ziemi. Miałem aż nadto czasu przypatrzeć się tej jamie, bo z nudów, zawieszony na tym sznurze, nie mając celu przed sobą, wszedłem tam, chcąc trochę odpocząć. Wtedy to wołałem na was, ażebyście nie popuszczali sznura, aż sam zażądam, ale musieliście

mnie nie dosłyszeć, bo ciągle sznur spuszczaliście, a ja zbierałem go w koło siebie i tak ogromny krąg jego nazbierałem, żem sobie na nim wygodnie usiadł i rozmyślałem, jak ja się tu teraz do dna dostanę, kiedy mnie nikt nie trzyma. I zdrzemnąłem się nieco w tym zamyśleniu, a w chwilę później, sam nie wiem jakim sposobem, znajdowałem się już na najcudniejszej, jaką wyobrazić sobie można, łące. Sto razy oczy przecierałem, bojąc się, czy to nie sen i czy oczy mnie nie zwodzą, macałem się po głowie i po całym ciele, czy to naprawdę ja tam jestem, czy też duch jaki na moje miejsce położony. W tej chwili ujrzałem przepyszny pałac kryształowy, z którego wyszedł starzec sędziwy i prosto do mnie kroki skierował. Miał na sobie płaszcz ogromny, aż po ziemi się wlokący, a na plecach kaptur zielony atłasowy, jakby doktorski, na głowie rodzaj beretu, a brodę długą za pas. Broni żadnej nie nosił, tylko w ręku trzymał różaniec z ziarnkami tak wielkimi jak orzechy i jaja strusie na *patrach*. Powaga, słodycz i wzięcie się miłe starca przejęły mnie czcią jakąś dla niego, a zdziwiłem się jeszcze bardziej, gdy zbliżywszy się do mnie, zaczął całować czule i tak przemówił: „Od bardzo dawna już, waleczny rycerzu Don Kichocie z Manchy, oczekiwaliśmy na ciebie niecierpliwie, my wszyscy tu zaklęci, abyś światu wyjawił cuda zawarte w jaskini Montesina. Pójdź za mną, znamienity rycerzu, pokazać ci muszę cudowne skarby tego przezroczystego pałacu, którego jestem gubernatorem, bo to ja jestem ów Montesinos, od którego jaskinia wzięła nazwisko". Jak mi to powiedział, zaraz go się zapytałem, czy to prawda, co tu mówią, że on nożem wypruł serce i wnętrzności wielkiemu swemu przyjacielowi, Durandartowi, i poniósł je do Belerma, o co prosił tamten umierając. Odpowiedział mi, że wszystko prawda najzupełniejsza, tylko, że użył do tego nie noża, lecz sztyletu doskonale wyostrzonego i tak jak lancet cieniutkiego.

– Musiał to być taki sztylet – odezwał się Sancho – jaki miał Ramon de Hoces de Seville?

– Nie wiem – odpowiedział Don Kichot – ale nie zdaje mi się, bo ten Ramon jest nam współczesny, a owa historia wydarzyła się w epoce batalii pod Roncewalem.

– Macie słuszność, mości rycerzu – rzecze przewodnik – i proszę was, opowiadajcie dalej tę historię.

– O! z największą chęcią – odpowie Don Kichot. – Jakem tedy wszedł do pałacu, Montesin poprowadził mnie do sali alabastrowej, chłodnej niezmiernie; stał tam na środku grobowiec marmurowy, na którym leżał rycerz nie z brązu, ani z marmuru, ale z kości i ciała, jak każdy inny. Prawą rękę, bardzo obrosłą i żylastą, miał wspartą koło serca; gdy mu się pilnie przypatruję, Montesinos rzecze: „Oto mój przyjaciel, Durandart, kwiat i zwierciadło dzielnych i zakochanych rycerzy swojego czasu. Merlin, ów słynny czarownik francuski, którego nazywają synem czarta, a którego ja uważam za mędrszego od samego czarta, trzyma go tu w zaklęciu razem ze mną i mnóstwem innych mężczyzn i kobiet. A dlaczego i jak nas zaczarował, tego nikt nie wie. Sam to nam ma powiedzieć kiedyś, a jak mi się zdaje, stanie się to niezadługo; najbardziej to mnie zadziwia, iż pewien jestem, że Durandart wyzionął ducha w moich objęciach i że jak tylko skonał, ja mu własnymi rękoma serce wyprułem, które ważyło przeszło dwa funty! Jaka to musiała być odwaga jego, kiedy naturaliści powiadają, że wielkość serca jest niezawodną oznaką odwagi. Więc, jak powiadam, umarł, i jakże to być może, ażeby tu teraz często wzdychał, jak gdyby żywy?”.

Kiedy Montesinos skończył mówić, nieszczęsny Durandart zawołał: „O, drogi mój krewniaku, Montesinie, ostatnia prośba moja do ciebie była, ażebyś mi serce wypruł zaraz po śmierci

i poniósł je w podarunku ode mnie pięknej Rebonie". Montesinos natychmiast przykląkł i ze łzami w oczach odpowiedział:

– Mości Durandarcie, najdroższy mój krewniaku, dopełniłem wszystkiego, coś mi polecił w nieszczęsny dzień swej śmierci: wyprułem ci serce, ani kruszyny nie zostawiwszy, obtarłem je zaraz chustką koronkową i natychmiast pojechałem do Francji, oddawszy ci ostatnią posługę, w czasie której tyle łez wylałem, iż obmyłem sobie nimi ręce, całe krwią zbroczone; posypałem ci serce solą, ażeby się nie zepsuło, bo by go nie można wtedy wręczyć pani Belermie, którą mądry Merlin trzyma tu w zaklęciu od lat wielu, tak jako i ciebie, najdroższy bracie i przyjacielu, i mnie, Guadianę, twego giermka i damę Ruiderę z siedmiu córkami i dwiema krewnymi i wiele jeszcze innych osób przyjaznych ci i znajomych; a chociaż pięćset już lat przeszło, jak tu siedzimy, nikt z nas nie umarł i nie brak tu nikogo prócz Ruidery z siedmiu córkami i dwiema krewnymi, których łzy tak wzruszyły Merlina, że zamienił je w tyleż krynic, a lud, mieszkający tam na górze w Manchy, nazywa je krynicami Ruidery, których siedem należy do króla hiszpańskiego, a dwie do zakonu Świętego Jana. Guadiana, giermek twój, który także bezustannie łzy ronił nad twoim nieszczęściem, zamieniony został w rzekę tegoż nazwiska. Kiedy płynąć zaczął po ziemi i spostrzegł po słońcu innego nieba, że się od ciebie oddala, tak się tym zmartwił, że schował się w wnętrzności ziemi, ale że nie może przełamać biegu przyrodzonego sobie, wychodzi więc czasami na wierzch i ukazuje się miejscami oczom ludzkim. Krynice, o których wspomniałem, równie jak i wiele innych źródeł, łączą swe wody z jego wodami i w wielkiej okazałości odprowadzają aż do Portugalii; ale gdzie bądź się obróci, zawsze jest smutny i posępny, ryb nawet w swe łono nie przyjmuje, bojąc się uczynić co bądź słusznemu smutkowi swemu nieodpowiedniego.

Często ci już opowiadałem, drogi bracie to, co ci teraz mówię; nigdy mi nic nie odpowiedziałeś, sądzę przeto, że mi nie wierzysz i martwię się tym niezmiernie.

W tej chwili mam ci coś donieść, co zmniejszy twe przykrości i zapewne ulgę ci przyniesie, a mianowicie, że masz tu przed sobą tego rycerza, o którym mądry Merlin tyle cudów przepowiadał, tego wielkiego, słynnego Don Kichota z Manchy, co nie tylko wskrzesił błędne rycerstwo, ale mu jeszcze więcej blasku nadał, a w którym my pokładamy nadzieję, że nas z tego zaklęcia uwolni, bo wielkie dzieła dla wielkich ludzi zachowane.

– A jak nie – odpowiedział Durandart cichym i bolejącym głosem – a jak nie, mój drogi krewniaku, to trzeba być cierpliwym.

Rzekłszy to, przewrócił się na drugi bok i ani słowa już nie powiedział. W tej chwili doszły do moich uszu straszliwe jęki, na które gdym głowę obrócił, zobaczyłem przez kryształowe mury pałacu procesję prześlicznych dziewic, całych z ognia, z białymi wstążkami na głowach; za nimi szła bardzo piękna dama, widać starsza od nich; ubrana była czarno, a welon miała biały tak długi, że się wlókł aż po ziemi i turban dwa razy większy od tamtych; miała wielkie brwi, nos nieco spłaszczony, usta wydatne z bladymi wargami, ale zębami prześlicznej białości, chociaż nierównymi; trzymała w ręce na rozwiniętej serwecie serce, zabalsamowane zapewne, tak było suche i zawiędłe! Montesinos powiedział mi, że te wszystkie dziewice należą do orszaku Durandarta i Belermy, że ta, co serce niosła, jest sama Belerma, która cztery razy na tydzień takie procesje odprawia, śpiewając hymny smętne nad ciałem i sercem nieszczęśliwego krewniaka. Powiedział mi też, że jeżeli Belerma nie wydała mi się tak piękną, jak o niej głoszą, to dlatego, że cierpi niezmiernie nad tym swoim zaklęciem i stąd traci cerę i blask swojej urody, ale gdyby nie to, to wielka Dulcynea z Toboso,

tak słynna w świecie, z trudnością walczyć by musiała o pierwszeństwo z nią.

– Dosyć tego, mości Montesinos! – odpowiedziałem mu – daj pokój porównaniom, one wszystkie do niczego nie prowadzą, Belerma ma swoją piękność, a nieporównana Dylcynea swoją i nikomu nie ustępuje.

– Przepraszam cię, mości rycerzu – odparł Montesinos – wyznaję, żem za daleko śmiałość posunął, a znając sławę tej nieporównanej damy i twoją, mości rycerzu, nie powinienem jej był porównywać, jak tylko z niebem lub nią samą.

Taka pokora Montesina ułagodziła mój gniew.

– Dalipan dziwno mi – rzecze Sancho – żeście mu jeszcze do oczów, panie, nie skoczyli i żeber nie połamali, widać, że na tamtym świecie zrobiliście się bardzo cierpliwi. Ja bym mu był hultajowi jednego włoska w brodzie nie zostawił.

– O! któż to widział, Sancho – odpowiedział Don Kichot – trzeba zawsze szanować wiek sędziwy, zwłaszcza w rycerzach zaczarowanych.

– Ale jak to być może, proszę pana – zapyta przewodnik – żeście tam tyle rzeczy widzieli, mówili, kiedy tak krótko byliście?

– A jakże dawno zstąpiłem do jaskini? – zapyta Don Kichot.

– A będzie teraz z pięć kwadransów – odpowie Sancho.

– Cóż to? ty żartujesz sobie ze mnie – rzecze Don Kichot – ależ, mój bracie, jak to być może, kiedy ja tam widziałem trzy wschody i zachody słońca?

– Pan mój może mieć słuszność – odpowie Sancho – ponieważ jemu wszystko przez czary się dzieje, to, co dla nas było godziną, jemu mogło się wydać trzema dobami.

– Prawda i to – odpowie Don Kichot.

– A czy jadłeś pan co przez ten cały czas? – zapyta przewodnik.

– Nic a nic i wcale mi się nie chciało.

– A ci zaklęci czy jedzą? – zapyta przewodnik.

– Ani jedzą, ani piją, ani nie robią nic takiego, co inni robią. Paznokcie jedynie, włosy i brody rosnąć im nie przestają.

– I czy nie śpią także, proszę pana? – rzecze Sancho.

– Także – odpowiedział Don Kichot – przynajmniej przez te trzy doby, jak tam byłem, ani jeden oka nie zmrużył.

– Prawda – rzekł Sancho – przysłowie mówi: z jakim przestajesz, takim się sam stajesz. Chodzisz pan do zaklętych, co nie jedzą ani piją, cóż więc dziwnego, że sam także nie jesz, ani pijesz. Ale wiecie, panie, z przeproszeniem waszym, niech mnie kaci wezmą, jeżeli znajdzie się taki głupiec, co by temu wszystkiemu uwierzył, coście teraz nagadali!

– A to dlaczego? – zapyta zdziwiony przewodnik – albo to jegomość pan Kichot umie kłamać, a choćby i tak było, czyżby miał czas zmyślić tyle kłamstw?

– Ja nie mówię, ażeby pan mój kłamał – odpowie Sancho.

– A kiedy tego nie mówisz, to cóż myślisz? – zapyta Don Kichot.

– Ja myślę, panie – odpowie Sancho – że ten mądry Merlin i owi czarownicy, co w zaklęciu trzymają całą gromadę ludzi, o których pan rozpowiadasz, musieli panu przez czary wpakować w głowę to wszystko, coś nam opowiadał i co jeszcze masz opowiedzieć, przysiągłbym na to, że tak jest.

– Nic by w tym nie było dziwnego, mój przyjacielu – odpowie Don Kichot – ale to nieprawda, bo ja wszystko na własne oczy widziałem i słyszałem na własne uszy; a co na to powiesz, Sancho, że pomiędzy tysiącem rzeczy, które mi pokazywał Montesinos, a które później opowiem, pokazał mi także trzy chłopki tańczące i wyskakujące na trawie, a ja w nich poznałem Dulcyneę i trzy jej towarzyszki, z którymi wtedy rozmawialiśmy. Pytałem się go, czy je

zna, powiedział, że nie, bo tu tak pełno rozmaitych księżniczek od wieku siedzi w zaklęciu i coraz nowe przybywają, że ich znać wszystkich niepodobna.

Sancho ledwie nie skonał ze śmiechu, słysząc mówiącego to Don Kichota, bo wiedział dobrze, co trzymać o Dulcynei, której sam był czarownikiem i nie wątpiąc już teraz, że jego panu całkiem się w głowie przewróciło.

– Mój najdroższy panie – rzekł do niego – po nieszczęście chodziliście na tamten świat i na wasze nieszczęście spotkaliście się z tym jegomością Montesinem, bo on wam całkiem w głowie popsuł! Tu na naszym świecie mieliście rozum zdrowy, jak Pan Bóg przykazał, mieliście takie mądre zdania na każde zawołanie i dobre rady dla każdego, kto ich chciał, a teraz bajecie najokropniejsze głupstwa na świecie.

– Znam cię dobrze, Sancho – odpowie Don Kichot – sam głupstwa pleciesz, a ja o nie nie dbam.

– Jakem poczciw i ja także nie dbam o wasze – rzecze Sancho – możecie mnie wybić i zabić, jak wam się podoba, a ja zawsze to będę mówił, bo trzeba, ażebyście się poprawili! Bo, proszę pana, tylko bez gniewu, po czymże to poznaliście panią Dulcyneę? coście jej mówili i co ona wam odpowiedziała?

– Poznałem ją – rzecze Don Kichot – bo była tak samo ubrana, jak wówczas. Mówiłem do niej, ale mi nic nie odpowiedziała, tylko odwróciła się tyłem i uciekła tak prędko, że ją zaraz z oczu straciłem; chciałem biec za nią, lecz Montesinos mi nie dał, mówiąc, że to na nic się nie przydało i że już czas, abym wracał na ten świat. Obiecał mi donieść, jak tylko odczarowany zostanie razem ze swymi towarzyszami. Ale najbardziej mnie zmartwiło to, że kiedy rozmawiałem z Montesinem, jedna z towarzyszek Dulcynei zbliżyła się do mnie i ze łzami w oczach po cichu mi mówiła:

– Dulcynea z Toboso, moja pani, całuje ręce waszej dostojności i o zdrowie wasze pyta, że zaś wielkiej znajduje się potrzebie, błaga was o pożyczenie dwunastu realów na tę spódnicę perkalikową i daje wam słowo, że niezadługo ją z zastawu wykupi...

Zdziwiłem się niezmiernie i pytałem Montesina, czy to podobna, ażeby tak znakomite księżniczki tak wielkiej znajdowały się tu potrzebie.

– Wierzaj mi, mości rycerzu – odpowiedział – że potrzeba wszędzie się przeciska, wszędzie dosięga, na wszystkich ludzi godzi i zaklętym nawet nie przepuszcza. Pani Dulcynea musi być w wielkiej potrzebie, kiedy przysyła cię prosić o dwanaście realów; zresztą zastaw dobry, ręczę ci, nie odmawiaj.

– Nie wezmę zastawu – rzekłem mu – a dwunastu realów dać nie mogę, bo mam tylko cztery, któreś mi użyczył, Sancho, na ubogich. Dałem je więc posłance i prosiłem, ażeby oświadczyła swej pani, iż jestem niezmiernie zmartwiony jej przykrym położeniem i że dopóty się nie uspokoję, dopóki nie będę miał szczęścia widzieć się z nią i mówić, oraz, że upraszam ją o tę łaskę, gdyż wie, jaką szaloną pałam ku niej miłością. Kazałem jej nadto oświadczyć, że jak książę Mantui poprzysiągł, że dopóty chleba pożywać nie będzie, dopóki nie pomści śmierci kuzyna swego, Baldwina, tak i ja poprzysięgam nie spocząć dopóty i po wszystkich częściach świata biegać, choćby ich tysiąc było, dopóki nie znajdę sposobu na odczarowanie jej dostojności.

– Słusznie się to należy od was mojej pani – odpowiedziała posłanka – a potem, zabrawszy cztery reale, zamiast się ukłonić, dała susa w powietrze na kilkanaście stóp wysoko i znikła.

– Ach! Najświętsza Mario! – zawołał Sancho, załamując ręce – czyż to podobna, ażeby czary i czarowniki tak ze szczętem popsuły głowę

najtęższą w Manchy? O, mój panie, mój najdroższy panie! upamiętajże się i przestań raz durzyć się takimi głupstwami.

– Wiem ja, mój dobry Sancho, że to przywiązanie do mnie takie ci słowa dyktuje – rzekł Don Kichot – nie masz doświadczenia w rzeczach tego świata i dlatego za niepodobne uważasz to, co tylko jest trudne do zrobienia, ale przyjdzie czas, mówię ci, iż ci opowiem takie dziwy, które tam widziałem, że o niczym wątpić nie będziesz.

Rozdział VII

W którym przedstawia się czytelnikowi tysiąc niedorzeczności, równie śmiesznych, jak potrzebnych do zrozumienia tej prawdziwej historii

Tłumacz Cyd Hameda Benegelego powiada, że doszedłszy do rozdziału o jaskini Montesina, na marginesie rękopisu znalazł ręką samego autora wypisane następujące wyrazy:

„Trudno mi wierzyć, aby wypadki, poniżej opisane, wydarzyły się istotnie wielkiemu Don Kichotowi, tak jak on je opisuje, a to z tej przyczyny, że wszystkie, które dotąd widzieliśmy, były możliwe i prawdopodobne, zdarzenia zaś w jaskini Montesina nie mają żadnego pozoru prawdopodobieństwa, sprzeciwiają się zupełnie zdrowemu rozsądkowi i rażą nadzwyczajnością. Nie mogę wszakże przypuszczać, aby Don Kichot, rycerz najzacniejszy i najszlachetniejszy, mógł się dopuścić kłamstwa; opowiada on tę przygodę tak drobiazgowo, że niepodobna jej nie wierzyć, zastanowiwszy się zwłaszcza, że w tak krótkim czasie nie mógłby tylu głupstw wymyślić. Bądź co bądź, zamieściłem ją tu, ani jej popierając, ani zbijając i pozostawiam czytelnikowi dowolny sąd w tym względzie, uprzedzam go tylko, iż powiadają, jakoby Don

Kichot umierając wyznał, iż wymyślił ją dla dokładniejszego naśladowania tego, co w księgach rycerskich wyczytał".

Przewodnik zdziwił się niezmiernie zuchwalstwem Sancha, a jeszcze bardziej cierpliwością jego pana i tłumaczył go tym tylko, że radość z oglądania ubóstwianej damy, tak mu serce zmiękczyła, iż znosił, jak baranek, zuchwalstwa, za które Sancho na sto kijów przynajmniej zasługiwał.

– Co do mnie, mości rycerzu – mówił do Don Kichota – dzień dzisiejszy uważam dla siebie za bardzo szczęśliwy, gdyż miałem zaszczyt poznać w nim waszą dostojność. Przyniósł on mi i inne korzyści, które wielką dla mnie mają cenę, dowiedziałem się cudownych rzeczy o jaskini Montesinos, o metamorfozie Guadiany i córek Ruidery, które przyniosą niemałą ozdobę mojemu *Owidiuszowi hiszpańskiemu*.

– Wielce się cieszę – odpowiedział Don Kichot – iż mogłem się przyczynić do objaśnienia panu rzeczy tak ważnych; ale powiedz mi pan, proszę, komu dedykować będziesz te dzieła, jeżeli tylko potrafisz uzyskać przywilej na ich drukowanie, o czym, prawdę powiedziawszy, trochę powątpiewam?

– Alboż to mało jest wielkich i znakomitych panów w Hiszpanii? – rzecze przewodnik.

– Nie tak wielu, jak myślisz – odpowie Don Kichot – bo większa ich część nie chce przyjmować dedykacji, ażeby nie być w obowiązku wynagradzania pracy i grzeczności autorów; znam jednak pewnego księcia, który przewyższa w uprzejmości i szczodrobliwości wszystkich innych panów, ale potem o tym, teraz pomyślmy o noclegu.

– Jest tu gdzieś blisko – rzecze młody bakałarz – chatka pustelnika, który dawniej był podobno żołnierzem, jest to bardzo zacny człowiek, a tak miłosierny, że własnym kosztem kazał wybudować

domek przy swojej pustelni dla podróżnych i gości, których tam podejmuje całym sercem.

– A ma on spiżarnię ten poczciwy pustelnik? – zapytał Sancho.

– Mało który pustelnik nie ma teraz zapasów – odpowie Don Kichot – bo to ci dzisiejsi nie tacy, jak owi w Tebaidzie, co się liśćmi palmowymi okrywali, a żyli korzonkami tylko. Nie mówię, ażeby i ci nie byli dobrymi chrześcijanami, jak tamci, ale teraz nie odprawiają tak surowych pokut, jak dawniej. Słowem, wszyscy oni są dobrzy, a chociażby i nie byli, to samotne ich życie każe o nich dobrze sądzić, bo hipokryta, który chce udawać człowieka dobrego, często nie tyle jest winnym, co jawnogrzesznik, chlubiący się ze swoich występków.

Kiedy tak rozmawiali, zbliżył się do nich idący naprzeciwko jakiś człowiek, który z pośpiechem gnał przed sobą muła, obładowanego włóczniami i halabardami. Zrównawszy się z nimi, pozdrowił ich i przeszedł mimo, ale Don Kichot zawołał na niego:

– Stój no, przyjacielu, zdaje mi się, że nie masz potrzeby tak poganiać biednego muła.

– Nie mogę się zatrzymywać – odpowie podróżny – bo ta broń, którą widzicie, potrzebna jest na jutro, muszę się więc spieszyć, ale jeżeli chcecie się dowiedzieć, po co tę broń wiozę, to ja dziś nocować będę w gospodzie za pustelnią, jeżeli przypadkiem i wam droga tamtędy, to mnie tam zastaniecie i cuda wam opowiem. Bywajcie zdrowi, panie, i do widzenia.

Mówiąc to, tak śpiesznie pognał muła, że Don Kichot nie zdążył go się o więcej spytać, ale że był zawsze ciekawy rzeczy nowych, a szczególniej takich, co zakrawały na jakąś przygodę, postanowił więc zaraz, że pojadą na noc do tej gospody i w pustelni nie staną. Wsiedli przeto na koń i o zmierzchu dojechali do pustelni, gdzie przewodnik radził wypocząć. Sancho skierował burego w tę stronę,

a Don Kichot pojechał za nim, ale jakby na złość Sanchowi, pustelnika w domu nie było, zastali tylko jego towarzysza, którego nasz poczciwy giermek zapytał, czy by tu nie dostał napić się czego, co bądź by to kosztowało. Odpowiedziano mu, że ojciec pustelnik nie ma wcale wina, ale jeżeli chcą wody, mogą jej dostać, ile się podoba i nic za nią nie zapłacą.

– Żebym chciał wody – odpowie Sancho – to miałem dość źródeł po drodze. Ach! – zawołał z głębokim westchnieniem – wesele Gamasza, gościnność Don Diega, jakież to piękne rzeczy! Ileż ja razy w życiu tęsknie wspominać was będę!

Widząc, że nie ma co robić w tej pustelni, ruszyli drogą ku gospodzie i jadąc, spotkali młodego chłopca, idącego sobie swobodnie ze szpadą na ramieniu i węzełkiem z manatkami; miał on na koszuli kaftan aksamitny, trochę wytarty, a na nogach pończochy jedwabne i buciki z safianu wschodniego. Gdy do niego podeszli bliżej, spostrzegli, że nie ma więcej nad lat osiemnaście, że jest sobie chłopczyną wesołym i grackim, a nudy pochodu rozrywa sobie piosneczką:

Na wojenkę idę, ale klnę co siły,

Diabłu bym ją oddał, gdyby grosze były.

– Gdzie to tak dążysz, mój mały – zapytał Don Kichot – jakoś mi strasznie leciutko jesteś ubrany?

– To tak z potrzeby, panie – odpowie – bo gorąco, a idę na wojnę.

– Że gorąco, to prawda, ale dlaczegóż mówisz, że z potrzeby?

– Mam w węzełku, panie – odpowie chłopiec – parę spodni aksamitnych, takich samych, jak ten kaftan, ale nie chcę ich szarzać w drodze, bo jakbym przyszedł do miasta, to by nie było się w czym dobrze pokazać, a pieniędzy nie mam na drugie, dlatego maszeruję sobie tak, bo mi gorąco, dopóki nie dojdę do pułku, który

stoi o dziesięć mil stąd, a do którego myślę się zaciągnąć; wolę służyć królowi, niż mieć za pana jakiego gołego szlachcica.

– A czy byłeś już w służbie przy jakim dworze – zapytał przewodnik – i czy ci się poszczęściło?

– Gdybym był – odpowie chłopiec – u jakiego granda Hiszpanii, albo u jakiego zacnego pana, to pewno by mi się było poszczęściło i miałbym dziś niezawodnie jakie porucznikostwo i żył sobie wygodnie, ale służyłem zawsze u chłystków, którzy płacą tak małą pensję, że połowa idzie na pranie i cudem byłoby, ażeby paź wyszedł na co od takich panów.

– Powiedzże mi, moje dziecko – rzecze Don Kichot – czyż podobna, ażebyś od czasu, jak zdatny jesteś do usług, prócz tych spodni, nie wysłużył sobie żadnego ubrania?

– Służyłem u dwóch panów – odpowiedział chłopiec – ale jak ukończyli interesy u dworu, odebrali mi zaraz liberię, wróciwszy zaś do domu, sprawiali ją tylko przez próżność i ażeby udawać wielkich panów.

– A, to niegodne – rzecze Don Kichot – w każdym razie bardzoś dobrze zrobił, żeś porzucił służbę dworską i zaciągasz się do wojska, bo nie masz nic w świecie uczciwszego i pożyteczniejszego, jak służyć naprzód Bogu, a potem królowi swojemu, zwłaszcza też zbrojnie. Bogactwa się tam niekoniecznie zbiera, ale za to człowiek nabywa sławy i honoru daleko więcej niż w zawodzie uczonym, czego już nieraz dowiodłem. Nauki więcej zapewne domów wsławiły, niż oręż, ale oręż ma w sobie coś szlachetniejszego i piękniejszego, co imieniu nadaje więcej blasku. Pamiętaj sobie dobrze, co ci teraz powiem, może ci się to kiedyś przyda i na pociechę posłuży. Owóż tedy powiem ci, że trzeba być zawsze gotowym na wszelkie wypadki, zawsze śmiałe stawiać czoło wszelkim przeciwnościom, z których najsmutniejszą wydaje się

śmierć, gdy się kto ze złego punktu na to zapatruje; ale kto umiera dobrze, ten nie powinien narzekać; śmierć chwalebna jest największym szczęściem na ziemi. Pytano raz Cezara, jaką śmierć uważa za najpożądańszą. Tę, która najnaglej przychodzi i której się najmniej spodziewa – odpowiedział. I odpowiedział bardzo dobrze, chociaż to był poganin i nie znał prawdziwego Boga; bo człowiek zacny powinien być zawsze dalekim od bojaźni śmierci. Alboż to nie wszystko jedno zginąć od kuli armatniej w pierwszej lepszej bitwie, albo od miny w powietrzu! I na łóżku śmierć znajdzie, zawsze trzeba umierać; słusznie mówi któryś ze starożytnych, że żołnierz, poległy na polu bitwy, daleko lepiej wygląda, niż żołnierz uciekający. O to zawsze idzie, żeby ściśle dopełniać swego obowiązku, nie uchylać się od posłuszeństwa i karności; i przestrzegam cię, moje dziecko, iż daleko piękniej jest, kiedy od żołnierza zalatuje proch niż wykwintne wonności i że choćbyś na starość był cały pokiereszowany i pokaleczony, będziesz miał w zysku sławę i honor, a te chlubne znamiona uchronią cię zawsze od wzgardy, jaką wzbudza nędza, i od samej nędzy nawet, bo zaczynają już pracować nad urządzeniem mieszkań i utrzymaniem dla starych i rannych żołnierzy. Śliczna to rzecz, bo nie godzi się z tymi zacnymi weteranami postępować tak, jak postępują nikczemni Maurowie, trzymając ich w służbie dopóty, póki zgrzybiałość niezdatnymi ich do niczego nie uczyni, a potem, wypędzając na Bożą wolę i w nagrodę tyłu usług głodną im śmierć gotując. Na ten raz więcej ci nie powiem, ale bardzo mi miło będzie, jeżeli zechcesz usiąść ze mną na konia i dojechać do gospody, gdzie razem zjemy wieczerzę, a jutro ruszysz w dalszą drogę, w której życzę ci tyle szczęścia, na ile zasługujesz.

Paź bardzo grzecznie wymawiał się od przyjęcia miejsca za siodłem; ale chętnie przyjął wieczerzę.

W czasie tej rozmowy Don Kichota powiadają, że Sancho w wielkim zdumieniu mówił sam do siebie:

– Przysięgam Bogu, że już teraz nic nie rozumiem; jakże, u diabła, człowiek, co takie piękne rzeczy prawi, może nas durzyć, że widział takie dziwy niepodobne do wiary w jaskini Montesina. Ja już teraz zupełnie głupieję i nie wiem, co myśleć, chyba, że w tym cielsku są dwie dusze: jedna głupia, a druga mądra.

Pod wieczór zajechali do gospodarza; Sancho, prócz wielkiej uciechy, że już tam przybyli, miał i tę jeszcze, że pan ją wziął za to, czym była istotnie, a nie za zamek żaden, jak to zwykle czynił.

Na samym zaraz wejściu Don Kichot pytał się gospodarza o owego człowieka z włóczniami i halabardami, a gdy mu odpowiedział, że jest w stajni, gdzie muła pilnuje, wszyscy zsiedli z siodeł i wierzchowce tam zaprowadzili.

Rozdział VIII

Jako z toku oślego wielka wyrosła przygoda, co wyprawiał pokazywacz marionetek i jak cudowne wróżby małpa czyniła

Don Kichot tak niecierpliwie pragnął dowiedzieć się owych cudów, które mu transportujący broń opowiedzieć przyrzekł, że poszedł zaraz do niego i wezwał do spełnienia obietnicy.

– O! proszę pana – odpowiedział podróżny – to się tak łatwo nie da wypowiedzieć, dużo to o tym gadać, trzeba na to czasu; pozwólcie mi tylko koło muła oporządzić, a jak się załatwię, to wam te cuda opowiem.

– A no, to dobrze, to się zwijaj – odpowiedział Don Kichot – ja ci sam pomogę.

I wziął się zaraz do przesiewania jęczmienia i czyszczenia żłobu, a tą pokorną uprzejmością tak sobie zjednał podróżnego, że ten

niebawem wyszedł ze stajni usiadł na studni i mając za słuchaczów: Don Kichota, Sanchę, przewodnika, pazia i gospodarza, tak rzecz swoją zaczął:

– Otóż tedy wiedzieć wam trzeba, panie, iż w jednej wsi, o pięć mil stąd, sędziemu tamecznemu przed niedawnym czasem zaginął osioł, jak powiadają, przez niedbalstwo, a raczej złośliwość sługi; na próżno się biedził i szukał go wszędzie, lecz w żaden sposób znaleźć nie mógł.

We dwa tygodnie może potem, gdy sędzia przechadzał się po rynku, inny urzędnik tameczny zbliżył się do niego i rzekł:

– Co mi dacie, kumie, jak wam powiem, gdzie wasz osioł?

– Dam wam, co chcecie, kumie, ale mi powiedzcie, co wiecie o nim i gdzie jest.

– Widziałem go dziś z rana – powie pierwszy – między górami, bez kulbaki i uzdy, wychudzonego jak szczapa, że aż litość bierze patrzeć; chciałem go przygnać do was, ale tak zdziczał, że gdy się do niego zbliżyłem, zaczął ligać i uciekł w góry; jeżeli chcecie, to pójdziemy razem poszukać go; zapędzę tylko moje bydlę do stajni i zaraz wracam do was.

– Bardzo wam będę obowiązany – odpowiedział sędzia – i daj Boże odwdzięczyć.

Tak słowo w słowo opowiadają to zdarzenie ci, co je dobrze znają. Poszli tedy oba w góry na to miejsce, gdzie rano był osioł, ale go tam nie znaleźli pomimo wszelkich wokoło poszukiwań. Zmordowawszy się nareszcie próżnym szukaniem, rzecze ten, co widział osła:

– Mój kumie, przyszedł mi do głowy niezawodny sposób wynalezienia twojego kłapoucha, choćby się skrył pod ziemię; umiem ja ryczeć doskonale i jeżeli tylko i wy umiecie, to niezawodnie zaraz go znajdziemy.

– Czy ja umiem – odpowie sędzia – a to dobre! i tak doskonale, że nikomu nie ustąpię, samym osłom nawet.

– A to wybornie – odpowie tamten – rozejdźmy się tedy jeden w jedną, a drugi w drugą stronę góry, wy zaczniecie ryczeć od czasu do czasu, a ja wam zacznę odrykiwać i chyba by się sam diabeł w tę sprawę wplątał, gdyby się osioł wasz nie odezwał, jeżeli tu gdzie jest.

– Na uczciwość, kumie – rzecze sędzia – śliczny pomysł i zaprawdę godzien twego rozumu.

Rozeszli się zaraz i tak się przytrafiło, że idąc obydwa razem zaryczeli, a obydwa tak doskonale, że każdy z nich myślał, że osioł się znalazł i biegł w stronę, skąd ryk pochodził, aż się nos w nos spotkali i wielce zadziwili.

– Czyż to nie mój osioł ryczał kumie? – zapytał sędzia.

– A nie, kumie – odpowie tamten – to ja ryczałem.

– Wy? – na to mu sędzia – czyż to podobna? przyznaję wam teraz, że istotnie nie ma różnicy między wami a osłem, przynajmniej co do beku, jak żyję nic podobnego nie słyszałem.

– Żartujecie sobie, kumie, ze mnie, wam to się należą te pochwały – powiedział drugi – bez pochlebstwa, najlepszym mistrzom moglibyście dawać nauki, macie głos mocny, oddech wytrzymujecie długo i doskonale udajecie; słowem, ja się poddaję i wszędzie rozgłaszać będę, że lepszy z was osioł niż ja, a nawet niż wszystkie osły razem.

– Dajcie pokój tym pochwałom, kumie – rzecze sędzia – nie mam ja tak dobrego mniemania o sobie, jak wy we mnie wmawiacie, ale po waszych pochwałach więcej się szacować będę niż wprzódy.

– Zaprawdę, mój kumie – rzecze drugi – wiele zdolności ginie w świecie, bo się nimi posłużyć nie umieją.

– No, nie wiem, na co się zdać może ta zdolność, której teraz obydwa daliśmy dowody, chyba jedynie na taki sam wypadek, jak i ten, a daj Boże, żeby i tu szczęśliwie posłużyła.

Nagadawszy sobie tyle grzeczności, rozeszli się znów i zaczęli szukać osła, porykując od czasu do czasu; ale raz wraz się mylili i ciągle do siebie biegali, myśląc zawsze, że osioł im się odzywa. Nareszcie, żeby już koniec temu położyć, umówili się, iż każdy będzie ryczał po dwa razy i tym sposobem się poznają. Obeszli całą górę wokoluteńko, ciągle rycząc, a ciągle nadaremno; osioł ani razu się nie odezwał. Ale jakże się miał odezwać, biedaczysko, kiedy znaleźli go nieżywego w najskrytszym zakątku lasu i na wpół już przez wilków zjedzonego?

– Dziwiłem się – rzekł jego właściciel – patrząc nań, że nam biedak nie odpowiada, a niezawodnie byłby nam odpowiedział, gdyby tylko słyszał nas ryczących; chybaby nie był osłem. Poniosłem stratę, to prawda, kumie, ale pocieszam się rozkoszą, jakiej doznałem, słysząc was ryczących.

– No, to chwała Bogu, kumie – odpowie drugi – ale zaprawdę, że jeżeli proboszcz dobrze śpiewa, to i wikaremu nie brak.

Wrócili do wsi niezmiernie znużeni i zachrypnięci i rozpowiadali wszystkim, jak osła szukali, wychwalając się wzajem pod niebiosa z doskonałego ryczenia. Niezadługo powiastka o tym rozeszła się na całą okolicę, a diabeł, co nigdy nie śpi i z lada bzdurstwa burdy wykluwa, tak się doskonale zawinął, że mieszkańcy okolicznych wiosek, jak tylko spotkali kogo z naszych, zaraz mu w nos beczeli, drwiąc sobie z naszych panów sędziów. Poszło to tak aż do dzieci, jak gdyby się wszyscy diabli z piekła w to wmieszali; z wioski do wioski rozpowiadano sobie powiastkę i mieszkańcy naszej wsi znani są teraz w okolicy, jak czarni między białymi. I przyszło do takiej zawziętości, że z tych szyderstw nieraz się wszczynały

zwady i bijatyki. Jutro albo pojutrze wszyscy nasi wybierają się pójść na sąsiadów z drugiej wsi o dwie mile, którzy nam najbardziej dogryzają. Dla większej pewności i bezpieczeństwa ja oto zakupiłem te włócznie i halabardy, coście widzieli. Macie tedy te dziwy, com wam miał opowiedzieć; więcej wam nie powiem, bo nic nie wiem.

Tak zakończył swoje opowiadanie wieśniak, a w tej chwili właśnie wszedł do gospody człowiek ubrany w łosiowy kaftan, takież spodnie i kamasze i rzekł do gospodarza:

– Panie gospodarzu, czy możecie mi zaraz dać próżną izbę? mam tu z sobą małpę, która zgaduje, i obraz oswobodzenia Melisandry.

– Jak to – rzecze gospodarz – toć to wy, majstrze Piotrze! wybornie! dopieroż to będziemy bawili dziś wieczorem! Witajcież mi, witajcie! Gdzież ta małpa i ten obraz, że ich nie widzę?

– Niedaleczko – odpowie przybyły – tylko ja naprzód przyszedłem się dowiedzieć, czy będzie je gdzie pomieścić.

– Oho, odmówiłbym księciu Alby, a majstra Piotra pomieścił – odrzecze gospodarz – jest tu dosyć ludzi, co za widzenie dobrze zapłacą.

– Dobrze, dobrze – odpowie majster Piotr – a ja taniej pokażę dla dobrej kompanii, na małym przestając, byle koszta opędzić. No, idę teraz po wózek i zaraz wracam.

Zapomniałem powiedzieć, że ten majster Piotr miał na lewym oku wielki plaster z zielonej materii, zakrywający mu pół twarzy, co dowodziło, że z tej strony musiał jakiś szwank ponieść.

Don Kichot zapytał gospodarza co to za jeden ten majster Piotr i co znaczy ta jego małpa i ten obraz.

– Jest to – odpowiedział gospodarz – nieoszacowany pokazywacz marionetek, który od niedawna jeździ w tych stronach i pokazuje obraz Melisandry, własną ręką Don Gaiferosa malowany; nic piękniejszego tu jeszcze nie widziano. Ma także małpę tresowaną;

jak jej się pytać o co, słucha pilnie, potem wskakuję panu na ramię i do ucha szepce mu odpowiedź na pytanie, a majster Piotr powtarza ją wszystkim. Gada więcej o tych rzeczach, co się już stały, niż o tym, co ma być, a chociaż nie zawsze trafi dobrze, bardzo rzadko omyli się i z tego powodu wiele ludzi sądzi, że to musi być wcielenie diabła.

Za każde pytanie płaci się dwa reale, jeżeli małpa odpowie, rozumie się; albo raczej, jeżeli majster Piotr odpowie za nią, jak mu szepnie do ucha; i tyle majster Piotr zbiera, że uchodzi za bardzo bogatego. A przy tym jest to człowiek niezmiernie miły i dobry; gada za sześciu, pije za dwunastu, żyje sobie jak pan, a to wszystko ze swego przemysłu.

W tej chwili przybył majster Piotr z wózkiem i małpą, która była bardzo wielka, bez ogona, z pośladkiem gęsto obrosłym i bardzo zabawna.

Jak ją tylko obaczył, Don Kichot chciwy przygód zaraz jej zapytał:

– Piękna moja wróżko, cóż mi powiesz o moim losie? oto masz dwa reale.

Majster Piotr, odpowiadając za małpę, rzekł:

– To zwierzę, panie, przyszłości nie przepowiada, mówi tylko o przeszłości i trochę o teraźniejszości.

– He, zjadła sto kaduków – zawołał Sancho – niech mnie diabli porwą, jeżelibym dał szpilkę za to, żeby mi kto gadał, co mi się już przytrafiło! A któż to lepiej wie, aniżeli ja sam? musiałbym być dopiero głupim, żebym płacił pieniądze za naukę tego, co sam najlepiej umiem! Ale kiedy ona taka mądra, to niechże mi powie ta pani małpa, co teraz robi moja żona Teresa Pansa, a oto zaraz dwa reale.

Majster Piotr oświadczył, że nie bierze pieniędzy z góry i że trzeba czekać na odpowiedź małpy. Palcem wskazał na ramię, małpa

wskoczyła i zbliżywszy mu pysk do ucha zaczęła szczękami ruszać drobniuchno, jak gdyby mu coś szeptała i w jedną „Zdrowaśkę" zeskoczyła na ziemię.

Majster Piotr w tej chwili rzucił się na kolana przed Don Kichotem i całując go w udo, zawołał z wielką radością:

– Całuję to udo, jakbym całował kolumny Herkulesa. O wielki wskrzesicielu dawnego rycerstwa błędnego! O znamienity i słynny rycerzu Don Kichocie z Manchy, podporo słabych! ochrono uciśnionych! pociecho strapionych! opiekunie i orędowniku wszystkich nieszczęśliwych!

Don Kichot zdumiał się, Sancho z przestrachu zdrętwiał, przewodnik i paź osłupieli, słowem, wszyscy obecni strasznie się zdziwili, słysząc tak mówiącego majstra Piotra, a on, zwracając się do Sanchy, rzekł:

– I ty, o poczciwy Sancho Pansa, najlepszy giermku najlepszego z rycerzy, ciesz się, że masz najlepszą żonę w świecie, twoja Teresa w tej chwili przędzie tak pracowicie, że obok niej stoi garnek u góry otłuczony z dwoma kwartami wina dla orzeźwienia się przy pracy.

– Do stu katów, wierzę bardzo – rzecze Sancho – moja Teresa porządna kobieta, co się zowie, i gospodarna jak rzadko; i gdyby nie była tylko zazdrosna, nie zamieniłbym jej za olbrzymkę Andandonę, którą mój pan tak chwali, że była dobrą gospodynią. Oho, nie umrze ona z głodu ani pragnienia, choćby się jej spadkobiercy powściekali.

– Zaprawdę – przerwie Don Kichot – słusznie to mówią, że podróżowaniem i czytaniem człowiek się dużo uczy. Któż by teraz uwierzył, że są małpy, co zgadywać umieją? Co do mnie, nigdy nie dałbym wiary, gdybym na własne oczy nie widział. Panowie, ja jestem istotnie ten Sam Don Kichot z Manchy, jak powiedziało to zwierzę, wyjąwszy może, że tyle jeszcze zasług nie

mam, ile mi przyznano; ale w każdym razie dziękuję Bogu, że mi dał serce dobre i gotową chęć służenia wszystkim.

– Gdybym miał pieniądze – odezwał się paź – prosiłbym małpy, żeby mi przepowiedziała, co się ze mną stanie.

– Panie – rzecze majster Piotr – już powiedziałem, że moja małpa przyszłości nie przepowiada, a gdyby to umiała i pieniędzy by nie trzeba; obecność i przyjaźń dostojnego Don Kichota tak wysoko cenię, że dla wszystkich pokażę obraz darmo, bez żadnej zapłaty, bo rad bym okazać temu rycerzowi, że cały jestem na jego usługi.

Gospodarz uradowany wyznaczył zaraz miejsce na widowisko i zajęto się przygotowaniami. Kiedy majster uwija się około urządzenia obrazu, Don Kichot z Sanchem długą miał rozprawę nad dziwną zdolnością tej cudownej małpy, zapewniał go, iż po długim rozmyśle doszedł do niezawodnego przekonania, jako ta małpa działa za sprawą złego ducha, któremu właściciel jej duszę swoją zaprzedał dla podłego zysku. Dlatego to ona mówi o przeszłości i teraźniejszości, bo diabeł o przyszłości nic nie wie; a jedna tylko astrologia czytać w niej umie.

W tej chwili przyszedł majster Piotr, oświadczając, że wszystko gotowe i czeka na Don Kichota; rycerz nasz wszakże nie poszedł zaraz, tylko żądał od majstra Piotra, żeby się jeszcze małpy zapytał o pewne rzeczy, które mu się wydarzyły w jaskini Montesina. Po zwykłej ceremonii małpa szepnęła żądaną odpowiedź do ucha panu, a ten ją tak objawił Don Kichotowi:

– Mości rycerzu, małpa powiada, że część rzeczy, które widziałeś w jaskini, jest prawdopodobna, a druga część wątpliwa; że tyle tylko odpowiedzieć umie na to pytanie i że jeżeli chcesz więcej się dowiedzieć, to w przyszły piątek odpowiadać będzie na wszelkie zapytania.

W tej chwili zdolność zgadywania opuściła ją zupełnie.

– A co, czym nie mówił, panie, że te awantury nie mogą być prawdziwe? Oho, ledwo połowa prawdy.

– Później się o tym dowiemy – rzecze Don Kichot – czas wszystko na świecie wykrywa, ale dość tego, chodźmy teraz obejrzeć obraz majstra Piotra, pewno tam będzie coś nowego i dobrego.

– Jak to coś? – zawoła majster Piotr – tysiąc rzeczy! Wierzaj mi, mości rycerzu, mówię ci to po przyjacielsku i bodajem tak na swoim rzemiośle nigdy grosza nie zarobił, że to najpiękniejszy i najciekawszy obraz w całej Europie. Ale sam zobaczysz; chodźmy tylko prędko, bo już późno, a mamy wiele do mówienia i pokazywania.

I poszli wszyscy do izby, w której stał obraz oświetlony mnóstwem maleńkich świeczek. Majster Piotr schował się w tył, bo on to poruszał figurki, a na przodzie stał chłopczyk z laseczką w ręku, który tłumaczył ich ruchy i znaczenie. Cała kompania zasiadła i grać zaczęto.

Rozdział IX

W którym opisane jest przedstawienie marionetek i wiele innych nader ciekawych rzeczy

Obecni w uroczystym milczeniu spoglądali na obraz. Ogromny hałas trąb i cymbałów i kilkakrotny wystrzał z armaty, zapowiedziały widowisko. Chłopczyk, służący za tłumacza, podniósłszy głos, rzecze:

– Panowie! Oto widzicie przedstawienie, zebrane z francuskich kronik i romansów hiszpańskich, nader prawdziwej historii, zna ją świat cały. Zobaczymy naprzód zwolnienie Melisandry przez Gaiferosa, jej męża, z mauretańskiej niewoli, z miasta Sansueguy, dziś zwanego Saragossą. Patrzcie więc pilnie, jak niewierny Don

Gaiferos zagrał się w warcaby i wedle słów pieśni, zapomniał o Melisandrze.

Jugando esta a las tablas don Gaiferos,
Que y a de Melisandra esta olvidado.

Osoba, którą tu widzicie, wyższa od innych, z koroną na głowie, berłem w ręku, przedstawia wielkiego Karlomana cesarza, domniemanego ojca pięknej Melisandry. Widzicie, jak monarcha ten, widząc niedbalstwo zięcia, zbliża się i mnogie mu czyni wyrzuty! Uważajcie, panowie, jak groźny jest gniew jego! Zdaje się, że ma zamiar roztrzaskać głowę zięciowi uderzeniem berła (wielu autorów utrzymuje, że cesarz, ukazawszy Gaiferowi błędy jego i zaniedbanie uwięzionej przez Maurów żony, dał mu wreszcie kilka silnych kułaków). Uważajcie, jak cesarz, udzieliwszy pełnymi rękami przestróg zięciowi, patrzy nań dumnie przez ramię! widzicie Gaiferosa? Uniesiony obelgą, wyrządzoną przez teścia, odpycha gniewnie szachownicę, przy której grał z damami i rozkazuje, aby mu przyniesiono zbroję. Teraz znów prosi krewnego swego, Rolanda, o jego dzielną szpadę Durandalę, Roland odmawia, bo sam chce towarzyszyć mu w wyprawie, lecz Don Gaiferos rzecze, że sam jeden wystarczy do uwolnienia żony, chociażby nawet o sto pięćdziesiąt mil za antypodami była. Patrzcie! teraz chodzi, aby przywdziać zbroję i puścić się w drogę. Panowie! raczcie następnie zwrócić uwagę na wieżę, która wam się przedstawia; to jedna z baszt strzegących zamku Saragossy, znana pod imieniem Aliaferii, a ta dama na balkonie w mauretańskim stroju, to nieporównana Melisandra. Ona z tego miejsca lubi poglądać na drogę ku Francji wiodącą, pocieszając się wspomnieniami męża i dobrego miasta Paryża. Teraz! teraz! panowie! rzecz cudowna postrzegać się daje. Widzicie tego Maura, który, trzymając palec na ustach, zbliża się

skrycie, staje cicho przy Melisandrze i dotyka jej ramienia? Ona odwraca głowę, a zuchwalec całuje ją w usta! Ach, panowie! uważajcie tylko, jak znieważona piękność rękawami od koszuli z rozpaczą obciera sobie usta. Jak narzeka żałośnie! I znów cała we łzach wyrywa piękne blond włosy, jakby je karać chciała za zuchwalstwo natręta. Teraz, czy widzicie tamtego Maura, co surowy, milczący stoi na wierzchu galerii? To Marsile, król Sansueguy; widział pocałunek młodego Maura i bez względu, że ten był jego krewnym i ulubieńcem, rozkazuje strzelcom swojej gwardii, aby oprowadziwszy go po ulicach, dali mu dwieście bykowców na publicznym placu. Patrzcie! strzelcy wychodzą wykonać wyrok natychmiast, bo u Maurów instrukcja sprawy ani apelacja nie ma miejsca. To nie tak, jak u nas!

– Hola! hola! przyjacielu – przerwał Don Kichot – zostaw uwagi na potem, a opowiadaj rzecz po prostu, inaczej zgubimy wątek historii.

– Malcze! – zawoła majster Piotr ze swego ukrycia – nie baw się bajaniem niepotrzebnych rzeczy i mów po prostu, jak ci ten pan rozkazuje.

– Oto znów – rzecze dalej chłopiec – zjawia się na koniu okryty płaszczem szerokim z kapturem Don Gaiferos.

Melisandra, uspokojona po ukaraniu zakochanego Maura, odzywa się z wieży do Gaiferosa, mniemając, że to jest jakiś wędrowny cudzoziemiec. Rozmawiają z sobą podług ścisłych prawideł romansu:

– „Rycerzu! jeżeli do Francji jedziesz, zażądaj widzenia się z Don Gaiferosem”. No! nie będę wam powtarzał całej rozmowy, bo mógłbym znudzić słuchaczów, dosyć, że wreszcie Gaiferos poznać się daje, a Melisandra uradowana spuszcza się z balkonu, ażeby usiąść za siodłem małżonka. Ale nieszczęście prześladuje

zawsze dobrych ludzi! Melisandra zaczepia się spódnicą o kratę krużganku. Patrzcie! jak wisi w powietrzu! Niestety! któż ją wesprze w tak ciężkiej potrzebie? Ale przekonacie się, panowie, że niebo nie opuszcza nas w nagłym wypadku. Oto Don Gaiferos zbliża się i nie zważając, że rozdziera bogatą spódnicę, ściąga na dół Melisandrę, sadza ją okrakiem, po męsku, za siodłem, zaklinając, aby mocno trzymała się jego pasa, bo rumak pędem wichru unosić ich będzie. Czy słyszycie, panowie, radosne rżenie rycerskiego konia? on cieszy się, unosząc podwójny ciężar na sobie! Patrzcie, oto opuszczają już miasto i uradowani, z weselem w sercu, pędzą do Paryża. O śpieszcie, śpieszcie, mili kochankowie! Zdrowi i weseli przybądźcie do waszej ukochanej ojczyzny! Niech dobra gwiazda błyszczy wam w podróży! A potem... potem... wśród krewnych i przyjaciół, żyjcie Nestorowe lata w cichym pokoju.

– Powoli, powoli, chłopcze! – krzyknął majster Piotr – nie leź tak wysoko, bo upadek boleśniejszy będzie.

Chłopiec ciągnął dalej, nic nie odpowiadając Piotrowi:

– Wkrótce spostrzeżono ucieczkę Melisandry. Uwiadomiony król Mersile rozkazał dzwonić na trwogę, słyszycie? zdaje się, że miasto zapadnie od ogromnego dźwięku na gwałt bijących dzwonów.

– Ale gdzie tam! – zawoła Don Kichot – mylicie się, głupcy. Maurowie nie używają dzwonów, bębny i cymbały służą im w podobnej okoliczności. Jakaż to gruba niewiadomość powiedzieć, że w Sansueguz uderzono w dzwony!

– I, nie uważaj pan na takie bzdurstwa, mości rycerzu – rzecze majster Piotr. – Przecież co dzień w Hiszpanii przedstawiają komedie pełne podobnych błędów, a jednak wzbudzają one uwielbienie widzów. Dalej, chłopcze! aby tylko sens był, mniejsza o reguły.

– Masz rację, kochanku! – rzecze Don Kichot – dlaczegóż miałbyś lepiej czynić niż inni.

– Otóż widzicie, panowie! – mówił dalej chłopiec. – Teraz liczna kawaleria wyjeżdża w pogoń za zbiegłymi, ileż tu trąb, cymbałów i bębnów brzmi ze wszech stron w powietrzu! Lękam się, aby nie schwytano nieszczęśliwych! Przeraża mnie myśl, że zobaczymy miłosną parę, przywiązaną do końskich ogonów i wleczoną w tak sromotny sposób.

Don Kichot, jakby obudzony tymi słowy, widząc wielką liczbę Maurów i słysząc hałas wojennej muzyki, sądził, że istotnie nadszedł czas pośpieszenia na pomoc uciekającym kochankom i porwawszy się gwałtownie, zawołał z gniewem:

– Za kogóż mnie biorą? o! nie powiedzą, że ścierpiałem, ażeby w oczach moich wyrządzono gwałt sławnemu rycerzowi Don Gaiferosowi! Wstrzymajcie się, nędznicy! lub będziecie mieli do czynienia z Don Kichotem z Manchy!

To mówiąc, z mieczem w ręku rzucił się w stronę obrazu i zaczął tak silnie rąbać i przebijać Maurów, że gdyby pokazywacz marionetek nie usunął się, rozciąłby mu głowę, równie jak jego figurkom.

– Na miłość Boską, panie rycerzu! – krzyczał majster Piotr – przestańcie niszczyć moje figurki, przecież to nie są prawdziwi Maurowie, zrujnujecie mnie ze szczętem.

Na nic się nie przydały narzekania Piotra, Don Kichot zawzięcie rąbał nieprzyjaciela i w jedno *Zdrowaś Maria* wszystko powalił na ziemię. Król Marsile był niebezpiecznie raniony. Wielkiemu Karlomanowi ucięto głowę. Trwoga ogarnęła całe towarzystwo, małpa uciekła na dach. Opowiadacz i paź zdziwili się niezmiernie, nawet Sancho mocno był przerażony, mówiąc później, że nigdy Don Kichota nie widział w tak wielkim gniewie. Po rozbiciu nieprzyjaciół Don Kichot, pozostawszy sam na polu walki, nie chciał pastwić się nad umierającymi i zabierać łupów

z pobojowiska. Otarł po trzykroć twarz uznojoną i uspokojony już cokolwieczek, rzecze:

– Chciałbym, ażeby wszyscy, którzy nie wierzą w użyteczność błędnego rycerstwa na świecie, byli tu przytomni. Cóż by się stało z Gaiferosem i piękną Melisandrą, gdyby mnie tu nie było? któż by przeszkodził tym psom niewiernym znieważać uciekającą parę! Niech żyje błędne rycerstwo! na złość zazdrosnym i niedowiarkom, którzy nie mają dosyć odwagi, by służyć pod jego sztandarem. Niech żyje w wieczystej sławie! A kto by mówił przeciwnie, niech mi tu zaraz wystąpi!

– A niech sobie żyje – rzecze majster Piotr żałosnym głosem – ja to niech umrę nędzny, bo dzisiaj mogę jak król Rodryg powiedzieć: „Wczoraj byłem władcą i panem Hiszpanii, a dzisiaj nie posiadam ani jednego cala ziemi na własność. Mój Boże! przed chwilą jeszcze miałem dwór tak piękny, rozkazywałem królom i cesarzom, posiadałem armię niezliczoną konną i pieszą, kufry moje pełne były bogatych rupieci, a teraz, sam, opuszczony, przywiedziony do żebractwa zostałem. Nawet małpa, ostatni środek ratunku, uciekła ode mnie. A wszystko to uczynił ten niewdzięczny rycerz, którego nazywają wsparciem sierot i wdów, przedmurzem uciśnionych. Dla wszystkich pełen litości, dla mnie okrutnym się okazał".

Sancho Pansa, rozczulony do łez lamentami Piotra, pocieszał go jak umiał, zapewniając, że pan jego, waleczny Rycerz Posępnego Oblicza, wynagrodzi mu poniesione straty.

Zdumiony Don Kichot zapytał, o jakich by mówiono stratach, a gdy mu majster Piotr rzecz jasno przełożył, rzecze:

– Znowuż więc przeklęci czarownicy prześladować mnie zaczęli; zapewniam was, że widziałem istotnych Maurów, ich króla Marsila i cały jego orszak i dlatego uderzyłem na nich. W moich oczach

piękna Melisandra i Gaiferos niknęli w tumanach kurzu z pobojowiska... lecz sam tylko powinienem cierpieć na tym, dlatego zapłacę majstrowi stratę jego figurek.

Ucieszony Piotr rzucił się do nóg Don Kichota i wybrawszy gospodarza i Sanchę na mediatorów, jęli oceniać z kolei wszystkie popsute figurki, gdy przyszło jednak do oszacowania rozprutego cięciem miecza łona Melisandry, Don Kichot zawołał:

– Kłamcy jesteście! Wszyscy inni poginąć mogli i za tych słusznie zapłacę, ale niech nikt nie usiłuje przekonać mnie, że Melisandra nie żyje. Ona bowiem, zbawiona siłą dzielnego ramienia mojego, obecnie już w objęciach małżonka na dworze potężnego Karlomana spoczywa.

Majster Piotr, widząc, że zacny rycerz znów zaczyna bredzić, przyznał się do pomyłki, dowodząc, jakoby niewiasta z rozszarpanym łonem była jedną z poufałych Melisandry; następnie przystąpiono do oszacowania pozostałych figurek. Don Kichot rozkazał wreszcie zapłacić Piotrowi dziesięć liwrów i całe towarzystwo, zadowolone z rezultatu, udało się na wieczerzę.

Nazajutrz rano wyjechał prowadzący włócznie i halabardy. Opowiadacz wczorajszych przygód Melisandry i paź pożegnali się z Don Kichotem i obdarowani należycie odeszli. Majster Piotr zaś, zadowolony wynagrodzeniem rycerza, zabrawszy szczątki swoich marionetek, znikł wcześniej jeszcze.

Don Kichot hojnie zapłacił gospodarzowi i pozostawiwszy go w głębokim zdumieniu nad jego głupotą i hojnością, o godzinie ósmej z rana dosiadł rumaka i w dalszą puścił się drogę.

Pozostawimy go na chwilę, a zajmiemy się opowiedzeniem wypadków, niezbędnych do wyjaśnienia naszej historii.

Rozdział X

W którym dowiadujemy się, kto był majster Piotr i jego małpa, oraz o fatalnych skutkach wystąpienia Don Kichota w sprawie o beczenie osłów

Czytelnicy przypominają sobie zapewne, że w pierwszej części obecnej historii niejaki Gines z Pasamonte, złośliwie Ginesillem de Parapilla zwany, którego Don Kichot razem z innymi galernikami wspaniale wyzwolił, ukradł później Sancho Pansy osiołka. Zapomniano opowiedzieć w owym miejscu, jakim to uczynił sposobem. Oto po prostu naśladował wynalazek, jakiego użył Brunei, zabierając konia Sacripantowi pod twierdzą Albraque. Podniósł go z siodłem do góry, a następnie utwierdziwszy silnie siodło na czterech kijach, nad ziemią tak pozostawił. Wiemy już, że Sancho odzyskał później swojego osiołka.

Owóż ten Gines z Pasamonte, chroniąc się przed pogonią sprawiedliwości, chcącej ukarać go za wszystkie jego czyny w pamiętnikach przez niego samego określone, przylepił sobie plaster na jedno oko, kupił od kupców z Barbarii powracających małpę, którą różnych sztuk wyuczył, i tak przebrany jako pokazywacz marionetek wędrował swobodnie po kraju.

Skoro przybywał do jakiego miejsca, wprzód zbierał starannie rozmaite o mieszkańcach wieści, a tak objaśniony, podczas widowiska rozkazywał skinieniem małpie, aby wskakiwała mu na ramię; wiadomo, że te zwierzątka mają zwyczaj poruszać pyszczkiem, co nawet pacierzem małpim się zowie. Otóż nasz majster, wysłuchawszy jakoby takiego szeptania małpy, opowiadał spektatorom zebrane wprzód o nich wiadomości, twierdząc, że mu je czarodziejska małpa opowiada; takim sposobem on i zwierzątko zyskali niemałą w okolicach sławę, a przebiegły Gines, drwiąc z łatwowierności wieśniaków, napychał worek ich talarkami.

Spotkawszy Don Kichota i Sanchę w opisanej już austerii, a znając ich usposobienie, łatwo było Ginesowi zainteresować ich swymi błędnymi bohaterami. Otóż i wszystko, co mieliśmy do powiedzenia o majstrze Piotrze i małpie jego, powróćmy teraz do Don Kichota.

Rycerz Posępnego Oblicza, wyjechawszy z karczmy, zamierzył przewędrować brzegami Ebru, zanim by udał się do Saragossy na dzień turniejowy.

W ciągu dwudniowej podróży nic ważniejszego nie zaszło, trzeciego dnia jednak, wjeżdżając na niewielki wzgórek, usłyszał nasz rycerz ogromny łoskot bębnów, trąb i tętent wielu koni. Wjechawszy spiesznie na szczyt pagórka, spostrzegł około dwustu ludzi konnych i pieszych, uzbrojonych w lance, pałasze, muszkiety lub toporki. Don Kichot natychmiast zbliżył się do owego regimentu i dostrzegł między innymi chorągiew z białego atłasu, na której wymalowano osła naturalnej wielkości z wyciągniętą szyją, otwartymi nozdrzami i wypuszczonym ozorem, jakby beczeć mającego. Naokoło osła następującą umieszczono dewizę:

Nie na próżno powszechne to wieści rozniosły,

Że nasi konsulowie beczeli jak osły.

Po takiej dewizie nie wątpił Don Kichot, że spotkali mieszkańców wsi Ośle Beki i nadmienił zaraz Sanchy, że ów, który opowiadał im historię o sędziach, co beczeli szukając osła, skłamał; albowiem, jak o tym łatwo z dewizy przekonać się mogli konsulowie, nie zaś sędziowie ośli bek naśladowali. Sancho uczynił uwagę, że sędzia, tak dobrze jak i konsul osła naśladować może, a Don Kichot, mimo odradzań giermka, wmieszał się wkrótce w tłum zbrojny, a przebywszy całą kolumnę i stając wreszcie przy samej chorągwi w kole dowódców wyprawy, podniósł przyłbicę i korzystając

z powszechnego osłupienia na widok swej dziwacznej postaci, tak mówić zaczął:

– Panowie! Zaklinam was na honor rycerski, nie przerywajcie słów moich, jeżeli będą nudne, powiedzcie, a przestanę mówić. Panowie! jestem rycerz błędny. Włócznia i rumak, miecz i tarcza, to moje rzemiosło; sądzę, że mam niejakie prawo decydować w sprawach, które oręż rozstrzyga, słyszałem już o wyrządzonej wam obrazie, za którą ustawicznie do walki stajecie, lecz pozwólcie, jeżeli poważę się utrzymywać, że nie macie dość ważnego do potyczki powodu, zniewaga nie może dotykać wszystkich, bo narodu całego zniweczyć niepodobna, chyba zowiąc go w ogólności plemieniem zdrajców. Tak uczynił niegdyś Don Diego Ordonez de Lara, gdy wszystkich mieszkańców Zamory zdrajcami nazwał, nie wiedząc, że tylko Sanwellier Delfos zamordował swego monarchę. Takie oskarżenie obudziło słusznie powszechną zemstę obywateli Zamory, bo wreszcie przyznajmy, że Don Diego przebrał miarę zniewagi. Oskarżał bowiem o zdradę nawet umarłych, dzieci te, co dopiero narodzić się miały, wodę, zboże na pniu stojące itp., ale z drugiej strony usprawiedliwia go nadzwyczajny gniew, jakim słusznie ów rycerz był przejęty.

Ludzie mądrzy i narody cywilizowane tylko dla ważnych pobudek biorą się do oręża. W obronie religii, ojczyzny, honoru, pod sztandarami monarchy w sprawiedliwej wojnie godzi się rycerzowi nadstawiać piersi swoje; ale o rzeczy błahe, w których żart raczej niż zniewaga się mieści, nie wolno jest krwi przelewać bez narażenia się na Boską karę i ludzką nienawiść.

Don Kichot zamilkł na chwilę dla nabrania w płuca powietrza, a widząc uroczyste milczenie wojowników, zgromadzonych pod oślim sztandarem, z nowym zapałem gotował się prowadzić rzecz swoją, gdy Sancho rozumiejąc, że pan jego zakończył już rycerską

proklamację, a nie mogąc dłużej utrzymać języka za zębami, z oratorską zawołał powagą:

– Jaśnie wielmożny Don Kichot z Manchy, zwany inaczej Rycerzem Posępnego Oblicza, a dzisiaj Rycerza Lwiego noszący miano, jest wielce uczonym człowiekiem, i nie tylko dzielnie władać orężem, ale i po łacinie gadać potrafi. Lecz nade wszystko słusznie utrzymuje, że nie macie powodu gniewać się o jakieś ośle beki. Ja sam przecież, gdy byłem małym pacholęciem, naśladowałem ryk osła tak udatnie, że powszechną rówieśników moich obudzałem zazdrość. Cóż czynić? każdy chce światu swój talent okazać. Żebyście nie myśleli, szanowni wojownicy, że żartować sobie z was zamierzam, to obecnie jeszcze przekonać was o prawdzie słów moich potrafię, posłuchajcie.

I dzielny nasz giermek przyłożył ręce do obu stron twarzy, a zatkawszy nos palcami, począł przeraźliwie beczeć, naśladując ryk osła z przedziwnym skutkiem. Gdy przestał na chwilę dla nabrania oddechu, jeden z oburzonych wojowników uderzył go tak silnie drągiem w głowę, że biedny kopista spadł pod nogi oryginału.

Don Kichot, widząc giermka zrzuconego z osła, chcąc pomścić się za wyrządzoną mu zniewagę, z podniesioną włócznią uderzył na zbrojne tłumy; lecz kilka uderzeń drągiem po rycerskich jego plecach i powszechny atak wojowników oślego sztandaru sprawił niespodziewany skutek. Niezwyciężony bohater z Manchy spiął ostrogami chude boki Rosynanta i jak mógł najśpieszniej uciekać zaczął.

Pozwolono mu oddalić się spokojnie i posunięto umiarkowanie do tego stopnia nawet, że kilku mieszkańców Oślego Beku, podsadziwszy Pansę na osła, wyprawiło go w ślad za zbiegłym rycerzem. Tak zakończyła się wyprawa oślego regimentu. Ucieszeni

triumfem, powrócili do wioski, zamierzając na miejscu pobojowiska postawić okazały pomnik na pamiątkę odniesionego zwycięstwa.

Rozdział XI

O wielkich rzeczach, o których, jak mówi Benengeli, dowie się ten, co będzie o nich czytał, jeżeli czytać będzie z uwagą

Don Kichot, nie myśląc o zgubnym położeniu, w jakim zostawił biednego Sanchę, wolał uciec, niżeli narazić się na wściekłość rozjątrzonego tłumu, i zatrzymał się dopiero na miejscu dość oddalonym od wszelkiego niebezpieczeństwa.

Sancho wsadzony, jakeśmy wyżej powiedzieli, na swego osła, pędził za panem i dopiero ujrzawszy się obok niego, odzyskał czucie i spadł pod nogi Rosynanta. Don Kichot zeskoczył żywo na ziemię, aby się przekonać, czy giermek nie jest ranny, a nie znalazłszy żadnego draśnięcia, rzekł rozgniewany:

– Na nieszczęście tylko skusiłeś się beczeć, mój przyjacielu! Gdzie u diabła słyszałeś, aby mówiono o postronku wobec przyjaciół lub krewnych powieszonego? jakiej zapłaty mogłeś się spodziewać za swoją muzykę, jeżeli nie kijem po grzbiecie? Oj! oj! Sancho, i tak powinieneś Bogu dziękować, że zamiast kija, nie użyto broni!

– Nie mam co na to odpowiedzieć – rzekł biedny Sancho – moje boki dosyć odpowiadają za mnie; wsiądźmy na wierzchowców i oddalmy się stąd... zaręczam panu, że już nigdy w życiu beczeć nie będę! Ale wyznać muszę, że błędni rycerze tęgo umieją zmykać i nie troszczą się wcale o swoich biednych giermków, choć ich zostawią pod razami nieprzyjacielskich kijów.

– Cofnąć się a zmykać, to nie jedno – odpowiedział Don Kichot – trzeba ci wiedzieć, mój Sancho że męstwo, niepowściągane rozsądkiem, jest tylko zuchwalstwem, oraz, że czyny człowieka

zuchwałego więcej mają styczności z jego szczęściem, aniżeli z odwagą. Powtarzam ci raz jeszcze, żem się cofnął, nie zaś uciekał, i że w tym naśladowałem wielu walecznych rycerzy, którzy nie chcąc narażać nierozumnie swojej chwały, woleli czekać przyjaźniejszych sposobności. Historie pełne są podobnych zdarzeń, które mógłbym ci opowiedzieć; ale dam pokój, najprzód że ci z nich nic nie przyjdzie, po wtóre, że w tej chwili nie mam do tego chęci.

Tak rozmawiając, Don Kichot podsadził Sancha na osła, sam dosiadł Rosynanta i z wolna przybliżali się do lasu, oddalonego stamtąd o ćwierć mili. Sancho od czasu do czasu wydawał głębokie westchnienia i boleśnie się uskarżał, a skoro Don Kichot zapytał go o przyczynę, odpowiedział, że od końca pacierzowej kości aż do karku czuje ból odejmujący mu mowę.

– Przyczyną tego bólu – rzekł poważnie Don Kichot – jest to, że drąg, którym cię uderzono, będąc długim i grubym, dotknął tych wszystkich miejsc, co ci teraz dokuczają; gdyby był dosięgnął dalej, to i tam czułbyś podobny ból.

– A! do kroć diabłów – odrzekł Sancho – patrzaj! toś mi pan dopiero odkrył tajemnicę! daj go katu! Czyż przyczyna mojego bólu tak trudna jest do odgadnięcia? czyż potrzeba było tak wymownie przekonywać mnie, że czuję ból w tych miejscach, na które spadł kij!? Gdyby mnie zabolała kostka u nogi, a pan odgadł przyczynę, byłbyś jasnowidzącym, ale dalibóg, nie było wielką sztuką, ani dowcipem powiedzieć mi, że czuję tam ból, gdzie mnie zbito! Ech! doprawdy, jak uważam, mój paneczku, cudzych nieszczęść nie czujemy; widzę ja co dzień jaśniej, czego się kiedyś mam spodziewać po swojej wiernej służbie u pana; dziś pozwoliłeś mnie omłócić drągiem, jutro, albo kiedy tam innym razem, ech! co ja mówię, stoma innymi razami, gotowyś pan dopuścić na mojej osobie podrzucania, jakie już kiedyś wycierpiałem; wreszcie dzisiaj

nadłożyłem grzbietem, jutro mogę nadłożyć bokiem, pojutrze dwoma bokami, pozajutrze mogę postradać oczy, a jeszcze kiedy pożegnać się na całe życie z głową! Ech! do stu par diabłów, daleko lepiej uczynię (ale jestem zanadto głupi i nigdy w życiu nic dobrego nie uczynię), jednak powtarzam, że daleko lepiej uczynię, jak powrócę do mojej żony i dzieci, jak moim małym rozumem zacznę znów gospodarzyć w moim niewielkim dobytku, którym mnie Bóg obdarzył, zamiast tracić czas na włóczeniu się z panem po polach, lasach, górach, zaczarowanych zamkach, a to najczęściej chłodno, głodno i z suchym jak pieprz gardłem! Śliczny mi wypoczynek, śliczny posiłek, nie ma co mówić! Na przykład, kiedy człowiek, nagrzechotawszy się przez cały dzień kościskami na kłapouchu, rad by się przecie zdrzemnąć, pan jego mówi: bracie koniuszy, chcesz spać? naści tobie sześć stóp ziemi na posłanie, a jeżeli ci mało, to naści drugie sześć, weź sobie kamień pod głowę, a przykryj się wiatrem! Ach! bodaj najjaśniejsze pioruny zatrzasły tego, co pierwszemu zajechało w łeb błędne rycerstwo! a przynajmniej pierwszego, co był tyle głupi, że został giermkiem u takiego półgłówka! Rozumie się, proszę pana, że mówię tu o rycerzach błędnych dawniejszych czasów, bo co się tycze dzisiejszych, wolę nic nie mówić... mam dla nich szacunek, ponieważ pan liczysz się do nich i ponieważ widzę, że ich we wszystkim przewyższasz.

– Założę się z tobą, mój Sanchuniu, o co chcesz – rzekł Don Kichot – że przez całą godzinę, która upłynęła odtąd, jak zacząłeś prawić androny bez żadnej przerwy, aż do tej chwili, nie czułeś najmniejszego cierpienia w całym ciele; mów, mój przyjacielu, mów, nagadaj się do woli, wypowiedz wszystko, co ci wyobraźnia do głowy, a ślina do ust przyniesie; abyś tylko nie czuł żadnego bólu, zniosę cierpliwie wszystkie twoje brutalstwa; a jeżeli masz niezłomną chęć wrócić do żony i dzieci, niech mnie Bóg uchowa,

abym się miał sprzeciwiać temu. Masz moje pieniądze, wyrachuj, jak dawno opuściliśmy wioskę dla trzeciej naszej wyprawy, policz, ile ci się należy za każdy miesiąc i zapłać sam sobie.

– Kiedym służył u Tomasza Karasko, ojca bakałarza Samsona – odpowiedział Sancho – brałem dwa dukaty na miesiąc, oprócz strawy. Nie wiem, ile powinienem brać od pana, ale wiem dobrze, że giermek błędnego rycerza ponosi daleko więcej trudów niż służący rolnika; bo niech będzie co chce, kiedy człowiek służy u gospodarza, jakąkolwiek pracą zmacha się przez cały dzień, przynajmniej wieczorem je kolację, a w nocy wyśpi się w wygodnym łóżku. Tymczasem, jak jestem w służbie u pana, mógłbym przysiąc, żem nigdy nie powąchał ani jednego, ani drugiego; wyjąwszy dwa lub trzy dni, któreśmy przepędzili u pana Diego de Miranda, jeden, w którym zebrałem szumowiny z Gamaszowego kotła, i to, com zjadł, wypił i przespał u Bazylego. Zresztą, Bogu Najwyższemu dzięki, spałem zawsze w swoim futerale, na ziemi pod gołym niebem, wystawiając się na to wszystko, co zowią wichrami i burzą, żyjąc, Boże zmiłuj się!... ot, łupinami, korzonkami, okrawkami sera lub okruchami zeschłego razowca, a za napój używając wody, którą się napotkało w tych pustyniach.

– Zgadzam się z tym, coś powiedział – odrzekł Don Kichot – jak sądzisz? o ileż więcej powinienem ci zapłacić niż Tomasz Karasko?

– Jak mi się zdaje – odpowiedział Sancho – co się tyczy zasług, dwoma realami więcej byłbym dostatecznie wynagrodzony; ale co się tyczy obietnicy rządzenia wyspą, uczynionej mi przez pana, warto by dołożyć za nią jeszcze z jakie sześć realów, co uczyni razem trzydzieści.

– Zgoda – odrzekł Don Kichot – obliczmy się. Dwadzieścia pięć dni upłynęło, jak opuściliśmy naszą wioskę, porachuj, ile ci się

należy stosunkowo za ten czas zasług oraz innych pretensji i zapłać sobie pieniędzmi, które masz.

– Ech! dalibóg! paneczku – rzecze Sancho – diabelnieśmy się poszkapili w rachunkach; bo co się tyczy obietnicy rządzenia wyspą, trzeba liczyć od dnia, w którym mi ją pan uczyniłeś, aż do obecnej chwili.

– Ale dobrze – odpowie Don Kichot – niech i tak będzie; kiedyż ci zatem obiecałem?

– Jak mnie się widzi – rzekł Sancho – będzie temu z jakie dwadzieścia lat; dwa do trzech dni, mniej lub więcej.

– Dobry Boże! – zawołał Don Kichot, śmiejąc się na całe gardło – zaledwie od dwóch miesięcy gonimy za przygodami, a ty mówisz, że już będzie temu dwadzieścia lat, jakem ci obiecał oddać pod zarząd wyspę! Mój przyjacielu, wiem ja dobrze, co to znaczy; ty nie masz chęci oddać mi reszty moich pieniędzy. Mniejsza o to, z całego serca pozwalam ci je zatrzymać, a nawet gotów jestem oddać ostatni real, aby się tylko pozbyć tak niegodziwego giermka! Ale powiedz no mi, ty pogwałcicielu praw błędnego rycerstwa, gdzieś widział lub czytał, aby kiedy bądź giermek targował się i sprzeczał o zapłatę ze swoim panem? Szukaj, łotrze przeklęty! szperaj, ty zażarty a głupi chciwcze! zanurz się w niezmierzonym oceanie historii; jeżeli znajdziesz tam coś podobnego, jestem najostatniejszym z rycerzy, którzy mieli, mają lub będą mieli zaszczyt nosić oręż przy boku! Idź! ruszaj! wracaj do domu! bo od tej chwili postanowiłem ani minuty dłużej nie trzymać cię przy sobie. O! chlebie niezawdzięczony! przyjaźni niewywzajemniona! o! obietnice rzucone w błoto! o nędzniku bez serca, podobniejszy do bydlęcia, aniżeli do człowieka! marzysz o opuszczeniu mnie, kiedym już prawie zbliżył chwilę wyniesienia cię do najwyższej godności! oddalasz się ode mnie, kiedy już mam przygotowaną dla

ciebie najpiękniejszą wyspę, jaka kiedykolwiek mogła ukazać się z łona oceanów! oddalasz się, kiedy lada moment mógłbyś być otoczony szacunkiem i hołdami całego świata! Podły! bez honoru i ambicji! miałeś słuszność, mówiąc: że nie dla psa kiełbasa, ani miód dla oślego podniebienia; bo ty w samej rzeczy jesteś osłem, urodziłeś się osłem, żyjesz jak osioł i umrzesz osłem, nie poznawszy nawet, że jesteś tylko osłem!

Kiedy Don Kichot obarczał Sanchę takimi wyrzutami, biedny, zawstydzony giermek, patrzył na niego z uwagą, a czując się wzruszonym do żywego, ze łzami w oczach odpowiedział mu bolejącym głosem:

– Mój panie! mój dobry panie! wyznaję, że jestem osłem i że aby nim być zupełnie, brakuje mi tylko ogona i uszów; racz mi je pan przyprawić, uznam je za słusznie mi się należące i do samej śmierci będę panu służył jak osioł. Nie gniewaj się pan, mój najdroższy paneczku! wybacz mi, ulituj się nad moją młodością! miej wzgląd na moją niewiadomość! Jeżeli gadam wiele, to pochodzi raczej ze słabości aniżeli ze złości; ale kto grzeszy, a z pokutą śpieszy, tego Bóg pocieszy.

– Dziwiło by mnie bardzo, mój Sancho – rzecze Don Kichot – żebyś mówił kilka chwil bez przytoczenia jakiego przysłowia. Dobrze więc, przebaczam ci, pod warunkiem, że się poprawisz i że nie będziesz tak chciwy; miej tylko odwagę, zaufaj moim obietnicom, a zobaczysz, że spełnią się niezadługo, boć przecie opóźnienie nie czyni ich niepodobnymi do dotrzymania.

Sancho, uspokoiwszy się nieco, przyrzekł, że się poprawi i że będzie usiłował przezwyciężyć swoje złe skłonności.

Przy końcu tej rozmowy wjechali do lasu i wnet pokładli się pod drzewami. Sancho niedobrze spędził noc, gdyż chłód powiększał jego ból; Don Kichot oddał się zwyczajnym swoim marzeniom.

Jednakże obydwaj zdrzemnęli się cokolwiek, a ze wschodem jutrzenki puścili się w dalszą drogę ku brzegom Ebru, gdzie przytrafiło im się to, co opiszemy w następującym rozdziale.

Rozdział XII

W którym opisuje się sławne zdarzenie o zaczarowanej łódce

Od dwóch dni już Don Kichot z giermkiem jechali wybrzeżami Ebru. Rycerz z rozkoszą poglądał na przejrzyste wody, zielone krzewy, a okolica ta tak obfita w piękne widoki, przywodziła mu na myśl rozmaite miłosne zdarzenia. Tak zadumani postępując nad brzegiem, spostrzegli małą łódkę, przymocowaną postronkiem do kółka. Statek był bez żagli, wioseł i rudla. Don Kichot, zobaczywszy łódkę, zeskoczył szybko z Rosynanta i zbliżył się do brzegu.

– Raczcie mi powiedzieć, przesławny Rycerzu Lwa, dlaczego tak skwapliwie zsiadacie z konia? – rzecze Sancho, który za przykładem swego pana z osiołka zeskoczył.

Don Kichot rozkazał Sanchy przywiązać do drzewa Rosynanta i osła, a ukazując na łódkę, rzecze:

– Oto jest zaczarowany statek, przysłany tu przez opiekuńczego geniusza jedynie na to, abym wstąpiwszy weń, popłynął czterdzieści trzy mile za Antypody. Tam leży zaczarowany zamek, a w jego podziemiach jęczy uwięziona księżniczka i przyjaciel mój, rycerz błędny. Płyńmy więc uwolnić ich.

– Panie – rzecze Sancho – twoja rzecz rozkazywać, a moja słuchać; lecz jestem przekonany, że łódka ta nie do czarnoksiężników, ale do nadbrzeżnych rybaków należy, gdy jednak pismo powiada: „I uda się sługa za panem swoim i przy stole jego zasiądzie”, pójdę

więc gdzie rozkażesz – to rzekłszy, ucałował serdecznie osiołka i wsiadłszy razem z Don Kichotem w łódkę, odciął postronki.

Powoli łódka, lekkim pędzona wiatrem, oddalać się zaczęła od brzegu.

Sancho raz jeszcze zwrócił tęskne wejrzenie na swojego burka i Rosynanta, a uczuwszy, że łódka mocniej zaczęła się kołysać, czy to z żalu, czy ze strachu rzewnie zapłakał.

Don Kichot, uspokoiwszy go, po niejakiej chwili rzekł:

– Jaka szkoda, że nie mamy busoli z sobą lub astrolabu przynajmniej, zmierzylibyśmy wysokość bieguna, a wtedy powiedziałbym ci, Sancho, czy przepłynęliśmy już równik dzielący dwa bieguny.

– A daleko to będzie do tego równika? – zapyta Sancho.

– Podług Ptolomeusza, najlepszego ze wszystkich kosmografów, przeszedłszy linię równikową, przebędziemy przestrzeń połowy globu, który ma dziewięć tysięcy mil obwodu, ale możemy się łatwo przekonać o prawdzie: hiszpańscy żeglarze utrzymują, że z przebyciem linii równikowej z ciał ludzkich schodzi wszelkie plugawstwo, dlatego opatrz się dobrze, Sancho, a do wiemy się, z której strony równika jesteśmy.

– Tra ta ta! tra ta ta! Trzeba mieć większe niż mój osioł uszy, ażeby chcieć się przekonywać o tym. Przecież i tak widzę dobrze, że dopiero kilkadziesiąt kroków odpłynęliśmy od brzegu. Rosynant i osiołek stoją tam, spoglądając ku nam żałośnie.

– Mówiłem ci już nieraz – rzecze Don Kichot – że wszystko to dzieje się za sprawą czarowników, którzy odmienne przedmiotom nadając kształty, usiłują omamić błędnych rycerzy. Powtarzam więc, poszukaj na sobie pilnie, a jeśli znajdziesz jaką nieczystość, z pewnością z tej strony równika płyniemy.

Sancho powoli wsunął rękę w zanadrze, a po chwili, patrząc bystro na Don Kichota, rzekł:

– Zdaje mi się, że jeszcze tysiąc mil od równika jesteśmy.

To mówiąc, strząsnął palcami nad wodą.

Tymczasem łódka, pędzona wiatrem, zbliżała się ku wodnym młynom, które stojąc przy samym brzegu, w silnym były ruchu.

– Otóż jest nareszcie i zamek, z którego mam wyzwolić uwięzionych! – zawoła Don Kichot z zapałem.

– Ależ panie, to są młyny! – odpowie strwożony Sancho.

– Mówię ci, że to jest zamek, któremu moc czarnoksięska kształt młyna nadała.

Nasi awanturnicy, rozmawiając w ten sposób, nie uważali, jak wielkie groziło im niebezpieczeństwo, bo łódka, szybszym już wirem wody pędzona, prosto pod koło młyńskie wpaść mogła.

Spostrzegli to stojący nad brzegiem rybacy i młynarze i krzykiem ostrzegli płynących.

Don Kichot, spokojnie na nich poglądając i dobywszy miecza, rzecze:

– Nędzny motłochu! widma zaklęte, wyzwólcie jęczących w podziemiach tego zamku księżniczkę i rycerza, albo będziecie mieć do czynienia z Don Kichotem z Manchy, inaczej Rycerzem Lwa zwanym.

Zdumieni rybacy, nie wiedzieli co począć mają, lecz Sancho, który dostrzegł wreszcie grożące niebezpieczeństwo, ukląkłszy w łódce, z płaczem prosił o rychły ratunek.

Pospieszono wreszcie na pomoc, lecz w zamieszaniu przewrócono łódkę, która z łoskotem wpadłszy pod koło młyńskie, strzaskała się do szczętu.

Wyciągnięto nad brzeg rycerza i giermka zmoczonych do nitki, rybacy kazali sobie zapłacić za rozbity statek, Don Kichot oddając

im pięćdziesiąt realów, wyciągnął ku młynom ręce i zawołał żałośnie:

– Przebacz mi, nieszczęśliwa księżniczko, i ty rycerski bracie, że was wyzwolić nie mogę! Moc czarownika przeszkadza chęciom moim. Innemu widać przeznaczona chwała tej wyprawy.

Sancho, zmartwiony stratą pięćdziesięciu realów, zmokły jak kura, pociągnął Don Kichota za rękę i oddaliwszy się od zdumionych rybaków, znaleźli Rosynanta i osiołka przywiązanych do drzewa. Tu, po serdecznym powitaniu, zadumali się chwilę nad smutną awanturą zaczarowanej łodzi.

Rozdział XIII

W którym się opisuje, co przytrafiło się Don Kichotowi z piękną, polującą księżniczką

Nasi dwaj bohaterowie puścili się w drogę, smutnymi dręczeni myślami. Don Kichot marzył o miłości, Sancho pocieszał się po nieodżałowanej stracie pięćdziesięciu reali nadzieją, że zostanie kiedyś znakomitym hrabią wielkiego państwa i zaślubi damę honorową, powiernicę księżniczki. Często wszakże nasz biedny giermek będąc świadkiem niedołężnych złudzeń swego rycerskiego pana, tracił dobrą wiarę w jego szumne obietnice i czekał lada sposobności, aby rzucić awanturniczą służbę i pod rodzinną strzechą na łonie żony i dziatek zagrzebać swoją dostojność. Los przecież uparty zrządził inaczej.

Następnego dnia już nad wieczorem, przy końcu wielkiego lasu Don Kichot spostrzegł znaczny orszak myśliwych na koniach, którzy otaczali dokoła prześliczną damę, także wierzchem jadącą.

Dama siedziała na białym rumaku, którego zielony czaprak bogato złotem był zahaftowany, a suknie jej, myśliwskiego kroju,

były także zielonego koloru, na ręku trzymała sokoła. Don Kichot, domyśliwszy się natychmiast, że owa piękność była królową zgromadzenia – rzecze do Sanchy:

– Mój synu, ruszaj no, pozdrów ode mnie tę księżniczkę i oświadcz, że Rycerz Lwa całuje ręce jej wielkości i poświęć ramię swoje na jej usługi, tylko pomnij, kochany Sancho, abyś, mówiąc do tak dostojnych uszu, nie mieszał ustawicznie do słów swoich niezliczonej liczby ordynarnych przysłów, które co chwila sypiesz jak z worka.

– O, to potrzebne mi ostrzeżenie! – odpowie junacko Sancho – czyż to po raz pierwszy dziś jestem posyłany do wielkiej damy?

– Oprócz poselstwa, które niosłeś ode mnie pani Dulcynei, nie pełniłeś nigdy tego rodzaju obowiązków – odpowie Don Kichot.

– Tak, to prawda – rzecze Sancho – ale kto chce psa uderzyć, to kij znajdzie, a z pełnej spiżarni i ludzie, i szczury się żywią, to ma znaczyć, że nie potrzebuję żadnych przestróg. Bogu dzięki, człowiek wszystko umie po trosze.

– To dobrze, Sancho – rzecze Don Kichot – ruszaj więc i niech cię Bóg prowadzi.

Sancho uderzył kilka razy burego i pośpieszył najszybszym oślim kłusem.

Stanąwszy wreszcie przed piękną damą, ukląkł na oba kolana i rzekł:

– Wysoka i ostateczna damo! Jeździec, którego widzicie za mną, zwany Rycerzem Lwa, jest moim panem, ja zaś mam zaszczyt być jego giermkiem i zowię się Sancho Pansa; Rycerz Lwa, który przed niedawnym jeszcze czasem Rycerza Posępnego Oblicza nosił miano, przysyła mnie do waszej wielkości, z prośbą o pozwolenie przedstawienia się osobiście na jej wielkim dworze i ofiarowania usług swoich na rozkazy waszej prześliczności.

– W samej rzeczy, przewyborny giermku – odpowie dama – wypełniłeś poselstwo swoje z całą zręcznością i dystynkcją – podnieś się, proszę cię, nie przystoi giermkowi tak sławnego rycerza pozostawać dłużej w tak niewygodnej pozycji. Powstań więc, kochany przyjacielu, i powiedz swojemu panu, że książę i ja poczytamy sobie za zaszczyt i rozkosz najwyższą, jeżeli dzielny Rycerz Posępnego Oblicza pod naszym dachem przepędzi czas jakiś.

Sancho, zachwycony uprzejmością pięknej księżnej, powstał i zabierał się odnieść pomyślną odpowiedź oczekującemu na niego panu, a gdy już miał odjeżdżać, księżna dodała jeszcze:

– Proszę cię, panie, racz mnie oświecić, czy pan twój nie jest tym samym, o którym wspomina historia jako o znakomitym rycerzu, Don Kichocie z Manchy?

– On to jest właśnie, dostojna pani – odpowie Sancho – a giermkiem jego Sancho Pansa, o którym zapewne wspomina także historia, jestem ja, do usług waszej wysokości, jeżeli tylko z niedźwiedzia nie zrobili muchy, to jest chcę powiedzieć, za pozwoleniem waszej wysokości, jeżeli nie chybiono mojego portretu w owej historii.

– Zachwyca mnie to wszystko – rzecze księżna – jedź więc, drogi przyjacielu Panso, i powiedz swojemu panu, że dzień przybycia jego w dom nasz zaliczymy do najszczęśliwszych w życiu.

Z tak pomyślną odpowiedzią uradowany Sancho powrócił do pana i opowiedział wszystko, wychwalając pod niebiosa dobroć i grzeczność księżnej.

Don Kichot ucieszony pierwszym powodzeniem, poprawił się wdzięcznie na siodle, umocnił się w strzemionach, podniósł zalotnie przyłbicę szyszaka i podniecając ostrogą leniwy zapał Rosynanta, pojechał ucałować rękę księżnej, która, po oddaleniu Sanchy, uwiadomiła księcia o tym, co zaszło; zgodzili się więc oboje, znając

już przeszłość naszych awanturników, traktować ich we właściwy sposób, zachowując wszystkie zwyczaje błędnego rycerstwa.

Don Kichot przybył z podniesioną przyłbicą i zamierzał zsiąść z konia. Sancho chciał przytrzymać strzemię rycerzowi, lecz zaplątawszy się w postronkach, które mu miejsce strzemienia zastępowały, przechylił się i głową na dół zawisł przy boku osiołka.

Nasz bohater, sądząc, że Sancho trzyma jego strzemię, podniósł jego nogę i razem ze słabo umocowanym siodłem upadł pod nogi Rosynanta.

Strzelcy, z rozkazu księcia, przybiegli panu i giermkowi ku pomocy. Don Kichot, zawstydzony, kulejąc troszkę, szedł przyklęknąć na jedno kolano przed dostojną parą, lecz książę nie pozwolił na to, skoczył szybko z konia i uściskawszy Don Kichota, rzecze:

– Smuci mnie to, panie Rycerzu Posępnego Oblicza, że pierwszy krok waszej wielmożności na mojej ziemi, naznaczony został niepowodzeniem, lecz niedbalstwo giermków często sprawia podobne wypadki.

– Szczęście, którego doznaję na twój widok, o wielki książę, tak mnie zachwyca, że i najsroższym okupiłbym je cierpieniem. Mój przeklęty giermek w istocie lepiej włada językiem, miotając różne grubiaństwa, niż powoduje rumakiem, lecz w jakimkolwiek położeniu, stojąc lub leżąc, pieszo lub konno, oddany jestem zupełnie na usługi wasze i dostojnej księżniczki, która w całym świecie godna być królową piękności i wdzięku.

– Ach, na Boga! przestań pochlebiać, rycerzu z Manchy – rzecze książę – wiemy obydwaj dokładnie, że dopóki pani Dulcynea z Toboso żyć będzie, póty niepodobna chwalić wdzięków i piękności innej kobiety.

Sancho Pansa nie czekał odpowiedzi Don Kichota, lecz przerywając mowę księciu, rzecze:

– Niepodobna zaprzeczyć wielkiej piękności Pani Dulcynei z Toboso, lecz nie wszyscy znają drogę do Rzymu. Słyszałem raz dobrego kaznodzieję który utrzymywał, że natura podobna jest do zduna, robiącego garnki z gliny, co ma znaczyć, że jeżeli zdun potrafi jeden garnek piękny zrobić, zdolny jest uczynić sto podobnych równej doskonałości, dlatego też księżna może być równie piękną, jak pani Dulcynea.

Don Kichot zwrócił się do księżnej i rzekł:

– Niech wasza wielkość wierzyć mi raczy, że żaden z błędnych rycerzy nie miał giermka większego gaduły i głupca, jak ten, który w moich pozostaje usługach.

– Nic nie szkodzi – rzecze księżna – to dowodzi tylko, że Sancho Pansa posiada dowcip, który nie jest udziałem pospolitych umysłów. Lecz nie traćmy czasu, jedźmy, a wielki Rycerz Posępnego Oblicza niech raczy zaszczycić nas swoim towarzystwem.

– Mój pan teraz nazywa się Rycerzem Lwa – rzecze Sancho – już zapomnieliśmy dawno o Rycerzu Posępnego Oblicza.

– Niech i tak będzie! – rzecze książę – niech więc Rycerz Lwa raczy towarzyszyć nam do zamku, a przyjmiemy go, jak wszystkich błędnych rycerzy, którzy zaszczycają nas niekiedy swoją obecnością.

Wszyscy dosiedli koni i wyruszono w drogę.

Don Kichot i książę jechali po obu stronach księżnej, która prócz tego rozkazała Sanchy jechać za sobą, bawiąc się niezmiernie naiwną jego rozmową.

Nasz giermek nie dał się prosić wcale i rozgadał się tak pociesznie, że książę i księżna nie mogli dosyć nadziękować się losowi za obdarowanie ich spotkaniem dwóch tak dziwacznych ludzi.

Rozdział XIV

W którym się opisuje mnóstwo wielkich rzeczy

Niepodobna wyobrazić sobie radości Sanchy; z uprzejmości gospodarstwa wnosił, że w zamku czeka ich sute przyjęcie, a nasz waleczny giermek przepadał za smacznym kęsem. Książę udał się naprzód do zamku i nauczył służących, jak obchodzić się z Don Kichotem powinni. Skoro więc tylko na podwórze wjechali, dwaj lokaje, ubrani w pąsowe kaftany, zdjęli rycerza z konia, mówiąc, aby dopomógł zsiąść księżnej.

Don Kichot z tym zamiarem postąpił ku dostojnej pani; ta oświadczyła, że nie chce obciążać znakomitych ramion tak niegodnym ciężarem; po czym wszyscy wstąpili na schody. Tu duże i młode dziewice okryły Don Kichota bogatym szkarłatnym płaszczem. Wszystkie okna napełniły się tłumem niewiast i mężczyzn, krzyczących z całej siły: „Witaj kwiecie i śmietano błędnego rycerstwa" – i zaczęli skrapiać rycerza wonnymi ziołami.

Teraz dopiero Don Kichot najmocniej uwierzył, że jest prawdziwie błędnym rycerzem, widząc, że obchodzą się z nim tak, jak starożytni książęta z jego kolegami w przeszłości.

Sancho przy boku księżnej wszedł za drugimi do zamku, przypominając sobie, że zostawił burego bez opieki na podwórzu, zbliżył się do jakiejś szacownej matrony z orszaku księżnej i zapytał jej po cichu:

– Pani Gonzales, albo jak cię tam zowią?

– Nazywam się Rodriguez de Grijalba – odpowiedziała – czegóż więc żądasz, mój przyjacielu?

– Ruszaj no, kochanko, do bramy zamkowej – rzecze Sancho – znajdziesz tam mego osiołka, każ go też, z łaski swojej, zaprowadzić

do stajni lub zaprowadź sama, bo biedne to zwierzątko jest bojaźliwe i nie lubi samotności.

– Idź gdzie indziej, mój przyjacielu – odpowie dumnie matrona – szukaj sobie dam usługujących osłom, tutejsze bowiem nieprzyzwyczajone są do podobnego obowiązku.

– Och, och! – zawoła Sancho – jaka mi delikatna! – Przecież, jego wielmożność Don Kichot, który zna lepiej historię niż moje pantalony, utrzymuje, że gdy Lancelot powrócił z Anglii, księżniczki usługiwały jemu, a damy dworskie doglądały jego konia. A wiedz o tym, moja kochana pani, że mego osiołka nie zamieniłbym na konia Lancelota.

– Mój przyjacielu – rzecze dama Rodriguez – jeśli jesteś błaznem, schowaj dla drugich swoje żarty może zapłacą ci za nie. Ode mnie nie dostaniesz za to ani jednej figi.

– Gdybym ją przyjął – odpowie Sancho – jestem przekonany, że byłaby doskonale dojrzała, założyłbym się również i o to, że na numer sześćdziesiąty nie przegrałabyś nigdy.

– Patrzcie no! – zawołała rozgniewana matrona – brutal chłop nazywa mnie starą, jak gdybym z lat moich rachunek mu zdawać miała.

Księżna, usłyszawszy kłótnię, zapytała damy Rodriguez, o co idzie.

– A to ten gbur każe mi odprowadzić swego osła do stajni, dowodząc, że niegdyś wielkie damy siodłały konia jakiemuś Lancelotowi, a w dodatku nazywa mnie starą.

– Mylisz się, przyjacielu Sancho – rzecze księżna – pani Rodriguez jest młodziutką osobą, a nosi zasłonę i przepaskę dlatego, że jest wdową i na znak władzy swojej na moim dworze.

– A, niech się z miejsca nie ruszę, jeżelim ją chciał rozgniewać, lecz, będąc serdecznym przyjacielem mego osiołka, z którym

chowaliśmy się razem, chciałem go oddać w najlitościwsze ręce.

– Sancho – rzecze Don Kichot, spoglądając nań przez ramię – także to przystoi odzywać się w tym miejscu?

– Ha, panie! – odpowie Sancho – każdy mówi o swoich interesach tam, gdzie się znajduje. Tu przypomniałem sobie mego osiołka, tu o nim mówię, gdybym sobie o tym przypomniał w stajni, to i w stajni załatwiłbym tę sprawę.

– Sancho ma rację – rzecze książę – lecz niech będzie spokojny o swego osła, równie jak o nim, tak i o jego ośle będą mieli staranie.

Wśród takich śmiesznostek całe towarzystwo przybyło wreszcie do sali zamkowej; sześć młodych dziewic zaczęło rozbrajać Don Kichota, który zostawszy wreszcie tylko w swoich obcisłych spodniach i kaftanie *chamois*, chudy, wynędzniały, z pokiereszowanym licem, wyglądał najpocieszniej w świecie. Następnie dziewice prosiły rycerza, ażeby pozwolił rozebrać się zupełnie i włożyć na siebie świeżą koszulę. Don Kichot wstydliwie oparł się takiemu żądaniu, prosząc, aby tę czynność jego giermek spełnił. Gdy tedy sami tylko z Sanchem pozostali, jął mu gorzko wyrzucać nasz bohater ową kłótnię z szanowną damą Rodriguez i zakończył długą perorę tymi słowy.

– Dowiedz się, przyjacielu Sancho, że ze sług dobrych lub złych biorą ludzie miarę o wartości pana, a gdybyś zdołał przenikliwiej w świat pozierać, dostrzegłbyś snadnie, że całą przewagę wielkich panów nad tłumem stanowi to, że posługują się ludźmi, którzy od nich samych niekiedy więcej mają rozumu. Tu właśnie, na tym dostojnym dworze powinieneś nie psuć dobrej opinii, jaką o mnie powzięto, przez swoje głupstwa; ucz się koniecznie cicho rozmawiać swoim własnym językiem, a ja przez jakieś wielkie czyny i siłę oręża nazbieram tu mnóstwo wawrzynów.

Sancho uradowany, że tak łagodnym napomnieniem odkupił winę swoją, przyrzekł uroczyście, że w przyszłości namówi swoje głupstwo i język, aby w razie nieuchronnym na migi z sobą rozmawiały.

Po ukończonej rozprawie Don Kichot przywdział szkarłatny płaszcz, zawiesił na temblaku swoją szeroką szpadę i nakrywszy głowę kapeluszem z zielonego atłasu, poszedł pompatycznie do salonu, gdzie zastał sześć tych samych dziewic i dwunastu paziów, czekających nań, aby przeprowadzić jego rycerską wysokość do jadalnej sali.

Książę, księżna i kapelan oczekiwali Don Kichota przy nakrytym stole; kapelan był z liczby tych księży, co sami nisko urodzeni, rządzą domami książąt i zamiast podnieść się do ich dystynkcji, poniżają ich do siebie, a niezdolni stworzyć w sercach panów energii ludu, wlewają w ich umysły tylko jego zepsucie.

Po wielu ceremoniach książę, księżna, ksiądz i Don Kichot zbliżyli się do stołu, tu nastąpiła scena galanterii starożytnej, więc spór o pierwsze miejsca, wreszcie cała wyszukana uprzejmość Don Kichota musiała ustąpić niezwalczonemu uporowi księcia i nasz błędny rycerz zajął pierwsze miejsce u książęcego stołu. Ksiądz usiadł naprzeciw, a księstwo umieścili się obok Don Kichota.

Sancho z wielkim zadziwieniem poglądał na całą ceremonię, widząc wreszcie, jak dalece pan jego zaszczyconym został, po chwili rozwagi rzecze:

– Jeżeli dostojni państwo pozwolić raczą, tedy opowiem im zdarzenie, jakie zaszło w naszej wiosce z powodu sporu o pierwsze miejsce.

Don Kichot zatrwożył się niepomału, słysząc Sanchę rozpoczynającego rozprawę, lękał się, aby wierny giermek zanadto nie rozpuścił języka. Sancho, spostrzegłszy obawę pana, rzecze:

– Nie lękajcie się, dobry panie, nie powiem nic takiego, co by mogło razić uszy ich wysokości, umiem jeszcze na pamięć całą lekcję, którą przed chwilą usłyszałem od pana względem tego, co mam mówić wobec dostojnych osób.

– Nie rozumiem wcale twojej paplaniny, Sancho – rzecze z przytłumionym gniewem Don Kichot – mów co chcesz, nie nudź jednakże długo.

– Otóż mam opowiedzieć waszym wysokościom najczystszą prawdę, w przeciwnym razie jego wielmożność pan mój zaprzeczyć może z łatwością, jako świadomy historii.

– Prosiłbym waszą książęcą mość – rzecze Don Kichot – aby rozkazał wyrzucić za próg tego paplę, gdyż pewny jestem, że usłyszymy tysiąc nieprzyzwoitych wyrazów i niegrzeczności.

– Niepodobna, panie rycerzu – ozwie się księżna – Sancho jest moim ulubieńcem i nie oddalę go stąd za nic w świecie, a w tym, co ma powiedzieć, zdaję się zupełnie na jego delikatność.

– Niech najjaśniejszej pani da Pan Bóg sto lat zdrowia za dobre o mnie słowo – zawoła rozczulony Sancho – co do mojego opowiadania, oto jest. Pewien bogaty szlachcic z naszych okolic, znakomitego rodu, bo pochodził z Medinów del Campo, ale zapomniałem jeszcze dodać, że ów szlachcic zaślubił pannę Mencia de Quinones, córkę don Alonza de Maranon, kawalera znaku świętego Jakuba, który utopił się w kuźni, tam, gdzie to niby owa wielka kłótnia była, co to się w niej i jego wielmożność Don Kichot znajdował, a tam to właśnie ranionym został Tomasillo, syn marszałka Balbastra. Czy to wszystko nie jest najczystszą prawdą, panie Rycerzu Lwa?

– Zapewne, zapewne – odpowie Don Kichot – tylko staraj się skrócić bajanie, bo jeżeli w ten sposób opowiadać dalej będziesz, niezawodnie dziś nie skończysz powieści.

– Jeżeli mnie kochasz, Sancho – przerwie księżna – nie krępuj się żadnymi okolicznościami, opowiadaj, jak chcesz, a chociażby przez dwa dni całe gotowa jestem słuchać cię najpilniej.

– Otóż tedy – ciągnął dalej Sancho – ten szlachcic zaprosił do siebie pewnego razu jakiegoś wyrobnika, który nie był bogaty, co znaczy wiele, ale był bardzo poczciwy, co także cośkolwiek znaczy. Biedne panisko! miły Boże, umarł wkrótce potem, a powiadano mi, że zasnął jak anioł czysty; mieszkaliśmy blisko siebie, kamieniem dorzucić można było od mojej chaty do jego domu.

– Ależ prędzej do rzeczy, mój przyjacielu – przerwie niecierpliwie ksiądz – nie skończysz nigdy, kołując podobnie.

– Wszystko mieć musi swój skutek przy boskiej pomocy – rzecze Sancho – ale ja, jak oto powiadam, nie byłem obecny przykładnej śmierci owego szlachcica, co tak blisko mnie mieszkał, a miał za żonę córkę don Alonza de Maranon, jak to już wspomniałem... byłem wtedy w Tembleque, gdzie nająłem się do żniwa.

– Ależ, mój przyjacielu – przerwie ksiądz – wychodź czym prędzej z Tembleque i nie zabawiaj się opisem pogrzebu szlachcica, jeżeli nie chcesz być jutro na naszym, bo z pewnością zamordujesz nas takim opowiadaniem.

– Stało się więc tedy tak – rzecze dalej Sancho – że gdy ów wyrobnik zaproszony miał siadać do stołu ze szlachcicem, jakbym patrzył na nich w tej chwili, miły Boże! a to już tyle czasu przeszło od owej godziny...

Książę i księżna dusili się ze śmiechu, widząc gniew i niecierpliwość księdza, Don Kichot tłumił wściekłość przez uszanowanie dla gospodyni domu, a Sancho ciągnął dalej:

– Otóż skoro mieli zasiąść, wyrobnik oczekiwał, aby szlachcic zajął przedniejsze miejsce. Szlachcic chciał przeciwnie, aby wyrobnik

zasiadł na honorowym miejscu i przyszło wreszcie do takiego między nimi sporu, że szlachcic zniecierpliwiony wziął za kark wyrobnika i sadzając go na starszym miejscu, rzekł: „Siedź tu, mości gburze, ponieważ żądam tego, i wiedz o tym, że gdziekolwiek ja usiądę, tam jest honorowe miejsce". Oto i cała moja powiastka, a proszę waszych wysokości, czyż nie ozwałem się bardzo stosownie i do rzeczy?

Don Kichot zrozumiał złośliwy cel opowieści, twarz jego, zapalona gniewem, przybrała wszystkie kolory tęczy, księżna powstrzymywała śmiech, nie chcąc przyprowadzić do ostateczności błędnego rycerza, a zmieniając nagle przedmiot rozmowy, zapytała go, jakie i jak dawno miał wieści o nieporównanej Dulcynei, a także ilu olbrzymów i bandytów zwyciężonych posłał jej od ostatniego rozstania.

– Niestety, dostojna pani – rzecze smutnie rycerz – próżno zwyciężam olbrzymów i rozpędzam gromady rozbójników, straszliwy czarownik trzyma w swej mocy piękną Dulcyneę i uczynił z niej za pomocą czarów najbrzydszą i najniezgrabniejszą istotę.

– Ech, nie zdaje mi się – rzecze Sancho – przeciwnie, wydała mi się tak piękna, gdym ją ostatni raz oglądał.

– Jak to, Sancho? widziałeś ją już po oczarowaniu? – spyta książę.

– A naturalnie, ja to odkryłem właśnie i ręczę wielmożnemu państwu, że jest ona tak odurzona czarami, jak kokosz dymem z tabacznych liści.

Ksiądz, słysząc tę dziwną rozmowę o czarach i olbrzymach, domyślać się zaczął, że widzi na własne oczy Don Kichota z Manchy, o którym historię książę czytał bezustannie, pomimo wszelkich ze strony szanownego księdza protestacji. Zwracając się więc do księcia, zapalony gniewem rzecze:

– Wasza wysokość zdasz Panu Bogu większy rachunek, niż ten rycerz mniemany. Nie wiem, który z was dwóch jest więcej szalony: czy Don Kichot, robiący głupstwa, czy wasza wysokość, który je protegować raczy?

Potem, zwracając się do Don Kichota, rzecze:

– A ty, mości wariacie, co powiesz na to? Któż potrafił wbić ci w głowę, że jesteś błędnym rycerzem, że zwyciężasz olbrzymów i rozpędzasz złodziei? Wróć lepiej do domu, zajmij się interesami i rodziną. Na Boga! ciekawy byłbym wiedzieć, kiedyż to egzystowali błędni rycerze i skąd by się dziś wziąć mieli, i w którym to krańcu Hiszpanii znajdują się jeszcze olbrzymi, zbójcy i zaczarowane Dulcynee i cały tłum dziwadeł, którymi jest mózg twój napełniony?

Don Kichot spokojnie słuchał eklezjastycznych wyrzutów, wreszcie widząc, że ksiądz już przestał mówić, bądź to już nie mogąc powściągnąć się dłużej, powstał i wypalił księdzu odpowiedź, która zasługuje, aby ją w osobnym umieścić rozdziale.

Rozdział XV

W którym opowiada się o sławnej odpowiedzi Don Kichota na zarzuty księdza

Rycerz Lwa, drżąc z gniewu, bezwzględny na uszanowanie należne dostojnym słuchaczom, dumnie spoglądając na księdza, groźnie zawołał:

– Miejsce, gdzie się znajdujemy i cześć należna od nas obydwu domowi temu, wreszcie wzgląd na twój duchowny charakter, krępują sprawiedliwe oburzenie moje. Nauczyłbym cię powściągliwości w mowie, lecz ponieważ księża i kobiety nie obrażają, nie mieczem, ale językiem odpowiem na twoją zniewagę.

Aż dotąd sądziłem zawsze, że słudzy Chrystusa tylko miłości i zgody słowa rozlewać powinni. Zawiodłem się na tobie, któż to upoważnił cię, mój ojcze, do wydawania sądu o myślach i czynach moich; kto chce poprawiać drugich, niech dobrze zobaczy, czy nie ma w sobie nic do poprawienia. Ciekawy jestem, jakim prawem, nie znając zupełnie ani mnie, ani moich osobistych stosunków, każesz mi pilnować domu, żony i dzieci? A może ja nieżonaty wcale? Mniemasz może, że po długich pochlebstwach, dostawszy się wreszcie do możnego domu, nabyłeś prawa zaprzeczać istnieniu błędnego rycerstwa? Choć nie rycerzem, lecz równie jesteś błędnym księdzem. Wyglądasz jak student, albo pedant, którzy nie widząc rzeczy, rozprawiają o niej stanowczo. Lecz przestańmy na tym, mój księżulku; gdyby książę, lub wreszcie rycerz jaki śmiał mówić w mojej obecności podobne wyrazy, musiałbym ukarać ich za to, ale od dzieci, kobiet, księży i wariatów wszystko przyjąć można. Mów sobie, co chcesz, mimo to byłem, jestem i będę błędnym rycerzem. Jedni ambicję obrali sobie za cel życia, drudzy oszukują zręcznie świat niskim i podłym pochlebstwem, a mała liczba postępuje z czystym sercem i uczuciem, drogą cnoty i honoru. Każdy ma swój cel i odrębne doń drogi; co do mnie, prowadzony przez gwiazdę moją, nie naśladując nikogo, idę świetnym torem błędnego rycerstwa, pogardzam bogactwem i próżnościami świata, a wielbię honor i sławę. Godziłem kłótnie, mściłem zniewagi, w proch ścierałem olbrzymów, zwyciężałem widma i rozbójników, zakochany jestem nawet, o tyle jednak tylko, o ile tego rycerskie prawa wymagają. Nie mam złych chęci, świat uszczęśliwić pragnę i jeżeli takiego człowieka wariatem nazywać można, to już nie wiem doprawdy, kto tu z nas przy zdrowych zmysłach.

– Na uszy mojego osła! – zawoła Sancho – już więcej nic powiedzieć nie można w tym względzie. Poprzestańcie na tym, mój

waleczny panie, a ponieważ uczciwe księżysko nie wie, czy istniało kiedykolwiek błędne rycerstwo, należy mu wybaczyć.

– Czy ty nie jesteś czasem ów Sancho Pansa, o którym historia mówi, że ma od pana wyspę obiecaną w zarząd?

– Ten sam, do usług waszej wielebności – odpowie Sancho – i sądzę, że tak dobrze wart jestem rządzić wyspą, jak ktokolwiek inny. O! bo ja jestem z tych, o których powiadają: z jakim przestajesz, takim się stajesz. Chcesz użyć chłodu, idź do ogrodu. Przywiązałem się do dobrego pana, towarzyszę mu w jego wyprawach i powinienem być jego cieniem, a jeśli podoba się Bogu zachować nas przy życiu, to może nie zbraknie królestw i wysp do naszego rozporządzenia.

– Bez wątpienia, nie zbraknie, przyjacielu Sancho – rzecze książę – i przez wzgląd na twoją zasługę i pana twojego chwałę, w tej chwili daruję ci jedną z dziewięciu wysp, które posiadam, a którą chyba nie wzgardzisz.

– Uklęknij, Sancho – rzecze Don Kichot – i ucałuj nogi jego wysokości.

Sancho spełnił polecenie rycerza, a ksiądz, widząc, że jego przestrogi i uwagi na nic się nie przydały, rozgniewany srodze, rzecze:

– Nie pojmuję, jaką przyjemność wasza książęca mość znajduje w tym żarcie. Jakże głupcy nie mają być wariatami, skoro mądrzy protegują ich szaleństwa? Niech wasza wielkość cieszy się towarzystwem obłąkanych, co do mnie, oddalam się i nie powrócę tu dopóty, dopóki gościć będą błędni rycerze...

To rzekłszy, odszedł, mimo usilnych próśb gospodyni.

Książę ubawił się nadzwyczajnie gniewem księdza i uśmiawszy się do woli, rzecze:

– Panie Rycerzu Lwa, tak dobrze broniłeś swej sprawy, że pomściłeś zupełnie zniewagę, wyrządzoną ci przez księdza.

– To nie była zniewaga, lecz tylko uchybienie. Jest w tym wielka różnica. Człowiek, który podstępem uderzy kogoś kijem z tyłu i ucieknie zaraz, nie może znieważyć, bo uderzony nie opór, lecz ucieczkę przeciwnika widzi, gdyby zaś uderzający zdradnie z mieczem w ręku popierał uczynioną obrazę, to by napadnięty i obrażony, i znieważony został. Dlatego też nie jestem obrażony i nie gniewam się na tego dobrego człowieka, żałuję tylko, że oddalając się, pozbawił mnie sposobności wywiedzenia go z błędu. Cóż by to było, gdyby Amadis lub inny rycerz tego rodzaju słyszał podobną mowę?

– O! bez wątpienia – dodał Sancho – otworzyliby mu głowę, jak ostrygę. Nie każdy cierpliwie łyka podobne pigułki, i niech mnie piorun trzaśnie, gdyby Renaud de Montanban słyszał wyrazy księżulka, byłby mu tak dobrze wyrył na szczękach cztery palce i kułak, że niezawodnie potem przez trzy lata nie otworzyłby gęby. Oho, niech tylko zażartuje sobie z podobnych, zobaczylibyśmy!

Księżna trzymała się za boki i osłabła ze śmiechu, słysząc mowę Sanchy, która wydała się jej zabawniejszą, niż wszystkie pompatyczne nonsensy jego pana.

Gdy skończono jeść, a służba już zaczęła zdejmować nakrycia, cztery panny dworskie weszły i ceremonialnie zbliżyły się do Don Kichota. Jedna z nich niosła bogatą miednicę, druga ręczniki, trzecia flaszki z wonnościami, a czwarta na koniec z obnażonymi po łokieć rękoma, niosła puszkę srebrną z pachnącym mydłem. Panna, niosąca bieliznę, okryła ramiona i szyję Don Kichota serwetą, następnie druga, ukłoniwszy się, podstawiła miednicę pod brodę rycerza.

Don Kichot zdziwiony był niezmiernie tak nadzwyczajną ceremonią, lecz sądząc, że taki był obyczaj kraju, milcząc wyciągnął szyję. W tej chwili nalano wody w miednice i dziewica, niosąca mydło zaczęła natychmiast myć i mydlić ze wszystkich sił nie tylko brodę, lecz twarz i nawet oczy cierpliwego rycerza, tak dalece, że je zmrużyć musiał.

Książę i księżna, nie będąc uprzedzeni o niczym, spoglądali po sobie, oczekując, na czym skończy się ceremonia. Wreszcie panna cyruliczka, umydliwszy tęgo twarz rycerza, udała, jakoby zabrakło jej wody, i wysłała jedną z towarzyszek celem jej przyniesienia, prosząc Don Kichota, aby raczył cierpliwie na powrót jej zaczekać. Jakoż panna odeszła, a Don Kichot z wyciągniętą szyją, zamkniętymi oczyma, powalany mydłem, do śmiertelnego śmiechu pobudzał patrzących. Na koniec przyniesiono wodę, umyto rycerza, delikatnie obtarto mu twarz, panny, dawszy ukłon ceremonialny, już odejść zamierzały, lecz książę nie chcąc, aby Don Kichot powziął podejrzenie, iż żartują z niego, rozkazał podobnież mniejszą ilością mydła umyć sobie brodę.

Sancho, widząc całą tę ceremonię, uśmiechał się półgłosem, a potem wyrzekł do siebie:

– Do licha, gdyby jeszcze zwyczaj tego kraju nakazywał myć brodę giermkom także, na honor, byłaby to rzecz użyteczna, i dałbym z całego serca pół reala tej dziewczynie, która by omydlić mnie chciała.

– Co tam mruczysz pod nosem, Sancho? – zapyta księżna.

– Mówię, wasza wysokość, że dotąd słyszałem, jakoby zwyczajem po domach książęcych było umywać ręce po obiedzie, teraz widzę, że tu inny panuje obyczaj, który zresztą nadzwyczaj mi się podobał.

– W takim razie, przyjacielu Sancho – odpowie księżna – moje służące umyją cię również.

– Panie marszałku – rzecze dalej – niech zadowolą Sanchę, proszę nie odmawiać żadnemu jego żądaniu.

Marszałek dworu odpowiedział, że pan Sancho będzie zaspokojony i poprosił go natychmiast z sobą na obiad.

Gdy książę, księżna i Don Kichot pozostali sami, po kilku chwilach rozmowy o rycerskiej sztuce księżna prosiła rycerza, ażeby dokładnie opisał jej wszystkie rysy i wdzięki Dulcynei. Don Kichot, westchnąwszy głęboko, odpowiedział:

– Aby uczynić zadość rozkazom waszym, księżno, musiałbym pokazać ci serce swoje, na którym wyryta cała postać ukochanej. Nigdy ustami nie zdołam opisać nieporównanej piękności Dulcynei, która chwyciłaby pędzel Parchascisa i Tuinandy, i Apellesa, i dłuto Fidiasza. Było by zuchwalstwem chcieć opowiedzieć ustami to, czego cała moc połączonej sztuki prawdziwych kształtów utworzyć nie zdoła...

– Z tym wszystkim jednak, mości rycerzu – rzecze książę – proszę cię o określenie mi choć najlżejszego rysu tej nieporównanej piękności.

– Uczyniłbym to z całego serca – odpowie Don Kichot – lecz Dulcynea wskutek złośliwości czarnoksiężników przed niedawnym czasem zaczarowaną została. Z księżniczki zrobiono wieśniaczkę, piękność jej w szpetność zmieniono, woń jej ciała zastąpił wyziew nieznośny, z anioła uczyniono szatana, a z osoby skromnej i uczciwej rozpasaną zalotnicę.

– Wielki Boże! – zawołał książę – któż był tak okrutny i pozbawił ziemię jaśniejącego oblicza Dulcynei z Toboso?

– Któż, jeśli nie przeklęci czarownicy, którzy mnie prześladują, jakiś Nekromanta zdradziecki którego piekło wyrzuciło na świat, aby zaćmić chwałę i czyny znakomitych ludzi, zranił mnie

w najczulsze miejsce, bo odbierając rycerzowi jego damę, pozbawia się go ożywczego słońca.

– To prawda – rzecze księżna – jednakże historia powiada, że wy, panie Rycerzu Lwa nigdy damy Dulcynei nie widzieliście na oczy, że to jest kochanka wymarzona, która tylko w wyobraźni waszej żyje.

– Wiele by o tym mówić potrzeba – odpowie Don Kichot. – Bóg tylko wie, czy Dulcynea egzystuje lub nie, na świecie. Ja nie chcę zgłębiać tej tajemnicy; uważam zawsze Dulcyneę za damę najdoskonalszą, godną szacunku świata całego, dowcipną, grzeczną, skromną i przyjemną, na koniec za osobę wysokiego rodu, ponieważ tak znakomita piękność nie może być niskiego pochodzenia.

– To pewna – rzecze książę – lecz niech wasza wielmożność raczy mi wybaczyć wątpliwość jedną, która powstała w moim umyśle przy czytaniu historii czynów waszych, to jest dziwnym mi się zdaje, że nieporównana Dulcynea z Toboso, przy całej piękności i rozumie, nie może jednakże równać się urodzeniem z Orianą, Madassiną, Ginewrą i tysiącem innych tego rodzaju, o których historia wspomina.

– To prawda – odpowie Don Kichot – ale Dulcynea przez swoje nieporównane przymioty, piękność, wzniosłość umysłu, jak również przez wielkie czyny swoje ma więcej osobistej wartości; mogłaby zasiąść na tronie i dać życie długiemu szeregowi królów.

– Trzeba wyznać, rycerzu – rzecze księżna – że masz szczególniejszy dar przekonywania i odtąd wierzę mocno, że Dulcynea istnieje, że jest damą znakomitego rodu i doskonałej piękności, słowem, godna jest mieć za swego rycerza wielkiego Don Kichota z Manchy. Jedna rzecz tylko ujmę jej przynosi, to jest, że Sancho, jak historia

powiada, przybywszy z poselstwem od was, zastał Dulcyneę nad dzieżą, a podobne zatrudnienie nie dowodzi wysokości rodu.

– Pani – odpowie Don Kichot – wszystko to dzieje się za sprawą czarnoksiężników, którzy nie mogąc uderzyć wprost na mnie, gdyż wyższa moc broni mnie od ich napaści, rzucają czary na przedmiot najdroższy sercu mojemu, dlatego to Sancho, za przybyciem swoim, zastał Dulcyneę nad robotą tak niską i niewłaściwą. Lecz wierzaj mi, księżno, że Dulcynea jest najznakomitszą dziewicą z Toboso i że jak Helena Troję, tak ona wsławi swe rodzinne miasto. Zboże, które przebierała podczas pobytu Sanchy, nie było ziarnem, lecz czystymi perłami, a oprócz tego, mam zaszczyt uwiadomić waszą wysokość, że Sancho Pansa jest najgłupszy giermek, jakiego kiedykolwiek widziano. Naiwność jego, złośliwość, głupota i zręczność, czynią go trudnym do zbadania. Zdaje się wierzyć we wszystko i znów zaprzecza wszystkiemu. Z najtrudniejszego rozumowania niekiedy zwycięsko się wytłumaczy, słowem, nie zamieniłbym go na żadnego giermka, chociażby mi dano najlepszą fortecę w przydatku. Jednakże zdaje mi się, że urząd gubernatora wyspy niezupełnie zdolnościom jego przypadnie, chociaż być może, że z czasem nabierze doświadczenia i będzie tak dobrze rządził, jak i drugi, bo na koniec, nie trzeba wielkiego rozumu do rządzenia, wszakże my sami mieliśmy i mamy dużo gubernatorów, którzy zaledwie czytać umiejąc, wydołali przecież swoim obowiązkom. Głównie idzie o to, ażeby chęci były prawe, a znajdzie się dosyć ludzi, którzy mu rządzić pomogą. Nade wszystko poradzić muszę Sanchy, ażeby, używając praw godności jego należnych, nie naruszał nigdy przywileju poddanych swoich.

W tym miejscu rozmowa przerwana została przez hałaśliwe przybycie Sanchy, który wpadł do sali, ścigany przez kuchcików i innych posługaczy na szyi miał grubą ścierkę, a jeden

ze ścigających niósł za nim szaflik z pomyjami, chcąc koniecznie podstawić go pod brodę Sanchy i umyć należycie.

– Cóż to jest, moje dzieci – zawołała księżna – dlaczego nie oddajecie należnego szacunku Sanchowi, zapomnieliścież, że został gubernatorem obrany!

– Bo widzi wasza wysokość, pan Sancho nie chce być umyty po obiedzie wedle przyjętego na tym dworze obyczaju.

– Przeciwnie – odpowie Sancho z gniewem – chcę być umytym, ale w czystej wodzie. Nie można czynić tak wielkiej różnicy między mną a moim panem, aby jego woniejącą wodą, a mnie pomyjami oblewać. Zwyczaje krajów i pałaców wtenczas tylko są pożyteczne, gdy nie obrażają nikogo. Nie mam brody zabrudzonej i na życie moje przysięgam, że pierwszemu, który dotknie jednego mojego włoska, takiego dam kułaka, że mu pięść w pysku ugrzęźnie i rodzona babka się przyśni.

Księżna umierała ze śmiechu, lecz Don Kichot z przykrością patrząc na Sanchę, otoczonego zgrają obdartusów i wyszydzanego w ten sposób, z uszanowaniem ukłonił się księstwu ichmościom, jakby przepraszając ich za swobodę wyrazów, i surowym głosem wyrzekł do kuchcików:

– Hola, mości rycerze, dość tego, zostawcie w pokoju mego giermka, który nie dla waszej zabawy stworzony. Oddalcie się, gdyż ani on, ani ja żartować z siebie nie pozwolimy.

– Nie, nie, przeciwnie, niech się zbliżą troszkę – rzecze Sancho – a popamiętają nas obu, bo przysięgam, że gdyby wyczesano moją brodę grzebieniem, nie znaleziono by najmniejszej nieczystości.

– Sancho – rzecze księżna – jest czysty i umyty aż nadto dobrze, nie ma potrzeby mydlić mu twarzy, a ponieważ zresztą obyczaje wasze nie przypadają mu do gustu, nie powinniście się narzucać

z nimi. Jesteście brutale, pełni zawiści dla walecznych giermków błędnego rycerstwa.

Kuchciki i marszałek dworu, myśląc, że księżna serio im czyni wyrzuty, oddalili się zawstydzeni, a Sancho, widząc się oswobodzonym od tej hałastry, padł na kolana przed księżną i rzekł:

– Wielcy panowie wielkie łaski świadczą; ja, mościa księżno, nie zdołam nigdy odpłacić tej, jaką wasza wielkość uczyniłaś dla mnie, chyba gdy stanę się błędnym rycerzem, całe życie pędząc na usługach waszych. Jestem rolnik, nazywam się Sancho Pansa, mam żonę i dzieci, a służę za giermka. Jeżeli z tym wszystkim mogę się przydać na co, niech wasza wysokość rozkazać raczy, spełni się jej wola!

– Jak to zaraz widać, przyjacielu Sancho, że jesteś wychowańcem znakomitego Don Kichota, który jest śmietaną i kwiatem grzeczności i galanterii. Szczęśliwy wiek, posiadający rycerza i giermka, z których pierwszy jest chwałą błędnego rycerstwa, a drugi przykładem wierności prawdziwych giermków. Powstań, przyjacielu Sancho, i spuść się na mnie, że zasługi twoje wynagrodzone będą zarządem obiecanej wyspy.

Na tym zakończono rozmowę. Don Kichot oddalił się na spoczynek, a księżna rzekła do Sanchy, że jeżeli nie ma do snu wielkiej ochoty, może przepędzić popołudnie w towarzystwie jej i panien dworskich.

Sancho odpowiedział, iż jakkolwiek ma zwyczaj w lecie spać cztery lub pięć godzin po obiedzie, pozbawi się tej przyjemności przez miłość dla księżnej i posłuszeństwo jej rozkazom.

Książę wyszedł ponowić zlecenie względem sposobów traktowania Don Kichota nadal w swym domu, aby nie uchybiono w najmniejszej rzeczy zwyczajom błędnego rycerstwa.

KSIĘGA SIÓDMA

Rozdział I

W którym opisana jest godna wielkiej uwagi rozmowa Sanchy z księżną i jej pannami

Sancho, dotrzymując obietnicy, udał się za księżną, która przybywszy do swego pokoju, poprosiła, ażeby usiadł. Sancho, jako człowiek dobrze wychowany, wymawiał się od tego zaszczytu, lecz księżna, dowiódłszy mu, że nowa godność gubernatora i wielkie przymioty giermka, czyniły go godnym zasiąść na krześle nawet samego Ruy Diaza, przezwyciężyła wreszcie grzeczny jego upór. Natychmiast wszystkie damy i dziewczęta dworskie okrążyły w milczeniu naszego giermka.

Księżna zaczęła rozmowę w następujący sposób:

– Teraz, skoro jesteśmy sami, niech pan gubernator raczy wytłumaczyć mi jedną zawiłość w sławnej Don Kichota historii. Zdaje się, że Sancho, wysłany przez niego z listem do Dulcynei, zgubiwszy tabliczki, wcale jej nie widział; dlaczegóż więc szarpał jej sławę, jakoby ją zastał nad niegodnym jej piękności i dostojeństwa zatrudnieniem?

Sancho powstał i ostrożnie obszedł salę dokoła, potem zapewniwszy się w ten sposób, że nikt ich nie podsłuchuje, usiadł znów i rzecze:

– Teraz, ponieważ pan mój nie słyszy, oświadczam waszej książęcej mości, że jego wielmożność Don Kichota za kompletnego wariata uważam, chociaż to, co on mówi niekiedy, jest bardzo

mądre, tak dalece, że i sam diabeł lepiej od niego wytłumaczyć się nie potrafi, przecież uważam, że musi mieć koniecznie coś popsutego w mózgu, dlatego muszę niekiedy oszukiwać go w przyzwoity sposób. Uroił sobie na przykład, że jakoby czasami zmieniano postać Dulcynei, a ona, Bóg widzi, jest tak zaczarowana, jak i mój osiołek.

Tu opowiedział Sancho małą historię zaczarowania, która mocno ubawiła księżnę i dworskie damy.

– Z tego, co mi pan Sancho opowiedział – rzecze księżna – dziwny uczyniłam wniosek: jeżeli rycerz, Don Kichot, jest skończonym wariatem, dlaczego Sancho Pansa, znając stan jego umysłu, pozostaje przecież w usługach szaleńca? chyba, że ma bardziej jeszcze popsutą głowę, niż pan jego. Jakimże sposobem można dać Sancho Pansie wyspę do rządzenia, jeżeli samym sobą rządzić nie potrafi?

– Wielka prawda – odpowie Sancho. – Gdybym był rozumny, dawno porzuciłbym mojego pana, ale to próżno. Tam owca trawę skubie, gdzie ją przywiążą, prócz tego, widzi wasza wysokość, obydwaj urodziliśmy się w jednej wiosce, a rodaki jak dwojaki, zawsze razem chodzą. Jadłem chleb jego, dobrym jest panem, darował mi źrebaki, oślęta, kilka realów, dlatego kocham go i wierny mu jestem. Nie rozłączymy się z sobą zapewne, chyba, gdy śmierć którego kosą za kark zawadzi, wtenczas bywaj zdrów! trudno się oprzeć. „Nie masz tak gorącej miłości, co by nie stygła w przeciwności", tak do psów król Dagobert mówił, gdy zwierzynę łowił. Jeżeli wasza wysokość sądzi, że nie należy mi dawać rządów wyspy obiecanej przez księcia, to się obejdę. Mniej będzie o jednego gubernatora na świecie. Nie przyniosłem władzy z sobą z żywota swej matki, umrę sumienną osobą, zostawię wszystkie dostatki i pewnie będę miał spokojniejsze sumienie bez tego

urzędu, niż z nim; jestem ja wprawdzie tylko ubogim prostakiem, ale słyszałem, że na własną zgubę jeleniowi rogi wyrosły, a wilk nie tyje przez posty i myślę, że Sancho-koniuszy tak dobrze trafi do raju, jak i Sancho-rządca do kraju. I we Francji o tym wiedzą, jaki chleb w Hiszpanii jedzą. Nikt nie ma dwóch brzuchów, ani nosi dwóch kożuchów. W tę samą gębę wyborne potrawy, co i podłe kładą strawy. Każdy w swoją torbę chowa, każda za się cierpi głowa. W nocy każdy kotek bury, łowi tak myszy, jak szczury. To się znaczy: że śmierć wszystko zrówna. Nieszczęśliwy, kto co dzień nie jada obiadu, choćby owocu z sadu. Nikt się nie naje za drugiego, jeszcze z Boskiej opatrzności dosyć zboża do żywności. Bóg żywi małe ptaszęta i zwierzęta, i bydlęta. Niech się nikt nie dziwi, że i nas pożywi. Tak długie sześć łokci płótna, jak i sześć łokci sukna. Brzuch dobrze czuje, co człowiek żuje. Gdy trzeba będzie na śmierć dać drapaka, taki los księcia, jak i prostaka. Nie trzeba więcej ziemi dla papieża, jak dla zakrystiana albo też żołnierza. Choć daleko kto śmignie, śmierć go zawsze doścignie. A raz wlazłszy już w dół ciasny, skurczy się tam i pan jasny. Choćby się dąsał, zębami kąsał, z tego posłania już mu nie do wstania. Powiadam tedy waszej wysokości, że jeśli nie chcecie dać mi wyspy dlatego, żem głupi, to nie dbając o nią, mądrym zostanę. O! bo już dawno słyszałem od starego dziada, że często diabeł pod krzyżem siada. Nie wszystko złoto, co się z wierzchu świeci, bije blask w oczy od szychowych nici. Za dawnych czasów chłopa Wambę dobyto z chałupy i na tronie hiszpańskim posadzono, a przeciwnie, porwano króla Rodryga wśród bogactw i przepychu i rzucono go w przepaść na pożarcie wężom, jeśli pieśń nie kłamie.

– A dlaczegóż by miała kłamać? – przerwie Donna Rodriguez – przecież jest romans, który opisuje, że wrzucono króla Rodryga w dół pełen węży, żmij, gadów, gdzie takich doznał męczarni,

że w dwa dni potem jeszcze żałosnym wołał głosem: „Kąsają mnie i szarpią w te miejsca, którymi najwięcej grzeszyłem". A ponieważ tak jest, więc ten pan ma rację przekładać stan rolnika nad królewski.

Księżna wybuchnęła śmiechem nad naiwnością dobrej Rodriguez i rzekła do Sanchy:

– Mój przyjacielu, wiedz dobrze, że skoro rycerz raz jeden da słowo, już go nie złamie nigdy, a chociaż książę nie szuka awantur po świecie, niemniej jednakże w poczet rycerstwa się liczy; dlatego bądź spokojny, wkrótce otrzymasz wyspę, na której po królewsku, okryty w aksamit i hafty, żyć będziesz. Zalecam ci tylko, abyś łaskawie rządził sprawami swoich poddanych.

– O, co się tyczy rządzenia, to mi łatwo przyjdzie, jestem z natury miłosierny i zawsze miałem litość nad ubogimi, ale znów nie pozwolę ubliżyć sobie. Jestem stary wyga, co wie, jak się mryga. I na coś więcej mnie stać, niż jeść chleb i spać. Niech mówią, co chcą, ale ja nie dam sobie w kaszę dmuchać, od tego mam wiatr pod nosem i sam wiem dobrze, z której strony wieje; to znaczy, że dobrzy łatwo się ze mną porozumieją, a złych to ja nauczę rozumu. Lecz na koniec zdaje mi się, że we względzie rządu wszystko zależy na dobrym zbiorze i może być, że w ciągu piętnastu dni lepiej zrozumiem sztukę rządzenia, niż uprawę ziemi, którą znam od dzieciństwa.

– Słusznie mówisz, Sancho – odpowie księżna – ludzie rodzą się do wszystkiego zdolni, przecież nikt papieżem się nie urodził. Lecz powróćmy do zaczarowania pani Dulcynei, gdyż ja utrzymuję ciągle, że chęć oszukania swego pana przyszła Sanchy z poduszczenia czarnoksiężników, bo wiem z pewnością, że wieśniaczka, która skoczyła na osła, była prawdziwą Dulcyneą z Toboso, i że Sancho, myśląc oszukać swego pana, sam oszukany

był pierwej, bo trzeba ci wiedzieć, mój przyjacielu, że i u nas jest wielu czarnoksiężników, którzy nam o wszystkim zdają sprawę. Od nich to wiemy, że Dulcynea z Toboso jest zaczarowana, lecz że niezadługo przyjdzie chwila, gdy ujrzymy ją w naturalnej postaci.

– Hm! być to może – odpowie Sancho – i zaczynam wierzyć, że mój pan prawdę mówił, opisując jaskinię Montesinos, w której widział panią Dulcyneę w takim samym ubraniu, w jakim mu ją opisałem, gdy mi przyszła myśl zaczarować ją. Podobno ja pierwszy byłem oszukany i myślę teraz, że za mało mam dowcipu do zbadania tak subtelnych rzeczy. Widzę nawet, że niepodobna, aby mój pan dał się oszukać takiemu jak ja głupcowi. Dlatego wasza wielkość niech nie sądzi, ażebym był złośliwy. Tylko naturalnie będąc głupcem, nie mogłem się obronić od mocy czarnoksiężników. Skomponowałem zaś tę historię dlatego, ażeby gracko wywinąć się z poselstwa. Bóg zna występnych i tych ukarze.

– To prawda – rzecze księżna – ale jakaż to awantura zdarzyła się w pieczarach Montesinos?

Sancho opowiedział wszystko, co podówczas zaszło, a księżna wysłuchawszy, rzecze:

– Otóż widzę w tym nowy dowód, że ta sama, którą wielki Don Kichot widział w Montesinos, a Sancho spotkał w Toboso, jest istotnie Dulcyneą z Toboso.

– Ha! na koniec – rzecze Sancho – jeśli pani Dulcynea jest zaczarowana, tym gorzej dla niej. Ja nie mogę walczyć ze wszystkimi nieprzyjaciółmi mojego pana. To pewna, że ta, którą spotkałem, była wieśniaczką, a czy ta jest Dulcynea lub nie, to mi wszystko jedno. Już mnie nudzi to ustawiczne powtarzanie. Sancho tam mówił, Sancho to zrobił, Sancho to skłamał, jak gdyby Sancho nie wiem już czym był na świecie, a Sancho jest zawsze ten sam, który jak długi leży przez ciąg całej historii. Tak przynajmniej utrzymuje

Samson Karasko, bakałarz z Salamanki, który za wszystko złoto na ziemi skłamać by nie potrafił. Niechże więc odczepią się raz ode mnie! Jeżelim niebogaty, nikomum niewinowaty. Z cudzego się nie panoszę, a o chleb nikogo nie proszę. Choć suknia nie biała, ale cnota cała. Gdy mam zacne imię, nikt mi go nie odejmie i zazdrość się nie imie. A jak zacznę rządzić, to pokażę, co umiem.

– W samej rzeczy, Sancho – rzecze księżna – doskonały masz sposób opowiadania i przysłowie słusznie mówi: suknia nie czyni mnicha i pod twardą łupiną smaczne ziarna słyną!

– Upewniam waszą wysokość – odpowie Sancho – że jestem człowiekiem dobrego serca. Nie upijam się nigdy, chociaż z rąk przyjaciela nie odtrącę kieliszka; gdy mi kto powie: na zdrowie, odpowiadam: Bóg zapłać. Na moją duszę! nie można wyrzucać giermkom błędnych rycerzy, że zbytkują na świecie. Biedni ludziska! Ledwie nogi wloką, zawsze po drogach, lasach, górach, chociaż im się nie chce, wodę pić muszą. Nieraz by zapłacili, by się czym posilili, a kropli wina dostać nie mogą, wędrując zawsze nieprostą drogą.

– Tak i ja myślę – odpowie księżna – ale już późno, możesz odejść, Sancho, zajmę się przyspieszeniem twoich rządów na wyspie.

Sancho skłonił się do nóg księżnej, prosząc, aby o jego stempaku miano staranie.

– Cóż to za stempak? – zapyta księżna.

– To mój osiołek – rzecze Sancho – przez uszanowanie dla pani nie nazywam go po prostu. Już wchodząc do zamku polecałem go staraniom poważnej pani Rodriguez, ale rozgniewała się, żem ją starą i szpetną nazwał, właśnie jakbym jej nowinę powiedział, a przecież takie jejmoście powinny opatrywać konie błędnych rycerzy i osły błędnych giermków! Oj, żeby ta pani dostała się

w ręce pewnego szlachcica, który w naszej wsi mieszkał, byłby ją tak oporządził, ażby się podrapała.

– To musiał być zapewne taki prostak i gbur, jak ty – przerwała Donna Rodriguez – bo człowiek dobrego rodu szanuje damy zacnego domu.

– Przestańmy o tym mówić, pani Rodriguez – rzecze księżna – a ty, Sancho, nie turbuj się o swego stempaka, ja sama o nim pamiętać będę. Na koniec, mój przyjacielu Sancho, możesz odesłać swego ulubieńca na wyspę, której jesteś gubernatorem, a tam będą mu dogadzać, jak zechcesz.

– Niech wasza wysokość nie żartuje ze mnie, bo choć to nie byłby pierwszy osioł, którego gubernator do wielkorządztwa wysłał, a dużo ich pod kotarami spoczywa, ale mój nie jest dumny, kontent, jeśli w stajni stoi choćby o słomie, a cóż dopiero, gdy ma obrok i siano.

Księżna roześmiała się serdecznie i pożegnawszy Sancha, udała się do księcia, aby mu opowiedzieć swoją rozmowę z giermkiem i ułożyć wzajemnie sławną awanturę, noszącą na sobie zupełny charakter błędnego rycerstwa, bo rycerz i giermek podejrzenia powziąć nie mogli. A co ułożono, to będzie najsławniejszą przygodą z całej tej historii.

Rozdział II

W którym opisano, jaki wynaleziono sposób do odczarowania Dulcynei

Oboje księstwo, nadzwyczajnie bawiąc się oryginalnością swoich gości, wymyślili nowy sposób rozrywki. To, co słyszeli od Don Kichota o pieczarze Montesinos i głupota Sanchy, który uwierzył w oczarowanie Dulcynei, dawała mu nadzieję, że żart pomyślnie się

uda. Po upływie sześciu dni, w ciągu których stosowne uczyniono rozporządzenia, wszyscy razem z Don Kichotem, Sanchą i wielką liczbą gończych psów wyjechali na polowanie. Przyniesiono rycerzowi i giermkowi ubiór z pięknego, zielonego sukna. Don Kichot mówiąc, że rycerz błędny zawsze w zbroi, jak do boju gotów być powinien, nie chciał przyjąć ofiarowanej mu sukni. Sancho przeciwnie, pomyślał, że za zdarzoną sposobnością będzie mógł sprzedać swoją.

Don Kichot uzbroił się, Sancho wdział suknię i, wsiadłszy na osła, wmieszał się między myśliwych.

Księżna w bogatym stroju dosiadła klaczy, której cugle przytrzymywał Don Kichot z rycerską galanterią. Wjechali do kniei, zastawiono sieci, rozsforowano psy, a gdy myśliwi zajęli już stanowiska, zaczęło się polowanie przy odgłosie trąb i naszczekiwaniu psów gończych.

Księżna zsiadła z klaczy i z oszczepem w ręce, stanęła na przesmyku, przez który dziki uciekać miały. Książę i Don Kichot stanęli obok niej. Sancho ukrył się w pewnym oddaleniu, siedząc na ośle dla większego bezpieczeństwa.

Zaledwie uszykowali się należycie, gdyż ujrzeli biegnącego ku nim ogromnego dzika, pędzonego przez psy. Don Kichot, ująwszy tarczę z mieczem, poskoczył ku niemu; książę, zatrzymawszy księżnę, pobiegł równie za Don Kichotem, ale Sancho, spostrzegłszy strasznego zwierza z potężnymi kłami, zapienionym ryjem i iskrzącymi ślepiami, skoczył z osła i począł na dąb się drapać, ale ze strachu i niezręczności, od połowy już drzewa spadł na dół i zaczepiwszy się suknią za gałąź u dołu rosnącą, zawisł o łokieć nad ziemią. W tak niebezpiecznym stanie, już to żałując niezmiernie rozdzierającej się nowej sukni, już mniemając, że dzik w biegu rozetnie go kłami, zaczął nasz giermek

przeraźliwie wrzeszczeć. Ubito wreszcie zwierza. Don Kichot, przybiegłszy na ratunek Sanchy, odplątał nieboraka, który smutnie poglądał na ogromną dziurę w nowej sukni.

Zabitego dzika przewieszono przez muła, przykryto gałęziami rozmarynu i mirty i zawiedziono do namiotu, postawionego wśród kniei, tam oczekiwał myśliwych obfity stół, godny książęcej wspaniałości.

Strapiony Sancho zbliżył się do księżnej i okazując jej rozdartą suknię, rzecze:

– Gdybyśmy na kuropatwy lub zające polowali, nie przyszedłbym do takiego stanu, a teraz mogę zawołać razem z Fabillą: „Będziesz pożarty przez niedźwiedzie".

– To był król Gotów – rzecze Don Kichot – którego na polowaniu rozszarpały niedźwiedzie.

– To-to właśnie – rzecze Sancho – ciekawym tylko, dlaczego książęta i królowie narażają się na rozszarpanie dla błahej rozkoszy zabicia biednego zwierza, który im nic złego nie uczynił.

– Mylisz się, przyjacielu Sancho – rzecze książę. – Polowanie na drapieżnego zwierza najbardziej królom i książętom przystoi, ponieważ jest wielce do wojny podobne i wymaga zręczności, podstępu, a co główna, że takie polowanie nie wszystkim służy. Tylko wysokie towarzystwo książąt i wielkich panów rade zajmuje się tą zabawą. Toteż, mój przyjacielu Sancho, gdy zostaniesz gubernatorem, poluj bez przestanku.

– O, co to, to nie, łaskawy panie – odpowie Sancho – byłoby to pięknie, aby gubernator był na polowaniu, gdy tylu ludzi sfatygowanych przybywa szukać go w nagłych interesach. Niech wasza wysokość raczy mi wierzyć, że polować powinni próżniacy, nie gubernatorowie; co do mnie, myślę tylko w niedziele i święta uroczyste bawić się, grać sobie w karty lub w pliszki, bo to, jak

powiadają, dobry dłużnik zawsze ma otwarty worek, kogo Pan Bóg wspomoże, ten więcej może, ciało rusza nogi do drogi, nogi dźwigają ciało, aby postępowało. Za Boską pomocą i przy dobrych chęciach będzie się rządziło jakoś zawsze trzeźwo, nie po pijanemu, a kto mi nie wierzy, niechaj przymierzy, niech mi palec w gębę włoży, tak go ścisnę, aż się strwoży. Oho! niech tylko nabiorę wprawy, to mnie najmędrszy nie zawstydzi, kaptur nie czyni mnichem, ani łachman lichem, skoro zacznę, będzie znaczne.

– Stój! hola, Sancho! – zawołał Don Kichot – jak zaczniesz bajać, nie wiesz, kiedy skończysz! Że też ani jednego słowa nie możesz przemówić, nie dodawszy dziesięciu przysłów. – Proszę wasze wysokości rozkazać milczeć temu papli.

– Wszystkie przysłowia Sanchy – odpowie książę – chociaż dosyć obfite i niezbyt właściwie zastosowywane, nadzwyczajną mi przecież sprawiają przyjemność. Prócz tego, przyjaciołom wiele się wybacza.

Tak rozmawiając, wjechali w głąb kniei, a chcąc zobaczyć, czy nie ułowiono jakiej zwierzyny w sieci, zabawiono tu do późna; noc zapadła, lecz nadzwyczaj ciemna, co zresztą sprzyjało wiele do wykonania ułożonego przez książąt planu.

Nagle cały las zajaśniał, straszliwy odgłos trąb, kotłów i innych narzędzi wojennych, przerwany jakby tętentem licznej konnicy, napełnił bór cały. Wszyscy zdziwieni, nie wiedzieli, co począć. Pomieszane głosy trąb, puzonów i szczęk miedzianych kociołków, przez Maurów w bitwach używanych, taki sprawiły łoskot, że umarłego zbudzić mogły. Don Kichot, mimo odwagi, cokolwiek się zmieszał, Sancho drżał jak liść ze strachu. Nagle wszystko ucichło i ukazał się parlamentarz w kostiumie diabelskim, trąbiąc w kozi róg.

– Kto jesteś i dokąd jedziesz? – zapytał książę.

– Jestem szatanem – ryknie poseł straszliwym głosem – szukam Don Kichota z Manchy, a jazda, której tętent słyszycie, to sześć czarnoksięskich stowarzyszeń, prowadzących Dulcyneę zaczarowaną na zwycięskim wozie. Towarzyszy jej waleczny rycerz Montesinos, który ma odkryć Don Kichotowi sposób odczarowania Dulcynei.

– Gdybyś był szatanem – rzecze książę – poznałbyś rycerza, którego szukasz, wszakże on wśród nas się znajduje!

– Na Boga i na duszę moją – zawołał diabeł – tyle mam różnych rzeczy w pamięci, że zapomniałem najważniejszej.

– Jednakże – rzecze Sancho na stronie – z tego diabła niezły człowiek i niezgorszy katolik, bo czart złośliwy tak by się nie zaklinał.

Diabeł odezwał się znów:

– Rycerzu Lwa, którego pragnę mieć w swoich pazurach, przysyła cię do mnie nieszczęsny Montesinos, abyś w tym miejscu zaczekał i Dulcyneę odczarował.

Rzekłszy to, zatrąbił w kozi róg i zniknął.

– Cóż myślisz czynić, mości rycerzu? – zapytał książę.

– Choćby całe piekło sprzysięgło się, oczekiwać go będę z niezmrużonym okiem.

– Co do mnie – rzecze Sancho – choćby jeszcze jeden diabeł przyszedł mi trąbić w uszy, nie ustraszy mnie, jakem Turek.

Noc zapadała, mnóstwo świateł przebiegało po lesie, dźwięk łańcuchów słyszeć się dawał, wystrzały artylerii zagrzmiały, w różnych częściach lasu mauretańskie dźwięki wojennego kotła rozlegały się dokoła.

Don Kichot potrzebował zebrać całą odwagę, aby nie upaść na duchu, Sancho padł, skulił się wpół zemdlony u nóg księżnej, a wtem nadjechał jakiś wóz dziwaczny, ciągniony przez cztery woły

czarnym pokryte suknem i mające przy każdym rogu zapaloną pochodnię.

Na wierzchu wozu na tronie siedział starzec szanowny z długą i śnieżną brodą, okryty czarną suknią, twarz jego była poważna i okazała. Na koźle siedziało dwóch diabłów, ale tak strasznych i czarnych, że Sancho zamknął oczy z przerażenia; gdy wóz stanął przed księciem, podniósł się starzec i rzekłszy głośno: „Jestem mędrzec Urgand", szybko pojechał dalej.

Nadjechał drugi wóz i starzec podobny pierwszemu rzekł surowym głosem: – „Jestem mędrzec Alguif, wielki przyjaciel Urgandy" – i przejechał znów.

Przybył następnie trzeci, lecz był to jeszcze silny człowiek, nieprzyjemnej i dzikiej twarzy. Powstał jak inni i chrapliwym zawołał głosem – „Jestem czarnoksiężnik Archalaiis, śmiertelny wróg Anbadisa z Galii i całego jego pokolenia". – Rzekłszy to, popędził za drugimi.

Gdy wozy przejechały, nastała cisza i nagle dały się słyszeć dźwięki słodkiej muzyki.

– Gdzie muzyka, tam wesoło – rzecze Sancho pocieszony.

– I gdzie światło także – dodała księżna.

– Wcale nie – rzecze Sancho – światło pochodzi od płomienia, płomień może zapalić las, w lesie możemy upiec się jak kartofle, przy muzyce zaś tylko spać albo tańczyć można.

– Zobaczymy wkrótce, co to być może – rzesze Don Kichot.

I my zobaczymy rozwiązanie tajemnicy w następującym rozdziale.

Rozdział III

W którym opisany jest dalszy ciąg środków, jakich użyto do odczarowania Dulcynei, etc., etc.

Muzyka zbliżała się i zobaczono wkrótce wóz triumfalny, przez sześć mułów ciągniony, z których każdy okryty był białą materią i miał na sobie pokutnika ubranego w suknie tegoż koloru. Wszyscy jeźdźcy trzymali w rękach zapalone gromnice, wóz ten trzy razy był większy, niż poprzednie, i mieścił w sobie dwunastu jeszcze pokutników z zapalonymi świecami. Na tronie, wzniesionym wśród wozu, siedziała nimfa, ubrana w srebrzystą gazę, tak świecącą od złota i kamieni, że wzrok olśniony nie zdołał wytrzymać blasku. Zasłona z atłasu pokrywała jej twarz, ale tak tylko, że można było widzieć z boku nadzwyczajną piękność i młodość dziewicy. Obok niej siedziała postać nieruchoma, okryta długą, czarną suknią; na głowie miała zarzuconą żałobną zasłonę.

Gdy wóz stanął przed księciem, muzyka ucichła, a czarna postać powstawszy, zrzuciła suknię, odkryła zasłonę i ukazał się szkielet, wyobrażający śmierć w najohydniejszej postaci.

Sancho ze strachu zapiszczał boleśnie, książę i całe towarzystwo zdawało się przestraszone. Śmierć przeciągłym głosem ozwała się w te słowa:

Ja jestem Merlin – o którym historia
Mówi – jakoby synem był szatana.
(Kłamstwo, któremu czas dał prawdy pozór),
Jam magii książę i monarcha czarów
I archiwista Zoroastra wiedzy!
Jam współzawodnik i czasu, i wieków,
Chcących w proch zatrzeć pamięć sławnych czynów
Rycerzy błędnych, którzy zawsze byli
I będą zawsze pod opieką moją.

A chociaż wszyscy czarownicy dawni

I magii mistrze mieli humor taki,
Że trudno było ustrzec się ich gniewu;
Ja jestem czuły, słodki, romansowy,
I lubię wszystkim dobre czynić sprawy.
W ciemnej jaskini przeznaczenia siedząc,
Gdzie dusza moja w uczonym zapale
Pisma i cyfry magiczne kreśliła.
Żałosną skargę nagle usłyszałem:
Głos Dulcynei, dziewicy z Toboso!

Gdy jej niedola i zaczarowanie
W kształt prostej dziewki wiadome mi były;
Serce me nagła litość ogarnęła!
Więc duch mój, kryjąc w tej czaszki czerepy
I przeczytawszy stutysięczne księgi,
Którymi starczą piekieł księgozbiory;
Przybywam tutaj, by podać dłoń wsparcia
Bólom tak srogim, tak wielkiej niedoli!

O ty! zaszczycie i chwało tych mężów,
Co pierś twą zbroją stal i dyjamenty!
Ty, coś jest światłem i busolą dla tych,
Którzy wyrzekłszy się miękkiego łoża
I lekkie pióra próżniactwa rzucając,
Rycerskie czoło okuli w stal świetną
I broń rycerską chwycili do ręki.

Do ciebie mówię, dzielny bohaterze!
Któremu dzieje będą sławę dłużne,
Do ciebie mówię, Don Kichocie z Manchy
Kwiecie rycerstwa i Hiszpanii gwiazdo:

„By niezrównana dziewica z Toboso
W kształt Dulcynei z dziewki powróciła,
Potrzeba na to, by twój giermek dzielny,
Znany w historii pod Sanchy imieniem,
Wyliczył sobie w obnażone tyłki,
Uderzeń rózgą trzy tysiące sześćset,
Lecz tak, by znaki po plagach zostały
I by jak pieczeń zrumienił się kuper;
Taki jest wyrok tych, co przetworzyli
Cudowną postać pięknej Dulcynei".
To wam oznajmić przybyłem, panowie!

– Otóż to właśnie – zawołał Sancho – idź do diabła ze swoim sposobem odczarowania! A moja skóra jaki ma związek z czarami? Ja wam powiadam, że jeśli Wielmożny Merlin nie zna innego sposobu wybawienia pani Dulcynei, to ona już tak sobie umrze zaczarowana.

– Słuchaj, ty psie plemię! – rzecze Don Kichot z gniewem – przywiążę cię do drzewa i nie trzy tysiące sześćset, ale pięćdziesiąt tysięcy rózeg ci wyliczę i to takich, że każda z nich wypędzi duszę z ciebie.

– Powoli, powoli! – rzecze Merlin. – Tak nie uchodzi. Pokuta dobrowolna być musi i odbywać się w czasie nieoznaczonym. Może być nawet zmniejszona o połowę, jeżeli giermek przystanie, aby inna ręka, nie jego własna, wyliczyła te plagi.

– Ani moja, ani druga, ani ciężka, ani lekka – rzecze oburzony Sancho. – Czy to ja żenię się z panną Dulcyneą z Toboso? Niech jego wielmożność, Don Kichot, który ją nazywa swoją duszą i rozkoszą, oćwiczy sobie skórę za jej uwolnienie. Za cóż ja mam być biczowany bez żadnej korzyści?

Zaledwie Sancho skończył, młoda nimfa podniosła się z tronu, zrzuciła zasłonę i ukazawszy twarz cudnej piękności, rzecze,

zwracając się do giermka:

– O giermku niegodziwy! kurzego serca tchórzu! Gdyby ci powiedziano, łotrze, byś się rzucił z wierzchołka wieży głową na dół, tygrysie bez litości! Gdyby żądano, abyś żonę i dzieci zadusił, nie dziwiłbym się, widząc twój upór; ale o marne trzy tysiące plag tak bardzo ci chodzi? Wstydź się! Małe dziecko w szkole w ciągu miesiąca wytrzymałoby podobną chłostę. Patrz brzydkimi ślepiami srogiego smoka w moje gwiaździste spojrzenie, w moje liliowe lica, a zginiesz sromotnie, widząc księżniczkę w kwiecie wieku, skazaną na pędzenie najpiękniejszych dni swoich pod postacią szkaradnej dziewki wiejskiej. Niech cię wzruszy moje nieszczęście! Nadstaw swoją grubą skórę. Przezwyciężaż raz przecie obżarstwo, podłość i lenistwo swoje. Powróć mi piękność i gładkość mojego dziewiczego czoła, jeśli nie przez wzgląd na mnie, to z miłości dla tego rycerza, który tak dobrym był dla ciebie panem, który drżący ze wzruszenia czeka odpowiedzi twojej.

Tu mowę nimfy przerwały jęki i szlochania.

– Na moją duszę – zawoła Don Kichot – piękna Dulcynea przenika ukryte myśli moje.

– Cóż na to Sancho? – zapyta księżna.

– Ja, mości księżno? – odpowie Sancho – jak na chrzcie świętym diabła, tak wyrzekam się tego biczowania *apernuntio*.

– Mów *abrenuntio* – przerwie książę.

– I co tam – rzecze Sancho – właśnie nam czas liczyć, czy litera więcej lub mniej potrzebna w wyrazie, kiedy mi każą biczować się do krwi. Miły Boże, pięć tysięcy rózeg!

– Mylisz się, mój przyjacielu – rzecze książę – tylko trzy tysiące sześćset.

– A to mi wielka łaska! dziękuję za opuszczenie; kto myśli, że zyska na wytargowaniu, niech weźmie interes na siebie. Ale

chciałbym też wiedzieć, gdzie pani Dulcynea z Toboso nauczyła się tak pięknie prosić? Żąda, ażebym sobie ciało posiekał dla jej miłości i nazywa mnie dzikim zwierzęciem, obrzydliwym tygrysem i wymyśla tak, że i diabeł by nie ścierpiał. Czy to ja jestem z brązu! Żeby jeszcze przyszła z jaskini z tuzinem koszul w ręku, ażeby przyniosła parę szlafmyc, chociaż ich nie używamy, jeszcze by to było coś. Powinna wiedzieć, że osioł obładowany złotem lekko na górę włazi, że podarunki umacniają prośby i że jeden wróbel w kieszeni lepszy, niż sto na dachu. Bo trzeba zawsze, ażeby była kwita z byka za indyka. Tu znów pan mój, zamiast miękczyć mnie prośbami, chce przywiązać do drzewa i potroić dozę recepty pana Merlina. A przecież powinni by wiedzieć o tym wszyscy, do kogo mówią, że nie tylko giermkiem, lecz i gubernatorem jestem. Oho! na świecie trzeba na wszystko uważać. Dzisiaj na przykład jestem w złym humorze, bo rozdarłem sobie suknię, dlatego tym mniej mam ochoty własną porozdzierać skórę.

– Wstydź się, Sancho! – rzecze książę – po co tyle ceregieli. Musisz jednakże wybierać jedno z dwojga: przyjąć plagi albo zrzec się gubernatorstwa. Jakże chcesz, abym wasalom moim dał wielkorządcę dzikiego i okrutnego, którego nic wzruszyć nie zdoła? Wybieraj więc, Sancho.

– Jaśnie oświecony panie! – rzecze Sancho. – Dajcież mi choć ze dwa dni czasu do namysłu.

– Niepodobna – rzecze Merlin – trzeba w tej chwili rzecz skończyć i Dulcynea albo powróci natychmiast do jaskini Montesinos zmieniona w wieśniaczkę, albo w stanie obecnym przeniesiona zostanie na elizejskie pola, oczekując, aż liczba plag dopełniona zostanie.

– No dalej! odważnie! – rzecze księżna. – Gdzie serce u ciebie? Trzebaż czuć cośkolwiek wdzięczności. Jadłeś chleb w domu rycerza

Don Kichota. To diabeł, mój przyjacielu, namawia cię i trwoży ilością plag. Pogardzaj przeszkodami, a jak mówią twoje przysłowia, dla chcącego nie ma nic trudnego.

– I ja radzę ci, mój przyjacielu – rzecze Merlin – poddać się tej małej chłoście, będzie to z pożytkiem dla twojej duszy i dla ciała twego, dla duszy, jako czyn chrześcijański, dla ciała ze względu na twoją kompleksję krwistą i gorącą, której puszczenie krwi w niczym nie zawadzi.

– Tra ta! ta! Ten sobie dobry – zawoła Sancho – i tak do diabła doktorów na świecie, jeszcze czarnoksiężnicy dopomagać im będą. Otóż więc, ponieważ wszyscy klekczą mi w głowę, przystaję na ugodę, z warunkiem wszakże, że ja sam te trzy tysiące sześćset plag wyliczę sobie. Drugi warunek: że do krwi bić się nie będę, a jeżeli czasem niedobrze się trafię, to także i liczyć się będzie. Ostatni: że pan Merlin będzie za mnie liczył, abym przypadkiem nie pomylił się w rachunku.

– Bądź spokojny – odpowie Merlin – i bez liczby, skoro ostatnia plaga uderzona zostanie, natychmiast pani Dulcynea odczarowana zjawi się przed tobą, składając dzięki i przynosząc bogate dary.

– Niech więc i tak będzie – rzecze Sancho – przyjmuję pokutę, z warunkami wszakże, które wymieniłem.

Zaledwie Sancho skończył ostatnie słowa, dał się słyszeć wystrzał artylerii, muzyka zabrzmiała, piękna Dulcynea skłoniła głowę przed księżną, głęboki dała ukłon swojemu wybawcy i wóz oddalił się szybko.

Don Kichot rzucił się na szyję giermka, książę i księżna, oraz myśliwi, oświadczali mu wdzięczność swoją i gdy jutrzenka zaczęła już rumienić szczyty gór, całe towarzystwo, zadowolone z polowania i szczęśliwego powodzenia ułożonych planów

powróciło do zamku z gorącą chęcią przedłużenia tak zabawnej farsy.

Rozdział IV

W którym opisuje się szczególną i niesłychaną przygodę Donny Dolorydy, inaczej hrabiną Trifaldi zwanej, i list, który Sancho do swej żony pisał

Cała wczorajsza awantura była pomysłem intendenta książęcego domu, człowieka nader dowcipnego, który sam odgrywał rolę Merlina, przebrawszy młodego i pięknego pazia za Dulcyneę.

Na rozkaz księcia intendent ułożył inną znów intrygę, równie sztuczną jak pierwsza.

Następnego dnia księżna zapytała Sanchę, czy zaczął już pokutę dla wyzwolenia Dulcynei.

– O, już – odpowie Sancho – zeszłej nocy dałem sobie pięć na rachunek.

– A czymże biłeś się? – zapytała księżna.

– A juścić ręką.

– Ależ to nie jest kara – rzecze księżna. – Merlin nie będzie z niej zadowolony; spraw sobie dobrą dyscyplinę z troczkami, albo każ zrobić tęgie pomietełki i staraj się, ażeby cię trochę bolało, nie można oszukiwać Pana Boga w pokucie.

– Pani! – rzecze Sancho – niech wasza wysokość da mi dyscyplinę jaką zechce i jeżeli mi tylko wielkiego bólu nie sprawi, używać jej będę, bo trzeba wiedzieć waszej wielkości, że lubo chłop, miękką i delikatną mam skórę i mogę natychmiast przekonać waszą łaskawość.

– O nie! nie trzeba! – przerwie księżna – więc jutro ja sama dam ci dyscyplinę, która zgodzi się z delikatnością twojej skóry, tylko

proszę cię o rzetelność w egzekucji.

– Och, pani, choćby tylko dla przypodobania się tobie, nie opuszczę ani jednej plagi, a jeżeli mi nie ufacie, w waszej obecności biczować się będę. Mam prócz tego uwiadomić waszą królewską mość, że napisałem list do Teresy Pansa, mojej żony, w którym uwiadamiam ją o wszystkim, co się przytrafiło. Chcę, aby wasza dyskrecja miała zaszczyt przeczytać go, zresztą wiesz też pani najlepiej, jak gubernator pisać powinien.

– Któż go podpisał?

– Et, któż inny miałby podpisywać? Ja.

– Więc go sam pisałeś? – zapytała księżna.

– To, to nie – odpowie Sancho – ponieważ ani czytać, ani pisać nie umiem, jedynie imię swoje podpisać potrafię.

– Zobaczmy więc – rzecze księżna.

Sancho wydobył list z zanadrza, podał księżnie, która zaczęła czytać następujące wyrazy:

List Sancho Pansy do Teresy Pansa, jego żony.

„Dobrze, że mam twarde kości, moja kobieto, bo mi je diablo ściśnięto i jeżeli mam gubernatorstwo, drogo za nie zapłaciłem. Nie rozumiesz tego dobrze, moja Tereso, ale kiedyś dowiesz się lepiej. Ułożyłem sobie, moja luba, że będziesz jeździć w karecie, inaczej znaczyło by to żartować z siebie, bo koniec końców, jesteś żoną gubernatora. Jeżeli by ktokolwiek był zuchwały, a zabiegał ci w drogę, donieś mi, a ukarzę go należycie. Posyłam ci nowe zielone suknie, które dostałem od księżnej podczas polowania, wykraj je, jakoby uczynić kaftan i spódnicę dla naszego dziecka. O Don Kichocie powiadają tu, że jest mądry i zabawny, ale i wariat także. Nie chwaląc się i o mnie gorzej nie trzymają. Byliśmy w jaskini Montesinos, tam mędrzec Merlin przeznaczył mnie do uwolnienia Dulcynei z Toboso, u nas Aldonza Lorenza zwanej, za sprawą trzech

tysięcy sześciuset rózeg, z których pięć już sobie wyliczyłem. Ale stul buzię o tym zdarzeniu, bo będą tacy, co to nazwą głupotą. Za kilka dni jadę objąć moje gubernatorstwo, ogromnie będę zbierał pieniądze, bo słyszałem, że wszyscy nowo obrani gubernatorowie podobnie czynią. Rozpatrzę się dobrze i uwiadomię ciebie, gołąbku, czy masz przyjechać do mnie. Osiołek nasz dobrze się miewa. Wezmę go z sobą, choćby mnie nawet sułtanem obrano. Księżna pani kłania się tobie i całuje ci ręce; odpowiadając, prześlij dla niej tysiąc razy więcej całusów i uniżoności. To nic nie kosztuje wcale, więc i żałować nie trzeba. Nie znalazłem już potem drugiej sakwy ze stu sztukami złota, choć pilnie szukałem. Nie martw się jednak, Tereso! Ten, co podpala minę, stoi w bezpiecznym miejscu. Gubernatorstwo dostarczyć wszystkiego musi, obawiam się tylko pozdzierać sobie paznokcie, grabiąc dokoła. W każdym razie, moja kobiecino, będziemy bogaci. Niech ci Pan Bóg pomaga i mnie zachowuje zdrowo do usług twoich.

Bądź zdrowa! pisano w zamku, 20 lipca 1612 r.
Twój małożek
Sancho Pansa, gubernator".

– Zdaje mi się – rzecze księżna, skończywszy – że pan gubernator dwie szkaradne rzeczy napisał. Raz udając, jakoby zyskał wielkorządztwo za trzy tysiące sześćset plag, co jest fałszem oczywistym, gdyż książę poprzednio mu je ofiarował. Po wtóre, widoczną jest tu chęć do zdzierstwa swoich poddanych.

– O, jeżeli księżnej pani nie podoba się ten list, można go podrzeć i napisać nowy, nie wiem tylko, czy lepszy będzie.

– Nie trzeba, ten jest doskonały i muszę go pokazać księciu.

Jakoż książę ubawił się niezmiernie listem Sanchy, po trzykroć go odczytał, po czym zaprosił całe towarzystwo do ogrodu, gdzie

miano obiadować tego dnia.

Po skończonej biesiadzie, gdy wszyscy zajęci byli rozmową, gdy Sancho bawił księstwo oryginalną swoją mową, usłyszano nagle powolny dźwięk fletu z towarzyszeniem jakby źle naciągniętego bębna, co w nadzwyczaj posępną komplikowało się harmonię.

Zadziwienie przejęło obecnych. Sancho przybliżył się do opiekuńczej księżnej, a Don Kichot zamyślił się smutnie.

Wkrótce ukazali się przy wejściu do ogrodu dwaj ludzie: uderzali oni z wolna pałeczkami w bębny, obciągnięte żałobnym suknem, obok nich postępował człowiek grający na flecie, a w pewnej odległości poważnym i okazałym krokiem szedł olbrzymiego wzrostu mężczyzna, okryty długą czarną suknią, z szerokim mieczem u boku. Na twarzy miał czarną zasłonę, a biała broda spadała mu daleko na piersi.

Postępując w takt uderzeń bębna, starzec zbliżył się do księcia, przykląkł i te słowa silnym wyrzekł głosem:

– Najwyższy i najpotężniejszy książę! jestem Trifaldi Białobrody, giermek hrabiny Trifaldi, inaczej Donną Dolorydą zwanej. Przybywam z polecenia mej pani opowiedzieć waszym wysokościom historię nieszczęścia hrabiny i zapytać, czyli nie ma w waszym dworze najsławniejszego z rycerzy, niezwyciężonego Don Kichota z Manchy. Jego bowiem szuka pani moja i przybyła, zapewne za pomocą czarów, piechotą z królestwa Kandia do waszego państwa. Hrabina czeka u wrót zamkowych zaproszenia waszych wysokości.

To rzekłszy, starzec kaszlnął i gładząc brodę, oczekiwał odpowiedzi księcia.

– Od dawna już, szanowny giermku Trifaldinie Białobrody – rzecze książę – słyszeliśmy o nieszczęściach hrabiny, której czarnoksiężnicy Donny Dolorydy miano przybrać kazali. Cieszymy

się serdecznie z przybycia, tym bardziej, że pożądany przez nią przesławny Don Kichot z Manchy raczy przebywać na naszym dworze. Powiedz nadto hrabinie, że tak Rycerz Lwa, jako i ja, uczynimy wszystko, co dostojna i nieszczęśliwa dama zażąda od nas.

Trifaldin przyklęknął znów na jedno kolano i poprawiając brodę przy smutnym żałobnych bębnów odgłosie, wyszedł poważnie z ogrodu.

– Widzę, zacny rycerzu – rzecze książę do Don Kichota – że sława i męstwo zaczynają być słusznie cenione u nas. Zaledwie sześć dni przebywasz w tym zamku, a już ze wszech stron, z najodleglejszych okolic świata przybiegają uciemiężeni pod twoją opiekę; pieszo przebywają góry i rzeki, aby schronić się pod twoją tarczę niezłomną.

– Chciałbym – odpowie Don Kichot – aby ten ksiądz, co to przed kilku dniami wariatem mnie nazywał, aby ten mógł przekonać się naocznie, jak dalece rycerze błędni potrzebni są na świecie. Nie pójdą uciśnieni szukać pomocy do klasztoru, nie pójdą do dworaków zniewieściałych, ani też do mędrków w sobie zamkniętych. Dzięki przeto składam Bogu, że i mnie do tego szlachetnego stanu dał powołanie. Wszystkie dotąd przecierpiane trudy i prace lekkie mi są, a i przyszłe zniosę z męstwem i poświęceniem. Niechże więc przyjdzie ta nieszczęśliwa pani, a wszystko, co tylko męstwo i siła ramienia dokazać mogą, uczynić dla niej przyrzekam.

Rozdział V

W którym opisany jest dalszy ciąg przygód Donny Dolorydy

Oboje księstwo ucieszyli się bardzo, że wszystkie ich żarty z Don Kichotem tak dobrze im się udają. Sancho jednakże, który bacznie

przypatrywał się wszystkiemu, narażony tak srodze na plagi w poprzedniej już przygodzie, sam nie wiedział, co myśleć o następnej.

– Ta jejmość wdowa – rzecze – wygląda mi jakoś, jak gdyby miała ochotę zdmuchnąć mi sprzed nosa moje gubernatorstwo. Oho! nie zapomnę ja nigdy tego, co pewien aptekarz z Toledo mawiał zawsze: „gdzie diabeł nie może, tam babę pośle". Znał je dobrze, toteż ich nienawidził.

– Powoli, Sancho – rzecze Don Kichot – powoli, czego się tak unosisz? Ta dama przybywa z daleka, szukając mnie, jest hrabiną i dlatego nie może należeć do tych, o których twój aptekarz wspomina. Wprawdzie hrabiny służą niekiedy, lecz tylko przy królowej lub przy jakiej cesarzowej, a same prócz tego posiadają dwór swój własny.

– Przecież księżna pani – rzecze Donna Rodriguez – ma służące, z których także mogłyby być hrabiny, gdyby los im sprzyjał, lecz wszystko idzie na świecie wedle Bożej woli i dlatego niech nikt nie mówi źle o służących, zwłaszcza, gdy są pannami, ponieważ panny nad wdowami zawsze mają przewagę. Powtarzam, strzeżcie się zaczepiać służące.

– Bo też nie ma ich za co zaczepić, jak mawiał aptekarz – rzecze Sancho – ale nie budźmy licha, niech śpi!

– Giermkowie – rzecze Donna Rodriguez – nieprzyjaźni są nam od wieków. Nudzą się w przedpokojach i zazdroszczą nam możności wchodzenia do komnat pańskich. Dlatego wygadują na nas, co tylko im ślina do ust przyniesie. Warto by tych panów do szpitala wariatów odesłać, bo na złość im będziemy zawsze szanowane w świecie i w domach książąt, chociażby nam tylko za całe usługi jedną suknię czarną na rok dawano.

– Jestem zdania mojej kochanej Rodrigeuz – rzecze księżna – lecz schowajcie na potem te wszystkie uwagi o służebnych, zaniedbajcie przysłowia złośliwego aptekarza, a Sancho skorzystać by mógł wielce z doświadczonych rad pani Rodrigeuz.

– Na moją duszę, pani – odpowie Sancho – od czasu jak gubernatorstwo zajechało mi w głowę, zapomniałem, że byłem koniuszym. Niech tam sobie wdowy i służące jak chcą żyją na świecie, za wszystkie razem nie dałbym niucha tabaki.

Odgłosy bębnów i piszczałki dały znak, że Donna Doloryda zbliża się. Księżna zapytała męża, czy należało iść naprzeciw hrabiny.

– Jako hrabina miałaby do tego prawo, ale jako służebna nie ma najmniejszego i dlatego radzę waszym wysokościom nie ruszyć się ani kroku – odezwał się Sancho.

– A tobie co do tego, Sancho, i po co mieszasz się w niepotrzebne rzeczy? – zapytał Don Kichot.

– Dlaczego? bo jestem giermkiem wykształconym w najlepszej szkole waszej wielmożności, jak wasza wielmożność znów jesteś najznakomitszym i najgrzeczniejszym rycerzem w świecie. A w takich razach słyszałem, że tyleż zyskać, ile i stracić można. Mądrej głowie dość dwie słowie.

– Ma słuszność Sancho – rzecze książę. – Zobaczymy pierwej, jak to wszystko wyglądać będzie i stosownie do tego poczniemy.

W tej chwili zbliżyli się dwaj dobosze i flecista, grając posępniejszą niż pierwej melodię.

Rozdział VI

W którym opisana jest Donna Doloryda opowiadająca wypadki swoje

Hrabina Trifaldi, prowadzona przez Trifaldina Białobrodego, weszła prowadzona przez dwanaście dam, we dwa rzędy parami postępujących. Wszystkie miały zasłony białe, okrywające całe ich postacie. Hrabina była ubrana w suknię z ogonem rozdzielonym na trzy części. Trzech paziów unosiło rozdziały ogona i nasz Benengeli twierdzi, że z tego przybrała sobie nazwisko, bo Trifaldi znaczy to samo, co trzy końce, gdy rzeczywiste nazwisko jej było Lobuna, a powstało z powodu wielkiej ilości wilków znajdujących się w jej dobrach.

Hrabina i jej panny postępowały jak na procesji. Twarze miały okryte welonami z tak czarnej i gęstej materii, że niepodobna było dojrzeć ich rysów.

Za przybyciem gości księstwo i Don Kichot powstali. Donna Doloryda zbliżyła się do księcia, a gdy ten naprzeciw niej postąpił, rzekła:

– Zawstydzają mnie honory, jakie odbieram od waszych wysokości. Umysł mój tak znękany jest nieszczęściami, że nie jestem w stanie odpowiedzieć im godnie.

Książę posadził hrabinę przy księżnej, a gdy już pierwsze grzeczności skończono, Donna Doloryda, oddawszy ukłon zgromadzeniu, tak przemówiła:

– Nie wątpię o waszej protekcji, najpotężniejszy książę, ni o dobroci najłaskawszej księżnej. Moje nieszczęścia rozrzewniają wszystkie serca i jednają mi wszędzie uprzejme przyjęcie. Lecz zanim je opowiem, chciałabym wiedzieć, czy w istocie między nami znajduje się najwspanialszy rycerz Don Kichot z Manchy i najznakomitszy jego giermek, Sancho Pansa?

– Pansa? – rzecze Sancho – najosobiściej tu się znajduje, jak również i jego wielmożność Don Kichot. Dlatego, najjaśniejsza damo, mówcie wszystko, co wam najprzyjemniejsza fantazja do ust

przyniesie. Znajdziecie nas najpilniejszych i oddanych na usługi waszej najżałośniejszej piękności.

– Pani! – rzecze Don Kichot, zbliżając się do stroskanej damy – jeżeli ramię i waleczność rycerska mogą ulżyć twojej niedoli, oddaję się na twoje usługi. Jestem Don Kichot z Manchy, którego obowiązkiem jest bronić i wspierać nieszczęśliwych.

Na te słowa Donna Doloryda, mimo oporu rycerza, rzuciła się do nóg jego.

– Ściskam twoje najwonniejsze stopy – zawołała – o najwaleczniejszy rycerzu! Te stopy, co są fundamentami i najmocniejszymi filarami błędnego rycerstwa. O najdzielniejszy rycerzu błędny! którego czyny zaćmiewają męstwo Amadisa! W proch zamieniają wielkie dzieła Belianisa i niszczą niepodobne do prawdy Esplandianów walki.

Potem, zwracając się do Sanchy i biorąc go za rękę, rzekła:

– I ty najwierniejszy z giermków, którego dobroć szersza od brody mojego giermka Trifaldina, zaklinam cię, o najszlachetniejszy giermku! na wierność twoją... bądź przychylny mojej sprawie. Polecaj ją swojemu panu!

– Pani hrabino! – odpowie Sancho. – Czy moja dobroć jest tak wielka, jak broda twojego giermka, to do sprawy nie należy, zamiast więc pozłacać swoje słowa jak pigułki, aby je chciwiej przełknąć usiłowano, powiedzcie otwarcie swoje żądanie, a całym moim wpływem wspierać je będę.

Oboje księstwo z zachwytem spostrzegli, że Don Kichot i Sancho na serio biorą rzeczy, a Donna Doloryda doskonale rolę swoją odgrywa.

Hrabina na prośbę księcia usiadła i wśród powszechnego milczenia tak rozpoczęła swoje opowiadanie.

– Po śmierci szlachetnego króla Archipiela, królowa Donna Maguncja panowała nad sławnym królestwem Kandii, położonym pomiędzy Toprobanem i oceanem Wschodnim o sześć tysięcy mil za przylądkiem Comorin. Córka królewska, Antonomasia, doszedłszy czternastego roku życia, oddana została pod mój dozór, jako najdawniejszej i pierwszej damie honorowej królowej Maguncji. Po wielu słońcach (ponieważ w ten sposób liczą czas w naszym kraju) mała Antonomasia rozkwitła w nadzwyczajne wdzięki. Do tego łączyła rozsądek i dowcip nieopisany. Mnóstwo książąt zagranicznych starało się o jej rękę, a między nimi jeden tylko prosty rycerz z dworu królowej matki śmiał skierować śmiało żądze aż do siódmego nieba jej piękności. Uniesiony ambicją, ufając swojej młodości, wdziękom i dowcipowi, kołysał zuchwałe nadzieje. I w samej rzeczy niebezpieczny to był rycerz. Grał na gitarze lepiej od wszystkich, mówił wszystkimi językami jak Demostenes, pisał wiersze jak Pitagoras, tańcował! Przeklęty zuchwalec! Mnie naprzód, jako strażniczkę, uwieść postanowił. Zmiękczona jego pieszczotami, pochlebstwem, nie mogłam oprzeć się, a co najbardziej uczyniło mnie czułą na prośby jego, to piosnka, którą śpiewał nocą pod moim oknem, a którą dziś pamiętam jeszcze:

Ciosy z twojej pięknej ręki
Tym boleśniej ranią duszę,
Że miłości słodkie męki
Czuć – i milczeć muszę

Jego wiersze czarowały mnie, głos zachwycał tak silnie, że traciłam rozsądek i od tego czasu, ile razy myślę o tym, co się stało, pochwalam zdanie Platona, który chciał wypędzić wszystkich poetów z republiki, a przynajmniej takich, którzy o miłości mówią,

bo oni, jako piorun, co kruszy miecz, nie dotykając pochwy, pożerają i niszczą duszę, nie dotknąwszy ciała. Innym razem śpiewał mi znów następną piosnkę:

Przybądź śmierci! ale skrycie,
Do śmiertelnych wwiedź mnie snów,
Bym w konania słodkim bycie
Nie zapragnął życia znów!

Mówił mi mnóstwo innych tego rodzaju wierszy, które śpiewane czarują, czytane podobają się, szczególniej jeden rodzaj zwrotek modnych naówczas w Kandii rozśmieszał mnie do konwulsji; i czyż nie mam racji, gdy powiem, że wszystkich poetów należało by wysłać gdzie na wyspę pod Antypodami leżącą, bo ta zaraza, bo ta szarańcza niszczy i psuje wszystko! Chociaż nie oni są temu winni, ale głupcy, którzy czytają i wierzą tym banialukom, bo czyżbym dzisiaj na przykład mogła wierzyć takim wyrażeniom:

„Ja żyję w śmierci, płonę na lodzie, drżę wśród ognia, moje serce zostało, moja dusza uleciała" i inne podobne, które uważane są za piękne dlatego, że nikt ich nie rozumie.

Ci panowie obiecują wam, jakby to rzeczą było najmniejszą, feniksów złote runa, Ariadu koronę, pierścień Gigera, jabłka z hesperyjskiego ogrodu, złote góry, diamentowe groty, a głupcy wierzą w te wszystkie baśnie, lecz gdzież zabłąkałam się, nieszczęsna? Jakież szaleństwa każą mi opowiadać cudze błędy, gdy tyle własnych wyrzucam sobie?

Clavio, takie było imię rycerza, do tego stopnia ująć mnie potrafił, że wprowadzałam go sama wielokrotnie do komnaty Antonomasji. Królewna, więcej moimi namowami niż zręcznością Don Clavia ujęta, przyjmowała go u siebie, wszakże dopiero po zawarciu tajemnego małżeństwa, gdyż bez tego nie pozwoliłaby mu nigdy

ucałować nawet końca swej sukni. Największym błędem moim było to, że nie zważając na nierówność stanów, skojarzyłam to małżeństwo. Przez jakiś czas wszystko ukrywało się w tajemnicy, lecz nagle spostrzegłam, iż powierzchowność Antonomasji wyjątkowy jej stan zdradzać zaczyna, wskutek czego wszystko odkryć się mogło i nas zgubić. Ułożyliśmy tedy na wspólnej naradzie, ażeby nie tracąc czasu Don Clavio zażądał sądownie od Antonomasji małżeństwa, opierając się na obietnicy, którą miał od niej, a którą ja sama z jak najdokładniejszą formalnością podyktowałam. Zajęto się natychmiast rozsądzeniem rzeczy. Wysłuchano infantkę, która przyznała się do obietnicy; oddano ją wtedy w ręce prewota.

– Co, co? – zawoła Sancho – to i w państwie Kandii są prewoci. No, no! jak widzę, wszędzie świat jednakowy. Ale kończ, hrabino Trifaldi, i pośpiesz się troszkę, już jest późno i umieram z niecierpliwości końca tej historii, która, nie wymawiając, trochę za długo się ciągnie.

Rozdział VII

W którym opisany jest ciąg dalszy nadzwyczajnych przygód hrabiny

Każdy wyraz Sanchy niezmiernie bawił księżnę, lecz Don Kichot rozkazał mu milczeć, a hrabina tak dalej opowiadała:

– Na koniec sędziowie, wybadawszy rzecz należycie i widząc królewnę trwającą w swoich zeznaniach, oddali ją Claviowi za żonę. Królowa Maguncja, tak dalece zmartwiona była tym wyrokiem, że w trzy dni po ogłoszeniu małżeństwa już ją pochowano.

– Więc umarła? – zapytał Sancho.

– Przecież w Kandii nie chowamy żywych – odpowie Trifaldin.

– Mości giermku – rzecze Sancho – nie pierwszy to raz pochowanoby zemdlone osoby, jakby istotnie umarły, a mówiąc między nami, nie widziałem, żeby kto tak prędko umarł, jak wasza królowa Maguncja. Prawdę mówiąc, nie miała czego i chorować nawet. Gdyby infantka zaślubiła którego z panów albo jakiego lokaja, jak to słyszałem, że inne czynią, zło byłoby bez ratunku, lecz że rycerz zręczny, szlachetny, został jej mężem, zatem nie widzę żadnego do smutku powodu. – Mój pan powiada, że rycerze błędni stworzeni są z materiału, z którego robią królów i cesarzy, jak z uczonych robią biskupów.

– Masz rację, Sancho – rzecze Don Kichot – ale niech hrabina raczy dalej opowiadać, gdyż dotąd nie widzimy żadnych powodów do wielkiego jej smutku.

– Rzeczywiście to, co mi powiedzieć jeszcze pozostaje, najokropniejszym jest nieszczęściem, koniec mojej historii zawiera rzeczy tak gorzkie, że absynt i owoce dzikie nie mają tyle ostrości i goryczy.

Zaledwie pogrzebaliśmy królową, aliści na jej grobowcu zjawił się olbrzym Malambrun, krewny umarłej, na drewnianym koniu. Olbrzym ten, nadzwyczajnie biegły w tajemnicach nekromancji, przybył pomścić śmierć swojej krewnej i chcąc ukarać występnych, zaczarował ich na nagrobku królowej – Antonomasję zmienił się w małpę brązową, a Don Clavia przetworzył na straszliwego krokodyla z nieznanego metalu. Pomiędzy nimi założył kratę, nad którą w syryjskim języku taki położył napis: „Ci zuchwali kochankowie nie powrócą do postaci pierwotnych, dopóki waleczny rycerz z Manchy nie stanie ze mną do potyczki, gdyż jego niezrównanej waleczności los przeznaczył wyzwolić te osoby".

To uczyniwszy, olbrzym wydobył z szerokiej pochwy ogromny miecz i porwawszy mnie za włosy, chciał uciąć mi głowę –

zmiękczyły go prośby moje, lecz wywoławszy wszystkie panny z pałacu, które oto tutaj widzicie, wyrzekł nad nami jakieś tajemnicze zaklęcia. Wtedy uczułyśmy razem jakby ukłucia tysiąca szpilek w dolnej części twarzy. Każda natychmiast mimowolnie podniosła rękę, kierowana instynktem, i oto patrzcie, co wówczas z nimi się stało.

To rzekłszy, hrabina dała znak, wszystkie jej damy zarzuciły zasłony i ukazały zdumionym widzom ogromne, czarne lub białe brody.

– Takim to sposobem ukarał nas barbarzyńca Malambrun! – rzecze dalej hrabina – Odjął nam piękność i gładkość lica, poczytując za łaskę, że darował nam życie, my przeciwnie, wolałybyśmy umrzeć, niż chodzić z brodami jak kozły lub satyry. – Bo powiedzcież sami, gdzież ośmieli się okazać kobieta z brodą? a wreszcie, jeżelić damy, wyrywając sobie włoski, smarują się rozmaitymi mastykami, sztucznie pielęgnując płeć swoją, i jeszcze z trudnością dostają kochanków, kogóż ku miłości poruszymy, my, zarośnięte jak niedźwiedzie, dziewice!

Kończąc te słowa, hrabina zalała się łzami i upadła na wpół zemdlona.

Rozdział VIII

W którym opisany jest dalszy ciąg poprzedniej i inne nie mniej ważne

Sancho, widząc upadającą Dolorydę, rzekł:

– Na kości wszystkich moich Pansów! Nigdym nic podobnego nie słyszał, nawet mojemu panu nigdy przez mózg podobna awantura nie przeszła. A niech cię sto tysięcy diabłów na dno piekielne zawlecze, przeklęty czarowniku Malambrunie. Czyż nie mogłeś

znaleźć innej kary, zamiast okudłać te dziewczyny jak pudle? Lepiej było, przerznąwszy im nozdrza, kazać nosem gadać. Zawsze byłoby im z tym lepiej, bo dziś założyłbym się o swojego osła, że nie miałyby nawet czym zapłacić golibrodzie.

– To prawda – odpowie jedna z dam – że nie mamy ani grosza na ogolenie się, dlatego musimy używać plastrów z żywicą, które przykładając do twarzy, odrywamy z całej siły i przez czas jakiś mamy twarze gładkie jak pięty.

– I w królestwie Kandii – ozwie się druga – znajdują się kobiety, które wyrywają włosy i naprawiają brwi niekształtne, lecz my zbyt poczciwe jesteśmy, aby oddawać się w ręce podobnym stworzeniom.

W tej chwili hrabina Trifaldi powróciła do zmysłów i zwracając się do Don Kichota, rzecze:

– Błagam cię, wielki i niezwyciężony panie, wybaw nas od nieszczęść i wielkich bród naszych.

– Jakimże sposobem mogę to uczynić? – zapytał Don Kichot.

– Trzeba udać się z nami do królestwa Kandii – odpowie Doloryda. – Lądem jest pięć tysięcy mil drogi, lecz przez powietrze w prostej linii nie ma jak trzy tysiące dwieście pięćdziesiąt, a olbrzym Malambrum oświadczył, że jak tylko spotkamy naszego wybawcę, to on przyśle po niego z wygodnym siedzeniem bieguna, nienarownego, tego samego drewnianego konia, na którym Piotr z Prowansji wykradł piękną Magelonę. Koń ten leci jak strzała, a trzymając za kolec, który mu ze łba wyrasta, kierować nim można. Koń ten, wedle tradycji, jest dziełem mędrca Merlina, który pożyczył go Piotrowi z Prowansji, wielkiemu przyjacielowi swemu, i odtąd nikt inny na nim nie siedział. Malambrun tylko za pomocą czarów przywłaszczył go sobie i jeździ na nim po całym świecie, i tak: dziś jest we Francji, jutro w Ameryce, a pojutrze w Chinach

być może. A co najlepsze, że koń ten nie je, nie śpi i nie psuje nigdy podków. Tak gładko zaś płynie po powietrzu, że jeździec może trzymać pełną szklankę w ręku, nie wylawszy kropelki. Dlatego to piękna Magelona tak lubiła jeździć za siodłem.

– Oho! co do lekkiego noszenia, nie ma jak mój osioł – zawołał Sancho. – Niech żyje mój szarak! Po powietrzu nie lata, ale po ziemi wyzwałbym nawet drewnianą szkapę Malambruna.

– Koń ten – rzecze dalej Doloryda – może przybyć tej nocy jeszcze. Tak mi czarnoksiężnik obiecał.

– A wiele osób wsiąść na niego może? – zapytał Sancho.

– Tylko dwie – odpowie Doloryda – zazwyczaj rycerz i giermek jego.

– A jak ten koń się nazywa, łaskawa pani? – zapytał powtórnie Sancho.

– Ten koń nie nazywa się ani Bellerofon, nazwany Pegazem, ani Bucefał Aleksandra Wielkiego, ani Złotouzdny Rollanda, ani Bayard Renauda z Montabanu, ani też Frontin Rogera. Nie nosi także Bootesa, ani Pirytusa nazwiska, które mają słońca rumaki. Nie nazywa się również Orelio, którego nieszczęśliwy Rodryg, ostatni król Gotów dosiadał...

– Ja też nie pytam o to, jak on się nie nazywa – rzecze Sancho – myślę tylko, że ponieważ nie nosi żadnego ze sławnych nazwisk, nie rozumiałby także, gdybym nań Rosynancie zawołał. A Rosynant to koń mego pana, który nie ustępuje w niczym żadnemu z wyżej wymienionych.

– Bardzo wierzę – odpowie hrabina – ale ten ma właściwe sobie miano, bo zowie się Chevillard, lekki, bo jest z drzewa suchego, na łbie ma kolec i wyśmienicie nosi.

– Chciałbym go zobaczyć – rzecze Sancho – lecz wsiąść na niego nie myślę. Siedzieć na drewnie bez siodła, nigdy! Nie myślę

odparzyć sobie siedzenia dla cudzej przyjemności. Komu broda szkodzi, niech ją sobie goli, co do mnie, nie myślę panu memu służyć w jego podróży. Nie sądzę, aby obecność moja potrzebna była do wyzwolenia od bród, tak jak do odczarowania pani Dulcynei.

– Przeciwnie! bez ciebie za nic wszystko – odpowie hrabina.

– Nieprawda! nieprawda! – rzecze Sancho – co giermkowie mają wspólnego z awanturami swoich panów? Panowie zabierają sobie całą chwałę, nam zostawiając zgryzoty. Gdyby choć historyk pisząc, powiedział: „Ten lub ów rycerz dokonał tej lub owej awantury, lecz z pomocą tego a owego giermka, bez którego nic by nie uczynił", to co innego! Ale oni sobie piszą prościuteńko: „Don Paralipomenon o trzech gwiazdach pokonał sześć pokus, tyleż straszydeł" i nic nie wspominają o giermku, jakby go wcale na świecie nie było. Dlatego niech mój pan sam sobie pojedzie. Winszuję mu bardzo! Nie jestem zazdrosny i zostanę tu w towarzystwie księżnej pani. Być może, że za powrotem zastanie interes pani Dulcynei na dobrej drodze, bo jak tylko nie będę miał nic lepszego do roboty, obetnę sobie należycie skórę.

– Posłuchaj, przyjacielu Sancho – rzecze księżna. – Jeżeli koniecznie potrzeba, iżbyś towarzyszył swojemu panu, prosimy cię wszyscy, uczyń to, przyznasz bowiem, że dla próżnego strachu nie można zostawić w tak smutnym stanie twarzy tych pań.

– Wielka mi rzecz! – odpowie Sancho. – Mój dziadek miał większą brodę, a do śmierci nie stracił apetytu. Żeby to chodziło o wyzwolenie jakichś pokutnic, albo podrzutków, nie mówię, ale latać na złamanie karku, ażeby pannom brody wylazły, chyba głupi to uczyni. Niech sobie innych głupców szukają. Że też muszą wszyscy zawsze z Sanchą Pansem, jak ze ślepą kobyłą, na targ

wyjeżdżać. Wolałbym je wszystkie widzieć obrosłe jak owce lub osły, od największej do najmniejszej, niż kark kręcić dla ich miłości.

– Uwziąłeś się na damy dworskie, przyjacielu, Sancho – rzecze księżna – i bardziej mi dokuczasz niż aptekarz z Toledo. To niesprawiedliwie z twojej strony.

– Sancho pojedzie ze mną – rzecze Don Kichot – dlatego bądź spokojna, hrabino. Chciałbym, żeby Chevillard był już tu, a nauczę przeklętego olbrzyma, że nie można bezkarnie dawać zarostu tak dostojnym damom.

– Niech cię Bóg wspiera, wielki rycerzu – rzecze Doloryda – ty jesteś tarczą uciśnionych i my biedne w tobie tylko pokładamy nadzieję. Dokądże się udamy w tym stanie? O czarowniku Malambrunie, dotrzymaj obietnicy, przysyłaj prędko niezrównanego Chevillarda! Niech pokuta nasza zakończy się już przecie. Teraz nastają straszliwe upały, cóż uczynimy nieszczęśliwe, gdy zapocą się brody nasze? Do stu tysięcy czartów! Boże, przebacz mi! ale cierpliwości brakuje.

Hrabina Trifaldi, wyrzekłszy te słowa, w tak okropnej pogrążyła się boleści, że wszyscy przejęci nią zostali. Sancho beczał jak cielę i postanowił wreszcie towarzyszyć swemu panu, choćby do Antypodów.

Rozdział IX

W którym opisane jest przybycie Chevillarda oraz koniec tej długiej i straszliwej awantury

Noc zapadła, Don Kichot z niecierpliwością oczekiwał przybycia Chevillarda, wątpiąc, czy dla niego chwała tego czynu jest przeznaczona. Niespodzianie czterech dzikich ludzi przyniosło

na ramionach drewnianego konia. Postawili go na ziemi, a jeden z nich rzecze: – Kto ma odwagę, niech siada!

– Ani myślę – rzecze Sancho – nie mam odwagi. Bogu dzięki, nie jestem rycerzem.

– Niech giermek siada za siodło – mówił dalej dziki – a rycerz niech będzie pewny, że Malambrun od wszelkich przygód w drodze ich osłoni, i że jedynie miecza jego obawiać się powinien. Zresztą, tylko zakręcić kołek na czole konia, a on zaniesie sam w miejsce, na którym olbrzym oczekuje. Ażeby zaś chmury powietrza i długość podróży nie odurzyły jeźdźców, niech odprawią podróż z zawiązanymi oczami, a gdy koń zarży, będzie to znakiem, że stanęli na miejscu. To rzekłszy, zniknęli. Doloryda, spoglądając na konia, ze łzami radości rzecze:

– Waleczny rycerzu! Obietnica Malambruna spełniona, koń oczekuje, brody nam rosną. Siadaj razem z giermkiem na Chevillarda! siadaj, niezwyciężony rycerzu i ty giermku grzeczny i tkliwy! Jedźcie okryć się chwałą!

– Uczynię to z całego serca, smutna hrabino – rzecze Don Kichot! – z pośpiechu nie wezmę nawet ostróg ze sobą.

– Co do mnie, ani myślę się ruszyć, z przeproszeniem pani hrabiny – rzecze Sancho – a jeśli bez giermka obejść się nie możecie, weźcie sobie innego. Niech brodate damy poszukają takiego. Ja tam nie jestem czarownikiem, żebym po powietrzu latał. Proszę! proszę! co by powiedzieli mieszkańcy mojej wyspy, widząc swego gubernatora latającego jak wrona po powietrzu. Całuję ręce i brody tych dam. Świętemu Piotrowi w Rzymie, a mnie tu dobrze, karmią mnie doskonale, darowali mi wyspę i mam być taki głupi, by porzucić to wszystko dlatego, że babom brody porosły. Wielkie mi nieszczęście! przecież pustelnicy, święci, nosili aż do pasa brody.

– Przyjacielu, Sancho – rzecze książę. – Wyspa, którą ci obiecałem, nie ucieknie, a wiesz, że godności światowych nie nabywa się bez pracy, proszę cię więc, przez miłość dla mnie i w imię gubernatorstwa, które ci daję, chciej towarzyszyć Don Kichotowi w tej sławnej wycieczce, a czy tu szybko na Chevillardzie powrócisz, czy też zły los pieszo i o pielgrzymim kiju przywiedzie cię w te strony, poddani oczekiwać cię będą. Nabędziesz praw do mego szacunku i w każdej okoliczności chętnie ci usłużę.

– To nadto, wasza wysokość, jestem biedny giermek i nie uniosę tak wielkiego ciężaru grzeczności waszej. Niech mi zawiążą oczy. Ruszajmy wreszcie, kiedy inaczej być nie może i gdy będziemy już wysoko, módlcie się do Boga tu za nas, bo na tym przeklętym koniu tylko diabeł nas wysłucha.

– Przeciwnie – rzecze hrabina. – Malambrun, chociaż czarownik, przez dyplomację jest dobrym chrześcijaninem.

– Siadajmy więc i niech Najświętsza Panna Loretańska opiekuje się nami – rzecze Sancho.

– Od czasu przygody z wiatrakami nie widziałem nigdy swego giermka w podobnym przerażeniu – rzecze Don Kichot – i gdybym wierzył w złe przeczucia, sam trwożyć bym się powinien. – I odwiódłszy giermka na bok, rzecze doń w te słowa:

– Widzisz dobrze, przyjacielu Sancho, jak długa oczekuje nas droga. Różne przygody opóźnić mogą nasz powrót, dlatego czy nie byłbyś łaskaw przed wyjazdem jeszcze oddalić się pod jakimkolwiek pozorem do mego pokoju i dać sobie z pięćset rózeg, bo wiedz dobrze o tym, że rzecz energicznie wzięta, dobrze się kończy.

– Znów coś nowego! – zawoła Sancho. – Do diabła, panie, za przeproszeniem waszej wielmożności, trzeba być wariatem, żeby wymagać czegoś podobnego. Mam siadać na twardą, drewnianą

szkapę i chcesz, żebym sobie posiekał pośladek na drogę. Chyba we śnie gadacie, panie. Idźmy raczej dać rozkaz do wyjazdu, ponieważ diabeł nas przyzywa, a za powrotem, gdy damom brody odpadną, na dobre biczować się zacznę.

– Ufam twemu słowu, przyjacielu Sancho – rzecze Don Kichot – pewny jestem, że go dotrzymasz.

Powrócili i gdy już wsiadać mieli na konia, rzecze Don Kichot:

– Zawiążmy sobie oczy. Mając tak wielką sprawę przed sobą, małą jest rzeczą podróżować w ciemności.

– Jedźmy, panie, jedźmy – rzecze Sancho. – Zdaje mi się, że wszystkie brody tych pań leżą mi na sercu, że nie będę mógł jeść, dopóki nie wyzwolimy ich z zaczarowanej kosmacizny.

Don Kichot wydobył chustkę z kieszeni i prosił Donnę Dolorydę, aby mu nią zawiązała oczy. Po chwili jednak zdarł ją szybko i rzecze:

– O ile pomnę, Wergiliusz, pisząc o paladium Troi, wspomina, że koń, którego bogini Pallas ofiarowali, był z drzewa i zamykał w sobie rycerzy, którzy później w ruinę zamienili miasto. Dlatego zobaczmy pierwej wnętrzności Chevillarda.

Don Kichot, wstydząc się chwilowego podejrzenia, z zawiązanymi oczyma wsiadł na drewnianego konia. Sancho wdrapał się powoli z widoczną niechęcią. Skoro tylko umieścił się za siodłem, poprawiał się jak mógł, wreszcie prosił księcia, aby mu dano poduszkę na drogę, gdyż koń zdawał się ciężko nosić.

Hrabina odpowiedziała, że Chevillard nie ścierpł żadnego nakrycia, lecz że może dla wygody umieścić się po damsku za siodłem, a gdy to uczynił, zawiązano mu oczy. Po chwili jednak odwiązał chustkę i spoglądając żałośnie po wszystkich, zaklinał ze łzami, aby zmówiono *Ojcze nasz* i jedno *Zdrowaś Maria* za jego duszę.

– Tchórzu! – zawołał Don Kichot – czy na szubienicę idziesz, że tak polecasz modłom swoją duszę? Siedzisz na miejscu pięknej Magellony, z którego na tron Francji zsiadła, a moja obecność czyliż niezdolna natchnąć cię odwagą? Zakryj oczy, bezrozumne zwierzę, i nie śmiej okazywać trwogi w mojej obecności.

– Niech więc zawiążą mi oczy – odpowie Sancho – a ponieważ nie pozwalają polecić duszy mojej Bogu i ludzkim modłom, jedźmy na nieszczęście i nie dziwmy się, jeśli jaki pułk diabłów pojmawszy nas, odda w ręce mahometanom.

Zakryli więc sobie oczy i Don Kichot, widząc, że wszystko gotowe, począł kręcić kołkiem. Zaledwie doń rękę przyłożył, wszyscy obecni krzyczeć zaczęli:

– Niech cię Bóg prowadzi, waleczny rycerzu! Bóg ci dopomóż! mężny koniuszy! Obyśmy wkrótce zobaczyli was znów, a miarkując z szybkości, z jaką przerzynacie powietrze, niedługo czekać będziemy waszego powrotu. Oho! tracimy was już z oczu. Trzymaj się ostro, odważny Sancho, nie poruszaj się, możesz spaść!

Sancho przycisnął się do pana i obejmując go w pół, rzecze:

– Panie, dlaczego tamci z dołu mówią, że tak wysoko już wzlecieliśmy, gdy głosy ich wydają się być tak blisko, jakby nam nad uszami krzyczeli?

– Niech cię to nie dziwi, Sancho – rzecze Don Kichot. – Wszystko w tym jest nadzwyczajne i głos zresztą, nie mając żadnej przeszkody, łatwiej nas dochodzi. Ale nie ściskaj mnie tak mocno. Nie wiem, czego się trwożysz, bo ja na Boga, nigdy w życiu nie siedziałem wygodniej, czuję tak lekkie poruszenie tylko, że czasem zdaje mi się, że na miejscu stoimy. Oddal od siebie próżne przestrachy, mój przyjacielu, wszystko dobrze idzie, możemy śmiało powiedzieć, że z wiatrem idziemy.

– O, naprawdę z wiatrem – rzecze Sancho – nawet z tej strony diablo ostry powiew.

Słusznie utrzymywał Sancho, gdyż kilku ludzi dęło na nich wielkimi miechami z rozkazu księcia, aby zupełnym uczynić złudzenie.

Don Kichot, również uczuwszy wiatr, rzecze:

– Niewątpliwie jesteśmy już w średniej atmosferze, gdzie powstają grady i deszcze, wiatry i grzmoty i jeżeli pędzić będziemy ciągle z taką szybkością, wstąpimy wkrótce w atmosferę ognia.

W tej chwili zaczęto ogrzewać im twarz różnymi zapalonymi materiałami, które szybko płoną, nie wydając szelestu. Trzymano je na długich kijach, aby zbyt nie zbliżać się do naszych jeźdźców.

Sancho, poczuwszy upał, rzecze z trwogą:

– Niech mnie powieszą, jeśli nie jesteśmy już blisko miejsca, o którym wspominacie. Już mam brodę na wpół osmaloną. Ej! panie! chyba odkryję oczy, zobaczymy przynajmniej, gdzie jesteśmy.

– Niech cię Bóg strzeże! – odpowie Don Kichot – nie pamiętasz więc historii uwolnionego Torralwy, którego diabli unieśli w powietrze na koniu z zawiązanymi oczyma. W ciągu dwunastu godzin był w Rzymie i widział śmierć Konnetabla Bourbona, a nazajutrz o świcie już wrócił do Madrytu. Mówił więc, że w powietrzu diabeł kazał mu otworzyć oczy i zobaczył tak blisko siebie księżyc, że mógł dotknąć go ręką, lecz bał się spojrzeć na dół, lękając się zawrotu głowy. Tak więc, mój przyjacielu, widzisz sam, że ciekawość byłaby niebezpieczna. Ciesz się raczej, że jesteśmy już może nad królestwem Kandii, gdzie spadniemy jak piorun. Niech ci się nie zdaje, że jesteśmy dopiero pół godziny na koniu. Sądzę, Sancho, że dużo już przejechaliśmy?

– Ja nic nie sądzę – odpowie Sancho – ale to wiem, że jeśli pani Magellona na tym psim miejscu siadała, musiała mieć ciało twarde

za katy!

Książę i cała kompania, nie tracąc ani jednego słowa z tej rozmowy, do rozpuku śmieli się po cichu i chcąc dokończyć tak szczęśliwie zaczętej farsy, kazali podłożyć ogień pod ogon koniowi. Nasz Chevilard, który miał pełen żołądek petard i rac, podniósł się z łoskotem w powietrze i upadł z Don Kichotem i Sanchą na ziemię. W tym samym czasie Doloryda i cała jej brodata świta wyszła z ogrodu, wszyscy zaś inni wpół martwi leżeli na ziemi.

Don Kichot i Sancho, odurzeni upadkiem, powstali nareszcie i rozpatrując się na wszystkie strony, z niezmiernym podziwieniem poznali, iż są na tym samym miejscu. Tym więcej zdumieli się na widok rozciągniętych na ziemi nieruchomych ludzi, gdy nagle spostrzegli włócznię wetkniętą w ziemię, na której zawieszony na sznurach z zielonego jedwabiu pergamin taki na sobie ze złotych liter miał wyryty napis:

„Znakomity i waleczny rycerz Don Kichot z Manchy skończył szczęśliwie sprawę hrabiny Trifaldi, inaczej Donny Dolorydy, jedynie przez pełne determinacji przedsięwzięcie. Malambrun jest zadowolony. Damom brody odpadły; król Clavio i królowa Antonomasja powrócili do pierwotnych postaci, a skoro tylko giermek wypełni pokutę, na trzy tysiące sześćset plag oznaczoną, biała gołąbka uwolnioną zostanie od prześladujących ją jastrzębi i odpocznie w ramionach swego rycerza.

Tak rozkazał mędrzec Merlin, protomagik wszystkich magików".

Don Kichot, przeczytawszy te słowa, pojął, że znaczyły odczarowanie Dulcynei. Złożywszy dzięki niebu za szczęśliwe zakończenie awantury, poszedł w stronę, gdzie książę i księżna jakby omdleni leżeli. Rycerz wziął za rękę księcia i wstrząsając nią, zawołał:

– Odważnie, dostojny panie! wszystko zakończone pomyślnie, nie ma już niebezpieczeństwa.

Książę, jakby pogrążony we śnie głębokim, zaczął z wolna przychodzić do zmysłów, księżna i inne osoby naśladowały jego przykład, udając jak najzupełniejsze zadziwienie. Książę, przecierając oczy, przeczytał napis na włóczni zawieszony i rzucił się w objęcia Don Kichota, zowiąc go najlepszym i najsławniejszym wszystkich wieków rycerzem. Sancho szukał Dolorydy dokoła, chcąc zobaczyć, jak wygląda bez brody, lecz powiedziano mu, że jak tylko Chevillard spadł z powietrza, otoczony płomieniem, hrabina i towarzyszące jej damy, utraciwszy brody, zniknęły natychmiast. Księżna zapytała Sanchy, jakby się miewał po tak długiej podróży.

– Dosyć dobrze – odpowiedział giermek – trochę się stłukłem upadając, ale to nic nie znaczy, co do reszty muszę powiedzieć waszej wysokości, że gdy przybyliśmy już w atmosferę ognia, przez ciekawość wrodzoną podniosłem troszeczkę chustkę z nosa i spojrzałem na dół... ziemia wydała mi się nie większa od ziarnka gorczycy, a ludzie jak muchy łazili po niej.

– Ależ, przyjacielu Sancho, jakże to być może – zawołała księżna – jeżelić ziemia była wielkości ziarnka gorczycy, to jeden człowiek, mający wielkość muchy, zakryłby ją całą.

– To być może – rzecze Sancho – ale ponieważ wszystko działo się przez czary, nie rozumiem, jak się to stało, dość, że widziałem to, co mówię. A więcej jeszcze zadziwi się wasza wysokość, skoro jej dalsze opowiem wypadki:

Gdy minęliśmy już atmosferę ognia, usunąwszy chustkę z oczu, patrzę, aż tu niebo bliziuteńko, tak, że ręką dotknąć go się mogłem. Jest niezmiernie wielkie i bardzo pięknie wygląda. Przelatywaliśmy wówczas około gwiazd Siedmiu Kóz, u nas Babkami zwanych; stamtąd już tylko dwie mile do raju. Zobaczywszy kozy,

przypomniałem sobie młodość, bo pasałem je nieraz w dzieciństwie. Nie mogłem wytrzymać dłużej, zsiadłem po cichu z Chevillarda i przez kilka godzin rozmawiałem z tymi łagodnymi zwierzętami. Wielka szkoda, że nie rozumieją naszego języka, chociaż są bardzo grzeczne. Przez ten czas Chevillard nie ruszył się z miejsca.

– A rycerz Don Kichot co porabiał wtedy, gdy Sancho z kozami rozmawiał? – zapyta książę.

– Wśród nadzwyczajnych przygód mojego życia, nie dziwię się niczemu – odpowie Don Kichot – co do mnie, wiem tylko, że oczu sobie nie odkrywałem; czułem wprawdzie obecność atmosfery średniej; strefy ognia, ale żebyśmy wyżej być mieli, wierzyć temu nie mogę. Nie mogliśmy dolecieć do nieba Plejad, czyli Siedmiu Kóz, gdyż spłonęlibyśmy niewątpliwie w ogniu, dlatego wnoszę, że mój giermek albo kłamie, albo marzył w ciągu podróży.

– Wcale nie zmyślam, ani też rozmarzony nie jestem – odpowie Sancho. – Proszę mnie spytać o te kozy, nie pomylę się pewno.

– Jakże wyglądają? – rzecze księżna.

– Dwie zielone – rzecze Sancho – dwie czerwone, dwie niebieskie, a jedna pstra.

– To osobliwszy rodzaj kóz – rzecze książę – nie widziałem takich na ziemi.

– Nic też dziwnego – odpowie Sancho. – Między kozami ziemskimi a niebieskimi musi być różnica.

– A kozła nie widziałeś między kozami? – zapyta książę.

– Nie, wasza wysokość – odpowie Sancho – słyszałem bowiem, że ani kozioł, ani trykacz nad rogi miesiąca nigdy się nie wznoszą.

Zaprzestano badać Sanchę, obawiając się, ażeby po całym niebie nie oprowadził towarzystwa.

Tak zakończyła się pamiętna awantura z Donną Dolorydą, o której Sancho całe życie miał co do opowiadania, a księstwo za każdym przypomnieniem uśmieli się serdecznie.

Gdy wyszli z ogrodu, zmierzając do zamku, Don Kichot rzekł cicho do ucha Sanchy:

– Sancho! ponieważ chcesz, ażeby wierzono w to, co widziałeś na niebie, ja również żądam, abyś wierzył we wszystko, co widziałem w jaskini Montesinos, skończyłem...

Rozdział X

W którym opisane są mądre rady Don Kichota, dawane Sanchy z powodu objęcia gubernatorstwa na wyspie, etc., etc.

Po tak szczęśliwym ukończeniu przygody z Donną Dolorydą, księstwo oboje, poznawszy dokładnie charakter swoich gości, pragnęli co raz nowym sposobem robić z nich sobie rozrywkę.

Następnego dnia zaraz wszyscy ludzie zamkowi uprzedzeni byli, jak mają obchodzić się z Sanchą. Książę oświadczył mu, aby przygotował się objąć w posiadanie wyspę, której mieszkańcy przybycia jego z wielkim oczekują upragnieniem.

Sancho, ukłon niski oddawszy księciu, rzekł:

– Od czasu, gdy z podróży do nieba wróciłem, gdy z wysokości atmosfery ognia zobaczyłem nikczemną małość tej ziemi, odeszła mnie prawie chęć rządzenia tak marną rzeczą. Gdyby wasza wysokość raczyła mi dać kawałeczek nieba w zarząd, choćby tylko pół mili rozległy, to dopierobym serdecznie się ucieszył!

– Ależ, mój przyjacielu – rzecze książę – wiesz przecie, że ja, ani nikt w świecie rozporządzać niebem nie może. Bóg tylko sam może nam wszystkim zapewnić to wielkie niebieskie królestwo, ja daję ci, co przyrzekłem: piękną i żyzną wyspę, podobną do Pól Elizejskich,

staraj się dobrze używać darów ziemi, a zdobędziesz sobie i niebieskie tym sposobem.

– No, no! Niech tylko wyspa będzie, to zobaczy wasza wysokość! Urządzę ją tak, że i najzłośliwsi nic powiedzieć nie będą mogli i Pan Bóg błogosławić mi będzie. Bo nie przez chciwość obejmuję rządy, lecz aby zaspokoić ciekawość, roznieconą przez ogólną chęć rządzenia na świecie, musi to być rzecz arcyprzedziwna rządy, gdy tylu się o nie, wielkie, czy małe, dobija...

– Jest to przysmak tak doskonały, że ktokolwiek go zakosztuje, całe życie potem palce oblizywać będzie – odpowie książę – nawet waleczny i skromny Don Kichot, skoro zostanie cesarzem, co niebawem zapewne nastąpi, będzie żałował, że nie obrał sobie tego stanu.

– Oho! wiem ci ja dobrze – rzecze Sancho – że wyborną rzeczą jest rozkazywać i komenderować, choćby nawet stadem owiec tylko.

– Niech zginę, jeżeli nie jesteś najmędrszym gubernatorem w Hiszpani – rzecze książę – ale zostawmy to na później, teraz muszę ci powiedzieć, że jutro pojedziesz objąć wyspę w posiadanie, przygotowują właśnie powozy i strój dla ciebie.

– Niech mnie, jak chcą, ubiorą – zawołał Sancho – zawsze będę Sancho Pansą tylko.

– To prawda – rzecze książę – należy jednak we wszystkim zachować przyzwoitość. Byłoby śmiesznie, żeby sędziego za żołnierza ubrali, albo żołnierza za księdza. Co do ciebie, Sancho, musisz mieć ubiór pół-uczony, pół-wojskowy, ponieważ na wyspie, którą ci daję, nauka i waleczność równie są potrzebne.

– Już to co do nauki – odpowie Sancho – to diablo trudno pójdzie. Nie umiem ani a, ani b nawet, ale znam za to dobrze pacierz, a to jest dosyć, aby stać się dobrym gubernatorem. Co się tycze oręża,

będę walczył takim, jaki mi podadzą, za Boską pomocą. A nieźle też pięściami i kułakami bronić się potrafię.

Podczas tej rozmowy wszedł Don Kichot i dowiedziawszy się, że Sancho odjeżdża jutro, aby objąć rządy wyspy, za pozwoleniem księcia wziął go na stronę, zaprowadził do swego pokoju, drzwi zamknął i rozkazawszy usiąść przy sobie, poważnym i surowym głosem tak doń mówić zaczął:

– Dziękuję niebu, przyjacielu Sancho, że ciebie pierwej niż mnie obdarzyło pomyślnym losem; kiedy starałem się zapewnić sobie potęgę przez wielkie przedsięwzięcia, aby wynagrodzić twoje usługi, ty niespodzianie, wypadkiem szczególnym zaczniesz używać dostatków i władzy. Prawdziwe snać to zdanie, że na świecie nie zasłużony, ale szczęśliwy wszystko bierze. Ty, co w porównaniu ze mną jesteś tylko nędznikiem i leniwcem, zostałeś gubernatorem wyspy jedynie z powodu, że otarłeś się cokolwiek o błędne rycerstwo. Mówię ci to, mój drogi Sancho, nie dlatego, ażebym wyrzucał ci lub też zazdrościł twojego szczęścia, lecz chcę cię objaśnić, żebyś losu swojego nie uważał za skutek swojej osobistej wartości i żebyś za obecną pomyślność tylko Panu Bogu i błędnemu rycerstwu cześć składał. Teraz, mój synu, słuchaj pilnie rad swego pana, nauk swego Katona. One będą ci służyć za gwiazdę przewodnią wśród burzliwego rządów oceanu.

Najpierw, moje dziecko, zachowaj w sobie miłość, bojaźń Boską, gdyż to jest początkiem mądrości, a mędrzec nigdy nie błądzi. Pamiętaj zawsze o przeszłym stanie swoim, to ochroni cię od próżności i nie będziesz, jak owa nadęta żaba, która chcąc wołu dorównać, pękła wreszcie. Strzeż się dumy, bo ona nawet wielkim nie przystoi panom, na ciebie zaś ściągnęłaby wyrzuty i przypomnienie, że kiedyś pasałeś świnie.

– To czysta prawda – odpowie Sancho – pasałem je w dzieciństwie, gdy większy urosłem, dawano mi barany i krowy do pasienia, ale to nic nie szkodzi. Nie wszyscy gubernatorzy książętami się urodzili.

– Masz słuszność – rzecze Don Kichot – to też ci, których ród niższy od dostojeństwa, powinni być za to bardziej grzeczni i oświeceni, aby nie narazić się na obmowę ludu.

Słuchaj, Sancho! bądź raczej dumny niskością swego pochodzenia, bo skoro sam nie będziesz się pysznił, nikt cię poniżać nie będzie.

Jeżeli cnota przewodniczyć będzie twoim postępkom, nie potrzebujesz zazdrościć nawet królom ich urodzenia, bo szlachectwo nabywa się dziedzictwem, a cnotę pracą całego życia.

Jeżeli przypadkiem który z twoich krewnych przyjdzie odwiedzić cię na twojej wyspie, nie pogardzaj nim, owszem, przyjmij uczciwie, a tym sposobem woli nieba i sercu swemu uczynisz zadość.

Jeżeli żona twoja mieszkać z tobą będzie, nie pozwalaj jej brykać, ani z wielkim pokazywać się splendorem, bo chociaż rozsądny mąż największe nagromadzi skarby, głupia żona nieładem łacno je roztrwoni.

Jeślibyś wdowcem został, a wzgląd na dzieci zmusił cię powtórnie zawrzeć śluby, strzeż się brać kobiety płochej, która wszystkim podaje ręce, bo za taką na sądzie Boskim odpowiadać będziesz.

Niech łzy ubogich zawsze wzbudzają w tobie współczucie, ale i dla bogatych bądź sprawiedliwym. Szukaj prawdy, nie zważając na obietnice i podarunki możnych, ani na łzy i prośby ubogich, bo i jedni, i drudzy oszukać mogą. Gdy będziesz sądził występnych, nie trzymaj się ściśle surowości prawa i jeżeli można bez obrażenia sprawiedliwości, ku miłosierdziu nakłoń ucho.

Jeżeli nieprzyjaciel stanie pod twoim sądem, wyrzuć z serca wszelką urazę do niego i w ścisłej sprawiedliwości osądź jego postępki.

Jeżeli piękna kobieta przyjdzie wymagać sprawiedliwości twojej, nie daj się podejść; zamknij oczy i zatkaj uszy, nie na twarz jej, ale na słuszność sprawy uważaj.

Nie znieważaj słowami człowieka skazanego na śmierć, bo tylko podły i niesprawiedliwy bezbronnych i nieszczęśliwych ciemięży. Dlatego sądząc zbrodniarzy, miej zawsze na uwadze słabość ludzkiej natury, która więcej do złego, niż do dobrego ma popędu. Miej dla nich litość i łagodność, bo i sam Bóg bardziej jest miłosierny niż sprawiedliwy.

Postępując wedle tych zasad, mój Sancho, przeżyjesz długie lata na ziemi, a wieczność w pamięci ludzkiej. Będziesz szczęśliwym i niebo błogosławić ci będzie.

Rozdział XI

W którym opisany jest dalszy ciąg rad udzielonych Sanchowi przez Don Kichota

Każdy zapewne osądzi z tej rozmowy, że Don Kichot był nie tylko człowiekiem uczciwym, ale i przy najzdrowszych zmysłach. Sąd jego we wszystkich rzeczach powszednich był nader sprawiedliwy, jedna tylko kwestia błędnego rycerstwa tak dziwacznie oddziaływała na jego umysł, że opuszczał granicę rozsądku, dzikie mary biorąc za rzeczywistość.

Sancho bacznie słuchał wszystkich rad swojego pana, zgromadzał je w pamięci, aby je później na dobry obrócić pożytek.

Don Kichot tak mówił dalej:

– Staraj się urządzić swój dom przede wszystkim. Badaj troskliwie, ile prawych dochodów dostarczyć ci może twoja posada. Jeżeli będziesz w stanie ubrać swój dwór zbytkownie, zaprowadź w nim tylko czystość i wygodę, pieniądze zaś na to przeznaczone rozdaj ubogim.

Te są moje rady dla ciebie, przyjacielu Sancho. W ciągu twego urzędowania udzielę ci ich więcej, jeśli korzystać zechcesz.

– Wszystko, co mi powiedzieliście, panie, jest bardzo piękne – odpowie Sancho – jedna jest tylko przeszkoda w wypełnianiu rad waszych, że oprócz tego, co mówiliście o zbieraniu pieniędzy i powtórnym ożenieniu się, nic a nic więcej nie pamiętam, napiszcie mi to lepiej, a każę mojemu spowiednikowi odczytywać co dzień, abym się tych wszystkich maksym na pamięć nauczył wreszcie.

– Przekleństwo Boskie! – zawołał Don Kichot – jakaż to rzecz obmierzła patrzeć na gubernatora, nieumiejącego ani czytać, ani pisać. Słyszałeś, co mówią o mańkutach i nieukach, że są ludźmi z najgorszej klasy i najtępszego pojęcia. To wielki błąd, mój przyjacielu, i pragnąłbym, abyś choć podpisać się umiał.

– Nauczono mnie podpisywać moje imię, gdy byłem jeszcze stróżem przy bractwie w naszej parafii, a potem mogę udawać kalekę i kto inny za mnie podpisywać się będzie; oprócz śmierci, wszystkiego uniknąć można, a panu wolno i diabła zjeść. Pójdzie to jakoś.

– Co to, to nie prawda – zawołał Don Kichot – głupi zawsze jest głupi; ale zostawmy to na potem. Dałem ci rady, jakie za najlepsze uważam, teraz rządź swoją wyspą i niech cię Bóg prowadzi!

– Panie – odpowie Sancho – jeżeli sądzisz, że nie mam zdolności do tego, porzucę natychmiast moje gubernatorstwo, będzie mi również dobrze żyć w domu o chlebie i wodzie, a z czystym sumieniem, niż gdybym, gubernatorem będąc, jadał kapłony i kury

indyjskie. Bo na koniec, jeśli sądzicie, że diabli mogą mnie porwać na tym urzędzie, wolę, żeby Sancho poszedł do nieba, niż gubernator do piekła.

– Zaprawdę, przyjacielu Sancho, ostatnie słowa, które powiedziałeś, czynią cię godnym zarządu stoma wyspami. Z natury masz dobre serce, a bez tego nauka nie przyda się na nic. Pamiętaj tylko, że niebo wspiera zawsze dobre cele, a teraz dosyć tego. Pójdźmy do ich wysokości, gdyż czekają na nas z obiadem.

Rozdział XII

W którym opisano, jakim sposobem Sancho objął rządy wyspy i co się zdarzyło Don Kichotowi podczas nocy w zamku

Po obiedzie Don Kichot, napisawszy instrukcję dla Sanchy, oddał mu ją, lecz giermek za chwilę ją zgubił i tym sposobem dostała się do rąk księżnej, która nie mogła wydziwić się dosyć, jak w jednej głowie tyle prawości i zdrowego sądu, a zarazem tyle szaleństwa mieścić się mogło. Tegoż jeszcze wieczora wyprawiono Sanchę w wielkim orszaku, aby z okazałością objął rządy nad wyspą. Intendent, który odgrywał rolę hrabiny Trifaldi, miał rozkaz zaprowadzić Sanchę do jego państwa.

Nasz giermek, przypatrując się pilnie intendentowi i dostrzegłszy nadzwyczajne między nim i hrabiną Trifaldi podobieństwo, rzekł do swego pana:

– Mości Rycerzu Lwa, choćbyś miał pęknąć, musisz powiedzieć mi jedną rzecz: czy nie uważasz, że twarz intendenta książęcego jest taż sama, którą niedawno miała Doloryda?

– I cóż w tym dziwnego – odpowie Don Kichot – prawda, że jest podobieństwo, lecz ponieważ intendent nie jest panią Dolorydą, nie ma o czym gadać. Wierz mi tylko, mój przyjacielu,

że powinniśmy obydwaj gorąco prosić Boga, aby nas ustrzegł od wpływu czarnoksiężników.

– Ba! ba! Ja na tym nie poprzestanę – rzecze Sancho. – Niedawno słyszałem głos intendenta za ścianą i byłem pewny, że to Doloryda przyszła nam dziękować za ogolenie brody. Nie darmo jestem gubernatorem; przecie choć jaką taką policję mieć będę i muszę prawdę wybadać.

– To dobrze, Sancho – odpowie Don Kichot – tylko donieś mi o wszystkim, jak również o tym, co najważniejszego w twoim państwie przytrafić się może.

Na koniec godzina wyjazdu nadeszła, Sancho wyjechał otoczony znaczną liczbą ludzi. Przybrano go okazale, miał bowiem na sobie długi płaszcz z zielonego kamlotu i beret takiegoż koloru. Siedział na wspaniale przybranym mule. Za nim postępował osiołek, kosztownie przystrojony. Sancho zwracał niekiedy głowę, aby nacieszyć się widokiem siwoszka, radując się niepomału, że obydwu ich tak pięknie ubrano. Żegnając się z księstwem, ucałował ich ręce i smutnie uścisnął nogi swojego pana, który ze łzami w oczach dał mu błogosławieństwo.

Zostawmy w pokoju naszego nowego gubernatora, wkrótce zapewne usłyszymy o nim. Teraz zobaczmy, jak Don Kichot przepędził noc po smutnym rozstaniu z giermkiem.

Zaledwie Sancho odjechał, nasz rycerz uczuł niezmierną tęsknotę, tak dalece, że gdyby od niego zależało, odjąłby mu gubernatorstwo, nagrodę zasług wiernego giermka, byleby tylko cieszyć się mógł jego widokiem.

Księżna, spostrzegłszy smutek rycerza, spytała go o przyczynę.

– Brak mi Sanchy – odpowie Don Kichot – przyzwyczaiłem się do jego usług i muszę wyznać waszej wysokości, że mimo całej uprzejmości, jakiej doznaję w tym domu, najpokorniej prosić ją

będę, aby nikt teraz mi nie usługiwał i nie wchodził do mego pokoju.

– Nie mogę przystać na to, panie rycerzu – odpowie księżna – służyć ci będą cztery dziewice z mojego dworu, piękne jako róże wiosenne.

– Będą one dla mnie kolcami, nie kwiatem – odpowie Don Kichot – dlatego z całym uszanowaniem dla waszej wysokości śmiem upraszać, ażeby żadna nie wchodziła do mego pokoju. Pozwólcie mi prócz tego zamykać drzwi mojej sypialni, będą one zaporą między żądzami i uczciwością moją. Jednakże, słowem, wolę nie rozbierać się wcale, niż narażać na szwank moralność moją.

– Dosyć na tym, rycerzu – odpowie księżna – a ponieważ chcesz tego koniecznie, nie tylko żadna z moich kobiet, ale mucha nawet nie zajrzy do twego pokoju. Miałam sposobność przekonać cię, że między innymi, najwydatniejszą cnotą waszego charakteru jest skromność. Ubieraj się więc i rozbieraj wasza wielmożność według upodobania; co do mnie, rozkażę tylko przygotowywać mu to wszystko w ten sposób, abyś nie miał potrzeby wstawać. Niech żyje tysiące wieków wielka Dulcynea z Toboso! niech sława jej imienia napełni świat cały, gdy umiała ujarzmić serce tak wiernego i cnotliwego rycerza i oby niebo natchnęło serce gubernatora Sanchy szlachetną żądzą wyliczenia sobie oznaczonej liczby plag jak najprędzej, aby tym sposobem powróciła na świat najpiękniejsza jego ozdoba.

– Słowa waszej książęcej mości są piękniejszą pochwałą pani Dulcynei z Toboso, niż gdyby pieśni tysiąca bardów wysławiały ją po świecie.

– Nieudolne są moje wyrazy – rzecze księżna – lecz trudno oznaczyć dokładną wartość rzeczy wyższej nad cenę, ale idźmy poszukać księcia. Zapewne oczekuje na nas z wieczerzą, a potem

spoczniecie sobie, rycerzu, po trudach wczorajszej podróży do Kandii.

– Zapewniam panią, że nie czuję najmniejszego utrudzenia i przysięgam waszej wielkości, że w życiu moim nie widziałem lepszego i lżej niosącego konia, niż Chevillard, toteż pojąć nie mogę, dlaczego Malambrun pozbył się tak wygodnego wierzchowca, rozbijając go na sztuki.

– Sądzę – odpowie księżna – że wyrzuty sumienia za złość i krzywdy, jakie wyrządzał przez czarnoksięstwo, do którego głównie pomagał Chevillard, były powodem tego postępku. Może też sądził, że rumak, którego dosiadał nieporównany Don Kichot z Manchy, nikogo na swoim grzbiecie nosić już nie może.

Po wieczerzy Don Kichot, pożegnawszy księżnę i jej męża, udał się do swojej sypialni, nie pozwalając żadnej z czterech dziewic, przeznaczonych mu na usługi, wejść za sobą. Tak dalece obawiał się na niepewną walkę narazić wierności swego serca dla zgasłej pod urokiem czarów kochanki. Zostawszy sam, zaczął się rozbierać: zdjął własną ręką pończochy swoje, a tej czynności nie dopełniali nigdy ludzie jego znaczenia. Don Kichot tym więcej żałował nieobecności swego giermka, iż zdejmując, rozdarł jedną pończochę. Szczęściem jednak, Sancho zostawił mu parę długich butów, które nazajutrz smutny ten wypadek pod cieniem cholew ukryć mogły.

Położył się wreszcie marzący i smutny, a zdmuchnąwszy światło, zasnąć usiłował. Lecz na próżno! Nieobecność Sanchy i nadzwyczajne gorąco burzyły krew naszego rycerza. Powstał więc i dla odświeżenia powietrza otworzył okno, wychodzące na ogród. W tej chwili usłyszał głosy kobiece pod oknem. Jedna z nich rzekła z głębokim westchnieniem:

– O, nie każ mi śpiewać, Emerencio. Odkąd oczy moje zobaczyły tego obcego rycerza w naszym zamku, nie mam chęci do śpiewu,

tylko łzy gorące kolą moje powieki. Wreszcie wiesz, że księżna łatwo się budzi, a za nic w świecie nie chciałabym, ażeby nas tu widziano. Na koniec, na cóż się przyda śpiewać, jeżeli ten niebezpieczny Eneasz, który przybył tu zakłócić spokój mego serca, śpi spokojnie, nie słuchając skarg i żalów moich?

– Niech cię to nie wstrzymuje, droga Altisidoro – odpowie drugi głos – cały zamek w uśpieniu, tylko w oknach rycerza miga bladawe światło. I on może w tej chwili, odrzuciwszy kołdrę, marzy rycerskim sercem o czystych uczuć krainie.

– Ależ, Emerencio – zawołała Altisidora – ja również obawiam się odkryć stanu mojego serca przed zuchwałym przedsiębiorczego rycerza okiem, ale cóż czynić, trzeba szukać środka do ułagodzenia boleści mojej.

To rzekłszy, dotknęła palcami strun lutni, a zachwycony Don Kichot nie wątpiąc, że jedna z panien honorowych księżnej zakochała się w nim, zakaszlał po cichu, chcąc ją uwiadomić o swojej obecności.

Po chwili Altisidora, nastroiwszy lutnię, zaśpiewała melodyjnym głosem:

Ty w łóżku z nocy do rana
Przeciągasz kościste ciało,
Ja pod oknem zapłakana,
Jak bocian stoję noc całą.

Rycerzu w chwałę bogaty!
Mancha tobie życie dała,
Droższyś niż złoto i kwiaty
I niż woń Arabii cała!

Posłuchaj śpiewu dziewicy,

Którą twe serce oddala.
Której słońce twej źrenicy
Namiętną duszę zapala!

Me ręce silne i zdrowe,
Nie jestem wcale kaleką,
Gdy rozpuszczę włosy płowe,
Po ziemi za mną się wloką.

Do orła podobnam z gęby,
Do kota z oczu i nosa;
Lecz topazowe me zęby
Wdzięk mój podnoszą w niebiosa.

Jeśli słuchasz głosu mego,
Widzisz, że słodko żałobny;
Wzrost mam wyższy od średniego
I kształt do trzciny podobny.

Chcesz posiąść te wszystkie wdzięki?
Śpiesz rycerzu póki pora,
Zakończ serca srogie męki,
Błaga cię – Altisidora!

Czuła Altisidora zakończyła swój śpiew, a obojętny Don Kichot z westchnieniem wyrzekł do siebie:

– Jakżem nieszczęśliwy! Każde moje spojrzenie rani dokoła serca niewieście. Ty tylko, nieporównana, nieszczęsna Dulcyneo z Toboso, nie możesz nasycać się rozkoszą posiadania swojego rycerza. Na próżno królowe, księżniczki, próżno i wy młode dziewice, dobijacie się o uczucia moje. Zostawcie Dulcynei to, co stało się jej

udzielną własnością, bo dla niej umyślnie stworzyły mnie nieba. Niech Altisidora śpiewa lub płacze, niech ma nadzieję lub kona z rozpaczy, a na przekór wszystkiemu, pomimo czarnoksiężników zaciekłości, dla Dulcynei tylko poświęcę życie moje!

Spełniwszy to ciche poświęcenie, Don Kichot z trzaskiem zamknął okno. Zostawmy go w pokoju, bo oto wielki Sancho nas przyzywa na świadków szczęśliwego rozpoczęcia rządów na wyspie Barataria.

Rozdział XIII

W którym opisuje się, jak Sancho objął w posiadanie wyspę i jakim sposobem nią rządził

O ty! co bezustannie okrążasz obie półkule globu! Ty, oko niebios wszystkowidzące na ziemi! światły Apollinie! Timbruisie starożytnych! Wielbiony od wszystkich ludzi Febie! Ojcze poezji i twórco muzyki... Ty, co wstając, dajesz dzień śmiertelnym, a sam nie zasypiasz nigdy. Słońce! Ojcze natury! Źródło światła! Twoje głębokie promienie przenikają złoto we wnętrznościach ziemi. Oświeć, ogrzej głębinę piersi mojej, rozjaśnij ciemność mego umysłu, abym zdołał wypowiedzieć, co zaszło pod rządami wielkiego Sancho Pansy, nad opisaniem czynów którego Homer, Tasso, Ariost i Vergili spotnieliby do nitki!...

Nasz dzielny gubernator po krótkiej podróży przybył do małego miasteczka, liczącego około tysiąca mieszkańców, które było jedną z główniejszych posiadłości księcia. Oświadczono mu, że to jest wyspa Barataria.

Skoro tylko do bram miasta przybyli, mieszkańcy zbrojnie, przy odgłosie parafialnych dzwonów, wyszli na spotkanie gubernatora, podskokami i wrzaskiem objawiając radość niezmierną. Zaniesiono go na rękach do katedry miejscowej, gdzie po skończonym *Te*

Deum, podano mu klucze miasta. Następnie wykonano przysięgę na wierność.

Gęsta mina, szeroka broda, pękata figura i orszak nowego gubernatora, zadziwiły wszystkich. Po wyjściu z kościoła zaprowadzono go do pałacu sprawiedliwości.

Gdy zasiadł na tronie, intendent księcia rzekł:

– Mam zaszczyt zawiadomić waszą dostojność, że wedle dawnego zwyczaju, gubernator nowo obejmujący rządy wyspy, powinien rozstrzygnąć dwie trudne sprawy, aby dał próbę swojego rozumu, a z sądu jego poddani złą lub pomyślną rokują sobie przyszłość.

Podczas mowy intendenta Sancho przyglądał się napisowi, wyrytemu na przeciwległej ścianie. Nie umiejąc czytać, zapytał, co ma znaczyć to malowidło.

– Jaśnie oświecony panie – odpowiedziano mu – jest to wypisany dzień przybycia twojego na wyspę: „Dziś dnia tego i tego miesiąca, roku etc., możny Don Sancho Pansa, objął rządy tej wyspy; oby władza jego długo i pomyślnie trwała!”

– I kogo to nazywają Don Sancho Pansa – zapyta Sancho.

– Waszą dostojność – odpowie intendent.

– A więc uwiadamiam was, moi przyjaciele – rzecze Sancho – że nie chcę przybierać nienależnego mi tytułu Don, niedodawanego nigdy do mego imienia; nazywam się Sancho Pansa po prostu. Moi przodkowie ani donami, ani wielmożnościami nie byli. Widzę, że na tej wyspie więcej jest donów niż kamieni, ale przy boskiej pomocy, w ciągu czterech dni jak muchy porozpędzam wszystkich donów z miasta. Teraz niech zadadzą mi próbę, panie intendencie, osądzę rzecz, jak będę mógł najlepiej, nie zważając wcale, czy odpowiedź moja ucieszy lub zasmuci poddanych.

Wprowadzono dwóch ludzi do sali, wieśniaka i krawca.

– Jaśnie wielmożny gubernatorze – rzecze krawiec – ten człowiek przybył do mego sklepu i, oddając kawałek sukna, zapytał, czy wystarczy na zrobienie jednego kaptura, odpowiedziałem, że dosyć będzie, lecz on, sądząc złośliwie wedle powszechnej o krawcach opinii, że mam zamiar dla siebie zachować część jego sukna, zapytał znów, czyli by z tego materiału dwóch kapturów zrobić nie było można. Zgadując jego podejrzenie, dałem potwierdzającą odpowiedź, wtedy zapytał mnie znów, czy by na więcej kapturów sukno nie wystarczyło, żądając wreszcie, ażebym mu pięć sztuk wykroił. Obecnie robota jest skończona, a ten człowiek zamiast zapłacić mi za nią, żąda, ażebym mu wartość sukna zwrócił.

– Czy tak jest w samej rzeczy? – zapytał Sancho wieśniaka.

– Tak jest w istocie – odpowie zapytany – ale niech wasza wysokość rozkaże pokazać mu jego kaptury.

– Z całego serca – rzecze krawiec i wyjąwszy rękę z zanadrza, pokazał pięć małych kapturków, uwieszonych na końcu każdego palca.

– Oto są żądane kaptury – rzecze – i niech biegli osądzą, czy można zrobić więcej z podobnej ilości materiału.

Obecni śmieli się serdecznie, słysząc tak dziwną sprawę.

Sancho, pomyślawszy chwilę, rzecze:

– Sprawa niewarta długiego zastanowienia, rozkazuję, ażeby wieśniak wyrzekł się sukna, a krawiec pieniędzy za robotę. Kaptury zaś niech darują więźniom.

Następnie przybyli dwaj starcy, z których jeden opierał się na grubej lasce – drugi rzecze do Sanchy:

– Jaśnie wielmożny panie! Przed niedawnym czasem pożyczyłem dziesięć sztuk złota temu człowiekowi, z warunkiem, że mi je odda na pierwsze moje żądanie. Nie upominałem się czas jakiś, nie chcąc mu czynić przykrości, lecz widząc nareszcie niedbałość dłużnika,

prosiłem go o zwrot pożyczonych pieniędzy; on zaś nie tylko, że mi ich nie chciał zwrócić, lecz oświadczył nadto, że pieniądze te już dawno mi oddał. Obydwaj nie mamy świadków; niech więc wasza wysokość rozkaże mu wykonać przed Bogiem przysięgę, a będę zadowolony.

– Cóż odpowiesz na to? – zapyta Sancho oskarżonego.

– Jaśnie wielmożny panie! Wyznaję, że człowiek ten pożyczył mi dziesięć sztuk złota, lecz gotów jestem przysiąc, że mu je w całości oddałem.

Gubernator rozkazał mu podnieść rękę, a starzec, oddawszy przeciwnikowi do potrzymania laskę, wykonał uroczystą przysięgę.

Wielki gubernator zapytał wierzyciela, co ma jeszcze przeciwko temu?

Skarżący odrzekł, że znając swego dłużnika jako pobożnego i bogobojnego człowieka, przysięgę jego za ważną uznaje, chociaż nie przypomina sobie wypłaty zaciągniętego długu.

Dłużnik odebrał swoją laskę i szybko oddalił się z sali.

Sancho, podziwiając cierpliwość oskarżyciela i dostrzegłszy pospieszne odejście dłużnika, zastanowił się przez chwilę i nagle, ukąsiwszy się w koniec palca, rozkazał przyprowadzić sobie oskarżonego.

Gdy wypełniono rozkaz, rzekł Sancho do starca:

– Oddaj mi swoją laskę.

– Oto jest, jaśnie wielmożny panie – odrzekł zawezwany.

Sancho wziął kij i podając go wierzycielowi, rzekł mu:

– Teraz już odebrałeś swoją należność.

– Jak to, wasza wysokość, alboż ta laska warta dziesięć sztuk złota?

– Bez wątpienia – rzecze gubernator – albo ja jestem największym głupcem, jakiego widziano na świecie. Zobaczycie zaraz, czy zdolny

jestem do rządzenia państwem. Niech rozłamią tę laskę – dodał.

Wykonano rozkaz, kij rozłamano na połowę i dziesięć sztuk złota wypadło z niego na ziemię.

Wszyscy podziwiali mądrość gubernatora, porównywając go z Salomonem. Starcy odeszli, jeden z radością, drugi ze wstydem, a historyk, opisujący czyny Sanchy, po pilnym rozpatrzeniu się, nie wiedział, jak go uważać: za głupca, czy za rozumnego człowieka.

Wszyscy uwielbiali sądy nowego gubernatora, o których natychmiast donoszono księciu, oczekującemu z niecierpliwością na wiadomość o każdym Sanchy postępku.

Teraz powróćmy do Don Kichota, którego zostawiliśmy otoczonego miłosnym płomieniem rozkochanej Altisidory.

Rozdział XIV

W którym opisany jest dziwny wypadek Don Kichota, podczas gdy marzył o miłości Altisidory

Zostawiliśmy wielkiego Don Kichota, lękającego się miłosnych uczuć młodej Altisidory. Położył się w łóżku z wielką niespokojnością, a wspomnienie rozdartej pończochy, łącząc się do tłumnych myśli, wstrząsały mu umysł i nie pozwalały zasnąć na chwilę. Wkrótce też dzień zaświtał i nasz bohater powstawszy, ubrał się w buty z cholewami, aby zakryć rozdartą pończochę. Zarzucił na ramiona szkarłatny płaszcz, na głowę włożył zielony, aksamitny kapelusz, obszyty srebrnym galonem, i tak przystrojony udał się na salę, gdzie znalazł gospodarzy gotowych na jego przyjęcie.

Przechodząc przez galerię, spotkał Altisidorę z towarzyszką, oczekującą go jakby umyślnie. Altisidora, spostrzegłszy rycerza,

udała nagle zemdlenie i upadła w objęcia swojej przyjaciółki, która rozsznurowała ją w celu przyprowadzenia do przytomności.

Don Kichot zbliżył się do dam i bez wzruszenia rzecze:

– To nic nie znaczy; podobne wypadki nie są szkodliwe.

– Przebacz, panie rycerzu – rzecze przyjaciółka – lecz Altisidora dotąd była w najlepszym zdrowiu. Nie pragnęła niczego na świecie, dopóki nie przybyliście do tego zamku. Niech Bóg potępi całe błędne rycerstwo, jeżeli wszyscy są równie niewdzięczni, jak ten, którego widzę przed sobą! Na miłość Boga, oddal się stąd rycerzu Don Kichocie! Ta biedna dziewczyna nie wróci do zmysłów, póki tu znajdować się będziesz.

– Proszę cię, panno – odpowie Don Kichot – każ tej nocy przynieść lutnię do mego pokoju. Spróbuję w rzewliwych dźwiękach dać pomoc rozkochanemu sercu twojej przyjaciółki.

To rzekłszy, odszedł, lękając się, aby go ktokolwiek rozmawiającego z dziewczętami nie zobaczył. Po odejściu Don Kichota, Altisidora przyszła do siebie z udanego omdlenia i rzecze do towarzyszki.

– Trzeba koniecznie dać Don Kichotowi żądaną lutnię, zapewne zechce nam zaśpiewać jaką piosnkę zabawną!

Księżna, uwiadomiona o wszystkim, co zaszło, przepędziła razem z mężem cały dzień na przyjemnej z Don Kichotem rozmowie. List Sanchy posłano do jego żony razem z paczką rozmaitych podarków, o godzinie jedenastej pożegnano się i Don Kichot udał się do swego pokoju; przybywszy tu, zastał gitarę leżącą na stole, nastroił ją natychmiast, otworzył okno, a widząc jakieś postacie w ciemnościach ukryte, zaśpiewał nowo-metodycznie, acz cokolwiek ochrypłym głosem, romans tegoż dnia skomponowany:

Gdy dusza miłością płonie,
Bieży z kotwicy spokoju

I na nieczynności łonie
Płynie w mar bezcelnych roju.

Więc szycie, haft i rozmowa
I praca w cichej ustroni
Od żądz miłosnych uchowa,
Od niebezpieczeństw obroni.

Miła dziewicza prostota
Wnet wejdzie w małżeńskie śluby,
Bo jej posagiem jest cnota
I powodem słusznej chluby.

Błędni rycerze – tłum złoty,
Widząc damy uczuć chciwe,
Do próżnych chodzą w zaloty,
Lecz zaślubiają cnotliwe.

Łatwa miłość wnet się studzi,
Krótka uciecha z kochankiem,
Wieczorem serce się zbudzi,
Lecz uśnie jeszcze przed rankiem.

Kwiat się w sercu nie rozwinie,
Gdy łza wstydu błyszczy w oku;
Ciche źródło szczęścia ginie
W bystrym rozkoszy potoku!

Gdzie jedna piękność jest wzorem,
Druga – wydaje się smutno,
Bo na cóż jednym kolorem
Dwa razy malować płótno!

Na tablicy mojej duszy
Dulcynei obraz błyszczy,
Nic jej władzy nie poruszy
I obrazu nikt nie zniszczy!

Bo stałość, co zawsze bywa
Najpierwszą kochanków cnotą,
Cudowną władzę zdobywa
I stwarza im przyszłość złotą!

Zaledwie Don Kichot przestał śpiewać, nie domyślając się, że księstwo oboje i dwór cały słucha go z ukrycia, gdy nagle na balkonie, nad głową jego będącym, dał się słyszeć przeraźliwy dźwięk stu dzwonków rozmaitej wielkości. W tejże chwili wytrząśnięto mu przed okno pełen wór kotów, z których każdy miał przywiązany dzwonek do ogona. Straszliwe miauczenie tych zwierząt, zmieszane z hałaśliwym dzwonków odgłosem, sprawiły tak dziwną dysharmonię, że ci nawet, którzy wymyślili figiel, zdumieli się niepomału. Don Kichot był przerażony.

Na nieszczęście, kilka kotów wpadło do sypialni rycerza i, przewróciwszy świecę, zaczęło biegać po wszystkich kątach, dzwoniąc i miaucząc przeraźliwie.

Przez ten czas dzwonki na balkonie nie przestawały jęczeć różnotonnie. Doprowadzony do wściekłości Don Kichot, porwał miecz do ręki i rąbiąc na prawo i lewo framugi okien i mur wystający, wołał groźnym głosem:

– Precz stąd, złośliwi czarnoksiężnicy! precz stąd, podły motłochu! macie do czynienia z Don Kichotem z Manchy, przeciw któremu moc czarów waszych bezsilna.

Zwrócił się do sypialni i pędząc koty, które po błyszczących rozpoznawał ślepiach, wygonił je przez okno.

Pozostał tylko jeden kot, który, bądź to nie mogąc inaczej już poradzić sobie przeciw natarczywej pogoni rycerza, bądź raniony boleśnie, rzucił się na twarz Don Kichota i zatopiwszy pazury i zęby w policzkach i nosie błędnego rycerza, zmusił go do bolesnego krzyku.

Na ten głos książę, otoczony gromadą ludzi, otworzywszy generalnym kluczem pokój Don Kichota, wpadł ze światłem, zastał naszego bohatera w silnych z kotem zapasach, usiłującego koniecznie oderwać go sobie od twarzy. Książę pośpieszył na ratunek rycerza, lecz Don Kichot, widząc to, zawołał:

– Niech nikt mi nie przeszkadza w potyczce, cieszę się bardzo, że schwytałem wreszcie tego przeklętego czarownika, dowie się łotr ode mnie, co to jest zaczepić Don Kichota z Manchy!

Kot jednakże, nie trwożąc się ani sławą rycerskiego imienia, ani widokiem światła, nie opuszczał swojej zdobyczy, aż książę rozkazał porwać go i wyrzucić przez okno.

Don Kichot pozostał na placu bitwy poszarpany i skrwawiony, srodze żałując, że wydarto mu z rąk przeciwnika, którego ukarać pragnął. Przyniesiono maści i piękna Altisidora białymi rączkami, sama przykładając plastry na twarz rycerza, szepnęła do niego cicho:

– Całe to zdarzenie, okrutny i niewdzięczny rycerzu, jest karą niebios za srogość twoją dla płci naszej; co do mnie, błagam Boga, aby twój giermek Sancho zapomniał wyliczyć sobie trzy tysiące sześćset plag, do wyzwolenia Dulcynei koniecznych, aby nie mogła utulić cię w swoim objęciu dopóty, póki będę żyła na świecie ja, która kocham cię i ubóstwiam, niewdzięczniku!

Don Kichot odpowiedział tylko głębokim westchnieniem i udał się do łóżka, podziękowawszy za troskliwość księciu, nadzwyczajnie

zasmuconemu stanem Don Kichota, który zmuszał go przez kilka dni pozostać w łóżku.

W ciągu tych dni kilku zdarzyła się naszemu rycerzowi awantura bardziej zabawna niż poprzednie, lecz opowieść o niej zostawimy na później.

Teraz powróćmy do Sanchy, którego zastaniemy nadzwyczajnie zakłopotanego rządami wyspy i śmieszniejszego niż kiedykolwiek.

Rozdział XV

W którym opisany jest dalszy ciąg panowania wielkiego Sancho Pansy

Po rozsądzeniu spraw, zaprowadzono Sanchę do pałacu umeblowanego kosztownie; gdy wszedł do sali jadalnej, odezwała się radosna muzyka połączonych kunsztownie instrumentów – podano mu złotą miednicę; umywszy się z wielką powagą, nasz gubernator zasiadł do stołu, przy którym jedno tylko było nakrycie.

Za krzesłem Sanchy stanął doktór nadworny z fiszbinowym pręcikiem w ręce. Kapelan pobłogosławił stół, zdjęto wierzchni obrus i ukazały się rozmaite najwyborniejsze potrawy z mięsa, jarzyn, ciast i owoców.

Zdziwiony Sancho zapytał, co na tej wyspie do jedzenia używają: języka, czy oczu?

– Wasza dostojność darować raczy – ozwie się człowiek z pręcikiem – jestem doktorem nadwornym waszej wysokości i płatny jestem od rządu za to, abym zdrowia waszego przede wszystkim pilnował i nie dozwolił mu jeść nic takiego, co by przyczyną choroby organizmu stać się mogło. Rozkazałem sprzątnąć owoce dlatego, że mają za wiele wilgoci w sobie i studzą krew. Mięsiwa zaś były nazbyt przesycone korzeniami, więc

wzbudzające pragnienie, a kto napojów w znacznej używa ilości, ten niszczy i wysusza wilgoć żywotną swojego organizmu.

– Jednakże mogę zjeść te kuropatwy pieczone? – zapyta Sancho.

– Niepodobna, jaśnie wielmożny panie, tego dozwolić żadnym sposobem nie mogę.

– I dlaczego to? – zapyta Sancho.

– Bo wielki mistrz nasz Hipokrates powiada w swoich aforyzmach. *Omnis saturatio mala, perdicum autem pessima*, a to znaczy, że każda niestrawność, a mianowicie od kuropatw powstała, najgorsze skutki sprawia.

– Dobrze, mości doktorze – rzecze Sancho – każ więc zdjąć te wszystkie niebezpieczne potrawy, a zostawić takie, które jeść mi wolno i potem nie machaj laseczką i nie przeszkadzaj mi, gdyż głodny jestem niezmiernie, a przecież medycyna na głodową śmierć skazać mnie nie ma zamiaru.

– W rzeczy samej, wasza wysokość ma słuszność – odpowie doktor – niech więc jeszcze i te zające zdejmą ze stołu, pieczeń cielęca mogłaby ujść jeszcze, gdyby inaczej była przyprawiona.

– A ta duża misa – przerwie Sancho – z której tak obficie para wychodzi, jest to zapewne bigos z rozmaitych mięsiw złożony, dlatego sądzę, że wybiorę sobie z nich takie, które dla mego żołądka właściwe będą.

– Niech Bóg uchowa waszą wysokość od skosztowania kiedykolwiek bigosu; jest to potrawa, którą tylko kanonicy, zakonni bracia i chłopi jedzą, lecz oni mają strusie żołądki! Dla gubernatorów trzeba delikatne wybierać potrawy, dlatego sądzę, że na dziś może wasza wysokość zadowoli się tymi dwiema miseczkami delikatnych konfitur ze smażonych pigw, można by do tego kazać zrobić naprędce małą porcję zupy z dyni, która, zwłaszcza osłodzona, jest nader praktycznym pokarmem.

Sancho wysłuchał cierpliwie mowy doktora i oparłszy się o poręcz krzesła, zapytał go z przytłumionym gniewem:

– Mości doktorze, gdzie uczyłeś się swojego kunsztu, jeśli łaska?

– Nazywam się Pedro Rezio de Aguero do usług waszej wysokości. Rodziłem się w Tirteafuera między Caraquel i Almodobar del Campo, doktoryzowany zaś jestem w uniwersytecie w Osuny.

– To dobrze – rzecze Sancho – a więc, panie doktorze Pedro Rezio de Augero, urodzony w Tirteafuera między Caraquel i Almodobar, umykaj mi czym prędzej z oczu, bo inaczej wezmę kawał postronka lub kija i tak ci skórę obłożę, że ci się rodzona babka przyśni i zapowiadam ci, że ciebie i takich wszystkich zbójeckich doktorów na całej wyspie wywieszać rozkażę. Raz jeszcze powtarzam, uciekaj pókiś cały, albo ci tym krzesłem łeb rozbiję, że od razu pójdziesz na tamten świat douczać się głodnej kuracji, tym sposobem wybawię naród od rozbójnika, co kunsztu swego niegodnie używa. A teraz niech mi natychmiast jeść podadzą lub niech odbiorą, do diabła, całe gubernatorstwo; urząd, co chleba nie daje, diabła wart!

Przestraszony doktor słowami i gestem Sanchy już naprawdę zabierał się do ucieczki, gdy wtem dał się słyszeć na dziedzińcu pałacowym odgłos pocztowej trąbki. Był to kurier, przysłany od księcia w interesie stanu. Gubernator wziął spory pakiet, urzędowną opatrzony pieczęcią i podał intendentowi, który przeczytał adres jak następuje: „Don Sanchy Pansa, gubernatorowi wyspy Barataria, do własnych rąk lub jego sekretarza".

– A gdzież mój sekretarz? – zapyta Sancho.

– Ja jestem, do usług waszej wysokości – odpowie jakiś młodzieniec – umiem czytać i pisać, jestem Biskajczyk.

– Tęgą masz minę i mógłbyś służyć za sekretarza u samego sułtana nawet – rzecze Sancho. – Otwórz więc paczkę i zobacz, co tam jest.

Nowy sekretarz przeczytał list i oświadczył, że interes wymaga tajemnicy. Sancho rozkazał odejść wszystkim, wyjąwszy intendenta i marszałka dworu, a sekretarz czytał co następuje:

„Otrzymałem doniesienie, panie don Sancho Pansa, że w jednej z tych nocy nieprzyjaciele twojej wyspy i moich państw chcą, zdradą podszedłszy cię, pokonać lub wypędzić. Należy więc mieć się w każdej chwili na baczności. Dowiedziałem się również przez szpiegów, że czterech uzbrojonych ludzi, przebranych w wieśniacze suknie, weszło do do miasta waszego w celu zamordowania pana lub otrucia go. Bystry umysł i trafność sądu, jaki okazałeś w pierwszym dniu rządów swoich, przejął obawą i zawiścią nieprzyjaciół. Radzę ci, panie gubernatorze, baczyć na każdy krok swój i nie jeść żadnych potraw, chyba, przekonawszy się poprzednio, że nie są zatrute.

Bądź zdrów, oczekuję wszystkiego po twojej przezorności, a w razie niebezpieczeństwa z pomocą pośpieszyć nie omieszkam. Dnia 16 sierpnia, o czwartej z rana.

Wasz dobry przyjaciel,

Książę".

Sancho, nie mniej jak wszyscy słuchacze strwożony, rzecze natychmiast do intendenta:

– Zdaje się, że trzeba doktora Rezio wtrącić do więzienia, boć ten zapewne bardziej niż inni czyhał na moją zgubę, chcąc mnie dziś głodem umorzyć.

– I mnie się zdaje, że należało by strzec się każdego i wszystkiego – rzecze intendent – obiadu zaś tego jeść waszej wysokości nie radzę,

bo niektóre potrawy przysłane w podarunku zostały, a wiecie dobrze, że diabeł często pod drzewem siada.

– Dajcie mi tymczasem kawał chleba i sera – rzecze Sancho – niepodobna bowiem, abym głodnym pozostał, a w tak ordynarne pożywienie wrogi wrogowie trucizny nie włożyli. Ty, mości sekretarzu, odpisz jego książęcej mości, że wszystkie jego rozkazy będą wykonane, ucałuj też ode mnie rączki księżnej pani i proś, aby list razem z zawiniątkiem, które zostawiłem, do mojej żony Teresy Pansa posłać raczyła. Nie zapomnij również pokornie pokłonić się ode mnie wielmożnemu Don Kichotowi z Manchy, aby nie wziął mnie za niewdzięcznika; upstrzyj to wszystko razem, okraś pięknie i tak odpraw posłańca. A teraz każcie mi dać jaki bądź posiłek, bo chcąc się do boju przygotować, trzeba przede wszystkim dobrze napełnić żołądek, a skoro nie będę głodnym, drwię sobie ze wszystkiego.

W tej chwili wszedł paź, mówiąc, że jakiś wieśniak w pilnej sprawie prosi jego wysokość o posłuchanie.

– Niech go diabli porwą! – zawoła Sancho – cóż to, czy to jest pora do podobnych spraw? przecież gubernator jest człowiekiem i cały dzień na usługi poddanych nie może być przygotowanym. A może to jeszcze jest jaki szpieg lub jeden z owych przebranych, kto wie!

– Owszem, panie gubernatorze, ten na uczciwego człowieka wygląda – ozwie się paź.

Wpuść go więc i niech prędko rzecz swoją opowie.

Wieśniak wprowadzony zapytał naprzód, kto jest gubernatorem. Ukazano mu Sanchę, siedzącego za stołem. Wtedy wieśniak, rzucając się na kolana, począł opowiadać rozwlekle, że pochodzi ze wsi Miguel-Turra, że ożeniwszy się, miał trzech synów, z których jeden mu umarł, że następnie, pozostawszy wdowcem, pragnął ożenić jednego z synów swoich, który był bakałarzem, z córką

bogatego rolnika. Odmalował następnie Sanchy brzydotę i kalectwo narzeczonej swego syna i pomimo wielkiej niecierpliwości gubernatora, któremu srodze głód dokuczał, rozwałkował historię swoją na dwie godziny opowiadania.

Zniecierpliwiony do reszty Sancho, zapytał gniewnie wieśniaka:

– Czegóż chcesz wreszcie ode mnie? przystąp do rzeczy lub idź do diabła.

– Przychodzę prosić waszej wysokości – odpowie chytrze chłop – abyście raczyli napisać list do ojca narzeczonej mego syna, prosząc i wstawiając się, aby córkę swoją oddał w małżeństwo synowi memu, tym więcej, że oboje równy mają majątek.

– Cóż dalej? – zapyta Sancho.

– Także poważyłbym się waszą ekscelencję serdecznie i uniżenie prosić, aby podarował dla mego syna sześćset talarów na pierwsze potrzeby po ożenieniu.

– Ach, ty psie podły! – zawoła rozgniewany Sancho – to więc po to przychodzicie, łajdaki, aby zatrudniać mnie, kiedy głodny jestem.

I porwawszy za krzesło, na którym siedział, zawołał:

– Przysięgam na Boga! rozbójniku, psie chłopie, że jeżeli mi się nie wyniesiesz stąd co tchu, rozbiję ci na miazgę. To ty sześćset talarów chcesz ode mnie? A wieszże ty, że ja pierwszy dzień dopiero jestem gubernatorem! Pieniędzy nie mam, a gdybym miał nawet, to za cóż bym miał dawać tobie, zbójco, albo temu obrzydliwemu fąflowi, co go synem zowiesz? A mnie diabli do tego, że ty jesteś z Miguel-Turra i że twój syn się żeni? Ruszaj sobie do krocset tysięcy fur beczek, bo mam serdeczną chęć skoczyć ci na brzuch nogami i wydeptać wnętrzności z ciebie.

Marszałek dworu dał skrycie znak chłopu, ten oddalił się natychmiast, odegrawszy rolę swoją wyśmienicie.

Sancho nie mógł się długo uspokoić po rozmowie z wieśniakiem. Lecz rzućmy go na chwilę, a wróćmy do Don Kichota, którego zostawiliśmy obłożonego plastrami, w tak smutnym stanie, iż w ciągu dni ośmiu zaledwie wyleczyć się zdołał.

W tym czasie przytrafiła mu się przygoda, którą opowiemy w następnym rozdziale, gdyż Benengeli w tym samym nie chciał jej umieścić.

Rozdział XVI

W którym jest opisane, co przytrafiło się Don Kichotowi z damą Rodrigeuz i inne, również zadziwiające rzeczy

Sześć już nocy przeleżał smutny nasz rycerz, bolejąc, iż tak srodze ucierpiał w walce, która mu żadnej nie przyniosła chwały. Siódmej nocy, gdy marzył o swoich nieszczęściach i o prześladowaniach od Altisidory doznanych, usłyszał, że drzwi jego sypialni otworzyły się. Natychmiast wyobraził sobie że ta rozromansowana panna przybyła szturm dopuścić do jego skromności i zachwiać wierność zaprzysiężoną Dulcynei z Toboso.

– Nie – zawołał dość głośno – nie! Najpierwsza z piękności ziemi nie zdoła zatrzeć w mym sercu tej, którą tam wyryła tak dzielnie miłość. Bądź spokojna, królowo mojego serca, pani moich myśli. W jakimkolwiek jesteś stanie, czy zamieniona w obrzydliwą dziewkę, uznojona najpodlejszą pracą, czy ukryta przez Merlina lub Montesina przed okiem moim, zaczarowana czy wolna, bądź spokojną! Wierność moja dla ciebie niewzruszoną będzie. Obecni, czy oddaleni, będziemy zawsze z sobą.

Wyrzekłszy te słowa, stanął na łóżku okryty kapą z żółtego atłasu, wdziawszy jedną pończochę, zamiast szlafmycy i tak z twarzą

zakrytą plastrami, podobny był do rozbójnika w szpitalu lub do przebranego złodzieja.

W tej pozycji skierował wzrok ku drzwiom, lecz zamiast żałosnej Altisidory, spostrzegł szanowną matronę, okrytą długą sfałdowaną zasłoną. Matrona trzymała w jednej ręce lichtarz, drugą zakrywała oczy od blasku światła. Postępowała z wolna i ostrożnie, jak gdyby szła nad brzegiem przepaści.

Don Kichot, przypatrzywszy się jej powolnym ruchom, milczeniu i zakonnym szatom, nabrał przekonania, że jakaś czarownica przybywa doświadczyć na nim swojej potęgi. Dlatego nasz rycerz, zapobiegając wpływowi sił nieczystych, przeżegnał się kilkakrotnie.

Opisana postać postępowała ciągle i zbliżywszy się do łóżka, spostrzegła naszego rycerza w okropnej postaci, żegnającego się ustawicznie.

– Najświętsza Panno! cóż to ja widzę? – krzyknęła.

Świeca wypadła jej z rąk skutkiem przerażenia, a chcąc uciekać, zaplątała się w fałdy zasłony i jak długa padła na ziemię.

Szamotanie się jej i upadek w ciemności, podwoiły przerażenie Don Kichota, który niepewnym i strwożonym głosem wyjąkał:

– Zaklinam cię, maro, lub ktokolwiek jesteś, powiedz mi, czego żądasz ode mnie; jeżeli jesteś pokutującą duszą, uczynię wszystko, co tylko dobry katolik w tym przypadku uczynić może. Jako chrześcijanin i błędny rycerz, znajduję rozkosz w przynoszeniu ulgi cierpiącym nawet męki czyśćcowe.

Biedna dama, słysząc podobne zaklęcia i sądząc zresztą po sobie, zrozumiała przestrach Don Kichota i rzekła cichym, smutnym głosem:

– Panie Don Kichocie, nie jestem widmem, ani duszą czyśćcową. Jestem Rodrigeuz, dama honorowa księżnej i przychodzę prosić cię o pomoc w ciężkim utrapieniu.

– Powiedz mi otwarcie, pani – rzecze Don Kichot – czy nie jesteś przysłana od Altisidory. Jeżeli tak jest, nie trać czasu na próżno. Piękność Dulcynei z Toboso czyni mnie głuchym na wszelkie próby miłości. Jednym słowem, szanowna damo, jeżeli nie jesteś posłanniczką miłości, to zapal świecę i zechciej opowiedzieć mi, w czym ci dopomóc mogę. Znajdziemy może jaki środek.

– Ja, mości rycerzu, miałabym służyć innej za posłanniczkę w miłostkach? Nie jestem, Bogu dzięki, jeszcze ani stara, ani brzydka do tego stopnia, aby pełnić takie obowiązki; chwała Bogu! zdrowa jestem i mam wszystkie zęby, wyjąwszy te, które mi wypadły od fluksji, panującej w tym przeklętym kraju, i żeby nie to, miałabym wszystkie. Lecz zaczekajcie chwilę. Przyniosę światło i opowiem wam swoje nieszczęścia.

To rzekłszy, wyszła, a Don Kichot myśląc o tej przygodzie, wyobrażał sobie tak straszne jej skutki, że nie mógł żadną miarą uspokoić się w trwodze o swoją stałość i sześćdziesięcioletnią cnotę damy Rodrigeuz; kto wie, myślał, czy nieprzyjaciel rodu ludzkiego nie zastawia na mnie sideł i przysyłając tę wdowę, nie chce mnie wepchnąć w przepaść, której dotąd tak pilnie unikałem. Jakiż wstyd byłby dla mnie i jaka boleść dla Dulcynei, gdyby ta staruszka zwyciężyła wierność, której cesarzowe, księżniczki i tyle doskonałych piękności wzruszyć nie zdołały. Nie! nie! W podobnych okolicznościach niebezpiecznie jest dotrzymywać placu, najlepiej jest uciec. Jednakże, być może, krzywdzę panią Rodrigeuz, posądzając ją o tak nieczyste chęci. Nie mam prawa powątpiewać o jej cnocie, ja sam wreszcie dlaczegoż mam się lękać osoby, która wiekiem swoim tylko uszanowanie i niesmak wzbudzić może? Lecz nagle, wyobrażając sobie wielkość niebezpieczeństwa i wstyd zwyciężonego, wyrzekł z przekonaniem,

że każda wdowa jest przedsiębiorcza, każda kobieta niebezpieczna, a diabeł najczęściej w białe i piękne rączki rad swój ogon wkłada.

Po tych słowach porwał się z łóżka i szedł zamknąć drzwi, lecz Donna Rodriguez była już na progu i zobaczywszy Don Kichota w opisanym już przez nas kostiumie, cofnęła się o dwa kroki, pytając trwożliwie:

– Czy bezpieczną tu będę, panie Don Kichot? bo widząc pana stojącego w podobnym ubraniu, nie wiem, co mam myśleć o tym.

– Ja także, szanowna damo, toż samo zapytanie zadać ci pragnę, i chciałbym się zapewnić, czy nie użyjesz gwałtu względem mnie.

– Od kogo i względem kogo gwałtu obawiasz się, rycerzu? – rzecze Donna Rodriguez.

– Od ciebie względem siebie i od siebie względem ciebie, pani – odpowie Don Kichot – bo nie jestem przecież z brązu, a pani także nie jesteś z kamienia, a w tak późnej godzinie w pokoju tak odległym i w ubraniu dzikich ludzi, moglibyśmy powtórzyć historię tajemniczej groty, w której zdradziecki Eneasz korzystał z piękności i słabości nieszczęśliwej Dydony. Z tym wszystkim jednak podaj mi rękę, zacna pani, bo niech co chce będzie, ufam wszakże tym znakom honorowym, które wiek na twarzy i włosach waszych wycisnął, a niezachwiana moja wierność dla pięknej Dulcynei z Toboso zabezpiecza mnie również niemało.

To rzekłszy, podał jej rękę, na której pani Rodriguez wdzięcznie i uprzejmie się wsparła.

Cyd Hamed zaklina się na wszystko w tym miejscu, że oddałby z całego serca najpiękniejszą swoją kamizelkę, żeby mógł widzieć nieopisany kontenans rycerza, prowadzącego damę Redriguez krokiem pełnym dworskiej galanterii ode drzwi do łóżka.

Don Kichot położył się w łóżko, zakrył twarz, a pani Rodriguez w okularach i ze świecą w ręku usiadła mu w głowach na krześle.

Don Kichot pierwszy przerwał milczenie.

– Teraz, szanowna pani, możesz ulżyć swojemu sercu, uwiadamiając mnie o przyczynie zmartwień swoich. Wysłucham cię uważnie, ofiaruję ci wszelką pomoc, jakiej tylko po szlachetnym i litościwym sercu spodziewać się można.

– Zaczynam więc, panie rycerzu – rzecze Donna Rodriguez. – Urodziłam się w Asturii, w Oviedo, pochodzę ze starożytnej rodziny, lecz rodzice moi, straciwszy wielki majątek, zawieźli mnie do Madrytu i nie mogąc zapewnić mi losu, oddali mnie za pannę pokojową pewnej wielkiej damie. Wkrótce potem rodzice moi umarli, a ja zostałam sierotą bez opieki i majątku; w owym czasie jeden z koniuszych dworskich zakochał się we mnie. Był to człowiek niepierwszej już młodości, lecz miał dobrą figurę i piękną prezencję, pochodził bowiem z górali. Pani moja, dowiedziawszy się o naszych miłostkach, znagliła nas do połączenia się węzłem małżeńskim. Odtąd zaczęły się moje nieszczęścia. Wprawdzie urodziła mi się córka, ale mój biedny mąż umarł wkrótce z przestrachu, którego przyczyna zadziwiłaby was samych, zacny rycerzu.

W tym miejscu dobra Rodriguez rozpłakała się serdecznie i rzekła:

– Racz mi przebaczyć, mości rycerzu, ale nie mogę sobie nigdy przypomnieć bez żywej boleści tego nieszczęścia. Miły Boże! dziś jeszcze przypominam sobie, jak dzielnie wyglądał mój mąż, gdy na czarnym mule wiózł swoją panią, bo w owym czasie nie używano, jak dziś, karet, ani powozów, ale damy siadały za siodłem razem z giermkami.

Aby dać dowód jego grzeczności i dobrego wychowania, powiem jeszcze, że razu pewnego wjeżdżając do Madrytu ulicą Santiago, która nadzwyczaj wąska była, spotkał Prewota, otoczonego strażą. Natychmiast mój grzeczny mąż ukłoniwszy się zwrócił muła, chcąc

jakoby towarzyszyć Prewotowi; jakoż pomimo oporu tamtego, mimo, że Prewot chciał, zwróciwszy się, odprowadzić panią Casildę (imię pani, którą wiózł mój mąż), małżonek mój, trzymając czapkę w ręku zaczął jechać za Prewotem. Wtedy pani Casilda rozgniewana ukłuła go szpilką od włosów w brzuch tak silnie, że mój biedny małżonek spadł z nią razem na ziemię. To zdarzenie przyniosło wielką sławę memu mężowi, lecz pani Casilda odprawiła go od siebie, i nie wiem, czy to skutkiem rany szpilką w brzuch zadanej, czy może z powodu przestrachu, umarło wkrótce biedne mężysko moje! Cały Madryt żałował go serdecznie. Pozostała mi córka, która z każdym dniem w nowe rozkwitała wdzięki. Na koniec księżna, teraźniejsza pani moja, zaślubiwszy wtedy dopiero swego dzisiejszego małżonka, wzięła mnie do siebie razem z córką i do Aragonu przywiozła. Córka moja stawała się coraz piękniejsza, śpiewała cudnie, nauczyła się czytać i pisać, a czystość jej serca równa była bieżącej wodzie strumienia; o ile mogę zmiarkować, ma ona obecnie szesnaście lat, pięć miesięcy, dni trzy i kilka godzin.

Wkrótce syn bogatego wieśniaka zaczął starać się o moją córkę, lecz gdy rozkochana dziewczyna, upewniona obietnicami jego, przed ślubem jeszcze oddała mu się zupełnie, on niegodny porzucił uwiedzioną i wcale z nią żenić się nie chce. Książę pan wie o tym dobrze, lecz mimo usilnych próśb moich, nie chce rozkazać uwodzicielowi, aby zaślubił swoją ofiarę, a to dlatego, że rolnik ów jest bardzo bogaty i pożycza zwykle pieniędzy księciu. Otóż przybyłam prosić was zacny rycerzu, abyś raczył orężem czy mądrością zmusić uwodziciela do zaślubienia mej córki, która, jak to sam zobaczysz, dziesięć razy piękniejsza jest od wszystkich panien honorowych księżnej. Powiem wam nadto rycerzu, że pozorom ufać nie należy i tak Altisidora, która tak poważnie przedstawia się na pozór, nie jest zbyt świeża, próżności ma bardzo wiele,

a co najgorsza, że nie bardzo jest zdrowa, jakoż tak jej gorączkę zawsze z ust czuć, że na dwa kroki nie można rozmawiać z nią bezpiecznie, a i samej księżnie także... ale o tym wolę zamilczeć, bo to i ścianom nie brakuje uszów niekiedy.

– Co masz powiedzieć o księżnie, mościa Rodriguez, zaklinam cię na wszystko, co kochałaś w życiu, powiedz mi – zawoła ciekawie Don Kichot.

– Nie mogę ci nic odmawiać, waleczny rycerzu – odpowie kobiecina – otóż dowiedz się, że piękność i czerstwość księżnej pochodzi stąd, iż ma na obydwóch łydkach apertury, którymi ściekają wszystkie nieczystości i zepsute humory z jej ciała.

– Czy to być może? – zawoła zdziwiony rycerz – księżna tak piękna, ma takie fontanny w sobie, nie wierzyłbym nigdy temu, gdyby mi nawet cały zakon kapucynów przysięgał; lecz gdy tak utrzymujesz, pani Rodriguez, muszę być przekonany, powiem tylko, że ze źródeł, w tak pięknym znajdujących się miejscu, zamiast nieczystości, woniejące rzeczy ściekać muszą.

Jeszcze Don Kichot nie skończył mówić, gdy drzwi otworzyły się z trzaskiem, przerażona Rodriguez upuściła światło na podłogę, a śród ciemności uczuła nagle, że jakieś silne ręce pochwyciwszy ją, zawinęły spódnicę na głowę i niemiłosiernie pantoflami okładać zaczęły.

Don Kichot, mimo całej waleczności, nie odważył się bronić szanownej damy w jej dolegliwości, z obawy, aby rozgniewane nocne widziadła nie jęły się również jego własnej osoby, i niebezzasadna była ta obawa; widma, oporządziwszy Donnę Rodriguez, zbliżyły się do łóżka rycerza i obnażywszy go do połowy, zaczęły bić, kłóć i szczypać tak niemiłosiernie, że biedak jął wreszcie zniecierpliwiony machać pięściami na wszystkie strony. Po półgodzinnej męczarni wszystko ucichło, nocne widziadła

zniknęły, Donna Rodriguez w milczeniu, stękając tylko boleśnie, poprawiła spódnicę, założyła na siebie zasłonę i nie przemówiwszy słowa do rycerza, oddaliła się poważnie. Don Kichot zbity, skłuty, zmęczony pozostał sam, pożerany chęcią dowiedzenia się, jaki to czarownik tak nieludzko obszedł się z nim i czcigodną matroną.

Nie możemy zaspokoić ciekawości czytelnika w tym względzie, gdyż musimy powracać do Sanchy, jak tego porządek historyczny wymaga.

Rozdział XVII

W którym opisane jest, co przytrafiło się Sancho Pansie podczas przeglądu wyspy

Zostawiliśmy naszego gubernatora, przejętego srogim gniewem na chłopa, który, namówiony przez intendenta z rozkazu księcia, zażartował sobie z Sanchy, nudząc go zmyślonymi historiami. Jednakże Sancho, jak mógł, dawał sobie radę.

– Wiem już dobrze teraz – rzecze do obecnych, między którymi znajdował się i Pedro Reggio – że sędziowie gubernatorzy powinni być z brązu. Interesanci wymagają od nich, aby w każdej chwili przygotowani byli sądzić ich sprawy. Nie zważają oni, że gubernator ma tak samo ciało, kości i apetyt, którego ja nie nasyciłem dziś wcale, a jeżeli biedny sędzia lub gubernator, zatrudniony lub chory, nie zaspokoi ich nalegań, odchodzą, złorzeczą mu i obgadują. Na przykład doktor Pedro Reggio z Tirtea Fuera chciał mnie głodem zamorzyć. Oby raczej on sam zdechł i wszyscy doktorzy jemu podobni!

Doktor Pedro Reggio przyrzekł gubernatorowi obfitą zastawić wieczerzę, nie zważając na wszystkie aforyzmy Hipokratesa. Uspokojony tym Sancho, oczekiwał niecierpliwie wieczoru; jakoż

przyniesiono mu na wieczerzę kawał wołowego mięsa, zaprawnego czosnkiem i cebulą, i nogi wołowe w galarecie. Gubernator spojrzał na nie radośnie i zaczął zajadać z wielką chciwością. Nasyciwszy się już dobrze, rzekł do Pedra Reggia.

– Widzisz tedy, mości doktorze, że ja nie potrzebuję żadnych wymysłów; proste potrawy najwłaściwsze są dla mego brzucha; bardzo lubię słoninę, cebulę, rzodkiew, kawał wieprzowiny, to mi to jedzenie! wykwintne zaś przysmaki nie przypadają mi do gustu. Jeżeli jednak przyjdzie chęć kucharzowi zmienić mi gatunek potraw, może robić bigosy, mięsiwa z jarzynami, jak z rzepą, kapustą, zjem wszystko aż miło i będę mu wdzięczny. Niechaj nikt nie przychodzi wtedy żartować ze mnie, bo rozumiesz, że kiedy mamy życie, to żyć powinniśmy. Żyjmy tedy i jedzmy spokojnie, bo jadło, jak dzień, Pan Bóg dla wszystkich stworzył. Nikt się tu na moje rządy nie uskarży, jeżeli praw moich zaprzeczać nie będą, o! bo w takim razie zobaczą, żem ja w gorącej wodzie kąpany.

– Jaśnie wielmożny pan masz rację we wszystkim – rzecze marszałek dworu – i wszyscy mieszkańcy wyspy zachwyceni są słodyczą jego rządów.

– Tym lepiej – rzecze Sancho – miejcie tylko staranie o mnie i o moim osiołku, a wszystkim nam dobrze będzie. A teraz skoro już się najadłem, zrobimy patrol po mieście. Dobry gubernator powinien osobiście czuwać nad bezpieczeństwem swoich poddanych.

To rzekłszy, powstał, i w towarzystwie intendenta, sekretarza, marszałka dworu, orszaku zbrojnych, z buławą komendanta w ręku, wyszedł na miasto, lecz zaledwie przejrzeli dwie ulice, dał się słyszeć szczęk oręży; przyśpieszywszy kroku, zobaczyli dwóch ludzi walczących, którzy, ujrzawszy się otoczonymi przez żołnierzy, przestali się bić, a jeden z nich rzecze:

– Panowie! Ten jegomość chciał zabić mnie i zrabować na środku ulicy.

– Zaczekajcie – rzecze Sancho – zbadam ja zaraz przyczynę kłótni. Wiedzcie bowiem, że jestem waszym gubernatorem.

– Jaśnie wielmożny gubernatorze – rzecze drugi – w krótkich słowach rzecz całą opowiem. Znajdowaliśmy się razem z tym panem w pobliskim domu gry. Tam on wygrał tysiąc realów, a chociaż widziałem, że niekiedy grał niesumiennie, zamilczałem i przed innymi stronę jego trzymałem, myśląc, że, jak to grzeczność każe, zrobi mi potem jaki podarek, lecz on, zabrawszy wygrane pieniądze, wyszedł i ani spojrzał na mnie. Dogoniłem go tedy na ulicy, prosząc, aby mi część wygranej udzielił, a on bezczelnie chciał pozbyć się mnie kilku realami. To mnie oburzyło i byłbym mu z gardła wydarł pieniądze, gdyby straż waszej wysokości nie nadeszła.

– Cóż ty na to? – zapytał drugiego Sancho.

Ten oświadczył, że przeciwnik jego powiedział prawdę, z tą różnicą wszakże, że pieniądze wygrane były uczciwym sposobem. Bo w przeciwnym razie, opłaciłby się bez wahania świadkowi popełnionego oszustwa; że na koniec napastnik powinien być zadowolony z tego, co mu dadzą, gdy mu zwłaszcza słusznie nic się nie należy.

– Cóż wasza wysokość rozkaże uczynić z tymi ludźmi? – zapyta intendent.

– Oto – rzecze Sancho – ten, co wygrał, złym czy dobrym sposobem, ma dać drugiemu sto realów, a trzydzieści na szpital niech zapłaci. Ten drugi, który nie ma żadnego zatrudnienia, niech mi od jutra wynosi się z miasta i przez lat dziesięć nie powraca tu wcale, gdyż spotkawszy go raz jeszcze, natychmiast powiesić każę.

Wyrok był wyegzekwowany, a gubernator, rozwodząc się nad szkodliwością domów gry, przyrzekł sobie wykorzenić je ze szczętem. Postępowali znów czas jakiś, gdy nagle jeden ze straży przybiegł, ciągnąc za sobą młodego chłopca.

– Panie gubernatorze – rzecze – ten zuch szedł naprzeciw nas, lecz zobaczywszy straże, zaczął uciekać ze wszystkich sił, musi to być więc jakiś złoczyńca, skoro się obawia sprawiedliwości. Pobiegłem za nim i udało mi się schwytać ptaszka.

– Dlaczego uciekałeś, mój przyjacielu? – zapyta Sancho.

– Bo nie chciałem odpowiadać na zapytania straży.

– Czym się trudnisz?

– Jestem tkaczem.

– A cóż ty tkasz?

– Co się zdarzy.

– Aha! – rzecze Sancho – lubisz żartować, to mnie cieszy. A dokąd to szedłeś?

– Jaśnie wielmożny panie, szedłem prosto przed siebie.

– Ale po co? – zapyta Sancho.

– Chciałem użyć świeżego powietrza.

– A gdzież tu się używa powietrza na wyspie? – zapyta znów Sancho.

– Tam, gdzie ono jest – odpowie chłopiec.

– No, to ja cię nauczę, jak masz odpowiadać swojemu gubernatorowi – rzecze rozgniewany Sancho. – Hola! niech zaprowadzą tego łotra, aby przespał tę noc w więzieniu.

– Oho! wątpię, abyś mnie pan gubernator zmusił spać w więzieniu.

– I dlaczegóż to nie mógłbym uczynić tego? – rzecze Sancho – Alboż nie mam władzy zrobić z tobą, co mi się podoba?

– A choćbyś pan miał sto razy większą władzę, jeszcze mnie nie potrafisz zmusić spać w więzieniu dzisiaj.

– Cóż to – zawołał Sancho – czy tu sobie żartują ze mnie? Niech go zawloką natychmiast do kozy, a jeżeli dozorca wypuści go, zapłaci dwa tysiące dukatów kary.

– Chyba żartuje pan gubernator – rzecze młodzieniec – nie masz człowieka na świecie, ani władzy takiej, która by mnie zmusiła spać dziś w więzieniu.

– A to chyba diabłem jesteś – rzecze gniewny Sancho – albo też krewnym Lucypera może i spodziewasz się, że on zdejmie kajdany, które włożyć ci rozkażę.

– Mówmy rozsądnie, panie gubernatorze – rzecze młodzieniec – przypuszczam, że wasza wysokość pośle mnie do więzienia; tam mogą mnie zamknąć, nogi i ręce okuć w kajdany, ale spać mnie nie zmuszą i mimo całej waszej władzy, mogę nie zmrużyć oka przez noc całą.

– To prawda – rzecze sekretarz – młodzieniec ma słuszność.

– A więc – rzecze Sancho – pozbawiłbyś się snu dla swojej fantazji, a nie przez chęć sprzeciwiania się moim rozkazom?

– To właśnie chciałem powiedzieć, panie gubernatorze – odrzekł młodzieniec.

– Jeżeli tak, to ruszaj spać do domu, a na drugi raz radzę ci nie żartować ze sprawiedliwością.

Młodzieniec odszedł, a gubernator odbywał dalej przegląd miasta. Wkrótce znów straż przyprowadziła młodego chłopca, bardzo ładnego i ubranego wytwornie.

– Panie gubernatorze – rzecze żołnierz – przyprowadzamy przebraną dziewczynę.

Jakoż przy świetle latarni łatwo było rozpoznać, że mniemany chłopiec był ładną szesnastoletnią zaledwie panienką, która, mając

włosy związane w siatkę z zielonego jedwabiu, na białym atłasie złotem haftowaną kamizelkę, zwierzchnią szatę ze złotolitej materii, czerwone pończochy i zamiast szpady piękny sztylet za pasem, wyglądała jak młody chłopiec szukający awantur.

Nikt z obecnych nie wiedział, kto była. Sancho, zdziwiony nadzwyczajną pięknością dziewicy, ciekawie zapytał ją, dlaczego w niewłaściwym ubiorze o tak późnej godzinie chodzi po mieście. Dziewica, skromnie spuściwszy oczy, odpowiedziała:

– Nie mogę, panie, przy tylu świadkach uczynić ci otwartego wyznania, upewniam tylko waszą wysokość, że nie jestem występna; zazdrość jedynie doprowadziła mnie do tak niezwykłego kroku.

– Każ, wasza wysokość, oddalić się wszystkim – rzecze intendent sam mocno zdziwiony – i niech ta dama opowie nam, z jakiego powodu w tak szczególnym widzimy ją stanie.

Gdy wszyscy, wyjąwszy Sanchę, intendenta, sekretarza i marszałka dworu, odeszli, dziewica tak się odezwała:

– Panowie! jestem córką Pedra Pereza Mazorka, dostawcy płótna z tego miasta, który bardzo często do mego ojca przychodzi.

– Ależ panno – przerwie intendent – w tym, co mówisz, nie ma zdrowego rozsądku i wyraźna sprzeczność leży. Naprzód znam dobrze Pedra Pereza i wiem, że jest bezdzietny, po wtóre, sama powiadasz, że chociaż jego córką jesteś, on często do twego ojca przychodzi. Jakże to rozumieć mamy?

– Przebaczcie mi, panowie – rzecze dziewczyna – umysł mój tak jest strwożony, że sama nie wiem, co mówię. W istocie zaś jestem córką Don Diega de Liana, znanego powszechnie.

– Znam również Don Diega de Liana – rzecze intendent – jest to bardzo bogaty i znakomitego rodu człowiek, ma syna i córkę, lecz

od czasu, jak owdowiał, nikt dotąd córki jego nie widział nigdy, choć odgłos powszechny niesie, że jest ona nadzwyczaj piękna.

– Powiedziałeś prawdę, panie – rzecze dziewica. – Czy zaś odgłos o mojej piękności słuszny jest lub fałszywy, możesz sam osądzić obecnie.

To rzekłszy biedna dziewczyna rozpłakała się serdecznie.

Sancho pocieszał jak mógł zmartwioną panienkę. Oświadczył jej gotowość na wszelkie usługi, zapewnił opiekę, aż uspokojona córka Don Diega w te słowa mówić poczęła:

– Od dziesięciu już lat, to jest od śmierci mojej matki, ojciec trzyma mnie w surowym zamknięciu i oddzielonej od świata, nawet mszy słuchać każe w domowej kaplicy. Od tego czasu, prócz mego ojca, brata i Pedra Pereza, o którym wspominałam, nikogo więcej nie widziałam na oczy. Taka samotność i zakaz wychodzenia z domu nawet do kościoła, smuciły mnie nad wyraz. Pałałam chęcią zobaczenia czegoś na świecie. Mój brat opowiadał mi niekiedy o rozmaitych rozrywkach i zabawach publicznych, a to bardziej jeszcze podniecało moją ciekawość, dlatego prosiłam brata... O! bodaj by słowa wówczas zamarły mi na ustach.

Tu młoda dziewica rzewnie płakać zaczęła i mimo próśb i perswazji obecnych, długo ukoić się nie mogła. Na koniec, zebrawszy siły, drżącym mówiła głosem:

– Brat, zmiękczony prośbami moimi, zgodził się na to, aby mnie przebrać w swoje suknie i oprowadzić po mieście dla przypatrzenia się nowym dla mnie rzeczom, lecz nawzajem uparł się włożyć ubiór, który nosiłam, i ten tak mu przypadł do twarzy, że mógł śmiało uchodzić za najpiękniejszą dziewczynę. Może już z godzinę chodząc tak po mieście, nagle usłyszeliśmy odgłos wielu kroków. Właśnie wasza wysokość przechodziłeś ze strażą; skoro brat mój zobaczył was z daleka: „Uciekajmy, rzecze, bo gdy nas zatrzymają i poznają

kto jesteśmy, ty zostaniesz zniesławiona, dostaniesz się na języki i ojciec o wszystkim się dowie". – Zaczęliśmy więc uciekać, lecz nie mogłam zdążyć za bratem, a zaplątawszy się jakoś, nie przywykła do męskiego ubioru, upadłam. Tak zastał mnie jeden ze straży i tu przywiódł.

– I nic więcej nie przytrafiło się pannie – zapyta Sancho – gdzie owa zazdrość, mająca być przyczyną nieszczęść twoich?

– To było zmyślenie – odpowie dziewica – jedynie ciekawość zobaczenia miasta skłoniła mnie do tej nieszczęsnej wycieczki.

Wszystko, co powiedziała dziewczyna, potwierdził jej brat, którego straż pojmawszy, również przywiodła. Biedny chłopiec, przebrany za kobietę, z naiwnością i wstydem powtórzył zeznanie siostry. Marszałek dworu ucieszył się niezmiernie, gdyż miał podejrzenie, że dziewczyna skłamała, a wdzięki jej i młodość wielkie na nim uczyniły wrażenie.

Odprowadzono niedoświadczone dzieci do domu ich ojca, niezbyt oddalonego stamtąd. Jedna ze służących potajemnie wpuściła brata i siostrę przez boczną furtkę. Podziękowali przed odejściem gubernatorowi za uprzejme obejście się i zniknęli w ciemności.

Sancho, powracając, rozpowiadał długo o naiwności dziecinnej, a marszałek dworu zakochał się po uszy w pięknej awanturniczce tak dalece, że zamierzył prosić ojca o jej rękę, a jako jeden z najpierwszych dworzan księcia, miał nadzieję, że odrzuconym nie będzie. Sancho również ułożył zamiar, aby młodego chłopca, za dziewczynę przebranego, ożenić ze swoją małą Sanchą, wnioskując słusznie, że córka gubernatora była bardzo znakomitą partią.

Późno już w nocy skończył się przegląd miasta, a w dwa dni potem ustały i rządy Sanchy, z dymem poszła jego władza i jego piękne zamiary. Zobaczymy później, z jakiej to stało się przyczyny.

Rozdział XVIII

W którym opisani są czarnoksiężnicy, którzy oćwiczyli Donnę Rodriguez i podrapali Don Kichota

Ażeby zbadać tę tajemnicę, potrzeba wiedzieć, że skoro Donna Rodriguez podniosła się z łóżka, aby pójść do pokoju Don Kichota, jedna z towarzyszek, śpiąca obok, po cichu udała się za nią, a upewniwszy się, że dobra matrona weszła do pokoju Don Kichota, zawiadomiła księżnę o wszystkim.

Powodowana ciekawością księżna, wziąwszy z sobą Altisidorę, poszła podsłuchiwać pode drzwiami sypialni rycerza. Nieszczęście mieć chciało, że Rodrigeuz mówiła dosyć głośno, a gdy poszło do apertur księżnej i nieprzyjemnego oddechu Altisidory, księżna i jej towarzyszka, nie mogąc pohamować się w gniewie, wyłamały nadpsute drzwi i wpadłszy do pokoju, jak to już widzieliśmy, wywarły zemstę nad opowiadającą i słuchaczem. Powróciwszy z wyprawy, księżna opowiedziała całą awanturę mężowi, który, uśmiawszy się do woli, postanowił wymyślić nowy figiel, aby bawić się dalej znów kosztem swojego gościa.

Wysłano umyślnego posłańca do Teresy Pansa z listem od Sanchy i od księżnej, która przesłała jej sznur korali w podarunku. Do poselstwa tego użyty był bardzo dowcipny paź, ten sam, który odgrywał już rolę Dulcynei, kiedy myślano jeszcze o jej odczarowaniu. Nauczony dokładnie swojej roli paź, przybywszy do wsi, zapytał kobiet piorących bieliznę, czy nie mogłyby mu wskazać mieszkania Teresy Pansa, żony Sancho Pansy, giermka przy rycerzu zwanym Don Kichotem z Manchy. Na to zapytanie młodziuchna dziewczynka odpowiedziała:

– Teresa Pansa jest moją matką, Sancho moim ojcem, a rycerz naszym panem.

– Zaprowadź więc mnie, moje dziecko, do matki, gdyż mam jej oddać list i podarunek od twego ojca.

– Z całego serca, panie – odpowiedziała dziewczyna.

I nie kładąc pończoch i trzewików w pośpiechu, biegła zuchowato przed paziem, mówiąc:

– Śpieszmy, panie; domek nasz na końcu wsi stoi, a biedna matka bardzo zmartwiona, gdyż dawno już nie miałyśmy od ojca wiadomości.

– Toteż – rzecze paź – przynoszę jej wiadomość tak dobrą, że pocieszy się snadnie.

Na koniec mała Sancha skacząc, tańcząc w ciągłych susach, biegnąc, przybyła do domu, a z daleka jeszcze wołać poczęła:

– Wychodź, matko! wychodź! Jest tu jakiś pan, który przynosi list od ojca i wiele innych rzeczy, z których ucieszysz się bardzo.

Na krzyk córki Teresa wyszła z wrzecionem, ubrana w tak krótką spódnicę, że połowy łydek jej nie zakrywała. Była to kobieta lat około czterdziestu, lecz silna, rzeźwa i zuchowatej miny.

– Cóż to jest, Sancha? – zapyta córki – i gdzież jest ten pan?

Paź z uszanowaniem przykląkł na jedno kolano i rzekł:

– Jestem najniższym sługą pani Teresy Pansa, dozwólże mi, zacna damo, ucałować wasze ręce, jako prawej małżonki jego wysokości Don Sancho Pansy, najwyższego gubernatora wyspy Barataria.

– I fe! do czego się to przydało! wstawaj pan, proszę cię – rzecze Teresa – nie jestem wcale żadną damą, każdy wie, że jestem prostą wieśniaczką, córką Karola i żoną giermka błędnego rycerza, a nie żadnego gubernatora.

– Wasza wielmożność – odpowie paź – jesteś jednakże małżonką znakomitego gubernatora i na dowód tego raczcie przeczytać list, który wam przywożę z podarunkami.

To mówiąc, podał Teresie list i zarzucił na jej szyję sznur korali, oprawnych w złoto.

– List – dodał – przysyła gubernator, a oto ten drugi razem z koralami jest od potężnej księżnej, która mnie do was wysłała.

Teresa niezmiernie zadziwiła się, a mała Sancha podskoczyła z radości.

– Widzisz, matko – zawoła – to pan Don Kichot dał niezawodnie ojcu tę wyspę, którą mu tak często obiecywał.

– Tak jest, panno – rzecze paź – w samej rzeczy pan Sancho został gubernatorem przez wzgląd na zasługi przesławnego rycerza Don Kichota.

– Przeczytajże nam listy, mój dobry panie – rzecze Teresa – gdyż ja ani czytać, ani pisać nie umiem.

– Ani ja także – zawoła Sancha – ale ksiądz proboszcz lub Samson Karasko przeczytają je chętnie.

– Nie potrzeba nikogo – rzecze paź – wy umiecie prząść, a ja za to czytać potrafię.

Przeczytał więc naprzód list Sanchy już znany czytelnikowi, a następnie, odpieczętowawszy list księżnej, czytał, co następuje:

„Kochana przyjaciółko!

Znakomity umysł i dobre przymioty twego męża zniewoliły mnie wyrobić u księcia urząd gubernatora na jednej z wysp naszych dla niego. Dowiaduję się obecnie, że Sancho dotąd najzaszczytniej swój urząd sprawuje i proszę Boga, aby mnie samą tak dobrą i zdatną uczynił, jakim jest twój małżonek. Posłaniec odda ci sznur korali oprawnych w złoto; żałuję, droga przyjaciółko, że każdy koral w orientalną perłę zamienić się nie może. Mam nadzieję, że poznamy się z sobą. Polecam się pamięci małej Sanchy, proszę powiedzieć jej, że skoro tylko dorośnie, wydam ją za wielkiego pana, gdy tego najmniej spodziewać się będzie. Słyszałam,

że w waszych stronach znajduje się osobliwszy gatunek żołędzi, przyślij mi parę tuzinów, będzie mi to drogim podarunkiem, bo pochodzącym z rąk twoich. Donieś mi co o swoim zdrowiu i o wszystkim, co cię dotyczyć może, a w razie jakiejkolwiek potrzeby, śmiało udaj się do mnie.

Boskiej opiece polecam cię.

Kochająca cię szczerze przyjaciołka,

Księżna.

W naszym pałacu, dnia...”

– Dobry Boże! – zawołała Teresa – jakaż to łaskawa pani, a jaka skromna i uniżona! to nie tak jak tutejsze panie, co chodzą jak pawie nadęte i nie spojrzą na biedną wieśniaczkę. A tu prawdziwa księżna nazywa mnie swoją przyjaciółką i jak równą sobie traktuje! Niechże jej Pan Bóg da wszystko dobre w życiu i niech ją wyniesie w dostojeństwa wyżej niż czubek dzwonnicy w Manchy. Co do żołędzi, powiedz jej, panie posłańcze, że poślę pół korca najpiękniejszych. Tymczasem, Sancho, miej staranie o koniu tego pana, również jak o nim samym. Poszukaj świeżych jaj i wziąwszy kawał słoniny, usmaż jajecznicy. Jego dobra mina i wiadomości, które przywiózł, warte, abyśmy przyjęli go jak księcia. Ja tymczasem pójdę uwiadomić sąsiadki i sąsiadów o pomyślności, jaka nas spotkała. Ksiądz proboszcz i Mikołaj cyrulik będą bardzo zadowoleni.

– Idź, idź, kochana matko – rzecze Sancha – zrobię tu wszystko dobrze, tylko musisz podzielić się ze mną sznurem korali, bo przecież księżna nie powinna przysyłać tyle podarunku tylko dla ciebie samej.

– Oddam ci je zupełnie, moja córeczko, tylko pozwolisz, że je kilka dni sama ponoszę, to mnie ucieszy bardzo!

– Uradujecie się bardziej jeszcze – rzecze paź – gdy wam pokażę paczkę, którą mam w tej walizie, jest tam suknia nowiutka z zielonej materii, którą pan gubernator miał tylko raz jeden na polowaniu, a teraz przysyła ją w prezencie dla panny Sanchy.

– Niech Bóg błogosławi mego ojca i tego, co mi podarunek przywiózł! – zawoła radośnie Sancha.

Teresa wybiegła z domu, trzymając list w ręku i korale zawiesiwszy na szyi, a spotkawszy przypadkiem proboszcza i bakałarza Samsona Karasko, tańcząc i skacząc, wołała:

– Aha, przyszło i dla nas święto! Bogu dzięki! nie bardzo ubogich krewnych mamy. I my też przecie będziemy rządzić na świecie.

– Co ci jest, moje dziecko – rzecze zdumiony proboszcz – cóż to za papier trzymasz w ręce?

– To nic więcej – odpowie Teresa – tylko po prostu list od mego męża gubernatora i drugi od księżnej z prezentem.

To mówiąc, podała proboszczowi list i kolię. Proboszcz przeczytał głośno list, przypatrzył się koralom, a widząc, że były kosztowne i w szczere złoto oprawne, zdumiony pojąć nie mógł, co by to wszystko znaczyć mogło.

– Karasko – zapytał po chwili – kto przyniósł listy i korale?

– Och! pójdźcie sami zobaczyć, jakiś młody człowiek, prześliczny i pięknie ubrany, który prócz tego i inne przywiózł nam prezenty.

– Wszystko to dziwi mnie nadzwyczajnie – rzecze proboszcz – lecz pójdźmy zobaczyć posłańca, może się cośkolwiek pewniejszego dowiemy.

Udali się więc z Teresą, która przez całą drogę z radości rozmaite im plotła rzeczy. Przybywszy na podwórko, zobaczyli małą Sanchę, zatrudnioną przygotowaniami do uczty, a posłańca zajętego nasypywaniem owsa swojemu koniowi.

Widząc pazia bardzo przyzwoicie wyglądającego, pozdrowili go i po obustronnych grzecznościach prosili, aby ich uwiadomił bliżej o losie Don Kichota i Sanchy, mówiąc, że list Sanchy niezmiernie ich ucieszył i zakłopotał zarazem, gdyż o gubernatorstwie jego dotąd nie słyszeli, tym więcej, że wszystkie wyspy na morzu Śródziemnym należą do hiszpańskiego króla i urzędownie tylko w zarząd oddawane bywają.

– Panowie – rzecze paź – nic pewniejszego, że pan Sancho Pansa gubernatorem został. Nie wiem tylko z pewnością, czy na wyspie, czy na stałym lądzie, tego jednakże pewny jestem, że ma obecnie miasto z przeszło tysiąca ludności złożone, w którym wszystko od jego woli zawisło.

Gdy tak rozmawiali, mała Sancha, przechodząc z jajami w fartuchu, zapytała pazia:

– Powiedz mi też, kochany panie, czy mój ojciec nosi spodnie na szelkach od czasu jak został gubernatorem obrany?

– Doprawdy, nie uważałem tego – odpowie paź – lecz nie ma wątpliwości, że ojciec panny posiada teraz bardzo piękną garderobę.

– Ach, dobry Boże! – rzecze Sancha – jakże będę uszczęśliwiona, widząc ojca w opiętych aksamitnych spodniach. Od czasu, jak jestem na świecie, ciągle o to Pana Boga proszę.

– Zobaczysz go panna wkrótce – odpowie paź – a za dwa miesiące będzie niezawodnie chodził w okularach i z parasolem.

Proboszcz i bakałarz wiedzieli dobrze, że paź żartuje sobie z matki i córki, lecz patrząc na piękne korale i suknie myśliwskie, które im Teresa pokazała, nie mogli rozwiązać zagadki. Śmieli się jednak serdecznie z naiwności Sanchy.

– Ale, ale, księże plebanie – rzecze Teresa – czy nie wiecie o jakiej okazji do Madrytu lub Toledo? Muszę koniecznie sprawić sobie modną sznurówkę, a kto wie, czy jak się rozgniewam, nie pojadę

sama do dworu i będę jeździła karetą, jak inne panie gubernatorowe.

– Ach, moja mamo! – zawoła Sancha – jedźmy natychmiast. Dopieroż to ludzie dziwić się będą, widząc mnie rozpartą w karecie. Nieprawdaż, moja matko?

– Tak jest, córeczko – rzekła Teresa – słusznie mawiał mój mąż, że przyjdą dla nas dni szczęśliwe i że mnie nazywać będą panią hrabiną. Dopiero to początek wprawdzie, ale powiadają, że „najtrudniej zacząć, pójdzie się dalej". A słyszałam także od Sanchy, który umie więcej przysłów niż doktor jaki, że darowanemu koniowi nie zaglądają w zęby. Gdy dadzą hrabstwo, nie opuszczać pory i być do ujęcia skory. Co się dziś przymyka, jutro się często wymyka, a gdy szczęście przede drzwiami, zaraz drzwi otwierać obiema rękami. Niechaj mówią wiele mało, aby nam się dobrze działo, toteż jak będę jeździła karetą, niech sobie gadają, co im się podoba.

– Co tam! moja matko – zawoła Sancha – nic nam to nie zaszkodzi, bo jak powiada mój ojciec: „niech sobie głodny nagada na tego, co dobrze jada".

– W samej rzeczy – rzecze proboszcz, słysząc tak mówiącą matkę i córkę – myślę, że cały ród Pansów urodził się na świat z pełnymi brzuchami przysłów. Nie widziałem jeszcze żadnego z nich, ażeby za lada sposobnością tuzina ich nie przytoczył.

– Prawda – rzecze paź – że tego i u pana gubernatora nie kupić i to właśnie nadzwyczajnie bawi księcia i księżnę panią.

– Powiedz mi też, mości panie – rzecze Karasko – proszę cię serio, co znaczy to gubernatorstwo Sanchy i gdzie na świecie jest taka księżna, która pisuje listy do jego żony i przesyła podarki? Bo na honor! nie wiemy, co sądzić o tym, chyba, że to wszystko

należy do tych nadzwyczajnych wypadków, jakie się Don Kichotowi za sprawą czarnoksiężników zdarzają.

– Wszystko, co mogę wam powiedzieć, panowie – odpowie paź – jest to, że naprawdę księżna i pani moja wysłała mnie tu z listem i podarunkami, że jest rzeczywiście gubernatorem i że na tym urzędzie, który mu książę nadał, cudów dokazuje. Jeżeli jest w tym coś czarodziejskiego, możecie się o tym przekonać sami, bo ja nic więcej nie wiem.

– Być to bardzo może – rzecze Karasko – jednakże pozwalam sobie wątpić.

– Jak się panu podoba – odpowie paź – powiedziałem prawdę, a jeżeli zechcesz, jedź ze mną, to na własne oczy przekonać się możesz.

– Ja! ja pojadę! – zawołała Sancha – weź mnie na siodło, mój kochany panie! Będę rada bardzo zobaczyć mego pana ojca.

– Nie wypada córkom dygnitarzy podróżować w ten sposób – odrzekł paź – w karecie, w lektyce i z przyzwoitym orszakiem możecie odwiedzić swojego ojca.

– O! ba! – rzecze Sancha – nie takam ja delikatna. Tak samo pojechałabym na ośle, jak i w karecie.

– Cicho bądź – rzecze Teresa – nie wiesz sama, co pleciesz. Ten pan ma słuszność; czas płaci, czas traci. Póki ojciec był tylko Sanchą, ty byłaś sobie po prostu małą Sanchą, teraz jesteś panną, skoro on został gubernatorem. Pamiętaj to sobie.

– Pani Teresa ma słuszność – rzecze paź – lecz muszę się śpieszyć. Dajcie mi zjeść cokolwiek, abym zaraz wyjechawszy, mógł dziś jeszcze do domu powrócić.

– Panie – rzecze proboszcz – musisz pójść pokutować do mojej plebanii. Pani Teresa może wam dać dobrą chęć tylko, gdyż nie ma czym ugościć człowieka lepszego stanu.

Paź wzdragał się z początku, lecz przyjął na koniec zaproszenie proboszcza, który cieszył się myślą, że na osobności lepiej mu się uda wybadać rzecz całą. Bakałarz Karasko ofiarował się Teresie odpisać na listy, lecz mając go za żartownisia, nie chciała przyjąć tej usługi i wezwawszy małego studenta od organisty, dała mu jajecznicy z chlebem, aby odpisał księżnie i Sanchowi listy, które sama podyktowała.

Rozdział XIX

W którym opisany jest dalszy ciąg rządów Sancho Pansy

Marszałek dworu tak dalece zakochał się w córce Diega de Liana, że nie mógł przez całą noc zmrużyć oka. Intendent przepędził noc na spisywaniu wszystkiego, co mówił Sancho, aby posłać księciu dokładne sprawozdanie.

Gubernator zaś, podniósłszy się z rana, zjadł z rozkazu doktora Pedro Rezio cokolwiek konfitur i wypił szklankę czystej wody. Oddałby wprawdzie to wszystko chętnie za kawał chleba, lecz doktór dowodził mu, że delikatny posiłek z rana rozbudza umysłowe władze, tak potrzebne dla rządzącego krajem.

Sancho, przeklinając doktora, gubernatorstwo i tego, który mu je nadał, wpół umarły z głodu, udał się na posłuchalną salę. Przedstawiono mu jakiegoś cudzoziemca, który taką zaczął rozwijać kwestię:

– Wasza wysokość! wielka rzeka rozdziela majątek jednego pana na dwie części. Proszę jaśnie wielmożnego pana uważnie posłuchać, gdyż kwestia jest trudna i nader ważna. Na rzece tej stoi most, a na jednym końcu mostu zbudowano szubienicę. Obok znajduje się dom, służący za mieszkanie czterem sędziom, którzy przestrzegają praw właściciela. Na tablicy, umieszczonej pod

szubienicą, jest taki napis: „Każdy człowiek, przechodzący przez ten most, powinien pod przysięgą zeznać, skąd i dokąd idzie; jeżeli powie prawdę, przepuścić go, jeżeli okaże się, że fałszywie przysiągł, powiesić go natychmiast na szubienicy". Prawo to było znajome wszystkim. Przechodzący przez most byli zapytywani, kazano im przysięgać i po sprawdzeniu puszczano na wolność. Pewnego dnia, przechodzący jakiś człowiek przysiągł, że przybywa z pewnego miejsca do tej szubienicy, aby na niej umrzeć. Sędziowie nie mogli zgodzić się, co czynić mają w tym razie. Jeżeli go puścimy wolno, mówili, to on krzywoprzysiągł i wedle prawa umrzeć powinien, lecz jeżeli go powiesimy, to on powiedział prawdę, a w takim razie na mocy tegoż prawa powinien być wolnym. Otóż przysłano mnie do waszej wysokości, ażebyś raczył rozstrzygnąć tę sprawę. Głos publiczny sławi twoją przenikliwość, dlatego sędziowie oczekują ostatecznie na zdanie waszej wysokości.

– Prawdę mówiąc – rzecze Sancho – niepotrzebnie cię tu wysłano. Nie mam umysłu tak subtelnego, jak mówią, a wierz mi, że ten, co na człowieka z wierzchu wygląda, jest tylko bydlęciem niekiedy. Jednakże powtórz mi raz jeszcze twoją sprawę, a zobaczymy, co się da zrobić.

Zapytany powtórzył to wszystko i jak mógł najjaśniej rzecz przedstawił.

– To w samej rzeczy bardzo trudna sprawa – rzecze Sancho, pomyślawszy chwilę. – Zdaje mi się jednak, iż rzecz tę rozstrzygnąć można w krótkich słowach; wszakże ów człowiek przysiągł, że przybywa umrzeć na tej szubienicy, jeżeli umrze, powiedział prawdę. Otóż, mówiąc prawdę ze względu na prawo, powinien przejść wolno za most; jeżeli go zaś nie powieszą, to kłamał i jako kłamca, wisieć powinien; wszakże tak?

– Wasza wysokość dokładnie pojąłeś – odpowie cudzoziemiec.

– Otóż tak zrobić potrzeba – rzecze Sancho. – Niech przepuszczą tę połowę człowieka, która mówiła prawdę, a powieszą tę, którą skłamała.

– Lecz zważ, panie gubernatorze, iż potrzeba by rozdzielić tego człowieka na dwie części, a tego uczynić bez zadania mu śmierci niepodobna, więc kwestia zostaje nierozstrzygnięta, jak była.

– Posłuchaj pan – rzecze Sancho. – Albo ja jestem głupiec, albo tyle jest powodu prawnego powiesić owego przechodnia, ile uwolnić go zupełnie, a ponieważ bardziej chwalę sędziów za ich łaskawość, niż za surowość, radziłbym puścić winowajcę. Gdybym umiał pisać, podpisałbym ten wyrok własną moją ręką. A nie sądźcie, abym to mówił sam z siebie, słyszałem od pana Don Kichota ostatniej nocy przed przybyciem na to gubernatorstwo moje, że w wątpliwych wypadkach, sędzia głosu miłosierdzia raczej niż surowości prawa słuchać powinien, i dzięki niech będą Bogu, że w tak stosownej okoliczności przypomniał mi te słowa zacnego rycerza.

– Wierz mi, wasza wysokość – rzecze intendent – że ci, co wynaleźli prawa, nie mogliby tej sprawy osądzić lepiej. Lecz dosyć tego na dziś. Niepodobna utrudzać waszej wysokości w samych początkach panowania. Pójdę dać rozkazy, ażeby wam dobry obiad przygotowano.

– W to mi graj! – rzecze Sancho. – Paście mnie dobrze, a potem dawajcie mi sprawę po sprawie, a jeżeli ich nie rozwikłam jak mędrzec, powiecie, żem osioł.

Intendent dotrzymał słowa i chcąc oszczędzić Sanchę na dzień następny, w którym zamierzono zrobić mu figiel, ułożony wcześnie, kazał suty zastawić obiad. Sancho więc najadł się wybornie, na złość aforyzmom doktora z Forteafuera. Po obiedzie kurier wszedł do sali i wręczył mu list od Don Kichota.

Sancho rozkazał sekretarzowi, ażeby przeczytał list po cichu, jeżeli w nim jest co sekretnego, lecz ten przejrzawszy korespondencję, oświadczył, że nie tylko można ją czytać przed całym światem, lecz że powinna być wyryta złotymi literami, jakoż przeczytał, co następuje:

List Don Kichota z Manchy do Sancho Pansy, gubernatora wyspy Baratarii.

„Kiedy co chwila obawiałem się usłyszeć o głupstwie i zaniedbaniu twoim, dowiedziałem się, przyjacielu Sancho, że z roztropnością i staraniem rządzisz swoją wyspą, jak człowiek uczciwy. Składam dzięki niebu za to, że ubogich z prochu podnosi i daje ducha wiadomości nieudolnym stworzeniom. Powiedziano mi jednak, że w postępowaniu twoim widać zawsze coś pospolitego. Wiedz o tym, Sancho, że dla utrzymania władzy na urzędzie, trzeba umieć wznieść się nad siebie. Ubieraj się czysto i porządnie, bo nawet pień ociosany i przystrojony przestaje być pniem. Nie mówię, ażebyś stroił się w koronki i hafty, abyś ty, sędzia ludu, nosił strój dworaka, lecz abyś umiał zachować właściwą przyzwoitość. Dwa są środki, którymi rządca zjednać sobie może serca ludu: naprzód, starając się ze wszystkimi zachować zgodę w pożyciu, po wtóre, sprowadzając pomyślność powszechną, bo nic tak nie pobudza do szemrania, nic tak nie wzburza narodu, jak nędza i drogość przedmiotów do codziennego życia potrzebnych.

Nie zabawiaj się wydawaniem codziennym rozkazów, a gdy je wydasz, niech będą sprawiedliwie i ściśle wykonywane, bo wszak i prawa niewykonywane przestają być prawami. Powiedzą tylko o tych, którzy je tworzyli, że nie mieli siły wprowadzenia ich w wykonanie. Szczególniej też prawa surowe, traktowane lekko, są w ręku sędziego narodu tym, czym berło w ręku malowanego króla.

Nagradzaj cnoty i karz występki. Nie bądź ani zawsze surowy, ani zawsze pobłażający. Umiej wybrać środek między dwiema ostatecznościami, bo na tym sztuka rządzenia zależy. Zwiedzaj więzienia i targi publiczne; tu obecność gubernatora jest najpotrzebniejsza, bo policja, niedozorowana ściśle, większy od burzycieli nieład sprawia. Stosuj swe siły do środków, jakie posiadasz i stań się groźny, karząc przykładnie występki przeciwko prawu powszechnemu popełnione.

Nie okazuj się, choćbyś był w istocie, chciwym, dumnym, wylanym dla kobiet i wina, bo skoro lud zobaczy w tobie złe skłonności, podżegać je będzie i własnymi zgubi cię namiętnościami.

Odczytuj często rady, które ci napisałem, zanim objąłeś rządy wyspy, a przekonasz się, że nieraz wyprowadzą cię z trudności, jakie stanowisko rządcy nastręczać ci będzie. Pisz do swoich dobroczyńców i przy każdej sposobności, staraj się objawiać im wdzięczność. Puszczać w niepamięć odebrane od ludzi dobrodziejstwa i dary jest dumą i niesprawiedliwością. Księżna pani posłała umyślnego z listem i podarunkami posłańca do twojej żony i co chwila oczekujemy jego przybycia.

Cierpiałem jakiś czas bardzo skutkiem podrapania nosa i twarzy, ale to fraszka w porównaniu z czarownikami, którzy ciągle na moją zgubę czyhają, chociaż i między nimi są tacy, co mnie ratują niekiedy.

Donieś mi, co myślisz o podobieństwie intendenta z hrabiną Trifaldi, pamiętaj uwiadamiać mnie zawsze o wszystkim, co się rządów twoich tyczy. Mówiąc między nami, chciałbym już porzucić to czcze i bezcelowe życie, jakie tu prowadzę. Nie na to jestem stworzony, ażebym z założonymi siedział rękami. Wplątałem się też w sprawę, która może poróżnić mnie z księciem, i kto wie, czy nie

będę zmuszony stanąć przeciw niemu, bo chociaż serdecznie zawdzięczam mu uprzejmą jego gościnność, przecież więcej winien jestem obowiązkom mego powołania i święta to prawda: *Amicus Plato sed magis amica veritas*. Nie obawiam się przytoczyć ci tych kilku słów po łacinie, gdyż sądzę, że zostawszy gubernatorem, nauczyłeś się tego języka.

Polecam cię Bogu i proszę go, ażeby cię ochronił od wszelkich nieprzyjemności.

Twój przyjaciel Don Kichot z Manchy,

Rycerz Lwa".

Sancho, odebrawszy ten list, powstał od stołu, zamknął się w gabinecie ze swoim sekretarzem i rozkazał mu pisać wszystko, co tylko dyktować będzie, nie dodając, ani ujmując żadnego wyrazu; pismo brzmiało jak następuje:

List Sancho Pansy do Don Kichota z Manchy.

„Tak dalece zajęty jestem sprawami rządu, że nie mam czasu uczesać sobie głowy, ani obciąć paznokci, toteż mi tak urosły, że sam Pan Bóg chyba obciąć mi je zdoła. Mówię to dlatego, mój kochany panie, żebyś się nie dziwił, że dotąd żadnej ode mnie nie otrzymałeś wiadomości. Co do spraw rządu, nie wiem, jak tam inni sobie w tym radzą, ale to wiem z pewnością taką, jak słońce na niebie, że jestem najgłodniejszym z gubernatorów całego świata, głodniejszym nawet niż wówczas, gdyśmy to razem wałęsali się po tych wertepach, pustyniach i lasach.

Książę pan pisał do mnie przed dwoma dniami, ostrzegając mnie, że jacyś ludzie wkradli się do miasta w celu zamordowania mnie. Dotąd, o ile wiem, nie uczynili tego i nie odkryłem żadnego z nich, oprócz niejakiego doktora, który utrzymywany jest przez miasto na to, ażeby zagłodził na śmierć każdego nowo obranego

gubernatora. Nazywa się Pedro Rezio, rodem z Tirteafuera. Ten doktor sam powiada, że nie leczy chorób, które już istnieją, lecz tylko chroni od nowych i wali dietę na dietę, dopóki nie wysuszy człowieka na drzazgę. I ja, com sobie lubo wyobrażał, że jak będę gubernatorem, to pieczone gołąbki same mi przyjdą do gąbki, że w tak świetne czasy, z nieba mi będą spadać pierwsze kiełbasy, żyję jak pustelnik o głodzie i w utrapieniu i lękam się, aby w końcu diabeł nie porwał mnie w powietrze, myśląc, żem szkielet odarty już z ciała.

Dotąd jeszcze nie pobieram pensji ani podatków. Nie mogę pojąć dlaczego; bo słyszałem zawsze, że mieszkańcy miejscowi dają lub pożyczają wielkie sumy gubernatorom, zanim ci jeszcze obejmą swój urząd; i tu przecież to samo dziać by się powinno.

Pewnej nocy, patrolując po mieście, schwytałem młodą panienkę nadzwyczaj piękną, przebraną za chłopca i jej brata, przebranego za dziewczynę. Marszałek mojego dworu zakochał się w pannie i zamierza ją poślubić. Co do mnie, postanowiłem chłopca ożenić z moją maleńką Sanchą. Ja i marszałek dworu wchodzimy tedy w stosunki z ojcem tych dwojga dzieci, który jest chrześcijaninem, a mógłby być i szlachcicem także, gdyż nazywa się Diego de Liana.

Przeglądam też place i targi publiczne, i wczoraj zdaje mi się... a tak, to było wczoraj, złapałem przekupkę, jak sprzedawała orzechy, mieszając stare ze świeżymi, skonfiskowałem więc cały towar na korzyść studentów, którzy je wybrać potrafią, przekupce zaś zabroniłem przez dni piętnaście handlować. Dodam jeszcze, że w tym mieście, jak i we wszystkich, które widziałem, przekupki i w ogólności kupcy, są bez religii i prawości i składają najgorszą część ludności miejscowej.

Niezmiernie cieszę się, że księżna pani pisała do Teresy, posyłając jej podarunki. Będę się starał siak czy tak, okazać jej moją

wdzięczność za to. Proszę ucałować jej ręce ode mnie i powiedzieć, żeby nie sądziła, że rzuca perły przed wieprza.

Turbacja to straszna byłaby dla mnie, gdybyś wasza wielmożność pokłócił się z księciem i księżną, panami moimi, bo jak zaczniecie koty drzeć z sobą, to wszystko na mnie się skrupi, a przy tym niepięknie byłoby, żebyście wy panie, co zawsze zachęcacie do wdzięczności, sami tak źle odpłacali dobre przyjęcie, jakiego doznaliście w zamku księstwa. Co się tyczy podrapania, nie rozumiem, co wam się takiego przytrafiło, sądzę jednak, że to znów jaki psi figiel tych zajadłych czarnoksiężników, co wam prawie nigdy spokoju nie dają. Chciałbym wam też posłać jaki podarunek z tego kraju, ale nie mam co, chyba by seręgę i butelkę słodkiej wódki, które tu kunsztownie wyrabiają. Ale jak tylko rozgubernatoruję się tu trochę lepiej, to przyślę panu szyszak albo tarczę. Jeżeli by Teresa Pansa pisała co do mnie, proszę zapłacić porto i przysłać mi list natychmiast, bo umieram z ciekawości, co się tam w domu dzieje. Proszę Boga, ażeby uwolnił was od złych czarnoksiężników, a mnie wydobył cało i zdrowo z tego gubernatorstwa, o czym mocno wątpię, bacząc na przepisy doktora Rezio.

Najniższy sługa waszej wielmożności,

Sancho Pansa, gubernator.

Dan na mojej wyspie, tegoż dnia, w którym się pisze".

Sekretarz zapieczętował list i wysłał kuriera.

Na koniec pełnomocnicy księcia zamierzyli położyć kres rządów Sanchy i przedstawili mu po obiedzie, ażeby wydał rozkazy policyjne co do administracji wyspy.

Sancho zabronił utrzymywać szynkownie, lecz pozwolił przywozić wino ze wszystkich stron, z warunkiem, aby deklarowano miejsce, skąd pochodzi nadmieniając, że ktokolwiek by wody

dolewał do wina, śmiercią karany będzie. Zniżył cenę rozmaitego obuwia, oznaczył pensję służących, rozkazał wymierzać kary na śpiewających publicznie nieprzyzwoite piosnki! Zabronił ślepym mieszać do swoich pieśni opowiadanie cudów, ponieważ zdawało mu się, że większa ich część była zmyślona. Utworzył straż dla ubogich nie dlatego, aby ich wyganiała, lecz aby sprawdzała czy istotnie są ubogimi, gdyż między nimi było wielu pijaków i złodziejów. Jednym słowem, wydał rozkazy tak użyteczne, że do dziś dnia zachowują je w tym miejscu, nazywając konstytucją wielkiego gubernatora Sancho Pansy.

Rozdział XX

W którym opisane są przygody drugiej Dolorydy, inaczej Donny Rodriguez

Don Kichot, uleczony z podrapania i znudzony życiem, jakie prowadził w zamku, jak prawdziwy rycerz błędny, postanowił pożegnać swoich dostojnych gospodarzy i udać się do Saragossy, aby uczestnicząc w turniejach, które tam wyprawiać miano, pozyskać chwałę zwycięstwa i dostać miecz rycerski w nagrodę. Gdy siedząc przy stole, zamierzał uwiadomić księcia o swoim przedsięwzięciu i coś już przebąknął w tym przedmiocie, otworzyły się drzwi sali i weszły dwie kobiety w żałobnym ubraniu. Jedna z nich rzuciła się do stóp rycerza i całując je tak głęboko wzdychała, że o mało nie wyzionęła ducha z boleści. Wszyscy byli zadziwieni tym widokiem i chociaż oboje księstwo domyślali się, że to jakiś nowy figiel, przez służbę dworską wymyślony, jednakże boleść tych dam była tak wielka i naturalna, że nie wiedząc, co myśleć o tym, dzielili powszechne zdziwienie.

Don Kichot, przejęty współczuciem i uprzejmością, podniósł klęczącą i prosił, aby podniosła zasłonę. Zobaczono wtedy zalaną łzami twarz zacnej Donny Rodriguez, która przybyła z córką tąż samą, którą uwiódł syn bogatego rolnika. Na ten widok wzrosło powszechne zdziwienie, szczególniej też książę i księżna zdumieli się nad naiwnością i głupotą swej damy honorowej.

Na koniec Donna Rodriguez, zwracając się do księstwa, z głębokim ukłonem rzecze:

– Najpokorniej upraszam wasze wysokości pozwolić rozmówić się chwilkę z tym walecznym rycerzem, gdyż potrzebuję jego pomocy, ażeby z honorem wyjść z przykrości, którą mi wyrządził zuchwały i złośliwy wieśniak.

– Możesz powiedzieć wszystko, co chcesz i jego wielmożność Don Kichot chętnie cię pewnie wysłucha.

Wtedy Donna Rodriguez, zwracając się do Don Kichota, tak się ozwała:

– Przed kilku dniami opowiadałam ci, waleczny rycerzu, o zdradzie, której moja córka padła ofiarą. Przyrzekłeś mi bronić ją i zmusić do powrócenia jej czci należnej. Dzisiaj dowiedziałam się, że zamierzasz opuścić ten zamek i dlatego przybyłam prosić, abyś przed oddaleniem się stąd siłą oręża swego znaglił nędznego chłopa do zaślubienia mojej córki, gdyż z powodów, które już raz wymieniłam, nie mam nadziei, aby książę pan wymierzyć mi sprawiedliwość rozkazał. Oto jest wszystko, co miałam powiedzieć wam, panie rycerzu. Niech Bóg wam daje pomyślność, a nam swoją opiekę.

Don Kichot z godnością odpowiednią swojemu powołaniu, tak odpowiedział:

– Szanowna damo! osusz łzy swoje i przytłum westchnienia. Lepiej by uczyniła córka twoja, gdyby nie wierzyła tak pośpiesznie

przysięgom kochanków, którzy łatwo przyrzekają, lecz z trudnością dotrzymywać zwykli. Ale gdy złe już się stało, trzeba myśleć o ratunku. Dlatego przyrzekam ci, za pozwoleniem księcia, wyszukać natychmiast uwodziciela, a jeżeli będzie tak zuchwały, że zaprze się obietnic swoich, oddam go upokorzonego w twoje ręce, bo pierwszą powinnością mojego stanu jest karać zuchwałych, a przebaczać pokornym, wspierać cierpiących, a niszczyć niesprawiedliwość.

– Nie potrzebujesz szukać, panie rycerzu, wieśniaka, na którego skarży się ta dama – odpowie książę. – Ja sam ci go wynajdę i zaręczam, że wyzwanie twoje przyjmie. Nadto staraniem moim będzie zostawić wam wolne pole i obopólne bezpieczeństwo, wymierzając tym sposobem sprawiedliwość wedle obyczaju wszystkich książąt, którzy plac bitwy w swoich państwach dają.

– Na takie zapewnienie waszej wysokości – odpowie Don Kichot – zrzekam się na chwilę przywilejów szlachectwa. Czynię się równym mojemu przeciwnikowi, aby mu dać prawo zmierzenia swej włóczni z moją. W tej chwili przeto wyzywam go jako zdrajcę i uwodziciela tej biednej panny, i oświadczam, że albo dotrzyma uczynionej jej obietnicy lub krwią zapłaci za uczynioną zniewagę.

To mówiąc, zdjął rękawicę i rzucił ją na środek sali.

Książę podniósł zakład, mówiąc, że przyjmuje wyzwanie w imieniu swojego wasala i naznacza termin walki za sześć dni, na podwórzu zamkowym, z bronią zwyczajną rycerzom: włócznią i tarczą i bez żadnych podstępów.

– Lecz – rzecze dalej książę – przede wszystkim trzeba wiedzieć, czy matka i córka oddają swoją sprawę pod opiekę Don Kichota z Manchy?

– Oddaję – rzecze stara de Rodriguez.

– I ja także – rzecze z płaczem córka.

Po dopełnieniu wszystkich przepisów i oznaczeniu dnia walki żalące się damy odeszły i księżniczka rozkazała odtąd uważać je nie jak służące, lecz jak damy awanturnicze, szukające sprawiedliwości na jej dworze; usługiwano więc im jak cudzoziemkom, z wielkim podziwieniem innych domowników.

Przy końcu obiadu wszedł paź, posyłany z listami i prezentem do Teresy Pansa. Książę natychmiast rozkazał odejść dworzanom, a paź złożył w ręce księżnej dwa listy: jeden do niej, drugi do Sanchy z takim adresem: „Do mojego męża Sancho Pansy, gubernatora wyspy Barataria, któremu niech Bóg udziela szczęśliwego i długiego życia".

Księżna z niecierpliwością otworzyła swój list i przeczytała głośno, co następuje:

List Teresy Pansa do księżnej.

„Moja dobra pani!

Wielkiej doznałam radości z listu, który wasza wysokość napisała do mnie, czego sobie najbardziej w życiu winszuję; łańcuch korali dobry jest i piękny, a ubranie myśliwskie mojego męża niezgorsze wcale. Cała wieś nasza raduje się, że zrobiliście Sanchę gubernatorem, wielu nawet wierzyć temu nie chce, nade wszystko zaś ksiądz proboszcz, pan Mikołaj nasz cyrulik i bakałarz Samson Karasko, ale ja wiedząc, iż tak jest prawdziwie, nie dbam o niczyje przekonanie; może bym sama nie wierzyła jak drudzy, ale mnie ubiór myśliwski i korale przekonały. Wszyscy mieszkańcy wioski mają mego męża za głupca i mówią, że człowiek, co dotąd komenderował kozami tylko, nie może dobrze rządzić czym innym, lecz kim się Pan Bóg opiekuje, ten ma dobry przytułek. Przyznam się kochanej pani, że mam rezolucję pojechać którego dnia do dworu i jeździć karetą, ażeby rozwścieklić zazdrosnych i zatkać im gęby. Toteż proszę pani powiedzieć mężowi memu, żeby mi

przysłał dużo pieniędzy, bo u dworu wielki być musi wydatek. Jedna bułka chleba ma kosztować reala, a funt mięsa cztery sous podług taksy, a jeżeli on nie chce, żebym jechała, niech mi to prędko obwieści, bo pięty świerzbią mnie do drogi, a ludzie mówią tu jednak, że gdybym pojechała do dworu i pokaźnie wystąpiła z dziećmi, większy bym splendor przynieść mogła mężowi, niż on mnie, bo jakby się pytali, kto są te panie, co karetą jadą, woźnica odpowiedziałby, że to żona i córka Sancho Pansy, gubernatora wyspy Barataria... W taki sposób mąż mój byłby wszystkim znajomy, a ja, respektowana wszędzie, nawet w samym Rzymie. Bardzo się martwię, że się tego roku żołędzie nie obrodziły, posyłam wam jednak niecałe pół korca, które uzbierałam sama. Nie moja wina, że nie są tak duże jak jaja. Bardzo pięknie też proszę waszej wielkości nie zapomnieć pisywać do mnie, nie omieszkam też zaraz odpisywać z wiadomością o moim zdrowiu i o wszystkim, co się tu na wsi dzieje. Mój syn, Sancho, i moja córka, Sancha, całują wasze ręce. Niech Bóg was ma w swojej opiece, moja dobra pani.

Ta, która ma więcej ochoty widzieć was, niż pisać do was listy, wasza najprzywiązańsza sługa,

Teresa Pansa, żona gubernatora Sanchy".

List ten rozweselił całe towarzystwo. Księżna zapytała Don Kichota, czy można otworzyć list, który Teresa do Sanchy napisała. Don Kichot sam go odpieczętował i czytał co następuje:

„Odebrałam twój list, z duszy ukochany Sancho, i powiadam tobie, że o włos tylko co nie ogłupiałam z radości. Widzisz, mój synku, kiedy usłyszałam, że jesteś gubernatorem, o mało nie upadłam jak martwa, bo słyszałam jak mówiłeś, że od radości tak dobrze, jak i od smutku umrzeć można. Nasza mała Sancha z wielkiej uciechy miejsca sobie znaleźć nie mogła. Gdybym nie

miała przed sobą ubrania, które przysłałeś, korali od księżnej na mojej szyi i listów w garści, myślałabym, że wszystko to śni mi się tylko. Bo kto by powiedział, że pasterz kóz zostanie gubernatorem gdzieś na wyspie? Pamiętam, duszko, co mawiała nieboszczka matka moja, i miała rację: kto długo żyje – dużo widzi; myślę, mój kochanku, że jak długo żyć będę, to dużo zobaczę rzeczy i nie uspokoję się, aż cię zobaczę dzierżawcą, albo poborcą jakim, a choć to powiadają, że takie urzędy do diabła należą, zawsze ja myślę, że są jak woda na młyn. Księżna pani powie tobie, że mam ochotę pojechać do dworu. Rozpatrz się, czy to dobrze będzie, i daj mi poznać swoją wolę, bo pojechałabym karetą dla twojego honoru. Proboszcz, cyrulik i bakałarz, nawet i zakrystian także, nie chcą wierzyć, że ty jesteś gubernatorem i powiadają, że to wszystko jest szaleństwo, albo zaczarowanie. Samson powiada nawet, że pójdzie wybić tobie z głowy gubernatorstwo, a panu Don Kichotowi wariację z mózgu, ale ja się śmieję z tego, obracając korale na palcach i myślę sobie o sukni, którą mam zrobić dla Sanchy z tego myśliwskiego ubrania. Posyłam dla księżnej żołędzie i żałuję, że nie są ze złota. Przyślijże mi kilka sznurków pereł, jeśli je noszą na twojej wyspie. U nas tu we wsi jest wiele nowego: oto Berrneca idzie za mąż za jakiegoś malarza, który maluje wszystko, co spotka; państwo z bractwa kościelnego kazali mu odmalować herby królewskie na bramach nowego miasta, chciał od nich dwa dukaty zadatku, a gdy mu dali, pracował przez osiem dni, a nie mogąc trafić do ładu, powiedział, że robota mu nie do smaku, oddał pieniądze i ożenił się. Prawda, że odtąd wziął się do sochy i co dzień w polu orze. Syn Piotra, Lobo, chce iść na księdza i już nosi sutannę. Kiedy Minguilla, córeczka Minga Silwato, dowiedziała się o tym, zapozwała go do sądu, bo dał słowo, że się z nią ożeni. Oliwki przepadły w tym roku, kropli też octu nie będzie

w wiosce, choćby najdrożej zapłacił. Przechodziła tędy niedawno kompania wojska. Trzy dziewczyny ze wsi pobiegły za nimi, nie chcę ich wymienić, bo może powrócą jeszcze, a nie zabraknie takich, co ożenić się z nimi zechcą. Nasza córka pracuje tęgo, co dzień dwa Carolusy chowa do woreczka, zbiera je sobie na suknię ślubną. Teraz, kiedy zostałeś gubernatorem, może sobie cokolwiek odpocząć. Fontanny na placu zepsuły się, a w szubienicę piorun uderzył, chciałabym, żeby tak wszędzie zrobił. Będę czekała twej odpowiedzi na mój zamysł wyjazdu do dworu.

Niech ci Bóg daje dobre i długie życie, tak jak i mnie, bo nie chciałabym zostawić cię beze mnie na świecie.

Twoja żona, Teresa Pansa".

List ten bardzo zabawił księcia i towarzystwo całe, a na domiar radości, w tej samej chwili wszedł kurier, przynosząc list Sanchy Don Kichotowi; skoro go głośno przeczytano, zaczęto wątpić o szaleństwie gubernatora. Księżna zamknęła się z paziem, który widział Teresę Pansa, i słuchając drobiazgowego sprawozdania z poselstw, śmiała się jak szalona. Paź oddał jej żołędzie i ser w podarunku od Teresy.

Teraz powróćmy do Sanchy, który jest kwiatem i zwierciadłem wszystkich gubernatorów wysp.

KSIĘGA ÓSMA

Rozdział I

W którym opisano koniec panowania Sancho Pansy

Nie masz nic stałego na świecie – woła Cyd Hamed, filozof mahometański. Pory roku niszczą się wzajemnie; noc następuje po dniu i ciemność po świetle. Wszystko jest wieczną zmianą i nieustającym zniszczeniem. Tylko życie człowieka wydziera się z tego chaosu i jeżeli nie teraz, to w przyszłości nie odmienia się nigdy. Ta uwaga moralna naszego autora, zdająca się nam określać granice wieczności, ma za cel jedynie uwiadomić nas, że nastąpi koniec panowania Sanchy, rozpoczętego pod tak szczęśliwą wróżbą. Wszystko jak sen zniknęło, rozwiało się jak mgły poranne.

Nasz gubernator, przeciw powszechnemu obyczajowi, bardziej utrudzony sprawami państwa i wydawaniem rozkazów, niż przesycony wyborową kuchnią, siódmej nocy rządów swoich położył się do łóżka i chcąc wzmocnić stargane siły, zamykał już oczy, gdy nagle usłyszał hałas straszliwy, krzyk i bicie we dzwony, jakby się wyspa zapadać miała. Usiadł na łóżku i nadstawił ucha, chcąc w różnorodnym gwarze schwytać przyczynę popłochu. Nowy odgłos trąb i bębnów, łącząc się z krzykami i dzwonów biciem, powiększył jego bojaźń i zdziwienie. Porwał się prędko i w koszuli tylko przybiegłszy do drzwi pokoju, ujrzał kilkadziesiąt osób z zapalonymi pochodniami i mieczami w ręku, krzyczących przeraźliwie: „do broni! do broni! Panie gubernatorze, nieprzyjaciele

są na wyspie! Jesteśmy zgubieni, jeżeli twoje męstwo i roztropność nie ocalą nas".

Tak krzycząc, otoczyli gubernatora i jeden z nich wyrzekł:

– Uzbrój się prędko wasza wysokość lub poginiemy wszyscy.

– A to na co – odpowie Sancho – alboż ja się znam na takich rzeczach? To należy do pana Don Kichota z Manchy, który jednym machnięciem ręki, wypędziłby wszystkich nieprzyjaciół, ale ja nic temu nie poradzę.

– Ach, panie gubernatorze – zawołali wszyscy – chcecież więc nas opuścić w tak ciężkiej potrzebie? Przynosimy wam zaczepną i odporną broń, uzbrój się i jako wódz stań na naszym czele.

– A więc uzbrójcie mnie! – rzecze Sancho.

Natychmiast włożono mu na koszulę dwie tarcze, jedną z przodu, drugą z tyłu, i związano je tak mocno sznurami, że biedny nasz Sancho nie mógł się ruszyć, ani zgiąć kolan nawet. Podano mu włócznię do ręki, na której opierać się musiał, aby idąc nie przewrócić się. Uzbroiwszy go w ten sposób, prosili, aby stanął na czele orszaku i wiódł ich na nieprzyjaciela, dodając, że z takim wodzem pewni są zwycięstwa.

– A jakżeż chcecie, u diabła, żebym szedł – zawołał Sancho – kiedy nie mogę zgiąć łydek między tymi dwoma stołami, w któreście mnie przystroili, wszystko, co uczynić mogę, każę się zanieść w jaki kącik, którego bronić będę włócznią i ciałem moim.

– Zacznij tylko maszerować, panie gubernatorze – rzecze jeden z tłumu – to strach raczej, nie uzbrojenie przeszkadza wam poruszać się, śpieszmy, bo niebezpieczeństwo wzmaga się coraz bardziej.

Zniewolony wyrzutami, biedny Sancho zaczął postępować, lecz zaledwie kilka kroków uczynił, upadł jak długi na ziemię i wyglądał jak żółw w skorupie albo jak łódka wyciągnięta na piasek. Widząc go w tym stanie, nielitościwi żartownisie zagasili wszystkie światła

i udawali, że walczą z nieprzyjacielem, a szczękając orężem i uderzając mieczami po tarczach, deptali nieszczęśliwego gubernatora, który w śmiertelnej niespokojności prosił Boga, ażeby go raczył wybawić od śmierci i od gubernatorstwa zarazem. Jedni skakali po nim, drudzy przewracali się na niego, a jakiś złośliwiec, stanąwszy mu na brzuchu, wydawał stamtąd rozkazy, krzycząc przeraźliwie: zamykajcie drzwi, zepchnąć drabiny, prędzej! podawajcie wrzącego oleju; słowem, wydawał komendę, wymieniając wszystkie narzędzia wojenne, do obrony oblężonym służące.

Nieszczęśliwy gubernator, leżąc na ziemi, zdeptany, wpół martwy ze strachu, szeptał do siebie:

– Oby Pan Bóg sprawił, żeby już raz zdobyto wyspę! wolałbym raczej umrzeć, niż pozostawać w tej strasznej niespokojności. – Na koniec niebo ulitowało się nad jego cierpieniem i niespodziewanie wzniosły się okrzyki: „zwycięstwo! zwycięstwo! odwagi panie gubernatorze! nieprzyjaciel ucieka!”

– Cóż tu porabia wasza wysokość na ziemi? – zawołał jeden z żołnierzy – powstań, panie, dzielić z nami chwałę i łupy zwycięstwa.

– Podnieście więc mnie – zawołał żałośnie Sancho – i gdy go postawiono na nogi – nie zabiłem żadnego człowieka – rzecze – rozdzielcie więc łupy między siebie, ja niczego nie żądam, lecz jeśli jest pomiędzy wami jaka dusza litościwa, niechajże mi poda kubek wina i obetrze pot ze mnie, bo cały mokry jestem.

Uczyniono zadość jego żądaniu i rozbroiwszy, posadzono go na łóżku, na które upadł zemdlony ze strachu i utrudzenia. Żartownisie, zdziwieni tym wypadkiem, zaczęli wyrzucać już sobie, że za daleko posunęli figiel, lecz uspokoili się wkrótce, widząc, że Sancho przychodzi do siebie.

Naprzód nasz giermek zapytał, która godzina, a gdy mu odpowiedziano, że dzień już świtać zaczął, milcząc, zaczął się skwapliwie ubierać, co mu z trudnością przychodziło, tak dalece był utrudzony. Ubrał się, nie przemówiwszy ani słowa, poszedł do stajni otoczony całym orszakiem z zadziwieniem nań patrzącym, zbliżył się do osła, uściskał go i rzekł ze łzami w oczach:

– Pójdź, mój drogi synu, wierny towarzyszu i pocieszycielu w moim nieszczęściu. Pókiśmy razem byli, myślałem tylko o twoim pożywieniu i byłem pełen radości i spokoju. Toteż od czasu rozłączenia naszego, gdy wstąpiłem na drabinę ambicji i dumy, nie miałem chwili pociechy i spoczynku.

Osiodławszy osła i wsiadłszy nań, Sancho obrócił się do intendenta, marszałka dworu, doktora Recio i wszystkich domowników, mówiąc:

– Żegnam was, panowie, każcie otworzyć mi bramę i pozwólcie wrócić do dawnej swobody. Nie jestem stworzony na gubernatora, nie umiem bronić wyspy przeciw napastnikom. Moim rzemiosłem jest uprawa ziemi, a nie obrona królestw i praw dyktowanie. Świętemu Piotrowi dobrze w Rzymie, a mnie w chacie mojej w dymie. To ma znaczyć: niech każdy siedzi, gdzie mu należy i nigdzie dalej nie bieży; niech strzeże swego powołania i chroni się górę sięgania. Mnie bardziej przystał sierp do ręki, niż królewskie berło, wolę też co dzień najeść się barszczu ze szperką, niż dać się zamorzyć doktorowi, który nim znajdzie dla mnie potrawę, brzuch mi pozielenieje z głodu. Żegnam was, panowie, raz jeszcze, powiedzcie ode mnie księciu, że nagi przyszedłem na świat i nago zeń wychodzę, to ma znaczyć, że objąłem rządy bez grosza i tłumoczka i bez grosza i tłumoczka z nich wychodzę, zupełnie przeciwnie, niż wszyscy gubernatorowie. Dzień dobry i dobranoc wam, panowie! Puśćcie mnie; muszę kazać się obandażować,

bo dzięki nieprzyjaciołom, którzy potratowali mnie i więcej niż sto razy przespacerowali się po mnie, mam prawie wszystkie żebra popękane.

– Nie rób nam tej krzywdy, mości gubernatorze – rzecze Pedro Recio – zapiszę ci receptę taką, że natychmiast boleści twoje ukoi i odtąd pozwolę jeść wszystkie potrawy bez żadnego wyjątku.

– Musztarda po obiedzie, mości doktorze – rzecze Sancho – starego wróbla na plewę nie złapiesz, dwa razy mnie nie okpisz i prędzej czarnoksiężnikiem niż gubernatorem drugi raz zostanę. Oho! nie znacie Pansów, moi panowie; kiedy który z nich raz powie „nie" to już nie, i sam diabeł go nie przekona. Dalej, nie ma gadania. Zostawmy w tej stajni te mrówcze skrzydła, co mnie na to w powietrze wyniosły, żeby jaskółki ze mnie śniadanko sobie zrobiły. Naprzód więc! Wzięli diabli krowę, niech wezmą cielę, nos do tabaki, do worka kłaki! Niech każda owca szuka barana, a każda pani niech szuka pana. Upadam do nóżek panom moim, żegnam was na zawsze, bądźcie zdrowi i trzymajcie się ciepło.

– Panie gubernatorze – rzecze intendent – ponieważ żądasz tego koniecznie, mimo żalu, że utracamy tak dobrego rządcę, musimy zadość uczynić twoim chęciom, ale każdy gubernator odchodząc, musi zdawać rachunek ze swej administracji.

– Nikt nie ma prawa żądać ode mnie rachunków – przerwie Sancho – oprócz jednego księcia, chociaż nie rozumiem, dlaczego by człowiek, który goły wychodzi z urzędu, miał być podejrzany o łupiestwo.

– W samej rzeczy – odpowie mu na to Pedro Recio – pan Sancho ma słuszność, trzeba mu pozwolić odjechać. Książę z wielką radością powita go u siebie.

Wszyscy potwierdzili zdanie doktora, ofiarując się odprowadzić Sanchę z należnymi honorami, lecz eksgubernator żądał tylko trochę

owsa dla osła i kawałka chleba z serem na drogę dla siebie, mówiąc, że na tak krótką podróż niczego więcej nie potrzebuje. Wszyscy uściskali go i on ucałowawszy ze łzami wszystkich, odjechał, zostawiając żartownisiów zdumionych dobrocią jego serca i energią w postanowieniu.

Rozdział II

W którym zamykają się rzeczy, służące nie do innej, lecz do tej samej historii

Oboje księstwo, chcąc zabawić się, postanowili doprowadzić do skutku wyzwanie Don Kichota, a chociaż oskarżony wieśniak we Flandrii się znajdował, dokąd wolał uciec, niż zostać zięciem damy Rodriguez, ułożyli, żeby zamiast niego, użyć lokaja Gaskończyka, Tosilos nazwanego, któremu udzielono poprzednio wszystkie instrukcje, jak ma rolę swoją odegrać.

Książę oświadczył Don Kichotowi, że przeciwnik jego za dwa dni przybędzie, a w oznaczonym czasie wystąpi w szranki, zarzucając kłamstwo oskarżycielce.

Była to wielka radość dla Don Kichota; widział on w tym sposobność okazania przed zgromadzeniem całej waleczności swojej. Pełen niecierpliwości oczekiwał oznaczonego czasu, a każdy dzień wiekiem dla niego być się zdawał. Teraz wróćmy do Sanchy i zobaczmy, co się stało z naszym eksgubernatorem.

Wędrował sobie waleczny giermek, przejęty wpół smutnymi, wpół radosnymi myślami. Jednakże więcej go cieszyła jazda na wiernym siwoszku, niż zasmucała utrata gubernatorstwa. Zaledwie oddalił się od swojej wyspy, miasta, czy wioski, bo nigdy nie mógł zmiarkować na dobre, co to było naprawdę, zastąpiło mu drogę sześciu pielgrzymów z klasy tych, co to śpiewając po drogach,

proszą o jałmużnę. Za zbliżeniem się Sanchy, otoczyli go dokoła, śpiewając w nieznanym języku wrzaskliwe jakieś pieśni. Sancho, domyśliwszy się, że proszą o wsparcie, a będąc z natury litościwego serca, oddał im swój chleb i ser, zaklinając się, że więcej nic a nic nie posiada. Pielgrzymi, wziąwszy tę lichą jałmużnę, zaczęli krzyczeć: „geld! geld!"

– Nie rozumiem was, mili bracia – rzecze Sancho – i nie wiem, czego ode mnie chcecie.

Wówczas jeden z pielgrzymów dobył woreczek z zanadrza i potrząsnął nim przed oczyma Sanchy, okazując, że był pusty. Eksgubernator, odgadłszy, o co chodzi, przyłożył wielki palec do nosa i rozpostarłszy w wachlarz resztę palców, przebierał nimi w powietrzu, dając znak przez to, że nie ma lub nie chce dać wymaganej przez nich jałmużny. Potem uderzywszy piętami osiołka, zamierzył oddalić się, lecz nagle jeden z pielgrzymów zatrzymał go i, obejmując wpół, zawołał po hiszpańsku:

– Ach, mój Boże! cóż to ja widzę, wszak ci to mój przyjaciel, mój dobry sąsiad Sancho Pansa?

Sancho zdziwiony, że jego nazwisko wymawiają, w milczeniu przypatrywał się pielgrzymowi, ale w żaden żywy sposób przypomnieć go sobie nie mógł. Pielgrzym, widząc zdumienie Sanchy, zawołał:

– Jak to, mój drogi przyjacielu, nie poznajesz więc Rikota Maurytanisza, kramarza z naszej wioski?

Sancho przypatrzył się mu raz jeszcze, potem uściskali się serdecznie, a nasz wędrowiec nie zsiadając z osła, w owym wzruszeniu wołał:

– A któż, u diabła, poznałby cię, Rikocie, w tym maskaradowym ubraniu! Jakże ty śmiałeś wrócić do Hiszpanii? No, no, jak cię poznają, ciepło ci będzie.

– Ty mnie przecież nie wydasz Sancho, a któż by inny mógł mnie poznać pod tym przebraniem? Ale zejdźmy z gościńca, w tym lasku towarzysze moi chcą wypocząć. Są to dzielne chłopaki! Zjesz z nami obiad, a przez ten czas opowiem ci wszystko, co mi się przytrafiło od czasu, gdy zmuszony byłem opuścić kraj z powodu tego przeklętego edyktu, o którym słyszałeś.

To rzekłszy, pielgrzym przemówił do swych towarzyszów i wszyscy udali się do lasu, dosyć oddalonego od gościńca. Stanąwszy na miejscu, pielgrzymi zrzucili płaszcze i ukazali się prawie nago zupełnie. Byli to po większej części wszystko młodzi ludzie, wyjąwszy jednego Rikota, który był już sobie sporo podtuptany. Każdy z nich miał tęgi worek, naładowany mięsiwem. Zasiedli na trawie, wyładowali swoje podróżne spiżarnie, a było tam mnóstwo chleba, soli, sera, mięsa i kiełbas, moc straszna oliwek, a co najważniejsza, każdziutki wydobył wielką flaszę wina, nie wyłączając poczciwego Rikota, którego butla była podwójnej miary. Zaczęli więc zajadać pospołu, popijając należycie, a Sancho, rozrzewniony panującą wśród nich zgodą, wziął butelkę Rikota i zapominając o świeżym jeszcze swoim dostojeństwie i o receptach doktora Recio, tak się gracko zawinął, że wypróżnił ją do szczętu.

Pielgrzymi zachwyceni byli towarzystwem Sanchy, Sancho nawzajem w towarzystwie ich zapomniałby o Bożym świecie nawet. Ale wino działać zaczęło i z wolna sen ogarnął całe towarzystwo, prócz Sanchy i Rikota, którzy mocniejszą mając głowę, pozostali sami, a na żądanie Sanchy towarzysz jego tak zaczął opowiadać swoje przygody:

– Wiesz dobrze, mój bracie, jak przestraszył nas rozkaz królewski, przeciw Maurom wydany. Ja widząc, że tu nie ma co robić, wziąłem nogi za pas, zostawiwszy rodzinę we wsi, a sam dalej w świat, aby gdzie przycupnąć i siedzieć sobie spokojnie. Wiedziałem bowiem,

że to nie przelewki i znając nieprzyjazne usposobienie moich ziomków, czułem, że ten wyrok królewski nie czczą jest pogróżką, ale że się wezmą do egzekucji, jak Pan Bóg przykazał, i mówiąc między nami, co prawda, to nie grzech, słusznie zrobili, słusznie. Cierpieć tylu nieprzyjaciół wewnątrz kraju, a to kto widział, a to istnie żmiję sobie pakować za pazuchę. Jak nas wypędzili, gdzie kto poszedł, tam poszedł, a każdemu tęskno jakoś było do Hiszpanii. W Barbarii i Afryce krzywdzono nas i pogardzano nami. Z tęsknoty i smutku wielu naszych, co znali dobrze języki, popowracali do Hiszpanii, rzuciwszy żony i dzieci, jak gdyby ojczyzna droższą nad rodzinę być miała.

Włóczymy się po całym kraju wszerz i wzdłuż. W każdej wiosce zarobi się cokolwiek i tego się tak naciuła, że z końcem roku każdy z naładowanym dobrze workiem wydostaje się za granicę. Co do mnie, przybyłem tu głównie, żeby wydobyć pieniądze, które przed wygnaniem jeszcze zakopałem, zabrać z sobą żonę i córkę i powrócić do Niemiec, gdzie żyć będziemy w bojaźni Bożej, bo nie tylko moja żona i córka, lecz i ja sam dobrym chrześcijaninem jestem. To mnie tylko dziwi bardzo, że moja żona wolała udać się do Barbarii, niż do Francji, gdzie przecież po chrześcijańsku żyć by mogła.

– To nie od niej zależało, przyjacielu Rikote – rzecze Sancho. – Jan Tiopiejo, twój szwagier, zabrał ją z sobą. Lecz muszę ci powiedzieć, kochany Rikote, że na próżno będziesz szukał zakopanych pieniędzy i kosztowności, słyszeliśmy już dawniej, że szwagierek z żoną wydobyli jakieś perły i dużo pieniędzy i wywieźli je z sobą.

– To być bardzo może – odpowie Rikote – ale to swoją drogą, bo mój skarb nietknięty leży, za to ci ręczę; nie głupi byłem, nikomu nie powierzyłem tej jednej tajemnicy, więc jeżeli zechcesz

pójść ze mną i dopomóc mi do wydobycia pieniędzy, przyrzekam ci dwieście sztuk złota, to ci zawsze trochę poprawi interesa.

– Chętnie bym ci dopomógł – odpowie Sancho – lecz nie jestem chciwy, jakby to komu zdawać się mogło, bo gdybym lubił pieniądze, nie porzuciłbym dzisiejszego rana urzędu, na którym miałbym dom ze złotymi ścianami i w ciągu sześciu miesięcy jadałbym zupę ze srebrnej wazy. Z tego więc powodu, jak również uważając za zdradę przeciwko mojemu królowi, każdą pomoc daną nieprzyjaciołom jego, nie mogę pójść z tobą, chociażbyś zamiast dwustu obiecanych sztuk złota, czterysta gotówką mi wyliczył.

– Jakiż to urząd rzuciłeś? – zapyta Rikote.

– Zrzekłem się gubernatorstwa wyspy i to takiej, że na ćwierć mili wokoło podobnej nie znajdzie.

– A gdzież jest ta wyspa?

– Gdzie? o dwie mile stąd – odpowie Sancho – nazywa się wyspa Barataria.

– Co też ty pleciesz – rzecze Rikote – alboż na stałym lądzie znajdują się wyspy?

– Dlaczegóż by nie – odpowie Sancho – powiadam ci wyraźnie, mój przyjacielu, że wczoraj jeszcze rządziłem wszechwładnie moją wyspą i rzuciłem ją jedynie dlatego, że obowiązki gubernatora narażają na wielkie niebezpieczeństwo.

– Ileż zyskałeś z tych rządów? – zapyta Rikote.

– Co? – odpowie Sancho – jak mi Bóg miły, całego zysku dowiedziałem się tylko, że nie jestem zdatny na gubernatora i że za bogactwa, które się nabywa, rządząc krajem, płacić trzeba spokojnością, snem i apetytem nawet, bo trzeba ci wiedzieć, że na wyspach gubernatorzy to tylko jedzą, co im doktor pozwala.

– Co to jest? do stu piorunów! – zawoła Rikote – ty chyba zwariowałeś, mój przyjacielu? Dalibóg ci prawda! któż by tobie dał

wyspę w zarząd? Alboż to brak zdatnych ludzi na świecie, żeby aż między chłopami szukano gubernatorów? Pójdź oto lepiej ze mną, dopomożesz mi odkopać skarb mój, dam ci dwieście sztuk złota, a to więcej warte, niż twoje, wie go tam diabeł jakie, gubernatorstwo.

– Powiedziałem ci już raz, że nie chcę – odpowie Sancho – i nie chcę; przyrzekam tylko nie zdradzić twojej tajemnicy. Bywaj zdrów, mój bracie, idź swoją drogą, a ja pójdę swoją, bo często pieniądze źle nabyte, gorzej bywają użyte, a maleparta idzie do czarta.

– Nie zatrzymuję cię więc dłużej – rzecze Rikote – powiedz mi tylko jeszcze, czy znajdowałeś się wówczas we wsi naszej, gdy szwagier wywoził stamtąd żonę i córkę moją?

– A jakże, byłem – odpowie Sancho – wszyscy osądzili twoją córkę za najpiękniejszą z dziewcząt w całej Hiszpanii. Biedne dziewczę z płaczem żegnało się ze swymi przyjaciółkami, prosząc wszystkich, aby modlili się za nią do Boga i Najświętszej Panny. Wszystkim aż straszno w sercu się robiło od jej pożegnań, a szczególniej też temu Pegro Gregorio, wiesz, młodemu chłopakowi, co jest najbogatszym ze wsi, a który zakochał się w niej na zabój i widać pojechał za nią, bo od tamtej pory do dziś dnia ani go widu, ani o nim słychu.

– Masz, do diabła! – rzecze Rikote – zawszem ja to sobie miarkował, że on cierpi coś do mojej córki, ale miałem w niej tyle ufności, że żartowałem sobie z nadskakiwań jego; wierz bowiem, Sancho, że Maurytanka nie da się tak łatwo zaślepić miłością, żeby aż pójść za chrześcijanina, i pewnie moja córka nie wiele dbała o tego szlachcica.

– Daj Boże – rzecze Sancho – gdyż nic mądrego stąd by nie wynikło. Bywaj zdrów, mój przyjacielu Rikocie! muszę ruszać dalej,

chcę dziś jeszcze zobaczyć się z moim panem, Don Kichotem z Manchy.

– Więc bywaj zdrów – odpowie Rikote.

Uściskali się serdecznie i Sancho, wsiadłszy na osła, w dalszą pojechał drogę.

Rozdział III

W którym jest opisane to, co się zdarzyło Sanchy w czasie podróży

Straciwszy dosyć czasu na rozmowie z Rikotem, Sancho nie zdążył przybyć za dnia do książęcego zamku. O pół mili spotkała go noc tak ciemna, że obawiając się jechać, postanowił zaczekać w lesie do rana, lecz zjechawszy z drogi dla wyszukania sobie dogodnego na nocleg miejsca, wpadł w jakiś dół głęboki; już rozumiał, że w bezdenną przepaść leci, i zaczął duszę polecać Bogu, ale skończyło się na niczym. Dół był głęboki na trzy sążnie tylko i szczęśliwym trafem Sancho nie potłukł się wcale. Obmacał się dokładnie, a widząc, że ma kości całe, zaczął szukać sposobu wydostania się na powierzchnię, lecz nie było żadnego wyjścia, a ściany dokoła były tak prostopadłe, że ani podobieństwo wdrapać się do góry. Wtem osiołek zaczął jęczeć boleśnie, spadając bowiem potłukł się srodze.

– O mój Boże! – zawołał, słysząc to, Sancho. – Jakież to straszne nieszczęścia spotykają ludzi na świecie! Któż by powiedział, że ten, który wczoraj jeszcze siedząc na tronie, rządził wyspą, dzisiaj będzie leżał w dole bez pomocy sług i wasali. Trzebaż, kochany mój burku, abyśmy tu umarli z głodu! Jednemu szczęście, drugiemu niedola na tym świecie, mój kochany synku, i my pewnie nie będziemy tak szczęśliwi, jak jego wielmożność Don Kichot, kiedy wstąpił do Montesinosa groty; on znalazł tam stół nakryty, podejmowano

go jak we własnym domu, dano mu łóżko, na którym miał sny najprzyjemniejsze, a ja cóż znajdę tutaj, chyba węże i żaby? Dokądże zawiodła mnie nieubłagana fatalność? gdybyśmy chociaż umarli w naszej wiosce na łonie przyjaciół, zamknięto by nam oczy i pogrzebano uczciwie. O mój synku! drogi towarzyszu moich wypraw, jakże źle wynagrodzono twoje usługi! Lecz nie miej żalu do mnie, bo dalibóg, nie moja w tym wina. Błagaj losu z całego serca swego, aby nas wybawił z tej jaskini, a zobaczysz, jak serdecznie wdzięczny ci będę.

Sancho narzekał w ten sposób, lecz osioł słuchał go, nie odpowiadając ani słowa, tak dalece biedne zwierzę znękane było swoim upadkiem.

Gdy dzień nadszedł, Sancho przekonawszy się, że bez obcej pomocy niepodobna wyjść z dołu, zaczął narzekać żałośnie i krzyczeć ze wszystkich sił, przyzywając pomocy; widząc jednak, że woła na próżno, uwierzył w niechybną zgubę i śmiertelnie martwił się, patrząc na swego osła, który, zwiesiwszy uszy, leżał z miną najposępniejszą. Na próżno usiłował podnieść go, dobywając wreszcie kawał chleba z tłumoczka, podał mu, mówiąc:

– Masz, moje dziecko, z chlebem wszystkie bóle są dobre.

Gdy biedny giermek ze śmiertelną niespokojnością spoglądał na wszystkie strony, szukając ratunku, spostrzegł na dnie dołu otwór na grubość ciała ludzkiego. Na czworakach wsunął się do dziury i zobaczył, że przestrzeń rozszerzała się coraz bardziej, niknąc w oddaleniu i ciemności. Po takim odkryciu powrócił do dołu i rozszerzywszy otwór ostrymi kamieniami, przeprowadził przezeń swojego burka do odkrytej piwnicy. Tu zaczął postępować w ciemności. Niekiedy okazywało mu się niepewne światło, a widok ten strachem go przejmował.

– Mój Boże! – rzecze – czemuż ja nie mam choć troszkę odwagi; gdyby mój pan był w tym położeniu, cieszyłby się, nazywając to najpiękniejszą rycerską awanturą, a ja nędzny boję się co chwila, żeby się ziemia nade mną nie zapadła.

Tak narzekając, przeszedłszy z pół mili, zobaczył wreszcie zupełne światło i powziął nadzieję, że zdrów i cały na świat powróci.

Tu Benegeli zostawia Sanchę, by wrócić do Don Kichota.

Nasz dzielny rycerz z radością i niecierpliwie oczekiwał nadejścia chwili, w której z orężem w ręku pomści niesławę córki szanownej Rodriguez. To harcował na Rosynancie, chcąc go w zapale utrzymać, to ostrzył broń i czyścił zbroję, aby wszystko mieć w pogotowiu, gdy stanowcza nadejdzie godzina.

Pewnego dnia wyjechawszy z rana, gdy zawracał koniem, chcąc go usposobić do zwrotów wojennych, Rosynant stanął przednimi nogami nad samym brzegiem piwnicy i gdyby nie siła jeźdźca, który mocno ściągnąwszy wędzidło, na miejscu go osadził, wpadliby w dół obydwaj. Uniknąwszy niebezpieczeństwa, zbliżył się z niecierpliwością zobaczyć, co by to było. Nagle z głębi jaskini dał się słyszeć głos w te słowa przemawiający:

– Niestety! czyż nie znajdzie się jaka pobożna dusza albo rycerz litościwy, który by zmiłował się nad nieszczęsnym grzesznikiem, pogrzebanym za życia, nad biednym rządcą wyspy, który rządzić sobą nie umiał.

Zdawało się Don Kichotowi, że poznaje głos Sanchy i aby upewnić się o tym, krzyknął z całej siły:

– Kto tam się skarży w tym dole?

– A któż by – odpowiedziano – jeśli nie nieszczęśliwy Sancho Pansa, którego Bóg za grzechy gubernatorstwem na wyspie Barataria ukarał? To biedny Sancho, niegdyś giermek sławnego rycerza Don Kichota z Manchy.

Te słowa podwoiły zadziwienie Don Kichota i natchnęły go przekonaniem, że Sancho po śmierci odprawia tu pokutę.

– Zaklinam cię – krzyknął – przez wszystkie moce niebieskie, powiedz mi, kto jesteś, jeżeliś duszą pokutującą, powiedz czego żądasz, a przyniosę ci ulgę.

– To pan jesteś zapewne jego wielmożność Don Kichot z Manchy – odpowiedziano z jaskini – po głosie was poznałem.

– Tak! jestem Don Kichot – odpowie rycerz – ten sam, którego obowiązkiem jest wspierać żywych i umarłych, ty raczej powiedz mi, kto jesteś, i jeżeli zowiesz się Sancho, mój giermek, jeżeli umarłeś, a w mocy szatana nie jesteś, lecz ręką litościwego Boga do czyśćca wtrącony zostałeś, powiedz mi, kościół nasz ma środki wybawić cię z podobnej niedoli.

– Przysięgam na wszystko, co chcecie – odpowiedział niecierpliwie głos z dołu – że jestem Sancho Pansa, giermek pański, że dotąd jeszcze od urodzenia nie umarłem ani razu. Jest tu właśnie ze mną mój osioł, który poświadcza tożsamość mojej osoby.

Zdawało się, że osioł, usłyszawszy Sanchę, chciał zaświadczyć prawdziwość słów jego, gdyż zaczął beczeć tak silnie, że aż się dokoła rozlegało.

– Nie potrzebuję innego świadka – odpowie Don Kichot – ty jesteś Sancho – zaczekaj chwilę, mój przyjacielu – pojadę do zamku i przyprowadzę z sobą ludzi, którzy was natychmiast z dołu wyciągną.

– Jedź pan prędko, kochany panie – rzecze Sancho – a wracaj jeszcze prędzej, bo jestem w rozpaczy, widząc się pogrzebanym za życia.

Don Kichot pojechał opowiedzieć przypadek biednego Sanchy księciu i księżnie, którzy znali dobrze tę jaskinię, lecz zdziwili się bardzo, że nie odebrali wiadomości o zrzeczeniu się gubernatorstwa

przez Sanchę. Udano się spiesznie z postronkami i drabinami i z pomocą wielu ludzi wydobyto Sanchę i burka, uszczęśliwionych widokiem światła bożego.

Jakiś młody student, obecny przy tym wypadku, widząc Sanchę, rzekł:

– Byłoby wybornie, gdyby źli gubernatorowie opuszczali swoje rządy w takim stanie, jak ten nieszczęśliwy, który wyłazi z jaskini blady, umierający z głodu i, jak mi się zdaje, z pustą kieszenią.

– Panie obmówco – rzecze Sancho – od ośmiu dni jak objąłem rządy wyspy, ani razu się nie najadłem. Prześladowany przez doktorów, zdeptany nogami nieprzyjaciół, nie zabrawszy nic nikomu, nie zasługuję, żebym wychodził przez otwór ten do bramy piekielnej. Ale chłop strzela, a Pan Bóg kule nosi, trzeba przyjąć, co przychodzi, nikt sam sobie rad nie szkodzi. Nie trza mówić, że to zrobię, bo się nie wie, czy podrapie, czy poskrobie. Często chwycisz powróz zamiast kiełbasy, a mierzwę zamiast okrasy, ale dość na tym, Pan Bóg mnie zna i moje sumienie.

– Nie gniewaj się, przyjacielu – rzecze Don Kichot – niech mówią, co chcą, byleś miał czyste sumienie. Jeżeli gubernator jest bogaty, powiadają, że kradł, jeżeli biedny, powiedzą, że głupiec i marnotrawca.

– Och, teraz mogą śmiało powiedzieć, żem głupiec, a będą mieli słuszność.

Tak mówiąc, otoczeni tłumem, przybyli do zamku. Książę i księżna oczekiwali ich w galerii. Sancho, zaprowadziwszy osiołka do stajni, przywitał oboje księstwo i rzekł, ugiąwszy kolano:

– Byłem gubernatorem wyspy Barataria, z rozkazu waszych wysokości wszedłem tam, nic nie mając i takim wychodzę. Rozpoznałem sprawy, osądziłem procesy i umierałem z głodu ustawicznie, dzięki doktorowi Pedro Recio, mordercy wyspy

i gubernatorów. Ubiegłej nocy nieprzyjaciele napadli na miasto i wygniótłszy nas tęgo, uciekli sami, nie wiedząc przed kim. Rozmyśliłem się wreszcie, że ciężar rządu za ciężki jest na moje siły i że nie jestem z tego drzewa, z którego robią gubernatorów. Otóż pierwej niż rządy mnie, ja wolę rządy porzucić, i wczoraj rano, zostawiwszy wyspę w tym stanie, w jakim ją znalazłem, nie pożyczywszy pieniędzy od nikogo, w towarzystwie mego osła wyjechałem sobie. Wpadliśmy obydwaj w dół, ucierpiawszy nieco po całonocnym pochodzie, dopiero tego poranku przy pomocy pana Don Kichota, światło dzienne oglądam. Odtąd przysięgam waszym wysokościom, że nie tylko jedną wyspą, ale i światem całym rządzić nie chcę, dlatego całując nogi waszych wysokości, powrócę za pozwoleniem waszym w służbę do jego wielmożności Don Kichota, u którego przynajmniej mam kawał chleba, a dla mnie wszystko jedno, co zjem, abym głodny nie był.

Sancho skończył swoją perorę, z wielką pociechą Don Kichota, który obawiał się usłyszeć mnóstwo głupstw i przysłów. Książę uściskał serdecznie Sanchę, mówiąc, że jakkolwiek nieprzyjemnie mu jest, że tak dobry gubernator porzucił swój urząd, przecież znajdzie mu w swoim państwie inne miejsce, więcej korzyści, a mniej trudu przynoszące. Księżna uściskała go również i kazała nakarmić go doskonale, czym uszczęśliwiony Sancho oświadczył grzecznie, że więcej sobie ceni łaski jej wysokości, niż gubernatorstwo wszystkich wysp i trony całego świata.

Rozdział IV

W którym opisana jest straszna i niesłychana walka, jaką stoczył Don Kichot z pokojowcem Tosilos w obronie córki pani Rodriguez

Książę i księżna nie żałowali psot wyrządzonych Sanchy w danych mu na żarty przez siebie rządach, tym więcej, gdy tego samego dnia marszałek powróciwszy, opowiedział im co do joty wszystkie słowa i postępki Sanchy w ciągu tych kilku dni. Opisał im w końcu szturm do wyspy, przestrach Sanchy i ucieczkę jego, co wszystko wielce ich zabawiło.

Dalej historia opiewa, że dzień walki nadszedł. Książę kilkakrotne dawał pokojowcowi swemu, Tosilosowi, instrukcje, jak ma sobie począć, by zwyciężył Don Kichota, ale mu szwanku nie zadał ciężkiego, ani też zabił. Rozkazał, aby żeleźce zdjęto z włóczni, przekonawszy Don Kichota, iż miłosierdzie chrześcijańskie, którego praktyką zawsze się chełpił, nie pozwala, aby walka toczyła się na śmierć i życie i że i tak wiele czyni, kiedy im pozwala potykać się na ziemi swojej, pomimo zakazu, przez konsylium trydenckie wydanego przeciw podobnym pojedynkom. Don Kichot odpowiedział, że pozostawia całkowicie jego książęcej mości urządzenie pojedynku i że będzie mu we wszystkim posłuszny.

Książę kazał wznieść przed tarasem zamkowym trybunę, w której zasiąść mieli sędziowie walki i powódki sprawy, to jest matka z córką. Kiedy dzień straszny nadszedł, mnóstwo ludzi ze wsi i folwarków okolicznych przybiegło, aby być świadkami spotkania, bo nigdy dotąd najstarsi ludzie w tym kraju, ani ci nawet, co już pomarli, o podobnym boju nie słyszeli.

Pierwszy wstąpił w obręb szranków mistrz ceremonii; obszedł i obejrzał cały plac boju, aby nie było żadnego podstępu, żadnej przeszkody ukrytej, o którą można by zawadzić i upaść. Potem przybyła dama i córka; zasiadłszy na wyznaczonym dla siebie miejscu, zakwefione aż po szyję, z wielką w postawie pokorą. Don Kichot stał już w szrankach. Wkrótce później ujrzano przybywającego od strony tarasu ogromnego Tosilosa na dzielnym

rumaku, pod którego kopytami ziemia tętniła, z przyłbicą zapuszczoną, wyprężonego na siodle, okrytego zbroją ciężką i świecącą; towarzyszyło mu kilku trębaczy. Koń był fryzyjski, szeroko piersisty, maści ślicznej, jabłkowatej. Dzielny zapaśnik dobrze przez księcia został wyuczony, jak ma postępować względem walecznego Don Kichota z Manchy. Przede wszystkim miał sobie zalecone nie dobijać go; przeciwnie nawet, unikać pierwszego uderzenia, aby uchronić zapalczywego rycerza od nieuchronnej śmierci, gdyby wprost wpadł sam na cios. Tosilos objechał wkoło szranki, a stanąwszy przed damami, przyglądał się czas niejaki tej, która go na męża żądała.

Marszałek wezwał Don Kichota, który się już stawił na placu i wobec Tosilosa zapytał dam, czy się zgadzają, aby Don Kichot sprawę ich wziął na siebie. Odpowiedziały, że zgadzają się i że wszystko, co w tej mierze uczyni, uważać będą za ważne, dobre i prawne. W tej chwili księstwo ichmość zasiedli na galerii ponad szrankami, które otaczały tłumy ludu, przybyłe dla przyjrzenia się po raz pierwszy tak krwawej bitwie. Warunkiem głównym było, iż gdy Don Kichot odniesie zwycięstwo, przeciwnik jego musi się ożenić z córką damy Rodriguez; jeżeli by zaś sam zwyciężony został, to tamten zwolniony będzie ze swego słowa i niezobowiązany do żadnej więcej odpowiedzialności.

Mistrz bez ceremonii rozdzielił między zapaśników plac boju i słońce i każdego z nich postawił na właściwym miejscu. Uderzono w bębny, powietrze zagrzmiało hukiem trąb, ziemia się zatrzęsła pod kopytami końskimi, a w ciekawym tłumie, oczekującym szczęśliwego lub nieszczęśliwego końca walki, serca zadrżały obawą i nadzieją. Nareszcie Don Kichot, z głębi duszy poleciwszy się Panu Bogu i pani swej, Dulcynei z Toboso, wyglądał tylko, aby dano znak rozpoczęcia boju. Pokojowiec zaś nasz wcale co innego miał

w głowie i przemyśliwał jedynie nad tym, co zaraz opowiemy. Zdaje się, iż kiedy stanął przed nieprzyjaciółką swoją i zaczął jej się przyglądać, wydała mu się tak piękną, jak żadna kobieta w życiu, a dzieciak ów z zawiązanymi oczyma, którego pospolicie miłością nazywają, nie chcąc stracić szczęśliwej sposobności odniesienia triumfu nad przedpokojową duszą, zaczaił się cicho, wymierzył w lewy bok pokojowca dwułokciową strzałę i przeszył mu serce na wylot. Kiedy więc dano znak rozpoczęcia boju, pokojowiec nasz bujał w zachwycie, nieprzytomny, owładnięty powabami tej, która się stała panią jego woli. Nie dosłyszał odgłosu trąby bojowej, a Don Kichot, zaledwie pierwszy jej dźwięk doszedł uszu jego, wypuścił rumaka i natarł z całą gwałtownością rozpędu, na jaki Rosynant był w stanie się zdobyć. Poczciwy jego giermek, Sancho, widząc wypuszczającego się pana, z całego gardła zawołał:

– Kwiecie i chlubo błędnych rycerzy! niech cię Bóg prowadzi! niech ci da zwycięstwo, kiedy sprawiedliwość jest za tobą!

Tosilos choć widział, że Don Kichot wali na niego, ani się ruszył z miejsca i z całej siły wołał tylko na marszałka, do którego, gdy przybiegł doń, tak przemówił:

– Mości panie! wszakże ta walka toczy się o to, czy ja mam żenić się z tą damą, czy nie?

– Tak jest – odpowiedziano mu.

– A więc – mówił dalej pokojowiec – boję się wyrzutów sumienia, a obciążyłbym je bardzo, gdybym do tej walki stanął. Oświadczam przeto, że się uznaję za zwyciężonego i gotów jestem żenić się z tą damą natychmiast.

Marszałek zdziwił się niezmiernie, słysząc to, bo był przypuszczony do całej tajemnicy i nie wiedział, co mu ma odpowiedzieć. Don Kichot zaś widząc, że przeciwnik nie rusza się z miejsca, wstrzymał konia i stanął w samym środku. Książę nie

wiedział, z jakiego powodu walka wstrzymana została, dopiero aż marszałek doniósł mu co zaszło; zdziwił się niezmiernie i wpadł w wielki gniew.

Kiedy to się działo, Tosilos zbliżył się do estrady, gdzie siedziała dama Rodriguez, i głośno do niej przemówił.

– Gotów jestem, pani, żenić się z twoją córką i nie chcę drogą sporów i procesów zdobywać sobie tego, co otrzymać mogę spokojnie i na śmierć się nie narażając.

Waleczny Don Kichot usłyszał te wyrazy i tak na nie odpowiedział:

– Jeżeli tak, a więc ja wolny jestem i zwolniony z obietnicy mojej; niechże się pobiorą, tego tylko pragnę, a kiedy Pan Bóg mu ją daje, niechże święty Piotr mu ją pobłogosławi.

Książę tymczasem zszedł na taras zamkowy i zbliżywszy się do Tosilosa, zapytał go:

– Czy to prawda, rycerzu, że uznałeś się za zwyciężonego i że naglony wyrzutami sumienia, oświadczyłeś się z chęcią zaślubienia tej dziewicy?

– Tak jest, książę – odpowiedział Tosilos.

– I dobrze zrobił – wtrącił Sancho – bo się zjeść w kaszy nie dał i swojego dopiął.

Tosilos wziął się prędko do rozwiązywania podpinek przyłbicy i prosił, ażeby mu jak najśpieszniej w tym dopomożono, gdyż tchu mu brakowało w tym ciasnym więzieniu. Zdjęto mu szyszak co prędzej i twarz jego przedpokojowa na jaw się ukazała. Dama Rodriguez i córka jej spostrzegłszy to, przeraźliwie krzyknęły:

– To jakieś oszukaństwo! tak, tak! oszukaństwo nikczemne! Podstawiono Tosilosa, pokojowca księcia pana, w miejsce czcigodnego małżonka. W imieniu Boga i króla domagam się sprawiedliwości za podstęp, że nie powiem oszustwo tak niecne.

– Nie martwcie się, panie – zawołał Don Kichot – to nie podstęp, ani oszustwo, to czarownicy mnie tak prześladują i przez zazdrość sławy, którą pozyskać miałem tym zwycięstwem, twarz małżonka pani zamienili na twarz człowieka, którego pokojowcem księcia mianujecie. Posłuchaj pani rady mojej i na złość wrogom moim i ich podstępowi, oddaj mu pani rękę swoją, bo bez żadnej wątpliwości jest to ten sam, któregoś życzyła sobie na męża.

Książę, słysząc to, pomimo gniewu, ledwie nie parsknął od śmiechu.

– Tak nadzwyczajne rzeczy wydarzają się rycerzowi Don Kichotowi – rzekł – że gotowym uwierzyć, iż ten pokojowiec mój nie jest moim pokojowcem. Ale użyjmy także podstępu i zróbmy próbę: odłóżmy małżeństwo na dwa tygodnie, a tego człowieka weźmy pod zamknięcie. Przez ten czas wróci może do właściwej swej postaci, bo złość czarowników przeciw wielkiemu rycerzowi Manchy nie może trwać ciągle, zwłaszcza, gdy się przekonają, że wszystkie ich usiłowania i psoty na nic się nie zdały.

– O! ba! mości książę – odezwie się Sancho – te szatany czarowniki, to upartsze od wszystkich diabłów i nie wychodzą tak na sucho z moim panem, lecz ciągle mu figle płatają, ani się od nich opędzisz; niedawno, niech ich jasności ogarną! zamienili rycerza zwierciadlanego, którego pan mój pokonał, w bakałarza Karasko z naszej wsi, największego jego przyjaciela, a z naszej pani Dulcynei żebyście wiedzieli co zrobili, prostą chłopkę, jak Pan Bóg przykazał, tylko że jeszcze była szpetniejsza, niż wszystkie, a śmierdziała jak diabeł i jak mi Bóg miły, bodajem skłamał, jeżeli ten lokaj nie jest lokajem najprawdziwszym.

– Niech sobie będzie, co chce – odezwie się córka Rodriguez – wolę być żoną pokojowca, niż czyją bądź metresą.

Wszystko to nic nie pomogło, Tosilosa bowiem do ciupy wpakowano, a Don Kichota ogłoszono zwycięzcą; widzowie rozeszli się bardzo zmartwieni, że nie widzieli zapaśników siekających się na kawałki; motłoch zawsze wpada w rozpacz, kiedy ułaskawienie przyjdzie dla tego, którego spodziewał się widzieć na szubienicy. Książę, księżna i zwycięski Don Kichot wrócili do zamku; Tosilosa wrzucono do więzienia, a damy Rodriguez cieszyły się, że jakim bądź sposobem zaspokojone zostały w żądaniu, sądząc, że ta awantura skończyć się inaczej nie może, jak tylko małżeństwem, czego przede wszystkim pragnęły, równie jak i Tosilos.

Rozdział V

Jak Don Kichot pożegnał się z księciem i co mu się przytrafiło z dobrotliwą a skrytą Altisidorą, panną księżnej

Don Kichot postanowił nareszcie odjechać z zamku. Bezczynny ten sposób życia wydał mu się wcale niegodnym i nieodpowiednim zawodem błędnego rycerza i obawiał się, że musi zdać kiedyś Bogu rachunek za czas bez pożytku dla cierpiącej ludzkości strawiony. Oznajmiwszy więc ten zamiar dostojnemu gospodarstwu, ośmielił się pożegnać księcia i jego małżonkę. Nie bez wahania i przykrości zezwalał książę na odjazd rycerza, ale nareszcie dał się przekonać i nadmienił, że gdy tego koniecznie potrzebuje, dłużej zatrzymywać go nie będzie. Księżna oddała Sanchowi list od żony.

– Czy ja mogłem przypuścić kiedy – zawołał Sancho ze łzą w oku, po przeczytaniu tego listu – ażeby wszystkie nadzieje i zamiary żony mojej, Teresy, skoro się o wielkorządztwie dowiedziała, jak dym się rozwiały i że znów będę musiał tłuc się z panem po świecie, jak Marek po piekle, za jakimiś tam marnymi przygodami! W tym

człeku przynajmniej pociecha, że Teresisko nie zapomniało przysłać księżnie żołędzi. Gniewałbym się na nią, gdyby była postąpiła inaczej. No i ten podarunek, to nie żadne zdzierstwo, ani kontrybucja, bo już byłem wielkorządcą, kiedy go przysłała. Czym chata bogata, tym rada; dobrze jest wdzięczność choćby najmniejszym darkiem okazać. Goły doszedłem do wielkorządztwa, goły opuszczam tę władzę i z czystym sumieniem powiedzieć mogę: gołym się rodziłem, gołym pozostałem, choć nic nie zyskałem, niewiele straciłem.

Tak prawił do siebie Sancho w dzień odjazdu. Don Kichot, pożegnawszy się wieczorem z księciem i księżną, zjawił się nazajutrz uzbrojony na podwórcu zamkowym. Pełno ludzi przyglądało mu się z krużganków, nawet książę i księżna chcieli go jeszcze raz przed odjazdem zobaczyć. Sancho z mantelzakiem i prowiantem siedział na ośle najszczęśliwszy pod słońcem, bo marszałek księcia wścibił mu w rękę kieskę z dwustu talarami złotem na koszta podróży, o czym Don Kichot jeszcze nie wiedział. Skoro tak wszystkich oczy zwracały się na rycerza, nagle z orszaku dam i panien księżnej dał się słyszeć płaczliwy głos Altisidory, która następujące doń powiedziała słowa:

Słuchaj, złośliwy rycerzu!
Powstrzymaj lejce na chwilę
I nie krwaw wychudłych boków
Kierowanego źle konia.

Spojrzyj, o zdrajco przeklęty,
Nie jestem wąż jadowity,
Lecz jestem słodkie jagniątko,
Co kiedyś owieczką będzie.

Tyś igrał, straszny potworze,
Z sercem najpiękniejszej damy,

Jakiej Diana na górach,
A Wenus w lasach swych nie ma.
Srogi Wizeno, zbiegły Eneaszu!
Niech ci okrutny Barabasz
Towarzyszy w drodze twej.

Ty unosisz, o srogości!
W zaciśniętych swoich dłoniach
Kornej kochanki wnętrzności,
Co ci czułe serce dała.

Unosisz trzy nocne chustki
I podwiązkę z mojej łydki,
Tak gładkiej i takiej białej.
Jak cybelińskie marmury.

Dwa tysiące westchnień bierzesz,
Których płomień gorejący
Zżegłby dwa tysiące Trojan,
Gdyby Trojan było tylu.
Srogi Wizeno, zbiegły Eneaszu!
Niech ci okrutny Barabasz
Towarzyszy w drodze twej.

Oby Sancho, ten twój giermek,
Serce swe w kamień zamienił,
I nie bijąc się rózgami,
Nie wybawił Dulcynei.

Oby ta smutna kochanka
Pokutowała z twej winy,
Bo wszakże i w moim kraju.
Niewinni za winnych cierpią.

Oby twoje awantury
Zmieniły się w burdy śmieszne,
Niech radość twoja w snach ginie,
Wierność w zapomnieniu zniknie.
Srogi Wizeno, zbiegły Eneaszu!
Niech ci okrutny Barabasz
Towarzyszy w drodze twej.

Niech słyniesz zdrajcy imieniem
Od Sewilli do Marcheny,
Od Grenady aż do Loja
I z Anglii aż do Londynu.

Gdy zagrasz w rumel-pikietę,
Niech króle od ciebie stronią
I niech z kart twoich znikną
Wszystkie asy i siódemki.

Gdy skaleczysz sobie palec,
Niech krew potokiem popłynie,
A gdy zęby wyrwiesz sobie,
Niechaj ci pieńki zostaną.
Srogi Wizeno, zbiegły Eneaszu!
Niech ci okrutny Barabasz
Towarzyszy w drodze twej.

Kiedy tak piękna Altisidora bolesne rozwodziła żale, Don Kichot ciągle na nią patrzył i uważnie jej słuchał, ale zamiast jej odpowiedzieć, odwrócił się do Sancha, zapytując go:

– Przyjacielu Sancho, powiedz prawdę, czy nie zabrałeś przypadkiem trzech czepków nocnych i podwiązek, o których ta rozkochana dziewica wspomina?

– Trzy czepki mam – odrzekł Sancho – ale o podwiązkach nic a nic nie wiem.

Księżna, której o tym nie uprzedzono, bardzo się zdumiała nad zbytnią śmiałością Altisidory, bo chociaż wiedziała, że to wesoła i figlarna dzieweczka, ale nie przypuszczała nigdy, ażeby aż do takiego stopnia. Księciu ten żart bardzo się podobał.

– Istotnie, mości rycerzu – rzekł do Don Kichota – nie bardzo to właściwy postępek, doznawszy tak gościnnego przyjęcia w zamku moim. Ten rodzaj odwagi nie zgadza się zupełnie z owym męstwem rycerskim, które ci głos publiczny przyznaje. Zwróć, waszeć, podwiązki tej pannie, bo jak nie, to się rozprawimy z sobą i w tej chwili wyzywam waszmość, nie obawiając się żadnych przemian czarnoksięskich.

– Niech Bóg uchowa – odparł Don Kichot – ażebym ja miał wydobywać miecz przeciw waszej najoświeceńszej osobie, co mnie tylu dowodami łaskawości obsypać raczyła! Czepki nocne, ponieważ Sancho je ma, oddamy tej pannie, co zaś do podwiązek, ani ja, ani on, nic o nich nie wiemy. Niech ta piękna dama poszuka w toalecie swojej, pewnie je znajdzie. Mości książę, nie jestem oszustem i za szlachetną mam duszę, ażebym kiedykolwiek mógł nim zostać. Do niecnego podejrzenia tego pobudziła tę dziewicę uraza rozkochanego serca, którego nie myślałem rozpłomieniać, więc nie mam jej za co przepraszać, ani też waszej książęcej mości,

błagam tylko, ażebyś książę pan miał lepsze o mnie wyobrażenie i pozwolił mi w dalszą puścić się drogę.

– Puszczaj się, mości rycerzu Don Kichocie z Manchy – rzekła księżna – oby nas zawsze dochodzić mogły wieści o wielkich waszych czynach! Jedź, jedź, obecność twoja nie może być lekarstwem na rany, które miłość tym pannom zadała, co zaś do tej, potrafię ją tak wyleczyć, że nie będzie śmiała mówić nadal impertynencji.

– O mężny rycerzu! – zawołała Altisidora – błagam cię, racz mnie jeszcze wysłuchać. Przepraszam cię, żem cię obwiniła o przywłaszczenie sobie podwiązek moich, zwracam ci cześć, bo mam je właśnie na sobie. Ale ja jestem tak roztrzepana, jak ta, co to szuka osła, siedząc na nim.

– A co? – rzekł Sancho. – Do mnie to, do mnie powinni się udać, skoro idzie o jaki figielek; to sobie oszusta wybrali! Do diaska! gdybym chciał kraść, czyż nie miałem sposobności na moim wielkorządztwie?

Don Kichot, oddawszy niski ukłon księciu, księżnej i wszystkim przytomnym, spiął Rosynanta i wyjechał z zamku drogą do Saragossy.

Rozdział VI

Jako tyle przygód Don Kichota spotkało, że nie wiedział, od której zacząć

Don Kichot, harcując na czystym polu i pozbywszy się natarczywości Altisidory, uczuł się w swoim żywiole. W sercu zrodził mu się nowy zapał do szukania przygód i poświęcenia się zawodowi błędnego rycerza.

– Swoboda – rzekł do Sancha – jest największym darem, jaki niebo ziemi dać mogło, wszystkie skarby, w łonie ziemi będące, wszystkie bogactwa, które morze w niezgłębionych przepaściach ukrywa, nie dadzą się z nią porównać. Zarówno się życie dla swobody, jak dla czci naraża, a niewola jest najsroższą niedolą. Byłeś naocznym świadkiem, przyjacielu Sancho, wytwornego życia w tym zamku. Obfitość tam wszystkiego, przyjemności niezwykłe, a jednak co do mnie, przyznam ci się, że wśród tych uczt wystawnych, spożywając te wykwintne potrawy i napoje, zdawało mi się, że mi głód dokucza. Ta obfitość wszystkiego wydawała mi się niedostatkiem, wszystkie te obfite mięsiwa gorzko mi smakowały, niespokojnie mi było na miękkiej pościeli; dbanie o rozkosz zawsze i wszędzie zdało mi się nareszcie nieznośne. Bądź co bądź, nie używałem tego wszystkiego swobodnie, bo to nie moje było, a obowiązek pamiętania o tym, że ktoś nam dobrodziejstwo wyświadcza, jest to pęto z tysiąca węzłów złożone, które nigdy duszy swobody nie daje. Szczęśliwy ten, co mu niebo zsyła żywność i co za nią samemu tylko niebu wdzięcznym być powinien.

– Prawda to, panie – wtrącił Sancho – ale jednak nie można nie być obowiązanym za dwieście talarów złotych, które mi dał marszałek jaśnie oświeconego księcia, a które tu umieściłem w kiesce na żołądku, jako relikwie w potrzebie i kataplazm chroniący od przygód, które zawsze napotkać można. W jednym zamku cię nakarmią, napoją, a za to w stu karczmach kijami wyłoją.

Rozmawiając tak z sobą błędny rycerz i giermek, po sporej mili drogi zobaczyli nagle dwunastu ludzi, obiadujących na murawie. Koło nich w małych odległościach rozciągnięte były dwie białe płachty, które coś przykrywać musiały. Don Kichot, zbliżywszy się do nich i ukłoniwszy, zapytał, co mają pod tym płótnem.

– Są to, panie – odrzekł z nich jeden – posągi do ołtarza, który w naszej parafii stawiamy. Niesiemy je na barkach, ażeby się nie potłukły, a przykrywamy, ażeby im wilgoć nie zaszkodziła.

– Wielką mi panowie zrobicie przyjemność – rzekł Don Kichot – jeśli zechcecie mi je pokazać, bo wyobrażam sobie, że posągi, z taką starannością przenoszone, bardzo piękne być muszą.

– Spodziewam się – zawołał drugi – sporo też kosztują. Nie ma ani jednego, za który byśmy mniej niż pięćdziesiąt czerwonych złotych zapłacili. Patrz pan – zawołał, wstając i odkrywając płótno, pod którym leżał wyzłacany posąg świętego Jerzego na koniu. – Tratuje święty strasznego smoka i dzidą przeszywa mu paszczę z ową dziarską miną, z którą go zawsze przedstawiają.

Don Kichot popatrzył chwilę na posąg, a potem rzekł z wolna:

– Rycerz ten był jednym z najlepszych błędnych rycerzów, jacy kiedykolwiek pod znakami świętej sprawy walczyli; jest to święty Jerzy, który był wielkim opiekunem i obrońcą honoru dam. Zobaczmy drugi, proszę bardzo. – Drugi posąg, był to święty Marcin konno, oddający biednemu połowę opończy.

– Ten rycerz – rzekł Don Kichot – był także z owych chrześcijan przygód szukających i zdaje mi się, że hojność przeważała w nim nad walecznością, jak możesz rozumieć, Sancho, po tym posągu, gdzie oddaje połowę opończy biednemu. Musiało to być w zimie, bo zapewne latem byłby mu dał całą opończę, miarkując po litościwym jego sercu.

– E, musiał on znać przysłowie – rzekł Sancho – oj mądra to głowa, co daje i chowa.

– Masz słuszność, Sancho – rzekł Don Kichot, prosząc, żeby mu więcej pokazać.

Odkryli następnie wyobrażenie patrona Hiszpanii z mieczem skrwawionym, tratującego Maurów pod kopytami dziarskiego

rumaka.

– Otóż to mi rycerz – zawołał Don Kichot – jeden z najsławniejszych awanturników, co walczyli pod sztandarem krzyża. To święty Jakub, przezwany pogromcą Maurów, jeden z największych świętych i najdzielniejszych rycerzy, jacy kiedykolwiek byli na ziemi, a teraz w niebie.

Pokazano następnie świętego Pawła, spadającego z konia, ze wszystkimi okolicznościami, które zwykle przy nawróceniu jego dodają.

– Święty ten – rzekł Don Kichot – był przez czas niejaki jednym z najstraszliwszych wrogów kościoła, a następnie jednym z najgorliwszych obrońców; błędny rycerz z powołania, a w wierze niezachwiany aż do śmierci, niestrudzony robotnik w winnicy Pańskiej, który naukę swoją w niebie zaczerpnął, a którą Pan nieba sam mu wykładał. Dzieci, zakryjcie już posągi – rzekł Don Kichot.

– Tak, bracia – dodał jeszcze – to, com widział, daje mi otuchę dobrej przepowiedni, bo święci i rycerze ten sam zawód co ja obrali, zawód miecza. Różnimy się tylko pod tym względem, że oni byli świętymi i walczyli podług przepisów niebiańskiego rycerstwa, ja zaś grzesznik, walczę, jak ludzie walczą. Oni zdobyli niebo, bo Królestwu Niebieskiemu gwałt wyrządzano, a ja nie wiem, co dotychczas zdobyłem, mimo wszystkich trudów i usiłowań moich. Jednak gdybym wiedział, że najdroższa moja Dulcynea z Toboso wolna jest od trosk i cierpień, co ją trapią, los mój znacznie by się polepszył, głowa przestałaby się kłopotać i może bym wtedy lepszą obrał sobie drogę.

– Oby Bóg to zrządził – rzekł Sancho – aby nam łaskawie dozwolił zapomnieć o dawnych grzechach.

Wieśniacy uwielbiali oblicze i rozmowę Don Kichota, nic a nic nie rozumiejąc, a posiliwszy się, wzięli posągi na bary, pożegnali się

z Don Kichotem i puścili w dalszą drogę. Sancho przyglądał się panu, jakby go przedtem nie był widział, uwielbiał z zadziwieniem mądrość jego, wiadomości o tylu rzeczach i przypuszczał, że nie ma zdarzenia, ani przygody żadnej w świecie, o której by nie wiedział najdokładniej.

– Dalipan – rzekł do pana – jeśli to, co nam się teraz przytrafiło, można nazwać przygodą, jest to najłagodniejsza i najprzyjemniejsza ze wszystkich, co nam się w wycieczkach naszych przytrafiły. Aniśmy się nie mieli czego obawiać, ani nas kijami nie wygrzmocili, nie nazywano nas gorzej niż po imieniu, jesteśmy cali i zdrowi, głód i pragnienie nie dokuczyło nam. Chwała też Bogu, żem to na własne oczy oglądał, bo dalipan, gdyby mi to kto inny był opowiadał, nigdy bym nie uwierzył.

– Nieźle mówisz, Sancho – odrzekł Don Kichot – czasy nie zawsze do siebie podobne, a to, co tłum nazywa zazwyczaj przepowiednią, ponieważ nie opiera się na żadnej naturalnej przyczynie, mądry nazwie trafem szczęśliwym. Jakiś zabobonny, wyszedłszy kiedyś z rana z domu, spotkał braciszka z zakonu św. Franciszka i jakby spostrzegł smoka, odwrócił się i prędko wrócił do domu. Drugi znów drżał, skoro sól na stół rozsypano, jakby wypadki tak małej wagi mogły być pewnymi oznakami przyszłych nieszczęść. Mędrzec i chrześcijanin nie trwoni czasu na odgadywanie tajemnic nieba, a nie troszcząc się, czy rozkazy nieba wyrażone są w przedmiotach natury, wypełnia ich następstwa pokornie i cierpliwie. Scypio przybywa do Afryki, a wysiadłszy na ląd źle stąpił i padł na ziemię. Zdziwieni jego żołnierze, biorą ten upadek za zły prognostyk, ale on otwierając ramiona, jakby całą ziemię chciał objąć, zawołał: „Mam cię, Afryko, teraz mi się nie wymkniesz”. Toteż, mój przyjacielu Sancho, napotkanie tych posągów uważam za traf szczęśliwy.

– Wierzę panu, skoro pan tak powiadasz – odparł Sancho – ale chciałbym, ażebyś mi pan wytłumaczył, dlaczego Hiszpanie przed wydaniem bitwy, wzywając opieki św. Diago Matamoras, wołają: *Santiago y cierra España*! Czyżby Hiszpania przypadkiem otwierała się wtedy i trzeba ją było zamykać? Co to za obrządek?

– Jakże mało wiesz, biedny mój przyjacielu – odrzekł Don Kichot – przecież Bóg dał Hiszpanii za opiekuna w krwawych bitwach, które dawniej Hiszpanie z Maurami toczyli, wielkiego tego Rycerza Różowego Krzyża? Z tego to powodu, wzywają jego pomocy w bitwach i nieraz widziano go w naturalnej postaci kolącego, tłuczącego, tratującego zastępy wrogów – mógłbym ci sto przykładów takich z historii Hiszpanii przytoczyć.

Sancho, nie pytając się już więcej, zmienił przedmiot rozmowy i rzekł do pana:

– Ale, ale, panie, dziwi mnie nadzwyczaj bezczelność tej Altisidory, panny księżnej pani. Do diaska! ten łotrzyk, co to go miłością nazywają, musiał ją diabelnie zranić. Bo to ten malec ślepy rzadko chybia i kiedy człek chce zawołać: stój, już mu wpakuje dwułokciową strzałę w serce. Toćże do pioruna słyszałem, że strzały miłości kruszyły się o uczciwość dziewczyn, ale z tą Altisidorą rzecz się ma zupełnie inaczej, jeszcze się bardziej zaostrzyły, dalipan, prawda!

– Przyjacielu Sancho – odparł Don Kichot – miłość nie ma granic, ani względów żadnych, działa jak śmierć, nie oszczędzająca królów i pasterzy. Skoro obejmie duszę czyją, odejmuje naprzód obawę i wstyd wszelaki. Toteż widzisz, że go postradała owa Altisidora, nie obawiając się dać mi do zrozumienia chęci swoich, które budzą we mnie raczej wstręt niż litość...

– Otóż znów dziwne okrucieństwo – rzekł Sancho – i niesłychana niewdzięczność! Gdyby ta biedna dziewczyna do mnie się była

odwołała, uległbym jej natychmiast. Pan ma serce, dalipan, z kamienia, a duszę ze spiżu. Bo czego mogło się znów dopatrzeć w panu to biedne stworzenie, ażeby aż tyle robić z siebie? Gdzież do diabła ta twarz, mina i piękność, co ją zachwyciły? Sto razy przyglądam się panu od stóp do głów i bez pochlebstwa, nie dostrzegłem nic takiego, od czego by się prędzej można rozkochać niż przestraszyć. A przecież mówią, że piękność pobudza miłość, widać ta głupia nie rozumie się na tym, albo też może oczarowana!

– To nie wiesz, Sancho, że są dwa rodzaje piękności: ciała i duszy? Piękność duszy objawia się w rozumie, w zacności, w dobrym postępku, w sposobie znalezienia się, a to wszystko może być połączone ze szpetnością. Ten rodzaj piękności, skoro się go pojmie, łacniej wzruszy od wszystkich piękności ciała, prędzej działa i pociski jego trwalsze. Co do mnie, Sancho, wiem, że nie jestem piękny, ale też nie jestem potworem, a na uczciwego człowieka to dosyć – może się podobać białogłowie.

Rozmawiając w ten sposób, wjechali nieznacznie do lasku, zbaczającego z gościńca. Don Kichot, nie uważając, zaplątał się w sieci z zielonych sznurków, o drzewa zawiązanych.

– Sancho – rzekł – jeśli się nie mylę, otóż znów jedna z najdziwniejszych przygód pod słońcem! Przysiągłbym, że czarnoksiężnicy, co mnie prześladują, postanowili zaplątać mnie w te sieci i zatrzymać w podróży, mszcząc się za nieczułość moją dla Altisidory. Mylą się jednak bardzo, mimo wszystkich podstępów i chytrości; bo gdyby te siatki tkane były z twardych diamentów i twardsze od tych, co to zazdrosny bożek ognia zrobił dla schwytania Wenery z Marsem, skruszę je tak łatwo, jakby były z kruchej trzciny.

Mówiąc to, chciał przedrzeć się z Rosynantem przez siatkę, gdy wtem zobaczył wychodzące z gęstwiny lasu dwie bardzo ładne

pasterki, to jest ubrane jak pasterki, z tą różnicą, że miały na sobie bardzo bogate suknie z materii złotem naszywanej. We włosach, w tysiąc loków zwiniętych, wplecione miały girlandy z lauru, mirtu i innych kwiatów, mogły zaś liczyć najwięcej od piętnastu do szesnastu lat wieku. To spotkanie się Don Kichota z pasterkami, obustronnie niespodziewane, zdziwiło jednych i drugich i skłoniło do chwilowego milczenia. Nareszcie jedna z pasterek odezwała się do Don Kichota:

– Wstrzymaj się, mości kawalerze, i nie krusz tych siatek, któreśmy tu dla zabawy kazały nawiązać, a nie dla zastawienia ci sideł, a ponieważ przypuszczam, że chciałbyś pan wiedzieć, co tu porabiamy i kto jesteśmy, w krótkich słowach opowiem to panu:

Nasza wieś o dwie mile stąd; mieszka tam w okolicy bardzo wiele bogatej szlachty; kilka osób z jednej rodziny umyśliło zrobić sobie zabawę w tym miejscu, jednym z najprzyjemniejszych w okolicy. Niby to jest dla nas nowa Arkadia pasterska, mężczyźni przebrali się za pasterzów, a panny za pasterki. Dlatego też nauczyliśmy się wszyscy na pamięć sielanek Garcilasa i Camoensa, portugalskiego poety, co je w rodzinnym pisał języku. Jesteśmy tu dopiero od wczoraj, rozbić kazaliśmy namioty pod drzewami, nad brzegiem strumienia, co wszystkie okoliczne łąki skrapia, a ubiegłej nocy zastawiono te siatki, w które małe ptaszki łapiemy. Jeśli pan do naszego zebrania chcesz należeć, będzie to nam bardzo przyjemnie i zaręczam panu, że cała kompania ucieszy się zarówno jak ja, bo smętność nie ma u nas miejsca.

– Istotnie, piękna damo – odparł Don Kichot – nie sądzę, żeby Akteon bardziej się zadziwił, zoczywszy znienacka Dianę w kąpieli, ode mnie, kiedym piękność pani obaczył. Pochwalam bardzo tę rozrywkę tak niewinną a przyjemną, i tysiąc dzięków pani składać śmiem za jej łaskawe zaproszenie. Jeśli pani uczynisz mi zaszczyt,

uważając mnie za zdolnego do wyświadczenia jej jakiej przysługi, rozkaż tylko, a zaręczam pani, iż prędko i dokładnie wykonam jej zlecenie, bo moim powołaniem jest karcić niewdzięczność, robić dobrze wszystkim, zwłaszcza też osobom pani płci, stanu i zasługi. Nie lękam się nawet powiedzieć, że gdyby te siatki, co tak małą przestrzeń zajmują, okrywały całej ziemi powierzchnię, prędzej bym przedarł się do nowych jakich światów, niż śmiał zerwać ten sprzęt rozrywki pani. Nie będziesz wątpić, pani, o tym, co mówiłem, skoro się dowiesz, że mówi do ciebie Don Kichot z Manchy, jeśli ta nazwa doszła do wiadomości pani.

– A mój Boże – zawołała druga pasterka – co za traf szczęśliwy, kochana siostro! Ten pan, co go widzisz, jest to najdzielniejszy, najuczciwszy i najbardziej rozkochany rycerz na świecie, jeśli historia życia jego nie kłamie.

– Czytałam ją i założę się, że ten uczciwiec, co na osiołku siedzi, jest to Sancho Pansa, giermek jego, najpocieszniejszy człowiek pod słońcem.

– Nie myli się panienka – odrzekł Sancho – to ja jestem tym pociesznym i tym giermkiem, o którym panienka mówi, a ten pan, to mój pan, ten sam Don Kichot z Manchy, którego historia jest w książce.

– Czy to prawda, siostruniu? – zagadnęła druga pasterka. – Ach! istotnie, trzeba ich prosić, żeby z nami zostali, całe towarzystwo bardzo się ucieszy. Słyszałem ja już bardzo wiele od ciebie o panu rycerzu, ale mówią jeszcze, że pan jesteś najwierniejszym kochankiem pod słońcem i że pańską damą jest jakaś pani Dulcynea z Toboso, najpiękniejsza podobno kobieta w całej Hiszpanii.

– I słusznie mówią – odparł Don Kichot – jeśli tylko piękność pani nie odbiera jej pierwszeństwa, ale piękne damy, nie traćcie

darmo czasu na zatrzymywanie mnie, bo obowiązki wyraźne mojego zawodu nie pozwalają mi nigdzie kosztować odpoczynku.

Nadszedł tymczasem brat tych panien, przebrany za pasterza bogato i wytwornie. Siostra powiedziała mu, że to jest właśnie sławny Don Kichot z Manchy z giermkiem Sancho, o którym już musiał czytać historię. Młody pasterz powiedział komplement bardzo grzeczny Don Kichotowi i prosił tak usilnie, żeby się raczył udać z nim do namiotu, że rycerz nie mógł odmówić. Tymczasem krzyk się rozległ i mnóstwo rozmaitych ptaków, zwiedzionych barwą siatek, wpadło w siatki owe z zielonych nici. Wszystkie osoby, około pięćdziesięciu, przebrane za pasterzy i pasterki, zebrały się w tym miejscu, a dowiedziawszy się, że to Don Kichot z Sanchem, o którym historia wszędzie już krążyła, zaprowadzili go z sobą do namiotu, gdzie zastawiono właśnie obiad. Zmuszono rycerza do zajęcia pierwszego miejsca, do czego dał się skłonić po wielu ceregielach, a w czasie obiadu wszyscy mu się bacznie przyglądali i byli dla niego z uwielbieniem. Po skończonym obiedzie Don Kichot, obejrzawszy się naokoło, rzekł głośno i poważnie:

– Największym grzechem, według mnie, jest niewdzięczność, niektórzy mówią, że pycha jest większym, ale moje zdanie popiera to, że mówią, iż w piekle pełno jest niewdzięcznych, a o innych nie wspominają. Odkąd władam rozumem, usiłowałem zawsze unikać hańbienia się tą zbrodnią, a jeśli za dobry dla mnie uczynek dobrym uczynkiem nie mogę się wywzajemnić, odpłacam dobrą chęcią i wolą, a dla okazania uczucia mojego, ogłaszam je przed światem całym, bo kto głosi dobrodziejstwo otrzymane, dowodzi, że nie od niego zawisło wynagrodzenie, ale ponieważ po większej części obdarzeni znacznie niżej stoją od obdarzających, niewłaściwie jest, że tylko samymi odpłacają dziękczynieniami. Bóg, który jest

nieskończenie wyżej nad tym światem, ciągle, w każdej chwili świadczy nam łaski i dobrodziejstwa, wobec których cała wdzięczność ludzka jest prawie żadną, dlatego, że nieskończona zachodzi różnica pomiędzy Stwórcą a stworzeniem. Jednak ludzie niekoniecznie są niewdzięczni względem Boga, jeśli brak możności zastępują dobrą chęcią, dziękczynieniem i przyznaniem się do własnej niemocy. Panowie, jestem względem was w tym samym położeniu, obsypaliście mnie grzecznościami i najlepiej przyjęli, a nie mogąc wam okazać wdzięczności, wyrównującej waszemu dobremu uczynkowi, ograniczam się na możności mojej i ofiaruję wam to, co posiadam, to jest, będę mówił wciąż, dwa dni z rzędu przez drogę do Saragossy, że te przebrane pasterki są najpiękniejsze i najgrzeczniejsze dziewice na świecie całym, wyjąwszy jednak, nie obrażając nikogo, nieporównaną Dulcyneę z Toboso, jedyną panią myśli i uczuć moich.

Don Kichot zamilkł po tej pięknej odezwie, a Sancho, uprzedzając wszystkich, zawołał:

– Czy podobna, żeby święta ziemia mogła nosić takich ludzi, co śmią twierdzić, że mój pan jest wariat? Powiedzcież państwo, czy sam proboszcz wiejski, choćby najuczeńszy i najrozumniejszy, lepiej mówić potrafi od jaśnie pana Don Kichota, czy jakikolwiek błędny rycerz zdoła ofiarować to, co on ofiarował?

Don Kichot, zwracając się nagle do Sancha i patrząc na niego z gniewem i wściekłością:

– Czy podobna, o Sancho – zawołał – żeby mógł się znaleźć na ziemi człowiek tak głupi, co by zaprzeczył temu, że jesteś niedorzecznym i złośliwym cymbałem? Co wasana ośmiela, bezczelny impertynencie, do mieszania się w nieswoje sprawy? Dosyć tego, ruszaj osiodłać Rosynanta, a ja wypełnię to, com

przyobiecał, a ponieważ mam słuszność za sobą, uważaj za zwyciężonych tych, co by się sprzeciwiać śmieli.

Powiedziawszy to, wściekły, wstał pośpiesznie od stołu, tak, że obecni nie mogli wnioskować dokładnie o jego rozumie, czy też głupocie? Prosili go, żeby wyzwania tak daleko nie posuwał, zaręczając, że przekonani są o jego wdzięczności bez wymagania dowodów, a co do reputacji, nie potrzebował szukać nowego odznaczenia dla męstwa tak znanego już w jego historii. Nie zmieniło to jednak zamiaru Don Kichota, wsiadł na Rosynanta, ujął tarczę, naprężył spisę i stanął na środku gościńca, a za nim Sancho i tłum pasterzy, ciekawych następstwa tego zuchwałego postanowienia.

Don Kichot zawołał donośnie, podnosząc się nieco na strzemionach.

– Przechodnie wszyscy, ktokolwiek jesteście, rycerze błędni, czy giermkowie, piesi, czy konni, co przejeżdżacie, przechodzicie, lub macie przechodzić tym gościńcem, dowiedzcie się, że Don Kichot z Manchy, rycerz błędny, czeka tu i utrzymuje, że nimfy, zamieszkujące te łąki i knieje, przewyższają w piękności i powabach wszystkie piękności na ziemi, wyjąwszy panią duszy mojej, Dulcyneę z Toboso, a kto by ośmielił się nie przystać na to, niech przybywa, oczekuję go! Po dwakroć powtórzył te wyrazy, a żaden rycerz błędny ani razu go nie usłyszał.

Traf dopomógł jego postanowieniu. Zbliżał się właśnie tłum konnych, razem jadących, po większej części ze spisami w rękach. Towarzyszący Don Kichotowi, skoro ich tylko postrzegli, oddalili się nieco, widząc, że niebezpiecznie zostawać na gościńcu. Don Kichot sam tylko z niezachwianą odwagą oczekiwał ich i Sancho stał za nim, skrywszy się za Rosynanta. Konni zbliżyli się, a przywódca zaczął wołać na Don Kichota:

– Czemuż, gapiu, z drogi nie zjeżdżasz, czy chcesz, żeby cię byki na kawałki rozszarpały?

– Chamy – odezwał się Don Kichot – a toście też natrafili na takiego, co by się miał byków obawiać! Wyznajcie, nikczemni, wyznajcie, że to, co utrzymywałem, jest prawdą, a nie, to gotujcie się do walki!

Człowiek ten nie miał czasu odpowiedzieć, ani Don Kichot zejść z drogi, bo gromada byków, wołów, poganiaczów i pastuchów potrąciła naszego rycerza i giermka, zwaliła obydwu na ziemię razem ze szkapami i srodze potratowawszy, ruszyła dalej.

Don Kichot powstał nagle; pomieszany upadkiem i z wolna przyśpieszając kroku, zaczął biec za gromadą, wołając z całych sił:

– Hola! chamy, wstrzymajcie się, jeden to rycerz was wyzywa, a nie zwykł on przebaczać uciekającemu wrogowi.

Don Kichota czy nikt nie słyszał, czy też nie zwracał uwagi na prośby, gromada coraz się bardziej oddalała, a rycerz zbity, strudzony i rozgniewany, że uszli jego zemsty, zmuszony był usiąść na ziemi, czekając na Sancha, który wkrótce przybył z Rosynantem i osiołkiem, tak potłuczonymi, że zaledwo na nogach ustać mogli. Awanturnicy nasi wsiedli na koń i zawstydzeni tą niedorzeczną przygodą, pojechali dalej gościńcem, nie pożegnawszy się z pasterzami nowej Arkadii.

Rozdział VII

Jaka Don Kichotowi przytrafiła się przygoda, którą istotnie awanturą nazwać można

Nad świeżym i przezroczystym źródłem, oblewającym malowniczo zielony gaik, awanturnicy nasi odpoczęli sobie. Rozkiełznawszy Rosynanta i burego, otrzepali kurz z sukien, obmyli

sobie ręce, twarze i odwilżyli usta. Potem Sancho, najczujniejszy i najprzemyślniejszy z giermków, udał się do tłumoczka, a wydobywszy nieco żywności, rozłożył przed panem na murawie. Don Kichot tak był stratowany srodze, że nie myślał o jedzeniu, a Sancho, przez wrodzoną uległość, nie śmiał pierwej od pana dotknąć mięsiwa, ale widząc, że pan jego zaczyna błąkać się w zwykłych marzeniach, wybił sobie z głowy względy uszanowania i zaczął żwawo pożywać, jakby od dwóch tygodni nic w ustach nie miał.

– Jedz, przyjacielu Sancho – rzekł Don Kichot – jedz, używaj przyjemności życia, na których się lepiej ode mnie rozumiesz, a mnie pozwól umrzeć w nieszczęść moich ostateczności. Urodziłem się, Sancho, na to, żeby żyć umierając, ty zaś, żeby umrzeć jedząc. Tak, tak, prawdę ci powiadam, boć sławny jestem w historii o życiu moim ogłoszonej, sławniejszy w czynach moich, uczciwy w postępkach, poważają mnie książęta, wszystkie damy czczą i kochają, a jednak, kiedy właśnie miałem prawo spodziewać się palm, wawrzynów i triumfów, na które męstwo moje i wojownicze zasługują czyny – nikczemne, obmierzłe bydlęta tratują mnie na gościńcu, a wszyscy, co dowiedzą się o tej przygodzie, słusznie pogardzać mną będą. Mniemasz, przyjacielu, że gorycz tej okropnej myśli nie zdoła przytępić zębów, odjąć smaku, umysłu i ciała przygnębić? Wierz mi, dziecko moje, że nie mam odwagi podnieść ręki do ust, toteż postanowiłem umrzeć z głodu śmiercią najstraszniejszą ze wszystkich.

– To pan daleki bardzo – odrzekł Sancho, połykając chciwie – od zrozumienia przysłowia: Niech śmierć tnie obuchem, byle z pełnym brzuchem. Ja zaś nie jestem taki głupi, żebym się miał sam uśmiercać i będę zawsze tak robił jak szewc, co to rozciąga skórę zębami, przedłużać będę życie, jedząc aż do śmierci. Dalipan, panie,

nie ma większego głupstwa od rozpaczy, jeszcze nikt na niej dotychczas nie wyszedł dobrze. Wierzaj mi pan, zjedz pan trochę, a zjadłszy, prześpij się ze dwie godziny na trawie, brzuchem do góry. Jeżeli panu nie będzie lepiej, powiesz pan wtedy, żem osioł.

Don Kichot dał się namówić nareszcie, wiedząc sam, że filozofia naturalna lepsza jest od wszystkich rozumowań, i rzekł do Sancha:

– Sancho, mój synu, gdybyś chciał zrobić to dla mnie, o co cię prosić będę, ulżyłbyś wielce cierpieniom. Kiedy ja, słuchając twojej rady i dla odpoczynku, zdrzemnę się nieco, oddal się stąd, weź uzdę Rosynanta i wylicz nią sobie po plecach tylko trzysta lub czterysta batów, bo winieneś przecie trzy tysiące trzysta batów za rozczarowanie Dulcynei, bo doprawdy wstyd, żeby ta dama przez twoją niedbałość mogła się w takim stanie znajdować.

– Trzeba o tym pomyśleć – odparł Sancho. – Tymczasem prześpijmy się nieco obydwaj, a potem zobaczymy co zrobić wypadnie. Myśli pan, że to rozsądnie wychłostać się tak samemu z zimną krwią, zwłaszcza, kiedy baty spadają na ciało osłabione i źle żywione? Niech pani Dulcynea nabierze trochę cierpliwości, wkrótce zjawię się u niej niespodziewanie, najokropniej batem ochłostany. Do śmierci wszystko jest życiem, to jest, że nigdy nie ma nic straconego, zawsze doczekać się można wszystkiego, a ja nie zapomnę dotrzymać obietnicy.

Don Kichot, podziękowawszy Sanchowi, rozciągnął się z nim na murawie, a Rosynant i bury, niespętane, wierzgały i pasły się na łące.

Już było późno, kiedy się awanturnicy nasi obudzili i spiesznie wsiedli na koń, ażeby wcześniej zajechać do gospody, która wydawała im się odległa o milę; powiadam gospody, bo tak ją nazwał Don Kichot, na przekór zwyczajowi nazywania wszystkich

gospód zamkami, co niewymownie ucieszyło Sancha. Zajechawszy, zapytali karczmarza, czy znajdzie się dla nich miejsce. Odpowiedział im, że się znajdzie nie tylko miejsce, ale i wszelkie wygody, jakich im się tylko zażąda. Zsiedli więc z rumaków, a Sancho, umieściwszy rzeczy w stancji, od której klucz dał mu karczmarz, przywiązał Rosynanta i burego do żłobu w stajni i wrócił do pana, który usiadł na cembrowinie studni. Kiedy pora wieczerzy nadeszła, Don Kichot poszedł do stancji, a Sancho zapytał się tymczasem gospodarza, co ma na wieczerzę.

– Wymień pan tylko – odrzekł karczmarz – mięso, czy ryby, wszystko w tej chwili na panów usługi, nigdy jeszcze zajęców, króliczków, kuropatw, słomek, zwierzyny i drobiu nie zabrakło u mnie.

– Nam tyle nie potrzeba – odparł Sancho – poprzestaniemy na parze kurcząt, pan mój jest bardzo delikatny, je mało i ja także nie jestem największym żarłokiem w świecie.

– Co do kurcząt – odrzekł gospodarz – już ich nie ma, niestety, jastrząb pożarł mi wszystkie.

– No, to każ nam dać, panie gospodarzu – rzekł Sancho – tłustą i kruchą pulardkę.

– Pulardę! – zawołał gospodarz, tupiąc nogą – do licha, posłałem wczoraj pięćdziesiąt pulard na targ do miasta, ale może co innego pan rozkaże?

– Musisz pan mieć zapewne kawał cielęciny lub młodej koźliny? – zapytał Sancho.

– Na nieszczęście, nie mam w tej chwili, z rana ostatni mi zjedli kawałek – odrzekł gospodarz – ale na przyszły tydzień będę miał z pewnością.

– E! – rzekł Sancho – właśnie nam też tego potrzeba, ręczę, że wszystkie te wielkie zapasy skończą się na jajach i słoninie.

– Bardzo to dobry pomysł – rzekł gospodarz – ale mówiłem panu, że nie ma kur, skądże jaj wezmę? Może pan na czym innym poprzestanie, a dajmy pokój wszystkim tym przysmaczkom!

– E! do stu diabłów, skończmyż raz, mości gospodarzu – zawołał Sancho – powiedz wasan prędzej, co masz na wieczerzę i nie nudź mnie dłużej.

– Chcesz pan wiedzieć, co mam? – odrzekł gospodarz – oto mam dwie nogi wołowe świeżuteńkie, gotowiuteńkie z cebulą i musztardą, królewska potrawa!

– Nogi wołowe – odrzekł Sancho – zatrzymuję dla mnie, niech nikt nie waży się ich dotknąć, zapłacę drożej, do diaska! toć to moje najulubieńsze jadło!

– Zachowam je dla pana – odrzekł gospodarz – bo goście moi jacyś ludzie w znaczeniu widać mają tu z sobą kucharza i wszelkie zapasy.

– Co do znaczenia – rzekł Sancho – mój pan nikomu nie ustępuje, ale zawód jego nie pozwala mu wozić z sobą kucharza i służby. My sobie jemy bez ceremonii na łące, czasem tylko orzechy laskowe lub kasztany.

Rozmowa na tym się skończyła, a choć gospodarz zapytywał się, jaki obowiązek jego pana, Sancho odszedł nie odpowiedziawszy. Kiedy godzina wieczerzy nadeszła, gospodarz zaniósł wychwaloną potrawę do stancji Don Kichota, który zabrawszy się do spożycia, usłyszał z sąsiedniej stancji, cienkim z trzciny przepierzeniem odgrodzonej, następującą rozmowę:

– Proszę pana, Don Geronimo, przeczytajmy jeszcze jeden rozdział z drugiej części *Don Kichota*, zanim przyniosą wieczerzę.

Skoro nasz rycerz usłyszał swoje nazwisko wstał od stołu i zaczął słuchać uważniej. Don Geronimo odpowiedział:

– Skądże ci przyszła taka ochota do przeglądania tych niedorzeczności, mości Don Juanie? Przeczytawszy pierwszą część

Don Kichota, co za przyjemność zabierać się do drugiej!

– Zgoda – odparł Don Juan – ale nie ma znów książki tak złej, w której by czegoś dobrego znaleźć nie można. A co mnie najbardziej gniewa, to, że Don Kichot przestał się kochać w Dulcynei z Toboso.

Na te słowa zatrząsł się z gniewu Don Kichot i zawołał na całe gardło:

– Ktokolwiek śmie powiedzieć, że Don Kichot z Manchy zapomniał lub może zapomnieć Dulcyneę z Toboso, kłamie najbezczelniej, dowiodę mu tego z bronią w ręku, bo nieporównanej Dulcynei z Toboso nie można zapomnieć. Zapomnienie to niegodne jest Don Kichota z Manchy; wierność jest godłem jego, a zawodem dotrzymanie jej niezachwianie aż do śmierci!

– Kto tam mówi? – zapytano z drugiej stancji.

– A któż – odrzekł Sancho – jeżeli nie sam pan Don Kichot z Manchy, który dowiedzie bardzo dobrze tego, co powiada i kiedykolwiek powiedzieć może.

Zaledwie Sancho to powiedział, drzwi się otwierają, Don Geronimo i Don Juan wbiegają do stancji, a jeden z nich, rzucając mu się na szyję, powiada:

– Obecność pańska nie uchybia sławie pana, jak sława obecności, mości rycerzu! Jesteś pan zapewne rzeczywisty Don Kichot z Manchy, gwiazda i ozdoba błędnego rycerstwa, na przekór temu, co ośmielił się przybrać nazwę waszą i usiłuje zaćmić blask waszych wielkich czynów, jak się to okazuje z książki, którą wam przywiozłem.

Don Kichot, nic nie mówiąc, wziął książkę i przejrzawszy nieco kilka kartek, zwrócił.

– W tych kilku ustępach – rzekł – które pobieżnie w tej książce przeczytałem, znalazłem trzy rzeczy godne nagany. Naprzód: kilka słów w przedmowie, po wtóre: język aragoński, bo często brak przedimków, po trzecie: dowód, że autor jest nieukiem, że myli się i chybia w najważniejszej części historii, nazywając żonę Sancho Pansy, giermka mojego, Marią Guttierez miasto Teresą Pansa, rzeczywistym jej nazwiskiem. Autor zaś myląc się w tak ważnym przedmiocie, może się i w innych pomylić.

– A to mi dopiero panicz, ten historyk – wtrącił Sancho – jemuż to się mieszać do naszych czynów, kiedy śmie nazywać żonę moją, Teresę, Marią Guttierez. Och! panie, przeczytajno pan jeszcze raz tę książkę, proszę pana, chciałbym dowiedzieć się, czy mówiąc o mnie, nie zmienił także mojego nazwiska.

– Jak widzę, mój przyjacielu – odrzekł Don Geronimo – to jest Sancho Pansa, giermek pana Don Kichota?

– Tak jest, panie, to ja sam i przykro by mi było, gdyby to miał być kto inny.

– Istotnie – rzekł kawaler – nowy ten autor nie opisuje tak wasana, jak zdajesz się na to zasługiwać. Robi z ciebie żarłoka i prostaka wcale niepociesznego, słowem, zupełnie to inny Sancho, niż w pierwszej części historii twojego pana.

– Niech mu Bóg przebaczy – odrzekł Sancho – lepiej by zrobił, gdyby zupełnie o mnie zapomniał.

Kawalerowie zaprosili Don Kichota do swojej izby na wieczerzę, wiedząc, że w tej gospodzie nie dostanie nic takiego, co by godne było jego osoby. Don Kichot, uprzejmy i grzeczny, nie dał się prosić i odszedł z kawalerami. Sancho owładnął wyłącznie potrawkę z nóg wołowych, ale zaprosił do uczestnictwa gospodarza. Jedli z najlepszym smakiem, jakby jakie specjały, popijając, gawędząc i śmiejąc się serdecznie. Don Juan tymczasem zapytał się Don

Kichota, czy ma teraz jakie wiadomości o Dulcynei z Toboso, czy poszła za mąż, czy ma dzieci, czy nie w ciąży przypadkiem i na koniec, czy myśli kiedy wynagrodzić bohaterską stałość pana Don Kichota z Manchy?

– Dulcynea – odrzekł Don Kichot – jeszcze jest panną, zamiary moje są stalsze niż kiedykolwiek, a jej surowość zawsze ta sama, ale piękność jej przemieniła się w szpetność ordynaryjnej chłopki.

I natychmiast opowiedział im zaczarowanie Dulcynei, wypadek w jaskini Montesinos, sposób doradzany przez Merlina na odczarowanie jego damy, to jest baty, które Sancho miał sobie sam wypalić. Panowie ci zachwyceni byli, dowiedziawszy się z ust samego Don Kichota przygód jego życia i zadziwieni tylu bzikami, oraz wytwornym sposobem opowiadania ich, brali go raz za wariata, to znów za człowieka ze zdrowym rozsądkiem, nie mogąc powziąć o nim dokładnego wyobrażenia.

Sancho po wieczerzy, zostawiwszy gospodarza w stanie dosyć wesołym, udał się także do stancji tych panów i rzekł, wchodząc:

– Dalipan, proszę panów, ten, co napisał tę książkę, nie ma ochoty być długo ze mną w przyjaźni, ale chciałbym jednak, ażeby nazwawszy mnie już żarłokiem, nazwał mnie też i pijakiem.

– A nie inaczej, zaręczam ci – odrzekł Don Geronimo – ale już nie przypominam sobie w którym miejscu. Wiem tylko, że jego Sancho jest niedorzecznym, złym żartownisiem, gdy tymczasem dość spojrzeć na oblicze szanownego Sancha, ażeby się przekonać, jak dalece autor jest oszczercą.

– Wierzcie mi, panowie – rzekł Sancho – Sancho i Don Kichot w waszej książce muszą być zupełnie innymi ludźmi, niż Sancho i Don Kichot w historii Benengelego, gdzie pan mój jest mądry, waleczny i rozkochany, a ja prostak i wesoły, ale nie żarłok i pijak.

– Tego samego jestem zdania – rzekł Don Juan – i oprócz Cyda Hameda, trzeba zabronić, aby pierwszy lepszy autor ośmielił się opisywać czyny wielkiego Don Kichota, tak jak Aleksander zabronił, ażeby ktokolwiek, oprócz Apellesa, ośmielił się portret jego malować.

– Niech kto chce konterfekt mój robi – rzekł Don Kichot – ale niech się ma na baczności, nim się do niego zabierze, bo i mnie już brak cierpliwości.

– I cóż można zrobić nieprzyjaznego Don Kichotowi – rzekł Don Juan – za co by się pomścić nie potrafił, chyba, że sam zechce się uzbroić w tarczę cierpliwości, która, jak sądzę, nie jest najmniejszą z jego cnót!

Przepędzili część nocy na takich rozmowach, ale mimo wszystkich fortelów Don Juana, ażeby znaglić Don Kichota do czytania dalej tej książki, czy przypadkiem na inne by nie natrafił niedorzeczności, rycerz przystać na to nie chciał, mówiąc, że tak jakby przeczytał, że uważa ją całą za kłamliwą napaść. Gdyby zaś przypadkiem autor miał się kiedy dowiedzieć, że mu wpadła do rąk, nie chciał, ażeby pismak mógł przypuszczać, że się zajął przeczytaniem jej, bo uczciwy człowiek nie tylko nie powinien zatrzymywać myśli nad przedmiotami brudnymi i nieprzyjemnymi, ale i oczy od nich odwracać.

Don Juan zapytał go, jakie w tej chwili ma zamiary i dokąd jedzie. Odpowiedział, że udaje się do Saragossy na igrzyska, które w tej porze rok rocznie tam się odbywają. Don Juan powiedział mu jeszcze, że w owej książce jest wzmianka, jak Don Kichot miał się znajdować w tym samym mieście w czasie wyścigów do pierścieni, jak biedak bez pomysłu i rozumu, śmieszny, kutwa w ubraniu i przyborach, ale bogaty w niedorzeczności i bziki.

– Jeśli o to idzie – odparł Don Kichot – nowy historyk będzie miał oczywiste zaprzeczenie, noga moja nie postanie w Saragossie i wszyscy przekonają się, że nie jestem tym Don Kichotem, którego on opisuje.

– Bardzo waszmość dobrze zrobisz – rzekł Don Geronimo – właśnie też są turnieje w Barcelonie, gdzie wielmożność wasza waleczność swoją będzie mógł okazać.

– To jest właśnie mój zamiar, a ponieważ już czas udać się na spoczynek, żegnam waszmość panów i proszę zaliczyć mnie w poczet najlepszych przyjaciół i najwierniejszych sług swoich.

– Raczcie panowie i mnie zrobić ten zaszczyt – dodał Sancho – może się wam będę mógł na co jeszcze przydać.

Pan i sługa odeszli do swojej stancji, zostawiając kawalerów w uwielbieniu nad tą mieszaniną głupstwa i rozumu. Nie dorozumiewali się, że to był właśnie prawdziwy dar Don Kichota i Sancha, o których pierwsza część tej historii tyle narobiła hałasu. Skoro dzień zaświtał, Don Kichot wszedł do ich stancji i pożegnał się z nimi; Sancho tymczasem obrachował się z gospodarzem, zapłacił mu hojnie, radząc, ażeby nadal mniej chwalił, a bardziej dbał o zaopatrzenie w żywność gospody.

Rozdział VIII

Jaka zdarzyła się Don Kichotowi przygoda w drodze do Barcelony

Świeży i pogodny poranek piękny dzień zapowiadał. Don Kichot wyjechał z gospody, wywiedziawszy się o najbliższej drodze do Barcelony, bo nie chciał już jechać do Saragossy, ażeby zadać kłamstwo autorowi aragońskiemu, co się z nim tak źle obszedł w swojej historii. Przez sześć dni podróży żadna mu się nie przytrafiła przygoda, ale siódmego dnia gdy zboczyli z gościńca, noc

ich niespodzianie zaszła pod rozłożystymi drzewami, gdzie musieli zatrzymać się, nie znając dobrze drogi. Zsiedli z koni i oparłszy się każdy o pień drzewa, postanowili w ten sposób doczekać się dnia. Sancho, który rankiem nieco był sobie podchmielił, zasnął natychmiast, ale Don Kichot, któremu marzydła spać nie dozwalały, nie mógł zamknąć oczu, owszem, sto przedmiotów dziwacznych snuło mu się po głowie, a wyobraźnia przenosiła go w sto miejsc rozmaitych. Wyobrażał sobie jaskinię Montesinos, to znów Dulcyneę, przemienioną w chłopkę i jadącą na ośle, to zdawało mu się słyszeć słowa mądrego Merlina, który doradzał mu, jakim sposobem można ją odczarować. Zamyśliwszy się nad tym, rozpaczał nad powolnością Sancha, który dał sobie dopiero, jak sam powiadał, pięć batów, o czym wspomnieć nawet nie warto, bacząc na sumę całą. Myśl ta strudziła go tak dalece, że postanowił sam załatwić natychmiast tę sprawę.

– Jeżeli Aleksander Wielki – rzekł do siebie – przeciął węzeł gordyjski, mówiąc, że wszystko jedno: rozwiązać czy przeciąć, i mimo to był panem Azji całej, czemuż mnie nie miało by się udać odczarowanie Dulcynei, gdybym na przykład sam wyłatał skórę Sanchowi? Boć jeżeli skuteczność lekarstwa tego polega na tym, ażeby Sancho dostał trzy tysiące trzysta batów, co mnie to obchodzi, czy sam je sobie wyliczy, czy też mu je kto inny przyłoży, najważniejsza rzecz, ażeby dostał baty?

Powziąwszy więc niezłomne postanowienie i zaopatrzywszy się w popręgi, które od siodła Rosynanta odwiązał, z wolna zbliżył się do Sancha i zaczął mu odpinać sprzączkę od spodni. Sancho, budząc się nagle, zawołał:

– Kto tam? kto mi spodnie odpina?

– To ja – odrzekł Don Kichot – przyszedłem naprawić uchybienia twoje i znaleźć lekarstwo na moje troski. Muszę cię ochłostać,

Sancho, i uwolnić od pewnej części długu, który sam zaciągnąłeś. Nikczemny! Dulcynea ginie, ty żyjesz bez troski, a ja umieram z rozpaczy i tęsknoty. Rozepnij się więc dobrowolnie, bo mam niezłomne postanowienie dać ci przynajmniej dwa tysiące batów w tym samotnym i ustronnym miejscu.

– Bardzo proszę, daj pokój – odrzekł Sancho – bo dalipan, zacznę krzyczeć, że aż każdy głuchy mnie usłyszy. Baty, do których się zobowiązałem, powinny być dobrowolne, a nie wymuszone, i w tej chwili nie mam do nich najmniejszej ochoty. Niech panu słowo moje wystarczy, że pozwolę się zbić, kiedy mnie weźmie chętka, aleć na nią trzeba poczekać.

– Och! nie mogę polegać na tobie, mój przyjacielu! – zawołał Don Kichot – twarde masz serce i dbasz zanadto o skórę.

Mówiąc to, chciał mu zdjąć spodnie, ale Sancho powstał nagle i ująwszy pana oburącz, podstawił mu nogę i przewrócił go, potem przyciskając mu kolanem brzuch, schwycił obie ręce i tak go trzymał, że Don Kichot ani się mógł ruszyć, ani odetchnąć.

– Jak to, zdrajco – zawołał – przeciwko panu swojemu, przyrodzonemu panu, przeciw temu, co ci chleb daje!

– Nie zdradzam króla mojego – odrzekł Sancho – bronię tylko sam siebie, będąc sam dla siebie panem i królem. Niech wasza wielmożność zaręczy mi, że da mi pokój i nie będzie myślał o batach, to puszczę pana, a jak nie, zdrajco! nieprzyjacielu Don Sanchy, umrzesz natychmiast!

Don Kichot obiecał uroczyście i przysiągł na życie Dulcynei, że już nigdy wymagać od niego nie będzie nic innego, jak tylko dotrzymania słowa.

Sancho powstał i zaczął szukać innego miejsca do noclegu, dosyć z daleka od pana. Wlazłszy pod jakieś drzewo, poczuł nagle, że mu

coś głowy dotyka, maca rękoma i poznaje dwie nogi ludzkie w trzewikach i pończochach.

Przestraszył się i poszedł pod drugie drzewo, gdzie toż samo napotkał.

– Do mnie, panie Don Kichocie, do mnie – zawołał – na pomoc!

Don Kichot poszedł, zapytując o powód krzyku.

– Drzewa te napełnione są nogami ludzkimi w trzewikach – odrzekł Sancho.

Don Kichot pomacał i odgadując zaraz, co to takiego:

– No, tylko się na przestrachu skończyło – rzekł do Sancha – te nogi ludzkie należą zapewne do trupów bandytów i bandolierów, których na tych drzewach powieszono, bo to musi być miejsce, gdzie po schwytaniu ich wymierzają im sprawiedliwość i tu i ówdzie przyczepiają ich do gałęzi. To mnie przekonywa, że musimy być tuż przy Barcelonie.

Jakoż tak było. Wkrótce dzień zaświtał i zobaczyli, że wszystkie prawie drzewa uginały się pod ciężarem trupów bandolierów. Okropny ten widok zadziwił ich, ale gorzej było, kiedy zobaczyli dążących ku nim przynajmniej piętnastu takich złoczyńców. Wyszli oni nagle zza drzew i po katalońsku krzyczeli, żeby się nie ruszali z miejsca i czekali na dowódcę.

Don Kichot pieszo, nie mając ani konia, ani spisy pod ręką, słowem, bez obrony, co miał począć? Opuścił też głowę, zachowując odwagę na lepszą sposobność. Bandolierzy zdjęli z osła wszystkie juki i nic nie zostawili w walizce i tłumoczku. Szczęściem, że Sancho miał na sobie podarowane od księcia talary i pieniądze pańskie w pasku pod koszulą. Ci uczciwi ludzie byliby się i do tego dobrali, gdyby ich dowódca nie był nadszedł. Był to człowiek około lat trzydziestu pięciu, dobrego wzrostu, silnej budowy, dobrej miny, cery trochę za śniadej, ze spojrzeniem pewnym i otwartym,

w którym się nawet coś chętnego i uczciwego malowało. Miał na sobie pancerz i cztery pistolety w pasie, z tych, co to w tym kraju piersiowymi nazywają; są to jakby małe muszkiety; dosiadał dzielnego rumaka. Zobaczywszy, że giermkowie jego (tak nazywają oni ludzi temu pięknemu rzemiosłu oddanych) obdarliby Sancha, kazał im puścić go i tym sposobem pas został uratowany. Dowódca, zdziwiony widokiem spisy opartej o drzewo i tarczy leżącej na ziemi, a Don Kichota w zbroi od stóp do głowy, z miną smutną i melancholiczną, zbliżył się do niego i rzekł mu:

– Nie obawiaj się, waszmość! nie wpadłeś w ręce niebezpiecznego wroga. Jestem Roque Ginar, nie umiem źle się obchodzić z tymi, co mi nigdy krzywdy nie zrobili.

– Nie dlatego mi przykro – odparł Don Kichot – o waleczny Roque, którego sława nie zna granic na ziemi, że jestem w twojej mocy, ale że ci żołnierze znienacka i nieporządnie mnie ujęli, kiedy prawa rycerstwa błędnego, które jest moim zawodem, brzmią wyraźnie, żeby zawsze być czujnym i samemu sobie być placówką, bo trzeba, żebyś się dowiedział, waleczny Roque, że gdyby mnie byli zastali konno, ze spisą i tarczą w dłoni, nie tak by łatwo poradzili sobie ze mną. Wiesz dobrze, jaka jest sława Don Kichota z Manchy.

Dosyć było tego dla Roqua Ginar, żeby dorozumieć się, jaka choroba trapiła Don Kichota. Często o nim słyszał, ale przypuścić nie mógł, żeby prawdę o nim mówiono, nie mogąc wytłumaczyć sobie, jak takie dziwactwa zagnieździć się mogą w umyśle człowieka. Szczęśliwy był, że go spotkał i że będzie mógł sam osądzić, czy oryginał odpowiedni był kopiom.

– Mężny rycerzu – powiedział – pociesz się i nie uważaj za nieszczęście stanu, w którym się znajdujesz. Może to nie upadek, może to przesilenie, które utrwali twój los podupadły. Niebo cuda

tworzy nieznanymi drogami, podnosząc pokornych, wzbogacając biednych.

Don Kichot miał już składać dzięki godne siebie i wielkiego Roqua, kiedy usłyszeli nagle za sobą tętent koni, jakby się tłum jaki przybliżał. Był to jednak jeden tylko jeździec, ale pędził na dziarskim rumaku. Zobaczyli, że to młodzieniec bardzo dobrej powierzchowności, około lat dwudziestu; ubrany był w adamaszek ze złotą koronką, kapelusz odwinięty po walońsku, buciki zgrabne, szpadę, sztylet i ostrogi pozłacane, trzymał muszkiet w ręce i dwa pistolety zatknięte miał za pasem.

– Szukałem cię, dzielny Roque – rzekł jeździec, nadjechawszy – żeby u ciebie znaleźć lekarstwo, a przynajmniej pociechę w strapieniu. Jak to, nie poznajesz mnie? Jestem Klaudia, Hieronima, córka Simon-Forte, najlepszego twojego przyjaciela, a wroga zaciętego Klokela Forellas, który należy do stronnictwa twoich nieprzyjaciół. Don Wincenty Forellas, syn jego, niedawno temu zakochał się we mnie, znalazł sposobność oznajmić mi o tym. Ja, wiedząc, że to zacny młodzieniec, a widząc, że przystojny, słuchałam go przychylnie, nareszcie obiecał ożenić się ze mną i dał mi na to słowo, ja mu także mojego nie odmówiłam. Polegając tak na sobie nawzajem, czekaliśmy spokojnie, żeby rodzice nasi pogodzili spory między sobą i zezwolili na małżeństwo nasze. Tymczasem dowiaduję się wczoraj, że ten niewdzięcznik żeni się z inną, którą dziś właśnie ma poślubić. Możesz sobie wyobrazić, jakie ta nowina wywarła na mnie wrażenie, mojego ojca nie było w domu, przywdziałam więc strój, który widzisz i popędziłam za Don Wincentym. O milę stąd dognałam go i natychmiast, nie bawiąc się w żadne wymówki, nie dawszy mu czasu do wytłumaczenia się, strzeliłam do niego najprzód z muszkietu, potem z dwóch pistoletów i pomściłam się za tę zniewagę. Padł

na ręce służby swojej, która nie śmiała go bronić. Przychodzę prosić cię, żebyś mnie odprowadził do Francji, gdzie mam krewnych, a jak powrócisz, żebyś obronił ojca mojego od zniewag, których od ojca i przyjaciół Don Wincenta nie zabraknie.

Roque zdziwiony powierzchownością i pięknością Klaudii i jej postanowieniem, obiecał ją odprowadzić dokąd zechce, ale przede wszystkim rzekł:

– Zobaczymy, czy wróg pani już nie żyje, zobaczymy potem, co zrobimy.

Don Kichot, widząc co się dzieje:

– Nie trzeba – rzekł – żeby ktokolwiek trudził się opiekowaniem tej damy, to moja rzecz, podejmuję się jej. Oddajcie mi tylko broń moją, poszukam tego rycerza i umarłego czy żywego zmuszę do dotrzymania słowa.

– Och, dalipan – rzekł Sancho – będzie gracko, jeśli się mój pan w to wmiesza. Najszczęśliwszą ma pod słońcem rękę do kojarzenia małżeństw i niedawno temu zmusił jednego do dotrzymania słowa narzeczonej i gdyby czarnoksiężnicy, prześladujący go, nie przemienili tego człowieka w lokaja, biedna ta dziewczyna byłaby już dotychczas za mężem.

Roque myśląc dogodzić i usłużyć pięknej Klaudii, nie zwrócił uwagi na to, co mówił pan i sługa, albo też udawał, że nie zwraca, ale kazał oddać Sanchowi wszystko, co mu ludzie jego zabrali, i kazawszy mu się potem schronić w tym samym miejscu, gdzie noc przepędzili, pojechał z Klaudią szukać Don Wincenta, Nie znaleźli go tam, gdzie go Klaudia zostawiła, tylko krew świeżo rozlaną, a oglądając się na wszystkie strony, zoczyli kilku ludzi opodal, z wolna wstępujących na wzgórze; domyślili się, że to służba niosła Don Wincenta. Spięli konie, a dognawszy ich wkrótce, ujrzeli, jak służący nieśli Don Wincenta, który umierającym głosem prosił,

żeby mu tu pozwolili umrzeć, bo ból i krew, płynąca z ran, nie dozwalały mu pójść dalej. Na ten widok zmieszana Klaudia zsiadła z konia i zbliżyła się do Don Wincenta, a walcząc między zemstą a czułością, wzięła go za ręce i rzekła:

– Gdybyś mnie nie był zdradził, Don Wincento, nie znajdowałbyś się w tak opłakanym stanie.

Biedny kawaler otworzył na wpół oczy, a poznając Klaudię:

– Wiem dobrze, kochana Klaudio – rzekł słabym głosem – że to ty śmierć mi zadałaś! Nie wiem, co cię do tego skłoniło, ale chęci moje i zamiary nie zasługiwały na taką karę.

– Więc to nieprawda – rzekła Klaudia – że miałeś dziś poślubić Leonorę, córkę Balwastra?

– Ja! – odrzekł Don Wincento – fałsz, kłamstwo, nie myślałem nigdy nawet o tym. Moje nieszczęście to sprawiło, żeś uwierzyła i odebrała mi życie. Ale ponieważ wyzionę ducha w twoim objęciu, nie umrę bez pociechy i jeszcze jestem szczęśliwy, że mogę ci dać szczere oznaki stałości uczuć moich. Ściśnij mi dłoń, kochana Klaudio, i weź mnie za małżonka, nigdym w życiu innego szczęścia nie pragnął, ale radośnie mi przy śmierci, że mogę cię wyprowadzić z błędu, który cię zniewolił do zabicia mnie.

Klaudia ścisnęła mu rękę i nagle gwałtowna boleść przeszyła jej serce, padła zemdlona na zakrwawione ciało małżonka, który nagle wyzionął z długim westchnieniem smutne ostatki życia swojego...

Służba pobiegła natychmiast po wodę, pokropiono im twarze, ale tylko Klaudia przyszła do siebie, a ujrzawszy na obliczu Don Wincenta nieochybne oznaki śmierci, którą mu zadała, oddała się już zupełnie boleści swojej, rwąc sobie włosy, rozdzierając ciało. Słowa jej przekonywały, że już nigdy nie znajdzie pociechy.

– No, cóż okrutna – wołała – dobrze ci teraz? Zemsta twoja już się nasyciła, kochanek twój nie może już do innej należeć; ale

nieszczęsna, sama się pozbawiasz tego, któregoś kochała, i zazdrość twoja wtrąciła do grobu tego, co tylko żył dla ciebie. Umieraj niegodna, umieraj ze wstydu i hańby, że przeżyłaś wiernego małżonka, umieraj z bólu i rozpaczy, żeś się stała mimowolnym, niegodnym narzędziem zemsty Boga i ludzi! Niestety! wierny kochanku – dodała, ściskając czule Don Wincenta – więc cię nieodzownie muszę utracić i dlategośmy się tylko złączyli na chwilę, żeby się potem na wieki rozłączyć!

Gdy tak nieszczęśliwa Klaudia rozwodziła żale, służący Don Wincenta łzami się zalewali i sam Roque nawet, co nie zwykł był płakać, zwilżone miał oczy i niemniej od drugich zdawał się smucić.

Roque nareszcie rozkazał służącym Don Wincenta zanieść ciało nieboszczyka do domu ojca, w sąsiedztwie będącego. Skoro odjechali, Klaudia powiedziała mu, że ma zamiar opuścić świat zupełnie i zamknąć się w klasztorze, gdzie jej ciotka była ksienią.

Roque, pochwaliwszy to postanowienie, chciał jej towarzyszyć, zaręczając, że będzie bronił jej ojca od napaści Don Wincenta i innych nieprzyjaciół. Nieszczęsna podziękowała mu za to wszystko najczulej i odjechała w rozpaczy. Roque, wróciwszy do ludzi swoich, zastał Don Kichota wpośród nich konno, usiłującego rozumnym dowodzeniem odwieść od tego rodzaju życia, tak niebezpiecznego dla ciała i duszy, ale byli to po większej części Gaskończycy, plemię dzikie i szorstkie, nie zwracali więc uwagi na to, co im mówił i szydzili z niego.

Roque zapytał się Sancha, czy mu wszystko oddali.

– Wszystko – odrzekł Sancho – prócz trzech czepków nocnych, które warte najmniej tyle, co trzy miasta.

– Co pleciesz, chamie – rzekł jeden z bandolierów – ja właśnie wziąłem te czepki, niewarte dziesięciu groszy.

– To prawda – wtrącił Don Kichot – ale mój giermek bardzo je ceni z powodu osoby, która mu je podarowała.

Roque rozkazał, żeby zwrócić czepki, a uszykowawszy szeregiem bandolierów, kazał przynieść łupy. Były tam drogie kamienie, złoto, srebro, sprzęty rozmaite. Oceniwszy każdy przedmiot lub obliczywszy na pieniądze to, co się nie dało podzielić, rozdał wszystko pomiędzy bandę tak umiejętnie i rozsądnie, że każdy odszedł zadowolony.

– Widzisz waszmość – rzekł do Don Kichota po tym podziale – gdybym nie zachowywał z tymi ludźmi porządku i słuszności, niepodobna byłoby wytrzymać z nimi.

– Dalipan – rzekł Sancho – sprawiedliwość jednak niezłą jest rzeczą, kiedy się nawet między takimi łotrami utrzymuje.

Jeden z bandolierów, usłyszawszy te słowa półgłosem wymówione, wziął go na cel z rusznicy i byłby mu głowę na miazgę roztrzaskał, gdyby nań Roque nie był krzyknął. Sancho przestraszył się nie lada i przysiągł sobie, że nie otworzy już nigdy ust pomiędzy ludźmi nierozumiejącymi żartów. Wtem nadszedł jeden z bandolierów, czyhających na gościńcu na przechodniów.

– Panie – rzekł – jakiś tłum ludzi zbliża się ku Barcelonie.

– A nie uważałeś – zapytał Roque – czy to są ci, co my ich szukamy, czy też ci, co nas szukają?

– To ci, co my ich szukamy – odparł bandyta.

– Na koń, dzieci – rzekł Roque – i przytaszczyć mi ich tu wszystkich co do jednego.

Bandoliery cwałem popędzili, a Roque, pozostawszy z rycerzem i jego giermkiem, rzekł do Don Kichota:

– Ten rodzaj życia może się zapewne bardzo dzikim wydawać panu Don Kichotowi z Manchy i nie dziwiłbym się temu bynajmniej. U nas ciągle nowe przygody, nowe wypadki, a zawsze

niebezpieczne; sam przyznaję, że nie może być niespokojniejszego i wyuzdańszego życia. Co do mnie, zaplątałem się w nie z powodu zemsty, którą poprzysiągłem, a która trapi mnie ciągle i spocząć nie dozwala. Jestem zazwyczaj usposobienia łagodnego i dobrotliwego, ale, jak powiedziałem, chęć pomszczenia się za obrazę, którą mi wyrządzono, zwichnęła wszystkie moje dobre zamiary i muszę wytrwać aż do czasu w tym nieszczęsnym rzemiośle, mimo innych zupełnie skłonności. Z jednej przepaści, jak wiecie, wpada się w drugą, ale ja nie tylko myślę zemścić się za siebie, chcę się zemścić i za drugich. Mimo to wszystko, ufam w miłosierdzie Boże nad ułomnością ludzką, że mi nie dozwoli zginąć marnie w tym odmęcie, wydostanie mnie z tej toni, w którą mnie ludzie wtrącili.

Don Kichota zadziwiło bardzo wyznanie Roqua, nie przypuszczał, iżby pomiędzy rzezimieszkami mógł się znajdować człowiek takich wyobrażeń i uczuć zacnych, a korzystając z chwili do okazania pobożności swojej, odrzekł mu:

– Mości Roque! wielki to wypadek dla zdrowia poznanie choroby i chętne usposobienie chorego do zażycia potrzebnych lekarstw. Waszmość chory jesteś, ale wiesz, co ci dolega, udaj się do Boga, on jest nieomylnym lekarzem, nie omieszka zesłać ci lekarstw, co cię z pewnością wyleczą, a tym skuteczniej działać będą, że natrafią na dobre usposobienie. Oświecony grzesznik prędzej się poprawi od głupca, bo umiejąc ocenić złe i dobre, wstyd mu nareszcie będzie własnych występków. Tymczasem głupiec, zaślepiony w własnej niedorzeczności, działa tylko instynktem i nie lęka się oddać namiętnościom i nałogom, których nie pojmuje niebezpieczeństwa. Odważnie więc, mości Roque! Waszmość masz rozum i przezorność, poradź się ich dokładnie, a bądź pewny, że z czasem zdołasz wyleczyć duszę zupełnie. Ale kiedy chcesz postępować łatwo na drodze zbawienia, porzuć ten rodzaj życia, chodź ze mną, nauczę

cię rzemiosła błędnego rycerza. Jest to nieprzebrana ilość trudów i przygód niebezpiecznych, które trzeba będzie ofiarować Bogu i znosić je za pokutę, potem będziesz w niebie.

Don Kichot tą radą rozśmieszył wodza bandolierów i ten, zmieniając rozmowę, opowiedział mu smutne zakończenie przygody Klaudii Hierominy, której słuchając Sancho, widocznie się smucił, bo mu ta panna bardzo przypadła do smaku.

Tymczasem bandolierzy przyprowadzili jeńców: dwóch konno nieźle odzianych, dwóch pielgrzymów pieszo i kolebkę, w której były kobiety, a za nimi siedmiu, czy ośmiu ich służących pieszo i konno, dalej jeszcze dwóch służących na mułach, co do owych jeźdźców należeli. Bandolierzy otoczyli ten tłum ludzi, nastało milczenie, wielki Roque się przybliżył.

Zapytał naprzód dwóch jeźdźców, co za jedni i dokąd jechali.

– Panie! – odrzekł jeden z nich – jesteśmy kapitanami w piechocie, kompanie nasze stoją w Neapolu, jedziemy właśnie do Barcelony, gdzie chcemy wsiąść na okręt, bo podobno stoją w porcie cztery galery, mające odpłynąć do Sycylii. Mamy około dwóchset lub trzechset talarów, co dla nas już się wydaje bogactwem, bo jak pan wiesz zapewne, w rzemiośle naszym skarbów nie da się zebrać.

– A wy skąd? – zapytał Roque pielgrzymów.

– Jaśnie oświecony panie! – rzekli – wsiadamy na statek, żeby pożeglować do Rzymu, i mamy przy sobie może ze sześćdziesiąt realów.

Roque zagadnął potem kobiety w kolebce, jeden ze służby odrzekł mu, że to była Senora Dona Gujomar de Quinones, żona zarządcy wikariatu neapolitańskiego z córką swoją, jeszcze jedną panną i ochmistrzynią, że sześciu jej towarzyszyło, trzech konno, trzech pieszo i że pieniądze ich wynosiły sześćset talarów.

– Mamy więc tym sposobem – rzekł Roque – około dziewięciuset talarów i sześćdziesięciu realów. Jest u mnie sześćdziesięciu żołnierzy, policzcież dobrze, co się każdemu należy, bo ja nie umiem dobrze rachować.

– Niech żyje wielki Roque Guinard – zawołali chórem bandolierzy – niech żyje na przekór nikczemnikom, co go zgubić pragną!

Kapitanowie spuściwszy głowy, żałowali pieniędzy, pani rządczyni i jej towarzystwo zapomniało zupełnie, czy jest radość na świecie, a biednym pielgrzymom wcale się śmiać nie chciało. Roque pozostawił ich przez chwilę w tym stanie, potem, zwracając się naprzód do kapitanów, rzekł:

– Mości kapitanowie! przez grzeczność pożyczcie mi sześćdziesiąt talarów, a pani rządczyni, da mi, jeżeli łaska, osiemdziesiąt. Jest to konieczna nagroda dla moich żołnierzy, bo każdy żyć musi ze swojego rzemiosła. Potem idźcie sobie, gdzie wam się podoba, dam wam glejt bezpieczeństwa, żeby was wojska moje w pobliżu będące nie napadły, bo nie chcę, żeby się u mnie źle obchodzono z wojskowymi, ani z kobietami, zwłaszcza też znacznymi.

Kapitanowie nieskończenie dziękowali Roquemu za łaskawe i wspaniałomyślne obejście, wynosząc go aż pod niebo za to, że im zwrócił część pieniędzy. Señora Gujomar chciała wysiąść z koleby i cisnąć mu się do nóg, ale nie chciał na to pozwolić, owszem, przeprosił ją najgrzeczniej za mimowolną krzywdę, którą dla uspokojenia żołnierzy musiał jej wyrządzić. Rządczyni i kapitanowie oddali, co im kazano, a biedni pielgrzymi zabierali się do oddania wszystkich pieniędzy, widząc, że ich nie oszczędzono. Roque kazał im zaczekać i zwracając się do ludzi, rzekł:

– Z tych stu czterdziestu talarów, każdemu z was po dwa się należy, z dwudziestu resztujących, dajcie połowę jedną tym

pielgrzymom, a drugą uczciwemu temu giermkowi, żeby sobie przyjemnie tę przygodę wspominał.

Potem, kazawszy dać sobie papieru i atramentu, napisał glejt, w którym nakazywał wszystkim podwładnym wolne przepuszczenie całego towarzystwa; odjechało też ono wkrótce, uwielbiając postępek wielkiego Roque'a, grzeczność jego i dobrą minę, biorąc go raczej za dworskiego rycerza, niż za korsarza. Jednemu z bandolierów nie podobał się ten postępek wodza i zaczął głośno wyrzekać:

– Do krocset diabłów – zawołał po katalońsku – nasz wódz lepszy by był na mnicha, a nie na bandoliera, ale jeżeli ma ochotę być szczodrym, to niech rozporządza swoimi, a nie cudzymi pieniędzmi.

Biedak mówił głośno i Roque go usłyszał; wydobył w tej chwili miecza i palnął po łbie, że o mało go nie rozpłatał.

– Tak karcę krzykaczy i krnąbrnych – zawołał.

Ani jeden nie śmiał się ruszyć, tak umiał wdrożyć obawę i posłuszeństwo dla siebie. Potem, odszedłszy nieco na bok, napisał list do jednego z przyjaciół swoich w Barcelonie, donosząc mu, że miał u siebie sławnego Don Kichota z Manchy, owego znakomitego, błędnego rycerza, o którym tyle w Hiszpanii mówiono, zaręczając mu, że to był bardzo pocieszny człowiek, któremu wcale nie brak było dowcipu. Obiecywał za cztery dni zawieźć go do Barcelony w uroczystość Św. Jana Chrzciciela. Rycerz będzie od stóp do głów uzbrojony, na pysznym Rosynancie z wiernym Sancho giermkiem swoim na ośle. Prosił go, ażeby uwiadomił o tym rodzinę Niarrot, przyjazną mu, której chciał sprawić tę przyjemność, życząc sobie, żeby nieprzyjazna mu rodzina Kadeliks żadnego udziału w tej uciesze nie miała. Widział jednak, że to niepodobieństwo, bo bziki pana i błazeństwa giermka za wielkie były, ażeby się całe miasto nie miało z nich cieszyć.

List odniósł bandolier przebrany za chłopa i oddał szczęśliwie podług adresu.

Rozdział IX

Jaka się stała Don Kichotowi przygoda przy wjeździe do Barcelony i o wielu innych rzeczach raczej prawdziwych, niż urzędowych

Don Kichot, bawiąc trzy dni u Roque'a, coraz nowe widział u niego rzeczy. Nigdy na jednym miejscu długo nie postali, obiadowali w jednym, wieczerzali w drugim. Czasem uciekali bez powodu lub zatrzymywali się niepotrzebnie, zawsze żwawo i ochoczo, spali na koniu, to na ziemi, ale przy ciągłej zmianie miejsca sen był często przerywany. Szpiegów ciągle po wsiach rozsyłali, a placówki dobrze uzbrojone, pilnie strzegły śpiących. Roque nigdy razem z żołnierzami nie sypiał, nie wiedzieli nawet nigdy, w jakim miejscu noc przepędzą.

Wicekról Barcelony nałożył cenę na jego głowę, nie pokładał więc zupełnego zaufania u żołnierzy swoich, obawiając się, czy by chciwość nie skłoniła przypadkiem którego do zdrady i wydania go w ręce sprawiedliwości. Nareszcie Don Kichot, Roque, Sancho i sześciu bandolierów, jadąc pobocznymi drogami, zajechali nocą do Barcelony w wigilię Św. Jana. Roque i Don Kichot przed bramą miejską powiedzieli sobie mnóstwo komplementów, podziękowali nawzajem i uściskali się w chwili pożegnania. Roque z ludźmi pojechał w swoje strony, Don Kichot i Sancho, nie zsiadając z rumaków, oczekiwali świtu.

Z wolna jasna jutrzenka zaczynała się pokazywać na krużgankach wschodu, rozrzucając płynne perły na trawy i kwiaty. Po rozdaniu tych codziennych podarków, twarz jej rumieńszą przybrała barwę

i ustąpiła miejsca słońcu, które zaczęło ozłacać i upiększać całą przyrodę okoliczną. Don Kichot i Sancho, spoglądając na wszystkie strony, ujrzeli morze, po raz pierwszy w życiu. Wydało im się ogromnym, znacznie szerszym od jeziora Ruidera, które w Manchy widzieli. Ujrzeli galery w porcie z różnobarwnymi flagami muskającymi powietrze.

Nagle zabrzmiał odgłos obojów, trąb, bębnów i piszczałek, powietrze drżało rozkosznie pod tym natarciem wojowniczej muzyki. Galery zaczęły się poruszać i niby to walkę staczając, biły ze wszystkich dział, artyleria na wałach miasta odpowiadała im, a mnóstwo jeźdźców wyjechało za miasto w ozdobnym odzieniu, stosując krok rumaków do poruszeń okrętów. Wszystko tchnęło radością wokoło, morze było spokojne i dzień najpogodniejszy, leciutki wietrzyk odświeżał powietrze, rozpędzając dym i kurz z kanonady. Sancho uwielbiał wszystko, na co patrzył, szeroko otwierał usta i oczy z podziwu, ani razu nie przepomniał schylić dobrze głowy za każdym strzałem armatnim. Wtem orszak jeźdźców, świetnie przybranych, cwałem zbliżył się do Don Kichota w niemym uwielbieniu zatopionego, a jeden z nich (właśnie ów, do którego Don Roque list pisał), zaczął wołać:

– Witamy, witamy zwierciadło, polarną gwiazdę błędnego rycerstwa, wielkiego, walecznego, niezrównanego Don Kichota, prawdziwego rycerza z Manchy, o którym Cyd Hamed Benengeli, perła historyków, takie nam wierne dał wyobrażenie, bo nie ma co nawet wspominać o tym drugim autorze, który przywłaszczyć sobie śmiał sławną nazwę dla usprawiedliwienia czczych bajek i niedorzeczności.

Don Kichot nic nie odpowiedział i nie miał na to czasu, bo wszyscy jeźdźcy otoczyli go, harcując wokoło, śmiejąc się,

szepcząc, a muzyka nie przestawała wesołych trelów. Widząc to, nasz rycerz rzekł do Sancha:

– No, ci, to się przecie na nas poznali, założyłbym się, że czytali historię naszą i to, co niedawno ów Aragończyk śmiał napisać.

Jeździec, który już przedtem odezwał się do Don Kichota, zbliżył się do niego i rzekł:

– Zrób nam pan zaszczyt, mości Don Kichocie, i chciej należeć do naszego orszaku. Znajdziesz pan tu samych bliskich przyjaciół Roque Guinarda, gotowych na usługi twoje.

– Jeżeli grzeczność jedna – odparł Don Kichot – płodzić ma drugą, wasza, mości kawalerze, musi być córką lub przynajmniej bliską krewną grzeczności sławnego Roque'a. Jedźmy, gdzie waszmość państwo rozkażecie, wszędzie udam się za wami, zwłaszcza też tam, gdzie zechcecie zażądać ode mnie jakiej przysługi.

Kawaler odpowiedział na komplement Don Kichota komplementem niemniej wyuczonym i ujmującym i wszyscy przy dźwięku trąb i obojów wjechali do miasta. Ale widać czarownicy już na samym wstępie czyhać musieli na rycerza. Dwóch uliczników, nie wiadomo przez kogo namówionych, zuchwale przedarłszy się pomiędzy końmi, dostało się aż do Don Kichota i włożyło pod ogony Rosynantowi i buremu po sporym pęczku ostu. Biedne rumaki, poczuwszy nowy ten rodzaj ostróg, stuliły ogony, cierpiąc jeszcze bardziej, a nie mogąc zrzucić kolącej męczarni, zaczęły wierzgać, stawać dęba i zrzuciły nareszcie panów swoich na ziemię. Don Kichot, zawstydzony i rozgniewany bardziej, niż by się na pozór zdawało, wstał i oderwał oset Rosynantowi, Sancho buremu. Jeźdźcy tymczasem puścili się za zuchwałym motłochem, ale niepodobna było ich schwytać, zginęli w tłumie. Nareszcie Don Kichot i Sancho wsiedli znów na koń, a ów przyjaciel Roque'a, zamożny obywatel w Barcelonie, zaprowadził ich

do siebie, gdzie ich też na teraz zostawimy, bo Cyd Benengeli pragnie zakończyć ten rozdział.

Rozdział X

Taka przytrafiła się Don Kichotowi przygoda z zaczarowaną głową

Gospodarz Don Kichota nazywał się Don Antonio Moreno, kawaler bogaty i pełen rozumu, który lubił wesołość, ale smaczną. Widząc Don Kichota u siebie, umyślił zabawić się z jego bzików, nie robiąc mu przykrości, bo żart powinien mieć granice, tam gdzie jest obraza, nie ma już żartu. Naprzód więc namówił go, żeby zdjął zbroję i wyprowadził go w owym sławnym kaftanie na ganek, wychodzący na główną ulicę, gdzie wszyscy przechodnie zastanawiali się, przyglądając się mu jak małpie. Potem owi jeźdźcy, świetnie przybrani, zaczęli przed nim wyścigi i igrzyska, jakby to tylko dla niego, a nie z powodu święta robili. Sancho nader był wesół i najlepiej wróżył sobie ze wszystkiego tego, co widział, wyobrażając sobie, że to nowe wesele Gamasza, dom jak Don Diego de Miranda, i zamek, gdzie na niczym, jak u księcia, nie zbywało. Na obiedzie u Don Antonia zebrało się kilku przyjaciół, którzy wiele uszanowania okazywali dla Don Kichota, uważając go zawsze za błędnego rycerza, mówili z nim tak ceremonialnie i grzecznie, że rycerz nie posiadał się z radości. Sancho tyle pociesznych bzików naplótł, że wszystkich rozweselił, a wszyscy służący znów krzątali się koło niego, śmiejąc się na całe gardło.

– Mości giermku – rzekł Don Antonio, podczas obiadu – mówiono nam tu, że tak bardzo masz lubić blamanże i łakotki, że jak wszystkiego nie spożyjesz przy obiedzie, chowasz podobno do kieszeni na dzień następny?

– To nieprawda, jasny panie – odrzekł Sancho – nie jestem żarłokiem ani brudasem, a niech jego wielmożność sam pan Don Kichot powie, że często przez osiem dni starczyła nam na dzień garść orzechów laskowych i pół tuzina cebuli. Oczywiście, darowanemu koniowi w zęby nie zaglądają, to jest, kiedy mi kto da jeść, jem, ani się pytam. Kto zaś powiedział, żem żarłok i brudas, ten skłamał, z przeproszeniem jasnego pana, i gdyby nie w tym towarzystwie, przezwałbym go inaczej.

– Rzeczywiście – wtrącił Don Kichot – ochędóstwo Sancha podczas jedzenia zasługuje, aby było wyrytym na spiżu, jako przykład dla potomności. Kiedy głodny, może trochę za chciwie spożywa, połyka kawał po kawałku, ale co do czystości, nigdy pod tym względem nie uchybił. Kiedy był wielkorządcą nie miał nawet apetytu, jadł bardzo delikatnie, na przykład winogrona i ziarnka granatów spożywał widelcem.

– Jak to! – zawołał Don Antonio – pan Sancho był wielkorządcą?

– Tak, jasny panie – odrzekł Sancho – byłem wielkorządcą na wyspie Barataria, sprawowałem tam rządy przez dziesięć dni; w usta, prawda, lej co chcesz, ale straciłem tam spokojność, rozum, tuszę i nauczyłem się pogardy wszystkich rządów, toteż nie opuściłem tej władzy, ale uciekłem od niej. Po drodze wpadłem do rowu z burym, myśleliśmy już oba, że nie powstaniemy, aleć, chwała Bogu, cud jakiś nas zbawił.

Don Kichot opowiedział potem przygodę Sancha w czasie sprawowania rządów, a całe towarzystwo bardzo się z tego ucieszyło, serdecznie się śmiejąc co chwila. Po skończonym obiedzie, Don Antonio wziął Don Kichota pod rękę i zaprowadził go do pokoju, gdzie jedyny sprzęt i ozdoba składała się ze stołu na pozór jaspisowego, na nodze z tegoż samego materiału wspartego, na którym stało popiersie brązowe jakiegoś rzymskiego

cesarza. Po chwilowej przechadzce naokoło stolika Don Antonio rzekł do Don Kichota:

– Teraz, mości Don Kichocie, pewnym będąc, że nikt nas nie podsłuchuje, muszę też waszmości opowiedzieć dziwny bardzo szczegół, o jakim pewno jeszcze dotychczas nie słyszałeś, pod warunkiem atoli, jeżeli łaska, że to będzie tajemnicą pomiędzy mną a panem.

– Możesz mi waszmość pan zaufać, Don Antonio – odrzekł Don Kichot – daję panu słowo moje. Ten, do którego mówisz, ma tylko oczy i uszy, ale ani kawałka języka. Skoro mi otworzysz serce, bądź pewien, że tak jakbyś pogrzebał myśl swoją w głębinach milczenia.

– Po tym zapewnieniu – odrzekł Antonio – opowiem waszmości rzeczy, które cię zachwycą, i sam pozbędę się przecie tej tajemnicy, której ciężarem nie wiedziałem dotąd, z kim się podzielić. Głowa ta, którą spostrzegasz, mości Don Kichocie, a raczej całe to popiersie, zrobił jeden z najzręczniejszych czarowników, podobno Polak jakiś, uczeń sławnego Lescot, o którym tyle cudów opowiadał. Przez czas niejaki bawił u mnie, a za tysiąc talarów zrobił mi tę głowę, mającą dar odpowiadania na wszelkie zapytania, tylko do ucha trzeba jej powiedzieć. Przyglądał się dobrze ruchowi gwiazd, kreślił mnóstwo cyfr i nareszcie, wybrawszy punkt właściwej konstelacji, doprowadził ją do tej doskonałości, której jutro będziesz miał dowód, bo w piątek niemą jest zawsze i daremnie się jej dziś pytać. Pomyśl pan trochę nad zapytaniami, które jej myślisz zadać, a doświadczenie przekona waszmość, że prawdę mówię.

Don Kichot, nader zdziwiony tym, co mu Don Antonio o tej głowie powiedział, nie mógł przypuszczać, ażeby dar taki posiadać mogła, ale ponieważ wkrótce miał się przekonać, podziękował bardzo gospodarzowi za powierzenie tak ważnej tajemnicy. Wyszli. Don Antonio zamknął drzwi od tajemniczego pokoju na klucz

i wrócili do sali, do towarzystwa, gdzie Sancho kilka przygód panu opowiedział. Wieczorem udali się wszyscy na przechadzkę, Don Kichot był bez zbroi, tylko w kaftanie z grubego farbowanego sukna, w którym by Lapończyk pocił się w zimie, siedział nie na Rosynancie, ale na spokojnym mule. Na plecach, na kaftanie, nie czuł, jak mu przylepiono kawałek pergaminu z napisem wielkimi głoskami: „Oto Don Kichot z Manchy". Wszyscy przechodnie, śmiejąc się, czytali ów napis, a nasz rycerz bardzo się dziwił, że dość spojrzeć na niego, aby wymienić sławne nazwisko. Sancho zaś został w domu i służba miała rozkaz strzec go i nie wypuszczać.

– Don Antonio – odezwał się Don Kichot, jadąc przy nim – przyznaj waszmość jednak, że błędne rycerstwo ma w sobie coś wielkiego i doskonałego, kiedy dla ludzi, temu zawodowi oddanych, natychmiast sławę zyskuje. Słyszysz, panie, jak wszyscy mówią o mnie, prosty lud, dzieci małe znają mnie, nie widząc przedtem ani razu?

– Spostrzegam aż nadto dobrze, mości Don Kichocie – odparł Don Antonio – jak ogień zawsze wydaje płomień, po którym go poznać można, tak cnota rzuca blask, który się łacno dostrzeże, zwłaszcza też cnota w ciężkich wojennych trudach zyskana.

Wtem przechodzący Kastylijczyk jakiś, przeczytawszy pergamin, zaczął wołać:

– Niech cię wszyscy diabli porwą Don Kichocie z Manchy! To ty żyjesz jeszcze po tych kijach, co ci wsypano? Straszny z ciebie wariat i gdybyś nim sam tylko był, to jeszcze mniejsza! Ale twoje szaleństwo jest zaraźliwe, udziela się wszystkim tym, co patrzą na ciebie, dość spojrzeć na towarzyszów twoich. Idź do diabła, wracaj do domu zająć się dobytkiem, żoną i dziećmi, nie wierć sobie darmo w mózgu – i tak już on dobrze przewiercony.

– Mój przyjacielu – zawołał Don Antonio – idź sobie spokojnie i nie radź nikomu, kiedy rad nikt od ciebie nie wymaga.

Pan Don Kichot jest bardzo rozumny i my także niezupełnie głupi, a cnotę uczcić potrzeba, gdzie bądź się ją spotka. No, no, ruszaj prędzej i nie czekaj powtórzenia!

– Dalipan, masz pan słuszność – odrzekł Kastylijczyk – darmo bym czas marnował dając rady temu biednemu wariatowi. Ale aż litość bierze, ażeby zdrowy rozsądek, którego mu w niektórych razach nie brak, gubił się w tym marnym błędnym rycerstwie.

Kastylijczyk odszedł nareszcie, mrucząc ciągle, a jeźdźcy nasi postępowali z wolna dalej, ale taki tłok ciągle się wokoło nich powiększał, że Don Antonio musiał nieznacznie zdjąć Don Kichotowi ów napis. Skoro noc nastała, powrócili wszyscy do Don Antonia, gdzie żona jego, przystojna bardzo kobieta i wesołego usposobienia, zaprosiła kilka przyjaciółek dla uczczenia gościa i uciechy z nadzwyczajnych bzików rycerza. Wieczerza była świetna, damy postrojone, a po wieczerzy bal. Były tam dwie damy bardzo dowcipne i wesołe, a dla zabawy całego towarzystwa wzięły Don Kichota w swoje obroty. Jak tylko z jedną przetańczył, zaraz z drugą musiał hasać. Zmęczyły go do tego stopnia, że pot kroplami ciekł mu po twarzy i zaledwie mógł się poruszać. Cudna była ta postać, chuda, długa, wymokła, z oczyma wpadłymi, cerą żółtą i jakby przydymioną, z wąsem długim, ale opuszczonym, a kaftan tak na nim dobrze leżał, że prawie wszystkie szwy pękały. Kobiety nęciły go, mrugały ukradkiem, wabiły, jakby się wszystkie w nim zakochały, ale on pogardzając nimi w duszy, bał się tylko publicznie ich zawstydzić. Nareszcie, kiedy już nie mógł sobie z nimi dać rady, zawołał:

– Z dala ode mnie, szatanki! dajcie mi pokój, opuśćcie mnie niecne uczucia! darmo czas marnotrawicie, piękne damy! Niezrównana

Dulcynea z Toboso, jedyna pani serca mojego, nie znosi triumfu drugich!

Powiedziawszy to, siadł na środku sali na podłodze, cały mokry i zbity ze zbytku tańca.

Don Antonio prosił go, ażeby się udał na spoczynek i kazał go służącym zanieść do jego pokoju. Sancho pierwszy pomógł panu podnieść się z ziemi i rzekł:

– O do licha, panisko się zatańczyło! To pan myśli, że wszyscy chwaci musieli tańcować, a wszyscy wojacy byli błędnymi rycerzami. Myliłeś się pan bardzo, jeśliś tak sądził. Jeden będzie tak odważny, że się na olbrzyma rzuci, a nie potrafi zgrabnie wywijać nogami. Bo też to nie tak bardzo łatwo! Ba! gdyby o to szło, ażeby skacząc, bić się piętami w plecy, trzeba mnie było zawołać, skakałbym za pana, bo, chwała Bogu, rozumiem się na tym i nie chwalący się, toć to moje rzemiosło. Co do innych tańców, to już nie moja rzecz, toteż nie dbam o nie. Niech każdy robi to, co potrafi, na mało się przyda małpować lub udawać zucha tam, gdzie nie potrzeba! Towary są na wszelką cenę, ale są niektóre nietrwałe, toteż wiedząc o tym, trzeba je oszczędzać, bo się rychło zużyją. A co najgorsza, że są materie, których nie znajdzie u kupca, kiedy się podrą, to dobranoc, nie ma już nic do roboty!

Całe towarzystwo uśmiało się z dowcipkowań Sancha, który z drugim służącym położył Don Kichota w łóżku i dobrze go okrył, ażeby jeszcze obfitszy pot wyleczył go z utrudzenia.

Nazajutrz Don Antonio, zapytawszy się Don Kichota, czyby nie chciał widzieć doświadczenia z głową zaczarowaną, zaprowadził go z Sanchą do tajemniczego pokoju, gdzie już było dwóch szlachty z miasta, żona jego i owe dwie damy, z którymi bohater nasz tyle się nahasał. Don Antonio, zaryglowawszy drzwi, obeznał całe towarzystwo z dziwnym darem zaczarowanej głowy, prosił

o tajemnicę, nadmieniając, że to dopiero pierwsze doświadczenie. Dwaj kawalerowie tylko w rzeczywisty sekret byli wtajemniczeni, ale mogli się i oni zadziwić, bo wszystko przewybornie było urządzone. Don Antonio, zbliżywszy się najpierwszy do tajemniczej głowy, zapytał jej cichym głosem, ale że wszyscy mogli słyszeć:

– Mocą daru, który posiadasz, powiedz mi, głowo, co myślę w tej chwili?

Głowa, nie poruszywszy ustami, głosem czystym i wyraźnym odpowiedziała:

– Nie wyrokuję o myślach.

Wszyscy się zadziwili, a kobiety przestraszyły, bo przy stole i w całym pokoju nie było nikogo, co by mógł odpowiedzieć, prócz samej głowy.

– Ilu nas tu? – zapytał jeszcze Don Antonio.

– Ty, twoja żona – odrzekła głowa – dwóch przyjaciół, dwie przyjaciółki, sławny rycerz Don Kichot z Manchy i giermek jego, Sancho Pansa.

Wszyscy się jeszcze bardziej zadziwili i wszyscy przelękli.

– Dość tego! – rzekł Don Antonio, odchodząc. – Na dowód, że mnie nie oszukał ten, co mi ją sprzedał za mądrą, mówiącą, cudowną i nieporównaną głowę, niech się kto inny przybliży i zapyta, co zechce.

Kobiety zazwyczaj są najciekawsze, jedna więc z owych tancerek zbliżyła się i zapytała:

– Powiedz mi, głowo, co robić, ażeby być bardzo piękną?

– Być bardzo rozsądną – odrzekła głowa.

– Nie pytam się więcej – odrzekła dama, ustępując miejsca towarzyszce, która zagadnęła:

– Chciałabym wiedzieć, umiejętna głowo, czy mój mąż kocha mnie?

– Uważaj jak żyje z tobą, a dowiesz się – odpowiedziała głowa.

– Bardzo trafna odpowiedź – rzekła dama – po uczynkach widzi się usposobienie serca.

Jeden z przyjaciół Don Antonia zapytał:

– Co ja za jeden?

– Wiesz o tym.

– Nie o to się pytam – rzekł szlachcic – chcę dowiedzieć się, czy mnie znasz?

– Znam cię bardzo dobrze – odrzekła głowa – jesteś Don Pedro Noriz.

– Dość mi na tym, cudowna głowo, widzę, że nic dla ciebie nie ma skrytego.

Drugi szlachcic zbliżył się, zapytując:

– Jaki ma zamiar najstarszy z moich synów?

– Powiedziałam już – odrzekła głowa – że nie wyrokuję o myślach, ale powiem ci, że syn twój myśli często, jak prędko cię pogrzebią.

– Znam go dobrze – odrzekł szlachcic – i nie pragnę więcej wiedzieć.

Żona Don Antonia zbliżyła się i rzekła do głowy:

– Nie wiem, o co się zapytać – oto chciałabym wiedzieć, czy długo będę żyła z kochanym moim mężem?

– Długo – brzmiała odpowiedź – bo dobre zdrowie i uczciwy sposób życia obiecują mu długie życie, które wielu skraca sobie rozpustą i nałogami.

Don Kichot zbliżył się z poważną swoją miną i głosem, radzącym się wyroczni, zapytał:

– Powiedz mi, ty, co tak dobrze odpowiadasz, czy to sen, czy prawda to, co napotkałem w jaskini Montesinos? Czy Sancho, mój

giermek, da sobie baty, według obietnicy? Dulcynea da się odczarować?

– Co się tyczy jaskini – odparła głowa – o tym dużo mówić; przygoda ta jest na wpół snem, na wpół prawdą. Baty Sancha będą skuteczne i zaczarowanie Dulcynei skończy się.

– Więcej nie pragnę wiedzieć – rzekł Don Kichot – obym tylko mógł ujrzeć odczarowaną Dulcyneę, a pewnym będę zwycięstwa nad wszelkimi przygodami w życiu.

Sancho ostatni zagadnął głowę w tych słowach:

– Powiedz mi, głowo, czy nie będę jeszcze miał jakiego wielkorządztwa? Czy porzucę kiedy w życiu nędzne giermka rzemiosło, zobaczę żonę i dzieci?

Odpowiedziano mu:

– Będziesz rządził we własnym domu, jeśli powrócisz; zobaczysz się z żoną i dziećmi, jeśli ich zastaniesz, a kiedy przestaniesz służyć, przestaniesz być giermkiem.

– Do kata, nie trzeba być czarnoksiężnikiem – zawołał Sancho – na taką odpowiedź. To ja dobrze wiem o tym.

– A cóż chcesz, bydlę, ażeby ci powiedziano? zapytał Don Kichot. – Czy ci nie dość, że odpowiedzi głowy zgodne są z pytaniami?

– Jeśli pan każe, to dosyć – odparł Sancho – ale chciałbym, ażeby się jaśniej wytłumaczyła i więcej powiedziała.

Na tym się zakończyły pytania i odpowiedzi, ale zadziwienie towarzystwa nie skończyło się; wszyscy byli w uwielbieniu, oprócz przyjaciół Don Antonia, którzy znali tajemnicę. Cyd Hamed Benengeli, nie chcąc zbytecznie zaostrzać ciekawości czytelnika i obawiając się, ażeby nie myślał, iż jest magia w tak nadzwyczajnej rzeczy, tak ten szczegół wyjaśnia. Don Antonio, ciekawy z natury, kazał sporządzić tę głowę na wzór, który widział w Madrycie, ażeby się nacieszyć z niewiadomości ludzkiej. Stół i noga, oparta

na czterech orlich szponach, była z drewna, pomalowana na jaspis, głowa zaś, pomalowana na brąz, była cała wydrążona, toż samo stół i noga, w której były dwie rury, idące od ust i uszu głowy. Rury te dochodziły przez podłogę do pokoju piętrem niżej, gdzie siedział odpowiadający. Ten przykładał ucho do jednej rury, usta do drugiej, słuchał zapytań i głosił wyrocznie, głos tak dobrze płynął z tych rur, że najmniejszy słychać było wyraz. Synowiec Don Antonia, dowcipny młodzieniec, wyuczony przy tym przez stryja, odpowiadał, a wiedząc, kto się będzie zapytywał i znając mniej więcej życie każdego z nich, mógł dawać odpowiedzi już to bezpośrednie, już też zagadkowe, a zawsze dosyć trafne.

Cyd Hamed dodaje, że cudowna ta głowa jeszcze przez dwa tygodnie odpowiadała, ale ponieważ wieść o tym cudzie rozeszła się po mieście, Don Antonio, obawiając się, żeby się to do inkwizycji nie doniosło, poszedł sam donieść inkwizytorom, którzy kazali mu pogruchotać maszynę, żeby jeszcze bardziej nie ogłupiać w miarę głupiego i ciemnego ludu. Bądź co bądź, Sancho i Don Kichot uważali tę głowę za cudowną, chociaż rycerz zadowolony był z odpowiedzi, a giermek wcale niezadowolony z wyroku.

Kawalerowie z miasta, przez wzgląd na Don Antonia i korzystając z obecności Don Kichota, dla ubawienia się z jego bzików postanowili za sześć dni urządzić wyścigi do pierścieni, ale się ten projekt nie udał z powodów, które potem wymienimy. Don Kichotowi przyszła kiedyś ochota zwiedzić miasto piechotą i incognito, żeby uniknąć natarczywości motłochu. Wyszedł w towarzystwie Sancha i dwóch służących Don Antonia. Przechadzając się po ulicach, spostrzegł przypadkiem na drzwiach jednego domu napis wielkimi literami: „Tu jest drukarnia".

Ciekawość go ubodła, nigdy nie widział takiego zakładu, wszedł więc z całym orszakiem swoim zobaczyć, jak też to drukują.

Ujrzał naprzód ludzi, wydostających arkusze spod pras, drugich poprawiających formy, inni składających, słowem to, co się da widzieć w drukarni. Chodząc tu i ówdzie, przyglądając się, wypytując, zbliżył się do jednego zecera, zapytując go, czym się zajmuje.

– Panie, ten szlachcic, którego tam widzisz – odrzekł mu zecer, wskazując na mężczyznę z dobrą miną, ale bardzo serio – przełożył książkę włoską na hiszpański język, a ja składam według manuskryptu.

– Jaki tytuł książki? – zagadnął Don Kichot.

– Panie – rzekł autor – po włosku *le Bagatele*.

– Jak pan ten wyraz po hiszpańsku oddałeś? – zapyta Don Kichot.

– Bagatele – odrzekł autor – nazywamy *los Jugutés* i choć tytuł tej książki niewiele obiecuje, wcale to niezła rzecz, zawierająca wiele poważnych a składnych przedmiotów.

– Mam pretensję – rzekł Don Kichot – do znajomości włoskiego języka, czytałem kilkakrotnie Ariosta. Powiedz mi pan z łaski swojej, pytam się przez ciekawość, a nie dla zbadania pańskich wiadomości, nie znalazłeś pan przypadkiem w książce tej wyrazu *pignata*?

– Niejednokrotnie – odrzekł autor.

– Jak go pan tłumaczysz? – zapytuje Don Kichot.

– A jakżeż można inaczej, jeżeli nie wyrazem kocioł.

– Masz pan słuszność, widzę, że pan; nasz dobrze swój przedmiot, ręczę, że jak pan znajdziesz *piace* tłumaczysz – podoba się, *piu* – więcej, *su* – nad, *giù* – pod?

– Oczywiście, panie, bo też to właściwe znaczenie tych wyrazów.

– Jestem pewny – rzekł Don Kichot – że pana nie muszą dobrze znać w świecie i nie oddają panu sprawiedliwości. Mój Boże! ileż to

straconych talentów, ile cnót pogardzonych! Mimo to nie bardzo ja cenię; przekłady bowiem, to jakby kto flandryjskie tkaniny przenicował, postacie będą przebijały, ale tak siatkami jakimiś poprzerzynane, że ich poznać nie można prawie. Rozumiem tłumaczenie z greckiego lub łacińskiego, bo to dwa najlepsze języki, ale tłumaczenie z języków tej samej zwłaszcza natury, może to być użyteczne, bo można jeszcze coś mniej użytecznego zrobić, ale nie powiem, żeby w tym wiele było pomysłu. Wyjmuję z liczby tych tłumaczów sławnego Cristowala de Figueroa, który przełożył *Pastor Fido* i *Don Juana de Xauregui* tłumacza *Aminty*. Obu im tak się udało, że wątpić trzeba, czy ich prace są tłumaczone, czy oryginalne. Ale powiedz mi pan, czy pan sam każesz drukować książkę swoją, czy też z jakim księgarzem się ułożyłeś?

– Swoim własnym kosztem – odparł autor – i mam nadzieję zyskać tysiąc dukatów za pierwszą edycję, której każę wybijać dwa tysiące egzemplarzy po sześć realów.

– Boję się, żeby pana nie oszukano – wtrącił Don Kichot – nie znasz pan jeszcze wybiegów księgarskich. O, mój biedny panie, narobisz sobie więcej kłopotu, niż ci się zdaje, mając na karku dwa tysiące egzemplarzy. Książka pana musi być doskonała, żeby miała pokup.

– Więc pan chcesz – rzekł autor – ażebym sprzedał manuskrypt księgarzowi? Dałby mi dziesiątą część wartości, myśląc, że mi wielki robi zaszczyt. Chcesz pan wiedzieć prawdę? Nie drukuję moich dzieł dla sławy, zdaje mi się, że jestem dosyć znany, a publiczność niesowita, żeby się troszczyć o nią. Słowem, szukam korzyści, która więcej sowita od sławy.

– Daj Boże, żeby się panu udało! – rzekł Kichot, przechodząc do innej kaszty, gdzie korygowano arkusz z książki pod napisem: *Światło duszy*.

– Otóż – rzekł – książki, które trzeba drukować. Jest ich już sporo w tym rodzaju, ale jeszcze więcej grzeszników, a dla tylu ślepych nie może być za wiele światła.

Przeszedł znów do innej kaszty, tam robiono korektę *Drugiej części przedziwnego Don Kichota z Manchy*, napisaną przez jakiegoś tam mieszkańca Tordesillas.

– Wiem coś o tej książce – rzekł Don Kichot – myślałem, że już autora jako oszczercę spalić kazano, ale cierpliwości, nadejdzie chwila. Niepodobna, ażeby się nie poznali z czasem na tylu złośliwych niedorzecznościach, którym brak prawdopodobieństwa i wdzięku.

Mówiąc to, wyszedł z drukarni nieco rozgniewany.

Tego samego dnia jeszcze Don Antonio chciał pokazać Don Kichotowi galery, u przystani stojące. Bardzo to ucieszyło Sancha, który ich nigdy nie widział. Don Antonio posłał zawiadomić dowódcę, który już słyszał o naszym rycerzu. Mieli się tam udać po obiedzie.

Zobaczymy, co się stało w następującym rozdziale.

Rozdział XI

Jaka się przytrafiła Sancho Pansy przygoda przy zwiedzaniu galer i jaki miał wypadek z piękną Mauretanką

Don Kichot ciągle myślał o zaczarowanej głowie, nie mogąc sobie cudu tego wytłumaczyć, ale cieszył się z jej odpowiedzi co do odczarowania Dulcynei, Sancho także łamał sobie głowę, a choć wstręt miał do rządzenia, pragnąłby jednak jeszcze rozkazywać i być słuchanym, tyle jest przyjemności w wyższości nad drugim, choćby tylko żartem.

Zaraz po obiedzie Don Antonio, dwóch przyjaciół jego, Don Kichot i Sancho Pansa poszli obejrzeć galery. Zaledwie się na brzegu pokazali, dowódca, uwiadomiony o ich przebyciu, gotów był na przyjęcie. Galery rozwinęły flagi, oboje zagrzmiały ze wszech stron i spuszczono na wodę czółno, wybite dywanami i wyłożone karmazynowym aksamitem. Zaledwie nań Don Kichot wstąpił, zagrzmiały działa na kapitańskiej galerze, za którą wszystkie działa powtórzyły salwę. Zaledwie wstępował na drabinę głównej galery, wszyscy wioślarze zawołali „hura", jak się to zwykło robić dla osoby w znaczeniu. Dowódca, szlachcic z Walencji, podał mu rękę i rzekł, całując go:

– Białą kredą naznaczę ten dzień w życiu, w którym mam zaszczyt oglądać pana Don Kichota z Manchy, w męstwie swym skupiającego w sobie całą dzielność błędnego rycerstwa.

Don Kichot odpowiedział na ten komplement z całą dworskością, na jaką mógł się zdobyć, nie posiadając się z radości, że go za tak ważną poczytywano osobę.

Weszli wszyscy do kajuty tylnej, bardzo schludnie przybranej, i usiedli na ławkach i na galeryjce wokoło rudla. Hrabia tymczasem, zagwizdawszy w piszczałkę, kazał się wszystkim galernikom (złoczyńcom) rozebrać. Sancho aż się przestraszył, zoczywszy tylu ludzi obnażonych, a gdy zaczęli rozbijać namiot na pokładzie, myślał, że tylko diabli tak szybko pracować mogą. Usiadł sobie Sancho na słupie przy tyle galery zaraz obok sternika prawego. Namówiony przedtem sternik, spojrzawszy, czy wszyscy galernicy stoją rzędem, podniósł Sancha z ziemi i podał go sąsiadowi, sąsiad następnemu, tak, że w mgnieniu oka z ręki do ręki obszedł całą galerę, Biedakowi tak się pomieszało w oczach i w głowie, iż zdawało mu się, że go diabli porwali. Nareszcie posadzili go znów na tyle galery, pot spływał mu kroplami po czole i nie wiedział,

co się z nim stało. Don Kichot, widząc tę dziwną przechadzkę giermka, zapytał generała (tak będziemy zwali dowódcę), czy to jest obrządek, który z każdym nowo przybyłym odbywano. Gdyby tak było, nie miał najmniejszej ochoty poddać się zwyczajowi temu, dodając z tęgim zaklęciem, że gdyby kto ośmielił się doń przystąpić, palnie go nogą w brzuch, aż mu dusza na kark wyleci. Powstał nagle i ujął rękojeść miecza. Tymczasem zwinięto znów żagle i reje padły z łoskotem. Sancho myślał, że niebo mu spada na głowę i w przestrachu schował głowę między nogi. Don Kichot także nie był zupełnie wolny od przestrachu, zadrżał, zbladł i z trudnością przyszedł do siebie. Podnieśli znów galernicy reje z tą samą szybkością i łoskotem, ale w milczeniu, jakby głuchoniemi. Generał dał znak, żeby podniesiono kotwicę i skacząc na armatę przodową, uderzył po ramionach galerników. Galera z wolna zaczęła na morze wypływać. Sancho, ujrzawszy poruszenia tylu nóg, tak mu się farbowane wiosła wydawały:

– Cóż tu u diabła takiego? – zawołał – to są z pewnością czary, a nie w tamtych bzdurstwach, o których zwykle pan mój powiada. Ale cóż ci biedacy zrobili, żeby się tak z nimi obchodzić? A ten człowiek, co świszcze, skąd ma tyle śmiałości, żeby sam jeden tylu ludzi kańczugiem walił? Dalipan, jeżeli tu nie piekło, to z pewnością niedaleko od piekła, a przynajmniej czyściec.

Don Kichot, widząc jak Sancho się wszystkiemu z uwagą przypatruje, powiedział mu:

– Przyjacielu Sancho, dziecię moje, gdybyś też chciał rozpiąć pasek i stanąć pomiędzy tymi panami, żeby razem z nimi dostać baty, tanim kosztem dopełniłbyś odczarowania Dulcynei. Patrząc na cierpienia drugich, lżej byś zniósł ból i mądry Merlin zmieniłby ci dziesięć batów na jeden, przez wzgląd na dziarskość ręki, która bije.

Generał chciał się zapytać Don Kichota, co znaczą te baty i odczarowanie Dulcynei, ale sternik zawołał nagle, że jakiś statek wiosłowy płynął od zachodu. Generał wskoczył nagle na tył statku, wołając:

– Odważnie, dzieci, niech nam się nie wymknie! Musi to być jakiś brygantyn korsarzy algierskich.

Wszystkie galery przyłączyły się w tej chwili do galery kapitana, który kazał się dwóm puścić w pogoń, sam zaś z resztą płynął koło brzegu. Galernicy zaczęli wiosłować tak zajadle, że statek leciał, nie płynął. Ujechawszy dwie mile morskie ujrzeli brygantynę, która zaczęła uciekać, rachując na swoją lekkość. Ale daremnie, bo kapitańska galera, najbrzydsza ze wszystkich, zastąpiła mu od przodu, tak, że wszelka obrona była niepodobna, toteż sternik brygantyny kazał puścić wiosła, ażeby nie rozgniewać generała daremnym oporem.

Kiedy ich właśnie wzywano z kapitany, żeby się poddali, dwóch pijanych Turków (a całej osady było dwunastu) wypaliło z muszkietów i zabiło dwóch żołnierzy na pokładzie galery, co tak rozgniewało generała, że natarł na brygantynę, drugie galery dopomogły mu w tej chwili i mimo całej lekkości statku, ujęto go i żywcem osadę schwytano. Generał zarzucił kotwicę przy swym lądzie i wiedząc, że wicekról był na brzegu, wysłał czółno po niego, postanawiając powiesić sternika brygantyny i wszystkich trzydziestu sześciu Turków. Zapytał się następnie generał, kto był dowódcą brygantyny, na co jakiś niewolnik, renegat hiszpański, po kastylsku odpowiedział:

– Oto nasz wódz – rzekł, wskazując ręką na dwudziestoletniego zaledwie młodzieńca zadziwiającej piękności.

– Powiedz mi, psie – zawołał generał – co cię skłoniło do zabijania moich żołnierzy? Wiedziałeś przecie, że nie mogłeś się wymknąć.

Zapomniałeś więc o szacunku dla naczelnej galery? Zuchwałość to nie męstwo, zabójstwo to nie odwaga.

Sternik miał odpowiedzieć, gdy nagle zjawił się na pokładzie fregaty wicekról ze świtą swoją i kilku osobami z miasta.

– Jakże się udało polowanie, mości generale? – zapytał wicekról.

– Tak pomyślnie – odparł generał – że wasza ekscelencja ujrzy wkrótce zwierzynę, powieszoną na maszynie.

– A to dlaczego? – zagadnie wicekról.

– Bo bez żadnego powodu, przeciw wszelkim prawom i zwyczajom wojennym, zabili naszej galerze dwóch najlepszych moich żołnierzy. Poprzysiągłem więc sobie powiesić całą osadę, zwłaszcza tego młodego trzpiota, który jest sternikiem.

To mówiąc, wskazał na młodzieńca, który z więzami na ręku, z pochyloną głową oczekiwał śmierci. Wicekról, zwróciwszy oczy, ulitował się nad nim. Młodość jego, piękność i skromna jakaś mina zdawały się błagać o łaskę, postanowił uratować mu życie.

– Sterniku – zapytał – czy jesteś Turkiem, Maurem, czy renegatem?

– Ani tym, ani owym – odrzekł po kastylsku zapytany.

– Kimże jesteś?

– Jestem kobietą i chrześcijanką.

– Kobietą i chrześcijanką! – zawołał wicekról – na tym statku, w takim miejscu! Dziwne by bardzo było, ale możnaż wierzyć temu?

– Jeżeli panowie – rzekł sternik – zechcecie zawiesić na chwilę wyrok śmierci, opowiem swoje przygody.

Wzruszyły wszystkich te słowa i powierzchowność młodzieńca. Generał jednak, srodze rozgniewany, rzekł surowo:

– Opowiadaj, co ci się podoba, ale nie sądź, żebym ci darował śmierć żołnierzy moich.

– Panowie – rzekł młodzieniec – jestem córką rodziców mauretańskich, urodzoną w Hiszpanii, śród tego biednego ludu, na który tyle klęsk od razu spadło. W czasie nieszczęść naszych właśnie dwóch stryjów moich zabrało mnie z sobą do Berberii.

Choć powiedziałam, że jestem chrześcijanką, wykonawcy rozkazów królewskich nie zwrócili na to uwagi, a stryjowie przypuszczając, że to wymówka dla pozostania w Hiszpanii, gwałtem mnie z sobą uwieźli.

Matka moja była chrześcijanką, a ojciec mój został chrześcijaninem dla widoków osobistych, wyssałam z mlekiem zasady katolickiej religii i ani w słowach, ani w czynach moich skłonności do innej religii nie okazałam. Choć bardzo mnie strzeżono w domu ojcowskim, wieść o piękności mojej rozniosła się w okolicy, przyciągnęła do mnie młodego szlachcica, nazwiskiem Don Gregorio, najstarszego syna rycerza pewnego, w sąsiedztwie naszym mieszkającego. Długo by trzeba mówić, jakim sposobem zobaczył mnie, jakiego użył fortelu, żeby mówić ze mną, jakie mi dał dowody uczuć swoich i jak się ucieszył, dowiedziawszy się, że mu jestem wzajemna. Słowem, Don Gregorio postanowił nam towarzyszyć na wygnaniu i wyszedł razem z Maurami z pobliskich wiosek, mowę naszą rozumiejąc dokładnie. W czasie podróży zaprzyjaźnił się ze stryjami moimi; po pierwszym ogłoszeniu banicji Maurów, ojciec mój przeszedł do innego królestwa, żeby gdzie wynaleźć dla nas przytułek, zakopawszy pierwej mnóstwo złota, pereł i klejnotów w jednym miejscu, mnie tylko samej wiadomym, zabraniając mi poruszać je przed jego powrotom. Pojechałam do Berberii ze stryjami moimi, z kilku przyjaciółmi i znajomymi. Zatrzymaliśmy się naprzód w Algierze, prawdziwe to piekło! Król algierski, dowiedziawszy się, że mam być bardzo piękna i do tego nader bogata (co mnie zbawiło poniekąd), kazał natychmiast stawić

się, zapytując skąd rodem jestem i czy dużo z sobą bogactw przywożę. Powiedziałam mu, gdzie się w Hiszpanii rodziłam, że mam tam skarby swoje zakopane, że łatwo je wydostać, abym się do nich tylko sama dostać mogła, usiłując tym sposobem ująć go dla siebie w obawie, żeby go nie wzięła inna pokusa.

Kiedy tak rozmawiał ze mną, inne mi jeszcze zadając pytania, doniesiono mu, że przybył razem z nami nadzwyczajnej piękności młodzieniec. Poznałam, że mówią o Don Gregoriu, który jest rzeczywiście nadzwyczajnej piękności, zadrżałam o los jego, bo w tym dzikim kraju słyszałam, że piękność mężczyzn bardziej od piękności kobiet cenią. Niecierpliwy król chciał go zobaczyć i rozkazał przyprowadzić go natychmiast, zapytując mnie, czy to prawda. Wtedy, jakby w natchnieniu, odrzekłam mu, że prawda, ale, że to była kobieta przebrana za mężczyznę, prosząc go, żeby mi pozwolił ubrać ją przyzwoicie, bo by jej wstyd było przebraną znajdować się w jego obecności. Król pozwolił na to, dodając, że obaczy nazajutrz, kiedy i jakim sposobem będę mogła dostać się do Hiszpanii dla odkopania skarbu.

Uwiadomiłam Don Gregoria o grożącym mu niebezpieczeństwie, przebrałam go za Mauretankę i tego samego wieczora zaprowadziłam do króla, którego piękność jej tak zachwyciła, że przeznaczył ją na podarunek dla padyszacha i oddał pod straż jednej kobiecie mauretańskiej, żeby samemu uniknąć pokusy i żeby mu w seraju kobiety przez zazdrość nie dokuczały. Rozłączono nas, a łatwo się domyśleć, jakeśmy cierpieli po tym rozłączeniu.

Z rozkazu królewskiego wypłynęłam na tej brygantynie nazajutrz w towarzystwie dwóch tych Turków, co właśnie zabili waszych żołnierzy, tego renegata hiszpańskiego, który w duszy pozostał chrześcijaninem i pragnąłby pozostać w Hiszpanii, reszta zaś ludzi są to Turcy i Maurowie, li tylko do wiosłowej służby użyci.

Turcy przeciw rozkazowi, gdzie wyraźnie kazano mnie i renegata w chrześcijańskiej odzieży na ląd wysadzić, obawiając się, żebyśmy nie donieśli o brygantynie algierskiej, co by im w pobliżu galer groziło niebezpieczeństwem, żeglowali tylko koło tych wybrzeży i łup jakiś koniecznie schwytać pragnęli. Ubiegłej nocy odkryliśmy tę płaszczyznę, a nie wiedzieliśmy o waszych galerach; zoczono nas i wiecie, co nam się dalej przytrafiło. Biedny Don Gregorio, za kobietę przebrany, został pośród kobiet i w każdej chwili życie stracić może. Co do mnie, nie skarżę się na los; po tylu nieszczęściach, życie mi się sprzykrzyło, nie bardzo też będę żałować, kiedy je utracę. Błagam was tylko, panowie, żebyście mi pozwolili skonać w wierze chrześcijańskiej, bo niewinną jestem w postępku, którego się ci nieszczęśliwi dopuścili.

Łzy piękną twarz Mauretanki zrosiły i wielu obecnych zapłakało z litości. Wicekról, niemniej tknięty litością niż drudzy, zbliżył się do niej i ani słowa nie mówiąc, zdjął więzy z rąk.

Podczas opowiadania tej pięknej dziewczyny jakiś stary pielgrzym, który się do świty wicekróla wkręcił, nie odwracał od niej oczu. Jak tylko przestała mówić, rzucił się jej do nóg, łzami je zrosił i drżącym ze wzruszenia głosem zawołał:

– O, Anno Felicjo, najdroższa córko moja, nie poznajesz Rikota, ojca twojego? Właśnie szukałem cię wszędzie, bo żyć nie mogę bez ciebie.

Na tę nazwę Rikote, Sancho, zamyślony o figlu, który mu galernicy spłatali, podniósł głowę i przyglądając się bacznie pielgrzymowi, poznał, że to był istotnie Rikote, którego spotkał na drodze, opuszczając wielkorządztwo, a kilka razy spojrzawszy na córkę, zaręczył, że to była córka jego przyjaciela. Córka rzuciła się ojcu na szyję, długo przyciskała go w objęciu z czułością i oboje gorzko zapłakali.

– Panowie – rzekł Rikote, zwracając się do generała i wicekróla – otóż moja córka, ta nieszczęśliwa, nazywa się Anna Felicja Rikote z piękności i majątku znana w naszych stronach. Opuściłem Hiszpanię, pragnąc w innym jakim kraju znaleźć schronienie, a znalazłszy w Niemczech, wróciłem w tym odzieniu z drugimi pielgrzymami, chcąc zabrać córkę z sobą, złoto i inne kosztowności, które zakopałem. Nie znalazłem córki, tylko skarb znalazłem i dziś po tylu trudach, wybiegach i usiłowaniach, dziwnym zrządzeniem losu odzyskuję to drogie dziecię, mój skarb prawdziwy. Jeżeli niewinność nasza, łzy nasze mogą was wzruszyć, zlitujcie się nad dwojgiem nieszczęśliwych, co was nigdy nie obrazili i nie uczestniczyli w zgubnym zamiarze nieszczęśliwych swoich rodaków.

– Mości panowie – zawoła wtedy Sancho – poznaję dobrze Rikota i odpowiadam za niego, że Anna Felicja jest córką, co zaś tam o jego podróżach, poszukiwaniach, zamiarach, nic nie wiem i wiedzieć nie chcę.

Przytomnych zadziwiły nadzwyczaj wszystkie te wypadki, a dowódca galer, przybierając mniej surowy wyraz twarzy, rzekł do pięknej Mauretanki:

– Łzy pani zrobiły wrażenie, piękna Anno Felicjo, a ja o przysiędze mojej względem ciebie zapomniałem, żyj spokojnie i długo, a nieszczęśni, co cię na to wszystko narazili, niech poniosą zasłużoną karę!

Rozkazał niebawem powiesić Turków, ale wicekról tak błagał o ich życie, dowodząc, że w ich postępku więcej było szaleństwa, niż chęci napaści, że generał dał się przekonać, namyśliwszy się nadto, że zemsta z zimną krwią obmyślana niekoniecznie jest szlachetna. Zaczęto się naradzać, jakim sposobem wydostać Don Gaspara Gregorio z grożącego mu niebezpieczeństwa. Rikote ofiarowywał na ten cel dwa tysiące dukatów, które w perłach

i kosztownościach miał przy sobie; najlepszy sposób doradzał renegat, zobowiązując się powrócić do Algieru w małej łodzi z chrześcijańską osadą, a wiedząc miejsce, gdzie wylądować można i znając dom, w którym był Don Gregorio, ułatwiłby mu ucieczkę.

Generał i wicekról, nieco skrupulatni, nie chcieli ufać renegatowi i powierzyć mu chrześcijańskich wioślarzy. Ale Anna Felicja zaręczyła za niego, a Rikote zobowiązał się wykupić chrześcijan, gdyby się przypadkiem do niewoli dostać mieli. Gdy tak uradzono, wicekról pożegnał się z generałem, a Don Antonio zabrał z sobą Annę Felicję i jej ojca. Wicekról prosił go, żeby jak najtroskliwiej dbał o nią, tyle w nim wzbudziły szacunku i współczucia gładkość, przygody i zacność pięknej Mauretanki.

Rozdział XII

Jaka się niepomyślna Don Kichotowi stała przygoda, najsmutniejsza ze wszystkich

Żona Don Antonia nader uszczęśliwiona była z pobytu Anny Felicji w swym domu, obsypywała ją pieszczotami, na jakie się tylko zdobyć mogła, tak ją zachwyciły piękność i rozum. Bardzo wiele znakomitszych osób z miasta przychodziło ją odwiedzać, przyglądając się z uwielbieniem Mauretance.

Tego samego jeszcze wieczora, Don Kichot rzekł do Don Antonia, że sposób, który uradzono, aby uwolnić Don Gregoria nie bardzo mu się wydawał bezpieczny, bo wszystkiego się można było obawiać, a mało czego spodziewać. Sądził, że pewniej byłoby wysłać jego samego do Berberii, uzbrojonego, na koniu, i że wydostałby z pewnością Don Gregoria, mimo wszystkich Maurów z całego świata, tak jak Galiferos wybawił Malizandę, małżonkę swoją.

– Tak, panie – wtrącił Sancho – ale czy pan zastanowiłeś się nad tym, że Galiferos wybawił żonę na lądzie i zawiózł ją do Francji także lądem, ale tu zupełnie co innego. Jeślibyśmy nawet przypadkiem wydostali Don Gregoria, jakże go przywieźć do Hiszpanii, kiedy morze tak szerokie?

– Na wszystko się znajdzie sposób, oprócz śmierci – odparł Don Kichot. – Okręt będzie czekał w przystani, czy nie będziemy mogli wsiąść nań, choćby się temu cały ląd sprzeciwiał?

– Mówić o tym nie zawadzi – dodał Sancho – ale, panie, od słowa do rzeczy spory jeszcze kawał drogi, a co do mnie, ufam zupełnie renegatowi, który mi się wydaje zręcznym i poczciwym człowiekiem.

Don Antonio odpowiedział na to, że gdyby się renegatowi nie udało, to z pewnością odwołają się wszyscy do znanej waleczności wielkiego Don Kichota i poślą go do Berberii. We dwa dni potem renegat odpłynął na lekkiej łodzi, po sześć wioseł na ławkę, a wioślarze dzielni byli. We dwa znów dni potem generał, uprosiwszy wicekróla, żeby mu donosił o Annie Felicji i o Don Gregoriu, pożegnał się z tym dygnitarzem i galery popłynęły ku wschodowi.

Któregoś ranka Don Kichot, przechodząc się nad brzegiem morza, uzbrojony od stóp do głowy, bo, jak mówił, zbroja była jedynym jego ubiorem, a walka odpoczynkiem, ujrzał nagle zbliżającego się rycerza, uzbrojonego także od stóp do głowy, z tarczą, na której wyryty był promieniejący księżyc. Rycerz, przybliżywszy się doń, następujące słowa zwrócił głośno do Don Kichota:

– Znakomity rycerzu, waleczny Don Kichocie z Manchy, jestem Rycerzem Białego Księżyca, o sławnych czynach moich musiałeś słyszeć zapewne, przybywam tu wyzwać cię na ostrze, zmierzyć swe siły z twoimi, a to dlatego, żebyś przyznał, że moja dama,

ktokolwiek ona jest, bez porównania jest piękniejsza od twojej Dulcynei z Toboso. Jeżeli chcesz dobrowolnie zgodzić się na tę prawdę, unikniesz niezawodnej śmierci i oszczędzisz mi trudów zadania ci jej, gdy zaś masz ochotę walczyć, wymagam jednego warunku, jeśli cię zwyciężę, to przez rok cały nie będziesz nosił zbroi, nie szukał przygód, udasz się do domu, postawisz miecz w kącie i żyć będziesz w błogim spokoju, tak potrzebnym dla twego zdrowia i fortuny. Jeśli przypadkiem się zdarzy, że ty mnie zwyciężysz, głowa moja do ciebie należy, zostawiam ci konia mego, zbroję, oręż i wieść o wielkich czynach moich zniknie przy twojej bohaterskiej sławie. Rozważ więc teraz, rycerzu, i odpowiadaj prędko, bo dzisiaj koniecznie sprawę tę załatwić musimy.

Don Kichot, zdziwiony nader wyniosłością Rycerza Białego Księżyca i przedmiotem wyzwania, odpowiedział surowo i z dumą:

– Rycerzu Białego Księżyca, o którego czynach nie miałem dotąd sposobności słyszeć, przysiągłbym, że nigdy nie widziałeś sławnej Dulcynei, bo gdybyś ją był widział, nie chciałbyś się narażać zuchwale na walkę, której wypadek wątpliwy, i sambyś przyznał, że nie ma piękności, co by się z nią dała porównać. Więc nie chcąc panu wprost powiedzieć, że kłamiesz, ale tylko, że pan się bardzo mylisz, przyjmuję wyzwanie na warunkach, które położyłeś, i weźmy się do dzieła, żeby przed końcem dnia sprawa ta się zakończyła. Wyjmuję tylko z pańskich warunków to, coś powiedział o rozgłosie twoich czynów, który na korzyść sławy mojej ma się obrócić; nie wiem, co to za rozgłos i przestaję na mojej sławie, jakąkolwiek jest. Dalej więc, rozpędzajmy się, a powodzenie okaże, kto spisy lepiej używać potrafi.

Zobaczono z miasta Rycerza Białego Księżyca, a wicekról już miał wiadomość, że rozmawiał z Don Kichotem, ale myślał, że to nowy jaki pomysł żartobliwy Don Antonia, albo innego jakiego szlachcica

z Barcelony, wyszedł więc w towarzystwie Don Antonia i innych, przybywając w tę właśnie chwilę, kiedy Don Kichot zawrócił Rosynanta, żeby się rozpędzić. Widząc, że dwaj rycerze zawróciwszy konie, mają się spotkać, stanął pomiędzy nimi, zapytując się, co ich zmusiło do tak nagłej walki. Rycerz Białego Księżyca opowiedział w kilku słowach, co zaszło między nim a Don Kichotem i wspomniał o warunkach wyzwania obopólnie przyjętych. Wicekról zbliżył się do Don Antonia, zapytując go, czy zna Rycerza Białego Księżyca i czy jakiego figla nie chce mu wypłatać. Gdy Don Antonio odrzekł, że nic a nic o wszystkim nie wiedział, wahał się przez czas niejaki, czy pozwoli przeciwnikom natrzeć na siebie. Nie mogąc jednak przypuścić, żeby to co innego być mogło prócz żartu, oddalił się, mówiąc:

– Mości rycerzu, jeśli nie ma środka pogodzenia, jeśli trzeba umrzeć lub wyznać, gdy jegomość pan Don Kichot nie chce ustąpić, ani Rycerz Białego Księżyca odstąpić, pole jest wolne i niech Bóg was zachowa!

Rycerz Białego Księżyca podziękował za to pozwolenie wicekrólowi najgrzeczniejszymi słowy, Don Kichot złożył także podziękowanie, a polecając się z całego serca Bogu i swojej damie Dulcynei, jak to zwykł był robić zawsze przed walką, więcej zajął pola dla rozpędzenia, widząc, że przeciwnik gotował się na to samo. Trąby i kotły nie wydały hasła do walki, zwrócili oba konie jednocześnie, żeby gwałtownie natrzeć na siebie. Rycerz Białego Księżyca jechał na koniu żwawszym i dzielniejszym od Rosynanta, przebiegł sam tylko trzy czwarte mety i tak silnie potrącił Don Kichota bez użycia spisy, że powalił natychmiast o ziemię konia i jeźdźca w bardzo niedobrym stanie.

Natychmiast zsiadłszy z konia i dotykając końcem spisy o przyłbicę, rzekł do Don Kichota:

– Zwyciężyłem cię, rycerzu, i przypłacisz życiem, jeśli nie przystaniesz na warunki naszego boju. Don Kichot, nieprzytomny, potłuczony, nie mając dosyć siły podnieść przyłbicy, odrzekł głosem słabym i przytłumionym, jakby z grobu:

– Dulcynea z Toboso jest najpiękniejszą kobietą w świecie, a ja najnieszczęśliwszy ze wszystkich rycerzów na ziemi. Byłoby niesłusznie, żeby nieszczęście moje zaprzeczyć miało prawdzie powszechnie uznanej – kol spisą, rycerzu, odbierz mi życie, kiedy mi cześć odebrałeś.

– Nie, nie – odparł Rycerz Białego Księżyca – niechże wieść o piękności pani Dulcynei z Toboso pozostanie nietykalna, zgadzam się na to, aby tylko wielki Don Kichot oddalił się do siebie na rok, jak się ułożyliśmy przed walką, albo przynajmniej dopóki go sam nie zwolnię z danego słowa.

Wicekról, Don Antonio i kilku innych świadkami byli, jak Don Kichot odrzekł zwycięscy swojemu, że byle nie wymagał niczego przeciw sławie i piękności Dulcynei, dopełni zobowiązania najsumienniej, jak na rycerza przystoi. Poprzestał na tym rycerz białego księżyca, zawrócił konia i skłoniwszy się głową wicekrólowi, kłusem pojechał do miasta. Wicekról prosił Don Antonia, żeby się za nim udał i dowiedział się jakim bądź sposobem, kto to taki.

Podnieśli Don Kichota, zdjęto mu hełm. Blady był bardzo i zbity, pot zimny nań wystąpił, jakby miał ducha wyzionąć. Rosynant zaś w takim był stanie, że ani myśleć nie można było o podniesieniu go. Sancho w smutku i zadziwieniu nie wiedział, co mówić i robić, myślał, że to czary. Zwyciężono pana w obliczu całego ludu, przez rok nie będzie mógł nosić zbroi; sława pańska raz na zawsze pogrzebana, a z nią nadzieje Sancha jak dym pierzchają. Obawiał się jeszcze, ażeby Rosynant nie został już na zawsze kaleką; z panem

jeszcze gorzej było. Kiedy tak smutno rozmyślał i osłupiał niesłychanie, wicekról kazał Don Kichota odnieść w lektyce do miasta, gdzie się wkrótce udał, chcąc się dowiedzieć, kto był ów Rycerz Białego Księżyca.

Rozdział XIII

Jako się wykryło, kto był Rycerz Białego Księżyca. – Wiadomości o uwolnieniu Don Gregoria oraz inne przygody

Don Antonio Moreno szedł krok w krok za Rycerzem Białego Księżyca i jednocześnie biegł za nim tłum dzieci, aż dopiero w mieście zamknąć się musiał w domu, dokąd jednak Don Antonio wszedł za nim po chwili. Giermek zdejmował zbroję rycerzowi, który odgadłszy powód odwiedzin Don Antonia, rzekł do niego:

– Widzę, co pana tu sprowadza, chcesz pan się dowiedzieć kto jestem? Nie będę zwodził pana i wręcz mu powiem, że nazywam się licencjat Samson Karasko i z tej samej jestem wioski, co Don Kichot z Manchy. Szaleństwo tego biednego szlachcica, który we wszystkich znajomych litość obudza, bardziej mnie od innych przykrość robiło i wytłumaczywszy sobie, że ozdrowienie jego zawisło od spokojności i pozostania w domu, postanowiłem sobie jakim bądź kosztem sprowadzić go na wieś, a już mnie to raz sporo kosztowało. Trzy miesiące temu przywdziałem w tym celu zbroję i w postaci błędnego Rycerza Zwierciadeł, spotkawszy go, wyzwałem na ostrze, pod warunkiem, że zwyciężony zda się na łaskę i niełaskę zwycięzcy. Miałem zamiar zapakować go na cały rok do domu, myśląc, że tymczasem będzie go można wyleczyć. Los jednak inaczej rozrządził, Don Kichot mnie zwyciężył i zamiaru do skutku nie mogłem doprowadzić. Don Kichot triumfujący odjechał, a ja z ran leczyć się musiałem. Pragnąłem się jednak

spotkać z nim jeszcze w tym samym zamiarze i tym razem zwyciężyłem go, a ponieważ najskrupulatniej wypełnia wszystkie przepisy błędnego rycerstwa, przekonany jestem, że jak najdokładniej dotrzyma warunków walki, dał mi na to słowo. Wszystko już panu powiedziałem i proszę pana, żeby się Don Kichot o tym nie dowiedział, bo wszystkie usiłowania moje w niwecz by się obróciły, a biedak ten nie odzyskałby rozumu, który w gruncie jest doskonały, tylko nieco bzikami o błędnym rycerstwie pomieszany.

– Ach, panie – rzekł Don Antonio – nie mogę panu wybaczyć krzywdy, jaką wszystkim wyrządzasz, pozbawiając nas najprzyjemniejszego wariata w świecie. Nie uważałeś pan, że cała korzyść, jaka się da wydostać z rozumu Don Kichota, nie zdoła wyrównać przyjemności z bzików rycerza. Nie dlatego to mówię, żebym miał wątpić o skuteczności środków pańskich, choć prawie niepodobna przywrócić rozumu człowiekowi, który go zupełnie stracił, ale może się to zdarzyć i gdybym nie obawiał się grzeszyć przeciw miłości bliźniego, życzyłbym sobie, żeby Don Kichot nigdy nie wyzdrowiał, bo tracimy nie tylko jego bziki, ale i bziki Sancha, które najsmutniejszego zawsze rozśmieszą. Mimo to wszystko, obiecuję panu, że nic nie powiem, choćby tylko dla przekonania się, czy też panu Karasko udadzą się jego usiłowania.

– Panie – odrzekł Karasko – sprawa dobry wzięła obrót i zdaje mi się, że się uda zupełnie. – Powiedzieli sobie jeszcze kilka komplementów, a skoro tylko Don Antonio odszedł, Rycerz Białego Księżyca kazał związać zbroje i oręże, obłożyć nimi muła, a sam, wsiadłszy na swojego zwycięskiego rumaka, zwrócił się drogą ku wsi swojej, dokąd szczęśliwie dojechał. Don Antonio zdał sprawę wicekrólowi z tego, co mu powiedział Karasko, a wicekról nie mógł odżałować, że wkrótce pozbawieni będą wszyscy bzików

Don Kichota. Przez sześć dni leżał Don Kichot w łóżku, srodze poturbowany upadkiem, ale bolała go bardziej klęska, niż wszystkie dolegliwości ciała. Sancho ciągle przy nim siedział, usiłując go pocieszyć. Między innymi rzekł do niego:

– No – panie – odważnie, powinieneś pan cieszyć się, a nie smucić. I tak dużo szczęścia, że spadłszy tak ciężko, głowy sobie nie rozbiłeś. Nie zawsze też człowiek w jednym jest usposobieniu, bo nie zawsze tam słonina, gdzie bywają kluski. Kpij pan zdrów z lekarza, kiedy panu nie potrzeba lekarstwa. E, wróćmy, paneczku, do domu, nie szukajmy darmo przygód w miejscach, których dobrze nie znamy. Na tym wszystkim jeszcze ja więcej tracę, choć pan bardziej potłuczony. Opuszczając wielkorządztwo, porzuciłem raz na zawsze chęć zostania wielkorządcą, ale nie porzuciłem chęci zostania hrabią. No i trudna rada, muszę sobie wytłumaczyć podobnie jak pan, że nie będziesz królem, bo porzuciwszy rycerstwo nie będziesz mógł nim zostać.

– Mój biedny przyjacielu – odparł Don Kichot – nie ma jeszcze nic straconego, oddalam się na rok tylko. Potem nikt mi nie może zabronić ująć znów za miecz, a nie zabraknie mi królestw do zdobycia, ani hrabstw dla ciebie.

– Daj Boże! – zawołał Sancho – lepszy zawsze rydz, niźli nic, dobre „będzie" więcej ma wartości od złego „teraz".

Nadszedł na to Don Antonio i z wesołą twarzą rzekł do Don Kichota:

– Dobre nowiny, mości Don Kichocie, dobre nowiny, Don Gregorio i renegat przyjechali, są w pałacu wicekróla, ujrzysz ich tu za chwilę.

– Wiadomość ta cieszy mnie bardzo – rzekł Don Kichot – gdyż daje mi nieco radości, ale istotnie, Don Antonio, prawie bym pragnął, żeby się zamiar był nie powiódł, bo sam chciałem płynąć

do Barbarii dla przyjemności uwolnienia nie tylko Don Gregoria, ale przecież są jeszcze chrześcijańscy niewolnicy u tych niewiernych. Ale o czym śmiem mówić ja, nikczemny! Toćże ja tym jestem podłym, co go z konia zrzucili, zwyciężyli, co przez rok cały zbroi tknąć nie może. Z czego się tu chwalić mnie, co zdolniejszy jestem do kądzieli, niż do miecza.

– E, do licha, daj pan temu pokój – wtrącił Sancho – zabijasz mnie pan taką mową. Cóż to znów, czy pan chcesz się żywcem pogrzebać? Kura z pypciem zawsze kura. Do kata, nie zawsze się przecie zwycięża, nie, każdy po kolei. Dziś mnie, jutro tobie, tak się dzieje na świecie. Nic pewnego nie ma w tych walkach, kto dziś upada, jutro powstać może, chyba, że koniecznie chce w łóżku leżeć. Wstań, kochany panie, pójdźmy zobaczyć Don Gregoria, już musiał przyjść, bo słychać jakiś hałas.

Sancho miał rację. Don Gregorio chwilkę zabawiwszy u wicekróla, przybył z renegatem do Don Antonia pragnąc ujrzeć Annę Felicję. Nie miał nawet czasu zdjąć z siebie ubioru niewolniczego, który przywdział, odpływając do Algieru. Ale mimo to dzielną miał minę i zwracał wszystkich oczy na siebie. Był zadziwiającej piękności i miał najwięcej siedemnaście do osiemnastu lat. Skoro go ujrzeli Rikote i córka, stary rozpłakał się z radości, a Anna Felicja będąc skromną, nie cisnęła mu się na szyję. Pewni byli oboje szczerości swoich uczuć i nie potrzebowali tych oznak, w których często brak uszanowania. Kochankowie rozmawiali z sobą milczeniem, oczy były tylko tłumaczami tego, co serca doznawały. Piękność Don Gregoria nowym była przedmiotem uwielbienia dla wszystkich przytomnych, a skoro oczy od niego odwróciłeś, spostrzegłeś również piękną Annę Felicję, a im więcej im się obojgu przypatrywano, tym się bardziej podobali. Renegat opowiedział, jakim sposobem uwolnił Don Gregoria,

a Don Gregorio opowiadał o wszystkich niebezpieczeństwach, które przebył w Algierze, ale skromnie, niewiele, a z takim wdziękiem, że znaleziono w nim niemniej rozumu od piękności. Rikote hojnie wynagrodził wioślarzy, a zwłaszcza renegata, który za pomocą pokuty szczerej, miarkując po łzach gorących, powrócił na łono prawego kościoła.

We dwa dni potem wicekról i Don Antonio przemyśliwali, jakim sposobem uzyskać pozwolenie na pobyt w Hiszpanii Don Gregoria i Anny Felicji. Ona była chrześcijanką, a ojciec wcale niepodejrzany człowiek. Don Antonio ofiarował się udać sam do dworu i za pomocą wpływów swoich i stosunków załatwić tę sprawę, tym bardziej, że go tam i jego własny interes powoływał, Rikote jednak obecny temu powiedział, że wpływami, nawet datkami nic nie zyska, bo hrabia Salazar, któremu król poruczył czuwanie nad wygnaniem Maurów, był człowiekiem nieugiętym. Prośby, ofiary żadnego wpływu nad nim nie miały. Skądinąd nie tak bardzo surowy, pod tym względem niesłychanej był czujności, a wiedząc o złym usposobieniu całego narodu, nic nie wybaczał, łask żadnych nie świadczył, przystępu żadnym podszeptom nie dawał, tak, że mimo wszystkich podstępów i całej chytrości Maurów, oczyścił z nich zupełnie Hiszpanię.

– Bądź co bądź – rzekł Don Antonio – udam się tam, będę starał się o ile możności, a jak Bóg zechce, to się może i uda. Don Gregorio pojedzie ze mną, pocieszyć rodziców, nader zmartwionych jego nieobecnością, a Anna Felicja zostanie tu z moją żoną lub w jakim klasztorze. Co zaś do Rokita, pewny jestem, że jego ekscelencja wicekról nie odmówi mu domu swojego i protekcji, dopóki się cała ta sprawa nie wyjaśni.

Wicekról pochwalił wszystkie rozporządzenia Don Antonia, Don Gregorio zaś nie miał ochoty z początku oddalać się od Anny Felicji,

pragnąc jednak szczerze zobaczyć się z rodzicami i myśląc, że tym sposobem będzie mógł i dla Anny Felicji być użyteczny, zezwolił na odjazd. W kilka dni potem odjechali. Przy rozstaniu Don Gregorio i Anna Felicja wyleli niemało łez, a Rikote ofiarował tysiąc talarów dla Don Gregoria na drogę, ale szlachcic nie chciał ich przyjąć, tylko pożyczył małą kwotę pieniędzy od Don Antonia. We dwa dni znów po tym Don Kichot, który nieco wydobrzał po owym upadku, udał się także w drogę, bez zbroi i oręża, w prostym kaftanie podróżnym. Sancho pieszo szedł za nim, a bury dźwigał zbroję i oręż rycerza.

Rozdział XIV

Opisujący to, co czytelnik wyczyta

Wyjeżdżając z Barcelony Don Kichot smutnie obejrzał się na to miejsce, gdzie spadł z konia.

– *Fuimus Troes* – zawołał – tutaj to nie z własnej winy, ale przez nieszczęście, utraciłem sławę, tak chwalebnie zyskaną, tu los dał mi uczuć dziwaczną niestałość swoją; tu zaćmił się blask wielkich czynów moich i męstwo moje rozbiło się tu na koniec, imię moje upadło i nigdy się już nie podniesie.

– Kochany mój panie – rzekł Sancho – prawdziwe męstwo powinno mieć tyle cierpliwości w niedoli, ile czułej radości w szczęściu. Bierz pan ze mnie przykład, z przeproszeniem. Jeśli bardzo byłem uradowany w czasie wielkorządztwa mego, teraz, będąc tylko pieszym giermkiem nie poddaję się smutkowi, bo słyszałem, że to stworzenie, co je Fortuną nazywają, jest kobietą dziwaczną, prawie zawsze pijaną i na wpół ślepą; toteż nie widzi, co robi, nie wie, kogo powali na ziemię, ani kogo podniesie.

– Ty jesteś wielki filozof, Sancho – rzekł Don Kichot – mówisz jak mędrzec i nie wiem, kto cię tego wszystkiego mógł nauczyć. Powiem ci jednak, że na tym świecie nie ma losu. Wszystko, co się dzieje na tym padole, złe czy dobre, nie dzieje się przypadkiem, ale z woli Opatrzności nieba, dlatego to mówię, że jak kto sobie pościele, tak się wyśpi. Ja sobie także posłałem, ale w pracy mojej brak było widać roztropności, bo mnie spotkała kara za zbytnią zarozumiałość. Mogłem się przecież domyślić, że wątły Rosynant nie wytrzyma natarcia rumaka potężnego, którym Rycerz Białego Księżyca kierował. Odważyłem się jednak i mimo wszystkich usiłowań, ze wstydem padłem na ziemię. Ale choć na czci jestem skrzywdzony, nie straciłem i nie stracę cnoty w dotrzymaniu danego słowa. Kiedym był błędnym rycerzem, dziarskim i walecznym, ramię moje i czyny świadczyły o moim męstwie, teraz, kiedy jestem tylko zsadzonym z konia jeźdźcem, poddanie się moje woli losu i sumienne dotrzymanie zobowiązania dowiodą, że sławnym jestem człowiekiem.

Śpieszmy się więc, przyjacielu Sancho – odbądźmy w domu nowicjat, a raczej czas wygnania nowych tam sił nabierzmy do rozpoczęcia jeszcze świetniej bohaterskiego zawodu.

– Panie – rzekł Sancho – nie tak to jednak przyjemnie spieszyć się, idąc piechotą. Zawieśmy tę zbroję na drzewie, a gdy dosiądę burego i nóg już na ziemi nie będę stawiał, będziemy pędzili, jeśli pan rozkażesz, ale niech mnie pan z łaski swojej nie pili, kiedy idę piechotą.

– Bardzoś dobrze powiedział, Sancho – rzekł Don Kichot. – Niech ta zbroja moja, jako trofeum zostanie i wyryjemy na korze drzewa słowa, wyryte na trofeum z Rolanda zbroi:

Niech nikt się nie uzuchwala
Dotykać tej zbroi,

Jeśli nie chce także
Z Rolandem mieć sprawy.

– To będzie doskonale, proszę łaski pana – odrzekł Sancho. – A gdyby nam jeszcze Rosynant przez drogę co przeskrobał, to powieśmy i Rosynanta przy zbroi.

– Nie utrzymuję, ażeby go powiesić, ani nawet zbroi mojej – odrzekł Don Kichot – powiedzieliby jeszcze: za dobrą służbę zła płaca.

– O, słusznie to, słusznie, proszę łaski pana – rzekł Sancho – gdy osioł zawinił, nie bij kulbaki. Ponieważ pan sam zawiniłeś, ukarz się pan sam i nie czepiaj się biednej zbroi, która tak długo wysłużywszy się, uczciwie podszarzana, ani biednego Rosynanta, któremu nie potrzeba większego zmęczenia, ani biednych nóg moich, bo i tak stąpają, jak mogą.

Przez dzień cały i trzy następne ciągle tak rozprawiali i nic im się nie przytrafiło godnego wspomnienia. Piątego dnia wjechali do jakiejś wioski, gdzie cała ludność zebrała się na placu, bo to był dzień świąteczny. Don Kichot, zbliżając się, usłyszał, jak rolnik jeden mówił:

– Otóż, jakby na zawołanie – ci panowie, nie znając ich, rozstrzygną o tym zakładzie.

– Z całego serca, moi bracia – odrzekł Don Kichot – powiedzcie mi tylko, o co rzecz idzie.

– Rzecz się ma tak, kochany panie – powiedział rolnik. – Jeden wieśniak tutejszy, tłusty i krępy tak bardzo, że waży prawie dwieście osiemdziesiąt funtów, wyzwał drugiego, który połowy tego nie waży, na wyścigi piechotą do mety o sto kroków, pod tym warunkiem jednak, że jeden tyle będzie ważył, co drugi. Zapytano się wyzywającego, jakim sposobem chce porównać ciężary,

powiedział, ażeby szczupły wziął na siebie sto pięćdziesiąt funtów żelaza, a tym sposobem zrównają się zupełnie.

– Poczekajcie – zawołał Sancho, nie czekając na odpowiedź Don Kichota – ja was rozsądzę. Byłem, jak to wiadomo, wielkorządcą i sędzią, umiem rozsądzać sprawy.

– Rozsądź ich, Sancho – przystaję na to najchętniej – rzekł Don Kichot – tak mam umysł skłopotany, że czarnego od białego nie potrafiłbym rozróżnić.

– Dobrze więc, dzieci moje – zawołał Sancho – powiadam wam, mając pozwolenie od pana, że wymaganie wyzywającego zupełnie jest niesłuszne, bo wyzwanemu zawsze służy prawo wyboru broni, jak słyszałem, a tu wyzywający chce ją wybierać i to wybiera taką, że wyzwany nie może zwyciężyć, bo się nie będzie mógł ruszyć. Według mojego zdania, niech gruby i tłusty wytnie sobie sto pięćdziesiąt funtów sadła, to tu, to ówdzie, jak mu będzie najdogodniej, tym sposobem obie strony zrównają się i nikt się skarżyć nie będzie.

– Dalipan – zawołał wieśniak – ten pan jak adwokat osądził – wyzywający nie głupi, ażeby sobie sto pięćdziesiąt funtów mięsa wycinał i do licha, nie chciałby ani funcika się pozbawić.

– Najlepiej, niech się wcale nie ścigają – zawołał drugi – żeby chudy nie zdechł pod ciężarem, a tłusty nie pokaleczył sobie ciała, ale połowę zakładu obróćmy na wino i poprośmy tych panów z sobą do karczmy.

– Co do mnie – bardzom panom obowiązany za ich grzeczność – rzekł Don Kichot – ale wybaczcie, że korzystać z niej nie mogę, bo mi bardzo pilno.

Mówiąc to, dał ostrogę Rosynantowi i odjechał.

Wszyscy wieśniacy uwielbiali dziwną jego powierzchowność i rzadki rozum służącego. Któryś rolnik rzekł do drugich:

– Jeśli ten służący jest tak zręczny, jak pan na to wygląda, to ręczę, że gdyby pojechali na nauki do Salamanki, wkrótce zostaliby prezesami lub biskupami. Bo nic lepszego, jak mając trochę grosza, wziąć się do nauki, Bóg wie, skąd spadnie na cię urząd lub mitra.

Pan i sługa przepędzili noc na polu, pod gołym niebem. Z rana jadąc dalej, ujrzeli zbliżającego się ku nim człowieka z torbą na plecach i z sękatym a okutym kijem w ręce; zoczywszy Don Kichota, przyśpieszył kroku i całując go w kolano, rzekł:

– O jasny panie, Don Kichocie! jakże się jego książęca mość ucieszy, że jaśnie pan wraca do zamku! Bo jest jeszcze i księżna pani z nim razem.

– Nie znam cię, mój przyjacielu – rzekł Don Kichot – nie wiem, kto jesteś.

– Jasny panie – jestem Tosilos – lokaj jego książęcej mości i ja to miałem walczyć z panem z powodu córki pani Rodriguez.

– Czy podobna – zawołał Don Kichot – ażeby to ciebie mieli czarownicy przemienić w lokaja, chcąc mnie koniecznie wydrzeć sławę tej walki?

– Dalipan, z przeproszeniem pańskim – odparł lokaj – nie było przemian, ani czarów żadnych. Nim wszedłem do szranków, byłem lokajem, tak dobrze, jak teraz, a nie chciałem walczyć, bom myślał ożenić się z córką, która mi bardzo do smaku przypadła. Ale jak wasza wielmożność odjechała, jego książęca mość kazał mi skórę wytatarować za to, że rozkazów jego nie wykonałem. Wszystko się na tym skończyło, że córkę oddano do klasztoru, a pani Rodriguez powróciła do Kastylii. Teraz idę do Barcelony z pańskimi papierami do jego ekscelencji wicekróla. Mam tu pełną manierkę przy sobie – dodał – może by wasza wielmożność raczyła trochę łyknąć, będzie już ciepłe, ale jeszcze dobre, ale mam ser doskonały, przy którym będzie lepiej smakować.

– Ser? – dawaj sera – rzekł Sancho – bo ja nie lubię robić ceremonii z przyjaciółmi. Dawaj, Tosilos – na przekór wszystkim czarownikom. Zobaczymy, czy nam przeszkodzą przy jedzeniu.

– Istotnie Sancho – rzekł Don Kichot – jesteś największym żarłokiem i najciemniejszym człowiekiem pod słońcem. Toćże ten posłaniec jest zaczarowany, to nie lokaj. Zostań z nim, kiedy masz ochotę – ja stępa pojadę i poczekam na ciebie.

Tosilos roześmiał się, patrząc na odjeżdżającego Don Kichota, dobył manierki, wydobył sera, siedli na trawie i dopóty nie wstali, dopóki do okruszyny wszystkiego nie zmietli.

Przy jedzeniu jeszcze Tosilos rzekł do Sancha:

– Wiesz co, Sancho, twój pan to winien być wielki wariat.

– Jak to winien? – zagadnął Sancho – do stu diabłów – nic nikomu nie winien, nie ma człowieka, co by lepiej długi spłacał, bo dopóki na bzikach poprzestają, jemu nigdy nie zabraknie. Widzę to doskonale i mówię mu często o tym, ale to się na diabła zda, zwłaszcza też teraz, kiedy jest w rozpaczy po tym zwycięstwie, odniesionym przez Rycerz Białego Księżyca.

Tosilos poprosił Sancha, ażeby mu całą tę sprawę opowiedział, Sancho jednak odrzekł, że nie wypada mu pozwolić panu czekać tak długo i że mu to innym razem opowie. Obtarłszy sobie okruszyny z brody, pożegnał się z nim, dosiadł burego i dognał pana, który nań czekał pod drzewem.

Rozdział XV

Jako Don Kichot postanowił zostać pasterzem przez czas, gdy mu nie wolno przywdziać zbroi

Jeśli przed walką Don Kichot miał często trapioną wyobraźnię, po klęsce jeszcze się to pogorszyło. Leżał, jak powiedziałem, pod

drzewem, i tysiąc myśli, a coraz smutniejszych, jakby muchy zjadliwe, obsiadło mu głowę, nie dając chwili wytchnienia. Sancho nadjechał właśnie i zaczął wychwalać przed nim szczodrość Tosilosa, mówiąc, że to najuczciwszy lokaj, jakiego znał w życiu.

– No, więc to prawda – zawołał Don Kichot – że ty wierzysz ciągle w prawdziwość tego lokaja? Zapomniałżeś już, jak to Dulcynea przemieniła się w chłopkę, a Rycerz Zwierciadeł w bakałarza Karasko. Czyż to nie oczywisty podstęp czarowników, co mnie bezustannie prześladują? Ale powiedz mi nie zapytywałeś się przypadkiem tego mniemanego Tosilosa, co porabia Altisidora: czy płacze po mnie, czy wygnała z duszy miłosne uczucia, co ją tak namiętnie wobec mnie opanowały?

– Dalipan, panie – odrzekł Sancho – myślałem o rzeczach ważniejszych, a nie o takich drobiazgach. Skąd też przyszło panu, u diabła, dowiadywać się o tym, co drudzy myślą i jeszcze kobiety rozkochane?

– Mój przyjacielu – rzekł Don Kichot – wielka zachodzi różnica między uczynkami, które miłość wywołuje, a tymi, co z wdzięczności pochodzą. Rycerz może przestać kochać, ale nie przestanie mieć wdzięczności. Zdaje się, że Altisidora bardzo mnie kochała, dała mi ten podarunek, co to wiesz, płakała, kiedym odjeżdżał, przeklinała mnie, obelgi miotała, bezwstydnie skarżyła się wobec wszystkich, a to przecież dowody gwałtownej miłości, bo złość kochanków kończy się zwykle przekleństwami. Z mojej strony, nie mogłem jej żadnej robić nadziei, ani żadnego skarbu nie mogłem jej ofiarować; bogactwa błędnych rycerzy są, jak te, co to nimi szatany olśniewają, fałszywe i pierzchliwe, zresztą poprzysiągłem wierność innej. Nie mogę więc jej ofiarować nic więcej, prócz kilku oznak pamięci, bez ubliżenia jednak temu, com zawsze winien Dulcynei, której robisz krzywdę, zwłócząc ciągle baty

owe, którymi można ją tylko odczarować. Powiem ci prawdę, tak się obawiasz o skórę swoją, że chciałbym, iżby ją wilcy zjedli, kiedy wolisz ją zachować dla robaków, niż zrobić z niej przysługę dla tej damy.

– Z przeproszeniem pańskim – odrzekł Sancho – mówiąc tak po Bogu a prawdzie, nie chce mi się wierzyć, żeby baty kogokolwiek odczarować mogły, ażeby to, jakby na ból głowy palnąć się pięścią w kolano, ale dla pańskiej przyjemności wymłócę sobie skórę, kiedy mi przyjdzie ochota, choć wątpię, żebyś pan nawet w książkach rycerskich wyczytał coś o tym sposobie.

– Daj Boże – rzekł Don Kichot – ażebyś mógł zrozumieć, jak cię powinno obchodzić przyniesienie ulgi tej damie, która poniekąd jest i twoją, bo ja jestem twym panem.

Mówiąc w ten sposób, poznali, że się znajdują w tym samym miejscu, gdzie ich byki potratowały. Don Kichot, przypominając to sobie, rzekł do Sancha:

– Otóż łąka, gdzie spotkaliśmy niedawno te miłe pasterki i tych grzecznych pasterzy, co to pragnęli stworzyć na nowo Arkadię pasterską – pomysł nowy i niepospolity. Wierzaj mi, Sancho, naśladujmy ich, zostańmy pasterzami, podczas gdy mi nie wolno będzie przywdziewać zbroi. Kupię kilka owiec, przezwę się pasterzem Kichotes, ty pasterzem Pansino i będziemy biegać po lasach i łąkach, śpiewać, grać na fujarce, rozwodzić żale, będziemy odwilżać usta kryształem czystego źródła, srebrną wodą strumieni lub rzeczułek. Zielone dęby i buki hojnie owocami nas obdarzą, olchy i lipy cienia nam użyczą, róże wonią owioną. Na łąkach różnobarwnym kwieciem zasłanych, miękko i smacznie spoczniemy. Powietrze zdrowe i czyste, chłód cudowny, księżyc i gwiazdy łagodne promienie sieją, znajdziemy rozkosz w śpiewie, a pociechę w jego dźwięku. Apollon natchnie nas wierszami,

a miłość uczuciem, tym sposobem obierzemy sobie zawód godzien zawiści i staniemy się sławnymi nie tylko w naszym stuleciu, ale po wszystkie następne trwać będziemy w pamięci ludzi.

– Dalipan – odparł Sancho – śliczny by to był rodzaj życia. Karaskowi i ojcu Mikołajowi nigdy to na myśli przyjść nie mogło, gdyż założyłbym się, żeby najchętniej z nami poszli, i kto wie, czy by nie miał ochoty i ksiądz proboszcz, bo to uczciwy człowiek i lubi wesołość.

– Trafnieś powiedział, Sancho – odparł Don Kichot. – Jeśli bakałarz Samson chce do nas należeć, co z pewnością nastąpi, nazwiemy go pasterzem Samsonino lub pasterzem Karaskon, Mikołaja Nicoloso, naśladując Nemorina sławnego; co do proboszcza, nie wiem, jakie mu damy imię, lecz trzeba zrobić coś z jego nazwy, naprzykład Kuriambro. Co do pasterek, w których się kochać będziemy, nie trudno nam będzie znaleźć dla nich imiona, a ponieważ imię Dulcynea, zarówno piękne dla księżniczki, jak dla pasterki, nie ma co zmieniać, a ty, Sancho, nazwiesz swoją, jak ci się zdawać będzie.

– Nie chcę inaczej, jak Terezona – odrzekł Sancho – bo jej na imię Teresa, a w wierszach, które dla niej ułożę, tak samo ją nazwę, żeby się o niej cały świat dowiedział, i o mojej wierności dla niej, bo nie lubię mleć w cudzych młynach. Dla proboszcza nie trzeba pasterki, bo to byłby zły przykład, a jeśli bakałarz chce sobie jaką wybrać, wolno mu!

– Drogi Boże! – zawołał Don Kichot – jak piękne życie będziemy pędzili! Ileż to fujarek, piszczałek, obojów, rożków, gęśli, multanek, bębenków, skrzypeczek, wszystko to, pasterska muzyka! Jak wiesz, ja oddaję się czasem poezji, a bakałarz Karasko jest jednym z najlepszych poetów; o proboszczu nic nie mówię, ale ręczyłbym, że więcej umie, niż mówi, a cóż dopiero majster Mikołaj! Toćże

wiadomo, że balwierze grają na gitarze i składają wiersze. Ja będę ubolewał nad oddaleniem, ty będziesz wysławiał wierność i wytrzymałość swoją, pasterz Karaskon będzie się uskarżał na nieczułość swojej pasterki, pasterz Kuriambron o czym chce śpiewać będzie, w ten sposób wszystko się nam uda doskonale.

– Panie – zawołał Sancho – tak jestem nieszczęśliwy, że pewno nie doczekam chwili, kiedy rozpoczniemy to wesołe życie. Drogi Boże! ileż ja to będę pięknych łyżeczek z drzewa wyrabiał, kiedy zostanę pasterzem; ile to śmietany, serów, masła, wianków dla mnie i dla pasterki mojej, jakie bym pałeczki i kijki strugał. Na niczym mi nie zabraknie z tych drobiazgów i figlów, co to umieją robić pasterze. Jeśli nie powiedzą, żem mądry, to przynajmniej powiedzą, że mi nie brak pomysłu.

Mała Sancha, córka moja, przyniesie nam obiad czasem na pole, ale jednak, do licha, mówią, że to pasterze bywają złośliwi i psotnicy. Nie chciałbym, ażeby mi do niej smalono cholewki, bo biedna dziewczyna nie rozumie się jeszcze na tym i mogłaby... diabeł nie śpi, a miłość i jej poszepty wcisną się tak łatwo do lepianki, jak do pałacu. Bo kto mieszka na przedpieklu, diabła w kumy prosi, a gdzie nie ma sposobności, nie ma grzechu, kto nie widzi, to nie myśli, ale nie mów hop, aż przeskoczysz.

– Dajże już pokój tym przysłowiom, Sancho – rzekł Don Kichot – mówiłem ci już nieraz, że nimi zanadto szafujesz, ale cóż? Gadaj jak do ściany, pan to, sługa owo.

– Dalibóg, proszę łaski pana – odrzekł Sancho – pamięta pan, co mówią: Kocioł przygania garnkowi, a sam smoli. Mówi pan, że przysłów używam, a samiście dwa palnęli.

– Widzisz, Sancho, zwróć na to uwagę – rzekł Don Kichot – że moje są zawsze właściwie użyte, ale ty trzy po trzy pleciesz i Bóg wie, do czego przyłatasz. Mówiłem i nieraz, jeśli się nie mylę,

że przysłowia są to treściwe sentencje, zdania, powstałe z doświadczenia i uwag największych mędrców starożytnych, a przysłowie, niewłaściwie przytoczone, to głupstwo, a nie sentencja. Ale dość na tym, już zmierzch dobry, zjedźmy z gościńca i poszukajmy gdzie miejsca na nocleg, zobaczymy, co dla nas jutro Bóg przeznacza.

Zjechali z gościńca i skromną zjedli wieczerzę, co nie w smak poszło Sanchowi, który, patrząc na chudą oszczędność błędnego rycerstwa, żałował ciągle obfitości w domu Don Diego Miranda, wesela Gamasza i wszystkich tych miejsc, gdzie dobrze jadł i pił. Ale nareszcie, bacząc na to, że nie zawsze święto, ułożył się do snu, kiedy pan jego w zwykłych błądził marzeniach.

Rozdział XVI

Jaka przytrafiła się w nocy przygoda, która się bardziej Sanchy niż Don Kichotowi dała we znaki

Noc była nieco ciemna, choć księżyc tkwił gdzieś na niebie, ale go widać nie było, bo uczciwa Diana robi czasem przechadzki do przeciwnożnych, a nasze góry i doliny pozostawia w ciemności. Don Kichot nieco zasnął, ale się wkrótce obudził, nie tak jak Sancho, który od wieczora do rana spał jak zabity, w dowód zdrowia i braku kłopotów.

Don Kichot, nie mogąc spać, rzekł do Sancha, trąciwszy go i zawoławszy kilkakrotnie:

– Uwielbiam cię, Sancho – jesteś jakby ze spiżu lub z marmuru wykuty, leżysz bez ruchu i czucia. Śpisz, kiedy ja czuwam, śpiewasz, gdy ja płaczę; jestem słaby, zbity, jem niewiele i rzadko, a ty śpisz ciągle i otyłość aż ci oddech tamuje. Dobry sługa powinien być uczestnikiem dolegliwości pańskich, współczuć troskom pana

i pocieszać go w strapieniu. Noc dzisiejsza jest prześliczna, a cisza naokół i świeżość powietrza zasługują przecie, ażeby się obudzić dla skorzystania z uroku samotności. Wstawaj więc i przez litość dla Dulcynei i dla mnie wypal sobie czterysta lub pięćset batów z tych, co to się do nich zobowiązałeś, ale zrób to dobrowolnie, na miłość Boską, bo nie chcę się z tobą szamotać. Jak to uskutecznisz, przepędzimy resztę nocy na opiewaniu. Ja będę gorycz oddalenia głosił, a ty prawość niezłomną i tak od dziś zaczniemy już żywot pasterski.

– Panie – odrzekł Sancho – ja nie kartuz, ażebym o północy wstawał i bił się dyscypliną; dalipan, dobrą mi pan dajesz pociechę, że potem śpiewać będziemy noc całą, myślisz pan, że zbity człowiek ma ochotę do śmiechu? Jak mi pan nie dasz spać i będziesz mnie namawiał do tych batów, to zaklnę się, że ich sobie nigdy w życiu nie dam.

– O zatwardziałe serce – zawołał Don Kichot – niewdzięczny giermku, przyjaźni i łasko źle zwrócona! I otóż nagroda za to, żem cię zrobił wielkorządzcą i postawił na tym stopniu, że możesz zostać w każdej chwili hrabią, margrabią, lub czymś podobnym? Choć gdy powrócę z wygnania, to wszystko to musi nastąpić, bo nareszcie *post tenebras spero lucem*.

– Nie wiem, co to ma znaczyć – odrzekł Sancho – ale wiem, że jak śpię, nie spodziewam się i nie boję niczego, nie myślę o karach i nagrodach. Błogosławiony stokroć ten, co sen wynalazł! Sen, to płaszcz, co wszystkie ludzkie troski okrywa, pokarm, co głód zaspakaja, napój, co pragnienie koi, ogień, co od zimna ochrania, chłód, co oziębia gwałtowność ognia, słowem, pieniądz ogólny do nabycia wszystkich przyjemności świata i waga nareszcie, gdzie się równoważą bez najmniejszego oszustwa królowie z pasterzami i mędrcy z głupcami! Dobra to rzecz, panie, sen i nie widzę w tym

nic złego, że go ze śmiercią porównywają. Istotnie, niewielka różnica zachodzi między śpiącym a umarłym, chyba, że tamten czasem chrapie, a ten milczy na zawsze.

– Sancho – rzekł Don Kichot – nigdym w życiu nie słyszał cię mówiącego tak trafnie i dowcipnie, jak w tej chwili, i przysłowie słusznie powiada: Z jakim kto przestaje, takim się sam staje.

– Ano, panie – odparł Sancho – kto więcej używa przysłów: ja, czy pan? Co chwila sadzisz pan nimi. Może tam, proszę łaski pana, pańskie właściwiej użyte, a w moich po większej części brak sensu, ale przysłowia zawsze są przysłowiami.

Zaledwie Sancho przestał mówić, gdy usłyszeli jakiś łoskot przytłumiony, co się po całej rozległ dolinie. Don Kichot wstał i dobył miecza, a Sancho wlazł pod burego i oszańcowawszy się z prawej strony zbroją pańską, a z lewej kulbaką osła, drżał mimo to jak liść osiczyny.

Łoskot coraz się przybliżając, wzmacniał i nasi podróżni, a przynajmniej jeden z nich, w coraz większym był strachu, bo o drugiego męstwie cały świat był przekonany. Byli to kupcy pędzący na targ około siedemset wieprzów, a szli nocą, bo chłodniej i wygodniej. Don Kichot i Sancho, ogłuszeni tym łoskotem, nie mogli zrozumieć, co to takiego. Wieprze się także nie spostrzegły, że Don Kichot i Sancho leżeli na drodze, może naumyślnie nie chciały spostrzec i bez szacunku najmniejszego dla błędnego rycerstwa przeszły po nich, niwecząc szańce Sancha, zrobiwszy groch z kapustą z rycerza i giermka, Rosynanta i burego, kulbaki i zbroi. Sancho powstał w gniewie i prosił Don Kichota o miecz, ażeby nauczyć, jak mówił, tych ichmość panów wieprzów, w jaki się to sposób z błędnym rycerstwem obchodzić winno.

– Daj im pokój, mój przyjacielu – rzekł Don Kichot – zasługuję na to słusznie, ażeby zwyciężonego błędnego rycerza muchy zjadły

i wieprze z prosiaka – potratowały.

– Nie mam nic, panie, przeciwko temu – odparł Sancho – ale czy słusznie jest, ażeby giermkowie błędnych rycerzy mieli umrzeć z głodu, lub ażeby ich baranki egipskie pożarły? Gdybyśmy jeszcze my, biedni giermkowie, byli dziećmi błędnych rycerzy, którym służymy, albo przynajmniej bliskimi krewnymi, to co innego, nie dziwiłbym się, ażebyśmy za ich błędy aż do czwartego pokolenia byli odpowiedzialni, ale co mogą mieć wspólnego Pansowie z Kichotami? Odważnie jednak! Nie łówmy ryb przed niewodem, dośpijmy nocy, a jutro obaczymy, co począć.

– Śpij, Sancho, śpij, tyś się urodził na to, ażeby spać – rzekł Don Kichot – ja zaś na to, ażeby czuwać. Będę myślał o nieszczęściach moich i popróbuję dla pociechy wyśpiewać wiersze, które ubiegłej nocy zrobiłem, chociaż ci o tym nie wspomniałem.

– Według mego zdania – rzekł Sancho – nieszczęścia, o których śpiewać można, nie muszą być tak bardzo dolegliwe. Śpiewaj pan, jak zechcesz, ja będę spał, jak będę mógł, i nie myśl pan, żebym mu przerywał. – Rozciągnął się na ziemi i usnął wkrótce snem głębokim.

Don Kichot, oparłszy się o buk rozłożysty, łącząc głos swój z szelestem jego liścia, zanucił te wiersze:

Miłości! gdy myślę sobie
O srogim bólu, co mi w sercu kwili,
Pragnąłbym śmierci w tej chwili,
Myśląc, że boleść swą pochowam w grobie.
Ale gdy myśl nieszczęśliwa
Stanie w przystani morza mej zgryzoty,
Nagle nabieram ochoty,
Która do życia wzrasta, nie ubywa.
Wciąż mi życie śmierć zadaje,

A śmierć do życia powoływa znoju,
I tak mi dziwno wśród boju,
Gdzie śmierć i życie w krwawych szrankach staje.

Zwyciężony i oddalony od Dulcynei, przy każdym wierszu płakał i wzdychał głęboko.

Wtem zaświtało i promienie słońca uderzyły w twarz Sancha; zaczął się wyciągać i przewróciwszy się jeszcze kilkakrotnie na oba boki, zbudził się zupełnie. Zoczywszy nieład, jaki przejście wieprzów zrobiło w jego tłumokach, zaklął potężnie i to było pierwsze słowo, co mu z ust wyszło tego rana. Wsiedli nareszcie na koń i pojechali dalej.

Przed wieczorem ujrzeli na drodze ośmiu lub dziesięciu ludzi konno i pięciu lub sześciu piechotą, Don Kichot doznał niejakiego wzruszenia na widok tych ludzi, a Sancho przeląkł się naprawdę, bo prócz innych broni, widać było u wszystkich dzidy i tarcze i złym jakimś zdali się tchnąć zamiarem.

– Ach, Sancho – zawołał Don Kichot – gdyby mi wolno było używać broni, gdyby nieszczęśliwe słowo rąk mi nie wiązało, ten zastęp rycerski wcale by mnie nie przestraszył. Jakżeby mi było przyjemnie doświadczyć na nich męstwa mojego i mocy dłoni, choć może to co innego, niż myślę.

Oddział konnych zbliżył się ze spisami w dłoniach. Nie mówiąc ani słowa, otoczyli Don Kichota i dotykając dzidami brzucha rycerza, zagrozili mu, że zginie w razie oporu. Jeden z pieszych, położywszy palec na usta, na znak, ażeby milczał, ujął Rosynanta za uzdę i sprowadził go z drogi, a drudzy, otaczając Sancha, popędzili burego w jedną z Rosynantem stronę. Biedny rycerz kilka razy miał ochotę zapytać się, dokąd go wiodą, ale kiedy zamyślał tylko poruszyć wargami, widok surowej straży z groźnym spojrzeniem i groźniejszymi dzidami zamykał mu usta. Sancho skwitował się nie

tak tanim kosztem, kiedy tylko miał minę, jakby chciał mówić, kłuli szpikulcem jego i osła, obawiając się widać, ażeby i bydlęciu ta sama nie przyszła chętka. Noc nadeszła, przyśpieszyli kroku, a w sercu naszych wędrowców przestrach się jeszcze powiększył, kiedy usłyszeli, jak na nich wołano:

– Dalej, Troglodyty! cicho barbarzyńcy – cierpieć mięsożercy, zamknijcie oczy i usta, Scyty, Polifemy krwi łaknący, lwy wściekłe, tygrysy żarłoczne – i inne tym podobne nazwania.

– Aj – rzekł do siebie Sancho – i to jeszcze w obawie, ażeby go nie usłyszano – wszystkie te miana jakoś nieprzyjemnie dźwięczą! Do licha, wszystkie nieszczęścia od razu się na nas zwaliły, jak od razu kij na psów opada. Daj Boże, ażeby się ta awantura tylko na batach skończyła, ale za zły początek, ażeby miał dobry być koniec

Don Kichot zmieszany był bardzo obecnym swoim położeniem i nie mógł pojąć, dlaczego tyle na niego obelg miotano, a jakkolwiek bądź rozumował, nie potrafił wyjaśnić sobie tej nadzwyczajnej przygody; widział tylko, że można się było wiele obawiać, a mało spodziewać. Po godzinnym jeszcze marszu przyjechali nareszcie o pierwszej w nocy do bramy jakiegoś zamku; Don Kichot poznał, że to zamek księcia, gdzie przed kilku dniami gościł.

– Co to się ma znaczyć? – zawołał – wszakże tu jest miejsce, gdzie mnie tak gościnnie i dworsko przyjęto? Ale dla nieszczęśliwych i zwyciężonych wszystko zły bierze obrót, los lubi prześladować klęskę. Wjechali w główny podwórzec zamkowy, a wszystko, na co patrzyli, podwoiło ich przestrach, co w następującym zobaczymy rozdziale.

Rozdział XVII

Jaka Don Kichotowi najdziwniejsza w życiu i w całej tej historii przytrafiła się przygoda

Wprowadzono, popychając, Don Kichota i Sancha na podwórzec, gdzie naokoło sto pochodni gorzało, na krużgankach pięćset lamp płonęło, noc na dzień zamieniając. W pośrodku podwórza wznosił się katafalk, na kilka stóp wysoki, okryty całunem z czarnego aksamitu, na stopniach paliło się sto gromnic w wysokich srebrnych lichtarzach, a w trumnie leżało ciało młodej dziewicy, choć po śmierci jeszcze bardzo pięknej. Głowę, wspartą na szkarłatnym wezgłowiu wieńczyła girlanda z kwiatów, w rękach, złożonych na piersiach, trzymała gałązkę palmową. W głębi podwórca było wzniesienie, gdzie siedziało dwóch ludzi, w koronach na głowie i z berłami w rękach, tak jak to przedstawiają Minosa i Radamanta.

Do nich właśnie zaprowadzono Don Kichota z Sancho Pansem i kazano im zająć miejsce po jednej stronie wzniesienia, zalecając milczenie z dziką i wściekłą miną. Groźby te na nic się nie zdały, bo nasi awanturnicy aż nadto byli zdziwieni, ażeby mówić mieli. W tej chwili dwie jakieś ważne snadź osoby weszły na wzniesienie. Don Kichot i Pansa niskie im oddawali ukłony, poznawszy księcia i dostojną jego małżonkę. Usiedli oboje na krzesłach, bogato przybranych, blisko Minosa. Rycerz nasz, patrząc na to wszystko, nie wiedział, co o tym myśleć, choć poznał, że w trumnie leży ciało nadobnej Altisidory. Wrzucono na Sancha suknię z czarnej materii w płomienie, a na głowę włożyli mu czapkę w kształcie mitry, jakie dla zhańbienia przywdziewają skazani na śmierć. Sancho oglądał się od stóp do głowy i ujrzał się cały w płomieniach, które go jednak nie paliły. Zdjął czapkę i ujrzał na niej samych diabłów, włożył ją więc na głowę, mówiąc do siebie.

– I to jeszcze nieźle, że te płomienie mnie nie parzą i ci diabli nie porywają.

Don Kichot, patrząc na Pansa, mimo całego przestrachu, nieco się roześmiał z jego pociesznego stroju. Kiedy wszyscy tak w milczeniu byli pogrążeni, usłyszano spod katafalku muzykę, z łagodnych fletów złożoną. Z początku zadźwięczała jakaś czuła i miłosna aria, później stanął na stopniu katafalku młodzieniec bardzo piękny w rzymskim stroju, a łącząc dźwięczny głos z dźwiękiem harfy, w której struny uderzał, zaśpiewał te zwrotki:

Zanim ożyje cień Altisidory,
O Don Kichocie, wstydź się wzgardy swojej,
Nim z czarnoksięskich wyjdą tu podwoi
Damy, płócienne powdziewawszy wory,
Nim księżna pani Dueńki przystroi
W błyszczący szkarłat, w atłas różnowzory,
Pieśń ma jej dole i dźwięki obwieszcza,
Dźwięczniejszą lutnią od Tracji wieszcza.
Nie sądź, by z życia już ostatnim krzykiem,
Droga powinność moja przestać miała,
Zeschłym i zimnym w ustach mych językiem,
Jeszcze potrafię zanucić jej: „Chwała".
I dusza, wolna od pokrywki ciała,
Zabrzmi u Styksu chwały twej okrzykiem,
A lutni mojej czarodziejskie brzmienia
Wstrzymają fale wieki zapomnienia.

– Dosyć! – zawołał jeden z królów – dosyć boski śpiewaku; nie zdołasz nigdy odmalować nam wdzięków i powabów nieporównanej Altisidory, która nie umarła, jak pospólstwo mniema, ale żyje jeszcze w stugębnej sławie i ożyje pomiędzy nami, jak tylko Sancho Pansa powoła ją do życia próbą, którą wycierpieć musi. Więc, o Radamancie, ty, co rządzisz ze mną w ciemnych Lety

otchłaniach, ponieważ wiesz, jaki jest wyrok niezmiennego przeznaczenia, żeby ta piękna osoba zmartwychwstać mogła, mów prędko, ażebyśmy nie ociągali się z chwilą, w której ją ujrzymy. Zaledwie Minos wyrzekł te słowa, Radamant powstając, zawołał:

– Chodźcie tu wszyscy, służący i domownicy tego zamku, wielcy i mali, mocni i słabi, mężczyźni i kobiety, chodźcie! Każdy z was musi na twarzy Sancha wycisnąć po dwadzieścia cztery prztyki, a w ręce i uda po dwanaście razy uszczypnąć i po sześćkroć ukłuć szpilką, bo od tego zawisło zmartwychwstanie Altisidory.

– Do miliona czartów – zawołał Sancho, nie obawiając się już przerwać milczenia – bodajem był Maurem, jeśli pozwolę to sobie zrobić! Do kata – chciałbym wiedzieć, co skóra moja ma wspólnego ze zmartwychwstaniem tej panny. Dulcynea jest zaczarowana, muszę ją odczarowywać batami, tej znów Bóg śmierć zesłał i muszę sobie bykami twarz pokaleczyć i pokłuć ciało szpilkami. Kpijcie sobie z innego, ale nie ze mnie, do krocset diabłów, znam ja się na farbowanych lisach. Nie tak łatwo mnie za nos wodzić, jak się zdaje, do krocset piorunów, a kiedy te panie chcą, niech sobie cierpliwie na zmartwychwstanie oczekują!

– Umrzesz – zawołał Radamant – uspokój się, tygrysie, upokórz się pyszny Nemrodzie, cierp i milcz, a kiedy się od ciebie nie wymaga niepodobieństwa, nie waż się przenikać tak ważnych tajemnic. Dostaniesz byki, będą cię drapać i będziesz jęczał przy kłuciu szpilkami; prędzej ministrze, wypełniaj moje rozkazy, bo na śmierć Cerbera, pokażę ci, jak u mnie prędko idzie służba.

W tej chwili weszło na podwórze sześć dueniek (ochmistrzyń), szły procesjonalnie, cztery z nich w okularach, a wszystkie z prawą ręką do góry i naprężonymi palcami.

Spostrzegłszy je Sancho, zaczął jak byk ryczeć.

– Niech robią ze mną co chcą – zawołał – niech mnie wszyscy biją, tłuką, ale wara dueńkom! na to się nie zgadzam. Niech mi twarz podrapią, jak panu memu koty w tym zamku, niech mi ciało szpadą przeszyją, niech mi piętnują ręce rozpalonym żelazem, będę znosił, jak będę mógł, ale dueńkom nie dam się dotknąć, choćby mnie w tej chwili wszyscy diabli porwać mieli.

– Miej cierpliwość, dziecię moje – zawołał Don Kichot – wypełnij rozkaz tych panów, zaklinam cię, i składaj dzięki niebu, że cię obdarzyło przymiotem odczarowywania zaklętych i powoływania do życia umarłych.

Dueńki były już tuż przy nim, a on, usłuchawszy pańskiej prośby, a raczej zmuszony koniecznością, usiadł i nadstawił twarz pierwszej, która dała mu prztyka i z głębokim ukłonem odeszła.

– Bez tych grzeczności, do diabła – mościa panno dueńko – zawołał Sancho – i na drugi raz ostrzyż sobie lepiej pazury.

Wszystkie dueńki wypłaciły mu należność prztyków z tą samą ceremonią i wszyscy domownicy uszczypnęli go.

Ale stracił cierpliwość, kiedy go szpilkami kłuć zaczęto, powstał nagle i schwyciwszy zapaloną pochodnię, zaczął nią walić po głowach dueniek i służących, kto mu się tylko nadarzył, krzycząc z całych sił:

– Precz ode mnie czarcie wyrobnice, myślicie, że ja z żelaza, klępy?

Na te słowa Altisidora, która snadź znużyła się leżąc na jeden bok, przewróciła się na drugi, a przytomni, ujrzawszy to, chórem zawołali:

– Altisidora ożyła, Altisidora żyje!

Radamant kazał się Sanchy uciszyć, ponieważ już stało się, czego pragnął; Don Kichot zaś, ujrzawszy zmartwychwstającą Altisidorę, padł na kolana przed Sanchem i czule go ściskając, ze łzami w oczach zawołał:

– Moje dziecko, cóż za szczęśliwa sposobność! Gdybyś chciał dać sobie kilka batów dla odczarowania Dulcynei! przymiot twój osiągnie z pewnością cel pożądany, nie trać sposobności, kochany przyjacielu, użyj jej na ulżenie cierpień tej damy nieszczęśliwej; robiąc mi tę łaskę, dla własnej chwały pracujesz!

– Przecież pan wiesz, że dwa grzyby w barszcz na niewiele się zdadzą – odrzekł Sancho. – Nie dość, że mnie wypoliczkowali, nadrapali się, naszczypali, chcesz pan jeszcze, ażebym się biczował? Nie, panie, ja widzę, że mnie tylko pozostaje przywiązać sobie do szyi kamień młyński i w studni się utopić. Wstydź się pan, do licha, powinien by pan umrzeć ze wstydu, ażeby mnie teraz o to prosić i zyskasz pan na tym co? Oto to, że zaklnę się, iż nikogo nie chcę uzdrawiać, ani odczarowywać, choćby mnie to tylko jeden włosek z brody mojej kosztować miało. A to mi dar diabelski, uzdrawiać drugich, a samemu gorzej od nich chorować. Oby wszyscy lekarze ten sam dar posiedli!

Altisidora przyszła już do siebie zupełnie, a gdy usiadła w trumnie, zabrzmiały ze wszech stron oboje i multanki, a chór głośno wołał:

– Altisidora żyje! Altisidora zmartwychwstała!

Książę z księżną, Minos z Radamantem, Don Kichot z Sanchem zbliżyli się do trumny i pomogli z niej wyjść Altisidorze. Oddała głęboki ukłon księciu, księżnej i sędziom piekła, a patrząc nieco z ukosa na Don Kichota, rzekła:

– Niech ci Bóg przebaczy, niewdzięczny rycerzu; z powodu twego okrucieństwa zdaje mi się, że tysiąc lat na tamtym świecie przepędziłam.

Tobie zaś, najpocieszniejszy z giermków na kuli ziemskiej, składam dzięki, żeś mi życie przywrócił. W nagrodę za to dam ci

sześć koszul, nie całych, ale czysto upranych, każesz z nich sobie koszule dla siebie przerobić.

Sancho ucałował jej ręce na znak podziękowania, ze zgiętym kolanem i z czapką w ręku.

Książę kazał, ażeby mu już zdjęto suknię w płomienie, ale Sancho prosił, ażeby ją mógł na pamiątkę tak nadzwyczajnego zdarzenia na własność zachować.

– Zachowaj ją sobie, kochany Sancho – rzekła księżna – wiesz przecie, że należę do rzędu twoich przyjaciół i nie chcę ci niczego odmawiać. Było już późno, książę kazał, ażeby wszyscy oddalili się z podwórca, a Don Kichota i Sancha zaprowadzono do ich mieszkania.

Rozdział XVIII

Opisujący rzeczy, które znać trzeba, chcąc zrozumieć tę historię

Sancho tej nocy spał w jednym pokoju z panem. Nie przypadło mu to do smaku, bo naprzód znużyła go ostatnia przygoda i wiedział, że Don Kichot nieskończenie nudzić go będzie pytaniami. Wolałby był spać sam w stajni, niż w pysznej komnacie. Słusznie się biedak obawiał. Zaledwie się Don Kichot położył, zaraz rzekł doń:

– Jak ci się zdaje, Sancho, awantura dzisiejszej nocy? Dziwna to rzecz jednak potęga pogardy w miłości! Widziałeś na własne oczy Altisidorę w trumnie, żadna to ją strzała, żaden miecz, ani trucizna nie zabiła, jeno przykrość, że nią ciągle pogardzałem.

– Niechby sobie była umarła, z czego by tylko chciała – odrzekł Sancho – aby mnie tylko dała pokój, bo ja przecie nie obudzałem w niej miłości, ani nią nie pogardzałem. Nie wiem zresztą, co uzdrowienie jakiejś tam wariatki może mieć za wspólność

z męczarnią Sancha Pansy. Przekonywam się aż nadto dobrze, że są na tym świecie zaczarowania i czarnoksiężnicy, niechaj mnie Bóg od nich uchroni! Ale pozwól mi pan spać, proszę pana, jeśli nie chcesz, żebym przez okno wyskoczył.

– Śpij, śpij Sancho, dziecię moje – rzekł Don Kichot – jeśli ci na to ból pozwoli, śpij!

– Do stu diabłów – wtrącił Sancho – kpiłbym sobie ze sznypów, gdyby mnie to nie było obraziło, że te dueńki prztyki mi dawały. Ale jeszcze raz daj mi pan spać, ażebym się mógł nieco odreperować.

Zasnęli obydwaj, a Cyd Hamed Benengeli objaśnia nas tymczasem, co skłoniło księcia do wymyślenia awantury, którąśmy opisali. Karasko po pierwszej klęsce, kiedy był jeszcze Rycerzem Zwierciadeł, poprzysiągł sobie spotkać się koniecznie drugi raz z Don Kichotem. Od pazia, odnoszącego list od księżnej do Teresy Pansa, dowiedziawszy się, gdzie się Don Kichot znajduje, wyszukał sobie konia i zbroję i pojechał za rycerzem. Po drodze wstąpiwszy do księcia dowiedział się, że jego przeciwnik udał się na igrzyska do Saragossy. Książę opowiedział mu także wszystkie figle, które płatano Don Kichotowi, między innymi pomysł zaczarowania Dulcynei, za który na Sanchy tak sroga ciążyła odpowiedzialność, chociaż sam doniósł panu o tym, że była przemieniona w chłopkę, a księżna nadto przekonała giermka, że Dulcynea naprawdę była zaczarowana. Bakałarz, dowiedziawszy się o wszystkim, puścił się w drogę, zaproszony przez księcia, ażeby z powrotem wstąpił i doniósł, kto zwyciężył. Wracając Karasko opowiedział księciu, jak się wszystko odbyło, nadmieniając, że Don Kichot, jako rycerz sławny, wraca już zapewne do siebie na owo jednoroczne wygnanie, które, miał nadzieję, że go z nadmiaru bzików wyleczy.

Pożegnawszy się z księciem, odjechał do swojej wioski, oczekując na Don Kichota.

Stąd to powziął książę zamiar nacieszyć się jeszcze raz z naszymi awanturnikami, nie mogąc przenieść, aby dwóch tak przyjemnych wariatów od razu mógł utracić, wielce bowiem śmieszyły go marzenia pana i nieokrzesanie sługi! Z jego to rozkazu jego ludzie w zbroi schwytali Don Kichota, czatując na niego, i zaprowadzili do zamku, gdzie cała mniemana śmierć Altisidory i przybranie całe od dawna było przygotowane, zapalono tylko światła, dowiedziawszy się o jego przybyciu. Cyd Hamed dodaje, że ci, co żartowali, niemniej od awanturników naszych bzika mieć musieli i że innego nie mógł powziąć wyobrażenia o księciu i o księżnej, co tyle czasu na wydrwienie dwóch głupców trwonili.

Już był dzień, kiedy Sancho jeszcze chrapał, a Don Kichot, choć zatopiony w marzeniach, myślał wstawać, bo zwycięzca czy zwyciężony, zawsze był nieprzyjacielem lenistwa, gdy zmartwychpowstała Altisidora, z tą samą girlandą we włosach, w białej sukni, ze złotym rzutem kwiatów, mając włosy w pukle rozczesane i na hebanowej wsparta lasce, weszła do komnaty. Zjawisko to tak dalece go zadziwiło, że zapomniawszy o wszelkiej grzeczności, stulił się w łóżku, okrywając prześcieradłami i kołdrą. Altisidora usiadła przy nim na krześle i po długim westchnieniu rzekła głosem słabym i miłosnym:

– Kiedy kobiety wstyd podepczą, a ustom pozwolą przypomnieć tajemnice serca, stan ich musi być dziwny. Ja, mości Don Kichocie, jestem jedną z tych nieszczęśliwych kochanek, dręczona namiętnością, słowem na śmierć zakochana, jednak tak uczciwie i z daleka, że ukrywanie mojej męczarni przypłaciłam życiem. Dwa dni temu, okrutny rycerzu, zastanawiając się nad nieużytością serca twojego, którego skargi moje nigdy wzruszyć nie zdołały, żal tak

gorzki powzięłam do ciebie, żem zstąpiła do grobu, przynajmniej wszyscy myśleli, żem umarła, i gdyby miłość, wzruszona litością, nie dozwoliła mi była wynaleźć środka odżycia na nowo w męczeństwie tego biednego giermka, z pewnością na tamtym pozostałabym świecie.

– Miłość mogłaby wyświadczyć ten sam zaszczyt osłu memu, co i mnie – rzekł Sancho – i bardzo byłbym jej za to obowiązany, ale powiedz mi pani (oby ci niebo innego dało kochanka, a nie tego niedołęgę pana mojego), co pani widziałaś na tamtym świecie i co to jest piekło, do którego ci dążą, co to się pono boją umrzeć?

– Prawdę mówiąc – odrzekła Altisidora – nie musiałam jednak zupełnie umrzeć, bo nie byłam w samym piekle. Gdybym była tam raz weszła, nie byłabym tak łatwo wyszła – doszłam tylko do drzwi i zoczyłam dwunastu diabłów w majtkach i koszulach, grających w piłkę i ogniste rakiety trzymających w rękach. Co najdziwniejsza, że tymi piłkami były książki wiatrem nadęte i jeszczem się bardziej zadziwiła, że grający ciągle sobie wymyślali, kłócili się, przeklinali, jakby każdy z nich zawsze przegrywał.

– Nie ma się czego dziwić – wtrącił Sancho – diabeł czy wygra, czy przegra, nie może być nigdy zadowolony.

– Zgoda – odparła Altisidora – ale jedna rzecz mnie zachwycała, że za pierwszym uderzeniem rakiety tak rozbijali piłkę, że już żadna służyć na drugi raz nie mogła i tym sposobem mnóstwo starych i nowych książek wniwecz obrócili. Wpośród innych była tam jedna, nowa książka, którą tak mocno uderzyli, że wszystkie kartki na wiatr się rozleciały. A wtedy jeden zły duch rzekł do drugiego:

– Zobaczno – co to za książka?

– To – odrzekł drugi – część wtóra *Don Kichota z Manchy*, nie ta utworu Cid Hameda, autora pierwszej części, ale napisana przez jakiegoś Aragończyka, podobno z Tordesillas rodem.

– Zabierajże mi ją zaraz precz – rzekł pierwszy diabeł – i rzuć w głąb przepaści, niech mi nigdy nie waży się wpaść w oczy!

– Czyż tak bardzo zła? – zagadnął drugi.

– Niegodziwa – odrzekł pierwszy – gdybym się sam uwziął, gorzej bym nie napisał.

Posłyszawszy imię Don Kichota, tak zawsze dla mnie drogie, utkwiło mi w pamięci to widzenie i nigdy go nie zapomnę.

– To musiało być widzenie chyba – wtrącił Don Kichot – bo rzeczywistego Don Kichota nie ma drugiego na świecie, prócz mnie. Wiem, że ta książka z rąk do rąk przechodzi i że mało ją cenią; nie obraziłem się, że tam Don Kichot zanadto zelżony, bo ja nim nie jestem, tylko duch jakiś, którego wymyślił autor.

Altisidora chciała znów rozwodzić żale i skargi na nieczułość Don Kichota, ale on, uprzedzając ją, rzekł:

– Kilkakrotnie już miałem zaszczyt powiedzieć pannie, jak mi przykro, żeś na mnie pani spojrzeć była łaskawa, mogę wywzajemnić się pani tylko podziękowaniem, lecz więcej nie wymagaj ode mnie. Do nieporównanej Dulcynei z Toboso należą wszystkie myśli i całe życie moje, to więc marzenie czcze, żeby inna w sercu jej miejsce zająć mogła. Dosyć tego – wróć pani na drogę zacności, nie przekraczaj granic wymagań swoich, bo niepodobieństwa od nikogo wymagać nie można.

– A na wszystkich Jukasów Pernańskich – zawołała Altisidora, udając gniew straszliwy – podwójny tygrysie – nie wiem, dlaczego ci oczu nie wydrapię? Myślisz może Don – zwalczony rycerzu, Don – zbity kijami, żem umierała z miłości do twojej wyschłej postaci? Nie taka ja głupia, wszystko, coś widział zeszłej nocy, było udanie tylko. Ja nie taka dziewczyna, ażebym miała rozpaczać po takim, jak ty bydlęciu, żal by mi było łezki jednej, a cóż dopiero życia!

– Dalipan – zawołał Sancho – wierzę pani zupełnie, że te wszystkie śmierci miłosne, to były tylko bajki. Kto tam wie, czy kto umarł, lub nie?

Wtem nadszedł ów muzyk, co odśpiewał dwie strofy na katafalku Altisidory, oddał niski ukłon Don Kichotowi i rzekł doń:

– Proszę waszej wielmożności, mości rycerzu, policzyć mnie w poczet najpokorniejszych sług swoich. Od dawna już z głębokim jestem uwielbieniem dla wysokich cnót i bohaterskich czynów pańskich.

Na co Don Kichot:

– Niech wiem, z kim mówię, abym odpowiedź moją mógł zastosować do jego znaczenia.

Muzyk odrzekł, że był panegirystą Altisidory, co poprzedniej nocy na jej cześć wiersze był odśpiewał.

– Masz pan bez zaprzeczenia głos nader dźwięczny – rzekł Don Kichot – ale nie bardzo to było właściwe, co pan śpiewałeś! Jakąż styczność mogą mieć wiersze Garcilasa ze śmiercią tej niewiasty?

– Nie dziw się pan temu – odparł muzyk – jest to zwyczaj dzisiejszych poetów, każdy pisze, jak mu się podoba, a gdzie mu się podoba, rabuje, czy to właściwe, czyli nie. A mimo to wszędzie ich utwory najmilej przyjmują i największe niedorzeczności na karb swobody poetycznej kładą.

Don Kichot chciał odpowiedzieć, ale nadszedł książę z księżną. Długą z sobą mieli rozmowę, a Sancho naplótł tyle dowcipów, po większej części złośliwych, że książę i księżna uwielbiali prostactwo i zarazem gibkość umysłu giermka. Don Kichot upraszał ich książęce mości, żeby mu jeszcze tego dnia pozwolili odjechać, bo – dodał – rycerze zwyciężeni nie zasługują na to, ażeby w domach książęcych przebywać, właściwym dla nich miejscem są

chałupy lub jaskinie. – Odpowiedziano mu, że go nie będą zatrzymywać, a księżna zapytała się jeszcze, czy mu się Altisidora podobała.

– Jaśnie oświecona pani – rzekł Don Kichot – całe nieszczęście tej osoby wypływa z próżniactwa i lenistwa, zatrudnienie nieprzerwane a uczciwe, natychmiast ją wyleczy. Niech przędzie, niech ma zawsze kołowrotek w ręku i na myśli, a ręczę, że opuszczą ją myśli o tym, w kim się zakochała; takie jest moje zdanie i rada.

– Dalipan i moja także – zawołał Sancho – bo nie widziałem jeszcze żadnej prządki, co by z miłości umarła. Gdy dziewczyna zajęta, bardziej myśli o robocie, niż o miłości. Ja sam, kiedy orzę, bez porównania mniej myślę o mojej babie, to jest o żonie mojej Teresie, którą kocham jak źrenicę w oku.

– Masz słuszność, Sancho – odparła księżna – odtąd Altisidora ciągle będzie zatrudniona.

– E! i tego nie potrzeba, proszę waszej książęcej mości – odparła Altisidora – samo wspomnienie okrucieństw tygrysa tego zdoła mnie wyleczyć, a z pozwoleniem waszej wysokości, odejdę teraz, ażeby nie patrzyć więcej na jego obmierzłą i szczapowatą twarz.

– Powiadają – wtrącił książę – że kto się bardzo gniewa, bardzo prędko przebacza.

Altisidora udając, że sobie oczy obciera, oddała ukłon głęboki i wyszła z komnaty.

– Moja panienko – zawołał Sancho, kiwając głową – zasłużyłaś na to, co się stało – bo bardzoś się niewłaściwie udała. Trzeba było, dalipan, udać się do mnie, nie do pana mego, ja z tych kogutów, co weselej pieją.

Po skończonej rozmowie Don Kichot ubrał się, a przyjąwszy u księcia obiad, po obiedzie pożegnał się i odjechał.

Rozdział XIX

Jako Sancho odczarować pragnie Dulcyneę

Don Kichot jechał zmrokiem na wpół smutny i na wpół radosny; smutny, bo zwyciężony, wesoły, bo przekonał się o przymiocie Sancha przy zmartwychwstaniu Altisidory, w które jednak niezupełnie wierzył. Sancho nie bardzo był zadowolony, bo mu Altisidora nie darowała przyobiecanych koszul, i myśląc o tym, rzekł do pana:

– Dalipan, ja bardzo nieszczęśliwym jestem lekarzem. Doktorzy po większej części zabijają chorych, a mimo to, każą sobie dobrze płacić za to, że do aptekarza na jakimś świstku głupstwo jakie napiszą, a ja nadstawiam skórę, krew daję, wszystko dla wyzdrowienia chorych i nie mam ani szeląga. Niech mnie diabli porwą, jeśli odtąd jakiego chorego leczyć zechcę, pierwej mi włosy na dłoni wyrosną, bo przypuszczać nie mogę, ażeby Bóg obdarzył mnie przymiotem uzdrawiania na to, ażebym z głodu miał umierać.

– Masz słuszność, Sancho – dodał Don Kichot – bo choć przymiot, który posiadasz, żadnej nie potrzebuje nauki, ale męczeństwo, któreś wycierpiał, ważniejsze jest od wszystkich nauk pod słońcem. Co do mnie, zaręczam ci, że gdybyś wymagał wynagrodzenia za baty, które dla odczarowania Dulcynei masz sobie wypalić, tak bym cię sowicie wynagrodził, ażebyś był zupełnie zadowolony. Nie wiem jednak, czy obietnica wynagrodzenia nie zaszkodzi skuteczności przymiotu tego, ale możemy zaraz spróbować. Powiedz, Sancho, ile wymagasz, i obij się zaraz, a potem odbierzesz sam z moich pieniędzy, które masz przy sobie.

Na te słowa Sancho, szeroko roztworzywszy oczy i uszy, postanowił się obić dla zysku.

– Chcesz pan – rzekł – ażebym panisku dał dowód posłuszeństwa i przywiązania do żony i dzieci, dla ich korzyści nie będę oszczędzał sobie skóry. No, a ile mi pan za każdy bat zapłaci?

– Gdyby wynagrodzenie wyrównywać miało dzielności i skuteczności przymiotu – dodał Don Kichot – skarby Wenecji i kopalnie Potozy wynagrodzić by cię nie zdołały. Naznacz sam cenę i policz, ile to wyniesie.

– Mam wypalić sobie – rzekł Sancho – trzy tysiące trzysta trzydzieści kilka batów, z których już pięć sobie dałem, odtrąciwszy te pięć na resztującą liczbę od trzydziestu, pozostaje trzysta trzydzieści trzy baty. Rachuję po groszu za bat i ani szeląga nie ustąpię. Więc mam trzy tysiące trzysta trzydzieści groszy, co czyni siedemset pięćdziesiąt pięciogroszówek, trzysta nie liczyłem, to jest trzysta markowanych groszy, czyli siedemdziesiąt pięć pięciogroszówek, a siedemset pięćdziesiąt pięciogroszówek i siedmdziesiąt pięć, to razem ośmset dwadzieścia pięć, czyli właśnie, poczekaj pan tak, 200... 206 liwrów i 5 groszy. Odbiorę to sobie z pańskich pieniędzy i rad nie rad, będę się musiał cieszyć, choć skóra boleć będzie, ale karpie na wędkę trzeba łowić.

– O! kochany Sancho – zawołał Don Kichot – ileż ci wdzięczności będziemy winni z Dulcyneą, jeśli tę nadobną damę do dawnego stanu przywrócić zdołasz. Jej nieszczęście stanie się szczęściem, a klęska moja będzie najsławniejszym triumfem. Kiedy chcesz zacząć, mój synu, powiedz? Dla dodania ci odwagi dodaję ci jeszcze dwa pistole.

– Kiedy? – zagadnął Sancho – dalipan tej nocy, musimy tylko spać na gołym polu, a zobaczysz pan, jak siarczyście sobie skórę wymłócę.

Nadeszła noc, której Don Kichot tak niecierpliwie oczekiwał, wjechali w bór nieco oddalony od gościńca, a rozsiodławszy

i rozkulbaczywszy Rosynanta i burego, wyciągnęli się na trawie i spożywali resztę żywności z tłumoczka. Sancho, dobrze sobie podjadłszy, chciał dotrzymać panu słowa, wziął uzdę Rosynanta i rzemień od kulbaki i o dwadzieścia kroków od pana dobrze się oddalił.

– Moje dziecię – zawołał Don Kichot, widząc że tak odważnie zabiera się do dzieła – tylko znowu ostrożnie, żebyś się nie pociachał w kawałki, niech razy prędko po sobie następują, ale nie śpiesz się tak znowu, ażeby ci tchu miało w środku drogi zabraknąć. To jest, ażebyś życia nie utracił przed ukończeniem pokuty, a z obawy, ażeby lekarstwo nie miało skutkować, ażebyś za słabej lub za mocnej nie użył dozy, będę stał blisko i rachował razy na moim różańcu. Odważnie, przyjacielu! Niechaj niebo błogosławi, wysłucha i uskuteczni dobre zamiary nasze!

– Kto dobrze płaci, nie boi się dać pieniędzy – rzekł Sancho – tak się będę prażył, że jeśli człeka diabli nie wezmą, mało co skóry z pewnością zostanie, bo myślę, że to na tym skuteczność lekarstwa polega.

Mówiąc to, rozebrał się do pasa i zaczął się młócić, a Don Kichot liczył razy. Zaledwie sobie Sancho pięć, czy sześć dał batów, poczuł, że to za trudna i bolejąca sprawa za tak małą cenę.

– Dalipan, panie – zawołał – to za tanio, do stu diabłów, niech pan przynajmniej podwoi cenę, bo tak to niepodobieństwo!

– Dalej, nie trać czasu, przyjacielu Sancho – zawołał Don Kichot – mniejsza o to, podwajam chętnie.

– A to co innego – zawołał Sancho; na którego teraz baty gradem się sypały.

Ale szubienicznik nie bił siebie, tylko drzewo z całej siły, wzdychając i krzycząc, jakby go na prawdę bolało. Don Kichot,

litościwy z natury, obawiając się, ażeby się Sancho nie zabił i ażeby lekarstwo nie skutkowało, zawołał:

– Stój, stój, kochany przyjacielu, doza wydaje mi się za mocna, odłóżmy resztę na inny czas. I Zamory przecież w godzinę nie zdobyto. Jeślim dobrze rachował, dałeś sobie już więcej, niż tysiąc batów, dosyć na teraz, bo czego za wiele, to i... osioł nie zniesie.

– Nie, nie, panie – odrzekł Sancho – nie powiedzą, że gdy mi zapłacono z góry, słowa nie dotrzymałem. Oddal się pan, jeszcze sobie tysiąc wypalę i w dwóch oddziałach już cała się sprawa załatwi.

– Kiedy masz tak dobre usposobienie, rób jak chcesz, ja się oddalam – rzekł Don Kichot. Sancho z taką wściekłością zaczął walić drzewa, że precz wokoło korę z nich pozdzierał, i wymierzając nareszcie w pień dębowy najokropniejszy raz, zawołał:

– Tutaj zginie Samson i wszyscy jego poplecznicy!

Don Kichot pobiegł co żywo do Sancha i chwytając bat, zawołał:

– Strzeżże, panie Boże, ażebyś dla zobowiązania mnie życie miał postradać, tak potrzebne dla twojej żony i rodziny biednej. Niech Dulcynea poczeka nieco, ja zaś poprzestanę na nadziei, dopóki nowych sił nie nabierzesz, i wkrótce wszyscy będziemy zadowoleni.

– Ponieważ wielmożność wasza tak każe – rzekł Sancho – zgoda, ale okryj mnie pan płaszczem z łaski swojej, bom zmokł cały i mogę się zaziębić, jak to się często pokutnikom zdarzać musi.

Don Kichot dał mu chętnie płaszcz, sam pozostał w kaftanie, a towarzysz jego spał do białego dnia.

Wstali i pojechali, a po trzygodzinnej drodze stanęli przed gospodą, gdzie im dano mieszkanie w sali na dole ze starymi malowanymi obiciami. Na jednym miejscu było porwanie Heleny, kiedy Parys, gwałcąc prawa gościnności, porwał ją Menelausowi; na drugim historia Dydony i Eneasza; ona stała na wieży, kiwając

na niego białą chustką, a on zmykał na morzu, co tylko żagle wystarczyć mogły. Don Kichot zauważył jednak, że Helena nie tak bardzo się na ten gwałt gniewała, bo na pozór niby cierpiąca, cichaczem podśmiechiwała się miłośnie. Dydona za to była w rozpaczy, a malarz, bojąc się, ażeby się jeszcze na tym nie poznano, wymalował jej na policzkach kilka łez wielkości laskowych orzechów.

– Jaka szkoda – zawołał Don Kichot – przyglądając się obiciom, żem się za czasów tamtych nie urodził! Nie darowałbym tym rycerzom, o nie! Troja by nie zgorzała i Kartaginy by nie zburzono, bo uśmierciwszy tylko jednego Parysa, rzeczy inny by wzięły obrót.

– Założyłbym się – zawołał Sancho – że jeszcze przed ostatnim wtorkiem nie zobaczysz karczmy, sklepu i balwierni, gdzie by nie wisiały na ścianie malowania wielkich czynów naszych, ale do licha, ażeby to przynajmniej lepszy jaki malarz zrobił, a nie taki gryzmoła, co te damy odmalował.

– Masz słuszność, Sancho – rzekł Don Kichot – malarz ten nie celuje doskonałością i powinien był postąpić sobie, jak Orbanejaja, będąc w Ubeda. Gdy go się pytano, co maluje: – Zaraz obaczymy – odpowiadał. I namalowawszy na przykład coś podobnego do koguta, dawał napis pod spodem: „To jest kogut, proszę go nie brać za co innego".

– Dalipan – wtrącił Sancho – zdaje mi się, że Aragończyk, co naszą opisywał historię, niewiele co więcej od owego gryzmoły umiał i pisał sobie tak na chybił trafił, co Bóg dał.

– Zapewne, zapewne – odrzekł Don Kichot – ale dajmy temu pokój! Powiedz mi, Sancho, czy masz ochotę dokończyć pokuty dzisiaj w nocy i czy chcesz, ażeby się to odbywało pod dachem, czy też na gołym polu?

– Do diaska, panie – odrzekł Sancho – wszystko to mi jedno, gdzie sobie te baty smalę – ale wolałbym jednak w lesie, bo lubię bardzo drzewa i patrząc na nie, nieco mi to ból osładza.

– Nie, nie, kochany Sancho – rzekł Don Kichot – trzeba, ażebyś nabrał sił. Dokończymy tego w wiosce naszej, gdzie najdalej pojutrze będziemy.

– Jak się panu podoba, jak, proszę łaski pana, samo panisko zechce, ale co do mnie, wolałbym tę sprawę jak najrychlej załatwić i kuć żelazo, dopóki gorące. Straconą sposobność niełatwo odzyskać i lepszy rydz, niźli nic i wróbel w ręku od żurawia na dachu.

– Stój, do wszystkich diabłów! – przerwał Don Kichot – znów wpadłeś w te niegodziwe przysłowia! Czemu nie mówić po prostu, bez przesady, jakem ci to tylokrotnie mówił? To cztery razy lepiej będzie i dla ciebie i dla drugich.

– Nie wiem, co za diabeł siedzi we mnie – odparł Sancho – że nie mogę gadać bez przysłów, ani powiedzieć przysłowia, co by mi się słusznym nie zdawało.

Ale poprawię się, jak mogę, kto się przyznaje do winy, maże pół grzechu.

Rozdział XX

Jako Sancho i Don Kichot przybyli do wioski

Przez cały dzień został Don Kichot, oczekując nocy, ażeby Sancho mógł pokuty dopełnić. Przybył tymczasem do gospody jeździec jakiś w towarzystwie trzech czy czterech innych, z których jeden rzekł do rycerza:

– A mości Don Alvaro Tarfe – możesz się tu zatrzymać, gospoda ta porządna jakaś.

Na tę nazwę Tarfe, Don Kichot rzekł do Sancha:

– Pamiętasz, Sancho, że czytając książkę, ową drugą część historii Don Kichota z Manchy, znalazłem tam nazwisko Avaresa Tarfa?

– Zdaje mi się, że tak – odparł Sancho – niech ci panowie zsiądą naprzód, potem ich się zapytamy.

Przybysze pomieścili się w stancji wpodle Don Kichota. – Szlachcic, zdjąwszy buty i lżejsze przywdziawszy ubranie, poszedł chłodzić się w bramie gospody, gdzie się Don Kichot przechadzał.

– Panie, wolno mi się zapytać, dokąd pan jedziesz? – zapytał.

– Do wioski tu w pobliżu, gdzie dom posiadam – odrzekł Don Kichot – a pan dokąd?

– Ja, panie, rodem z Grenady i tam się udaję – odrzekł kawaler.

– Dobre to miasto – wtrącił Don Kichot – wielu tam uczciwych ludzi, ale, panie, wybacz mi pan, że się zapytam, jak godność pańska, serce mi szepce, że nie robię tego bez powodu.

– Jestem Alvaro Tarfe – odrzekł kawaler.

– Czy to nie o panu przypadkiem mowa w drugiej części historii Don Kichota z Manchy? – zagadnął Don Kichot.

– Właśnie o mnie – odparł kawaler – a z owym Don Kichotem w ścisłej nawet byłem zażyłości, ja go to namówiłem, że pojechał do Saragossy i rzeczywiście powinien mi być nieco wdzięcznym, bo po wypuszczeniu go z więzienia nie pozwoliłem go zelżyć na ulicy. Pan wiesz zapewne, że siedział w więzieniu za różne burdy?

– Powiedz mi waszmość z łaski swojej, Don Alvaro – zapytał Don Kichot – czy ja też choć trochę podobny jestem do owego Don Kichota?

– Ani źdźbła – odparł Don Alvaro.

– A ten Don Kichot miał też giermka Sancho Pansa?

– Tak, miał – odparł Alvaro – jakiegoś giermka tego nazwiska. Mówiono, że bardzo dowcipny, ale ja nigdy od niego nic

dowcipnego nie usłyszałem.

– O, wierzę bardzo – zawołał Sancho – bo nie każdemu na tym świecie dany dowcip i nie tak łatwo, jak się na pozór zdaje. Ten Sancho, o którym pan powiadasz, musi to być łajdak jakiś i wisielec, bo to ja jestem Sancho Pansa i umiem palić dowcipy na zawołanie. Jeśli pan nie wierzysz, spróbuj, zostań pan tylko przez rok ze mną, a przekonasz się, że mi co chwila z ust płyną i w takiej ilości, że wszyscy, co je słyszą, umierają ze śmiechu, choć często sam nie wiem, co gadam. Co zaś do prawdziwego Don Kichota z Manchy, tego mądrego, walecznego obrońcy i mściciela krzywd, ojca sierot, podporę wdów i panien i zakochanego na śmierć w niezrównanej Dulcynei z Toboso, jest nim właśnie mój pan, którego przed sobą widzicie. Wszelki inny Don Kichot i Sancho Pansa to kłamstwo.

– Rzeczywiście, mój przyjacielu – odparł kawaler – wierzę temu, bo więcej mi w tej chwili dałeś dowodu dowcipu, niż tamten Sancho Pansa przez cały czas, com go widział; widać w nim było żarłoka i głupca, a nie dowcipnisia, i przekonywam się, że czarownicy, prześladujący prawdziwego Don Kichota, i na mnie się usadzić musieli, każąc mi dręczyć się tak długo z fałszywym Don Kichotem i tym cymbałem giermkiem jego. Ale po Bogu a prawdzie nie wiem, co powiedzieć, bo istotnie na własne oczy moje widziałem tamtego Don Kichota w szpitalu wariatów, a tu spostrzegam zupełnie innego, który tamtego nie zna wcale.

– Co do mnie – rzekł Don Kichot – nie powiem waszmość panu, ażebym był dobry, ale nie jestem też najgorszy Don Kichot, i na dowód tego, Don Alvaro, powiem panu, że nigdy noga moja w Saragossie nie postała, właśnie dlatego, ażeby wręcz zadać kłamstwo autorowi, bo słyszałem o tym fałszywym Don Kichocie. Pojechałem, prawda, do Barcelony, do tej matki grzeczności,

do przytułku cudzoziemców, jedynego miejsca w Europie, gdzie szczera i trwała kwitnie przyjaźń, i do najpiękniejszego w najcudniejszym położeniu miasta pod słońcem. A choć mi się tam nie bardzo przyjemne przytrafiły przygody, bardzom rad jednak, żem widział to miasto, a o reszcie zapominam. Nareszcie, Don Alvaro, jestem ten sam Don Kichot, o którym sława tyle rzeczy głosi, a nie ten nikczemnik, co sobie śmie przywłaszczać imię moje i chwałę. Mam pana teraz prosić o łaskę jedną, której dla poparcia prawdy przez uszanowanie dla błędnego rycerstwa nie odmówisz mi waszmość zapewne. Zeznasz osobiście na piśmie z własnoręcznym podpisem, przed miejscowym sędzią, żeś mnie pan dzisiaj pierwszy raz w życiu zobaczył i że nie jestem tym Don Kichotem, o którym mowa w drugiej części owej historii, jako też, że Sancho Pansa, mój giermek, nie jest tym, którego znałeś.

– Słusznie, mości Don Kichocie – odparł Don Alvaro – dam ci to zadośćuczynienie jak najchętniej. Dziwna to wszelako rzecz widzieć jednocześnie dwóch Don Kichotów i dwóch Sanchów tego samego nazwiska i z tego samego niby kraju, a tak różniących się twarzą, uczynkami i obejściem. Wątpię prawie o tym, com widział, i zdaje mi się, że to sen być musiał.

– Możeś pan zaczarowany – zagadnął Sancho – jak Dulcynea? Być bardzo może! Ale jeśli idzie o zdjęcie uroku, mam środek na to, palnąłbym sobie za zapłatą jeszcze trzy tysiące trzysta trzydzieści trzy baty, jak to ja umiem, i byłbyś pan zdrów jak ryba.

– Cóż to za baty, przyjacielu Sancho? – zapytał Don Alvaro.

– O – długa to historia – odrzekł Sancho – ale w drodze, jeśli razem pojedziemy, opowiem panu.

Gdy Don Kichot i Don Alvaro razem wieczerzali, wszedł przypadkiem do gospody sędzia miejscowy z notariuszem, któremu Don Kichot kazał zrobić protokół z zeznania Don Alvara, jako nie

znał Don Kichota z Manchy tu obecnego i jako rzeczony obecny nie był tym, którego opisuje książka pod napisem: *Druga część Don Kichota z Manchy*, przez jakiegoś Avellaneda z Tordesilas. Sędzia sporządził to wszystko z wielkim zadowoleniem Don Kichota, który podziękował najserdeczniej urzędnikowi usłużnemu. Wiele sobie nawzajem komplementów powiedzieli Don Alvaro z Don Kichotem, który dał tyle dowodów rozumu i wykształcenia, że Don Alvaro myślał, iż naprawdę był zaczarowany, kiedy tamtego widział Don Kichota.

Wieczorem wyjechali razem. W drodze opowiedział mu Don Kichot rozwiązanie smutnych przygód, a po wielu komplementach i zapewnieniach przyjaźni każdy odjechał w swoją stronę.

Don Kichot przepędził tę noc jeszcze pod gołym niebem w lesie, ażeby Sancho mógł dokończyć pokuty. Uczciwy giermek wygarbował skórę drzewom potężnie, nie uszczypnąwszy się ani razu.

Słońce zdawało się wcześniej wschodzić, niż zazwyczaj, jakby zazdrościło nocy, że to wielkie poświęcenie oglądała, które ono przeczuć tylko mogło. Awanturnicy nasi równo ze świtem pojechali dalej, rozmawiając o tym, z jaką zręcznością zdołali przekonać Don Alvara i wydostać od niego zeznanie tak dla nich korzystne. Tego dnia i następnej nocy nic się ważnego nie zdarzyło, chyba to, że Sancho ukończył pokutę, z czego Don Kichot, nie posiadając się z radości, oczekiwał dnia, gdzie odczarowaną ujrzy Dulcyneę.

Pojechali ze dniem, a Don Kichot nie darował żadnej przechodzącej kobiecie, musiał jej zajrzeć w oczy, przekonać się, czy to nie Dulcynea, tak dalece wierzył w nieomylność przyrzeczeń wielkiego Merlina. Po chwilowej jeszcze jeździe wjechali na pagórek, skąd rodzinną ujrzeli wioskę; skoro to Sancho zobaczył, padając na kolana, zawołał z uniesieniem:

– Obudź się drogi, rodzinny kątku, spójrz na Sancha, syna swego, który powraca nie bogaty wprawdzie, ale uczciwie ochłostany. Roztwórz objęcia i obejmij nimi syna swego, Don Kichota, co powraca zwyciężony wprawdzie, ale zwyciężył sam siebie, co, jak powiada, jest największym zwycięstwem. Trochęśmy złego i dobrego zażyli, bo nie zawsze to znajdziesz, co szukasz, ale mam nieco grosza, dostałem baty nie darmo przynajmniej, nieźle mi zapłacono.

– Daj pokój tym niedorzecznościom, Sancho – rzekł Don Kichot – i myślmy o czym innym w miejscu rodzinnym, gdzie mamy przecie zastanowić się nad pasterskim naszym żywotem. Zeszli ze wzgórza i wkrótce potem przybyli do wioski.

Rozdział XXI

Jako Don Kichot przy wjeździe różne zobaczył rzeczy, co mu się złą wydało przepowiednią. Śmierć jego

Przy wjeździe do wioski, powiada Cyd Hamed, Don Kichot ujrzał, jak się dwóch chłopaków kłóciło, wołając do siebie: „Nie dostaniesz jej, Perikuillo, nie zobaczysz jej nigdy!”

– Słyszysz, przyjacielu Sancho, co to dziecię powiada – nie zobaczysz jej nigdy!

– No i cóż, że ten chłopak to powiedział? – rzekł Sancho.

– To nie widzisz – odrzekł Don Kichot – że to ma znaczyć, iż nigdy już w życiu nie ujrzę Dulcynei?

Sancho chciał odpowiedzieć, ale nagle usłyszawszy hałas jakiś, odwrócił głowę i zobaczył, jak charty i strzelcy pędzili za zającem, który schował się między nogi burego. Schwytał go i oddał panu, ale zasmucony Don Kichot, nie patrząc nawet, zawołał:

– Oj, zły znak! zły znak! Zając ucieka, charty go doganiają, Dulcynei nie widać!

– Eh, do licha, dziwny z pana człowiek! – rzekł Sancho – wyobraź pan sobie, że tym zającem jest Dulcynea, a chartami czarownicy, co ją prześladując, przemienili w chłopkę. Ona ucieka, ja chwytam ją i oddaję panu, a pan się z nią pieścisz. Cóż to za zły znak? Czego się pan obawiasz?

Na to właśnie zbliżyli się owi dwaj chłopcy, co się kłócili, iż chcą zobaczyć zająca.

Gdy Sancho, zapytał ich o powód kłótni, ten, co zawołał: „nie dostaniesz jej nigdy", powiedział, że zabrał towarzyszowi swemu klatkę, której mu nigdy w życiu nie odda.

Sancho dał im pięć groszy za klatkę, a oddając ją Don Kichotowi, dodał:

– Otóż i cały urok pierzchnął – przecież słyszałem, jak proboszcz mówił, że chrześcijanie i rozsądni ludzie nie powinni na takie znaki zwracać uwagi. Pan sam niedawno także mówiłeś, że chyba tylko wariaci bać się tego mogą. Dalej, panie, wjeżdżajmy do wioski, nie warto się zatrzymywać.

Strzelcy też właśnie nadbiegli i Don Kichot oddał im zająca.

Proboszcz i bakałarz Karasko byli właśnie na łące, odmawiając brewiarz; kiedy ujrzeli Don Kichota, z otwartymi rękoma pobiegli go przywitać. Don Kichot zsiadł z konia, uściskał ich i poszedł razem z nimi do domu. Sancho powiesił na burym, nad zbroją pańską, ową suknię czarną w płomienie i włożył mu na łeb mitrę z malowanymi diabłami; pociesznie to nader wyglądało. Dzieci z wioski, zoczywszy to, hurmem się zbiegały zewsząd, wołając i krzycząc:

– Patrzcie no na osła Sancho Pansa, ubrany jakby na wesele, a szkapa Don Kichota chudsza od śledzia solonego.

Don Kichot w towarzystwie proboszcza i bakałarza wpośród tego motłochu wszedł do domu, gdzie już na niego we drzwiach czekała ochmistrzyni i siostrzenica, zawiadomione o jego przybyciu. Żona Sancho Pansy, dowiedziawszy się także o tym, przybiegła boso, z rozczochranymi włosami, trzymając małą Sanchę za rękę.

– Najświętsza Panno – zawołała – to tak przybywasz, mój mężu, piechotą, znużony jak pies. Wyglądasz na obszarpańca, nie na wielkorządcę.

– Moja Tereso – odparł Sancho – nie wszystko złoto, co się świeci. Chodźmy do domu, cuda ci opowiem. Mam pieniędzy trochę, a co najważniejsza, zyskałem je własnym przemysłem, nie skrzywdziwszy nikogo.

– Ach, masz pieniądze, mój mężu? tym lepiej! Nie pytam się, jakim je zyskałeś sposobem, byleś je miał.

Mała Sancha cisnęła się ojcu na szyję, pytając, czy jej nie przywiózł gościńca, potem matka i córka, biorąc go pod ręce i ciągnąc osła za postronek, zawiodły do domu, zostawiając Don Kichota w jego towarzystwie.

Zaledwie przyszedł do siebie Don Kichot, nie czekając długo, zaprowadził proboszcza z bakałarzem na stronę, a opowiedziawszy im w krótkości klęskę z Rycerzem Białego Księżyca i konieczność porzucenia na rok zbroi, rzekł im, że ma zamiar zostać pasterzem podczas wygnania tego, że pragnie żalami miłosnymi gaje i łąki napełniać, i prosił ich, żeby mu towarzyszyli, jeśli co lepszego nie mają do roboty. Sam zobowiązał się ponieść wszystkie koszta, zakupić baranów dla wszystkich; zresztą, dodał, najważniejsza rzecz już jest zrobiona, bo imiona wszystkich nader trafnie wynalazł.

Kiedy się proboszcz o nie zapytał, Don Kichot odrzekł, że się sam nazywa pasterzem Kichotes, ksiądz proboszcz pasterzem Kuriambro, a pan bakałarz pasterzem Samsonino Karaskon, Pansa zaś pasterzem

Pansino. Zadziwił wszystkich ten nowy rodzaj bzika rycerza, udali jednak, że zgadzają się chętnie, myśląc, że przez rok pobytu spokojnego na wsi zdołają go uleczyć zupełnie. Samson Karasko dodał jeszcze, że będąc, według zdania wszystkich, sławnym poetą, ciągle będzie tworzył piosnki pasterskie i miłosne, żeby im się nie nudziło.

– Ale o co najbardziej chodzi – rzekł – to o to, żeby każdy z nas wybrał sobie jak najspieszniej imię pasterki, którą chce sławić w utworach swoich, bo na każdym drzewie, choćby na najtwardszym, wyryjemy ich imiona, jak to zwykle robią rozkochani pasterze.

– Wyśmienicie – zawołał Don Kichot – chociaż co do mnie, nie potrzebuję wymyślać nowego imienia, ubóstwiając zawsze niezrównaną Dulcyneę z Toboso, sławę tych wybrzeży, ozdobę łąk naszych, kwiat piękności, źródło wdzięku, słowem, przedmiot godzien pochwał świata całego, choćby je aż pod niebiosa trzeba było wynosić!

– Zgoda – rzekł proboszcz – ale my wyszukamy tu sobie także pastereczek, które nie dochodząc nigdy do tego stopnia doskonałości, wcale są jednak niczego.

– Chodźbyśmy nie znaleźli – rzekł Karasko – wybierzemy pierwsze lepsze imię z książek: Filis, Anardis, Diana lub Galatea. Księgarnie zapchane są książkami pasterskimi, a towar to niedrogi!

Proboszcz i bakałarz, pochwaliwszy raz jeszcze i zgodziwszy się na zamiar Don Kichota, odeszli, prosząc, żeby dbał o zdrowie i oszczędzał je, o ile możności. Ale ochmistrzyni i siostrzenica słyszały całą poprzednią rozmowę, gdy więc same z Don Kichotem zostały, rzekła doń siostrzenica:

– Cóż to znów, mój wuju, kiedyśmy sądziły, że zostaniesz już z nami, w nowe znów włazisz manowce, chcąc gwałtem być

pastuchem. A to mi rzemiosło godne wuja dobrodzieja!

– Istotnie, panienka ma słuszność – wtrąciła gospodyni – gdzieżbyś tam pan mógł wytrzymać upał w lecie i mróz w zimie, na otwartym powietrzu! To dobre dla chłopków, co są krzepcy i w żywocie matki już na to są przeznaczeni, ale panu, z dwojga złego, lepiej już być błędnym rycerzem. Ale posłuchaj pan mojej rady, nie jestem już dzieckiem i mogę panu zdrowo radzić – weź się pan do gospodarstwa, dbaj o dom i interesy własne, mów pacierz, dawaj jałmużnę, a gdyby nam się przytrafiło jakie nieszczęście, to już sobie poradzimy razem.

– Dobrze to wszystko, moje dzieci – rzekł Don Kichot – ale i ja także wiem, czego mi potrzeba. Pościelcie mi tylko prędzej, muszę się położyć, bo zdaje mi się, że mi jakoś niedobrze, ale bądźcie pewni, że czy będę pasterzem, czy też rycerzem, nigdy wam nie uchybię i pamiętać będę, zobaczycie.

Dobre te kobiety, nakarmiwszy go i położywszy w łóżko, myślały tylko, jakim by go sposobem rozrywać i dobrze jeść dawać.

Don Kichot istotnie zachorował, czy to z powodu klęski owej, czy też z trudów przebytych, to i drugie złączyło się razem. Sancho siedział zawsze przy łóżku, podczas całego trwania gorączki. Proboszcz i bakałarz codziennie go odwiedzali, a myśląc, że to tęsknota ujrzenia odczarowanej Dulcynei tak go dręczy, usiłowali wszelkimi sposobami pocieszyć go i rozweselić. Bakałarz powiedział mu, że trzeba nabrać odwagi i że czekał tylko na powrót jego do zdrowia, żeby rozpocząć życie pasterskie. Mówił, że już utworzył sielankę pasterską, do której ani się umywać Sanazarowi i kupił dwa psy do strzeżenia trzody, z których jeden zwał się Barsino, a drugi Butron. Wszystko to jednak nie rozpędzało złego humoru Don Kichota, co widząc Sancho, rzekł:

– Cóż to się ma znów znaczyć, kochany panie? Właśnie teraz chcesz pan leżeć w łóżku, kiedy mamy najpewniejszą wiadomość o odczarowaniu Dulcynei? Nie umieraj nam pan znów, wszyscy o to błagamy, nie ma nic pilnego. Wielka mi rzecz, że ktoś tam zwycięży, trzebaż zaraz umierać z rozpaczy? A gdyby tak wszyscy mieli, jak pan robić, to by jedna połowa świata zajęta była pogrzebami drugiej. Nie jesteś pan ani kaleką, ani ułomnym, będziesz mógł odbić się znów w swoim czasie. No, no, wyłaź no mi pan z łóżka! Mamy zostać właśnie pasterzami, śpiewać piosneczki, grając na fujarkach, a pan smutny jak pustelnik. Rób pan jak ja, wszystko mi tam jedno, pogoda, czy słota, znajdę pociechę na wszystko, bo aż do śmierci wszystko jest życiem. Posłuchaj pan rady mojej, kochany paneczku, żyj w najdłuższe lata, bo największym głupstwem na świecie umierać, nie wiedząc dlaczego i nie pokażesz mi pan ani jednego człowieka, co by się cieszył z tego, że umarł ze smutku. No, no, jeszcze raz proszę, porzuć pan łóżko i chorobę, chodźmy na pola grać na multance, może po drodze spotkamy Dulcyneę odczarowaną. Wszystkie te troski niewarte i szeląga, ale gdybyś pan miał umierać z tego, żeś zwyciężony, zwal śmiało, paneczku, winę na mnie, że źle osiodłałem Rosynanta. A zresztą, przecież to w waszych księgach rycerskich są takie zwyczaje, że rycerze się jedni na drugich obalają. Wszędzie to samo widać!

Do stu diabłów, cóż to dziwnego, osioł ma cztery nogi a padnie, a cóż dopiero człowiek!

– Sancho ma słuszność – rzekł Karasko – nie trzeba się poddawać rozpaczy, jeszcze nie ma nic straconego!

Mimo to wszystko Don Kichot ciągle był chory i zamyślony. Pokazała się pleura, a nasz rycerz, cierpiąc niesłychanie, zawezwał balwierza na pomoc. W owych czasach leczono pleurę upuszczaniem krwi, a majster Mikołaj, mimo doświadczenia, co powinno go było

nauczyć, że puszczanie krwi więcej pleurycznych na tamten świat wyprawia, niż doprowadza do zdrowia, otworzył wenę Don Kichotowi i wypuścił na pierwszy raz cztery pełne krwi talerze. Po tym jednym upuszczeniu nastąpiło kilka innych, dawał mu przy tym ziółka do picia, co wszystko domęczyło Don Kichota. Wypełniając jak najskrupulatniej przepisy balwierza, po ośmiu upustach krwi i kilkudziesięciu butelkach mikstury, umarł w objęciach proboszcza, jak na dobrego chrześcijanina przystało. Przed śmiercią zapewnił testamentem majątek cały siostrzenicy, zezwalając, aby poszła za mąż za synowca proboszcza, z czego ten młodzieniec, nader zadowolony, nie myślał prosić dworu o posadę, którą chciał był przedtem otrzymać. Pyszny był pogrzeb bohatera Manchy. Sancho, giermek jego znakomity, powróciwszy do dawnego rzemiosła, spokojnie dokończył dni swoich, żyjąc z kapitaliku, który w ręce proboszcza, jako depozyt, powierzył.

ISBN 978-832-680-389-5

Wydanie elektroniczne 2012

Na okładce wykorzystano fragment obrazu „Don Quixote and Sancho Panza on a Wooden Horse" Jeana-Frederica Schalla (1752–1825).

WYDAWCA
Agora SA
ul. Czerska 8/10
00-732 Warszawa

Konwersja i edycja publikacji